

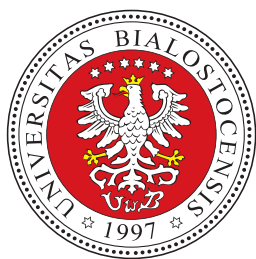


OPOWIEŚCI
STEPOWE

(PISMA PROZĄ)

KATEDRA BADAŃ FILOLOGICZNYCH
„WSCHÓD – ZACHÓD”

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY
UNIwersYTETU W BIAŁYMSTOKU



Naukowa Seria Wydawnicza
„Czarny Romantyzm”

Tom XLVIII

WYDAWNICTWO PRYMAT

Paulin Świącicki

OPOWIEŚCI
STEPOWE

(PISMA PROZĄ)

Redakcja naukowa

Jarosław Ławski, Michał Mordań
Krzysztof Korotkich

Koncepcja edycji, opracowanie tekstu i przypisy

Krzysztof Rutkowski i Jarosław Ławski

Wstępy i postłowie

Krzysztof Korotkich, Rościsław Radyszewski
Michał Mordań

Białystok 2020

NAUKOWA SERIA WYDAWNICZA „CZARNY ROMANTYZM”

REDAKCJA SERII

Jarosław Ławski – *Przewodniczący*

Marcin Bajko, Małgorzata Burzka-Janik, Grzegorz Czerwiński
Anna Janicka, Krzysztof Korotkich, Dariusz Kukiełko, Iwona E. Rusek
Krzysztof Rutkowski, Michał Siedlecki, Łukasz Zabielski

RADA REDAKCYJNA

Wojciech Gutowski (UKW), Maria Kalinowska (UW), Joel J. Janicki (Tajwan)
Alina Kowalczykowska (IBL PAN), Michał Kuziak (UW), Abp Edward Ozorowski (UwB)
Leszek Libera (UZ), Marek Nalepa (URz) – *Przewodniczący*, Elżbieta Nowicka (UAM)
Mikołaj Sokołowski (IBL PAN), Włodzimierz Szturc (UJ)

RECENZENCI TOMU

Prof. dr hab. Alois Woldan (Uniwersytet Wiedeński)
Prof. dr hab. Arkadiusz Bałajewski (UMCS, Lublin)

Wstępy i posłowie: Krzysztof Korotkich, Rościśław Radyszewski, Michał Mordań
Redakcja tomu: Jarosław Ławski, Michał Mordań, Krzysztof Korotkich
Opracowanie tekstu, ilustracje: Jarosław Ławski, Krzysztof Rutkowski
Streszczenia: Małgorzata Techmańska, Biuro Tłumaczeń
Przypisy, skład i redakcja techniczna: Krzysztof Rutkowski

Praca naukowa finansowana w ramach programu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki” w latach 2018–2022:



**NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI**

Kontynuacje krytycznych edycji wybitnych, zapomnianych dzieł XIX-wiecznej polskiej literatury romantycznej w Naukowej Serii Wydawniczej „Czarny Romantyzm” w XII tomach

Na okładce wykorzystano fragment obrazu Apollinarija Wasniecowa (1856–1933)
Dniepr przed burzą (1888)

© Copyright by Uniwersytet w Białymstoku, Białystok 2020

ISBN: 978-83-7657-314-4

Wydawnictwo PRYMAT Mariusz Śliwowski, ul. Hetmańska 42, 15-727 Białystok,
tel. 602 766 304, 881 766 304, e-mail: prymat@biasoft.net, www.prymat.biasoft.net



Paulin Świącicki
(autor fotografii nieznan, 1874)



Pawło Swij [Paulin Świącicki], *Bajki do nauki dla młodych i starych*
(strona tytułowa, wyd. III, Lwów 1891)

SPIS TREŚCI

I. Od Redakcji	11
II. Krzysztof Korotkich	13
<i>Paulin Święcicki – ostatni Kozak polskiego romantyzmu</i>	13
Szczęśliwy dramat dzieciństwa	13
Powstaniec i artysta	17
Twórczość literacka	26
III. Rościśław Radyszewski	47
<i>Twórczość Paulina Święcickiego w języku ukraińskim</i>	47
Człowiek pojednania	47
Prozaik i dramatopisarz	51
Poeta i bajkopisarz	58
Redaktor, tłumacz	64
IV. Zasady wydania	71
V. Paulin Święcicki [Stachurski]	75
<i>Przed laty. Powieść ukraińska</i>	75
<i>Trójka. Powieść</i>	231
– Tom pierwszy	231
<i>Szymcio</i>	233
<i>Powodyr</i>	241
<i>Pan i sługa</i>	262
<i>Podróż nadpowietrzna</i>	268
<i>Wyjazd</i>	278
<i>Kubuś i wcale nowe rzeczy</i>	290
<i>Studia</i>	311
<i>„Smocza Paszcza”</i>	333
<i>Zupełnie jak w bajce</i>	361

– <i>Tom drugi</i>	383
<i>Rehabilitacja Kubusia</i>	385
<i>Szymcio idzie w górę. Pańko daje nurka</i>	409
<i>Trójka</i>	424
<i>Łódź życiowa zawija do portu</i>	434
<i>We trzech</i>	447
<i>W Kijowie</i>	468
<i>Lola</i>	487
<i>Skon</i>	499
<i>Swaty</i>	510
<i>Zakończenie</i>	527
<i>Rok 1863 na Ukrainie</i>	542
<i>Moskal. Powieść z ostatnich czasów</i>	559
<i>Opowieści stepowe</i>	607
– <i>Gulnara</i>	609
– <i>Na stepie</i>	631
– <i>Atamańska mogiła</i>	693
– <i>Czartowa Góra</i>	697
– <i>Pokuta</i>	709
– <i>Podolanka</i>	712
<i>Wycieczka do Pionin</i>	727
VI. Aneks	809
Jan Grzegorzewski, <i>Mowa na pogrzebie śp. Paulina Święcickiego</i>	811
Józef Tretiak, <i>Paulin Święcicki i jego niewydane dramata</i>	819
Józef Bohdan Zaleski, <i>Do Pana Paulina Stachurskiego</i>	831
<i>Do czytelnika z ziemi ukraińskiej</i>	833
VII. Postłowie	839
Michał Mordań, <i>O Paulinie Święcickim i jego utworach z perspektywy onomastycznej</i>	841
Wstęp – kilka słów onomasty o autorze	841
Nazwy własne w prozie Paulina Święcickiego	845
Przymiotnikowe określenia odonimiczne	884
Deonimy	886
Zakończenie	886
VIII. Bibliografia	895

Noty o Autorach	901
Summary	904
Zusammenfassung	907
Анотація	910
Indeks nazwisk	913



Panorama Lwowa w poł. XIX wieku

(Aleksander Zawadzki, *Galicyja w obrazach czyli Galerya litografowanych widoków, okolic i najznakomitszych zabytków w Galicyi z opisaniem obrazów w języku polskim i niemieckim*, Lwów 1840)

OD REDAKCJI

Prezentowany tom przynosi szeroką prezentację twórczości prozatorskiej pisarza – rzec to trzeba z pełną powagą – do szczytu zapomnianego w kulturze polskiej. Paulin Świącicki (1841–1876) podjął całym swym życiem ryzykowne dzieło budowania mostów między kulturą polską, z której się wywodził, a kulturą ruską, ukraińską, którą głęboko przesiąkł. Podjął więc trudne dzieło wyjścia z dialogicznym gestem otwarcia ku obu kulturom.

Świącicki przekładał najpierw z polskiego na ukraiński, pisał potem po polsku i ukraińsku, wydając w pewnym okresie każde dzieło w dwu wersjach językowych. Zapomniany długo w Polsce, był przypominany w kulturze ukraińskiej, gdzie jego pisane po ukraińsku utwory czasem traktowane były jako świadectwo etnicznej kwalifikacji tego twórcy jako „ukraińskiego pisarza polskiego pochodzenia”. Polska znawczyni jego twórczości, Dobrosława Świerczyńska, skomentowała takie podejście jednoznacznie: „Jestem głęboko przekonana, że jest to określenie niewłaściwe i że Świącicki nigdy by na nie nie przystał”¹. Niemniej jednak jego tragiczny gest polskiego ukrainofila zobowiązuje, by głębiej przyjrzeć się życiu i twórczości pisarza, który poruszał się po najtrudniejszym z trudnych regionów – po pograniczu ukraińsko-polskim. Oczywiście, może i powinien być dziś uważnie czytany zarówno przez Polaków, jak i przez Ukraińców, lecz z uwzględnieniem przez pierwszych jego ukraińskich, głębokich sympatii, a przez drugich polskiego wyboru tożsamościowego i kulturowego.

Powszechniej znany jako Paulin Stachurski (jego literacki pseudonim), okazał się Świącicki jednym z najpóźniejszych kontynuatorów tradycji ukraińskiej szkoły w romantyzmie polskim. Zafascynowany Malczewskim i Goszczyńskim, ale też Tarasem Szewczenką, Markiem Wowczokiem, Gogolem i Czernyszewskim, zaczął swą twórczość od intensywnej pracy tłumacza, „przerabiacza” tekstów z polskiego na ukraiński i z ukraińskiego na polski, by w końcu dać próby tak

¹ D. Świerczyńska, *Paulin Świącicki. Dramat pisarza pogranicza*, „Pamiętnik Literacki” 1996, nr 1, s. 199.

istotnych tłumaczeń, jak przekład z rosyjskiego niektórych *Powieści mniejszych* Gogoła (Lwów 1871)².

Rozczarowany brakiem odzewu na tłumaczenia, „podał się i, jak pisał Franko, »uszeł sowsiem w polskuju literaturu«³. Świącicki całe życie zmagał się z wczesnym osieroceniem przez matkę, surowym wychowaniem przez ojca, biedą, niezrozumieniem i gruźlicą.

Zmarł 12 września 1876 roku, mając ledwie 35 lat. Jak na nader krótkie życie, stworzył imponujący dorobek jako powieścio- i dramatopisarz, krytyk, publicysta i tłumacz.

Prezentujemy Państwu w niniejszej edycji wybór prozy – jego najlepsze powieści (*Przed laty, Moskal, Trójka, Opowieści stepowe*) i podrózpisarską *Wycieczkę do Pionin*. W *Aneksie* przypominamy głosy adresowane do pisarza i mówiące o nim: Józefa Bohdana Zaleskiego, Józefa Tretiaka, Jana Grzegorzewskiego.

Nade wszystko pragniemy jednak wskazać na zjawisko, które jeszcze do niedawna dyskredytująco określano mianem epigonizmu, a które dziś z jednej strony nazwalibyśmy długim trwaniem formacji romantycznej w polsko-ukraińskim, kresowym świecie, a z drugiej wiązalibyśmy z metamorfozą estetyczną prozy romantycznej w prozę kolejnej już epoki. Zasadniczo – prócz odwiecznych dysput o polskość i ukraińskość, ich zapętleniach – Świącicki wymaga dziś poważnych badań, rozpoznań estetycznych prowadzących do przewartościowania jego miejsca w literaturze polskiej, ale też ukraińskiej.

Życzymy Państwu nowych, zaskakujących spotkań z Ukrainą, z polskim twórcą, który w pewnym momencie stanął na rozstajach obu kultur...

Jarostaw Ławski
Białystok–Ełk, 30 grudnia 2020 r.

² M. W. Hohol, *Powieści mniejsze. Z rosyjskiego*, Lwów 1871. Bez podania nazwiska tłumaczy: Paulina Świącickiego i Jana Grzegorzewskiego.

³ D. Świerczyńska, dz. cyt., s. 205. Zob. też: K. Estreicher, *Bibliografia polska XIX stulecia*, T. IV, Kraków 1878, s. 417. W wydaniu drugim (1966), T. IV, s. 364.

Krzysztof Korotkich

Pracownia Komparatystyki Kulturowej

Uniwersytet w Białymstoku

ORCID: 0000-0002-4310-0402

PAULIN ŚWIĘCICKI – OSTATNI KOZAK POLSKIEGO ROMANTYZMU

Szczęśliwy dramat dzieciństwa

Ukraina w polskiej literaturze okresu romantyzmu to z pewnością jeden z ważniejszych tematów, utrwalaony literacko przez przedstawicieli szkoły ukraińskiej¹, w pewnym sensie będącej szkołą pisania i wyobraźni również dla Paulina Świącickiego. To dzieła Antoniego Malczewskiego, Seweryna Goszczyńskiego i Józefa B. Zaleskiego, Aleksandra Grozy czy Michała Czajkowskiego ukształtowały krajobraz Ukrainy w literaturze polskiej, a nawet wpłynęły na określenie stereotypu tej części świata, zapisanego na długo lub na trwałe w wyobraźni i pamięci czytelników. Świącicki nie tylko kontynuuje rozpoczęty u zarania polskiego romantyzmu kult ukraińskiej egzotyczności, ale rozwija tę fascynację aż po granice możliwości, tworząc własny model adoracji ziemi ojczystej, kultu Kresów zanurzonych w mitycznym pięknie, w heroizmie rycerstwa i w rozlicznych historiach o – zawsze nieszczęśliwej – miłości.

Romantyzm zdążył już wykorzystać potencjał zawarty w egzotyzmie ukraińskości, wyeksplorowany został przez mistrzów pióra ten kawałek Europy, który opierał się długo inwazji „nowoczesności”, ale też unikał uparcie poddania się

¹ Zob. *Szkoła ukraińska w romantyzmie polskim. Szkice polsko-ukraińskie*, pod red. S. Makowskiego oraz U. Makowskiej, M. Nesteruk, Warszawa 2013.

zmianom, ostatecznemu zagryzieniu przez bezwzględny czas i historię – tym bardziej może zadziwiać zapał, z jakim Paulin Świącicki poświęcił się właśnie Ukrainie, szukając w tej ziemi źródła inspiracji i spełnienia twórczego zobowiązania wobec owej magicznej krainy. Można oczywiście snuć wiele domysłów na temat przyczyn, dla których Świącicki tak bardzo rozkochał się był właśnie w kresach Rzeczypospolitej.

Gdyby uznać Świącickiego za późno debiutującego romantyka, a nawet za poetycko, ideowo i tematycznie rozpiętego między epokami pisarza, nie byłoby to wcale wyczerpujące i chyba nie w pełni trafne określenie jego genealogii literackiej. Zarówno z racji urodzenia w tym specyficznym regionie, jak też z powodu uwikłania w dramatyczne losy rodzinne, a także swój udział w życiu politycznym, społecznym, wojskowym, spiskowym, wreszcie naukowym, kulturowym i oświatowym, stał się Świącicki postacią nietuzinkową, ale też niejednoznaczną. Jego biografia stanowi poważny problem dla współczesnych badaczy nie tylko z powodu niedostatecznego zbadania źródeł archiwalnych, ale też z powodu sprzecznych relacji na temat pisarza pozostawionych przez współczesnych oraz przez biografów².

Nie bez znaczenia dla wyłaniania się „ostatecznych” rysów Świącickiego jako pisarza – bardziej znanego chyba nawet do dnia dzisiejszego na Ukrainie niż w Polsce – było jego życie osobiste, które związał z obiema kulturami i oboma językami jako swoimi, ukraińskość stała się, być może mimo intencji, częścią jego polskości. Okres aktywności Świącickiego przypadł niefortunnie po tryumfie polskich wieszczów, gdy wybrzmiały już manifesty romantyczne, a nawet kiedy było już oczywiste, którzy z polskich mistrzów zdobyli wieniec sławy i niesłabnącą popularność wśród czytelników. Świącicki nie miał najmniejszych szans na takie

² W budowaniu pamięci o Świącickim nieprzecenione zasługi ma z pewnością Dobrosława Świerczyńska, autorka wielu odczytów naukowych o pisarzu, które wygłosiła na sympozjach polsko-ukraińskich, oraz szkiców poświęconych autorowi *Opowieści stepowych*. Zob. D. Świerczyńska, *Paulin Świącicki – zapomniany Galicjanin (1841–1876)*, [w:] *Galiczyjskie spotkania 2008*, red. U. Jakubowska, Zabrze 2010, s. 181–190. Najbardziej znanym szkicem badaczki ukazującym dramatyczne losy pisarza jest artykuł: *Paulin Świącicki: dramat pisarza pogranicza*, „Pamiętnik Literacki” 1996/87/1, s. 199–212. W numerze 2(9) „Przemyskiego Przeglądu Kulturalnego” z roku 2008, zatytułowanym *Zakarpacie sny o niepodległości*, jest informacja o odczycie D. Świerczyńskiej *Paulin Świącicki – poeta pogranicza*, w ramach sesji popularnonaukowej *Galiczyjskie spotkania*. Wielość przymiotników dodawanych do nazwiska pisarza może świadczyć o potrzebie odkrywania go w historii literatury oraz identyfikowania wciąż na nowo.

powodzenie, trudno było z przyczyn oczywistych konkurować ze sławą wieszczów, wciąż żywą i promieniującą tak bardzo, że marzenia o podobnej wielkości nie były możliwe. Mickiewicz był już na firmamencie, gdy Świącicki mógł co najwyżej cytować jego ballady z pamięci w swoich powieściach jako sprawnie zawołowane cytaty.

Pisarz urodził się w 1841 roku w Warszycy (Worszycy) w powiecie machnowieckim na Ukrainie i zmarł w nieodległym Lwowie niespełna 35 lat później³. Nie tylko symbolicznie związało się życie Świącickiego z wschodem Polski, ale też z wyboru, którego dokonał, pracując na rzecz ludu ukraińskiego i dla idei pojednania obu narodów – polskiego i ukraińskiego. Miało na to zapewne wpływ wiele okoliczności, także i ta, że zbyt wcześnie musiał się pożegnać z sielskim dzieciństwem. Chociaż raczej winien zapisać się w jego pamięci obraz niewielkiej rzeczki o poetyckiej nazwie Śniwoda, a także wiejski krajobraz, dominujący w jego powieściach oraz w utworach dramatycznych.

Paulin wychowywał się w drobnoszlacheckim, niezamożnym domu, nie ma nawet dowodów na to, że był on własnością Świącickich. Rodzice najpewniej dzierżawili niewielki majątek, sami też pracowali w gospodarstwie, a obserwacje przyszłego literata kształtowały jego światopogląd, wrażliwość na los chłopów, szacunek dla pracy. Nie wiadomo, czy ów majątek mógł należeć do dalekiej rodziny matki Świącickiego, z domu Stachurskiej⁴, która to familia posiadała wielkie dobra na Kresach południowo-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Pisarz miał brata i dwie siostry, ale skromne dochody rodziców nie pozwalały najwyraźniej na zatrudnienie guwernera, ponieważ ojciec sam udzielał nauk dzieciom. Był on wykształcony w szkołach bazylikańskich, ale nie miał przygotowania pedagogicznego ani cierpliwości, często był zmęczony pracą, dlatego też metody nauczania dalekie były od tych, które coraz częściej wprowadzano do szkół. Dzieci uczyły się lekcji ojca na pamięć, a jedną z „pomocy” dydaktycznej były przedmioty wyeksponowane w domowej sali lekcyjnej – pas i różga. Dyscyplinowanie miało zastępować motywowanie, chociaż Paulin nie był złym uczniem, miał zdolności językowe i ciekawość, łatwo zapamiętywał, a ćwiczenie pamięci wykorzystywał

³ Paulin Świącicki urodził się w 1841 w Warszycy, zmarł 12 września 1876 we Lwowie. Rodzicami Paulina byli Józef Świącicki i Anastazja Stachurska. Najpewniej pierwsza wzmianka o śmierci Świącickiego ukazała się w „Gazecie Narodowej” we Lwowie nr 213 z 17 września 1876 roku, tam też znalazł się jeden z pierwszych opisów życia i twórczości opublikowany anonimowo.

⁴ Nazwiska panińskiego matki używał Świącicki jako jednego ze swoich pseudonimów.

po latach jako aktor do opanowania roli. Surowość ojca wynikała najpewniej nie tylko z braku kompetencji jako dydaktyka, ale z nadmiaru obowiązków gospodarczych, borykania się z biedą i z pogarszającego się stanu zdrowia. Ojciec musiał być człowiekiem sfrustrowanym, nadto często chorował, a to nie pozwalało mu pracować wydajnie, by utrzymać rodzinę na godnym poziomie, tym samym nie zdołali Świącicy powiększać swego skromnego majątku, ani odłożyć sum potrzebnych do dalszego kształcenia dzieci.

Ojciec zmarł, gdy Paulin miał siedem lat, sytuacja materialna rodziny bardzo się pogorszyła, dzieci zmuszone zostały do wspierania matki przy pracy w gospodarstwie, dzieciństwo Paulina gaśło, musiał szybko dorość. Niedługo po odejściu ojca zmarła też matka, a jedenastoletni chłopiec został skazany na siebie. Rodzice nie zostawili mu majątku, pieniędzy, najwyraźniej też nie było nikogo bliskiego, kto mógłby kontynuować kształcenie w domu i opiekować się sierotą. Musiał być dzieckiem lubianym, mądrym, ciekawym świata i łatwo nawiązującym kontakty, a do tego miał sporo szczęścia, ponieważ daleka kuzynka, może właśnie związana z rodem, od którego rodzice Paulina dzierżawili majątek, postanowiła sfinansować dalszą naukę jedenastolatka.

Rozpoczął wówczas kształcenie w szkole z internatem w Kamieńcu Podolskim. Temperament chłopca, który wprawdzie stracił rodziców, ale zarazem uwolnił się od obowiązków domowych i od surowej dyscypliny, musiał ostatecznie eksplodować, uwolnić niezwykle cechy dynamicznej osobowości i w rezultacie niesforny uczeń dał się we znaki nauczycielom. Reakcją kuzynki na uwagi dyrektora szkoły było wstrzymanie przez nią wsparcia finansowego. Ażeby uniknąć relegowania, Paulin musiał natychmiast dojrzeć do pracy zarobkowej. Musiało to być poważnym zwrotem w życiu piętnastolatka. Chłopiec powinien był prędko stać się mężczyzną, znaleźć sposób na własne utrzymanie, zaplanować bliską i dalszą przyszłość. Mogło to wpłynąć na jego szybkie dojrzewanie oraz na kształtowanie charakteru, w podobnym stopniu zdeterminować też rozwój intelektualny.

Młody Świącicki jako uczeń zaczął zarabiać, udzielając korepetycji kolegom szkolnym, ale też dzieciom dworskim, z jego usług korzystali nawet uczniowie z okolicznych miejscowości – polscy i ukraińscy. Był bardzo uzdolniony, wszechstronny, miał dobrą opinię, a przy okazji poszerzał swoją wiedzę z różnych dziedzin, nawiązywał kontakty i być może uczył się śmiałości, odwagi, a także ćwiczył język, co w przyszłości wykorzystywał jako aktor na teatralnych scenach.

Można zaryzykować pytanie, które dotychczas nie padło, oczywiście niemożliwe do zaspokojenia wiarygodną odpowiedzią, mianowicie o alternatywne losy Paulina Świącickiego, co by się stało, gdyby nie doświadczył dramatycznego zwrotu w swoim życiu, gdyby nie stracił zbyt wcześnie rodziców i pozostał z nimi w majątku, a później go przejął. Czy ów złośliwy los aby nie przyczynił się do narodzin jednego z ciekawszych pisarzy polskiego pogranicza, czy nie poprowadził go ku zupełnie innym scenariuszom od tych, które wyobrażali sobie zapewne jego rodzice, a później może też kuzynka, do czasu troszcząca się o małego sierotę? Mógł na przykład podzielić los Mieczysława Romanowskiego, starszego o kilka lat pisarza urodzonego w nieodległym Żukowie na Ukrainie. Rodzice Romanowskiego bowiem nie akceptowali literackich ambicji syna i – mimo jego kształcenia się w tym kierunku i marzeń o karierze pisarskiej – zmuszali go do powrotu⁵.

Wpływ rodziców na wybór drogi życiowej dziecka bywa przemożny, tego okrutny los w rezultacie oszczędził Świącickiemu, chociaż zrazu wydawał się zbyt okrutnym ciosem, okradł go z rodziców i ze środków na spełnienie marzeń. Młody Paulin jednak nie pozwolił prowadzić się ślepeму fatum, wziął życie we własne ręce, przekuł dramat w szczęście. Był kowalem swego losu przynajmniej przez pewien czas, na miarę możliwości i swego krótkiego życia.

Powstaniec i artysta

Patriotyzmu Świącickiego nie można opisać na podstawie jednorazowego czynu heroicznego albo spektakularnych manifestów narodowowyzwoleńczych. Mickiewiczowi zapewne było łatwiej, bo przecierał szlaki, a nawet Krasińskiemu było prościej, mimo presji wywieranej przez ojca. Świącicki wyznaczył własną, indywidualną drogę kształtowania wrażliwości na sprawę ojczyzny, narodu i wolności. Nie manifestował tych spraw w formie programu literackiego, nie eksponował ich ostentacyjnie w swoich utworach. Patriotyzm autora *Opowieści stepowych* najpierw rodził się w czynie, dopiero później objawił się w słowie – odwrotnie

⁵ Zob. S. Lam, *Mieczysław Romanowski: zarys biograficzno-krytyczny na podstawie źródeł rękopiśmiennych. 1*, Lwów 1913.

niz u wspomnianego wyżej Mickiewicza⁶. Świącicki najpierw działa, hartuje się w czynie, taką ma bowiem naturę – energicznego, odważnego łobuza, który od nudnych lekcji w szkole wołał wagary. Świącicki jako pisarz będzie się rodził z tego właśnie doświadczenia – z czynu wyprowadzi słowo.

Pomimo utraconego przedwcześnie dzieciństwa, Świącicki zdążył wynieść z rodzinnego domu i zapamiętać fundamentalne wartości, którymi kierował się wbrew pokusom i instynktowi „ukraińskiego bursza”; a miał z pewnością zadatki na lidera niepowstałej nigdy cyganerii kijowskiej. Wartości patriotyczne bez wątpienia towarzyszyły mu, gdy podejmował decyzję o wytrwaniu w polskim gimnazjum i łączeniu nauki z – na pewno nielekka – pracą. A później, prawdopodobnie w 1860 roku – Świącicki zostaje przyjęty na Uniwersytet Kijowski, gdzie zaczyna studia na Wydziale Prawniczym. To są ostatnie lata działalności uniwersytetu w takiej formie, Świącicki trafia na czas formowania się nowej fali oporu młodzieży, która za kilka lat zaowocuje zrywem. Przed powstaniem listopadowym studenci polscy na Uniwersytecie Kijowskim organizowali ugrupowania i organizacje o charakterze rewolucyjnym, do takich należała grupa Humań, zrzeszająca polską i ukraińską młodzież, wyrażająca antyrosyjskie nastawienie.

Po wybuchu powstania styczniowego Świącicki dołącza do uniwersyteckiego oddziału, do „partii”, która jednak szybko zostaje rozbita przez wojsko carskie. Uczestnicy tego zrywu zostają w większości zatrzymani, zanim zdołają stoczyć większą bitwę. Świącicki nie został tym samym – na szczęście – przedwczesnym bohaterem i nie poległ na polu chwały, ale doświadczył oprócz traumy „wojennej” także innego wstrząsu, deziluzji będącej wynikiem konfrontacji jego miłości do Ukraińców z ich stosunkiem do powstańców. Młodzi żołnierze doznali od ukraińskich wieśniaków niezrozumiałej dla nich nienawiści, wrogości, chociaż – jak uważał Świącicki – zryw powstańczy był wspólną sprawą obu narodów. Było to dla Świącickiego doświadczenie trudne, gdyż wzrastał w poczuciu miłości do każdego z narodów; jako dziecko drobnego szlachcica wychowywał się blisko ludu i z nim właśnie czuł się najlepiej.

Jedną z restrykcji cara za powstanie styczniowe był zakaz studiowania na Uniwersytecie Kijowskim, którym zostali objęci uczestnicy zrywu, w tym Paulin

⁶ Posługuję się tu oczywiście metaforycznym znaczeniem zwrotu wpisanego w tytuł książki A. Witkowskiej *Mickiewicz. Słowo i czyn* (Warszawa 1975), poświęconej Mickiewiczowi jako patriocie wcielającemu swoją wizję ojczyzny w dzieło literackie oraz w działalność.

Święcicki. Nie mógł dokończyć studiów ani pozostać w imperium rosyjskim, musiał uciekać i znowu dostosować się do nowych warunków. Kolejny raz wienien był zmienić swoje życie. Wyjechał do Galicji, zamieszkał we Lwowie, tam kontynuował wcześniejszy model samokształcenia, polegający między innymi na udzielaniu korepetycji uczniom polskim i ukraińskim. Aby mieszkać w zaborze austriackim, Święcicki musiał mieć stałe źródło dochodu, ale zatrudnienia szukał w zawodach dających mu namiastkę satysfakcji, że robi to, co lubi.

W 1864 roku został aktorem w wędrownych trupach teatralnych, dzięki czemu poznawał literaturę, ćwiczył pamięć, improwizację, odwagę jako artysta. Występował przez dwa sezony, jak pisze Dobrosława Świerczyńska, pod pseudonimem Paulin Sielski⁷. Według biografki i badaczki, Święcicki występował przed publicznością polską i ukraińską, repertuar był urozmaicony, z pewnością bogaty, oparty na dramaturgii obu kultur, gdyż doskonale znał literaturę polską i ukraińską. Aktor Sielski musiał być mężczyzną przystojnym, z dobrą dykcją i świetnym głosem, zapewne podobał się publiczności i cieszył się niemałą popularnością. Teatr był mu bliski, życie artystów poznał jako uczeń, gdy uciekał na węgry do wędrownych artystek cyrkowych, z którymi wolał spędzać czas niż „tracić” go na nudne nauki. Zarabiał w ten sposób na życie, rozwijał się jako artysta, poznawał literaturę, ale również studiował rzeczywistość, uczył się prawdy o świecie i o ludziach.

Święcicki jako aktor amator zagrał w wielu poważnych sztukach, niekoniecznie jednak pod własnym nazwiskiem, co stanowi do dzisiaj poważny problem biograficzny. Jak wskazała Świerczyńska, w *Słowniku biograficznym teatru polskiego* można znaleźć informację o aktywności Święcickiego jako aktora:

Sielski [bez imienia] działał 1865–1867, aktor. W sezonie 1865/66 występował w zespołach K. Łobojki w Tarnowie, P. Woźniakowskiego w Przemyślu, w 1867 pod dyr. M. Stengla m.in. w Stanisławowie, Brzeżanach, Tarnopolu, Przemyślu, Tarnowie. W zespole Stengla grał główne role w dramatach i komediach, takie jak: *Fantazy* (*Fantazy*), *Nick* (*M. Stuart* Słowackiego), *Zbigniew* (*Mazepa*), *Wacław* (*Zemsta*), *Karol* (*Polowanie na męża*), *August* (*Rozbójnik salonowy*)⁸.

⁷ D. Świerczyńska, *Paulin Święcicki. Dramat pisarza...*, s. 202.

⁸ *Słownik biograficzny teatru polskiego. 1765–1965*, Warszawa 1973, s. 638, cyt. za: D. Świerczyńska, dz. cyt., s. 200. W słowniku biograficznym hasło *Sielski* zapisane jest bez imienia oraz jakichkolwiek danych biograficznych. Jednym ze sposobów identyfikacji jego osoby z pseudonimem są wymienione najważniejsze role grane przez niego w teatrach galicyjskich. Świerczyńska dokonała kwerendy w źródłach teatralnych i stwierdziła, że raczej nie istniały

Święcicki poświęcił teatrowi wiele czasu; czynił to chyba nie tylko z konieczności, zdobywając grą środki potrzebne do życia. Można podejrzewać, że teatr był dla niego pierwszym spełnieniem potrzeb artystycznych, drogą do odnalezienia piękna i harmonii w burzliwej rzeczywistości politycznej oraz w pełnym zakrętów życiu osobistym. Święcicki lubił teatr jako przestrzeń, w której spełniał swoje marzenia o lepszym świecie, ale także znajdował inspirację i motywację do tworzenia własnych utworów, nie tylko scenicznych.

Debiut Święcickiego przypada na rok 1864, jest to podwójny początek kariery, dotyczy bowiem jego twórczości literackiej i artystycznej. Tego roku we Lwowie wystawiona zostaje jego „śpiewogra”⁹ *Marusia*, a Święcicki gra w inscenizacji swojej komedii jedną z ról. Jako literat i jednocześnie aktor Święcicki od samego początku jest artystą pełnym, niewyczerpującym się w jednej dziedzinie, poszukującym języka do opisywania własnej wizji świata, czasami komicznej, innym razem dramatycznej. Miał liczne talenty oraz z pewnością teatralne predyspozycje do występowania na scenie. Jak podaje wspomniany wcześniej słownik, młody artysta był mężczyzną wysokim, przystojnym, charakteryzował się świetnym głosem, dykcją, miał pojemną pamięć, dobrze czuł się na scenie i potrafił nawiązać szybko więź z widownią. Teatr nie mógł być dla Święcickiego jedynie sposobem na utrzymanie, ale spełnieniem ważnej potrzeby życiowej w sferze duchowej, zaspokajał jego wrażliwość estetyczną. W teatrze konfrontował on moc języka literackiego ze słowem mówionym, miał możliwość obserwować, jak się realizuje tekst literacki w życiu „realnym”.

Można postawić tezę, że Święcicki w jakimś sensie był eksperymentatorem, sprawdzającym mechanizmy języka, metody jego oddziaływania na człowieka, a nawet jako uczony, teoretyk języka opublikował dwie rozprawy językoznawcze: *Odmiana zaimków, rzecz językowo-porównawcza* (1870) i *Mowa ludzka, jej układ*

lub nie zachowały się fotografie Święcickiego z jego działalności scenicznej. Interującym wątkiem może być natomiast zaangażowanie aktora, który występował równolegle w roli autora i autora artykułów o swoim teatrze: „Z artykułu A. Bilwina o zespole Miłosza Stengla w »Pamiętniku Teatralnym« 1957, z. 2, s. 291 dowiadujemy się, że 7 sierpnia 1867 roku Sielski miał swój benefis w Tarnopolu, grając główną rolę w *Rozbójniku salonowym* D. Magnuszewskiego, przy czym tekst dla potrzeb teatru objazdowego przygotował P. Stachurski! W artykule nie połączono tych »nazwisk«!” – D. Świerczyńska, *Paulin Święcicki – zapomniany Galicjanin...*, dz. cyt., s. 185.

⁹ Chodzi o rodzaj komedii, wodewil, utwór o lekkiej, zabawnej treści i prostej historii, mający bawić widzów.

pierwotny i budowa (1873)¹⁰. Pisał je wprawdzie po doświadczeniu zdobytym w pracy w szkole, ale niekoniecznie jako nauczyciel. Zachwyt nad fenomenem języka oraz potrzeba zgłębienia tajemnic z nim związanych to nie jednostkowy przypadek autora *Mowy ludzkiej...*, ale zjawisko charakterystyczne dla wielu romantyków. Czasami przybierało to charakter niemal groteskowy, chociaż intencje miały źródło w pasji naukowej, na przykład można przypomnieć rozprawę mało znanego romantyka, aktywnego na wielu polach, w tym właśnie w dziedzinie języka, *Miano sławiańskie w ręku jednej rodziny od trzech tysięcy lat zostające czyli Zendawesta, a Zędaszta, to jest życie dawcza książeczka* (1857), wydaną własnym sumptem przez Ignacego Pietraszewskiego (1796–1869). Dowodził tam podróżnik, tłumacz, numizmatyk i dyplomata między innymi obecności Persów na Pomorzu, a także obecności prasłowiańskich słów, nazw, miejscowości w językach wschodnich¹¹. Świącicki w badaniu i opisywaniu języka, podobnie jak ów Pietraszewski, rozpoznawał ducha narodu, jego ewolucję, a może także miejsce pośród innych ludów. W rozprawach swoich wskazywał między innymi na nowinki językowe, na wpływy niemieckie¹² i rosyjskie, szczególnie istotne z racji na sytuację polityczną Polski.

Wracając do działalności artystycznej Świącickiego, warto zaznaczyć, że był w nią niezwykle zaangażowany. Grał w kilku teatrach objazdowych w Galicji, w bardzo urozmaiconym repertuarze¹³. Najpierw występował pod pseudonimem Królikowski w trupie kierowanej przez aktora i reżysera Konstantego Łobojkę.

¹⁰ P. Świącicki, *Mowa ludzka: jej układ pierwotny i budowa*, Lwów 1873; tegoż, *Odmiana zaimków, rzecz językowo-porównawcza*, Lwów 1870; P. Świącicki, *Die menschliche Sprache: ihre Bildung und ihr ursprünglicher Bau*, Leipzig 1875.

¹¹ Pisałem o Pietraszewskim w książce *Ścieżki romantyków. O wrażliwości i estetyce w literaturze XIX wieku*, Kraków 2017. Podobieństwo obu postaci zauważamy też w kłopotliwych pomyłkach, związanych z zamieszczeniem nekrologów w prasie, w przypadku Pietraszewskiego – jeszcze za jego życia (po śmierci Pietraszewskiego zaś o nim już nie pamiętano), z kolei po śmierci Świącickiego w kilku pismach, m.in. w „Tygodniku Mód i Powieści” z roku 1876, nr 405, wydrukowano informację o śmierci zupełnie innej osoby, wciąż żyjącej, myląc nazwisko z innym warszawskim literatem – Julianem Adolfem Świącickim. Zbieżność oczywiście jest przypadkowa, pokazuje jednak ironię losu, wspólną niejednemu pisarzowi.

¹² Choć aktywność naukowa jednak nie przyniosła Świącickiemu sławy i uznania, prace uznane zostały za dyletanckie, to jednak *Mowa ludzka...* została przełożona i wydana w języku niemieckim.

¹³ Historię teatralnej kariery Świącickiego referuje D. Świerczyńska w szkicu *Paulin Świącicki – zapomniany...*, s. 185–186.

Jako Sielski, czyli także pod pseudonimem, jeździł z grupą Łobojki z repertuarem wystawianym na scenie teatru w Tarnowie, ale także w mniejszych miastach i w miejscowościach, w których nie było teatru. Ponieważ Łobojko nie miał koncesji na teatr we Lwowie, szukał sposobów na dotarcie do potencjalnej publiczności, wynajmował nadające się do przedstawień sale, w których Sielski grywał role komediowe, cieszące się wielką popularnością wśród widowni. To zapewniało młodemu aktorowi środki do życia.

Nie wiadomo, dlaczego Świąćicki nie związał się na stałe z jednym teatrem, ale występował również w innych grupach. W 1866 roku związał się z zespołem teatralnym Piotra Woźniakowskiego, grał wówczas w Przemyślu, Tarnopolu i w Czerniowcach. W 1867 roku Świąćicki występował w teatrze w Stanisławowie pod kierunkiem Miłosza Stengla. Repertuar w Stanisławowie także się zmienił, Stengel był zainteresowany dramatami Juliusza Słowackiego, wprowadził na scenę *Niepoprawnych*, czyli *Fantazego*. Prapremiera dramatu Słowackiego, jeszcze pod pierwotnym tytułem, miała miejsce w Stanisławowie 5 maja 1867 roku, a główną rolę w sztuce zagrał Świąćicki¹⁴. W roli Fantazego Sielski występował w Tarnowie, Przemyślu i w mniejszych miejscowościach. Prawdopodobnie spektakl został także wystawiony we Lwowie, chociaż nielegalnie, bez koncesji teatralnej, ale w legalnie otwartej przez Stengla specjalnie z tego powodu piwiarni.

W teatrze Stengla Świąćicki odnosił same sukcesy. W latach 1865–67 zagrał rolę Nicka w *Marii Stuart*, o której z zachwytem pisał Hugo Zathej:

Pan Sielski (...) odegrał piękną rolę Nicka tak znakomicie, z takim rozumieniem i przejęciem się, że szczerze wszystkich widzów zachwycił, na głośny a jednomyślny poklask prawdziwie zasłużył i nas zobowiązał do życzenia mu szczęścia w tym miejscu na dalszą drogę artystyczną¹⁵.

Prawdopodobnie także inne, liczne występy Świąćickiego były przykładem mistrzostwa, dowodem jego talentu, a także umiejętności wcielania się w różne, odmienne charaktery. Grał Zbigniewa w *Mazepie*, Jagona w *Otelli* Szekspira, kilka postaci w sztukach Józefa Korzeniowskiego, nie unikał nawet ról komediowych w teatrzykach ogródkowych, które z kolei nie dawały sławy, ale realny dochód.

¹⁴ O historii teatru w Stanisławowie pisze O. Ciwkacz w: *Dzieje polskiego amatorskiego i zawodowego teatru w Stanisławowie (1745–1939 r.)*, Iwano-Frankivsk 2017.

¹⁵ H. Zathej, *Teatr Stanisławowski pod dyrekcją Miłosza Stengla*, „Dziennik Literacki” 1867, nr 21, s. 337.

Świącicki nie tylko grał główne role w dramatach Szekspira i Słowackiego, ale recenzował innych aktorów, między innymi „konkurenta” grającego Fantazego w Teatrze hr. Skarbka we Lwowie, Juliana Wilkoszewskiego. Jako P. Stachurski napisał w „Nowinach” lwowskich bardzo krytyczną ocenę tego spektaklu, a zwłaszcza roli Wilkoszewskiego, co z pewnością nie przysporzyło mu przyjaciół.

Nędznie (bo odpowiedniejszego wyrazu nie umiemy znaleźć) odegrał rolę Fantazego p. Wilkoszewski. Nie żądamy od artysty, by rolę oddał należycie, jeśli ta nie przypada do jego talentu; ale mamy prawo wymagać, by ją zrozumiał, by wiedział: kogo przedstawia?... Pan Wilkoszewski zaś tak dalece był nijakim, że gdyby wypadło wydać sąd o nim z tej jednej roli – musielibyśmy go zaliczyć do rzędu aktorów, którzy nie mając pojęcia o rzeczy, do arcyzmu nigdy wznieść się nie zdołają. Fantazy – to nie skwaszona lalka salonowa, jakim go przedstawił p. W., nie kaznodzieja wreszcie, jakim był w scenie ostatniej, odegranej z całą nieudolnością; ale człowiek, ale duch! Którego człowiek tak ma studiować, jak najtrudniejsze charaktery w innych dramatach. Fantazy – to nie fraszki, które zbyć można skrzywieniem ust i ruchem ręki; z taką rolą trzeba się liczyć, i bardzo!¹⁶

Krytyczne uwagi Świącickiego dowodzą nie tylko jego wrażliwości oraz poważnego traktowania „zawodu” aktorskiego, ale także kompetencji, spostrzegawczości, wnikliwej analizy kreacji, bezkompromisowej oceny umiejętności aktorskich. Może w jakimś stopniu P. Stachurski – jako krytyk – chciał zdeklasować konkurenta, a może – w co bardziej chciałbym wierzyć – sztuka stała się częścią jego egzystencji nie mniej ważną od sprawy narodowej – tak, że wypełniła sferę emocjonalną. W obszernej recenzji nie brak opisów poszczególnych postaci, pisarz musiał oglądać spektakl z wielką uwagą, skrupulatnie oddając swoje zaangażowanie w rozbudowanej relacji. Jest to nie tylko głos krytyczny, nie w każdym miejscu złośliwy, bo uderzać może współczesnego czytelnika oryginalny komentarz filologiczny do dramatu będącego źródłem adaptacji. Uwidacznia się tu ponad wszystko wielka miłość do Słowackiego, wyjątkowe zrozumienie dzieła i szczególnie stosunek do *Fantazego*, o którym pisał:

Jeżeli Słowacki jest Szekspirem polskim, to cała potęga jego geniuszu widnieje w *Niepoprawnych*. Tu już nie ma naśladownictwa, ale oryginalność zdumiewająca swoją innością od tego wszystkiego, co znamy w utworach scenicznych; tu nie ma psychicznych nieprawd, ale wierność w cieniowaniu uczuć posunięta do szczegółów, które tylko geniusz dostrzec, geniusz tylko objąć, upostaciować zdoła... Dramat

¹⁶ „Nowiny” z dnia 15 marca 1868, nr 20, s. 159; podkreślenia autora.

cały tak jest nastrojony podniosłe, tak nawiązane w nim struny brzmiały zgodnie trącone ręką mistrza, że albo zachwyty wywoła, albo stanie się niezrozumiałym dla tych, którym nie stać ducha dla towarzyszenia poecie w wędrówkach po jego głębi. Dramat Słowackiego, o którym mówimy, miarą swą przerósł to wszystko, cokolwiek ma scena polska, i kto wie: czyli nie jest owym rozgraniczeniem starej szkoły dramatu od nowej, nieznaney nam, a potężnej!... W *Niepoprawnych* jest tyle siły, taki czar niepojęty... że pomimo iż dramat zszedłszy z utartej, przez gęste zarośla toruje sobie nową drogę, pomimo że na każdym kroku spotykamy tę jego inność, tę niezwykłość – budzi on w nas zajęcie najwyższe, zapanowuje nad nami, i ma niewolników, aż do chwili, kiedy ostatnie słowo mistrza przebrzmi w duszy słuchaczy – smętnych, pomimo zadawałającego rozwiązania dramatu. *Niepoprawni* rzecz to: ogólnie ludzka, bo motywa występujące w sztuce ważą w świecie, zna je przeszłość i przyszłość znać może... a swojskim jest, naszym tak dalece, że się w nim jak w zwierciadle przejrzeć możemy. Wierny to obraz życia, na które patrzyliśmy, na które patrzymy jeszcze...¹⁷

Z przywołanego fragmentu recenzji można dowiedzieć się wiele o intelektualnych walorach Sielskiego, o jego zdolnościach analitycznych jako potencjalnego filologa. Jawi się tutaj nam jego wizerunek humanisty, który wnika głęboko w tekst, docieka jego wielowymiarowych znaczeń, któremu zależy na dotarciu do sensu. Pisarz określa się w tekście publicystycznym jako mecenas wartości pomijanych w arcydziełach literatury, a to z racji ich niedostrzegania z powodu niedostatecznych kompetencji reżysera, a to z racji niedoceny potrzeb publiczności. Staje po stronie dzieła literackiego, być może wierząc w to, że właśnie taka postawa zapewni i jemu w przyszłości większą uwagę, uznanie i zrozumienie czytelników.

Autor *Trójki*, zanim zdobędzie sławę jako powieściopisarz, da się wcześniej poznać – przynajmniej w Galicji – jako zaangażowany kulturoznawca, teatrolog, dramaturg, aktor, a także recenzent, nauczyciel, żołnierz – czy można wierzyć, że to wszystkie talenty jednego Świącickiego? Wszechstronny humanista o bardzo nowoczesnych poglądach, znacznie wykraczający poza współczesne jego pokoleniu schematy, był aktywny na wielu polach, reprezentując zawsze wysoki poziom kompetencji i nieprzeciętny talent.

Poza wspomnianą wyżej recenzją popełnił kilka tekstów kontrowersyjnych, oczywiście zaślaniając się pseudonimem, aby uniknąć szykan. Jako Anastazjusz Bomba w „Nowinach” lwowskich publikuje tekst *Co może złość ludzka*, w którym

¹⁷ Tamże, s. 157–158; podkreślenia autora.

krytykuje rywalizację teatrów galicyjskich o koncesje, wpływy w urzędach, walkę o pieniądze. W tym i w innych artykułach posługiwał się satyrą, punktował wady wynikające z organizacji życia kulturalnego Galicji. Ponieważ zdemaskowano go z czasem, zwiększało się grono jego przeciwników, ale zapał Świącickiego z tego powodu nie słabł.

Aktor-publicysta jest autorem wielu innych tekstów krytycznych, teatralnych i literackich, da się w nich zauważyć ciekawość pisarza, podążającą za życiem kulturalnym, społecznym i naukowym. W 2 numerze „Nowin” z 1867 roku opublikował artykuł *Zbieranie materiałów etnograficznych*, będący recenzją planów naukowych i wydawniczych Oskara Kolberga, współpracującego wówczas z wydawnictwem Wildta. W numerach 8–9 „Nowin” z tego samego roku oraz w numerach 11, 18, 19 z roku 1868 pisze cykl artykułów zatytułowanych *Teatr polski*, w których komentuje repertuar teatrów galicyjskich, szczególnie akcentując wystawiane tam dramaty Słowackiego. Inną sferą zainteresowań Świącickiego była oświata, w której przez jakiś czas pracował. W 1875 roku w czasopiśmie „Tydzień Literacki, Artystyczny, Naukowy i Społeczny” (nr 31) publikuje tekst *O szkole*, który jest w sumie głęboką analizą roli nauczania w szkolnictwie kraju wielonarodowego. Nie był ani pedagogiem, ani metodykiem, jednak jego uwagi wydawać się dzisiaj mogą wizjonerskie:

Zewsząd słyszymy utyskiwania, że szkoły nasze są złe, że w nich źle uczą młodzież, że przyszłych obywateli kraju wychowują nieodpowiednio itd. itd., a narzekania zazwyczaj kończy sakramentalne: „Dawniej było lepiej!”.

Chciejmy rozważyć: ile w tem wszystkim prawdy?¹⁸

Nowoczesna analiza problemu polega na uwzględnieniu nie tylko sfery organizacji szkolnictwa, spraw metodycznych, dydaktycznych, ale niereformowanych od dawna finansów, skąpych nakładów na edukację, nierównego traktowania poszczególnych regionów. Świącicki wskazuje na wagę problemu wpływającego nie tylko na przyszłe wykształcenie społeczeństwa, lecz przede wszystkim na jego siłę, kondycję moralną, świadomość i tożsamość narodową, wielonarodową. Pięknie określa publicysta relacje między domem i szkołą, będące swoistą metaforą relacji człowieka z państwem, czyli patriotyzmu:

¹⁸ „Tydzień Literacki, Artystyczny, Naukowy i Społeczny” z 1 sierpnia 1875, nr 31, t. II, s. 27.

Gdy dom odpowiednio przygotowuje młodź dla szkoły, ona odda ją należycie przysposobioną światu. Gdy dom ze szkołą w rozterce, traci świat, wszyscy tracą na tem. Jeżeli dom naprawia szkołę, dobrze; gdy szkoła dom poprawia, gorzej; – ale gdzie świat musi dom i szkołę poprawić – tam najgorzej¹⁹.

W popularnonaukową retorykę została wpisana dyskretna, ale wyraźna aluzja, żeby nie powiedzieć mowa ezopowa, w której dom wcale nie musi oznaczać ani rodziny, ani budynku, ale może kojarzyć się z ojczyzną. Dla Świąteczkiego ojczyzna, dodajmy, to nie ambicje polityczne i prężenie mięśni militarnych, ale związek bratnich narodów, współpraca, dialog kulturowy – ponad granicami geograficznymi, w granicach wolności.

Twórczość literacka

Debiut Świąteczkiego dzieje się, jak wspomnieliśmy wcześniej, w teatrze, symbolicznie łączą się tam jego talenty – pisarski z aktorskim, natura artysty i literata. Można sobie wyobrazić jakieś niespożyte pokłady energii, które zmuszały go do wszechstronnej aktywności przy biurku i na scenie. Tworzył, aby urzeczywistnić na scenie, potrzebował widzieć, jak utwór zagnieżdża się w wyobraźni odbiorcy, wpływa na emocje i na życie widzów. Potrafił być wścickły, jeśli aktor nie rozumiał dzieła, krytykował lekceważący stosunek do dramatu, będącego dla niego zwierciadłem rzeczywistości, sposobem zrozumienia innego człowieka, a także ścieżką prowadzącą do poznania sensu egzystencji. I wcale nie musiała to być tragedia, tyleż potrafił wyprowadzić po mistrzowsku z prostych komedii.

W 1864 roku we Lwowie zostaje wystawiony wodewil *Marusia*, prawdopodobnie pierwszy utwór literacki Świąteczkiego. Według Wołodymyra Radzykiewicza, *Marusia* mogła być przeróbką lub przekładem którejś komedii, ale tekst się nie zachował²⁰. Grana była zarówno po polsku, jak i w języku ukraińskim, na czym zależało autorowi, wierzącemu w braterstwo polsko-ukraińskie. Praca literata nie zapewniała materialnej stabilizacji, dlatego zajął się pisaniem tekstów publi-

¹⁹ Tamże.

²⁰ W. Radzykiewicz, *Pawłyn Swiencićkyj. Publicystyczna, naukowa ta literaturna joho dijalnist'*, „Zapiski Naukowoho Towarystwa im. Szewczenka”, t. 101–103 (1911–1912); zob. także: T. I. Paczowskyj, *Pawłyn Swiencićkyj – popularyzator tworczości Szewczenka*, w zbiorze: *Zbirnik prac odynadciatoj naukowej szewczenkiwśkoj konferenciji*, Kijw 1963.

cystycznych, zapewniających mu w miarę stały dochód. W 1866 roku utworzył kwartalnik „Sioło”, którego był redaktorem i jednocześnie autorem tekstów publicystycznych. Publikował tam w języku polskim i ukraińskim (zapisywanym alfabetem łacińskim), mając zamiar dotrzeć do jak najszerszego grona czytelników²¹. Redaktor „Sioła”²² w większości wypełniał pismo sam, dodając do niego własnego autorstwa słowniczek ukraińsko-polski, chcąc w ten sposób zachęcić do lektury czasopisma czytelników polskojęzycznych. Był to zabieg zarówno ideowy, jak też marketingowy, wydawca sprawnie bowiem poszukiwał sposobu na zwiększenie sprzedaży.

Po zdobyciu doświadczenia w „prywatnym” czasopiśmie zatrudnił się później we lwowskich „Nowinach”, był tam redaktorem i autorem tekstów w latach 1868–1870. W ciągu kolejnych dwóch lat, 1872–1873, pracował w paru periodykach jednocześnie. Związany był z „Dziennikiem Literackim”, „Strzeżą”, „Kaliną”, „Nywą”, „Słowem”, „Metą”, „Zorią Galićką”, „Szkołą”²³. Można przypuszczać, że ćwiczył tam swoje pióro, zdobywał wiedzę o świecie i o ludziach, poznawał specyfikę rynku wydawniczego, spierał się o poglądy polityczne, społeczne, na pewno zaś przestawał być kimś anonimowym. Przyszłemu powieściopisarzowi nie musiało to wcale pomagać, przylgnęły doń bowiem łatki, uprzedzenia możliwych czytelników, niepotrzebne stereotypy stygmatyzujące Świącickiego jako pisarza „tendencyjnego”, od których zapewne do dzisiaj się nie uwolnił.

²¹ Świącicki, używając alfabetu łacińskiego do zapisywania tekstów w języku ukraińskim, w pewnym sensie manifestował koncyliacyjną wobec obu tradycji – wschodniej i zachodniej – postawę całkiem odmienną od teorii Markiana Szaszkiewycza, przedstawiciela Ruskiej Trójcy. Według Szaszkiewycza, nie można było korzystać z alfabetu łacińskiego, gdyż nie był on w stanie wyrazić charakteru narodowego, słowiańskiego. Szaszkiewicz zakazywał łaciny, nakazując cyrylicę, ostatecznie dopuszczał jej zmodyfikowaną wersję – grażdankę – którą zapisywał swoje utwory. Był postacią niezwykle wpływową, tym samym gest Świącickiego nie mógł być przypadkowy i bez znaczenia. Zob. J. Kozik, *Ukraiński ruch narodowy w Galicji w latach 1830–1848*, Kraków 1973; W. Mokry, „Ruska Trójca”. *Karta z dziejów życia literackiego Ukraińców w Galicji w pierwszej połowie XIX wieku*, Kraków 1997; W. Osadczy, *Święta Ruś. Rozwój i oddziaływanie idei prawosławia w Galicji*, Lublin 2007.

²² Redaktora i publicystę „Sioła” przypomina A. Serednicki w artykule *Polsko-ukraińskie pismo „Sioło”, „Bunt Młodych Duchem”* 2006, nr 2.

²³ O poglądach pedagogicznych wyrażanych przez Świącickiego w „Szkołe” wspomina A. Wałęga, *Obraz edukacji religijnej w Galicji 2. połowy XIX wieku w opinii współpracowników lwowskiej Szkoły, „Pedagogika Christiana”* 2017, nr 1/39.

Życie teatralne Świącickiego-Sielskiego było bogate w twórczość dramatyczną oraz translatorską. Na samym początku działalności artystycznej zajmował się adaptacją utworów dramatycznych na potrzeby teatrów objazdowych, tłumaczył dramaty rosyjskie i ukraińskie, a także polskie dzieła na język ukraiński. Pod nazwiskami: Świącicki, Stachurski, Łozowski lub Śwój tłumaczył dla teatrów i na zamówienie czasopism na ukraiński Józefa Korzeniowskiego *Okno na pierwszym piętrze*, *Qui pro quo*, *Okreżne. Komedia w dwóch aktach*²⁴. Pod pseudonimem Łozowski tłumaczył ponadto *Cyganów* Korzeniowskiego, a być może z czasem okaże się, że nie są to wszystkie osiągnięcia translatorskie tego tłumacza. Także na ukraiński przetłumaczył Aleksandra Fredry *List. Komedię w jednym akcie wierszem*, a także *Hamleta* Williama Szekspira, *George'a Dandin* Moliera²⁵. W roku 1865, w numerach 1 i 3 czasopisma „Nywa”, Świącicki wydrukował swoje tłumaczenia trzech wierszy Adama Mickiewicza: „*Pierwszy raz jam niewolnik*”, *Przypomnienie. Sonet* i *Do Niemna. Sonet*. Prawdopodobnie ukazały się też (bez nazwiska tłumacza) jego tłumaczenia wierszy Lenartowicza²⁶.

Na język polski z rosyjskiego w 1875 przetłumaczył i wydał we Lwowie dzieło Nikołaja Czernyszewskiego: *Ludzie. Powieść*, które było trawestacją utworu *Co robić? Z opowiadań o nowych ludziach*²⁷. Wraz z Janem Grzegorzewskim²⁸ wydał *Powieści mniejsze* Mikołaja Gogola. W zbiorze znalazły się nowele: *Powóz*, *Iwan Teodorowicz Szponka i jego ciocia*, *Notatki wariata*. Najpewniej w celu podkreślenia ukraińskiego pochodzenia Gogola tłumacze przełożyli również jego

²⁴ Komedię tę Świącicki „wzbogacił” motywami z *Kobziarza* T. Szewczenki i opublikował pod tytułem *Mieszczanka* w czasopiśmie „Sioło” w roku 1866.

²⁵ Pierwszy akt tej komedii, zatytułowany przez tłumacza *Gawriło Bambula*, był wydrukowany w ukraińskim czasopiśmie „Nywa”.

²⁶ Mógł je wydrukować Świącicki pod innym pseudonimem lub anonimowo z powodu krytycznego przyjęcia tłumaczeń wierszy Mickiewicza na przykład przez I. Franko, o czym wspomina T.I. Paczowśkyj, *Pawłyn Swiencićkyj...*, s. 50.

²⁷ Tłumaczenie zostało podpisane inicjałami „M. C.”, co stanowi kolejny problem z identyfikacją tożsamości Świącickiego. Jak zauważa D. Świerczyńska, w 2 wydaniu *Bibliografii polskiej* K. Estreichera (t. 3, s. 2) nie został rozwiązany problem inicjałów. Więcej na temat przekładów powieści Czernyszewskiego pisze J. Trochimiak, *Polskie przekłady powieści M. Czernyszewskiego „Co robić?”*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Philologie”, t. 1 (1983).

²⁸ Kilka lat młodszy od Świącickiego Grzegorzewski będzie później orientalistą oraz biografem swego kolegi „Tłumacza” (tak się podpisał Świącicki w przedmowie do powieści Gogola) oraz autorem *Mowy na pogrzebie śp. Paulina Świącickiego* napisanej do „Gazety Narodowej”.

nazwisko, które zapisali M. W. Hohol. W wstępie do polskiego wydania dzieł „Hohola” Świącicki pisał:

Autor, z którego dziełami pragnęlibyśmy zaznajomić czytelnika, należy do najznakomitszych pisarzy naszego wieku. Rusin rodem, w powieściach swoich odmalowuje świat go otaczający tą siłą genjuszu, która małymi środkami olbrzymie dokonywa dzieła. Wielki znawca serca ludzkiego, Hohol kilkoma rysami, w sposób jemu tylko właściwy, stawia przed oczy czytelnika nagość duchową tych, którzy zwykłemu oku przedstawiają się jako ludzie, zda się, odpowiadający w zupełności swemu powołaniu. Śmieje się przez łzy; łkania tłumiąc w sobie, z weselem opowiada dzieje zszarżania się boskości w człowieku, a wielkim jest o tyle, że celu dopina; widz tej komedji życiowej, którą mu geniusz przedstawia, zatapia się w sobie, i na dnie duszy drzemiące uczucia podniosłe budzą się w nim, w siłę wzbijając się i potęgę. (...)

Tłumacz²⁹.

Atencja, z jaką wyraża się Świącicki o Gogolu, autentyczny – w co chcę wierzyć – czy może udawany, ale wiarygodnie wyeksponowany zachwyty, to przecież swego rodzaju program literacki autora *Krzyża mogilnego*. Uwydatnił on w przedmowie do dzieł „spolszczonego” Hohola wszystko, co według niego powinna zawierać dobra powieść. Jest tu zresztą bardzo wyraźna korespondencja tekstu z recenzją spektaklu wykonanego na podstawie *Fantazego* Słowackiego, w której zachwycał się on arcydzielnnością dramatu. W obu tekstach zaakcentowane zostały nieuchwytnie, wysublimowane cechy dzieła literackiego, takie jak zdolność ukazania „nagości duchowej” przez Gogola czy też mistrzowskie przypomnienie, że bohater Słowackiego to „nie skwaszona lalka salonowa, ale człowiek, ale duch!”. Duchowy wymiar wydaje się wysoko ustawioną poprzeczką dla pisarza pragnącego osiągnąć sukces jako autor dzieła wartościowego, ukazującego prawdę o człowieku i o świecie. Może takich wątków i tematów, które wskazywał z entuzjazmem u swoich „mistrzów”, warto przede wszystkim szukać w jego twórczości? Dodajmy, że jeszcze w czasach studenckich Świącicki zafascynował się twórczością Tarasa Szewczenki, którego utwory tłumaczył i publikował w „Siole” już w roku 1862, a nigdy też nie przestał mieć go w swej pamięci.

Niejednoznacznie oceniana jest praca translatorska Świącickiego. Doskonale znał język polski, rosyjski i ukraiński, dlatego można mówić o nim jako pisarzu trójjęzycznym. Nie bez wątpliwości pozostają krytycy, którzy uważają owe dosko-

²⁹ M. W. Hohol, *Powieści mniejsze. Z rosyjskiego*, Lwów 1871, s. 1.

nałe władanie językami słowiańskimi za przyczynę swego rodzaju „usztynienia” przekładów. Zdaniem Radzykiewicza, recenzenci zarzucali tłumaczowi liczne nieporadności stylistyczne, używanie nadmiernej ilości polonizmów w tekstach ukraińskich i ukrainizmów w utworach polskich³⁰. Przekłady jego są bardzo wierne, dosłowne, widać to na przykład w tłumaczeniach utworów Korzeniowskiego. Literacki efekt, wartość artystyczna tłumaczenia – można powiedzieć współczesnym językiem – ustępuje wartości filologicznej przekładu. Nie da się natomiast przecenić wkładu Świąteczkiego w popularyzowanie literatury zachodniej na ziemiach ukraińskich, w tym twórczości polskiej. Upowszechnił wśród ludności ukraińskojęzycznej dokonania polskich romantyków, może w pewnym sensie kosztem własnej sławy, bardziej wierząc w ich wielkość i w ich talent, swój natomiast uznając za mniej istotny.

Do znaczących dokonań translatorskich Świąteczkiego zaliczyć należy pokaźny zbiór tłumaczeń lub przeróbek bajek polskich, publikowanych w pismach ukraińskich. Przełożył Jachowicza, Krasickiego, ale też sięgnął do bajek La Fontaine’a oraz Kryłowa. Pierwszy zbiór ukazał się pod tytułem *Bajki. Darunok małym ditjam* w roku 1864, sygnowany pseudonimem literackim Pawło Świj. Dzieło cieszyło się tak wielką popularnością, że były kolejne wydania, uzupełniane przez tłumacza o kolejne utwory.

Teatr fascynować musiał Świąteczkiego nie tylko z powodu sceny i możliwości głoszenia na niej słów największych mistrzów. To było dla niego wyzwanie w wymiarze równie ważnym, którym było tworzenie dla sceny. Chciał nie tylko grać, ale także stwarzać światy, mierzyć się sam ze sobą na talenty. Od tekstu komediowego – od *Marusi* – rozpoczął, kontynuował twórczość dramatyczną praktycznie do końca swego życia, nie doczekawszy, niestety, wydania wszystkich utworów i nie zobaczywszy wszystkich na scenie.

W 1867 roku we Lwowie została wystawiona jego kolejna sztuka zatytułowana *Chwasty*, nigdy nie wydana drukiem. Dwa lata później, w 1869 roku nakładem wydawnictwa „Nowin” ukazuje się jego dramat *Bawidło. W trzech odstonach*. Komedia była grana także pod innym tytułem – *Dużo śmiechu* albo *Wiejskie konkury*. Autor mimo komediowej konwencji czyni w utworze liczne aluzje do arcydzieł polskiej literatury, można doszukać się tam nieprzypadkowych raczej tropów ukazujących szerszą perspektywę niż śmiech i potrzeba bawienia. Inną

³⁰ Zob. W. Radzykiewicz, *Pawłyn Swiencićkyj...*, dz. cyt.

komedią, która miała zapewnić Świącickiemu sławę i dostatek, był *Milion na giełdzie*, jednak przedwczesna śmierć autora nie pozwoliła mu doczekać sukcesu dzieła.

W ostatnich latach swego życia pisał dramaty, których akcję lokował w dalekiej przeszłości, podobnie zresztą jak planował czas akcji w swoich powieściach. W „Przeglądzie Polskim” w roku 1876 (t. 42) opublikowana zostaje *Posadnica Marta*. Innym dramatem historycznym, którego Świącicki nie zdążył opublikować, a zrobiła to po jego śmierci żona, jest *Światosław Igorewicz*. Wydrukowany w 1884 roku w „Przewodniku Naukowym i Literackim” (t. 1–2) dramat opowiada o księciu kijowskim. Czytelnik niekoniecznie dowiaduje się z niego o wielkich zasługach władcy, o sukcesach politycznych czy militarnych, ale poznaje słabego człowieka, uwikłanego w niezdrowe relacje z poddanymi, w nietrafione uczucia oraz pogrążonego w zbytku. Ostatecznym powodem jego upadku jest miłość do kobiety i niezdrowy zachwyty nad cywilizacją zachodnią. Autor nie tylko w tym utworze ukazuje ambiwalentny stosunek do Zachodu, upatrując w nim przyczynę wielu nieszczęść narodów słowiańskich. Nie próbował Świącicki pisać wielkich dramatów, na miarę *Hamleta* czy *Fantazego*, które przecież uznawał za szczyt doskonałości, może był to wyraz uznania, a może raczej świadomość swojej niedoskonałości w tej akurat dziedzinie.

Do najważniejszych dokonań Świącickiego – chociaż, jak widać, nie można docenić jej w pełni z pominięciem doświadczenia artystycznego, publicystycznego, translatorskiego i dramatycznego – należy proza, w której pomieścił romantyk sumę wszystkich swoich doświadczeń. W prozie objawia się jego talent dramaturga, aktora, jest to wypowiedź mądrego romantycznego humanisty.

Pierwszą swą powieść – *Przed laty. Powieść ukraińska* – Świącicki publikuje w 1865 roku w „Dzienniku Literackim” w numerach 70–78. W druku zwartym ukazuje się ona rok później i od razu jest tłumaczona na język serbski. W tymże roku, także w „Dzienniku Literackim”, ukazuje się jego powieść *Trójka* (w numerach 26–42), w wersji książkowej wydana zostaje w dwóch tomach nakładem wydawnictwa Kornela Pillera we Lwowie w 1868 roku, tu widać jednak tempo pracy Świącickiego, jego zapał i talent.

Przed laty posiada taki sam podtytuł, jaki Antoni Malczewski dał jeszcze swej *Marii* (1825) – *Powieści ukraińskiej*. Wywołuje owym podtytułem nie tylko skojarzenia z *Marią*, ale przywołuje całą wielką tradycję literatury polskiej zrodzonej z doświadczenia fenomenu ukraińskości. Aluzje do bohaterki powieści poetyckiej

Malczewskiego pojawiają się zresztą w tej powieści wielokrotnie. I nie tylko do *Marii* nawiązuje w opowiadaniach składających się na ukraińską opowieść, ale do *Nie-Boskiej komedii* i zapewne wielu innych arcydzieł polskiego romantyzmu. Czy patronat „wieszczów” obrany przez pisarza zapewnił mu gwarancję jakości, trudno mieć pewność, odnosząc się do opinii krytyki, którą wyraził jako jeden z pierwszych Józef Tretiak. Uważał, że jest to jeden z najsłabszych utworów Świącickiego, chociaż niepozbawiony wartości:

Zasługuje jednak na uwagę z tego względu, że w niej bardzo wyraźnie zarysował się już kierunek prawie całej późniejszej jego działalności literackiej. (...) Bolejąc nad ubóstwem, ciemnotą i zależnością ludu wiejskiego, wzdychał Świącicki do owych czasów, w których podług jego mniemania ten lud był niezależnym, samodzielnym i szczęśliwym³¹.

Trudno powiedzieć, jaka była przyczyna braku życzliwości krytyków dla powieści Świącickiego, może to kwestia sentymentalizmu, wypełniającego dzieło, a może kolejny raz wyrażona przez – spóźnionego bądź co bądź – romantyka tęsknota za utraconą arkadią i wolnością, traktowaną w tym utworze nie jako wartość, a efekt epigoński? Przychylny głos wyraził Kazimierz Kaszewski, dostrzegający znacznie więcej od innych czytelników. Pisał o tym z entuzjazmem w „Bluszczu” tak:

Rzecz dzieje się na Ukrainie za owych dobrych czasów, kiedy jeszcze Tatarzy zapuszczali zagony w granice Rzeczypospolitej. (...) Autor (...) zapisał się do rodu wielkich pisarzy; na tym samym bowiem polu spotykamy imiona: Goszczyńskiego, Słowackiego, Czajkowskiego, Grabowskiego; trzeba rzeczywiście czuć siły niepospolite, aby jakiś utwór zamieścić w galerii, która takich posiada mistrzów. P. Stachurski zbliża się do nich miłością przedmiotu, sercem gorącym i wiarą zaprzysiężoną temu, co ukochał. Z każdego pociągu pióra znać człowieka, który pisze *en connaissance de causa*, człowieka, który wyrósł z gruntu, na którym stoi. Duch, obyczaj, język, cała natura czasów i ludzi, którym myśl swą poświęcił, widać, że jest jego naturą: wszystko to jest dobrym dla talentu gruntem, ale tylko gruntem. Bez talentu twórczego z tymi zadatkami można być dobrym kronikarzem, ale powieściopisarz i poeta potrzebują mieć jeszcze wiele w sobie obok tego, co czerpią spoza siebie. – Otóż nam się zdaje, z tej jednej, zapewne pierwszej p. Stachurskiego powieści, że on posiada pewien talent, pewną samodzielną fantazję twórczą, bo lubo jego dziełko nie może iść w porównanie ani ze *Żmiją*,

³¹ J. Tretiak, *Paulin Świącicki i jego niewydane drama*, „Tydzień Literacki, Artystyczny, Naukowy i Społeczny” 1878, nr 40, s. 49.

ani z *Koliszczyzną*, ani z innymi wielkimi mistrzów utworami, ma jednak w sobie samym jakiś środek zainteresowania, i po takich nawet utworach daje się czytać z poważnym zajęciem³².

Według Kaszewskiego, Świącicki jest śmiałym kontynuatorem swoich poprzedników, wielkich twórców szkoły ukraińskiej, chociaż nie na miarę Słowackiego. Według z kolei Świerczyńskiej, jest on jednak epigonem romantyzmu, zwłaszcza wyraźnie naśladuje szkołę ukraińską³³. Pierwsza powieść Świącickiego, w opinii Tretiaka, wyznacza kierunek jego całej twórczości, a gdyby uznać to za trafne spostrzeżenie, rzeczywiście najważniejsza byłaby u niego Ukraina i próba jej ocalenia w pamięci potomnych. Czy jednak rzeczywiście poświęcił się pisarz jedynie Ukrainie, i to kosztem Polski? Czy można uznać za właściwe oglądanie szeroko zakrojonego projektu słowiańskiego jako oddanie się sprawie tylko jednego z narodów? – raczej nie. Ukraińskość jest tu raczej próbą upomnienia się o utraconą część historii, wpisuje się w mit arkadyjski Rzeczypospolitej rycerskiej.

Gawędziarska narracja powieści nawiązuje do najważniejszych dzieł przedrozbiorowych, stanowiących istotny punkt odniesienia dla Mickiewicza, Słowackiego, a także dla Malczewskiego. Takim literackim azymutem dla wyobraźni „historycznej” wieszczów były przecież *Śpiewy historyczne* Juliana Ursyna Niemcewicza, cytowane przez Mickiewicza. Nazwisko Niemcewicza wpisał do swojej jedynej powieści Malczewski, oddając hołd strażnikowi pamięci owych lepszych, bohaterskich dziejów³⁴.

Przed laty nie jest jednak imitacją powieści historycznej i naśladowaniem bezkrytycznym utworów już istniejących w świadomości czytelników, wprowadza tam Świącicki znaczące zmiany³⁵. Wiele uwagi poświęciła temu dziełu ostatnio Aneta Mazur, która zauważa, że:

³² K. Kaszewski, *Przegląd piśmienniczy: Przed laty. Powieść napisał Paulin Stachurski, Lwów 1866*, „Bluszcz” 1866, nr 40, s. 3.

³³ Zob. D. Świerczyńska, *Paulin Świącicki...*, dz. cyt., s. 201.

³⁴ Zob. B. Dopart, „*Maria*” Antoniego Malczewskiego – zagadnienia romantyzmu przedlistopadowego; D. Zawadzka, *Śpiewy historyczne Malczewskiego. Wokół dedykacji „Marii”*, w: *Antoniemu Malczewskiemu w 170. rocznicę pierwszej edycji „Marii”*. Materiały sesji naukowej Białystok 5–7 V 1995, red. H. Krukowska, Białystok 1997, s. 9–30, 65–88.

³⁵ O specyfice, rozwoju i roli powieści historycznej w wieku XIX pisze T. Bujnicki, *Ewolucja polskiej powieści historycznej (do Trylogii)*, w: tegoż, *Sienkiewicz i historia. Studia*, Warszawa 1981.

Podobnie jak późniejszy o kilkanaście lat autor *Ogniem i mieczem*, młody pisarz wybrał przeszłość odleglejszą niż fascynujące romantyków, krwawe stulecie konfederacji barskiej i Humańszczyzny; dawność epicką sygnalizuje już sam tytuł utworu. Ale wbrew ocenie Kaszewskiego niewiele widzimy tutaj sarmackiego kolorytu XVII stulecia, stosunki dwór – wieś oraz relacje międzyludzkie przypominają realia dziewiętnastowieczne (brzemień pańszczyzny) albo zostają poddane niewiarygodnej historycznie idyllizacji (czuła i pełna szacunku przyjaźń starosty z rodziną wieśniaka). Bardziej przekonuje malowniczy, wykreowany z emocjonalną sympatią obraz kozackiej Siczy, ale i on zdradza raczej stereotypowe cechy tradycji literackiej (Czajkowski) niż jakąś szczególną dbałość o historyczne rysy epoki. „Natura czasów i ludzi” sprowadza się do stepowego kolorytu kozacko-tatarskiego oraz do ukazania silnych namiętności, wyidealizowanych lub zdemonizowanych na sposób romantyczny. Stachurski, znowu podobnie jak Sienkiewicz, prowadzi przygodowy wątek romansowy na tle stanowoetnicznego antagonizmu w trójkącie: Ukraińiec – Kozak – wysoko urodzona Laszka – możny Lach³⁶.

Kostium historyczny pełni w powieści wiele funkcji, nie można wykluczyć jednak celowej projekcji przypomnianych dziejów na rzeczywistość XIX-wieczną. Tak samo warto traktować pozostałe elementy dzieła, jak chociażby krajobraz, będący symbolicznym wyrażeniem kondycji narodu – chociaż piękny, malowniczy, to zarazem pełen krwi i mogił. Jak przekonuje badaczka –

(...) utwór Paulina Świącickiego stanowi swoisty konglomerat wątków, aspektów i ujęć, funkcjonujących w orbicie tradycji „szkoły ukraińskiej” oraz w obrębie bardziej współczesnej prozy o ambicjach społeczno-obyczajowych. Do dziedzictwa romantycznego ukrainizmu *Przed laty* nie wnosi zbyt wiele, choć z pewnością przedstawia dość świeżą, bo emocjonalnie autentyczną i niezmanierowaną wersję tego nurtu (krajobraz, realia kozackie, epizody bitewne. ...) W tym wszystkim jednak na wyróżnienie zasługują dwie kwestie: świadectwo perspektywy niepolskocentrycznej, która wnosi istotną korektę w kresowy sarmatyzm literatury dziewiętnastowiecznej, oraz zastanawiający fakt niejakiego pokrewieństwa, choćby epizodycznego, z fabułą pierwszej części *Trylogii*³⁷.

³⁶ A. Mazur, „Na Ukrainie za owych dobrych czasów” – „Przed laty. Powieść ukraińska” Paulina Świącickiego, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria” 20 (2020), s. 212. Badaczka stawia bardzo ważne pytanie o to, czy Sienkiewicz mógł znać powieść Stachurskiego i czy ewentualnie inspirował się tym dziełem. Według Mazur, wskazuje na takie prawdopodobieństwo chociażby epizod udanej ucieczki z panną przed czambułem Tatarów oraz towarzyszące temu perypetie (przypis 11).

³⁷ Tamże, s. 220.

Dodać należy, że Świącicki symbolicznie domyka swoją prozą bardzo bogatą twórczość epicką tak zwanego „późnego romantyzmu”. Do grona tych twórców, ważnych także dla autora *Opowieści stepowych*, należą Zenon Fisz, Michał Czajkowski, Antoni Marcinkowski, a także Mieczysław Romanowski³⁸.

Kolejna po *Przed laty* powieść – *Trójka* – napisana w 1865³⁹, ukazuje się we Lwowie, w tym samym domu wydawniczym, w roku 1868. W *Trójce* autor zdecydowanie mniej dba o atmosferę i ukraiński koloryt, priorytetem jest dla niego w tym utworze diagnoza społeczna, autorefleksja nad kondycją moralną generacji. Moralistyczna dykcja stała się zagadnieniem opisywanym przez krytykę, także jako przyczyna porównań utworu do dzieł francuskich. Według Józefa Tretiaka, *Trójka* jest najlepszym dziełem Świącickiego, osiągnął w niej pisarz sukces obserwatora, analityka zjawisk społecznych, wreszcie pisarza na miarę europejską⁴⁰. W kontekst europejskiej literatury, a tym samym w format wielki, ponadlokalny i krajowy, wpisał *Trójkę* Edward Lubowski, widząc w powieści realizację największych ambicji literatury światowej wyznaczonej przez stolicę kultury, którą był Paryż. A chociaż identyfikuje polskich bohaterów z kreacjami takich pisarzy, jak Victor Hugo czy Aleksander Dumas, to ostatecznie daje się sprowokować i stawia pytania o realność przedstawionych w dziele postaci, weryfikuje ich autentyczność i domaga się od Świącickiego odpowiedzialności za czyny swoich bohaterów, za ich moralność i decyzje. Niezwykłym wydawać się może dzisiaj ten rodzaj krytyki, który winą za czyny bohaterów obarcza autora powieści:

Przestraszyć się trzeba, gdy się pomyśli, ile krzywdy wyrządza żyjącemu społeczeństwu ten w najnowszych czasach wyświęcony realizm. We francuskiej literaturze powieściowej pochłonał on wiarę we wszelką podniosłość idealną, dzielnie choć mimowiednie wspierając równoległy z badań nauk przyrodzonych wynikły materialistyczny kierunek; kilka zaledwie świetnych, dawnych gwiazd (Wiktor Hugo, Al. Dumas ojciec), stanowią tu wyjątek. Polska literatura powieściowa mniej się dała ować sępiemu i cynicznemu szponom, hołdując za to zbyt

³⁸ Zagadnieniu temu poświęcił książkę M. Kwapiszewski, *Późny romantyzm i Ukraina. Z dziejów motywu i życia literackiego*, Warszawa 2006. Ukraina jako temat i motyw w twórczości wspomnianych wyżej pisarzy została szczegółowo opisana we wprowadzeniach do: Z. Fisz, *Noc Tarasowa. (Proza)*, wstęp M. Szladowski i R. Radyszewski, opracowanie tekstu i przypisy K. Rutkowski i J. Ławski, redakcja tomu i bibliografia J. Ławski i I. E. Rusek, Białystok 2017.

³⁹ Według Estreichera, powieść powstała w 1866 roku.

⁴⁰ Zob. J. Tretiak, *Paulin Świącicki i jego niewydane dramata*, „Tydzień Literacki, Artystyczny, Naukowy i Społeczny” 1878, nr 39.

może naprężenie idealnemu sentymentalizmowi; gdzie atoli przejaw ten się wydarzy, tam zdaje się walczyć o lepsze z najokrzyczańszymi obcymi wzorami, szukając palmy zwycięstwa w przeprowadzeniu najniewiarygodniejszej fabuły, przesądzonej gwałtem, niby egzotyczna roślina na zupełnie obcą sobie ziemię. Dowodem naszego twierdzenia spisane po ostygnięciu z pierwszego zbyt przykrego wrażenia jest powieść dwutomowa p. Paulina Stachurskiego wydana we Lwowie pt. *Trójka*. Od pierwszej do ostatniej strony wierzyć się nie chce, że bohaterowie jakkolwiek z polskimi nazwiskami, na krajowym żyją i działają gruncie; – nie, nasuwa się natarczywie pamięci nie już p. Champfleury⁴¹, zwany twórcą realistycznej powieściarskiej szkoły we Francji, ale p. Ponson du Terrail⁴², który w świecie rozbójników, złodziei i rzezimieszków porusza się z całą swobodą wesołego widza, lub p. Tymoteusz Trimm⁴³, który powieściowym Pitawalem karmi niby duchową manną swych czytelników najniższej warstwy. (...) Autor zmoczywszy czytelnika brudnymi sprawkami trzech młodych ludzi, związanych ze sobą węzłem przyjaźni (przyjaźń zbrodniarzy to także kwestia wątpliwa), zwała całą winę na niedostateczne ich wychowanie i na okoliczności zewnętrzne. Lecz w takim razie, cóżby się stało z całą niemal klasą ubogich, którym wychowania nie są w stanie zapewnić rodzice żyjących w nędzy, uganiający się w krwawym pocie za kawałkiem chleba⁴⁴.

Recenzent z jednej strony oskarża autora powieści o nieroztropne lansowanie niemoralnych postaw bohaterów *Trójki*, wskazując na ich nienaturalne i niezgodne z normami postawy etyczne, a zarazem lokuje pisarza w kontekście wielkich twórców francuskiej szkoły prozy. To mogło raczej przyprowadzić Święcickiego o uśmiech, udało się bowiem sprowokować wpływowego krytyka do ciekawej dyskusji nad „rodzimy” pisarzem europejskiej miary, który potrafił wzbudzić emocje, upomnieć się o zdyscyplinowanie – nierealnych przecież bądź co bądź – bytów, jakimi są kreacje literackie.

Zdaniem Józefa Kotarbińskiego, *Trójka* to napisana świetnym, żywym i barwnym językiem „gawęda o łotrach i trutniach społecznych”, powieść z tezą. W utworze tym winą za zło na świecie obarcza się niewydolność w wychowaniu oraz zepsute relacje społeczne. Wypaczone charaktery bohaterów miały być

⁴¹ Chodzi o Julesa François Fleury-Husson, pseudonim Champfleury (1821–1889), francuskiego pisarza i krytyka sztuki. Był zwolennikiem realizmu w sztuce.

⁴² Autor przywołuje francuskiego pisarza Pierre’a Alexisa Viscount of Ponson du Terrail (1829–1871), autora licznych powieści felietonowych, np. *Les Coulisses du monde*.

⁴³ Chodzi o francuskiego pisarza, dziennikarza, kronikarza, felietonistę, Timothée Trimm (1815–1875), zwanego pod nazwiskiem Antoine Joseph Napoléon Lespès lub Léo Lespès.

⁴⁴ E. Lubowski, *Paulin Stachurski: Trójka*, „Biblioteka Warszawska” 1869, t. 1, s. 498–499.

zatem przyczyną ich postępków, a nie wolna wola, w jakimś sensie mogło ich to usprawiedliwiać, więc krytycy się czuli uprawnieni do oburzenia. Z dystansu dzieło jawi się jako naprawdę świetnie pomyślana powieść, wprowadzająca do literatury polskiej nowe narzędzia diagnozy rzeczywistości oraz oryginalny sposób angażowania odbiorców do dyskusji.

W 1867 roku Świącicki publikuje w „Nowinach Lwowskich” (numery 1–9) powieść zatytułowaną *Moskal. Powieść z ostatnich czasów*, podpisując się pseudonimem „nie Bolesławita”. Tytuł powieści oraz pseudonim autora, a przede wszystkim treść dzieła, nawiązują wprost do powieści Józefa I. Kraszewskiego *Moskal. Obrazek współczesny napisany z natury*, wydanej w Lipsku w 1855 roku pod pseudonimem „B. Bolesławita”. Świącicki wykonuje gest mający zwrócić uwagę na istotę tematu poruszanego w powieści. Owo symboliczne zaprzeczenie wpisane w konstrukcję przyjętego pseudonimu to przecież aluzja do arcydzieła, w którym Zygmunt Krasiński odnosi się do *Boskiej Komedii* Dantego. Dyskretna prowokacja pisarza wprowadza konieczność lektury intertekstualnej, autor wspiera się autorytetem Kraszewskiego, a dzieło swoje lokuje pomiędzy innymi ważnymi głosami rozliczającymi powstanie styczniowe.

Trudno nazwać *Moskala* powieścią historyczną, rzecz dotyczy ostatnich wydarzeń, wielkich, niosących nadzieję, ale ostatecznie dramatycznych i trudnych dla Polaków, a według autora również dla ludu ukraińskiego i rosyjskiego. W powstaniu dostrzega on obraz relacji społecznych, narodowych, jest ono dla niego żywą relacją o problemach ludu, a nie jedynie tragicznym widokiem starcia żołnierzy. Pisarz poszukuje przyczyn upadku powstania w nieodpowiednim przygotowaniu narodu polskiego i ukraińskiego – jako bratnich ludów – także w niezintegrowaniu szlachty z ludem, zlekceważeniu potężnej siły tkwiącej w tych warstwach społecznych. W jednym z fragmentów powieści wskazuje dyskretnie na brak zaufania do siebie bohaterów, określających narody, które powinny żyć w zgodzie:

Kilka rysów w rozdziale poprzedzającym dały nam poznać Michała. Brzydził się on służalczością moskali, ale do przekonania Polaka – zdaniem jego – nie miał prawa. Dumnym był ze swej polskości, ale zarazem czuł gniotące go brzemienie ojcowskiego moskwicyzmu... ci ludzie mówią doń jak do jednego ze swoich. A gdy się dowiedzą, kim jest – czy nie zadrżą o swe bezpieczeństwo, pomyślawszy, że Michał z ich nieogłędności może skorzystać w duchu carskich ukazów?... Serce biło gwałtownie, twarz bładła, to okrywała się gorączkowym rumieńcem⁴⁵.

⁴⁵ *Moskal. Powieść ostatnich czasów nie Bolesławity*, „Nowiny” 1967, nr 6.

Zakłopotanie, zagubienie, rozterki emocjonalne, niejednoznaczność relacji międzyludzkich, do tego nieporozumienia i fałszywe wyobrażenia są powodem nieudolnego dialogu, uniemożliwiają zgodne działania, oddalają zwycięstwo. Ostatecznie uniemożliwiają pokonanie wspólnego wroga. A nawet wśród wrogów pisarz chciałby widzieć swoich, przyjaciół, braci Słowian.

Autor *Moskala* był chłopomanem i ukrainofilem, ale „nowoczesnym”, co uważam za taką formę, jaka odnosi się do najlepszych idei słowianofilstwa, bez stygmatyzowania innych nacji, ale z potrzebą budowania więzi niezależnie od statusu społecznego i pochodzenia. Jako ideolog pisał Świącicki w „Siole” o wspólnych źródłach urazów, które polskiemu i ukraińskiemu zadawała szlachta, o wzajemnych uprzedzeniach i obciążeniach dziejowych, tragicznie dzielących narody:

(...) mamy przed sobą świat nowy, w którym równość jest rzeczy porządkiem, świat to ludu. Obywatelom naszego kraju chcemy go okazać, okazać skarby jego drogie i dla nas, bo ludowi obcymi nie jesteśmy, jak nie obcymi ziemi, która nas żywi, nie obcymi przeszłości naszej i przyszłości, której poza ludem nie znajdziemy⁴⁶.

Świącicki jako słowianofil całe życie poświęcał zasypywaniu przepaści między Polakami i Ukraińcami, ważną rolę miało odegrać w tym planie czasopismo polsko-ukraińskie, pisane po ukraińsku polskim alfabetem, kierowane do obu narodów. Miał świadomość tego, że skłócenie obu nacji jest w interesie Moskwy i może doprowadzić do wchłonięcia przez imperium nie tylko ziem, ale ducha nacji. W poczuciu winy, ale też z obowiązku trzeźwienia polskiej szlachty, pisał jako redaktor polskich „Nowin”:

Kto wolność miłujący lud uczynił niewolnikiem? Kto sławę Rzeczypospolitej, kozaństwo ukraińskie, do krwawej wojny przymusił? Kto ich odepchnął od miłującego łona wspólnej ojczyzny? Kto ich rzucił w ramiona Turcji i Moskwy i legł rozczwartowany przez krwawych sąsiadów? My! My!⁴⁷

Publicystyczny, pisany pod adresem Polaków wprost, bez dyplomatycznej maski tekst ma ten sam cel, który ukazał w *Moskalu*, oskarżając winą za upadek powstania organizatorów⁴⁸, szlachtę, uspioną tak, że nie zauważyła sprytu Moskwy, podstępnie skłócającej Polaków i Ukraińców:

⁴⁶ „Sioło” 1866, t. 3, s. 3.

⁴⁷ „Nowiny” 1869, nr 3, s. 29.

⁴⁸ Zob. *Pol's'ke nacional'ne povstannâ 1863–1864 rr. na Pravoberežnij Ukraïni: vid miřiv do faktiv. Kolektivna monografîâ*, za red. Ī. Krivošeï, N. Moravcâ, Uman 2014.

(...) obłuda zwyciężyła: lud odepchnął „Hramotę”, uwierzywszy policyjnym podszeptom. Rozkiełznane namiętności zagrały – lud sam zaczął sobie sprawiedliwość wymierzać; w powstańcach obaczył panów i wraz z nimi ogłosił ich za swych wrogów. Robota policji powiodła się nadspodziewanie. Rząd nie potrzebował walczyć z powstaniem⁴⁹.

Marzenia Świącickiego o tym, aby przebić się z poglądami o równouprawnieniu narodów słowiańskich do społeczeństwa polskiego nie udało się spełnić ani artykułami publikowanymi w „Siole” czy w „Nowinach”, ani chyba poprzez język literacki.

W skład *Opowieści stepowych*, wydanych we Lwowie w 1871 roku, weszły publikowane wcześniej „opowiadania kozackie”: *Bieda oczakowska*, *Na stepie*, *Atamańska mogiła*, *Podolanka*, *Czartowa Góra*, *Sołowiówka*, *Krzyż mogilny*. Zamyśl pisarza był czytelny, sięgnąć pamięcią do historii tak, aby wydobyć z niej bohaterstwo i waleczność ludu ukraińskiego, kozaków będących odpowiednikiem zachodniego rycerstwa. Losy dramatyczne, okrutne, sentymentalne, pełne kolorytu i sentymentalnych krajobrazów, jakie załęgły się w pamięci pisarza w czasach sielskiej młodości. Dzieło – mimo walorów ideowych – nie zostało najlepiej przyjęte przez krytykę. Na przykład Ludwik Powidaj pisał (pod inicjałami L. P.):

Koloryt Ukrainy zachowany wiernie, to, co autor pisze o wyczynach i obyczajach Kozaków, zgadza się z tradycją literacką, oryginalności jednak ani w pomyśle, ani w wykonaniu nie ma. (...) [jest] łatwość pióra wielka, obrazowość dosadna, które pozwalają dobrze tuszyć o przyszłości literackiej autora⁵⁰.

Powidaj nie pisze ani śmiało, pod własnym nazwiskiem, ani wprost nie nazywa Świącickiego epigonem, to jednak takie opinie przyłgnęły z czasem do spuścizny pisarza, niesłusznie ją dyskredytując i nie dając jej szansy zmierzenia się z próbą czasu. Mimo zjadliwych uwag, zauważył recenzent sprawność pióra i nie podważył kompetencji pisarza jako znawcy historii oraz kultury ukraińskiej, uwidocznionej w obyczajach kozackich. Zresztą nie tylko w tej powieści prozaik wykaże się prawdziwą miłością do Ukrainy, stepu, walecznych dziejów wschodniego „rycerstwa”, tragicznie splecionych losów narodów braterskich, ironią

⁴⁹ *Moskal*. Powieść ostatnich czasów nie Bolesławity, „Nowiny” 1967, nr 7.

⁵⁰ L. P[owidaj], *Opowiadania stepowe Paulina Stachurskiego*, „Przegląd Polski” 1870/71, t. 4, s. 477. Cytat za: D. Świerczyńska, *Paulin Świącicki. Dramat...*, dz. cyt., s. 206. Ukraińskie wydanie *Opowieści stepowych* ze wstępem Mykoły Hołubaja ukazało się w 1933 roku.

dziejów poróżnionych. W kolejnych powieściach również mu będzie zależało na budowaniu żywego pomnika tej części ojczyzny, z nadzieją na wskrzeszenie jej wielkości i – raz jeszcze – utraconego szczęścia, bo przecież, jak pisze na samym wstępie powieści, w *Gulnarze*:

Na to Bóg stworzył Ukrainę, by łała czar w duszę człowieka, a ukraińską krasawicę, by czarowała mołojców! Zjedźże świat cały od morza do morza – czy znajdziesz piękniejszą jak Ulana Damianówna? pociecha ojcowiska, pycha stepów Ukrainy!

Idylliczny charakter opisu wprowadzającego w opowieść o *Gulnarze*, ale właściwie i w całą powieść, ewokuje stworzenie nie tylko Ukrainy, ale świata. Sam Bóg jest stwórcą tej ziemi, co przypomina narrator, jakby miał w pamięci Księgę Genesis i chciał ukoronować Ukrainę, porównując jej stworzenie do stworzenia świata. Zawiera się w tym również jakiś rys tragizmu, albowiem arkadyjską ziemię dotykać będą podstępny zła, kradnąc radość i spokój zniecka – zupełnie jak je utracił w raju pierwszy człowiek.

Walka dobra ze złem to temat przewijający się w *Opowieściach stepowych*, nieraz jest to wojna bardzo nierówna, prowadzona z siłami diabelskimi, jak chociażby w opowiadaniu *Czartowa Góra*. Step jest miejscem wydarzeń będących odzwierciedleniem życia duchowego, jest pograniczem światów – realnego i wyobrażonego, realizuje się w nim projekt nieudany w Edenie, lecz człowiek nieustannie wraca do źródeł piękna, dobra i prawdy, a na drodze staje za każdym razem zło, niweczące ów plan. Zło w stepach ukraińskich ma swoje źródło w duszy człowieka, ale pochodzi też z zewnątrz – jest objawieniem ironii losu, szyderczej Natury (jak w *Marii*), okazuje się również jako zmaterializowana postać, na wzór bajek i legend, zakorzeniona jednak w lokalności, związana z życiem miejsca. Dobra i zła w *Opowieściach stepowych* mają wymiar tak religijny, jak też mityczny, wpisują się w historię oraz w wyobraźnię bohaterów, są immanentną częścią dziejów historycznych, prywatnych, materialnych i duchowych⁵¹.

Jednym z bardziej oryginalnych utworów, moim zdaniem, chociaż także mającym swoje korzenie w literackich wzorach, jest *Wycieczka do Pionin* Paulina Stachurskiego, wydana we Lwowie w 1869 roku. Zaplanowana została jako po-

⁵¹ O sile mitu w twórczości późnych romantyków pogranicza pisze M. Bracka, *Lokalny mit w prozie pogranicza polsko-ukraińskiego XIX wieku*, „Acta Polono-Ruthenica” 1(XVI); zob. także: M. Bracka, *Topos kozaka u twórczości Ołeksandra Grozy*, w: *Romantyzm: miż Ukraïnoŭta Pol’sëu. Zbìrnik naukovih prac’*, red. R. Radyszewski, Kiiw 2003.

wieść podróżnicza i relacja krajoznawcza nawiązująca stylem do reportażu. Taka próba zdefiniowania powieści nie wyczerpuje stanowczo jej poetyki, znacznie wykraczającej poza taką oczywistą konstrukcję. Można oczywiście zaryzykować tezę, że Świącicki sięga aż do pomysłu powieści szkatułkowej, budując opowieść wielowarstwową, choć i takie wyjaśnienie raczej nie wyczerpie ostatecznie wszystkich możliwych pomysłów interpretacyjnych tego dzieła. W pierwszym zdaniu powieści autor przywołuje jednocześnie Mickiewicza i Goethego, korzystając z fragmentu wiersza *Do H*** Wezwanie do Neapolu*. Mickiewicz do słynnego już „Znasz li ten kraj” dodaje wszak, że to „naśladowanie z Goethego”. Łączą się w tym liryku dwie ogromne tradycje poetyckie – niemiecka i polska, dwóch geniuszy wyznacza kierunek geograficzny nie tyle dla podróżnych, ile dla wyobraźni. Dlatego, zapewne z pamięci, pisze Stachurski:

„Czy znasz ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?” zapytuje poeta. Ja zadam pytanie ciekawsze: czy znacie kraj, w którym nie ma ani jednego żołnierza, ani jednego sądu lub policji poprawczej, ani jednego ugalonowanego kołnierza?...

Widzę zakłopotanie na twarzach, wyraz powątpiewania... Gdzie jest ten kraj podobny? W lasach dziewiczych Ameryki? Na spokojnych wodach oceanu czy na Księżycu może?

Nie tak daleko, a nawet blisko bardzo, bo o dzieli drogi od granicy, u podnóża Tatr. W miejscu, do którego garnie się płeć piękna i brzydka, słowem: w Szczawnicy!

Między Goethem a Mickiewiczem Stachurski odnajduje przestrzeń niewyczerpanych możliwości poznawczych. Italia to kierunek konkretny, bo Neapol, ale też symboliczny, wskazujący południe geograficzne i południe wyobraźni – czas pogodny i podporządkowany światłu. Gdy Mickiewicz adaptował utwór Goethego z zamiarem opowiedzenia własnej historii, osobistego doświadczenia, wielką podróż po Europie zamknął gestem wąskiej, zwężonej lokalności, formułując wypowiedź do ukochanej: „Tam był mi raj, / Pókiś ty ze mną była!”. Nieprzypadkowo Mickiewicz rymuje wyrażenia kraj i raj, sakralizuje jednakże owym rajem nie włoskie miasto, ale przestrzeń i czas naznaczone obecnością ukochanej. Dla autora *Wycieczki do Pionin* rolę ukochanej pełni ojczyzna, polskie góry, przyroda, tradycje lokalne i kultura, wraz z mitami i legendami⁵². To jest właśnie Neapol Świącickiego.

⁵² O historycznych i folklorystycznych motywach w twórczości P. Świącickiego pisze Rościław Radyszewski, *Istorichni ta folklorni motivi u tvorah Pawlina Swiencickogo*, w: tegoż, „Ukrains’ka škola” v pol’s’komu romantizmi: fenomen pograniččâ: monografiâ, Kiiw 2018.

Podróżopisarstwo to poważna gałąź twórczości romantyków⁵³, opiera się na doświadczeniu osobistym autorów, ale też na grach z wyobraźnią. Początek opowieści budzi ostrożność wobec traktowania jej jako dzieła reporterskiego, rola narratora zaś i konstrukcja utworu (ze spisami treści przy każdym rozdziale, jak z „rozkładem jazdy”) skłania do zaufania przewodnikowi, doskonale poruszającemu się po opisywanej krainie. Koncepcja opowieści reporterskiej zamienia się z czasem w konwencję baśni, a nawet bajki, przeplatających się zupełnie naturalnie, tak, że nie dziwi czytelnika zmieszanie światów i odmiennych rzeczywistości.

Podróż odbywa się w przestrzeni realnej, miejsca są określone i rozpoznawalne geograficznie oraz historycznie, pisarz ulokował bohaterów w czasie mu współczesnym, w XIX wieku, czego postaci przedstawione są zupełnie świadome. Narracja prowadzona jest klarownie, czytelnik poznaje bohaterów, ich charaktery, a także oczywiście krainę przemierzaną przez grupę znajomych. Nie jest to jednak zwykły reportaż, zamienia się on z czasem w wydarzenia trudne do wyjaśnienia w porządku racjonalnym.

Bohaterowie w trakcie wędrowki zaczynają się nudzić, dlatego proszą towarzysza o opowieść, która wniosłaby ożywienie, pobudziła ich zmysły i wyobraźnię:

– Cuda! cuda! – wołała panna Emilia – zachwycona opowieścią. – O, jakże panu wdzięczną jestem, że za jego przykładem poszłam na Koronę. Wszak tego wszystkiego nie słyszałabym nigdy w naszym nudnym salonie..., nie doznałabym tych wrażeń, które, to czuję, uczyniły mnie lepszą. Autorze, podaj mi rękę – i mów ty jeszcze! Tak jestem oczarowaną tym, co widzę i słyszę, że przebyłabym tu wieki!... czaru mamy dość. Mów mi o dziwach, cudach..., wszak w cudów krainie jesteśmy – prawda, Salomonie?

– Sprawiedliwie, łaskawa panienko.

– Mówże, nudziarzu! – zawołała z grymasem, któremu oprzeć się nie było podobna.

⁵³ Zob. S. Burkot, *Polskie podróżopisarstwo romantyczne*, Warszawa 1988. Na temat europejskich początków podróżopisarstwa oraz pierwszych prób przekształcania się w nowy gatunek – reportaż, w kontekście Słowackiego pisze Leszek Libera w książce *Juliusza Słowackiego „Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu”*, Poznań 1993. Zob. także hasła: J. Kamionka-Straszakowa, *Podróż*, s. 698–703 oraz Cz. Niedzielski, *Reportaż*, s. 820–823, oba w: *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, pod red. J. Bachórzea i A. Kowalczykowej, Wrocław–Warszawa–Kraków 1994.

– O czymże mam mówić? – zapytałem, patrząc na to kapryśne dziecko, a tak urocze w tej chwili.

– O czym chcesz. Wszakże masz fantazję..., jesteś autorem..., słyszałeś tyle cudownych rzeczy... mów!

– A więc zgoda! Będę pani mówić o świecie cudów. Powiem bajkę.

W ten sposób autor wprowadza czytelnika w akcję IV rozdziału, zatytułowanego *Świat cudów. – Bajka nie z tysiąca i jednej nocy*. Emilia sprowokowała towarzysza, aby wprowadził wędrowców dalej niż na Koronę, wkroczą tu do wnętrza swoich dusz, wejdą do świata wyobraźni, tym samym zmieni się kierunek wędrówki – z horyzontalnej w wertykalną. Jest pewne podobieństwo tego planu wydarzeń i samego pomysłu wypełnienia nudy w trakcie eskapady z reportażami Józefa B. Dziekońskiego, a nawet z jego opowiadaniem *Duch jaskini*. Bohaterowie w tej opowieści wędrują między Krakowem a Buskiem, a po drodze zatrzymują się, by zwiedzić jaskinię, tam spotykają tajemniczego skrzypka, który ich zaczarowuje i przemienia duchowo⁵⁴.

Bajka w *Wycieczce do Pionin* otwiera kolejną płaszczyznę wydarzeń, wprowadza żywą, dynamiczną akcję, nagłe zwroty losów bohaterów, jest dobrze zaplanowaną opowieścią o równoległym świecie. Stachurski pisze powieść w powieści. Bajka o Cieniu, Wodnicy, Leśnej również ma swoje kolejne poziomy, rozwija się jako konsekwencja wydarzeń. Gdyby uznać, że to bajka, bohaterowie powinni mieć jasno określone charaktery – dobre lub złe, tymczasem ma się wrażenie, że dobro w tej historyjce może się zmieniać w zło i na odwrót. Ambiwalencja sfery aksjologicznej, etycznej, a nawet ontologicznej, ma charakter zbliżony do snu, trudno odnaleźć tutaj wymiar dydaktyczny, który posiadają bajki. Baśnie z *Księgi tysiąca i jednej nocy* nie są źródłem obrazów ukazanych przez Stachurskiego, co podkreśla w podtytule rozdziału: „bajka nie z tysiąca i jednej nocy”. Oniryczne sceny, pełne niezwykłości, wdzięk i powab zmieszane z potwornością, łagodność z brutalnością, dobro ze złem, bardziej przypominają złudzenia niż fabułę z morałem. Rola bajki wprowadzonej do reporterskiej relacji nie jest oczywista i nie wyjaśnia jej w pełni zamówienie jednej z bohaterki. Jednym z powodów takiej konstrukcji może być jej wymiar paraboliczny, możliwość czytania całości jako

⁵⁴ O reportażach J. B. Dziekońskiego pisze M. Szargot, *Reporterskie i pisarskie drogi Józefa Bogdana Dziekońskiego*, Piotrków Trybunalski 2014, s. 25.

skomplikowanej egzegezy rzeczywistości wpisanej w świat duchowy, niewidzialny, a mający wpływ na losy człowieka. I na odwrót.

Wycieczka do Pionin to powieść wymagająca szczególnej uwagi; nie doczekała się dotychczas pogłębionej wykładni jako dzieło wyjątkowe, będące wykwitem nieprzeciętnej wyobraźni Świącickiego.

*

Paulin Świącicki na tle swej epoki jawi się jako pisarz *minorum gentium* i być może wśród ważniejszych dokonań zapodziały się jego dzieła. Dobrosława Świerczyńska tak podsumowała jego wysiłki:

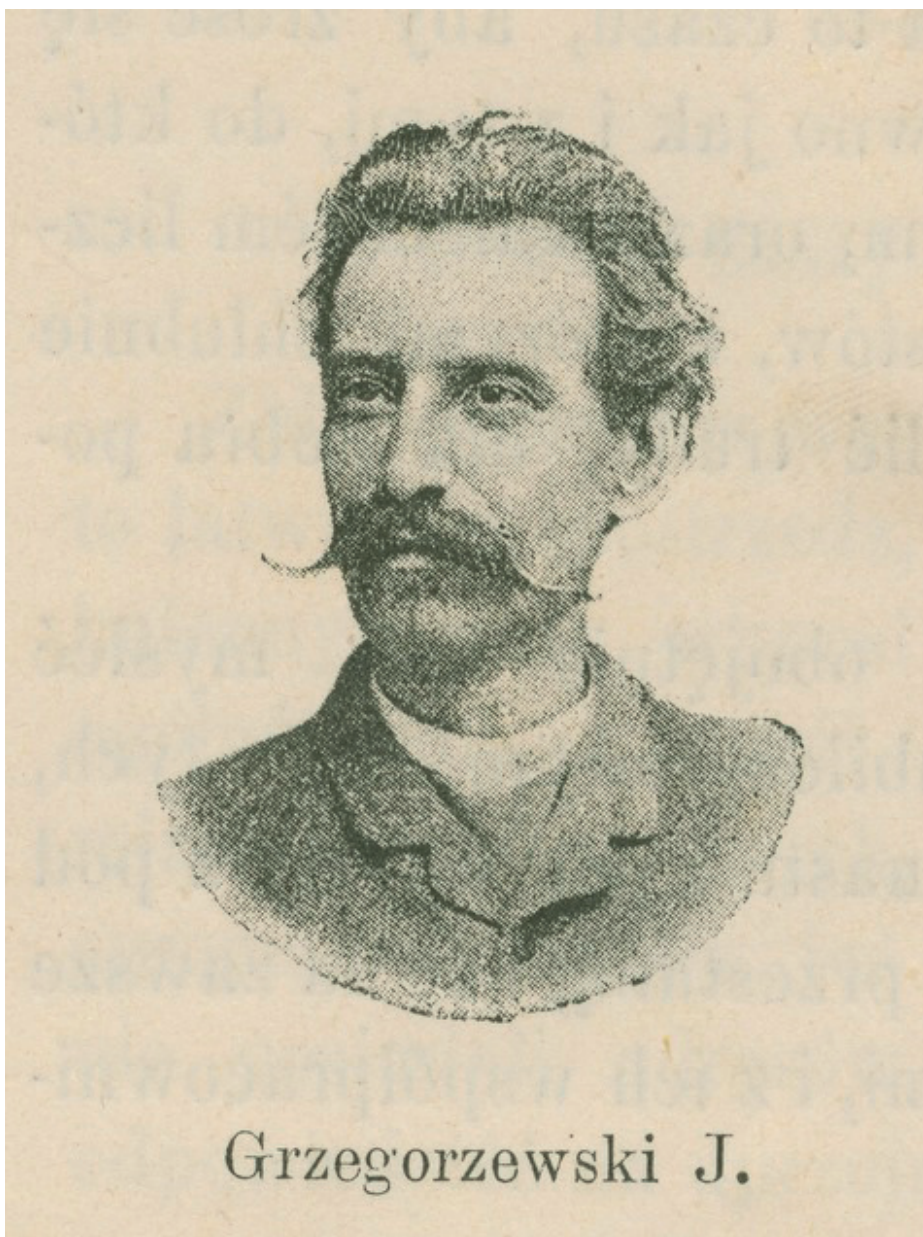
Świącicki umierał niewątpliwie z poczuciem klęski. Nie zdołał zbliżyć pokrewnych języków i kultur, nie zdołał chyba nawet wzbudzić w polskich elitach kulturalnych życzliwego stosunku do kultury ukraińskiej i do niepodległościowych dążeń Ukrainy. Z kolei galicyjscy Ukraińcy mieli mu za złe... nadmierne polonofilstwo, niemal zdradę kultury ukraińskiej, wręcz chęć podporządkowania jej kulturze polskiej! Świącicki chciał chyba być – i był – pisarzem polsko-ukraińskim, a nie »pisarzem ukraińskim polskiego pochodzenia«. Przeważająca, istotna część jego dorobku to twórczość polska. Identyfikował się z polskim środowiskiem literackim, które z kolei zarzucało mu nadmierne ukrajinofilstwo.

Należy jednak do tego grona romantyków, którzy niestrudzenie odciskali ślady na wielu szlakach. W czasie niedługiego, 35-letniego życia Świącicki zdążył spełnić się jako nauczyciel, żołnierz, aktor, dramaturg, krytyk teatralny i literacki, dziennikarz, redaktor, tłumacz, wreszcie jako pisarz. I nie była to aktywność błaha, jednostkowa; podjęte przez siebie zadania wykonywał z zapałem, talentem i z przekonaniem pełnienia misji.

Jego dramatem było urodzenie się po debiucie największych romantyków, musiał wzrastać i pisać w ich cieniu, nie tyle jako epigon bez własnego talentu i pomysłu, ile raczej jako pisarz świadom geniuszu poprzedników, oddający im należną cześć. Dramatem było dla niego również miejsce urodzenia i ukształtowania – polska Ukraina albo ukraińska Polska, co trudno bez wątpliwości określić jednoznacznie. Kochał oba narody, miał w sercu i Polskę, i Ukrainę, walczył o odzyskanie wzajemnej miłości bratnich narodów, a wiara w tę misję stała się przyczyną chyba kolejnej jego rozterki – dramatu niespełnionych idei.

Wielkości i wolności ojczyzny upatrywał w spełnieniu pięknej baśni o powrocie do arkadii, w której się wychował, na pograniczu polsko-ukraińskim.

Było ono dlań pograniczem nieba i ziemi, dobra i piękna, utraconym wraz z iluzją powszechnego pokoju. Nie mógł być ani rycerzem, ani kozakiem, aby walczyć ze stereotypami znaczącymi jego ukochaną ziemię. Stał się kozakiem na miarę swoich czasów – jego stepem była kartka papieru, a szablą pióro.



Jan Grzegorzewski (portret)
(„Kłosy” 1890, t. 50, nr 1304)

Rościław Radyszewski

Katedra Polonistyki Instytutu Filologii

Kijowski Narodowy Uniwersytet im. Tarasa Szewczenki, Ukraina

ORCID: 0000-0002-5279-8232

TWÓRCZOŚĆ PAULINA ŚWIĘCICKIEGO W JEZYKU UKRAIŃSKIM

Człowiek pojednania

Paulin Święcicki (1841–1876) był osobowością wielostronną, ambitną i słynną ze swoich przekonań na temat kwestii polsko-ukraińskich. Jest znany jako przeciwnik ustroju konserwatywnego i promotor idei wspólnego istnienia narodu polskiego i ukraińskiego. Całkiem naturalny wydaje się jeden z jego pseudonimów twórczych – Pawło Swij. Korzystał też z pseudonimów Danyło Łozowski, Paulin Stachurski, Sielski, Zorian i wielu innych.

Życie i twórczość pisarza w swoich badaniach rozpatrywali tak znani ukraińscy literaturoznawcy, jak Iwan Franko, Wołodymyr Matwijiszyn, Ostap Sereda, Walentyna Iskorko-Ihnatenko, lecz także polscy badacze: Stefan Kozak, Dobrosława Świerczyńska, Stanisław Stępień. Najbardziej przyczynił się do zbadania życia i twórczości pisarza ukraiński uczony Wołodymyr Radzykiewicz, autor pracy *Pawłyn Swiencičkiyj. Publicystyczna, naukowa ta literaturna joho dijalnist (Paulin Święcicki. Działalność publicystyczna, naukowa i literacka)*¹. Sporo informacji zaczerpnąć można też z *Mowy na pogrzebie śp. Paulina Święcickiego mianej w dniu 14 września 1876 na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie* przez

¹ В. Радзикеви́ч, *Павлин Свенцицький. Публіцистична, наукова та літературна його діяльність*, ЗНТШ, 1911. Книга I, s. 109–129; Книга II, s. 127–147; Книга III, s. 113–190.

*Jana Grzegorzewskiego*² oraz z artykułu Józefa Tretiaka *Paulin Świącicki i jego niewydane dramaty*³.

Iwan Franko jako pierwszy należycie ocenił polsko-ukraińską twórczość Świącickiego – pisał o nim następująco:

Pawło Swij był wśród ówczesnej ukrajinofilskiej społeczności siłą pierworzędną; człowiek bardzo zdolny, władający nie byle jaką nauką, rozległą wiedzą i świeżością poglądów, Polak urodzony na Ukrainie, bardzo dobrze znał język, historię i zwyczaje narodu ukraińskiego, a zarazem jako szczerzy demokrata i postępowo osobowość był wśród ówczesnych Polaków postacią nieprzeciętną. Zmuszony w 1863 do wyemigrowania z Ukrainy, osiedlił się we Lwowie z zamiarem okazania swojego talentu w pracy na rzecz braterstwa duchowego i literackiego Rusinów i Polaków na gruncie idei demokratyczno-federacyjnych⁴.

Największym objętościowo rozpoznaniem życia i twórczości Świącickiego jest jak do tej pory praca Radzykiewicza, jednak nie zawiera ona szerszej analizy utworów pisarza – literaturoznawcy radzieccy przede wszystkim zwracali uwagę na polskie przekłady poezji Szewczenki oraz wiersze Świącickiego napisane w języku ukraińskim.

Wśród pisarzy polskich II połowy XIX wieku, zwolenników zjednoczenia polsko-ukraińskiego, Paulin Świącicki zajmuje wyjątkowe miejsce. Swoją działalnością teatralną, publicystyczną i literacką torował drogę do jedności dwóch narodów. Niestety, życie artysty było zbyt krótkie – zmarł przedwcześnie w wieku trzydziestu pięciu lat.

W antologii o nazwie *Ukrainskoju muzoju natchnenni (Ukraińską muzą natchnieni)* opublikowanej w 1971 roku w Kijowie zamieszczono 59 bajek Świącickiego, napisanych wierszem i prozą, oraz dwa jego utwory poetyckie⁵. Roman Kyrzcziv w przedmowie do zbioru scharakteryzował autora jako pisarza, który walczył o jedność literatury polskiej oraz ukraińskiej. Zaznaczył, że Świącicki

² J. Grzegorzewski, *Mowa na pogrzebie śp. Paulina Świącickiego miana w dniu 14 września 1876 na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie przez Jana Grzegorzewskiego*, „Gazeta Narodowa” 1876, nr 213.

³ J. Tretiak, *Paulin Świącicki i jego niewydane dramaty*, „Tydzień” 1878, T. VII, nr 39–40.

⁴ І. Франко, *Твори в 50-ти томах*, т. 26, Київ 1980, s. 365–366.

⁵ *Українською музою натхненні. (Польські поети, які писали українською мовою) / Передмова: Роман Федорович Кирчів; Упоряд., приміт. Микола Пилипович Гнатюк; Редкол.: Микола Платонович Бажан та ін., Київ: Радянський письменник 1971, 304 s.*

„*de facto* jako pierwszy zwalczając tradycyjne wyobcowanie polskich autorów piszących po ukraińsku z ogólnego procesu rozwoju nowej literatury ukraińskiej”. Można powiedzieć, że pisarz w swoich utworach bardzo mocno zbliża się do ukraińskiego ducha literackiego, a jednak dziedzictwo literackie Świącickiego pod tym kątem pozostaje mało zbadane, szczególnie gdy chodzi o jego utwory ukraińskojęzyczne.

Świącicki uważał, że chłopów należy uwłaszczyć, a w środowiskach wiejskich szerzyć oświatę, dlatego szukał kontaktów z ludem, wędrował po wsiach, gdzie uczył się języka, folkloru, dziejów narodu. Jednocześnie szerzył oświatę wśród włościan, propagował poezję Szewczenki, był wobec chłopów przyjazny i uprzejmy. W oparciu o doświadczenia z tych wędrówek Świącicki napisał szkic biograficzny *Spohady skytalcia (Wspomnienia tułacza)*. Podczas podróży po Ukrainie zebrał wiele utworów folklorystycznych – pieśni, przysłów, powiedzeń. Niektóre jednostki z tego materiału wykorzystał później w autorskich opowiadaniach i powieściach.

Pisarz urodził się w roku 1841 we wsi Warszycy na Kijowszczyźnie (dziś to rejon miasta Kalyniwna z obwodu winnickiego), która wtedy należała do jego ojca. Został wychowany w szlacheckiej rodzinie, gdzie panowała surowa dyscyplina. Ojciec Paulina zmarł wcześnie, matka nie mogła samodzielnie utrzymywać rodziny, więc postanowiono, że starszy syn będzie pracować, młodszego zaś, Paulina, oddano do prywatnego pensjonatu w Machnówce, później w Berdyczowie. Los był wobec chłopca bezlitosny, gdyż za jakiś czas zmarła też matka, a wychowaniem chłopca zajęła się pani Orłowska z Jarmolińców, która go wysłała do internatu w Kamieńcu Podolskim. Gdy Paulin miał 14 lat, zrezygnowała z opieki i z powodu problemów finansowych był on zmuszony szybko wejść w dorosłe życie, wziąć los w swoje ręce. Żeby się utrzymać, chłopak wziął się za pracę korepetytora, uczył zarówno po polsku, jak i po ukraińsku. Tak minął czas do ukończenia gimnazjum w Kamieńcu Podolskim.

Pragnąc kontynuować naukę, Paulin Świącicki w 1860 roku wstąpił na wydział prawny Uniwersytetu Kijowskiego św. Włodzimierza. W latach studiów, gdy zaczął się kształtować ruch chłopomański, związany z zamiłowaniem do estetyki wiejskiej i „chodzenia w lud”, zaczął on pisać swoje pierwsze utwory. Po upadku powstania styczniowego przerwał studia na Uniwersytecie Kijowskim i wyjechał do Galicji, gdzie planował poświęcić się pracy literackiej.

Pierwszym utworem drukowanym stała się powieść *Przed laty* (1865). Następnego roku ukazała się *Trójka* (1866). Niedługo po niej powstał zbiór *Stepowi*

powisti (Opowieści stepowe) (1871), do którego weszły opowiadania *Gulnara, Na stepie, Atamańska mogiła, Pokuta, Podolanka, Czartowa góra*, które pisarz wydrukował na łamach „Dziennika Literackiego” i „Nywy” (ostatnie ich wydanie w języku ukraińskim ukazało się w 1933 roku, opatrzone przedmową Mykoły Hołubica). Przy czym warto zaznaczyć, że w języku ukraińskim Świąćicki napisał i opublikował jedynie opowiadanie *Pokuta*. Reszta opowiadań i powieści wyszła spod pióra autora tylko w języku polskim. Niepoślednią rolę w wyborze języka polskiego odegrał czynnik finansowy.

W trakcie studiów odbyło się decydujące dla całego dalszego życia pisarza zbliżenie z kółkiem świadomej społecznie młodzieży, znanej jako „chłopomaniami”. Rola Świąćickiego w działalności tego ruchu jest dość kontrowersyjna i niejednoznaczna, ponieważ badacze różnie oceniają aktywność Paulina w walce o prawa narodu ukraińskiego. Na przykład Jan Grzegorzewski pisał, że „Świąćicki jako pierwszy stał w szeregach i należał do młodzieży postępowej”. Badacz życia i twórczości Paulina Świąćickiego w nekrologu, który ukazał się w czasopiśmie „Druzi” zaznaczał, że „Świąćicki nigdy się nie wciskał w pierwsze szeregi tych, którzy najgłośniej krzyczeli, którzy poruszali nieszczęśliwą rusko-polską kwestię”⁶. Tak czy inaczej, dalsza działalność pokazała, że jego „chłopomańskie” stanowisko w kwestiach narodowych było pewne i niezmienne, ponieważ cała twórczość publicystyczna i literacka pisarza była skierowana na osiągnięcia jednego celu – niepodległość narodu ukraińskiego i jego zbliżenia z narodem polskim, czego przypieczętowaniem miała być federacja dwóch narodów na warunkach demokratycznych. Jaskrawym tego świadectwem było przemówienie, które wygłosił w maju 1861 z okazji ponownego pogrzebu zwłok Tarasa Szewczenki na Ukrainie:

Pozwólcie też nam, bracia-Ukraińcy, złożyć hołd pamięci Waszego wielkiego proroka, który nie lubił Polaków, bo nie miał za co lubić, jednak nad jego trumną podajmy sobie braterską rękę, żeby zapomnieć o rozterkach naszych przodków⁷.

Pod wpływem ruchu chłopomańskiego Świąćicki napisał swoje wczesne utwory.

Styl prozaika, zaprezentowany we wczesnej twórczości, charakteryzuje się licznymi partiami lirycznymi, wplataniami rozważań na temat aktualnych proble-

⁶ Павло Свій, „Друг” 1876, nr 18, s. 284.

⁷ В. Бернатович, *Похорон Тараса Шевченка. Спогади про Шевченка*, Київ 1958, s. 529.

mów politycznych i społecznych. Autor przychylnie wypowiada się o przeszłych dziejach, z nostalgią wspomina Kozaczyznę, przeciwstawiając ją cywilizacji zachodniej i środowiskom szlacheckim.

Recenzent Kazimierz Kaszewski porównywał Świącickiego do innych przedstawicieli „szkoły ukraińskiej”, twierdząc, że autor zapisał się do rodu wielkich pisarzy: „na tem samym bowiem polu spotykamy imiona Goszczyńskiego, Słowackiego, Czajkowskiego; trzeba rzeczywiście czuć siły niepospolite, aby jakiś utwór zamieścić w galerii, która takich posiada mistrzów...”⁸. W kwestii zaś jego „miłości do ziemi ojczystej, gorącego serca”⁹ zaznaczał, że „z każdego rysu pióra widać osobę, która pisze ze znajomością przedmiotu, osobę, która wyrosła na gruncie, na którym stoi. Duch, zwyczaj, język, cała natura czasów i ludzi stała się niczym jego naturą”¹⁰. Natomiast Dobrosława Świerczyńska poprzez pryzmat przynależności Świącickiego oceniła jego twórczość i działalność następująco:

Należał on niewątpliwie do wielkiej grupy epigonów romantyzmu, szczególnie szkoły ukraińskiej. Ale – trawestując Michała Grabowskiego – można by powiedzieć, że o ile Goszczyński malował Ukrainę hajdamacką, Czajkowski – wojenno-kozacką, Zaleski – poetycko-kozacką, Malczewski – szlachecko-magnacką, o tyle Świącicki malował Ukrainę chłopską, ludową, uciskaną i nieszczęśliwą. W swych opowiadaniach kozackich przytaczał wiele niewątpliwie regionalnych wątków, które dodają tym tekstom wdzięku”¹¹.

Prozaik i dramatopisarz

Jednak z czasem poglądy autora uległy pewnym zmianom. Można to zauważyć w opowiadaniach, które weszły do zbioru *Opowieści stepowe*, zadedykowanego znacząco „słowikowi”, czyli Józefowi Bohdanowi Zaleskiemu. Zbiór opowiadań o dziejach narodu ukraińskiego ukazał się we Lwowie w 1871 roku. Opowiadania tego zbioru – *Gulnara*, *Na stepie*, *Atamańska mogiła*, *Pokuta*, *Podolanka*

⁸ K. Kaszewski, *Przegląd piśmienniczy*, „Bluszcz. Pismo tygodniowe ilustrowane dla kobiet”, Warszawa 1866, nr 40.

⁹ Tamże.

¹⁰ Tamże.

¹¹ D. Świerczyńska, *Paulin Świącicki. Dramat pisarza pogranicza*, „Pamiętnik Literacki” 1996, z. 1, s. 209.

i *Czartowa góra* – to jaskrawe obrazy przedstawiające obyczaje i bohaterstwo Kozaków w czasach wojen z Tatarami. Tu, jak też w powieści *Kolys' bulo (Przed laty)*, pojawiły się ukraińskie piosenki ludowe, przysłowia i powiedzenia, wiele ukraińskich zwrotów frazeologicznych. Nic więc dziwnego, że później te utwory zostały wydane również w języku ukraińskim.

Tu Kozacy, w odróżnieniu od innych utworów, w których chętnie się bratali ze szlachtą, przedstawieni są jako naród miłujący wolność, wesoło spędzający wolny od wypraw czas i z poświęceniem, bohatersko, broniący ojczyzny przez atakami wroga. Autor bardzo przenikliwie pisze o kozactwie jako o niezwykle ważnej warstwie narodu ukraińskiego. Da się zauważyć, że obrazy Kozaków budzą w nim podziw. Opisuje ich w różnych warunkach życiowych: w miłości, w braterstwie, w walce, w relacji z wrogiem, w życiu codziennym. Kozak, gdzie by nie był, zawsze jest symbolem niezłomności, wolności, sprawiedliwej zemsty na wrogu, siły i wierności.

Niezwykle przenikliwie ukazał na przykład dzieje tworzenia się braterstwa kozackiego w opowiadaniu *Na stepie*. Dwóch Kozaków zakochuje się w tej samej dziewczynie i, żeby nie stracić godności w swoich oczach, obiecują jej przywieźć zamorską, turecką tkaninę, której nazwę dziewczyna wymyśliła, żeby się wreszcie pozbyć natrętnych adoratorów. Fabuła opowiadania jest oparta na historii poszukiwania tej tkaniny, w trakcie którego Kozacy biorą udział w walkach i wyzwalają pobratymców z niewoli. Na pewnym etapie zaczynają rozumieć, że dziewczyna nie jest im aż tak potrzebna – widzieli ją przecież raz w życiu, zwyciężyć w konflikcie nikt z nich też nie może, bo los cały czas podrzuca takie kolizje i perypetie, że rywale niechętny wzajem siebie ratują. Jednak дума nie pozwala im się przyznać do porażki i kiedy wreszcie przyjeżdżają do ukochanej kobiety, okazuje się, że trwa już jej wesele. Dwóch Kozaków z ulgą wyznaje sobie, że się lubią braterską miłością i że w ciągu tych lat stali się prawdziwymi pobratymcami, a każdy z nich gotowy jest do poświęcenia własnego życia za drugiego.

Niezwykle liryczne i mocne są postacie kobiet w *Opowieściach stepowych*. Dziewczyny są wierne, uczciwe, natchnione i, rzecz jasna, piękne. Potrafią czekać na ukochanego przez długie lata, w trudnych zaś warunkach wybiorą raczej śmierć, niż oddanie własnej wolności. Nawet turecka dziewczyna, którą Kozak przypadkowo ratuje, poświęca mu życie i ginie z tęsknoty w momencie, gdy on żeni się ze swoją ukraińską narzeczoną.

Bardzo istotny tu jest wątek sprawiedliwej zemsty, opisywany poniekąd z pewną hiperbolizacją. Aby wykonać rozkaz przyszłego teścia i otrzymać zezwolenie na ślub z ukochaną dziewczyną, Kozak organizuje wyprawę przeciw Turkom, by znaleźć dawnego wroga starego Kozaka i żeby ów mógł dokonać sakralnej zemsty oraz ze spokojnym sercem opuścić ten świat.

Warto też przypomnieć obraz wodza, który autor opisuje z niezwykłą przychylnością. Ataman jest niemal ojcem dla Kozaka, opiekunem, doradcą, nauczycielem, mentorem. Krótkie opowiadania *Atamańska mogiła* opisuje epizod, gdy bitwę przeżywa jedynie ataman – resztą siły wykonuje swój obowiązek i chowa wszystkich swoich poległych pobratymców. Niestety, sam już się pochówku nie doczeka, jego ciało staje się ofiarą kruków i palącego słońca. Jest to, być może, jedna z najlepszych metafor władzy – życia dla tych, za których jest się odpowiedzialnym, bycie wiernym powołaniu nawet za tak ogromną cenę.

Historycznych opowiadań nie warto analizować jako źródeł historycznych. Ich autor tak bardzo marzył o spokojnym i harmonijnym współistnieniu dwóch narodów, iż nadmiernie upiększał, koloryzował rzeczywistość. Odwołując się do pracy Aleksandra Nawareckiego, Mariya Bracka zaznaczała, że

arkadyjska kraina ulokowana jest na ziemi podolskiej: tu spokojnie płynie Dniestr pomiędzy skałami, na niebie świecą miliony gwiazd; przyroda hojnie obdarzyła ziemię podolską: tu współistnieją syrenki, kwiaty, zieleń, niczym w krainie aniołów. Podole i Ukraina to wyjątkowa ziemia, jej wyjątkowość polega na magii, tajemniczości, czystości i prostocie; pociąga swoją pierwotnością, świadczy o tym, jak było kiedyś, w początkach istnienia świata. Świącicki wyraźnie aktualizuje mit arkadyjski: Ukraina jest stworzona przez Boga po to, by dawać człowiekowi rozkosz, tu rodzą się najładniejsze dziewczyny i chłopcy, w ich losach uczestniczy żywa i martwa natura, tu panują właściwe, zwykłe, zrozumiałe obyczaje. Personifikuje też Ukrainę, której obraz staje się apostrofą do pełnej konstrukcji mitologicznej¹².

Do utworów Świącickiego pisanych w języku ukraińskim należy też powieść historyczna *Przed laty*. Opowiada ona historię Kozaka Iwana i wnuczki polskiego starosty, Hanny, którzy mieszkali na Ukrainie w okresie najazdów tatarskich. Jednak okoliczności nie pozwoliły im na to, by żyć szczęśliwym wspólnym życiem. W utworze spotykamy bardzo udane opisy ukraińskiej przyrody. W czasopiśmie

¹² М. Брацка, *Польська проза 40–80-х років XIX століття: Міф – Історія – Цінності*, Київ 2013, s. 72.

„Nywa” z 1865 roku w pięciu numerach opublikowano pierwsze rozdziały utworu (o latach dzieciństwa i młodości Iwana i Hanny). Siódmy numer „Nywy” zawiera następującą wiadomość: „Z powodu tego, że powieść *Przed laty* nie skończyłaby się w »Nywie« nawet po dziesięciu miesiącach, zamierzamy ją osobno wydrukować i jak najszybciej w świat wypuścić”. Jednak po tej deklaracji powieści już w „Nywie” nie drukowano z powodu niezgodności między autorem a redakcją czasopisma w kwestiach ideologicznych, o czym wspominał Iwan Franko w artykule *Ukraiński narodowolci i radykały (Ukraińscy narodowcy i radykałowie)*. Świącicki opisywał dzieje polskiego oraz ukraińskiego narodu w osobnych scenach w sposób idealistyczny, co nie mogło być zaakceptowane przez redakcję „Nywy”. Jednak w roku 1865 powieść *Przed laty* ukazała się w całości, co prawda w języku polskim, ale w „Dzienniku Literackim”. Tegoż roku opublikowano ją jako osobną książkę. Autorem był *Paulin Stachurski* (pseudonim Świącickiego). Ponadto w czasopiśmie „Sioło” od 1866 roku drukowano fragment tej powieści w tłumaczeniu ukraińskim. Wspomniany już wyżej polski krytyk Kaszewski zaliczał powieść Świącickiego *Przed laty* do utworów polskich pisarzy „szkoły ukraińskiej”.

By właściwie ująć twórczość prozatorską Świącickiego, warto nie skupiać się jedynie na jej wadach, które ujawniają się w braku wiarygodności i prawdziwości opisu ówczesnego życia ukraińskiego, w zbyt wyidealizowanych kreacjach bohaterów i nierespektowaniu faktów historycznych. Trzeba przede wszystkim zwrócić uwagę na cechy stylistyczno-językowe i bogactwo leksykalne, obfitość elementów folklorystycznych, które nadaje jego utworom niepowtarzalny koloryt. Znamienne, że Świącicki w odróżnieniu od innych przedstawicieli „szkoły ukraińskiej” nie zatrzymał się na preferowanym wątku, opisując w swoich utworach jedną, najczęściej dość ograniczoną strefę życia narodu ukraińskiego. Całościowo ujmował aspekty historyczne, polityczne, społeczne, zwyczajowe, etnograficzne, romantyczne, bez których nie dałoby się skonstruować w pełni wartościowego obrazu Ukraińców na potrzeby odbioru przez Polaków, co dla Świącickiego było sprawą całego jego życia. Dlatego Radzykiewicz nazwał go literackim epigonem „szkoły ukraińskiej” w literaturze polskiej i podkreślił, że „w swoich utworach Świącicki grupował wątki, używane przez poszczególnych pisarzy, dodając od siebie niewiele. Bo nawet w tym, że pisał po ukraińsku, znalazł prekursora w osobie Padurry, nawet w krytycznych wystąpieniach przeciwko szlachcie, ośmieszaniu herbów i dumy genealogicznej mógł się wzorować

na Czajkowskim. Wiele jest w jego utworach iluzji poetyckiej, fantastyki, są też jednak próby głębszego spojrzenia w duszę szerszych warstw ludowych, jest też dążenie do realnego opisu ich codzienności i światopoglądu”¹³.

Jak wspominałem, po upadku powstania styczniowego, z którym Świącicki wiązał wielkie nadzieje, musiał wyjechać do Galicji. Nędza i głód, niebezpieczeństwo wygnania z terytoriów pod rządami Austrii znów zmuszają go do poszukiwania pracy. Paulin nie wstydził się przyjąć pracy nauczyciela, korepetytora, zresztą też aktora, do czego był szczególnie predestynowany, biorąc pod uwagę jego wspaniałe możliwości fizyczne i intelektualne. Tak Świącicki znalazł się na scenie teatru pod pseudonimem Paulina Sielskiego, tak w 1864 zaś roku, już jako Danyło Łozowski, wyszedł na scenę pierwszego ukraińskiego teatru zawodowego Omelana Baczyńskiego. Przez jakiś czas z sukcesem grał różne role w spektaklach opartych o utwory zarówno Kotlarewskiego, jak i Szekspira.

Jednak w swojej działalności zawodowej Świącicki-aktor zetknął się z problemem miernego repertuaru proponowanego galicyjskiemu widzowi. Powstał więc problem adaptacji, przekładu i twórczej przeróbki oryginalnych utworów. W latach 1864–1865 Świącickiemu udało się przedstawić widzom ponad 20 zrewitalizowanych i zmienionych sztuk, wśród których były utwory Moliera (*Grzegorz Dymdała*), Józefa Korzeniowskiego (*Cyganie*), Aleksandra Fredry (*List*), Iwana Kotlarewskiego (*Moskal-czarodziej*) i inne. Zajmował się też przekładami utworów Szekspira, zwłaszcza *Makbeta* i *Hamleta*. W przedmowie do przekładu dramatu Szekspira zaznaczył, że usiłował poprawnie przekazać sens oryginału. W pewnym stopniu mu się to udało, choć, jak zauważył sam autor, jego praca jest „jedynie początkiem sławnej pracy zdolniejszego ode mnie”. Tak więc pisarz bardzo skromnie oceniał własną działalność dramatopisarską.

Wśród wczesnych utworów Świącickiego pisanych w języku ukraińskim znalazł się dramat *Kateryna*, oparty na poemacie Szewczenki o tym samym tytule. Świącicki interesował się twórczością Szewczenki jeszcze w latach studiów w Kijowie. Ta sztuka pochodzi z czasów jego udziału w studenckich kółkach dramatycznych. Napisano ją w 1862 roku, wydrukowano zaś we Lwowie, na łamach czasopisma „Sioło” w latach 1866–1867. Główne etapy fabuły dramatu *Kateryna* w porównaniu z poematem Szewczenki zostały rozszerzone. W związku z tym dramatopisarz postanowił zwiększyć ilość bohaterów. Oprócz Kateryny,

¹³ В. Радзикович, dz. cyt., Книга III, s. 178–179.

jej ukochanego Iwana i rodziców (Matwija i Marii) występują tu włościanie: Jakiw, Pańko, Warwara i Pryśka. Wprowadzenie nowych bohaterów ożywia akcję, w utworze są sceny zbiorowe, w których uczestniczą chłopcy, dziewczyny i żołnierze. Sztuka kończy się śmiercią Iwana, której nie ma w poemacie Szewczenki. Należy przypomnieć, że w osobnych aktach (razem jest ich 5) użyto, co prawda z niektórymi zmianami, monologów z poematu wygłaszanych przez Katerynę rozprawiającą o swoim nieszczęściu. Świącicki używał fragmentów z utworu Szewczenki, ponieważ zawierały one ścisły i poetyczny opis sytuacji, w której znalazła się Kateryna. Oprócz takich zapożyczeń jest w sztuce wiele nowych, oryginalnych treści. Świącicki, który z sukcesami pracował na scenie lwowskiego teatru ukraińskiego, potrafił na podstawie poematu Szewczenki stworzyć własny utwór dramatyczny. *Kateryna* Świącickiego jest swoistą inscenizacją poematu Szewczenki i zajmuje istotne miejsce w ukraińskiej tradycji szewczenkowskiej.

Pracując nad dramatem, Świącicki starał się maksymalnie zachować oryginalną fabułę Szewczenkowską, jednak adaptując poemat do potrzeb scenicznych, świadomie dodawał nowe sceny i nowych bohaterów, na przykład sentymentalnego Jakowa, zakochanego szczerze i z poświęceniem w wiejskiej dziewczynie Katrusi. W interpretacji Świącickiego Jakiw zabija Iwana, który skusił jego ukochaną i złamał jej życie. Przez wątek zemsty autor po raz kolejny wyraził swoje przekonania społeczno-polityczne, które w pełni odpowiadają przestrodze Szewczenki: „Kochajcie się, czarnobrewy, lecz nie z Moskałami”.

Zupełnie inna pod względem kształtu i przekazu jest sztuka w języku ukraińskim *Галя* (*Hala*), przetłumaczona z francuskiego oryginału *Ketty*. Oprócz bezpośredniego opisu fabuły Świącicki zadbał o to, by przekazać koloryt ukraińskiej przyrody: „Przyroda ma magiczną siłę, która przyciąga nas do ziemi ojczystej...”. Tekst *Hali* jest przesiąknięty naiwnością i sentymentalnością w stylu *Nowej Heloizy* czy *Biednej Lizy*. Jeśli więc można autorowi przekładu zarzucać wybór utworu oryginalnego, to wartość formy językowej i chwytów stylistycznych jest poza konkurencją, ponieważ twórca spełnił wszystkie wymagania, jakie narzucały ta konwencja i ten gatunek.

Badacze słusznie zaznaczali, że wobec wymienionych powyżej utworów zaadaptowanych do ówczesnych realiów w celu ułatwienia ich odbioru nie warto wysuwać zbyt wysokich wymagań i oceniać ich wartości literackiej zbyt rygorystycznie:

Przeróbki Świącickiego nie tylko ilościowo, ale też przez niezwykłą w tamtych okolicznościach czystość językową odsłaniały ważną robotę społeczną, wzbogacając ubogą niwę piśmiennictwa galicyjsko-ukraińskiego i przyczyniając się do budowania tożsamości narodowej naszych przodków. Pod tym względem należy je oceniać, z tego punktu widzenia znaczenie ich jest niewątpliwie wielkie¹⁴.

Taką też przeróbką ukraińskojęzycznego dramatu stworzoną przez Świącickiego stała się *Mieszczanka*, napisana pod wpływem komedii Korzeniowskiego *Okreżne*. Wątki obu utworów są podobne. Głównym bohaterem jest Wołodymyr, postępowy, patriotyczny, wykształcony młodzieniec, wierny swoim przekonaniom narodowym: „W monologach wygłoszonych przez bohatera w tonacji podniosłej, z akompaniamentem głośnych nut i frazesów, można odnaleźć nie tylko charakterystyczną ilustrację pochodzenia i siły patriotyzmu oraz miłości do narodu tkwiącej w ówczesnej młodzieży ukraińskiej znajdującej się po obu stronach granicy, można je poniekąd uważać za odgłos myśli i nastroju duchowego samego autora”¹⁵. Główną postacią dramatu jest mieszczanka Jarosława, która z polecenia matki przebiera się na włościankę i jako wiejska dziewczyna Halia staje przed Wołodymyrem, który nie ma pojęcia o tej awanturze. Zamiary dziewczyny się sprawdziły: romantyczny i wierny swoim przekonaniom narodowym Wołodymyr zakochuje się w niej i prosi o jej rękę. Mimo zapożyczonej fabuły, *Mieszczanka* Świącickiego opisuje szereg innych problemów, co nie sprzyjało jej popularyzacji na scenie teatralnej. Wydaje się zwłaszcza mało naturalne zachowanie głównej bohaterki oraz wyolbrzymienie w przedstawieniu innych postaci. Taki też jest patriotyzm Wołodymyra, który ujawnia się jedynie w słowach, podobna jest jego melancholia, niemająca żadnego uzasadnienia, albo postawa Hrycia, poniekąd granicząca z naiwnością i prostotą.

Drugi z utworów dramatycznych Świącickiego *Mieszczanka* napisany w języku ukraińskim opublikowano również w czasopiśmie „Sioło” w 1866 roku pod pseudonimem Danyła Łozowskiego. Z tego pseudonimu autor korzystał jeszcze w latach pobytu w Kijowie. Akcja rozgrywa się na Kijowszczyźnie, tak dobrze znanej autorowi. W dramacie autor wyraził swoje poglądy narodowe, określił go jako komedię, istotnie fabuła utworu naprawdę się rozwija w kluczu komediowym. Bohater utworu, Wołodymyr, brataniec ziemianina spod Kijowa, przekonany wielbiciel ludu, za nic nie chce się ożenić z miejską dziewczyną. Wtedy wdowa

¹⁴ Tamże, s. 133.

¹⁵ В. Радзикевич, dz. cyt., Кн. III, s. 135.

Choroszeńska, która od dawna planowała wydać swoją córkę Jarosławę za mąż, ucieka się do intrygi. Każę córce przebrać się za wiejską dziewczynę i przyjąć imię Halia. Wołodimir, spotkawszy Halię, jest nią zachwycony, urzekają go jej ludowe piosenki, zresztą proponuje jej ślub. I choć bohater w końcu się dowiaduje, że jego narzeczona pochodzi z mieszczańskiej rodziny, uznaje, że różni się ona od innych mieszczanek, że lubi lub zna jego kulturę, zachwyca się poezją Szewczenki. O takiej właśnie żonie marzył Wołodimir.

Tak więc komediowa *Mieszczanka* zawiera sporo osobistych poglądów i przekonań autora. Warto zaznaczyć, że w utworze wspomniany jest Szewczenko: w pierwszym akcie wśród książek, które leżą na stole Choroszeńskiej, znalazł się *Kobzarz* Szewczenki, jej córka Jarosława czyta Wołodimirowi fragment z poematu *Kateryna*. Są też w dramacie dwie piosenki: *Wjane kwitka bez doszczu* (*Wiednie kwiat bez deszczu*) i *Wik u hori żyty* (*Wiek w nieszczęściu żyć*). Zarówno *Kateryna*, jak i *Mieszczanka*, odpowiadają normom sztuki dramatycznej, które Święcickiemu jako aktorowi były dobrze znane.

Dobrze znany jest też dramat Święcickiego *Marusia*, napisany w oparciu o powieść Hryhorija Kwitki-Osnowianenki. Pod względem krytyczno-literackim dramat był za słaby i zawierał nieuzasadnione dramatycznie chwytły sceniczne, jednak mimo wad i oczywistych niedociągnięć, utrzymał się na ukraińskiej scenie przez dłuższy czas i nawet w latach 80. XIX wieku był ciekawym składnikiem ukraińskiego repertuaru scenicznego.

Poeta i bajkopisarz

W dorobku pisarskim Święcickiego osobną grupę stanowią jego wiersze napisane w języku ukraińskim.

Spomynok smerti Tarasa Szewczenka (*Wspomnienie na śmierć Tarasa Szewczenki*) otwiera tę grupę utworów. Święcicki napisał utwór w pierwszą rocznicę śmierci Szewczenki, w 1862 roku. Za życia go jednak nie opublikował, bowiem wiersz został zatrzymany przez carską cenzurę. Jego fragmenty zamieszczono we wspomnianym powyżej zbiorze *Ukraińską muzą natchnieni*. Święcicki w tekście liczącym osiem stron wyraził głęboki żal z powodu śmierci Szewczenki, poety, który pragnął „woli dla ludu” oraz uwłaszczenia chłopów. W swoim wierszu Święcicki przekonywał Kobzarza, że jego testament jest wykonywany:

Podywyś, szczo ridni braty
Obnimajem brata
Szczoby maty usmichnulas',
Zaplakana maty.

W finale nazywa Szewczenkę piewczą narodu i stwierdza, że nigdy nie zostanie on zapomniany:

I w radosti, j wesilli,
I w hirkoju doli
Wopomianem tebe, bat'ku,
U woli j newoli¹⁶.

Wiersz Szewczenki *Spomynok smerti Tarasa Szewczenka* jest wyrazem głębokiego szacunku do Kobzara jako obrońcy ludu, to wątek przewodni utworu, chociaż styl poetycki nie wyróżnia się szczególną wartością artystyczną.

Ciekawe dla czytelnika są liryczne poezje ukraińskie Świącickiego: *Na czużyni* (*Na obczyżnie*) i *Nicz w Podoli* (*Noc na Podolu*), opublikowane 1865 roku. Po przybyciu do Lwowa Świącicki tęsknił do ziemi ojczystej i tęsknotę tę wyraził w wymienionych strofach:

Kraju, kraju mij ridnen'kyj,
Haju, haju zelenen'kyj,
Skaly moi tysowii,
Polia moi rozkisznii,
Uszko moja zolotaja.
Riczk moja dorohaja.
De wy, moi liubi? De ty?
Powij, witre, z moho kraju,
Z toho haju, z toho raju,
Z-ponad skaly tysowoi,
Z-ponad Uszky zolotoi!
Prynesy meni steblynku
Z luhu toho rozkisznoho,
Prynesy meni pylynku
Ridnoji zemli, bo zahynu –
Proradu z żaliu za wamy,
Ridnen'kymy storonamy¹⁷.

¹⁶ Українською музою натхненні. (Польські поети, які писали українською мовою), Київ 1971, s. 217.

¹⁷ Tamże, s. 220.

Motywy powyższych słów Świącickiego (tęsknota za rodzimym krajem, opis przyrody) kojarzą się z jego przekładem ukraińskim sonetu Adama Mickiewicza *Do Niemna*. Zasluga Świącickiego jako tłumacza Adama Mickiewicza i Aleksandra Puszkina polega w tym, że jako jeden z pierwszych zapoznał czytelnika ukraińskiego z ich twórczością.

W tymże okresie Paulin Świącicki zaprezentował kolejny gatunek literacki – bajkę. Pierwsze wydanie zbioru pod nazwą *Bajki. Podarunek małym dzieciom (Bajki. Darunek małym dzieciom)* bez zaznaczenia autorstwa ujrzało świat w 1864 roku we Lwowie i zawierało 58 utworów. Drugie wydanie, uzupełnione i zmienione, ukazało się pod nazwą *Bajki w nauku młodym i starym napysaw Pawło Swij (Bajki ku nauce młodym i starym napisał Pawło Swij)* w 1874 roku za wsparciem towarzystwa Proswita. W wydaniu drugim liczba bajek jest większa – ogólnie zbiór liczy 93 utwory, w tym 69 wierszowanych i 24 prozatorskie. Pisząc bajki, Świącicki naśladował wielu znanych bajkopisarzy – Stanisława Jachowicza, Iwana Kryłowa, Jeana de La Fontaine’a, Ignacego Krasickiego, czego dowodem są zarówno fabuły utworów, jak i ich przeróbki literackie.

Dużo tematów zaczerpnął z książki Jachowicza *Bajki i przypowieści* (1825); bajka *Zajec* Świącickiego odpowiada bajce *Wyszedł zając z za krzaka* Jachowicza; *Zhoda – Strumyk i kwiateczki*; *Kropywa (Pokrzywa) – Zuzia i pokrzywa*; *Malomu złodijewi (Małemu złodziejowi) – Chłopczyk ukarany*; *Did i kamin’ (Dziad i kamień) – Żebrak i kamień*; *Wowk w oweczij szkuri (Wilk w owczej skórze) – Wilk w baraniej skórze*; *Skala i kaplia wody (Skala i kropla wody) – Skala i kropla*; *Metelyky i husenyci (Motylki i gąsienice) – Motyl i gąsienica*; *Wil i mucha (Wół i mucha) – Jeleń i mrówka*; *Pes na sini (Pies na sianie) – Pies i krowa* itd.

Można łatwo zauważyć reminiscencje utworów Jachowicza w prawie wszystkich bajkach Świącickiego. Wprowadzał on jedynie drobne zmiany w nazwie utworów, imionach bohaterów bądź osobnych elementach kompozycji. Na co zwrócił uwagę w swojej pracy W. Radzykiewicz, bajka Świącickiego pod tytułem *Hryc* jest odpowiednikiem *Stasia* Jachowicza:

Placze Hryc’ malen’kyj: nowen’ku swytnu
 Zamazaw bolotom, wpawszy koło tynu.
 „Ne placz, Hryciu! – maty każe, –
 Choť sia swytka trochy wmaże –
 Można sterty. Aby, synu,

Wik buw czystyj aż do smerti,
Bo ne można złocho czynu,
Jak boloto, lehko sterty”¹⁸.

W oryginalnej wersji Jachowicza ten fragment brzmi następująco:

Staś na sukni zrobił plamę
Płacze i przeprasza mamę.
Korzystając z chwili mama,
Rzecz: „Na sukni wypierze się plama;
Ale strzeż się, moje dziecię,
Brzydkim czynem splamić życie:
Bo ci, Stasiu, mówię szczerze
Ta się plama nie wypierze!”¹⁹.

Świącicki korzystał też z utworów rosyjskiego bajkopisarza Iwana Kryłowa – adaptował je do wersji bardziej zrozumiałej i dostępnej dla dzieci, które były grupą docelową jego bajek. Oryginalne utwory ulegały więc skróceniu, usuwano zbyt szczegółowe opisy przyrody i cech bohaterów, przyspieszało to również tok akcji.

Do bajek Kryłowa, które stały się podstawą do napisania przez Świącickiego własnych utworów, należą: *Wól i liaguszka* [*Wół i żaba*, zmieniono na *Wil i żaba* (*Wół i żaba*)], *Krestianin i smiert'* [*Włościanin i śmierć*, zmieniono na *Did i smert'* (*Dziad i śmierć*)], *Starik i troje molodych* [*Stary i trzech młodych*, zmieniono na *Did i molodi parubky* (*Dziadek i młodzi chłopcy*)], *Lisica i winograd* [*Lis i winogrono*, zmieniono na *Wynohrad i lysycia* (*Winogrono i lis*)], *Worona i lisica* [*Wrona i lis*, zmieniono na *Lys i worona z syrom* (*Lis i wrona z serem*)], *Pietuch i żemciużnoje ziarno* [*Kogut i perłowe ziarno*, zmieniono na *Kurka i dorohe kaminnia* (*Kura i drogie kamienie*)], *Zierkalo i obiezjana* [*Małpa i lustro*, zmieniono na *Malpa i dzerkalo* (*Małpa i lustro*)] i wiele innych.

Przerabiając literacko utwory Rosjanina, Świącicki nie mógł naśladować stylu Kryłowa, o ile chciał pisać aktualnie i zrozumiale dla dzieci. Dlatego często skracał pragmatyczną treść bajki, nie skupiał się na charakterystyce postaci, aktualizując natomiast akcję. Przykładem może być oryginalna bajka Kryłowa *Orzeł i pająk*.

¹⁸ Tamże, s. 224.

¹⁹ В. Радзикович. Павлин Свенцицький. Публіцистична, наукова та літературна його діяльність, ЗНТШ, 1911, Кн. III, s. 180–181.

Święcicki nie tylko skrócił rozmowę orła z pajakiem, która jest u Kryłowa bardzo szczegółowo opisana, ale też ominął drugą część bajki i jej epilog, w tym także morał, który najwidoczniej Święcickiemu nie pasował.

Część bajek Święcickiego to przeróbki utworów de La Fontaine'a (*Skarb, Ojcowska nauka, Obce dobro, Zając i żółw, Dzbanek mleka*). W niektórych utworach można dostrzec wpływy twórczości Ignacego Krasickiego. Na przykład bajka Święcickiego *Rika i riczky (Rzeka i rzeczki)* jest oparta o bajkę polskiego pisarza zatytułowaną *Potok i rzeka, Mysz i rawlyk (Mysz i ślimak) – Żółw i mysz, Szabla i pluh (Szabla i pług) – Chleb i szabla, Dwa konie – Konie, Mysz – Mysz i kot*. Porównajmy fragmenty z bajki Święcickiego *Dwi ptaszki (Dwa ptaki)*:

Moloda ptaszka smijalas' zi staroji:
I w dobri vse lycho dlia tebe, durnoji!
Wolodila polem, w klitce wseho maje,
A za lychom tużyť, placze i rydaje!...
– Ne za tym ja placzu, szczo holod terpila,
Tomu sliozy lliut'sia, szczo w swobodi zyła.
Teper u newoli marne propadaju –
Ot czoho ja placzu, czomu zawywaju.

– oraz oryginalnej bajki Krasickiego *Ptaszki w klatce*:

– Czego płaczesz? – staremu mówił czyżyk młody, –
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody,
– Tyś w niej zrodzon, – rzekł stary, przeto ci wybaczę,
Jam był wolny, dziś w klatce, i dlatego płacę²⁰.

Mimo że bajki Święcickiego nie mają wielkiej wartości literackiej, nie można też podważać ich roli w rozwoju literatury i zaprzeczać faktowi, że w taki sposób pisarz zapoznał ukraińskiego czytelnika z najlepszymi realizacjami gatunku. Wiemy zwłaszcza, że utwory Święcickiego wchodził do szkolnych lektur obok bajek Jewhena Hrebinki i Łeonida Hlibowa.

Porównanie bajek Święcickiego z utworami źródłowymi świadczy o tym, że nadał on swoim utworom autentycznie ukraiński charakter. Bajki Święcickiego, jak zaznaczał Mychajło Woźniak, „wyróżniają się lekkim stylem i ładnym językiem. Dlatego weszły one do różnych czytanek szkolnych i doczekały się trzech

²⁰ В. Радзикевиц, *Павлин Свенцицький. Публіцистична, наукова та літературна його діяльність*, ЗНТШ, 1911, Кн. III, s. 187.

wydań (1874, 1876, 1892)”. Iwan Franko pisał, że Świącicki „w naszej literaturze zostawił po sobie dobrą pamiątkę w postaci *Bajek*”.

Ukraińskojęzyczne bajki są zapewne najcenniejszym wkładem Świącickiego w historię literatury ukraińskiej. Analiza bajek Świącickiego oraz ich porównanie z utworami wspomnianych autorów pozwalają na stwierdzenie, że większość tekstów Świącickiego była twórczym, zmienionym przekładem innych bajek. Jednak natrafiamy też na utwory o oryginalnej fabule – na przykład *Ptaszka w klatce* (*Ptak w klatce*), *Petrus’ na lawci* (*Piotruś na ławce*), *Puchir* (*Pęcherz*), *Sawa*, *Iwaś*, *Horiwka*, *Osel i solowejko* (*Osiół i słowik*), *Żuk i bdziłky* (*Żuk i pszczołki*), *Mysz i myszenia* (*Mysz i myszątka*), *Nauka*, *Porochno* (*Próchno*), *Baraban* (*Bęben*). Niewątpliwie starania autora, by samodzielnie pisać fabuły utworów, są znamienne, warto jednak zaznaczyć, że wartość artystyczna tych bajek jest najczęściej niezbyt wysoka.

Niektóre z oryginalnych bajek Świącickiego trudno zakwalifikować do tego gatunku. Zawierają one główny obraz, morał, lecz brakuje im podstawowego składnika gatunku – alegorii. Na przykład:

Bihaw, skakaw malyj Iwan.
Aż hliań –
I nohu het’ skrutyw –
Ne bulo b toho, moi dity,
Jakby win tyho posydiw.

Jeśli w wydaniu pierwszym wszystkie bajki były rymowane, to w drugim znalazło się już wiele napisanych prozą. Są one adresowane przeważnie do mieszkańców wsi, więc Świącicki usiłował adaptować bajki do światopoglądu ukraińskich chłopów z Galicji, powiązać je z lokalnymi zwyczajami. To dążenie autora widać w bajkach *Horilka* (*Gorzalka*), *Kinec’ linywoho* (*Koniec lenia*), *Szkola* (*Szkoła*), *Na sud* (*Do sądu*). Tu właśnie Świącicki opisuje nieszczęście, które przynosi alkohol, dobro, które przynosi szkoła, lub ostrzega włościan przed rozprawami sądowymi. Prozatorska bajka *Do sądu* kończy się morałem: „Chcesz mieć kawał chleba – strzeż się prawowania”.

O bajkach Świącickiego można dziś pisać jedynie w kluczu literacko-estetycznym – oryginalnych bajek jest mało, nie sięgają one podstaw życia społecznego i narodowego Ukraińców. Prawie wszystkie mogą być natychmiast przystosowane na każdym innym gruncie kulturowym. W tradycję natomiast przeróbki literackiej Świącicki wiele wniósł. Zapewne jego utwory nie mogą

dorównać żadnemu z pierwowzorów, ale łatwy, prosty i oryginalny styl tych bajek, ładny, żywy język stanowią ich największą wartość. Częstotliwość ich publikacji na Ukrainie zachodniej, wzbogacenie o nie szeregu popularnych wydań oraz zamieszczanie w podręcznikach szkolnych stanowią dostateczne świadectwo uznania dla ich autora.

Redaktor, tłumacz

Gdy warunki pracy w teatrze stały się dla Świącickiego nie do zniesienia (konkurencja z dyrektorem teatru Baczyńskim, szerzenie się tendencji moskwofilskich wśród czołówki teatru), Paulin znów zmienił zawód, próbując swoich sił jako literat i publicysta. W tym celu w 1866 roku założył czasopismo o nazwie „Sioło” (1866–1867), w którym zamierzał drukować polskie oraz ukraińskie utwory, a także teksty w transliteracji łacińskiej w celu dotarcia do większej liczby odbiorców. O zadaniach, które wyznaczał piśmiu, można przeczytać w przedmowie:

Wydaje się nam zbędne sięgać po dowody na to, czy obok polskiej i moskiewskiej narodowości istnieje też trzecia – ukraińska lub ruska narodowość. Jest tak dlatego, że rzecz się sama przez się rozumie. Na obszarach od Bałtyku do Morza Czarnego, od Kaukazu i za Karpaty widać osiadły naród piętnastomilionowy, który mówi w jednym języku, ma wspólne obyczaje, jest wierny swoim tradycjom i ma jedną nadzieję. Podziwiamy poetyckość tego narodu, te wartości, którymi promienieje, które u nas wywołują szacunek; wśród tego narodu żyjemy od stuleci, ani siebie od niego, ani jego od nas nie damy rady oddzielić; lubimy go i drogie jest dla nas to wszystko, co on lubi. Obok narodu lubimy też ziemię ojczystą, wspólnie z nim ubolewamy nad nieszczęściem, razem z nim oczekujemy na szczęśliwe dni. Oto jest nasza myśl przewodnia, oto zasada naszej pracy!²¹

Pozostając pod mocnym wpływem twórców „szkoły ukraińskiej” i dorobku Tarasa Szewczenki, w „Siole” i jako tłumacz Paulin Świącicki często stosował środki stylistyczne, które można spotkać w ich twórczości (zwłaszcza naśladowania dźwięków), zapożyczał też od nich wątki (jak opis mogiły na tle podolskiej nocy).

²¹ *Słowo wstępne*, w: „Sioło. Pismo zbiorowe poświęcone rzeczom ludowym ukraińsko-ruskim” 1866, z. I, s. 1.

Dużo więcej uwagi Świącicki poświęcił tłumaczeniom utworów klasycznych, zarówno literatury ukraińskiej, jak i polskiej, uważając je za ważny i niezmienny szlak wiodący do pogodzenia obu narodów, ich przymierza i jedności. Pisarzowi nie zawsze udawało się trafnie i wiernie przekazać nastrój, klimat i styl oryginału. Łatwo tłumaczył z ukraińskiego na polski utwory Marka Wowczka, Jurija Fedkowycza, Pantelejmona Kulisza, jednak przekłady Mickiewicza w jego ujęciu nie zainteresowały czytelnika w powodu ciężkości stylu. Wiemy też o tym, że w 1871 roku Świącicki przekładał niektóre powieści Mikołaja Gogola i *Co robić* Czernyszewskiego. Wybór swój motywował nie tylko tym, że Gogol miał pochodzenie ukraińskie – według Świącickiego, pisarz działał z niezwykłą siłą na czytelnika, nade wszystko swym kunsztem opisu otaczającego świata oraz głęboką znajomością i świadomością najbardziej ukrytych zakątków duszy ludzkiej.

Świącicki nadto popularyzował utwory bliskiego mu Tarasa Szewczenki, przedrukowywał łacinką wiele jego poezji, zwłaszcza *Katerynę*, *Neofitów*, *Topole*, *Najmyczkę*, *Trzy szlaki* i inne. Niektóre utwory Kobzarza Świącicki przetłumaczył na język polski, żeby je drukować w czasopiśmie „Sioła” i innych wydaniach lwowskich i krakowskich. Tak więc w polskim przekładzie, maksymalnie zbliżonym do ukraińskiego oryginału, czytelnicy mieli możliwość poznać takie utwory, jak: *Kaukaz (Kaukaz)*, *Rozryta mohyla (Rozkopana mogiła)*, *Czyhyrynie*, *Czyhyrynie*, *Mynajut’ dni, mynajut’ noczi (Mijają dni, mijają noce)*, *Rano wranci nowobran’ci (O poranku rekruci)*, *Pustka (Pustkowie)*, *Sadok wysznewyj kolo chaty (Sad wiśniowy koło chaty)*, *Zapowit (Testament)*. Utwory Szewczenki były dla Świącickiego także niewyczerpalnym źródłem inspiracji przy pisaniu własnych dzieł.

Oprócz poezji Tarasa Szewczenki, na stronach „Sioła” ukazywały się utwory Fedkowycza [*Rym (Rzym)*, *Neapil (Neapol)*, *Dobosz*, *Jurij Hinda*, *Woskresny*, *Bojane (Zmartwychwstań, Bojanie)*, *Praznyk u Takowi (Święto w Takowie)*, *Kyrczali*], Kwitkyi-Osnowianenki (*Marusia*), Marka Wowczka (*Instytutka*). Mówiąc o roli przekładów Świącickiego dla obu literatur, można stwierdzić, że „oceny tych przekładów – ukraińskich, jak i polskich – należy dokonywać co najmniej pod dwoma względami: kulturowym i literackim. Wartość ich zaś dla rozwoju kultury jest niezaprzeczalna. Świącicki, niewątpliwie, z jednej strony wzbogacił literaturę ukraińską o przekłady z literatur zachodnich, a szczególnie polskiej,

z innej strony – usiłował zapoznać czytelnika polskiego z bogactwem literatury ukraińskiej, zwłaszcza tej ludowej, w całej jej różnorodności”²².

Należy też dodać, że każde wydanie „Sioła” było uzupełniane w specjalistyczny słownik ułożony dla wygody czytelnika. Oprócz klasyków literatury ukraińskiej na łamach „Sioła” drukowano też różne artykuły publicystyczne, naukowe i polemiczne, w których najczęściej poruszano kwestie stosunków polsko-ukraińskich. Tego tematu dotyczyły zwłaszcza artykuły Świąćickiego *Słowianie, Szafaryk się mylił, Historia i etnografia*. Wątkiem przewodnim łączącym te prace było słowianofilskie potraktowanie dziedzictwa historycznego i kulturowego plemion słowiańskich. Autor udowadniał, że język ukraiński stanowi język osobny od „moskiewskiego” i bronił jego prawa do samodzielnego istnienia.

Paulinowi Świąćickiemu udało się wydrukować cztery numery „Sioła”, prześląknięte duchem demokracji i dobrego sąsiedztwa jako podstawy współistnienia obu narodów. Czasopismo przestało się ukazywać z kilku powodów. Istotną rolę w decyzji o wstrzymaniu publikacji odegrały względy finansowe, chociaż, jak zaznaczał Świąćicki, gdyby zwiększyć liczbę prenumeratorów, byłby on gotowy do kontynuowania pracy. Nadal zbierał więc materiały do kolejnych numerów „Sioła”. Ponadto ukazanie się tego czasopisma wywołało niejednoznaczną reakcję społeczną – na przykład koledzy Świąćickiego z „Dziennika Literackiego”, „Czasu” i „Gazety Ludowej” przychylnie i entuzjastycznie przyjęli nowe wydanie. Jednak czytelnicy – zarówno polscy, jak i ukraińscy – nie okazali większego zainteresowania. Przyczyną mógł być brak zaufania do Świąćickiego z obu stron. Pisarz zdawał sobie sprawę z tego, że czasopismo było adresowane tylko do sił demokratycznych, o czym świadczą jego słowa: „Jak się zabraliśmy do naszej roboty, wiedzieliśmy dobrze, że »Sioło« nie wywoła entuzjazmu publiczności”²³.

Mimo prowadzenia własnej działalności wydawniczej, Paulin Świąćicki w tym okresie współpracował też z innymi czasopismami, zwłaszcza redagował lwowskie pisma polskie, takie jak „Wiadomości” lub „Szkola”, pisał do „Dziennika Literackiego”, czasopism „Kalina”, „Strych”, „Niwa”, „Meta”, „Zorza Galicyjska”. Tu też nie rezygnował z idei popularyzacji kultury ukraińskiej.

Praca ta jednak nie odpowiadała w pełni jego potrzebom finansowym i nie przynosiła dochodu wystarczającego na utrzymanie rodziny. Zatem po raz kolejny

²² D. Świerczyńska, *Paulin Świąćicki. Dramat pisarza pogranicza...*, s. 205.

²³ В. Радзикевич, *Павлин Свенцицький...*, Кн. II, s. 136.

zdecydował się na zmianę w życiu zawodowym i objął stanowisko nauczyciela w gimnazjum ukraińskim we Lwowie. Oprócz tego chciał awansu i planował zostać profesorem w katedrze języków słowiańskich na Uniwersytecie Lwowskim. W tym celu Świącicki ze wsparciem profesora z Zagrzebia Franca Miklošicia odbył zdalny kurs w Wiedniu, z sukcesem zdał egzaminy, a później nawet wstąpił na Uniwersytet Lwowski.

O tym okresie działalności pisarza nieraz w swoich publikacjach wspominał przychylnie Franko, uważając, że Świącickiemu „należy się miejsce jako jednemu z niewielu Polaków, którzy umieli patrzeć na sprawę ukraińską bez uprzedzenia narodowego”, nazywał go „dość utalentowanym pisarzem, który był dobrym znawcą języka i literatury ukraińskiej”. Zaznaczał też, że był on „człowiekiem postępowym, energicznym i żywym, niemal pierwszym z Polaków, który zwrócił uwagę Polaków galicyjskich na konieczność bliższego poznania Ukraińców, ich życia wewnętrznego i umysłowego, na konieczność traktowania ich jako braci oraz na wielkie znaczenie dobrych stosunków z Ukraińcami dla przyszłości obu narodów”²⁴.

W czasach działalności dydaktycznej spod pióra Świącickiego wyszła praca *Wik XIX w dijach ukrajns'koji literatury* (*Wiek XIX w dziejach literatury ukraińskiej*), będąca swoistą syntezą myśli i przekonań autora. Wołodymyr Radzykiewicz podkreślał, że choć praca ta ma raczej pozanaukowy charakter, jest jednak bezcenna jako „poetycki hymn ukraińskiej poezji ludowej i ukraińskiej literatury ludowej, powstały z wielkiej miłości do narodu ukraińskiego, zespolony z najszczerzszymi uczuciami autora, rozjaśniony promieniem prawdziwej poezji i napisany krwią”²⁵.

Niestety, nie udało się Świącickiemu zrealizować ambitnych planów i marzeń o karierze wykładowcy. W tym czasie twórca był już wycieńczony postępującą gruźlicą. Pracować nie mógł ze względów zdrowotnych, na leczenie brakowało środków. Pisarz zabrał się zatem za tworzenie dramatów historycznych, które pisał, by wziąć udział w różnych konkursach. Dramaty historyczne zebrały przychylną opinię krytyków, kilka razy je ponownie drukowano, jednak nie zmieniło to zasadniczo sytuacji finansowej chorego autora, ponieważ żadnej nagrody pieniężnej Świącicki nie otrzymał.

²⁴ І. Франко, *Твори в 50-ти томах*, Кіјів 1980, Т. 28, s. 201.

²⁵ В. Радзикович, *Павлин Свенцицький...*, Кн. II, s. 144.

Mimo że dramaty historyczne Paulina Świąćickiego nie zawsze odpowiadały wymogom gatunku i nie wyróżniały się oryginalnością fabuły, stanowiły one przede wszystkim wielką wartość z punktu widzenia swoistej retranslacji poglądów autora, jego przekonań, poszukiwania rozwiązań dla problemów nabrzmiewających w ówczesnym społeczeństwie.

Oprócz wspomnianych utworów Świąćicki opublikował kilka recenzji literackich i teatralnych oraz artykułów, w których poruszał aktualne wówczas tematy. Niektóre z nich to *Zbieranie materiałów etnograficznych* (wydrukowano w „Wiadomościach”, 1867), *O szkole* (ukazał się w czasopiśmie „Tydzień”, 1875), *Odmiana zaimków, sprawa językowo-porównawcza* (1873 rok). Jednak te szkice publicystyczne i językoznawcze miały raczej charakter amatorski, były podobne do analogicznych badań niemieckich i rosyjskich.

Pisarz zmarł 12 września 1876 roku w wieku 35 lat, zostawiwszy po sobie bardzo wiele przetłumaczonych, adaptowanych i autentycznych utworów.

Cechą charakterystyczną Świąćickiego jako pisarza polskiego jest to, że pełnymi garściami czerpał z życia ukraińskiego narodu, kontynuując tradycję polskich pisarzy „szkoły ukraińskiej”. Należy jednak pamiętać, że w ciągu XIX wieku, zwłaszcza w drugiej połowie, niektórzy pisarze polscy, wykorzystując w swoich utworach tematykę ukraińską, będącą podstawowym tematem „szkoły ukraińskiej”, wychodzili już poza jej granice i sami pisali utwory w języku ukraińskim. Honorowe miejsce wśród tych autorów należy się Paulinowi Świąćickiemu.

Krótkim życiem i różnorodną twórczością Paulin Świąćicki nieraz udowodniał miłość do narodu ukraińskiego, szczerze martwił się o jego losy, pragnął usilnie zbliżenia Polaków z Ukraińcami na drodze do wspólnego celu: pokonania wroga, czyli Moskwy. Świąćicki robił wszystko, co było w jego mocy, by pokazać Polakom niezwykłą wartość kultury ukraińskiej, jej piękno i autentyczność. Uważał, że tylko poprzez poznanie i wzajemne zrozumienie można osiągnąć harmonię między dwoma narodami. Tak więc dorobek Paulina Świąćickiego jest szczególnie ważny nie tylko w kontekście działalności następców „szkoły ukraińskiej”, ale też istotny dla ogólnego rozwoju literatury ukraińskiej. Nie wyczerpuje się w tej ocenie określony tu pobieżnie portret literacki Świąćickiego, którego dorobek polsko-ukraiński nie tylko nie stracił wartości, lecz przeciwnie – poniekąd pozostaje bardzo aktualny do dziś.

Dlatego ważne wydaje się przygotowanie dwujęzycznego wydania jego utworów oraz monografii o tej znamiennej dla polsko-ukraińskich stosunków osobowo-

ści. Sugeruje to również cieszący się niewątpliwym autorytetem badacz twórczości pisarza, profesor Wołodimir Radzykiewicz, pisząc:

Zasługa Świącickiego dla społeczności ukraińskiej jest ważna pod trzema względami. Po pierwsze, jego działalność w Galicji w dużej mierze sprzyjała rozwojowi tożsamości narodowej wśród galicyjskich Ukraińców; po drugie, przyczyniała się do wyświecenia kwestii ukraińskiej w społeczeństwie polskim, zmierzając do jasnego sformułowania polsko-ukraińskich stosunków w przyszłości; po trzecie, wzbogaciła literaturę ukraińską w utwory wielkiej wagi²⁶.

*

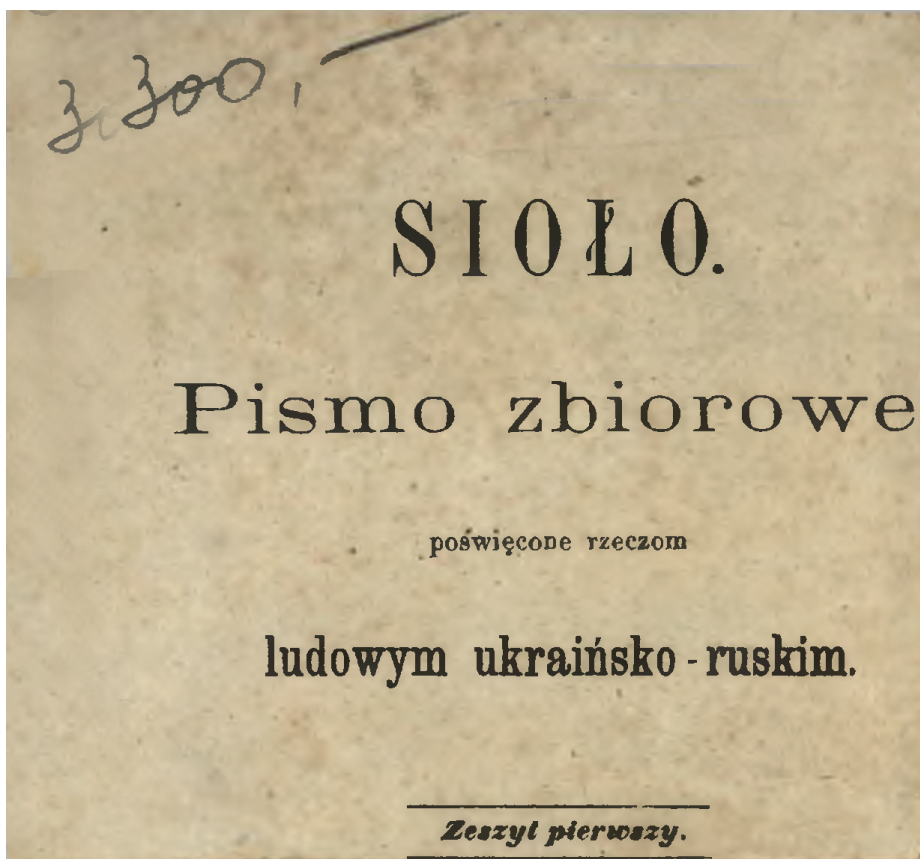
Ukraińskie wydania, w których drukowano utwory Paulina Świącickiego:

– *Українська дожовтнева байка* [Текст]: Антологія, упоряд. Б. Деркача, Київ 1966, с. 191–195.

– *Вік XIX у діях літератури української*: Відчит П. Свенціцького вчителя Академічної гімназії, Львів: Підмогою т-ва «Просвіта»; [Друк. Ставропіг. Ін-та. Під зарядом С. Гучковського], 1871, с. 16.

– *Поети пошевченківської доби: збірник*, упоряд., вступ. ст. та комент. А. І. Костенко, Київ: Радянський письменник, 1961, с. 289–295.

²⁶ В. Радзикович, *Павлин Свенцицький...*, Кн. II, с. 189.



Zeszyt 1 (1866) redagowanego przez Święcickiego czasopisma „Sioło. Pismo zbiorowe, poświęcone rzeczom ludowym ukraińsko-ruskim”

ZASADY WYDANIA

1.

Podstawowym zamiarem edytorskim było nowe wydanie powieści Paulina Świąteczkiego, niemal nieobecnych w recepcji naukowej oraz w świadomości czytelniczej. Nie istnieją współczesne wydania dzieł Świąteczkiego, a dostępność do powieści *Moskal. Powieść z ostatnich czasów*, która pozostaje w zasobach Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego, jest utrudniona. Nie został udostępniony dotychczas tekst mowy Jana Grzegorzewskiego: *Mowa na pogrzebie ś.p. Paulina Świąteczkiego miana w dniu 14 września 1876 na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Lwów 1876*; został on pozyskany ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej (Stary Katalog BJ skrzynka 856, karta 65). Utwory Świąteczkiego są dziś w wydaniach XIX-wiecznych prawdziwymi białymi krukami, między innymi stąd pilna potrzeba ich przypomnienia (warto jednak brać w tym kontekście także pod uwagę ich wartość artystyczną, język, dialogiczny, międzykulturowy charakter).

W niniejszym wydaniu publikujemy reprezentatywną część prozatorskiej twórczości Świąteczkiego bezpośrednio związaną z ukraińską szkołą w literaturze polskiej (wyjątkiem jest tu *Moskal*) – osobnego wydania domagają się: *primo*, jego opowiadania poświęcone powstaniu styczniowemu, *secundo*, jego dramaty, *tertio*, pisma polemiczne, satyryczne i publicystyczne.

Rozproszona twórczość jednego z ostatnich polskich romantyków z pewnością wymaga opracowania i opublikowania w zbiorze umożliwiającym badanie tych utworów oraz wygodne z nich korzystanie przez czytelników. Literaturoznawstwo ukraińskie zgłasza z kolei od dawna potrzebę opublikowania na Ukrainie dwujęzycznego wyboru prac Świąteczkiego, w tym także przekładów z polskiego na ukraiński jego najważniejszych powieści. Z korzyścią dla literatury i kultury polskiej byłoby również przygotowanie krytycznego wydania twórczości publicystycznej Świąteczkiego, zamieszczanej w wielu czasopismach polskich i ukraińskich, a także w założonym przez niego polsko-ukraińskim piśmie „Sioło”.

Utwory pomieszczone w niniejszym tomie zostały zaprezentowane chronologicznie, w kolejności czasu ich powstania.

2.

Teksty pomieszczone publikujemy na podstawie wydań drukiem zwartym autoryzowanych przez autora (konfrontując tekst wydania książkowego z pierwodrukami gazetowymi):

- I. *Przed laty. Powieść ukraińska*, napisał Paulin Stachurski, Lwów: M. F. Poręba, 1865, 189 s.
– publikacja prasowa: „Dziennik Literacki” 1865, numery 70–78.
- II. *Trójka. Powieść*, przez Paulina Stachurskiego, T. I, Lwów: K. Piller, 1868, [2], 214 s.
– *Trójka. Powieść*, przez Paulina Stachurskiego, T. II, Lwów: K. Piller, 1868, 258 s.
– pierwodruk prasowy: „Dziennik Literacki” 1866, numery 26–42.
- III. *Opowieści stepowe Paulina Stachurskiego*, Lwów: A. Skerl, 1871, 194, [4] s.
- IV. *Moskal. Powieść z ostatnich czasów*:
– „Nowiny” 1867, numery 1–9.
- V. *Wycieczka do Pionin*, przez Paulina Stachurskiego, Lwów: Gubrynowicz i Schmidt, 1869, [4], 118, [2] s.

Utwory znajdujące się w *Aneksie* zostały opublikowane na podstawie wydań dostępnych na portalu polona.pl, oprócz tekstów J. Grzegorzewskiego i wstępu do zbioru *Z dziejów Ukrainy*, które drukujemy za wydaniem:

- Jan Grzegorzewski, *Mowa na pogrzebie śp. Paulina Świąteczkiego miana w dniu 14 września 1876 na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie*, w drukarni „Gaz. Narod.” J. Dobrzańskiego i K. Gromana, Lwów 1876, 11 s. (tekst został pozyskany ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej – Stary Katalog BJ, skrzynka 856, karta 65).
- *Z dziejów Ukrainy. Księga pamiątkowa ku czci Włodzimierza Antonowicza, Paulina Świąteczkiego i Tadeusza Ryłskiego*, wydana staraniem Józefa Jurkiewicza; pod red. Wacława Lipińskiego, Kijów 1912 (pozyskano z zasobów Biblioteki Narodowej).

3.

Pisownię, ortografię i interpunkcję tekstów zmodernizowano według zasad obowiązujących dla utworów XIX-wiecznych. Pod tym względem dzieła Świącickiego nie odbiegają zasadniczo od tekstów z epoki między 1848 a ok. 1890 rokiem. Język pisarza jest najczęściej klarowny, w pełni zrozumiały dla współczesnego czytelnika, ale nasycony słownictwem dotyczącym ziem południowo-wschodnich, ukraińskich dawnej Rzeczypospolitej, które objaśniono w przypisach. Zwraca uwagę również nasycenie tekstu specyficznymi dla tego obszaru toponimami, etnonimami, antroponimami i innymi rodzajami nazw własnych. Z tego powodu zdecydowano się w *Postłowi* na zamieszczenie fachowego komentarza onomasty specjalizującego się w badaniach pogranicza polsko-wschodniosłowiańskiego, dra Michała Mordania (*O Paulinie Świącickim i jego utworach z perspektywy onomastycznej*).

Opracowując teksty, zachowano następując zasady:

- Zmodernizowano końcówki: *kwestya – kwestia, prowincya – prowincja* itd.
- Wprowadzono współczesny zapis ortograficzny, np. zamiast *Rossya – Rosja* lub *z tąd – stąd* itp. Ujednolicono zasady stosowania wielkiej litery, zachowując ją jednak w tych niezbyt licznych przypadkach, gdy pisarzowi chodziło o podkreślenie wagi czegoś lub o ekspresyjne wyrażenie znaczeń.
- Tekst dostosowano do zasad współczesnej interpunkcji, zachowując wszystkie cechy ekspresyjnej interpunkcji autora.
- Zachowano jednak osobliwości zapisu we wszelkiego rodzaju nazwach własnych, imionach, nazwiskach.
- Nie zmieniano pisowni fragmentów, dialogów przywoływanych przez Świącickiego w języku ukraińskim lub w gwarze ruskiej.
- Nie modyfikowano zapisu innych wyrażen obcojęzycznych przywołanych w powieściach, chyba że zawierały one bezdyskusyjnie błędy druku.
- Przypisy redakcji oznaczano cyframi arabskimi 1, 2, 3..., zaś przypisy od autora /*. Ograniczono do niezbędnych informacje w przypisach ze względu na obfitość terminów, nazw, słów, jakie trzeba było wyjaśnić.
- Nie ingerowano w żadnym wypadku w graficzną strukturę tekstu: segmentację akapitową, podział na rozdziały i inne części dzieła. W nagłówkach rozdziałów zachowano pewne osobliwości zapisu i interpunkcji charakterystyczne dla tekstów XIX-wiecznych, np. kropkę po nazwie fragmentu tekstu.

PRZED LATY.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

NAPISAŁ

PAULIN STACHURSKI.

LWÓW.

NAKŁADEM MICHAŁA F. POREMBY.

1865.

Karta tytułowa wydania utworu Paulina Święcickiego (Stachurskiego)
Przed laty. Powieść ukraińska, Lwów 1865

Paulin Stachurski

PRZED LATY

Powieść ukraińska



Archip Kuindži (1842–1910), *Dniepr o świcie* (1881)

I.

B yło to na Ukrainie. W którym miejscu – nie zależy wam na tym, a mnie przyszła ochota nie mówić; dość, że była tam ziemia nasza święta, co to jak świat wielki drugiej takiej nie wyszukać; było niebo, którego błękity tak czarownie przemawiają do naszych serc i duszy; było i to powietrze rodzime, które nas krzepi i umacnia, a bez którego żyć nie można, boć zwyczajnie – nasze, kochane! A gdy wam i tego mało, to powiem, że była to piękna wioska nad brzegiem jeszcze piękniejszej rzeczki położona, którą ludzie jak raz Rosią¹ przezwali, to już jej tego imienia, gdyby na chrzcie świętym danego, odmienić nie można! Ej! Toż bo to ładna ta rzeczka i ładna! Jak to się już zgrabnie uwija pomiędzy granity, jak liczkami świeci i do gwiazdek mruga, że zczarowane wciąż się ino w nią wpatrują i śmieją się nawzajem i minki stroją, że ludzie jak patrzą, to i dziwują, i cieszą się, że to dwa piękne nieba u nich: jedno hen w górze, że i nie dostać, a drugie w rzeczce Rosi, które takż ino obaczyć, tą krasą jego polubować² się można, a więcej nie! Bo czy czółnem skoczysz, czy sam do wody wejdiesz, by gwiazdkę z wody wydostać, to ci, filutka³, zaśmieje się, zadrży w tysiąc fal, w pręgi i koła srebrzyste, mrugnie oczkiem figlarnie i – zniknie; a gdy na brzegu staniesz, to ona znów w wodzie i znów się do ciebie uśmiecha. O taka to czarodziejka, ta rzeczka! A takich w sławnej naszej Ukrainie niemało, co to im chyba siwy ba t' ko⁴ naszych stepów, Dniepr sławny, powagą, że wszystkie przed nim, jak przed starszyzną, uchylają głowy i albo z nim wraz płyną, albo hen gdzieś trzymają się z daleka.

Otóż było to jakoś wieczorem i właśnie w niedzielę, kiedy wszystko, co żyje, spoczywa po pracy, bo tak Bóg nakazał i tak się to u nas obyczajem wiedzie od lat, że i nie zapamiętać, a ponoć tak i od początku było.

¹ *Ros* – rzeka na Ukrainie, na Wyżynie Naddnieprzańskiej, prawy dopływ Dniepru.

² *Polubować się* – porozkoszować się, nacieszyć się.

³ *Filutka* – figlarka, spryciarka.

⁴ *Bat'ko* – ojciec, ojczulek.

Wieczór był taki kraśny⁵, a taki już kraśny, że go i w pieśni takiego nie było, a równego mu nie znaleźć na świecie! Ano powiedzże mi kto, iż kłamię. Możecie wy kaszę mleczną w zapiecku jedli, a mnie bieda nosiła po czużynie⁶, a przeciw wieczora takiej krasy nie przydybałem⁷ nigdzie. Bo to już gdy niebo, to niebo! Karbowańca⁸ ci za każdy kawałeczek chmurki, którą na tym błękitcie wynajdziesz!... A w powietrzu to rozkosz Boża, że człowiek myśli, czy już do rajy nie przywędrował; a dookoła tak pięknie... ta – com ja tu opisywać wziął się? Chyba moja siła tak opowiedzieć, jak to tam bywa. Otóż nie powiem! A kto ciekaw, niech pójdzie, obaczy i przekona się; a gdy kłamałem, to niech mnie w gromadzie, na wstyd, kłamcą obwoła – ot co!, ale moja prawda będzie, bo takiego wieczoru jak na Ukrainie nie wyszukać, nie wyszukać w świecie!

Nad samym brzegiem Rosi, że się prawie w jej wodzie przegląda, stoi porządnie zabudowane gospodarstwo. To chata starego Chwedora, którego wieś cała poważa, ojciec duchowny do stołu sadowi⁹, arendarz¹⁰ w czas szabasu¹¹ zdejmuje sobolową czapkę przed nim, ba – i sam dziedzic Starosta zna osobiście, i z częsta na jego podwórze zachodzi, przypatruje się gospodarstwu, bo to pan dobry w gromadzie i przeciw niemu chyba to powiedzieć, że lach i pan, *taj hodi!*¹²

Zabudowanie Chwedora porządne: chata z kręglaków¹³ stawiana, niewielkie czyste okienka wyglądają spod pięknie poszywanej snopkami strzechy; w gumnie¹⁴ chleba¹⁵ dostatek, a obory i stajnie także niepuste; cztery pługi pod szopą leżące świadczą o dostatku gospodarza, który, chwalić Boga, na nic się uskarżać nie może; toteż żyje uczciwie i o ludzkiej biedzie zna tylko z posłyszenia, bo sam jej nie kosztował od maleństwa. Tak to już ono bywa: komu szczęście,

⁵ *Kraśny* – piękny.

⁶ *Czużyna* – obczyzna.

⁷ *Przydybać* – spotkać, zobaczyć.

⁸ *Karbowaniec* – rubel na dawnej Ukrainie, nazwany tak zapewne od karbów (nacięć na monecie).

⁹ *Sadowić* – sadzać, pokazywać miejsce przy stole.

¹⁰ *Arendarz* – karczmarz, szynkarz.

¹¹ *Szabas* – u Żydów: siódmy dzień tygodnia, przypadający w sobotę, obchodzony jako święto już od piątku wieczorem.

¹² *I basta*.

¹³ *Kręglak (krągłak)* – nieciosana sztuka okrągłego drewna, stosowana jako materiał budowlany.

¹⁴ *Gumno* – stodoła.

¹⁵ *Chleb* – tu: niewymłócone zboże.

to – jak mówią – i z rękawa się sypie, a jakże już innemu bieda, to taka, że ani wiesz, ani znasz, skąd się bierze, i tak ciśnie, tak dolega, że, ot, chyba zapłaczesz – ta i tyle!

Księżyc i gwiazdki świecą, miły wietrzyk przewiewa i płacze się wesoło z szumem fal rzecznych, które podniesie, to puści, a te zaświecą srebrem księżycą, zachwieją się... zachwieją i – dalej w świat popłyną, gdzie indziej weselić ludzi swą krasą. Od karczmy, co na wzgórkę stoi, dolatują dźwięki skocznej muzyki, co wygrywa mołojcom¹⁶ i krasawicom¹⁷, że aż się dusza raduje, aż sercu rozkosznie i miło.

Przed domem Chwedora, na przyzbie¹⁸, siedzi kilku ludzi dojrzałych wiekiem; przed nimi stół czystym obrusem zakryty, na którym napitek i zakąska. To Chwedor i sąsiedzi z wioski, co przy niedzieli zeszedli się mądrych słów jego posłuchać i zabawić się statecznie.

– Do was, kumie Matwiju, bo coś mi widzę zasumowaliście się¹⁹. Żeby lżej stało! – przypił²⁰ Chwedor do siedzącego na prawo gospodarza.

– Daj wam Boże! – odpowiedział tenże, wychylając swoją czarę. – Ot, jak wiecie, niejedno człowiekowi na głowie, to i nie dziwota, że czasem o wesołej kompanii i o czarce zapomni, a pogoni za tymi dumkami²¹, których chyba już nam nie pozbyć się do wieku!²²

– Ba! – ozwał się drugi – nie nasza to już siła... , snać²³ już tak potrzeba! Ot, i ja nieraz... , a tak, jak dobra kompania, to jakoś te biedy odchodzą. Do was, kumie!²⁴

– Ej, nie gniewalibyście Boga! Czy to jest czego turbować się i psuć sobie głowę nadaremnie? I wam, Matwiju, nie bieda: czy to ino wasz Osyp w Kozakach? Toż zwyczajnie – sławy zażywa i nam by radość, że kozakuje²⁵, ta²⁶ w świecie

¹⁶ *Mołojec* – młody Kozak, żołnierz kozacki.

¹⁷ *Krasawica* – piękna dziewczyna, piękna kobieta.

¹⁸ *Przyzba* (*przyźba*) – wał usypany z ziemi dokoła podmurówki dawnej chaty wiejskiej.

¹⁹ *Zasumować się* – zmartwić się.

²⁰ *Przypić* (*przepić*) – pić (zwykle alkohol), zwracając się do kogoś.

²¹ *Dumka* – tu: smętna, nostalgiczna myśl.

²² *Do wieku* – tu: do końca życia.

²³ *Snać* (*snadź*) – dawn. widać, widocznie.

²⁴ *Kum* – dawniej poufale: przyjaciel, towarzysz.

²⁵ *Kozakować* – być Kozakiem, żołnierzem kozackiego wojska.

²⁶ *Ta* – i, i też.

pobywa i, ot, obaczycie, jak kiedyś zawita do nas z Zaporozża²⁷ jakim atamanem²⁸, abo²⁹ co..., chyba to trudno?

– *Taże ni!*³⁰ Tam nie po pańsku, a czyja ręka mocna i serce niestrachliwe, to wyjdzie na starszego, że go i pany słuchać będą.

– Czemu nie! Taki tak. Kumie Matwiju! Za szczęście Osypa, żeby nas atamaństwem pocieszył!

– Dziękuję wam! Ono³¹ prawda – Osyp chłopiec zwyczajny i na ludzi wyjdzie, gdyby mu tylko tatarska strzała w poprzek nie stanęła...

– No, a jak i to, to wola Boża!

– Zwyczajnie – dola kozacza: im grzeszno umierać w pościeli...

– No! A wasza chudoba³², Wasylu?

– Taże to i turbacja³³ moja; wciąż myślę, że jak i to pozdycha, to mi chyba pójść po ludziach, bo chaty i roli nie utrzymam...

– Gadacie! – ozwał się Chwedor. – Da Bóg i bydełko ozdrowieje; a jakby, chowaj Boże, nieszczęście, toć i ludzie nie z kamienia, i pan wspomóże.

– Ta to wasza prawda, Chwedorze, ale człowiekowi jak już bieda nasiędzie, to jak niby zapomina o dobrych ludziach i Bożym zmiłowaniu... Wasze zdrowie! Że też to człowieka zawsze mądrym słowem rozważycie.

– Daj nam Boże! Ano, stara! – rzekł w okno gospodarz – daj no nam jeszcze wiszniaku³⁴, bo to przy niedzieli...

– A tak to i grzechu nie będzie, choć człowiek nietrzeźwo legnie na spoczynek. Zwyczajnie niedziela. Wasze zdrowie, swatu! Daj nam Boże i dzieciom naszym, i wszystkim dobrym ludziom...

– Daj Boże!

Pogadanka w ten sposób ciągnęła się dalej. Za niedługą chwilę wyniosła Chwedorowa gąsior wiszniówki i stawiając na stole, rzekła do męża półgłosem:

²⁷ *Zaporozże* – historyczna nazwa terytorium nad dolnym Dnieprem, leżącego poniżej tzw. porohów (progów skalnych na rzece).

²⁸ *Ataman* – dowódca wojsk i naczelnik osiedli kozackich.

²⁹ *Abo* – albo.

³⁰ *Pewnie, że nie.*

³¹ *Ono* – to.

³² *Chudoba* – żywy inwentarz, bydło lub ogólnie: skromny dobytek, niewielkie gospodarstwo.

³³ *Turbacja* – zmartwienie, kłopot.

³⁴ *Wiszniak (wiśniak, wiszniówka)* – nalewka z wiśni zalanych spirytusem.

– Coś mi niezwykajnie, że Iwanka nie ma dotychczas.

– Ot, zachciałaś – rzekł Chwedor – niedziela, toż i chłopcowi ochota: gdzieś tam pewno gra się³⁵ z towarzyszami!

– Oj, mówisz, o czym nie myślisz, czy to on jak inni? Żeby tylko, strzeż Boże, jakie złe się nie stało...

– Bajesz! Toż nie dziecina. I co mu się tam stanie? Wy, kobiety, to aby co – zaraz strachy..., a chłopcowi bajbardzo³⁶ – nie przyszedł, to przyjdzie.

Stara, postawszy chwilę i wypatrywszy ścieżki wiodące do chaty, westchnęła i przeżegnawszy się, poszła do gospodarstwa.

– To o waszym chłopcu mówicie, kumie Chwedorze? To on zawsze?...

– Ot, dziecko, później się ustakuje...

– Niezwykajny chłopiec... mówcie, co chcecie – rzekł kum Matwij, kiwając głową.

– Już to co prawda, to prawda! Nie wdał się w naszych chłopców i zupełnie inaczej...

– Ja to już sobie dawniej miarkowałem. Nieraz, bywało, idę ponad rzeczkę, a on siedzi na skale, ta tak ciężko zadumany, że mi i dziwno, i straszno jakoś. „Czegoś się zamyślał tak, Iwanku?” – zapytam, a on zatrzęsie się, popatrzy na mnie, a potem: „Ot, patrzałem sobie na skałę; ta mi się dziwnie zdało, że ni ona do rzeczki, ni rzeczka do niej nie przyjdzie, choć skała czeka, a rzeczka niby idzie”. To ja tylko żegnam się, bo kto mu wie, co na to powiedzieć! Abo i co innego tak powie, że człowiek tego nigdy nie słyszał.

– Niezwykajny chłopiec! To już powiedziano, niezwykajny!

– A dajcie już temu spokój! Co nam tu dzieciak ma mieszać *rozhowory*!³⁷
Do was, kumie! Daj nam Boże!

– Daj Boże!

– Ale chyba czy już nie pora do chaty? Bo kobieta będzie gderać jeszcze.

– Ba! Kobieta jak kobieta, ale wczasu trzeba, bo to jutro robota w polu.

– A mnie z furą wyruszać, to takóž trzeba się nałagodzić³⁸.

– Do was, kumie, na pożegnanie, daj nam Boże!

³⁵ *Grać się* – bawić się.

³⁶ *Bajbardzo* – tu: nic ważnego.

³⁷ *Rozmowy*.

³⁸ *Nałagodzić* – wydobrzeć, wypocząć.

– Daj Boże! – rzekł, przepijając Chwedor – a jakże, Maksymie, wróćcie z furą, to do mnie na słowo i na co Bóg dał.

– Taże³⁹ to już wiadomo...

– Dobrej wam nocy, sąsiedzie.

– Śpijcie zdrowi!

– Dobranoc!

– A wam, pani matko, takóŜ dobranoć! Nie wspominajcie złym słowem.

– E! Co bo wy? – rzekła Chwedorowa. – Czy to my, swoi ludzie, ta mamy się harukać⁴⁰. Dobrej wam nocy! A napędźcie Warwarę, by choć raz przyszła do mnie, a to i słychu nie ma...

– Dobranoc!... Dobranoc! – raz jeszcze ozwały się głosy podochoconych kumów Chwedora, których stąpanie czas jakiś słychać było na ulicy, ucinane rozmowy, a dalej ucichło za nimi i tylko odgłos zapóŹnionych biesiadników w karczmie zanościł wiatr do chaty Chwedora, przed którą – na wrotach wsparty – zdał się on nad czymś dumać, a zaś jego żona wypatrywała ze wszystkich stron pilnie. Po chwili rzekła z niespokojem:

– A jego jeszcze nie ma... Biedna moja godzina! MoŜe, nie dowóŹ BoŜe⁴¹, jakie nieszczęście...

– To prawda, Źe się trochę zasiedział...

Dalsze jednak uwagi Chwedora przerwane zostały piękną grą wiejskiej sopiłki⁴², z której wydobyta czarowna melodia, zda się, z biegiem rzeki płynęła ku wiosce. Była to nuta jednej z tych pieśni, które dźwięcznym potokiem płyną z duszy Ukraińca, zrodzone Bóg wie jak, obleczone w skromną, a tak uroku pełną formę, Źe długo, długo wsłuchując się, nie jesteŹ w stanie zdać sobie sprawę z wrażenia, które obudza w tobie ta muzyka dziwna, a tak charakterystyczna w sobie.

Świat muzyki jest dopiero w zaccątku; maluczka to dziecina, co ledwie o własnych siłach ostać się zdoła; wzrost jej w przyszłości, a jej rozkwit, siła, męskość – w Słowiańszczyźnie spoczywa: Dunaj i Dniepr ją na swym łonie wykołyszają, step

³⁹ *Taże* – pewnie.

⁴⁰ *Harukać* – kłócić się.

⁴¹ *Nie dowóŹ BoŜe* – nie daj BoŜe.

⁴² *Sopiłka* – narodowy instrument Ukrainy, wykonany z twardego drewna, z dziesięcioma otworami palcowymi.

rozłohyj⁴³ i Czarnej Góry⁴⁴ szczyty wyhodują młodziana, do męskości zaprawią na podziw całego świata!

Nie o tym myśleli Chwedorowie, słuchając coraz to bardziej, ku chacie zbliżającą się nutę czarownej płaczki – dumki⁴⁵; ale księżyc, co z za chmur ciekawie spojrział, dostrzegł łzę w oku kobiety, słyszał cichą modlitwę z ust starca w niebo płynącą.

– To on!... – wyszeptwała matka, drżąc, by i jednej słyszanej nuty nie utracić.

– Kto go tak wyuczył... – z uśmiechem rzekł sam do siebie Chwedor.

Wtem sopiłka ucichła i przed radością i dumą przejętymi rodzicami stanął jedyny syn ich, pociecha i nadzieja cała – Iwasio.

Był to chłopczyzna lat piętnastu. Piękne blond włosy, zwijając się w naturalne pierścienie, w nieładzie opadały mu na plecy; twarz miał piękną, lecz bladą i z wyrazem tęsknego smutku, który tak często daje się widzieć na twarzy naszego włościanina i zawsze wywołuje zdziwienie w tych nędznych istotkach, które rozumieją się być o niebo wyższymi od ludu wtedy, gdy są tylko spróchniałą resztą gałązki, co od pnia oddzielona już i dla tego nie miała sił, jak chyba do nietrwałego bytu. Wyraz ducha w twarzy włościanina zadziwia ich, zdaje się być jakąś nienaturalnością... , poniekąd krzywdą, którą im natura wyrządziła, dając swój skarb niejednemu z tych, co sami tylko uważają się za uprzywilejowanych do człowieczeństwa, gdy inni mają być li bytłem pracującym dla nich. Nędzni! Jak gdyby natura zdolną była do frymarki⁴⁶, jak gdyby dusza koniecznie potrzebowała modnego surduta i fba fryzowanego..., jak gdyby przecucie dobra, tęsknotę za nim i jego wyczekiwanie tylko z francuskiego romansu wyczytać było można... Lecz się i dziwić im trudno – niedogniłe reszty dziś, jutro do mogiły iść mające! Jeden dla was ratunek: w duchu i ciele obnówcie się! W ludzie, z któregoście wyszli, jak w ożywczej wodzie skąpcie się! Sił z niego weźcie, weźcie krwi z niego! Bo wasza tylko wrzody wyradzać zdolna.

Wróćmy do powieści.

⁴³ *Rozległy.*

⁴⁴ *Czarna Góra (Czarnohora)* – pasmo górskie w zachodniej Ukrainie, w Karpatach Wschodnich.

⁴⁵ *Dumka* – tu: melancholijna ludowa pieśń ukraińska lub utwór literacki wzorowany na takiej pieśni.

⁴⁶ *Frymarka (frymark)* – dawn. handel, zwłaszcza zamienny; kupczenie.

Do wrót chaty zbliżył się Iwanko. Sopiłkę, na której grał przed chwilą, schował za pazuchę, zdjął kapelusz i spojrzął na iskrzące się gwiazdami niebo. W tej chwili przelatywał meteor. Chłopiec zadrżał, a potem rzekł z wolna:

– Jedni mówią, że to człowiek umarł, a drudzy, że się świat skończył... A mnie się zdaje, że tamto nieprawda...

– Patrz go – przerwał wesoło Chwedor – do gwiazd się już dobiera!... A gdzie to byłeś, żeśmy już tu niespokojni byli.

– Oj, Iwasiu, słoneczko moje – rzekła matka – nie chodź tak, synu, ażeby broń Boże jakiego nieszczęścia nie było... – i tuliła go ze łzami.

– Nie bójcie się, mamu, nic mi się nie stanie, jam już nie dziecko i wiem, gdzie bezpiecznie... Ta, matusiu, jeść mi się chce.

– Jeść? Gołąbku mój! Zaraz, zaraz!

I za chwilę dobra matka obstawiała swego jedynaka niedzielnymi łakociami. Chłopiec jadł powoli, jak gdyby nie zważając, i własnymi myślami zajęty opowiadał – nie! – raczej mówił, jak się mówi, duszą daleko gdzieś od ciała odbiegłszy, w lesie... pustyni... nad brzegiem morza...

– Chłopcy mi mówią, żebym szedł do karczmy, gdzie będzie muzyka, a ja nie poszedłem: tam słyhać wódkę i tego arendarza bardzo nie lubię. Prawda, mamu, że Żyd niechrzczony człowiek?

Matka dała znak głową. Chłopiec mówił dalej:

– Ta ono prawda⁴⁷, że muzyki niby ładnie grają, ale – tu zaśmiał się, jak gdyby przez łzy – kiedy bo ten bas, co go łubem⁴⁸ łatali, bardzo huczy, a Semen brzydko grający na skrzypcach wciąż głową kiwa, a głowa przecie nie gra; prawda, mamu?!

Łyżkę do ust niesioną zatrzymał w pół drogi, czas jakiś patrzył przed siebie, po chwili – jak gdyby przypomniał:

– Aha! To ja wam powiem, gdzie byłem. Poszedłem sobie w las: co nie spojrzę, wszędzie drzewa krzywe i taki krzaczek – a krzywy... co by to im rość⁴⁹ prosto, wysoko, wysoko!... A ptaszki śpiewają, tak już śpiewają, że i na skrzypcach nie wygrać!⁵⁰ Ja próbowałem na sopiłce, to ino trochę tak... A nu, posłuchajcie, matusiu!

⁴⁷ *Ta ono prawda* – i to prawda.

⁴⁸ *Łub* – kora drzewa, szczególnie lipy.

⁴⁹ *Rość* – rosnąć.

⁵⁰ *Wygrać* – tu: zagrać, odtworzyć.

Tu wydostał sopiłkę zza pazuchy, zadał parę razy i począł naśladować słowika.

– Słowik! – krzyknęła matka, ze zdziwieniem patrząc na syna i jego instrument.

– Kto cię tak nauczył? – zapytał ojciec, który z boku stojąc, przysłuchiwał się rozmowie, a teraz z zadziwieniem słuchał gry syna na sopiłce.

– Chyba tego kto uczy! A może i uczy, ale mnie, ot, tak – samo przyszło. Ta niech no ja lepiej słowika się nasłucham...

Potem ciągnął dalej przerwana opowieść:

– Poszedłem w pole. Co tam koników, a motylów – strach. A wszystkie to ino skaczą, śpiewają, a płaczącego nie dostrzegłem nigdzie... Ja tak leżę na trawie, to ona zemnie się, pokurczy..., a jak ja wstanę, to patrzę – i ona takież wstaje...; a jakże którą zerwę i rzucę, to ona niby równa, a już choć i pójde, to zawsze leży i nie podniesie się... – to mi tak i na śmiech, i na płacz się zbierało. Ta czego by? Chyba mało trawy koszą?... Patrzę ja tak na skały – to rozstały się i puściły rzekę, że płynie; a jakby zeszyły się ze sobą, to jej by na skałę nie wyleźć i wróciłyby się nazad⁵¹ – toż by to dziwno było ludziom!... A ja bym z nią popłynął, bo chciałbym tam być, gdzie ona z wodą lżej by było, a to próbowałem – przeciw wody nie można... nie to, żeby nie można, ale strasznie trudno. Musi ono tak być wszędzie. Prawda, tatu? A ja z początku dziwowałem.

Na sen mu się zbierało, ziewał i w pół przytomny wił dalej:

– Gdyby to albo tu gwiazdę, albo tam na gwiazdę..., musi tam być bardzo pięknie... Alboż to wiatery tam nie bywa i deszcz stamtąd nie spada?... Mamo, ja będę spał na dwór: o, w chacie nie tak ładnie!

– Dobrze synu – rzekła matka – pościel gotowa, weź tylko świtę, ażeby ci chłodno nie było.

Lecz rozkaz ten chyba sobie wydała, bo i pościel zgotowała, i okryła jedynaka ręką matki, która wszędzie i dla wszystkich jest wszystkim, bo matką. Zasypiający Iwaś coś jeszcze mówił urywanie, potem zadał parę razy w sopiłkę i z uśmiechem na ustach, twarzą do gwiazd zwrócony, zasnął ocieniony spojrzzeniami rodziców i rzewną ich z serca płynącą modlitwą o pomyślność i szczęście jedynaka.

Po chwili rzekł Chwedor sam do siebie:

– Niezwyczajne dziecko... Oby mu tytko dobrze z tym było na świecie! Przeczysta Panno, miej go w swym zachowaniu!

⁵¹ *Nazad* – z powrotem.

– Idź, stara, spać, a ja tu koło niego legnę. Nie trzeba chłopca samego zostawiać na dworze.

Jeszcze raz spojrzawszy na syna, z modlitwą odeszła Chwedorowa do chaty, a jej mąż za chwilę usnął na słomie koło syna, wciąż na myśli mając słowa kuma Matwija:

– Niezwyczajny chłopiec.

II.

Dzieci to błogosławieństwo Boże – powiadają u nas. Wielki świat utrzymuje przeciwnie. Z jakich powodów – odpowiedź łatwa: gdy wiele dzieci, to i największy majątek maleje – rozdziela się między potomków i czyni ich mniej potężnymi. Bo na wielkim święcie całą potęgą złoto, ponad niego nie widzą tam nic i nic też nie mają więcej... I dobrze im z tym!

Śpijcie spokojnie, przewalając się po złocie, ocierajcie się oń⁵² lubieżnie tak długo, aż się ozłocicie, a może staniecie się kruszcem, to was wtedy łatwiej nam będzie w ogniu przetopić!

Dla panów złoto wszystkim, bo oni, panowie..., dla nich dzieci karą, bo mogą nie być panami, a pan – nie pan; to mniej aniżeli nic, to coś, na co i wyrazu nie masz, a które się tylko skrzywieniem ust, i to ust pańskich, określa.

U nas ono inaczej. Nasze życie – ciężka w pocie czoła praca, której potomstwem nędza, co statecznie jak dziadów, tak i wnuki do mogiły powadzi. Pracy nam nie braknie, nędza nie przemija, toż się dzielić czym mamy i dzielimy się chętnie. Pany, chodźcie do nas! My i wam damy naszego dobra... Choć na dzień pracy, na jeden moment okropnych cierpień nędzy!... Nie chcecie? Pomnijcież, żeśmy was prosili na życiowe nasze gody, że nie my winni grzechu rozdwojenia!

U nas dzieci błogosławieństwem, bo rąk przybywa do pracy, bo robota sporzej⁵³ idzie i nasza bieda znośniejszą się nam staje: kilka rąk w rodzinie to chleb już jest codzienny, człek głodu nie cierpi i w życiu uzbiera tyle, że mu starczy na zakupno czterech desek dla skleccenia domu, za którym kończą się czynsze i opłaty...

⁵² *Oń* – o nie (złoto).

⁵³ *Sporzej* – szybciej, sprawniej.

Błogosławieństwa Bożego nie znali Chwedorowie przez długie lata swego małżeńskiego pożycia... I ile tam łez było wylanych..., ile modłów poszło przed tron Boga!... Ale i wy tam ponoć na wielkim świecie ronicie łzy i ślecie modły w niebo, by wam zesłano potomka..., lecz wam go potrzeba dla przechowania rodzinnego herbu i skarbów, które same chyba wiedzą, jak się do jednej skrzyni zbiegły; a Chwedorostwu trzeba było dziecięcia dla pociechy serca, dla radości duszy, której tęskno wśród dostatków, bo ona pragnie odrodzić się w nowej istocie i z rodziców wzięte życie przenieść na ich dziecię... I Bóg wysłuchał długich modłów: gdy się oboje dobrze postarzeni, dał Chwedorostwu syna. Dlaczego w starości?... Czemu nie za lat młodych?... Gdyby wiedzieć, że odpowiedzą, to może i zapytałby niejeden, a tak – ot, dać chyba temu pokój i poradować się z rodzicami, przypatrzeć ich szczęściu, gdy widzą, jak dziecina rośnie, mężnieje, chodzić poczyną..., wymawia pierwsze słowo – jedno wszystkim wspólne: „mamo!”. Było i drugie kiedyś: „tatu!”, ale jakiś herbowy rozgniewał się srodze i odtąd pańskie dzieci wołają: „papo!”. A my, muzyki⁵⁴, to chleb tak nazywamy, a na ojca starym obyczajem: „tatu!” mówimy – zwyczajnie prości, gdzie to nam pojąć, co lepsze!...

Iwasiem ochrzczili chłopca, bo się jakoś na Iwana na ten tu świat dostał. A z maleństwa był już sobie dziwny: jeszcze nie mówił słowa, a chętniej niż do matki uśmiechał się do muszki. Toto było nieraz śmiechu i dziwoty, bo niech ino która usiadła blisko, to dzieciak mało nie wyskoczył z pieluszek, a oczkami świecił, że tak i widziałeś, jakby to maleństwo pobiegło uścisnąć... A później to mu łzy stawały w oczach, że muszki uciekały od niego, a on im nic złego nie chciał robić. Nie pomagały słowa matki – malcowi wciąż było dziwno, że muszka ucieka. Lubił także śpiewanie ptaszków. Niechby i wróbelek zaświegotał, to mój Iwasiek ledwie nie tańczył z radości, a jak słowika zastyszał, to tak mu było smutnie..., tak już jakoś, że matka nie wiedziała, co począć, i przemocą odrywała go od słuchania, bo chłopiec nie jadłby i nie spał, wciąż ino tego śpiewu nasłuchując. A gdy na gwiazdy spojrział, to wyciągał rączki i coś im zawsze miał do powiedzenia; a tak już pieszczotliwie zapraszał ich do siebie, tyle im różnych obiecywał rzeczy, że chyba przeżegnasz się, słuchając... A ciemnej nocy nic lubił i ile razy obudził się, to krzyczał, żeby mu dnia dali, bo on nic nie widzi, a chce wiele, wiele widzieć!

Ot, takie to było dziwo z tego Iwasia jeszcze z maleństwa. Ludzie potrząsali głowami i nie obiecywali mu życia; znachorka coś tam warzyła i na wosk lała, ale

⁵⁴ *Muzyk* – chłop.

pomruczała tylko i rzekła, że ona na to nie ma mądrości i że trzeba posyłać aż do Chwoi, co gdzieś tam pod Kijowem mieszka. Ta kto by mu tak daleko posyłał? Ot, i rosło chłopczyisko, a nikt nic wiedział, co to z niego będzie; rodzice ino patrzali na dziecinę, modlili się do Boga, stawili świeczkę w cerkwi, żeby chłopcowi było widno w jego doli. Tak dorósł Iwaś do lat piętnastu.

O świecie już budzi się wioska, wczesnie wstają włościanie O, bo nam mało dnia, by pracować – nie dla nas... Hej, czy przyjdą kiedy te czasy, w których nas przestaną za robocze bydło uważać? Przyjdzie dzień rozpląty⁵⁵, miara miarę weźmie! Obaczmy! A tymczasem handlujcie, pobożne dusze, za cóż by was piekło swymi współnikami obrało...

Na nieboskłon wystrzelił promień wschodzącego słońca, gwiazdy drżą w niknącym swym świetle, ziemia zaśpiewała hymn powitania. Drży brylant rosy na listku, miły wiaterek goni lekkie chmurki po błękitcie, kwiaty rozwarły wonne swe kielichy... – pięknie na tej ziemi. I za cóżeście wy z niej piekło nam zrobili, bodaj wam nie było skonania... Patrz, powstali do pracy, rany krzywd świeżą jeszcze krwią cieką, a oni krzyż na piersi kładą i szepczą: „Odpuść nam nasze winy...”. Chrystusie, po coś Ty umarł na krzyżu? Nic, tylko cierpieć i cierpiąc, przebaczać!

Wschodzi słońce promienne; dziecię Iwaś śpi snem niewinności; nad nim schyleni ojciec i matka z lubością wpatrują się w oblicze jedynaka.

Niespokojny sen jakiś trapi Iwasia. Szepcze niewyraźne słowa, wznosi rękę jak do modlitwy, pierś wznosi się i opada...

– Czy nie obudzić by go? – rzekła matka.

Wtem chłopiec silniej jeszcze rzucił się na posłaniu, wyciągnął ręce przed siebie i porwawszy się, biegł przed siebie, wołając:

– Ty, ty, nie uciekaj! Znikła... – dodał smutnie, zwiesiwszy głowę na piersi.

Nie spał już, a łza perliła mu się w oku, załamał ręce i stał tak przez chwilę.

– Co ci to śniło się, Iwasiu? – zapytała matka, przystępując bliżej do jedynaka.

– Śniło się... – rzekł dziwnie chłopiec. – Jak to się śniło, kiedy ja widziałem!

– We śnie, mój synu; to był sen tylko.

Chłopiec potrząsł głową.

Nie! Tak dziwnie nie śni się nikomu, ja widziałem.

– I cóżś widział?

– A wam jej widno nie było?

⁵⁵ *Rozpląta* – zapłata.

– Kogo? Co?

– A tej, co to była i uciekła ode mnie, choć mi tak dobrze było...

Matka chciała dalej wypytywać, przerwał jej Chwedor.

– Daj pokój! Chłopiec ze snu, niech no się otrzeźwi trochę. Umyj się synu, bo już słońko wstało.

Iwasiek stał nieporuszenie.

– Czego ona uciekła – szeptał – ale matusia mówią, że się to śniło. – Uśmiechnął się. – Widno jej nie widzieli... – Spojrzał na słońce. – A jakież ono tam ładne! Pójdę, obaczę, czy i w rzeczce takie same.

Zadumany poszedł ku rzeczce i wpatrywał się w ciekącą wodę, westchnienie wydobyło się z chłopięcej piersi, wewnętrzny spokój ogarniał go. Dziwo! Piętnastoletnie dziecko i w dodatek syn prostego chłopca...

– Niech zgine, jeśli panowie powiedzą, że kłamię.

Niedługo wrócił Iwaś do chaty, wiejskim zwyczajem ocierając umytą w rzeczce twarz rękawem koszuli. Starzy krzatali się koło gospodarstwa. Chwedorowa zastawiła śniadanie. Gdy już wszyscy siedli, ozwał⁵⁶ się Iwasio:

– Mamo, co to znaczy sen?

Rodzice spojrzeli po sobie.

– Co ci tam do tego? – ozwał się Chwedor. – Ot, śni się, taj⁵⁷ koniec.

– A jak się ono tylko snem wydaje...

– Bredzisz! Jakże ma się wydawać, gdy człowiek leży i śpi, a wszyscy to widzą, ot, jak my ciebie?

– A ja leżałem?

– Przy mnie, na słomie. Zamyślił się chłopiec:

– A mnie się zdawało, że nie było mi spania... A to się śniło...

– Ale śniło się, śniło. Powiedzże nam, co takiego?

– Śniło się ładnie – rzekł z zapalem chłopiec – ale i dziwno, tak jakoś!... Nie, nie!... A posłuchajcie: mnie się zdawało, że byłem hen w lesie; a drzewa tak coś rozmawiały ze sobą... Jak patrzę, to żywie⁵⁸ kiwają głowami i ręce w ruchu, a ino same stoją w miejscu. A ja kiedyś pytałem, czemu stoją i nie przechadzają się..., to śmieli się ze mnie!... A ja wiem! Bo ludziom nie byłoby wygodnie:

⁵⁶ *Ozwać się* – odezwać się.

⁵⁷ *Taj* – i.

⁵⁸ *Żywie* – energicznie.

z lasem ani się minąć, ani on, wielki, po drodze przejdzie...; to on stanął – i już nie przeszkadza... Prawda mamó? – Ot, byłem ja w lesie. Leżę sobie na trawie, ta patrzę, że niebo i do lasu zagłąda, i widno mu, co ja tam robię; a ja nic nie robiłem, tylko patrzałem się tak..., patrzałem... – toż to już piękne; a ładne obaczyłem jakieś takie dzieciątka ze skrzydełkami, a tak poubierane pięknie – eee, piękniejsze jak w naszej cerkwi aniołowie namalowani, co to jednemu oko tak niby wywrócone, bo mu się dobrze przypatrzyłem... Jak się tam oni wesoło bawili! I ja bym tak potrafił, ale skrzydeł braknie!... Czemu by i mnie nie z nimi?!... A to i oczy u nich, i ręce jak u mnie – tylko skrzydeł nie ma!... A poleciałbym, poleciał wysoko, ponad nich jeszcze, hen, gdzie i nie widać, by wszystko obaczyć!... A oni mnie obaczyli, śmieli się do mnie..., coś takiego ślicznego mówili, ale już nie pamiętam... A jeden odłączył się od nich i leciał prościusienko ku mnie. – Mamó, jak mi było wtedy wesoło!... Im on bliżej, to mnie się zdaje, że już-już polecę do niego..., spojrzę, a to śliczna leci ku mnie dziewczynka, a taka już śliczna, a śliczna... sukienka na niej biała-białutka, a wianuszek na głowie – ach! Jaka ona była kraśna! Stała blisko mnie i patrzy..., to ja i nie wiem, co mi już wtedy – tak mi dobrze, tak dobrze!... Mamó, w człowieka przecie wejść nie można, a mnie się zdawało, że ona poszła i wraz ze mną, do mego serca... Ja i sam nie wiem..., ale wy mówicie, że to się śniło... A wam – czy się śni podobnie?

To ono się śniło!... Poszła ona do serca, zapaliła w nim jakieś światło i wyszła; a jak już postawiła, to ono mnie i piekło bardzo, i dobrze mi jakoś, bardzo dobrze było... albo ja wiem, jak to ono, że i boli, i nie boli wcale..., a wciąż chciałoby się patrzeć na nią, wciąż się w tego anioła wpatrywać...; a to był anioł, a może i nie anioł – ja i skrzydeł nie widziałem, bo tylko patrzałem się w lice...⁵⁹ A ona także patrzyła na mnie, ale tak już smutnie, tak smutnie, że mi się na płacz zbierało – a dalej zapłakała i poszła. Ja chciałem biec za nią – nie puścić..., a wy mówicie, że to sen... To już chyba i wierzyć, bo ja takiego nie widziałem nigdy. Ale może się to nie śniło?... Pójdę ja do lasu i popatrzę..., ja w lesie znajdę ją, matusiu; a jak znajdę, to przywiodę ją tu, ażebyście obaczyli, jaka ona piękna! A wy jej nie wypędzicie, prawda? Oj, ślicznaż bo ona, śliczna! I czego ona uciekła ode mnie? Co by to ją wam zaraz obaczyć...

⁵⁹ *Lice* – twarz.

Zasmuciła rodziców ta opowieść syna. Prości ludzie sercem przeczuwali, że sen ów niedobra wróżba ich dziecinie; każde tłumaczyło po swojemu, ale serca zgodziły się na jedno, że niedobre to, oj, niedobre dla ich dzieciny!...

Bieda to człowiekowi, gdy się odrodzi od innych⁶⁰ i po swojemu pocnie sobie w świecie! Największe zbrodnie czasem darują ludzie, ale jak kruki rzuca się ze wszech stron na tego, który nie idzie w ich ślady, i serce mu w sztuki rozszarpia i zakraczą radośnie na jego mogile...

Dobrze ci, mój Iwanku, żeś dziecię jeszcze i że cię doła na wielki świat nie zaniosała; oj, byłoby ci tam jak niejednemu, co męką życia zapłacił za tę trochę swobody, którą sobie z powszechnej niewoli światowych stosunków wywalczył; dobrze ci, mój orle młody, że się dziwiąją prości sercem włościanie, i tylko dziwiąją – nie jak owi, których bodaj nie dźwigała ziemia! Oj, porodziła cię matusia na świat ten Boży, a czemu nie wyprosiła cię sobie, podobnego innym!... Nie patrzeć by tobie po niebie i gwiazdach, nie rozmawiać z drzewami, nie śmiać się do słońca promieni i nie chcieć uściskać tej ziemi, którą tak gorąco tulisz do serduszka... O, źle ci z tym, źle, sokole, będzie!... Poszedłbyś ty kołem* po ulicach, z żywego chrząszcza zrobił młynek dla uciechy, wydrwił u kolegi pas nowy i zaścieżkę⁶¹, stumanił⁶² dziewczę czarnobrewą, a potem ożenił się z wdową bogatą – ot, byłoby ci na świecie jak tyłu innym, co to i biedy nie znają, i śpiewając, schodzą z tego świata, a każdy, gdy nie z szacunku, to z bojaźni, czapkę przed nimi uchyli i nazwie dobrodziejem.

Biada temu, kto nie poszedł ubitym gościńcem, a chce przez ciernie i zarośla nową torować ścieżkę! Ciernie krwi utoczą, zarośla zniszczą siły... – i drogi nie zrobisz, i sam zginiesz, przepadniesz marnie! Hej, sokole, sokole! Pocoć⁶³ skrzydła bujne i wzrok, co w niebo sięga?... Zostań lepiej na ziemi, pełzaj po śmiećku jak inni i będzie ci dobrze – wszak widzisz, że tamci na los swój się nie skarżą!

Bracia moi, oddzieleni od ludu całą przepaścią waszej cywilizacji! gdybyście wy zdolni byli pojąć, jakim pragnieniem przepelniona pierś moja, by was do niego zbliżyć i jeśli nie zjednić, to dać wam możliwość przekonania się, jak nikłą

⁶⁰ *Odrodzić się od innych* – żyć inaczej niż ludzie z własnego środowiska, być innym.

* Chłopięca swawola na Ukrainie.

⁶¹ *Zaścieżka* – tasiemka, wstążeczka u koszuli do zawiązywania pod szyją.

⁶² *Stumanić* – uwieść, rozkochać w sobie.

⁶³ *Pocoć* – po co ci?

jest wasza wielkość obok tych maluczkich, jak wielką zrobiono wam krzywdę, oderwawszy od konarów tego olbrzymiego drzewa, które się ludem-narodem* zowie!... Lecz co ja nieudolny poradzę... , co słabe me słowa mogą, gdy wam mędrce z katedr wygłoszą traktaty o postępie, cywilizacji, nieuniknionym rzeczy porządku... Nie moja tu siła, nie moja, co dokazać... i, ot, chyba westchnę z serca i łaskawych zaproszę, by poszli ze mną i przypatrzyli się, co robi mój Iwanko i jak on tam w życiu bije się niebożę.

Niezwyczajnemu co już zwyczajne w tym świecie? Gdzie nie spojrzy, gdzie nie stąpi, to już mu wszystko inaczej, a ludziom dziwota tylko, *taj hodi!* Bo kto to widział dziecku nie puszczać się na zbytki, nie swawoli pilnować, ale hen – samotnie błąkać się po polu, na skale przesiadywać, rozmawiać z drzewami albo w rzece drugiego nieba szukać?... Albo to tego tylko tyle? Stary Hryhor, co czasami – jak mu ochota po żebrach chodzi, albo najmuje się do muzyki, co to świata nie mało widział, a z ludzi i takich, co jedno oko mają we łbie – to i on nawet powiada, że to jakieś dziwo nie Iwanek, i gdyby nie to, że go widział chrzczo-nym w prawosławnej cerkwi, ani chybi – posądziłby o niesamowitość... Takie to już było dziwo ten chłopiec! A Matwij, co pasa krowy pod lasem, to przysięgał się, że widział, jak chłopiec latał po lesie, wykrzykując ta zawodząc, przeglądał każdy krzaczek i wciąż wołał: „ty!... ty!...”, i ręce wyciągał, i płakał, płakał, aż mu się (Matwijowi niby) żal zrobiło i byłby może i sobie zapłakał, gdyby właśnie Raba⁶⁴ nie zalazła była do popowej lewady⁶⁵, więc czasu nie było; ale długo jeszcze potem słyszał głos Iwanka i widział, jak smutny wracał on do wioski... A wieleż to innych gadek chodziło jeszcze po wiosce o dziwnym chłopczynie, który i nie wiedzieć skąd wziął się taki niezwyczajny sobie!... A najwięcej cierpiało serce biednej matki: ona by duszę oddała za swego jedynaka, a serce wróżyło, że mu doli nie ma w tym świecie, że jak odrodził się on od innych, tak i pójdzie sam między ludzi, a niedobrze, oj, niedobrze samemu w świecie!... A chłopczynie gorzały w oczach dziwne jakieś płomienie, serce w piersi biło niewymownym pragnieniem czegoś... duszno mu było w chacie, niedobrze wśród ludzi.

* Na Ukrainie lud i naród słowa jednoznaczne.

⁶⁴ Raba – imię krowy.

⁶⁵ Lewada – łąka.

– Puśćcie mnie, matusiu – mówił do wstrzymującej go Chwedorowej – puśćcie mnie z chaty na zielone pole, w lasy, nad skałę... Tam Bóg piękniejszą zbudował chatę, tam mi świata nie tyle, co w naszych oknach, i nieba mi pułap nie zasłania. Ja jeszcze nie widziałem wszystkiego, ja jeszcze nie nagadałem się z nimi i ja wyszukam, ja i przywiodę... oj, wyszukam! Ażebyście sami obaczyli...

I wrywał się z objęć matki, i biegł do drugiej, którą silniej duszą pokochał – do matki przyrody, na której łonie dopiero był szczęśliwym... Ona ukochane swe dziecię owiała czarami zachwytu, w jego pierś dziecinną wlała swoje pieśni cudów i karmiła młode serce, oj, karmią⁶⁶, z której chyba człowiekowi przestać być człowiekiem, bo serce pęknie z nadmiaru rozkoszy – dusza rozwionie się⁶⁷ w zachwycie...

Matko przyrodo! Pożaluj twego kochanka, bo nie wytrwać mu, nie wytrwać – chyba że go poślubiłaś cierpieniu!...

Nie pomagały łzy matki, czułe jej prośby; bez skutku były rady kumów i sąsiadów; nie pomogły przedstawienia i groźby nawet ojca – Iwanko zawsze był ten co pierwej⁶⁸: niemający nic wspólnego z swoimi towarzyszami, z wioską całą nawet. I dobrodziej wypytywał i świętym słowem nauczał – nie pomogło! Chłopiec słuchał, nie słuchając, z musu tylko był posłusznym, idąc zwyczajną koleją życia, ale schnął i więdnął, aż się zastraszyli rodzice i poradziwszy się we dwoje, postanowili zdać się na wole Bożą.

Zostawiony samemu sobie Iwanko dni całe przesiadywał na polu, w lasach i skałach; jak pierwej dopytywał gwiazd o ich drogę, płynął z wiatrem po zielonym stepie, rozmawiał z kwiatkiem i motylem, tęskną nutą wyśpiewywał się w sople i szukał, niezłomnie szukał tej, która mu się wtedy ukazała – rodzice mówią – we śnie, a on wie dobrze, że na jawie. I chociaż nie wyszukał jej dotąd, serce mu mówi, że wynajdzie, jakiś głos wciąż mu powtarza: „szukaj!, znajdziesz ją..., szukaj!”. Biedny chłopcze! Po co ci już było rodzić się takim. Oj, spala ci serce łzy twoje gorzkie i zatrują one twoje życie biedne, że nieraz przeklniesz godzinę narodzenia twego! Jak uroczę zjawisko⁶⁹ było snem tylko, jak dziś go szukasz, nie znajdując, tak w całym życiu darmo wołać będziesz, a wszystko, za

⁶⁶ *Karmia* – dawn. karma, pożywienie.

⁶⁷ *Rozwionąć się* – rozwiać się.

⁶⁸ *Pierwej* – wcześniej, niegdyś.

⁶⁹ *Zjawisko* – tu: widziadło, widzenie.

czym goniąc, dolę zaprzepaścisz – będzie snem tylko, bo biada, biada temu, kto odrodził się od innych!

Płakała matka, martwił się ojciec, różnie mówili w gromadzie, a Iwaś był jak pierwiej niezwyčajnym i wciąż szukał jej dnie całe; smutny, wracał nocą, nie wyszukawszy, i znów o świcie zrywał się, i biegł, by jak wpierv powrócić z niczym. Tak ubiegło dwa lata.

III.

Słabszy od niesiły⁷⁰, atom we wszechświecie bez świadomości samego siebie, niewolnik własnego bytu – to człowiek! A jakże śmiesznym musi być, że słabizna ta mieni się być królem wszechstworzenia. Witaj, królu, nierozumiejący, kto są twoi poddani i którego najdrobniejsze ze stworzeń omija nieuwagą... W tobie samym tron twego uwielbienia, sam sobie hołdy składasz, kłamiąc sobie samemu, bo nicość twa i tobie nie tajna... Królu, którego początkiem – nic, a końcem – prochu garstka, w której i wspomnienie o tobie zaginie, jakieś ty śmieszny!... Ale bądź mi zdrów, o wielki, którym wszystko włada, a ty sam niczym! Żegnam cię niemym podziwem twej wielkości w maleństwie i spieszę do małego królewicza, który we wszystkim jest podobny do innych, wyjąwszy, że nie na śmiech, ale na litość zasługuje – spieszę do Iwanka.

Natura to zapewne jakiś bardzo wielki pan, a srodze znudzony tym wszystkim, co go otacza; owóz z tych nudów często mu przychodzą dziwa do głowy (jeśli ją ma tylko) i na własną pociechę wyprawia rzeczy, które by i śmiesznymi były, gdyby tylko łez nie wyciskały z oczu... Znudzi ją czasem zwykły porządek rzeczy – ot, chociażby i to, że człowiek, jak każde zwierzątko, należy do ziemi, tym różne od pocziwego wołu, że brak mu błogosławionej *ż u j k i*⁷¹ (którą on wszelako czym innym zastępuje). Sprzykrzy się to jej czasem i wieje w zwierzątko jakieś dziwo, które się *d u c h e m* zowie, a umyślnie przebierze miarę i tu jej dopiero śmiechu, gdy tak napompowane zwierzę niezdolne sobie poradzić: duch prze go ku górze, gwałtem podnosi do nieba – pocziwe cielsko nie puszcza od ziemi...; pierwszy wznosi go precz w lazury, pomiędzy słońc gromady, drugie wyszukuje mu aroma-

⁷⁰ *Niesiła* – tu: to, co niemożliwe.

⁷¹ *Żujka* – morda wołu, krowy.

tyczne błotko i wystawia rozkosz zanurzenia się w nim po uszy. Stąd walka: duch sobie – ciało sobie! Ciągną biedaka w dwie strony, wyciągają stawy, naprężają żyły – biedne czelczyisko krzyczy i wykrzykiwa, przeklina godzinę narodzenia swego, wszystkich sił dobywa, by ulecieć ku górze... A natura śmieje się do rozpędu⁷²; bawi ją ta gimnastyka, która wiecie czym się kończy? Jeśli męczennik nie zastrzęgnie⁷³ z głową w błocie, upadłszy z wysokości, to ani chybi pęknie mu serce – rozerwą je zapaśnicy na dwoje... Ludzie pokiwiają głowami, wsadzą między cztery deski i zanosą na cmentarz, a na stypie, jedząc i popijając, powiedzą:

– Głupi był nieboszczyk! Świeć tam Panie nad jego duszą. Głupi ty będziesz, Iwanku, niebożę.

Z tej strony parowu stoi on oparty o skałę; wokoło las i skały, strumień płaczkliwie wydzwania po kamykach, pięknie wokoło. Wie o tym młodzieniec: w jego piersi tak błogo..., on matkę-ziemię tak ukochał szczerze, tak by ją rad objął ramiony i zlał się z nią w uścisku – a jednak czemuż to oko jego utonęło w błękiecie?... Czemu myślą odleciał on od ziemi?... Ha! Cóż wam na to powiedzieć, gdy ja sam zapłakałbym może! Siedemnaście lat to już więcej aniżeli pół mężczyzny, wąs się zasiewa, dumka rozumniej już światem patrzy..., chłopcowi uśmiecha się koń i szabla – sława, zielony step, woła, kozacza dola; już mu do serca zagląda ócz dwoje, bo to lat siedemnaście, a one tylko raz są w życiu!

Rówiennicy⁷⁴ Iwanka już parobkami: ten z wałką⁷⁵ poszedł do Krymu, ów w rzemiośle majstra dobiega, ten gospodarstwo prowadzi i jaką zechce zaorze skibę pługiem... Tylko Iwanko zawsze do niczego – kat wie, w kogo wdał się! Ot, i teraz okiem w niebo strzelił i wygląda anioła... Nie śmiechże? Powiedzcie państwo.

Z tamtej strony jaru poczyna się ogród Starosty; las się przerzedza i szeroka równina zaległa przestrzeń – rzekłbyś: jeden kobierzec tkany w kwiaty ukraińskiego łuhu...⁷⁶ A ileż to ich tam było! A jakie to piękne i lube, że się aż dusza raduje, jak spojrzysz! – Do kwiatów kielicha leci pracowita pszczołka, by miodu wydostać; pustak⁷⁷ motylek zagląda w ich oczka, wieszka się u łona i złotymi skrzydły obejmuje kochane; polne koniki chórem śpiewają pieśń szczęścia. Niwo

⁷² Do rozpędu – przest. do rozpuku.

⁷³ Zastrzęgnąć – ugrzęznąć, pogrążyć się w czymś miękkim.

⁷⁴ Rówiennik – dawn. rówieśnik.

⁷⁵ Wałka – drewniany bęben garbarski do wyprawiania skór.

⁷⁶ Łuh – łąka.

⁷⁷ Pustak – tu: beztroski.

Ukrainy, ziemio moja rodzima – jakżeś ty piękna! Cóż by mi świat cały, gdybym ciebie utracił!

O smutno, ciężko na *czużynie*⁷⁸,
Bo szczęście, raj mój w Ukrainie...

Dalej, na równinie, pod cieniem olbrzymiego dębu, siedzą Starosta i Chwedor – bawią się rozmową, a słowo leje się im gdyby woda, bo ich znajomość nie dzisiejsza, ale hen jeszcze sięga tych czasów, gdy Kozakował Chwedor i póki jeszcze nie widział czarnobrewej Nasti, co duchem wysadziła Kozaka z kulbaki⁷⁹ i jakby przykuła do siebie, i trzyma tego, ot, już niejedyn lat dziesiątek.

Niezbyt daleko rozsiadły się kobiety i służba młodej panienczki, która gdyby⁸⁰ pączek róży, co jeszcze nie rozwinął swych listków, ale obiecuje całą ich krasą ucieszyć kiedyś oko, biega po łące za swawolnikiem motylem – trzynastoletnie dziewczątko, czarnowłose i modrookie... Fałdy białej sukienki jak chmurki powiewają wkoło niej, a zielony wianeczek ślicznie zdobi jej maluczką główkę i traw końcami igra z lekkim wiatrem.

– Ot, dał mi Bóg pociechę na stare lata – powiedział Starosta z lubością, patrząc się na wesoło igrającą dziewczynkę. – Myślałem, że samotny pójde do mogiły, a tu mi niebo przysłała anioła, wnucę⁸¹, której rodzice – świeć Panie nad ich duszą! – wcześniej odumarli sierotę... Toż Bóg widzi, że mi ona skarbem najdroższym!...

– To niby panienska, córka jaśnie wielmożnego wojewodzica⁸², co to go łońskiego⁸³ roku zabili Tatarzy... Szkoda, ludzie go sobie chwalili... i diable dzieci nie pożałowali młodego wieku!

– Dobry to był żołnierz – rzekł, westchnąwszy Starosta.

– A już samej pani to żal taki: młoda i nie lada krasawica, żyć by jej w dostatkach – ciągnął dalej Chwedor.

– Zateškniła za mężem... – wyrzekł Starosta, ocierając łzę, która mu na siwy wąs padła.

⁷⁸ *Czużyna* – obczyzna.

⁷⁹ *Kulbaka* – typ siodła wojskowego pokrytego skórą stosowany m.in. przez kawalerię.

⁸⁰ *Gdyby* – tu: niczym, jakby.

⁸¹ *Wnuka* – dawn. wnuczka.

⁸² *Wojewodzic* – dawn. syn wojewody.

⁸³ *Łoński* – ubiegły, zeszłoroczny.

– Wierna towarzyszka – pomrukiwał Chwedor.

Ale ich rozmowy nam nie przesłuchać!

Chodźmy lepiej nacieszyć się widokiem dziewczeczki, która gdyby rzeczywisty aniołek biega wesolutko. Pustak motylek igra z dziewczęciem: to siędzie na kwiatek, niby spokojny, i złote swe skrzydła roztoczył ku słońcu... Dziewczę się skrada ostrożnie, tak lekko, że i trawki nie ugnie, na którą stąpi... oddech zaparty w piersi, oko tonie w motylku..., cała pochylona naprzód i dwa różowe paluszki już ino schwycić pustaka. Nie! Uciekł motylek: zatoczył koło w powietrzu..., siada – nie siada..., spotkał towarzyszy, okręcił się z nimi w ochoczym tańcu, odłączył się, lata nad głową dziewczęcia – dotknął się jej ustek. Dziewczę spłonęło, rączki nad czoło wznosi. Motylek usiadł – za nim! Poleciał dalej! Za nim w podskokach..., jeszcze krok..., dwa jeszcze... A, tuś mi! – I zawisła nad jarem...

Starosta z Chwedorem, wiodąc interesującą rozmowę, zapomnieli o dziecku – sługom przy rozmowie czy myśleć o panie? Wiadomo – bawi się...

Starosta pierwszy ujrzał niebezpieczeństwo i załamał ręce w rozpacz; Chwedor z krzykiem „Boże!” – pobiegł na ratunek. Opamiętała się służba, wszyscy biegli do jaru.

Słowa dziewczęcia „a, tuś mi!” obudziły Iwanka z jego zadumy. Spojrzał i z krzykiem „ona!” rzucił się w przepaść... W powietrzu uchwycił upadającą i silnie przycisnął do piersi. Dziewczę było uratowane – z jej wybawcy lała się krew... Siły go odbiegły..., ręce opadły bezwładnie..., wysilił się, spojrzął..., wyszeptał: „Ona! Ona!...” i zakrył powieki.

Chwedor i Starosta dopadli jaru.

– Boże! Mój syn! – wyjęknął Chwedor.

– Żyje! Żyje! – zawołał szczęśliwy Starosta.

– Doktora! Doktora!

Nadbiegli i ludzie, przywołano zamkowego lekarza, opatrzył rany:

– Niebezpieczeństwa nie ma, ale rannego trzeba przenieść do mieszkania.

– Do zamku! – zawołał Starosta.

– Boże! Boże! – jęczał, łkając Chwedor. Dziewczę łzawymi oczyma wpatrywało się w lice rannego.

Służba poniosła zemdlonego Iwanka i smutny orszak wszedł do zamku. Wybawcę ukochanej swej wnuczki otoczył Starosta staraniem, na które chłopiec zasłużył swym poświęceniem. Oprócz zamkowego wezwano jeszcze lekarza z Białej

Cerkwi⁸⁴; acz ciężko ranny w głowę i ze zwichniętą nogą, chory jednak nie kazał lękać się o swe życie: gorączka wszelako nie opuszczała go i przytomności nie odzyskał. Kiedy niekiedy tylko zdawał się poznawać rysy matki, ale wnet obraz jej mieszał się z innymi niewyraźnie określającymi się i chory z półwykrzyknieniem i ruchem ręki zapadał w odrętwienie, które się pokrzepiającym go snem kończyło.

Matka nie odstępowała syna dniem i nocą, nie pojmując spoczynku, gdy najdroższe jej dziecko w niebezpieczeństwie; mimo perswazji Starosty, męża i innych, pozostawała wciąż u łóża chorego. O, bo niewyczerpaną skarbnicą miłości i poświęcenia jest serce matki!

Niejeden weźmie mi za złe, że nie pilnuję powieści, a wdaję się w gawędę z samym sobą. Przebaczcie – jam w powieści jak w życiu: płaczę – o, bo wiele łez potrzeba, by obmyć nimi odrobinę szczęścia dla tych, którzy go tak mało znają, kocham – bo postaci mejej powieści to żyjące zbiorowe osoby, to ci, w których uosabiam wszystkich, pieścę je, cieszę się nimi i pysznię⁸⁵, bo z serca mi wyszły i do serc waszych chciałbym je wprowadzić. Nie bierzcie mi tego za złe i pozwólcie, że sam nalubuję się⁸⁶ i wam okażę piękny obrazek, który szkoda, że w dalszym swym ciągu więcej mieć będzie cieni aniżeli światła!...

Jasne wejrzenie świtu budzi uśpioną ziemię; zadrżała ona pod rosy całun-kiem⁸⁷ i rozkosznie otwiera rozmarzone oczy. Tuman⁸⁸ nocy żegna kochankę i leci ku słońca promieniom, by zginać w jasności, ptaszki zaświergotały i szczęście poszło światem... Czarowny widoku! Widziany co dnia i zawsze piękny cudownie! Promień wschodzącego słońca zajrzał i do komnaty, w której leżał Iwanko. A dziwnie, bo pięknie, opromienił go poranek! O rysach, które wyróżniają Słowian od narodów innego plemienia, uderzał w tej młodzieńczej jeszcze twarzy wyraz myśli głębszej z cierpieniem złączonej; przyrodzona błądź, podniesiona jeszcze cierpieniem, bardziej uwydatniała to połączenie piętn cechujących dusze wyższe; kędziory ciemnych włosów, spadając w nieładzie, dziwnie pięknie odbijały przy tej twarzy, a padające promienie słońca dopełniały obrazu, któremu dla unieśmiertelnienia brakło pędzla mistrza, by przenieść go na płótno.

⁸⁴ *Biała Cerkiew* – miasto na Ukrainie, położone nad rzeką Roś, na południe od Kijowa, dawna polska rezydencja magnacka.

⁸⁵ *Pysznąć się* – chlubić się, szczyścić się.

⁸⁶ *Nalubować się* – nacieszyć się.

⁸⁷ *Całunek* – dawn. pocałunek.

⁸⁸ *Tuman* – mgła.

Młodzieniec spał spokojnie, tylko usta kiedy niekiedy poruszały się, jakby posługując rozmowie. U łóżka, ręką na wybijany taboret oparta, zdrzemnęła się czuwająca matka, ale i we śnie oczy jej były zwrócone w stronę syna, a wyraz twarzy świadczył, że myśli jej nie odstępują go i w tej chwili. Lekki szmer, jakby powiew majowego wiatru, dał się słyszeć u wnijsćcia; chwilka – postać dziewczica ukazała się w pokoju, a tyle w niej było anielskiego, że koniecznie musiałeś uwierzyć, iż anioł odrzucił skrzydła i staje między żyjącymi w postać ich odziany, urok anioła jednak pozostał przy nim.

To Hania, znana już nam wnuczka Starosty. Lekka i jak ptaszyna powiewna, zbliżyła się ku łóżku chorego, sparta główkę na poręczy i wzrokiem utonęła w bladej twarzy młodzieńca. Cudna to była grupa trojga tych istot, które promień słońca ozłacał rześystym potokiem światła; gdybyś ją do nieba przeniósł – nie byłaby tam obcą. Ludzie tylko wymyślili nierówność pochodzenia – dusza wszędzie ta sama!

Bóg wie, jakie myśli krążyły po tej młodej główce i czy nie było w nich co wspólnego z marzeniami młodzieńca, bo pod wpływem spojrzenia dziewczeczki, które przejęło go na wskroś, uśmiechał się on we śnie, a uśmiech ten tyle miał błogości w sobie, że sił do jego wydobycia poza obrębem snu nie wynajdziesz. We śnie widzą tylko chwilowe obumarcie ciała, zastój życiowych funkcji... Ha, ha, filozofowie – nigdy żeście nie śnili?!...

Dlaczego niemowlę wyciąga rączki do jednych, a z płaczem odwraca się od innych?... Dlaczego jeden przyjaźń w nas budzi, a drugi wstręt niewytłumaczony, mimo że oba jednakowo nam nieznanymi?... Filozofowie, odpowiedzcie na to, uciekły się do brzucha, w którym wszystko widzicie, który wszystkim dla was!...

O, poza ciałem coś tam jeszcze jest innego, ale nie wam o tym wiedzieć!...

Pod wpływem może spojrzenia dziewczeczki uśmiecha się śpiący Iwaś, a dziewczę jak nie wie, po co wpatruje się w jego lica, tak również nie może zdać sobie sprawy, dlaczego ten uśmiech tyle ma dla niej powabu?... Patrzy nań, dośledza⁸⁹ go całym swym istnieniem i błogo dziewczęciu, tak jej dobrze..., serduszko żywiej bije, rumieniec na liczko wystąpił, a oczęta jak dwie gwiazdki zapalały płomieniem...

⁸⁹ *Dośledzać* – obserwować, oglądać z uwagą.

Naturo, igrasz ty nami, ale cię kochamy, jak dzieci piastunkę; gniewamy się czasem, dąsamy na ciebie, ale gdy zapagniemy pieśczoły, uścisku, tylko na twym go łonie znajdujemy. Matko nasza, my cię zawsze kochać będziemy!

Oko dziewczęcia tonie w twarzy uśpionego, bije serduszko, liczko rumieńcem świeci... Bezwiednie, z wolna nachyla się jej twarzyczka w kierunku twarzy śpiącego... coraz bliżej – usta ich zetknęły się – dziwo! Dwa bezwiedne pocafunki odpowiedziały sobie wzajemnością: tu niewiadomości siłą, tam wpływem snu wywołane!... Na próżno pytać by was – co to?

Pocałunek obudził dwie istoty. Ocknął się Iwanko, lecz zanim miał czas otworzyć powieki, już postać dziewczeczki, jak senne widmo z taż krasą lica i ogniem oka, a paluszkami na koralowych ustach, znikła z pokoju. Chłopczyzna szeroko otworzył oczy i zachwyt duszy spoczął na jego ustach wpółotwartych do wykrzyknienia. Jakby instynktowo zawołał:

– Mamo! – i wyszeptał, nie spuszczać z oka widziadła. – Ona... Widzieliście?!

Przebudzona Chwedorowa dostrzegła jeszcze muszliny⁹⁰ sukienki, które ze snu zdały się jej być chmurką.

– Widzieliście!... A wyście mówili, że to sen... – szeptał zarumieniony od szczęścia Iwanko.

Trudno przedstawić sobie stan Chwedorowej. Z jednej strony radość, że syn jej raz pierwszy przemówił przytomnie, z drugiej zdziwienie jej na widok tej chmury, która w rzeczy samej zdała się jej mieć styczność z opowieścią syna i terazniejszym jego wykrzyknikiem: „Ona!”. W końcu uczucie macierzyńskie przemogło i matka całą swą uwagą zwróciła się do syna.

– Widzieliście ją, matusiu... To ono się nie śniło – widzicie!... Jakże mi dobrze!... Jakżem szczęśliwy!... Mamo, połóżcie mi rękę na głowie... O tak, tak mi bardzo dobrze... A ja mówiłem, że to nie sen!... Znalazłem ją... Ona!... ona... – powtórzył jeszcze razy kilka i z uśmiechem na ustach zasnął snem porzepiającym.

W tej chwili wszedł Chwedor.

Nie powtórzę rozmowy starych. Trwała ona niemałą chwilę, popierana argumentacjami Chwedorowej, którą własna wiara w opowieść bolała niemało, bo to

⁹⁰ *Muszlin* (*muślin*) – delikatna, przezroczysta tkanina bawełniana lub jedwabna o bardzo rzadkim splocie.

utwierdzało ją w przekonaniu, że chłopczyna nie pójdzie drogą zwyczajną, o toż i cichego szczęścia nie zaznać mu w życiu. Tak mówiło serce matki.

Chwedor słuchał opowieści żony i chociaż sam niespokojny uspokajał ją, kończąc:

– Ze snu ci się przywidziało, a chłopiec w gorączce, to i baje... Gdzie by się tam aniołowie wziąć mieli!

Dalszą rozmowę przerwało wnijsie Starosty i doktora. Niema cisza zaległa komnatę, oczekując słów lekarza.

– Znacznie lepiej – powiedział ten, opatrzywszy chorego – za tydzień będzie już mógł wychodzić.

– A chwała ci Panie! – zawołał serdecznie Starosta.

Chwedorowie jęli mu dziękować za opiekę nad synem.

– Mnie to..., mnie wam dziękować. On mi uratował więcej aniżeli wszystko, bo życie najdroższej mojej wnuczki. Ale gdzież to Hania? – zapytał wchodzącego właśnie sługę.

– Panna śpi jeszcze – odpowiedział pytany.

– Zaspała mi ptaszyna... Ale niech jeszcze używa wczasu!...⁹¹ Lecz cóż my tu!... Kiedy malec śpi smacznie, to Bogu dzięki! I nam nie ma co robić. Chodźmyż, na co Bóg dał! My, starzy – dodał, zwracając się do Chwedora – pogadamy o naszym, co jak w wodę wpadło... Chodźmy. Pani Chwedorowo, proszę, bardzo proszę...

—

Po owym widzeniu, tak dziwnym dla Chwedorowej, nie mniej jak i dla męża, chociaż ten wcale się do tego nie przyznawał, stan zdrowia Iwanka polepszał się z każdą godziną. Szybkie uzdrowienie chłopca lekarze przypisywali swej sztuce; my nie podzielimy w zupełności ich przekonań, bo nam wiadomo, co ozdrowiło chłopca. A może kto nie wie?... Może nie wierzy?... Racjonalisci, zawsze okrywała was gruba skorupa niewiary?! Wątpię – i wyście byli ludźmi... Toż się cofnijcie w przeszłość i zrozumiejcie mnie bez szerszych tłumaczeń.

Rumieniec zdrowia wracał na policzki chłopca, oczy jaśniały blaskiem... Lekarze przypisywali to resztkom gorączki... Tak! była to gorączka, bo i serce żywiej biło, a tak nieraz, że chłopczyna musiał go ręką przytrzymywać, bo mu się

⁹¹ *Używać wczasu – odpoczywać.*

zdawało i przeczuwał, że ukaże się anioł, bo to nie był sen, nie, nie! Lecz anioła nie było, nie okazywał się on tęsknie wyczekującemu...

– Dlaczego? dlaczego?...

Z tym pytaniem zapadał chłopiec w zadumę; przywoływał wspomnienie na pomoc: widział siebie nad jarem, słyszał wykrzyk, ujrzał ją – anioła, odczuł ten uścisk, z którym zasnął tak błogo...

Przebiegł myślą ciąg swojej choroby: raz jeszcze spotkał się z owymi sennymi widmami, które pod rozmaitymi kształtami milionami sposobów okazywały zawsze jedno: ją – anioła, za którym od lat tyłu tęsknił, którego wyczekiwał tak, wyglądał... Przypomniał sobie sen ów czarownicy..., odczuł na ustach pocałunek...

– Ona! – I odkrył oczy.

Nie, to poczciwa matka, która weszła właśnie do pokoju.

– Co to ci, moja droga dziecino?

– Nic mi, nic, matusiu!

I myśli swe, którymi przejęty był przed chwilą, zachował w głąb duszy – a jakaż by je siła mogła na wierzch wydostać?!

Dziwne to serce nasze! Kolących cierni nazbiera do wnętrza i szczerym uściśkiem kryje przed oczyma ciekawych... Ciernie wjadają się w serce, krew płynie, a dobrowolny męczennik za nieszczęście poczytywałby, gdyby mu jego cierpienie odjęto... Nieprawdaż? Panowie, powiedzcie!

Do niedawna Iwaś różnym był wprawdzie od innych, ale co myślał, wypowiadał bez względu, czy to śmiech wywoła w słuchaczach, czy mu sprowadzi naganę; co czuł, to wypowiadał drugim! Teraz – miał on już swą tajemnicę, którą nie odkryłby nikomu. Drżał na wspomnienie, że kiedy może być mowa o śnie jego – aniele... Wszelkie pomyślenie o tym uważał chłopczyzna za swą własność, za skarb najdroższy, do którego przystęp ma mieć on tylko i nikt więcej! Na co mu potrzebnym było milczenie o tym, z czego do niedawna nie pojmował, by można było uczynić tajemnicę – niech odpowiedzą inni!

Małoż to mądrych głów na próżno zapytuje, co znaczy sfinks? – Niesiła⁹² i mnie rozwiązać tę zagadkę rozumu Egiptu, ale to już dziwota, że wciąż lezie mi do głowy pytanie: co dla nas nie jest sfinksem? – I tu odpowiedzi również nie wymyślę. – Niemądra już taka głowa!...

⁹² *Niesiła* – niemożliwe.

Hania – dziecko jeszcze. Trzynaście lat – toż ledwie o matczynem mleku zapomniało... Mogłaż znać, co to kłamstwo? Zdolnaż była udawać? Jednak widzieliśmy, że udawała śpiącą, chociaż sen jej powiek nie kleił. Chciała zmyśleniem, iż nie opuszczała łóżka, dać dowód, że..., że...

Otóż to najważniejsze, że dziewczę wcale nie umiało zdać sobie sprawy, dlaczego udaje śpiącą – oszukuje dziadunia. I ledwie nie na płacz się jej zbierało, i gniewała się sama na siebie...

– Po co było iść tędy?... Ale on taki biedny... taki blady... Dziadzio mówi, że on mi życie uratował... Pójdę! – Nie! – On widział..., widział!... – dodawała bardziej zarumieniona.

I nie zwierzyła się przed nikim, iż była w pokoju Iwanka, nie wspomniała o tym nawet i dziadkowi, ale i do chorego nie zachodziła więcej, chociaż nieraz wyrzucała to sobie: przecież nie godzi się opuścić chorego – nie odwiedzić go... Nie była jednak. Ale za to razy kilka... (mamże wam mówić o tym?...), gdy zapalono światło, a od ogrodu nikt jej dostrzec nie mógł, z wolna, tamując oddech w piersi, podchodziła pod okno pokoju, w którym leżał chory i pilnie wpatrywała się w jego lice... Podówczas Iwankowi śniło się coś lubego albo w sercu mu było tak dziwnie a miło...

Upłynęło trzy dni. O świcie zbudził się Iwanko. Matka spała opodal, do okna zaglądał brzask jutrzeńki i dolatywało szczebiotanie ptasząt budzących się ze snu. Dobrze jakoś było Iwasiowi, uczuwał się być zupełnie zdrowym i po raz pierwszy popróbował wstać. Nie przyszło to bez trudności, ale niewymowna chęć obaczenia przyrody w jej poranku szacie dodała siły i Iwaś zwlókł się z pościeli. Drzwi do ogrodu lekko były przymknięte, uchylił je i wszedł między drzewa i kwiaty. W tej piersi młodego chłopca tyle było miłości dla matki ziemi, tyle prawdziwego uczucia, że niesiła mu było powstrzymać się: postąpił kilka kroków i padł na łono tej rodzicielki stworzenia i szeroko – jakby do uścisku – rozwarłszy ramiona, całował ukochaną, a lży mu z ocz pociekły.

Nie piszę dla kosmopolitów, nie piszę i dla tych, którzy pod ojczyznę rozumieją wszystko – ojczyznę wyjąwszy; kto kocha świętą ziemię, lud krzywdzony i pogardzany, a mimo to przebaczący i kochający wszystkich, ten mnie zrozumie i nie powie, że bredzę.

Podniósł się; szeroko westchnął balsamiczną wonią kwiatów i spojrzął w niebo. Wzniosły akord przyrody grał uczuciami młodzieńca, utonął on duchem w ogólnej melodii wszechświata i w tej chwili nie miał w nim człowieka, chyba ze kształtów. To była modlitwa bez słów, bez myśli nawet o modłach. Taką lud

nasz oddaje cześć bóstwu i siebie czci w niej od wieków. To skarb nasz, panowie, któremu nie dorównają czcze mędrkowania. To modlitwa narodu – młodziana⁹³.

Okiem i całym sobą zatopiony w lazurach stał tak Iwaś przez chwilę; naraz wstrząśnięty, jak gdyby iskrą elektryczną przejęty, i okrzyk zdziwienia, zachwytu wy dostał się z jego piersi: dalej, o kroków kilka, szło ku niemu senne jego widziadło...

Hania jak zwykle wyszła do ogrodu.

Wielkie było zdziwienie dziewczęcia, gdy się obaczyła nie samą wśród kwiatów, większe jeszcze, że spostrzegła Iwanka. Była chwila, w której oboje stanęli, patrząc na siebie... Pierwszą spostrzegła się Hania. Lekka jak ptaszkę skoczyła ku krzakom róż i nie miałaś z niej jak widok tylko wonnego tego kwiecia, który rumiane liczka zwracał ku patrzącemu i szemrząc wesoło, chwiał listkami. Chłopiec stał nieporuszenie, wciąż patrząc w to miejsce, w którym znikło widzenie... Wzruszyło się coś w piersi, zamajaczało w oczach... zachwiał się chłopczyzna i upadł na ręce matki, która nieobecnością syna zdziwiona pospieszyła do ogrodu – w czas, by omdlałego odprowadzić do pokoju.

Omdlenie przypisywał lekarz wczesnemu wyjściu chorego na świeże powietrze ranku, ale o południu już przechadzał się Iwanko w tymże ogrodzie, wsparty na ramieniu matki, a wciąż wracał do jednego z krzaków róży i z lubością mu się przyglądał.

– Lubi róże – myślała matka. Ale dlaczego mianowicie z tego krzaczka? – nie domyśliła się zapytać.

Z odzyskaniem zdrowia łączy się w życiu Iwasia fakt, który dzielnie zaciężył na życiowej wadze doli chłopca. Czy szczęśliwej – obaczymy niżej.

—

W ogrodzie, pod jednym z rozłożystych dębów, siedział Starosta, przy nim stali Chwedor i jego żona; widocznym w nich było pewne zakłopotanie.

– No jakże? – zapytał Starosta. – Dajecie mi waszego chłopca? Od czasu, jak uratował najdroższą moją Hanię, stał mi się on jakby synem... Wychowam go, zrobię człowiekiem... Cóż ty na to, stary?

– Wielmożny panie – po chwili namysłu rzekł Chwedor – my ludzie prości, toż i nieraz mamy swoje, że nas panowie nie rozumieją... Ot, dobrodzieju, dzięki za wielką waszą łaskę, ale już Iwanko to chyba przy nas zostanie.

⁹³ *Młodzian* – młodzieniec; tu: modlitwa młodego narodu, narodu z młodzieńczej epoki.

– Stary dobrze powiada: po co mu niby po cudzych, kiedy ma ką własny i ojca, i matkę...

– Nie rozumiecie mnie, widzę. Chwedorowo – ja chcę szczęścia dla waszego dziecka. Jaka mu dola w waszej chałupie? A jak pod moim okiem i za moją sprawą – kto wie, jak jeszcze stanie!

– Wielmożny panie, darujcie mojej nieuczzonej mowie, ale my po swojemu patrzemy na to tam postawienie: niech pan będzie sobie panem, a chłopowi pilnować roli, nie wstydząc się siermięgi...⁹⁴, bo u nas powiadają ludzie: „Nie daj Boże z Iwana pana”, a chłopiec właśnie Iwanko się nazywa, to by mu jeszcze przyzywali! A już kiedy laska wielmożnego pana, to powiem, że ja tam nie bardzo lubię to państwo, co nos zadziera i nas nie spojrzy, choć zrosło na chłopskim chlebie! Ot, i dziękujemy wielmożnemu panu, a Iwaś to taki pójdzie do pługa.

– To i ja, jak mój stary, proszę wielmożnego pana.

– Ej, starzy! Nie godzi się tak ze mną rozmawiać. Czy to ja wróg wam i siebie, Chwedorze, nie lubię, a was, stara, nie poważam?...

Chwedorowie pokłonili się starości.

– Alboż to u mnie jakie złe w tym myśli?... – kończył Starosta. – Chłopiec podobał mi się, no i coś mu się tam należy ode mnie... Ale gdy nie chcecie, wola wasza – przymuszać niepodobna! To prawda, że z tych tam nowotnych⁹⁵ panów niewiele korzyści... Ale któż mówi, że i Iwaś takim będzie?

– Niedopust Boży⁹⁶ – zauważył Chwedor – a nam nie chciałoby się wstydu doczekać.

– Wasza wola! Wasza wola – mówił, przystając Starosta. – Nie chcecie pana z Iwana, niechże Iwanem zostanie.

– O tak, tak, proszę pana, chłopska rzecz być chłopem; panów i bez tego dostatkiem.

– Niech będzie Iwanem. A zawsze chłopca nie puszcze od siebie.

– Jakże to, proszę wielmożnego pana? – zapytali razem Chwedorowie.

– A oto jak: nie chcecie, by panem został – niech pozostanie u mnie służyć! Chłopak, słyszę, do pługa nie ochoczy, może mu się lepiej dworska służba nada... Cóż wy na to? Już chyba zgoda, bo pomyślę, że chcecie kłótni ze mną – dodał weselej.

⁹⁴ *Siermięga* – wierzchnie ubranie chłopów w dawnej Polsce.

⁹⁵ *Nowotny* – nowy, nowo wytworzony, dopiero co powstały.

⁹⁶ *Niedopust Boży* – nie daj Boże.

– Jakże nam, paneczku, bez dziecka w chacie pozostać? – spytała zakłopotana matka.

– Ot, nie gadalibyście, Chwedorowo. Czy to mój zamek sto mil od waszej chaty? I dwadzieścia razy dziennie będzie mógł was odwiedzać, a zanim co – niechby się służby przyuczał!... A jeśli się mu takowa nie podoba, porzuci, kiedy zechce.

– Taże to prawdziwe słowa i kiedy już taka wola wielmożnego pana i łaska na nas, to chyba i nie gadać. Chłopcowi tak i prawda niezwyczajnie jakoś do roli, a pod naszym okiem i kiedy wielmożny pan nie zechce przymuszać, to niech już i tak będzie.

– A chwałaż Bogu, że się stało po myśli – powiedział wesoło Starosta, ale patrząc na Chwedorowę, której niejedna dumka me dawała spokoju. – A cóż to? Stara, widzę, jeszcze mówić by rada...

– Wielmożny panie – rzekła matka z półuśmiechem i ze łzami – żebyż mu tylko nie było jakiej krzywdy we dworze...

– Za kogóż to mnie macie? Na Boga! Natoż biorę chłopca, bym go nie umiał od napaści zasłonić? Zresztą jeśli mnie nie wierzycie – dodał wesoło – to oto moja Hania nie da mu żadnej krzywdy wyrządzić...

Dostrzegł stary wnuczkę, która ciekawie z za drzewa przysłuchiwała się rozmowie. Obaczyła Hania, że widzi ją dziaduś, zarumieniona pobiegła do siweńskiego i całuje mu kolana.

– Prawda, Haniu, że nie damy nikomu pokrzywdzić Iwanka?

– Prawda, dziadziu! – odrzekło naiwnie dziewczątko.

– No, widzicie, Chwedorowo – rzekł wesoło stary – kiedy wnuczka i dziadek biorą chłopca pod swoją opiekę, to już mu się nic złego nie stanie; zresztą każdodziennie⁹⁷ będziesz go mogła zapytać.

– Ot, proszę pana, stara to z miłości dla dziecka Bóg wie co nie powie, zwyczajnie matka: jej i nieba za mało dla syna. To my już dziękujemy wielmożnemu panu i na tym staje, że Iwanko pozostanie we dworze pod łaskawą opieką wielmożnego pana.

– Wierzcie mi, że nigdy nic zapomnę, ile mu winien jestem. Ale otóż i on. A chodź no tu, chłopcze!

Iwanko z bijącym się sercem podszedł.

⁹⁷ *Każdodziennie* – codziennie.

– Iwanku – rzekł Chwedor – wielmożny pan Starosta chce, ażebyś został we dworze...

– We dworze?! – wykrzyknął chłopiec. – A wy nie chcecie?! – dodał prawie rozpaczliwym głosem i wzrok jego padł na anielską postać dziewczeczki, która obok siwej głowy dziadka dziwnie uroczo odbijała świeżością swego liczka.

– My tu z matką przystaliśmy, ale skoro ty nie chcesz...

– Ja nie chcę?... Tatu! Mamo! Panie! – dodał, wyciągając ręce ku stronie, w której był Starosta i wnuczka.

– Otóż na moje wyszło! – wykrzyknął Starosta. – Chodź tu, chłopcze, niech cię uściskam!

Iwaś padł do nóg Starosty, który go serdecznie tulił do piersi, Chwedorowa ocierała łzy, liczko Hani krasiał rumieniec, a serduszko biło mocno pod śnieżną sukienką.

– Iwanku, drogi chłopcze! Bóg ci chyba nagrodi – mówił ze łzami Starosta. – Jak wyratowałeś, tak strzeż ją teraz – strzeż twojej pani. Haniu, to twój sługa.

Dziwny jakiś ból ścisnął serce chłopca, ale trwał on niedługo. Hania z czarownej prostoty wyrazem rzekła doń słodko:

– Jasiu! chodźmy zbierać kwiaty, ja wiem gdzie one rosną śliczniutkie. Chodź! I pobiegła szybko, ukazując mu drogę. Iwanko poszedł za nią.

Przerwał milczenie Starosta.

– Gdyśmy już umowę zawarli i sprawa poszła, należy się nam podług zwyczaju mohorycz⁹⁸. Chodźcież, moi przyjaciele. Bóg widzi, lubiłem was dawniej... No, z Chwedorem to się tam niejedno przeniosło...⁹⁹ Prawda, stary?! Ale od czasu, jak się ten chłopiec zjawił jak z nieba, ażeby ją uratować, toż mi bez was byłoby jakby bez połowy! Dajże nam Boże, ażebyśmy tak przeżyli jaką kopę!¹⁰⁰

– My wielmożnemu panu dziękujemy za łaskę...

– Bodaj was! – przerwał wesoło Starosta – Chwedorowo! Pierwsze chrzciny – staję z wami do pary, by się raz już pokumać. A zanim co do czego, chodźmy do pokoju! Mohorycz na sucho – to nie po naszymu. Chodźmy! A dziś jeszcze poszlę do miasta, ażeby krawiec przystroił Iwasia. Chłopiec jak młoda brzoza, tęgi z niego

⁹⁸ *Mohorycz* – poczęstunek trunkiem po dobitym targu.

⁹⁹ *Przejąć* – tu: wspólnie z kimś coś przejść, przeżyć.

¹⁰⁰ *Kopa* – sześćdziesiąt.

Kozak będzie i kto wie, mosanie¹⁰¹, czy we trzech jeszcze nie namniemy czuba¹⁰² hultajom, bo coś do tego idzie. Hej, hej, Chwedorze, gdzie to nasze lata młode?

– Minęły, panie.

– Minęły i nie wrócą!

– Nie wrócą... – rzekł smutnie Chwedor i wszystko troje znikli za drzewami.

—

Na czystym błoni, niby Boże dziatki, rozbiegły się kwiaty; a jakichże to tam nie ma? I sine, i czerwone, i malowane złotem – rozmaite! Zwyczajnie – jak w naszej krainie. Pomiędzy nimi, gdyby ptaszę, biega wesoło Hania. Śmieje się, piosnkę śpiewa – wesoła, jak jasna gwiazdeczka. Opodal stoi Iwanko. Bóg wie, jakie myśli w chłopcu, bo i sam on o tym nie wie: on duszą i okiem utonął w tej dziewiczej postaci i dziwnie mu i sam nie wie, czy tamto było prawdą, czy to jest snem tylko?... Anioł... Hania... On przy niej...

– Iwasiu, dlaczego nie rwiesz kwiatów?

– Ja? Jakie kwiaty?...

– A takie, jak u mnie... Spójrz, jakie piękne... Czeka, zrobię z nich wianek...

Iwanko wciąż stał, ócz z niej nie spuszczał. Za chwilę wianek był gotów. Dziewczę wesoło włożyło go sobie na głowę.

– Ładnie?... A u ciebie nie ma żadnych... Na tobie o te, sineńkie...¹⁰³ – I włożyła mu za haftkę kilka niezabudek. – Teraz chodźmy do domu! – rzekła wesoło. Wtem spojrzła i zakrywając rączką oczęta, rzekła zarumieniona: – Czego ty patrzysz się tak na mnie?...

Chłopcowi krew uderzyła do głowy, pierś zalało jakieś ciepło i – nie rzekł słowa.

– Ach, jaki piękny motylek! – zawołało dziewczę i pobiegło za nim w płasach.

Motylek leciał wprost do zamku. Wkrótce drzewa ogrodu zakryły sobą pustującą¹⁰⁴ Hanię; smutny za nią znikł także Iwanko.

¹⁰¹ *Mosan (mospan)* – tytuł grzecznościowy używany poufale, zwykle w bezpośrednich zwrotach do rozmówcy.

¹⁰² *Namiąć czuba* – utrzyć nosa, dać do wiwatu.

¹⁰³ *Sineski* – niebiesciutki.

¹⁰⁴ *Pustujący* – zachowujący się beztrosko, figlujący.

IV.

Są chwile w życiu człowieka, od których datuje wewnętrzny przewrót dotychczasowego naszego istnienia: z ich nastaniem stajemy się niemal zupełnie innymi, tyle w nas zmian zachodzi.

Chwile takie są w życiu każdego człowieka, tylko że bardzo wielu nie wie nawet o ich istnieniu. Nie dziw – ci o sobie niewiele wiedzą!...

Na innych chwile podobne zostawiają niczym niezatarte wrażenie, które do późnych wspomnień starości dochowywane idzie wraz z nimi do mogiły.

Taką chwilą w życiu Iwanka był fakt pozostania we dworze Starosty.

Parę dni po zostaniu nie umiał sobie chłopiec zdać sprawę z tego, co się z nim dzieje. Dawniejsze marzenia, obecna rzeczywistość tyle z tamtymi wspólnego mająca..., ujrzenie się w innych jak dotąd stosunkach przy dawniejszych przyzwyczajeniach – wszystko to jakoś splatało się dziwnie ze sobą i porywało chłopca, że w tym wirze nie umiał znaleźć samego siebie i nieraz tał czoło i szerzej otwierał oczy, by się przekonać, czy nie śni i czy li to, co go otacza, w rzeczy samej jest rzeczywistością. Dziwnie mu było niespokojnie jakoś z tą nieokreślonością własnego położenia..., w piersi tak pełno..., a w głowie, wśród zamętu, czuł ogień, który czas do czasu strzelał mu płomykami myśli przejmującymi istotność chłopca. Trudno mu było wytrzymać dłużej! Wśród murów duszno mu... on potrzebował przestrzeni nieobjętej, powietrza, które by mu ulżyło ciężarowi, nieba, co by go swymi błękitami upoiło radością – i biegł do ogrodu, w największą gąszcz, nad skały..., upadł na ziemię i łzy mu pociekły strumieniem. Płakał. Spytacie: czego? Alboż w stanie jestem odpowiedzieć?... O, ja wiem, że są łzy nie tylko bólu i rozkoszy, są inne jeszcze – łzy ulgi. Tymi chciałbym długo, długo płakać, bo po nich czujesz się być tak lekkim, swobodnym, jak gdybyś odnowienia dostąpił, jakbyś przeszłość boleśną przeżył i w przyszłości tylko cię niebo czekało.

Tak było i z Iwankiem. Po tych łzach uczuł się on zupełnie szczęśliwym i rozumiał siebie... Żle mówię! – opuścił go tylko ów niepokój nieświadomości tego, co w nim i z nim się dzieje. Nie umiał wprawdzie zdać sobie sprawę ze swego położenia, ale go to nie męczyło wcale. Przeczuwał, że będzie, co ma być, bo ludowa wiara w „sąd z o n o” nie jest tylko czczym wyrazem i ma swe głębokie, o, głębsze, aniżeli się wam zdaje, znaczenie!

Dziwicie się upadkowi filozofii, błędząc po audytoriach, szukacie nowego Hegla...¹⁰⁵ Chodźcie do nas! Nasz kraj jest tą audytorią¹⁰⁶, a lud nasz zna prawdy, o których się waszym filozofom nie śniło!

Powstał chłopiec. Swobodnie mu było w duszy i w sercu, lekko w piersiach, zapóźnione dwie łzy świeciły mu jeszcze w oczach, które zwrócił ku słońcu.

– Czego ty płaczesz, Iwanku? – ozwał się pieszczony głosik, na który zadrżał chłopiec.

– Czy ci źle u nas? – zapytała ze współczuciem Hania, wychodząc spoza drzew, cała umajona kwieciami.

Chłopiec stał zachwycony.

– Może ci kto dokucza? – pytała.

– O, nie, nie! – zawołał chłopiec. – Mnie u was bardzo, bardzo dobrze! A płakałem... ot, sam nie wiem czego, bo mi tu tak dobrze!... – I pożerał ją płomieniami spojrzeń.

– A ja myślałam... – mówiło dziewczę, przebierając kwiaty. I wtem dodała: – Bo gdyby ci co złego robili, to mnie powiedz!

– Jasiu – rzekła po chwili – jak ty wyrośniesz..., to będziesz duży... Ale ty na wojnę nie pójdziesz. Ja wojny bardzo się boję. Po co to ludzie zabijają ludzi?! Ale ty nie pójdziesz, ja ciebie nie puszcę... Niech tylko dziadzia poproszę, to my tu zawsze zostaniemy... A co to u ciebie w kieszeni?

– To? Sopiłka. Ja umiem grać na niej.

– Umiesz? Ano zagraj, zagraj, Jasiu! O tak – siadaj ty tutaj, a ja będę słuchać, bo ja bardzo lubię, gdy grają, i sama grać będę, a teraz uczę się dopiero. No, grajże!

Chłopiec bezwiednie powodował się¹⁰⁷ dziewczęciem. Usadowiony przez nią wydostał sopiłkę i patrząc w naprzeciw siebie stojącą, grał. Co? Nie wiedział, ale grał długo, a było mu tak dobrze, tak dobrze... A nie instrument tam prosty, lecz grało młodzieńcze serce i nie o zimny słuch się odbijało tylko, ale o dziewczęce serduszko. Taka gra złą nie bywa. Hania słuchała gry tej duszą całą, również nie wiedząc, co się z nią dzieje. Melodia – czy to, co po za nią było – przeniosła ją w kraj nieznany, w stan nieokreślonego zapomnienia i czarownego zachwyty. Serduszko biło żywiej i łezki, rosa czysta, ukazały się w oczach dziewczęcia.

¹⁰⁵ *Hegel* – Georg Wilhelm Friedrich Hegel (1770–1831), wielki filozof niemiecki, twórca systemu idealistycznego.

¹⁰⁶ *Audytorium* – właściwie audytorium, czyli sala wykładowa.

¹⁰⁷ *Powodować się* – dać się komuś prowadzić, kierować.

Patrzyli wzajemnie na się, a żadno nie wiedziało przez chwilę, że Iwaś grać już przestał i sopiłka leżała na trawie.

Ocknęła się Hania. Rumieniec okrył jej lica... bezwiedny ruch ręki – i powódź trzymanyh w niej kwiatów zasypała uszczęśliwionego Iwanka.

– Piękna gra, ale i nagroda niezgorsza! – ozwał się za nimi głos Starosty.

Hania podbiegła, tuląc się do dziadka. Iwanko stał w postawie winnego.

– Masz zdolność do muzyki, mój chłopcze, i muszę pogadać z Chwedorem, żeby cię dalej uczono. Jeno ta dudka nic warta, sprawię ci lepszy instrument.

Dopiero teraz dostrzegł chłopiec leżącą mu u nóg sopilkę i podjął ją, skwapliwie chowając.

Zaśmiał się Starosta.

– Boisz się, abym ci ją nie zabrał?...

– To moja sopiłka, panie – rzekł chłopiec, tuląc swój instrument – takiej drugiej nie znajdziesz u nikogo...

– Lubisz ją..., to dobrze! Pogadam z ojcem. Jest talent, jest... – mówił sam do siebie starzec. – Mógłby stanąć... Trzeba o tym pomyśleć... Ale ba! Ja tu z nimi, a obiad przestoi. Słuchaj no, Janku... Albo nie! Chodźcie lepiej na obiad, później pogadamy o tym.

W ten to sposób pożegnał Iwanko dotychczasowe swe życie marzeń, a wstąpił w nową erę czynnego żywota, którą przed nim odsłaniała przyszłość w płaszcz tajemnicy spowita. Łzy, które przelał, były snąc ostatnim aktem pożegnania dawnych swych towarzyszek: dumy i niewyraźnej tęsknicy za czymś, co określić nie umiał dokładnie, a co rzeczywistość sama przed nim odkryła.

Jeżeli przedtem znaliśmy Iwanka jako udzielającego się na zewnątrz, to od ostatniego pobytu w ogrodzie stał się bardziej zamkniętym w sobie. Uderzało go i teraz wiele rzeczy zakrytych przed oczami innych, ale mu już niespieszno było jak dawniej wypowiadać to nieinteresowanym; zamknął się w sobie, a na czoło wybił mu pierwszy fałd myśli, za wczesny wprawdzie w dziecku poniekąd, ale któż winien temu?

Piękny to chłopiec Iwaś. Mniejsza, że matka napatrzeć się nie mogła na swego jedynaka i nalubować kochanym, ale wszystkie dziewczęta ze dworu i wioski na widok młodego Kozaka spozierały¹⁰⁸ stodziutko i zawsze miały coś sobie do opowiedzenia o czarnobrewym Iwanku; ba, nawet figlarna Parania, faworytka pani Muczkowskiej, klucznicy Starosty, jak go raz nazwała m a l o w a n y m Iwasiem,

¹⁰⁸ Spozierać – spoglądać.

tak i pochwyliły to wszystkie dziewczęta i poszło zwyczajem: malowany, ta malowany! – wiadomo: dziewczęta!

W kontuszu¹⁰⁹ na wyloty, przy szabli, z barankową kozacką czapką na głowie wyglądał Iwaś nie jak pokojowy, ale niby syn Starosty – o ile, że wszyscy we dworze kochali go, a Starosta nigdy nie wspominał o nim inaczej, jak z pochwałą, nie szczędząc dowodów swego doń przywiązania.

Powiedziałem, że wszyscy w zamku lubili Iwanka; szczerza to prawda, dodać jednak muszę, że najbardziej, bo do zapamiętałości, kochał go watażka¹¹⁰ Kozaków Starosty Sobko, inaczej Mucha zwany.

Nie od rzeczy będzie powiedzieć o nim słów kilka, raz ze względu, że Sobko sam w sobie ciekawą jest postacią, drugie – że nieraz jeszcze wypadnie się nam spotkać z nim w ciągu naszej powieści.

Sobko nie wiedział, kto jego rodzice. Jak długo pamięcią mógł zasięgnąć, znał siebie jako tak zwane u nas Boże dziecię, którym się Bóg i aniołowie Jego opiekują.

Dziwnym to będzie dla panów cywilizowanych, gdy się dowiedzą, że byli i są u nas istoty, które – mimo że pozbawione naturalnej opieki rodziców – żyją, rosną i częstokroć w dalszym życiu dostępują tego wszystkiego, co jest udziałem innych, zostających pod lepszymi warunkami bytu. Nie było u nas i teraz nie ma prawie domu podrzutek, zakładu sierot itd., a chociaż niejedno dziecię pozostaje samo, przecież żyje wśród nas, z głodu nie umiera i owszem, ochrzczone mianem Bożego dziecięcia, ma w Bogu i ludziach swych opiekunów.

Widzicie więc, że nie dla wszystkich potrzebne ciasne kurty waszych socjalistyczno-komunistycznych utopii!¹¹¹

Trudno wprawdzie będzie wam uwierzyć, ale tak jest w rzeczy samej, iż takie Boże dziecię, mimo że się nikt doń nie przyznaje i nie opiekuje wyłącznie, jakoś co dnia nie głodne i chłodu wielkiego nie cierpi, i rośnie wesoło, aż miło. Zapytasz włościan – czyje to dziecię?, kto go żywi? itp. Nie wiedzą: „Bóg wie, proszę pana; wiadomo – Boże dziecię”. Oto cała odpowiedź, innej nie otrzymasz.

Takim Bożym dzieckiem był Sobko.

¹⁰⁹ *Kontusz* – staropolska suknia wierzchnia, z rozciętymi rękawami, spiętymi zazwyczaj na plecach.

¹¹⁰ *Watażka* – na dawnej Ukrainie: dowódca Kozaków.

¹¹¹ *Socjalistyczno-komunistyczna utopia* – nawiązanie do XVIII- i XIX-wiecznych utopii społecznych (Robert Owen, Charles Fourier, Henri de Saint-Simon i inni).

Nie wiedzieli ludzie i on nie wiedział, jak dorósł, zdrow i silny, do lat czternastu. I był sobie Sobko, taj Sobko. Aż jakoś jechali przez wieś Kozacy, upodobali sobie chłopca, kupili mu medwyny¹¹², poczęstowali czarką palonej¹¹³, a potem rozochoczonego posadzili na luźną szkapę i pojechali w step, do siebie. Chłopcowi bardzo się podobało towarzystwo kozackie i mocno mu markotnie było, że go nie chcieli brać z sobą na Turka wojować, bo powiadali, że nie dorósł szabli i janczarki¹¹⁴; ale się ten pocieszał, że już niedługo wąż mu wyrośnie, a wtedy pójdzie Kozakować.

Tak marząc, Sobko dojechał do kurynia¹¹⁵ Kozaków i wnet objął ważną posadę kurenego kaszowara¹¹⁶. Rad był i z tego chłopiec, ile że robota to niewielka, i sam on panem w kurzeniu, bo Kozacy wieczorem tylko dojeżdżali do siedliska, dnie całe trawiąc na polowaniu lub rybołówstwie.

W kurzeniu lubiono Sobka, a mówiąc prawdę, niezbyt on obchodził Kozaków, byle kaszę gotową zastali.

Kiedy tak Kozacy zdawali się zapominać o swym kaszowarze, pamiętał on o sobie i mocno postanowił, stój – co stój¹¹⁷, pozostać jak i oni Kozakiem. Plan był ułożony i Sobko począł go w życie wprowadzać.

Pierwszym było to, że korzystając z podchmielenia się Kozaków, skradł im chłopak sporą miarę strzelniczego prochu i śrutu. Nie dopatrzyli szkody Kozacy, a Sobko dalej rzecz prowadził.

W kurzeniu było rozmaitej strzelby niemało, a chłopiec dobrze przypatrzył się, jak się należy obchodzić z janczarką i czuł się bardzo szczęśliwym, gdy pierwszy wystrzał tylko go o ziemię powalił i nadwreżył parę trzonowych zębów, które dobrze że wypadły, bo – utrzymywał Sobko – i tak już chwiały się niepotrzebne.

Po pierwszej próbie nastąpiła druga i dziesiąta i wkrótce Sobko odkrył tajemnicę nabijania strzelby, a ugotowawszy kaszę, resztę czasu przepędzał na strzelaniu do celu lub do przelotnych ptaków. Popróbował także zapoznać się z szabłą. Tu mu już poszło lżej aniżeli z janczarką, a nawet zupełnie łatwo: wywijał on ciężką szablicą na wszystkie strony, naśladując swych panów, którzy lubili sami przed sobą popisywać się znajomością władania szabłą i spisą¹¹⁸. Codziennie tak

¹¹² *Medwynyk* – miodowy piernik.

¹¹³ *Palona* – rodzaj napoju alkoholowego.

¹¹⁴ *Janczarka* – strzelba o długiej lufie i krótkiej zakrzywionej kolbie.

¹¹⁵ *Kuryń (kureń, kurzeń)* – obóz kozacki, stacja.

¹¹⁶ *Kurenny kaszowar* – kucharz w kureniu.

¹¹⁷ *Stój – co stój* – choćby nie wiem co; za wszelką cenę.

¹¹⁸ *Spisa* – dzida, pika.

ćwicząc się, po czterech latach doszedł nasz kaszowar do niemałej wprawy we władaniu trzema rodzajami broni – szczególnie ze strzelbą umiał sobie dać radę i już mu wsadzić kulę na szydło¹¹⁹ nie było tak wielką trudnością.

Rozumie się samo przez się, że Kozacy nic o tym nie wiedzieli i jakoś nigdy nie przychodziło pomiędzy nimi do mowy o dalszej karierze kaszowara (śnać nie chcieli się z nim rozstać), a wszelkie braki w strzeleckich zapasach umiał im Sobko tak wyjaśnić, że podejrzania nie mieli żadnego.

Nie na rękę było chłopcowi to, że konno jeździć nie umiał, a trudno było co począć, gdyż koni po zwykłym wyjeździe Kozaków nie zostawało w stajni. Ale los i tu mu posłużył. Pewnego wieczora jak zwykle wrócili Kozacy, a gdy kazali Sobkowi odprowadzić konie do stajni, ku wielkiemu zdziwieniu swemu znalazł on ich więcej o jeden. Już miał na myśli, że może to jego chcą uczynić towarzyszem, ale się wnet rozczarował, bo przy wieczerzy dowiedział się, że to koń Kozaka Skrypy, który ze pojechał z sotnikiem Hułą do Kijowa w jego otoczeniu i na jego szkapie, więc swego wronego¹²⁰ dał tymczasem pod dozór towarzyszy z sąsiedniego kurzenia, bo ufał, że mu oni dopilnują konia.

Skorzystal ze zręczności Sobko i odtąd dziennie godzin kilka uwijał po stepie na wronym, a chociaż nie obeszło się częstokroć bez bolesnych kozłów, przecież zawsze umiał on dać sobie radę z koniem i wkrótce wcale dobrze go zażywał.

Niepomału¹²¹ dziwiło Kozaków, że koń na owsie stojący nie unosił¹²², ile go razy tylko nie przejeżdżano, ale tu Sobkowi wybornie posłużyła wiara w *domowego*¹²³, w jego hecy...¹²⁴ Przeciw temu nie mieli nic Kozacy i wkrótce na odstraszenie zabita sroka zawisła w stajni; ale koń wciąż był spokojny pod jeźdźcem. Zgodzono się więc, że wrony ma dobrą naturę i dlatego zastój mu wcale nie szkodzi. Sobko z tej mowy Kozaków śmiał się w duchu i wcale dobrze wyuczył się jazdy.

Tak dobiegł on lat ośmnastu.

A w tym czasie jakoś zebrało się na ruch w Ukrainie: coś tam Tatarzyn nabroił, toż mu należało namięć czuba, po kozacku! Poczęli się zbierać Kozacy

¹¹⁹ *Wsadzić kulę na szydło* – załadować strzelbę.

¹²⁰ *Wrony* – o maści konia: czarny, kary.

¹²¹ *Niepomału* – bardzo, niezmiernie.

¹²² *Unosić* – ponosić (o koniu).

¹²³ *Domowy* – chochlik, zły duch mieszkający w domu.

¹²⁴ *Hece* – psoty, złośliwości.

w kurzeniu, a Sobkowi ostro nakazali doglądać statku¹²⁵ i wronego, póki nie wróci Skrypa. Próżno chłopiec ze łzami błagał, by go wzięli ze sobą; odpowiedzią Kozaków był śmiech szydery i obietnica kijów, skoro nie usłucha rozkazu swych panów. Należało się tedy zdecydować i nie zwlekał Sobko. Nazajutrz o świcie nie znaleźli Kozacy swego kaszowara; brakło także wronego, szabli i janczarki.

– Uciał sztukę¹²⁶, diable nasienie! Ale co tu już długo rozpowiadać – pora w drogę!

Pokręcili nosem Kozacy, jeden, drugi przeklął kaszowara, wsiedli na konie, oglądnęli panewki janczarek i ruszyli, kurzeń Bożej opiece zostawiając.

A Sobkowi szczęściło się. O świcie dopadł on stanowiska Kozaków. Niedługo myśląc, skłamał, że jest pańskim Kozakiem z Poliskiego¹²⁷, że mu obrzydło siedzieć w zapiecku pomiędzy lackimi¹²⁸ fartuchami, ot, i dmuchnął w step kozaczego życia zapróbować. Kozacy przywitali go serdecznie i przyjęli między siebie, a niezadługo, w zwarciu się z Tatarami, Sobko miał zręczność dowiedzieć się sam i pokazać towarzyszom, co umie. A ciął i palił tak gęsto a tęgo, uwijał się między dziczą tak żwawo, że go jednogłośnie *M u c h a* przezwali – że to jak mucha nie dawał bisurmanom¹²⁹ spokoju. I niejedna czarka wypita została za jego zdrowie, a watażka to krom¹³⁰ podzielnego łupu przysypał mu jeszcze garść czerwienców¹³¹ od siebie za młodość!¹³²

Ot, i stał się Sobko rzeczywistym Kozakiem! Ta – jakby w bajce – na gładkiej drodze spotkała go bieda i niebieda, jak później obaczymy.

Jechał Mucha z towarzyszami wysłany na rozwiady, kiedy nie spojrzy: sunie z lasu wąsaty Kozaczysko. No, Kozak niechby i Kozak – sztuka niewielka, ale tu inny był kłopot. Ino się czarne wąsiska pokazały z lasu, wrony, na którym pysznił się Mucha, zarżał radośnie i mimo wstrzymywania puścił się galopem na spotkanie nieznajomego.

¹²⁵ *Statek* – majątek, mienie.

¹²⁶ *Uciać sztukę* – tu w znac. wywinąć numer.

¹²⁷ *Poliskie* – być może chodzi o Polesie (kraj historyczną, leżącą głównie na terytorium obecnej Białorusi i Ukrainy oraz częściowo Polski i Rosji).

¹²⁸ *Lacki* – polski.

¹²⁹ *Bisurman* – dawn. wyznawca islamu, muzułmanin.

¹³⁰ *Krom* – oprócz.

¹³¹ *Czerwieniec* (*czerwoniec*) – używana w Rosji nazwa monet i banknotów, wywodząca się od polskiego czerwonego złotego.

¹³² *Młodość* – męstwo, odwaga.

Zaiskrzyły się oczy Skrypie, bo swego to pana poznał przekłęty wrony, zgrzyt-
nął zębami, a wąsiska jak las zjeżyły mu się do góry.

– A tuś mi, holtiapako!¹³³ – wrzasnął. – Taką to drogą do kozactwa doszedłeś,
biesów synie?! Idź na dno do piekła!

I odwinął szablą spoza ucha. Ba, nie z głupcem sprawa: szabla padła na sza-
blę! Dzielnie odciął Mucha, aż Skrypie lżej się zrobiło, a Kozacy to tak i stanęli.

– Chwała Bogu – rzekł Skrypa, wciąż domacując się łba młodego Kozaka – że
choć na wronym niewielki głupiec siedział. Ty, smyku, widzę, jesteś Kozakiem,
no to się sprawię z tobą po kozacku. Stój!

*Ne budem miryt'sia,
Ate budem byt'sia*¹³⁴.

– Zwycięzysz ty mnie – twój wrony i ja tobie bratem; ja ciebie zwalę – moje,
co twoje, i ty u mnie na łasce.

– Dobrze! – odrzekł Mucha.

Rozjechali się w strony przeciwne, stanęli i jakby na dany znak ruszyli z ko-
pyta, z szablami w górę, a spisy dołem.

Ej, dzielnież bo schwycili się biesowe dzieci¹³⁵, że spojrzeć miło!

Towarzysze Muchy otworzyli gęby, przypatrując się, a sami aż się trzęsą, bo
tu kozacza bójka, a oni także Kozacy!

Cięcia szabel jak błyskawice z szumem i świstem spadały jedno po drugim,
spisy w górę – zwarli się za blisko! Nawet konie zdawały się brać udział w walce:
ogniem parskają, fyrkając¹³⁶ nozdrzami, łeb o łeb, pierś o pierś się bije!... Gdy
i pałasze okazały się za długie, wzięto się za barki. Naturalnie Skrypa zdusiłby
Muchę jak rzeczywistą muchę, ale w najkrytyczniejszym momencie konie spło-
szyły się i zapaśnicy odlecieli w przeciwne strony, nakrywszy się nogami.

Sobkowi krew połała się ustami, upadającemu Skrypie zastrzągł¹³⁷ w biodro
jatagan¹³⁸, który mu wyleciał z pochwy.

¹³³ *Holtiapaka* – hultaj, niepoń.

¹³⁴ *Nie będziemy się godzili,
Tylko się będziemy bili.*

¹³⁵ *Biesowe dzieci* – przekl. czarcie syny.

¹³⁶ *Fyrkać* – parskać, porychać.

¹³⁷ *Zastrzęgnąć* – ugrzęznąć.

¹³⁸ *Jatagan* – krzywa szabla turecka.

– Obadwa mołojce! – krzyczeli Kozacy, przypatrując się walce, a teraz rzucili się na pomoc leżącym.

Mucha przemył usta wodą, którą mu jeden z Kozaków podał w garści; Skrypa odpedził od siebie chcących go ratować: spokojnie wyjął jatagan i otarłszy o trawę, schował go do pochwy, a dopiero wziął się do opatrzenia rany. Była ona dzieciństwem¹³⁹ dla Kozaka, toż za chwilę powstał na nogi. Pomocował się:

– Zdrowo! Jeszcze pokazujemy.

Mucha wstał także.

– Pocięła juszka! – rzekł Skrypa drwiąco, patrząc na Muchę. – No i ze mnie, prawda! A powiedz no mi, swatu, czyś ty tak warzecha¹⁴⁰ wywijając, nauczył się władać spisą tą szablą? Ale pal cię diasek!¹⁴¹ Jesteś dzielny chłopiec i oto ci mój wrony i ja za brata. Zgoda?

– Zgoda! – rzekł Mucha i nowi bracia uścisnęli się serdecznie.

– O tak, to po kozacku! – zawołali chórem Kozacy. Zdrowo by wam kozakować, na sławę!

Pobraty¹⁴² dziękowali towarzyszom.

Wydobyto palone, znalazły się suchary, był i tytoń. Wypito, zakąszono, zbratano się i zakurzywszy lulki¹⁴³, wszyscy w najlepszej zgodzie ruszyli na stanowisko, a Mucha drogą rozpowiadał towarzyszom, w jaki to sposób został wpiersw kaszowarem, a później Kozakiem.

Kozacy słuchali opowieści, dziwując się, to śmiejąc z przygód niektórych, a rzecz zakończył Skrypa.

– Znać krew kozacką. Mucho, pluć w oczy tym, co ci mówią, żeś ty Boże dziecko – kłamstwo! Gdybyś nim był, to by cię bies popem był zrobił, a tak patrz, jaki wyrósł kozarluha!¹⁴⁴

Zaśmiała się kompana i wesoło bawardując¹⁴⁵, znikli w stepowej trawie.

Sześć lat Kozakował Mucha i niemało głów bisurmańskich spadło od cięć jego szabli, a nie bez tego, żebyś i chrześcijańskiej jakiej między nimi nie zna-

¹³⁹ *Dzieciństwo* – tu: błahostka, nic poważnego.

¹⁴⁰ *Warzecha* – warząchew.

¹⁴¹ *Diasek* – diabeł.

¹⁴² *Pobrat* – pobratymiec, przybrany brat.

¹⁴³ *Lulka* – dawn. fajka.

¹⁴⁴ *Kozarluha* – Kozaczyna.

¹⁴⁵ *Bawardować* – rozprawiać, rozmawiać.

laź, bo w kozactwie zdarzać się to zwykło..., a całe sześć lat najwierniejszym mu bratem był Skrypa, własną piersią chroniąc druha od niebezpieczeństw i doświadczoną radą wspierając go w potrzebie; ale gdy się ma stać komu лихо, to się go nie ustrzeżesz, żebyś był aniołem. Stało się tak jakoś, że pułkownik, który bardzo lubił Muchę, posłał go z listami i pokłonem do swego towarzysza, który chleborobem¹⁴⁶ zostawszy, osiadł w jednej z pałanek¹⁴⁷ bliżej do Krymu położonej. Pojechał Mucha w towarzystwie na krok go nieodstępującego Skrypy, a już na przewozie¹⁴⁸ zauważał ostatni, że koń jego potknął się na gładkiej drodze, a zając wpieryw jeszcze przebiegł drogę w polu. Z tego nie wróżył Skrypa nic pomyślnego, ale wolał śmiać się z młodym towarzyszem, drwiąc z babskich przesądów, aniżeli przypuszczeniami smuć sobie wesoła drogę. I stało się, jak mówili, że gadanie gadaniem, a rzecz jak należy: Kozacy dojechali szczęśliwie do pałanki.

Mucha oddał listy i pokłon pułkownika; stary sotnik, gospodarz, serdecznie przywitał Kozaków i prosił wypocząć. Usiedli.

A w świetlicy¹⁴⁹ jak w pudełeczku czyściutko wszędzie, za oknem grędy pięknych kwiatów.

– Dam głowę – mrucał Skrypa – skoro w tej chacie nie ma jakiej niepotrzeby (tak nazywał on kobiety, młode szczególnie), diable to nasienie czuje o miłę.

I w tej chwili przypomniał sobie spotkanie się konia i przekłety kocisko mignął mu przed oczyma. Skrypa splunął i pokręcił wężą. Sotnik czytał listy.

Mucha chciał coś odpowiedzieć na uwagę towarzysza, ale wtem drzwi otworzyły się z szumem i do świetlicy wbiegło, z piosnką na ustach, cudo-krasawica! Spostrzegła gości – zarumieniła się...

Moja córka, Ołena – rzekł gospodarz, ukazując na krasawicę. – Kozacy mołojcy – dodał, obracając się do córki.

Ołena jeszcze bardziej zarumieniła się, oddając ukłon gościom, ale i Kozacy niezbyt czuli się być silni na ten atak krasawicy: Mucha poczerwieniał, jak mówią, od ucha do ucha i coś przebaknął niezrozumiale; Skrypę, zda się, dławiło..., lewą

¹⁴⁶ *Chleborób* – tu: utrzymujący się z prowadzenia gospodarstwa.

¹⁴⁷ *Pałanka* – osada umocniona wałem ziemnym i palisadą.

¹⁴⁸ *Przewóz* – prom służący do przewożenia ludzi, zwierząt, towarów.

¹⁴⁹ *Świetlica* – gościnny, paradny pokój wiejski.

ręką macnął się po szabli i zaklął pod nosem, a w myśli wyraźnie mu mignął ów szarak przeklęty, ironicznie szczerząc swe zęby.

Była to pora obiadowa. Gospodarz zaprosił gości – usiedli. Wszczęto rozmowę, a niejedna czarka dobrego wina rozwiązała usta. Gospodarz był wesół i śmiał się serdecznie, Mucha, zwyczajnie, przyłgnał do miodu... Tylko Skrypa klął w duchu, bo w żywe oczy i niejednokrotnie dostrzegł, jak pioruny spojrzeń latały to od Kozaka do krasawicy, to znów od niej do niego. Było tam tego niemało, aż jakoś pod koniec obiadu Mucha wziął garść orzechów i płomienny wzrok utkwivszy w Ołenę, zapytał trzęsącym się głosem:

– Cet czy liszka?¹⁵⁰

Zrozumiało pytanie serce dziewczęcia, bo i po co by inaczej biło w jej piersi?... Lica załała purpura:

– Cet! – ledwie wyszeptala.

Mucha poczuł się w siódmym niebie. Sotnik opowiadał coś wesołego i sam śmiał się do rozpuku. Dla Skrypy było tego wszystkiego za wiele: zaklął, aż zadzwoniły szyby i wybiegł z świetlicy.

Gospodarz rozumiejąc, że może go niewinnie uraził opowieścią, wyszedł za nim, chcąc się dobrać przyczyny raptownego gniewu gościa, i jeśli winien, przeprosić; w świetlicy został Kozak z krasawicą.

Ot, co tu długo rozprawiać! Mucha był Kozak, jak to mówią, *choť kudy!*¹⁵¹ Przy tym lat dwadzieścia cztery pod każdym względem korzystnie o nim świadczyły; Ołena miała lat ośmnaście i ona Kozaczka! Kozak z Kozaczka – nie dziwota, że się sprawili po kozacku: zanim wrócił Sotnik ze Skrypą, już Sobko i Ołena byli jedną duszą w dwóch ciałach. Tak to bywa w naszej Ukrainie!

Ojcu naturalnie ani przez myśl me przeszło tak prędkie swatanie i Skrypa nie domyślał się prawdy, tylko przeklęty szarak wciąż mu kozły wywracał...

Wieczorem Mucha zwierzył się ze wszystkim towarzyszeni i zaklął się kłatwą¹⁵² kozacką, że nie tylko druha, kozackiej sławy, ale nieba odrzeknie się, jeśli nie posiedzie Ołeny, bez której nie pojmował już swego istnienia...

Co się działo ze Skrypą, trudno wypowiedzieć: klął, że wszystkich diabłów na dnie piekła poruszył, perswadował, prosił, chciał cały ród kobiecy

¹⁵⁰ *Cet czy liszka?* – parzyste czy nieparzyste?

¹⁵¹ *Jak się patrzy.*

¹⁵² *Kłatwa* – przysięga.

zniszczyć – nic nie pomogło! Mucha był nieubłagany. Bez względu na to, co mówi Skrypa, czy przystało, lub nie, przesiadywał on dnie całe z Ołeną, prawil rzeczy, o których nigdy wpierv nie śnił; umiejąc ledwie parę akordów wydobyć z teorbenu¹⁵³, przez krótki czas znajomości z Ołeną stał się prawdziwym mistrzem na tym instrumencie: grał i wyśpiewywał, że aż gwiazdom na płacz się zbierało, a czasami to mrugały wesoło i wprost w oczy Kozakowi i krasawicy; nawet Skrypa, gry tej słuchając, nie tyle przeklinał... Słowem, dziwo stało się z Kozaka!

Sotnik uszczęśliwiony, że mu takich gości Pan Bóg do chaty sprowadził, poił ich, częstował, ani pozwalając sobie wspomnieć o odjeździe, chociaż Skrypa nieraz chciał wszcząć o tym rozmowę.

A młodzi tymczasem kochali się, aż w niebie było radośnie, a w ich duszach niebo również. Co to młodość, a jeszcze kozackich dzieci! Im nie ma niepodobieństwa, dla nich wszystko jakby się na to tylko rodziło.

Tak myśleli Kozak i dziewczyna. Po co im długie narady? Wzięli się za ręce, padli do nóg sotnikowi:

– Błogosław ojcze!

Teraz dopiero odkryły się oczy staremu.

– Wraże dzieci, ucieli sztukę nie lada – pomyślił sotnik, ale się znalazł z powagą: podniósł zakochaną parę, posadził na osłonie i wyłożywszy rzecz całą jak na dłoni, że Kozakowi ożenić się to nie czarka, którą wypić taj splunąć, ale że się to na całe życie zachodzi..., a życie nie ino do zachodu słońca; i chleba¹⁵⁴ dużo napsuć wypadnie, a z wzajemnych uścisków nie przybędzie go i na podpałek¹⁵⁵. Zakończył przemowę tymi słowy:

– Wszyscy my tu Kozacy toż i równi sobie: ni ty dla niej, ni ona krzywdą dla ciebie, ale wy jeszcze młodzi, a tobie, chwacie, potrzebna sława, a wam obojgu – dostatek; ja co mam, nie mam wiele, a zresztą wstyd by był Kozakowi siedzieć na żoninym chlebie. Słuchaj, Kozacze! Oto ci moje słowo i ręka niczym niesplamiona, że Ołena twoja. Jedź w świat, zdobądź sławy i mienia na wrogach, przyjedziesz – życie szczęśliwi.

¹⁵³ *Teorban* – dawny instrument muzyczny, lutnia basowa. Symbol poezji, pieśni, liryki m.in. w *Marii* (1825) Antoniego Malczewskiego.

¹⁵⁴ *Chleb* – tu: zboże.

¹⁵⁵ *Podpałek* – placek przygotowany z mąki i wody, bez użycia drożdży, pieczony na żarze; podpłomyk.

Młodzi padli do nóg ojcu, który ich ścisnął ze łzami. Trudna rada, trzeba było przystać, choć pękało serce – rozstali się kochankowie, wzajemnie przysięgając wiarę do grobu i za grobem.

Uścisnęli się serdecznie, zapłakali gorzko, aż stary łyzy ocierał i Skrypa wąsem mrugał, co u niego było znakiem rozczulenia.

– Bądź zdrowa! Powrócę...

– Bądź zdrow! Wierna ci zostanę...

Jeszcze spojrzeli, raz jeszcze... Kozak z konika pokłonił się ojcu i krasawicy, Skrypa skinął i konie ruszyły z kopyta.

Mucha długo oglądał się za siebie, a do ciemnej nocy śnieżna chusteczka kochanki powiewała w ślad za Kozakiem – ta sama chusteczka, którą Ołena ocierała swoje łyzy gorące.

Rozstali się.

Pląkała Ołena dnie i noce, tęsknił Kozak, że ledwie nie usechł, lecz doła nieubłagana. Dalej, Kozacze, w świat za sławą i dostatkami! Wyglądaj, czarnobrewa! Spodziewaj się!...

Dzieje zapisały sławne pochody kozackie. Nie o nich mi więc mówić, powiem tylko, że gdzie najgęściej latały kule i przy skrach¹⁵⁶ od cięć szabli smały się czuby – tam był Mucha. Nieraz dostał po uchu, parę razy i w piersi oberwał, ale go znali przyjaciele i wrogowie, i gdzie się ino Mucha pokazał – ho ho! Nic nie uszło tam na sucho! Tak sławy zdobył i dostatków niemało, ale wśród pochodów i bitek upłynęło dwa lata.

Dwa lata... mój Boże! Jakże to wiele dla kochającego serca dziewczycy!

Nikła Ołena z dniem każdym tęsknie, wyczekując miłego. Co perswazja ojca, družek, gdy jego nie ma..., nie widać!... I ślad ledwie pozostał z hożej¹⁵⁷ krasawicy. Tak to wędnie serdecznie, gdy go z ukochanym rozłączą!

Biedny ojciec rwał siwe włosy z rozpacz, przeklinał moment, w którym wyprawił Kozaka po sławę i dostatek. Cóż mu po nich, gdy jedyne dziecię jego umiera!

Rok jeszcze było jako tako – nadzieja podtrzymywała dziewczynę. Na drugi – opanowało ją zwątpienie. – Umarł..., nie żyje..., zabity... Przypuszczenie to powoli, zmieniało się w bolesną pewność.

¹⁵⁶ *Skra* – iskra.

¹⁵⁷ *Hoży* – zdrowy, urodziwy.

– Zabity... nie żyje... – mówiło biedne dziewczę. – O, i ja za tobą pójdę, mój miły, i znów się złączymy na wieki; obiecałam ci być wierną i za grobem!

Nikła, nikła powoli, w końcu przykryła krasawicę mogiła, strojna w barwinek¹⁵⁸, który zasadziły dziewczęta.

Cierpiał i Kozak, oj, cierpiał niebożę, ale znaku nie mógł odstąpić, bo wojna trwała i wciąż go wstrzymywał Skrypa. Ale koniec wszystkiemu bywa. W ostatniej potyczce wierny towarzysz Skrypa we własną pierś dostał kulę, która przeznaczona była dla Sobka. Ścisnął mu rękę, zaklął według zwyczaju i skonał. Dzielny człowiek! Jak żył, tak i umarł – po kozacku!

Własnymi rękami złożył go Mucha do mogiły i łzą zwilżył ziemię, która wiecznym domem stała się dla jego opiekuna i druha. Wziął odpustkę¹⁵⁹ z sotni i ze sławą i dostatkiem ruszył znajomą drogą.

Choć dziwna boleść owładnęła sercem, nie chciał mu uwierzyć Kozak: on tak pragnął być szczęśliwym! Dobiegł do futoru¹⁶⁰, rzucił konia na podwórzu i wpadł do świetlicy. W świetlicy – trup prawie ojciec jego miłej.

– Gdzie Ołena? – krzyknął Kozak głosem strasznej rozpaczycy przeczucia.

Stary wskazał ręką w kierunku okna. Kozak dostrzegł mogiłę. Zatrząsał się, zbladł jak chusta... Nie spuszczać szklanych oczu z sotnika, odpiął trzos ze złotem i cisnął nim starcowi pod nogi.

– Masz, co chciałeś... Dajże mi ją teraz! – i zaśmiał się okropnie.

Starzec zachwiał się i upadł pod obrazami. Nie powstał więcej.

Ludzie noc całą widzieli Kozaka na grobie Ołeny; ze świtem znikł i wieść o nim zaginęła.

Osiwiałego już znajdujemy go w zamku Starosty.

Muchę lubili wszyscy, bo cichym był i łaskawym nawet dla winnych, a cudnie grał na teorbanie, że nieraz cała załoga zapłaczę.

O przeszłość swą zagabnięty, odpowiadał ruchem ręki:

– Ot, było jakoś... – I więcej nic się nie dowiesz.

Takim to byt stary Mucha, który sercem całym przylgnął do naszego Iwanka. Uczył go konnej jazdy, wprawiał do kozackiej broni, ale najbardziej zjednywał

¹⁵⁸ *Barwinek* – roślina o zawsze zielonych liściach i błękitnych kwiatach.

¹⁵⁹ *Odpustka* – przepustka.

¹⁶⁰ *Futor* – na wschodnim pograniczu Polski i na Ukrainie gospodarstwo wiejskie położone z dala od innych.

sobie chłopca grą na teorbanie i śpiewem czarownych dum i dumek, które harmoniując z wewnętrznym nastrojem chłopca, przenosiły go w zaświaty, w których żył on rozkoszą ducha.

Od Muchy nauczył się Iwanko grać na teorbanie i wiele pieśni umiał wyśpiewać jak stary Kozak, a wkrótce, siłą wrodzonego talentu i pełnią młodzieńczego uczucia, przeszedł swego nauczyciela tak dalece, że co żyło w zamku, biegło słuchać jego gry i śpiewu, a pomiędzy czcicielami talentu młodego Kozaka pierwszym był Mucha, który w Iwanku widział więcej aniżeli rodzonego syna. Przywiązanie starego doszło do tego stopnia, że Mucha nie pojmował, jak by mu przyszło żyć bez towarzystwa ukochanego chłopca.

Jako sługa panny bywał Iwanko przytomnym¹⁶¹ na wszystkich jej lekcjach, to podając jej książki i zeszyty, to ocierając z kredy rachunkową tablicę. Bóg to wie, w jaki sposób przy podobnej posługowej asystencji niejedni więcej korzystali z nauk aniżeli ten, któremu wykładają lekcje... Tak było i z Iwankiem: czy Hania umiała lub nie zadać jej lekcję – Iwanko umiał ją zawsze, chociaż go nikt do tego nie zachęcał i nie wiedziano nawet o jego przykładaniu się do nauk.

Spytawszy swą panią o litery, parę razy zagabnąwszy nauczyciela o sylabizowanie, niezmordowanie pracował w godzinach wolnych od zajęć, aż się nieźle czytać i jako tako pisać nauczył; potem już lżej mu było przysłuchiwać się lekcjom swej pani, których wyuczał się pilnie.

Tak to zmienił się Iwanko: uważnie przysłuchiwał się słowom ludzi, chciał z książek wydobyć wszystką wiedzę... – słowem, z niezwykajnego, jak go pierwsi znali, stał się chłopcem zupełnie zwyczajnym, i nie chłopcem nawet, ale Kozakiem co się zowie; bo ani spostrzegłeś, jak dzień po dniu dobiegł Iwanko lat dwudziestu i nie tak z nim łatwo było lada komu spróbować się na rękę, a ze spisą na koniu tak się uwijał gracko¹⁶², że Mucha rozpływał się z radości, Starosta kręcił wąsy, a Hania bladła, to czerwieniała, bojąc się zapewne, by koń nie skaleczył jeźdźca.

Lat dwadzieścia miał Iwaś i zwano go chłopcem z w y c z a j n y m i Kozakiem nie lada. Czyliż naprawdę z przeszłości nic w nim nie pozostało? Oj, nie! Niestety.

¹⁶¹ *Przytomny* – tu: fizycznie obecny.

¹⁶² *Gracko* – dzielnie, zręcznie.

V.

Czy dusza zmianom ulega? Gdy mówią nam: ten a ten zmienił się do niepoznania, przestał być, kim był pierwiej – maż się przez to rozumieć, że wraz z skłonnościami i dusza uległa przemianie?... Nie! Bo odmianie podlega, co jest materią, ma pewne kształty; a gdzież są takowe, w których się dusza zasklepia?... Co od ciała zawisło¹⁶³ – zmienne, bo swemu panu posłuszne..., dusza wolna, rozkazów nie zna i jak od początku wciąż pozostaje nieskalana. Otóż źle mówią, choć mówionemu nie wierzą: niska, podła, czarna dusza – źle, bo dusza występna być nie może: święta w swym istnieniu, zbrodniczą być nie zdoła.

A ponieważ, jak widzieliśmy, w Iwanku przeważała strona duchowa od początku, toż i nie dziw, że mimo zewnętrzne oznaki nie zmienił się on wcale. Żyć duszą było dlań koniecznością, spod tego niepodobna mu było wyłamać się.

Od pomyslenia żył on istnością¹⁶⁴, wybiegając ponad otaczające go – szukał dokoła. – Co? – nie wiedział. Niech już uczeni rozumują: siłą czego sen określił żądanie, uosabiając je w postaci dziewczęcia-aniola, za którym później tęskni chłopiec, szukając go lata, aż wreszcie znalazł – nad jarem, w pokoju, gdzie leżał cierpiącym, w ogrodzie, a teraz widzi go niemal co chwila – i niewymownym szczęściem przepełniona istność jego. Tak mu dobrze, tak cudownie!...

Ale nikt nie wie, krom¹⁶⁵ Boga, co się w sercu chłopca dzieje, jakie uczucie przepelnia pierś młodzieńczą. Nie zdając sobie sprawy, instynktem niejako powodowany, zaprzysiągł on tajemnicę. Bóg tylko i on wie, czym dla niego Hania.

Biedny chłopcze! O, jakże to ciężko sercu z taką tajemnicą! Udawanie obojętności, to najsroższe męczarnie dla kochającego serca. Okiem i usty kłamać świętościom... i nie mieć serca, przed którym mógłbyś własne otworzyć – to boli, bardzo boli!...

Cierpiał Iwanko, bolał, ale był szczęśliwym.

Czyliż nie jest szczęściem oglądać anioła..., być wciąż koło niego,... zachwycać się jego widokiem?... O, to szczęście nad wyraz, którego niejeden na próżno pożąda. Mieszkanca nieba w przedżyciu, myśmy wygnance na ziemi: płaczem witamy ją, płacząc, błędzimy po niej, tęskniąc za rajem, którego przeczuciowe

¹⁶³ *Zawisnąć* – zostać zależnym.

¹⁶⁴ *Istność* – egzystencja, istnienie, byt.

¹⁶⁵ *Krom* – oprócz.

wspomnienie towarzyszy nam od kolebki aż do grobu, jeśli tylko nie skalamy się, upodobawszy błoto ziemskiego bytu. Błądząc po pustyni, z jakąż rozkoszą, z jakiej siły zachwytem witamy znaną nam postać nieb¹⁶⁶ mieszkańca!... Kto szczęścia tego dostąpił, rozumie jego potęgę – kto na ziemi znał tylko ludzi, ten ani pojmie, ani uwierzy!

Czy Iwaś kochał Hanię?

Miłość – uczucie zapożyczone z nieba; ziemianie obdarzamy się tym skarbem, lecz czy to aniołom wystarczy? Miłość nasza godnyż to dar ich istności?... A wszakże i Boga Kochamy, Kochamy świętych Jego... Inną miłością może Iwaś kochał anioła, a że ten dziewczęce kształty wziął na siebie, że wszedł w istność ziemianki... Przebaczenie, ja natury tego połączenia wam nie wyjaśnię!... Ze drżeniem przystępuję do wytłumaczenia jej sobie samemu, ale mego zdania o tym innym nie wypowiem, bo się obawiam błędu i błędnej na myśl o jego skutkach.

Iwaś natury tego połączenia nie pojmował także; brał fakt sam, że anioła miał przed sobą... widział... mówił z nim... on go ubóstwia, czci – i zaprzysiągł oddać się mu cały, szczęśliwy, że taką powinność włożyły nań nieba. Czy więc kochał Hanię? Sami odpowiedzcie, bo on tego pytania nie zadawał sobie, a ja – nie wiem.

Nad wszystko Kochającej go matce nie powiedział Iwaś, że sen jego urzeczywistnił się, że znalazł szukanego anioła; cóż więc dziwnego, że i nikt inny o tym nie wiedział.

Mówią, że człowiek ma wolną wolę. Któż by śmiał temu przeczyć? A jednak... jest tam coś, co jej kierunek nadaje... Lecz nie silmy się dobadywać rdzeni, bo któż wie, jaka jej natura? Lepiejże niesennemu w noc późną aniżeli temu, który śni o rozkoszach?...

Więc wolną swą wolą doszedł Iwanko do przekonania, że dotychczasowe zachowanie się jego już by mu nie wystarczyło do dzisiejszych stosunków, poczuł on potrzebę praktyczności i gwałt sobie zadając, jał się tego, co w jego położeniu na przyszłość było mu potrzebnym; i widzieliśmy, że silna wola chłopca dokazała¹⁶⁷, czego pragnął: Iwaś był Kozakiem – mężczyzną jak tylu innych, o dzielnym ramieniu, trzeźwej głowie i sercu... O, nie! Serce zmianom nie uległo, toż i różnym było od wokół bijących! Ale szczęściem oko ludzkie nie sięga tak daleko... dość

¹⁶⁶ *Nieb* – niebios.

¹⁶⁷ *Dokazać* – dowieść, udowodnić.

mu uśmiechu na twarzy, by nie pytało, co się w sercu dzieje, a Iwaś nauczył się kłamać twarzą i nikt nie był panem jego tajemnicy.

Uderzała wprawdzie niektórych jego twarz błada i cała powaga w zachowaniu się; dostrzegli nawet, że się zmusza, przyjmując udział w zabawach z towarzyszami, ale go wymawiano dawniejszym usposobieniem dziwaka, przebaczano tej resztkę nawyknień dziecka i nikt nie widział, nikt się nie domyślał. A gdy wśród zabawy porwał teorban i silniejszymi akordy grę począwszy, rozwionął¹⁶⁸ się żalną dumką, to w oczach wszystkich miałeś łzy..., a pierś grajka zalewały fale duszącego ciepła – że mu trudno było wytrzymać..., rzucił instrument i biegł w dziką ustron ogrodu, zimne łono skały przyjmowało jego łzy gorące – wylwane z jakiej przyczyny? Nie wiedział płaczący, czuł tylko, że mu one potrzebą, że ukryte ciężą sercu ołowiem, a przelane – czynią go lekkim, szczęśliwym! Po łzach takich zwykle biegł on do zamku i zawsze znalazł sposobność obaczenia Hani z daleka, patrzenia na nią..., na cień jej, na nią w myśli, gdy sprzed oczu znikła... I silnie mu biło serce, a w duszy było szczęście i trwożliwie, czasem ból dojmował, aż mu kto dumań jego nie przerwał, – wtedy zrywał się jak gdyby ze snu i w jednej chwili wracała doń przytomność: wdziewał na twarz maskę i oszukał niewprawne oko świadka.

Czasami matka, lubując się synem, przypomniła mu sen jego – szukanie anioła – i z uśmiechem patrzyła w jego oczy... Iwaś nic nie mówił, ale mu ciężko było jej wzrok wytrzymać.

– Prawdę mówiliście, matko – rzekł, jękając się. – To był sen, a ja dzieckiem byłem...

– A widzisz, synu! – dodawała weselej. – Nie wierzyłeś starej. I po co to było szukać mary?...

Chłopcowi zaiskrzyły się oczy i krew z piersi uderzyła mu płomieniem do twarzy.

– Co ci to, moje dziecko?!

– Nic!... Przypomniałem sobie, że kary¹⁶⁹ niepojony, a tam go nie dopatrzą... Bywajcie zdrowi, matusiu. Czas mi już do zamku.

– Już odchodzisz, Sokole mój jasny?! Nudno ci koło starej matki... Tam może czeka jaka czarnobrewa?...

¹⁶⁸ *Rozwionąć się* – rozwinąć, roztoczyć.

¹⁶⁹ *Kary* – koń o czarnej maści.

Chłopiec zbladł na te słowa.

– Nie mówcie tak, matko, bo mię to boli... Ja was kocham, bardzo kocham!

I jeszcze dzisiaj przyjdę.

– Przyjdź, przyjdź, gołąbku! Bo mi tu tęskno bez ciebie. A nie gniewaj się za przykre słowo. Ja wiem, że ty byś mi powiedział, gdyby jaka do serca ci przypadła.

Iwanko odwrócił twarz, by spojrzenia matki nie spotkać. Gorąco ucałował jej rękę i wybiegł z chaty.

Matka patrzyła za synem, szepcząc modlitwę, którą błagała doli dla jedynaka.

Chwedor z ogródka dumnie patrzył na syna.

– Ot, kiedy Kozak, to Kozak! Doczekaliśmy się pociechy, stara – rzekł do żony. – Da Bóg, Iwanko nie będzie ludziom zawadą.

Co ponad miłość rodziców?... A Iwanko w tej chwili wchodził do pokoju swej pani...

Z lekka uchylił drzwi komnaty.

Hania siedziała przy klawikordzie¹⁷⁰. W sąsiednim pokoju stara ochmistrzyni drzemała przy robocie pończochy.

Dziewczę siedziało zadumane. Piękna główka, na rączce wsparta, pochyliła się ku piersiom, serce biło z wolna. Kto zgadnie, gdzie były myśli dziewczęce? Może i ona nie wie o tym... Westchnęła, podniósłszy głowę, ręka opadła na klawisze. Ozwały się one pojedyncze z początku, później w towarzystwie, wreszcie rozlały się w harmonijne dźwięki, z których powoli wypłynęła rzewna dumka.

Gdy znane tony doleciały uszu Iwanka, dziwnie jakoś zrobiło mu się na sercu, zapomniał o sobie; błady wsparł się o ścianę i słuchał.

Tony rzewnej dumki słabiały, cichły... – śnać ręka, która je wydobywała traciła na sile, wreszcie umilkły i ciche łkania dziewczęce zatrzęsły duszą Kozaka. Porwał się. Szmer obudził Hanię. Zadrzała, obaczywszy Iwanka.

– To ty... – wyszeptała, ocierając nieznacznie oczy.

Kozak zdobył się na moc i rzekł, siląc się nie zdradzić uczucia:

– Ja. Sądziłem, że pani czego potrzebuje.

I zamilkł. Milczała także i Hania. Po chwili rzekła:

– Grałam... twoją dumkę, Janie. Czy trafiłam? Bo trudna do grania...

Kozak milczał.

– Mam do ciebie prośbę, Iwanie.

¹⁷⁰ *Klawikord* – dawny instrument muzyczny klawiszowo-strunowy, pierwowzór fortepianu.

– Co pani rozkaże?

Łza, która nie miała już wychodzić z ukrycia, błysła w oku Hani. Otarło ją dziewczę.

– Gdybyś miał czas... i nie było ci to przykrym..., zagraj mi ją raz jeszcze. Kozak, może dla ukrycia wzruszenia, odwrócił się szybko i wybiegł z pokoju. Hania poszła ku kwiatom i biała róża ozdobiła się perełką łzy dziewczęcej.

Nie pytajcie, czemu takie łzy płyną. Nie litujcie się tak płaczącym. Litujecie się kwiatom, że woń leją wkoło, lub ptakom, iż śpiewu nie chowają w sobie...

Rozkazowi swej pani posłuszny wrócił Kozak z teorbanem i począł grać. Ale nie wszędzie moc panowania sięga, nie wszystkim władają i najsilniejsi! Choć instrument rzecz martwa, a ręka posługuje mechanizmowi, coś tam innego nastraja tony i wylewa je na zewnątrz. Artysta więzów nie zna, serce panem u niego, a ono z formami nie trzyma, bo samo dla się i treścią, i formą.

Począł grać Kozak, lecz czy wiele mu było potrzeba, ażeby zapomniał o tym, co gra i czy gra nawet?... Grał, bo mu w duszy grało, a jego słuchaczem była – ona!

Jaką była gra, nie silę się opisać. Była tam proszona dumka, ale z nią wraz tyle innych dźwięków, a tak wszystko powiązane ze sobą, że nie poznałeś, co to. Tylko serce upewniało, że coś bardzo błogiego, że tej muzyki można by długo, długo słuchać. Grał Iwaś; słuchała go dziewczyna, tonąc w duszy zachwycie. Ochmistrzyni ocknęła się zdziwiona – słucha; uchylił drzwi od swego pokoju Starosta i łza mu w oku; za nim Mucha – o, ten najdumniejszy, bo to jego uczeń, najszczęśliwszy, bo gra tak ukochany jego chłopiec. Wszyscy w oniemieniu słuchali tych tonów.

Pierwsza ocknęła się ochmistrzyni:

– W imię Ojca i Syna!... – rzekła, kładąc krzyż na piersi.

– Niech cię uściskam, chłopcze! – nie wytrzymał Starosta i porwał Kozaka w swoje objęcia.

Mucha trząsał się ze szczęścia, a w oczach Hani gorzały płomienie: pierś wznosiła się, to opadała.

– Nie mówież ja – rzekł Starosta, wycalowawszy Iwanka – że ten Chwedor do niczego? Taki skarb, mosanie, i nie chciał, by go uczono muzyki!...

– Ej, proszę jasnego pana – rzekł Mucha, poprawiając wylotów¹⁷¹ – co by go tam lepszego nauczono!...

¹⁷¹ Wylot – tu: rękaw kontusza, rozcięty po wewnętrznej stronie, zarzucany na plecy.

Wzrok Hani zdał się potwierdzać słowa Muchy.

Kozak stał z głową pochyloną: żał mu było chwili przerwanej – nie takiej chciał on pochwały.

—

Nie lubię anatoma, który z nożem w ręku babrze w mózgu i sercu, wyciąga wnętrza i gruchocze kości, szukając, dobadowując się...¹⁷² Kto tu nieczłowiek: trup czy anatom? A przecież anatomia – nauka, i nauka wielka: ona nas uczy, co jest człowiek – ciało.

Gdybyż koniec na tym! Gdybyśmy też ciałem tylko byli! Ot, już by i na skalpelu poprzestać można, moglibyśmy raz wreszcie zawołać: zagadka rozwiązana – wiemy, co jest człowiek!

Niestety, czyjaś tam woła było, ażebyśmy nigdy pono nie wiedzieli o sobie – byśmy wciąż pytając, nigdy nie mieli odpowiedzi na pytanie: kto jesteśmy? „Ludzie!” – odpowiedzą nam szczęśliwi, bo zadowolający się ogólnikiem. „Synowie nieba” – dorzucą księża. I cóż przeciw temu?... Ach, nic! – Rozumiem jednak, że niezupełnie kwalifikuje się do domu obłąkanych ten, kto i w dziedzinie ducha widzi możliwość sekcji. Znam tych olbrzymich anatomów, czczę ich i, żak ubogi, idę śladem mistrzów.

Nie wiem, co jest bardziej przykrym: czy ciało młodej dziewczicy ciąć na ćwierci, gospodarząc żelazem w dziedzinie wen¹⁷³ i arterii, czy tajemniczą ducha jej odkrywać zasłonę i wkraczać do świątyni myśli, której cudowność może skalać wejście niepoświęconego.

Chcę wam powiedzieć, co działo się w sercu Hani.

Szesnaście wiosen złożyło weń swe skarby; pięknym też było nad wyraz! Piękne, bo niewinne; bogate, bo z nagromadzonych skarbów nic nie pochwycono... Było to serce dziewczicy czyste.

Do przekonania mojego od dawna szturmują dwie teorie: jedna, że człowiek rodzi się z zadatkami tego, czym być musi, nie mogąc być innym, druga – że wszyscy przychodzą na świat z jednakowymi zdolnościami i samo życie już prowadzi zrodzonych na rozmaite drogi. Dotychczas nie wiem, która z dwóch tych teorii jest prawdziwą.

¹⁷² *Dobadowywać się* – dokładnie badać.

¹⁷³ *Wena* – żyła.

Salwując się od porażki niewiedzą, utworzyłem sobie wygodną średnicę między obiema teoriami: tę, że tak zdolności wrodzone, jak i wypadki życia stanowią o nas: ten się urodził, by cierpieć życie całe i w życiowej wędrówce jego wszystko składało się na to, by szczęścia nie zaznać; innemu znamię szczęścia wyciśnięto na czoło od urodzenia i żył bez cierpień, i umarł, jak niejeden na próżno żyć pragnie.

Hania od natury wzięła tę niepowszedniość, którą już w maluczkiej dzieciźnie spostrzeżesz; maluje się ona w całej postaci, błyszczy z oka, przebija w mowie, ruchach. Nie każdy to ma, bo go nie zdobędziesz niczym, a tam gdzieś nie tak są szcudrzy.

Jej sieroctwo w poranku życia, kiedy tak potrzebujemy opieki rodziców, uścisków matki i jej spojrzenia pełnego niewysłowionych uczuć, przyczyniło się do żywienia w dziecięcej duszy tego świętego ognia z nieba gdzieś zapożyczonego, z którym na świat przyszła.

Małym jeszcze dzieckiem będąc, Hania wśród zabaw wiekowi jej właściwych zatrzymywała się nagle: czoło jej okrywała chmurka zadumy, z piersi wydobywało się niewyraźne westchnienie... Cóż to? Dziewczę jak gdyby przeczuwało, że może tak zapytać, przetarło czoło białą rączką, westchnienie stłumiło uśmiechem i znów się jęło gry, by potem, jak wpierw, zapaść w zadumę. Tak dzień ubiegał, a w nocy dziewczątko śniło o złotoskrzydłych aniołkach, o mamie i papie, którzy z chmur spływali ku niej, przejęci miłością dla ukochanej dziewczeczki... A gdy śpiąca wyciągnęła drobne rączki, by się rzucić w objęcia matczyne, wtedy to wiatr stuknął okiennicą, pies szczeknął głośniejsz lub zegar zaczął wybijać godziny takim strasznym głosem... i rozkosznie śniąca budziła się z trwogą, tuliła do piastunki, a niebios perełki-łzy przejrzyste ściekały po liczku aniołka, a zbierał je inny anioł i niósł tam – w zaświaty, do matki dziecińcy – albo z nieba siał je na ziemię, by się w fiołki i stokrotki stroiła.

Rok za rokiem jak wyszły z wieczności, tak i wracały do niej. Hania była jednaką: wesele właściwe wiekowi ze smutkiem, powodów którego wyszukać by nie mogła; radość szczęściem promienna z tęsknicą niewyraźną, cicha łza, a spoza niej uśmiech niewinny – spletało się to niby wieniec kwiecica i stanowiło istotność dziewczęcicia!

Zakwitła majem szesnasta jej wiosna. Dla którejże kobiety nie jest to ważna epoka życia? Tu dziecko wita dziewicę, dziewica żegna się z dzieckiem – na wieki... A jakże to trudno od razu przestać być tym, czym się było, jak przykro, witając d z i ś, żegnać się z w c z o r a j, tyle powabu dla nas mającym... Toż

widzimy, jak chętnie nieraz dziewczica wraca myślą w świeżo upłyniony jej wiek dziecka, jak się lubuje nim, jak wspomnieniem żyje w tym wczoraj, które było takie urocze, spokojne!...; a dziś – jakże nieokreślone..., a jutro... straszna go ciemń tajemnicy okrywa – i dziewczę nie ma odwagi uchylić zasłonę i spojrzeć. O, przed nią nie ta łąka stokrotkami strojna, którą dzieckiem przebiegła! Tam syczący gad może pełza wśród chwastów i cierni, tam może lilie leją woń czarownicą..., szafiry nieba świecą wesołymi gwiazdami... Nie, nie! straszne to jutro..., dzisiaj takie nieokreślone..., tylko wczoraj pogodne i jasne! Wczoraj – było i przeszło... Czemuż nie powróci?...

Lecz po co ma wracać znane i przebyte?... Gdyby to przyszłości uchylić zasłonę i spojrzeć – tam nie musi być tak bardzo strasznie!...

Ułudo, jakże statecznie towarzyszysz nam od kolebki do trumny! Fałszem twa istność, lecz czy znośniej jest lecieć w przepaść z wiedzą swej zguby?... Niech zniszczenie spotyka nas z uśmiechem na twarzy, śniących o szczęściu! – Ułudo, do grobu z nami, a nicość nasza znośniejszą się nam wyda!

W ciasnych ramkach mieścił się świat Hani: jej wspomnienia dziecka niewyraźne a bolesne, z tym nieokreślonym pragnieniem czegoś, co w sercu zasiadło i mówiło, że nie ustąpi kto wie czy nie po wieki. Teraźniejszość jej to błękit nieba i kwiaty na łące, kochany dziadek, przywiązana służąca – otóż i wszystko. Do tej rodziny dziewczęcego ducha przybywa nowa postać – Iwanko.

Po raz pierwszy obaczyła go swym zbawcą: krew zalewała twarz, w którą pilnie wpatrywało się dziewczę; wewnętrzny głos jakiś mówił jej: „To twój znajomy!” i Hania z ciekawością patrzyła w rysy chłopca zdziwiona, że go pierwszy raz widzi, chociaż głos powtarza: „Znajomy”.

Trzy lata przebyte z Iwankiem w niczym nie zmieniły usposobienia Hani, zdawało się, że tych lat nie było: ona go zawsze po raz pierwszy widzi, zawsze zdziwiona, że znanym jej jest – nieznanym. We śnie i na jawie dziewczę przypatrzuje się rysom młodzieńca i jak w zaklętym kole wciąż jest na jednym miejscu, wciąż jak przy pierwszym spotkaniu.

Niekiedy smutek nią owładnął.

– Cóż mi on? Po co myślę o nim? Dziadzio mówi, że on jest mym sługą... Tak, sługą – i wdychała, nie wiedząc czemu. Czasem łza zmieszała się z westchnieniem. – Dlaczego on wciąż tak patrzy na mnie, a nie przemówi?... Aż chyba zapytam. Et, co mi tam! – I zaczęła nucić piosenkę, a on wciąż jej w myśli... Usiadła do fortepianu. – Jak on gra ładnie, chociaż go nie uczono. Dlaczego on

tu nie jest? – I chciała wyjść z pokoju. Stanęła. – Nie pójdę! Jak mi smutno..., doprawdy, że nie wiem, czego mi łzy płyną. O, jeszcze obaczy dziadzio i będzie się smucić, a i on, gdy mnie płaczącą widzi... Co mu do tego! Wolno mi płakać – i z minką zagniewaną wzięła jakąś mądrą książkę. – Ależ to nudne... Ach, przestraszyłam się!...

– Myślałam, że pani czego potrzeba – rzekł z pokorą Iwanko, który wszedł był przed chwilą.

Taką była Hania, a nie wiem, co myśleć o jej stosunku do Iwanka.

Sen jest ciągiem życia. Kto wie – może życiem samym?...

Do czarownych snu pałaców wejdzmy za młodą naszą para. Jak na jawie, tak też i we śnie Iwanko ją tylko widział jedną! To mu w błękitach ukazała się aniołem i płynęła mleczną drogą, tęczą strojna i gwiazdkami... – a w nieskończoność tak płynąc, spozrzała ku niemu i zławione oko jej spoczęło na nim długo, długo, aż rozwiła się w eterze! – to widział ją, jak z kielicha lilii wychylała główkę i jej westchnienie wstrząsnęło duszą sennego... Wonią czarowną wyszła z cudnego zamknięcia i lekki zefirek uniośł ją nad łąki, lasy, strumienie... Znikła – i nie spozrzała nawet. To ją znów widział na złocistym tronie, strojną w brylanty i drogie kamienie; u jej nóg klęczeli królowie, hetmani, rycerze, żebrząc jednego spojrzania!... A na jej ustach smutny był uśmiech. Oko wilżyła łezka, zdawała się nie widzieć klęczących, kogoś szukała spojrzaniem... Znalazła go między tłumem służby i skinęła główką...

O, dziwna, niepojęta snu siło! A wszędzie o n a, tylko ona zawsze!

Marzenia dziewczęce różne były od sennych rojeń chłopca. Jej sny były jakieś niewyraźne, nieokreślone. W zamętach gubiła się istność dziewczęca, w ciemni chaosu nie potrafiła siebie samej rozeznąć, aż jaśń¹⁷⁴ nad sobą ujrzała i światła widniejszą jej drogę czyniły... Wtedy ze świadomością siebie swobodnie wznosiła się ku górze do tego światła w dali, które jej matki przybierało postać, a jej istnością owiane gubiło się dziewczę w rozkoszy – nie, bo ją doszedł głos i na ziemi obnażyła¹⁷⁵ Iwanka, który wznosił do niej ręce, by go ze sobą wzięła. Lecz niewidzialna siła unosiła ją wciąż wyżej i wyżej i postać chłopca nikła w oddali, aż wreszcie mgły ja zakryły... Tęskno! I łza zwilżyła

¹⁷⁴ *Jaśń* – jasność, blask.

¹⁷⁵ *Obnażyć* – dostrzec.

jej powieki. Budziło się dziewczę i rozwijając wspomnieniem snu duszy obrazy, mówiła, wdychając:

– Ach, czemu on tam nie był? Nie byłabym się zbudziła.

Nikt z ludzi nie wiedział, co się działo w sercu dwojga młodych. Mówię „w sercu” nie dla tego, bym chciał powiedzieć, że Iwaś i Hania kochali się wzajemnie... Jakże to często serce jest czynnym, chociaż o miłości w zwykłym tego słowa znaczeniu mowy być nie może!

Powierzchowne zachowanie się Iwanka nie zdradzało niczym wewnętrznego stanu jego duszy. Któż mógł pomyśleć, że on targnie się na swą panią – on, prosty Kozak, na wnuczkę wielmożnego pana, gdy on sam nawet nie umiał zdać sobie sprawy z tego, co uczuwa dla niej. Dziewicze usta Kozaka nie wymówiły słowa „kocham”, on go nigdy myślą jeszcze nie wypowiedział, obawiając się... Albo on wie, czego mu tak straszno wyrzec to słowo przed samym sobą nawet, straszno na jawie i we śnie trwożno!... Lecz czy potrzeba słowa na określenie tego, co istnieje?¹⁷⁶ Stanieź się ono przez wypowiedzenie potężniejszym, boskim więcej? Nie!

Sen – odzwierciedlenie życia, a życie mu zwierciadłem, w którym się przegląda. Hania w tym życiu snu miała łzę dla Iwanka, a gdy niesennemu życiu wracała, żałowało dziewczę, że z nią wraz nie był, bo sen jej nie byłby przerwany...

Któż ją mógł o co podejrzać!

Tylko serce matki Chwedorowej coś czuło niewyraźnie, a łzą zabiegało jej oko, gdy patrzyła na syna; tylko Mucha wąs kręcił i coś mruczał, ilekroć dostrzegł zadumę na czole młodego Kozaka... Zresztą nikt nie wiedział o niczym. Ach, prawda! Stara czarownica Cyganka, wygadując w zamku przeróżne rzeczy, gdy jej swą rączkę podała Hania, spojrzała w jej oczy, a tak dziwnie żałośnie, że dziewczęciu łzy puściły się z oczu i dzień cały uspokoić się nie mogła, chociaż Starosta kazał wypędzić z zamku czarownicę, że mu jego przepióreczkę strwożyła.

Gdy wróżka była już za bramą, zmierzając ku wiosce, dopędził ją Iwanko.

– Powróćcie mi, stara – oto wam pieniądze.

Cyganka spojrzała na dłoń Kozaka, lecz ani wziąć ofiarowanych groszy, ani mu wróżyć nie chciała.

– Strzeż się, sokole, siwej gołąbki!

Tyle wyrzekła i znikła w krzakach, a gdyby zaduma Iwanka nie przeszkadzała mu spojrzeć, byłby dostrzegł, jak wróżka z oddali patrzyła na zamek i na

¹⁷⁶ *Istny* – prawdziwy, rzeczywisty.

posmutniałego Kozaka, coś szepcząc i ruszając rękami. Musiała znać jakieś rzeczy, czarownica!

– Lecz czemu nic nie mówiła? – pytali sami siebie Iwaś i Hania.

Zapytałbym i ja, ale wiem, że mi nikt na to nie odpowie.

Gdy nikt w zamku nie zwracał szczególniejszej uwagi na młodą parę, Chwedorowa i Mucha przecuciem byli już na drodze do podejrzenia. Pierwsza, jako kobieta, modliła się tylko, łzą niebo błagając o dolę dla jedynaka. Stary Kozak postanowił dowiedzieć się, jaki powód zadumy chłopca, którą ten przed wszystkimi ukrywał, co jednak dla Muchy tajnym nie było. Począł śledzić Iwanka. Widział go tedy na owych wycieczkach samotnych, kiedy chłopiec pozwalał łzom swoim płynąć, dostrzegł niejednokrotnie płomień spojrzeń Kozaka, gdy mu się zdawało, że sam tylko widzi Hanię i wkoło nie ma nikogo; coś nawet z ucinowych słów sennego Iwanka wywnioskował i sam już zadumał się niepomału.

Niełatwa to rzecz odgadnąć dumę kozaczą; toż się ani pokusimy o to, zawiadamiając tylko czytelników o postanowieniu starego Muchy: ratować swego ulubieńca.

Była noc księżycowa, a pierwsze kury dały już hasło i wóz na niebie zwrócił się w inną stronę; czarowna cisza zaległa ziemię skąpaną w świetle księżycy i gwiazdek drżących; po kamieniach płynęła rzeka i szumem rozmawiała z półsennym łuhem, słowik wyśpiewywał w kalinie... Oparty na drzewo stał Iwanko i dumą zabiegł¹⁷⁷ precz... daleko! Myślał Bóg wie o czym, a niejedną tak noczkę przedumał na skale i o świcie powracał do zamku.

Lecz z przysługującego nam prawa uchylmy nieco zasłonę dumań kozaczych... A! – postać Hani... O niej myślał Kozak i właśnie dumką uleciał był tak daleko..., daleko, gdy wtem – życiu go wrócił dźwięk teorbanu. Silny głos śpiewał znaną piosnkę ukraińską:

*Ne szczebeczy, sołowejku, pid oknom raneńko...*¹⁷⁸,

której wiersz:

*Ty szcześnie urodywsia – sobi paru majesz...*¹⁷⁹

¹⁷⁷ *Zabiegać dumą* – wybiegać myślą.

¹⁷⁸ *Nie śpiewaj, słowiku, pod oknem z rana...*

¹⁷⁹ *Tyś szczęśliwie urodzony, tobie para dana...*

tak harmoniował z wewnętrznym nastrojem Kozaka, że mimo woli wśród łez zaśpiewał:

*A ja bidnyj, beztałannyj, ni doli, ni chaty –
Ne doweloś meni w switi wesoto spiwaty*¹⁸⁰.

– *Zdorow buw, Kozacze!*¹⁸¹ – ozwał się głos, który ocucił Iwanka. Przed nim stał Mucha. – Co tu porabiasz, mołojcze?! O tej porze nie śpią tylko starzy, ot, jak ja, bo wkrótce spać będą, nie budząc się – w mogile... i kochankowie! A tyś podobno nie odurzał¹⁸² jeszcze, co?

– To wy, Sobku?! A skąd wam przyszło do śpiewania tej pieśni? – rzekł Iwankiemu głosem, bo czarowna nuta piosenki jeszcze mu w duszy dźwięczała.

– Źle – pomyślał Mucha. – Trzeba ratować chłopca... – I dodał głośno: – Ot, ni z tego, ni z siego! Księżyc świeci, rzeka szumi i *sołowejko szczebecze*¹⁸³, a człowiekowi po pieśń nie do kieszeni: ręka sama na teorban padła, gardło wydało nutę – ot, i gotowa. Ale czemu to nie śpisz tak późno?

– Sen mię odbiegł, a w murach duszno, wyszedłem się orzeźwić...

– Kłamie chłopiec – pomyślał Mucha i dodał: – No, kiedy ci spać się nie chce, to posłuchaj starej pieśni, którą ci nigdy jeszcze nie śpiewałem, może zechcesz się jej wyuczyć!

– Śpiewajcie, *diad'ku*¹⁸⁴. *Postucham*.

Kozak usiadł na przyskałku, wziął kilka silniejszych akordów i drżącym głosem zaśpiewał:

Wieje stepem wiatr bujny, trawę zgina dołem,
Chodzi Kozak ponad rzekę z pochmurzonym czołem.
Popod¹⁸⁵ zamek chodzi, błądzi, siedziba to pańska,
A w tym zamku słońce jego – córka kasztelańska.
Oj, co zorza jasna w niebie, co kwiaty różane!
Nie będą jak ona jasne, jak ona rumiane!

¹⁸⁰ *A ja biedny, nieszczęśliwy, ni bogactwa, ni chaty,
Nie mam się z czego cieszyć na tym świecie, na tym.*

¹⁸¹ *Witaj, Kozaku!*

¹⁸² *Odurzać – zakochać się.*

¹⁸³ *Słowik szczebiocze.*

¹⁸⁴ *Dziadku.*

¹⁸⁵ *Popod – pod.*

Iwankowi poczęło bić serce gwałtowniej – drżąc, słuchał śpiewu.

Co po zorzy jasnej w niebie – na ziemi nie będzie,
 Co po pannie Kozakowi, gdy nie jego będzie.
 Może dusza, może serce serca się nie sroma¹⁸⁶ –
 Ona – pani kasztelanka, on – Kozak, siroma!...¹⁸⁷

Iwanko opuścił głowę na piersi i łza mu po licu pociekła. Westchnął.

*Ne żurysia, Kozaczeńku, z weczera do ranku.
 Pojid' w sławne Zaporozże – werneszsia do zamku.
 W atamana kozackoho je sribło, ta złoto,
 Bude ji żinka – kasztelanka. Ne żuryś, hołoto!*¹⁸⁸

– Cóż, Iwanku! Ładna piosnka?

Kozakowi pierś gorzała płomieniem, oko iskrzyło się dziwnie. Porwał mówiącego za rękę:

– Diad'ku, wy wiecie... To mnie piosnka była!...

– A jakby i tak, to cóż dziwnego? Może i wiem, bo na to przeżyłem niemało. Słuchaj mnie, Kozacze! Siedząc, nic tu nie wysiedzisz, chyba że ci sprzed nosa ją wezmą.

– Diad'ku, diad'ku! Wy więcej wiecie aniżeli ja, bom tego dotąd nie pomyślał – rzekł cichym głosem Kozak, zakrywając dłonią pałające lica.

– Na to u mnie siwa głowa, bym pomyślał za ciebie. Jedźmy w świat za oczy!¹⁸⁹

– Jechać?... Kiedy?

– Jutro.

– Jutro! – rzekł Kozak dziwnym głosem. – A ona?

– Niech z Bogiem zostaje.

– Nigdy! – krzyknął i ścisnął Muchę tak silnie za rękę, że aż się skrzywił stary.

– A gdy wrócimy, to nie pojedziem bez niej... – cedził Mucha. – Cóż, jedziemy?!

¹⁸⁶ *Sromać się* – wstydzić się.

¹⁸⁷ *Siroma* – biedak, nieborak.

¹⁸⁸ *Nie dręcz siebie, Kozaczyno, z wieczora do ranka,
 Odwiedź słynne Zaporozże – powrócisz do zamku.
 Tam kozacki ataman ma srebro, ma złoto,
 Weźmiesz żonę kasztelanę – nie smuć się, gołoto.*

¹⁸⁹ *Za oczy* – tu: daleko.

Przepełniona pierś Kozaka rozwarła się.

– Jedziemy! – zawołał.

– Dawnob¹⁹⁰ tak! – rzekł stary radośnie. – A teraz chodźmy wypocząć, bo droga daleka.

I za chwilę znikli za drzewami, zmierzając do zamku. Z dala jeszcze dawał się słyszeć głos Muchy:

*W atamana kosaćkoho je sribło, ta złoto,
Bude ji żinka – kasztelanka. Ne żuryś, hołoto!*¹⁹¹

To ostatnie odbiło echo trzykroć między skałami.

Resztę nocy przepędził Iwanko na rozmowie z Muchą, który całej wymowy używał, by wystawić mu konieczność wyjazdu z zamku. Kozakowi dziwnie uśmiechała się przyszłość; widział on w niej tak wiele, że wierzyć nie chciał własnym marzeniom i ręką tarł czoło, by znikły, a uchem i sercem wsłuchiwał się w słowa Muchy, który w piersi chłopca zapalił nieznany dotąd ogień i podniecał go, aż się wielkie zajęło ognisko i ogarnęło istotność Kozaka. A on nie pomyślał jeszcze o rozstaniu... , śnił błogo o tym, co miało być w przyszłości!

Oczarował Mucha Kozaka swą pieśnią. Kto mu dał moc zajrzeć do głębi duszy i odkryć w niej to, o czym Kozak w przecuciu tylko wiedział? Skąd wziął siłę, by wlać w piersi jego ten ogień dziwny, który serce i mózg zalał młodzianowi, że drży jak liść osiki i jak dziecię umie się zdobyć tylko na „tak” za piastunem, a w nim i ponad nim ona tylko, ona!...

Siwa głowo kozacza! Nie znasz ty młodzieńczego serca i nie tobie zrozumieć stan duszy twego kochanka! Tyś z siebie i innych brał miarę dla niego, a nie wiesz, że co się raz o d r o d z i ł o, nie zejdzie na szlak równy, ale polecą na morza i rzeki, przez góry i lasy, i ziemię ominie, i prześcignie słońce!... Nie znasz, Kozacze, młodzieńczego serca!

Mucha był pewnym, że rozbudził w Iwanku namiętność ludzką.

– Kocha się w dziewczynie... , chce ją posiadać – pójdzie za nią radą, a byle czajką¹⁹² przeleciał porohy¹⁹³, moja w tym głowa, że kozaczej sławy za stan

¹⁹⁰ *Dawnob* – czyli *dawno*, z partykułą wzmocniającą *bo*; dawno bo.

¹⁹¹ Zob. przypis 188.

¹⁹² *Czajka* – dawna łódź kozacka.

¹⁹³ *Porohy* – progi skalne na dolnym Dnieprze, za którymi rozpościerało się Zaporozie.

*diwoczyj*¹⁹⁴ nie przemieni!¹⁹⁵ – Tak rozumował stary; a nie spostrzegł się, że bredzi, że nawet Ołenę zapomniał... Ale na to lata stare, by przeszłość równać z niebytem, by siwy włos więcej ważyć nad płomień serca!

Iwanko bezwiednie potakiwał słowom starego Kozaka, swoją wciąż myślą zajęty, aż się Sobko rozptywał z radości, projektując rozmaite rzeczy, ale wpadł na sęk, że wypadnie prosić o pozwolenie wyjazdu Starostę i Chwedorów; o pierwszym wiedział, że nie zatrzyma chłopca w zapiecku, bo i sam był żołnierzem, to wie, co się młodemu należy, ale z rodzicami... ale matka. Ach, te matki! One by wiek cały niańczyły swe dzieci!

Stało tedy, że Mucha najpierw pójdzie do Chwedorów i ich pozwolenie uzyska, a jeśliby się nie udało... – o tym nie chciał myśleć Kozak, jako ostateczność uważając pójście w świat bez pozwolenia rodziców, co mu się zdało być bardzo naturalnym, a co jednak w Iwanku mogło trafić na...

– E, kto by tam o tym myślał! Przecież i oni ludzie, rozumieją tedy, że Kozakowi nie siedzieć wiek w zapiecku! Już w tym moja głowa, a ty nie myśl o tym. Ino ład zrobię między Kozakami – idę do waszej chaty i dmuchniem, że się zakurzy. Postanowiono, to ma być tak do joty, bo to kozacka sprawa. Jeśli nic nie przeszkodzi, to dziś jeszcze *c z u r k n i e m y!*¹⁹⁶ No, bywaj zdrów! Idę po służbie, a później do twoich starych!

Po wyjściu Kozaka Iwanko długo jeszcze zatopiony był w myślach, z których sprawy zdać by sobie nie umiał – tak były niewyraźne, mętne, nieokreślone..., ale stopniowo trawiąca młodziana gorączka poczęła go opuszczać, wzburzone elementa układały się, głowa ochłodziła, pierś odetchnęła wolniej. Kozak podjął głowę i spojrział wokoło, zdając się pytać: gdzie jestem i co ze mną?... Teraz dopiero przypomniał sobie scenę w ogrodzie, pieśń Kozaka, jego słowa, które tylko co wyrzekł, zamierzając udać się do Chwedorów.

– Pójść stąd! Jej nie widzieć... Nigdy! – wykrzyknął, porwawszy się z siedzenia. – Cóż by mi w tym wielkim świecie bez niej! Alboż mi więcej czego potrzeba!... Widzę ją..., jestem przy niej...

W tej chwili przypomniały mu się słowa Muchy: „wezmą ją”. I biedny młodzieniec z jękiem powalił się na łożo.

¹⁹⁴ *Dziewczęca pierś.*

¹⁹⁵ *Przemienić* – tu: zamienić na coś.

¹⁹⁶ *Czurnknąć* – popłynąć.

– Wezmą ją..., wezmą... – mówił, łkając. – A cóż ja pocznę bez niej?... Nie!... Nie!...

– Więc jechać w świat, daleko, a ją tu zostawić i być samemu... A możnaż żyć bez jej spojrzenia?... A później..., później... Nie! Mucha oszalała! Czyliż ja o tym pomyślałem kiedy?! Czyliż myśleć o tym mogę?!... Nikt ją wziąć nie może!... – zawołał, powstając. – Ona moja! Ale wnet zwiesił głowę i dodał żałośnie: – Po cóż by miano ją brać..., wszak ja tylko jej widoku pragnę..., nic, nic więcej!... – i zamilkł. Po chwili westchnął: – Nie widziałem jej dziś – rzekł i wyszedł z pokoju.

Za chwilę widział Hanię. Świeża jak dnia poranek przypatrywała się lilii, sama jako ona śnieżna...

Kozakowi gwałtownie biło serce; cisnął je ręką i szeptał:

– Nigdy!... Nigdy! Byłem szalony, wahając się – nie mogę pójść stąd!...

– Dzień dobry ci, Iwanku – rzekła Maria¹⁹⁷, spostrzegłszy Kozaka. – Prawda, co za prześliczna lilia?

– Cudna! – zawołał Kozak w uniesieniu.

Dziewczę poczerwieniało, nie wiedząc dlaczego.

– Iwanku!...

– Co pani rozkaże?...

– Nic, ja tak..., podobno dziadzio mię woła...

I poszła ku zamkowi, a łzę miała w oku.

– Nie wiem doprawdy, dlaczego mi tak przykro, gdy mówi mi: „pani”. Przecież w zamku wszyscy mię tak zowią, a on sługa...

Kozak śledził wzrokiem odchodzącą, a gdy już mu znikła z oczu, wyjąknął:

– Nie! Nie!...

Biedne serce! Jak ptaszyna w klatce widzi niebo i słońce, ale z poza krat więziennych!...

—

Od dni kilku jakoś nie zdłużała¹⁹⁸ Chwedorowa; chociaż to parę lat już była podupała na zdrowiu, lecz te dni kilka czuła się gorzej aniżeli zwykle.

¹⁹⁷ *Maria* – takie imię w oryginale, powinno być jednak: Hania. Tu: aluzja do czystości ewangelicznej Maryi, symbolizowanej przez lilię. Motyw częsty u romantyków.

¹⁹⁸ *Nie zdłużać* – gwar. nie dawać rady, nie czuć się dobrze.

Ale i słabowanie nasze różnym jest od niemocy panów: gdy ostatni za lada katarem szłą po doktora i miesiącami nie wyłażą z łóżka, my, chłopcy póty wałęsamy się po ziemi, aż nas choroba z nóg nie zwali, bo i dziwotaż? Kto panu odrobi, gospodarstwa dopatrzy, jeśli czynnymi nie będziemy? Tylko niemoc pozwala nam nie pracować, tylko wtedy odpoczynek ciału – dobrze, że się bez pokarmu obywa!...

Chwedorowa więcej może z przyzwyczajenia aniżeli z potrzeby (bo dostatków Bóg nie skąpił) nie kładła się do łóżka; postępując chodziła po chacie i dawała ład wszystkiemu jak zwykle.

Chwedor patrzył na niezdużanie¹⁹⁹ swojej drużki, ta ino się modlił w duchu, bo wiek nie na to, by rozkoszować – czas wybierać się w daleką drogę... I tak się to już zaciągnęło, że stało się niejako zwykłym: słabuje, taj słabuje – Boża w tym już wola.

O świcie dnia, w którym Mucha układał plany opuszczenia zamku z młodym Kozakiem, Chwedor, obudziwszy się, ujrzał swą żonę już czuwającą; twarz jej była bledsza niż zwykle, usta, drżąc, szeptały modlitwę.

– Co ci to, kobieto?! Może ci gorzej na zdrowiu?

– Ni, Chwedorze, jednako mi, tylko miałam sen straszny... Śniło mi się, że wrogi wydarli nam Iwanka, zawiedli daleko i nigdym go już nie widziała... Ach, straszny to był sen dla mnie..., jeszcze drzę cała.

– Ot, dałabyś pokój! Mało co we śnie człowiek nie obaczy – zwyczajnie sen: dur²⁰⁰, taj koniec. Bez Bożej woli nie ma nic na świecie, a sen, ot...

I sam się przeżegnał, bo i jego wziął jakiś lęk dziwny.

– Ciężko mi, że nie zdłużam, a to poszłabym popatrzeć: może mu tam co złego? Może zachorował?...

– Nie gniewajże Boga, kobieto! Toż wczoraj wieczorem był tu, a zamek sto kroków. Przyjdzie – wie przecie, że matka chora.

– Twoja prawda, a tak i mi straszno być nie przestaje...

– Powiedziano: nie ma czego, to po co głowę zaprządać durną dumką?...

Po tych słowach Chwedor poszedł do gospodarstwa, Chwedorowa wstała także, ale snu zapomnieć nie mogła..., wciąż była niespokojną, odmawiała mo-

¹⁹⁹ *Niezdużanie* – niedomaganie.

²⁰⁰ *Dur* – zamroczenie, przywidzenie.

dlitwy i wzrok jej nierzadko padał na drogę do zamku: czy nie idzie jej słońko jasne, kochany Iwasio?...

Chwedor burczał pod nosem, nawet obiecywał rozgniewać się naprawdę, ale uległ naleganiu żony i własnemu niepokojowi – przeżegnał się i poszedł do zamku.

W chacie pozostała Chwedorowa sama z swoimi dumkami, które tyle jej czasu zabrały, że się nie spostrzegła, a było już dobrze z południa.

Z zadumy wyrwał ją głos:

– *Sława Isusu Chrystu!*...²⁰¹

– *Na wiki!*...²⁰²

– Dzień dobry wam, pani matko – rzekł Mucha, siadając na ławie.

– I wam daj Boże! – odpowiedziała stara, z niejaką trwogą spojierając na Kozaka.

– A Chwedora nie ma? – zapytał Mucha, oglądając się.

– Nie ma! Ot, jakoś poszedł do zamku..., pewnieście się rozminęli. Ja nie zduszam, to strach się mnie czepia. Co tam z Iwankiem, kiedyście łaskawi?...

– A cóż by? Zdrów, a chwat, że mu nie tak łatwo dać radę...

Chwedorowa odetchnęła swobodniej i patrzyła na Kozaka, który nie wiedział, jak rzecz rozpocząć, miał czapkę i kręcił długie wąsy; wreszcie przemówił:

– To nie ma Chwedora?... Bo ja tu miałem powiedzieć słowo, ale już kiedy jego nie ma, to chyba innym czasem. Albo..., ot, bo to człowiek..., a tu sami zdrowi..., wiecie, że gdzie o dolę syna chodzi, tam już matkę nie pominąć...

Chwedorowa drgnęła.

Mucha dalej mówił:

– Młodemu chłopcu *hyd*²⁰³ wiek cały siedzieć w ciepłej chacie – jemu trzeba biedy zapróbować, świata zaznać i zakosztować kozaczej sławy... Ot, co tu długo bałakać²⁰⁴: dajcie mi waszego Iwanka, bo mu już pora w świat, do kozactwa.

Na te owa stara splasnęła rękami i łzy zalały jej lice.

– A nie mówiłam?! – krzykła. – Ot, źli ludzie chcą mi zabrać moje sokolątko, bym go już nigdy nie widziała... Ot, zły człowiek przyszedł do mnie, matki, i chce, bym mu życie me, syna, oddała. Nie nie!... Weźcie wszystko, wszystko

²⁰¹ *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.*

²⁰² *Na wieki wieków.*

²⁰³ *Niedobrze.*

²⁰⁴ *Bałakać – gawędzić, gadać.*

zabierzcie, ale on mój..., to dziecko moje i jego mi nie wydrzeć, chyba z sercem, nie odjąć, chyba z życiem...

I jęczała, spazmatycznie łkając.

Mucha próbował kilka razy przemówić, lecz płacząca nie tylko słów jego słuchać, ale samego widzieć nie chciała, nieutulona w swym żalu na myśl, że wypadnie jej rozstać się z synem – na wieki...

Mucha patrzył dziwnym okiem na Chwedorowę, mruknął coś niezrozumiale, splunął i zwrócił się ku drzwiom.

W tej chwili do świetlicy weszli Chwedor i Iwanko.

Matka skoczyła z siedzenia i pochwyciwszy syna w swe objęcia, zawołała głosem rozpaczy:

– Chcą mi cię zabrać, synu, wydrzeć... Niech teraz zabiorą! Niech nas rozłączą!

– Nie bójcie się, matko! – rzekł Kozak, uspokajając ją. – Nikt nas nie rozłączy...

Mucha tylko ruszał ramionami. Chwedor uspokajał żonę.

– Nastraszyliście mi kobietę... – rzekł do Muchy. – Skąd tu mowa o rozłączeniu jej z synem?...

– Kto dorósł kozactwa, temu nie w domu przesiadywać: na Zaporozie jedziemy z tym chwatem.

– Tymczasem on w domu posiedzi – rzekł spokojnie Chwedor. – Kozakowaliśmy i my swego czasu i wiemy, kiedy i co trzeba dla syna... A wy, panie watażko, jeśli łaska, prosimy na chleb i sól: czym chata bogata...

Nie w smak poszła staremu mowa Chwedora, ale od chleba i soli odmówić się nie mógł.

Gdy już skończyli śniadanie, rzekł Chwedor:

– Wam teraz pora by do zamku. Toż idźcie z Bogiem, a ja tu mam do pogadania ze starą...

Kozacy wyszli. W świetlicy pozostał Chwedor z żoną, którą nowym niepokojem nabawiła zamierzana z nią rozmowa Chwedora.

Kozacy szli drogą do zamku. Mucha mruczał jeszcze, nierad ze swych odwiedzin, Iwanko szedł zadumany.

Po niejakej chwili stanął Mucha.

– Robiło się po ludzku – rzekł jakby sam do siebie. – Nie chcą, to się teraz zrobi po kozacku, a przystać muszą!

– Pojedziemy bez ich woli! – rzekł, patrząc na Iwanka.

– Nie pojedziemy – odpowiedział ten spokojnie.

Mucha cofnął się krok.

– Nie po... – i nie domówił, tak niespodzianą była dlań stanowcza odpowiedź kozacka.

Ażeby zrozumieć przyczyny, które spowodowały wyrzeczenie tak stanowczych słów przez Chwedora i Iwanka, co jak pioruny ugodziły w starego Sobka, potrzeba wiedzieć, co miało miejsce wówczas, gdy Chwedor szedł do zamku, a Mucha dążył do jego chaty, by pogadać ze starymi o losie Iwanka.

Gdy Chwedor wszedł na dziedziniec zamkowy, obaczył w alejach Starostę żywo rozmawiającego z kapłanem zamkowym, starcem jak i on, do którego zwykł się być uciekać po radę w rzeczach większej wagi. Starosta trzymał listy w rękę i coś żywo mówił do księdza. W tej chwili dostrzegł zbliżającego się Chwedora.

– W sam czas przychodzisz, bo tu nam nie lada rady potrzeba.

– *Sława Isusu Chrystu!*²⁰⁵ – rzekł Chwedor, kłaniając się.

– *Na wiki!*²⁰⁶ – odpowiedzieli ksiądz i Starosta.

– Usiądźmy tu sobie i pogadamy we troje, bo rzecz niemałej wagi. Zacznę od początku, żeby i Chwedor wiedział, jak poradzić. Ot, wiecie, że Bóg dał mi wnuczkę, której pochwały niepotrzebne, bo widzą oczy, taj czuje serce... Nam starym – to ani się spostrzeżesz, że czas płynie, zwyczajnie – do mogiły, to i nie bardzo spieszo...

– Dobry chrześcijanin... – przerwał ksiądz.

– Daruj, księżo, ale mądrej nauki posłuchamy inną razą, a teraz rada – mówił Starosta. – Czasu nie ma i coś stanowczego przedsiębrać należy. Otóż mówiłem, że czas upływa. Mnie tu ba²⁰⁷ i bardzo, a tam w Warszawie stryjeczna moja kasztelanowa doliczyła się, że Hani po raz szesnasty zazula²⁰⁸ zakuła. Szesnasty rok – wielki czas dla dziewczyny!

– A tak, taki tak! – rzekł Chwedor.

– Co Bóg daje...

²⁰⁵ *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.*

²⁰⁶ *Na wieki wieków.*

²⁰⁷ *Ba* – w znac. nawet.

²⁰⁸ *Zazula* – kukułka.

– Ale Bóg nie da, gdy człek sam się nie postara – przerwał Starosta. – Dziewczyna dorasta, czas by może o mężu pomyśleć, a tu, jak sami wiecie, nie znajdziesz naokoło słusznego młodzieńca; wszystko to koło króla albo w Koronie, a nasza Ukraina przytulisko, w którym częściej o śmierci aniżeli o pannie myśleć wypada... Kasztelanowa mi pisze: „Brat jegomość... tak tedy, przez afektację...²⁰⁹”. Nie, to nie to – a otóż: „Przyslij mi tedy swoją Annę, a jako rodzona matka będę tu mieć o niej pieczę i jeżeli Bóg pobłogosławi partią odpowiednią...” itd. To już wiemy: wypadnie pobłogosławić i niech żyją szczęśliwi. A cała rzecz w tym, żeby wyprawić ją do Warszawy. Jak pomyślę, to chyba dziękować mi kasztelanowej, bo jużcić dziecko trza światu pokazać: nie w lesie chowane i coś się jej tam należy od świata.

– Taki tak, święta prawda. Jużcić trzeba – rzekł Chwedor.

– A ksiądz dobrodziej?

– Nie mogę mieć nic przeciw temu, tylko że na wielkim świecie wiele pokus, a serce niewinne...

– No, o tym to chyba nie mówmy. Jeszcze tam z wielkiego świata nie wszyscy do piekieł poszli... Koniec końców – trzeba pannę wyprawić do stolicy. Ależ i pośpiech potrzebny, bo mi tu kasztelanowa pisze, by nie zwlekać z wyjazdem, „gdyż czasy są nie pewne...” i kto wie czy do wojny z Turcją nie przyjdzie..., „a w takim razie wasza Ukraina...”. Ma się rozumieć, że Tatarowie rozbiegą się po szlakach! Nas tu wprawdzie nikt nie czepia jeszcze, ale oni tam w stolicy lepiej wiedzą. Więc jakże rada: Czy jechać zaraz, czy czekać? A kto go wie jak długo pociągnie ruchawka²¹⁰ i czy nie zaskoczą nas w zamku, że później ani ruszyć...

– Moje słowo – rzekł Chwedor po namyśle – nie zwlekać. Wkoło dzięki Bogu jeszcze spokojnie, a jeżeliby na wypadek czego, to wziąć straż w jakie kilkadziesiąt koni, a włos z głowy panience nie spadnie. A to jak się zaciągnie wojna, niespokój – a zawsze dziewczynie bezpieczniej w stolicy aniżeli w stepie...

– Nic przeciw temu – rzekł ksiądz – tylko...

– Za pozwoleniem. Już ja tu nad tym myślałem przez noc całą (bo wieczorem otrzymałem listy), a teraz wasza rada jeszcze. Toż staje, że wyprawimy Hanię, i to zaraz, ażeby wczas przejechać stepy, w których łatwo może się kryć jaka zgraja psów bisurmańskich. Kobiety dopatrzą mi ją w drodze, ale co do towarzystwa, to chyba ty, księżo, mnie wyręczysz, bo zamku opuścić nie mogę, aż go tu nie

²⁰⁹ *Afektacja* – wypowiedanie się, zachowywanie się w sposób przesadny, nienaturalny.

²¹⁰ *Ruchawka* – wrzenie, zamieszki, rozruchy.

zabezpieczę na wypadek wojny... Chciałeś już dawniej jechać do Warszawy, otóż teraz dobra ci się zręczność trafia.

– Jeżeli taka wola Starosty, podejmuję się obowiązku czuwania nad duszą i ciałem wnuki...²¹¹

– Już to co do ostatniego – rzekł wesoło Starosta, to więcej w tej mierze ufam Sobkowi i jego Kozakom aniżeli waszmości. No, ale koniec końców staję, że jedziecie. Toż nie zwlekając, zabieraj, księżę, brewiarze, a ja dam rozkaz, by gotowano się w drogę. Ale jakże z Iwankiem? Czy jedzie za swą panią?

Chwedor zmarszczył brwi, przypomniał sobie sen żony...

– Łaskawy panie! Nic wiem, bo coś moja stara niezdłuża i jej by może nie chciało się rozstać z jedynakiem...

– Trudna to rzecz! Chłopiec me dziecko i potrzeba by mu świat obaczyć.

– Taże to prawda, ale się muszę ze starą poradzić.

– Radźcież się, a byle dobrze, bo przyznam ci się, że przykro by mi było, gdyby nie pojechał; dziewczyna się przyzwyczaiła... zresztą sługa – należałoby... Sam to wiesz...

– Czemu by nie wiedzieć, ale pan znają, jak to z babami!

– Baba! Żeby wszystko to robić, co się im zachciewa. Zresztą wiek tam nie będzie! Najdalej za rok powróci, bo chciałbym, jeśli Bóg pozwoli, by lato ze mną przepędziła. Mnie tam w stolicy nie bardzo wesoło, a bez mej trudno by mi przyszło... No, ale muszę wydać rozkazy!

Za minut kilka w zamku panował wielki ruch. Wyjazd to ważna epoka w życiu zamkowym. Biegano, porządkowano, dawano rozkazy – zakipiało w spokojnej siedzibie Starosty.

Chwedor rozmawiał z synem, Starosta wydawał rozkazy, kobiety gotowały się do drogi, Hania zamyśliła się nad wyjazdem pierwszym w życiu do stolicy – nieznanego jej wielkiego świata.

Jakiejże dziewczyny serce nie zadrży w podobnej chwili tajemną trwogą? Ona przeczuwa, że z miejsca przemianą zmieni się wiele, bardzo wiele..., a któż wie, czy na lepsze – dumiała Hania.

A cóż Iwanko?...

Po półgodzinie znaleźli się wszyscy przy śniadaniu: był i Chwedor z synem. Kozak był błady jak chusta.

²¹¹ *Wnuka* – dawn. wnuczka.

Cisza zaległa komnatę, nikt nie tknął jadła.

Pierwszy przemówił Starosta, zwracając się do wnuczki wpółwesoło²¹², choć ze drżeniem w głosie:

– Owóż tedy, miłość panno, gołąbko moja, opuszczasz mnie starego...

– Czy to koniecznie, dziadziu?! – spytało dziewczę, tuląc się do Starosty.

– Koniecznie! – odparł ten, przełknąwszy łzę – koniecznie! Nie sposób ci wiek przeżyć w tych murach...

– Mnie tu tak dobrze...

– Phi, dobrze... Tak ci się zdaje... w stolicy będzie lepiej... Ale się sama przekonasz. Kasztelanowa pani wielka i zacna niewiasta – będzie ci u niej dobrze... Zresztą sam tam będę... A co do drogi, będzie ci wygodnie i bezpiecznie: pojedzie kobiety, pojedzie ksiądz kapelan, straż poprowadzi Mucha, a na niego można się spuścić – bywalec. Pojedziecie, aż miło. Nam tu, co zostaniemy...

– A... – chciała zapytać Hania, ale zatrzymała się, spuściwszy oczy.

– A nie mówiłem? Widzisz, Chwedorze! – rzekł Starosta. – A cóż, kiedy nie chce mu pozwolić...

Słowa te jak grom tknęły dwie osoby.

Hania rzuciła się w stronę, gdzie stał Chwedor. Uprzedził ją Kozak, upadłszy do nóg ojca.

– Tatu! Nie róbcie mi tej krzywdy, niech umrę, służąc mojej pani!...

– Pocziwy chłopiec! – krzyknął Starosta, ściskając Kozaka. Niech ci Bóg nagrodzi! Strzeż ją, służ jej... Chwedorze, ani chcę słyszeć: on pojedzie!

Chwedor smutnie spojrzął na syna.

– Niech jedzie; może z powrotem nas już nie zastanie...

I łzą mu oko zabiegło.

Kozak powtórnie rzucił się do nóg ojcu.

– Tatu, tatu! Po co rozżalacie moją duszę! Kaźcie, a ja umrę z wami!...

Chwedor ściskał jedynaka.

– Nie, synu! Nie będzie, jakby nasza wola. Tobie żyć potrzeba. Pojedzie, jasny panie! A wy, jasna panienko – dodał zwracając się do Hani – nie uczynicie krzywdy słudze...

Scena ta rozrzewniła wszystkich i tylko wdaniem się księdza i Starosty położono koniec rozczuleniu. Nie skąpiono oznak wzajemnego przywiązania, nawet

²¹² *Wpółwesoło* – niezupełnie wesoło, niezbyt wesoło.

parę toastów wzniesiono za pomyślność podróży i szczęście panny. Po śniadaniu rozeszli się każdy w swoją stronę, gotując się do drogi. Chwedor z Iwankiem poszli do chaty, gdzie miała miejsce scena opisana wyżej.

Takiemu to obrotowi rzeczy należy przypisać, że Mucha spotkał się ze staniczką odpowiedzią Iwanka, iż nie pojedzie z nim na Zaporozże. Za chwilę Mucha wiedział, co stało się w zamku w czasie jego nieobecności, i nie dziwił się odpowiedzi młodego Kozaka.

– Źle – mruknął tylko. – Muszę go pilnować, bo chłopiec gotów się zaprzepaścić.

Nie siła opisać, co czuła Chwedorowa, gdy mąż zawiadomił ją o niemogącym się cofnąć postanowieniu co do wyjazdu Iwanka z wnuczką Starosty. Ile tam było łez i jęków, zrozumie serce matki, gdy straszne przeczucie powie jej: rozstajesz się z jedynakiem na wieki!

Chwedor nie uspakajał jej nawet, tylko rzekł:

– Módl się, kobieto, i ja się modlić będę. Niech się dzieje Boża wola.

I w tej chwili pomyślał w duchu:

– Źle się stało, zem go dał do dworu.

Modlił się, a wciąż widział twarz syna i słyszał głos jego, gdy upadłszy do nóg wołał: „Niech umrę, służąc mojej pani!”. I sceny pożegnania syna z matką nazajutrz – również nie opisać.

Jak go raz ujęła w swe objęcia, tak i sił jej zabrakło rozłączyć się z synem.

O, wiele cierpiał Kozak. Tu ojciec i matka, których dni policzone, tam...

– Matko, matko! Gdybyście wiedzieli, ile cierpię – jęknął młodzian z takiej rozpaczycy siłą, że Chwedorowa cofnęła ramiona i wpatrzyła się w syna. W tej chwili straszna myśl przemknęła jej przez głowę, jęknęła tylko i upadła bez zmysłów.

– Idź już – rzekł poważnie ojciec. – Widzisz, że możesz ją zabić!

Kozak patrzył na rodziców... Chwiał się... Chciał upaść do nóg matki. Wtem dał się słyszeć głos trąbki pochodnej.

– Przeklnijcie mnie! – zawołał – bo ja nie mogę pozostać.

I wybiegł ze świetlicy.

– Niech cię Bóg błogosławi – rzekł Chwedor – to nie twoja wina.

– Synu! Gdzie syn mój?... – pytała matka, wracając do przytomności.

Kozak strzałą mknął przez wieś, dopędził pojazd. Z karety wyrzuciła zapłakana twarzyczka Hani.

– Bardzo płacze mama? – spytała cicho.

– Nie płacz! – odpowiedział Kozak grobowo.

Sto krzyżów od zamku i wioski błogosławiło im drogę, a jeden był najwyrazistszy – krzyż matki!

—

Czy wiecie, co to Ukraina? Wy, ludzie zachodni, co się tak puszcycie waszą cywilizacją! Czy wiecie wy, co to plemię słowiańskie?

To nie wasze areny gladiatorские! Nie turnieje to i cyrki!... Nie wasze króliki, panięta, kupce..., nie wasz świat – nie wasze pojęcie!...

Gdy staniesz i struchlejesz dla swej maluczkości wobec ogromu..., gdy oku granic nie ma, a piersi nazbyt, by odetchnąć mogła..., gdyś punktem w przestrzeni, która głuży swą ciszą i oniemia *rozhoworem*²¹³, że zgubisz się i nie powiesz, czym jesteś – to step!

Gdy obaczysz miliony, jak w szabel połysku i okrzyku strasznym kładą się w gór mogiły i nieobjętość zaleją krwi czerwienią – że chmurom pachnie woń i w chmurach czerwien ta – a na mogile jutro orze pług i rycerz wiedzie pług i sochę – to nasze plemię! Oto my!

Błękitne niebo ponad Ukrainą – i chmury tam inne, i blask słońca inny! W powietrzu woń w świat płynie i pół świata nasycą się nią i żyje. Muzyka stworzenia gra hymny, których siła przyrodzie znana, a ludziom czar tylko dostępny i zdumienie. Lasem traw wieje wiatr stepowy, zgina ich głowy, by kłaniały słońcu, bo go swym panem mienią, a nie znają innego. Ptaków miliony rozpoczęły kłótnię: kto innych prześpiewa?, kto zaśpiewa lepiej?... A polny konik nie drzemie także i bieży z muszkami w zawody. Stado dzikich koni legło w trawie: wódz baczynym okiem w dal patrzy i uchem strzyże, wietrząc otwartymi nozdrzy... Dwułkociowy wąż, król gadów, legł leniwie i słońce promieniami złota maluje jego odzież... W dali mogiła siwą głowę w lazurów koronie trzyma... Pod krzakiem stolistnej róży bieje kość rycerza... Potęga – nieobjętość – cud!

Wieki płyną wiecznością... od wschodu ziemia drży..., w mogiłach gwarzą duchy... Stepie, tyś ponad olbrzymy!

Daleko, na nieboskłonie, zaszarzał punkcik – jak czarna plamka na rozgraniczu zieleni i szafirów. Coraz to widniej: szerzy się, rośnie..., niby stoi, a płynie tu bliżej, bliżej. A ziemia stęka – śnać niemały ciężar dźwiga, powietrzem wionął

²¹³ *Rozmowa.*

lęk i zda się zamarł wszelki głos. Cicho. Ten punkcik – chmura – dzieli się na dwoje: ta ziemią płynie, ta powietrzem płynie... Wokoło czujesz – trup! Od tej, co ziemią idzie, płynie głuchy huk, z tej górnej bije w niebo wrzask... Ha! Śmierć tu będzie, śmierć! To płynie kruków gromada i sępów rzesze, a wszystko krzyczy: „krew”. To wyroił straszny Azji lud, którego życiem mord.

Ho! Już wyraźny jest ich straszny krzyk – niebo czerwieni się, witając pożaru łunę: to zwiastun wielkiego gościa. Nastaje okropna zniszczenia godzina! Na łukę ludzkości wybiegł straszny kosarz – śmierć... Co z łona matki żywot ma – uchodź, bo tu litości miano nieznane, a sprawiedliwość kapie się w krwi!

Pierwszy dostrzegł orzeł: wzbil się w chmury i patrzy, i czuje zapach ścierv... Ptaków gromady lecą w góry precz, żałośnie krzycząc do swych piskląt w gniazdach... Burzanem pomyka wilk i tłuszcza wali trwożny zwierz..., na stado koni wpadły i stado z nimi mknie... Węże za zwierzęty w ślad i wszystko, co żyje, pędzi, bieży, bo za nim strachów strach – śmierć!

A chmury dwie płyną – a z jednej wrzask i z drugiej wrzask. I szumią jak straszne wód morza, i płyną, a luna szerzy się, a strach większy wciąż... Cały przestwór grzmi okrzykiem: „Aħah!”. Zbliża się sądu dzień.

To jedna część obrazu – olbrzymia, ale przerażająca. I druga wielka, ale jakże od tamtej różna! Na ziemi, która siedliskiem bogów być by mogła, tak jest czarowną – rozsiadł się lud w milionach: piękny jak wszystko, co go otacza, święty niewinnością dziecka, którego słabości nie zna tylko. Tu kraj cały od morza do morza jest świątynią wolności – szczęścia; miliony w nim – to kapłani, szafarze łask prawdy, na wieki i pokolenia przechowujący świętość, by świat ją tu znalazł, gdy spośród niego zniknie. Pług kraje ziemię, drzewo owoc daje, nigdzie chmurnej twarzy, w niebo płynie śpiew i głuży sobą zalatujący dźwięk łańcuchów; miliony błogo śnią. Tylko na straży widzisz ostry miecz, a wszędzie gęśle²¹⁴ i śpiew. Przewodna ziemio moja, ojczyzno Sławo! Jakżeś czarowną! Przeświętnione plemię me – narodzie! Tyś zdumieniem i chwałą wieków!

Błysnął strażniczy ogień, z sygnałem leci trwoga – nie! Rolnik rzuca pług i jest rycerzem, bo trzeba bronić własnych gniazd, bo to ze śmiertelnym wrogiem odwieczny bój.

Tu już się leje krew i niebo rumieni się pożarową łuną... Tam o tym tylko wieść, a tam w kolebce dziecię śni, dziewczica śpiewa pieśń, mąż w ziemi kraje ski-

²¹⁴ *Gęsla* – prymitywne skrzypce ludowe, w kształcie owalnego pudła, z trzema strunami.

bę. Tu życie, a tam już śmierć – kolebka tu, a tam już trumna! Lecz oto trwoźnie budzi się dziecina i tuli do matczynego łona – drzy... Z dziewczęcych ust uleciał śpiew i serce trwoźnie bije...; mąż od pług na ziemię padł i słuca: jęczy ziemia, stęka – wróg! Okrzyk leci, męże się zbroją i każdy gotów głowę kłaść, gdzie ojca jego grób – z piersi zrobić wrota do rodzinnej zagrody. Oto my!

W czasach, z których powieść nasza, zaledwie w górze, ku Kijowowi, były osady stałe, każda jakąś warownią opatrzona. W dół od Białejcerkwi nie miałeś ich wiele, a Pobereże²¹⁵ dzisiejsze było dziką chaszczą, w której wąż znał drogę lub mieszkawiec tej puszczy traw, co jak wąż wślizgiwał się w parowy i umiał przejść lasem oczeretów²¹⁶ i łóz²¹⁷. Tu przyrodę miałeś w krasie jej dziewiczej i śmiałek nie mógł bezkarnie zapuszczać się na manowce: niejeden wojska oddział, niejeden hufiec tatarski zginął w tym lesie, nie umiejąc znaleźć drogi do wyjścia. Tu w jamach podziemnych siedlili się najodważniejsi bądź dla zupełnej swobody nieścieśniającej się tu niczym, bądź, jak – chcą niektórzy – dla łatwych zysków z odbijania łupów. Ale tych zapytamy: do czego mogły służyć skarby temu, kto żył w wiecznej walce i nigdy nie opuszczał swego stanowiska w krainie stepu?... Więc nie chęć gromadzenia bogactw, ale duch rycerskości gnał tu walecznych i nakazywał pierwsze strzały wroga w swe piersi przyjmować i brać ostatnie, gdy już uchodził ku swym siedzibom.

Zaopatrzwszy się w znajdujących miejscowość²¹⁸ przewodników, lubili Tatarzy tą stroną wpadać w nasze granice, niosąc spokojnym sąsiadom mord i pożogę.

Instynkt samozachowawczy nauczył mieszkańców pogranicza sposobów obrony. Środkiem ostrożności było, iż na wysokich mogiłach w razie najścia Tatarów zapalano łuczywo lub, później, beczki smolne i tym ostrzeżeni mieszkance spotykali wrogów nie snem, ale orężnym czuwaniem. Lecz ileż to razy zdradny Tatarzyn, omyliwszy czaty, wpadał na nieprzygotowanych!... Straszny dzień wtedy był dla spokojnych rolników: ich siedziby obracał wróg w perzynę, majątek i mieszkańców zabierał w jasyr, by jako niewolników sprzedać na rynkach wschodu, albo gubiono²¹⁹ wszystko i wszystkich bez względu na płeć i lata.

²¹⁵ *Pobereże* – kraina historyczna na terytorium Ukrainy i Mołdawii w południowej części dawnego województwa braclawskiego Korony Królestwa Polskiego.

²¹⁶ *Oczeret* – trzcina pospolita.

²¹⁷ *Łoza* – krzew z rodziny wierzbowatych; wierzba szara.

²¹⁸ *Miejscowość* – okoliczne tereny.

²¹⁹ *Gubić* – tu: zabijać.

Bardzo często Tatarzy wpadali zagonem²²⁰ z taką siłą, że bez skutku stawiono im czoło na pograniczu. Wtedy jak roje szarańczy z niesłychaną szybkością rozlatywali się w rozmaite strony kraju, krwią i ogniem znacząc swój pochód. Nierzadko przeszli tak krainą²²¹ aż pod Lwów i obciążeni łupami i niewolnikiem, syci krwi słowiańskiej wracali stepami ku Krymowi. Wtedy stepy ukraińskie znów były widownią walki: wojsko bądź orężna mieszkańców drużyna, pod przywództwem męża o dzielnym ramieniu i nieustraszonym sercu, zastępowała wracającym drogę i szczęśliwa potyczka gubiła wrogów ze szczętem, dając wolność więźniom i wracając łupy tatarskie prawym ich właścicielom, jeśli ci nie zginęli w płomieniach i uszli ręki pogańskiej.

Smutny to tryumf wśród zgliszcz, gdzie matka nie znajduje dzieci, mąż żony, dziewica ulubionego!... Ale taka tu rzeczy siła, że nazajutrz po straszliwej klęsce znów brano się do zwykłych zajęć: odbudowywano siedziby, plug ziemię kraje, ptaki po dawnemu śpiewają i za rok, pół roku – tylko wspomnienie klęski zostało. A w Krymie po niejakim czasie znów świeże zbierają się hordy do pochodu w krainę niewiernych. I tak się ma przez lata, wieki całe: plug orze, oręż niszczy, mogiła znów pszenicą zarasta, dając miejsce przyszłej towarzysce, i stąd ich masz tyle w Ukrainie, ile gwiazd na niebie lub piasku na brzegu morskim.

W tym czasie, gdy Starosta wyprawiał swą wnuczkę do stolicy, już dzicz tatarska weszła była na południowe szlaki i wyprawiała harce; ale czy siła jej niewielka, czy inna w tym biesowska sztuka – bo tylko kupami niesfornymi okazywali się strażnikom tak, że i wielkiego strachu nie mieli oswojeni z tymi gośćmi mieszkance pogranicza.

Nie był to jednak mały zagon, bo się pokazało później: Tatar milczkiem szedł oddziałami i naraz jak spod ziemi wyrósł, zalawszy Ukrainę krwią i pożogą, a masą parł dalej, ku więcej zasiedlonym częściom kraju.

W tydzień zaledwie po wyjeździe Hani, widział Starosta strasznych gości z wieży swego zamku, jak chylcem²²² przemykali się gdyby gady, mijając zamek, sami przez nieliczną załogę nienagabywani.

Na straszną zanosilo się katastrofę i Starosta drżał na myśl niebezpieczeństwa, w jakim znajduje się jego najukochańsza wnuczka, ale miał w Bogu nadzieję i ufał

²²⁰ *Zagon* – oddział wojska wpuszczający się w głąb obcego terytorium.

²²¹ *Krainą* – przez kraj.

²²² *Chylcem* – po cichu, w ukryciu.

doświadczeniu Muchy, że podróżni wczas jeszcze przed niebezpieczeństwem opuszczą stępy i pojedą krainą, w której nie gości jeszcze Tatarzyn.

Toż modlił się starzec gorąco, a podróżnym chciał dać skrzydła, byle prędzej uchodzili od zaguby, i wierzył, że go Bóg wysłucha – że jeśli nie jego, to modłom matki da ucha, o! bo Chwedorowa modliła się także – tam jej syn, jej po Bogu najmilszy lub może... – któż matce grzechem to nazwie! – ona go więcej kochała, więcej niżeli... Matko, powiedz, jak kochasz twęgo syna, gdy on dla cię wszystkim, wszystkim?!...

Lecz niebios wola nieznana ziemianom. Tatar skrzydeł nie ma, ale ma konie szybkie jak lot ptaka, ma żądę łupiestwa ponad skrzydła szybszą!

Z możliwym pospiechem posuwał się oddział eskortujący wnuczkę Starosty. Już w piaski Wołynia²²³ wjechali podróżni i stępy znikły sprzed ócz Ukraińców, sosnowe bory, smutne, przyjęły ich w swe chłodne objęcia. Niewesoło duszy kozackiej, gdy rozigrąć się nie może, gdy koń co krok o zawady trąca. Rozkosze nieba nie wynagrodzą mu utraty stępu.

Zapadła tęsknica w dusze kozackie. I Hani smutno, bo i ona Ukrainka, i jej duszno w tej drzewianej klatce. Książd szeptał pacierze i przypatrywał się drzewom, kobiety z trwogą tuliły się wzajem i w modlitwie szukały pokrzepienia.

Nudną wszystkim zdawała się podróż i kaźden wyglądał jej końca, a chociaź to ciężko taki świat być oddalonym od stępu, przecieź Kozacy ciekaui byli obaczyć stolicę i zalotne Laszki²²⁴ krasawice, o których nastyszeli się tyle. Zresztą wiekować²²⁵ tam nie będą: ino pannę zdadzą na ręce, powrócą do matki Ukrainy, bez której jej dzieci jak bez powietrza żyć nie mogą. Pokłonią się mogiłom, westchną świeżym powietrzem i poczną opowiadać na wieczornicach²²⁶ dziwa, które widzieli w Lachów krainie... Toż kaźden chciał się widzieć bliskim tej godziny i z przykrością wyznawał, że droga nudnie się wlecze. Piasek koniom po kopyta, smołę słychać gdyby w piekle, stępu ni za niuch tabaki, ludzie niby swoi i nie swoi... I kat ich wie, po co siedzą tutaj, kiedy u nas niebo takie, step! A miejsca tyle, że cały świat się zmieści!...

²²³ *Wołyń* – kraina historyczna w dorzeczu górnego Bugu oraz dopływów Dniepru: Prypeci, Styru, Horynia i Słuczy.

²²⁴ *Laszka* – Polka.

²²⁵ *Wiekować* – długo przebywać.

²²⁶ *Wieczornica* – wieczorna zabawa na wsi.

Tak rozumowały kozacze łby golone i niejeden ciężko splunął, poprawiając palcem tytoń w lulce, która chociażby i najlepiej kurzyła się, potrzeba ją poprawić. Po co? Potrzeba, *i hodi!*²²⁷

Gościnne zamków podwoje otwierały się na przyjęcie naszych podróżnych, którzy wypocząwszy przez noc, o świcie w dalszą puszczały się drogę; niekiedy wypadło zanoć w lesie, a ciasna i brudna karczemka nie mogła pomieścić licznego orszaku podróżnych – wtedy nocowano pod gołym niebem. Dla kobiet i księdza budowano szałasze²²⁸, inni legli na ziemi, za okrycie i poślanie mając ukraińskie burki²²⁹. Wielkie ognisko noc całą podtrzymywała straż czuwająca, a najpilniejszym stróżem pono był Iwanko... Ileż to takich noclegów przeżył on z głową na piersi zwieszoną, dumkami wybiegając daleko!... A nie sam czuwał tylko. I w szałaszu często nie spał ktoś także, dumał i wzdychał nie gorzej od Kozaka! A duchy ich rozmawiały ze sobą...

W jednej i tej samej chwili Kozak myślał o jasnej pannie, która dla niego była – o!, nad gwiazdy jaśniejsza, promienniejsza od słońca!... Dziewczę, nie wiedząc dlaczego, wciąż Kozaka miało na myśli... Dziwnie to z nami, biedactwem, poczynają sobie w tym świecie-zaświecie!... Ale cóż pocniemy?... Protest nic nie nada: pływamy więc!

I płynęły myśli dwojga młodych, różne wprawdzie, w tym jednak do siebie podobne, że nie odnosiły się do osoby, w której głowie układały się, snując potem w marzeniach, ale kogo innego miały na celu: myśli kozacze zawsze były przy pięknej wnuczce Starosty; dziewczyna myśląc o wielu, bardzo wielu rzeczach, w końcu jednak zawsze obaczyła wyniosłą postać Kozaka i lubiła utonąć w jego spojrzeniu, które miało w sobie dziwną, tajemniczą siłę, że nie ulec tej potędze było niemożliwością...

Nieznane są drogi ducha i nie nam to, śmiertelnym, chcieć je zbadać!

Marzyli młodzi i sen stronił od ich powiek, toż i nie poradzić złemu!

Nie śpią, dumają: kochają się – niejeden powie. Ani potwierdzą, ani zaprzeczą, a dodać muszę, że i trzeci z orszaku niekoniecznie długo sypiał i miał także swoje dumki, które również krążyły koło Kozaka i panny. Był to Mucha. Widząc zamyślenie swego ulubieńca i jego czuwanie, nie spał, ale zakurzywszy lulkę,

²²⁷ *I tyle.*

²²⁸ *Szałas – szałas.*

²²⁹ *Burka – wierzchnie okrycie męskie bez rękawów.*

siadał opodal od dumającego i patrzył nań godzinami, czas do czasu spluwając, to kręcąc siwy wąs kozaczy.

– Haj, haj! – i westchnął ciężko. – Jak to ginie sława kozacza, gdy świeże liczko stanie na drodze Kozakowi... Inob²³⁰ mu Kozakować, ta zażywać sławy, a on... – i znów splunął, ale i łza nieraz padła Kozakowi na siwe wąsy.

Czasem próbował go rozważyć.

– Dajcie mi pokój, *diad'ku*, bo zapomnę, kim byliście dla mnie. *Pohano czy nie pohano*²³¹ – taka moja dola i już mi z nią zginąć – tak mu odpowiadał Iwanko, a po takiej odpowiedzi co już słowa tracić! Gadaj, nie gadaj – nie pomożesz. Przepadł chłopiec! A i kochanież bo to cudackie...

Pocziwemu Sobkowi nie mogło się w głowie pomieścić, jak można było kochać sobie nierówną, a pokochawszy, nie starać się pozyskać jej ręki tym lub innym sposobem; ale nie spać, wdychać i czekać, aż dziewczynę weźmie inny!... Myślał po kozacku, po ludzku! – może wielu powie?... Widoczna tedy, że Iwanko nie musiał jeszcze być Kozakiem, a i z dawnej niezwykłości zapewne coś mu pozostało.

Po drodze spotykały podróżnych jakby przecuciowe wieści o najściu Tatarów: coraz to rzadziej widać było twarz wesołą – chmura zadumy, zda się, wisiała nad krajem, jak i na czołach mieszkańców. Hania drżała na myśl niebezpieczeństwa i mimo woli wychylała główkę z powozu, by się przekonać, czy jedzie Iwanko, a gdy go spostrzegła, była spokojniejszą.

Trwożna niepewność wkrótce stała się straszną pewnością: dowiedziano się o wkroczeniu Tatarów; wiedziano nawet, że poszli rozmaitymi szlaki, by od wraza w kilku odległych punktach kraju mord rozpocząć. Na wieść tę co żyło chroniło się do zamków, w których zbrojnie czuwano dnie i noce, bo wróg znany: w jednej chwili jawi się jak spod ziemi, a nie wie, co to litość.

Wobec takiego stanu rzeczy potrzeba było coś postanowić. Zebrano tedy radę: książdz, Mucha, ludzie zamku, którzy nie umieli dać rady, bo jechać bieda i pozostać bezpieczeństwa nie ma: zamek ówczesny rzadko kiedy był czym więcej jak domem obwiedzionym fosą i wałem, a obronę dawało mu częściej męstwo obrońców aniżeli przyroda lub sztuka.

Gdy już wszystko dobrze rozważono i powiedziano, co się dało powiedzieć w tej mierze, jednogłośnie przyjęto wniosek Muchy, by dalej jechać, bo doświad-

²³⁰ *Inob* – czyli: *ino* (= tylko) z partykułą *by*; tyłkoż, tylko by.

²³¹ *Dobrze czy niedobrze*.

czony Kozak w szybkości jazdy widział możliwość minienia niebezpieczeństwa, które ich w źle obronnym zamku spotka niechybnie.

Ruszyli tedy przyspieszonym krokiem, podwoiwszy czujność.

Lecz szybszy pochód wroga aniżeli ucieczka chroniących się. Niewielki przedział oddzielał podróżnych od strasznych gości Krymu; nierzadko widzieli krwawe niebo kąpiące się w pożarze siól i miasteczek, spotykali gromady uciekających wiejskich mieszkańców, którzy z jękiem rozpaczliwie gnali swe trzody w lasy i bladym licem patrzyli na pozostawione ojczyste strzechy, zasiane pola i groby ojców, sami w niewiedzy, kędy legną, by kości ich roznosił zwierz po ostępach²³². Okropny to był widok! I nie dziwić się, że kobiety jadące z Hanią mdlały, rozpacznie polecając się opiece Matki Bożej. Ksiądz modlitwą krzepił zrozpaczonych, zalecając ufność w Opatrzności; Kozacy poważnie jechali, nie dając się strwożyć niebezpieczeństwem, boć to dzieci śmierci! Na to przyszli na świat, by głowę dać pod miecz wroga w obronie granic ziemi ojczystej! Tylko Hania zdawała się być spokojna, jakiś głos mówił jej: „póki on cię strzeże, jesteś bezpieczną!”. I z wiarą tą w Iwanka patrzyła mu w oczy i mówiła gorączkowym głosem:

– Czego one się boją? Bóg nad nami. Wszak prawda, Iwanie, że dojedziemy szczęśliwie?...

– Zginę za was, miłościwa panno! Po moim trupie chyba do was dojdą.

Dziewczę zadrżało.

– Po co mówisz o trupie? My nie zginiemy!... Ty żyć będziesz... – dodała ciszej.

– Bacność! – ozwał się głos Muchy, który od czasu trwogi odżył wspomnieniem i nie poznać w nim wczorajszego Sobka. Był to wódz kozacki!

– Nie dowidzam... Spiso, czy to Pawluk ku nam się zbliża?

Kozacy spojrzeli w stronę, z której przybliżał się jezdny. Zapytany odrzekł:

– On. *A zdrowob wam*²³³, *watażko, dobre jeszcze oczy macie*.

W galopie zbliżał się Kozak. Mucha wyjechał na jego spotkanie.

– Źle, watażko! Tatar z boku: spalił wioskę nie dalej jak o milę. Ludzie uciekają chmarami. Chyba nam czy nie do tego hen lasu, bo na stepie zetrą nas na tabakę!

Mucha poprawił kołpak na głowie, potem rzekł:

²³² *Ostęp* – trudno dostępne miejsce w puszczy, matecznik.

²³³ *Witajcie*.

– Ani słowa o tym, bo i tak już baby ledwie nie pomrą, a strach nic nie nada...
– Na prawo! – dał znak i powóz ruszył w kierunku widniejącego się lasu.
– Dlaczego zjeżdżamy z drogi? – zapytał ksiądz dowódcę.
– Za szeroka, że moglibyśmy nią do nieba powędrować – odpowiedział Kozak, a pater²³⁴ cofnął się w kąt powozu i począł odmawiać pacierze.

Kobiety płakały nieutulenie, Hania utonęła wzrokiem w błękity, a myśli jej nie pilnowały terażniejszości. Dziwne te myśli!

– A co, Kozacze?! – rzekł Mucha, zbliżywszy się do Iwanka. – Nie chciałeś chrztu na Zaporozu, to cię tu Tatar w lesie przydybie...
– Niebezpieczeństwo wielkie?

– A nic: za jaką godzinę będziem tu wszyscy gryźć ziemię, a kto chce, to wolna droga do jasyru!

– A ona?... – zapytał Kozak i w tym słowie spoczęło jego zbawienie.

– Chyba ją anioł obroni, bo już tu nikt nie poradzi.

– Nikt!... Ja obronię! – wykrzyknął Kozak z zapalem.

Mucha spojrział mu w oczy. Tam przeglądała taka groźna prawda, że Sobkowi było jakby w niebie i chciał go porwać w swe ramiona, ale Kozak zwrócił konia i jechał u drzwiczek powozu.

– Szkoda chłopca! Haj, haj! Taka dusza, że ino by mu hetmanić, a tu – gładkie liczko...

I stanął mu w myśli nieboszczyk Skrypa, ale spoza olbrzymiej postaci Kozaka wypłynęła inna, jak czar powiewna, i spjrzała... Mucha opuścił głowę, westchnął... Siwy włos ma swą przeszłość, wobec której słabnie.

Tymczasem dojechano lasu i ciężki powóz przewalał się po wystających z ziemi korzeniach drzew olbrzymich, które gromadą w niebo spięte z wierzchów swych gałęzi tworzyły zielony namiot, dając przestrzeni chłód i ten półmrok, który wzbudza w nas dziwne uczucie, nakazujące myśli pogrążyć się w rozkosznej sennicy...²³⁵ I na podróży naszych w tej chwili wywarł las korzystne wrażenie: kobietom wstąpiła w pierś otucha, ksiądz mniej patrzył w niebo, a częściej wokoło i zażywał nawet tabakę, częstując nią ochmistrzynię. Kozakom jakoś lżej było – może dla orzeźwiającego chłodu. Nawet konie parskaly raźniej i wróciła im fantazja, wprawdzie odmienna nieco od stepowej, rodzinnej, ale zawsze weselej

²³⁴ *Pater* – ksiądz.

²³⁵ *Sennica* – błogość, odprężenie, odpoczynek.

było na nie patrzeć aniżeli przed chwilą, gdy łby powieszawszy, wlekły się gołą, piaszczystą drogą.

Powoli jakby zapomniano o niebezpieczeństwie. Tak to człek nierad o złej doli myśli i lada czym się pociesza w zapomnieniu! Świeżość powietrza, śpiew ptaków, woń leśnego kwiecia – bo nie był to już las sosnowy – wlały nowe życie w podróżnych i całe grono, opuściwszy powóz, szło piechotą, lubując się tym, co ich otaczało, i odpędzając od siebie trwożne myśli o niebezpieczeństwie. Hania rwała kwiaty, Iwanko szedł opodał, zwiesiwszy głowę na piersi.

Chwil kilka nie było rozmowy. Wszyscy szli drogą, każdy z swoimi myślami, ale powoli rozwiązały się usta i poczęto gwarzyć – nie wesoło wprawdzie, ale też i nie smutno: o groźnym niebezpieczeństwie mowy nie było.

Wypadek zrządził, że sługa i pani zeszedli się razem. Hania długo patrzyła w zadumane oblicze Kozaka i zasmuciła ją ta chmura dumań – w jej wieku nietrudno o współczucie... Zbliżyła się do zamyślnego i okazując mu świeżo zerwany, kwiatek zapytała:

– Nie wiesz, co to za kwiatek, Iwanie?

Kozak zadrżał, ocknąwszy się z zadumy.

– Nie wiem. Na naszym stepie nie ma takich kwiatów.

– Ach, na naszym stepie śliczne kwiatki – powtórzyła z westchnieniem Hania. – Ale i ten piękny! Przypatrz mu się dobrze. Dwa ich rosło razem.

– Razem! Tamten sam został!...

Słowa te wyrzeczone głosem, który nie da się określić, wstrzęsły dziewicą.

– Nie będę rwać kwiatów... – wyszeptwała, a długie rzęsy ocieniły jej modre oczy.

– Nie wiercie temu, pani! – zawołał prędko Kozak, spostrzegłszy, jakie wrażenie wywarły na dziewicę jego słowa. – To moja mowa nierozumna: któż by żałował kwiatów! Ludzi rozdzielają z sobą... a kwiat – nawet nie człowiek...

– Ano! – ozwał się w tej chwili głos, który o chwilowe drżenie wszystkich przypawił. – Drogi wam nie ma, że najeżdżacie ludzi?!

Wszyscy rzucili się ku przodowi ciekawi, kto tak niespodzianie znalazł się podróżnym na drodze.

Był to starzec ociemniały – ile wnosić można było – olbrzymiej postawy. Kij i sakwy leżały przy nim, lirę miał blisko głowy, jakby słuchał jej rozmowy z wiatrem. Leżał pośród drogi i tylko spłoszone konie uratowały go od najechania przez jadących Kozaków.

– Kto wy, *wrazi dity!*²³⁶, że ośmielacie się jeździć teraz po tej drodze? – pytał kobzarz²³⁷, w półpodniósłszy się.

– *Witaj, didu! Kozaki jidut!*²³⁸ – zawołali, śmiejąc się Kozacy.

– *Owwa!*²³⁹ – rzekł dziad drwiąco. – Toż to mi Kozacy, że po lasach szwendają, kiedy Tatar zęby grzeje przy ostrzeszkach!²⁴⁰ Idźcie precz, bom się nie wyspał.

– Wyśpisz się jeszcze! – rzekł Mucha, trącając lirnika drzewcem od kopii – teraz wstań i powiedz nam, czy daleko stąd do Berdyczewa²⁴¹.

Dziad powtórnie podniósł się i zdał się wsłuchiwać w dźwięk głosu pytającego.

– No, rusz się!

– Niech mnie tatarska strzała nie minie, jeżeli to nie głos Muchy. *Zdrow towarzyszu!*²⁴² Patrz, jak mnie sprawili pohańce²⁴³ w jasyrze²⁴⁴.

– *W y r y d u b!* – zawołał Mucha.

– Ehe! Powiedziano: „góra z górą się nie zejdzie”. Ale tu słyszę jakiś powóz. Do biesa! Toś ty się na lackiego służkę wy kierował...

– Milcz! – syknął Mucha, ścisnąwszy go za ramię.

– Ręka jeszcze duża! – zauważy kobzarz. – No i moja nie ino do liry... Ale cóżby?...

– Jaka to ładna twarz, księżu! – zrobiła uwagę Hania, patrząc na kobzarza.

– Pięknym cię wiekiem Bóg obdarzył, dziadu!

– Hm! I ksiądz jest, i jasna panna... Dla mnie wszyscy ciemni. Do biesa, Mucho! Szkoda, że to wszystko wieziesz Tatarom na jatki...²⁴⁵

– Są tu?... Widzieliście ich, didu?! – przyskoczył doń Iwanko i trząsł ręką starca, nie będąc panem swego wzruszenia.

²³⁶ *Psie krwie.*

²³⁷ *Kobzarz (kobziarz)* – muzyk grający na kobzie, dudach (ludowy instrument muzyczny).

²³⁸ *Uciekaj, dziadu! Kozacy jadą!*

²³⁹ *O masz ci los!*

²⁴⁰ *Ostrzeszek* – okap dachu domu, bramy.

²⁴¹ *Berdyczew (Berdyczów)* – miasto w powiecie żytomierskim, w dawnym województwie kijowskim, położone na południe od Żytomierza, nad rzeką Hnyłopjat’.

²⁴² *Witaj, towarzyszu!*

²⁴³ *Pohaniec (poganiec)* – pogardliwie o niechrześcijanach, tu: muzułmanach (Tatarach, Turkach).

²⁴⁴ *Jasyr* – niewola tatarska lub turecka.

²⁴⁵ *Jatki* – rzeź.

– A to kto jeszcze? – zapytał kobzarz, zwracając się w stronę Muchy. – Pan wielmożny?

– Nie! Sługa, który chce ratować swoją panię... Mów, dziadu, gdzie Tatarzy?

– Gorączka! Żal się Boże, na co zesli Kozacy: na Zaporozżu wola – zabawa²⁴⁶ z pohańcem, a oni Lachom służą... Daleko czy nie daleko – ciągnął dalej – do Berdyczewa nie dojedziecie, bo po drodze bawi się poganiec, że parno jak w łązni. Mucho, ty watażysz tutaj? Ty, ty! A któżby inny?... Toż oczy im nie powyłaziły! Dobrze! Zapytajcie swoich jasnych panów czy chcą umrzeć w kompanii, z hołotą²⁴⁷, czy może sami pójdą do łacińskiego nieba?

Nietrudno sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiły na słuchaczach te słowa kobzarza, które on wymawiał z szyderstwem, ale zarazem z groźną pewnością, że prawdę wieściły. Kobiety jęknęły, ksiądz odmawiał pacierze, Hania mimo woli chwyciła się ramienia Iwanka.

– Co ty tam bredzisz?! – przerwał milczenie watażka. – Nie zwykli umierać, kogo broni Mucha!

– Twoja prawda, *towaryszu!*²⁴⁸ Ale na wszystko swój czas i chyba cię teraz święty Mykoła wyratuje, jeśliś mu często świeczkę stawiał. Tatarów tylko co nie widać. Tss! Głupi Tatar wyłupił mi oczy, a ja go uchem dalej wypatrzę niż okiem. Poczekajcie! I w tej chwili przypadł do ziemi i nasłuchiwał. Niedługo powstał.

– *Skazano!*²⁴⁹ Idzie szarańcza, a droga im przez las. No jakże: czy w kompanii chcecie zginąć, czy samym? Ja bym myślał, że to wszystko jedno, ale nie wiem, jak wielmożni panowie...

– Słuchaj no, stary chryczu!²⁵⁰ – rzekł Mucha, przystępując do kobzarza. – Zanim nas tu Tatar dosięgnie, ty pierwej będziesz gryzł ziemię...

– O! – rzekł kobzarz, poprawiając się na nogach. – A to jak?

– A tak, że cię tu sprawię na kwaśne piwo, jeżeli nas nie wyratujesz.

– No, to pójdziemy wszyscy, ja pierwej, a wy później. Znać, bracie, żeś panom w łapy patrzył – dodał po chwili. – Także to mówią z towarzyszem? Ale pal cię tam!... A ja pamiętam, kim byłeś, i zrobię, co mogę. Do Berdyczewa tak i nie

²⁴⁶ *Zabawa* – tu: walka, potyczki.

²⁴⁷ *Hołota* – prości ludzie; biedota.

²⁴⁸ *Towarysz* – towarzysz.

²⁴⁹ *Mówię wam*.

²⁵⁰ *Stary chryczu* – stary grzybie (pogard. o starym mężczyźnie).

doprowadzę, bo nie dacie rady Tatarom, ale jedźcie za mną, to może uda się co zrobić. *A nu, chłopcy, za mnoju!*²⁵¹

– Ja z tobą, Mucho, na przedzie – pogadamy, bo kto wie, jak tam się Tatar namyśli: czy na jucht²⁵² nas wyprawić, czy osolić diabłu na słoninę... Za mną!

I cały orszak ruszył prowadzony przez ociemniałego starca, którego gdyby teraz okazać, niejeden gagatek zemdlałby ze strachu. Inny wiek – ludzie inni!

Jechano lasem jakie pół godziny, nie śmiejąc przerywać rozmowy kobzarza z watażką, którzy snąc wiele musieli mieć sobie do opowiedzenia. Gdyby ich przeszłość opisać, urosłaby księga niemata, a niewiele znalazłoby się czytelników chętnych dać wiarę podanym w niej przygodom: „Monstrualne rzeczy powymyślał autor” – rzekliby. Ha, ha, moi panowie! Rzeczy olbrzymie, ale snem się nam być wydają i brednią, bo odbiegliśmy od naszej przeszłości i odrodzili się od bohaterów! *Pigmeje!*²⁵³

Droga lasem niedługo poczęła się zwężać, a w końcu była już tak wąską, że powóz nie mógł się przedrzeć wśród pni i wiązań z gałęzi, które coraz to niżej zwieszając się nad ziemią, o kilka kroków ku przodowi formowały gęstwę²⁵⁴, mającą podobieństwo zielonego muru.

Niedługo radzono i ważąc więcej życie aniżeli pudło, które niosło podróżnych, pozostawiono landarę²⁵⁵ w jednym z parowów, okrywszy ją dla niepoznaki gałęziami i mchem drzewnym. Kobiety wsiadły na koń – nie na długo jednak, bo wkrótce całe grono podróżnych musiało piechotą, za pomocą rąk i toporów, przedzierać się przez zarośle.

– Czy diabli ślepcuna²⁵⁶ nadali, że wiedzie nas w takie chaszczce – mruclili Kozacy, przeklinając nużącą drogę i krzaki kolczaste, na których pozostały wyloty ich kontuszów i kawałki osełdeców²⁵⁷.

– Kto by sto ócz miał, zgubiłby się tutaj! Kiedy to tak wyuczyłeś się wędrować pomiędzy zaroślami? – zapytał Mucha ślepego przewodnika.

²⁵¹ *Ano, chłopcy, za mną!*

²⁵² *Jucht* – nieprzemakalna skóra na buty i do wyrobów rymarskich.

²⁵³ *Pigmej* – członek negroidalnego ludu Afryki Środkowej, charakteryzującego się m.in. niskim wzrostem; obraźliwie o człowieku niskiego wzrostu lub małodusznym.

²⁵⁴ *Gęstwina* – gęstwina, chaszczce.

²⁵⁵ *Landara* – ciężka, zwykle czteroosobowa karetka podróżna.

²⁵⁶ *Ślepcun* – ślepiec.

²⁵⁷ *Osełdec* – kosmyk włosów na czubku ogolonej głowy, noszony dawniej przez Kozaków zaporskich.

– Tss! A dobrze, droga niezmylona. Ale... czy mi się zdaje... – Tu przypadł do ziemi. – Niech czort porwie! Tam już ktoś jest. To ten klecha nasprowadzał hołotę!... No, wybaczajcie! – rzekł zwracając się do Muchy. – Myślałem, że sami będziecie, ale ten pohaniec zawsze mi w drogę wlezie! Ta nie poradzić już: chodźcie tędy!

Niewiele można było zrozumieć z tych słów kobzarza, toż wszyscy szli w milczeniu, a wkrótce otucha wstąpiła w ich serca, bo wyraźnie usłyszeli głosy ludzkie i zaleciał ich nawet dym, snać z ogniska, i niezadługo przerzedzony las odkrył oku niewielkie jezioro na równinie, której trzy strony okalał las swą gąszczą, a czwartą zamykały niewielkie przyskałki²⁵⁸ ostro ciosane u góry.

Dolina roiała się tłumem ludzi, przeważnie włościan, którzy z całym swym mieniem szukali tu schronienia przed zajądłą dziczą.

Niespodziewane zjawienie się zbrojnych ludzi przeraziło zgromadzonych: co żyło, jęło z krzykiem uciekać ku jeziorowi, inni padali na kolana, wznosząc błagalnie ręce, wkrótce jednak obaczyli swą omyłkę i poznawszy kobzarza, witali przybyszów jako swych zbawców.

– Wraże dzieci! A kto was tu przyprowadził? Pewnie ten...

– On, on! Święty człowiek, nie chciał zaguby dusz chrześcijańskich – ozwały się liczne głosy z tłumu.

Wyrwydub zwrócił się do Muchy.

– Ta trzoda i diabła świętym nazwie, jeśli ją tylko od wilków ochroni. A wam by bolączka i druga jeszcze! – rzekł, zwracając się do włościan. – To już i łaćniński dobry?...

– Niech tam Bóg rozbiera, kto grzesznie wierzy... Nam, aby dobry człowiek... – rzekł ktoś z tłumu.

– *Howory!*²⁵⁹ Znamy się na was. Ale *hodi* już! Gdzież ten skwarek łaćniński czy święty, jak go tam nazywacie?...

– Nie gniewalibyście Boga, dziadu...

– Poszedł jeszcze innych sprowadzić tu, w ukrycie.

– Poszedł?! *Pohano!* Już nam tu, bracie, miejsca nie zagrzewać – rzekł, zwracając się do Muchy. – Przeklęty klecha sprowadzi tu Tatarów: po tropie

²⁵⁸ *Przyskałek* – uskok, złom.

²⁵⁹ *Gadaj zdrów!*

dojdą trzody, a wtedy dawaj na poddzwonne²⁶⁰, jeśli tylko znajdziesz cerkiew i dzwonnika! Zostawmyż tych tutaj, niechaj wierzą w łaćńską siłę, a sami tędy, na skały! Przynajmniej najpóźniej zginiemy i wyprawimy jaki dziesiątek psów do piekła.

Na dany znak orszak ruszył na prawą stronę jeziora pomiędzy przyskałki. Pomyślano o ufortyfikowaniu się i co się dało zrobić – zrobiono dobrze i szybko. Mucha nauczał, jak i co należy robić, Wyrwydub robił swoje uwagi, kończąc niezbyt pocieszającym zapewnieniem, że wszystko to na nic się nie przyda, bo Tatar spod ziemi dostać potrafi, a takie skały zwykł koniem przeskakiwać...

Spomiędzy skał widać było całą dolinę i trwożnych jej gości, poza tym oko gubiło się w ciemni lasu – nad głowami miałeś jasnego nieba tyle, ile go potrzeba, by spojrzeć, polecając swą duszę w skonaniu. Smutnie było wokoło.

Że też to nikt jeszcze nie widział wesela w przedgodzinie nieuniknionej zguby!

Podsypano świeży proch na panewki, spróbowano szabel; spisy wetknięte w ziemi koło osiodłanych rumaków, dwa garłacze²⁶¹ wsparte o skałę otwały szerokie paszcze, gotowe plunąć garścią grankulek; Kozacy legli koło sakiew z żywnością: posilają się na drogę – do wieczności!...

Ci modlą się, płacząc, inni zapadli w zadumę. Między ostatnimi była Hania.

Patrzyła na dolinę i serce jej ścisnęło przecucie – obawa.

– To musimy zginąć, ojcze? – rzekła z cicha do księdza.

– Boża w tym wola, córko moja! Módl się.

– Umrzeć..., nie żyć... A tak bym żyć chciała.

– Będziecie żyć, pani! Klnę się wam na niebo!

– Odwaga zdobi młodzieńca – zauważył ksiądz – ale jakże ustoimy przeważającej sile?...

– Nie osłabiaj tej wiary, ojcze! Mów, Iwanku! mów, że nie zginiemy, że obaczymy jeszcze nasze stopy...

– Obaczymy, jasna panno! I będziecie szczęśliwi...

Hania spojrzała na mówiącego, łzy ukazały się w jej oczach.

²⁶⁰ *Poddzwonne* (*podzwonne*) – opłata za dzwonienie po umarłym w dzwony kościelne lub cerkiewne.

²⁶¹ *Garłacz* (*gardłacz*) – strzelba z lufą rozszerzoną u wylotu.

– Przypomniałam sobie ów kwiatek: iluż to jak on pozostanie samotnych!... Ale Bóg jest w niebie. Prawda, ojcze? On nie rozłączy tych, którzy żyją dla siebie, on nie chce zguby niewinnych – naszej zguby...

– Bóg sprawiedliwy. Módl się, moje dziecko.

– Spójrz no, Mucho, przed siebie – rzekł kobzarz – chwieją się drzew wierzchołki?

Mucha spojrzął i po chwili ze zdziwieniem wpatrzył się w oczne jamy kobzarza.

– Czyś się z diabłem związał? Chwieją się.

– Lepiej widzi ucho aniżeli oko! Skoro się chwieją, to klecha wie dzie nową trzodę; a gdy ją wilk dopatrzył, to nie zdrzemnie się jeszcze pijany, a już Tatar będzie w jeziorze kąpał hołotę.

– Niech cię diabli porwą z twoją wróżbą.

– Na każdego przyjdzie swoja godzina. Nam już nie straszno, ale młodych szkoda! Panna ładna, a Kozak – topola!... Hm, szkoda, że to wszystko pójdzie pod nóż tatarski: w jasyr niechętnie biorą, bo idą w głąb dopiero...

– A nie mówiłem?

Jakoż w rzeczy samej, w tej chwili dał się słyszeć w powietrzu szum niezwykły: niewyraźne z początku głosy powoli przeobraziły się w ucinane wyrazy, wykrzykniki. Las chwiał się coraz bardziej, łamane gałęzie trzeszczały i z szumem a wykrzyknieniami łącząc się, tworzyły straszny jakiś głos – jakby zbliżanie się wielkiej, stanowczej godziny!... Ryk pędzonego bydła dodawał okropności tej chwili. Niedługo szum ten niewyraźny zginął w jednym olbrzymim jęku – wykrzyku rozpaczy, od którego wszyscy struchleli, a znajdujące się w dolinie tysiące, jakby na dany znak, z płaczem upadły na kolana.

Okropny to obraz rozpaczy, gdy jękiem tysięcy płynie w głuche nieba! Ale nad pomyślenie straszny był, gdy go dopełniły z rozdzierającym krzykiem wybiegające z lasu tłumy: tu matka rzucała swe dziecko, kochanek odbiegał kochanki – pękły wszelkie węzły! Każdy chciał schronienia – wszyscy widzieli straszną śmierć przed sobą! I przybyli upadli na kolana, swój jęk łącząc z tamtych wołaniem... A w powietrzu słyszałeś nowy szum, inny, straszniejszy nad ten okrzyk: to szła śmierć – Tatar wytropił chroniących się i pędził za nimi.

Na czele tłumu szedł pustelnik w ubiorze świętego Franciszka; w bladym jego licu i palącym się oku może Bóg dostrzegł wyrzut sumienia, iż chcąc uratować wszystkich – wszystkich o zgubę przyprawił...

Z krzyżem w ręku stał pomiędzy klęczącymi i głosem dźwięcznym, jak trąba archanioła, odmawiał modlitwy za konających.

– Nawarzył piwa – mruknął kobzarz – ale módlmy się, bracie, bo to święty człowiek, a nasza godzina bliska.

I sędziwy starzec padł na kolana, bijąc się w piersi. Klęczeli i inni: tysiące znikły w jednej modlitwie. Kto takiej nie słucha – nie słyszy żadnej!

I był moment ciszy, od której groźnie musiało być aniołom, ale zniszczenia nic nie zastrasza – Tatar trwogi nie zna – okropny ich okrzyk „Ałlah!” raz jeszcze zmieszał się z ostatnim krzykiem tłumu i wkrótce rzeki krwi niewinnej zalały dolinę.

Szczęśliwy, kto nie pojmuje, jak straszną jest podobna chwila. Taka śmierć wszelkie winy maże i jest najbłagalniejszą ofiarą na ołtarzu bóstwa, któremu i takiej modlitwy potrzeba?!

Ukryci, pół żywi, przypatrywali się tej strasznej scenie jękiem takiej siły, że z piersi wyjść nie mógł, wtórzając ostatnim chrapaniom konających w okropnej męczarni.

Dzika tłuszczka wysilała się nad wynalezieniem rodzaju mąk dla niewinnych bezbronnych.

Szereg męczenników rozpoczął pustelnik: na pal wbity, odarty ze skóry, trzymał jeszcze ponad głowami męczonych krzyż Zbawiciela, a usta ruszały się: mówił z Bogiem – błagał czy wyrzekał?...

Jest w duszach wielkich dziwna siła, o której niemiecki filozof niewiele umie powiedzieć, co ma swe przejawy nad nasze pojęcie.

Dośpiewajcie w duszy waszej hymn tajemny! Ja trącam strunę – niech za-grzmi akordem ponad nieba!

Nikt nie wyrzekł słowa, nikt znaku nie dał, a trzydziestu ludzi dosiadło koni – trzydzieści szabel błysnęło w powietrzu, tyleż piersi huknęło: „*Sława Bohu!*”²⁶² i Kozacy wpadli na w krwi broczących morderców.

A wielką musiała być siła ducha bohaterów i straszną ich odwaga, gdy setki w jednej chwili beładnie pierzchły: tych trzydziestu było jak tysięcy tyle, z nieba spadłych na ratunek mordowanym. Ale strasznym zemsty aniołem zdał się być Tatarom stoletni kobzarz: długi miecz jego siał śmierć wokoło, w jamach ocznych spoczywała straszna siła zaguby – jak wód wylewy, co płynąc poważnie w jednej

²⁶² *W imię Boże.*

chwili niszczą całe zagrody; biały włos, który wiatr rozsiewał na wsze strony, czynił go w umyśle Tatarów tym podobniejszym do mieszkańca zaświata. Okropny był popłoch, bo i odwaga nie miała!

Niejeden padł od miecza, niejeden od kuli zginął, ale na setki policzyłybyś trupa: strwożeni sami siebie gubili, wpadając jedni na drugich, by po trupie brata wynieść własne życie – wielu znalazło śmierć w jeziorze.

Lecz chwila, w której nastąpiło opamiętanie się, była chwilą zguby bohaterów.

Własnym orężem wlał ducha w uciekających naczelnik Tatarów, brat krymskiego chana Giraj²⁶³ – i jak zniszczenia wysłaniec leciał z krzywą szablą na spotkanie wroga.

– Nikczemi tchórze! Przed kim uciekacie? – zawołał.

W jednej chwili chmura strzał okryła bohaterów: bujne głowy kozackie pochylały się z konia, i niejeden przypadł do ziemi matki, by nie powstać więcej. Zachwiał się i Wyrwydub... Miał czas powiedzieć Sobkowi: „Jaskinia na prawo... Uciekajcie!” – westchnął i skonał.

– Na prawo! – krzyknął Mucha, targnąwszy Iwanka za wylot od kontusza.

Odcięty szablą kawał sukna pozostał w jego ręku. Kozak błyskawicą poleciał – na lewo!

Szabla mu pękła na karkach pohańskich, ale dopadł skały. Hania z dzikim okrzykiem rzuciła mu się na szyję...

Tatarzy z Girajem na czele wpadli w ślad za młodym bohaterem.

Potężnym bywa człowiek w podobnej chwili – nieczłowiek, ponad człowieka!

Na piersiach mu leżała zemdlona kochanka – Kozak był bezbronnym, ale piorun miał w oku i drugi piorun w głosie:

– Precz! – wykrzyknął, aż jęły skały i wróg stanął w oniemiaeniu. – Precz stąd!

I w tej chwili ręka jego mimo woli padła na pas, za którym był jatagan. Sekunda – ostry nóż z gwizdem rozpruł powietrze i zagrzął w turbanie Giraja.

– Giaur!²⁶⁴ – wrzasnęły dzikie głosy i kawał ołowiu powalił Kozaka.

Dwa trupy padły we wzajemnym uścisku.

– Giaur zręczny! – mruknął Giraj, zmierzwszy przestrzeń rzutu noża. Żyje...
Mieć o nim staranie! –

²⁶³ *Giraj* – właśc. Girej, imię chanów krymskich z dynastii Girejów.

²⁶⁴ *Giaur* – obelżywa nazwa nadawana innowiercom, szczególnie chrześcijanom, przez mahometan.

W tej chwili wzrok jego padł na dziewicę. Długo w nią wpatrywał się Giraj, potem rzekł, zwracając się do stojącego obok Tatara:

– Ali, dobry mamy połów: takiej huryski²⁶⁵ nie ma Mahomet w raju!

Słowa młodego Tatara przerwał działowy wystrzał i okrzyk trwogi.

VII.

Długo spał Kozak. A niewiele brakło, by sokole oko wyjadł brzydki robak, a serce kozackie w proch się rozsypało.

Ołowiem ciężyły mu powieki, piersiom ciężko było odetchnąć, w członkach władzy nie miał; ale przyszła pora powrotu do życia dla życia – cierpienia... nie dali spoczynku wojownikowi. Wstawaj, szczęśliwcze! wesołą ci dolę wysnuły życiowe prządki. Wstawaj, bo im cierpień potrzeba i w niebie wesele, gdy tu krew i łzy lejem.

Otworzył oczy, westchnął; przytomność wróciła.

– To wy, Sobku?

– Ja, ja, orle mój, sokole! – a łzy szczęścia zalewały twarz starą.

– Gdzie jestem?... Co się ze mną stało?

– W bezpiecznym miejscu. A co było, to *p e k jemu*²⁶⁶ i nie wspominać! Spij, bo jeszcze nie zdłużasz.

Oczy Kozaka zamknęły się same, ale myśl nie przestała pracować, odgrzebując wspomnienia popioły. Znalazła iskry – ogień się zajął i strzelił płomieniem! Kozak porwał się z posłania.

– A ona! – wykrzyknął – że aż w duszy jękło i Mucha zbladł i pochylił się na osłonie.

– Nie ma jej!... A ja tu!... Na koń! Śmierć wrogom! Oddajcie mi ją..., oddajcie!... – I zalał się łzami, spazmatycznie łkając.

Chwilowe wysilenie powaliło go znów o łożo i sen zwał powieki – chory usnął. Całą dobę spał Kozak, ani na chwilę nie przebudzając się, i tę dobę, jak i niejedną przed tym, nie odstępował go Mucha, drżąc z obawy, by nie przyszło

²⁶⁵ *Huryska* – według wierzeń mahometańskich – młoda i piękna dziewczyna będąca w raju nagrodą dla wiernych.

²⁶⁶ *Do diabła z tym.*

rozstać się na wieki z ukochanym chłopcem. Ale duch wstępował w starca, bo puls coraz to regularniej bił u sennego, oddech był swobodniejszy i trawiąca go dotychczas gorączka ustąpiła prawie zupełnie.

Jak dnia poprzedzającego obudził się Iwanko, wziął Muchę za rękę:

– Diad’ku! Wy się boicie, ażebym nie umarł. Nie umrę! Ale mi powiedzcie: gdzie ona? Czy tu, blisko? Czy może?... – I śmiertelna bladeść okryła twarz pyłającego. – Mówcież, bo ja muszę wiedzieć!... Ona żyje?!

– Żyje. Ale zachowaj się spokojnie, bo możesz nigdy jej nie widzieć.

– Gdzie ona?... – zapytał chory gorączkowie i podniósł się z pościeli.

Mucha siłą mocą położył go znowu.

– Otóż nie powiem, jeśli spokojnym nie będziesz. Kto to widział! Małom ja tu nocy nie spał, a ten mi jeszcze chce nowego kłopotu nabawić. Nie mów nic i napij się o tej juszki²⁶⁷ – to pomaga.

– Wy mi nie chcecie powiedzieć, a ja umrę bez niej!...

– No, no! Nie tak prędko! Czy bez niej, czy z nią umrzesz – to jeszcze obaczmy. A teraz leż mi spokojnie, bo znowu będziesz chyrlać²⁶⁸, a tu czas w drogę.

– Za nią?!... Sobku, powiedzcie: za nią i siodłajcie konia!

– Koń tak dobrze jak osiodłany i za nią potrzeba by nam jechać, ale pókiś chory – to nic z tego!

– Ja chory!... Kto wam to mówi?!... O, patrzcie!...

I podniósł się, ale brak sił powalił go na pościel.

– Pojedziemy za nią... Za nią... – mówił. – Ha, ha, ha! Ja zdrow jestem... Za nią... za nią... – i śmiał się, i płakał zarazem. – Dajcie mi sił, za nią mam jechać... obaczyć ją!... Sobku, konia! Ja zaraz wstaję... Za nią! Za nią!

– Leż mi spokojnie! Gdy ozdrowiejesz, wszystko ci powiem, a bez tego – nic.

– Diad’ku!... – Już cię zbiera oskoma²⁶⁹ rozpytywać?... Het²⁷⁰, pokuso! Powiedziałem: ani słowa! I ot, żeby cię język nie świerzbiał. *Nadobranicz, mołojcze!*²⁷¹ Wyzdrowiejesz – dowiesz się, a nie – to zabij, nie powiem!

To mówiąc, wyszedł ze świetlicy.

²⁶⁷ *Juszka* – zupa, wywar.

²⁶⁸ *Chyrlać (cherlać)* – być słabym, podupadać na zdrowiu.

²⁶⁹ *Oskoma* – apetyt na coś, chęć.

²⁷⁰ *Het* – precz!, odejdz!

²⁷¹ *Dobranoc, Kozacze.*

– Diad’ku! – krzyknął Kozak za wychodzącym, ale stary spojrział tylko, ruszył ramionami i zamknął drzwi za sobą. – Dlaczego on mi powiedzieć nie chce, gdy ja zdrow jestem... i niech by mi tylko podali konia..., pojechałbym... obaczyć ją! Usłyszeć od niej słowo!... Ach, sił nie mam, by powstać... Będę to pił... Muszę, muszę być zdrowym!

A silna wola czego nie dokaże? I gdzie lekarz nad żądzę obaczenia duszę naszej duszy?

Nie dniami, ale godzinami wracał Kozak do zdrowia: rana od kuli w piersi prawie już zgojona, na czole został szram od pocałunku szablicy tatarskiej – znak, że czołem stawał w boju!

– Już zdrow jestem... Mówcież mi, diad’ku!

Ale Mucha był nieubłagany.

– Nie pora! Jeszcze nie zdłużasz. Gdy będzie czas, sam powiem.

– Wy mnie w grób chcecie położyć! Gdzie ona?...

Mucha milczał, ale drżał wewnętrzną trwogą: on będzie musiał mu powiedzieć.

– Sobku! Jeszcze mi pamiętne, co wam winien jestem... Chcecie mojej męki – trzy dni czekam. Lecz się klnę na duszę, że gdy mi nie powiecie – sam się dowiem! Ale nie widzieć wam już tego, który was kochał jak ojca!

Stary porwał go w drżące ramiona i tulił ze łzami.

– A ty myślisz, niedobry chłopcze, że ja nie kocham ciebie? To ja może nie twego dobra pragnę, nie za twoim szczęściem ubijam się?...

– Nie ma mi szczęścia bez niej...

Mucha zbladł na te słowa; wypuścił Kozaka z objęć.

– Za trzy dni powiem ci, i zrobisz jak zechcesz.

Rozeszli się.

Trzy dni upłynęły Kozakom na dumaniu: Iwan myślał o jednym: obaczyć ją..., przemówić... Sobko miał głowę zaprzątniętą: walczył, łamał się z samym sobą, kłął i modlił się zarazem, aż wreszcie trzeciego dnia nocą postanowił.

– *Hrich na moju duszu!*²⁷² Nie dopuszczę, by Kozak zmarniał i *ninaszczo zwiwsia!*²⁷³ Będzie, jak będzie, a ja swoje zrobię, choćbym miał... Nie! W nim jest krew kozacka, a diabłu duszę oddam, jeśli na całym Zaporozu wynajdzie

²⁷² *Grzech na mą duszę!*

²⁷³ *Zatracił się zupełnie.*

chwata jak mój sokół jasny! Skończono! Ot, i świta już. Niech tam sobie w niebie jak chcą mówią, a ja po swojemu zrobię!

Porwał się z posłania i wyjrzał okienkiem.

– Krew – kipiątek²⁷⁴ u tego chłopca! On już konia siodła.

*Sidlaj, sidlaj Kozaczeńku, konia woronoho,
Pojdemo w Zaporozże...*²⁷⁵

– Zdorow, Kozacze!²⁷⁶ A nie osiodłałeś tam i mojej szkapy, to zaraz byśmy pojechali?...

– Którędy?

– Ba, w tym sztuka, ale *skazano*²⁷⁷: trzy dni! – masz tu, co miałem ci powiedzieć. Lecz wyjdźmy z chaty. Na dworze raźniej pójdzie opowieść.

– Ho, jakież kraśny²⁷⁸ ranek! Żeby trochę młodsze oczy, obaczyłbym Zaporozże. Ty nie widzisz, Iwanku?

– Mówcie!...

– *Kazdomu swoje na hadci!*²⁷⁹ Dobrze, słuchajże mnie, Kozacze.

I odchrząknął, a oczy odwrócił, gdy mówił, bojąc się spotkać ze wzrokiem Iwanka. Na próżno! Młody Kozak patrzył w ziemię, a serce biło mu w piersi, gotowe przyjąć wieść straszną. Mucha rozpoczął:

– Jakem się to z kawałkiem twego wylotu²⁸⁰ dostał między Tatarami, tak mi było przez chwilę, żem kłął *we wszystkich did'ków...*²⁸¹, ale mi szepnęło coś, że Tatar pomyśli, żem się go uląkł, a to za wielki wstyd dla starego Muchy, który im nieraz sadła zalewał za skórę... No i ciebie mi żal trochę było! Puściłem szablę od lewego, a spisą zagarnąłem z parę bród pohańskich i jakoś mię czort pożałował, że wleciałem między skały: Tatarów tam było już kilku, a jeden to cię już macnął był kulką... , ale jej nie wydychał, przekłęty! Plunałem im w ślepie z pistoletu, szabla swoje zrobiła... , dopadłem do miejsca, gdzie leżałeś, chwyciłem na koń i hajda

²⁷⁴ *Kipiątek* – wrzątek, ukrop.

²⁷⁵ *Siodlaj, siodlaj, Kozaczyno, konia karego,
Pojedziemyna Zaporozże...*

²⁷⁶ *Witaj, Kozaku!*

²⁷⁷ *Jak rzekłem.*

²⁷⁸ *Kraśny* – piękny.

²⁷⁹ *Już nie będę ukrywał.*

²⁸⁰ *Wylot* – rękaw kontusza.

²⁸¹ *Do wszystkich diabłów.*

ze skały! Aż Tatarom pyski się rozwarły, że zapomnieli dać strzału. Pamiętałem słowa Wyrwyduba: „*Zemlab jomu perom!*”²⁸², wpadłem do pieczary i *buwajte zdorowi!*²⁸³ – ślad zaginał po mnie. Prawda, szelma jakiś opamiętał się i urwał mi kulą kawał *osełedcia*, gdy już wbiegałem do dziury, ale nie gonili. Czort ich wie dlaczego! Choć i złapać mnie była sztuka nie lada: w pieczarze jak w lesie, a jakem wpadł w burzany²⁸⁴ między błota, to i sam diabeł kopyt tam nie stawiał, gdzieśmy z gniadym²⁸⁵ zabiegli.

Opatrzyłem się, że pogoni nie ma: zląłem z konia, przemyłem rany wodą... Potem znalazł się i dobry człowiek, co pomagał i zioła raił...²⁸⁶

Ze dwa dni jeszcze tak było straszno, a później Tatar poszedł do diabła... Zanieśliśmy cię, ot, do tej pustej chaty jakiegoś pobereźnika²⁸⁷, co teraz gdzieś pewnie w niebie lasów pilnuje, i tu przyszedłeś do siebie. A teraz wiesz już co i jak.

Kozak spojrzał mu w oczy wymownie.

Mucha pokręcił wąż i trudno mu było mówić dalej.

– Nie mówicie?... Ona!... – I śmiertelna bladeść okryła twarz Kozaka.

– Któż bo tak bierze do serca... przecie...

– Mówcie! Nie męczcie mnie!...

– To i powiem... Czemu by nie powiedzieć?...

– Coż?... Coż?... – gorączkowo pytał Iwanko.

– A, nic! Zapłaciłem kilka czerwonych..., posłałem na wszystkie strony...

Powrócił Żyd i...

– Co? Co mówi?...

– Tylko się nie trwóż!... Złego niewiele... Ot, zabrali ją ze sobą Tatarzy...

– W jasyrze! – jęknął Kozak i pochylił się jak kosą podciętą trzcina. Po chwili zalał się łzami. – Czemu żeście jej nie obronili?... – wyjąknął.

– Ba! Obronić... Jakby to ręką można było, jak się robi językiem – obroniłbym...

– Po cóż mnie było ratować!... W jasyrze..., w jasyrze... – jęczał Kozak.

²⁸² *Niech mu ziemia lekką będzie.*

²⁸³ *Bywajcie zdrowi.*

²⁸⁴ *Burzan* – zarośla, chwasty.

²⁸⁵ *Gniady* – koń maści kasztanowej.

²⁸⁶ *Raić* – tu: przygotowywać.

²⁸⁷ *Pobereźnik* – strażnik leśny.

– A, ba, jeszcze czego! – rzekł Mucha. – Kozak u mnie więcej waży jak wszystkie baby...

Iwan porwał się i dziki wzrok utkwiwszy w Sobka, zawołał:

– A mówisz, że mnie kochasz!... Przekłete to kochanie, gdy nie ceni, co wszystkim dla drugiego!...

– *Ot, i spliw nisenitnyciu!*²⁸⁸ A któż ci powiedział, że ona mnie nie obchodzi?... A mogę ja i o niej pomyślać?...

– Co! Można ja uratować!?!...

– A może i można...

– Mówcie! Ja duszę oddam... Nie, nie!... Ona w jasyrze..., w haremie! – I zgrzytnął zębami, a ręka padła na rękojeść szabli. – Śmierć im! Wynajdę ją! Uratuję!

– O tak, mołojcze! Tak, mój sokole! Hajda²⁸⁹ na Zaporozie! Tam chwatów jak piasku w morzu, a każdego jak do tańca ochoczy do bitki z Tatarami. Dalej do nich! A gdy będzie trzeba, to wszystkie haremy splądrujemy i dostaniem ją.

– Dostaniem! – wykrzyknął Kozak. – Do Krymu! Do Krymu! Śmierć Tatarom!

Mucha trząśił się ze szczęścia, patrząc na pełną wojennego zapału postać Kozaka. Za kilka minut koń był osiodłany. Iwan spał karego ostrogami i ruszyli.

Strzałą mknęli Kozacy. Iwan topił ostrogi w bokach karego, bo mu spieszo – o, spieszo! Mucha kręcił długie wąsy i patrzył radośnie na towarzysza. Niekiedy jednak chmura zasępiła mu czoło, lecz się jej pozbywał prędko.

– Stało się! – burknął i wkrótce znikli oba, prostując drogę na południe.

A droga była niezupełnie bezpieczna. Tatar gospodarował w kraju, sznurkując²⁹⁰ oddziałami, czy nie wytropi jakiej zdobyczy. Naokoło miało tylko zgłiszcza, a nigdzie żywego ducha; musieli Kozacy niejedną godzinę przesiedzieć w parowie albo oczeretach; nieraz wypadło ułożyć konie, spętawszy, okryć ich burzanem i gałęziami, a samym między liśćmi drzewa oczekiwać chwili przejścia Tatarów; o głodzie i niewygodzie choć nie wspominać: było tam tego i dwudziestu dzisiajszym! – aleś skargi nie słyszał, chyba Mucha niekiedy zaklął sierdżicie, z siebie biorąc miarę o cierpieniach towarzysza. Lecz czy Iwanowi myśleć o trudach i gło-

²⁸⁸ *Ot, i niedorzeczność wymyślił...*

²⁸⁹ *Hajda – dalej!, naprzód!*

²⁹⁰ *Szurkować – myszkować, penetrować, jeździ tu i tam.*

dzie, gdy on jedno tylko ma na myśli: wyratować ją lub zginąć!? Gdyby sto razy i za nią – zginę! Tak myślał Kozak i zginąłby pewnie. Bez niej życia nie ma! Dla niej zginąć – dziś, dziś jeszcze!

Dziw-że, iż nie czuł głodu i zmęczenia?

Już słońce raz piąty wyjrzało hen gdzieś spoza lasu i tyleż razy Tatar zwracał twarz na wschód, krzepiąc swą wiarę w przeznaczenie, która go nieuleknionym czyniła, gdy Mucha i Iwan dostrzegli w oddali spisy wystające ponad tabor kozaczy. W ich piersi wstąpiła otucha, konie radosnym rzeniem odpowiedziały na powitanie towarzyszków.

Dobiegli taboru.

– Na Tatara?

– A tak.

– I my z wami.

– Dobrze!

I za godzin kilka już szabla Iwanka pławiła się w posoce tatarskiej.

Straszną była odwaga Kozaka! Zdawało się, że śmierci dlań nie ma, bo przodem siebie ją wysyłał, osadziwszy na ostrzu szabli.

Rozbito Tatarów, bogaty łup wpadł w ręce chrobrego kozactwa, wszyscy weselą się, radują – Iwan smutny: Tatar niewolnika nie miał – nie znalazł jej Kozak!...

– Dalej, Sobku! Muszę ją wynaleźć.

Kto wysłowi szczęście starego Kozaka!

– Dobrze, sokole! Hajda za Tatarem!

I znikli w stepowej trawie. Już są u siebie, już ich wróg nie straszy: niczym on w stepie dla Kozaka!

I nowych spotkali młodźców, i jeszcze krwi bisurmańskiej pociekło niemało...

Niemało łupów wpadło w ręce kozacze, niemało w jasyr pędzonych błogosławi rycerzy, dziękując za wolność. Z iskrzącym okiem a twarzą bladą Iwan pierwszy wpada między niewolników:

– Nie ma jej! Nie ma! Dalej, dalej!

Niejednemu z wziętych Tatarów dawał Kozak wszystko swe złoto, obiecywał wolność za bynajmniejszą wskazówkę, gdzie ona. Tatar kłął w Boga i proroka, że nie wie, że za wolność i złoto nie powie mu – jak chyba, iż tysiące dziewic widział gnanych do jasyru, a nie wie, czy między nimi była ona...

Biedne, biedne serce!

Olśnieni dzielnością młodego Kozaka towarzysze, błagają, by został z nimi; wyrzucili czapkami w górę:

– Atamań²⁹¹ nam, mołodcze!

– Panowie bracia! Obierzcie godniejszego, jam młody!... Nie mogę... Mnie inna droga. Nie przyjął godności. Mucha trochę burczał, bo należało uszanować towarzystwo, ale miał z chłopca, co mieć pragnął: bohatera Kozaka i nie sprzeciwiał się jego chęćce wojowania. Dalej, dalej!

Oto zamku wieże odbijają się na nieboskłonie; tam rodzinna wioska..., ojciec..., matka – umierająca może... Jedź do nich, Kozacze! Pociesz ich stare lata... Nie! Nie! Tam jej nie ma..., ja muszę ją wyratować! Dalej! Na Zaporozie!

I płyną morzem zieleni; tylko kraśne wierzchy kołpaków²⁹² kiedy niekiedy migną i jaskrawe słońce przegląda się w ostrzu spisy kozackiej. Coraz bliżej, bliżej... Oto sina wstęga rozrzucona na kobiercu zieleni; orzeźwiający chłodem zawiewa stamtąd i jakieś głosy słyszysz nieznane, i nieznane uczucie do piersi ci wstępuje: to Dniepr. A na to imię któreż serce słowiańskie nie zadrży radośnie? Dunaj i Dniepr – dwaj synowie jednej matki Sławy²⁹³. Gdybyśmy nic nie mieli, tylko dwie te rzeki – już i dość, by z dumą w górę nam patrzeć! O, skarby mamy nieocenione wkoło, tylko je poznajmy! Tylko umiujmy sercem całym!...

Nocą już dojechali Kozacy do samotnego kurenia wśród stepu. Tu wypoczynek.

Zsiedli z koni i trzymając je za uzdy, zbliżyli się do ziemianki.

– *Puhu!*²⁹⁴ – huknął Mucha w otwór, który był drzwiami, oknem i kominem kurenia.

– *Puhu!* – odpowiedział mu głos z wnętrza.

– *Kozaky z luhu!* – rzekł znowu Mucha.

Po tych słowach wybiegł z kurenia chłopak, wziął z rąk ich konie i Kozacy weszli do wnętrza.

Nieco opodal od ogniska, przy kotle kaszy i drugim pełnym sywuchy²⁹⁵, siedziało kilkunastu Kozaków; wąsate ich osmolone oblicza, golone łby przy zostawieniu nad uchem oseledcia, który jak wąż obwijał się koło ucha lub spływał

²⁹¹ *Atamanić* – być atamanem, przywódcą Kozaków.

²⁹² *Kołpak* – wysoka, spiczasto zakończona czapka.

²⁹³ *Sława* – Słowiańszczyzna.

²⁹⁴ *Puhu...* *Kozak z luhu* – zwyczajowe przywitanie Kozaków zaporoskich.

²⁹⁵ *Sywucha (siwucha)* – wódka gorszego gatunku.

swobodnie, niekiedy do misy i czarki kozaczej zaglądając; odzież prawie zawsze droga, a umyślnie zwalana dziegiem i w najfantastyczniejszy sposób porwana... Te wkoło ściany czarne od dymu, broń wszędy, a żadnego sprzętu, nic prócz kotła, co by świadczyło, że tu żyją ludzie ciała, niemogący żyć duchem. Wszystko to, oświecone połyskami ognia i iskrami trzeszczących głowni, formowało obraz tak oryginalny, a pełny piekielnego majestatu, że nie znalazłoby się wielu, którym by on nie zaimponował. Do tego dodać wypada, że panującą w kurenium ciszę nic nie przerywało – jak chyba stuk łyżek i trzask ognia.

Iwan pierwszy raz był w kozaczym kurenium i uczył się być jakoś maluczkiem wobec tego, co go otaczało; była nawet chwila, że zapomniał, co go sprowadziło w to miejsce, które rzeczywistością przeszło wszelkie jego, wywoływane niekiedy fantazją obrazy kozaczego życia.

Mucha raz pierwszy od lat wielu westchnął pełną piersią, znalazłszy się w swym żywiole, a świadom zwyczaju, nic nie mówiąc, usiadł koło Kozaków, którzy rozsunęli się, by przybyłym dać miejsce; wydostał łyżkę zza cholewy i począł zajadać gęsto osypaną skwarkami smaczną kaszę, kiedy niekiedy zapijając ją czarką s y w u c h y. Iwan czynił jak stary jego towarzysz, a nawet za cholewą znalazł łyżkę, którą mu przezorny Mucha wetknął był, gdy się zbliżali do Zaporoża.

Nowo przybyli, zda się, wcale nie interesowali Kozaków, którzy najspokojniej jedli swą strawę, zapijając czarkami siwuchy. Po wieczerzy dopiero, gdy łyżki znalazły się na dawnym miejscu, za cholewą, wszczęto *rozhowor*²⁹⁶.

Pytania i odpowiedzi szły porządkiem, bo u Kozaków był zwyczaj wysłuchać mówiącego i po namyśle dopiero odpowiedzieć mu lub zadać pytanie; i stąd tak mało czasu tracili oni na gawędę, o ile że go wojskowe sprawy zabierały im niemal w całości.

Po wysłuchaniu opowieści Muchy Kozacy, okrywając się dymem ze swych lulek, czas niejaki milczeli, rozważając słowa starego Kozaka. A gdy ten im wyłożył, że nie od rzeczy byłoby teraz, gdy Tatar Ruś plądruje, wpaść mu do własnej chaty i luną pożarów zaświecić sułtanowi w oczy – słuchacze już i lulki zapomnieli w gębach, a tylko patrzyli to na mówiącego, to na siebie, a niekiedy i Iwana, który z boku baczył, jakie wrażenie wywrze na Kozaków mowa Muchy.

Dobre wrażenie wywarła, bo się uśmiechnęli Kozacy, szorstką ręką gładząc łby golone i sumiaste wąsy.

²⁹⁶ *Rozmowę.*

– A może by i prawda?... – ozwał się wreszcie jeden, zwracając się do towarzyszy.

– Taki tak! – odpowiedzieli tamci. – Chołoznie²⁹⁷ porwane, Żyd siwuchy borgować²⁹⁸ nie chce, a w kozackiej kieszeni wiatr jak na stepie wieje. Czemu by nie pogospodarzyć w Krymie?... *Zdorowby ty, sywyj hołube*²⁹⁹, żeś nam rozumną dumkę napędził do głowy. Taki prawda: siedzimy czort wie czego! Tatar tutaj – w domu tylko dukaty i krasawice w haremach, co już zatęskniły za wąsem kozackim... Czemu by nie pohulać mołojcom? Skoro świt jutro jedziemy z wami do kosza³⁰⁰, niech zwołują radę i hajda w goście do chana!³⁰¹

Mucha był szczęśliwym jak dawno. Iwan dumał – już by i nie mówić o czym. Nie takie to serce, by naraz dwie dumki hołubiło w sobie! Kiedy kochać – to raz i na wieki!

Wkrótce usnęli Kozacy, a każdy widział się w Krymie, wśród zasiek złota, otoczony krasawicami. Iwan także śnił o gościnie na półwyspie, widział zamki i pałace, krew, płomień i jęki; przebiegał ulice, komnaty, podziemia – nie było jej nigdzie! Rzucił mury miasta i wybiegł nad przepaść. Patrzy – w tej chwili znany głos wykrzyknął: „Ratuj!”. Na drugiej stronie ujrzał Kozak Tatarą, jak strzałą leciał, unosząc Hanię. Jednym susem przesadził przepaść i dognał uciekającego: szabla rozprawiła się z pohańcem, a ona padła w jego objęcia... Ocknął się. Trochę nieba, które widać było z kurenia, szarzało świtem.

– W drogę! – krzyknął i śpiący w momencie byli już na nogach.

– Daleko zajędzie, kto tak rano wstaje – rzekł jeden z Kozaków, wskazując Iwana.

– Nie każdemu bo tak pilno jak jemu – dodał półgłosem Mucha.

– Młody! Chciałby spróbować kozackiego tańca...

– Nie tak bardzo – rzekł na to Mucha. – Już i Tatar tańczył pod jego dudkę!...

A pod humańskim futorem³⁰² chciało go towarzystwo obrać swym watażką.

– O! – bąknęli Kozacy, z uszanowaniem patrząc na młodego Kozaka. – To z takim chwatem nie żal będzie zabawić się w Krymie.

²⁹⁷ *Chołoznie* – zimowe spodnie.

²⁹⁸ *Borgować* – dawać na kredyt.

²⁹⁹ *Daj ci Boże zdrowie, siwy gołębju.*

³⁰⁰ *Kosz* – kozacki obóz wojskowy.

³⁰¹ *Chan* – tytuł panującego w niektórych krajach Wschodu.

³⁰² *Humański futor* – osada pod Humanem, miastem w dawnym województwie braclawskim Rzeczypospolitej.

– *Choroszyj ptach woroham na strach*³⁰³ – rzekł któryś z Kozaków, poprawiając szablę.

Całą dobę jechali Kozacy. Na drugi dzień wsiedli na przewóz i wesoło duszy kozackiej: oni u siebie, pszczoły Ukrainy w swym ulu – Zaporozu. Minęli kramów i szwendającego się kozactwa pełne przedmieście i wkrótce wjechali w samo serce Zaporozża – byli w Siczy³⁰⁴.

Długim rzędem pokładły się kurenie; na środku stała drzewniana cerkiew Bohorodyci³⁰⁵ – jedyna, którą Kozak uważał za świętość nietykalną, bo nawet w Ławrze³⁰⁶ pozwalał sobie młodości³⁰⁷, ale w tej cerkwi był wzorem pobożności. Pomędzy koszami leżały harmaty³⁰⁸ przez nikogo niestrzeżone i w ogóle żadnej straży nie było nigdzie. Kozacy kupami chodzili albo siedzieli, rozmawiając lub też bawiąc się śpiewem i muzyką; gwar był wielki, ale nikt nie naruszał porządku, bo sroga kara za to czekała śmiałka.

Kozacy, z którymi przybyli Mucha i Iwan, byli Zaporozcami; toż nie dziwo, że za chwilę otoczyły ich setki towarzyszy, którym jęli oni opowiadać cel swego przybycia.

Doleli oliwy do ognia. W to i graj Kozakom! Sto garę³⁰⁹ wnet huknęło: „Hurrah”, za chwilę było ich już tysiąc; jeszcze się nie opatrzył, a tu już niecierpliwi zwołują kozactwo na radę.

Wielka salwa spotkała Muchę i Iwana, których niebo przysłało na ratunek kozactwu, bo już zleniwili – że choć groble nimi gacić³¹⁰ albo na panów posyłać do zamków... Na rękach wśród okrzyków zaniesiono ich na radę.

Na krzyki i szum przyleciał koszowy³¹¹; za nim pisarz z powagą wkroczył na plac obradny. Kozactwo wyhukiwa, aż drży ziemia i w chmurach niebezpieczno, mówcy gotują się z przemową. Odsapnął koszowy i z lekka pokłoniwszy się towarzystwu, przemówił:

³⁰³ *Dziarski ptak wrogom na strach.*

³⁰⁴ *Sicz* – Zaporozże, *Sicz Zaporoska.*

³⁰⁵ *Cerkiew Bohorodyci* – cerkiew Przenajświętszej Bogurodzicy przy klasztorze w miejscowości Międzygórze (ukr. Mieżyhirja) na Zaporozu.

³⁰⁶ *Ławra* – zapewne chodzi o Ławrę Kijowsko-Pieczerską.

³⁰⁷ *Młodość* – swawolenie.

³⁰⁸ *Harmata* – dawn. armata.

³⁰⁹ *Garło* – gardło.

³¹⁰ *Gacić* – uszczelniać, naprawiać.

³¹¹ *Koszowy* – ataman koszowy, dowódca kosza kozackiego.

– Kiedy wola i łaska, to może by i nie grzech było dowiedzieć się, o czym ma radzić sławne towarzystwo? Może by i słowo kozowego ta starszyny przydało się na co?... Więc jakże tam?

– A ot co – rzekł na to jeden z Kozaków – mołojcom chciałoby się pohulać, bo jeszcze tylko szabli Żyd w zastawie nie ma..., a to już i na duszę kozaczą zakarbował³¹². Tu przybyli czestni³¹³ towarzysze i sobie mówią, że czas by na Tatara, bo i tak kieszenie obrywa mu złoto. Ot, i radzić należy.

– A kto przybył? Bo jak czestni ludzie, to nie boją się głowy pokazać towarzystwu i kozowemu. Niechże wystąpią!

Za chwilę tłumy się rozstąpiły i przed kozowego wyszli Mucha z Iwanem. Mucha zabrał głos:

– *Czołom, sławne towarzystwo! Czołom, bat'ku atamane!*³¹⁴ Ot, ja i ten Kozak chorobry³¹⁵ przybujemy na sławne Zaporozie z Ukrainy – kiedy wiecie...

Ataman skinął jakby na potwierdzenie. Mucha mówił dalej:

– A na Ukrainie nie to, co gdzieś tam: są i ludzie, jest i dostatek, a jak kwitnącego maku hożych krasawic. I u Tatara dostatek, i u niego krasawic dowoli, ale mu, wrazemu synowi, zachciało się cudzego dobra. Zwlekło się ich, psów, chmura i poszli na Ukrainę: palą i niszczą, zabijają i biorą do jasyru, w Bożych domach konie tatarskie, ludzkie siedziby w płomieniach, ludzie w jasyrze, a krasawice w pohańbieniu...

W czasie tych słów kozowy i towarzystwo półwykrzyknikami wyrażali swe zdziwienie i oburzenie – co było w zwyczaju.

Mucha dalej mówił:

– My wroga nie żalowali i siebie nie szczędzili: połamaliśmy na nim spisy, wyszczerbili szable, wystrzelali proch i kule, ale *woroha ne podużaty*³¹⁶, i jużby nam chyba przepaść, a chrześcijańską duszę oddać pohańcom, gdyby za czterma morzami a sześcioma górami nie słyhać było o sławie zaporoskiej. I, ot, tu pokornie prosimy sławne towarzystwo i ciebie *bat'ku* atamanie dać nam *pidmohe*³¹⁷ i odnowić sławę kozaczą.

³¹² *Zakarbować* – zapisać na rachunek, do późniejszego oddania.

³¹³ *Czestny* – poważny, uczciwy.

³¹⁴ *Czołem, dzielni towarzysze! Czołem, ojczy atamanie!*

³¹⁵ *Chorobry* – dzielny, mężny.

³¹⁶ *Wroga nie przemogły.*

³¹⁷ *Pomoc.*

– Do Krymu! Na Tatarów! – huknęło tysiąc gwałtownych piersi i tysiące kołpaków wyleciało w górę na znak zbiorowej woli towarzystwa.

Koszowy tymczasem i starszyzna radzili. Jeszcze perejasławska³¹⁸ fala Dniepru nie połączyła się z kaniowską³¹⁹, wiatr stopami mógł nie przeleciać, a już okrzykiem: „hurah!” powitali Zaporozcy słowa koszowego i starszyny: „W dziewięć sotni ruszyć do Krymu”. „Hurah” brzmiało w powietrzu, aż drżała ziemia i Dniepr weselej przelewał swe fale. „Hurah!” odbijały poroży i wnet przystąpiono do losowania: komu iść do boju, a komu w Siczy pozostać, bo wszyscy chcieliby ruszyć na wroga.

Pokażże mi takich u siebie, cy w i l i z o w a n y Z a c h o d z i e!

Gdy młodzież ze drżeniem oczekiwała wyroku, komu ruszyć, a komu pozostać, siwe głowy tymczasem znalazły się na osobnym miejscu, przypatrując się młodzi i rozumnie obmyślając wyprawę; pomiędzy tymi był Mucha. Iwan w gronie młodych krasował się³²⁰ postawą i wyróżniał obliczem, w którym pozostały jeszcze te wszystkie znamiona uczuć, z jakimi dawno pożegnał się każdego z Zaporozców; oni znali jedno tylko – harc wojenny – i nic innego nie mogli mieć do nich przystępu.

– Żwawego Kozaka przywieźliście ze sobą, Mucho! Zapewne *pańska detyna*?...³²¹

– Ho, ho! – odrzekł stary, z dumą patrząc na Kozaka. – Niechby mi takiego pokazał między panami!... Kozak! Ani w nim żyłki innej – wszystkie szczerze kozackie.

– Ochotnik do wojaczki. Powróci z Krymu – minie Zaporozę...

– Nigdy! Wychowałem go dla Siczy i nie takie orły puszczać nam z ostrowów³²²; niech tu żyje na postrach wrogów Siczy.

– Kiedy tak – mówił dalej starszyzna – to czegoż i czekać! Dawaj twego orła, niech mu tu pokażem gniazdo i drogę do niego.

– Nie pochwalicie się lepszym – rzekł Mucha, mknąc w kupie mołojców, by wyszukać Iwana. Za kilka chwil stawił go przed starszyna.

³¹⁸ *Perejasław* – miasto w dawnym województwie kijowskim Rzeczypospolitej. Tu zawarto ugodę perejasławską włączającą ziemie ukraińskie do Rosji na mocy porozumienia Chmielnickiego z wysłannikiem cara Aleksandra (1654).

³¹⁹ *Kaniów* – miasto na Ukrainie w dawnym województwie kijowskim Rzeczypospolitej. Tu; aluzja do słynnej rzezi w Kaniowie podczas koliszczyny (1768).

³²⁰ *Krasować się* – wyróżniać się pozytywnie jakąś cechą.

³²¹ *Pańskie dziecko*.

³²² *Ostrów* – wyspa.

– *Zdorowo buw, mołodcze!*³²³

– *Czołom, panowie starszyczno!*³²⁴ – *odrzekł Iwan, lekko uchylając kołpak kozaczy.*

– Wola przystać do kosza?

– Wola.

– A nu, przeżegnaj się.

Iwan przeżegnał się trzy razy.

– *A skaży „Wiruju”...*³²⁵

I „Wierzę” odmówił.

– *Dobryj!*³²⁶ – rzekł starszyczna, zwracając się do swych towarzyszków, którzy w milczeniu skinęli poważnie głowami.

– A teraz by ci kozaczego chrztu zapróbować. *Wyderżyt’?*³²⁷ – zapytał, zwracając się do Muchy.

– Ano jakieżby z niego Kozak był inaczej. *Wyderżyt’.*

– No, to chodźmy.

I wkrótce całe towarzystwo ruszyło ku Dnieprowi.

Hej! Ległże bo *bat’ko* nasz długo ta szeroko na stepowej trawie i postępuje serdeczny na porohach, a jak tam plunie białą pianą, to aż w niebo lecą pryski i wiszą mokrą chmurą nad porohami! Już i stać tam w pobliżu motorosznie³²⁸ jakoś, a cóż dopiero wątlą łódką wpaść do paszczy rzek olbrzyma!...

Ryczał *Nenasyteć*³²⁹, jak wściekły pniąc się bałwanami, rozbijając twardą pierś granitów, że z hukiem tysiąca piorunów leciały po kamienistym łożu rzeki, gdzieś daleko kładąc się na piaski. Mowa człowieka ginie tam, nie znajdując dla się ucha, oko widzi jedno tylko przerażające duszę swym ogromem!... Potężnyś ty, *Sławutciu*³³⁰ nasz, święta rzeko nasza!

Gdy już obejrzał Iwan strasznego olbrzyma – poroh dneiprowy – i towarzystwo wróciło do miejsca, gdzie stały czajki kozacze, jeden ze starszyczny zapytał:

– A co, Kozacze?! Jest siła popłynąć?

– Jest! – odpowiedział Iwan i żwawo skoczywszy z konia, zbliżył się do czółna.

³²³ *Witaj, mołojcze.*

³²⁴ *Czołom, panowie starszyczno.*

³²⁵ *A odmów: Wierzę...*

³²⁶ *Nada się.*

³²⁷ *Wytrzyma?*

³²⁸ *Motorosznie* – strasznie.

³²⁹ *Nenasyteć* – nazwa jednego z porohów na Dnieprze.

³³⁰ *Sławuteć* – dawna nazwa Dniepru.

Gromkim *pomahajbih!*³³¹ przyjęli to zdecydowanie się młodego towarzysza Kozacy, którzy w znacznej liczbie zebrali się, by po raz tysięczny może obaczyć chrzest kozaczy.

Iwan wsiadł do łódki.

– *Perechrestys, mołojcze!*³³² – rzekł jeden ze starszyzny. – Kto wie, gdzie zapłyniesz!...

– Stój! – zawołał w tej chwili Mucha. – Dajcie mi czołno! Pokażę drogę młodemu! – i wskoczył do czajki.

Gromkie „hurah!” zatrzęsało ziemią. Mucha poważnie ukłonił się zebrany i skinął na Iwana.

– *Za mnoju, synu!*³³³

Czołna pomknęły lotem błyskawicy.

Już dojeżdżają... Stanęli nad przepaścią... Mucha podniósł wiosło do góry..., woda w kółko wzięta czajkę..., chwila – i znikli pod wodą!

Sto ócz wpatrzyły się w bałwany rzeczne, sto serc przestały bić na chwilę.

– Stary! – huknęli jak gdyby głos jeden, obaczywszy wynurzającą się z wody czajkę.

– Młody! Stojąc, stojąc, wypłynął! Hurah! – i cały tłum ruszył na spotkanie bohaterskiej pary: starca i młodziana.

Za minut kilka już w tryumfie nieśli Kozacy Muchę i Iwana; kołpaki mołojców leciały w górę, a tysięczne „hurah!” trzęsało ziemię.

– Wiele lat już, jak nikt tak chwacko nie wypłynął! Po Czajce – on pierwszy dopiero...

– Hurah! Nazwijmy go Czajką! Hurah, Czajka, hurah! – krzyknęli Kozacy.

W tej chwili dał się słyszeć wystrzał działowy, na który to znak wszyscy z pośpiechem ruszyli ku Siczy.

Na błoni, za koszami, stało w szeregu dziewięć sotni, które miały iść do Krymu; reszta kozactwa z koszowym i starszyzną trzymali się opodal; w pośrodku ojciec duchowny odmawiał pochodną modlitwę, którą gdy skończył, Kozacy przypadli do ziemi z pokłonem, całując ją *na proszczannie*³³⁴, i każdy grudkę jej

³³¹ *Boże dopomóż.*

³³² *Przeżegnaj się, mołojcze.*

³³³ *Za mną, synu.*

³³⁴ *Na pożegnanie.*

uwiązał obok krzyżyka u szyi, ażeby gdy przyjdzie lec na obcej ziemi, rodzinnej była choć odrobina – to już lekko będzie Kozakowi w mogile.

Haj, baj! Sokoły, sokoły! Czy dobrze wam w mogiłach?... Nie tęsknoź do macierzy, do Ukrainy beztałannej!...³³⁵ Spijcie, synowie swobody, woli kozaczej! Wśród nas nie byłoby wam miejsca!...

Pokłonili się z koni towarzystwu i starszyźnie i z okrzykiem „Hurah! Sława Bohu!” ruszyli z kopyta.

I smutno było w Siczy. *Siromaszna neńka*³³⁶ kozacza zasumowała się³³⁷ odjazdem jej sokołat. Polecili serdeczni. A gdzież im nieba jak to, rodzinne? Gdzie ziemi, co by ich jak własna kochała?... Znikli.

A czy widzicie łunę, co Czatyrdachu³³⁸ czoło oświeca i hen w Czarnym Morzu myje twarz płomienną? Słyszycie jęki, co płyną od Perekopu³³⁹ aż nad Słucz³⁴⁰, do uszu Tatarów zajętych mordem i grabieżą!... „Ałlah!” to jęk moich żon, to dzieci wołanie. Na brodę Mahometa! Kozak gospodarzy w Krymie!... Nazad do siebie! Rzucajmy giaurów, bo najstraszniejszy giaur – Kozak gospodarzy w dziedzinie³⁴¹ prawowiernych!

Oj, prawda, że gospodarzy, aż trawa zczerwieniała i w niebie duszno od ogni kozaczych! Z półwyspu zrobili piec: wsie i miasta to opałowe drzewo, a wypiekiem – Tatar brodaty. Straszny to piekarz Kozak zaporoski!

Od Perekopu, precz półwyspem, górą siedziby tatarskie – leje się krew ich, hula Kozak, aż pot śmiertelny oblewa sułtana, że na sto ryglów zamknął drzwi Carogrodu³⁴², by strasznych odwiedzin uniknąć. Chan krymski próżno stawił czoło, na głowę pobity uciekł na południe, a w pałacu wszystko gotowe do ucieczki.

Hulają Kozacy! Świetlica przestronna – bo step Krymu i nie ciemno w niej – jaśnie gorą³⁴³ wsie i miasta. Wesoło, że dusza kozacza rozplywa się w rozkoszy!

³³⁵ *Beztałanny* – nieszczęśliwy.

³³⁶ *Nieszczęsna matka*.

³³⁷ *Zasumować się* – zmartwić się, zasmucić się.

³³⁸ *Czatyrdah (Czatyrdah)* – masyw górski na Krymie, uwieczniony przez Mickiewicza w dwu z cyklu *Sonetów krymskich* (1826): *Czatyrdach* i *Widok gór ze stepów Kozłowa*.

³³⁹ *Perekop* – najdalej na północ położona miejscowość Krymu; brama wjazdowa wiodąca na Krym.

³⁴⁰ *Słucz* – rzeka dawniej uznawana w części biegu za zachodnią granicę historycznej Ukrainy.

³⁴¹ *Dziedzina* – tu: ziemia, ojczyzna.

³⁴² *Carogród* – w średniowieczu również tak nazywano Konstantynopol.

³⁴³ *Gorzeć* – palić się.

Na wozy swe wantaży³⁴⁴ kozactwo złoto, srebro i drogie makaty³⁴⁵; ci całe stadniny chana pędzą do taboru, tamci przy głowniach pożaru suszą krew wrażą, która ich zmoczyła, jeszcze inni z tatarskim kumysem³⁴⁶ zapoznają się, zającąc przy tym ćwiartki smacznej baraniny, a już mołojcy, młódź zaporoska – gdzieżby, jeśli nie w pałacach haremu?... Tam krasawic z całego świata – jest z czego wybrać! A każda niby się lęka, niby wierności strzeże, a pałającym okiem wabi Bożego Kozaka i z ufnością oddaje się pod opiekę. „Nie tacy to straszni są ci Zaporozce..., i próżno tylko obawiałyśmy się ich przybycia...” – tak mówiła niejedna odaliska³⁴⁷ i jakoś zapomniała o rajy prawowiernych, szkaradzie giaurów...

Z bladą twarzą a iskrzącym się okiem przechodzi Czajka złociste komnaty haremu. Woń róży i jaśminów rozlewa się w powietrzu, szmer fontann sennicę napędza..., niejedno serce bije gwałtownie na widok pięknego Kozaka – i lęk dziwny, i żądza płomienna... „Zbliża się..., przyjdzie...”. Nie! Iwan szybkim krokiem przebiegł komnaty. Wszystkie widział i załamał ręce: nie ma jej...

– Dalej! Śmierć wrogom! – wykrzyknął z dzikim zapałem i z szablą w górę wzniesioną wybiegł z pałacu. – Dalej, na Tatara!

– Hurah! Czajka. Na Tatara! Dalej!

I za chwil kilka tylko krew i ruiny pozostały za kozactwem, tylko westchnienie ziemi hurysk... Aż gdzieś w oddali błysła łuna i głuchy jęk przeleciał powietrzem: to Kozacy gdzie indziej gospodarzą!

I znów jak było: krew, płomienie, płacze... Znów marmury podłóg haremu stękały od kroków Czajki. Szukał, nie znajdował jej i nowym okrzykiem „na przód!” wiodł mołojców do nowego tańca, aż się wozy połamały od ciężaru złota i kozactwu zmierzył się jęk uciekającego Tatara. Zwrócili nazad lotne swe konie i wkrótce wielkie święto było na Zaporozu: *Sicz maty*³⁴⁸ witała swe sokoły.

Po krótkiej modlitwie przystąpiono do działów: było i kozactwu, było i do kasy, niemało też dostała Bohorodycia na korale... Potem nastąpiło wesele: kufy³⁴⁹ siwuchy stały pod gołym niebem; obok kotły z kaszą, ryba i suchary; kto chciał

³⁴⁴ *Wantażyć* – załadowywać, nakładać.

³⁴⁵ *Makata* – wzorzysta tkanina jedwabna, przetykana złotem i srebrem.

³⁴⁶ *Kumys* – mleko kobyły poddane fermentacji, służące jako napój.

³⁴⁷ *Odaliska* – niewolnica usługująca w haremie.

³⁴⁸ *Matka Sicz*.

³⁴⁹ *Kufa* – wielka beczka, kadź.

i ile chciał – pił i zajadał; dalej puszczo się w tany... I hulano tak dnie i noce, aż wreszcie jeden, drugi ze zdumieniem spostrzegł, iż zamiast dukatów tylko płótno kieszeni wyciągał z szarawarów...³⁵⁰ Kozak kłął długo czary i *wroki*³⁵¹, ale gdy mimo przekleństwa płótno nie zmieniał się w dukaty, uderzał się palcem w łeb, splunął i robiąc nogami najdziwaczniejsze esy, dopadł burzanów; smacznie spał w nich półtorej doby. Ocknąwszy się, uczuł, że mu sucho i słono jakoś w gębie; przypomniał hulankę, potarł czuba i nic nie mówiąc nikomu, szedł na przedmieście. Skotyna³⁵² Joś³⁵³, co zabrał wszystkie dukaty Kozaka, zaledwie z biedą poborgował³⁵⁴ dwie kwarty³⁵⁵ kwasu ogórkowego. Gdy pijacki ten przysmak znalazł się w brzuchu kozaczym, poczuł ten, że mu cały dur sywuchy jakby ręką odjął; wracał więc do Siczy i długo potem marzył o nowej wyprawie do Krymu, Turecczyny...

Powszechnej radości nie dzielił Czajka.

– Co chwyt, to chwyt! Ale do kozaczego życia niezwyčajny! – mówili Kozacy, patrząc na zasumowaną twarz Iwana.

Oj, sumowałże on, serdeczny, ciężko, ta ciężko! Zjechał Ukrainę i Zaporozie, ogniem przeszedł Krym pohański, a nie znalazł jej – nie wyszukał. Mógłże być wesołym, nie sumować ciężko?... Nie takie to już serce, by spokojnie usnęło! Rwie się i rozrywa w piersi kozaczej, a wciąż pyta: gdzie ona?

– Gdzie?... niech powiedzą, a na kraj świata pójdę, cały świat zwojuję i ona moją, moją!... Nie... Co rozbijać się na próżno? – jej nie ma... Kłamstwo! – krzyknął, aż jękło w dniewprowych skałach i orzeł porwał się z gniazda i szybuje w błękicie. – Ona żyje! Wynajdę ją, wynajdę!

Ledwie doczekał wiosny Kozak, zima wiekiem się mu wydała. Na wiosnę popłynęli młodźce na gościnę do sułtana, ażeby mu krzywdy nie było; po co miał wyskarżać przed hanem: „Niegrzeczni Kozacy! Gościli u ciebie, a mnie przepomnieli...³⁵⁶”.

Nie smuć się, wielki władco prawowiernych! Oto już pękły łańcuchy, którymi Dnieprowe ujście zamknięto, sto kul ugrzęzło w leśne kłody, a bezpiecznie za nimi

³⁵⁰ *Szarawary* – kozackie spodnie.

³⁵¹ *Uroki*.

³⁵² *Skotyna* – pogardliwie o człowieku: bydlę.

³⁵³ *Joś* – żydowskie imię męskie; tu: karczmarz.

³⁵⁴ *Poborgować* – dać na kredyt.

³⁵⁵ *Kwarta* – jednostka pojemności, równa 1 litrowi.

³⁵⁶ *Przepomnieć* – zapomnieć.

sto czajek kozacych wpłynęło na *syne more*...³⁵⁷ „Hurah!” – krzyczy młodźtwo; pan ataman na przedzie kręci wąs i patrzy ku przodowi...

Ho, ho! Z ogniem idą pobrzeża... Kozacy płyną do sułtana. Drży w haremie władca połowy świata. Skutari³⁵⁸ płonie gdyby jasna świeczka, do ognia zapala lulki kozactwo... Gospodarzą orły siczowe! Przycichły wrony i kruki.

Z kozactwem pierwszy wszędzie dzielny Czajka, a zawsze po przedzie! W krwi i płomieniach kapie się niby duch krwawy, a wypoczynku nie zna. Ona tu..., tu ona... Nie ma! Nie ma jej!... Czyliż i nie będzie?...

I znów wielkie święto w Siczy, większe jeszcze, niż było pierwiej! Bo to nie po ziemi koniem przelecieć, ale wątlą czajką trzeba płynąć po morzu, a tam fale jak najwyższe góry, a przepaści nie wymierzysz: bezdna³⁵⁹, gdzie ino rzucisz okiem!... A wrócili! I wesoło, że w niebie weselej nie będzie!... Tylko dzielny Czajka, krasa Zaporozża, smutny... Dla niego radości nie ma: on jej nie znalazł... nie uratował!...

I minął rok, i drugi. A serce wciąż w piersiach bije niespokojnie, rozrywa ją i krwawo pyta: gdzie ona? gdzie?... Nielitosne to serce! Ani się samo uspokoi, ani pozwoli Kozakowi westchnąć swobodnie... Niedobre serce!

Posmutniał i Mucha. Patrzy na swego wychowawca i lęk mu padł na duszę: czy nie przebrał miary w grzechach, każąc mu tak cierpieć... Nie! Zrobiłem go sławą Zaporozża. Od Perekopu po Carogród wiedzą, że stary Czajka zmartwychwstał, tylko że bystrzejsze ma oko i jeszcze cięższą rękę!... Nie masz grzechu, stary Kozace!...

Oj, nie, siwa głowo! zapomniałeś, że życia raz tylko, że i niebo dwa razy nie bywa, a jak go raz w piekło przemienisz, nie pokazuj mu szczęścia gdzie indziej: serce serca szuka, żąda kochania; z miłą mu niebo tylko, bez niej – wszędzie piekło! Zgrzeszyłeś, stary Kozace, a zgrzeszyłeś ciężko – że ci w Ławrze Preczysta³⁶⁰ nie daruje: kto serce gubi – człowieka gubi, a nie potrafisz wskrzesić i najędzniejszej trawki!...

Trzy lata dobiegało od rzezi tatarskiej w berdyczowskim lesie i znów Kozacy w bitwie z bisurmanami. Sułtan na brodę Mahometa kłął się, że śladu nie zostawi

³⁵⁷ *Błękitne morze*.

³⁵⁸ *Skutari (Chryzopol)* – starożytne miasto położone w Bitynii, nad cieśniną Bosfor, dokładnie naprzeciw Bizantionu (późniejszego Konstantynopola).

³⁵⁹ *Bezdna* – otchłań, głębina.

³⁶⁰ *Preczysta* – Niepokalana (Maryja).

z Siczy, kozacze ciała rzuci rybom do Bosforu³⁶¹, ze skóry koszowego zrobi bęben sułtański... Toż się bronili siczowe dzieci, a ciężko było bisurmanom, że nierzadko zapomnieli drogi do ojczyzny i legli wśród stepu.

Wielkiej sławy w kozactwie zażył Iwan Czajka. Młody, a siwa głowa nie sprosta mu w radzie; niczyja szabla tyle krwi nie toczy, niczyja janczarka tyle trupów nie kładzie, co szabla i janczarka Czajki Iwana!

Tysiąc czapek wyleciało w górę; trzeba było posłuchać woli kozactwa i starszyzny: Czajka przywodzi młodcom! I jak muchy padają Tatory, a chan Krymu na trzy tysiące nieobcinyanych dukatów ocenił głowę strasznego giaura. Ale nie dostać wam jej, bisurmanie! Prędzej wszystkie głowy młodźców ockną się na murach zamku chana, anizeli spośród nich zginie dzielny przywódca Kozaków Czajka!

A nie poznać go teraz – niby orła, co młodo wyleciał z gniazda, a teraz wraca z zamorskich krain, syt krwi wroga, na którego czaszce siłę swych szpon rozwinął i stalowy kluw³⁶² wyostrzył! Ta postawa kozacza nie powie ci, ile lat wieku liczy: twarz ogorzała w pożarach, śmiertelnym płomieniu janczarek i przy skrach od cięć szabel, wyraz dzielności rozlany na niej; bruzdą na czole zaorała myśl poważna; lekko ściśnięte usta, wydatne muszkuły³⁶³ energię i siłę znaczą, w oczach błyskawice... Poznaj, ile lat ma Kozak. Tylko do serca nie patrz! Tam płomień i ból wielki, tam lata kozacze!

Achmet pasza³⁶⁴ zaprzysiągł zgubę Kozaków. Trzeci dzień, jak z wielką siłą goni Czajkę. Dopadł. Kozacy schronili się do obronnego miejsca wśród stepu, w którym wyrabiano proch dla Zaporozża. Ciemna noc wstrzymywała wrogów od szturm; jutro dzień wielki, ktoś musi ustąpić: albo Turek będzie gryźć ziemię, lub Kozacy legną głowami.

Z trzech stron wróg otoczył młodźców, na czwartą zwrócone ich oczy: tam łoży na moczarach – stamtąd ma przyjść pomoc Kozakom, a przyjdzie, bo z nimi Mucha, który nie pozwoli na zgubę swego sokoła!

Niedługo kazali czekać na siebie. Głuche strzały w oddali dają znać, że idzie pomoc braciom: tam wróg niesilny, zatrzymać ich nie zdoła; razem złączeni zaśpiewają mu piosnkę nie lada!

³⁶¹ *Bosfor* – cieśnina łącząca Morze Czarne z Morzem Marmara i dalej z Morzem Śródziemnym.

³⁶² *Kluw* – dziób.

³⁶³ *Muszkuł* – dawn. muskuł.

³⁶⁴ *Pasza (basza)* – wojskowy lub cywilny dygnitarz turecki.

Jakoż niezadługo trzask łamiących się łoż i parskanie koni poprzedziły zjawienie się czterech sotni mołojców.

Wielkie „hurah!” śmiertelnym dreszczem przejęło prawowiernych i dowódcę ich, Achmeta paszę.

Między Kozakami radość wielka: postanowiono, nie zwlekając, uderzyć na Turka – wyprawić psów do rajy Mahometa!

Przyszła swój czas i na Muchę: ślepa kula miała dobre oczy, skoro trafiła w stare piersi kozackie. Rannego przywieźli towarzysze i złożyli w szałaszu.

Iwan dał rozkaz przygotowania się do wypadu, każdej sotni swoje stanowisko, zalecając baczność, by nie nałożyć głową w zapale prac na wroga; w tej chwili dano mu znać, co się stało z Muchą, i że ranny pragnie się z nim obaczyć.

Złowieszcze przecucie ośwładnęło Kozakiem; zalecił baczność mołojcom, a sam z bijącym sercem pospieszył do szałaszu.

Na łożu z suchych traw burką przykryty leżał Mucha. Słaby połysk kagańca oświecał bladą twarz jego; przez białe chusty, którymi był owiązany, sączyła się krew.

Wesołym okiem spojrział na wchodzącego Iwana.

– *Pryjszow czas i na nas!...*³⁶⁵ – rzekł. – Pies Tatar! Gdyby troszkę wziął na lewo..., zasnąłby Kozak jak prawdziwa mucha, a tak... Ale dobrze, że nie wycelił, bo z grobu przyszłoby wstać pożegnać się z tobą, mołodcze, a tak...

Iwan chciał coś mówić, Mucha skinął.

– Daj pokój, nie mamy czasu: i tobie pora, i mnie już czas – gdzie tam ze-
chcą... Ot, szkoda tylko, że wypadnie jak psu na legowisku skończyć... Gdyby
siły z wami!... Nie! Przeklęta kula ugrzęzła..., czuję, że już niedługo... A co,
sokole, darujesz grzech staremu?...

Iwan zbladł i zachwiał się.

– Chciałem cię mieć Kozakiem i wiedzą ludzie, że na Zaporozu dzielniejszego nie ma... Ale się bez grzechu nie obeszło... Kochasz jeszcze tę Laszkę?...

Iwan milczał, ale zbladł bardziej jeszcze i oparł się o ścianę szałaszu.

– Kocha – mówił Mucha, jakby do siebie – i mnie t a m t a przed oczyma stoi... Może i ciężki grzech biorę ze sobą?... Słuchaj, Kozacke, ona żyje... Nie wziął jej Tatar... Jest w zamku...

³⁶⁵ *Przyszła czas i na nas.*

Bez słów, bez jęku Iwan padł na ziemię.

– Ratunku! – krzyknął umierający Sobko i w pół podniósł się z postania.

W tej chwili do szałaszu wpadli Kozacy.

– Turek ucieka!

– Za nim! – krzyknął Mucha, upadając na łożo.

Iwan podniósł się z ziemi. Spojrzał wokoło, obaczył umierającego, jęknął, aż obecnym gdzieś w duszy odjękło... Zbliżył się do Sobka.

– Niech ci Bóg tego nie pamięta – rzekł i wybiegł z szałaszu.

Wkrótce gromkie „hurah!” i strzały janczarek dały znać, że kozaczy taniec rozpoczął się.

Na pościeli dogorywał Mucha, konało z nim światło kagańca.

Po jakimś czasie umierający odkrył powieki, pochylił się ku ziemi – słu-cha, i zadrzał.

– To wróg!... Ucieka..., tu... W tej chwili z kagańca jaśniejszy płomień strzelił i oświetlił twarz konającego, która jaśniała wyrazem wielkiego czynu, mającego być spełnionym.

Skąd się te siły wzięły u konającego? Zsuwa się z pościeli..., drżącą ręką bierze kaganiec... i wlecze się po ziemi; pełzną za nim białe szmaty odzieży, a krew znaczy drogę trupa – do prochowni. Drzwi otwarte..., wpęłził i słu-cha... Tętent kopyt coraz to bliżej, brzęk oręża nieznanego głosu. „Ałłah!” coraz to wyraźniej. Już są tu! Wokoło...

– Teraz!... I całym wysileniem rzucił kaganiec na kupę prochu. Za chwilę oniemiała przyroda: rozdarło się łono ziemi i wysoko w powietrze uniosło swój ciężar.

Żaden Turek nie wrócił żyw z nadpowietrznej wędrówki.

Tak skończył Mucha.

Zwyciężyli Kozacy i wesołe okrzyki rozdzierają niebo: okrzyk na Sicz płynie i do Carogrodu zabiegł pocieszyć sułtana! Ale cóż to za ruch między Kozakami? Skąd ten wyraz smutku i zdziwienia na licu każdego?... Od szeregu do szeregu, od Kozaka do Kozaka leci trwożne pytanie: „Gdzie ataman? Gdzie Czajka? Czy pod ziemię znikł?... Czemu nie dzieli wesela, które sam zgotował towarzystwu?”...

O, wesoło mu teraz, że i krwawy płacz – jeszcze by śmiechem był szyderczym!...

VIII.

Cofnijmy się wstecz do chwili, w której padł Iwanko ugodzony kulą w piersi, a działowy wystrzał przeraził Tatarów i ich przywódcę Giraja.

A byłoż bo czego złąknąć się niepomału: ani się spostrzegli zajęci rzezią Tatarzy, jak zastukano³⁶⁶ ich w lesie – że chyba pod ziemię albo lasem w rozsypkę. „Ałlah!” krzyczy Tatar, pieniąc się ze złości, że jak mysz dał się złowić w pułapkę; nie tak gromko wtóruje im okrzyk „Maria Jezus”, ale go dopełnia huk działa, co jak gradem sypie kartaczami³⁶⁷ w Tatarów.

Ani się im gdzie roztoczyć półkolem i chmurę strzał puścić, wpaść końmi i ciąć krzywą szablą, ani im siły wstrzymać morderczy ogień działa... Zwinęli się bisurmanie jak muchy w garnku, gdy ich poleją ukropem! Dobrze było mordować bezbronnych włościan lub pastwić się nad dziesiątkami Kozaków, ale ciężko samym kichać kulami gjaurów i farbować ziemię posoką³⁶⁸.

Jak wąż, gdy mu ogon nadepczesz, syknął Giraj i jednym susem oparł się między szeregami Tatarów, pod ogniem działa wspiał się na dzianecie³⁶⁹ i krzyknął straszliwie, i zębami zgrzytnął.

– Ha, to jeszcze on, przeklęty!... – i puścił się w kierunku atakujących.

– Naprzód! Śmierć gjaurom!

– Ałlah! – wykrzyknęło tysiąc ochrypłych garel³⁷⁰ i tłuszcza tatarska ruszyła ku przodowi.

Umilkł głos działa, tylko szable grają, przeglądając się w ogniu iskier. Niekiedy parsknie w śmiech janczarka lub pistolet ciężko splunie... Gęsto wkoło! A łaźni nie trzeba – tak ciepło.

Straszny bój ma miejsce.

Mszczące się za najazd granic, rycerstwo ciężko kładzie miecze na karki pohańców; każdy wystrzał śmierć niesie, bo mści ojca, żonę, przyjaciela! Tatarowi rozpacz sił dodaje: zewsząd otoczony walczy jak lew broniący się. Wałą się turbany i jasne hełmy; jedwabny kaftan i żelazna zbroja nie wstrzymują śmier-

³⁶⁶ *Zastukać* – tu: złapać w zasadzkę.

³⁶⁷ *Kartacz* – pocisk armatni wypełniony żelaznymi kulkami.

³⁶⁸ *Posoka* – krew.

³⁶⁹ *Dzianet* – piękny koń wierzchowy lub cugowy.

³⁷⁰ *Garło* – gardło.

ci! Zwiąja się opętana i kosi jak żaden kosarz, by i najsprawniejszy; tu szumią proporce, tam księżyc kąpie się w dymie i krwią czerwienieje. Straszna chwila! Bój wielki!

Ponad głowy Tatarów widny turban Giraja i krzywy miecz jego jak błyskawica spada i znów górą błyszczący, a piorun w jego oku, grzmot w głosie i śmierć, straszna śmierć w zaciśniętej ręce!

I między rycerzami jeden hełm jaskrawiej świeci i miecz młynkuje szybciej, a ziemia stęka, gdzie ino³⁷¹ stąpi, wróg kładzie się jak ścięta trawa! Straszny to mąż! Zda się, jakby z jednej sztuki żelaza wykut, bo i na rumaku stal błyszczący, i rumak pierś zabija konia i jeźdźca Tatara. Płyną oba, a gdzie stąpią, stamtąd życie ucieka! To giaurów przywódca, śmiertelny wróg Giraja – miecznik Krzysztof Zbaraski³⁷².

Jeszcze posłem na dworze sułtana obraził on Giraja, nie chcąc mu miejsca przed sobą ustąpić, bo siebie zwał wolnym, a jego – brata władcy Krymu – sługą sułtana. Potem w bitwie rozproszył Tatarów będących pod rozkazami Giraja, wreszcie – i tego mu nigdy Giraj nie przebaczy! – przejął jeńców i powrócił rodzinie piękną Kossakowską, po którą brat chana z ordą³⁷³ przyszedł na Podole³⁷⁴, by gwiazdę lackiego³⁷⁵ nieba osadzić w swoim haremie. O, nie ma przebaczenia dla takiego wroga! I nie ma żądy, która by jadem nie żarła serca Tatara, byle go do rąk swych dostać i miarą za miarę wymierzyć! A nie byłoby granic zemście na śmiertelnym wrogu!

I teraz gdzie był, gdy pułki Giraja stały w szyku bojowym na przestronnym miejscu, gdzie szabla o szablę mógł się zmierzyć z perłą Taurydą?...³⁷⁶ On, giaur nikczemny, siedział gdzieś pod ziemią, a teraz zdradnie napadł nieprzygotowanego i może w duchu już śpiewa pieśń tryumfu!... O, biada mu i zemsta!

³⁷¹ *Ino* – tylko.

³⁷² *Krzysztof Zbaraski* (ok. 1580–1627) – koniuszy koronny, książe, ambasador Rzeczypospolitej w Imperium Osmańskim.

³⁷³ *Orda* – określenie wojsk koczowników, zazwyczaj Tatarów z Chanatu Krymskiego, najeżdżających ziemie litewskie, ruskie, polskie i rosyjskie w XV–XVIII wieku.

³⁷⁴ *Podole* – kraina historyczna położona nad północnymi dopływami środkowego Dniestru i w górnym biegu rzeki Boh w dawnej Rzeczypospolitej.

³⁷⁵ *Lacki* – polski.

³⁷⁶ *Tauryda* – w starożytności nazwa Krymu, utworzona od nazwy plemienia Taurów.

I jak straszny zniszczenia wysłannik nurzał się w krwi, po trupach dobiegając rycerza o jaśniejącym hełmie.

A śnać i rycerz ma na myśli zejście się z Girajem, bo na ślepo wali mieczem, trupami ścieląc drogę do ryczącego z gniewu i wściekłości przywódcy Tatarów.

Płyną ku sobie groźne dwie chmury piorunami brzemienne, a wszystko, co im na drodze, mocną piersią roztrąca! I zawał nie ma dla nich, tylko jedna dla drugiej zawał.

Zeszli się. To walka olbrzymów, a w nich dwa potężne duchy walczą ze sobą. Kto zwycięży? Kto ustąpi? I czy li odszedłszy nie wróci potężniejszy jeszcze?... Oto pytania, które wieki i miliony zadają, a ciemna przyszłość wmieszcza³⁷⁷ w sobie odpowiedzi na nie!

Walczą. Krzywy miecz Tataru jak wąż ślizga się po siecznym rapirze³⁷⁸ rycerza; i splekli się z sobą – rzekłbyś przyjaciele we wzajemnym uścisku; cięcie choć i padnie, to schybione – jęknie tylko na zbroi lub głucho ozwie się w jedwabiach – nie poradzić sobie zapaśnikom! Więc cofnęli konie: rycerz w ręce lewej ciężką buławę, w prawej miecz trzyma; Tatar pałace ostrze kinżału³⁷⁹ wziął w zęby, krzywą szablę silniej w dłoni ścisnął i wspiał rumaka.

Strasznej siły było zwanie się! Miecze jęły przy spotkaniu: szabla miecz przecięła, lecz i sama przysła, dzwoniąc w powietrzu resztkami stali.

Zgrzytnął Tatar, klnąc we wszystkie piekła, a już straszna buława rycerza wznosi się ponad turban Giraja... Koń ratuje swego pana: pojął niebezpieczeństwo i błyskawicą w bok skoczył. Rycerz zachwiał się w kierunku uderzenia i runął całym ciężarem ciała. Z dzikim okrzykiem rzucił się nań Giraj.

W tej chwili silna ręka chwyciła uzdy dzianeta i Ali zawał:

– Giniemy! Uchodź!

W czasie bitwy Giraj zapomniał o całym świecie. Teraz dopiero spojrzął i ocknął się: Tatar niesformą tłuszczą cofa się, stopy trupów zostawiając na drodze; piekielny dla Tataru okrzyk „Jezus! Maria!” głośny wrzawę wojenną.

– Uchodźmy! – krzyknął znów Ali.

Giraj wstrząsł się i dziko spojrzął na rycerza, który miał już czas podnieść się i w tej chwili dosiadał rumaka.

³⁷⁷ *Wmieszczać* – zawierać.

³⁷⁸ *Rapir (rapier)* – broń sieczna o klindze długiej, prostej, obosiecznej.

³⁷⁹ *Kinżał (kindżał)* – długi nóż obosieczny pochodzenia wschodniego.

– Przeklęty!... – wycedził i zwrócił konia, uchodząc.

Szyderski śmiech rycerza doleciał uszu uchodzącego. Girajowi krew rzuciła się płomieniem do głowy.

– Ten pies może myśleć, żem się go uląkł!... Uciekam... Ha, ha, ha! Wróć ja, wróć! Ale ci biada! – I w górę podniósł prawicę, grożąc nią rycerzowi, który nieustającym śmiechem odpowiadał na groźbę Tatara.

Znikł Giraj i Ali, Tatarowie wymordowani lub do niewoli wzięci, rozpierchanych w lesie wyłowią albo jak psy z głodu zdechną.

Jeszcze trwał zamęt wojenny; dowódca na wsze strony dawał rozkazy, wskazówki, gdy jeden z rycerzy doniósł mu, iż między skałami, nad jeziorem, są ludzie, a z nimi młoda jakaś panna, śnać z wysokiego domu, i pytał, co z nimi zrobić.

– Azaliż Tatar nie dostrzegł ich w ukryciu?

– Kilka trupów wskazuje, że był, ale śnać przeszkodziłim mu w ucztowaniu.

– Radośnie mu teraz! Lecz co do tych – kto się uchował z takiej rzezi, długo żyć będzie. Prowadź mię do nich, mości rotmistrzu.

– Mnogo trupa kładziono – zrobił uwagę rotmistrz, gdy przejeżdżali środkiem bojowiska.

– Królowa nieba dzielnie nas wsparła. Ani wątpić, że Tatar ujdzie, gdy Giraj rozbity.

– Gdyby go pochwycić, byłby kęs nie lada.

– Chyże ma nogi, pohaniec! – rzekł pogromca Giraja i w tej chwili oba rycerze wjechali pomiędzy skały.

Z orszaku wnuczki Starosty pozostał tylko ksiądz, który do tej chwili nie wstawał z klęczek, odmawiając pacierze, i kilka kobiet tak przelęknionych, że trudno je było do żyjących istot zaliczyć. Pomędzy nimi z obłąkanym wzrokiem siedziała Hania. Rumieniec znikł z jej pięknej twarzy, włos hebanowy rozwiewał wiatr, ręce miała załamane i zdała się być posągiem, któremu mistrz tylko duszy nie dał. Po długich wypytywaniach zaledwie zdołali rycerze wywiedzieć się od na wpół martwego księdza, skąd się wziął w tym lesie, komu towarzyszył i dokąd.

– Starostę znam od dawna – rzekł Miecznik³⁸⁰, wysłuchawszy opowieści księdza – i właśnie pada mi droga koło jego zamku... Alem nie zasłyszał nic o wnuczce... Ach, poczekaj, księżo – nie jest li to córka wojewodzica?...

³⁸⁰ *Miecznik* – od XIV wieku tytułarny urząd dworski (miecznik wielki koronny, od XVI wieku także miecznik wielki litewski).

Ksiądz potwierdził, umysłem wciąż przytomny minionemu już niebezpieczeństwu.

– Z wojewodzicem byliśmy gdyby bracia; tym milej będzie mi powitać jego córkę. Lat dziesięć, jak nie widziałem dzieciny. A wstańże już raz i prowadź nas do niej, mości księże, i nie trzęś się tak, bo już Tatarów nie ma wokoło.

Ksiądz powstał i teraz dopiero wróciła mu przytomność. Ujrzał Hanię i zafamał ręce. Zdziwił się niepomału i rycerz obaczywszy przed sobą tak słuszną niewiastę, której piękność uderzyła go wielce. Wczoraj jeszcze żegnać się z dzieckiem – dziś witać kobietę... To zadziwia, mimo że nierzadko się wydarza.

Miecznik mimo woli cofnął się pełen respektu, poprawił zbroi i z układnością właściwą ówczesnemu rycerstwu wystosował jedno z tych przydługich może powiedzeń, które każdą kobietę zwykły sobie ujmować – tak były ułożone w miarę pochlebnie i ozdobne frazesami niegłuszącymi wszelako szczeroty³⁸¹ wypowiedzenia się. Ale zaledwie mówiący doszedł do połowy swej oracji, wnuczka Starosty przerwała mu, nie zmieniając postawy ni wyrazu twarzy głosem równo dźwięczącym jak trącona strona.

– Jego tu nie ma... Przyszedł Tatar i zabił... i nie ma go tutaj...

Zdziwiony Miecznik wymownym spojrzeniem zwrócił się do księdza.

Kapelan stał w dawniejszej postawie i modlił się, patrząc na Hanię.

– Nie mówisz? – zapytał Miecznik.

– A cóż mam mówić. Czyliż nie widzicie, że przerażenie odjęło jej zmysły.

Miecznik zmarszczył brwi.

– Kto jest, o kim mówi wnuczka Starosty?

– Sadzę – rzekł ksiądz – że mówi o wiernym swym słudze Iwanie.

– Młody? Stary? – niecierpliwie zapytał Miecznik, ale ksiądz nie słyszał tego pytania, bo w tej chwili zbliżył się do Hani.

– Cóрко moja, Bóg z tobą! Niebezpieczeństwo minęło...

Hania szklannymi oczyma patrzyła na mówiącego, a obaczywszy łzy w jego oczach, rzuciła mu się na szyję, dziwnie patrząc na Miecznika.

– Kto to? – szepnęła – lękam się go..., to może on zabrał Iwanka? Ach, nie przybliżaj się! Czego się patrzysz tak na mnie?...

Miecznik zwrócił się do towarzysza.

³⁸¹ *Szczerota* – szczerłość, prawdziwość.

– Wielce smutny widok, ale w Bogu nadzieja, że to minie. Wcale piękna niewiasta.

I zamyślił się. Po chwili ocknął się i rzekł:

– Będzie, jak Bóg chce, a nam tu czasu nie tracić. Rycerstwo zebrało się do pochodu. Przyślę ci tu ludzi, księżę – wnet ruszymy w drogę ku Białejcerkwi. Sam wnukę oddam do rąk Starosty.

– Żegnam, piękna pani! Niedługo może otrzymam łaskawsze powitanie.

Skinął ręką i oba rycerze znikli, połączywszy się z innymi, oczekującymi ich na dolinie.

– Nie ma Iwanka... Ten straszny poszedł... Chodźmy, by nas nie widział! Przyszedł i zabił go..., zabił... Cha, cha, cha!

Okropny śmiech taki.

Ksiądz jak mógł uspakajał biedną dziewczę, chcąc ją modlitwą przywieść do przytomności. Wreszcie i kobiety przyszły do siebie z przestachu i również uspakajały Hanię – na próżno! Wciąż miała na ustach imię Iwanka, jak dziecię dawała się powodować, co chwila szepcząc:

– Nie ma go... Przyszli, zabili... Nie ma go!

Za wskazówką księdza odszukano w lesie powóz, sprowadzono go na drogę i wkrótce Hania była w obozie, otoczona troskliwością bliższych i wszystko rycerstwo współczuło biednej załękłej, dziwiąc się krasie i anielskości rozlanej w obliczu dziewczycy.

Powoli chora poczęła przychodzić do siebie. Chwilowe obłąkanie po kilkudziesięciu godzinach ustąpiło miejsca łzom cichym, które się zakończyły snem pokrzepiającym, nieprzerywanym jak chyba półwykrzyknikami, które nie budziły śpiącej, a lekarz zapewniał, że po tym śnie przytomność wróci jej zupełnie. Jakoż w rzeczy samej, ocknąwszy się, Hania zdawała się przypominać sobie, co się z nią stało; przypomnienie wywołało łzy i modlitwę. Przytomność wróciła, ale ciężki smutek owładnął istnością dziewczycą i chmurą zawisł nad jej alabastrowym czołem. Chmury tej nie spędziła nawet spowiedź odprowadzona przez Hanię po przyjściu do siebie; ta może dała ulgę duszy, lecz nie pomogła sercu.

O Iwanku nikt nic powiedzieć nie umiał. Miecznik dał rozkaz szukania i gorączkowo pragnął obaczyć trup Kozaka – nie znaleziono go jednak nigdzie. Nie było także i Muchy, ale ten został zapewne rozsiekany przez Tatarów, bo kapelan widział go otoczonego chmurą pohańców.

Na to przypuszczenie powszechne zgodzono się w obozie i nieinteresowani przestali niedługo mówić o tym. W dusze inne zapadł niczym zatrzeć się niedający obraz, z którym legną do grobu. Hania wciąż widziała ugodzonego kulą Iwana.

Uwiadomiony o szczęśliwej zmianie w zdrowiu córki swego przyjaciela, Miecznik pośpieszył się jej przedstawić. Hania z trudnością zdołała ukryć w sobie dziwne uczucie bojaźni wywołane obecnością gościa, a gdy ten z układnością rycerza-kawalera przy pożegnaniu pocałował jej rękę, drgnęła tak silnie, że to nie uszło uwagi Miecznika. Prawdziwego jednak powodu wzruszenia dziewicy nie odgadł i wracając do swego namiotu z wewnętrznym zadowoleniem, mówił sam do siebie:

– Wcale piękna osoba i należałoby pomyśleć...

Nie wiadomo, o czym chciał myśleć Miecznik, ale w tej chwili były łzy w oczach Hani i modlitwa na ustach, a w duszy wciąż miałeś jeden tylko rozdzierający obraz.

Biedne serce! Gdybyż przynajmniej świadomość, za co cierpi: Hania we śnie nawet nie pomyślała, że kocha.

I nie masz wesołej dziewczynki, co jako wiosna, gdy miała chmurki i łzy deszczu, to na to, by tym jaśniej odbijało przy nich słońce życia, by łzami polewane świeżały niebiańskie kwiaty uczuć. Rumieniec znikł z twarzy, oko łzą świeci – a tak cudownie jak świeci rosy kropelka na listku drżącym od powiewu zefirów; na czole zaduma, usta modlitwę wieszczą, cała postać dziewicy cichą jest skargą. Ale i teraz piękną jest – piękniejszą aniżeli dawniej była.

Dla cierpień czy rozkoszy żyjemy na tej ziemi?

W naturze wszystko związane jest ze sobą... Chrystus umiera na krzyżu, święci konają w męczarniach, geniusze żyją cierpieniem i schodzą ze świata, skarżąc się cierpień pogardą... Wielka stąd nauka! A któż zaprzeczy, że cierpienie dodaje nam uroku, że z człowieka czyni coś ponad niego?...

Hania była tak piękną z bladą swą twarzą i postawą bolejącego smutku pełną, tyle w niej było świętości, żeś pokorą ducha wznosił i modlił się – jeśli nie do niej, to za nią. Tak przynajmniej było w orszaku Hani, między rycerstwem w obozie; i dzielny Miecznik coraz to bardziej poważniał, patrząc na postać tej dziewicy, tyle niezemskiego uroku mającej w sobie.

Tymczasem orszak rycerzy pod przywództwem Miecznika posuwał się ku południowi. Już z lasów Wołynia wjechali na Stepy Wasylkowskie³⁸²; za nimi

³⁸² *Stepy Wasylkowskie* – stepy w dawnym powiecie wasylkowskim guberni kijowskiej.

zostały mogiły, o których powie ci дума poważna, kogo kryją w sobie. Oto skalistymi rąbki strojna srebrna wstęga Rosi, rozrzucona na bezmiarze stepu; groźne Białejcerkwi mury zostały za nimi i znów step nieobjęty, jako morze chwiejący się traw falami, a jak wysoka skała na tej zieleni morzu wystaje swym wierzchem mogiła, a na niej orzeł ukraiński bystrym okiem mierzy przestrzeń, a może z mogilnym duchem *rozhovor* prowadzi...

Znać Tatar szczenił te strony, bo mu nie w smak była załoga fortecy; toż i widzisz gdzieniegdzie futory, co się w parowach kryją, jakby chroniąc się ogromu przestrzeni stepowej, zawstydzone, że tak są maluczkie; gdzieniegdzie błysnie zwierciadlane lico stawu, a ponad nim krążą chmury kaczek, ciężki bekas³⁸³ przelatuje, ostrzem dzioba prując powietrze przed sobą, czapla pyszne pióra myje w wodzie i żaby skrzeczą, wrzeszcząc wniebogłosy, by dano im deszczu, bo wody brak już w stawie...

Nienowy to widok, a rzeźwiej przecie piersiom rycerzy i koń parsknął zdrowiej, buńdziucząc się³⁸⁴ pod jeźdźcem. Step ma w sobie siłę magiczną i wiele rzeczy dopiero on nam wytłumaczyć w stanie.

Inaczej przemawia skała, inaczej las i woda i stepu mowa inna.

Tu już znać gospodarzenie Tatara: z wiosek zgłiszcza, drzewa spalone lub ścięte – nie pozostawiono nic, co by w czymkolwiek mogło być użytecznym dla człowieka: ziemia została, bo tej wróg zniszczyć nie w stanie.

Oto szarzeje na stepie punkcik, gdzie oko wypatrzyć by chciało ten zakątek ziemi, w którym upłynęły nam dni dobre zawsze, bo ubiegłe... Hania nie wie, że już tak blisko jest wioski, która tyle jej wspomnień mieści w sobie – już wspomnienie!... Niedzielący smutku Hani ksiądz i kobiety z uwagą patrzą, drżąc z trwogi, czy zniszczenia nie dojrzą... I nie wiedzą, czyli się smucić, czy cieszyć należy. Z wioski – popiół i głownie, cerkiew resztką muru śle do nieba skargę, ale zameczek stoi jako pierwej; tylko z osmolonych i nieco odartych boków jego widać, że Tatar próbował dostać się do siedziby Starosty.

Orszak dojeżdża zamku, jadą przez zgłiszcza wioski. Wzrok Hani pada na czarniejące głownie i kupy siwego popiołu – zadrżała i pochwycawszy rękę księdza, szepnęła:

– To nasza wioska! A?...

³⁸³ *Bekas* (kszyk) – gatunek średniego ptaka wędrownego, zamieszkującego tereny podmokłe.

³⁸⁴ *Buńdziuczyć się* (*buńczuczyć się*) – pysznić się, srożyć.

Nie dokończyła, bo w tej chwili dostrzegła wieżycę zamkowe; i był moment, w którym błyskawicą złamał się w niej smutek z radością, skarga z dziękczynną modlitwą; serce mocniej zabiło, nawet gorączkowy rumieniec wystąpił na lica, gdy usłyszała trąbkę zamkową.

Spuszczono most zwodzony, ciężkie odrzwie³⁸⁵ zamkowych murów skrzypli na wrzeciędzach³⁸⁶ i orszak wjechał do zamku.

Powóz zatrzymał się przed gankiem. Na progu stał Starosta.

– *Laudetur!*³⁸⁷ – począł wesołym głosem kapelan, gdy Miecznik podawał rękę wysiadającej Hani.

– Nie poznaje nas Starosta?... Bóg łaskaw: wracamy z tamtego świata...

Starosta przecierał oczy, nie wierząc, aż gdy Hania z okrzykiem-jękiem „Dziadziu!” padła mu na szyję, wtedy dopiero ocknął się ze zdumienia i tuląc ukochaną wnuczkę do zbolałych piersi, zmieszał swe łzy z jej gorącymi łzami.

Wszyscy stali na uboczu, przejęci uroczystością chwili powitania.

– Drogie me, ukochane dziecię! – przemówił, łkając Starosta. – Wróconas mi, wróconas!... – i tulił swą gołąbkę, i okrywał ją pocałunkami.

Dla Hani pierś dziadka była błogą ucieczką przed gromami losu, które poczęły bić w biedną istotę; oparła na niej piękną główkę i płakała długo, a chciałyby umrzeć tak płacząc.

Z kolei nastąpiły powitania innych.

Zwolennikiem Miecznika Starosta nie był nigdy – nawet wtedy, gdy był on przyjacielem męża jego córki, ale dziś, witając w nim wybawcę najdroższej swej wnuczki, szczerze uścisnął dłoń rycerza i nawet zdało mu się, iż w postawie jego mniej widzi srogości, którą ganił w nim zawsze.

Miecznik był typem prawdziwego rycerza, może nawet więcej zachodniego aniżeli rycerza bohaterskiej Polski: był w nim hart męski i wola niezłomna posunięta do uporu, grzeczność, układność nawet, ale wszystko to nikło wobec surowości rycerza i chłodem grobu wiał od niego serdeczniejszego uczucia, które, zda się, zgubił gdzieś na harcach z pogany³⁸⁸, znanych mu od pacholęctwa.

³⁸⁵ *Odrzwie* (odrzwia) – duże, zabytkowe drzwi.

³⁸⁶ *Wrzeciędz* – dawne urządzenie do zamykania drzwi (bramy), zwykle w postaci żelaznej sztaby lub drąga.

³⁸⁷ *Niech będzie pochwalony.*

³⁸⁸ *Harcy z pogany* – potyczki i bitwy z Turkami lub Tatarami.

Ten brak serdecznego ciepła odstręczał od Miecznika wszystkich, imponując tylko tym, którzy go sobie za wzór rycerza mieli. To się w nim nie podobało i staroście, to wzbudzało w Hani bojaźń i nawet pewien wstręt, który czuła do swego wybawcy.

Gdy pierwsze wrażenie minęło, spojrzano po sobie i w duszach wszystkich jętko – tyle zmian strasznych dopatrzili wzajemnie: włos czarny okrył się siwizną, siwej głowie przybyło ciężaru, że się ugięła ku ziemi. Pochylił się Starosta, jakby mu dziesięć lat wieku przybyło, aż się ulękła jego widoku Hania; zapłakał starzec na widok wnuki, którą tak niedawno jeszcze żegnał szczęśliwą dziewczeczką, a teraz wita kobietę, która wyrazem twarzy i smutku postawą świadczy, że i o nią życiowy huragan zawadził, zielone liście wiosny otrząsł i uniósł gdzieś w zaświaty.

Biedne życie nasze! Nam się istnieniem nie chlubić!...

Sobą zajęci, nie spostrzegli obecni grobowej postaci Chwedora, który w niemym milczeniu stał jak posąg cierpienia i bolesnej, bo bezsłownej, skargi.

Spostrzegła go Hania i z jękiem rzuciła się, szorstką rękę jego okrywając pocałunkami, a łzy zalewały ją całą.

Starzec nie zmienił grobowego wyrazu twarzy, oczy wzniosł w górę i rzekł cichym, ale wyraźnym głosem:

– Poczciwym błogosław Boże!... – i pocałował ją w głowę.

A zwracając się do Starosty, dodał jednakim głosem:

– A co, jasny panie, gdzie mój Iwanko?

Starosta pobladł bardziej jeszcze i pytające spojrzenie zwracając do przybyłych, wyjąknął:

– Nie ma go?... Nie ma! – i załamał ręce.

Hanię łzy zalewały. Obecni stali w milczeniu. Chwedor mówił:

– Ja wiem, że go nie ma, bo mi to stara powiedziała, a matka, gdy umiera, to zgadnie, iż dziecka jej nie ma u pościeli, by łzą ulżyło duszy... Cóż, panie! Może mi drugiego syna dacie?... Ha, ha! Stu poddanych z majątku, chata z dobytkiem, złota zasieki, świat cały..., a ja nic tego nie chcę, tylko mi syna dajcie, syna! – I zalał się łzami.

Grobowe milczenie przerwał Miecznik pytaniem zwróconym do Starosty:

– Ten chłop czego chce tutaj?

Chwedor zatrząsł się; błyskawicą strzeliło oko, piorun był w głosie.

– Ten chłop – rzekł – uczył nieraz panów, jak ludźmi być mają! – Ale nazbyt było w tym sercu boleści, by gniew trwał dłużej nad chwilę i Chwedor skończył

głosem cichej skargi: – Ten chłop chce, by mu wrócili jedynego syna, ażeby mógł go pokazać umierającej matce. Ale chodźcie – dodał żywiej nieco – chodźcie, jaśni państwo!... Proszę was na moje wesele..., wesele chłopskie..., bo mi teraz bardzo wesoło!... I wy, panie rycerzu..., chodźcie! Wstydu nie będzie, bo chłopską chatę przyszedł Tatar i spalił, a ja teraz pod pańskim dachem rozkoszuję...

Hania drżała, z łez nie usychając, Starosta odmawiał cichą modlitwę, Chwedor poważnie kroczył, wiodąc swych gości po schodach zamkowych.

Wkrótce idący zatrzymali się przed odemkniętymi drzwiami jednej z dolnych komnat zamku i oczom ich przedstawił się widok smutny, chociaż niemal co dzień widziany.

Gęsto kratowane okno komnaty czyniło ją prawie ciemną, w pomoc więc przydano świecę, która oświecała bladą twarz umierającej Chwedorowej. U jej łoża siedziała, płacząc, wspomiana już w powieści Parania – jedna z dziewcząt będących na usługach w zamku. W niewielkim przedpokoju było kilka kobiet wiejskich, dziad cerkiewny i wychodzący już z sakramentami ksiądz wioskowy.

Umierająca szklannym okiem patrzyła przed siebie, po chwili westchnęła i dotykając się wyschlą ręką kruczych splotów Parani, spytała cichym głosem:

– Nie ma go?...

Odpowiedzią były łzy dziewczyny. Umierająca mówiła:

– Nie ma... Serce mówi: nie obaczę go więcej... Ale on żyje... Przybliź się tu, Paraniu, niech na ciebie spojrzę... O tak! Dobrze, dobrze! On twój... Słyszysz?! Ty go kochasz i on ciebie weźmie, bo... Nie, nie! On twój, twój, Paraniu! Co tam?... Kto to?...

Uwagę jej zwrócił szmer w przedpokoju, który powstał pomiędzy przybyłymi – zemdloną Hanię wynoszono na świeże powietrze.

– To ty, Chwedorze? – pytała umierająca.

– Dobrze, dobrze się śniło! Znalazł anioła, a utracił matkę... Matkę!... Ha, ha, ha!...

– Puśćcie mnie, puśćcie! – ozwał się w tej chwili głos Hani. – Ja muszę ją obaczyć! Muszę...

Umierająca ocknęła się.

– Ona tu?... To ona!... O, niech wejdzie!... Niech wejdzie... Tylko prędko..., bo mnie już niedługo...

W tej chwili Hania z jękiem upadła przed umierającą. Parania ustąpiła jej swego miejsca i trwożnie patrzyła na panią.

Tak się patrzy gołąbka na samicę sokoła.

Poczuwszy obecność Hani, umierająca jakby przejęta iskrą elektryczną wstrzęsła się, a sił jej przybyło, że w pół podniosła się na łożu i straszonym wzrokiem patrzyła na klęczącą, ale w łzą zlanej twarzy dziewicy było tyle niewinności, taka anielskość, że groźne wejrzenie matki stopniało jak chłodna lodu bryła wystawiona na działanie promieni słońca.

– Niech cię Matka Boża błogosławi – przemówiła cicho – ale mi jego doli nie zaprzeczaj! On moje dziecko! I choć zamknę oczy, będę was widzieć..., będę!

Po chwili dodała ciszej jeszcze, i ze zmianą w głosie:

– Nie róbcie mu krzywdy: on prosty Kozak... Panowie niech myślą o paniach... – i głos jej coraz to słabiał. – On ma już sądzoną... Paraniu!... Panno!... On... nie twój... Paranin...

Przy tych słowach Hania jęknęła, wypuściła rękę Chwedorowej i osunęła się zemdlona.

Konająca spojrzała na nią, westchnęła, i wyszeptawszy: On..., Chwedorze... Par... Synu!... – skoła.

Parania rozpląkała się na głos. Chwedor opuścił obie ręce.

– Doczekałem się – rzekł – harazdu³⁸⁹ na stare lata: syn porzucił matkę i starego ojca, wierna drużyna zostawia mnie samego. *Oj, dożyw że ja wesotoj hodyny!...*³⁹⁰

Wiejskie kobiety poczęły zabierać się do umycia trupa; bezprzytomną Hanię wyniesiono z pokoju, w którym śmierć niszcząca zostawiła ślad swego pobytu.

Jak to pięknie wszystko układa się na świecie!... A pamiętają o nas, by na łzach nam i jękach nie zbywało... Litościwi!

Skromny był dom pośmiertny starej Chwedorowej: cztery deski białe, pośrodku krzyż czarny z węgla i sadzy rozpuszczonych w wodzie – i dosyć. Za trumną poszedł Chwedor – pan młody za swą młodą – kilka bab, włościan ze dwóch – ot, i orszak cały. Starosta do wrót zamku odprowadził trupa i wrócił czuwać nad chorą wnuką, która w malignie³⁹¹ straszne, choć niezrozumiałe, wypowiada rzeczy, a musi cierpieć niebożę, że jej wszystkie grzechy chwili takich cierpień niewarte.

³⁸⁹ *Harazd* – szczęście.

³⁹⁰ *Oj, dożyłem ja szczęśliwej godziny.*

³⁹¹ *Maligna* – nieprzytomność połączona z majaczeniem, wywołana wysoką gorączką.

Doktorzy wszelkich barw i odcieni! Prawcież nam o rozkoszach zaświata: mówcie o niebie z huryskami i bez nich; mówcie, że tam czeka nas to, o czym ucho nie słyszało, czego nie widziało oko i zapytajcie: co wam odpowiemy? Dajcie nam tu zaznanie tych rozkoszy! Choć chwilę tego życia tu, na z i e m i! Może byście usłyszeli nieraz: chcemy tu nieba, bo cierpień czara dawno już pełna, wylewa przez swe brzegi życiowe rozkosze synów nieba!...

Gdzie nie spojrzysz – łyzy i krew, cierpienia i jęki, a niebo tam, gdzie wzrok nie sięga, gdzie ucho słuchem nie zabiega... Dalekie to niebo! I ponoś³⁹² nie z naszymi siłami przejść tak wielką drogę!...

Rok minął od pogrzebu Chwedorowej. Nie słychać o Tatarach, wioska się odbudowała; wszystko po dawnemu: ludzie pracują ciężko, płaczą gorzko – ot, jak zwykle na świecie!

W wiosce może i zapomnieli, że był jaki chłopiec czy Kozak Iwanko, co chorą matkę porzucił doma³⁹³ i sam zapodział się, że ani słychu!... Tylko ojciec nie mógł go zapomnieć i w każdej modlitwie wspominał imię syna, widział go we śnie i marzeniach dziennych... i jeszcze ktoś nie zapomniał Iwanka, wciąż go widząc, jak ugodzony kulą Tatara padł krwią zboczony...

Hania niby zdrowa. Tylko twarz blada, blada..., a łyżą oko świeci, a westchnienie za westchnieniem ulatuje z piersi. Oj, smać niewiele tam zdrowia, kędy smutek włada tak wielmożnie, zajmąwszy miejsce uśmiechu szczęścia...

Starosta żyje widokiem swej wnuczki i na ziemi tu go trzyma jeszcze, że nie wie, komu pozostawi skarb swój, dziecinę kochaną.

O wyjeździe z zamku Hania mówić sobie nie daje. Bliższa i dalsza młodzież, zasłyszawszy, że na stepie panna piękna i posażna, zjeżdżała do zamku – nie długo rozpatrywali się, co jest do wzięcia: jeden, drugi oświadczył się. Hania odmówiła, Starosta za wnuczką powtórzył... nie było co robić: jeden za drugim wynieśli się cichaczem, roznosząc po świecie, że panna piękna, że Starosta bogaty, ale dziadek wnuki słucha gdyby dziecko, a wnuka dziwaczna – nie chce iść za męż... A szkoda, bo i piękna, i dobra, znać po niej, a u Starosty złota dostatkim!

³⁹² *Ponoś* – dawn. ponoć.

³⁹³ *Doma* – w domu.

Spotkał się z odmową i Miecznik, ale wytrawny i kawaler nie mszego wąsa³⁹⁴ postanowił czekać i jeśli panny nie dostanie – nie odda nikomu! Ona mu się z prawa należy: córka jego przyjaciela, przy tym uratował ją od śmierci lub co gorsza – hańby!...

Więc kupił obszar stepu w sąsiedztwie Starosty, sprowadził osadnika, dwór wystawił niepokąźny, ale wygodny; osiadł w nim i stał się codziennym gościem Starosty, to go opowieścią przygód wojskowych bawiąc, to słuchając uważnie jego opowiadań albo oba oglądali zamek, radząc nad jego wzmocnieniem, lub w zbrojowni Starosty Miecznik wyprobowywał jego oręż, zachwycając starego składnym władaniem bronią. Pannie nie naprzykrzał się wcale: zdał się uszanować jej smutek, może nawet wytłumaczył sobie i za złe nie miał wstępu, który czuła do niego... On nie jest młodzikiem, w bitwach z wrogiem stracił polor światowego galanta... Wie, że kobieta niewiele może w nim znaleźć, co by się jej podobać mogło... I takim zachowywaniem się tyle dokazał, że Starosta przywiązał się do niego całym sercem, bez Miecznika nie mogąc przepędzić dnia, by nie uczuł, że mu czegoś nie staje... Hania przyzwyczaiła się do surowej jego postaci i chociaż zawsze czuła pewną bojaźń, gdy się z nim razem znalazła – nie było to jednak to same uczucie, które obudzał w niej widok Miecznika przed rokiem. Obyła się z nim, jak mówią powszechnie.

Chwedor nie bywał w zamku od czasu, jak gościem w nim częstym stał się Miecznik, którego nie lubił.

– To pan z tych wielmożnych – mówił – co w chłopie duszy nie widzą; dla niego muzyk³⁹⁵ – wół roboczy... Ale nie na Ukrainie to znaleźć takich! I nie stary Chwedor pokłoni się mu kornie!... Niech sobie żyją, jak tam chcą w zamku – ich wola, pańska wola, a jam dobrze wyszedł na bratanie się z panem.

Dla Starosty był zawsze z szacunkiem, ale serdeczniejszego słowa nie słyszał on od Chwedora.

– Bywało..., jasny panie, a teraz nie wspominać o tym. I syn był u mnie, a... – tu tarł łzę rękawem. – Ot, lepiej temu dać pokój!...

Staroście przykrym było to rozżalenie ojca za utratę syna, któren i dla Starosty obojętnym nie był... Stał więc gońców, rozpytywał; nawet do Siczy posłał, by się dowiedzieć, czy nie ma tam Iwanka. Ale nie darmo siedział w Siczy Mucha:

³⁹⁴ *Kawaler nie mszego wąsa* – w znac. dorosły, dojrzały.

³⁹⁵ *Mużyk* – chłop.

Starosta otrzymał list pisarza, że „zdaje się, iż był jakiś Iwan”, chociaż nie wiadomo, czy ten, o którego pyta Starosta, „ale obecnie nie doliczają się go w koszu i – jak tu niektórzy mówią – zginął w Krymie...”, a innych Iwanów mnogo jest na Zaporozu, tylko żaden nie przyznaje się, by rodem był ze starościńskiej włości...”.

Taki list otrzymawszy, Starosta nie spieszył się wcale zawiadomić Chwedora o tym, co w sobie zawiera. Posmutniał tylko, współczując boleści ojca, i rzadko kiedy widywał dawniejszego towarzysza wypraw.

Tak upływały dnie, miesiące całe. Miecznik codziennym był gościem w zamku i Starosta przywiązał się doń jak do syna. Hania wciąż była smutną, rumieniec nie wracał na jej lica i westchnienie ulatywało z piersi. A gdzie?... Chwedor modlił się to w cerkwi, to na grobie swej żony, nie zapominając o synu, którego czy obaczą jeszcze stare oczy, zanim zamkną się na wieki?...

Miecznik był cierpliwym, ale tak długo słowo po słowie rzucał w duszę Starosty, aż się ten zamyślił poważnie nad smutkiem swej wnuki i podejrzenie zrodziło się w nim, które go bardziej jeszcze nastroiło poważnie.

Wyspowiadał się, przyjął sakrament i samotny długo przechadzał się po komnacie. Staął.

– A co jeśli tak jest?... Bo tajne są drogi mądrości przedwiecznej... Coś ty uczynił, siwa a nierozumna głowo?... Ha, to trzeba!... Ale mi odwagi braknie: co, gdy się pomyle?... Gdy ten smutek?... Przecież mam możność zniszczenia... mogę ujrzeć ją pod opieką człowieka, który jej zapewni... – bał się wymówić: „szczęście” i dodał – spokój, da jej znaczenie... A jeżeli?... – I zbladł na myśl tę. – A jeśli tak jest, jak podejrzewam?! Panie, odpuść, gdy niesłusznie! Będę niezłotyściwym tyle, że ją zechcę zabić wieścią, iż on nie żyje?... Boże, Boże, rozświeć mi rozum i sił mi daj potrzebnych!... Tak!... Tak! – mówił po chwili, mnąc w rękę list z Zaporozia. – Muszę tak postąpić... Umręż spokojny, gdy ją tu samą zostawię?... Nie! Muszę!... Pewność lepsza od niepewności! Przeboli, uspokoi się i będzie szczęśliwą. Boże, to ostatnia prośba – innej już nie mam!

Co po opowieści, w jaki sposób przygotowywał Starosta swą wnuczkę do wysłuchania słów jego, które bardzo ważyły dla nich obojga?... Długo mówili ze sobą, zanim Starosta oddał jej list zawierający prawdopodobną wiadomość o śmierci Iwanka.

Mrok wieczoru i osłabiony wzrok starca nie pozwoliły mu dostrzec wyrazu twarzy Hani, gdy odczytała list.

Długo milczeli oboje... Starosta zbliżył się do wnuki.

– Drogie me dziecko! – I rozwarł ramiona, w które padła dziewczica, cicho łkając. Noc całą płakała Hania, noc całą modlił się starzec i bił się w piersi, bo może winnym był jej cierpień.

A Hania do tej chwili nie zadała sobie pytania: czy kocha?...

I znowu kilka miesięcy minęło. A na świecie po staremu wszystko: ten się modli, ów kradnie, tamten pracuje, inny zabiera, jeszcze jeden na świat przychodzi słodczy życia zapróbować, a o ten, już syty, odchodzi – ci mówią mu: tam a tam, a on wie, że do ziemi...

I Starosta złagodził się na tę drogę.

W komnacie, jak bywa w takich razach, jest i ksiądz, są i słudzy, znajomych nie brak i leż dostatkiem... – umiera, jak mówią, po Bożemu.

Hania klęczy przed pościelą; dalej nieco Miecznik stoi, chmurny jak zwykle, sług gromada; przyszli i z wioski: między tymi Chwedor stoi spokojny, jakby wokoło nie widział nic i nie słyszał.

Przytomnie umiera, a to znak, że pocziwie żył na świecie. Prawda! Ale – widziałem łotra, który konał z uśmiechem szczęścia..., widziałem męczennika życia – grzeszyć czasu nie miał, bo siedem dni w tygodniu tracił dla kawałka chleba – umierał męcząc się, a wymawiał imię żony i czworga drobnych dzieci... Bo rozmaicie bywa pod słońcem, a dobrego więcej aniżeli złego... Ha, ha, gdyby to uwierzyć temu!...

Cicho było w komnacie, bo umierający mówił ostatnie słowo:

– Słuszna rzecz i po Bożemu chować wdzięczność dla tego, kto nam życie ocalił... Tak robili ojcowie, tak i my róbmy, bo tak być powinno... Haniu, dziecko me, słuchaj ostatniej mej woli...

Umieram... Samej cię zostawić nie mogę... Chciej, niech umrę spokojny i mam nietrwożny sen w mogile... W kaplicy czeka ksiądz... Oddaj rękę temu, kto ci uratował życie... Tak..., tak..., dwóch ich było... Ale tamten... Chwedorze, czy mi zapomnisz?... Lecz jam niewinny... Słuchajcie!... Nie znam dumy grzesznej, bo wiem, że sercu nie wynagrodzić utraty serca... Chłopa nazwę mym synem, jeśli mi szczęście dziecka zapewni...

Miecznik zmarszczył brwi, włościanie pochyłili głowy: prawdziwym słowem otworzył umierający źródłisko łzy ich szczerzej...

Umierający mówił:

– Ale go tu nie ma..., on nie żyje... Ten – wzrokiem wskazał Miecznika – drugi raz ją uratował... Podaj mu rękę!... Idźcie..., bo nie skonam, aż ujrzę... Idźcie!...

Jak trup błada powstała Hania, a gdy po błogosławieństwo schylili się młodzi – obecni jękli w jeden płacz głośny i taką była muzyka godowa młodej pary. Poszli, a za nimi w ślad leciał głos konającego:

– Ja bło...go...sła...wię...

W tej chwili, marmurowo poważny, zbliżył się do umierającego Chwedor; nachylił się i metalicznym głosem zapytał:

– A jeśli on żyje?...

Konający porwał się i z trwogą wpatrzył w twarz pytającego.

– Żyje!... Nie!... Słuchaj mnie: on żyć nie może..., on żyć nie powinien!... – szeptał coraz to nieprzytomniej – widzisz: zabiłem ją... i umarła, a gdyby on żył – trup powstałby... i ona upio... – Nie dokończył. Groza strasznej myśli w słup mu postawiła oczy, wyciągnął stężałe już ręce..., wysilił się: – Stójcie! Wstrzymajcie ich! – krzyknął, aż włos na głowie powstał obecnym.

– Już po ślubie – rzekł w tej chwili któryś z domowników i jak pierwej trupio błada Hania ukazała się na progu.

Konający wpatrzył się w nią i pot wystąpił mu na czoło... Pochylił się, trwożnie twarz wykrzywił:

– Ha! Upiór! – wyjęknął i skonał.

Na usta Hani wybiegł dziwny uśmiech, aż się go Miecznik uląkł, a obecni, upadłszy na kolana, poczęli za księdzem mówić *Anioł Pański*.

Módlcie się! Tu dusza opuściła ciało i pozostał trup..., tylko nie wiecie – który!

IX.

Szybko leci czas w powieści, a szybciej upływa on życiem. Zapytaj siebie, starcze siwowłosa: czy dawnoć nosiła u piersi piastunka? Wczoraj – odpowiesz! A powiedziałaś prawdę: przeszłość – to wczoraj, przyszłość – jutro, a terażniejszości tyle, ile jej między tymi dwoma zostaje. Terażniejszość naszą jest! Szkoda tylko, że co się ma stać, do niej nie należy, a co się, stając, stało – już jest przeszłości własnością!... O, wiele, wiele mamy!... I nie lada musi być królestwo, któremu – wielcy, jak jesteśmy – panujemy!

Rok minął od czasu wesołych godów mojej królowny, lilii śnieżnej – Hani. Wiele zmieniło się wokoło. Dobrego pana – Starostę złożyli do grobu; w zamku

pan inny, Miecznik – i swoje porządki zaprowadził, i po swojemu z ludźmi poczyna. Bóg z nim! Jak się w swej siedzibie harmatami ogrodził i biedny człowiek chyba po karę doń wstąpi – tak się też i serca ludzi ogrodziły odeń bojaźnią i trzymają się na ustroniu, że tylko westchną, spojrzawszy na zamek, ten sam, a inny, bo pan zamienił pana... , a między oboma niby ziemia i niebo – niepodobny Miecznik do Starosty!

– Żal się Boże dla niego naszej panienki, co człowiekowi nieba przychylić by rada! – mówili włościanie.

– *Hore*³⁹⁶ jej, gołąbce siwej!... Musi biedactwo cierpieć niemało...

Kto wam to powiedział?... A patrzcież na nią, dobrzy ludzie! Rąk nie łamie i jęków nie słyhać, oko suche, usta uśmiech mają – ten sam, pamiętacie, który się zjawił wówczas, gdy konający Starosta „upiór!” wymówił; nawet śpiewa niekiedy i z kwiatów wije wianki... A czy to wszystko cierpieniem nazwać można?... Niedobry człowiek powie chyba, że Hania cierpi – żonie Miecznika nic nie brak, ona szczęśliwa!

Rok już drugi, jak chowa milczenie, nie skarży się, ani narzeka... Mąż rozkazuje – słucha, dziecko niech skinie – i dziecka posłucha. Taką się dobrą stała... To i dawniej była dobra, przedobra, a teraz – to już i nie wiedzieć, jak to nazwać... Czy to ranek zaświtał, czy kur zapiał z północkska – ona wciąż jednaka: cicha, błada, uśmiechnięta... , a gdy się sama znalazła, to przebyła w zadumie godzinę i godzin kilka, a zawołano na nią – uśmiechała się i szła, gdzie rozkażą: na obiad, do gości, na spoczynek. Dobrą żonę ma Miecznik!

A tylko raz jeden zapłakała. To było wtedy, gdy jej podano pierworodnego jej syna: wpierv popatrzyła nań zdziwienie i do rąk przyjąć nie chciała, ale gdy dzieciątko zakwiliło żałośnie – przycisnęła go do piersi i okrywając pocałunkami, płakała.

Doktorowie dobrze sobie wróżyli z płaczu i mąż radował się z łez żony, i ludzie w zamku mówili o tym płakaniu... Ale łzy nie pomogły: matka Miecznikowa po dawnemu była milcząca, bledsza jeszcze może i nierzadko patrząc na syna, zapytywała cichym głosem: „Czyje to dziecię?”, a gdy odpowiadano, że jej – brała je na ręce, patrzyła długo i zaśmiała się dziwnie, aż się mamka żegnała z trwogi; ale to była chłopka, więc przesądna... – kogoż bo śmiech przeraża!...

³⁹⁶ *Biada*.

Nie opisać radości Miecznika, bo już pewnym był, że na jego grobie skruszą tarczę rycerską ostatniego z rodu przesławnych Zbaraskich. Ale śnać niebo nie chciało zaguby rodu, skoro tak niespodzianie zsyła mu potomka. Miecznik był szczęśliwy i mniej się troszczył o żonę... Dała mu syna – on już nie sam... Cóż go więc obchodzić może kobieta? Czy ich będzie więcej o jedną, czy mniej – ród Zbaraskich nie zginie!

Prości ludzie powiedzą, że – niechętny – kłamstwo głoszę... Panowie nie zrobią mi tego zarzutu, bo wiedzą, że między nimi było tak, że bywa teraz, a ja dodam, że będzie – póki panów, bo oni inaczej czują od nas chłopów i serca mają nie takie jak nasze. Wiadomo – panowie! Gdzie już nam do nich?!... Ani pomyślenia!

Wielki zjazd u Miecznika. Ze wszystkich stron Rzeczypospolitej pojeżdżali się panowie na wielkie święto chrzcin maluczkiego pana, co wyrośnie kiedyś i będzie panem wielkim... Jakże tu nie jechać!

W zamkowej sali liczni goście zebrani oczekują pani domu, by rozpoczęła ucztę. Miecznik poszedł do jej pokoi. Z początku mówił ciszej, sucho, jak zwykle był mówić do żony od czasu, gdy mu powiła syna, później głos podniósł... Co dalej było, nie wiedzieć, ale niezadługo na salę weszła Miecznikowa.

Odzież bogata i brylanty jakby się skarżyły, że je połączono z tak grobowej postaci kobietą. Weszła i w jednej chwili umilkło w sali, że muchy szmer było słychać.

Gospodyni domu spojrzała po obecnych i głosem metalicznym równym rzekła, wyciągając koronkami i pierścieniami ozdobną rękę.

– Zabawę rozpocząć. Oczekuję kawalera...

Mróz przejął obecnych i nikt się nie ruszył, by wieść damę w pierwszej parze.

– Nie mam kawalera?... Cha, cha, cha! Nie mam?... A on? – spytała ponuro, ale wnet skończyła tęsknie: – Zabity... i nie ma go..., nie ma!...

W tej chwili wszedł Miecznik, a widząc zdumienie gości i żonę, która domawiała ostatnich słów, skinął, by ją odprowadzono do pokojów. Kilkoma słowy wytłumaczył gościom niezadowolający stan jej zdrowia i z kawalerską ukłoniwszy się jednej z dam, rozpoczął tany polonezem. Za gospodarzem posunęły inne pary, ale ucztowanie nie szło raźnie i wcześniej, aniżeli było w zwyczaju, goście opuścili zamek.

Od owego wieczora Miecznik mniej jeszcze interesował się stanem zdrowia swej żony, całą uwagę zwróciwszy na syna, którego otoczył piastunkami, lekarza-

mi i sam dnie i nocy przepędzał, przemyśliwając nad środkami zachowania przy życiu swego potomka, a roił o świetnej dlań przyszłości.

I wszyscy za panem jakby zapomnieli biednej. Tylko dziecina zdawała się poznawać matkę i na jej widok uśmiechała się anielsko; tylko we wiosce poczciwa dusza jaka wspomniała o dobrej pannie – o biednej pani, co ma wszystko, a doli nie zaznała jasnej... O, bo chłopskie serce odgadnie cierpienie, odkryje go pod maską śmiechu, pod złotem i kamieniami... Pojmuje cierpień siłę, kto sam cierpi.

Ale czy cierpiała Hania?...

Mówią, że cierpienie bez świadomości siebie nie jest cierpieniem. Ona nie wiedziała, że cierpi; stan jej zdawał się być czymś tak naturalnym, tak koniecznym jak światło dzienne, jak cień nocy, kwiaty, co rosną bez prośby, leją woń bez starań i zachodów ze swej strony. Teraźniejszością jej był świat widomy – to, co ją otacza; w przeszłości lubiła żyć marzeniem, lecz te były tak dziwne, tak splątane, że wątku w nich znaleźć nie mogła i jak w grze kolorów i cieni widziała szybko mieniające się: złe i dobre, miłe i przykre, szczęśliwe i okropne... I tu nie było świadomości cierpienia.

Więc nie cierpiała!... Była szczęśliwą może?... Ha, ha! Panowie wielcy uczeni, co jako lalkę rozkładacie człowieka na części, mądrze rezonując³⁹⁷ nad tym, czym jest, czym być powinien. Śmieszniście i maluczcy! Spójrz na trawkę, którąś nogą przygniótł i dowiedz się, czy cierpi, czy zna wesele i smutek?...

Nie wszystko nóż kraje, nie wszędzie rozum wystarczy. Dobadaliśmy się tej wiekowej prawdy, ale wieki nam pono stać u jej przedsionków, zanim światło wiedzy spłynie na istotność naszą.

Piękną jest jako dawniej prawie, tylko że weselsza wpierrw, a dziś bardziej smutna – wnuczka Starosty, Hania czarodziejka, przepióreczka, jak ją staruszek nazywał! Cierpienia uczyniły ją bardziej nieziemską, powiewną – gdyby duch zbłąkany na szlakach tej ziemi, wyszukujący zapomnianej drogi w niebo. Lat dziewiętnaście mają swój hart, który nie zniszczą by najcięższe losu uderzenia: zdruzgoce piorun kolumnę, ale jej nie zegnje, wicher ugina krzak róży, do ziemi przychyła, a on wciąż w górę ślicznym kwiatem patrzy...

Piękną była Hania, bo ją i ludzie zwali zawsze panienką, i my dawniejsze imię jej nie zmienimy na inne: Hanią będzie wciąż u nas, bo ją tak śnieżną i piękną

³⁹⁷ *Rezonować* – dawn. rozumować.

widzimy teraz, jako przed kilku laty, gdy na lilię patrzyła, a ta szemrzała, pytając: jest li to ma siostra?...

W tej chwili oto widzimy ją w ogrodzie nad pamiętnym jarem. Też same wokoło niej kwiaty i drzewa, ten sam strumyk w parowie i jako dawniej dzwoni po kamieniach; ptaki jednako śpiewają; nawet motylek – ten sam może – krąży nad jej głową, do liców się zbliża, dotknął ust, nie tych ust z koralu, i nie wabią go róże lica, a ócz płomienie przygasły...

– Czego on lata?... Co chcesz ode mnie motylku? – I patrzy nań cicha jak wierzba płacząca, a długie sploty włosów zalały ją swymi falami...

A stepem od południa błyskawicą mknie jeździec.

Szalony! Lada spotknięcie³⁹⁸ – znajdziesz śmierć! Albo piorun wpadnie w tę próżnię powietrza, którą za koniem zostawiasz! Zwolnij biegu, bo orły za tobą zostały, kracząc żałośnie, że je Kozak wyminął, i słońce patrzy palącymi promieniami i mówi: „Szalony!... Szalony!... Farysie³⁹⁹ stepów Ukrainy! Kędy tak bieżysz i zaczem?”...

On nic nie mówi, tylko konia przynagła do skorszego⁴⁰⁰ biegu i sercu mówi: „Ciszej!”, a myślą i usty: „Prędzej, prędzej!”. Szalony! szalony!

Oto wioska wśród stepu, rzeka płynie srebrzysta, las, ogród w oddali... zamek. Tam! tam, a żywiej!⁴⁰¹ I jakby znał myśli swego pana, jak gdyby wiedział, że tu kres podróży – rumak szybciej mknął przez pola, lewady...

Ludzie jadą drogą; ci w polu pracują – patrzą, żegnają się. Czy duch przeleciał?... Czy się oczom przywidziało tylko?... A jeździec już daleko – przesadza parowy; niczym mu strumienie, gliniska⁴⁰² i ostre granity leżące na drodze!... Już, już dopada lasu – znikną!... Koń i jeździec nie czują, że gałęzie rwą im ciało, że krew ciepła płynie... lecą! Dobiegli jaru... jeździec postać dojrzał, krzyknął, wspiął konia; koń dał skok, uczeplił się drugiego brzegu parowu... zachwiał się... – runął w przepaść; ale jeździec ręką uchwycił krzak tarniny⁴⁰³, dobył sił ostatka – wyrwał się śmierci i padł do nóg dumającej Hani, do ust tuląc kraj jej śnieżnej szaty.

³⁹⁸ *Spotknięcie* – potknięcie.

³⁹⁹ *Farys* – u Arabów i Beduinów: rycerz konny, jeździec. Bohater poezji romantycznej, niepokorny, wolny, zbuntowany. Tu też aluzja do poematu *Farys* (1829) Mickiewicza.

⁴⁰⁰ *Skorszy* – szybszy.

⁴⁰¹ *Żywiej* – prędzej.

⁴⁰² *Glinisko* – miejsce, jama, skąd się bierze glinę.

⁴⁰³ *Tarnina* – zarośla cierniowe.

Była chwila, w której dumająca nie umiała sobie zdać sprawy z tego, co przerwało jej dumania; czas jakiś patrzyła z uśmiechem na leżącego u jej nóg... , dosłyszała jego łkania... , nachyla się... , podnosi jego głowę i dojrzawszy znane rysy, cofnęła się – a okoliczne skały obiły jej śmiech serdeczny... Od tego śmiechu zsiniała twarz Kozaka, załamał ręce i patrzył.

Śmiech nie trwał długo. Hania wstała szybko i wsparłszy swą rękę na ramieniu klęczącego, wyrzekła głosem strasznej trwogi:

– Uchodź stąd, uchodź! On cię zabije! Uciekaj! – Dziadzia już nie ma, umarł... , a on moim mężem... Mężem – i łyzy jej twarz załazy.

Kozak patrzył w nią, jakby w niebo nie patrzył nigdy, i stracił wiedzę tego, co się działo wokół: on widział jej łyzy, słyszał łkania... .

W tej chwili groźna postać Miecznika ukazała się obojgu. Stał cichy, a straszny jak cisza burzy, co za chwilę piorunami strzeli.

Dojrzała go płacząca, jękała i lotem błyskawicy była przy nim; a w jej oku była także groźba i w głosie siła, o której istnieniu nie wiedział dotąd Miecznik. Wzięła go za rękę i silnie wstrząsnawszy męską prawicę, rzekła:

– Chcesz go zabić!... Ale on nie zginie! On żyć będzie... Inaczej – dodała dzikim, choć cichszym głosem – twój syn zginie. Przysięgam ci ja – matka!

Zimny pot wystąpił Miecznikowi na czoło; zadrżał, spojrzawszy na żonę.

– Nie zginie – rzekł i zbliżył się do stojącego opodal Kozaka.

– Jesteś sługą wnuki Starosty, mojej żony. Zniknąłeś w czasie rzezi. Mniejsza, gdzie i co robiłeś przez lat trzy... Wracasz – jestem twym panem... Zostawiam cię w zamku. – Ledwie domówił, bo całe piekło zazdrości obudziło się w nim na myśl, że prosty chłop jest... Nie chciał o tym myśleć Miecznik, nie śmiał, bo honor, bo wszystko kazało mu wziąć pomstę za sromotę⁴⁰⁴, a tu...

Zaledwie skończył Miecznik, Iwan był u nóg jego i ze łzami mówi:

– Rozządzajcie mym życiem! Zginę w waszej obronie.

Miecznik skinął, by powstał; spojrzął na żonę... Pochylona jako lilia wodna zrozumiała ten wzrok Hania i poszła z mężem ku zamkowi. Za nimi szedł Iwan.

Tu się zaczyna nowa cierpień doba. A wy się cieszcie, że to autor powymyślał tylko, że w życiu tak nie bywa. Śpijcie, wszak i sen szczęściem!...

Po przyjsciu do zamku Miecznik z żoną długo rozmawiał w komnatach. Iwan stał oparty o ganku kolumny, a coś tak niezwyčajnego miał w twarzy, że

⁴⁰⁴ *Sromota* – dawn. wstyd, poniżenie.

choć niektórzy poznali go i radzi by zapytać – nie ośmielili się jednak przerwać zadumy Kozaka.

Po długiej godzinie wyszedł Miecznik do sieni. Ciężko oddychał i był surowszym niż zwykle. Kozak nie słyszał kroków pana, bo w oknie dojrzał zapłakaną twarz Hani i palącymi kroplami padały mu te łzy na duszę – i bolała bardzo.

Miecznik czas jakiś patrzył na wyniosłą postawę i pełną szlachetnego wyrazu twarz Kozaka; może głos jaki powiedział, że i pod siermięgą bije serce szlachetne – nie wiem! Dość, że łaskawiej przemówił, zbliżywszy się do Iwana.

– Wiem, że byłeś na Zaporozu. Mam list, którym dano znać Staroście, żeś zginął...

Kozak jęknął na te słowa, a Miecznik mówił dalej:

– Znam Kozaków – lubię rycerskość: musiałeś być dzielny w boju, a twoje przywiązanie do rodziny mej żony każe mi wnosić, że będziesz na swym miejscu. Mości Trocki! – skinął na gubernatora swych włości, który w tej chwili dawał jakieś rozkazy. – Ściągniesz Kozaków, by im przedstawić watażkę Iwana. Sam wyjadę przed sotnię i powtórzę, co tu powiedziałem.

Skinął ręką i poszedł do pokojów. Stał nad kolebką syna i długo, długo wpatrywał się w jego rysy. Czy to patrzył ojciec, czy ostatni z rodu Zbaraskich? Trudno odgadnąć.

A niedługo szelest sukni oznajmił zbliżanie się matki dziecięcia. Miecznik cofnął się w głęboką framugę okna i patrzył z oddali.

Hania zbliżyła się do kolebki, spojrzała na śpiącą dziecinę. Aniołek we śnie uśmiechał się do mamy. O, tygrysie serce, taka chwila o łzy przyprawi. Młoda matka ukłękła przy kolebce syna i modliła się do Boga.

Na ten widok łzy stanęły w oczach Miecznika. Zbliżył się do klęczącej:

– Kochaj go, kochaj – rzekł z rozculeniem.

Hania spojrzała na męża.

– I ty masz łzy!... – rzekła. – Czemużeś trupa przykuł do siebie?... A ja sił nie mam potargać łańcuchy!...

Miecznik zbladł i niemy słuchał słów żony, która mówiła coraz to ciszej, jakby z wewnętrznymi łzami pasując się⁴⁰⁵ lub boleścią, co jękiem chciała ulżyć piersi:

– Ale ci dotrzymam słowa..., dotrzymam... Tylko nic między nami wspólnego. Słyszysz? Nic!

⁴⁰⁵ *Pasować się* – walczyć, zмагаć się.

– A syn? – rzekł Miecznik cichym głosem i słowem tym zachwiał całą moc kobiety.

– Syn... syn... – wyjąknęła. – O, czemużeś nie był szlachetny?! Błogosławiłabym cię, konając w męczarniach, a tak – muszę przeklinać ojca mego dziecięcia!...

– Nie przeklinaj, kobieto – zawołał Miecznik głosem rozpaczony – bo niebo skore do wysłuchania klątw nie uderzy we mnie, ale w to niewiniątko!... Nie przeklinaj! – jęczał, upadłszy na kolana przed nią. – Nie nade mną, nad nim miej litość!...

O, więc wszędzie jest serce!... Niechże przekłęci będą ci, którzy nad jego oniemieniem pracują, którzy go z piersi naszej wydzierają radzi! Przekłęci po wieki! Bo za ten skarb dajecie nam tylko łachmany rozumowania, okryte sprośnym robactwem obojętności!

Zbrodniarze! Błogosławić was będziemy, tylko sercem przemówcie do serca! I krzywdę naszą odpuścimy wam i nazwiemy bratem... Poprawcie się!...

Był moment, w którym matka mogła o piekle mąk zapomnieć i przebaczyć. Już łza święta, którą i Chrystus płakał na Golgocie, z serca płynąc, wydostać się chciała na zewnątrz. Miecznik drżał jak zbrodniarz oczekujący wyroku, trwożny kary, żądny przebaczenia... Dzieciątko otwarło oczki i, zda się, prosi za ojcem; w tej chwili ozwał się dźwięk teorbanu i żałośna nuta obijała się o mury komnaty... Hania jękała i rzutem ciała odchylając się od męża, krzyknęła:

– Przekłęty! – I upadła zemdlona.

W kolebce dziecię rozpląkało się na głos, Miecznik ścisnął pierś, jakby serce utulał z bólu. – Okropnie! – rzekł i wyszedł z komnaty.

Gdy się ocknęła zemdlona, ostatnia nuta żałośnie dumki konała gdzieś w oddali – dziecię usnęło ze łzami w oczach. Błada, z zaciśniętymi ustami, wyszła, nie spojrzawszy na syna.

W sąsiednim pokoju zamkowe kobiety słyszały rozmowę swych państwa, domyślały się reszty, ale chyba ksiądz na spowiedzi wywiedziało się co od nich: nie taki był Miecznik, by wolno było poza mury zamku wynosić to, co się w nim stało.

Gdy Miecznik wyszedł z pokojów, już sotnia kozacka stała uszykowana na podwórzu zamkowym: za chwilę nadszedł Iwan. Trzymany w rękę teorban postawił koło ściany, sam zbliżył się do przygotowanego dlań konia.

Go było w duszy Miecznika – nie wiedzieć. Zmarszczył brwi i rzekł tylko, spojrzawszy na instrument:

– Szabla i teorban to na raz za wiele.

– Nie dla Kozaka! – odpowiedział mu na to Iwan i dosiadłszy konia, wybiegł przed sotnię. – *Zdorowi mołodci!*⁴⁰⁶ – zawołał. – *A num iz wamy!*⁴⁰⁷ – I zatoczył koniem.

Kozacy huknęli „hurrah!” i poszli za przywódcą. A tak gracko uwijali się, wraże dzieci, tak już zwinnie szli za komendą, że Miecznikowi twarz mimo woli stroiła się w uśmiechy; zapomniał o bolesnej dlań scenie, która miała miejsce przed chwilą, i śledząc z konia obrotu Kozaków, wyhukiwał z pełnej piersi:

– Dzielnie! Gracko, co się zowie! O tak!...

A gdy się musztra skończyła, kazał beczkę wódki wydać na mołodźców, a z Iwanem długo i przyjaźnie rozmawiał sam na sam.

Niespodziane przybycie Kozaka do zamku, jego nastawienie watażką i ta dzielność, którą okazał przy sprezentowaniu się sotni, była dla mieszkańców zamku obfitym materiałem do pogadarek. Gadano też niemało i różnie, boć w zamku nie brak takich, którzy go znali z maleństwa i nie zapomnieli, że kiedyś zwano go niezwykłym.

– A jak się to wszystko zmienia – mówili. – Nawet w nim krychty⁴⁰⁸ nie ma z dawnego Iwana! Czemuż tak niespodzianie zjawił się w zamku i nie bramą wjechał jak zwyczajnie, ale ogrodem przyszedł z panem i panią?...

Miało się już ku wieczorowi, gdy Iwan wyszedł z zamku i znaną drogą zbliżał się do rodzinnej chaty, a tak był zajęty swoimi myślami, tak był obcy wszelkiemu innemu uczuciu, że minął ogrodzenie chaty i wtedy dopiero ocknął się z zadumy, gdy ktoś uchwycił go za rękę i dźwięczny głos zawołał z rozczuleniem:

– Jak się macie, Iwanie?... Ondzie⁴⁰⁹ wasza chata i tatuś oczekują...

Kozak zadrżał i teraz dopiero dostrzegł mówiącą.

– To ty, Paraniu? A matka?...

– Umarli. – I dziewczę zalało się łzami. – Ona was bardzo, bardzo kochała. Kozak milczał. Po chwili ocknął się z zadumy.

– Chodźmy do chaty – rzekł.

Gdy już weszli na podwórze, Parania wiedziona tym serca instynktem, który wszystko odgadnie, rzekła do Kozaka:

⁴⁰⁶ *Witajcie, mołojcy!*

⁴⁰⁷ *A ja z wami!*

⁴⁰⁸ *Krychta* – krzta, odrobina.

⁴⁰⁹ *Ondzie* – o tam.

– Tatuś pewno modlą się w świetlicy, bo jak wasza matusia umarli, to oni ciągiem się modlą... Może lepiej, gdy sama wejde i powiem jakie słowo... Zaczekajcie tu kryszkę⁴¹⁰.

I weszła do świetlicy. Skrzypnięcie drzwi zwróciło uwagę Chwedora.

– To ty! – rzekł, przerywając modlitwę. – Dobrze, żeś przyszła. Może już niedługo nam z sobą... Podobno czas mi w drogę: śniła mi się dziś Nastka i, ot, tu mi do chaty przyprowadziła syna... To znak pewnie, że już mi nie do życia... Ej, choćby zaraz – nielekkko na tej ziemi...

– A mnie się zdaje – rzekło dziewczę – że sen inaczej by wyłożył: Iwan żyw na świecie i powróci do chaty.

– Gdzie by już mu, choćby i żyw! Porzucił ojca i matkę nie na to, by powrócić... Bóg z nim! Ja mu nie wyrzekam...

Parania rzuciła mu się na szyję ze łzami.

– Bo nie macie czego wyrzekać. On was kocha... On jest tu...

– Tu?!... Nie żartuj dziewczyno, bo nie wiesz... Nie! Nie!...

– A chodźcie już, Iwanie! – I w tej chwili Kozak padł do nóg ojcu.

– Przebaczcie, darujcie!...

Chwedor stał nad synem; po chwili porwał go w drżące ramiona.

– Synu! Synu!... – I zapłakał jak nigdy. – Czemużeś się nie pospieszył, by matce ulżyć w skonaniu?!...

Długie i czułe było przywitanie ojca z synem. Obrazu dopełniała postać Parani, płaczącej radośnymi łzami.

– Bogu niech będzie chwała, że mi przed skonaniem udzielił tej pociechy, że cię oglądam. Synu, synu! Czemuś ty matki tak nie pocieszył?! A ona tak czekała, tak się spodziewała!... Ale już Boża w tym woła i Jego to grzesznych pokaranie... Ta, niech Mu będzie chwała, że i taki koniec zrobił. Gdzież twój koń? Dać by mu obroku – zasłużył się, bo mi syna przyniósł. Paraniu!

– Przyszedłem pieszo.

– Taki świat?

– Z zamku.

Na te słowa zbladł Chwedor, pobladła i Parania.

Chwedor patrzył chwilę na syna, który ciężko zwiesił głowę na piersi.

– Synu, synu! Czyby nie pora mieć opamiętanie?...

⁴¹⁰ *Kryszka* – nieduża ilość czegoś; tu dosł.: trochę.

– Sami oddaliście mnie na służbę, ja służyć muszę... – rzekł Kozak ponuro. Chwedor zakrył twarz rękami i płakał. Płakała i Parania. Kozak milczał.

Tymczasem dobrze już ściemniało; blada twarz księżycza zajrzała przez okienko chaty. Ocknął się Chwedor.

– Dobranoc ci, Paraniu! Zostaw nas samych, bo nie o jednym musimy pomówić. A jutro rano dowiesz się, jak zwyczajnie.

– Dobranoc wam... I wam dobranoc!

Ale zadumany Iwan nie słyszał tego pożegnania, nie widział i łzawego spojżenia dziewczyny, które jaśnie mówiło, jakie uczucie kryje się na dnie jej serca.

Chwedor i Kozak pozostali sami.

Długo w noc ciągnęła się rozmowa ojca z synem. Nie wiedzieć, co mówili ze sobą, ale gdy żegnając się, Iwan całował rękę ojca, Chwedor rzekł głosem stanowczym:

– To jej wola, synu, i moja wola. Nie usłuchasz – niech cię Bóg osądzi.

– Daliście mi miesiąc czasu. Po miesiącu albo przeklinać, albo błogosławić mnie będziecie – rzekł i odszedł spiesznym krokiem.

Na podwórzu długo stał ojciec i modlił się szczerze, a dłużej jeszcze w zamku słyszano głos teorbanu, który czarowną nutą płynął po rosie, znad parowu, w ogrodzie.

—

Dziwne dziwo stało się w zamku. Znikli lekarze, jakbyś wymiółł. Dobrze zapłacił im Miecznik, bo mu wyleczyli żonę: pani była zdrowa. Nie wracają wprawdzie rumieńce, nie ma uśmiechu na ustach i westchnienie po dawnemu ulatuje z piersi, ale zmiana w pani wielka: już rozumie, co mówią do niej, już i sama przemówi i rozkazy wyda; bierze do rąk robotę i dzieciny dogląda sama, a częściej ma oczy zapłakane i godzinami przesiaduje w kaplicy zamkowej i modli się, modli. A taka zmiana – jakoś od przybycia watażki; i nie wiedzieć, czy lekarze pomogli, czy ulżyła spowiedź, bo spowiadała się nazajutrz – dość, że przyszła do siebie.

Różnie różni mówili w zamku i we wsi, ba i po okolicy gruchnęła wieść, że Miecznikowa przyszła do siebie i – jak przystało na wielką panią – daje powagę domowi i we wszystkim jest jako należy. Dziwiono się tej zmianie powszechnie, trochę niedowierzano i jeden, drugi, by się przekonać, zawitał do zamku:

– Prawda! Boskie to zmiłowanie. Szczęśliwy Miecznik. Piękna niewiasta Miecznikowa. – Tak mówili sąsiedzi, winszując, składając życzenia nadal, i nie-

jeden uwierzył prostodusznie i od serca: „Jacy oni szczęśliwi!” – powiedział. O, szczęśliwi!...

Jeszcze ludzie nie przyszli do siebie z jednego dziwa, że pani wróciła do zdrowia, a tu już drugie, także niemałe: pół roku nie minęło, a już Iwan staje z Paraską do ołtarza. Dziewczyna, prawda, uczciwa i urody nieskapo, a że biedna – to nie sromota! Ale jakoś to niezwyczajnie, że ją bierze watażka..., bo choć znano, że syn chłopca, przecie tak mu jakoś z oczu patrzy, tak jakoś..., że taki dziwota, iż bierze Paraskę!...

O kochaniu między nimi nikt nigdy nie słyszał. Kozak z dziewczyną nigdy i nie pogadał, jak mówią, uczciwie..., a bierze ją. Dziwo – taj hodi! A już co najdziwniejsza, że sam pan Miecznik swatem: posag wielki daje Parasce i co dzień przynagla Kozaka, by prędzej szedł do cerkwi. Co by mu w tym, czy Kozak ożeni się, czy nie?... Nie wywiedzieć się tu prawdy i dziwota, że się to jakoś tak dzieje...

A Iwan blady, blady – ni to cień błąka się po ogrodzie i w nocy go tam znajdziesz, bo nie śpi, nie je... I pani coś czy nie zduża, czy co..., bo blejsza jeszcze niż zwykle i rzadziej się pokazuje na pokojach. Stary Chwedor tylko patrzy na syna i modli się w duchu, a ile razy wspomni mu, że pora, Kozak pochyli się, jak trzcina:

– Tatu, miejcie litość! – jęknie. – Czas mi jeszcze będzie i jutro umrzeć!

– Szalony! Szalony!... Czego ty czekasz?... Czego się spodziewasz?...

– Nic, nic! Jeszcze jutro...

Chwedor opuścił siwą głowę na piersi.

– Ha, trzeba tak jeszcze... – rzekł i nazajutrz ze zdumieniem obaczono go w zamku.

Pozdrowił ludzi zamkowych, pokłonił się panu i prosił, by mu pozwolono obaczyć się z panią.

Zadziwiły bardzo Miecznika te odwiedziny, ale nie odmówił prośbie i wkrótce Chwedor pozdrowił wnukę dawnego swego pana. Co tam mówili ze sobą, to Bóg wie chyba. Niedługo jednak na rozkaz pani wyszukano watażkę i zawezwano do pokojów. Z bijącym sercem odmyka Iwan drzwi komnaty i zbladł bardzo, obaczywszy ojca. Hania stoi jako posąg nieruchoma i oczyma, które, zda się, nic nie widzą, patrzy przed siebie.

Chwil kilka trwało milczenie. Przerwała go Hania, zwracając się do Kozaka:

– Nie byleś – rzekła dziwnym głosem – gdy umierała twa matka... Ja byłam... i ona mi mówiła... To jej woła, Iwanie... Ona nie zaśnie w mogile... Idź!..., idź!... Ona twoja...

Upadła na krzesło z wysilenia.

Kozak jęknął.

– Ha, niechże będzie, jak chcecie! – i zwracając się do ojca, dodał rozpacznie – Prowadźcież mnie! Bądź zdrowa! – jęknęło mu w duszy.

I ojciec z synem wyszli z komnaty. W sieniach spotkali Miecznika.

– Wesoły dzień jutro dla mnie, jasny panie! – rzekł Iwan, aż drgnął Miecznik. – Toż mi was na to wesele zaprosić...

– Szczęść Boże! – zdobył się Miecznik. – Przyjdę. I jeszcze raz: daj Boże!

Może i szczerze życzył, ale na ustach Kozaka był jakiś bolesno-szyderczy uśmiech.

Nieludzkież bo serca bywają u tych ludzi! Najsroźszej nie zaniechają katuszy, byle formalnościom zadośćuczynić.

Nie dość z nich było mąk – jeszcze raz serce rwać będą, bezzałośni!

– Musisz być obecną... – mówił Miecznik do żony błady jak trup – by podejrzenia usunąć...

– Litości!... Boże!

– Pomnij na umowę!...

Wiele, wiele musiało ją to kosztować i wszystkich sił potrzeba było dla wyrzeczenia jednego słowa:

– Będę.

Nazajutrz państwo młodzi szli do pokojów po błogosławieństwo zwyczajem.

Niewesele tam na twarzy dwojga i stary ojciec szepcze modlitwy – co żyje, smutnie patrzy na młodą parę. Weszli do pokoju.

Domownicy i służba stanęli kołem, na środku, w poręczowych krzesłach – pan i pani. On błady i twarz ma straszna, ona – prędzej do trupa podobna, siedzi martwa na krześle. Pokłonili się państwo młodzi, proszą o błogosławieństwo. Pannę młodą już pobłogosławili; pan podniósł z ziemi Kozaka. Straszna chwila zbliża się. Pijany nieprzytomnością upadł Iwan do nóg swej pani.

Choć Miecznik groźnie patrzył na żonę, choć całą duszą błagała ona niebo, by jej moc dało, i wszystkich sił dobyła, by nie okazać, co czuje – jęk sam się wyrwał z piersi, przytomność ją opuściła.

Domownicy rzucili się nieść ratunek pani, ludzie podnieśli pana młodego.

Popatrzył wkoło, zaśmiał się.

– A gdzież moja młoda?... Czas by na wesele! Chodźmy!...

Jak śmierć bladą była Parania, gdy wstąpiła na stopnie ołtarza. Ojciec łyżycierał Miecznikowi usta drżały i niecierpliwie rwał nici złotolitego pasa. Pan młody miał uśmiech na twarzy.

Wiek cały dla Miecznika trwał obrzęd ślubny; skończył się wreszcie i Miecznik westchnął swobodnie. Nastąpiły powinszowania. Kozak nie rozumiał, co mówiono, nie widział mówiących... zasłuchał się – może w tej chwili słyszy, jak ktoś w gorączce wymawia jego imię...

– Prowadźże swą żonę – rzekł Miecznik do zadumanego.

Kozak ocknął się.

– Żona! A tak, to moja żona... Dziękuję wam, panie, wam ojczy i wam, i wam!... Ha, ha, ha, daliście mi żonę!...

Skończył się ślubny obrzęd. Po miesiącu ozdrowiała pani. Niedługo jakoś umarł stary Chwedor, a Iwan został z żoną i watażył⁴¹¹ zamkowemu kozactwu. Dobrze mu i szczęśliwy!?!... A cierpieniu nie koniec.

X.

Gdy bieda własna nasiedzie nas, że ani tchnąć swobodnie, zapominamy o innych, całą myśl święcąc sobie, własnej niegodzie⁴¹².

Najściem Tatarów strwożeni, gdy wróg ich siedziby w popiół obrócił, sami drżąc o własne życie – zapomnieli włościwanie o niezwyčajnym chłopcu Iwanku; rzadko kiedy mówiono i o dorodnym Kozaku, co tak pięknie umiał wygrywać na teorbanie... I ot, może by całkiem znikł im z pamięci, gdyby nie to, że Tatarów nie stało, chata się odbudowała i wszystko poszło zwyczajem... A tu i Kozak spadł jak z nieba; pan swatem..., ojciec umarł..., wesele – żal się Boże i tego nazwiska!...⁴¹³ Iwan chmurny, słowa nie przemówi..., pani niby po dawnemu, niby inaczej, a taki zaśmiać się nie zaśmieje... Iwanowa Paraska we łzach, zmarniała na licu, że ją nie poznać... Ot, lichy jakieś musiało się tu wmieszać i coś niesamowitego w tym wszystkim!

⁴¹¹ *Watażyć* – być watażką, przywódcą.

⁴¹² *Niegoda* – niedola, nieszczęście.

⁴¹³ *Nazwisko* – dawn. nazwa.

Czego by im? Zdaje się młodzi, nie słabują... jest dostatek... A nie – sumują⁴¹⁴, aż żal na nich spojrzeć!... Coś tam musi być między nimi!... Tak miarkowali ludzie we wsi i uwaga ich częściej zwróconą była na Iwana i na jego żonę.

Zawsze tak bywa! A jaka z tego komu pociecha? Kumie kuma, a sąsiad sąsiadowi będzie miał co powiedzieć do ucha i głową pokiwać, i westchnąć, a tamtym przybędzie co z tego? Lżej może zrobi się na sercu?... Gdzie tam! Jeszcze więcej bólu od ludzkich języków!...

Bodajże was, wy szeptuny! Zamilklibyście lepiej.

Nie słuchają. Tylko i mowy w wiosce, co o Kozaku, jego żonie, taj jasnych panach w zamku... A długie gadania na co się przydały!...

– Dzieckiem był niezwykajny... Zdawało się, Kozakiem niby statku nabrał⁴¹⁵, a tu – wrócił Bóg wie skąd i dziwny już taki, że ani powiedzieć... *Czudnyj, taj hodi!*⁴¹⁶

I skończyli na tym, a jak kogo zapytasz o Iwanie, to ci odpowie: „*Czudnyj czołowik!*”⁴¹⁷ i ręka machnie, a więcej słowa nie dorzuci.

Chyba by nam czy nie obaczyć, co robi ten *czudnyj*, jak go w wiosce nazywają, i co porabiał, bo oto rok już jakoś, jak stary Chwedor przestanił się⁴¹⁸, i czas by Kozakowi inaczej począć sobie, bo i przed Bogiem grzech, i ludziom w oczy spojrzeć trudno...

Oj, ciężko mu, ciężko – że w mogile lżej by było ze strzałą tatarską... Lżej by mu było, gdyby kości kozacze roznosił zwierz po stepie!... Męki serca to straszne męki! Ni dnia, ni nocy, chwili spokojnej nie ma! Bo serce rwie się, to zamiera w piersi, a dusza jęczy, skarży się i wyrzeka... Straszne to męki – kochanie!

Tam duch matki nie błogosławi miłości syna, ojciec we śnie upomina do poprawy... Tu żona Boga we łzach błaga, ludzie niedobrym okiem patrzą... sumienie wyrzuca... Kozacze! Kozacze! Nie dawaj sercu woli!... Nie zaprzepaszczaj twej duszy i ich nie gub niewinnych!

Nie słucha! Bo serce nie słucha! Bo dusza łączyc się chce z duszą! A Kozak panem ich nie jest!...

⁴¹⁴ *Sumować* – smucić się.

⁴¹⁵ *Nabrać statku* – ustatkować się.

⁴¹⁶ *Dziwny, ot co!*

⁴¹⁷ *Dziwny człowiek!*

⁴¹⁸ *Przestanił się* – umrzeć.

Przepaście dzielą ich od siebie, łańcuchy ciężkie krępują – sił nie ma, by je przebyć, by potargać, zniszczyć... Ale duch zapory nie zna! Duchy ich ze sobą! I tych nie rozłączą tu i tam nie rozdziela! Ale ciała? Ciała!...

Czegóż wy chcecie? Ludzie wy, nieludzie! Ona – pani, on – sługa... Ona jest żoną innego, on mężem innej... Ta matką jest, on...

I zadrżał na tę myśl. On jest ojcem. Czy nie za wielki przedział między dwojga dzieci?...

Nie! Nie! Świat cały!... Zbawienie!... Niebo bez niej – piekło! Tak mi sądzono... Jam niewinny!

I zapominał na wszystko, a cały oddawał się marzeniu – tak, bo Kozak marzył tylko! Zapomnieć, że się jest na świecie, utonąć w dumaniach i wywoławszy jej obraz przed siebie, patrzeć weń duszą, karmić nim serce, żyć tym widokiem – oto co robił Iwan.

A ludzie patrzyli na zadumę Kozaka i żegnając się pytali:

– Co mu jest? Co z nim?

Ha, ha, gdybyście wiedzieli, gdybyście odczuli!...

„Czudnyj ten Iwan!”. Prawdę mówicie, ludzie dobrzy! Nie dziwotaż to: zapomnieć o świecie, wyrzec się wszystkiego i tylko w sercu jakiś obraz chować, i durzyć siebie i serce?... Prawdę mówicie, ludzie! Tylko w a s z ą prawdę...

Dla innych niczym wszystko, a wszystkim – serce, kochanie!... Tacy już śmieszni sobie!

On ją widział co dzień, niekiedy przemówił do niej – i żył. A gdyby tego nie było – umarłby! A może lżej by w mogile... Bo ciężkie, ciężkie życie takie!

I ona żyła. Skargi z ust jej nie usłyszysz, łzę chyba Bóg widzi, bo ludzie nie mieli na to oczu! Umiera tęsknotą za tym, czego brak uczuwa, a jakiś głos mówi jej, że nie ma – szczęścia... Żyje – marząc. A te marzenia czarodziejską siłą mają w sobie, tajemnicze są i niewiedne⁴¹⁹, a tak splątane dziwnie, że się wyróżnić nie dają: marzenie łączy, wiąże się z marzeniem, wypłyne jaśniejąc, to się drugim zaćmi; swym powstaniem niszczy tamto i samóż przepada...

To w nich marząca widzi cienie rodziców, ubiegłe lata dziecka..., to poważna postać dziadka wypłyne na błękity... Iwaś się jej ukaże, jak patrzy w nią tak dziwnie... To go widzi Kozakiem: gra i śpiewa rzewnie, a patrzy, wciąż patrzy na nią!... Widzi go w lesie, jak zapewnia, że ją uratuje, i wzrok jego czuje na

⁴¹⁹ *Niewiedny* – niejasny, nieodgadniony.

swej duszy... Upadł od kuli Tatara... O, ten obraz przeraża ją zawsze! A w duszy gdzieś brzmiało: „Przyszedł i zabił... i nie ma go tutaj!”...

Westchnęła i łza czasem zwilżyła powieki... On u jej nóg..., wrócony..., nie zginął... Ha, Miecznik! I zadrżała, bo jej się zdało, że on jej myślom nawet przytomny... Marząc, najdłużej myśli o Kozaku, ale o tym nie wie, nie domyśla się nawet, a żaden głos nie powiedział jej: „Kochasz!”.

Kocham! Jakiejże to tajemniczej potęgi słowo! Ukryte w nas – obezwładnia, zabiera siły ducha, niszczy, czyni nieszczęsnymi... Wymówione usta, odczute sercem: stwarza świat inny, pigmeje⁴²⁰ przemienia w olbrzymów i chociaż męki daje, są one jednak rozkoszą wobec wszystkiego, co w przyszłości za nami zostało, co miało miejsce pierwiej, aniżeli wyrzekliśmy jedno słowo.

Hania biedną była, bo nie wiedziała, że kocha...

Krócić⁴²¹ dni swe tęsknotą za szczęściem, które ani określić niepodobna – to za wielką mąk siła, to cierpienia nadmiar!...

Rażniej idzie i najuciążliwsza droga, gdy cel ma przed sobą, granicę swą znajdzie; ale gdy tego nie będzie..., cóż pozostanie podróżnym? Rozpacz bez jęku, westchnienie bez ulgi, a nadzieja, chyba gdy życiu koniec będzie!... Taką nadzieję miała Hania.

A Miecznik? Pochmurniał bardziej jeszcze i troskliwszą opieką otoczył swego jedynaka, dziedzica obszernych włości i sławnego imienia Zbaraskich. Syn, marzenia o jego przyszłości – stanowiły świat Miecznika, a wszystko inne, zda się, mało go interesowało. Jednak kto oko miał lepsze, dostrzegał pioruny spojrzeń, które miotał na swą żonę i na watażkę... A gdy z północy doleciał go dźwięk teorbenu i nuta dumki żalostnej obijała się o uszy, porywał się z pościeli i ręka mimo woli chwyciła pałasz⁴²², a w piersiach zagrało piekło!... Ale wnet przypomniał sobie słowa żony..., syn w umyśle wyciągał doń rączki błagalnie – szabla wypadła z rąk Miecznika, ciężkie westchnienie obito się o ściany komnaty i często widziano go, jak ze swej sypialni szedł do pokoju dzieciny; stał nad kolebką syna, wpatrywał się w jego rysy i wracał po chwili, odmawiając cichą modlitwę.

Pańskie serce miał w swych piersiach Miecznik: nie kochał swej żony miłością, uczuciem świętym, bo go nie pojmował, i śmiał się, ilekroć o nim mówiących

⁴²⁰ *Pigmeje* – tu przenośnie: ludzie niskiego wzrostu, mali.

⁴²¹ *Krócić* – skracać.

⁴²² *Pałasz* – jednoręczna sieczno-kolna broń biała.

zasłyszał, a jednak piekło wrzało w nim na samą myśl, że kto inny kochać ją może... A że tym innym chłop... O, piekiel zemsta!... I byłby mu dał uczuć moc swoją, byłby wziął pomstę okropną, gdyby nad przywary swego stanu, nad namiętności własne, nad wszystko nie był mu droższym syn – ostatni z jego rodu... A matka przysięgła, że go zabije..., i jakiś instynkt kazał wierzyć ojcu, że uczyni to... Okropność! Więc piekła płomienie pokrył Miecznik chmurą i był spokojnym przy ludziach, obojętnym niby, ale na samotności ryczał nieraz, wściekły, że taki przymus znosi – raz pierwszy w życiu! Ależ bo dotąd ojcem nie był jeszcze...

Tak płynęło to życie: łzy, cierpienia, męki..., a szczęścia nigdzie, a dola gdzieś za morzem, w gościnie! Oj, ciężko nam, ciężko na tej tu ziemi biednej, choć ona rajem naszym. A nie wiedzieć, co by lepszym: czy cierpienie w raj, czy gdyby cierpień i raj, czy nie było?...

Nad córki kolebką płacze Parania i łzawą nutą do snu ją kołysze. Wesoła pewnie dola będzie dzieciny, gdy u wstępu życia witają ją łzy matki i pieśń jej w jęk wpleciona!...

W zamku Hania do szczęścia tęskni i wyczekuje śmierci, bo tam koniec cierpieniu... Miecznik gwałt zadaje sobie i jest – spokojny! A Iwan? Nie pytaj, bo ci krew serca, bo jęk duszy będzie odpowiedzią! On wie, że kocha, wie, kogo kocha, i cierpi nadludzko, bo mógł być szczęśliwym.

A czy pojmujecie wy bólu siłę, gdy człowiek jęknie: „Mogłem być szczęśliwy!”? Nie mówcie mu o niebie, bo go utracił... piekłem nie straszcie, bo większych mąk tam nie ma nad te, które tu przebywa!...

Od dziecka czcił ją jak świętość... Dla niej gwałt zadał sobie i stał się jak inni – z w y c z a j n y m... Dla niej rzucił matkę umierającą... Za nią w krwi i płomieniach zbiegł świata połowę... Dla niej rzucił bogactwa, zaszczyty, miłość towarzyszy, sławę... Na jej słowo, zakłębom ojca nieczuły, włożył na się pęta: jest mężem i ojcem... Dla niej wszystko! Wszystko poświęcił... i zapragnął – szalony!

– Nieba, obruszcie się! Pioruny, w nicość roztrąćcie! Chcę – pragnę – m u s z ę zaznać chwili, jednej chwili szczęścia!

Takie pragnienie strąciło aniołów w otchłanie piekła, a kto je w nasze dusze nasyła, niech winnym będzie grzechu, jeśli to grzechem mieni!...⁴²³

⁴²³ *Mienić* – uważać.

Pragnienie to odjęło mu zmysły. O wszystkim zapomniał, a nic by go wstrzymać nie mogło! Dusza długo cierpi, serce w krwi nurza się lata, lecz gdy raz szczęścia zapragną, wydrą go u piekiel i nieba, i piekłem, i niebem pogardzą!

—

W podziemiu dopiero, ciężkimi łańcuchy okuty, ocknął się Iwan i przywoływał wspomnieniem świeżą przeszłość, która go tu zawiodła. Przypomniał ten ogień pragnienia okropny, który wszystkie siły ducha ośwładną i ku jednemu skierował... Nie on szedł, bo przytomność go odstąpiła – kto inny wiódł jego kroki do pokojów zamkowych, do jej pokojów... Pamiętał jednak, że gdy go próg tylko od niej oddzielał, zatrzymał się, bo mu się zdało, że z jego chatki płynie głos żony i dziecka: „Litości, mężu! Litości, ojczel!” I choć nieprzytomny, byłby się cofnął, bo taki głos umarłego w trumnie poruszy, ale snać dusza gdzie indziej była... bo duszą usłyszał on, jak senna wpół wyszepnęła jego imię... Ach!

I rzucił się na przegniłej słomie, aż ciężkie łańcuchy jęły, bo je omal nie zerwał więzień. Ten brzęk wrócił mu przytomność.

– Zginę... Miecznik weźmie pomstę... Niech bierze! Szubienica – mój koniec. Ha, ha, ha! Czy myślałaś o tym? Matko! O, prędzej już, prędzej, bo ktoś tam igra moim życiem, a mnie już spieszo zasnąć.

– Ha, krzywdę jej uczyniłem!... – I podniósł się na słomie, a szklany wzrok utkwiał w jakiś punkt.

– Przebacz! Kazano mi zapomnieć, żeś aniołem... Przekłeta godzina, w której światło dnia ujrzałem! – I upadł na słomę, pogrążony w stan półnieistnienia...

Po chwili ocknął się.

– Jak długo tu jestem?... A, chleb koło mnie: trzy kromki, więc trzy dni temu... Czemuż raz końca nie zrobią?...

W tej chwili dał się słyszeć szmer i wkrótce otwierany zamek jęknął pod kluczem...

– A, idą już. Prędzej..., prędzej!... Raz już koniec tej doli! – i zamknął ciężące mu z osłabienia powieki.

Drzwi więzienia otwarły się. Do ciemnicy weszła biała postać kobiety; niesiona przez nią latarka rzucała tylko wazką smugę światła w kierunku przed idącą.

Gdy światło padło na więźnia, kobieca postać stanęła w milczeniu.

– Czegóż stoicie?... – rzekł więzień po chwili. – Jam gotów, chodźmy! – I odkrył powieki.

– Co? ty? wy pani?!... Chwilkę, jeszcze chwilkę!... Dłużej tak śnić... Ona... tu..., tu... Nie budźcie mię!...

Błada postać zachwiała się, sklepienie komnaty obito jęk jej, powtórzony gdzieś w przedsionkach...

Nachyla się..., odmyka zamki łańcuchów.

Iwan patrzy w nią zachwytem nieprzytomny, aż gdy opadłe żelaza jętki na kamieniach podłogi. Rzucił się jej do nóg i jęczał:

– Pani! Przebacz! Daruj!...

Szkiło się oko Hani, a światło latarki jeszcze ją bledszą czyniło.

– Uchodź – ledwie wyrzekła – wolny jesteś... Uchodź!

Iwan był u jej nóg...

– Isć?... Nie widzieć, jak pierwej! Nigdy! Umrę tu.

Hania zbladła bardziej jeszcze, a ręka mimo woli padła na serce, jakby jęk jego chciała przytłumić.

– Nie umrzesz... Żyj, Iwanie!...

A głos jej tak był błagalnym, taka zeń łzawa przegłądała prośba, że nie usłuchać go było nad siły człowieka. Iwan w proch padł przed nią i całował kraj jej szaty.

– Aniele! – jęczał, łzami się zalewając. – Umrzeć bez ciebie... Każesz – umrę! I chwiejającym się krokiem wyszedł z ciemnicy.

W przedsionku rzuciła mu się na szyję wybladła postać kobieca.

– Iwanie!

Kozak pojrzał na żonę i odtrącił jej ramię. Bezprzytomna upadła na zimny gład podłogi. Marmurowo poważna Hania wyszła w tej chwili z ciemnicy. Zemdlona ocknęła się.

– Ha, to ty! – I straszne przekleństwo miała na ustach...

Hania nachyliła się do niej.

– Paraniu! Przyjdź do siebie... On wolny...

Nie siła przekląć podobnie mówiących!... I biedne dziecię ludu, Parania, całowała rękę swej rywalki, gorącymi zlewając ją łzami.

Płakały obie.

U drzwi zewnętrznych dwa konie trzymał Kozak za uzdy.

– To wy, watażko? – zapytał wychodzącego Iwana. – Oto koń wasz i ja z wami.

Iwan nic nie rzekł. Dosiadł konia i dwaj jeźdźcy wkrótce znikli w ciemni nocy, a gdy nazajutrz, z południa, obaczono opróżnione więzienie, Iwan był już daleko, że gonić za nim było rzeczą nieużyteczną.

Więcej o jeden zmarszczek przybyło twarzy Miecznika na wieść o ucieczce watażki. Chwiejącym się krokiem poszedł do pokojów żony i stanął przed nią surowy.

Zimne spojrzenie Hani odparło wzrok Miecznika, że mu ten chłód wionął gdzieś w duszę.

– Ułatwiłaś mu ucieczkę! – rzekł po chwili. – Więc nie mam żony!

– Nie masz! – odparła Hania ponuro. – Tam syn!...

– Syn! – wykrzyknął z trwogą Miecznik i miał się ku drzwiom wychodnim.

– Żałowałam go... i tamten wolny!

Miecznik patrzył przez chwilę na żonę i śnać bój stoczył ze sobą... Odchodząc, wymawiał:

– Bądź wola Twoja...

Hania obojętnie patrzyła przed siebie.

I znów dziwo ludziom: Iwan uciekł z więzienia, a różnie mówili, za co go więziono... Pani po dawnemu blada i niemowna... Pan dnie i nocy przesiaduje w pokoju dziecinnym... Bóg to wie, co między nimi!...

Popłynęło życie – znów leż ruczajem i gra westchnieniami, jękiem... Komu tam cierpień naszych trzeba?... Czy się we łzach kąpią, a z jęków mają kapelę?...

—

Czy znacie węża zemsty, co w piersi ma swe siedlisko, a zabójczym jadem toczy serce?... Straszliwa jego potęga i wiele cierpi, w kim zamieszka ten piekła mieszkaniec.

Giraj na chwilę nie przestał myśleć o wrogu swym śmiertelnym, któremu zemstę poprzysiął: wciąż miał przed oczyma ohydną dlań postać Miecznika, ale jakby się uwzięli, by go od zemsty odprowadzać: lata całe Giraj był wysyłany to przez chana w oddalone krainy, by je królestwu Taurydy zhołdować, to sułtan zaszczycał go dowództwem swej armii... i nigdy Giraj nic był swobodnym do działań na własną rękę. A zemsta żarła mu serce...

Wreszcie skończyły się wojny. Giraj wrócił do Krymu i zadrżał rozkoszą, że przysłała chwila zapłaty – zemsty na wrogu.

Chciał w sto tysięcy pójść do Polski, mieczem i ogniem przejść świat cały..., dostać go w swe ręce!... I ryknął wściekle: z Polską była zgoda, a chan za nic nie chciał wywoływać wojnę. Kazał bratu oczekiwać stosowniejszej chwili.

Czekać... gdy zemsta pali, rozrywa?!... Czekać?!... A on tam szczęśliwy – drwi z Giraja... – Nigdy! Ale cóż począć? Chan wojska nie daje... Chan nie chce wojny... I jakiś plan nowy powstał w jego głowie, a snąc i wykonanie pośpieszyło za nim, bo w godzinę Ali, prawa ręka Giraja, wyruszył z zamku w daleką drogę... Giraj nie spał, nie jadł, oczekując powrotu swego wysłańca. Powrócił wreszcie. Ali dowiedział się o wszystkim: ożenił się z nią, ma syna, mieszka na stepie...

– Nie kończ! Bo pierś rozsadzi zemsty pragnienie. Śmierć, śmierć jemu!

I długo coś mówili ze sobą, a nazajutrz brat chana wybrał się w dwieście koni blisko na polowanie. W dni kilka znikli z Krymu myśliwi z Girajem, natomiast na stepie, w oddali, dostrzegli Kozacy jakiś oddział – niby kozacki, ale nie wiedzieli skąd się on wziął tutaj, bo w okolicy wszędzie cicho; chyba że jaki pan jedzie z orszakiem..., ale skąd mu jechać znad Dniepru?... Tak miarkowali Kozacy, rozłożeni taborem wśród stepu, patrząc w stronę, w której zniknął już oddział jezdnych. W tej chwili dostrzegli zbliżających się z przeciwka dwóch Kozaków. Obaj byli młodzi; tylko że jeden jechał z fantazją i wąs kręcił, drugi opuścił głowę na piersi i zdał się nie zważać, co się wkoło niego dzieje. Byli to: Iwan i jego towarzysz. Ledwie się zbliżyli do stójki kozackiej, już młodźce poznali swego atamana i z krzykiem „Czajka!” rzucili się doń, witając serdecznie. Rozpytywania nie trwały długo, bo i ślepy obaczyłby, że Iwanowi nie do rozmowy...

I Kozacy smutnie patrzyli na swego atamana; a niejednen westchnął, gdy od towarzyszącego mu Kozaka dowiedzieli, co spowodowało powrót Czajki na stępy. Mówiono niemało, klęto Laszki i Lachów... dostało się wszystkim!

Iwan, nieprzeszkadzany w swych dumaniach, legł na trawie i zapomniał o wszystkim, przytomny tylko jednemu, co w duszy jego zapadło na wieki. Pod wieczór, gdy Kozacy zamierzali udać się na spoczynek, zapomniawszy może o podejrzanym oddziale jezdnych, w galopie wpadło kilkunastu młodźców, uwiadamiając swych towarzyszy, że spotkali oddział Kozaków, ale gdy ich pozdrowili kozackim zwyczajem, zamiast odpowiedzi spotkali się tylko z groźnym wejrzaniem i oddział ruszył z kopyta.

– Nie wiem czemu – mówił jeden z świeżo przybyłych Kozaków – ale mi się zdaje, że w tym jakaś nieczysta sprawa! Ci Kozacy jakoś mi diablo nie po kozacku wyglądali, a niech zginę, jeżeli w dowódcy ich nie poznałem tego diabła ognistego Giraja, co to mu podziękować mamy za ostatnią łaźnię.

Na wzmiankę o Giraju ocknął się Iwan i kazał sobie powtórzyć, co mówiono przed chwilą. W miarę jak się dowiadywał o wszystkim, twarz jego bladła bardziej jeszcze, a serce przestawało bić w piersi...

- W którą stronę zwrócili się? – zapytał.
- O tak, prosto, jak mogła Ihwy! – odpowiedzieli Kozacy.
- To coś jak nasze sioło⁴²⁴ – zrobił uwagę Kozak, który przybył z Iwanem.
- Na koń! – krzyknął Czajka. – To Giraj.

Na to słowo cały oddział porwał się na nogi. Giraj! Jemu to mają Kozacy podziękować za śmierć towarzyszków!... Nie dosłuchali tłumaczenia Czajki, na czym opierał swe podejrzenie, że to Giraj chce zemścić się na Mieczniku, ale żądni odwetu ruszyli z kopyta. Jak wicher lecą po stepie. A Iwan chciałby piorunem spaść na wroga, bo on a w niebezpieczeństwie!...

Nie mylili się Kozacy, nie mylił się Iwan. W rzeczy samej byli to Tatarzy, przebrani za Kozaków, by tym łatwiej mogli zdradą podejść Miecznika i przejść spokojnie Ukrainę. Pod owe czasy tak nie trudno było o wieść, że tam a tam pan najechał pana, wyгнаł go z włości i zajął takowe, że Giraj śmiało mógł liczyć, iż mu się uda zagrać w ślepią babkę, a byle pochwycić Miecznika – nie dbał, czy się z tego wojna wywiąże dla Krymu, czy nie! Zgodził się na plan podany przez Alego i przebrawszy wiernych swych Tatarów po kozacku, sam przywdział strój wielkich panów i ruszył do Miecznika w gościnę!

A serce ledwie mu z piersi nie wyskoczy, tak się raduje na myśl zemsty, za którą tęskniło lata... Giraj zmusza konia do pośpiechu, a od czasu do czasu chwyta rękojęść kindżała i ciśnie go w dłońi...

Przebyli niebezpieczeństw niemało i, zda się, nic im nie grozi; niemała przestrzeń oddziela ich od Krymu, w którym nie wiedzą, że brat chana tak daleko wybrał się polować... Roś przejechali, widnieją się mury zamku, wieś..., zamek. Wjeżdżają w aleję... W piersi Giraja zamarł dech na chwilę; zapanował nad sobą, skinął i trębacz zadął w trąbkę. Z zamku widziano orszak.

– Kto by to mógł być taki?... Snać pan jakiś wielki...

– Pomsta wie, po jakimu zatrąbił. Niech się ode mnie nauczy – rzekł trębacz zamkowy i odtrąbił na sygnał.

– Gość w dom – Bóg w dom – mówił Miecznik, patrząc na wjeżdżający do zamku oddział.

⁴²⁴ *Sioło* – wieś, osada.

Niedługo patrzył. Ledwie się oddział pokazał w dziedzińcu zamkowym, już krew płynęła obficie z nieprzygotowanych do zdradzieckiego napadu.

– Zdrada! – krzyknęli w zamku i krwawy bój rozpoczął się.

– Giraj! – wykrzyknął Miecznik i za chwilę był już w szeregu walczących. Straszna była to chwila! I tylko pohaniec mógł tak ohydnej zdrady zażyć.

Chociaż Tatarów znacznie mniej – panami są jednak w zamku, bo nieprzygotowanych, bezbronnych nawet tną w pień, bez miłosierdzia.

Widzi i Miecznik, że wrogowi nie sprostą; więc zaniechał boju i cofa się ku domowi: tam syn jego! Syn i żona! Straszonym bywa człowiek w takiej chwili! – Toż mu placu nie dotrzymują Tatarzy; ale Giraj dostrzegł Miecznika i błyskawicą mknie na spotkanie z wrogiem. Tatarzy mają surowy rozkaz pochwylenia żywcem pana zamku. A chęciom pana służy Ali; on zna jego wolę i jej wykonaniu oddany – pierwszy zabrał tył cofającemu się i krzyknął radośnie.

Miecznik widzi niebezpieczeństwo... , wszystkich sił dobywa i jednym skokiem oparł się na wschodach⁴²⁵ domu, jednocześnie rozplątał łeb Alemu i już przyryka ciężkie drzwi wiodące do pokoiów. Syn zabitego nie usłuchał rozkazu słońca Taurydy i kulą dognał zabójcę ojca, toż i padł z ręki Giraja.

Miecznik zachwiał się; krew pociekła mu z piersi... , a zatrzasnął drzwi za sobą i bieży do pokoju syna... Śmierć ulękła się wyrazu twarzy ojca: nie zabiera go z sobą, choć kula głęboko w piersi zasiadła. Przebiega pokoje zamkowe, krwią znacząc drogę. Wpadł do komnaty. Jak posąg spokojna siedziała Hania u łóżeczka syna i trzyma dziecinę na ręku.

– Za mną! – chrzypnął Miecznik. Porwał jej rękę i biegł dalej... Odchylił drzwi ukryte. – Tędy! – i wszyscy troje wkrótce znaleźli się w pokoju na szczycie jednej z wież zamkowych.

Ledwie mógł przymknąć drzwi za sobą, siły go odstępowały i Miecznik upadł na usłaną dywanami podłogę komnaty. Hania stanęła blada jak pierwej i cicha spokojem nieżyjących. Dziecię z płaczem rzuciło się do ojca i czerwone krwią jego woła: „Tatu!”. Miecznik ciężko oddychał, patrząc mgłą zachodzącymi oczyma na żonę, a nasłuchiwał, czy wiele oddziela go od wroga.

– Hanno! – rzekł po chwili. – To Giraj... , on się mści i zemści się okropnie... Nie na mnie, bo już za chwilę skonam, ale na was. A syn, syn!... Może się ulituje... Ono niewinne... I tulił syna do krwią broczących się piersi.

⁴²⁵ *Wschody* – dawn. schody.

– On cię zhańbi... Ale ty hańby nie dopuścisz... Tam... trucizna... Przysięgnij mi..., och, przysięgnij, że ją zażyjesz, by nie zhańbić... mego imienia...

W ostatniej godzinie jeszcze nie o człowieku, ale o imieniu myślał!...

Cicha, jak wpieryw poważna, Hania postąpiła ku stołowi, na którym stała trucizna. Miecznik rzucił się.

– Nie jeszcze! Może się Bóg ulituje nad wami... Zażyjesz, gdy tu iść będą... Synu mój, synu!... – I tulił go do siebie, i wsłuchiwał się w jego dźwięczny głosik, gdy z płaczem wołał „Tatu!”.

I była cisza w komnacie, tylko z dołu dolatywał głos strzałów, wrzask i jęki.

W tym czasie, gdy Tatarowie zajęci byli bitwą w zamku, lasem, ponad rzeką, od strony zamkowego ogrodu chylcem⁴²⁶ przemykał się oddział. To Kozacy z Iwanem Czajką na czele.

A spieszą prędko i już w myśli pławią się w krwi wroga; koń nie parsknie, szabla nie dźwięknie: znają wołę Kozaka!

Co się dzieje w duszy Iwana? Nie pytaj!

Doleciały ich uszu strzały, krzyk wojenny Tatarów, jęki...

– W galop! – krzyknął dowódca. Wtem koń jego stanął dęba, a pod nogi mu padła postać kobieca z jękiem:

– Iwanie!

Kozak zadrżał.

– Dziecię, twoje dziecię, ratuj! – jęczała postać i podniosła w górę niemowlę.

Czy koń Kozaka sam w bok skoczył, czy tak chciał jeździec, dość, że gdy Parania podniosła się z ziemi, Kozacy mknęli galopem, a szabla przywódcy, groźnie wzniesiona do góry, jaśniała w blasku słońca.

Nieszczęśliwa jękała, spojrzawszy na dziecię.

– Wyrzekł się!... Ją poszedł ratować!... Ha, ha, ha! Porzucił... Szukajże ty sobie ojca!... – I zostawała płaczące dziecię na drodze; sama wbiegła na szczyt skały... Śmiech jej odbiło echo trzykroć – trup stoczył się na dno przepaści.

—

Niema cisza w komnacie. Miecznik dogorywa, dziecię splakane usnęło mu u nóg. Hania, wciąż nieruchoma, patrzy przed siebie.

⁴²⁶ *Chylcem* – po cichu, niepostrzeżenie.

A u stóp wieży krzyki i wrzawa, strzały, jęki. Naraz – głośniejszy krzyk odbił się o sklepienie komnaty i huk wystrzałów większy... Aż drgnęła Hania i Miecznik odkrył powieki – słucha.

Wrzawa rośnie..., wzrasta się..., drżą mury wieży od wystrzałów... Słyszać stuk... kroki...

– Idą tu... To on! – I wydobywszy sił ostatka, krzyknął: – Pij! Idzie hańba!... Synu!

Hania spokojnie przechyliła kubek... W tej chwili drzwi komnaty otworzyły się z łoskotem i w progu ukazał się... Iwan.

– A!... – wyjęknął Miecznik na widok Kozaka; wykrzywił się straszliwie i skonał.

Hania z dzikim okrzykiem rzuciła się w objęcia Iwana.

– Boże, dzięki ci! – I tulił ją do swego serca.

Po chwili spojrzął na zawieszoną mu na szyi i jęknął, aż trup Miecznika, zda się, drgnął, a dziecię przestało płakać, i z trwogą patrzyło przed siebie. Twarz Hani mieniła się od kolorów, oczy świeciły, to gaśły.

– Iwanie! – szeptała, tuląc się w jego objęcia. – Nie odchódź! Zostań tu... Mnie tak dobrze...

– Cicho! Nie budź go... Zasnął.

Spojrzała w twarz Iwana. Jakieś zdziwienie odchyliło ją na moment od piersi Kozaka, wyraz nadludzkiego cierpienia wybił na jej twarz.

– Ha! – jęknęła i rzucając się ponownie w jego objęcia: – Kochałam cię, ko...

W pierwszym pocałunku zginęło zakończenie słowa. Był on – ostatnim.

—

Tatarowie w pień wycięci; głowę Giraja niosą Kozacy na spisie do Czajki atamana. Krwawo podziękowali przywódcy Tatarów za śmierć swych braci sookołów siczowych. Za krwawą krzywdę – krwawy odwet bywa! Lecz komu Kozak zemstę zapowiedział – zginie! Świadczy, Giraju, i wy inni świadczcie, że Kozak umie dotrzymać słowa!

Lecz gdzie ataman? Gdzie nasz Czajka sławny? Szukają go wszędzie – nie znajdują. Drzwi do wieży... Idą po wschodach, weszli do komnaty. Wesoły okrzyk zamarł na ich ustach. Okropny bo widok mieli przed oczyma: z wyrazem zgrozy na twarzy leżał trup Miecznika; na piersi oparta główką, zaczerwieniona krwią ojca, spała dziecina spokojnie... tu – dwa trupy zastygły w uścisku...

Zapłakali Kozacy straty dzielnego atamana Czajki i słuchając głosu serca, nie przesądów pańskich, szablami wykopali mogiłę, złożyli w niej dwoje bez-
t a ł a n n y c h . Jak umarli w pocałunku, tak i złożono ich dwoje, a wysoka mogiła
dotychczas kryje sobą s z c z ę ś l i w ą p a r ę . . . Kalina rośnie na niej, a ludzie zwą
ją *Czajczyna Mohyła*⁴²⁷.

—

Wysoka mogiła okryła się zieloną trawą, opodal ludzie gwarzą smutnie, u stóp
mogiły dwoje dzieci: chłopczyk i dziewczynka.

Jeśli prawda, że żyjemy w dzieciach naszych, to dziwne będzie życie nowego
Iwanka i nowej Hani. . . Ale to już rzecz nie tej powieści, która z życia początek
swój wzięła, a ze śmiercią znajduje

KONIEC.

⁴²⁷ *Czajkowa Mogiła.*

Paulin Stachurski

TRÓJKA

P o w i e ś ć

Tom pierwszy

TRÓJKA

POWIEŚĆ

przez

Święcicki Paulin

PAULINA STACHURSKIEGO.



Tom pierwszy.

KRASICZYM

br.

Lwów.

Nakładem i drukiem Kornela Pillera.

1868.

Karta tytułowa I tomu powieści Paulina Święcickiego (Stachurskiego) *Trójka*
(Lwów 1868)

I. SZYMCIO

Ojciec bohatera mojej powieści był z liczby tych wiernych i dobra pańskiego pilnujących oficjalistów, którzy mozolnie, w pocie czoła lat trzydzieście pracując, doczekali się błogich owoców swej pracy: Jaś nie pan, zrujnowawszy się na wojaże i życie w stolicach, poszedł na rezydenta do swego kamerdynera i z rozkoszy spoczął na wiejskim cmentarzu, za dom wieczysty mając cztery nieociosane deski; a posiadłości hrabiego w szczególniejszy sposób stały się własnością – pana rządcy.

Wprawdzie pan Bartłomiej – Bacio, jak go spieszczenie nazywał jasny pan hrabia – wyskarżał przed całym światem, że za wierną i długoletnią służbę wypadnie mu pójść z torbami, bo i jego chudzinę pan hrabia roztrwonił, wprawdzie niemało razy grono okolicznych przyjaciół, znajomych widziało jego łzy gorzkie, które przelewał, opłakując ruinę własną i swego dobrego pana – mimo to jednak we właściwym urzędzie znalazły się należycie wystawione dokumenta, świadczące na wieczne czasy, że taki to a taki klucz¹, z tymi a tymi folwarkami przechodzi na własność pana Bartłomieja Złodzickiego i całkowite władanie nim, rozporządzanie według swej woli nie ma mu być wzbranianym przez nikogo pod groźbą siły orzeczeń takich to a takich paragrafów!

Pogłoskom o istnieniu podobnych dokumentów z początku wierzyć nie chciało, wkrótce jednak obaczono pana Bartłomieja, gospodarzącego na piękne we włościach hrabiowskich, i już najbliżsi ręki jego – chłopci – poczuli całą prawdę cudownej przemiany rządcy na właściciela... Icek, arendarz², dawno z w a c h a ł p i s m o n o s e m i niby od niechcenia z początku, jakby omyłką, nazywał pana Bartłomieja jasnym panem, ale wkrótce – przekonawszy się, że choć niejasny pan eksrządca promieniał szczęściem, gdy mu o jasności mówiono – rozumny

¹ *Klucz* – dawn. zespół majątków ziemskich, folwarków, wsi.

² *Arendarz* – dzierżawca; karczmarz, szynkarz.

arendarz, bo na Mysznie³ i Gamury⁴ uczony, wnet się domyślał, z której tu strony trzeba rozpinać żagiel, i odtąd stale już, bez zająkiwania się, zwał pana Bartłomieja jasnym panem.

Objechawszy swe folwarki i powypędzawszy oficjalistów⁵, których znał z dobrej ich strony, a natomiast osadziwszy takich, którzy czuli króla w ziemi, pan Bartłomiej stanął przed pałacem, który przez lat trzydzieście widział jego padania do stópeczek jasnego pana; wielkim palcem wykręcił pod nosem, co zwykł był czynić, ilekroć myślał nad czym poważnie, chrząknął, długim językiem pociągnął po zmarszczonych fioletowych ustach i zyzem zmierzył⁶ pałac.

– Hm! Jak tu zakierować?... Piękna rzecz zamieszkać w pałacu, w którym... No! dość, że mogę i gdybym chciał... Hm, hm! Chociaż to tego, ale i Kunusia⁷ ma czasem w głowie..., należy i ją zapytać!...

Jeszcze raz rzucił okiem na pałac, wykręcił się z zadowoleniem na pięcie i zaśmiał serdecznie, aż spłoszone kawki stają zerwały się z dachów i poleciały na dzwonnice cerkiewną. Wkrótce szarabanik⁸ p. Bartłomieja ruszył sprzed pałacu i zaniósł swego pana na folwark wsi, w której od lat kilkudziesięciu mieszkał pan Złodzicki.

Długo w noc trwała narada szczęśliwej pary małżonków, państwa Bartłomiejostwa.

Jak się domyślać można, były rozmaite projekta, mówiło się to i owo; ale jakoś do zgody nie przychodziło między małżeństwem: pani Bartłomiejowa chciała pałacu – pan Bartłomiej inne miał plany, a tak okropne, że pani Bartłomiejowa utulić się z płaczu nie mogła, i dobywając ostatniego sposobu, który żona i matka ma zawsze w zapasie, gdy idzie o złamanie mocnej woli męża, wzięła małżonka za rękę i przyprowadziła do łóżeczka, w którym spał jak pączek okrągły bucyfalik,

³ *Myszna (Miszna)* – część *Talmudu*, składającego się z *Miszny* i *Gemary*; *Miszna* jeden z podstawowych prawnych tekstów rabinicznych, zawierający głównie rozstrzygnięcia halachiczne, czyli prawne normy postępowania oparte na Torze i na jej podstawie interpretowane.

⁴ *Gamura (Gemara)* – część *Talmudu*, składającego się z *Miszny* i *Gemary*; *Gemara* to zbiór rabinicznych komentarzy i objaśnień uzupełniających *Misznę*, czyli kodeks prawa obyczajowego.

⁵ *Oficjalista* – osoba zatrudniona do zarządzania majątkiem ziemskim, ekonom.

⁶ *Zmierzyć zyzem* – spojrzeć krzywym okiem.

⁷ *Kunusia* – zdrobniale: Kunegunda.

⁸ *Szarabanik (szaraban)* – rodzaj bryczki z poprzecznymi ławkami.

jedyna nadzieja i najwyższa pociecha państwa Złodzickich – synek ich, Szymcio kochany.

Gdy czuli małżonkowie znaleźli się u łoża krwi i kości swoich, pani Bartłomiejowej jeszcze większe łzy spłynęły po czerwonych policzkach, które na chwilę straciły zdołający je połysk – dowód zdrowia szlachetnej połowicy⁹ pana Bartłomieja – zalała się łzami i rozczulająco chlipiąc, rzekła do męża:

– Patrz! To niewinne dzieciątko... Chcesz, by umarło na folwarku... Aniołek mój, jak się uśmiecha we śnie!...

I czuła matka nachyliła się do syneczka, całując go całą szerokością ust swych oślinionych w nie mniej szerokie jego usteczka. Ale aniołek śnać¹⁰ nie poznał pieśzcot matczynych, bo wrzasnął na głos i tak niepocziwie położył ciężką swą rączkę na karku mamy dobrodziejki, że pani Bartłomiejowam – mimo czułość swą macierzyńską – krzyknął: „A żebyż cię czort wziął, psiawiaro!”, jąta okładać jedynaka buchańcami¹¹, wtedy zaprzestawszy doraźnego wymierzania sądu, gdy małżonek rzekł: „Dosyć!”.

Szymonek wrzeszczał w niebogłose, nie mogąc zdać sobie sprawy, za co sprawiono mu fałagi...¹²

– *Hodi*¹³ już! – mówił pan Bartłomiej, wyprowadzając żonę do drugiego pokoju. – Jeszcze ci muszę powiedzieć...

Pani Bartłomiejowa, odsapując, szła za mężem.

W tej chwili Szymonek, widząc, że go samego zostawiają w pokoju, a jak się domyślać należy, wybity ze snu czuł potrzebę rozerwania nudów i niepamiętny doznanej krzywdy, z czułością, huknął za rodzicami:

– Mamo! Jeść!

Pani Bartłomiejowa wróciła do pokoju, a zdjawszy z półmiska, który dla wszelkiego bezpieczeństwa trzymała w szafie pod kluczem, udko gęsie, rzuciła je na łóżeczko syna.

Szymonek porwał udko, a krytycznym zmysłem obdarzony od natury wnet dopatrzył w nim wadę.

– U! – mruknął. – Kostka!...

⁹ *Połowica* – żona.

¹⁰ *Snać* – przest. widać, widocznie.

¹¹ *Buchaniec* – uderzenie, cios.

¹² *Fałagi* – pałki, którymi dawniej w Turcji bito w pięty.

¹³ *Wystarczy*.

Tej uwagi syna nie słyszała już pani Bartłomiejowa, zajęta rozmową z mężem. Pocięcha państwa Złodzickich, Szymonek, spożył z udka, co było do spożycia, i niedługo potem zasnął z kostką w gębie, która mu słodkie sny napędzała do głowy: Szymcio we śnie jadł gęś, ale tak wielką, że jedno jej udko było większym od ręki mamy; a musiało być niemałym, bo pani Bartłomiejowa miała wielką i bardzo ciężką rękę; przynajmniej tak mówią sługi i kobiety ze wsi, a zdaniu ich w tej mierze zaufać możemy.

Nie było świadków rozmowy państwa Bartłomiejostwa, nic więc stanowczego w tej mierze nie możemy powiedzieć czytelnikom. To tylko pewna, że pan Bartłomiej nie usłuchał prośby swej małżonki, by kochanego Szymonka osadził w pałacu i sam w nim osiadł z panią Bartłomiejową, gdyż wkrótce pałac hrabiego zamienił się na parowę gorzelnię, spichrze, stajnie i inne budynki, które służyły zaspokojeniu kaprysów hrabiego, przemieniono na praktyczne wołownie, owczarnie, świniarnie¹⁴ itp. Angielski ogród, że był pod ręką, w części poszedł na zrąb; kioski¹⁵ zaś, altany i tym podobne pańskie fatałaszkę znikły, żeś śladu z nich nie dojrzał... Słowem pan Bartłomiej zagospodarował się, jak należy, i uczynił, jak rozumiał; a miał to święte przekonanie, że nie umrze u kamerdynera na gracji¹⁶, którego nawet nie trzymał, wiedząc z doświadczenia hrabiego, jaką pijawką jest osobistość kamerdynerem zwana.

Tak zakierowawszy – jak się wyrażał – interesa, nie zapomniał i o własnym kierowaniu się: więc na wzgórkę, obok dawniejszego pałacu, postawił przestronny dom, a tak urządzony, że wszystko miał pod ręką i z okien mógł czuwać dozorem nad gorzko¹⁷ zapracowanym mieniem. Toż zabielał dom pana Bartłomiej, czterema kominami wystrzeliliwszy w górę. Ludzie rozmaicie mówili tam o nim, ale dla pana Bartłomiej dom był wygodny, a to grunt! Miał on tu: mieszkanie, kuchnię i spiżarnię, na drób komórkę, karmniki tuż; psów nie trzymał, bo to darmozjady! A zresztą do czego psy, gdy warta ze wsi lepiej dopilnuje dworu, a jeść jej dawać nie trzeba!...

Pan Bartłomiej był zadowolony z siebie. Pani Bartłomiejowa trochę się zżymała, że nie mieszka w pałacu, ale zdała się na wolę Bożą i pana Bartłomiej

¹⁴ *Wołownie, owczarnie, świniarnie* – budynki gospodarskie przeznaczone do chowu bydła, owiec oraz trzody.

¹⁵ *Kiosk* – dawn. ozdobna altana ogrodowa wsparta na kolumnach.

¹⁶ *Gracja* – wynagrodzenie lub dożywotnie dochowanie za wierną służbę.

¹⁷ *Gorzko* – tu: ciężko, z trudem.

i po dawnemu wzorowie prowadziła gospodarstwo, a w ostrym rygorze trzymała służbę, żeby jej nawet po brzytwach tańczono, gdyby gospodyni, jaką była pani Bartłomiejowa, mogła kiedy pomyśleć o przyzwoleniu na takie sprośności jak taniec...

– Praca, praca – mówiła – to grunt, to wasza powinność!... – Ale pod słowem tym rozumiała robotę dla niej – dla d w o r u. Każde inne zajęcie, które bądź bezpośrednio, bądź pośrednio nie było dla dworu z korzyścią, chrzciała mianem lenistwa i szelmstwa, że śmieją kraść drogi czas u swych właścicieli – panów.

(A muszę też powiedzieć, że powieść moja pochodzi z błogich dla obywatelstwa, a niestety bezpowrotnych czasów pańszczyźnianych. Ponieważ się mówi w nawiasie, więc dodam, że w zupełności piszę się na zdanie skrzywdzonych właścicieli ziemskich, iż od zniesienia pańszczyzny wypada nam liczyć epokę ruiny krajowej, gdyż ciosem tym usunięto podwaliny budowy społecznej. Skrzywdzeniśmy... I gdybyż choć na rzecz g o d n y c h, ale chłopów?!... *Mon Dieu!*¹⁸ cóż się to nie dzieje?!...).

Owoż tedy – idę dalej z moją powieścią – stało na tym, że państwo Bartłomiejostwo nie zamieszkali w pałacu, ale – jak chciał pan Bartłomiej – trzymali się praktyczniejszej drogi: pan mąż gospodarował, pędził wódkę, hodował woły, zdierał chłopów, szachrował z Żydami – słowem, czynił, jak przystało na posiadacza znacznego majątku i coś niecoś gotówki, którą także obracał dość szczęśliwie... Pani żona była również na swoim miejscu i grosz do grosza, do złotówki złotówka składała pieniądź na swoją rękę. A chociaż kiedy niekiedy westchnęła do pałacu i do karety poszóstnej¹⁹ – przecież zdawała się na wolę Bożą i pana Bartłomieja, który wie, co robi, bo już on ma głowę od tego...

I żyło się tak, i pieniądze robiło – aż miło! Bo już to na dobrej roli ziarno wschodzi, a państwo Bartłomiejostwo nie byli skałą jałową.

Myślałby kto może, że zapomniałem o przyszłym dziedzicu imienia Złodzickich, a z nim i mienia krwawo zapracowanego przez Bartłomieja i Kune Gundę z Koguckich Złodzickich, ślubnych małżonków, jak stwierdzają księgi kościelne?... Myliłby się: nie zapomniałem o Szymonku; wprawdzie jednak wypadało należny hołd oddać rodzicom, o ile że synkowi ich poświęcę całą mą powieść. A chociaż to rzecz następujących rozdziałów, nie mogę się jednak wstrzymać,

¹⁸ *Mój Boże!*

¹⁹ *Kareta poszóstna* – zaprzęg składający się z sześciu koni.

by kilkoma słowy nie określić stan błogości Szymonka, w którym zostawał pod ochroną opiekuńczych skrzydeł czci dostojnych rodziców i za sprawą swej jasnej gwiazdy, która mu aż do wyzionięcia ducha ma przysługiwać.

Szymonek, pieczołowicie doglądany przez kochaną mamunię, rósł wzdłuż i w szerz, kwitnąc rumieńcami zdrowia na wydętych policzkach, które ku wielkiemu zadowoleniu pani Bartłomiejowej poczęły nabierać matczyne gołyszki i tym go podobniejszym czyniły do rodzicielki.

Szymon był istnym portretem swych rodziców: nadobne kształty ciała wzięły z matki, własności duszy i serca jota w jotę były ojcowskie. Silniejszy węzeł zgody nie mógł powiązać małżonków jak ten synek państwa Bartłomiejowstwa, którego pozwoliłbym sobie, przez pieszczotę, nazwać również węzełkiem, gdybym go nie widział bardziej podobnym do otłuszczonego pampuszka, które tak smacznie umiała przyrządzać Horpyna, zawołana kucharka państwa Bartłomiejowstwa.

Twarzyczka, mówiłem już, była mamina: pięknie zaokrąglona, pozwalała widzieć dwa nie wielkie przecięcia u góry, w których świeciły zielonkawo oczka państwa Bartłomiejowstwa, bo oboje mieli oczy jednakowego koloru – burozielonkowatego; krótki jak zawiązka ogórka, podłużnie okrągły nosik pięknie odbijał od pełnych ust szeroko rozciętej gęby, która odkrywała dwa rzędy pereł – ożółconych i w widocznej kłótni będących z sobą ostro kończastych²⁰ ząbków; równo od ust idąca broda, przez podgarle²¹ łączyła się z resztą krótko, a obszernie zakrojonego korpusu, który na niewielkich spoczywał nóżkach. Ręce młody Złodzicki miał długie i ostatnie palce były od urodzenia zakrzywione, z czego pan Bartłomiej wróżył synowi świetną przyszłość. Para uszów, miary wiejskich pierogów, harmoniowały z resztą twarzy i głową Szymonka, ozdobną czerwono-żółtym włosom, twardym jak szczecina, co go wyróżniało od matki, która w młodości swej miała włosy koloru wprawdzie nieokreślonego, zawsze jednak nie rude. Włoski Szymonek wzięły z ojca, a było mu z nimi bardzo dobrze.

Wielki figlarz był Szymonek – i to od urodzenia! Po chrzcinach jakoś, kiedy uszczęśliwiona para małżonków znalazła się sam na sam z pociechą swym synkiem, pan Bartłomiej postanowił wypróbować, co będzie z chłopca w przyszłości. Chociaż wewnętrzny jakiś głos dobrze mu wróżył o życiowej doli synaczka²²,

²⁰ *Ostro kończasty* – ostro zakończony.

²¹ *Podgarle* – podgardle.

²² *Synaczek* – dawn. syneczek.

wziął więc w jedną rękę piękne, czerwone jabłko, w drugą piękną świecąca się złotówkę i pokazał je chłopcu ciekawy, co z tego wybierze.

Dzieciak niedługo się namyślał: prawą ręką uchwycił złotówkę, lewą po jabłko sięgnął.

Pan Bartłomiej był w niebie! Pochwycił synaczka w objęcia i ogniście ucałowałszy, złożył go na miłością przepelnionym łonie matczynym.

– Będzie człowiek z Szymonka – mówił szczęśliwy pan Bartłomiej. – Psia wiara! Jedno i drugie!... Tak, tak! Jedno bierz i drugie! Ale złotówkę trzymaj, bo za nią dostaniesz wszystko, a bez niej weźmie diabeł i najmędrszego!

Przytoczywszy dla lepszej charakterystyki przyszłego bohatera powieści ten maluczki fackik z jego życia w zaraniu życiowej doby, wracam do Szymonka mieszkającego w domu ojcowskim obok pałacu wczoraj, dziś wielce intratnej gorzelni.

– O, już to sprytniejszego dziecka jak mój Szymcio nie wyszukać! – mówiła pani Bartłomiejowi.

To samo i ja powiem, a za mną bodaj czy i czytelnik nie powtórzy słów matki Szymonka. Sprytu w nim było za dziesięciu: czy gdzie wydrzeć z gniazda pisklęta na to, by im później główki pokręcić – nic więcej! Czy koty za ogon powiązać i śmiać się do rozpędu, gdy gniewne oczy wydrapują sobie, psom napchać w nos tabaki, gumienemu²³ ciemierzycy²⁴ wsypać do tabakierki – miałeś go do tego, jak gdyby się urodził! Sprytny był chłopczyzna!

Myślicie może, że na tym koniec? Ba! Cóż by to i za spryt taki. Szymonek umiał innych wiele rzeczy. Dowcipu w tym dziecku... to ani wiedzieć, skąd się go tyle brało!

Pewnego razu, skradłszy sporo smoły z magazynu, nocą cichaczem przemknął się Szymonek do piekarni, w której spał regiment chłopaków, bo z gorzelni i od gospodarstwa, i jak spali pokotem – wszystkim im łby posklejał smołą, łeb do łba. Nie dość tego: dziegciem wysmarował niektórym wasy i brody, innych powiązał za nogi do tarczanów²⁵, a gdy już wszystko było gotowe, z całej siły palnął w twarz Hrycka, sam zaś wlaź pod ławę, by go nie spostrzeżono.

²³ *Gumienny* – człowiek mający nadzór nad gumnem, stodołą.

²⁴ *Ciemierzycyca* – roślina lecznicza, zawierająca substancje toksyczne, gorzka w smaku, dawniej stosowana jako środek drażniący skórę i miejscowo znieczulający.

²⁵ *Tarczan (tapczan)* – ława do spania, prycza.

Dopieroż było harmideru, bo uczęstowany policzkiem Hryćko co żywiej zerwał się z tarczana, a czując, że go sąsiad trzyma za czuprynę, nic dziwnego, że rozumiał, iż od niego pochodził policzek; nie miał więc nic śpieszniejszego, jak takieżże wagi odmierzyć mu uderzenie. Na hałas budzą się inni, powstaje wielka wojna, a związany Opanas²⁶, nie wiedząc, co się dzieje, krzyknął na całe gardło:

– Rozbójniki!

Zacięta bójka trwa po ciemku, trzeszczą czuby, krew ciecze, niejednemu zęb wyleciał.

Co żyje, budzi się, ze światłem lecą do piekarni i wodą zaledwie zdołali rozbroić zapaśników.

Byłoż tam dziwu niemało, gdy się spostrzegli!... Szymonek jednak zdołał uciec do pokoju i snem prawych spał na piękne²⁷, a nawet chrapał, jak utrzymywała nazajutrz pani Bartłomiejowa.

Pan Bartłomiej wnet polecał dowiedzieć się, jaka przyczyna hałasu.

Gdy sprawa poszła do protokołu, nikt nie umiał sobie wytłumaczyć zdarzenia; a że na czuprynach i twarzach była smoła i dziegieć, stąd wniosek oczywisty, że tu nieczysta siła, czyli: – Duch święty przy nas – diabeł wojował!

Na to się bardzo wiele mądrych głów zgadzało, a Opanas nawet kłął się na duszę, że widział, jak coś wielkiego, z ogniem w pysku, wyleciało z chaty, śmiejąc się – i to w chwili rozpoczęcia się bójki.

Nie trafiło to jednak do przekonania pana Bartłomieja, a nawet i ogół parobków zachwiał się w swej wierze, bo trudno było nie przyznać słuszności słowom pana Złodzickiego, który jak na dłoni dowiódł, że diabeł ma swojej smoły dostatkem, nie potrzebował zatem brać jej z magazynu p. Bartłomieja.

– Komuś tu więc musiały chodzić figle po głowie, a za nie pochodzi mu bat gdzie indziej! Bo ja dla was, hultaje, rujnować się nie będę! – huknął pan Bartłomiej i sprawę odłożył do jutra.

Dzień biały okazał mnogość sińców na twarzach parobków; pokazało się również, że niektórzy z nich ani sińców, ani sklejonych smołą włosów nie mieli – oczywiście więc oni splełali figla swym towarzyszom!

Nie pomogły najuroczystsze klątwy, łzy serdeczne – wszyscy jednogłośnie za panem Bartłomiejem zdecydowali, że sprawa od nietkniętych wyjść musiała; sypnęły się liczne batogi – swawolę ukarano!

²⁶ *Opanas* – imię i nazwisko znane na ziemiach ukraińskich, utworzone od imienia Afanasij.

²⁷ *Na piękne* – dawn. w pełni, mocno, całkowicie.

Ale trzeba było widzieć wtedy Szymonka. Z taką radością przypatrywał się egzekucji, tak się śmiał serdecznie, że dobrym ludziom jakoś ciarki przechodziły po plecach i żegnali się z dziwoty.

Jak opowiadali później świadkowie – iście miał minę diabełka: oczy mu się skrzyły, ślina z ust ciekła... , przysiadł, śmiejąc się, i wzięwszy się w boki, pożerał spojrzeniem lecące razy. A gdy po skończeniu operacji dostrzegł krew na zydłu²⁸, umoczył w niej palec i wzrok jaszczurczy zwróciwszy w stronę ojca, zawołał:

– Tatu, krew! hi, hi, hi!

Nawet pan Bartłomiej nie zdobył się na odpowiedź synowi i pomyślał tylko, poprawiając rogatywki²⁹:

– Ho, ho, ten im nie popuści!

Z toku powieści dowiemy się, na ile wiara pana Bartłomieja w rygor synowski ziściła się; a teraz wypada mi poświęcić słów parę satelicie mego bohatera, którego mam zamiar przedstawić łaskawym czytelnikom, by osadzili: czy dwa te indywidua w połączeniu ze sobą stworzą całość – chciałem powiedzieć: harmonijną – ale o tym potem!

II. POWODYR³⁰

W sąsiedniej wioszczynie, obecnie własnością pana Bartłomieja będącej, pod lasem, na piaszczystym wzgórk, stało coś, co było sobą w sobie, a nosiło nazwę chaty starego Hryhora.

A stary Hryhor to postać nie lada: kaleka, od lat niepamiętnych chodzący po żebrach; znakomity grajek na lirze, od *Swiatoho Lazara*³¹ poczawszy, a skończywszy na szumnym tropaku³²; hulaka dziad – gębą, bo tej jeszcze paraliż nie naruszył; chwyt do sywuchy³³, że mu i kwartę³⁴ golnąc niczym było, znachor na

²⁸ *Zydel* – prosty drewniany stołek.

²⁹ *Rogatywka* – czapka z daszkiem i kwadratowym denkiem.

³⁰ *Powodyr* – przewodnik.

³¹ *Swiatyj Lazar* – pieśń o św. Łazarzu.

³² *Tropak (trepak)* – taniec ludowy popularny na Ukrainie i w Rosji.

³³ *Sywucha (siwucha)* – źle oczyszczona wódka, złego gatunku.

³⁴ *Kwarta* – dawna miara ciał płynnych i sypkich równa 1 litrowi.

słabości, wróżbita – słowem: uniwersalność chodząca, indywiduum niezbędne przy wszystkich uroczystościach na mil dziesięć w promieniu. A wiedza o nim w Poczajowie³⁵ i w samym Kijowie nawet! Krótko mówiąc – stary Hryhor!

W chacie przebywał wyłącznie porą zimową i tylko te szczególne noce, w których mu gościnności odmówił Icek arendarz lub który z wesołych kumów; a jak cała wieś – niemal wszyscy byli w jakimś swojactwie³⁶ ze starym lirnikiem.

Ciekawe to typy ukraińskich dziadów i coraz rzadziej spotkać się z nimi można; ostatni przechowywacze tradycji ustępują pod naciskiem wyobrażeń Zachodu, który nam wiele dobrego – niemało też i złego – przyniósł w darze.

Kiedy indziej może powieść poświęcę typowi dziada, który tu wspomniany zaledwie niedługo zniknie nam sprzed oczu jako zajęty przeglądaniem się w postaciach, które obyśmy co prędzej już do smutnej przeszłości zaliczyć mogli!

Kto widział dziada lirnika, zawsze niemal ociemniałego starca, nie mógł nie zauważyć przy nim drobnej postaci wynędzniałego dziecka, które z głębi smętnej swej istności nieufnie patrzy w świat, na ludzi, co dlań nic krom³⁷ miana sieroty nie mają; to są oczy lirnika, niekiedy drugi kij do podparcia: przewodnik – p o w o d y r.

Powodyr to dopełnienie dziada – n i c, które wtedy ślepemu daje uczuć swą wielkość, gdy go wśród stepu albo w lesie samego odstąpi.

Biedne te stworzenia, obudzające litość w tych, którzy m a j ą s e r c e i umieją weń patrzeć...

Dziecię-męczennik, dla którego krom cierpień nic nie ma w przyszłości. Jego spuścizną – lira³⁸, kij i sakwy pana, gdy ten zaśnie snem wiecznym na mogile stepowej!...

Stary Hryhor, o ile był duszą towarzystw karczemnych, gdzie i umarłych zdolny był o r w a n i e b o k ó w przyprawić – o tyle znów był przykrym, a nawet nieludzkim w pożyciu domowym. Zdawało się, że poza karczmą chce w dwójnasób zgryźliwością powetować ochotę, której przy kieliszku miał aż do zbytku. Zły humor dziada zwracał się z całą swą siłą najpierw do powodyra, istnego męczennika, gdy się sam na sam znalazł ze swym gniewnym panem. Hryhor zrzędzi! – nawet we śnie i nierzadko się zdarzało, że obudziwszy się w nocy, wylewał resztki

³⁵ *Poczajów* – miasto w dawnym województwie wołyńskim, słynne z prawosławnej i unickiej Ławry Poczajowskiej i Poczajowskiej Ikony Matki Bożej.

³⁶ *Swojactwo* – pokrewieństwo, powinowactwo.

³⁷ *Krom* – oprócz.

³⁸ *Lira* – strunowy instrument muzyczny, symbol poezji.

skwaszonego humoru na powodyra, liczbę razów danych przed ułożeniem się do snu dopełniając nowymi, które jak straszny grom spadały na uśpionego chłopaka. Hryhor bił go aż do zupełnego opadnięcia z sił i wtedy nierzadko znów odbierał sowite dowody wywzajemnienia się od powodyra, korzystającego z nadarzonej sposobności oddania ząb za ząb okrutnikowi.

Takie wzajemne częstowanie się razami było na porządku dziennym pomiędzy Hryhorem i jego przewodnikiem; mimo to nie musiało tu być równości podziału, bo często bardzo powodyrowie salwować się musieli pośpieszną rejteradą³⁹, a nawet zupełnym opuszczeniem swego stanowiska przy złośliwym ślepcunie. Nierzadko stary znajdował się opuszczonym przez niewdzięcznika – jak zwykł był nazywać powodyra, który się z nim rozstał – i wtedy musiał szukać nowego towarzysza swej dziadowskiej wędrówki; szczęściem, że w wyszukaniu nie było wielkiej trudności, bo dbała o swe interesa korporacja dziadowska, stworzyła dla się⁴⁰ wśród ludności pewną klasę ludzi, najczęściej kobiet- c z a r o w n i c, trudniących się wyszukiwaniem dzieci na przewodników dla ociemniałych dziadów.

Ostatnim z powodyrów Hryhora, który – rzecz niesłychana! – drugi rok już wodził dziada, był mały Pańko.

Pozycja jego była na tyle wyjątkową, że nie zwerbowany, lecz dobrowolnie przyjął na siebie obowiązek przewodnika, uciekwszy poprzednio z koczującej bandy Cyganów, która go dawniej ukradła z jakiejś wsi, którą chłopiec umiał wymenić tylko jako położoną w lesie między piaskami. Domyślać się tedy można, że był z Polesia, ale skąd mianowicie? Kto byli jego rodzice? To pytania, na rozwiązaniu których nie zależało nikomu, a nawet Pańko wcale się tym nie interesował.

Cierpliwość, z jaką ostatni powodyr Pańko znosił wysoki złego humoru Hryhora, tłumaczy się świeżą jeszcze przeszłością chłopca w bandzie Cyganów, gdzie mu było tak źle, że terażniejsze dolegliwości jego wobec tamtych były niczym. W bandzie bito Pańka jak i tutaj, ale tam szturka⁴¹ go każdy od starca do dziecka. Tu do grzbietu jego miał prawo tylko jeden – a to rzecz ważna! Przy tym Pańko dowodnie się przekonał, że kij Hryhora nie wyrównywał tęgości uderzenia cygańskiego *czupny**. Oprócz tego jeszcze w bandzie nie dawano mu

³⁹ *Rejterada* – ucieczka.

⁴⁰ *Się* – tu: siebie.

⁴¹ *Szturkać* – szturchać, zaczepiać, obdzielać kuksańcami.

* *Nahaj* [skórzany, pleciony bicz na krótkiej rękojeści – przyp. Red.].

jeść i spać, gdyż po całych nocach musiał w kuźni pracować przy miechu – tu nie żałowano strawy, często się nawet z kieliszkiem spotkał; przy tym spał, ile i kiedy zechciał, i co najgłówniejsza – nic nie robił.

Były to korzyści z odmiany położenia tak widoczne, że chłopiec ani chwili nie wahał się oddać pierwszeństwa terazniejszej swej pozycji powodyra przed dawniejszą – cygańskiego popychacza w bandzie.

Ale w naturze ludzkiej leży potrzeba szczęśliwości. Za dowód posłuży Pańko.

Uciekł z bandy, bo chciał szczęścia – uwolnienia się od mąk, które cierpiał. Nieprzyjemności wypływające z pozycia Pańka ze swym pryncypałem długo zdawały mu się niczym, gdy je z dawniejszymi zestawiał. Ale przyszedł czas, kiedy wrażenia minione zacierać się zaczęły w jego umyśle i tracić na sile – natomiast w odwrotnym stosunku miała się rzecz z pozycją obecną: ta mu stawała się coraz przykrzejszą, uciążliwszą i niedługo Pańko znalazł bardzo naturalnym to, że uczuł, iż kij Hryhora równie ma swą wagę i jego dotknięcie się grzbietu chłopca wcale nie wywoływało przyjemnego łechtania, ale owszem – zdolne było nie tylko o ciche łzy, lecz i o głośne jęki przyprawić. Do dawniejszego więc spokojnego wylewania łez przy operacji grzbietowej odtąd dodawał już Pańko wykrzykniki, które niedługo doszły do potęgi wrzasku, dającego się słyszeć o dobrą staję⁴² naokół, co poniekąd zadziwiło Hryhora, który, zdawało się, odkrył nowe w chłopcu własności, o istnieniu jakowych dotąd nie wiedział.

Ba, nie tu koniec domaganiom się szczęścia przez człowieka!

Pańko, stopniując, doszedł do przekonania, że wcale użyteczną i nieszkodliwą jest rzeczą uchylać się od dotykanej przykrości, czyli, mówiąc prościej, zmykać przed kijem Hryhora w burzany⁴³ za chatą, w kącie jej sieni, nareszcie w samej chacie, wykręcając się zgrabnie od razów, za pomocą rychłego znajdowania się w przestrzeni, którą kij Hryhora nie przerzynał.

Wkrótce jednak i tego było dlań za mało; by się uchronić od uderzeń kija, jął się on innego aniżeli ucieczka sposobu, a raczej sposobów mnogich, które tu po porządku wymienimy. Najpierw, cierpienia własnej skóry mając za barometr, a tym samym wiedząc o chwili zbliżania się burzy, która grad pocisków kija mogła

⁴² *Staja* – staropolska miara długości drogi, definiowana jako odległość przebyta przez konia pomiędzy dwoma odpoczynkami.

⁴³ *Burzany* – chwasty, zarośla.

sprowadzić na jego plecy, Pańko starał się odwrócić od siebie chmurę: w karczmie gościnnie z cudzej flaszki dolewał staremu czarce, by pod ławą u Icka przenocował; a jeśli Hryhor był na tyle trzeźwym, że w chacie chciał nocleg przepędzić, wtedy Pańko z początku wykładał mu kija, później odważył się wyrwać go niespodzianie z rąk starego, a później... Ale wpierw dowiedzmy się, jakie wrażenie wywarł na lirnika zuchwały fortel powodyra: pierwsze wydarcie kija. Nie tylko, że się Hryhor zadziwił, ale zgorzzył nie pomału.

– Czartowskie nasienie! – mruknął. – To i ten nie lepszy! *Ta poczkaj!*...⁴⁴

Ułożył się do spoczynku i ciężko sapał, a myślał i przemyślał.

Pańko, potężny gdzie szło o posługiwanie się każdym ze zmysłów rozwiniętych w nim należycie, był niczym, gdy mu wypadło zgadnąć myśl czyją – najbezpieczniej więc zasnął po niedługiej chwili, marząc o smacznych kiełbasach, które bardzo lubił, o miodzie i winie, z którymi spotkać się żywnie pragnął...

W północ głuchą zapadło niecofnione postanowienie Hryhora: sprawić zuchwałemu suchą łaźnię. Nietrudno mu było to wykonać: Pańko miał wadę sypiać twardo, ani się więc spostrzegł, gdy mściwy dziad, związawszy go jak barana, jął niemiłosiernie okładać kijem.

Daremna była protestacja chłopca przeciw zdradliwemu podejściu, próżne błaganie, zaklęcia, wreszcie odgróźki⁴⁵, przysięga zemsty – na nic wszystko! Dziad zaprzestał bicia wtedy, gdy z sił opadłszy osunął się na ziemię i zasnął snem twardym.

Spał Hryhor, Pańko jęczał związany, krwią ociekając, aż – na szczęście czy nieszczęście jego – o świcie wszedł do siedziby lirnika diak⁴⁶ cerkiewny, osoba duchowna, który chociaż przyszedł zasięgnąć rady Hryhora w sprawie nie zupełnie czystej, ujął się wszelako za biednym chłopcem i całej swojej wymowy użył, by przyprawić o skrucę starego grzesznika.

Hryhor słuchał kazania dość niecierpliwie, w końcu zawołał:

– Widzisz cudze pod lasem, swego zaś nie dojrzysz pod nosem! – Ot, dali- byście temu spokój, Mitrofanie, bo wiecie, że ja lubię zgodę z dobrymi ludźmi; a z kłótni bodaj czy dla nas obu nie byłaby turma⁴⁷. Rozwiążcie tego psiuka.

⁴⁴ *Ja ci pokażę.*

⁴⁵ *Odgróźki* – pogróżki.

⁴⁶ *Diak* – psalmista w cerkwi.

⁴⁷ *Turma* – więzienie, areszt.

My się pobijemy, to i pogodzimy, to u nas sprawa dziadowska, domowa – wam do niej nosa nie wtykać!

– Nie byłbym chyba Pańkiem, abym ci, stary chryczu⁴⁸, nie podziękował – wycedził przez zęby rozwiązywany powodyr.

– Dobrze, dobrze! Tymczasem idź i obmyj się, żeby cię ludzie zakrwawionego nie widzieli, bo pójdziemy na *prażnik*...⁴⁹ A teraz mi powiedźcie, Mitrofanie: jakie was licho tak za dnia tutaj przyniosło?...

Nie wiadomo, co mówili ze sobą pozostali w chacie; to tylko pewna, bo niemało ludzi mogłoby przyświadczyć, że Hryhor, diak i Pańko byli tego dnia u Icka na rannym kieliszku. Pańko dostał pszenną bułkę i dwa miedne⁵⁰ grosze na pierniki; srebrny półrubel z kieszeni diaka⁵¹ przeszedł do kalety⁵² dziada, który szczególnie jakoś skrzywił swą gębę, diak zaś niedługo wyniósł się z karczmy.

Pańko nie odkładał zemsty na dalekie terminy: po *prażniku* wyleżał Hryhor tydzień w swej chacie obity przez powodyra. Przez cały ten czas wszelako Pańko nie odstępował go ani na chwilę.

Groźna cisza przepowiadała burzę. I zemsta może być krzywdą! Stary Hryhor płakał, Pańko chował ponure milczenie, ale się nie uchylał od usług dziadowi w czasie jego niemocy.

Dziwny stosunek wiązał te dwie istoty ze sobą: nienawidzili się wzajemnie, a żyli ze sobą!... I mimo wypytywania o przyczynę choroby Hryhor nie mówił nikomu prawdy, niemoc swą określając tym charakterystycznym słowem chłopca *nezdużaju!*⁵³, odnoszącym się do każdej choroby.

Co kraj, to obyczaj – mówi przysłowie. Zetknięcia się ludzi ze sobą wyradzają stosunki tak dalece odmienne, że wśród jednych żyjąc, częstokroć niezdolni jesteśmy pojąć inne.

Życie dziadowskie to także świat własny i od innych różny! Innymi on posługuje się warunkami, ma inne drogi swego pochodzenia!

Zanim kiedy indziej obszernie pomówimy o tym, na teraz dość będzie, gdy powiem, iż tak naprężony stosunek jak ten, który miał miejsce między Hryhorem

⁴⁸ *Stary chryczu* – pogardliwie: stary dziadu!, stary grzybie!

⁴⁹ *Świąto*.

⁵⁰ *Miedny* – miedziany.

⁵¹ *Diak* – kantor, który w cerkwi prowadzi śpiewy i zna się na obrzędku.

⁵² *Kaleta* – skórzana torba.

⁵³ *Nie daję rady!*

i jego przewodnikiem w życiu dziadowskim nie tylko że nie jest czymś niezwykłym, ale owszem – rzeczą codzienną, normalnością życiową.

Wzajemna nienawiść starca, najczęściej zepsutego z gruntu, i dziecka, które nigdy z pętami pogodzić się nie może, tłumaczy się sama przez się; łączność, wzajemne cierpienie⁵⁴ siebie spowodowała rzeczy konieczność – interes obopólny.

Hryhor i Pańko nienawidzili się, żyli jednak ze sobą w pozornej zgodzie.

Dziad pałał chęcią zemsty za cielesne pokrzywdzenie, ale doświadczeniem nauczony Pańko miał się na ostrożności i nigdy nie udało się Hryhorowi znienacka go podejść.

Tak płynęły dni, tygodnie.

Razu pewnego zaszło nieporozumienie pomiędzy lirnikiem i powodyrem. Ostatni czuł się skrzywdzonym, że Hryhor odmówił mu kieliszka wódki, chociaż z umowy dwa jeszcze przypadało na osobę powodyra. Żwawa o to sprzeczka toczyła się między nimi jeszcze na jarmarku, z którego właśnie obaj wracali.

Pańko upominał się o należność, Hryhor trwał w uporze, wymaganie powodyra nazywając niesłusznym. Zakończenie kłótni było nad wszelki wyraz niepomysłne dla Hryhora: Pańko zostawił go samego wśród stepu.

Haniebny ten postępek oburzył niezmiernie Hryhora: klął chłopca, na czym świat stoi, a chociaż to była noc i deszcz padał, postanowił zerwać z nim wszelkie stosunki. Nocował na stepie. Głodny i zziębnięty jednak musiał nazajutrz kapitułować, gotówką wyliczywszy chłopcu sumę, za którą w każdym szynku⁵⁵ arendarz wyda dwie półkwatki⁵⁶ *sywuchy*.

Zwyczajca Pańko wiódł do wioski Hryhora, przepelnionego nienawiścią ku osobie powodyra.

Na własnym gruncie ciemny poczuł się panem, a znając dokładnie miejscowość, w chwili kiedy Pańko najmniej się tego spodziewał, pchnął go z grobli do stawu.

Instykt zachowawczy wyprężył rękę upadającego, która silnie chwyciła wiszący u sakwy dziadowskiej dość tęgi sznur jeszcze, i Pańko własnym ciężarem ściągnął dziada z grobli.

⁵⁴ *Cierpienie* – tu: znoszenie, tolerowanie innej osoby.

⁵⁵ *Szynk* – karczma, oberża.

⁵⁶ *Półkwatka (półkwaterek)* – dawna miara objętości cieczy, równa pół litra.

Zapaśnicy skąpali się w stawie, który nie był na szczęście głębokim w tym miejscu. Opiwszy się wody naleźycie, ugrzęźli w błocie po pas. Młodemu prędko udało się wygramolić, stary próżno dobywał sił ostatka, grzązał coraz bardziej i na domiar nieszczęścia musiał jeszcze znosić szyderstwa powodyra, który go z grobli, krom drwin, okrywał jeszcze garściami gnoju i prochu.

I tą razą nie powiodło się staremu: nie tylko że pokornie przeprosił Pańka, zakławszy się na duszę, że zemsty zaniecha, ale jeszcze wyswobodzenie swe z błota musiał opłacić półrublem.

Hryhor klął s o b a c z ą d o ł ę, Pańko tryumfował; a wkrótce lirnik odpoczywał ze zmęczenia w chacie, powodyr zaś pił za jego zdrowie u Icka dwie półkwatery p a l o n e j.

Snać zbyt radoszyna radość z tryumfu odjęła mu pamięć na to, co czyni: przebrał miarę i tyle tylko miał siły, by doleźć do chaty i tuż za progiem upaść bez pamięci, co z nim i koło niego się działo.

A działy się rzeczy niemałe.

Hryhor niedługo walczył ze swym sumieniem, które było oswojone z elastycznością przysiąg lirnika. Niemal zupełne obezwładnienie nie pozwoliło mu wziąć pomsty z pijanego wyrostka; miał jednak tyle siły, by dany półrubel, a nitką zawiązany w pazusze koszuli, na powrót odebrać i spłatać Pańkowi figła, który – dziad wiedział – będzie dlań boleśniejszym nad plagi nawet.

Pańko, acz dziecko, miał słabość – był pretensjonalnym: zdawało mu się, że będzie kiedyś zuchem parobkiem! Z utęsknieniem wyczekiwał tej chwili, kiedy będzie mógł puścić się w zaloty do dziewcząt, i to koniecznie pięknych!

Powodyr był przekonany, że za lat kilka żadna dziewczyna nie będzie w stanie oprzeć się jego woli, bo żaden z parobków nie dorówna mu tęgością i sprytem. Że ma ostatni, dowiódł już nieraz, ściągając w karczmie, na jarmarkach, odpuszczenie, co się ściągnąć dało; co do pierwszego, wiele liczył na przyszłość, która da wszystko, co będzie potrzeba, by zostać dzielnym parobkiem; w terażniejszości zaś – jako na zadatek tego, co miał zdobyć w dniu jutra – liczył wiele na swe rude, proste jak szczecina włosy. Z włosów tych dumny był Pańko – w nich widział wszystko! Każdy nierudy nie był u niego człowiekiem, a on miał być ponad wszystkich rudych! Co chcecie? Bywa to między ludźmi, że nieraz uwierzyć trzeba, iż przekonania, jakie mają, chyba z nimi na świat przyszły, że ich nie opuszczą do śmierci!

Pańko wierzył przyszłej potędze swojej, a za nic w świecie nie byłby ostrzygł włosów! I trwał przy swoim, chociaż do pozbycia się złotej jego ozdoby zagnała go

okoliczność, o której tu przemilczymy, świadcząc, iż Pańko czynem nie zadawał kłamstwa swemu przekonaniu: czupryna krzewiła się mu potężnie każdym włosem jak promieniem od ognistej kuli, strzelając w rozmaite strony.

Aż się uśmiechnął Hryhor, gdy mu na myśl przyszedł tak doskonały figiel, i błogo mu było na sercu, że przecież dokuczy nienawistnemu powodyrowi.

Wykrzesał ognia, rozmachał ręką wiecheć słomy, aż się płomień ukazał, i przytknął go do bujnej czupryny uspionego.

Niszczący żywioł w jednej chwili ogarnął głowę Pańka. Nieprzytomny, w półśpiący zerwał się na równe nogi i z dzikim krzykiem „Pali się! Gwałtu! Pali się!” wybiegł z chaty i nie uspokoił się, aż zanurzywszy głowę w nieopodał płynącym strumieniu.

Hryhor w chacie śmiał się do rozpędu; śmiejącego się zastał go jeszcze Pańko – z głową osmoloną, popieczony, zmoknięty.

Spojrzał na dziada, macnął się za półtrublem i ryknął wściekły:

– Poczekaj, diabelski ślepcunie!

W tej chwili weszli do chaty dwaj włościanie z wioski, zapraszając Hryhora z lirą do karczmy, by grał na weselu jednego z gospodarzy wiejskich.

Pańko, wstydząc się zapewne spalenizny, schował się przed przybyłymi za piec, między kule⁵⁷ słomy.

Wiedział Hryhor, że z każdej hulanki weselnej wpadnie mu niejedna czarka do gardła i złotówka do sakwy; dał słowo, że stawi się i po odejściu gości jął stroić instrument i ruszać się z posłania, by na czas stanąć u Icka. Tymczasem Pańko wyniósł się z chaty, a gdyby Hryhor miał oczy, dostrzegłby w twarzy powodyra coś złowrogiego – nowy projekt zemsty za doznaną krzywdę.

Przygotowania nie zabrały Hryhorowi wiele czasu: wstał, przewiesił lirę, sakwy i huknął na powodyra:

– Pańku! Ahou!

Pańka nie było.

Wołał go dziad raz i drugi – próżno! Czekał, niecierpliwił się – i to nie pomogło! A że mu chodziło o dobrze rentującą się⁵⁸ punktualność, droga zaś nie była daleka, postanowił dziad udać się do karczmy bez przewodnika.

⁵⁷ Kul – snopek.

⁵⁸ Rentujący się – opłacający się, zyskowny.

Prawda dziejowa wyznać nam każe, że zniknięcie powodyra niepokoiło nieco Hryhora i było mu wcale markotnie... Lecz innej rady nie znaleźć: w karczmie czekają; punktualność była zasadą lirnika od kiedy siebie zapamięta – przeżegnawszy się więc, wyszedł z chaty.

Otuchy dodawała mu okoliczność, że karczma była o staję – trzeba było tylko przejść małe zarośla, a za pagórkiem już go czekała gościnność arendarza i gęste traktamenta⁵⁹ gospodarzów wioski.

Wyszedł z chaty, minął zarośla i dla otuchy pogwizdując czabaraszkę⁶⁰, wszedł na pagórek. W jednej chwili drgnął, porwany jakąś siłą, zawahał się i runął całym ciężarem... Coś niezwykłego otarło się oń⁶¹ w rozmaitych kierunkach, wrzasło, krzykło i znikło! Dziad leżał na ziemi, zapach smoły czuć mu się dawał...

Była chwila, w której myślał, że już szatan porwał go do piekła. Struchlał i począł odmawiać modlitwy. Po chwili jednak ochłonął i spróbował podnieść się. Odważył się dotknąć samego siebie: czy też z ciała nie jest wyzuty? Nie! Dotknął się brody – smoła, czysta smoła!... To go znów przeraziło. Macnął się po łysinie – śliskie... Powąchał...

– O, źle! Szelmowski chłopiec!...

I już nie wątpił, że żyje; nie wątpił również, że Pańko figlem za figiel mu zapłacił!

W czasie, kiedy Hryhor zdawał sobie sprawę ze swego położenia, wielki popłoch miał miejsce w gospodzie u Icka. Wśród najlepszej uciechy, gdy czarki wkoło chodzić gęściej poczęły, wpadł do karczmy błądy, osmalony Pańko i jednym tchem doniósł przerażonym, że Hryhora żywe diabły wzięły do piekła za pagórkiem, że je widział na swe oczy i tylko cudem Bożym udało mu się wyrwać z pazurów czartowskich, bo już sam oddech ich czuprynę mu osmalił.

Na tak oczywiste potwierdzenie słów jak osmalony łeb Pańka, z którym znali się o kilka mil naokoło, struchleli uczujący i każdy mimo woli spojrział poza siebie, azali⁶² diabli nie czatują już na duszę. Icek zaś zrejterował się do szynkwasu⁶³ i wrzeszczących wniebogłosy bachorów uspakajał niezupełnie wolnym od przerażenia:

⁵⁹ *Traktamenta* – poczęstunek, uczta.

⁶⁰ *Czabaraszka* – ukraiński taniec ludowy, podobny do kozaka, i pieśń do niego.

⁶¹ *Oń* – o niego.

⁶² *Azali* – czy, czy aby.

⁶³ *Szynkwas* – bufet, lada w szynku, karczmie.

– *Sza, lubuniu, sztil!*⁶⁴

Kto wie, jak długo trwałyby przestrach między obecnymi w karczmie, gdyby głosu nie zabrał sotski*.

– O ile ja to pojmuję – rzekł – diabli nie śmieliby brać dziada bez przykazu⁶⁵ starszyny. Od czegoż my we wsi! Ale że Pańko naprawdę osmalony – to widać. Wypada zatem udać się nam wszystkim i na miejscu sprawdzić, jak i co stało się z Hryhorem. Mytrofan, jako osoba duchowna, pójdzie naprzód, a ja za nim, by na wypadek miał się z kim diabeł z urzędu rozmówić.

Mądra ta przemowa sotskiego trafiła do przekonania wszystkich, diaka wyjąwszy, który począł dowodzić, że właściwie do duchowieństwa, które by diabłów straszło, nie należy... Na nic się to wszelako nie przydało i popychany przez gromadę chłopów szedł Mitrofan, żegnając się trzykroć krzyżem świętym. Z innymi był i Pańko.

Icek, pomiędzy bojaźnią spotkania czarta a wpuszczeniem do karczmy amatora trunków wybierając, pozostał przy butelkach, pocieszając się, że nie nastąpi jeszcze dzień sądny, aby diabeł miał go żywcem do piekła zabierać.

– Niechby już Hryhora, starego pijaka..., ale za co jego, poczciwego Icka arendarza?!...

Krokiem wolnym, drżąc od strachu, by w żywe oczy nie spotkać się z diabłem, posuwała się karczemna gromadka ku pagórkowi, gdzie według słów Pańka miała miejsce utarczka Hryhora z diabłami. Jakoż niedługo ujrzeli go siedzącego na ziemi: głowa powalana, broda sklejona smołą, do piersi tulił otrzaskaną lirę, i łkał cichymi łzami.

Lud nasz widzi w szatanie uosobione nieszczęście albo też psotnika lubiącego dobrym ludziom płać figle mniej więcej nieprzyjemne: wepchać człowieka w błoto, wodzić w kółko po lesie albo stepie, wóz złamać, powiązać koniom ogony, puścić manę w oczy⁶⁶, że człek widzi rzeczy niewidziane – wszystko to sprawy diabelskie! I teraz, widząc dziada w takiej pozycji, nikt ani wątpił, że to sprawa czartowska. Pocieszano więc starego, winszując, że kosztem takiej tylko przykrości udało mu się rozprawić z *did'kiem*⁶⁷, który niemal każdemu z nich wyrządził psot niemało.

⁶⁴ *Sza, dziateczki, cisza!*

* Policjant wiejski.

⁶⁵ *Przykaz* – pozwolenie.

⁶⁶ *Puścić manę w oczy* – zamroczyć; wywołać przywidzenia, halucynacje.

⁶⁷ *Czartem*.

Wzięto Hryhora do karczmy, omyto, smołę wyparzono z brody gorącą wodą, którą Icek ofiarował bezpłatnie, i na pociechę uczęstowano niejedną czarką wódki. A chociaż ochoczym do tańca żal było, że nic z hulanki, umieli się jednak zgodzić z koniecznością i wcześniej, aniżeli kto myślał, weselni opuścili siedzibę Icka, który co żywo, ze strachu przed diabłem, schował się z Chajką i bachorami pod ciepłą pierzynę.

Gromadą odprowadzili goście starego Hryhora do chaty.

Lirnik udawał, że wierzy, iż diabeł z nim pożartował. W duszy jednak miał inne przekonanie i kipiał zemstą, klnąc się na Bohorodycę⁶⁸, że odpłaci Pańkowi z nasypem za strzaskanie ukochanej liry. Życząc staremu dobrej nocy, włościanie rozeszli się do domów.

W chacie jednak pozostał diak, szepcząc coś z Hryhorem po cichu.

Z ukośnie rzucanych na Pańka spojrzeń diaka domyślał się chłopiec, że o nim mowa. To mu się bardzo nie podobało! O ile, że jak dziad dobrze wiedział, iż nie diabeł to spletał lirnikowi boleśnego figla, który ze sprawcy płazem nie przejdzie, czuł to powodyr i przemyślał, co dalej przedsięwziąć...

Na próżno Pańko silił się usłyszeć co z rozmowy diaka i Hryhora – wiedli ją między sobą cicho, a niedługo Mitrofan pożegnał starego, życząc mu dobrej nocy.

Że było nieco chłodno, Hryhor kazał chłopcu zapalić na kominie i wkrótce obadwa udali się na spoczynek.

Dziad chrapał. Pańko odpędzał sen z powiek, umyślnie czas do czasu przyrzucając polano do ognia, bo przeczuwał coś niedobrego. Wkrótce jednak sen przemógł czuwanie – Pańko zasnął.

Sen powodyra był gorączkowy, a przebudzenie – gorące. Mocny ból zbudził chłopca. Otworzył powieki: ujrzał nad sobą postać diaka. Jacyś parobcy trzymali go mocno, a diak okładał ciężkim kijem niemiłosiernie. Hryhor śmiał się z całej siły.

Sekunda wystarczyła dla zdania sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje, instynkt wskazał sposób ratunku: Pańko dobył wszystkiej siły i jednym rzutem znalazł się przy kominie – w obie garście porwał płonące główne i cisnął je za siebie.

Słoma i liście były postaniem Hryhora i Pańka, krom tego miałeś je wszędzie w chacie, w sekundzie więc zajął się ogień i objął całą izbę.

⁶⁸ *Bohorodyca* – Bogurodzica.

Na ten widok diak i parobcy nie widzieli nic spieszniejszego, jak salwować się ucieczką, a że ich gnała tak bojaźń ognia, jak i kary, że sami poniekąd byli sprawcami pożaru, nie oparli się więc aż w wiosce, wrzeszcząc wniebogłosy: „gore! gore!”⁶⁹.

Nim się ruszyli włościanie i dowiedzieli od dzwoniącego na gwałt diaka, gdzie się pali, już chaty Hryhora nie było.

Przybyli na ratunek, ujrzeli trochę popiołu i parę głowien.

Z Hryhora zostały tylko niedopalone kości i przez ogień nietknięte – jego chodaki.

Poparzonego Pańka znaleziono opodal, jak skulony i drżący przypatrywał się zgliszczom.

Włościanie poczęli rozpytywać chłopca o przyczynę pożaru. Nie umiał nic innego odpowiedzieć jak tylko, że na rozkaz Hryhora, rozłożywszy ogień na kominie, zasnął, a przebudził się, gdy już wszystko było w ogniu..., że ze zgliszcz udało mu się wydostać i nic więcej.

Opowieść ta zdała się być wszystkim bardzo naturalną. Diak zaś ze swej strony powiedział zebranim, że w towarzystwie Sobka i Juchyma, parobków ze wsi pasać konie, dostrzegł tunę i przywołał wieś na ratunek.

– Co to już, jak co komu sądzono – zrobił uwagę jeden z włościan. – Dziad się spalił, a chodaki choćby się osmały!...

– Bo Hryhor je kładł pod piec, a cegła się nie pali – rzekł na to Pańko.

– A czemu dziad sam się pod piec nie schował? – zapytał ktoś żartobliwie.

– No, chodźmy już do wsi. A chłopca chyba wziąć ze sobą?

– A jużcić⁷⁰ wziąć. Dziada nie ma, kogoż będzie wodził? Chodaki?...

– Szczera prawda. Ale chodźmy, bo już świta.

– Widzicie, Mitrofanie – rzekł jeden z włościan do diaka, gdy wszyscy ruszyli drogą do wioski – że taki diabeł usadził się na nieboszczyka: z początku tylko trochę go poturbował, a później przykręcił wieku...

– A taki tak! – potwierdził diak, ukośnie spojrzawszy na Pańka.

Pańko udawał, że nic nie widzi, i zadumany szedł obok innych.

Trzeba go będzie oddać do dworu, niech tam pan robią z nim, co znają...

⁶⁹ *Gore, gore!* – ratunku, pali się!

⁷⁰ *Juźcić* – no pewnie, oczywiście.

A pewnie, że do dworu. Pan gniewałby się może, gdybyśmy go zostawili w gromadzie, choć między nami nie zginąłby sierota.

– Jutro go zawieziemy do dworu!...

W uszach Pańka mile brzmiało to słowo „do dworu”. Jakiś głos mówił mu, że tam go czeka szczęście, tam snów spełnienie.

– Do dworu – powtarzał – do dworu!

Jakoż nazajutrz był w siedzibie państwa Bartłomiejostwa. Pokazało się wszelako, że to szczęście nie od razu przywita śniącego o nim słodko. Pańkowi za długim wydało się stanie z odkryta głową przed gankiem pana Bartłomieja, dłuższym jeszcze czekanie w kuchni, w której mu jeść nie dali, na wstępie poczęstowawszy szturchańcami.

Wyszedł na podwórze, jak pies obwąchał wszystkie kąty, przepatrzył wszystko, przekradając się pod ściany i opłotki. Słyszał jęki, widział jak gęsto sypały się baty na parobków i dziewczki i zawahał się.

– Może lepiej było z dziadem?...

Nie, jakiś głos wciąż mówił, że tu mu będzie dobrze.

Niespokojność jednak wróciła, a nawet owładło Pańkiem przerażenie, gdy obaczył pana; widział, jak z miną groźną słuchał opowiadania włościan o pożarze, o nim wreszcie...

– A niech tam diabli porwą obszarpańca, razem z wami! – wykrzyknął pan Bartłomiej, gdy usłyszał o Pańku.

– To jakże, jasny panie?... – poczęli włościanie.

– Idźcie do biesa! Teraz nie mam czasu – krzyknął pan Bartłomiej i groźnie odwinawszy nahajem, wszedł do stodoły.

Płacz i jęki dochodzące Pańka ze stodoły przerwały dalsze medytacje jego i może przyspieszyły postanowienie włościan: spojrzeli po sobie, przemówili słów parę i wsiadłszy na wóz, ruszyli z kopyta.

Pańko chciał krzyczeć, by go we dworze nie zostawiali, ale w tej chwili usłyszał za sobą chropawy głos: „A co ty tutaj robisz, złodzieju?!”, czym przestraszony dał nurka między sęgi⁷¹ drzewa stojące na podwórzu i chyłcem przemknął się do uchylonych drzwi. Była to opuszczona piekarnia. Pańko jednym rzutem oka objął znajdujące się w niej przedmioty, a dojrawszy jedyne miejsce schowku, wlaź pod

⁷¹ *Sęgi* – stos kawałków drewna.

przypiecek i otwór stojącą tu resztką cebra⁷² przysłonił, zdecydowany siedzieć w tym ukryciu do nocy, w której obiecywał sobie właściwsze jakieś pokierowanie się.

Było już dobrze z południa. Pańkowi głód dokuczał, ciągłe jednak głosy ludzi, ich kroki trwożyły go, zatrzymując w niezbyt wygodnym schronieniu.

Wreszcie postanowił zaryzykować – wyjść z ukrycia, a to najpierw dla staranego przepatrzenia, czyli się gdzie nie znajdzie co pożywnego: suchar, kostka... , co bądź, byle w ruch wprawić głębę, którą niecierpliwil niewytłumaczony dla niej, a tak mało pociągający zastój. Już odchylił ceber i połową korpusu był za przedpieckiem, gdy przeraźliwe skomlenie, pośpieszny bieg i urywane wykrzykniki nakazały mu rejteradę.

Jakże się zgorszył, ujrzawszy szczeniuka⁷³ chroniącego się przed pogonią najpierw do kuchni, a następnie pod przypiecek, gdzie już siedział – rzekłbym – drugi bohater mej powieści, ale o tym dalsze rozdziały szerzej powiedzą.

Za psem, z długą żerdzią, na której krew znać było, biegł Apolinek państwa Bartłomiejostwa, znany już nieco czytelnikom Szymcio robaczek. Ośliniony, z oczami krwią zabiegłymi, wbiegł do kuchni. Szczeniuk mógł się tylko ukryć pod przypieckiem – począł więc żerdzią domacywać się swej ofiary.

Położenie Pańka było w tej chwali nieco drażliwe: żerdź bez wątpienia szukała psa, nie jego, tymczasem punkt swego oparcia się znajdowała na ciele byłego powodyra, gdyż zmyślny pies ukrył się w sam kąt przypiecka, do tego jeszcze za plecami Pańka. Ponieważ chcącemu zachować swe incognito Pańkowi krzyczeć nie wypadało, a nieturbowany pies skomleć nie miał ochoty wcale – co znowu mogło pewne podejrzenia wznieść w Szymonku – musiał więc ekspowodyr coś stanowczego przedsiębrać! A że u Pańka za planem i jego wykonanie iść zwykło, nic więc dziwnego, że nie żałował starań, byle psa spoza siebie wydostać i wystawić go na uderzenia szymonkowej żerdzi. Ale szczenię śnać było niespokojnego ducha, bo w żaden sposób nie chciało opuścić wygodnego stanowiska; a gdy mu nalegania Pańkowe zdały się być natarczywymi, postanowił psiuk odcinać się zębami i jął gryźć na piękne swego sąsiada, złośliwie przy tym warcząc.

W krzyżowy ogień wzięty Pańko cierpiał, ale bądź co bądź postanowił nie kapitulować, a że uderzenia żerdzi zależały tylko od jej właściwego kierunku, dodatnią więc funkcję tę przyjął na siebie: oboma rękami pomagał szymonkowej

⁷² Ceber – duże, okrągłe naczynie z drewnianych klepek.

⁷³ Szczeniuk – szczeniak.

żerdzi, wprost na psa ją kierując. Tu się mu wprawdzie powiodło, bo pies skomlił, a chociaż kąsał Pańka, mszcząc się na bliższym krzywdy, którą mu dalszy zadawał, byłby na to nie zważał, ale... bądź co bądź, fatalność istnieje! Ku wielkiemu zdziwieniu swemu Szymonek poczuł, że jakaś siła niezależnie od niego kieruje żerdzią. Z początku myślał, że to szczeniuk zatrzymuje ją zębami, ale wkrótce zachwiał się w swym przekonaniu. Zrodziło się w nim podejrzenie, a to ze swej strony nabawiło go obawą – trzeba bowiem wiedzieć, że synek państwa Bartłomiejostwa bał się strachów...

Zaprzestał szturkania i z trwogą spozjrzał wokoło – był sam..., ale światło dzienne, obecność ludzi na podwórzu dodały mu odwagi. Nachylił się..., ujrzał ceber. Chciał go odsunąć, sprzeciwił się temu Pańko, całą siłą uchwyciwszy się odwrotnej strony cebra, który dlań w tym razie był murem obrończym.

Szymonek silniej pociągnął, jeszcze silniej, z całej siły... i wrzasnął przeraźliwie, upadłszy na ziemię – przeraził go swą czarnością piesek, który widząc, że zaprzestano szturkania, rozumiał, iż wolno mu otworem przez cebrzyk niezajętym wyjść na wolniejsze powietrze. Wylał, a krzywd niepamiętny począł lizać tłuste policzki swego pana.

Przekonawszy się, że nie strach, ale przeraził go Żuczek, Szymonek najpierw poczęstował psa ciężkim uderzeniem drobnej swej rączki, a następnie wziął się znów do cebra. Dwie siły skierowane w sprzecznym kierunku na przedmiot błahy, jakim był rozeschnięty ceber, spowodować musiały podział tegoż na dwie części: jedna została przy Pańku, z drugą wyrzucił się Szymonek, nabawiwszy sobie potężnego guza z tyłu głowy. Jak rycerz, któremu dla obrony została tylko przedziurawiona tarcza, siedział Pańko, zasłaniając się częścią cebra i drżąc oczekiwał swego wyroku.

Za małą chwilę powstał Szymonek z upadku, dotknął się guza i żerdzią uzbrojony, odważył się spojrzeć pod przypiecek. Widok, jaki się oku jego przedstawił, dość mu się podobał! Nie zwlekając, wprawił w ruch rękę prawą, w żerdź uzbrojoną, i dotykał nią smutnego rycerza.

Pańko nie jęknął ani razu, chociaż duże łzy zalewały mu parę ócz zielonych.

To jeszcze bardziej podobało się Szymonkowi. Przystawszy szturkania, zapytał, nie bez pewnego drżenia:

– Kto tu?

– Ja! – odpowiedział mu głos z przypiecka.

– Ty? – zapytał.

– Ja! – znów mu głos odpowiedział.

– A nu, wyleż – powiada Szymonek.

– A będziecie bić? – zapytał go głos.

– Będę! – odpowiedział ten bez namysłu.

– A to bijcie! – rzekł z determinacją Pańko i wylał spod pieca.

Szymonek z nietajonym zadowoleniem patrzył nań przez chwilę. Trudnoż bo było znaleźć stosowniejszą dla siebie parę! Pańko był jak rodzony brat Szymonka.

– Nie bijecie? – zapytał Pańko głosem miękkiem swego zwycięzcę.

– A nu, nachyl się!

Pańko był posłusznym. Szymonek odwinął rękę i dał mu zamaszysty policzek.

– Anu, jeszcze!

– Masz!

– Jeszcze!

– Masz! Masz! A co!

Pańko, milcząc, pocałował Szymonka w kolano.

Wyznamy otwarcie – Szymonek zgłupiał i bezwiednie może, wyciągnąwszy z kieszeni kawał bułki, podał ją Pańkowi.

– Na!

Pańko chciwie rzucił się na nią i żarłocznie pożerał. Szymonek przez ten czas opatrywał go ze wszech stron ciekawie. Bułka była zjedzoną. Pańko pozbierał okruszyny, zjadł je i patrząc Szymonkowi w oczy, rzekł:

– A nu, dajcie jeszcze!

– Nie ma! – była odpowiedź Szymonka.

– Weźcie gdzie w kuchni, a za to będziecie mnie bić, ile się podoba.

– Ty skąd? – zapytał go Szymonek.

– Nie wiem.

– A umiesz gniazda wybierać?...

– Oho, czemu nie! I głowy kręcić potrafię.

– A nu, obaczmy. U nas w ogrodzie rośnie topola. Ja wiem, że tam jest gniazdo, ale nie mogłem wyleźć. Jak dostaniesz, to dam ci chleba.

– Dostanę.

– Nu, chodźmy.

Wyszli oba, a za chwilę Pańko jak kot lazał po topoli. Przyniósł gniazdo, w nim trzy małe ptaszyny. Szymonek dwóm ukreślił główki, Pańkowi jedno odstąpił. Ten go przeszedł, bo porwał ptaszynę na części, co się Szymonkowi bardzo podobało. Wyniósł mu chleba, po spożyciu którego udali się na nową wycieczkę.

Broili do wieczora, zwierzętom i ludziom czyniąc wszelkie przykrości, a we wszystkim Pańko prześcignął Szymonka! Tym mu tak zaimponował, że Szymcio postanowił nie pierwaj się z nim rozłączyć, aż mu we wszystkim dorówna. Jakoż po powrocie z wycieczki, na wstępie, rzekł do pani Bartłomiejowej:

- Mamo, ja chcę, aby on został ze mną!
- Kto? – spytała dobra matka.
- Pańko.
- Jaki Pańko?
- A o ten.

I w tej chwili przyjemna postać byłego powodyra, uchylwszy drzwi, znalazła się u proga.

- Jezus Maria! A to co za straszycło? – wrzała pani Bartłomiejowa.
- A, to pewno ten darmojad!...⁷⁴ Idź do biesa! – krzyknął pan Bartłomiej, który tylko co wszedł do pokoju i dojrzał Pańka.

Na głos ten straszliwy Pańko cofnął się w stronę Szymonka, jego się opiece powierzając.

- A kiedy ja chcę, żeby on został! – zawołał stanowczo Szymonek.
- A co tam jeszcze!...
- Ot, widzisz – przerwała mężowi pani Bartłomiejowa – Szymcio upodobał sobie tego chłopca, to niechby się tam bawił...
- Ma psa, niech się bawi – burknął pan Bartłomiej.
- Pies psem, moje kochanie, a niechby chłopcowi była rozrywka.
- Wy mnie z torbami puściecie... – poczał już mięknać pan Bartłomiej. – Dogadzać waszym kaprysom...
- No, no! Idź już, chłopcze, do kuchni, tam ci dadzą jeść. A podziękujże paniczowi.

Pańko nachylił się do pocałowania ręki Szymonka.

- A pamiętaj mnie nauczyć – rzekł ten – wyplatać guźlaste batogi⁷⁵, bo to więcej boli!
- Nauczę! – przyrzekł Pańko, wychodząc.
- Widzisz, synku, jaki to tatko dobry? Niczego ci nie żałuje. O, moje ty kochane, drogie! – I pocałowała go w tłuste usteczka.

⁷⁴ *Darmojad* – darmożjad.

⁷⁵ *Guźlasty batog* – bat z zawiązanymi w odstępach węzłami.

– Niech no mama da jeść – mruknął Szymonek.

– Będzie człowiek z Szymcia! – myślał pan Bartłomiej, patrząc na syna. – Rychtyk⁷⁶ takiego mieć chciałem!

Potrzeba było widzieć Pańka, gdy się znalazł za drzwiami pokoju, do którego wchodził tak bardzo trwożny – inny to był człowiek! Niewątpliwie Hryhor nie poznałby go teraz. Pańko czuł, że podniósł się moralnie i sam siebie bardziej odtąd cenił. Wczoraj nędzny powodyr, dziś już lokaj i towarzysz panicza, a jutro... , co jutro będzie?... Ho-ho! I macnął się po łbie. Złota czupryna była osmaloną... Nic to! Odrośnie! Pańko będzie górą!

Na ganku już nie mógł wytrzymać, by nie dać susa, a z tym wraz nie palnąć kamukiem psa, który boleśnym skomleniem dał świadectwo przyszłości Pańkowej, a może i naturę jej określił.

Z psami Pańko nie porobił jeszcze znajomości i te, widząc obejście się jego z Bosym, wcale nieprzychylnym okiem patrzyły na obdartusa, któremu potrzeba było przejść do kuchni, ażeby zaspokoić domagania się lokajskiego żołądka, a psy mogły mu kurtę skroić...⁷⁷ Należało tedy radzić. Owóz stanął Pańko na słupku, który był przy schodach – psy się rozszrożyły, podniósł obie ręce – psy warkły. Nie spodziany, szalony skok Pańka w sam środek psów przeraził je, a zanim przyszły do siebie, już Pańko jak wiewiórka uczeplił się płotu, drzewa później, wreszcie skoczył do sieni i przed samym nosem drzwi psom zatrzaskał.

– Wiedźcie, durnie, że to z Pańkiem sprawa!

Z pompą też niemałą wszedł do kuchni. Nadął się niby wielki pan w karecie i zawołał:

– Dacie mi naprzód klusek z białego ciasta, a sera i słoniny dużo! Tylko prędko, bo czekać mi się nie chce!

Zdziwienie obecnych w kuchni ustąpiło miejsca zgorszeniu, gdy się przekonali, że to ten smarowóz tak im tu rozkazuje.

– A co to za pan wielmożny do białych i tłustych klusek? – zapytali chórem obiadujący i zwrócili się z łyżkami w stronę Pańka.

Należy się domyślać, że w ruchu tym parobków dojrzał Pańko coś dla się nieprzychylnego, bo z groźnie lęklwym krzykiem „No!” cofnął się w stronę pieca.

⁷⁶ *Rychtyk* – w sam raz; właśnie taki.

⁷⁷ *Kurtę skroić* – sprawić lanie; wyrządzić krzywdę.

– Horpyno! A nie dalibyście osypki⁷⁸ dla panicza, bo go chleb w zęby kole! – mówili, przedrzeźniając się parobcy.

– Osypkę żryjcie z psami! A mnie Państwo białych klusek dać kazali, bo ja do nich przystałem za lokaja.

To oświadczenie Pańka magicznie podziało na obecnych, którzy też, drwin zaprzestawszy, jeśli rozpytywać, w jaki sposób ekspowodyr doszedł do tego szczytu, że został lokajem u państwa. Posadzili go między siebie, dali łyżkę do rąk i ogółem wszyscy znaleźli, że Pańko *niczego waty*⁷⁹ jest chłopcem.

Uczuwszy się panem sytuacji, Pańko rozwiłmożył się na całą gębę, z góry traktując hołotę. Jadł, co się wlało, łągał, ile tylko mógł, i wszystkim zaimponował bardzo, co też przebijało się w częstych wykrzyknikach słuchaczy: „*A dywy! Hehe, sztuka!*”⁸⁰.

Właśnie bardzo przekonująco dowodził Pańko, że przed tygodniem jeszcze służył u pewnego księcia, który mu córkę swą królewnę chciał dać za żonę. Jednych to bawiło, innych dziwiło, a wszyscy słuchali opowieści z zajęciem, gdy wtem w miejscu najciekawszym przerwał opowieść Pańka Matwija, parobek od wołów:

– *Oto bresze!*⁸¹ A wszakże cię widziałem, gdyś łapcie plótk Hryhorowi.

– Widziałeś? – pyta Pańko.

– *A prysiastoboże!*⁸²

– Kiedyś taki mądry, będziesz ze mną grać w mielnika?

– Abo ja znam?

Matwija nie wiedział, co to za diabeł ten mielnik, nie wiedzieli i inni, ale rozumiejąc, że to coś będzie ciekawego, poczęli nań nalegać:

– Graj! Graj!

– Nu, ta co! Będę grać. *Taże*⁸³ on mnie nie zje!

– A nu, mielnika! Obaczymy, jaki to mielnik! – wołali wesoło parobcy.

⁷⁸ *Osyпка* – grubo mielona mąka, dawana jako pokarm zwierzętom domowym.

⁷⁹ *Niczegowaty* – niczego sobie, niezgorszy.

⁸⁰ *Ale dziwy! Coś takiego!*

⁸¹ *Ale łże.*

⁸² *Jak Boga kocham.*

⁸³ *Taże* – przecież.

Pańko natychmiast znikł z kuchni, a za chwilę wrócił z dwoma miskami, w których na spodzie było nieco mąki.

– Siadaj naprzeciwko mnie, o tutaj – rzekł do Matwija.

Matwij usiadł, obecni obstąpili ich wokoło.

– Masz miskę. Umocz palec w mąkę i smaruj ty mnie po twarzy, a ja ciebie.

– Dobrze! – powiada Matwij i posmarował Pańka po czole.

Pańko oddał mu wet za wet. Ale, o zdziwienie! Chociaż oba maczali palce w mące, przecież Pańko miał kresy⁸⁴ białe, Matwij zaś czarne na twarzy. Powstał tedy śmiech wielki, ile że Pańko, smarując Matwija, dogadywał rozmaicie. Wyszmarowali się, aż powiada Pańko do Matwija.

– A nu, obaczmy teraz, kto mielnik, a kto kominiarz – i pokazał Matwijowi kawał lusterka wklejonego w ścianę.

Jak obaczy swą mordę Matwij, jak nie krzyknie:

– Bodaj cię czort!

Wszyscy pękają ze śmiechu:

– O to tobie mielnik!

– Nu, szelma Pańko! Taże on z wierzchu miał mąkę, a dno miski było umaczane w sadzę. Oto umalował Matwija!...

– Chyba ja nie Matwij, jeżeli mu za to nie podziękuję!

– Matwij mielnik! Cha, cha, cha, mielnik! – śmieli się parobcy.

– A czegoż wy się śmiejecie – zapytał Pańko – kiedy wam nic śmiesznego nie zrobiłem?

– A nu, zrób! Nu, *potisz*⁸⁵, Pańku!

– A patrzcie tu!

– Nu, nu!

– Tu, w górę!

Wszyscy wybałuszyli ślepie, a Pańko jak nie porwie garnek żuru, jak nie chluśnie na wszystkich!

– Macie! – i sam w nogi przez okno, bo postrzegł Szymonka na podwórzu.

– Ażeby ci tysiąc! – huknęli wszyscy, ocierając żur ze siebie.

– O, to mu szelma, diabeł! Niechże „mielnik”, ale co z żurem – to taki ani trochę nie śmiesznie!

⁸⁴ *Kresa* – linia, kreska.

⁸⁵ *Zabaw nas*.

Koniec końców jednak wszyscy przyznali, że Pańko jest wcale sprytnym chłopcem, a gdy już został lokajem, trzeba z nim żyć, ażeby jakiego stołka nie przystawił⁸⁶.

Państwo Bartłomiejostwo także nie mieli nic przeciw byłemu powodyrowi i tym sposobem przyszłość Pańka była ustalona: pozostał we dworze państwa Bartłomiejostwa lokajem syna ich – pana Szymona Złodzickiego.

III. PAN I SŁUGA

Lokajem Pańko był tylko z nazwiska, w rzeczy zaś samej najlepszym towarzyszem, jakby bratem swego pana.

Harmonia ich zasadzała się, wbrew pojęciu o niej, nie na sprzecznościach, ale przeciwnie! Wyradzała ją wspólność – nawet myśli, które tak w Pańku, jak i w Szymonku specjalnie skierowały się do wyrządzania psot ludziom i zwierzętom.

– Dobrało sobie parę diabelskie paniątko! – mówili włościanie, czyścowe męki cierpiąc od małych dwóch urwisów⁸⁷, którzy wysilali się, byle nową a dokuczliwszą psotą komu wyrządzić. Sto ócz nie dopatrzyłoby zbyteczników, którzy gdy się uwzięli na co, dopięli swego, najszcześliwsi, jeśli za ich psotą następowała kara niewinnego.

Szymonek z Pańkiem nie rozstawał się ani na chwilę; wymógł nawet na rodzicach, by jego lokaj spał z nim razem w jednym pokoju. W łóżku układali plany jutrzejszych wypraw i dzień biały nieraz zastawał ich uśpionych w bratnim uścisku.

Podobny widok, dowodzący zbytecznego poufaleń się, oburzył panią Bartłomiejową, która też nie omieszkała wiszącą na kółku pięciorzemienną dyscypliną⁸⁸ wypłoszyć Pańka z łóża i ramion swego pana. Za sługą jednak ujął się Szymonek, a pięknych słówek nagadawszy mamie dobrodziejce, skinął na Pańka i oba wynieśli się oknem do ogrodu, a dopiero noc późna obaczyła ich powracających do domu, obszarpanych, głodnych, pomęczonych.

⁸⁶ *Przystawić stołka* – zaszkodzić komuś, narazić kogoś na stratę.

⁸⁷ *Urwisz* – dawn. urwis.

⁸⁸ *Pięciorzemienna dyscyplina* – krótki bat o pięciu rzemiennych.

Na zapytania państwa Bartłomiejostwa, gdzie by dzień spędzili, turyści nie życzli sobie nic odpowiadać, chowając stateczne milczenie, czym rozgniewany pan Bartłomiej – dla dania przykładu synowi – tego oćwiczył Pańka dyscypliną.

Ciężkie razy zapiekanych końców boćkowca⁸⁹ nie wydobyły z męczennika żadnego zeznania. Szymonek podczas egzekucji stał na boku ponury, nie zdecydowany co przedsięwziąć. Szczęściem, że pan Bartłomiej uznał za właściwe zaprzestać bicia, rzecz całą zakończywszy uwagą zwróconą do syna:

– Tak i tobie będzie, gdy nie zechcesz słuchać ojca i matki.

– Owwa!⁹⁰ – mruknął Szymcio i wzięwszy Pańka za rękę, wyszedł z nim do ogrodu.

Reszta nocy i dzień cały nazajutrz upłynął przyjaciółom na naradzie. Ostatecznie – po rozpatrzeniu się w rozmaitych projektach, planach – obadwa zgodzili się na projekt zdaniem ich najpraktyczniejszy: opuścić dom, w którym krępują ich swobodę, i pójść tam, gdzie, wszelka władza ustaje – do lasu – i zostać rozbójnikami!

Było w tym wiele pociągającego dla obu młodych: samotność, swoboda, cisza lasu, ryk zwierząt, bójki, strzelania; wreszcie: podziemia, łańcuchy, zakłete królowny, skarby i tysiące innych pięknych rzeczy, których na prozaicznym folwarku pana Bartłomieja nie znajdzie się nigdy i zmarnuje wiek młody!...

Im pilniej bohaterowie nasi rozpatrywali się w projekcie, tym bardziej pociągał on ich ku sobie, aż wreszcie po kolacji nastąpiło samo wykonanie: nie zważając na noc dość ciemną i możliwość spotkania się ze strachami, Pańko i Szymonek ruszyli ku lasom.

Obadwa mieli wielkie kuchenne noże za pasem. Chleb i słoninę niósł Pańko w worku na plecach. Szymonek miał w trzosie cały złoty polski miedziakami, flaszkę wódki ściągniętą z apteczki pani Bartłomiejowej trzymał za pazuchą. Odwagi dodawała mu poła kurtki Pańkowej, za którą trzymał się mocno. I szli tak obadwa w ciemności, utykając co krok, ale błoga przyszłość uśmiechała się im i dodawała otuchy.

Milcząc, szli bohaterowie, wzrok utkwivszy przed siebie. Wreszcie – mimo całe wysilenie – Szymonek począł drzeć coraz bardziej i szarpnął towarzysza za połę:

⁸⁹ *Boćkowiec* – dyscyplina, bat.

⁹⁰ *Owwa (owa)* – wykrz. ojej!, wielka rzecz!

- Pańku!
- No?
- Ja się boję.
- To nic nie szkodzi.
- Może byśmy się wrócili?... – cicho zapytał Szymonek swego towarzysza.
- E, nie! – odpowiedział Pańko. – Będą bić, żeśmy w nocy poszli. Już nie-

daleko do lasu.

W tej chwili oczom przyszłych rozbójników przedstawił się okropny widok: biała olbrzymia jakaś góra wyrosła tuż przed nimi, straszliwie sapiąc, a iskry sypały się z niej rżęście. Szymonek i Pańko padli bez tchu na ziemię, głowę okrywwszy rękami.

Leżeli tak długą chwilę; wreszcie Pańko ośmielił się spojrzeć: góra zmniejszyła się znacznie, ognia nie było widać, ale sapanie nie ustawało. Spojrzał i Szymonek. Pozycja była fatalna: iść niepodobna, widząc tak oczywiste niebezpieczeństwo przed sobą, leżeć – nie uniknie się go. Wypadło więc z narady: podać tył⁹¹.

Już się obaj bohaterowie mieli do odwrotu, już Szymonek nogi rozpuścił, by biec na powrót, gdy wtem straszliwy, niewypowiedziany ryk powalił ich na ziemię i wszelkich sił pozbawił. Drżąc, czekali swego przeznaczenia: rychło li przez piekielny jaki potwór pożartymi zostaną? Ale potwór ociągał się, śnać niegłodny. Chłopcom odwaga wróciła o tyle przynajmniej, że zbliżyli ku sobie głowy, ażeby razem być pożartymi.

W takiej to pozycji zostając, przypomniał sobie Pańko, że flaszka z wódką była za pazuchą Szymonka, a obeznany z własnościami trunku tego jeszcze z czasów swego powodyrstwa, wziął ją od towarzysza i przełknąwszy parę łyków, oddał Szymonkowi, zachęcając, by toż samo uczynił.

Skutek był przedziwny! Bohaterowie usnęli snem sprawiedliwych i o świcie dopiero zbudziła ich swym rykiem – biała krowa, która w nocy takim strachem nabawiła przyszłych rozbójników.

Pokrzepieni na duchu i ciele, a trwożni, by dzień biały nie wydał ich w ręce ludzi, spiesznym krokiem ruszyli nasi bohaterowie i wkrótce las przyjął ich w swój uścisk. Tu dopiero poczuli się ludźmi wolnymi i z dumą spojrzeli na siebie; później radość napełniła ich serca tak wielce, że poczęli kozły wywracać i borykać się ze sobą. Wreszcie myśl poważniejsza zawitała: co dalej przedsięwziąć?

⁹¹ *Podać tył* – uciec z pola bitwy.

Najpierw wynaleźć schronienie. Któreż najstosowniejsze: na drzewie, w dziuple czy jaskini? To ostatnie najbardziej przypadło im do gustu, poszli więc szukać jaskini.

Szukali, szukali...; już i utrudzenie czują i głód dokucza; posilili się, znów poszli – nie ma jaskini! Zropaczeni drugi raz jedzą. Pańko zaproponował napić się wódki – wypili... i ani się spostrzegli, jak posnęli smacznie.

Ocknął się Pańko: słońce ma się ku zachodowi, noc blisko, a jaskini nie ma. Żle! Ocknął się i Szymonek. Co począć? Narada. Ale niezadługo struchleli, usłyszawszy okropny głos pana Bartłomieja:

– Jeżeli i tak, to mi się nie wykręca hultaje! Obudwu, jakem Bartłomiej, sprawię łaźnię, że popamiętają!...

Trzask gałęzi, głosy ludzkie, między którymi jak trąba sądu ostatecznego grzmiał głos pana Bartłomieja – wszystko to dowodnie przekonywało rozbójników, że pogoń ich ściga. W mgnieniu oka Pańko już był na wierzchołku osiki. Nieco mniej zwinnie wydrapał się za nim Szymonek.

Jak na nieszpory dzwoniąc zębami, widzieli z drzewa groźne oblicze pana Bartłomieja. Sokole oko Pańkowe dostrzegło nawet boćkowiec z kozią łapką, u rączki z końcami zapiekanyymi, które czuł jeszcze na sobie. Trzech parobków towarzyszących panu Bartłomiejowi byli siła aż nadto wystarczającą dla dwóch bohaterów, nie mniej jak dająca im przytułek osika drżących w tej chwili u jej wierzchołka.

Los jednak widocznie ich oszczędzał: pan Bartłomiej z boćkowcem i parobkami poszedł stroną, a wkrótce i straszliwy głos jego znikł gdzieś w oddali, nie objając się o uszy zalęknionych rozbójników. Roztropność jednak nakazywała nie opuszczać stanowiska, pogoń bowiem mogła jeszcze wrócić. Uradzono tylko spuścić się w niższe części drzewa, gdzie bardziej rozłożyste gałęzie dawały wygodniejsze siedzenie, a nawet i sen zdolne były umożliwić.

Dobrze już po zachodzie słońca zjedzono resztę chleba z pozostawieniem kawałka słoniny, której stosunkowo więcej było aniżeli chleba; a że sowy hukaty przeraźliwie i w lesie strachów dostatek, wypadło uciec się do wypróbowanego sposobu odpędzenia wszelkiej bojaźni – wypróżniono flaszkę do kropli...

Ciekawe rzeczy działy się w tę noc z naszymi bohaterami. Każdy z nich był olbrzymem, dokazywał cudów, widział i miał światy... , ale koniec końców obadwa na jutro ocknęli się nie na drzewie, lecz w krzakach, pomiędzy burzanami i pokrzywą.

Nie było tu nad czym medytować długo: co się stało – nie odstanie! Parę draśnięć, guzów mniej czy więcej rzeczy nie stanowi! Grunt – schronienie. Na

drzewie niepodobna – dziupła, które by ich obu pomieścić mogło, nie znaleźli, jaskini nie było!

I była chwila uciechy! Nie znaleziono wprawdzie jaskini, gdyż się dowodnie pokazało, że w całym lesie skał nie ma, ale Szymonek odkrył dość obszerną jamę w gliniastej górze, tuż nad drogą. Tu obrano siedlisko. Z traw uścielono łożę, wierzch jamy okryto gałęziami i w nowej swej siedzibie usiedli Pańko z Szymonkiem, uszczęśliwieni, że nie potrzebują już wałęsać się po lesie.

Wielki też czas był wyszukać schronienie, gdyż chmury okryły widokrag⁹², a niedługo rześisty deszcz, błyskawice i pioruny przeraziły naszych bohaterów tak dalece, że na chwilę zapomnieli o dokuczającym im głodzie, bo żołądek chłopaków wcale się nie chciał zadowolić kawałkiem spożytej słoniny.

Deszcz lał jak z cebra, pioruny nie ustawały. Pańko i Szymonek, tuląc się ku sobie, leżeli na postaniu. Rozmaite myśli przychodziły, im do głowy, projekta, plany... Wszystko to jednak przerwała najmniej spodziewana kąpiel: deszczowy potok w drodze swej zawadził o siedzibę naszych bohaterów i całą masą wpadł przez wierzchni otwór jaskini, ochłodziwszy wszelkie marzeń gorączki.

Porwał się Pańko na równe nogi – wyleciał z jaskini! Za nim rzucił się Szymon, lecz by wydostać się z wody, potrzebował już pomocy towarzysza. Za chwil kilka obywatele glinianej jaskini byli świadkami, jak nieproszony gość, potok, rozgościł się w niej na piękne. Głodni, przemokli, w lesie wśród deszczu i piorunów – rozbójnicy stanęli w niemej rozpacz: co czynić?, co przedsięwziąć?

Ale Opatrzność czuwa nad wszystkim! Znany już nam nieco Icek arendarz wracał z miasteczka do domu drogą wiodącą koło zrozpaczonych: Szymonka i jego sługi. Nieszczęście chciało, że nowo kupiony w miasteczku za trzy grosze batog spadł Ickowi z biczyska. Niepodobna go było zostawić na drodze, by jaki *gojm*⁹³ za Icka pieniądze miał dla się wygodę. Nie zważając więc na niepogodę, arendarz zdecydował się zleźć z wózka i już jedną nogę wystawił na powierzchnię, gdy w tym licho nadało, że w tym samym czasie zającowi wypadło odwiedzić⁹⁴ sąsiada z drugiej strony lasu, dał więc szpryngla⁹⁵ na drogę, tuż koło wózka arendarza. Spłoszona tym srokata szarpnęła wózek, Icek stracił równowagę i zarył nosem

⁹² *Widokrag* – widnokrag.

⁹³ *Gojm* (*goin*) – u religijnych Żydów: człowiek spoza wspólnoty, nie-Żyd.

⁹⁴ *Odwidzić* – odwiedzić.

⁹⁵ *Dać szpryngla* – dać susa.

w glinę, a szkapa do reszty przerażona piorunem, który w tej chwili uderzył w pobliskie drzewo, puściła się galopem.

Próżno Icek wrzeszczał wniebogłosy, wstrzymując srokate, zrzekłszy się nawet batoga. Nie pomogło – szkapa leciała, jak opętana, zwolniwszy biegu o dobre kilkaset kroków od Icka, tuż przy zajętej przez potok siedzibie Pańka i Szymonka.

Na razie, rozbójnicy dość obojętnie patrzyli na wózek i szkapę, ale wnet Pańkowi przyszła myśl genialna: w dwóch susach był już na wózku i porwał do rąk lejce.

– Paniczu, siadajcie! – zawołał.

Szymonek wahał się przez chwilę, ale Pańko nalegał:

– Siadajcie, bo nas dopędzą!

Magiczne słowo, które mu przypomniało ojca z nahajem i parobków, po-działało na Szymonka – a bardziej podobno widok Icka, który dostrzegłszy przy-właszczycieli swego wózka, wrzeszczał, pędząc po błocie:

– *Wek! Nie czepaj! Nie ruszaj koniaki!*⁹⁶

Gdy obaj bohaterowie nasi znaleźli się na wózku, Pańko zaciął szkapę ka-wałkiem kija, który miał w ręku, i z miną tryumfującą wykrzyknął:

– Jedziemy!

– Dokąd? – zapytał go dość ciekawie Szymonek.

– W świat! – rzekł Pańko tonem jak pierwej.

Wrzeszczał Icek, przez łzy klnąc złodziejów. Wreszcie stracił z oczu bidkę⁹⁷ i srokate, zrozpaczony, że bez niczego do domu powróci.

Pańko i Szymonek jechali klusem, na jaki dość energicznie przynaglana sro-kata Icka zdobyć się mogła. Deszcz padał wciąż, chłód i głód dokuczał bohaterom. Któż więc opisze ich radość, gdy pomiędzy innymi rzeczami znajdującymi się w wózku znaleźli jeszcze smaczne gugle⁹⁸, ser, masło i flaszkę różowym płynem napełnioną. Łakomie rzucili się podróżni na jadło: z czego skorzystała i srokata, bo wróciła do zwykłego truchtu, o wiele wygodniejszego aniżeli klus i galop.

Posiliwszy się, Pańko przeszedł do dalszego rozpatrzenia się w przedmiotach wypełniających wózek, najbardziej jednak pociągającą była dlań owa flaszką z płynem czerwonym. Szymonek był pewnym, że to upajający trunek, i dlatego

⁹⁶ *Wracaj! Nie ruszaj! Zostaw konia!*

⁹⁷ *Bidka (biedka)* – dwukołowy, niewielkich rozmiarów, pojazd konny.

⁹⁸ *Gugle (gugiel, kugiel)* – żydowskie ciasto świąteczne.

nie radził go pić, bo praktyka nauczyła, iż za tym następuje sen, który mógłby wyrzucić szkodliwy wpływ na obecną ich pozycję. Ale Pańko, przekonawszy się, że płyn jest smaku słodkiego, protestował, by to mogła być wódka – tej przecie wypił niemało i wie, że gorzka jest i ma zapach nieprzyjemny. To również trafiło do przekonania Szymonka. Pili więc oba tym chętniej, że czuli, iż przejmujące ich zimno ustępuje miejsca błogiemu stanowi upajającej sennicy...

IV. PODRÓŻ NADPOWIETRZNA

Po zniknięciu Szymonka i jego służącego sądny dzień był w domu państwa Bartłomiejostwa.

Pani Bartłomiejowa mdlała co chwila i biła wszystkie dziewczki, baby dworskie i niedworskie; pan Bartłomiej ze swej strony ochłostał kilku parobków, którzy zdawali mu się być winnymi zniknięcia syna.

Ponieważ mogło się zdarzyć, że Cyganie ukradli obu malców, nakazano ich szukać spiesznie, a tymczasem w dyby zasadzić kowala, którego ojciec był Cyganem: mógł bowiem należeć do kradzieży, pomagając swym jedнопlemięńcom. Dziadów, których się pochwycić dało, osadzono w gąsiorze⁹⁹, by wyznali, dokąd uprowadzono Szymonka z nieodstępującym go Pańkiem? Pan Bartłomiej uwiadomił¹⁰⁰ o zniknięciu syna dotyczący urząd i księdza plebana, któremu zalecił z ambony wezwać grzesznika, by wrócił rodzicom ich jedynaka, jeśli go przeraża za życia więzienie, a po śmierci ogień wieczny. W rozmaite strony pchnął ekonoma, pisarza i gajowego, a nareszcie, jak wiemy, sam ze służbą puścił się w pogoń za złodziejami, bo ze wszystkiego najwięcej do jego przekonania trafiało to, że syn został mu skradzionym, dobrowolnej bowiem emigracji z rodzicielskiego domu nie pojmował pan Bartłomiej w prostocie obywatelskiego¹⁰¹ ducha.

Sympatia, z którą w toku powieści odnosimy się do naszych bohaterów, nie pozwala nam zwracać szczególniejszej uwagi na inne osoby powieści, z czego nawet dla pana Bartłomiejego wyjątku zrobić nie mogliśmy. Ale teraz, korzystając

⁹⁹ *Gąsior* – rodzaj dybów z otworami na ręce i nogi.

¹⁰⁰ *Uwiadomić* – powiadomić.

¹⁰¹ *Obywatelski* – tu w znaczeniu: ziemiański.

z błęgiego stanu spokoju ducha, w jakim znajdują się Szymonek i Pańko, poproszę ze sobą łaskawych czytelników do wspomnianej już w powieści gospody Icka arendarza.

Opisywać jej nie będę, chociaż łatwo może mię dosięgnąć za to chłosta krytyki, przywykłej do fotograficznych opisów miejsc i przedmiotów doskonale znanych każdemu. Nad niełaskę krytyki jednak pozwałam sobie więcej ważyć wdzięczność czytelnika, że mu oszczędzę trudu przewrócenia kilkunastu kart, które by zajął opis karczmy, gdyby niniejszą powieść pisał autor bardziej reputowany¹⁰², i od razu przystępuję do rzeczy.

W szynkowni¹⁰³ więcej od szynkwasu stołów wkopanych w ziemię, kaczek swobodnie pluskających się w kałużach i kota mruczącego na przypiecku – zwracają moją uwagę goście, których słota zagnała do rezydencji Icka, z żoną jego Chajką i czworgiem bachorów jak złoto!

A są między gośćmi Icka i znajomi nasi: diak cerkiewny i sotski, kilka bab wiejskich przy kieliszku, sporo czumaków¹⁰⁴ wiozących sól z Krymu, kilku włościan ze wsi i Żydek handlujący czym się nadarzy.

Deszcz lał jak z wiadra, grzmoty i pioruny zniewalały do szukania podwójnego ratunku w krzyżu i kieliszku. Bachory płakały w kącie, Chajka nie bez drżenia obdzielała swych gości nektarem – słusność przyznać każe – pokumany¹⁰⁵ z wodą.

Mimo to wszystko toczyła się dość żwawa rozmowa w rozmaitych kółkach. Aż uwagę obecnych zwróciła na się ciekawa opowieść starego czumaka o przeróżnych cudach i dziwach, które na drodze do Krymu widywał.

– Ba, co tam gdzieś w Krymie – przerwał czumakowi jeden z włościan. – Czy dziwota, że między pohaniami¹⁰⁶ diabeł sztuki wyrzuca!... Tu my, chrześcijanie, i na ziemi świętej, a spokoju od niego nie mamy. Ot, chyba dawno, jak Hryhora zaprzepaścił?... A szkoda, bo dziad był, że i w Kijowie nie znaleźć!

– Jak to już nam strasznie było – dodał inny – gdyśmy szli obaczyć, co się z dziadem stało?...

¹⁰² *Reputowany* – słynny, sławny, renomowany.

¹⁰³ *Szynkownia* – izba dla przebywających w karczmie gości.

¹⁰⁴ *Czumak* – chłop ukraiński, który trudnił się przewożeniem towarów na wozach, przeważnie soli.

¹⁰⁵ *Pokumany* – tu: wymieszany.

¹⁰⁶ *Pohaniec* – pogardliwie o Tatarze.

– Mnie to niby teraz widno – rzekł trzeci – jak diabły zmykały, spostrzegłszy kuma Mitrofana, bo zwyczajnie osoba duchowna.

– Taki tak! – potwierdzili inni.

– A co to już za figlarz czortiaka!¹⁰⁷ Dziada spalił, a chodaki zostawił; jeszcze i teraz leżą tam na popielisku.

– Et, dalibyście już pokój tym diabłom! – wniósł Mitrofan poważnie. – Od czasu, jak gromada zakupiła akafest¹⁰⁸, to znikł, że i ducha po nim nie ma.

– Ehe, nie ma! – ozwał się stary Iwan.

– A ja wam powiadam, że to on zapodział panowego syna.

– Nie gadajcie!

– A pewnie! Porzucił chłopów, to wziął się do pana. Taże słyszę – znaku nie zostało z panicza!

– I nie ino jego, ale i Pańko, dawniejszy powodyr Hryhora, znikł jak pod ziemię!

– To myślicie, Iwanie, że to on sam zawiruszył chłopów?... Dajcie no jeszcze półkwaterek, Chajko!

– Ta, nikt by inny tylko on, na biedę!

– Ja taki powiadam – zabrał głos sotski – że trzeba by go do s t a n u* na doprosy¹⁰⁹: może bez paszportu!...

– E! Wam paszport w głowie! Chyba diabeł nie może bez tego?...

– A pewno, że nie może! Od czegoż by przedpisanie!...¹¹⁰ Taki trzeba z nim do stanu. Niech się opłaci¹¹¹, abo co!

– Joj! Ta patrzcie no: czy nie sam pan zajeżdża!? – zawołał jeden z włościan, patrząc przez brudną szybę karczemnego okna.

– Ta, niktże inny. Pan! Pan! – z pewną trwogą powtórzyli włościanie, z uszanowaniem powstając ze swych miejsc, i nisko kłaniali się dziedzicowi.

Pan Bartłomiej, przemokły do nitki, wszedł z obliczem zagniewanym.

¹⁰⁷ *Czortiaka* – czart, diabelskie nasienie.

¹⁰⁸ *Akafest (akatyst)* – w Cerkwi prawosławnej; hymn liturgiczny; księga zawierająca taki hymn.

* Urząd policyjny w części powiatu.

¹⁰⁹ *Doprosy* – przesłuchanie.

¹¹⁰ *Przedpisanie* – polecenie, nakaz.

¹¹¹ *Opłacić się* – wykupić się, płacąc pieniądze.

– Przeklęta ulewa! A co wy tu robicie, chamy?! – zapytał ostro, zwróciwszy się do swych poddanych.

Obecni milczeli, zbici z tropu groźnym pytaniem i widokiem osoby pana Bartłomieja.

– Zmowy! Bunty! Dam ja wam, hultaje! Zaraz mi do roboty! Wynoś się!

Goście Icka, nie wyłączając diaka i sotskiego, w milczeniu wysunęli się z karczmy.

– A wy tu czego?! – zwrócił się pan Bartłomiej do czumaków.

– *Abo szczo!*¹¹² – rzekł na to jeden z nich, poprawiając w fajce. – My podróżni!

– A co za jedni? I po co tu w moim majątku?...

– Taże nikt, ino czumaki.

– Czumaki!... Hm... To możecie tam widzieli gdzie na drodze Cyganów czy diabłów, którzy mi chłopca ukradli?...

– Bóg uchował! Z diabłami nie zesli się na oczy, a i cyganów nie widzieli.

– Daj no mi wódki, szynkarko! To diabli nadali..., kłopot za kłopotem..., śmierdzi niedogonem!¹¹³ Czy ty chcesz zgnić w turmie!?... Co to za wódka?!

– *Aj waj! Rarytne wódkie!*¹¹⁴, *tylko jasny pan teraz zły, nieuroku!*¹¹⁵

– Może i prawda. Diabli wzięli chłopca – rozstap się ziemia! A Icka nie ma?

– Proszę jasnego pana, jeszcze nie przyjechał.

– Może on odpyta?...

– Nu, taki prawda. *Wun!*¹¹⁶ może odpyta.

Pan Bartłomiej usiadł na ławie. Chajka i bachory chowały przyzwoite milczenie. Z lulek czumackich dymił się bakun¹¹⁷.

Chwilową ciszę przerwał starszy czumak, uwagą zwróconą do pana Bartłomieja.

– A jakby dać na służbę Bożą, to może by diabeł porzucił na drodze?...

– Co porzucił? Jaki diabeł? – ocknął się zadumany pan Bartłomiej.

– Taże ten, co panicza synka niby porwał, czy jak tam!

¹¹² *Albo co?*

¹¹³ *Niedogon* – produkt uboczny fermentacji alkoholowej, o przykrym zapachu.

¹¹⁴ *O rety, wódka dobra.*

¹¹⁵ *Nieuroku* – że nie daj Boże.

¹¹⁶ *Wun* – on.

¹¹⁷ *Bakun* – tani tytoń fajkowy.

– A niechże cię trzysta! – skoczył pan Bartłomiej. Jak to?! Diabeł porwał mego syna?!

– Abo ja znam! Różnie bywa na świecie – i poprawił fajkę, cmokząc jak najspokojniej.

Nie wiadomo, co by pan Bartłomiej dalej czynił, bo niezmiernie był oburzony przypuszczeniem czumaka, że jego krew, rodzzonego syna, diabli porwali, ale w tej chwili we drzwiach ukazała się wyprostowana postać sotskiego, który głosem równym służbowym doniósł:

– Srokata wiezie Icka w bidzie!

Pan Bartłomiej zapomniał o wszystkim i jak z procy wyleciał przed karczmę.

Niech czytelnik w umyśle odmaluje sobie zdziwienie wszystkich, a pana Bartłomieja najbardziej, gdy w bidzie zamiast Icka ujrzeli Szymonka i Pańka, uśpionych na piękne. Ale, acz silne, zdziwienie, przecie się skończyć musiało! Nad wszelki wyraz okropne uderzenie kańczukiem¹¹⁸ przebudziło błogo śniących rozbójników.

Widok, jaki się oczu ich przedstawił, był tak niespodziewany, tak do prawdy niepodobny, że gęste uderzenia kańczuka przez chwil kilka nie zdołały dać świadectwa rzeczywistości.

– A łotry, urwisze! – wykrzyknął nareszcie pan Bartłomiej. – Gdzie to was diabli nosili?!

Szymonek i Pańko milczeli – pierwszy w pokorze przed groźnym boćkowcem pana Bartłomieja, ostatni, przemyślując nad sposobami wykręcenia się z biedy.

– Ty, łotrze, najpierw mi tutaj gadaj, bo ci uszy poobrywam!

Pańko czuł, że pan Bartłomiej dotrzyma słowa, bo ucho już zaczynało trzeszczeć; gwałtownie więc potrzebował rzec coś stanowczego. A tu jak na to konceptu ani za grosz! I byłby nasz Pańko uszy postradał, bo pan Bartłomiej nie żartem kręcił je i wykręcał, gdyby biedny męczennik żyłastej jego ręki nie był, spod łokcia pana Bartłomieja, dostrzegł wyrazu twarzy diaka Mitrofana, który szyderczo ciskał na niego spojrzenia i złośliwie przygryzał usta. To przywróciło Pańkowi zimną krew jego: przypomniał sobie czasy minione, swój spryt wrodzony, dziada... i dobrze mu się zrobiło na sercu.

– Ta, co pan tak ciągnął?! – zawołał z postanowieniem.

– A będziesz mi mówił?! – nie ustawał pan Bartłomiej.

¹¹⁸ *Kańczuk* (*kańczug*) – bicz z plecionego rzemienia osadzony na krótkim kiju.

– Taże powiem... Nu, to ja jeszcze nie niemy, tylko niech pan puszcza!

Prawda, która przebijając w głosie Pańkowym, wpłynęła i na pana Bartłomieja na tyle, że odjął ręce od uszu ekspowodyra.

– No, mów! – rzekł, z uwagą patrząc na Pańka.

Na Pańka patrzyli i wszyscy inni, nawet Chajka z bachorami, bo deszcz już ustał i słońce wyszło zza chmury.

Wszyscy ciekawi byli jego opowieści, najbardziej zaś Szymonek, który ani pojmował, by wobec tak krzyżącego faktu ucieczki można jeszcze było wynaleźć co na swe uniewinnienie.

– Jak to ja jeszcze był powodyrem u starego Hryhora – rozpoczął Pańko – to już i wtedy diabeł sztuki ze mną stroił, żeby koniecznie do niego przystał do błota...

Słuchacze przeżegnali się trwożnie. Pan Bartłomiej nie wiadomo dlaczego ścisnął mocniej kańczuk w rękę, a diak mruknął: „Biesów chłopiec! Którędy kieruje!” – i zażył tabaki.

– Co on się mnie naprosił, co pieniądze nadawa?... A ja ani słuchać nie chcę. (A wiedziałem, że te pieniądze to tylko mana!...¹¹⁹). Jakże bywało, tak nasiedzie, że dychać nie daje, to ucieknę do cerkwi i stanę przed św. Mikołajem – taj mam spokój.

Słuchacze w milczeniu mieniali¹²⁰ się spojrzeniami, z wzrastającym zajęciem słuchając opowieści Pańka. Tylko pan Bartłomiej mocniej sapał i ściskając nahajkę, mruczał:

– Nu, nu! Cóż dalej?

Pańko wprawdzie wiedział, o czym ma mówić, ale jak powiedzieć, nad tym właśnie łamał głowę.

Szymonek słuchał opowieści Pańka z uwagą i rzucając ukośne spojrzenia, z niepomierną trwogą dojrzał, że został wzięty w kółko. Ucieczka była niemożliwą; należało oczekiwać bardzo smutnego końca.

Pańko mówił dalej:

– Raz mię tak już diabeł przyparł, że ani dychać, i taki powiada do mnie: „Ty, Pańku, ani myśl nie pójść ze mną, bo jak co do czego, to ja cię na czarny węgiel spale”. I jak rozdziawił pysk, jak buchnie na mnie płomieniem...

¹¹⁹ *Mana* – przywidzenie, coś nieprawdziwego.

¹²⁰ *Mieniać się* – wymieniać się.

– Duch Święty przy nas!... – krzyknęli słuchacze, trwożnie zbijając się w kupę.

– A ja wtedy wziąłem był sobie z cerkwi święconej wody i żebym jej nie wylał, to może by i mi się osmaliła. Diabeł mię porzucił i wziął się do Hryhora, jak wy tam widzieli. Prawda, Mitrofanie?!

Mitrofan odwrócił się i nic nie odpowiedział.

– To ono, ot, jak było! – zawołali ci z włościan, którzy widzieli Hryhora poturbowanego przez diabła na pagórku.

– Owwa! Muszę znów meldować do stanu – rzekł sotski z powagą.

Niedobrze jeszcze znamy pana Bartłomieja. Stanowisko obywatela, które zajmował, kazało mu się zaliczać do inteligencji, i co zatem idzie w żywe diabły nie wierzyć, ale niespokojne sumienie, spuścizna strachów po ojcach, żenowały go cokolwiek... i były chwile, kiedy pan Bartłomiej bardzo się obawiał, by go diabeł kiedy żywcem nie porwał do piekła. Już mu to i śp. hrabia obiecywał i coś taki mówiło, ażeby nie bardzo wierzył w rozum i miał się przed szatanem na ostrożności! I teraz, słuchając dalszej opowieści Pańka, czuł, że boćkowiec nie lipnie¹²¹ mu już do ręki, która żywą chęć miała położyć znamię krzyża na piersi pana Bartłomieja, ale punkt honoru niejako, wywołany obecnością chłopstwa, kazał mu utrzymywać obywatelską powagę.

– Bajesz mi dziwa – rzekł już nie tak ostro.

– Prawda czy nieprawda – o to mniejsza! Ale cóż to ma do rzeczy?

– A taki tak – potwierdził Mitrofan. – Niechby że Hryhora wziął nieczysty, ale co teraz?

– A nu, co teraz? – zapytali chórem przytomni¹²², zaciekawieni opowieścią.

– A ot, co: choć mię jasny pan przyjęli do siebie, strawy nie żałując – i tu pocałował pana Bartłomieja w rękę, w której tenże słabo już trzymał boćkowiec – to taki diabeł nie dawał mi spokoju. Ale że mu już raz sprawiłem łaźnię święconą wodą, obchodził mię z daleka, tak i koniecznie do siebie werbując. A u mnie jak na to wody już nie było i tylko święconym wiankiem odgrażałem się naprzykrzonemu. Co on ze mną robił, co już nie wyrabiał, to ani rozpowiedzieć!... Aż raz mówi: „Czy ty, durny Pańku, myślisz, że ja się tego ziela lękam i dlatego ciebie

¹²¹ *Nie lipnąć* – nie lgnąć.

¹²² *Przytomny* – obecny.

nie biorę? Nie! mnie tu kazali poczekać, aż w niebie sprawę twego pana rozsądzą, a wtedy razem już was zabiorę!”

– W imię Ojca i Syna – przeżegnali się słuchacze.

I pan Bartłomiej zbladł, osłupiałym wzrokiem patrząc przed siebie.

– „Na niego już – powiada – dobrze zakarbowano!¹²³ I ot, obaczysz, jak się ja z wami sprawię: ciebie do błota, a jego do smoły!”

Zimny pot oblewał czoło pana Bartłomieja, kańczuk wypadł mu z rąk i głosem miękkim zapytał przytomnych:

– Ludzie dobrzy, czy on to wszystko prawdę mówi?!

Litośny wzrok i wymowne milczenie były niestety potwierdzającą odpowiedzią na pytanie. Diak zażywał tabakę, ale milczał. Pańko czuł, że wygrywa batalię, a z czasów cygańskich jeszcze pomnąc zalecenie „kuj żelazo, póki gorące!”, mówił dalej:

– Jak mi diabeł powiedział, to ja ino mówiłem pacierz...

– A czemu ty o tym wszystkim jasnemu panu nie powiedział? – przerwał diak po namyśle, nie bez złośliwego uśmiechu.

Wzrok wszystkich, pana Bartłomieja nie wyłączając, potwierdził pytanie Mitrofana.

– A, ba! Jak miałem powiadać, skoro diabeł rzekł mi po wszystkim: „A niech no choć słowo piśniesz, to ani momentu nie czekam i nie tylko pana, ale i panią wezmę do piekła! Bo tak mi nakazano”.

Pan Bartłomiej zbladł jeszcze bardziej, diak przełknął pigułkę, a Pańko niezbity z tropu mówił dalej:

– Było to tego szmat czasu, aż jakoś siedzę ja wieczorem w ogrodzie z paniczem i... – nie siadło, nie padło¹²⁴ – zjawia się diabeł, taj mówi mi do ucha: „Anu, Pańku, łagodź¹²⁵ się w drogę!”. Ja tu porwę się do święconego wianka, a diabeł: „Hehehe!”. Wianka nie ma! Zląkłem się bardzo, a on mówi: „Teraz ty już mój: zaraz dmuchniemy, ino czarownica wozem zajędzie”. Ledwie nie umarł ze strachu, ale taki zapytałem diabła: „A co z panem będzie?”.

Tu umilkł, by się przekonać, jakie wrażenie wywarło na przytomnych jego opowiadanie. Wszyscy byli strwożeni. Pan Bartłomiej drżał jak liść osiki.

¹²³ Zakarbować – zapisać, zanotować.

¹²⁴ Nie siadło, nie padło – ni stąd, ni zowąd.

¹²⁵ Łagodzić się – gotować się, szykować.

– Jeszcze mu tu – powiada – dychać czas jakiś...

Panu Bartłomiejowi spadł ciężki kamień z piersi, odetchnął.

– A tymczasem jego syna wezmę, bo właśnie takiego trzeba w piekle na posługę.

Ino to powiedział, jak coś zaszumi, jak zahuczy, jak nie krzyknie, nie wrzaśnie! Patrę – a ja gdzieś w chmurach, czarownica wóz wiezie, diabeł popędza, a panicz koło mnie zaledwie żyw ze strachu.

– Prawda, paniczu?

Szymonek nic nie odpowiedział, cały wciąż przejęty dla towarzysza, który kłamał, ale tak dobrze, że niekiedy Szymonkowi zdawało się, iż wszystkiemu wierzy, co powiada Pańko.

– Niesło nas tak, niesło – prosto do piekła! Aż na drodze spotykamy świętego Opanasa. Jak krzyknę ja: „Ratujcie dobrodzieju!”. A on popatrzył: „Ty – powiada – świeczki mi w cerkwi nie stawileś. Bywaj zdrów!”. I polecał. Jakoś tak niedługo leci święty Szymon. A panicz przyszli już do siebie, ta jak hukną: „Święty Szymonie, wybaw nas!”. „Ciebie – powiada – może bym i wybawił, ale że z chłopem jedziesz na jednym wózku, to jedźże sobie dalej!”. I znikł za chmurą. Diabeł widzi, że my krzyczymy gwałtu i jaki święty może się jeszcze zlitować, zaciął batogiem czarownicę i dalej z nami! Już, już nam do piekła: smołę słychać i gorąco większe... Tak nam markotno, że strach! Pyta się diabła czarownica: „A daleko jeszcze?”. „Jeszcze – powiada – ze dwie wiorsty!¹²⁶”. Jak zatnie ją batogiem, czarownica dalej galopem, bo już blisko na popas. Nie ma co, myślę sobie, trzeba już przepadać. Aż tu słyszę za sobą głos:

– A kto to jedzie?

Oglądnałem się: jakiś wielki święty, trochę łyсы, rudawy – ot, jak pan, nie przymierzając.

– Kto to? – znów zapytał. Ja zdjąłem czapkę i powiadam:

– To proszę pana świętego ja z paniczem jedziemy do piekła.

A on:

– Ktoż twój panicz, bo coś niby mi znajomy?

– Taże panicz Szymonek – powiadam – syn pana Złodzickiego.

– Bartłomieja?

¹²⁶ *Wiorsta* – dawna rosyjska miara długości, początkowo zróżnicowana, a od 1835 roku znormalizowana do wielkości 1,066 km.

– A Bartłomieja niby.

– Także mi powiadaj! – mówi święty. – Z panem Bartłomiejem chodziliśmy do szkoły. Więc to jego synek? A, chłopiec niczego!

– I wziął panicza o tak, pod brodę. Prawda, paniczu?

Szymonek patrzył wielkimi oczyma na opowiadającego i milczał. Włóścianie jeszcze z większym respektem byli dla dziedzica, który ma kolegów nawet w niebie świętymi. Pańko bez zająknięcia się ciągnął nadprzyrodzoną swą opowieść.

– A cóż wam – pyta – za ochota do piekła jechać?

– Gdybyż – powiadam – ochota, żalu by nie było. Ale tu po prostu zabrał nas diabeł, taj wiezie.

– A to być nie może! – mówi święty.

– Niechże się pan święty zapyta. – Święty do diabła i wdali się w rozmowę. Ja tego nie rozumiałem, bo podobnoś mówili ze sobą po łacinie. Diabeł gniewał się bardzo, krzyczał głośno, a dalej plunął, taj powiada po polsku:

– Tfu, że też świętemu chce się do naszych spraw mieszać! Ja tam do nieba się nie wtrącam. Weź ich, święty, sobie. Przyjdzie czas, że sami ich przyprowadzicie nam do piekła, razem z ojcem. Oj, wielka mi rzecz: pan Bartłomiej, Szymonek, taj Pańko!

– No no – mówi święty – wielka czy niewielka, a ty zabieraj się gdzie wiesz, a chłopców zostaw.

Diabeł pokręcił ogonem, nagroził nam dwóm, świętemu pokazał figę tak, że on nie widział, i wyrzucił nas z wózka, a sam pojechał.

– Oj, jakże łże! – wykrzyknął diak, nie mogąc wytrzymać. – Taż byście karki pokręcili, spadłszy z wysokości!

– Wy, Mitrofanie, czytacie psalterz, a tegoście się w nim nie doczytali, że święty pod nas podleciał, taj podstawił połę. My na połę upadli i tylko panicz guza sobie nabili. O, patrzcie, jest jeszcze z tyłu głowy!

I w tej chwili spojrzął na diaka wzrokiem, który on jeden tylko rozumiał. Odchrząknął i mówił dalej:

– Zabrał nas święty w połę, taj niesie. To to, to owo mówił, rozpytywał się, jak i co na świecie u nas: czy ozimina dobra, jaki dochód z arendy, pszczoły czy się roją i różne. A dalej powiada: „Teraz by mi pora na obiad do pana Boga, żeby barszcz nie przestygł. Kłaniajże się, Szymonku, tatkowi ode mnie, mamę pocałuj w rękę, a jak będziesz grzeczny, to ci przyszlę pierników. A ty, Pańku, powiedz panu, niech się nie turbuje: diabeł się odgraża, ale już w tym moja głowa

i jakby co do czego, to i przeszwarujemy¹²⁷ do nieba. Już ja to dla niego wyrobię. Ot, jedzie lekowa¹²⁸ bida, siadajcie zdrowi. A może jeść chcecie, to tam są gugle, masło i we flaszcze znajdzie się na ogrzanie. Bywajcie zdrowi”. Posadził nas do bidy, panicza pocałował, krzyknął „wio!” i znikł, a myśmy pojechali. Zjedliśmy gugle, napili się z flaszki i aż tu przyjechali. A pan nas za to kańczukiem, hi, hi, hi! To taka sprawiedliwość, hi, hi, hi!...

Chwycił się i Szymonek wskazanej przez towarzysza taktyki, zaczęli tedy ryczeć we dwóch, ogniście trąc kułakami oczy.

Nie widzę powodu, dlaczego miałbym ukrywać przed czytelnikami, że Pańko i Szymonek zyskali sobie ogólną sympatię – z wyjątkiem Mitrofana, który wszelako ze swą niewiarą nie wywnętrzał się przed nikim, gdyż chodziło mu o pewien sekret, ściśle z faktem śmierci Hryhora połączony.

I pan Bartłomiej nie był skałą – wzruszyły go łzy niewinnych ofiar złości diabelskiej: pocałował w twarz Szymonka, Pańkowi rudą pogłaskał czuprynę, wsadził obu do bryczki i uprzejmym skinieniem pożegnawszy zebranych przed karczmą, odjechał do domu.

Daleko naokoło rozniosła się sława nadpowietrznej podróży dwóch chłopaków, a niewiele dam za to, że za lat kilkaset jaki uczony niemiecki, spotkawszy się z kalendarzową notatką o tym wydarzeniu, napisze wielkie dzieło, w którym dowiezie światu, że w czasie, z którego nasza powieść, odbywano podróże balonem, a nawet wiele mówi zatem, że dwaj areonauci¹²⁹, których podanie c h ł o p c a m i nazywa, znali sposób kierowania nim, który niestety wraz ze śmiałymi podróżnikami poszedł do grobu!

V. WYJAZD

Czytelniku! Jeśli jesteś racjonalistą, przyjm ode mnie hołd należny, ale nie czytaj tego rozdziału, a przynajmniej ustępów dotyczących osoby pana Bartłomieja, bo krwi sobie napsujesz i powiesz, że autor jest... – wzdragam się nazwać

¹²⁷ *Przeszwarować* – przemycić, przeszmyglować.

¹²⁸ *Lekowy* – osobowy, do przewożenia osób.

¹²⁹ *Areonauta* – właśc. aeronauta, tj. lotnik balonowy.

rzecz własnym jej imieniem – i powiem tylko, że nazwa, owa jednoznacząca z powiedzeniem: „Dobry człeczysko!”¹³⁰, z którym musiałeś się już nieraz spotykać.

Dziwne rzeczy stały się z panem Bartłomiejem! Od początku do końca zmyślona opowieść Pańka wywarła na panu Złodzickim wrażenie, które bym z innymi za niepodobne uważał, gdyby nie wszelka pewność, że tak było w istocie, jak oto w tej chwili powiem.

Gdy pani Bartłomiejowa, zemdlawszy przy powitaniu najmilejszego synaczka, zaprzestała wreszcie okładać go macierzyńskimi całusami i westchnawszy raz ostatni resztką turbacji¹³¹, poczęła wykrzykiwać na służbę, że się gapi, a o porządek nie dba – w owej chwili, z niezwykłą powagą wziął panią Bartłomiejową za rękę pan Bartłomiej i zaprowadził do sypialnej komnaty. Tu gdy się małżeństwo znalazło sam na sam, powtórzył pan Bartłomiej żonie opowieść Pańka, wygłoszoną w karczmie w obecności niemałej liczby słuchaczy, i rzecz zakończył pytaniem, w którym przebijała łagodność i pokora:

– Co ty na to, dusiu?

Dusia, pani Bartłomiejowa, zamyśliła się na piękne i po długiej chwili wyrzekła:

– A kto wie, może!...

– Otóż widzisz, moje kochanie, że mnie się to zupełną prawdą zdaje, bo – między nami mówiąc – trochę się grzeszyło... Ten majątek, Bogiem a prawdą, to taki hrabiowski...

– A niech tam z Bogiem odpoczywa. W grobie nic mu już nie trzeba. Po co go wspominać na próżno!

– Ale bo widzisz, duszko, tam w niebie inaczej myślą, a w piekle...

Tu przeżegnał się pan Bartłomiej i trwożnie spojrzał dokoła, czy diabła nie obaczy. Widział tylko żonę i spokojniej dodał:

– Przeżyło się czasu kawał, pora by może o pokucie pomyśleć. Jak ci się, dusiu, zdaje?

– Jak uważasz. Ja się w to nie mieszam!

– Poszlę do Berdyczowa¹³² pięć rubli na mszę – będzie śpiewana przed Matką Boską. Pięć rubli, to pieniądz dzisiaj. Pobiję kościół dachówką... A może by te

¹³⁰ *Dobry człeczysko!* – tu w znaczeniu: głupi człowiek, nieinteligentny.

¹³¹ *Turbacja* – zmartwienie, kłopot.

¹³² *Berdyczów* – miasto w powiecie żytomierskim dawnego województwa kijowskiego, ze słynnym sanktuarium Matki Bożej Berdyczowskiej.

kilka miar pszenicy rozdać między ubogich?... Trochę już stęchła, Herszko nie daje tylko dwanaście... Jak uważasz, dusiu?

– Dać by można, ale jak się raz da, to już od hołoty nie odczepisz się...

– E, jakoś się poradzi. Wiesz co? Ot, dać by jeszcze te ośm korcy¹³³ jęczmienia, co został od zasiewów. Niech się modlą dziady!... Ale kto by to mógł być w niebie, co Szymcia wyratował i o mnie przyrzekł pamiętać?...

– Może Ignacy?

– Złodziej? Kradł całe życie. Gdzie by mu do nieba!

– Może Smuszek?

– Właśnie też! Pijak jakich mało i przed sama śmiercią oszukał Maciejowę... Wiesz co: czy nie Kalasanty? Trochę tam na nim było sierocego, no! Ja wiem, że i z chłopami cyganił, ale może poturbowali go w czyścú i puścili do nieba... Ach, gdyby choć do czyścúa! – westchnął pobożnie pan Bartłomiej.

– Ot, gadasz! – zrobiła głośną uwagę pani Bartłomiejowa. – Toż Kalasanty był czarny jak cygan, a święty, powiadasz, rudawy...

– Prawda! – potwierdził pan Bartłomiej. – Rudawy, łysy..., a u Kalasantego nie włosy, a las, i to czarny las na głowie! A może... Ot, widzisz i nie pomyśleliśmy! Taż w czyścú mógł wyłysieć: tam przecie nie żałują! A że wyrudział, to i to nie dziwo! Nuż go gdzie w dymie wieszali albo w czym moczyli biednego?

– A może i Kalasanty! – rzekła pani Bartłomiejowa, cała dumająca o przysgodzie Szymonka i pogrózkach diabła.

– Daj mu tam Boże zdrowie, kiedy o mnie pamięta; a myślałem, że się gniewa za te owce... Ale ja zawsze mówiłem, że to dobry człowiek... Nie, nie! Mówcie, co chcecie, a trzeba pomyśleć o duszy. Grzeszyło się, broiło – czas zacząć pokutować! Wiesz co, aniołku? Sprowadzę tu księdza Pafnucego. Niech mieszka u nas, będzie się modlić za siebie i za nas, a już to gdzie ksiądz w domu, tam diabeł śmiałość traci... I Szymonka będzie przyuczał... O, człowiek ani pomyślał, a toż nie boska obraza, chłopiec jak byk, a litery nie zna!

– E, co ci tam z tą nauką do głowy przyszło! Jedynek u nas i będę go książką męczyć? Niech zażywa wieku młodego!

– Ale co tobie, kobieto? Toż chłopcu dziesięć lat.

– Właśnie że niedokończone...

– Długie lata! Za trzy dni skończy. Trzeba uczyć – nie będzie pastuchem!

¹³³ *Korzec* – dawna polska miara objętości ciał sypkich, równa około 120 litrom.

– Toż bo to, że go nędza nie czeka, to i po co chłopcu książką głowę zaprzętać? Chleba z niej jeść nie będzie – dziecko przecie obywatelskie!

– Otóż to! Więc mu trza polityry¹³⁴; bo gdzie go tam na salony takiego jak my puszczą!...

– Ej, czemu nie puszczą! Niech tylko kareta zajedzie! A zresztą, ja tam wiele nie mam przeciw temu: sprowadź księdza Pafnucego. Da się mu stancijkę, tę od kurnika, i niech chłopca przyucza.

– Otóż widzisz, moja duszko, co to święta zgoda może? Pojadęz ja do Skorzynek¹³⁵ i przywiozę księdza Pafnucego. Bądź zdrowa, moja rybko.

– A nie spóźnij się na kolację! – rzekła pani Bartłomiejowa, pocałunkiem na całowanie męża odpowiadając.

Pojechał pan Bartłomiej do Skorzynek. Pani Bartłomiejowej coś niesporo szło w gospodarce tak dalece, że ku wielkiemu zgorszeniu czeladzi obeszło się bez szturchańców. Za to Pańko i Szymonek dokazywali, co się wlazło! Kury wegnali do stawu, gęsi poszczuli psami, parobkom pochowali kapelusze, w piekarni wyleli ceber z pomyjami... – słowem, wynagrodzili sownie dwudniową nieobecność.

Przed kolacją przyjechał pan Bartłomiej z księdzem Pafnucym; a przy pierogach dowiedział się Szymonek, że w osobie księdza ma przyszłego nauczyciela. To mu się bardzo nie podobało! I Pańko skrzywił się na wiadomość. Obadwa spojrzeli na księdza z nieufnością i widząc w nim wroga swej swobody, oba w duchu zaprzysięgli zemstę.

Objawu jej wkrótce dopatrzył przyszły nauczyciel: rozbierając się, z wielkim bólem ujrzał, że znikł mu kutas¹³⁶ od zakonnego paska, a natomiast w otłuszczonym kapturze habitu znalazł marodera¹³⁷ z półmiskowej armii pierogów, z którymi ojciec Pafnucy tak odważnie potykał się w czasie pierwszej w domu państwa Bartłomiejostwa kolacji. Kutasa odciął Szymonek, całując księdza w rękę na dobranoc, pieroga wrzuciła zbytłowna ręka Pańkowa.

Od przybycia księdza Pafnucego datuje się wewnętrzny przewrót w domu państwa Bartłomiejostwa. Zanim go pokrótce opiszę, czuję się obowiązany zaznajomić czytelników z nową figurą powieści, rzeczonym księdzem Pafnucym.

¹³⁴ *Politura* – ogłada towarzyska.

¹³⁵ *Skorzynki* – być może chodzi o Skorzyńce, wieś w dawnym powiecie winnickim (południowa Ukraina).

¹³⁶ *Kutas* – ozdoba w kształcie pędzla, wykonana z nici, jedwabiu, sznurka.

¹³⁷ *Maroder (maruder)* – tu w znaczeniu: odłączony od większej całości, pojedynczy.

Za furta klasztorną zostawił on swą przeszłość, aż samotna, w opuszczeniu zginąć musiała ku wielkiemu zmartwieniu autora, któremu nie udało się napotkać nawet jej szczątków, by nowy Cuvier¹³⁸ przedstawił wam całokształt niegdyś życiem obdarzony.

Próżny żal nic nie nada! Przystąpmy próg furty zakonnej, dowiedzieć się kim był ojciec Pafnucy. Kronika klasztorna powiada nam, że brat w Chrystusie, zostawszy nim w zakonie, a potem w charakter ojca przyobleczony (zważ na różnicę ojca i ojca!), zasłużył na królestwo niebieskie, był bowiem cichy, pokornego serca i ubogi w duchu... , a błógiego snu zakonnika nie przerywały wyrzuty sumienia, iż wymyślił proch zabójczy. (W tekście kroniki znajduje się jeszcze i „nie wymyśli”, ale jest to niezawodnie dodatek późniejszy). I byłby może ojciec Pafnucy z zakonu poszedł wprost do nieba, gdyby nie to, że klasztor skasowano, a jego posłano na parafię w charakterze pomocnika przy zastępcy wikarego na probostwie.

Ojciec Pafnucy jednak i na tak skromnej posadzie umiał stać się pożytecznym ludzkości: domowym sposobem w makutrze¹³⁹ tarł domorosły tytoń na tabakę i zasilał nią niemało nosów w bliższej i dalszej okolicy. A chociaż tabaka jego wyrobu ustępowała winnickiej i szarogrodzkiej¹⁴⁰, przecież znajdowała dla się amatorów, którzy ją nawet nad dunajowiecką albankę¹⁴¹ przynosili!

Oprócz tego jeszcze ojciec Pafnucy trudnił się misternym wyrabianiem klatek, uczeniem śpiewu kosów i wyrabianiem sieci rybackich. A przy tak różnorodnych zajęciach znalazł w sobie dość sił potrzebnych do oświecania ciemnego umysłu synka państwa Bartłomiejostwa. Wiemy już, że został stróżem dusz wiernych w rezydencji pana Bartłomieja i mentorem syna jego Szymonka.

Pozwolenie opuszczenia plebani uzyskał ojciec Pafnucy w niespełna kwadransie, jak skoro tylko pan Bartłomiej oświadczył gotowość zabrania go ze sobą. Zainstalowawszy się, oto co uczynił za zgodą i na przedstawienie pana Bartłomieja: najpierw wypowiadał go z grzechów żywota i udzielił zupełne rozgrzeszenie; potem zapisał pana Bartłomieja do bractwa różańcowego i z nim odmawiał ko-

¹³⁸ *Cuvier* – Georges Cuvier (1769–1832) – francuski zoolog, twórca paleontologii; zajmował się głównie anatomią zwierząt.

¹³⁹ *Makutra* – gliniana misa służąca do ucierania np. maku, kremu.

¹⁴⁰ *Winnicki i szarogrodzki* – tu: produkowany w Winnicy (miasto w dawnej guberni podolskiej) i Szarogrodzie (miasteczko w dawnym powiecie mohylowskim).

¹⁴¹ *Dunajowiecka albanka* – gatunek tabaki wyrabiany w Dunajowcach (miasteczko w dawnym powiecie uszyckim).

ronki; dalej z całą czeladzią rano i wieczorem śpiewał litanie do Matki Boskiej, w niedziele i święta nauczając prawd wiary; codziennie niemal odprawiał mszę na intencję pana Bartłomieja, pani Bartłomiejowej i synka ich Szymonka; a w końcu zabrał się do tarcia tabaki, nauki chłopca, robienia klatek i uczenia śpiewu pary młodych kosów przez Pańka pojmanych w ogrodzie.

Wspomniane tu reformy miały nieco¹⁴² rewolucyjnego w sobie, gdyż za gwałtownie spadły na nieprzygotowanych do zmiany trybu życia mieszkańców dworu pana Bartłomieja i jego zabudowań.

Czynna protestacja przeciw nowościom wyszła najpierw od Szymonka, bo też pierwsze jej ciosy w niego uderzyły: w dzień imienin na wiązanie¹⁴³ otrzymał od pana Bartłomieja sporą wiązankę elementarzy zakupionych na wagę w antykwarni sąsiedniego miasteczka. Dotknięty do żywego Szymonek takim podarunkiem – bo już co najmniej liczył na batog z biczyskiem w skórę oprawnym – niedługo myśląc, przy pomocy Pańka, uczynił z elementarzy całopalenie potężnemu bóstwu lenistwa, nie omieszkawszy rozwiać popiołów, by ofiarnej zasługi nie umniejszać widokiem jakiej bądź pozostałości.

Ofiara spłonęła, a bóstwo było głuche. Natomiast głośno krzyczał jeden z kapłanów, Pańko, należycie oćwiczony za namówienie Szymonka do spalenia elementarzy. Cierpiał i Szymonek cierpieniem wiernego Pańka, ale na nic się nie przydało męstwo i poświęcenie: elementarzy nie brakło i do nauki przynaglał boćkowiec pana Bartłomieja!

Z wojennej narady Szymonka z Pańkiem wypadło, że innej taktyki chwycić się należy: uderzyć na głównego wroga – księdza Pafnucego – i wykurzyć go z domu! Ale się pokazało, że nie tak to łatwa sprawa, jak z początku mniemano. Ojciec Pafnucy ani myślał opuścić wygodnego stanowiska w domu państwa Bartłomiejostwa i nie zrażał się niczym: popsuli mu klatki – on robił nowe; wysypali tabakę, on się brał do tarcia innej; porwano mu siecie – aniś się opatrzył, a tu sieć nowa!... Zmartwiło go wprawdzie, gdy pewnego ranku nie usłyszał śpiewu kosów, ale jak skoro się przekonał, że powyrywano im języki, znalazł bardzo naturalnym udarować inwalidów wolnością, na miejsce ich do klatki wsadzając srokę.

Taka obojętność tyrana o rozpacz przyprawiła niewolników; dodajmy do tego częste spotkanie się z boćkowcem, który nawet plecy Szymonka poczynał

¹⁴² *Niecoś* – tu: wzmocnione *nieco*, mała ilość czegoś.

¹⁴³ *Wiązanie* – podarunek imieninowy, prezent.

odwiedzać, a znajdziemy bardzo naturalnym, że Pańko i Szymonek zrzekli się dotychczasowej polityki i poczęli paktować z ojcem Pafnucym.

Pańko pierwszy zawarł z nim przymierze, oczyściwszy księdzu buty, które po raz pierwszy spotkał honor poznania się ze szczotką i czernidłem. Widok glansownych butów tak olśnił ojca Pafnucego, że długo rozmyślał, czy ma je włożyć na nogi, a nawet zachodziła pewna wątpliwość, nie są li to jakie inne? Ale gdy uważne przypatrzenie się sprawdziło ich tożsamość, ksiądz odważył się włożyć nogę, wdziać but, wreszcie stanąć, a w końcu w oczyszczonych butach przejść się po pokoju...

Z dumą przechadzającego się po komnacie zastał ojca Pafnucego Pańko i z pokorą pocałował go w rękę. Ojciec Pafnucy czuł, że przyjemność mu sprawiło tak niezwykle przywitanie psotnika. Wziął go za rękę i popatrzwszy przez chwilę pocałował chłopca w głowę. Pańko nie mógł się powstrzymać i w chwili, gdy go ksiądz całował, rozwiązał mu pasek. Przy pocałowaniu nie mogła nie zwrócić uwagi ojca Pafnucego bujna czupryna Pańkowa – spojrzął i westchnął, tęskny wzrok rzuciwszy na wiszące u drzwi nożyczki.

Ksiądz Pafnucy – o czym nie wie czytelnik – miał jedną namiętność: nienawidził cyrulików¹⁴⁴, bo im zazdrościł przyjemności zdejmowania włosów. Pasjami lubił strzyc – zwierzęta nawet, gdy brakło ludzi. Na czuprynę Pańka dawno miał apetyt, ale ten o strzyżeniu nigdy nawet wspomnieć sobie nie dozwolił! A dziś – o dziwo – poprosił wyraźnie poprosił ojca Pafnucego, by mu zdjął włosy z głowy.

Próżno bym opisywał zdumienie i radość księdza, które w nim wzbudziła prośba Pańka; a nie wierzył tak długo szczerości słów, aż obaczył spadający spory kosmyk włosów Pańkowych jak chwast świętych ostrymi nożycami księdza. Po najdłuższym, a niewymownie przyjemnym strzyżeniu ojciec Pafnucy zebrał świętą czuprynę Pańka i zważył na szalkach.

– Funt¹⁴⁵ niespełna. Jeżeli się na brud odliczy jakich kilkanaście łutów¹⁴⁶, zawsze więcej aniżeli pół funta zaważy... Tak też myślałem! – I z dumą spojrzął przed siebie.

Za krótką chwilę pod dniem 17 września znalazła się w kalendarzu przez księży karmelitów w Berdyczowie wydanym następująca notatka: „Objętość głowy Pańka. Spuszczanie dobrą pół godzinę. Funt bez czegoś. Dobrze jeszcze ma się”.

¹⁴⁴ *Cyrulik* – dawn. fryzjer.

¹⁴⁵ *Funt* – jednostka wagi, dawniej wynosząca pomiędzy 0,4 a 0,5 kilograma.

¹⁴⁶ *Łut* – dawna jednostka masy wynosząca od 10 do 50 gramów (w Polsce około 12 gramów).

Podpisano: O. Pafnucy. Owo „ma się” odnosiło się zapewne do samego ojca Pafnucy, iż nie pozbył zdolności zgadywania – zresztą zostawiam tę rzecz przyszłym komentatorom jego zapisków.

Po otarciu pióra ojciec Pafnucy zawinał włosy Pańka w bibułę i podając mu zwitek, rzekł filozoficznie:

– Zrób, co chcesz, bo do głowy już się nie przydadzą.

Pańko wiedział o tym dobrze, ale wziął zwitek, całując zaś księdza w rękę, wielką miał chętkę włożyć mu te włosy za pazuchę, lecz się powstrzymał i w spokoju opuścił mieszkanie ojca Pafnucy.

Jaka to szkoda, że Pańko w przyszłości nie rzucił się na pole dyplomacji! Może w nim świat utracił genialnego polityka, bo na zdolnościach mu nie zbywało. Ale cóż, kiedy poszedł inną drogą!...

Ofiarą niespełna funta swej złotej czupryny zawojował Pańko ojca Pafnucy, który od 17 września ukochał go jak syna. Niezadługo i Szymonek wszedł w łaski księdza! I harmonia zapanowała pomiędzy trzema postaciami naszej powieści, a skutek jej to błogi spokój sprzymierzonych, nieprzerywany jak chyba wypytywaniem się ojca o postępy syna.

– Postępuje, znacznie postępuje! – mówił ojciec Pafnucy, zażywając tabakę swej fabrykacji¹⁴⁷. – Boga nie obrazi i ludziom będzie pomocny! A i Pańko dziecko uczciwe, tylko naturalnie – nieszlacheckie, to widać. Ho, ho, to zaraz widać, bo krew, panie, to nie woda, jak to gdzieś tam powiedziano!

A Szymonek rzeczywiście postępował znacznie: tylko dwóch lat nauki potrzeba mu było, ażeby potrafił rozróżnić litery i z sylabizowania przejść dwie początkowe stronicie elementarza! Tyleż umiał i Pańko, który dla towarzystwa Szymonka łamał sobie głowę nad kulasami¹⁴⁸, jakowe – nie pojmował – jak mogły całe słowa i zdania wyrażać!

Dziwiono się powszechnie w sąsiedztwie, że pan Bartłomiej tak niespodziewanie zmienił sposób życia. Jedni go zwali wariatem, drudzy starym głupcem – wszyscy jednak przyznali, że innym jest teraz aniżeli dawniej, że jeśli gospodarstwo jego traciło na sprężystości, za to wiara w możliwość poprawy grzesznika wzmagala się w okolicznych Tomaszach, którzy uroczyście przyznali, że pan Bartłomiej stał się uczciwym człowiekiem i jeśli kiedy zdarzało mu się łowić

¹⁴⁷ *Fabrykacja* – produkcja.

¹⁴⁸ *Kulasy* – litery.

ryby w mętnej wodzie, były to resztki nawyknienia... i winny wnet się z grzechu spowiadał przed ojcem Pafnucym i obiecywał poprawę.

Odmiana pana Bartłomieja wpłynęła i na panią Bartłomiejową: mniej zrędziła, nie tak często karmiła sługi kułakami; parę razy zdarzyło się jej cierpiące kobiety zwolnić od pańszczyźnianych robót, a nawet – o czym dotychczas pamiętają we wsi – z własnego popędu¹⁴⁹ sprawiła włościanom okrzeżne¹⁵⁰, między dziewczęta rozdawszy stare swe wstążki, a parobkom od siebie po sześć groszy na wódkę.

Słowem, do niepoznania odmienił się dom państwa Bartłomiejostwa tak dalece, że niejeden z sąsiadów zawitał do siedziby *o d n o w i o n y c h*, by się o cudzie przekonać, i wracał zbudowany, szeroko o rzeczach widzianych rozpowiadając.

W domu państwa Bartłomiejostwa co dzień było ciszej i spokój klasztorny byłby w nim zagościł, gdyby nie ciągle brojenia Pańka i Szymonka, którzy z zakonem nie chcieli mieć nic wspólnego i z pełnej piersi oddychali życiem swobody.

Kto wie, jak długo przeciągnęłaby się ta nużąca może czytelników jednostajność sytuacji, gdyby pewnego ranku nie przebudził się był ojciec Pafnucy z myślą, która go nieco dotknęła. Policzył dnie swego nauczycielstwa: znalazł ich tyle, że stanowiły dwa lata z przewyżką, a w rezultacie obaczył, że Szymonek nic nie umie! Ojciec Pafnucy na serio zamyślił się. Próżno tytoń niecierpliwił się w makutrze, że go nie awansują na tabakę, ptaszki, że każą im pościć – ojciec Pafnucy myślał. Przyniesiono kawę..., kawa przestygła – a on jeszcze myślał. Wreszcie przyszła mu myśl – uśmiechnął się z zadowolenia.

Dzień cały widziano ojca Pafnucego, jak temperował pióra. Po kolacji siadł przy stoliku, zmaczał pióro, w kałamarzu i myślał, myślał..., aż o północy ocknął się, uśpienie zwałając na czarta, który snąc chciał grzechu ojca, by ten nie odmówił zwykłych pacierzy. To mu się jednak nie udało, gdyż ojciec Pafnucy odmówił je wszystkie i udał się na spoczynek. We śnie pisał szybko i wiele... Na jawie jednak nie szło mu tak sporo: potniał, stękał, zażywał tabaki, odczytywał kalendarzową sentencję..., pisanie postępowało żółtym krokiem! Po miesiącu jednak skończonym zostało. Miesiąc, drugi upłynął na uczeniu Szymonka. Na szczęście było czasu dość, by jedynak w rocznicę ślubu swych rodziców, przy kawie, wyrecytował im następującą ode.

¹⁴⁹ *Z własnego popędu* – z własnej woli.

¹⁵⁰ *Okrzeżne* – inaczej: dożynki.

O ty! – chociaż to nie Nowy Rok,
Ja jednak lecę w prędkim skoku,
I na rocznicę tatowego i maminego zaślubienia
W sercu moim daję dla was życzenia.
Wypijcie do kropli z rostruchana¹⁵¹ czarownego,
I kochajcie Szymonka, Pańka i ojca Pafnucego!

Niech serce czytelnika będzie malarzem sceny rodzicielskiego rozczulenia, gdy „o d a” została wygłoszona. Państwo Bartłomiejostwo płakali jak bobry, ojciec Pafnucy lał łzy duże jak ziarnka grochu, Szymcio musiał całą siłą gardła protestować przeciw gwałtowności uścisków rodzicielskich. Nawet Pańko otrzymał pocałunek i pokręcony delikatnie za ucho wysłuchał sentencji pana Bartłomieja, którą mu podyktowało ojcowskie serce przepełnione rozkoszą:

- A cóż ty, durniu, umiesz? Widzisz, co to Szymonek?
- Na to panicz – panicz! – powiedział Pańko z powagą.
- Masz rację. Szymonku, chodź, niech cię jeszcze pocałuję!...

Rozrzewniająca scena skończyła się udzieleniem Szymonkowi trzydniowej rekreacji z prawem robienia, co mu się podoba, co go tak ucieszyło, że ani chwili nie zwlekając, wnet udał się z Pańkiem na wyprawę z mocnym postanowieniem zużytkowania swobody działań w sposób najodpowiedniejszy. W pokoju pozostali: Pan Bartłomiej, pani Bartłomiejowa i ksiądz Pafnucy.

– Ślicznież bo coś mówił Szymonek! Co to, lubo, było takiego? – zwróciła się z pytaniem pani Bartłomiejowa do męża.

– Juźcić jakieś mądre wierszowanie! – odpowiedział pan Bartłomiej.

– Co mądre, to mądre! I rychtyk niby do nas: był i Szymcio, Pańko, a i ksiądz dobrodziej. Juź to go nikt tak nie wyrzuchiwał, tylko ksiądz Pafnucy.

Rzeczony skłonił głowę z pokorą.

– Zapewne z jakiej książki?... – rzekł pan Bartłomiej.

– Ali, co mądra to mądra! Jak to oni tam w książce wiedzieli o nas, o Szymciu, Pańku i księdzu Pafnucym?

Ksiądz Pafnucy widocznie walczył ze sobą: zakonna pokora kazała mu milczeć, ale autorstwo ma dziwny pociąg i jego hołdy najbardziej się podobają! Autor ody sznurkiem posypał tabakę od wskazującego palca aż po rękaw habitu i zgrabnie wciągnął ją do nosa, a zwykł to był czynić, mając katar lub gdy coś

¹⁵¹ *Rostruchan (roztruchan)* – ozdobny kielich do wina i miodu.

stanowczego miał przedsięwziąć. Strzepnął tabakę z palców, wy dostał siną w białe kratki chustkę i patrząc na wierzch tabakierki zdobny w pejzaż, gdzie gęsi były od gór większe, rzekł z cicha:

– To nie z książki!...

Jak iskra elektryczna przejęła ta wiadomość państwa Bartłomiejostwa.

– A któż to, kto skoncy pował?...¹⁵² – ledwie zdołała zapytać pani Bartłomiejowa.

– Ja! – odpowiedział ksiądz skromnie.

To jedno słowo podniosło księdza Pafnucego na szczyt potęgi wobec gospodarzy domu. Pan Bartłomiej wstał z siedzenia i z powagą, szacunku pełny ucałował ramię ojca Pafnucego; to samo uczyniła pani Bartłomiejowa – i odtąd rozmowa przyjęła charakter poważny.

Naradzano się, co czynić należy. Szymcio ma rok trzynasty, niepospolitych zdolności dał świetne dowody – nie można go tak zostawić samemu sobie; trzeba by został człowiekiem.

Pani Bartłomiejowa była za tym, by go uczyć na takiego, który by książki pisał, i bardzo prosiła ojca Pafnucego, by Szymcia wiersze robić uczył, co jej ten solennie przyrzekł, chociaż uprzedził, że to rzecz niełatwa! Pan Bartłomiej zgadzał się poniekąd z żoną, ale uważał, że prędzej chłopiec wyjdzie na ludzi za domem aniżeli w domu, gdzie go pani Bartłomiejowa zanadto pieści.

Możliwość rozstania się z jedynakiem zatrwożyła matkę niepomier nie, po trzydniowej jednak naradzie stanęło, że ojciec Pafnucy powiezie Szymonka do szkół i przy nim zamieszka, Pańka zaś mieć będą na posługę. Pan Bartłomiej miał dom w mieście; wiktuały, choć to nieco daleko, mogą im być przysyłane, a jeśli gospodarstwo pozwoli, państwo Bartłomiejostwo będą odwiedzać syna. W każdym zaś razie rokrocznie wakacje ksiądz Pafnucy z Szymonkiem i Pańkiem, przepędzą na wsi.

Przez trzy dni, w których trwała narada, Szymonek i Pańko broili, ile sił starczyło. Oto ważniejsze psoty. Dnia pierwszego: w liczbie innych, spust w zarybionym stawie otwarty, woda z rybami popłynęła na grunta sąsiada; dnia drugiego: spuszczone z łańcuchów psy rozdarły jagniąt sztuk dwanaście, pokaleczyły owiec trzydzieści, pastuchowi urwały kawałek łydki; dnia trzeciego: w pasiece wodą zalanych ulów cztery, przewróconych ośm; stojąca w polu sterta spalona.

¹⁵² Skoncy pować – wymyślić.

Chociaż figle płatane były dość zręcznie, mimo to nie ustrzegli się ich sprawce i niemało osób ze wsi gotowych było przysięgą stwierdzić, że wszystko to sprawki panicza i jego lokaja Pańka.

Pana Bartłomieja niemało bolała strata; ale że to wszystko stało się w owych trzech dniach rekreacji i trwania narad, nie pociągnął nikogo do odpowiedzialności i cała rzecz poszła w zapomnienie.

Należy wyznać, że pewną trwogą przejęła Szymonka wiadomość o wyjeździe do szkół, ale Pańko rzecz mu tę z tak powabnej strony wystawił, że przestał się lękać i z niecierpliwością wyglądał dnia, w którym opuści dom rodzicielski, by obaczyć wielki świat – miasto, w którym obiecywał sobie coś więcej jeszcze znaleźć aniżeli szkołę, żadnych dłań niemającą powabów.

Przyszła na koniec stanowcza godzina rozłączenia – epoka pamiętna dla serca rodzicielskiego. Toteż bardzo płakała pani Bartłomiejowa. Płakała, szykując Szymonkowi bieliznę; płakała, składając spencerek¹⁵³ i majtki; płakała, napełniając pudła i worki rozmaitym pieczywem; płakała, doglądając, by wygodnie poduszkami obłożono siedzenie w bryczce dla Szymcia; a zemdląta, żegnając jedynaczką, i lży ją nie opuściły do chwili, w której sen skleił oczerwieniałe powieki pani Bartłomiejowej.

Pan Bartłomiej, zaleciwszy Szymonkowi, by pilnował nauki i słuchał ojca Pafnucego, udzielił mu błogosławieństwa, nie bez łez całując jedynaka. A gdy już wsiedli, nakazał woźnicy Semenowi, by z góry halmował¹⁵⁴, a miał oko na siwą, gdyż jest na oźrebieniu, przeżegnał brykę krzyżem świętym i krzyknął:

– Ruszaj.

Pani Bartłomiejowa wybuchła głośniejszym płaczem i pan Bartłomiej lży ocierał. Ojciec Pafnucy odmawiał modlitwę podróżnych. Szymonek z pewnym niepokojem widział, że jedzie z domu, ale kto wie, czy mu to wyjdzie na dobre. Tylko Pańko czuł się zadowolonym – z wielką pompą siedząc na koźle obok Semena, wywijał nogami pod fartuchem i pocmokiwał na konie, zachęcając je do skorszego¹⁵⁵ biegu.

Bryka powoli nikła sprzed oczu państwa Bartłomiejostwa, aż w końcu zakryła ją góra. Szymonek długo oglądał się, patrząc na dom, wieś, a gdy mu z oczu znikły, począł myśleć o przeszłości, o mieście, do którego jechał...

¹⁵³ *Spencerek* – krótka kurtka.

¹⁵⁴ *Halmować* – hamować, wstrzymywać.

¹⁵⁵ *Skorszy* – szybszy.

W sąsiedniej wsi, za karczmą Ickową, zwróciła uwagę Pańka kupa gruzów z dobrze mu znanej chaty Hryhora. To w nim zrodziło niezbyt przyjemne wspomnienie... Spod resztek pieca wystające chodaki dziada zdawały się krzywić¹⁵⁶ z byłego powodyra. Pańko splunął i starał się nie myśleć o przeszłości niezbyt miłej dla niego. A przecież parę razy krzywiące się zeń chodaki stanęły mu jak żywe przed oczyma.

VI. KUBUŚ I WCALE NOWE RZECZY

Znacie Kamieniec?¹⁵⁷ Któżby go nie znał! Pocziwa miejscina, w której nie wiesz, co podziwiać: czy pamiątek historycznych mnogość, czy synów Izraela obfitość? (Podobno przeciwnie! Popraw, łaskawy czytelniku!).

Znam Berdyczów, Brody¹⁵⁸ i Lwów nawet; w Palestynie nie byłem – słyszałem jednak od turystów, że Jerozolima ani się umyła do wspomnianych naszych miast, tak pięknie świadczących o gościnności słowiańskiej.

Za innymi i Kamieniec daje bijący (raczej czerniejący jarmurkami¹⁵⁹) dowód owej cnoty naszej; pozwałam w pierwszą lepszą stronę rzucić kij miary dowolnej, a jeśli o Żyda nie trafi w Kamieńcu, tedy przyjmę kopię jego w podarunku, mimo że szlachcic, a więc przywilejem zawarowany od spotkania się z podobnym oryginałem!

Błogosławiona ziemico¹⁶⁰ Polska! Tyś drugą ojczyzną synów Izraela, którzy znaleźli w niej nawet Galileę – i rzodkiew z cebulką!

Ulicą Polską, w górę ku Bramie Wietrznej¹⁶¹, posuwa się czterokonna bryka, jak otyła jejmość sapiąc z pełnego brzucha czterech szkap, należycie owsem

¹⁵⁶ *Krzywić się* – tu: szydzić, wyśmiewać.

¹⁵⁷ *Kamieniec (Kamieniec Podolski)* – miasto i twierdza na ziemiach ukraińskich dawnej Rzeczypospolitej, stolica województwa podolskiego, później guberni podolskiej Imperium Rosyjskiego. Ważny ośrodek życia polskiego.

¹⁵⁸ *Brody* – miasto na Ukrainie, w obwodzie lwowskim.

¹⁵⁹ *Jarmurka (jarmułka)* – nakrycie głowy noszone przez Żydów, okrywające włosy i szczyt głowy.

¹⁶⁰ *Ziemica* – dawn. podniośle: ziemia.

¹⁶¹ *Brama Wietrzna* – jedna z bram tworzących kompleks umocnień starego miasta w Kamieńcu Podolskim.

karmionych. Czytelnik zaś mój, obaczywszy na koźle Semena i Pańka, zaraz się domyśli, że to ojciec Pafnucy wiezie Szymcia państwa Bartłomiejostwa do szkoły na naukę. W rzeczy samej był to nasz Telemak ze swoim Mentorem¹⁶².

A już za bramą Semen, Pańko i Szymonek otworzyli z podziwienia gębę, jakby na przyjęcie kawek, co stadami unosiły się nad starożytnym grodem, któremu znów tylko brak gęby przeszkodził otworzyć ją, również z zadziwienia, iż w mieście olbrzymów gospodarzą ich prawnuki – karły!

Cztery szkapy stanęły szesnastoma nogami – każda w pozycji innej i bodaj czy nie z myślą różną, szczególniej siwa, dumająca o swym odrodzeniu się w potomku.

Ksiądz Pafnucy nie wiadomo nad czym właściwie, ale jest wszelka pewność, że dumał także, gdyż otworzył tabakierkę i zanurzył w niej dwa palce, specjalnie poświęcające się przenoszeniu tabaki z jednego jej naczynia w drugie, którym był nos ojca Pafnucego. O dalszym losie tabaki umiałyby powiedzieć chustka sina w kratki białe, ale nie mamy zamiaru zapytywać ją o to.

Filozoficzna pozycja ośmiu osób – przepraszam! czterech tylko, bo gramatyka nie zalicza koni do osób – czterech osób: ojca Pafnucego, Pańka, Szymonka i Semena została wywołana zupełnie nowym dla nich widokiem: całej zgrai myszuresów¹⁶³, faktorów¹⁶⁴, handlarzy drobnych towarów, piernikarzów, wodonosów¹⁶⁵, obwarzankarzy¹⁶⁶ etc. etc., którzy chmurą obiegli czterokonną brykę, wrzeszcząc wniebogłosy, każdy chcąc czego innego, a wszyscy razem – pieniędzy!

Za małą chwilkę znikła bureczka¹⁶⁷ Szymciowa, batog Semena, fartuch od kozła, papucie ojca Pafnucego, które miał na nogach przez całą drogę, a zrzucił wjeżdżając do miasta. Nie opatrzył się i Pańko, że mu kaszkiet skórzany ściągnięto z głowy; późno dojrzał ojciec Pafnucy, że nie tylko tabakę, ale wzięto mu i tabakierkę – szczęściem, że nie tę z widokiem, gdzie gęsi od gór były większe! I nie wiadomo, jak długo trwałoby jeszcze to osłupienie podróżnych i ich okradanie, gdyby w tej chwili nie ozwał się w budzie głos zapytujący Szymonka:

– A dokąd ty jedziesz?

¹⁶² *Telemak, Mentor* – bohaterowie powieści François Fénelona *Przygody Telemaka* (1699).

¹⁶³ *Myszures* – posługacz żydowski w zajeździe.

¹⁶⁴ *Faktor* – pośrednik do załatwiania różnych interesów.

¹⁶⁵ *Wodonos* – służący noszący wodę.

¹⁶⁶ *Obwarzankarz* – sprzedawca obwarzanków.

¹⁶⁷ *Bureczka* – burka, tj. rodzaj długiego, obszernego płaszczka z kapturem.

To pytanie zwróciło uwagę obywateli bryki na małą postać chłopczyka w szkolnym mundurku, na którym każdy znikający guzik zostawił swego następcę – dziurę; rękawy białością łokci i fantastycznymi strzępkami błagały nieba o litość, reszta daszku czapki smutnie zawisała nad czołem piątej postaci, która się znalazła w bryce pana Bartłomieja, wiozącej syna jego do szkoły.

– A ty kto taki? – zapytał Pańko nowo przybyłego.

– Z fagasami¹⁶⁸ nie gadam! – odpowiedziała dumnie postać.

Pańko nie znalazł stosownej odpowiedzi. Szymonek, ojciec Pafnucy i Semen patrzyli na dumną osobistość, która by im przypomniwała Hiszpana, gdyby co o tym narodzie wiedzieli. A tymczasem Żydki ściągnęły Semenowi worek i żelazne pęta końskie, że nie wspomnę o blaszanym wiadrze, dawniej już odpiętym od bryki wraz z maźnicą dziegiową¹⁶⁹.

– A!... – zdecydował się wreszcie przemówić ojciec Pafnucy do nowego gościa. – A jegomość kto taki?

– Ja nie jegomość, tylko uczeń gimnazjalny.

– Aha, uczeń... To dobrze!

– A pewnie, że dobrze. Ty także do gimnazjum? – znów zapytał Szymonka.

– A taki prawda! My jedziemy do szkoły.

– Tam chłopów nie przyjmują! – zrobił głośną uwagę uczeń gimnazjum, wreszcie zapytał: – Czegóż wy stoicie? Chcecie by was do reszty okradziono!...

Pierwszy Pańko macnął się za łeb, a nie znalazłszy kaszkietu, dał susa i ozdobił swą głowę czapką, którą zdjął myszuresowi z zajazdu Mendla. Jak tygrys rozjuszony skoczył między Żydów Semen, którego strata batoga równie o wściekłość przypawiła. Zaczęła się bójka: u dołu tłukł Żydów Semen i Pańko poszturkiwał, z góry pomagali im Szymonek i nowy gość, uczeń gimnazjum, ciskając w tłum czym się nadarzyło – nawet bochenkami chleba pieczywa pani Bartłomiejowej, które w tej zaimprovizowanej bitwie reprezentowały działa ciężkiego kalibru.

Ojciec Pafnucy stał z rękami wzniesionymi w górę, niemy, patrzący na zacięty bój krwi chrzczonej z niechrzczonej. A zaczynał on przybierać rozmiary zatrwające: stronę Żydów wzięli Żydzi, chrześcijanie ujęli się za jednowiercami. Niezbyt pomogło wdanie się policji: krew z nosów ciekąca porobiła bohaterów nawet z tych, którzy od urodzenia nie okazywali wielkiej skłonności do wojaczki.

¹⁶⁸ *Fagas* – pogardliwie: służący, lokaj, posługacz.

¹⁶⁹ *Maźnica dziegiowa* – naczynie do przechowywania dziegiu.

Naraz wielki krzyk izraelski dał się słyszeć w okolicach bryki pana Bartłomieja i tłum starozakonnych falą odchylił się od niej, cały uciekający przed okropną bronią – nie wiem, czy zakazaną prawami narodów.

Zrejterowawszy się do bryki, Pańko ze zgrozą patrzył przez chwilę na bójkę. Mówię – chwilę, gdyż wnet przyszedł mu genialny pomysł do głowy, który nie omieszkał wykonać natychmiast. Pomiędzy wiktuałami, w osobnym zawinięciu, znajdowały się czosnkowane kielbasy wieprzowe, które sławnie robiła sama pani Bartłomiejowa. Porwał Pańko jedno kółko i jak mieczem ciął w prawo i w lewo starozakonnych. Za jego przykładem Szymonek również wziął się do kielbasy, a nowy gość w bryce jak kulami ciskał kawałami słoniny między synów Izraela.

Widok zabójczej broni, zapach czosnku, który i łechtął podniebienie, ale zarazem ostrzegał o obecności groźnego nieprzyjaciela, szkaradny *chazer*¹⁷⁰ plastrami lipnący¹⁷¹ do bród i pejsów walczących Żydków – były to potęgi, przed którymi i najwaleczniejsi ostać się nie mogli. Walczący podali tył, bryka została wolną, a w tej chwili policjanci dotarli do fortecy i zajmąwszy ją w imieniu prawa, poprowadzili wraz z załogą na policję.

Bojowe tłumy towarzyszyły pojazdowi przed gmach doraźnej sprawiedliwości, której wymiar dość był znośnym dla obywateli bryki: po uprzednim wylegitymowaniu się i przedstawieniu rzeczy, jak się miała, ksiądz Pafnucy zapłacił pięć rubli kary za wywołanie ulicznej burdy, po czym puszczone wszystkich na wolność, nie wyłączając gościa, który przytomnością umysłu, dowodami odwagi, ujął sobie Pańka i Szymonka, a jako obeznany z miejscowością z całym towarzystwem pojechał do domu pana Złodzickiego, znajdującego się nad skałą, tuż obok gimnazjum.

Ledwie bryka wtłoczyła się na podwórze i ojciec Pafnucy miał czas świątobliwe kości swe złożyć na drelichem¹⁷² pokrytej sofce, tuż obok kantorka¹⁷³, pod oknem stojącej – a już trzech nowi znajomi pod przewodnictwem ucznia gimnazjum wyruszyli do miasta.

Na rynku *cicerone*¹⁷⁴ zatrzymał się, a zwracając mowę do Szymonka, zapytał:

¹⁷⁰ *Chazer (chajzer)* – wieprzowina, słonina jako żywność u Żydów zakazana.

¹⁷¹ *Lipnący* – przylegający.

¹⁷² *Drelich* – gruba tkanina z lnu lub bawełny.

¹⁷³ *Kantorek* – stół do pisania i przechowywania papierów; biurko.

¹⁷⁴ *Cicerone* – przewodnik.

- A jak się ty nazywasz?
- Szymcio – odpowiedział zapytany.
- Bo ja Kubuś. Mama nazywała Paryskiem, ale już umarła.
- A ty – zwrócił się do Pańka – pewno także jakoś się nazywasz?
- A czemuż by nie; abo ja co takiego? Pańko mię wołają.
- To dobrze. Teraz chodźcie za mną, a róbcie, co wam powiem.
- Dobrze! – odpowiedzieli Szymcio i Pańko, idąc za Kubusiem.

Szymcio, Kubuś i Pańko stawili wprawdzie na wycieczce tylko dwie godziny, ale dość mieli czasu, by potłuc okna w synagodze, kupczącej Żydówce rozlać napój kwasem zwany, a niekwaśny wcale, i wysypać obwarzanki. W fabrykach tytoniowych zebrali niemało tytoniu na próbki, którego palenie podziałało na Pańka i Szymcia, jak gdyby odbyli pierwszą podróż morską, odwiedzili winiarnię Moszka w podziemiu, do pokoju jednego z nauczycieli gimnazjum wrzucili każdego po garści błota i drugą śmiecia.

W domu już nauczył ich nowy towarzysz grać w guziki¹⁷⁵, od niechcenia wygrawszy wszystkie, które były z metalu, a to tak dalece, że Szymonek i Pańko byli w kłopotcie, jak sobie dać rady z pewną częścią ubrania... aż ojciec Pafnucy zmuszonym się widział przywołać krawca. Słowem, kładąc się spać, Pańko i Szymonek czuli się szczęśliwymi z przyjazdu do miasta, a szczególnie, że zabrali znajomość z Kubusiem, który dla nich był prawdziwym skarbem, dla autora zaś szczerym jest kłopotem, gdyż mu przybyła nowa postać do powieści. A nie wiem nawet, czy i czytelnik nie weźmie się za głowę, dowiedziawszy się, że to jest z porządku trzeci bohater powieści, którego mam mu zaszczyt przedstawić, ręcząc sławą autorską, iż nie zgrzeszę więcej wprowadzeniem bohatera czwartego, chociaż mię usilnie prosi o rekomendację do łaskawego czytelnika. Nie! Przewycięzę siebie. Przebacz pan... Tytuł zapowiadał trzech..., mógłbym mieć proces, a honorarium autorskie nie wystarcza mi jak chyba na opłacenie adwokata, który z zasady sprawę przez się bronioną przegrywa, gdyż mało jest płatny!... Do widzenia zatem.

Uf! Ledwie nieledwie odszedł. A szkoda! Ciekawy to był człowiek... Nie moja wina, czytelniku, że go nie poznasz. Zrobiłem, co chciałeś. Zrobiłbym więcej

¹⁷⁵ *Gra w guziki* – zabawa chłopców polegająca na tym, że na utwardzonej ziemi robiono mały dołek i trafiano do niego guzikiem lub monetą, prztykając je kolejno przez grających. Ten, kto pierwszy trafił do przygotowanego dołka, wygrywał.

jeszcze: zakończył rozdział jaką uwagą i pozwolił ci spocząć... Ale nic z tego! I autorowie mają swe widzimisię, a jeśli złowią czytelnika na wędkę ciekawości, mogą się posunąć do tyranii.

W nadziei, że ułowiłem rybę (nie przypuszczam by to był rak!), zapraszam cię, czytelniku, do wysłuchania maluchnej, a może i miluchnej – jak kto woli – opowieści o trzecim bohaterze mej *Trójki* – Kubusiu.

Prawdziwy to kłopot dla nas, że wszyscy przychodzą na świat związani pochodzeniem, najbliżej od ojca i matki! Kłopot to niemały dla mnie, gdyż i Kubuś miał rodziców, a więc od nich wypada rozpocząć opowieść. Ha, cóż robić! Zaczynam.

„Za króla Popiela...” – powiada herbarz, z którym nie spotkasz się, gdyż jako mnie mędrszy od Koranu na rozkaz Omara¹⁷⁶ spalonym został. „Za króla Popiela, w czasie pamiętnej potyczki jego z myszami na wyspie jeziora Gopło, mężnie odznaczył się giermek księcia, którego Popiel w uznanie zasług szlachcicem mianował, za herb mu trzy mysze ogonki dając, złożone na półmisku znajdującym się w polu czerwonym; w hełmie zaś, nad koroną, dwie myszy zwrócone ku sobie łapkami trzymają kwiat róży trójlistnej. Herb ów zwany jest Porawa¹⁷⁷, iż¹⁷⁸ Popiel miał porę giermkowi go dać, a ten z dokumentem porę miał rzucić się w jezioro i między tłumy myszy płynąc, dostać się na brzeg bez szwanku. Giermek on¹⁷⁹ wielkiej potem zażył sławy jako rycerz na dworze niemieckim...” itd.

Tu herbarz mówi dalej o rodzie Porawów, ale to powieść długa, a mnie śpieszno do końca. Powiem więc kilkoma słowy, iż z ojca na syna przechodząc, Porawa dostał się w spuściźnie Kalasantemu hrabi Porawa Porowskiemu, który był pierwszym gubernialnym marszałkiem ponoś¹⁸⁰ na Wołyniu i zmarł wielce zasłużony obywatelstwu, gdyż na obiady dla niego i przejażdżki za granicę, by utrzymać potrzebną powagę, stracił niemal całe swe mienie. Umarł i pogrzebion w dziedzicznej wiosce swej Porówce, tuż pod Łuckiem, w którym – jak przysłowie powiada – wszystko po ludzku: woda naokoło, a we środku goło!

¹⁷⁶ *Omar* – popularne imię muzułmańskie. Nosił je m.in. teść proroka Mahometa, czyli Umar (Omar) ibn al-Chattab (ok. 591–644). Stąd słynny meczet Omara w Betlejem.

¹⁷⁷ Nazwa herbu wymyślona przez autora, podobnie jak występujące dalej personalia członków rodu Porawów oraz nazwa wsi Porówka.

¹⁷⁸ *Iż* – jako że.

¹⁷⁹ *On* – ów.

¹⁸⁰ *Ponoś* (*pono*) – ponoć, zdaje się, podobno.

Gołym też był i pan Apollin Rodryg Napoleon Porawa hrabia Porowski, syn gubernialnego marszałka, już tylko właściciel pałacu niegdyś w Łucku¹⁸¹, gdyż Porówkę i resztę pozostałości ojcowskich pozostawił lichwiarzom, za których pieniądze odbył dwa wojaże z żoną swą, również Porowską, ale nie hrabiną, i w herbie jej były wprawdzie ogonki, lecz już myszom brakło róży, która za pewną zdrożność odjętą została jednemu z przodków Alfonsyny Eulalii *comtesse*¹⁸² Porowskiej, *née*¹⁸³ Porowska.

Hrabstwo, osiadłszy w pałacu, doczekali się potomka, którym był znany już czytelnikom, trzeci bohater naszej powieści Kubuś.

– Ale w jaki sposób syn Apollina Rodryga Napoleona i Alfonsyny Eulalii hrabiów Porowskich miał tak parafiańskie¹⁸⁴ imię jak Kubuś? – zapytasz mię, czytelniku.

Odpowiem kilkoma słowy, gdyż jak czart święconej wody lękam się, by mię nie nazwano nudnym.

Jakoś w tym czasie, gdy hrabstwo byli bardzo bliscy kandydatury na świętych tureckich, kiedy osiedli w swym pałacu w Łucku, pokazało się, że hrabina ma bardzo bliskiego krewnego na Podolu, który był po prostu – nie wiem, jakby to powiedzieć – ... ot..., trudnił się..., rzemiosło wszakże nie krzywdzi nikogo!... Koniec końców: trudnił się zaopatrywaniem Warszawy w zwierzęta, których skwarki nie wiadomo dotąd dłaczego imię Szwedów noszą! Kuzyn pani hrabiny miał nazwisko swego fachu, pochodził z litewskiej rodziny Kiełbasów (czy Kiełbas – nie wiem jak gramatycznie), a imię miał Kuba. Pan Kuba Kiełbasa, z profesji świniarz, niewiele sobie robił z tego, iż w Łucku dopiero osiadłszy, przyznała się doń hrabina. Przebaczył winę hrabstwu i trzymał małego hrabiczka do chrztu, na krzyżmo¹⁸⁵ dawszy mu zapis całej swej fortuny po najdłuższym życiu ojca chrzestnego, pod warunkiem że na chrzcie św. Kuba będzie patronem młodemu hrabi Porowskiemu.

Przełknęło się gorszą pigułkę przyznania się do pokrewieństwa ze świniarzem, wypadło połknąć i świętego Kubę, który nie należał wprawdzie do arystokracji, ale...

¹⁸¹ *Łuck* – miasto na Wołyniu, stolica dawnego województwa wołyńskiego.

¹⁸² *Hrabiny*.

¹⁸³ *Z domu*.

¹⁸⁴ *Parafiański* – pospolity.

¹⁸⁵ *Krzyżmo* – podarunek z okazji chrztu.

– Niech już będzie i Kuba! – przystali hrabstwo.

A pan Kuba Kiełbasa tak się do swego chrzestniaka¹⁸⁶ przywiązał, że go z rodzicami zabrał do swego folwarczku, którego miał pod Kamieńcem, i to w najkrytyczniejszej chwili: gdy lichwiarze pozostałość hrabstwa, pałac sprzedali z publicznego targu. Tam osiedli hrabstwo ku wielkiemu utrapieniu nerwów hrabiny, nieznoszących zapachu czosnku, który niestety woniał¹⁸⁷ z folwarczku pana Kiełbasy na dobrą staję wokoło!

Pozycja hrabiostwa nie była do zazdrości, szczególnie jako dla ludzi dobrze urodzonych. Ale cóż, sprawiedliwości nie masz na kuli ziemskiej – tyle hołoty żyje w dostatkach, a hrabstwo Porowscy na łasce u pana Kiełbasy. *Mon Dieu*¹⁸⁸, cóż się to nie dzieje! Rady jednak nie było żadnej: ani hrabia, ani hrabina nie mieli stryja, wujaszka, ciotki, babki, pragnących pójść do chwały Boskiej, ziemską mamonę, majątek zapisując hrabstwu... Związani ślubem małżeńskim nie mogli: pan Rodryg Napoleon dobrze się ożenić, pani Alfonsyna zrobić partii...¹⁸⁹ Pozycja okropna! Państwo Porowscy czuli się jak za życia pogrzebanymi na folwarczku pana Kiełbasy, z którego nie można się było wydostać ani czym, ani w czym! Kałamaszka¹⁹⁰ pana Kuby dobra była dla niego, ale hrabstwo...

– Spłonęłabym ze wstydu! – mówiła hrabina.

– Za żadne grzechy! – wtórował hrabia.

W garderobie hrabstwa również wkradły się pewne niedokładności: całosci brakło, części podzielne w postaci dziur i strzępków przybywały gromadnie... Rozpacz, cała rozpacz! A tu od pana Kuby ani rusz wyciągnąć setkę, nędzną setkę – wszystko chowa dla swego Kubusia! Gdybyż nadzieja przynajmniej, że niedługo pójdzie do królestwa niebieskiego... Gdzie zaś?! Największego kiernoz¹⁹¹ o ziemię powala! Okropność, okropność!...

Przyjaciele, dobrzy znajomi udawali, że ani wiedzą o istnieniu jakich hrabiów Porowskich! Myślał pan Apollin, że przynajmniej z dorobkowiczami nie zerwie i nawet wymógł na pani Alfonsynie Eulalii, że nie dostanie spazmów, robiąc wityę baronowej. Zawiodł się okropnie! Baronostwo kazali powiedzieć hrabstwu

¹⁸⁶ *Chrzestniak* – chrześniak.

¹⁸⁷ *Woniał* – śmierdzieć, wydzielać nieprzyjemny zapach.

¹⁸⁸ *Mój Boże!*

¹⁸⁹ *Zrobić partię* – bogato wyjąć za mąż.

¹⁹⁰ *Kałamaszka* – wąski wózek, bez budki, mniejszy od bryczki.

¹⁹¹ *Kiernoz* – samiec świni domowej, knur.

przybyłym piechotą, że ich nie ma w domu!... Coś podobnego zdarzyło się panu Apollinowi jeszcze parę razy, aż wreszcie przepęłniony żołącią postanowił zemścić się zupełną dla ludzi i świata obojętnością: kroku nie zrobił z folwarku pana Kiełbasy, stworzywszy dla się świat własny, złożony z niego i hrabiny, ze wspomnień przeszłości i marzeń o dniu błogim, w którym będą znów na stanowisku przynależnym hrabstwu z prawa natury niejako...

Tryb życia był następujący: z rana przychodził pan hrabia do żony w rannym negliżu będącej i całując w rękę, oddawał najdroższej Fosi Loli¹⁹² dzień dobry; pani hrabina z lekka całowała w czoło pana hrabiego, a dopiero oboje ściskali małego Paryska (bo tak zwali swego syna w sekrecie przed panem Kiełbasą).

Kawę pili w towarzystwie pana Kuby, gdy był w domu, ale wtedy hrabina zwykle miała migrenę... Choroba ta odstępowała ją wraz z odejściem pana Kiełbasy. Po kawie hrabina robiła toaletę, hrabia czyścił paznokcie, gwizdząc ulubione piosneczki paryskie. Później szli na przechadzkę, gdy było lato, siedzieli w pokoju w czasie deszczu i mrozów, czas poobiedni święcąc na opatrywanie nielicznego zbioru bagatelek¹⁹³, z których każda przypominała małżeństwu świetne chwile ich przeszłości. Po obiedzie, ku wielkiemu zgorszeniu pana Kuby, płukali hrabstwo usta ciepłą wodą i mówili po francusku aż do uśpienia pana Kiełbasy. Następowoło trawienie i drzemka lekka, później przechadzka, wieczorem lektura, herbata, przedsenne dumania hrabiostwa, wreszcie sen z uderzeniem trzeciej o północy. Tak płynęło życie hrabstwa na folwarku!...

Pan Kiełbasa był człowiek prosty, ale wyrozumiały na wiele rzeczy, a w liczbie tych i na hrabiowskie fochy swych gości, których syn Kubuś codziennie stawał mu się droższym.

– Niech tam sobie robią, co chcą. Chleba mi wszystkiego nie zjedzą! – mówił pan Kuba i dalej prowadził swe interesa handlowe, panami domu zostawiając hrabstwo.

Panowanie to, jak widzieliśmy, miało dość skromny zakres, redukowało się bowiem do zupełnej wolności trawienia beczynninie godzin, dni, miesięcy..., z czego też nie omieszkali korzystać hrabiostwo, w pracy upatrując coś poniżającego..., coś, co trąciło kredensem¹⁹⁴.

¹⁹² *Fosia Lola* – zdrobniale od Alfonsyna Eulalia.

¹⁹³ *Bagatelki* – drobiazgi, drobne przedmioty.

¹⁹⁴ *Kredens* – służba stołowa.

Wszelako byłoby to oszczerstwem, gdybym powiedział, że hrabiostwo zupełnie nic nie robili. Owszem, pracowali, ale jak przystało na ludzi dobrze urodzonych: hrabina hodowała w pokoju parę szlachetniejszych roślin, od niechcienia brała jaką robótkę, a głównie nocą pisywała żurnal rozpoczynający się wspomnieniem lat dzieciennych, w którym to żurnalu jednak nie pozwalała hrabiemu czytać ustępu zawierającego jej 16, 17 i 18 lata życia, aż do wiersza: „Poznałam hrabi Porowskiego...”.

Taką była praca pani hrabiny.

Pan hrabia zdolności swe poświęcił badaniom na polu mało u nas uprawianym – heraldyki. Ze skrupulatnością uczonego Niemca wyprowadzał rodowód swój od owego Popielowego giermka począwszy i odrysował piękne drzewo genealogiczne rodziny Porowskich, które wyrastało z brzucha wspomnianego giermka, leżącego na trzech myszych ogonkach, w polu czerwonym, z dwoma myszami i różą nad koroną. Drzewo, rozrósłszy się w mnogie gałęzie, u góry strzeliło dwoma parostatkami, na których z prawej strony zasiadł Apollin Rodryg Napoleon Porawa Porowski, z lewej zaś Alfonsyna Eulalia z Porowskich hrabina Porowska, a od nich dopiero szły dwa pręciki wydające z siebie kwiat w kształcie miseczki, na której spoczywał Parysek – w nawiasie drobnymi bardzo literami: Kuba, hrabia Porawa Porowski.

Ukończywszy mozolne to dzieło, pan hrabia zabrał się do pracy nie mniej ważnej: najpierw na papierze, w końcu na drzewie wymalował „Porawę” i ani się spostrzegł pan Kiełbasa, jak nad drzwiami jego domu zawisła herbowa tarcza hrabiów Porowskich. Z początku było mu to opacznie¹⁹⁵, ale później z uśmiechem patrzy na hrabiego, który gdzie tylko mógł, malował Porawę, a jedną tarczę zaniósł nawet do kościoła, by po wieki świadczyła, że potomek tej sławnej rodziny, prześladowany przez los, żył w nędznym folwarku na łasce prostego handlarza świń.

Ważną także rubrykę codziennych zajęć hrabiostwa stanowiło kształcenie Paryska odpowiednie jego urodzeniu. Tu małżeństwo prześcigało się wzajemnie w dawaniu nauk synowi i zaszczepianiu weń pojęć nieodłącznych od dobrego urodzenia. Więc najpierw: pogardę do wszystkiego, co swoje, i do ludzi, którym brakło tytułu (o majątku nie wspomniano, zważając na okoliczności...); miłość dla wszystkiego, co paryskie, począwszy od akcentu, a na rękawiczkach skończywszy... i wiele innych pięknych rzeczy, o których tu nie mówię dlatego, że są powszechnie już znane.

¹⁹⁵ *Opacznie* – przeciwnie, nieprzychylnie.

Mały Porowski byłby niezawodnie został Parysem, gdyby nie był – Kubusiem. A tak się to miało: Parysek z wielką uwagą słuchał, co mu *maman* i *papa*¹⁹⁶ mówili, nosił dumnie swą jasnowłosą główkę i pogardliwie składał usteczka; ale z drugiej strony demokratyczny wujaszek tak go pieścił, tyle mu rozmaitych łakoci i zabawek z miasta przywoził, że niepodobna go było nie kochać! Toż się rozdziwił synek hrabstwa: jako Prysek trzymał z arystokracją – rodzicami, jako Kubuś był po stronie hołoty, reprezentowanej przez pana Kielbasę. Zatem poszła i mieszanina wyobrażeń w chłopcu: prostactwem smucił rodziców, pańskością znów dobrego wujaszka, który wszelkimi sposobami przeszkadzał, by hrabiostwo nie zrobili mu z Kubusia panicza, który by w przyszłości wstydził się swego dobroczyńcy. Wiedząc, czym są dla dziecka pierwsze wrażenia, pan Kuba otoczył siostrzeńca rówieśnikami, którzy nie mieli zaszczytu być dobrze urodzonymi, choć zdrowe twarze świadczyły, że porodzili się nieźle.

Pomiędzy chłopcami Kubuś wprawdzie zawsze był panem, ale nieznacznie wszczepiało się weń pojęcie równości – a to szczególnie wtedy, gdy go hołota wyczubiła¹⁹⁷, na urodzenie nie zważając. Zresztą i wujaszek nie był hrabią, a przecież kochać się dawał; była i służąca Motra, którą także lubił Kubuś... Słowem w zasadach arystokratycznych wszczepianych przez rodziców od początku tkwiło już w Kubusiu pewne odstępstwo na rzecz gminu, co bardzo martwiło hrabinę i hrabiego, który nie wiadomo dlaczego pewnego dnia zapragnął przeczytać kartki dziennika żony o latach jej 16–18. Z tego wywiązała się niemiła scena małżeńska, a jeżeli do zmartwienia hrabiny dodamy jeszcze zakatarzenie się, połączone z upadkiem sił wskutek życiowej męczarni na folwarku, nie wyda się nam bardzo dziwnym, że pewnego poranku hrabia Porowski został wdowcem, a – jak utrzymują w okolicy – wskutek przeczytania kartek dziennika, który nieboszczka zapomniała wziąć ze sobą do grobu, podobno sfiksował.

Tegoż zdania poniekąd był i pan Kielbasa, który teraz wyłącznie zajął się edukacją małego Kubusia, gdyż hrabia tylko Porawę malował, okolicznym włościanom wykładając bezpłatnie kurs heraldyki, ze szczególniejszą uwagą na ród Porowskich. W genealogicznym zaś swym drzewie tę tylko zrobił zmianę, że pod imieniem Alfonsyny Eulalii położył tajemniczą dla wszystkich czarną kropkę. Niezadługo począł hrabia dokonywać dalsze wycieczki do okolicznych dworów,

¹⁹⁶ *Mama i tata.*

¹⁹⁷ *Wyczubić* – wytargać za włosy, przetrzepać skórę.

prelegując o heraldyce z Niesieckim¹⁹⁸ pod pachą, którego poprawiał bądź na marginesach *Korony* bądź w osobnych dopiskach, które sporą książkę formowały. Okoliczna szlachta była bardzo zadowolona z odwiedzin hrabiego i te same drzwi, które zamknęły się przed zubożałym Porowskim, stały teraz otworem przed fiskatem heraldykiem!...

Tak rzeczy stały na folwarku pana Kiełbasy, który po dawnemu trudnił się hodowlą zwierząt niezbyt ochędożnych¹⁹⁹, ale intratnych. Na hrabiego nie zwracał pan Kuba uwagi, pozwalając mu wieść życie wedle upodobania, Kubusia strzegł jak oka w głowie.

Kubuś był ładny jasnowłosy chłopczyna o czarnym, bystrym oku. Serce miał dobre, ale praca rodziców nie była daremną i niepodobną było panu Kubie zniszczyć w swym wychowawcu narowów²⁰⁰ pańskich, z którymi nie sympatyzował pan Kiełbasa. Myślał, myślał, wreszcie zdecydował, że szkoła może poprawić malca, i długo nie zwlekając, odwiózł go do Kamieńca, umieściwszy na stacji u dobrej swej znajomej pani Kostiukowej, żyjącej z wiktowania²⁰¹ chłopców bądź sposobających się, bądź uczęszczających już do gimnazjum.

Kubusiowi z łatwością przyszło złożyć egzamin do pierwszej klasy, ale łatwiej jeszcze poznać wszystkie figle, jakie się praktykują między swawolnymi malcami. A swawolniejszego nad Kubusia nie było w klasie! Lekcji, gdy go przypilnowano, nauczył się prędko, bo pamięć miał dobrą i pojęcie bystre, ale nie lubił tracić czasu nad książką, gdy go tak przyjemnie i pożytecznie można spędzić poza nudną szkołą, z dala od jeszcze nudniejszych nauczycieli.

Wskutek swych figlów Kubuś dość często spotykał się z „Duchem Świętym”, jak uczy pewna kołęda dla dzieci. Ale go znano w mieście i gdzie tylko dowcipny jaki figiel spletanym komu został, na pewno – utrzymywał każdy – że tam Kubuś musiał być koniecznie.

W czasie gdyśmy go poznali, Kubuś zmykał przed nauczycielem arytmetyki, któremu na ulicy przypiął szpilką kawał ścierki do fraka, a obaczywszy tłum koło Wietrznej Bramy, pobiegł tam co śpieszniej i dla należytego wywiedzenia się wlaź w środek bryki, gdzie go spostrzegli podróżni.

¹⁹⁸ *Niesiecki* – Kasper Niesiecki (1682–1744), polski genealog heraldyk, jezuita, leksykograf, pisarz, teolog, kaznodzieja, autor czterotomowego herbarza *Korona Polska*.

¹⁹⁹ *Ochędożny* – schludny, czysty,

²⁰⁰ *Narowy* – przyzwyczajenia, nawyki.

²⁰¹ *Wiktowanie* – utrzymywanie.

Co dalej było – wiedzą już czytelnicy, a co jeszcze będzie, powie rozdział VII, do którego odsyłam ciekawych. Nie nastąpi to jednak wcześniej, aż raczycie odczytać to, co powiem w tej chwili.

A powiem wam, szanowni czytelnicy, rzecz nową, chociaż znaną poniekąd – zawsze jednak nie w takiej formie, jak ją wam poda sługa wasz autor, nad którego (mówię o autorze, nie zaś o sobie) nie znam nic potężniejszego na kuli ziemskiej! Aleksander Wielki²⁰², Juliusz Cezar²⁰³, Napoleon I²⁰⁴, i III²⁰⁵ w końcu, że pana Bismarka²⁰⁶ ominę – są to niezaprzeczenie ludzie wielcy: walą jedno, stawiają drugie, znów to rujnują, by postawić nowe, które samo rozpada się w gruzy albo zburzonym bywa przez innych i etc.! Historia zapisała wiele kart ich imionami, skończyło się jednak na tym, że jak niepysznych wszystkich ich wpakowano do dołu i dano na łup robakom, a w sumie pokazało się, że nic nie zrobili, wyjąwszy dwóch ostatnich, którzy robią jeszcze, do czasu każąc pościć zgłodniałym robaczkom.

Ileż to kłopotów ma taki wielki człowiek, zanim uda mu się coś niecoś zrobić! Kłania się panom, żołdactwu, motłochowi, całuje w pantofle ojców i matki świętych i nieświętych; to drży, to potnieje; patrzy... słuha... Gdy tymczasem autor – jednym pociągnięciem pióra tworzy światy i świat ma jak na dłoni! W przeszłości – on niby we własnym domu! Przyszłość – i to fraszka – gospodarzy w niej aż miło! Stworzy postaci, ile mu się podoba, a los każdej ma na końcu pióra! Tym daje szczęście, tamtych na męki skazuje; te kochać każe, owe nienawidzić; zabija, kiedy i ile chce, wskrzesza, rodzi... W jednej chwili jest tam, gdzie mu się podoba: na ziemi, w ziemi, na gwiazdach, księżycu, w eterze, za eterem... wreszcie w atom wlezie, ja żń schowa do kieszeni, jętką (!)²⁰⁷ jak szalikiem szyję okręci, by t e m niby płaszczem się owinie... Wiatry, pioruny – wszystko mu posłuszne! Zna mowę skał, strumyków – słowem, jest potęgą nad potęgi, czyli w sumie – a u t o r e m!

²⁰² *Aleksander Wielki* – Aleksander III Macedoński (356–323 p.n.e.), król Macedonii, uznawany za wybitnego stratega i jednego z największych zdobywców w historii ludzkości.

²⁰³ *Juliusz Cezar* – Gajusz Juliusz Cezar (100–44 p.n.e.), rzymski polityk, wódz, dyktator i pisarz.

²⁰⁴ *Napoleon I* – Napoleon Bonaparte I (1769–1821), francuski mąż stanu, dowódca wojskowy i przywódca polityczny, uważany za najwybitniejszego dowódcę wojskowego w historii.

²⁰⁵ *Napoleon III* – Karol Ludwik Napoleon Bonaparte (1803–1873), prezydent Francji w latach 1848–1852, cesarz Francuzów w latach 1852–1870.

²⁰⁶ *Bismark* – Otto Eduard Leopold von Bismarck-Schönhausen (1815–1898), niemiecki polityk, mąż stanu, premier Prus, kanclerz Rzeszy.

²⁰⁷ *Jętka* – pozioma belka drewnianej konstrukcji nośnej dachu, na której opierają się krokwie.

Je stem! – i jako taki dam dowód mojej potęgi, bez zachodu przenosząc czytelników wstecz o lat kilkanaście, kiedy śp. hrabina Porowska była jeszcze młodziutką i piękną jak róża Lolą, panią na wydaniu, o której rękę starał się młody i bardzo przystojny pan Włodzimierz Bużewski, wnuk starościny Rawskiej, jedyny spadkobierca jej wcale znacznej fortuny, który od lat kilku przebywając za granicą w Paryżu, poznał panią Porowską i uczuł dla niej sentyment powszechnie miłością zwany, chociaż często bardzo nic z nią wspólnego niemający.

Już to, jakbym widział, że niejednemu z czytelników pokrzyżują plany, jeśli z pierwszych rozdziałów powziął o autorze *Trójki* mniemanie, że gdy ten nie jest... czerwonym²⁰⁸, tedy w najlepszym razie *un homme nouveau*²⁰⁹, z zasady potępiający to wszystko, cokolwiek cennym kurzem przeszłości jest okryte.

Krzyżuję im plany z prawdziwą satysfakcją, i oświadczam, że tak dobrze czczę zacność w przeszłości, jak nie lubię szychu²¹⁰ lub niecnoty w teraźniejszości!

Na wstępie już, głęboką czcią jestem przejęty dla matron staropolskich, do których należała starościna Rawska. Pani ta całe swe życie nie wyjeżdżała za granicę i po francusku nie mówiła wcale, za to wybornie znanymi jej były wszystkie kraje ojczyznę naszą składające. Była gruntownie obeznaną z historią i literaturą ojczystą, a chociaż o komunizmie nie wiedziała nic zgoła i socjalizm był dla niej wilkiem żelaznym, kochała lud tak dobrze jak szlachtę i więcej może czyniła dla niego aniżeli dla panów – braci – którzy nieco krzywili się na starościne, że psuje chłopstwo, za wiele dlań czyniąc dobrego. Starościna w zameściu nie poszła za wyborem serca, nie pojmując możności sprzeciwienia się woli rodziców, którzy nad kochanego przez córkę rotmistrza przenieśli podtatusiałego pana Starostę i swoją mu Helkę oddali.

Z tak romantycznej sytuacji nie wywiązał się żaden temat do dramatu lub ostatecznie komedii francuskiej, gdyż Helka została starościna, a rotmistrz, obok ryngrafu²¹¹ na piersi zawiesiwszy jedyny dar swej drogiej, kwiat niezapominajki, udał się na Kresy. Mężnie walczył, aż ugodzony kulą padł, do piersi tuląc dar kochanki, i z jej imieniem na ustach skonał.

²⁰⁸ Tu zapewne aluzja do ruchów robotniczych i rodzącego się w II połowie XIX wieku proletariatu, których symbolem był czerwony sztandar.

²⁰⁹ *Nowy człowiek*.

²¹⁰ *Szych* – blichtr, fałszywy blask.

²¹¹ *Ryngraf* – rodzaj medalionu, zwykle w kształcie tarczy z rysunkiem o tematyce religijnej, czasem heraldycznej, później z godłem państwowym, noszony przez rycerzy pod szyją.

Starościna do zwykłych modlitw, przydała jedną jeszcze za duszę miłego i pocziwie, w cnocie wiodła żywot z mężem, którego nie kochała wprawdzie, ale go szanowała, każąc się nawzajem czcić i uwielbiać. Bóg dał jej córkę Jagusię, którą wychowała na dobrą żonę, matkę i obywatelkę kraju, a chociaż owdowiała młodo, za męża nie wyszła, cała wychowaniem córki zajęta.

Jagusia w 18. roku życia poszła za męża za ubożego, ale prawego młodziana – Piotra Bużewskiego, któremu po ojcach, dobrze ojczyźnie zasłużonych, dostał się tylko mały folwarczek dzierzawą w sąsiedztwie dóbr Starościny. Piotr uszczęśliwił Jagusię, która mu powiła syna, ale też i sama rozstała się ze światem, zaledwie zdoławszy uściskać i pobłogosławić dziecinę. Piotr zanadto może kochał swą żonę i straty jej nie przeżył. Mały Włodzio został na opiece swej babki, którą zwano powszechnie i czczono jak świętą. Mając takiego opiekuna jak starościna Rawska, nic dziwnego, że Włodzio jak był pocziwym dzieckiem, tak też urósł na zanego młodziana. Chowany najpierw w domu pod okiem Starościny ukończył szkoły z odznaczeniem się, później akademię w Wilnie i błogosławieństwem opatrzony, obok krzyżyka zawiesiwszy na piersi drogie relikwie – miniaturę rodziców – wyjechał Włodzimierz za granicę dla dokończenia nauk. Otrzymał chlubne patenta za granicą, już chciał wracać do kraju, gdzie nań oczekiwała babunia staruszka, której wszystko zawdzięczał, gdy na wyjeździe obaczył w teatrze młodą, prześliczną dziewczynę, a dowiedziawszy się że jest Polką, jako rodak został przedstawionym rodzicom panny Eulalii Porowskiej.

Gdyby nasz młodzian był bardziej doświadczonym, a właściwie mniej zycznym, dostrzegłby niezawodnie, że w młodziutkiej Loli piękność ciała ómiły wady jej charakteru, a bardzo i bardzo znać w niej było brak pocziwego gruntu – tej cnoty, którą jeśli w dzieciństwie nie przejmujemy od osób wpływ na nas mających, tedy braku jej w sobie nie zastąpimy niczym. Lola była pustą i złośliwą, lubiła stroje i wystawę, do ubóstwa czuła odrazę, przy tym wszystkim cała istność jej tak się rozbiła na błahostki, że nie była zdolna skupić się w uczuciu, na które zdobywa się tylko duch nieosłabiony w sobie i niechwiejny. Ostatecznie Lola była zupełną antypodą²¹² Włodzimierza, który pomimo wszelkie uwagi, jakie życzliwi mu robili, poczuł w sobie pociąg do pięknej Loli i zdawało mu się, że ją ubóstwia, o czym przekonawszy się, natychmiast napisał list do Starościny, donosząc jej

²¹² *Antypoda* – tu: zupełne przeciwieństwo kogoś lub czegoś.

o wszystkim i prosząc rady, jak nadal ma sobie postąpić, przepraszał zarazem, że powrót swój do kraju wstrzyma aż do otrzymania odpowiedzi na list posyłany.

Starościna, znając doskonale niemal wszystkie rodziny polskie, a więc i Porowskich, odpisała wnukowi, że przeciw zatrzymaniu się jego za granicą nie ma wiele, ale co do Porowskich, to dom ich od dawna nie cieszy się dobrą sławą w kraju... to jednak wcale nie ubliża panience, która może być bardzo godną osobą... „Radzę ci jednak, mój drogi – pisała Starościna – byś się z oświadczeniem nie śpieszył, aż dobrze poznawszy tę, z którą mają cię węzły dozgonne łączyć. Co byś jednak nie przedsięwziął, ufam, że będzie to z chwałą Boską, który ma w tobie bogobojnego sługę i nieszczęścia twego nie zechce za łzy i cierpienia przodków twoich, którzy we mnie błogosławią świętemu Imieniu Jego. Niech cię Matka Boska ma w swojej opiece. Kochająca cię babka Helena Rawska”.

Młodzieniec przyrzekł, że uczyni, jak zaleca babunia; rozpatrywał się w pięknej Loli i z każdym dniem znajdował, że jest bardziej piękna, a jeśli i ma jakie ułomności, bo istnienia wad w niej nawet nie przypuszczał, to były one tak nieznaczające, że na zbytnią uwagę nie zasługiwały, a w każdym razie łatwo je było zniszczyć w pięknej Loli. Niewiele też myśląc, po miesiącu bywania Włodzimierz oświadczył się państwu Porowskim o rękę ich córki. Rodzice byli uszczęśliwieni niewymownie z oświadczenia, wiedzieli bowiem, że Lola nigdy lepszej partii zrobić nie może. Przyjęli Włodzimierza za syna i po tygodniu niespełna obchodzono zrękowiny przyszłej pary.

Uwiadomiona o zaręczynach starościna pobłogosławiła przyszłemu związkowi wnuka, ale i prosiła zarazem, by do niej pośpieszył, gdyż czuje się być bliską zgonu i chciałaby przed śmiercią uściskać swego Włodzia.

Nie bez żalu pożegnał Włodzimierz narzeczoną, która dość obojętnie przyjęła wiadomość o jego odjeździe, starannie natomiast wypytujac się, czy ma pałac na wsi i jakim powozem do ślubu pojedą. Narzeczony w zapale miłośnym przysiągł, że wszystko zrobi dla swego anioła, i teraz, jadąc do babki, urządzi się w ten sposób, by najdalej w listopadzie wprowadzić swą panią do nowej jej własności. Bolała go wprawdzie obojętność narzeczonej, dotykały lekkie jej sądy o naturze uczucia miłości, ale to wszystko odnosił do owych ułomnostek w Loli, które spodziewał się z czasem wykorzenić w niej zupełnie.

Łzą pożegnał narzeczoną, łzą przywitał babunię staruszkę, którą czcił jak świętość. Rozczulenie nie pozwoliło mu przy powitaniu dojrzeć wiotkiej postaci młodej, wiejskiej dziewczyny, która łzy swe, z niewinnego serca płynące, mieszała ze łzami babki i wnuczka.

Po chwili dopiero Włodzimierz ujrzał ją i podzielił wzrok swój pomiędzy babkę i postać dziewczę, jakby zapytując, co znaczy jej obecność.

– Nie znasz Praksedy? – zapytała staruszka swego wnuka. – A, prawda! Byłeś wtedy za granicą, gdym ją wzięła do siebie. Chodź tu, moje dziecko. To mój wnuk. Prawda, że ładny?

Dziewczę zarumieniło się jak wiśnia, Włodzimierz również poczerwieniał i uczył, że mu serce zabiło żywiej.

– Ona cię zna, Włodziu. Mówiliśmy tu często o tobie. Prakseda wiedziała, że mi tym przyjemność robi... Pocziwe dziecko. To biedna sierotka... – dodała, całując dziewczynę.

Łzy zaświeciły w oczach Praksedy.

– Pani..., pani, nie rozżalajcie mię! – zawołała z płaczem. – Jam już u was zapomniała o sieroctwie. – I całowała kolana staruszki, która tuliła jasną jej główkę, pocałowaniem okrywając twarz Praksedy.

Scena ta tyle miała uroku, tak dziwnie podziała na Włodzimierza, że rozrzwoniony znalazł się u nóg babki. Błogosławieństwo ociemniałej, okoliło głowy dwojga klęczących... Dziwna siła zrządzenia!

Prakseda, raz ostatni ucałowała rękę swej dobrodziejki, rzekła:

– Zostawię was droga pani z panem...

– Dobrze, moja droga – teraz sama nie będę.

Dziewczę powstało w milczeniu i głęboko skłoniwszy się Włodzimierzowi, wyszła z pokoju.

Pierwszy ruch młodzieńca był w kierunku drzwi, którymi odeszła Prakseda. Chciał za nią pośpieszyć, ale się zachwiał i znowu upadł do nóg babki.

– Ty płaczesz, mój drogi? – zapytała staruszka.

– Nic to, nic... Te łzy rozkoszą dla mnie! Pozwól mi babuniu płakać tak, bom już dawno łzą mych powiek nie wilżył... Teraz jestem bardzo, bardzo szczęśliwy!

Starościna tuliła swego wnuka do miłością przepelnionego łona i płakała łzą ostatnią może. Uspokoila się po chwili i

– Nic mi nie mówisz o Loli? – zapytała.

Włodzimierz zadrzał: on w tej chwili zapomniał o narzeczonej i dziwnie obco jakoś brzmiało mu jej imię, a obraz Loli niby mgłą się okrywał...

– O mojej narzeczonej... O przyszłej... Droga babuniu! Teraz jestem nazbyt wzruszonym..., pozwól mi odetchnąć świeżym powietrzem..., później wszystko ci opowiem...

I wybiegł do ogrodu przez drzwi otwarte, zatrzymawszy się dopiero nad brzegiem rzeki, której fale swym szmerem oddziaływały uspokajająco na nerwy młodziana. Siadł nad brzegiem i długą chwilę nie umiał zdać sobie sprawy z natłoku myśli, które nim owładnęły. Po godzinie dopiero przyszedł do siebie i krokiem wolnym wracał ku domowi. Na zakręcie alei doleciały go rzewne tony wiejskiej piosenki, śpiewanej cichym, tęsknym głosem. Przystanął... Wiatr słowa roznosił, że wątku dojść nie mógł słuchający; wreszcie pomyślniej zawiął od rzeki i przyniósł jedną strofę śpiewanej piosenki:

*Wjane kwitka bez doszczu,
Bez soncia wmyraje,
A diwczyna bez myłoho
Marne propadaje...*²¹³

Znowu wiatr zawiął przeciwny i dalsze słowa wziął ze sobą.

Na Włodzimierza dziwnie podziałała nuta tej piosenki: duszą wsłuchał się, jakby w znany mu gdzieś głos ten dźwięczny...

Tony cichły z wolna..., jeszcze je echo słabo odbija..., wreszcie ustały... Włodzimierz poszedł aleją. Przed domem, za drzewami, mignęła mu biała postać niewieścia. Poznał w niej Praksedę.

Minęło kilka tygodni od przybycia Włodzimierza do kraju. Coraz to bardziej drogą mu była babka..., rzadziej myślał o Loli, a w snach widywał smętną i dziwnego uroku pełną twarz Praksedy, biednego dziecięcia ludu, sieroty wychowanej przez jego babkę, która nie umiała dość pochwał znaleźć dla ukochanej swej Parani. Włodzimierz bardzo rzadko, tylko w przytomności²¹⁴ starościny mówił z Praksedą, parę razy zaledwie udało mu się z nią samą kilka słów pomówić. Przekonał się wszelako, że obok prostoty niewinnej złożone były w Praksedzie cenne skarby, które jak brylanty czystej wody przebijały niekiedy silniejszymi błyskami z jej rozmowy, uwag, spostrzeżeń. Starościna była światłą kobietą; Praksedą, jak wszystkie niemal dzieci ludu naszego, miała wiele przyrodzonych zdolności, które spotęgowane z jednej strony dolegliwościami jej sierocego wieku, z drugiej

²¹³ *Więdnie kwiatek bez deszczu,
Bez słońca umiera,
A dziewczyna bez miłego
Marnie żywot kończy.*

²¹⁴ *Przytomność – obecność.*

przywiązaniem do starościny umacniały się, bardziej rozwijając umysł dziewczicy, która wiele umiała pojąć i ocenić instynktem tam, gdzie jej niedostateczność wykształcenia stawała na drodze do wydania sądu o rzeczy. Włodzimierza zachwycała w Praksedzie jej prostota obok niewinności i ten szczególniejszy smutek naszego ludu, jak czarna nić płaczący się nawet ze złotymi śnieniami²¹⁵ dziecięcia i czarownym rojeniem siedmnastoletniej dziewczicy... Lubił niepostrzeżony patrzeć na nią, wsłuchiwać się w jej głos pieszczony, z zachwyceniem słuchał jej opowieści niewinnych, którymi w długie godziny starała się zabawić babunię, i często z rozkoszą patrzył na cudny obrazek uśpienia w uścisku dwóch istot anielskich: czystej dziewczicy i nad grobem stojącej ociemniałej staruszki! – Pokochał Praksedę i teraz dopiero pojął, jak różnym jest uczucie prawdziwe od złudzenia, którym się karmił, marząc o Loli.

Płynęły tygodnie, miesiące... Włodzimierzowi wcale nie śpieszno było do narzeczonej, która też odpłacała mu zupełną w tej mierze wzajemnością, bawiąc się w najlepsze w Paryżu, zowiącym ją perłą salonów i królową balów. Biedny Włodzimierz! Sercem przylgnał do jednej, pierścień go z drugą łączył, a o przyspieszenie ślubu nalegali rodzice narzeczonej i starościna parę razy wspomniała wnukowi, że czas, by jej synową w dom wprowadził; a jednocześnie głuche wieści niekorzystnie świadczyły o narzeczonej... Wreszcie otrzymał Włodzimierz list od swego przyjaciela z Paryża, który stanowczo wpłynął na jego postanowienie. Okoliczności były tego rodzaju, że młody Bużewski musiał upewnić się, na ile też wieści w liście przyjaciela zawarte były prawdziwymi, i albo zerwać związek z Lolą, albo...

– Nie! Nie!... Boże mój, Boże! Ja nie mogę, ja nie powinienem wyrzekać się mego szczęścia!

Wziął paszport na trzy tygodnie; po raz ostatni uścisnął kolana babuni i... zachwiał się. We framudze okna stała Praksesta – blada, milcząca. Włodzimierz czuł, że ta niema postać przykuwa go do siebie: dobył sił ostatka i rzekł wesoło:

– Bądź zdrowa, Praksedo!

– Jedźcie z Bogiem! – przemówiła cicho dziewczyna i pochyliła się ku oknu.

– Wielki Boże! – rzucił się ku niej Włodzimierz.

– Praksedo! Co ci to? – zapytała staruszka.

Zemdlona przyszła do siebie.

²¹⁵ *Śnienie* – sen.

– Nic, droga pani..., nic mi nie jest. To tak..., zapach lilii mię odurzył...

– Uchyl się od okna, chodź tu, moja droga! Włodziu, raz jeszcze niech cię pobłogosławię!...

Jak przy powitaniu i teraz Włodzimierz klęczał z Praksedą u nóg błogosławiącej ich babki. Staruszka z lubością wzniesła ociemniałe swe oczy w niebo i cicho zapytała:

– Dzieci! Czy was tak razem jeszcze mieć u nóg mych będę?

– Będziesz! Będziesz, najdroższa babuniu! – wykrzyknął Włodzimierz. – Ja prędko powrócę.

– Może mię już nie zastaniesz... Ale jedź już, jedź! I powracaj! Ja chcę pobłogosławić cię jeszcze przed śmiercią.

Włodzimierz odjechał. Gorące dwie modlitwy płynęły w niebo o pomyślność dlań, błagając; Bóg obie przyjął, bo były równie szczere i święte. Młody Bużewski po roku nieobecności w Paryżu znalazł rzeczy tak źle stojące, że mu nietrudno było oddać pierścionek pannie Eulalii, za co nawet rodzice wielkiej doń pretensji nie mieli, nieobecności narzeczonego tylko przypisując winę zapomnienia się córki.

Prędzej, aniżeli się kto mógł spodziewać, powrócił Włodzimierz do babki i za dni kilka odkrył jej stan swego serca, prosząc o błogosławieństwo na związek z Praksedą.

Starościna była zanadto zącną matroną, zanadto dobrze знаła Praksedę i kochała ją, by mogła pomyśleć o sprzeciwianiu się zamiarowi wnuka. Chodziło o decyzję Praksedy, z którą pomówić miała sama starościna.

Uszczęśliwiony Włodzimierz chciał biec, by Praksedę do babki przywołać, ale w tej chwili ona sama weszła do pokoju. Włodzimierz gorączkowo porwał rękę dziewczyny.

– Droga moja Praksedo – zawołał. – Babunia ci powie... Zostawiam was samych... – i wybiegł do ogrodu.

Z bijącym sercem oczekiwał swego wyroku. Przywołany drżącym głosem starościny wszedł i skamieniał boleścią strasznego przeczucia: staruszka siedziała w wielkim swym krześle, smutnie zwiesiwszy głowę ku piersiom, przy niej stała blada, zalana łzami Praksedo.

– Babko! Praksedo! Więc śmierci mej pragniecie?! – zawołał. – Zlitujcie się! Zlitujcie! – I upadł przy nogach babki, która swe dłonie na głowę wnuka kładła, odmawiając cichę modlitwę.

– Panie! – ozwał się srebrny głos Praksedy. – Niech wam Bóg da szczęście, a o biednej dziewczynie zapomnijcie! – I ze łzami w oczach rzuciła się ku drzwiom.

Włodzimierz chciał ją powstrzymać, zachwiał się i upadł zemdlony. Służba otrzeźwiła pana, starościna mimo wiek swój nie odstępowała od łóżka chorego. Prakseda znikła ze dworu.

Po co ta cnota w ludzie, którego za bydło uważać przywykliśmy?!...

Prakseda kochała Włodzimierza. Nie chciała doli miłego zaprzepaścić i rzekła się własnego szczęścia: „Chłopka sługą dla pana, a żoną – tylko chłopu!”.

Odszukano ją w pobliskim klasztorze panien szarytek²¹⁶, dokąd się też udała starościna, błagając, by jej ratowała wnuka od śmierci... W malignie poznał ją chory i była dlań najlepszym lekarzem!

Włodzimierz do sił przychodził, natomiast starościna czuła zbliżającą się swoją godzinę. Za jej wolą, bez wiedzy Włodzimierza i Praksedy, wyrobiono indult²¹⁷ – umierająca pod błogosławieństwem wymogła i kapłan pobłogosławił kochającej się parze, a babunia z uśmiechem szczęścia na ustach skołała, kładąc znamię krzyża świętego na głowie klęczących u jej nóg wnuków.

Pan Włodzimierz miał w Praksedzie żonę, jakiej daj Boże każdemu. Z kilkorga dzieci, którymi ich niebo pobłogosławiło, została im najmłodsza córka Helunia, z którą się jeszcze, jak i z jej rodzicami, obaczymy nieraz. A o pannie Eulalii wiemy już, że wyszła za mąż za Apollina hrabi Porowskiego i miała nawet porę umrzeć w ciągu niniejszej powieści.

Niesentymentalny mój czytelniku! Jeśli ci żal tej chwili czasu, którą straciłeś, odczytując niniejszy niewesoły ustęp, pociesz się uroczystym moim zapewnieniem, że dalszego wesela nie zatruję ci w rozdziale następującym, w którym postaram się błąd naprawić i śmiać się wraz z tobą od serca. Niech żyje wesołość! Bodaj to twarz zawsze śmiechem promienna! Co tam w piersi – mniejsza! Dalej – za moją wesołą „Trójką!”.

²¹⁶ *Szarytki* – zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo.

²¹⁷ *Indult* – zezwolenie władzy kościelnej na odstąpienie od złożonych ślubów małżeńskich, zakonnych.

VII. STUDIA

Miesiąc upłynął od przybycia ojca Pafnucego z Szymonkiem i Pańkiem do Kamieńca. Przez ten czas pani Bartłomiejowa dwa razy przysłała wiktuałów do miasta, byle Szymcio głodu nie cierpiał, na co ze swej strony ojciec Pafnucy odpowiedział dwoma arkuszwymi listami dziękczynienia za pamięć, z zapewnieniem, że w modlitwach nie zapomina o Bartłomieju i Kunegundzie z Koguckich Złodzickich, ślubnych małżonkach. Do ostatniego listu dodany był własnoręczny przypisek Szymonka: „Kochane rożyce! Ja zdruf i całuje raczki tatka dobrudzieja i mamy pobrudziki. Kichajoncyj syn Szymek Złodziejski”.

Ojciec Pafnucy zagospodarował się jak należy; Szymonek począł przygotowywać się do pierwszej klasy, Pańko był na wolnej stopie i cała służba jego ograniczała się na przyniesieniu wody, jeśli sam pić zechciał, bo ojciec Pafnucy pijał wodę bardzo rzadko, raz w tygodniu zamiatał pokoje i kiedy niekiedy czyścił Szymonkowi buty. Ach, prawda, nastawiał samowar i przynosił bułki do herbaty.

Szymonek z Kubusiem zaprzyjaźnili się bardzo. Pańko, acz²¹⁸ sługa, nie był dla nich również obojętny, o ile że się przekonali, jak gładko idzie wszelki figiel, jeśli Pańko przyjmuje udział w robocie przyjaciół. Przepuścili więc i Pańka do poufnego kółka i traktowali jak swego kolegę.

– Słuchaj, Pańku – rzekł doń pewnego razu Kubuś – ty jesteś tylko lokajem Szymonka, masz wiedzieć o tym, a my panicze! Ale ty dobry chłopiec i my ciebie lubimy.

– Dziękuję paniczom. Taj co z tego?

Szymonek i Kubuś zamilkli.

– Nu, taj czemu panicz nie mówią?

– Coż tobie mówić, kiedy ty dureń!

– Już co to, to taki nieprawda! A wiecie, panicze, co ten dureń wie? Nie wiecie! No to ja wam powiem. A co to?

– A ty skąd wziął świderka? – zapytał Szymcio.

– Skąd wziął, to wziął, a panicze mówcie: co to takiego?

– Oczeret.

– A, chcecie pić wino?

²¹⁸ Acz – choć, chociaż.

– Nu cóż z tego? Chcemy!

– A patrzcież. Jak przeleziemy przez ten parkan, to będzie dom Abramka winiarza, koło parkanu stos drzewa, a koło stosu beczka z winem. Abramko beczkę ma na oku i stos widzi, ale tego kto będzie przed stosem a za beczką – zje diabła, że dopatrzy! Hej, ha, za mną! Będziem wino pili!

Ledwie domówił tych słów, a już wszyscy trzej znaleźli się za parkanem. Pańko dziurkę wykręcił świderkiem, przytknął rurkę oczeretową i jak bąk ciągnie słodkie winko. Miejsce jego zajął z kolei Kubuś, wreszcie Szymcio uraczył się należycie. Winko było nie lada! Przestał Szymcio, wziął się do rurki Pańko, za nim Kubuś, za Kubusiem Szymonek i znów Pańko itd., aż jakoś ziemia zaczęła pod nimi tańczyć i stosy, i beczka, a niebo całe różowe... Najwięcej przytomności mający Pańko zarządził odwrót. Z wielką biedą udało mu się przesadzić przez parkan Szymcia, który fatalnie rozdarł sobie spencerek i inną część ubrania. Koniec końców jednak, chociaż nosem w śmieciach, znalazł się na swym podwórzu. Trudniej jeszcze było Kubusiowi przebyć parkan, bo mu się wciąż zdawało, że droga przez stosy drzew prowadzi, jakoż nie dał sobie wytłumaczyć i wlaż na stos, a gdy chciał dalej maszerować, spadł jak kłuska na ziemię obok Szymonka, wyśpiewując kolędowe „funda! funda!”²¹⁹. Najtrudniejsza sprawa była z Pańkiem: pił najwięcej i przeleźć miał ostatni, a wino nie chciało czekać ani momentu... Wyraźnie czuł, że ziemia chwieje się... By się umocnić, szeroko rozstawił nogi i rękami je podtrzymawał... Ani rusz! I kolos – runął!

Tu nowe wrażenie: zdawało mu się, że tonie w morzu, wysoko w górę podnoszą go bałwany morskie i rzucają niby piłką; tchu braknie..., od nadmiaru wody wypadnie pęknać chyba... ha! Lżej... Morze wyrzuciło go na brzeg, pozbył się nieco wody – uratowany. Że się rozstał z morzem, przekonało go chrząkanie świnki, która bez względu na etykietę, zwróciła się w stronę bohatera, czuchracząc²²⁰ łopatkę o drzewo. Widok świnki ucieszył Pańka, głos Abramka przeraził. Abramko z sieni wołał na stróża:

– *Iwane! Szczo tam koło boczkje?*²²¹

Iwan odpowiedział.

²¹⁹ *Funda (fundacja)* – poczęstunek, gościna.

²²⁰ *Czuchrać (czochorać)* – targać, wicherzyć.

²²¹ *Iwanie, co tam koło beczki?*

– Nu, nechaj tam! Wona ne pje wymorozok²²².

Ucichło. Morska nawałnica, obawa Abramka otrzeźwiły Pańka na tyle, że był w stanie wleźć na parkan. Gdy się już znalazł na wierzchu, dobył wszystkich sił, skoczył i znalazł się... znowu na Abramkowym podwórzu! Widocznie prześladowała go fatalność. Niepodobna mu było myśleć o powtórnym przebyciu parkanu. Nieszczęsny gimnastyk miał jednak tyle przytomności, że raczkując, odsunął się od beczki na kroków kilkanaście i zasnął bez pamięci.

Przytomność wróciła mu najmniej spodziewana kąpiel w mydlinach, które wylano nań z drugiego pietra sąsiedniej kamienicy, nie podejrzewając zapewne, że w burzanach leży jeden z bohaterów naszej powieści. Dzięki jednak i takiej spadowej kąpeli Pańko zerwał się na równe nogi i przesadził parkan.

Smutny widok przedstawił się jego oczom: Kubuś i Szymcio zapewne także musieli pływać po morzu, znaki tego bowiem były widoczne, a złota głowa Szymonka, znajdując się tuż przy Kubusiu, pływała w Abramkowym winie. Rozdarte części ubioru odkrywały nowy widok ginący w całości obrazu pozycji trzech moich bohaterów. Była to pozycja okropna! Głowa Szymcia w śmieciu, nóżki Kubusia były niewygodnie o parkan wsparte, jedna ręka w pokrzywie, druga trzymająca Szymonka. Pańko, odświeżony kąpielą, coraz to bardziej przykrzył sobie istnieniem i drżał na słabo podtrzymujących go nóżkach, a oczy łzami zasłze zwrócił w stronę kochanych swych paniczów... Cierpiał.

Ojciec Pafnucy tarł właśnie tabakę w nowej makutrze, bo mu starą stłukł nieporadziwy Semen w drodze, a po rannej kawie zażył Morisona²²³, z całej medycyny bowiem w te pigułki wierzył. Odłożył makutrę²²⁴, nawet jej według zwyczaju do szafy nie schował, i wyszedł na podwórze. Szedł z głową na dół spuszczoną, zajęty był bowiem ważną myślą, gdy wtem...

– *In nomine Domine!*²²⁵ A to co takiego? – krzyknął jak na *Dominus vobiscum!*²²⁶, ręce rozłożywszy, i nie mógł na razie zdać sobie sprawy z pozycji trzech chłopaków, gdy ich na podwórzu obaczył.

²²² *A nic tam. Ona nie pije wymorozków* [wymorozki – wino wymrożone w celu oddzielenia od niego części wody i tym samym zwiększenia jego mocy – przyp. Red.].

²²³ *Morison* – chodzi o tabletki o „cudownym działaniu prozdrowotnym”, które wprowadził do sprzedaży James Morisson (1770–1840), angielski pseudofarmaceuta, propagujący odwrót od medycyny tradycyjnej i jej środków leczniczych.

²²⁴ *Makutra* – misa z gliny do ucierania maku.

²²⁵ *W imię Pańskie!*

²²⁶ *Pan z wami!* [pozdrowienie kapłańskie w mszy rzymskokatolickiej – przyp. Red.].

Należy się domyślać, że Pańko chciał mu dopomóc w objaśnieniu pozycji, bo począł bełkotać: Oj... oj... cze Pa... paf... pnuci! I zbliżył się do księdza stojącego w zadziwieniu. Ale gdy poraż już dziesiąty może wymawiając „oj”, chciał słowo dokończyć, bardzo mu się morze przypomniało... Ojciec Pafnucy dostrzegł cudzą własność, ale zarazem dowodnie przekonał się o sumienności doktora Morisona...

– Otóż masz! – rzekł filozoficznie, podczas gdy Pańko bełkotał.

W tej chwili Szymonek wy dobył nos ze śmiecia i Kubuś otworzył oczy.

– Oj! – jęknął Pańko.

– Mamo! – szepnął Szymcio, starając się rozpoznać, jakiego rodzaju pomadę miał na włosach.

– Co to było? – zapytał Kubuś.

Cóż teraz z habitem będzie? – przemyślał ojciec Pafnucy.

Kto wie, jak długo trwałyby jeszcze stan nieokreślony czterech postaci naszej powieści, gdyby w tej chwili nie przeraził ich, ojca Pafnucego wyjąwszy, straszliwy niby stu gardedł wykrzyk: „*Aj waj!*”²²⁷. To Abramko postrzegł, że mu kilka wiader wina wyciekło przez rurkę, którą Pańko zostawił w beczce.

Zbiegło się Żydów co niemiara. Zaczęli wrzeszczeć wniebogłosy, a siostrzeniec Abramka, młody Jankiel chusyt²²⁸, zapewniał uroczyście, że to diabeł „wylał wino z rurkiem, a rurkie zrobił świnią i wpichał na beczke!”.

Obawa, by Żydzi nie dowiedzieli się prawdy, wróciła przytomność trzem bohaterom, którzy też co rychlej wynieśli się z podwórza, zabrawszy ze sobą ojca Pafnucego. Ojciec Pafnucy bardzo wolno stąpał, niby rzekę po kamyczkach przechodząc.

A wieczorem wielu kąpiących się było w łaźni szlacheckiej za Smotryczem²²⁹. Pomędzy innymi byli: Szymcio, Kubuś, Pauko i ojciec Pafnucy, który wielką bardzo miał ochotę skarcić chłopaków za ich niemoralność, ale mu wnet stawały w umyśle pigułki doktora Morisona i ojciec Pafnucy odstępował od zamiaru. Owóż jak się pokazuje, milczenie było w interesie stron obu. Świącie też go chowano: ojciec Pafnucy nie mówił nic Szymonkowi i Pańkowi o upiciu się, oni nawzajem ojcu Pafnucemu o Morisonie i harmonijna zgoda trwała nadal.

Sowite uraczenie się winem Abramka bardziej jeszcze związało węzłami przyjaźni trzech małych urwiszów, którzy odtąd pojedynczo nic nie przedsiębrali,

²²⁷ *Och, biada mi!*

²²⁸ *Chusyt* – dawn. chasyd, człowiek ruchu chasydów w judaizmie.

²²⁹ *Smotrycz* – rzeka, lewy dopływ Dniestru, przepływa przez Kamieniec Podolski.

zbiorowo zaś czynili cuda i zdobyli sobie w Kamieńcu sławę skończonych urwi-
połciów. Kubuś, łobuzując, wychodził z zasady, że to jest życiem prawdziwym,
nie zaś ślęczenie nad książką; Szymcio, mniej samodzielny, trzymał z Kubusiem,
w zupełności pisząc się na zdanie towarzysza o nauce w ogóle; Pańko, może
najwięcej z nich rozgarnienia mający, szedł za tamtymi dlatego, że mu z tym
dobrze było.

– Szymonku! – rzekł razu pewnego Kubuś do towarzysza, którego niepomatu²³⁰ zdziwiła powaga, z jaką mówił. – Potrzeba ci prędko zostać uczniem. Bez czerwonego kołnierza* diabła wart człowiek! Nikt go sobie nie poważa.

– Ba! Kiedy ja nic nic umiem!

– Trzeba się uczyć.

– Co?! – aż odskoczył Szymcio.

– Uczyc, powiadam, bo nigdy nie będziesz w gimnazjum, a mnie by to wcale
nie było na rękę. Słuchaj, Szymonku! Weź się do książki. Pierwsza klasa głup-
stwo – korepytor²³¹ pokaże ci trochę, a resztę ja nauczę. I Pańka także warto by
poczyć. Pańku, trzeba, ażebyś się uczył!

– A to na co! Może co będzie z tego?

– Pewno, że będzie. Z nami chodzisz, żyjesz z nami, a jakże to może być,
żebyś nic nie umiał!

– A kiedy ja nie panicz.

– To nic nie szkodzi. Zawsześ nie chłop.

– A nu, to pewna. Cóż by to ja za chłop taki!

– Toż bo to, musicie się uczyć obadwa! A wiecie, co mi przyszło do głowy?

– No?...

– U was tu miejsca dosyć, a mnie Kostiukowa obrzydła: codziennie kasza
jęczmienna, a ja jej cierpieć nie mogę! Będę mieszkał z wami. Zgoda?

– Oj, oj, czemu nie! – odrzekł Pańko.

– A może stary nie zechce?

– A kiedy ja chcę! – rzekł stanowczo Szymonek.

– Ho, ho! Dalibyśmy mu. Niech spróbuje! – zawtórował Pańko.

²³⁰ *Niepomatu* – bardzo, niezmiernie.

* Uczniowie gimnazjów mają mundury w rodzaju wojskowych [*czerwony kołnierz* – część munduru uczniowskiego w gimnazjach zaboru rosyjskiego w latach 1845–1862 – przyp. Red.].

²³¹ *Korepytor* – korepetytor.

– No, słuchajcież: rzecz skończona! Dziś jeszcze przeniósłbym się do was; ale do niedzieli niedaleko, a w niedzielę przyjedzie mój wujaszek, nie taki fujara jak wasz Pafnucy, ale zawsze masło! Co chcę, to z niego zrobię. Pogadajcie wy z waszym, a ja mego przyprowadzę tu i rzecz skończona! Ale należy wziąć się do nauki: egzamina niedaleko – trzeba, żebyś się ubrał w czerwony kołnier. Wiesz co? Miałbym ochotę, ażeby i Pańko został uczniem, ale cóż kiedy go nie przyjmą... Uczyć się jednak zawsze musi. Pamiętajcież, co wam mówiłem. A teraz bądźcie zdrowi! Czekają na mnie koledzy, bo mamy sprawić Niemcowi kocią muzykę, jakiej nigdy jeszcze nie słyszał. Do widzenia!

Odchodzącego zatrzymał Pańko. Wziął Kubusia i Szymonka za rękę i głosem stłumionym zapytał:

- Wiecie panicze co?
- No?
- Widziałem u Pawlicowej na łokieć długie kiełbasy.
- Idź do diabła!
- Tak?... A ja wiem, że tylko co nie widać, tędy rabin będzie przejeżdżał.
- Cóż z tego?
- Można by go ubrać w kółko kiełbasy.
- Brawo!
- Mamże iść do diabła?
- Nie! nie! Chodźmy ubrać rabina w kiełbasy.
- Chodźmy! Chodźmy!

I wkrótce znikli w tłumie Żydów oczekujących na rynku przybycia rabina.

Za godzinę z wielkim zgorszeniem jedni, ze śmiechem inni mówili w Kamieńcu o tym, że jacyś urwisze niby wstęgę rzucili na szyję rabina kółko kiełbasy. Pawlicowa z wielkim żalem świadczyła, iż jej to właśnie ową kiełbasę z wędzono.

Po rozstaniu się z Kubusiem, na którego oczekiwano z wyprawieniem kocie muzyki nauczycielowi języka niemieckiego, Szymonek i Pańko wrócili do domu.

Ojciec Pafnucy zajęty był właśnie ukończeniem misternego samotrzasku, którym postanawiał łowić kanarki, jeśliby jaki uciekł komu z klatki. Samotrzask był kombinacji szczególniejszej, a jako wabik siedział na pręciku kanarek z żółtej włóczki, zrobiony przez wielce pobożną pannę Filomenę, bo ojciec Pafnucy nie znał robót włóczkowych. Za to do kanarkowego ogonka panny Filomeny przytwierdził drucik, którym nadawał ruch wabikowi, co go zdaniem ojca Pafnucego

czyniło tak podobnym do żywego kanarka, że ani wątpił, iż pokojowy zbieg odwiedzi połapkę²³². Czekał tylko na migrację kanarków, by w praktyce dowieść prawdziwości teoretycznych swych twierdzeń.

W sam czas nadeszli mali urwisze i ojciec Pafnucy zawołał uradowany:

– Patrzcie, com wykoncypował! – i poruszył drucik przytwierdzony do ogonka, ale kanarek panny Filomeny zamiast zgrabnego poruszenia, wyrócił kozła i spadł aż na spód samolówki. To bardzo zmartwiło ojca Pafnucego, nie tracił jednak nadziei, że mu się uda tak dobrze przyszykować kanarka, iż będzie wabić doskonale. I już w umyśle budował ojciec Pafnucy nową dużą klatkę, w druciki sine i żółte, na liczną rodzinę kanarków w przyszłości pojmać się mających. A zarazem, czasu nie tracąc, opowiadał swym słuchaczom, jak doszedł do konceptu zbudowania podobnej samolówki, jak włóczkowego kanarka zrobiła ojcu Pafnucemu panna Filomena, bardzo pobożna i uczynna panienska, jak ojciec Pafnucy wyłowi nią (klatką, nie panną Filomeną) wszystkie kanarki itd., ani się domyślając, że w tymże samym czasie Szymonek mówił mu o Kubusiu i jego zakwaterowaniu wraz z nim i z prawdziwym zadowoleniem odpowiedział „Dobrze!” na zapytanie Szymonkowe. Był bowiem najpewniejszym, że Szymcio prosił, ażeby mu pozwolono użyć samolówki, jeśli u Kubusia kanarek ucieknie.

– No widzisz! mówiłem, że ten Kubuś chłopiec porządny. A piękne jego kanarki?

– Jakie kanarki?

– Nu, a te, co uciekną, żebyśmy ich połapali?...

– Co się księdzu śni o kanarkach?!

– O, śni się... A sam przecie mówi! No, no! Pożyczę, pożyczę! Wiesz, niech jutro wypuści, tylko żeby nie bardzo wysoko, bo kanarek za biały. Ja mówiłem panie Filomenie, że włóczka powinna być pomarańczowa... Wyraźnie za biały!

Na tym się też skończyło. Klatka była skończona, brakło tylko wierzchnich słupków, na których miała być przybita już przygotowana tablica z napisem, stosującym się do kanarków:

Kanareczki do klateczki!
Nie dam sieczki, lecz bułeczki!
Tu wszystkiego was wyuczy
Bernadyn ojciec Pafnucy.

²³² *Połapka* – pułapka.

O Kubusiu nie mówił już Szymcio, rzecz całą uważając za skończoną. Tak było do niedzieli. A w niedzielę, po mszy świętej, Pańko z Szymonkiem zajęci byli właśnie wiązaniem kotowi u ogona pęcherza grochem napełnionego, zaś ojciec Pafnucy liczył ilość kratek swej chustki do nosa i znalazł, że wzdłuż jest ich o dwie więcej aniżeli w poprzek, a mocno był zdziwiony, że dawniej tego nie spostrzegł.

Drzwi się otwały i na progu ukazał się pan Kuba.

– *Laudetur Iesus Christus!*²³³

– *In secula*²³⁴ – pobożnie odrzekł ojciec Pafnucy.

– Ponieważ to rzecz ułożona – zaczął pan Kuba – tedy bardzo mię ksiądz zobliguje, w krótkich powiedziawszy słowach (bo właśnie na targ mi spieszo), ile też tego mam wypłacić? – i wyjął spory wór pieniędzy.

Ojciec Pafnucy z całą skromnością zatrzymał rękę ofiarodawcy.

– Przepraszam. Przyjąć nie mogę. Mszę odprawiam na intencję mych kolatorów...²³⁵

Pan Kuba spojrział na mówiącego wielkimi oczyma.

– A to co? – Kubuś! Już tego urwisza nie ma?... Czy mam przyjemność z księdzem Pafnucym?...

– A tak, Pafnucy. A jegomość dobrodziej, jeśli wolno?...

– Kuba Kiełbasa, do usług księdza dobrodzieja.

– Aa!...

– Dobry katolik i szlachcic, choć nie z panów.

– Więc profesji?...

– Po prostu – świniarz. Targ wiodę wieprzami.

– Aha, wieprze. Chrystus w nie diabły powpędał.

– Tamte zeszyły bezpotomnie i były innego gatunku.

– Nie wiem. W przypowieści wyraźnie tylko: „wieprze”.

– Zareczyć mogę sumiennie, że w moich diabłów nie ma. Koniec końców jednak nie po to tu przyszedłem. Zatem co do Kubusia?...

Ojciec Pafnucy był pewnym, że o misternej klatce jego mowa, z całą tedy skromnością pochylił głowę ku piersiom i rzekł:

– Z największą chęcią.

²³³ *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!*

²³⁴ *Na wieki.*

²³⁵ *Kolator* – fundator kościoła.

– Więc ileż tego? Ile? – trząsał worem pan Kuba.

– Bez zapłaty, bez żadnej zapłaty...

– Co?!

Ojciec Pafnucy chciał coś dalej mówić, ale w tej chwili pan Kuba spostrzegł idących ulicą hurtowników, za którymi szukał. Porwał kapelusz i rzekłszy: „Przepraszam! Za godzinę będę służył!”, wybiegł co spieszniej.

Nie widzimy potrzeby ukrywać, że ojca Pafnucego zdziwiły odwiedziny pana Kuby. Szczególniej ten spór o diabłach w wieprzach nie podobał mu się bardzo... Wszystko to jednak zbladło przy myśli o zbiegu dwóch okoliczności: pierwszej, że pan Kuba nazywał się Kiełbasa, i drugiej, że Kiełbasa handlował wieprzami!... Dlaczego wieprze mają pana w Kiełbasie? Gdy z porządku rzeczy kiełbasa powinna być od wieprzów zależną jako ich mała częśćka tylko?...

– Igraszka przyrodzenia! – zawyrokował ojciec Pafnucy i począł myśleć, jaki by kształt dać słupkom, które miały dźwigać ów napis – wezwanie do kanarków.

Pogrążonemu w myślach nad rzeczą tak wielkiej wagi czas prędko upłynął; do skrócenia zaś jego wielce przyczyniła się lekka drzemka ojca Pafnucego z głową opartą na rękę, nosem opuszczonym na dno tabakierki, w której tabaka była tylko przy jednym boku.

Zadumanego przebudziły wrzaski chłopaków, między którymi i basowy głos pana Kuby słyszeć się dawał. Z hałasem wpadli do pokoju, niosąc każdy część ruchomości Kubusia.

– Tutaj, tymczasem koło sofy! – komenderował Szymonek.

– Co tam za licho takie ciężkie! – stękał Pańko.

– Ależ bo tu nalano! – zrobił uwagę Kubuś.

– To nic! To wyschnie!...

– Masz! – zakończył Pańko, rzucając tłumok na podłogę.

Rzeczy były złożone, gwar nie ustawał. Ojciec Pafnucy patrzył z naprężoną uwagą na to, co się działo.

– Masz tedy, księżę, mego chłopaka. A nie żałujże boćkowca, ilekroć ci dokuczy. Niech mię kaci! Podobasz mi się, księżę! – I z całą rubasnością przyciągnąwszy ku sobie ojca Pafnucego, cmoknął go pan Kuba w łysinę, aż echo odpowiedziało w sieni.

Ojciec Pafnucy nie omieszkiał ucałować ramię pana Kuby i podając mu tabakierkę:

- Własnej fabrykacji! – rzekł.
- Wyborna! Daj go katu, księżu, jak widzę pokochamy się bardziej jeszcze. Albanka! Niech go nie znam, albanka!
- Ojciec Pafnucy po raz drugi ucałował ramię pana Kuby.
- A fajeczki nie masz, księżu, co?
- Nie używam.
- Ja palę kiedy niekiedy, ale tabakę wolę – mniej zachodu!
- A tak! Dwa palce albo i tego nie trzeba: na paznóck wielkiego palca – bardzo dobrze! – A od kataru zna jegomość środek?
- Nie znam! Ale bądź łaskaw, księżu, zobowiązesz mię niemało: właśnie zakatarzony jestem.
- I ja także. Zmoczyłem się. To Szymonek albo Pańko może weli mi wody do butów. Zamoczyłem nogi, a to natychmiast katar sprowadza. Właśnie chciałem odbyć kurację. Do tego mam tabakę innej fabrykacji. Powąchaj jegomość.
- Pan Kuba powąchał.
- Nic nie czuję.
- Bo jegomość zakatarzony. Ja na przykład... – i również powąchał – nie, i ja nie czuję... ale to bardzo pachnie!...
- Przystąpmy tedy do kuracji.
- A tak do kuracji, bez doktorów. Ja najpierw zrobię, a jegomość patrz, byś potrafił.
- Zgoda.
- O tak!
- Tu ojciec Pafnucy zakasał lewy rękaw habitu, usypał wał tabaki, od wskazującego palca począwszy aż blisko łokcia – i od łokcia zaczynając, wciągnął ją wszystkim w nos, aż po koniec paznokcia wskazującego palca. Pan Kuba poszedł za przykładem ojca Pafnucego i takąż dozą tabaki nos swój zasilił. Poczul nos ojca Pafnucego, że go wystrychnięto na dudka; zmarszczył się, nadał, posiniał, zbladł i huknął wreszcie:
- Apczchi!
- Za kolegą w ślad i nos pana Kuby strzelił równie głośnym:
- Eczchi!
- Na zdro... – rozpoczął ojciec Pafnucy, a skończył – „apczchi!”.
- Dzięki... – chciał pan Kuba; nie pozwoliło mu dokończyć kichnięcie – apczchi!

– Epczchi!

– Jezus! Apczchi!

– Bodaj ci trzysta!... Epczchi!

Ojciec Pafnucy padł na sofę i w każdą kratkę swej chustki kichnął dwa razy. Pan Kuba ledwie dyszał, kichając pod piecem. Obydwa widzieli, że z tabaki nic nie pozostało w nosie, jakież licha o kichanie przyprawia? Pan Kuba myślał, że katarowe lekarstwo bernardyna i kłął go wraz z całą bernardyńską medycyną. Ojcu Pafnucemu dopiero pod koniec rozjaśniło się we łbie.

– Księżu, jakiegoś ty dał mi biesa? Heczchi!

– To wszystko fi... fi... apczchi! Figle! Patrz jegomość.

Pan Kuba spojrział ku drzwiom i obaczył trzech urwiszów, śmiejących się do rozpędu z kichających, a Pańko najbardziej.

– Na zdrowie! Na zdrowie! – wołali wszyscy trzej.

– Kubuś! – krzyknął pan Kiełbasa – nie śmiej mi się, bo ci sprawię łaźnię! Apczchi! Bodaj cię, księżu!

– To wszystko fi... fi... apczchi! Oj!

Wreszcie uspokoiły się nosy. Malcy dali nurka między Żydków w mieście. Ojciec Pafnucy i pan Kuba odpoczywali zmęczeni kichaniem.

– Co to było, księżu, bo mi wszystkie guziki popękały. Szczęściem, że pas trzyma.

– I u mnie także na pasku.

– Ale daj cię katu z twoim lekarstwem! Wprawdzie kataru nie ma... Pokaż no waść tabakę!

Ojciec Pafnucy otworzył pudełko.

– A bodajże cię – ciemierzycu, szczeru ciemierzycu!

– Przeciem mówił, że figle!

– Dajże im za to cięgi i bądź zdrów, bo nie mam czasu. Oddaję ci Kubusia – miej też nad chłopcem staranie. Legumin²³⁶ nadeszł, a co będzie jeszcze wzwyz, to się policzymy. Polecam się modlitwom.

– Niech Bóg prowadzi szczęśliwie. Może służyć tabaką? Mam dwa funty.

– Takiej jak ta, z ciemierzycą?

– Tamta pod zamkiem, a klucz u mnie.

²³⁶ *Leguminy* – artykuły spożywcze, szczególnie kasza, mąka, groch, warzywa.

– Daj więc. Nie wezmę u Moszka – popsuł się Żydzisko! Spanoszył²³⁷ na naszych nosach!

– Służę. A może i sąsiedzi? Bardzo proszę o rekomendację, bo ja w tych stronach nie jestem znany. Po pół rubelka.

– Dobrze, dobrze! Sługa księdza! Polecam się.

Wyprowadzając pana Kubę, ojciec Pafnucy utknął na pakunki Kubusia i to mu go przypomniało.

– Za pozwoleniem. A rzeczy? – zapytał.

– Przecież gołego chłopca nie zostawię.

– Święta prawda, przepraszam! A przyjedź też jegomość na mariasika²³⁸.

– Dobrze, przyjadę. Do widzenia.

– Szczęść Boże!

Pan Kuba już był koło bramy, gdy go wstrzymał głos ojca Pafnucego.

– Jegomość! A gdzież są kanarki?

– Jakie kanarki?

– A te, które złapiemy samołówką?

– Albo ja wiem!

– Nie wie jegomość? No, proszę! A Szymonek wyraźnie mówił o kanarkach!...

Pan Kuba znikł w zakręcie ulicy. Ojciec Pafnucy stał na ganku, później wszedł do pokoju i długo patrząc na ruchomości Kubusia, nie umiał zdać sobie sprawy, w jaki sposób przyszedł do nowego elewa²³⁹; ale zakonkludował, że pan Kuba człowiek wcale do rzeczy: ścisnął go szczerze i wziął dwa funty tabaki, o czym wymownie świadczył rubel karbowany²⁴⁰, który za chwilę spoczął na dnie kuferka ojca Pafnucego, z całą troskliwością owinięty w starą, zimową pończochę.

Kubuś zamieszkał z Szymonkiem. A we środę zajechała fura legomin od pana Kuby z listem jego, w którym między innymi prosił pan Kiełbasa jeszcze o funt tabaki, na co pół rubla posyła.

²³⁷ *Spanoszyć* – wzbogacić się czymś kosztem.

²³⁸ *Mariasik* (*mariszyk*, *mariasz*) – dawna gra w karty.

²³⁹ *Elew* – uczeń, wychowanek.

²⁴⁰ *Rubel karbowany* – moneta używana w Imperium Rosyjskim, nazwana tak zapewne od karbów (nacięć na brzegach).

Ojciec Pafnucy bardziej jeszcze utwierdził się w przekonaniu, że pan Kuba jest człowiekiem do rzeczy, a chociaż nie dość jasno jeszcze pojmował, w jaki sposób pozyskał nowego elewa, dość był zadowolonym z Kubusia.

Rzeczywiście też zamieszkanie Kubusia było z korzyścią dla Szymonka, który zachęcany przez towarzysza wziął się do książki i złożył egzamin wstępny do pierwszej klasy gimnazjalnej. Pańko także ku wielkiemu zdziwieniu swojemu nauczył się czytać, a nawet i pisać nieco po polsku i po rosyjsku.

Nie do opisania była radość państwa Bartłomiejostwa, gdy na wakacje przywiózł ojciec Pafnucy Szymonka w szkolnym mundurku! Szymcio dostał z góry rozgrzeszenie za wszystkie figle, które wypłata przez czas pobytu na wsi, Pańkowi sprawiono nową odzież, a ojciec Pafnucy otrzymał w prezencie od pani Bartłomiejowej sześć chustek do nosa w kraty i pantofle nieboszczyka hrabiego. Pan Bartłomiej udarował go rogową tabakierką, misternie rzeźbioną w psy bardzo do ptaków podobne.

Wesoło przeszły wakacje wśród różnorodnych figlów. Na pochwałę jednak Szymonka wypada zanotować, że mu tęskno było za Kubusiem, którego też serdecznie za powrotem uściskał. Kubuś znowu zamieszkał z Szymonkiem, a wzajemna sympatia ich doszła do takiej potęgi, że w przytomności Pańka na brewiarz²⁴¹ ojca Pafnucego przysięgli wieczną niczym nierozzerwaną przyjaźń. Skutek ślubu ten był, że Kubuś wszelkich dołożył usiłowań, by Szymcio złożył roczny egzamin przynajmniej na tyle, ażeby mu dano promocję do drugiej klasy. Nie było to tak łatwo, bo Szymciowi nie laża do łba nauka, a przy tym najokropniej nudził się w czasie lekcji. Ale chęć kolegowania z Kubusiem dokazała cudu: dano promocję Szymciowi, Kubuś zaś – pomimo że był dobrym uczniem – umyślnie pozostał jeszcze na rok w klasie, byle złączyć się z Szymonkiem.

Pan Kuba wielką miał ochotę wygrzmocić hrabicza za osłostwo²⁴², ale zmiękł, dowiedziawszy się, że Kubuś uczynił to dla przyjaźni. Nie pojmował tylko, w jaki sposób można było przywiązać się do takiego smyka jak Szymcio, gdyż bardzo źle miał wyobrażenie o młodym Złodzickim.

²⁴¹ *Brewiarz* – księga liturgiczna do odprawiania liturgii godzin, czyli codziennej modlitwy Kościoła.

²⁴² *Oslóstwo* – tępota, głupota, próżniactwo.

Znów państwo Bartłomiejostwo byli w niebie, odczytawszy bilet²⁴³ Szymciów, świadczący o promocji jego do klasy drugiej. Pańko dostał ubranie z jeszcze lepszego sukna, ojciec Pafnucy tuzin chustek, myckę pana Bartłomieja żółtą, z sinym kutasem w prążki zielone, sukna sławuckiego²⁴⁴ na habit nie przyjął, natomiast wdzięcznym był bardzo za ciepłe, futrzane buty i w srebro oprawne wyborne do jego ócz okulary.

Kubuś tą razą był na wakacjach u państwa Bartłomiejostwa, którzy go bardzo polubili, z szczególniejszą będąc atencją²⁴⁵ dla hrabiowskiego dziecka. Jak broili przez dwa miesiące trzej urwisze, ile psot ludziom wyrządzili, nie potrzebujemy tu nadmieniać, poprzestając na świadectwie, że było tego dość, i to tak dalece, że ludzie i zwierzęta błogosławili odjazdowi urwipołciów, pozbycia się ich winszując sobie niby zniknięcia szarańczy lub co najmniej wołków zbożowych²⁴⁶ – tak się im dali we znaki Szymcio, Pańko i Kubuś.

W bardzo krótkim przeciągu czasu wydarzyły się trzy smutne katastrofy, które czytelnikom zmuszony jestem opowiedzieć, pomimo że wiem, iż zmartwię ich tym niepomąłem.

Zacznę od najmniej znaczącej na pozór przygody pana Kiełbasy. Spotkał go, jak powiadał, dopust Boży, ale to właściwie dotyczyło jego wieprzów, które zatoneły na tratwie przy przewozie z Pragi do Warszawy. Tak się tedy stała rzecz dawno niepamiętna: Warszawa zmuszoną była pościć, natomiast ryby po raz pierwszy może najadły się wieprzowiny, a rzecz niezdecydowana dotąd: było li im z tym dobrze czy też dostały niestrawności? Końców koniec jednak fortunka podskubała pana Kubę na kilka tysięcy rubli, co wielką różnicę zrobiło w jego rachunkach. Był więc bardzo zmartwionym i przemyślał nad sposobami wynagrodzenia dotkliwej straty. Alfons Rodryg Napoleon Porawa hrabia Porowski pocieszał go wprawdzie, że wielce podobny fakt z Tatarami miał miejsce na przewozie pod Kijowem, gdzie statki zatoneły sztuką jednego z protoplastów rodu Porowskich, którzy niewątpliwie z Burbonami są spokrewnieni, ale to mało rozczulało pana Kiełbasę, którego bardziej smuciła strata wieprzów, aniżeli cieszyła wiadomość, że z tak sławnym domem jak Porowskich jest blisko spokrewnionym. Próżno

²⁴³ *Bilet* – list z krótką wiadomością; liścik.

²⁴⁴ *Sukno sławuckie* – materiał ze słynnej w XIX wieku fabryki sanguszowskiej w Sławucie na Wołyniu.

²⁴⁵ *Atencja* – uwaga; szacunek, względy.

²⁴⁶ *Wolek zbożowy* – chrząszcz żerujący na ziarnie zmagazynowanego zboża.

jednak myślał – ani jeden wieprz nie wyszedł na ląd. Pieniądze oczywiście²⁴⁷ w wodę były wrzucone!

Inny był kłopot, bardziej dotkliwy pana Bartłomieja. Taki go dopadł diabeł – i to w najnaturalniejszej swej postaci. Było to, jak następuje: Pan Bartłomiej wracał z miasta, gdzie z całą przykładnością wysłuchał sumy z wystawieniem²⁴⁸, bo było uroczyste święto, i po nabożeństwie wstąpił do pana Podśędka, by go prosić o pewna bagatelkę w sprawie, którą miał już od lat kilku z Maksymem, włościaninem ze wsi sąsiedniej. Chodziło tu po prostu o resztę jego gruntu, który do pól pana Bartłomieja przytykał i takowe zaokrąglął, gdy tymczasem dla Maksyma był tylko resztką, nic nieznaczącą od czasu, jak sąd wyzuł go z większej części własności na rzecz pana Bartłomieja.

Podśędek dał słowo honoru, że bagatelka będzie zrobioną dla pana Bartłomieja, który, jak z w y c z a j n a k a z u j e, ścisnąwszy Podśędka za rękę, odjechał pełen najlepszej otuchy.

Pan Bartłomiej jechał konno na gniadej bosonóżce doświadczonych zalet, na której mógł nawet przespać się wygodnie, gdyby tego wypadła potrzeba. Ale w tej chwili spać mu się wcale nie chciało, obliczał bowiem: ile też Maksymowa bagatelka zysku mu przynieść zdoła, potrzebnym zaokrągleniem podnosząc wartość gruntów dworskich? Miał już nawet plan: kawał ten pola przetrzymać jaki rok bez zasiewu, ażeby sąsiednie błotko osuszywszy, wszystko to razem zasiać sandomierką...²⁴⁹ A jechał już lasem od kilku minut i zostawało mu go jeszcze kawał do przebycia. Chłodek leśny, żab skrzeczenie w błotku, które miał zamiar przemienić na łan pszeniczny, widok Maksymowej bagatelki – wszystko to bardzo przyjemnie podziało na pana Bartłomieja, który też przystanął na bosonóżce i odetchnął z pełnej piersi. Jeszcze nie zdołał wciągniętego powietrza zastąpić własnym wydechowym, gdy jakaś siła z brutalną gwałtownością rzuciła go pod nogi bosonóżki. Pan Bartłomiej uczył niezbyt przyjemne łechtanie, coś niby w rodzaju kija. Miał wielką ochotę nie poddać się sile – szarpnął się, spojrzął i zemdłał ze strachu. Diabeł, żywy diabeł z piekła, okładał go ciężkim kijem i kiedy niekiedy przemawiał po chłopsku (rzecz powszechnie wiadoma, że diabli między sobą po chłopsku mówią): „*Oce tobi na poczuyń! Ludźka krywda ne dobro!*”.

²⁴⁷ *Oczewiście* – dawn. oczywiście.

²⁴⁸ *Suma z wystawieniem* – w Kościele katolickim: uroczysta msza z modlitwami do Najświętszego Sakramentu.

²⁴⁹ *Sandomierka* – polska odmiana pszenicy.

Pozwolę sobie wytłumaczyć słowa diabła, podejrzewając, że wielu czytelnikom nieznaną będzie mowa synów ciemności. Szatan, okładając kijem pana Bartłomieja, mówił: „Masz na początek! Krzywda ludzka nie wychodzi na dobre!”.

Diabelska ta operacja musiała trwać dość długo. Nic w tym pewnego wszelako, bo świadków bolesnej katastrofy pana Bartłomieja nie było. Bosonóżka dopiero swą obecnością we dworze dała świadectwo, że jaśnie pana jakieś lichy spotkało. Pani Bartłomiejowa też co śpieszniej posłała parobków, którzy znaleźli pana Bartłomieja w lesie leżącego bez przytomności. Ręce i nogi miał najokropniej połamane, błoto było na nim i wokoło – znak, że diabeł z sąsiedniej rudy wylał. Zrobili noszę, ułożono na niej zwłoki pana Bartłomieja. Jeden z parobków udał się po lekarza.

Pokazało się, że pan Bartłomiej nie umarł i lekarz zapewnił, iż żyć będzie, tylko kalectwo jest tego rodzaju, że po zupełnym wyleczeniu nawet, chory nie będzie w stanie chodzić o własnej sile.

– Widzisz, kochasiu – mówił do żony pan Bartłomiej, cały wzięty w łubki – mówiłem, że z diabłami żartów nie ma. Ot, widzisz – dopadł i człek kaleka, dziad odpustowy! Pofolgowało się trochę, ojca Pafnucego puściłem od siebie i masz! Słuchaj no, Kunusiu! Ten Duch Święty przy nas! Diabeł, o ile sobie przypomnieć mogę, mówił: „*Ce tobi na poczyń!*”. Uważasz: *na poczyń!*. Jezusie Nazarański, królu żydowski, cóż on więcej zrobi?! Żono, posyłaj do Podśędka, niech da pokój z tą sprawą: oddać Maksymowi i to, co się wzięło. Oddać i Malinowskiej, i Morozowi..., i..., i... A!..., Panie Boże, karz że już mnie, ale za co ja dziecko krzywdzić będę? Toż gdybym wszystko oddał, Szymcio zostały bez grosza przy duszy!...

– Nie trzeba bo tak wszystkiego brać do serca! – rzekła pani Bartłomiejowa, uspakajając męża, który był bardzo wzruszonym.

– Kubuś! Zapominasz o Boskim gniewie. A wiesz ty, jak to tam w piekle, kiedy takie kalectwo to u nich tylko na początek?... Oddać wszystko Maksymowi. (Diabeł może umyślnie był do niego podobny i jego głosem mówił...). Poszlij jeszcze pięć rubli do Berdyczowa. A zmiłuj się, nie oszczędzaj – za półpięta²⁵⁰ nie odprawia! Tam już pięć postanowiono, jeśli przed wielkim ołtarzem. A koniecznie przed wielkim, bo tamte nieskuteczne... Daj osiem miar żyta; dwa ruble miedziami, tam, na spodzie kantorka, rozdaj między dziadów. Boże mój, Boże, to tylko

²⁵⁰ *Za półpięta* – za pół piąta.

na poczyn! Niech Semen zaprzęga konie do nejteczanki²⁵¹, tylko tej z drewnianym kozłem. A niech fartuchy poodpina, bo znowu pokradną! Niech zaraz jedzie do Kamieńca i przywozi księdza Pafnucego...

– A Szymcio? Z kim zostanie?

– Żono! Tu o moją duszę chodzi. Szymcia licho nie weźmie. Mnie ksiądz Pafnucy potrzebny: muszę się co dnia spowiadać, komunikować²⁵² co tydzień. Niechże już jedzie. Boże mój, Boże! A niech osie posmaruje! Tylko zmiłujcie się, oszczędzajcie smarowidła – na święty Mikołaj kupiłem, a już zaledwie ciapka!²⁵³ Ci ludzie Boga w sercu nie mają! „Kto się w opiekę poda...”²⁵⁴.

Pojechał Semen po ojca Pafnucego. A zanim dojedzie do Kamieńca, czytelnicy dowiedzą się, jaki *casus*²⁵⁵ wydarzył się świątobliwemu mentorowi Szymonka.

Stał ojciec Pafnucy w bramie swego dziedzica i stale, z całą uwagą, obserwował od godziny lot całego stada kawek, które z dzwonnicy karmelitów przelatywały na katedralną, i znowu z tej na karmelicką, później na katedralną itd. Ojca Pafnucego uderzał bardzo porządek tego przelotu: że też kawki nie omylą się?!... Stał więc tak i patrzył. Ulicą zaś szedł młody człowiek przyzwoitej powierzchowności, a spostrzegłszy ojca Pafnucego, stanął i wraz z nim patrzył na kawki. Patrzyli tedy obadwa. Ojcu Pafnucemu podobał się w młodym ten przejaw potrzeby badań i dociekań, z przyjemnością tedy patrzył to na kawki, to na młodego człowieka. Młody człowiek również podzielił wzrok swój między krzyczące ptactwo i poważnie milczącego ojca Pafnucego.

Ciszę przerwał ojciec Pafnucy znaczącym słowem „kawki!”, zwróconym do młodego człowieka, któremu to słowo towarzyszyło wymowne spojrzenie i stosowny ruch wskazującego palca prawej ręki. Ale młody człowiek zamiast mówić o kawkach, najniespodzianie zwrócił się do ojca Pafnucego i ukląkłszy, głosem drżącym zawołał:

– Błogosław mię, ojcze!

Każdy inny byłby zdziwiony nieoczekiwanym obrotem rzeczy. Ojciec Pafnucy znalazł krok nieznanego bardzo naturalnym: przestał patrzeć na kawki, pod-

²⁵¹ *Nejteczanka (najtyczanka)* – rodzaj czterokołowego pojazdu konnego, często resorowanego, z kozłem i wyplatany nadwoziem.

²⁵² *Komunikować* – przyjmować komunię świętą.

²⁵³ *Ciapka* – tu: niewielka ilość czegoś, kropla.

²⁵⁴ *Kto się w opiekę poda* – słowa pieśni religijnej *Kto się w opiekę odda Panu swemu*, będąca częścią *Psalterza Dawidowego* Jana Kochanowskiego.

²⁵⁵ *Przypadek*.

niósł ręce nad klęczącym i z namaszczeniem kapłańskim udzielił młodzieńcowi żądanego błogosławieństwa. Młody człowiek wstał i pocałował księdza w rękę. To ojcu Pafnucemu tak wielką sprawiło przyjemność, że go poczęstował tabaką.

– Domowej fabrykacji... – rzekł.

– Wyśmienita! – zawołał młody człowiek.

– Mam takiej jeszcze sześć funtów...

– Sześć! Co za szczęśliwca okoliczność. Mam stryja wielkiego smakosza. Ten mi dawno już pisał, by mu przysłać dobrej tabaki, ale ksiądz dobrodzieju wie, jaka to u naszych Żydów...

– Gałęńska! Wiśniowe liście i sadza...

– Otóż to. Ach, księże dobrodzieju! Czy nic mógłbyś mi odstąpić owe sześć funtów dla mojego stryja?

– Może czy pan Kuba nie zapotrzebuje?... – głośno myślał ojciec Pafnucy. – To mu się zrobi. Chodź, jegomość, dam ci tabakę. Niech tylko zawącha stryjaszek, to innej nie zechce, zaręczam słowem!

Młody człowiek wziął sześć funtów tabaki i zamiast trzech dał pięć rubli, o czym ojciec Pafnucy dowiedział się dopiero po jego odejściu, gdyż przekonany, że nie rublowy dano mu papierek, nie rozwijał go, aż zostawszy sam na sam.

– Bardzo, bardzo do rzeczy człowiek! A przy tym pobożny, o, pobożny!... Sześć funtów..., błogosławieństwo..., pięć rubli... Bardzo, bardzo do rzeczy, choć młody! Ha, rozmaici bywają! I u młodego nie brak zastanowienia czasami, chociaż to rzadko! Zabrał mi wszystką tabakę... Mniejsza – do wieczora zrobię z parę funtów jeszcze.

Jakoż zabrał się do fabrykacji i kładąc się spać, miał znowu dwa funty świeżej tabaki. A że robota jej trwała do późnego wieczora, modlitw zaś odkładać nie wypadało, ojciec Pafnucy tedy, habit zrzuciwszy, począł odmawiać pacierze. Niewielka lampka słabo oświecała pokój. Ku końcowi już, gdy na porządek modlitewny weszło *Agnus Dei*²⁵⁶, ktoś zapukał do okna.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – zawołał przerażony ojciec Pafnucy.

– I ja go chwale – odpowiedział głos za oknem.

– A kto tam taki?

– Ja, księże dobrodzieju. Proszę okno otworzyć.

²⁵⁶ *Baranku Boży.*

Nie bez pewnej obawy otworzył jednak ojciec Pafnucy. W oknie ukazał się nieznamy młody człowiek – ten sam, który o błogosławieństwo prosił i za sześć funtów tabaki pięć rubli zapłacił.

– A jegomość po co tak późno?

– Świątobliwy ojczy, ratuj mnie! – krzyknął młodzieniec z rozpaczą.

– Jezus! A co za ratunek potrzebny jegomości?

– Przed tronem Boga odpowiesz, księżo! W łeb strzelę sobie, patrz! – I przyłożył wielką lufę pistoletu do łba.

– Samobójco, stój! Powiedz, czego ci potrzeba?

– Kocham – wykrzyknął młodzieniec – i jestem kochany! Rodzice nas nie chcą połączyć! Zginie, jeśli nam ślubu nie dasz. Mario, Aniele, prosz ze mną księdza Pafnucego!

Młoda dziewczina ukazała się w oknie: łzawa, błagająca... Ojciec Pafnucy bardzo był zażenowanym... Z wielkiej alteracji²⁵⁷ stał bez habita pośród pokoju i rękami szyję okrywał, jakby wymawiając się, że jest bez halsztucha²⁵⁸.

– Chceszże, byśmy ci u nóg trupem padli! Księżo! Zbawco nasz! Kościół otwarty. Chodź nas złączyć przed Bogiem, by dwojga śmierć tu nie połączyła! Zgoda?

– Niechże wdzieję potrzebne szaty – cicho rzekł ojciec Pafnucy, bojąc się podnieść powiek, by się nie spotkać ze wzrokiem dziewczycy.

– Wybawco nasz! Ubieraj się, a co żywiej!...

Młody człowiek był uszczęśliwiony. Wskoczył przez okno do pokoju i tak śpiesznie ubrał ojca Pafnucego, iż tenże na ulicy dopiero opatrzył się, że braknie mu tej części ubrania, którą habit zakrywa.

Weszli przez zakrystię. Państwo młodzi mieli świadków, ojciec Pafnucy pobłogosławił, metrykę do ksiąg wciągnął, świadectwo małżeństwa wydał i ani się spostrzegł, jak znalazł się sam z dziesięciurublowym papierkiem na ulicy. Chciał coś powiedzieć, rzecz wyjaśnić, ale wokoło nie było żywego ducha. Nie widział tedy ojciec Pafnucy nic stosowniejszego, jak udać się na spoczynek, co też i uczynił, postanowiwszy dla spokoju sumienia za otrzymane 10 rubli rozdać między ubogich trzy funty pośledniejszej tabaki własnej fabrykacji.

²⁵⁷ *Alteracja* – wzruszenie, wzburzenie; zafrasowanie.

²⁵⁸ *Halsztuch (halsztuk)* – rodzaj szerokiego krawata zawiązywanego pod brodą.

Opatrzył się²⁵⁹ Moszko fabrykant tabaki, mieszkający koło Szadheja w rynku, że odbył²⁶⁰ tabaki znacznie się zmniejsza. „*Wusydyus?*”²⁶¹ Co to takiego? Nie może być, ażeby nosów tabakie nie potrzebowało! Musi to być inny jakiś pech!”.

Jak zaczął chodzić po rozum do głowy, cmokać i patynkami²⁶² wystukiwać, doszedł, że nad skałą mieszka ojciec Pafnucy, który robi *tabakuf*. Miał Żydzisko głowę na to, by poprosić właściwego urzędnika od finansów, który *incognito*²⁶³ udał się do ojca Pafnucego po kupno tabaki, *ex officio*²⁶⁴ zaś zabrał mu wszystką albankę w lepszym i pośledniejszym gatunku, wraz z makutrą, wałkiem, słoikiem i całą fabryką w ogóle. Ukłonił się grzecznie i poszedł.

Ojciec Pafnucy, bardzo tym zgryziony, przemysłował nad smutnym losem swej fabryki, gdy wtę weszło dwóch drabów, doręczając mu pismo z konsystorza²⁶⁵. Ojciec Pafnucy włożył na nos okulary w srebrnej oprawie, które mu pan Bartłomiej podarował, a odczytawszy pismo konsystorialne, zwiesił głowę na piersi i zapłakał.

– Bóg dotyka sługę swego!

Papier zawierał rozkaz osadzenia ojca Pafnucego w klasztorze oo. karmelitów na ostrej pokucie za danie ślubu młodej parze bez poprzednich, a ustawami wymaganych formalności.

– Ręka pańska dotknęła mię. Tamci wzięli tabakę, ci mnie zabierają. Niech się dzieje wola Jego przenaświętsza.

Nie ociągając się, posłuszny nakazowi zwierzchności, udał się ojciec Pafnucy do klasztoru, usilnie zalecając Szymonkowi, Pańkowi i Kubusiowi, by nie dopuszczali się obrazy Boskiej, „bo ja powrócę! Toż proszę was, klatek mi nie psujcie. A strzeż Boże, by kot nie zadusił szczygła. Jeżeli gdzie kanarek ucieknie, pamiętajcie wystawić samolówkę, tylko ostrożnie, żeby napisu nie uszkodzić. Niechże was Wszechmogący błogosławi, a pan Kuba wybaczy, ale powiedzcie mu, że ci ludzie wszystko mi zabrali! Bo takie prawo moje dziatki – wszystko

²⁵⁹ *Opatrzeć się* – zorientować się.

²⁶⁰ *Odbyt* – zbyt, sprzedaż.

²⁶¹ *Co to jest?*

²⁶² *Patynki* – pantofle damskie lub męski bez napiętka.

²⁶³ *Nieoficjalnie*.

²⁶⁴ *Z urzędu*.

²⁶⁵ *Konsystorz* – urząd podległy biskupowi, załatwiający sprawy sądownictwa kościelnego i administracji kościelnej.

musimy brać od Żydów, chociaż nam Boga naszego ukrzyżowali. Bądźcie zdrowi, a co dnia odwiedzajcie mnie. Tylko proszę cię, Pańku, kota nic wpuszczaj do pokoju”.

Wyznać należy, iż trzech bohaterowie nasi byli zadowoleni poniekąd z uwięzienia ojca Pafnucego. Chociaż Bogiem a prawdą, niewiele on im zawadzał, ale zawsze mieli mentora. Teraz zaś panami są i nie potrzebują się kępować niczym! Jakoż dali dowody swej dojrzałości. Noc całą przepędzili przy fajce i kieliszku, w towarzystwie kilkunastu jeszcze kolegów, wyśpiewując rozmaite piosenki, układając plany, rojąc o przyszłości.

Usnęli, gdzie kto mógł, wśród tytoniowej woni i zapachu wódki i wina...

We śnie pogrążony dom cały zastał Semen i zdziwił się niezmiernie, bo było południe. Z wielkim zgorzeniem szukał pomiędzy pijanymi ojca Pafnucego, ale go nie znalazłszy, obudził Pańka trzymającego jeszcze butelkę od araku²⁶⁶ w jednej, zgasał fajkę w drugiej ręce.

– Pańku, a *de*²⁶⁷ ksiądz?

– A to kto! – zerwał się Pańko. – To wy, Semen!?! A wy skąd?

– Z domu. A gdzie ksiądz?

– Ho, ho! *Pyszy propało!*²⁶⁸ Nie ma księdza!

Wstał i Szymcio. Semen przywitał się z paniczem i opowiedział, jak rzecz się miała. Powstawali i koledzy, a gdy Szymcio oddał rzecz całą pod ich rozagę, jednogłośnie zdecydowali, że nic innego robić nie wypada, jak tylko jechać z Semenem do domu, odwiedzić chorego ojca.

– Dziękuję wam, koledzy! Ale wszystko zależy od Kubusia. Bez niego nie ruszę się z miejsca. Pojedziesz ze mną, Kubusiu?

– Albo ja wiem, co robić! Mój stary pojechał do Uściługa²⁶⁹. Ech, mniejsza o to, pojedę!

– Brawo! – huknęli koledzy. – I my byśmy pojechali! – Ale, ba... Słuchajcie no! A jakże z pozwoleniem? Dyrektor ani sobie da wspomnieć!

– Kto by się też go pytał o co?! Czy to my dzieci – rzekł Kubuś z powagą. – Mogę się rządzić sobą, mam lat piętnaście.

²⁶⁶ *Arak* – napój alkoholowy z ryżu, trzciny cukrowej i kwiatów palm tropikalnych.

²⁶⁷ *A gdzie*.

²⁶⁸ *Jak widzisz – nie ma!*

²⁶⁹ *Uściług* – niewielkie miasto na Wołyniu, w miejscu, gdzie Ługa wpada do Bugu. Dziś na Ukrainie.

- I ja tyleż! – dodał Szymonek.
- O mnie już i nie mówić! – zakończył Pańko.
- Semenیه! Po obiedzie jedziemy.
- Dobrze, proszę panicza. Tymczasem konie popasę.

Jakoż o trzeciej z południa Kubuś, Szymcio i Pańko wyruszyli z Kamieńca, aż do „Trójkątu”²⁷⁰ odprowadzeni przez kolegów życzących im przyjemnej zabawy!

Niepomiernie zdziwiono się we dworze, ujrzawszy wysiadających z nejtyczanki Szymonka i Kubusia, bo Pańko dawniej jeszcze skoczył z kozła, wpadł do kuchni i posoleniem k w a s z y²⁷¹ pozbawił czeladź smakowitej potrawy, gdyż ta jak opętana wyleciała z garnka, od dawna żyjąc w nieprzyjaźni z solą. W tej chwili Pańko wojował z dziewczkami, które go opadły, pragnąc wziąć zeń pomstę za osolenie kwaszy.

Zdziwiła się, ale i ucieszyła bardzo pani Bartłomiejowa, ujrzawszy Szymonka. Pan Bartłomiej mocno był zmartwionym z powodu uwięzienia ojca Pafnucego, a przeciw przyjazdowi syna nic nie miał wcale. Przed Kubusiem chciał nawet powstać, jako przed pańskim dzieckiem, ale mu kalectwo przeszkodziło. Ból wywołany poruszeniem przypomniał panu Bartłomiejowi piekielną potęgę. Przywołał Pańka do siebie, który oblizywał się po śmietanie skradzionej pani Bartłomiejowej spod rąk i kazał mu powtórzyć wszystko to, co widział w czasie podróży nadpowietrznej z Szymonkiem.

Pańko zapomniał o niej dawno, plótt więc kosałki-opałki, czym do reszty pomieszał szyki panu Bartłomiejowi – i to tak dalece, że zwątpił, czy Kalasanty zechce bronić kolegę na tamtym świecie od diabłów, ile że przypomniał sobie pan Bartłomiej nie tylko „owce”..., ale i coś z koni, i folwarczek pana Kalasantego... Był więc niepokieszonym po stracie ojca Pafnucego, któremu ostatnią pocztą posłał pięć złotych, byle o duszy pana Bartłomiejaja nie zapomniał.

Po miesiącu otrzymał pan Bartłomiej dziękczynną odpowiedź ojca Pafnucego z zapewnieniem, że o zbawieniu pana Bartłomiejaja ma potrzebne staranie. O sobie donosił, że źle mu na pokucie nie jest: pozwolono mu robić klatki, a nawet i tabaki utarł parę funtów, tylko żal mu mocno skonfiskowanych narzędzi, bo klasztorne, wałek szczególnie (makutra ujdzie!), wiele męki zadają ojcu Pafnucemu.

²⁷⁰ *Trójkąt* – prawdopodobnie część twierdzy w Kamieńcu Podolskim wzniesionej na planie trójkąta. Metaforycznie – miejsce, gdzie rozchodzą się drogi trójki przyjaciół z powieści.

²⁷¹ *Kwasza* – potrawa sporządzana z mąki gryczanej oraz żytniej gryczanej ze słodem, podobna do gęstego kisielu.

Powrócił pan Kuba z Uściługa; zaglądnął do Kamieńca i jakże się zgorzył, dowiedziawszy się, że Kubuś już od dwóch miesięcy zniknął z Szymonkiem. Pisał do pana Bartłomieja listy, chłopaki je przejmowali, gdyż na pocztę jeździł zwykle Pańko i wszystkie listy do rąk Szymciowi oddawał. Dopiero pod zimę wybrał się pan Kuba osobiście do pana Złodzickiego i zabrał ze sobą Kubusia. Nie odstąpił go Szymcio, Pańko także pojechał.

Pojednali się z władzą szkolną i znów wpisano ich na listę uczniów drugiej klasy, a mieszkali razem. Pan Kuba musiał na to zezwolić, gdyż inaczej mały Kubuś groził wujowi zupełnym wypowiedzeniem posłuszeństwa, dzieckiem bowiem być przestał i na pomoc wujowską nie potrzebuje się oglądać zbytecznie, mając w Szymciu dostatniego towarzysza, który gotów jest każdym kęsem chleba z nim się podzielić. Pan Kuba słuchał tej hrabskiej gadaniny, niezbyt korzystnie dla niej usposobiony, ale kochając szczerze malca, ufał, że treść jej nie dotknęła go wcale, i przyzwolił na mieszkanie z Szymonkiem.

Odtąd też młodzi przyjaciele nie rozstawali się ze sobą ani na chwilę i byli wzorem przyjaźni. Koledzy zwali ich Orestem²⁷² i Piladesem²⁷³; nie umieli tylko dla Pańka wynaleźć stosownej nazwy, a przecież była to osobistość niepoślednia w życiu, a że w powieści wybitna, sądzę, przyświadczą czytelnicy.

Nawał wydarzeń, potrzeba powiedzenia o każdej rzeczy bodaj słów kilka spowodowały, że rozdział niniejszy, przedmiotu nie wyczerpnąwszy, urósł znacznie, więcej zatem o „studiach” w rozdziale następującym, z którego się też dowiedzą czytelnicy, jak poczynali sobie bohaterowie niniejszej powieści.

VIII. „SMOCZA PASZCZA”

Nie zna życia, kto nie był w szkołach publicznych. To cały świat! Rozumieniem młodzieży jeśli nie większy od świata pozaszkolnego, tedy przynajmniej równie znaczący. Zgoda na to, że wychowanie domowe pręcej i lepiej nauczy

²⁷² *Orest (Orestes)* – w mitologii greckiej syn Agamemnona i Klitajmestry, który pomścił ojca, zabijając matkę (jego morderczynię) i jej kochanka.

²⁷³ *Pilades (Pylades)* – kuzyn Orestesa, jego najwierniejszy przyjaciel.

chłopca geografii, matematyki itd., ale mu nigdy dać nie zdoła rzeczy najważniejszej – nauki życia!

W szkołach dziecko namacalnie przekonywa się, że zrodzone jest do życia w społeczeństwie, że społeczeństwo to rozpada się na rozmaite grupy o własnym programacie²⁷⁴ każda, że wreszcie jednostki podzielne są przeróżnaitych usposobień, gustów, dążeń, pragnień. W szkole zawiązują się pierwsze stosunki, poznaje się natura przyjaźni. Życie szkolne nauczy tego, co życiem zwać zwykliśmy.

Jak świat, tak też i szkoły zawsze podobno mają charakter swój niezmienny: coś niecoś przetworzy się, parę rzeczy zniknie, a drugie tyle przybędzie – to już wszystko! Reszta została jak dawniej.

Świat się starzeje – to pewna; że ludzkość maleje – to także niezawodne. Nierzadko teraz ujrzyć bezwąsego młodzika, strojącego się w togę doktorską, która mu tak przystoi jak żupan²⁷⁵ pradziadka dla małego Włodzusia. Ludzkość maleje; powiadają, że mądrzeje, ale ja temu nie wierzę: głupią jest jejmość jak dawniej, choć parą jeździ, a piorunami pisze! Koniec końców, za czasów Kubusia i Szymonka w szkołach, w pierwszej klasie nawet, byli wąsacze po lat dwadzieścia kilka mający. Wprawdzie liczba ich z każdym rokiem malała, dość ich jednak było, by utrzymać dawną szkół powagę. Szkolna ta starszyzna dzierżyła od Boga jej daną władzę silnie – biada malcowi, który by się poważył ubliżyć w czymkolwiek jednemu z tych mężów! Wnet go najprzyzwoiciej rozciągnano na ławce i okrutnie bito paskami (szelek bowiem podówczas nie noszono z zasady), a skaleczono by go, gdyby śmiał być k o z a, tj. gdyby odważył się donieść co władzy szkolnej. Nad sąd starszych nie było sądu wyższego i wszelka apelacja surowo była karana, co się zresztą zdarzało bardzo rzadko – i to wyłącznie pomiędzy nowo przybyłymi do klasy.

Tacy starsi nie przelatywali szkół, wody nie chlipnąwszy nawet, jak to dziś ma miejsce. Sumiennie studiowali przedmioty – i to tak dalece, że w klasie czwartej często już siwieli, będąc niekiedy ojcami dwudziestoletnich synów. Toteż i powaga była takiego ucznia! Niczym doktor dzisiejszy! W mieszczaństwie nie miałeś rady poważniejszej, by do niej nie przywołano jednego z tych mężów uczonych. Szlachta okoliczna powierzała im swe dzieci z udzieleniem najzupełniejszego pra-

²⁷⁴ *Programat* – charakter, cechy charakterystyczne.

²⁷⁵ *Żupan* – staropolska męska szata noszona w XVI wieku jako szata wierzchnia, a od połowy XVII wieku pod kontuszem.

wa do ich skóry w razie nieposłuszeństwa, z czego też korepetytorowie korzystali, odbijając to na swych uczniach, co sami nabrali od nauczycieli.

Wyzwany na lekcję taki starszy z całą powagą wychodził z ławki, kłaniał się nauczycielowi, przystępował do deski, brał do rąk kredeę, z powagą egipskiego mędrca chowając przez kwadrans głębokie milczenie – kładł kredeę, odchodził od tablicy, kłaniał się nauczycielowi i siadał na swe miejsce lub na rozkaz kłękał nawet pośrodku klasy... Ale wara było podówczas malcowi spojrzeć na kłęzącego starszego, a straż Boże zaśmiać się!... Natychmiast po lekcji składano sąd i ćwiczone winnego paskami.

Wielkim to było szczęściem być protegowanym przez starszego, a zaszczytem niepomiernym wejść do ich grona. Pierwsze zdobywało się regularnym płaceniem daniny w naturze, a więc: bułki, owoce, leguminy, ser, kiełbasy itp., później w rzeczach: farby, nożyki, papier; moneta brzęcząca przyjmowaną była w razach wyjątkowych tylko, jeśli który ze starszych bardzo był potrzebującym. W klasie paliło się fajkę, najczęściej za piecem, przez okno niekiedy, a rzadko otwarcie, i w takim razie nawet rozwiewano dym połami surdutów. Grano w karty, nawet w czasie lekcji, a tak się to czynić zwykło: lojalniejsi i pewni siebie co do lekcji zasiadali ławkę, wszyscy inni, nieżyczący sobie spotkać się oko w oko z panem profesorem, dawali nurka pod ławkę. Tu kładli się pokotem na rozesłanych płaszczach i grali: w szlufika²⁷⁶ – gdy dwóch, w preferansa²⁷⁷ i gieryłasa²⁷⁸ – jeśli było czterech, a gdy liczniejsze zebrało się towarzystwo, wyjeżdżał na scenę stos albo diabełek²⁷⁹. Niekiedy bywały z tego sceny pocieszne i smutne w końcu, gracze bowiem, gdy się rozgrzeli, a chowaj Boże jeżeli niedokładność jaka zaszła w kart dawaniu, zbieraniu czy ścięciu, powstawała kłótnia, bójka w końcu i ku wielkiemu zdziwieniu wykładającego lekcję profesora, wychodziły spod ziemi duchy mniej od Banka²⁸⁰ spokojne, wołąc klęczenie aniżeli szturchańce albo też rabunek współgrających. W takich razach następowała zwykle obława: profesor chciał resztę podziemnych zbiegów wytropić, a ci z ławki pod ławkę umykali, ani się poznać, ani pojmać nie dając.

²⁷⁶ *Szlufik* – rodzaj gry w karty.

²⁷⁷ *Preferans* – gra w 32 karty, w której rozstrzyga liczba wziętych lew.

²⁷⁸ *Gieryłasa* – gra w karty; połączenie wista z preferansem, bez atutów.

²⁷⁹ *Stos, diabełek* – popularne w XIX wieku hazardowe gry w karty.

²⁸⁰ *Banko* – postać z dramatu *Makbet* Williama Shakespeare'a.

Zdarzało się też często, że w czasie lekcji którego z bardziej powolnych nauczycieli odgrywano koncerta, niekiedy puszczano gołębie, czasem wyprawiano maszkaradę – jak co kiedy wypadło! A w bardzo wyjątkowych razach wsadzano szpilki w siedzenie krzesła profesorskiego, czasami obcinano mu guziki, do kapelusza wrzucano śmiecia; a już bardzo a bardzo rzadko ostrzeliwano profesora pukawkami, bijąc gałkami z papieru, które zmoczone w wodzie nabierały ciężkości i guzami znaczyły drogi swego pochodu.

Kubuś, że był ładny i zwinny chłopczyzna, a może hrabiostwo mu pomogło, bardzo prędko wszedł w łaski starszyny, która go wzięła w swoją protekcję. Dokażywał też mały urwisz i wszystko uszło mu bezkarnie, bowiem protektorowie krzywdzić go nie dozwolili. Inaczej z Szymciem: ten nie miał miru²⁸¹ u starszyny i kilkakrotnie sprawiono mu suchą łaźnię – „byś nas znawał, błaznie!”, jak mówiła formułka starszyny. Twardy bo też był z niego orzech, a żadnej dani nikomu nie płacił, zemstę zaś swoją tak daleko posunął, że pewnego razu pokrajał odzież starszyny i dwom z nich obciął nożycami wąsy. Kto wie, jaka za to kara spotkałaby zuchwalca, szczęściem tylko, że to był czas egzaminów i Szymcio wzięciem promocji do klasy drugiej wywinął się z rąk zawziętej starszyny, która wedle istniejących praw nie śmiała karać ucznia nie ze swej klasy. Dali więc spokój Szymciowi, ale zanieśli nań skargę do starszyny klasy drugiej, która go nie omieszkała za dawniejsze grzechy przykładownie ukarać. Dostał jeszcze Szymcio raz i drugi należyte cięgi i byłby w końcu uciekł z klasy, gdyby go Kubuś nie wziął w opiekę: pogadał ze starszyną, powiedział coś na rozum Szymciowi, sproszone starszych na strych gimnazjalny, gdzie już czekało na nich sześć miar lipcowego miodu od Moszka i kilkadziesiąt pieczonych pierogów z kapustą, po groszu na rynku sprzedawanych. Wyprawił Szymcio fetę starszynie i miał spokój święty. Broił z Kubusiem, ile chciał, i znajdował opiekę starszych.

Kwitł też pomiędzy uczniami przemysł wszelki: wyrabiano misterne fajeczki, cybuszki²⁸², krzyżyki z grzebieni, dzbanuszki z pestek wiśniowych, pudełeczka etc. I wszystkim tym prowadzono handelek, który po prostu nazywał się *s z a c h r a j - s t w e m*.

– Szachrujmy! – mówił Jaś do Stasia.

– Zgoda, szachrujmy! – odpowiadał Staś. I dalej do targu.

²⁸¹ *Mir* – pokój, spokój.

²⁸² *Cybuszka* – podłużna, rurkowata część fajki łącząca główkę z ustnikiem.

Grą w guziki zabawiali się młodzi, a zabawę piłką doprowadzono do artysty – miałeś w niej prawdziwych mistrzów! Pływanie było również niezbędnym do zupełnego wykształcenia. Zaledwie by uwierzyć można, że w błotnistej rzeczulce, jaką jest Smotrycz, kąpie się kto więcej aniżeli ułaskawione dziki pana Kiełbasy! A przecież wykształciła ona sławnych pływaków, którzy umieli dwie godzin płynąć bez zmęczenia, dawać nurka i osiągać największych głębin. O, Smotrycz pod tym względem przoduje innym rzekom naszym.

Jedzono obficie frukta niezmiernej taniości w poczciwym naszym mieście, kawonami²⁸³ toczono wojnę na kasztanowych polach tuż koło Krynicy Huńskiej²⁸⁴, wyprawiano stawne majówki itd.

Nie potrzebuję podobno mówić czytelnikom, że Kubuś i Szymcio nie przykładali się do nauk wcale – czynili to z zasady: życia ze ślęczeniem nad książką pogodzić się nie da! Dla formalności tylko chodzili do klasy, i to kiedy się im podobało, za to nie miałeś ani jednej skały, na której cyplu nie byłiby wszyscy trzej (bo Szymcio i Kubuś nie dadzą się nawet pomyśleć bez Pańka!), żadnego ze sławnych podziemi Kamieńca, na którego ścianach nie wypisałiby swych nazwisk. Wyczytasz je dziś jeszcze na kopule wieży dominikańskiej²⁸⁵, na księżycu minaretowym²⁸⁶, wieży ratuszowej i wszędzie, gdzie tylko umieszczenie połączonym jest z niebezpieczeństwem utraty życia. Było to bowiem heroizmem do takich punktów śmiało docierać. Nikt od nich z większymi figłami nie biegał po murze tureckiego mostu, zawieszonym nad trzechsetsążniową przepaścią. Nikt zwinniej nie chodził po łotokach²⁸⁷ młyna, gdzie najmniejsze chybnienie o rozerwanie w sztuki przypawić mogło. Nikt wreszcie tak dobrze nie znał okolic Kamieńca, jak: Rajska Brama²⁸⁸, Zińkowce²⁸⁹, Dłużek, Borszczahówka. Dotarli nawet do Huminiec, gdzie z szubienicy zdjęli kościotrup wilka, zawiesiwszy natomiast lalkę Żyda wypchanego ze słomy, czym mocno przerazili podróżnych. W końcu mówię

²⁸³ *Kawon* – arbuż.

²⁸⁴ *Krynica Huńska* – źródło na obrzeżach Kamieńca Podolskiego.

²⁸⁵ *Wieża dominikańska* – wieża kościoła dominikanów w Kamieńcu Podolskim.

²⁸⁶ *Księżyc minaretowy* – pozostałość po panowaniu Turków w XVII w. w Kamieńcu, czyli minaret z półksiężycem ozdobiony figurką Matki Boskiej przy katedrze Świętych Apostołów Piotra i Pawła.

²⁸⁷ *Łotok* – koryta z desek, którymi woda spływa na koło młyńskie.

²⁸⁸ *Rajska Brama* – futor pod Kamieńcem Podolskim.

²⁸⁹ *Zińkowce, Dłużek, Borszczahówka, Huminiec* – miejscowości położone w okolicach Kamieńca Podolskiego.

pod sekretem, chociaż o tym wielu ludzi wiedziało – nie było winiarni w Kamieńcu, chociażby to była nawet taka „Wilcza Jama” w skale od strony Karwasar²⁹⁰ albo „Gnojanka” za rogatką, której by nie znali; w „Smoczej Paszczy” zaś mieli u Herszka miejsce pierwsze, z praktykowanymi w winiarniach honorami.

Ponieważ w „Smoczej Paszczy” odegrać się ma scena z dramatu życia mych bohaterów, która pewien przełom, epokę nawet stanowi, przebaczą mi tedy czytelnicy, że opisowi jej poświęcę słów kilka.

Rynek Kamieńca, jak niemal wszystkie rynki na świecie (kuchenne wyjąwszy), jest to wielki zabudowany czworokąt, którego wewnątrz zajmuje zwykle ratusz z wieżą i zegarem na niej często bijącym, rzadko wskazującym, a zdarza się, że ani jedno, ani drugie. Miejsce wolne zajmują zwykle przekupki i włościanie wiozący do miasta rozmaite jarzyny i leguminy, rzadziej drób, a mięsa nigdy, wieprzowe wyjąwszy. Wszak prawda, że takim bywa zwykle rynek miasta polskiego? Kamieniec wszelako odmiennie począł sobie w tej mierze. Najpierw koło chodników stoliki owocowe i z cybuchami; naprawa parasoli również tu ma swe miejsce; dalej rzędem idą stoliki wekslarskie²⁹¹, zawsze prawie próżne, a na spore kłódki zamknięte; od południa dorożkarze, gdzie indziej fijakrami zwani; na wschód stragany owocowe, leguminy i kiełbasy sprzedawane od piątej z rana do dziesiątej w nocy; owoce leżą na ziemi tak długo, dopóki kamieńczanie wszystkich nie zjedzą, śliwek węgierskich na wybór dają sto, kawony po groszy 6, melony – 2. Amator owoców może z tego korzystać i powieść mą odczytawszy, udać się do Kamieńca, tylko niech weźmie egzemplarz jej do kieszeni, by mu ani jednej sztuki nie ujęto z tego, co tu podaję.

Od wschodu i południa pod ratuszem szereg domów, między którymi wonna ulica Ciasna – wyraźnie ulica, chociaż w poprzek nie ma dwóch łokci²⁹². Przed domami tymi budki w dwa rzędy: od południa – z bułkami, kiełbasami i starym żelastwem, od północy – z towarami drobiazgowymi, co gdzie indziej norymberskimi²⁹³ się zowią. Domy pod ratuszem mają sklepy na dole; na chodnikach handel czernidła do butów, ćwieków i stoliki z makagigami²⁹⁴; na piętach – mieszkania

²⁹⁰ *Karwasary* – miasteczko nad Smotryczem; przedmieścia Kamieńca Podolskiego.

²⁹¹ *Stolik wekslarski* – kram wekslarza, czyli osoby pożyczającej pieniądze na procent.

²⁹² *Łokieć* – jednostka miary o długości zależnej od państwa, regionu i epoki historycznej; w Polsce: od 50 do 60 cm.

²⁹³ *Norymberskie towary* – drobny sprzęt domowego użytku, galanteria, zabawki dziecięce, wyrabiane dawniej w Norymberdze.

²⁹⁴ *Makagiga* – ciasto, pochodzące z kuchni żydowskiej, ze smażonego maku, miodu, migdałów i orzechów.

panów kupców, bez wyjątku mojżeszowego wyznania, ale nie Polaków, tylko kupców po prostu, Żydami tu zwanych. Za sklepami podwórka ciasne, a na gwałt wzywające pomocy Jana Marii Farina²⁹⁵. W podwórkach brudne drzwi do jeszcze brudniejszych szynkowni, a w szynkowni znicz – nigdy niegasnąca półgroszówka, świeca smarkaczką zwana, pan arendarz w papuciach z cycele²⁹⁶ i w jarmurce, zawsze gotów na usługi, kłania się jegomości i otwiera drzwi do piwnicy. Chłodne powietrze winnym kwasem przesiąknięte, buchające za otwarciem drzwi, mile oddziaływa na nerwy spragnionego gościa, który też za szynkarzem i smarkaczką idzie po śliskich kamiennych schodach do piwnicy. Tu oku jego przedstawia się miły widok: rzędem stoją, wiszą niekiedy, potężne beczki, brzemienne winem, miodem albo nalewkami; stół pośrodku, ławki wokoło; pod czopy podstawiono miski gliniane; na stole kufle wyższe i niższe, węższe i szersze; a wokoło ciemność grobu, cisza rajska i chłodek wyborny, bo pozwalający pić sześć razy tyle, ile by człek zdołał wypić w pokoju.

W takich podziemiach zastaniesz zawsze niemal towarzystwo dobrane: obywatela miejscy, najczęściej profesji szewskiej, urzędnicy, z magistratu szczególnie, wojskowi stopni niższych – oficerowie bowiem raczą się w klubie lub w restauracji Warszawskiej szampanem, którego w opisywanych tu piwnicach wyrabiają w Kamieńcu. (Szampańskie wina kamienieckie ustępują winom szampańskim berdyczowskim). Byli tu świeccy, nie zbywało i na osobach duchownych; szczególnie zamiejscy, lękający się szpiegów biskupich, tu się udawali gromadnie. Wygodne bo było szynków tych urządzenie i warto, by na ten sposób urządzono je gdzie indziej. Wchodziło się do sklepu, ażeby kupić, czego w gospodarstwie brakło: igieł, skór, sukna, bo wszystko tu było pod ręką. Kto kupił, ten wyszedł spokojnie ze sklepu, kto zaś targował tylko, temu pokazywano drzwi tylne, które go wprost do winiarni zaprowadziły.

Takie to były szynkownie; a między nimi najstawniejsza do dziś może szynkownia rudego Herszka, zwana „Smoczą Paszczą”.

Herszko był jak inni szynkarze: rudy wprawdzie, ale małoż to rudych szynkarzy! I szynkownia jego była pozornie jak wszystkie szynkownie: szynkwas, w kałużach pływają kaczki, zapach jak należy i gorejąca smarkaczka, i po schodach szło się jak u innych szynkarzy; w piwnicy, prawda, było nieco więcej beczek

²⁹⁵ *Jan Maria Farina* – Giovanni (Joahann) Maria Farina (1685–1766), w 1709 roku wyprodukował pierwszą wodę kolońską na świecie.

²⁹⁶ *Cycele* – frędzla złożona z 12 sznurków, część rytualnego stroju ortodoksyjnych Żydów.

nawet pooblepianych smołą i stołów liczba większa, ale też zresztą nic więcej! Cóż „Smoczej Paszczy” Herszka zrobiło taki rozgłos w kraju, że ją nawet w Bałcie²⁹⁷ znają, a z Mohyłowa wszyscy jak w dym do „Paszczy” Herszka? Odpowiem. Na trzy kategorie dzielił Herszko swych gości: hołotę podejmował smrodliwą wódką, kwaśnym piwem i winem w samej szynkowni; ludzi porządnych wprowadzał do podziemi – przed tymi jarmurki uchylał i ściskał niekiedy za rękę. Niechże się w drugiej izbie ozwało trzykrotne stuknięcie, Herszko jak błyskawica wdziawał na się atłasowy chałat²⁹⁸, przyglądał pejsy i biegł do alkierza²⁹⁹. W alkierzu z poważnego Herszka robiło się żywe srebro, które też bardzo prędko umiało ze swym gościem zniknąć pod ziemią, już ze stoczkiem³⁰⁰ woskowym, wprowadziwszy go do szynkowego „sacra”, jedyne w całym Kamieńcu.

Była to wygodna bardzo, acz niewielka jaskinia. Wytrawne winka zapachem w powietrzu nęciły, sprzęty, naczynia były o wiele porządniejszymi aniżeli w tamtej piwnicy; a nawet srebrne wyłacane kubki Herszka nie zachały się³⁰¹ tej świątyni Bachusa³⁰², w której wybrani tylko cześć mu oddawać mogli.

Do wybranych i uprzywilejowanych należeli Szymcio i Kubuś. Pańko, acz *profanus*³⁰³, wszedł jednak za paniczami do świątyni i wraz z nimi przynosił bożkowi całopalenie ofiarne na jego ołtarzach.

W jaki sposób bohaterowie nasi potrafili zdobyć sobie tak potężne względy Herszka – umiałyby powiedzieć ich pieniądze znajdujące się w worku szynkarza, a skąd się pieniądze brały? Na to ja odpowiem. Coś niecoś dawał Szymonkowi pan Bartłomiej, więcej daleko dawała pani Bartłomiejowa, niemal co tygodnia przysyłając synciowi kilka rubli na orzechy; a ponieważ syncio miał zęby słabe, a przy tym orzechów nie lubił, nic więc dziwnego, że do czego innego służyły mu pieniądze! Kubusiowi wujaszek równie nie skąpił grosza. Trwało to jednak do wspomnianej kąpieli wiślanej wieprzów, odtąd bowiem coraz to

²⁹⁷ *Balta* – miasto na Ukrainie, w obwodzie odeskim.

²⁹⁸ *Chałat* – wierzchnia odzież sięgająca do stóp, noszona przez Żydów.

²⁹⁹ *Alkierz* – boczny, mały pokój, służący zwykle za sypialnię.

³⁰⁰ *Stoczek* – cienka świeczka woskowa.

³⁰¹ *Zachać się* – wzdrygać się od czegoś.

³⁰² *Bachus (Dionizos)* – w mitologii greckiej bóg płodności, dzikiej natury, winnej latorośli i wina.

³⁰³ *Bezbożny*.

bardziej małały datki pana Kubu, wcale sobie lekceważąc wzrastające potrzeby Kubusia.

Gdy zabrakło gotówki, Joś dawał ją chętnie w zamian za zbywające wiktuały chłopców, bieliznę, rzeczy przenoszone³⁰⁴ i tym podobne fatalaszki, które jak kamfora bez pieprzu nikły, w postaci złotówek przenosząc się do Herszka rudego...

Tak się też to facjendowało!...³⁰⁵

Ale czas mi wrócić do wątku opowieści.

Przejażdżka z Szymciem na wieś, spóźniony powrót spowodowały, że dwaj bohaterowie nasi nie przeszli do klasy trzeciej. Pan Kuba gniewał się za to bardzo, ale go Kubuś rozbroił tym, że przecież niepodobna mu było odstąpić kolegi, gdy ten odjeżdżał do obłożnie chorego ojca – uczynił to więc dla przyjaźni! A pan Kielbasa każde uczucie stawiał bardzo wysoko, chociaż dotąd jeszcze pojąć nie mógł, jak można sympatyzować z Szymciem, o którym nieustannie złe miał wyobrażenie.

Było to na wiosnę. Szymcio i Kubuś leżeli na sofach z fajkami na długich cybuchach, ćwicząc się w misternym puszczaniu kółek z dymu tytoniowego. Pańko nieco opodał, ale także leżąc, palił fajkę na krótszym o wiele cybuszku. Długie szyjki wypróżnionych flaszek wyzierały ze wszystkich kątów, karty rozrzucone miałoś na stole i pod stołem, a nawet praktyczniejszy od panów swych Pańko ćwiczył się w tej chwili w szacherce³⁰⁶ karcianej, noszącej techniczne miano „kart podkładanie”. Zastosowanie swe ma ta rzecz przy stosie, rzadziej przy diabelfku.

Po chwili takich ćwiczeń Kubuś i Szymcio puścili najbardziej doskonałe kółka, Pańko zaś doszedł do nowego sposobu podkładania kart przy ścinaniu. Głos zabrał Kubuś:

– Powiedz mi też, Szymciu! Czy bardzo ci się twój stan podoba?

– Albo co?

– Nic, ot, tak pytam tylko.

– Zdaje mi się, że na niczym mi nie zbywa.

Kubuś uśmiechnął się. Pańka zainteresował ten uśmiech.

– A ty, Pańku, kontent³⁰⁷ jesteś z siebie?

– Czemu nie! A panicz wie może co innego?...

³⁰⁴ *Przenoszony* – używany.

³⁰⁵ *Facjendować* – handlować, wymieniać się na coś.

³⁰⁶ *Szacherka* – oszukiwanie.

³⁰⁷ *Kontent* – zadowolony.

- Kubuś zamilkł znacząco, a po chwili rzekł:
- Moi kochani! Powiedźcie też, ile lat macie?
 - Wiesz przecie. Mniej więcej w równym jesteście wieku.
 - A więc skoro tak, powiedz że mi, Szymciu, czy nie uczuwasz ty pewnej próżni, czczości w sobie?
 - Nie!
 - A ty, Pańku!
 - Jam się objadł, że ledwie nie pęknę, a panicz pyta, czy ja próżny!
 - Osioł jesteś, Pańku; dawno ci to mówiłem.
 - Abo to ja durny temu wierzyć!
 - Wierz czy nie wierz, a tak jest w istocie. Otóż słuchaj mnie, Szymonku! Mamy mniej więcej po lat ośmnaście, dziećmi tedy być przestaliśmy. Czy tak?
 - To się rozumie! – potwierdzili Szymcio i Pańko.
 - Powiedźcież mi teraz: po czym poznać, żeśmy nie dzieci?... Nic, tylko figle! Ależ to każdy dzieciak potrafi!...
 - Zupełną słuszność masz, Kubusiu; ale nie wzięłeś w rachunek...
 - Co? Fajki, karty?... Mój kochany, to teraz rzecz tak powszednia, że na nią świat uwagi nie zwraca! Teraz fajkę palą w kołyskach, a sztosa ścinają³⁰⁸ w pieluchach!
 - A rudy Herszko? – zapytał Pańko.
 - A prawda! Masz, nic że to nie dowodzi?
 - Toteż i wszystko. Ba, gdyby nie to, nie bylibyśmy dziećmi, ale mazgajami po prostu!
 - Czegóż chcesz więcej? Czym chcesz, byśmy byli?
- Kubuś pomyślał i rzekł po chwili z naciskiem:
- Rozbójnikami!
 - A dajże mi pokój! Pańko świadek, że w swoim czasie byłem i rozbójnikiem. Teraz mi to ani w głowie.
 - Co się też paniczowi przyśniło?...
 - Milcz, skoroś głupi! Szymciu, domyślny nie jesteś... Tak, bądźmy zbójcami! Ale rozbijajmy tylko zamki oporu, kradnijmy serca młodym dziewczętom, słowem – kochajmy się!
- Na te słowa Pańko aż podskoczył z radości.

³⁰⁸ *Ścinać sztosa* – zbierać pulę w hazardowej grze w karty.

– Oj to to! Ja to już dawno czułem, że nam czegoś nie dostaje, ale nie umiałem tak pięknie to zrozumieć jak panicz Kubuś. Tak, musimy się kochać. To nic nie pomoże!

– Cóż ty na to, Szymciu?

– Zgadzam się z tobą, ale nie wiem, jak się do tego weźmiemy.

– Ja ci poradzę. Ubierzemy się w mundury, powykładamy kołnierzyki, wdziemy rękawiczki, lakierowane buciki i marsz na bulwar!... Najpierw będziemy patrzeć, później przemówimy, zakochamy się...

– A dalej? – zapytał Szymcio ciekawy.

– Co kto lubi! Na amatora można i do ołtarza... Ale o tym potem. Ubierajmy się.

– Ty, Pańku, wdziej liberię³⁰⁹ i chodź za nami. Tylko słuchaj, trzymaj się z respektem, bo cię nauczymy rozumu!

– Abo to ja durny i nie wiem, co w domu, a co na ulicy? – odpowiedział Pańko.

– No, pamiętaj! A teraz biegnij do apteki i kup perfum. Tylko prędko, bo musimy przyjść w sam czas na promenadę. Skoczże, a na jednej nodze.

– Wolę na dwóch, bo prędeż.

– Trochęśmy chłopca rozpuścili – rzekł Kubuś po wyjściu Pańka. – Koniec końców jednak uskarżać się nań nie możemy. Ubieraj się!

Za pół godziny niespełna wygalonowany Pańko szedł za swoimi paniczami przechadzającymi się po głównej alei wałów kamienieckich, mających pretensję do ogrodu, a bulwarem przewanych przez mieszkańców Kamieńca.

Rzecz nieodżałowana, że w owe czasy nie były jeszcze szkła w częstym użyciu i nosili je ci tylko, którzy rzeczywiście mieli wzrok słaby. Wybornie wyglądałby Szymcio z kukierem³¹⁰, bo co do Kubusia, ten był tak ładnym chłopcem, że niejedna dziewczeczka i bez kukiera słodko patrzyła na młodego hrabiczka. Kubuś i Szymcio przechadzali się poważnie. Jak automat ruszał się za nimi Pańko, za każdym przemówieniem panów do niego zdejmując galonowany kapelusz z głowy.

Publiczność ogrodowa acz znała dobrze trzech naszych bohaterów, niemniej przeto była zainteresowana ich obecnością w ogrodzie, w którym po raz pierwszy dopiero widziano ich przyzwoicie spacerujących. Chodzili, patrzyli; patrzyli

³⁰⁹ *Liberia* – mundur dla służby.

³¹⁰ *Kukier* – rodzaj szkieł noszonych dla poprawienia wzroku.

i jeszcze chodzili – nic! Pańko był zły, Szymcio znudził się kapitalnie, Kubuś czuł zmęczenie i gniewało go bardzo, że tylko czas stracił na próżno.

Już się mieli ku odchodowi, z czego Pańko rad był niepomieranie, gdyż głód dawał się mu uczuwać, gdy wtem uwagę naszych bohaterów zwróciło żywsze jakieś zainteresowanie się publiczności zwróconej ku wchodowej alei ogrodu. Spojrzeli w tę stronę i – jak to powiadają – zapomnieli języka w gębie. A byłoby bo od czego zapomnieć, w istocie! Dwie hoże brunetki, przyrodziane kwiecisto, o ruchach swobodnych a pełnych gracji, weszły do ogrodu. Rozmawiały ze sobą po włosku, a głosik ich tak był dźwięczny, jak dzwonek na wieży karmelitów (tak utrzymywał Szymcio). Włosy hebanowe, zęby perłowe, lica rumiane, usta różane, drobna rączka, mała nóżka i etc., jak to zwykli opisywać powieściopisarce o sławie rozgłośnej. Ani też myślę iść z nimi w zawody i wolę wrócić do mych bohaterów, którzy – jak mówiłem już – zapomnieli języka w gębie. Jedna Włoszka (rzecz bowiem niezawodna, że obie były Włoszki) była wzrostu słusznego, o czarnym oku i mimo wzrost swój od razu wpadła w oko Szymciowi, nie oparłszy się aż o jego serce. Bohater nasz czuł ją w piersi i w gardle go dławiała... Śnać tak sądzono Szymciowi!

Druga Włoszka – maluchna, o wciętym pasie, ramionach okrągłych a błękitnym oku – niezmiernie podobała się Kubusiowi! Wielka szkoda, że nie było Włoszki trzeciej, ta bowiem Pańka by zajęła. Cóż, kiedy nie było trzeciej!

Westchnął Szymcio jak miech kowalski – (O n a spojrzęła); Kubuś kołnierzyki poprawił (Ta się uśmiechnęła). Już ich też Włoszki wiodły jak na włosku, a staraniem obu bohaterów naszych było, aby kto tej spójni nie przerwał, wcinawszy się między nich a piękne córy południa.

Włoszki chichotały, rzucając czas do czasu spojrzenia ogniste na naszych bohaterów. Szymcio coraz to bardziej sapał, Kubuś naniwec³¹¹ zmiął kołnierzyki... A Pańko? Biedny Pańko! Chodził sierota, jęczał, stękał, wreszcie nie wytrzymał i szarpnął Szymcia za poję.

– Paniczu Szymciu!

Omiał go Szymcio nie rozdarł, bo właśnie ona spojrzęła na niego.

– Idź do diabła! – syknął, aż przestraszony Pańko cofnął się o krok, za co oberwał po karku od wysokiej jakiejś figury, której palce przydeptał.

³¹¹ *Naniwec* – wniwecz, do szczętu.

– Tfu! – splunął Pańko. – Niechże oni choć za tymi Cygankami, ale ja?... Ahij! Wróć do domu. – Jakoż i poszedł.

A Włoszki wciąż chichotały, darząc słodkimi spojrzeniami swych *cavalieri*³¹², aż wreszcie mrok wieczoru przysłonił ich krasę, ale zarazem uczynił bardziej powabnymi... Kubuś i Szymcio byli oczarowani, a niepodobna było nie skorzystać ze sposobności poznania pięknych nieznajomych, szczególnie gdy wszedłszy w górną część wałów, znalazły się obie sam na sam z naszymi bohaterami.

Krótką była informacja Kubusia udzielona Szymciowi – obadwaj stanęli przed Włoszkami, które też zatrzymały się w miejscu.

– Hm! – chrząknął Kubuś, a Szymcio dobył chustki i przyłożył ją w milczeniu do nosa.

– *Signora!*³¹³ – rozpoczął Kubuś.

– *Signor!*³¹⁴ – odpowiedziała maluchna, błękitne oko spuszczać w ziemię i rumieniąc się wstydliwie. A licząc po włosku, mogła mieć zaledwie lat trzynaście.

– *Signoretta!*³¹⁵ – powtórzył Kubuś z zapalem i porwał drobniuchną rączkę pięknej nieznajomej, okrywając ją pocałunkami.

Szymcio wciąż stał przed swą o wiele starszą boginią z chustką u nosa i nie wiedział, co dalej począć. Co widząc, bogini pierwsza podała mu rękę. Szymcio z wielkiej alteracji nie wiedział, czy wpierw chustkę schować do kieszeni, czy na wzór Kubusia całować rękę swego anioła! Przekładał chustkę z rąk do rąk, dotykał się ręki Włoszki, wreszcie rzucił chustkę na ziemię i uczeplił się ustami podanej rączki.

– *Poverino!*³¹⁶ – szepnęła Włoszka i coś przemówiła do Szymcia, który z tego ani słówka nie zrozumiał, począł bełkotać... To zapewne zmusiło Włoszkę, że zaczęła z nim rozmowę łamaną polszczyzną.

Kubuś tymczasem był na bardzo dobrej drodze z maluchną i najswobodniej rozmawiał z nią po francusku, dopiero teraz poznawszy, jakim skarbem dlań jest mowa dobrze urodzonych. Znajomość była zrobiona: nasi bohaterowie dowiedzieli się, że ich boginie były artystkami w cyrku Guerra, który tylko co przybył do Kamieńca, co ich niezmiernie ucieszyło. Maluchna nazywała się Pepitta, bogini Szymciowa Rosetta, a obie od razu poczuły szczególniejszy pociąg: ta do Kubusia,

³¹² *Adoratorów.*

³¹³ *Pani!*

³¹⁴ *Panie!*

³¹⁵ *Panienko!*

³¹⁶ *Biedactwo!*

tamta do Szymonka. Przechadzali się do późna, jedli kolację, śpiewali rozmaite piosenki, wreszcie pożegnawszy naszych bohaterów na podsieniu zajazdu Mojsze Mendla, gdzie grono artystów zajęchało, udały się boginie na spoczynek. Szymcio i Kubuś późno w noc wrócili uszczęśliwieni do domu.

Jak skoro weszli do pokoju, Szymcio począł serdecznie ścisnąć kolegę.

– Kubusiu! Kubusiu! Jestem bardzo szczęśliwy! Rosetta powiedziała mi *caro mio!*, co znaczy „mój drogi!”. Słyszysz? Jestem jej drogi! Obdarzyła mnie swoim zaufaniem, przyznała się, że podróż wyczerpała jej fundusze. . . , dałem trzy ruble, oddałbym wszystko, co mam! Ciało, duszę! Bo ja kocham Rosettę, kocham! Kocham!

Kubuś widział potrzebę ochłodzenia zapału towarzysza, rzekł więc:

– Wszystko to dobrze, bardzo pięknie, że pokochałeś Rosettę, bo to dobra dziewczyna. . .

– I piękna! – wtrącił Szymcio. – Piękna jak anioł!

– Zgoda i na to, ale nie trzeba zapalać się zbytecznie.

– Ach, ty nie wiesz, jak to miło. . .

– Już czy wiem, czy nie wiem – przerwał Szymciowi Kubuś – ale powiem ci, że wprawdzie wieszować sobie możemy znajomości. Mimo to, przyznam ci się, że jest za kosztowna nieco: karmelki, kolacja, wino, papierosy i inne drobniejsze wydatki. . . Wiesz, ile straciliśmy?

– Mniejsza o to! Teraz nie myślę o pieniądzach.

– Ba! Ale ja myślę: dziewięć rubli, pięć złotych i coś tam groszy, a dodać do tego twoich trzy rubli. . . Jutro przedstawienie, pieniędzy nie mamy. . .

– Joś da!

– Diabła tam da, gdy nic mu w zamian dać nie mamy!

– Pańko dostanie!

– Skąd?

– Już jego w tym głowa. Dostanie.

– Aha, dostanie – ozwał się z przedpokoju głos Pańka. – Już on dobrze dostał! . . .

– A chodź no tu, Pańku. Co ty tam bredzisz?

– Oj, bredzę! Podziękować paniczowi Kubusiowi, ładnie mi nabredzili, zem ledwie do domu dołądził, a pysek³¹⁷ cały niby mię rój pszczoł pokąsał. O! – I wszedł do pokoju.

³¹⁷ Pysek – pysk, twarz.

– A tobie co się stało?

– Oj, stało, stało! Żeby oni nie doczekali, kiedy ja im to daruję! A wszystkiemu panicz Kubaś winien.

– Ja?

– A juści! Jak zaczął panicz mówić: kochajmy się, a kochajmy, tak i mnie bieda skorciła; jakże obaczyłem paniczów uganiających za tymi Cygankami...

– Włoszki! – ozwał się Szymcio.

– To wszystko jedno, niech będą i Włoszki! Otóż nabrałem większej jeszcze ochoty. Poszedłem sobie na Ormiańską, bo wiedziałem, że tam ładna dziewczyna Zośka, co służy u Nehabidowiczów. Przyszedłem taj dalej się zalecać, a ona ucieka. Ja za nią, a ta do ogrodu – ja już w ogrodzie! A ta powiada: „Idź, ruda potworo, bo ci dam, że popamiętasz!”. I podobność uderzyła mnie po twarzy, co mię bardzo rozgniewało. Myślę ja sobie: co robić? Aż tu mnie ktoś kijem maluje po grzbiecie. Patrzą: to Marek kucharz. „A ty złodzieju!”: niewiele myśląc, jak go palnę... i w nogi. Już mnie nie ma! Byłbym uciekł, ale Stefanek zabiegł mi drogę i furtkę zamknął. Ja wtedy za kamień i chciałem uderzyć Marka, lecz oni prędzej wsiedli na mnie z kijami i pięstukami³¹⁸. Biłem i ja ich tego, ale przecie oni mnie wybili, taj niby omłócony snop grochu wyrzucili przez parkan na ulicę. Tak to mię panicz Kubaś wykierował z kochaniem. Ale ja im tego nie daruję do śmierci! Bo to Marek ma się żenić z Zośką, dlatego mię tak tłukli mocno; a Stefanek to siostrzeniec jego. Już ja im za to podziękuję! Popamiętają oni Pańka ruski miesiąc. O, ile mi włosów nawyrywali!

– Nietęgo ci się powiodło, Pańku! Ale sam sobie jesteś winien. Po co lałeś do zaręczonej?

– A diabeł ją wiedział, że ona taka! Toć pewno wołałbym bez guzów i sińców! Ale coś mi się zdaje, że ja zawsze lepiej wyszedłem na tym niż panicze.

– A to oczewista! Masz guzy i sińce, których my nie mamy!

– Mam ja jeszcze coś więcej, czego panicz Kubaś nie ma! A to by się bardzo paniczom zdało na te woltażery³¹⁹, bo ja wiem, że jutro będą komedie puskać³²⁰. A patrzcie, panicze! Ot, ta sakiewka, w niej: dwa ruble srebrne, trzy rublówki i trochę miedziaków. Jakże się to paniczom podoba?

³¹⁸ *Pięstuk* – pięść.

³¹⁹ *Woltażer* (*woltyżer*) – cyrkowiec.

³²⁰ *Puskać* – dawn. puszczać; tu: wystawiać komedie.

– Daj go katu! Skąd masz te pieniądze?

– Ba! Paniczów nie bili i kazali sobie zapłacić. Mnie wybili, prawda, ale i zapłacili! To pieniądze Marka. Jakem się borykał, wypadły mu z kieszeni. Pozwoliłem się bić wprawdzie, ale schowałem sakiewkę i mam grosze! A on głupiec tylko pociechę, że mnie wybił, he, he, he!

– Brawo, Pańku! Zuch z ciebie! Ale te pieniądze pożyczysz nam jutro?

– To obaczmy. Tymczasem dobranoc paniczom, pójdę spać, żeby mi choć trochę twarz stęchła³²¹.

– Sprytny chłopiec! Wysoko pójdzie. Dobranoc ci, Szymciu!

– Dobranoc.

Wkrótce też posnęli bohaterowie, marząc: Szymcio o Rozecie, Kubuś o Pepicie. Pańko bił Marka, Stefanka i Zośkę.

Nazajutrz byli w cyrku na przedstawieniu, później jedli kolację z Rozettą i Pepitą. Nie opuścili żadnego przedstawienia w cyrku. Jadali nieraz podwieczorki, obiady, kolacje... Pieniądzy dostarczali bądź Joś, bądź pan Kuba, pan Bartłomiej; najwięcej pani Bartłomiejowa, otrzymawszy kilka listów od Szymcia: najpierw, że był chory i zadłużył się w aptece, później że go okradli. Starczyło to aż do chwili odjazdu trupy wołyżerów.

Przy rozstaniu pokazało się dowodnie, że Szymcia cieszył odjazd Rozetty, Kubuś zaś nie wiedział, co począć, bo się przywiązał do Pepity, a może nawet kochał młodziutką Włoszkę. Pepita szczerze pokochała ładnego Kubusia – najlepszym dowodem było to, że nie chciała korzystać z pozycji, która się jej nadarzała; ze łzami w oczach mówiła mu na pożegnanie: „Mój drogi! Ja cię kocham i dlatego nie chcę twej zguby... Ja bym ci była zawadą w życiu... Zapomnij biedną wołyżerkę, która cię bardzo, bardzo kocha..., ale twoją być nie może... Ja tego nie przeżyję... Ja umrę, bo ja cię kocham! *Caro mio! Addio!*³²²”.

Płakał Kubuś jak bóbr. Do Huminiec odprowadził kochankę, zemdłał przy pożegnaniu i gdyby Szymcio nie odjął rąk jego od szyi Pepity, kto wie, jak by się jeszcze skończyło, bo i mała Włoszka zemdłała w uścisku, powtarzając: „Ja umrę, umrę bez ciebie!...”.

Skończyło się jednak na tym, że wołyżerowie przez Odessę wrócili do Włoch wraz z Pepitą. Kubuś parę tygodni wyleżał w łóżku. We dwa miesiące doszedł go list

³²¹ *Stęchnąć* – o obrzęku: zmniejszyć się.

³²² *Mój drogi! Żegnaj!*

z Neapolu. Donoszono mu, że Pepita po przybyciu do ojczyzny umarła. Prosiła, by ją pochowano nad morzem, w gaju cytrynowym. Miniaturę³²³ kazała przesłać hrabi P. Porowskiemu. W błotach bywają perły, a na śmieciskach można brylant znaleźć...

Przez pół roku na ustach Kubusia nikt uśmiechu nie widział. Szymcio był pewnym, że jego towarzysz dostał czarnej melancholii. A zmiany, i niemałe, zaszły w położeniu bohaterów naszych. Samo przez się rozumie się, że promocji nie wzięli. Z tego powodu między panem Kubą a Kubusiem przyszło do sprzeczki, która się tym skończyła, że siostrzeniec podziękował wujowi za opiekę i stale zamieszkał z Szymonkiem na jego koszcie. Pan Kuba zmartwił się tym bardzo, chorował nawet, ale ponieważ był przekonany, że miłość stanęła Kubusiowi na drodze do promocji, a pan Kuba, jak wiemy, każde uczucie stawiał wysoko – skłonny więc, był do pojednania się z ukochanym swym Kubusiem. A obaczywszy miniaturę nieboszczki, nie dziwił się sympatii siostrzeńca do tak ślicznej dziewczeczki, która przy tym wszystkim umiała kochać i umrzeć z miłości. Przebaczył Kubusiowi niewzięcie promocji, ale czuł żal do niego, że śmiało opuścił wujaszka, i oczekiwał pierwszego kroku do pojednania się ze strony siostrzeńca. Sam zaś rozmaitymi sposobami czuwał nad nim i Kubuś obecnie więcej cichaczem dostawał pieniędzy od wuja aniżeli dawniej jawnie, za co się też nie gniewał wcale.

A cóż Pańko? Ten krokiem pewnym szedł ścieżką życia, a jeśli padł kiedy na nos, jak z Markiem i Zośką, to wnet podnosił się i szedł dalej. Marek, ożeniwszy się z Zośką, znikł z Kamieńca, zemsta więc Pańka nad nim poszła w odwłokę, natomiast Stefankowi upiekło się nie lada! Wyleżał dwa tygodnie w szpitalu obity przez mściwego Pańka, który – powtarzamy – szedł pewnym krokiem po drodze życiowej: miał trzy kochanki: w mieście jedną, na polskich folwarkach drugą, a na podzamczu trzecią. A co innych dziewcząt umizgających się do niego, to ani zliczyć! Dziewczętom podobało się zuchostwo Pańka: miło to mieć kochanka, któremu wszyscy z drogi ustępują, a takim był Pańko – rudy, ale chwata!

W czasie wakacji u Szymonka Kubuś przyszedł do siebie. Na wspomnienie Pepity wprawdzie chmurzyło się wyniosłe czoło chłopca, ale już nie stronił od ludzi i dziewczętom w oczka zaglądał.

Szymcio był uszczęśliwiony powrotem humoru Kubusia i wyprosiwszy od pani Bartłomiejowej niemało pieniędzy, ułożył wspólnie z towarzyszem cały plan życia, jakie mieli wieść w Kamieńcu. Głos Pańka także ważył w naradzie.

³²³ *Miniatura* – malowidło portretowe małych rozmiarów.

We wrześniu ruszyli znów do szkół, na naukę, jak wszystkim powiadała pani Bartłomiejowa, dumna, że takiego wychowała synaczka.

Synaczek też studiował, aż mu się z czuba kurzyło! Kubuś, jakby wynagradzając post półroczny, rzucił się w odmet, ciągnąc za sobą tych, którzy chcieli i takich, którzy opierali się zepsuciu.

Podówczas balet warszawski gościł w Kamieńcu. Kubuś i Szymcio byli protektorami najpiękniejszych baletniczek. Sypali pieniędzmi jak plewą. Pan Bartłomiej stękał, a przysyłał, bo Szymcio wciąż kłamał, że ma gwałtowne jakieś potrzeby, od których los jego zawisł. Worek pani Bartłomiejowej wpadł w suchoty galopujące³²⁴ – tak go szarpał Szymcio. Pan Kuba, przekonawszy się, że Kubuś został skończonym urwiszem, nie dosyłał pieniędzy... Wzięto się wtedy na sposoby: Szymcio otworzył salon kartowy. Zgrywali się bogatsi koledzy, dobrze opłacając gospodarzom traktamenta. Twardsi kapitulowali w „Smoczej Paszczy” u Herszka i wychodzili stamtąd goli jak tureccy święci... Dość, że pieniądze były! Koledzy mieli respekt dla gościnnych Szymcia i Kubusia, za których wielu dałoby się w sztuki porąbać; w Kamieńcu znano dwóch przyjaciół i interesowano się nimi.

Było by to tak trwało dłużej, ale na licho wmieszała się władza szkolna. Wzięli się do Szymcia i Kubusia. Na pogróżki ci odpowiedzieli kocią muzyką i wybiciem okien panom profesorom, a dyrektorowi, Niemcowi słabych nerwów, sprowadzili dwadzieścia kilka pozytywek i kazali grać każdej co innego przez noc całą pod oknami dyrektora. Niemiec koncert odchorował, ale o wszystkim napisał do pana Bartłomieja. Pan Bartłomiej zgorszył się bardzo wiadomością o prowadzeniu się syna – głównie zaś, że pieniądze traci. Zamknął sakiewkę i nie posyłał ani grosza. Ale Żydki, wywiedziawszy się, że pan Bartłomiej lada dzień n o g i z a d r z e³²⁵, dawali Szymciowi, ile chciał, rozumie się 28 od 100 miesięcznie³²⁶ – dawali przecie na w t r a t y!...³²⁷

Wyjechał balet; Szymcio i Kubuś wzięli teatr w protekcję. Pierwsza amantka kochała Kubusia, wodewilistka Szymcia, a obie przepadały... za prezentami.

³²⁴ *Suchoty galopujące* – ostre zapalenie płuc na tle gruźliczym.

³²⁵ *Zadrzeć nogi* – dokonać żywota.

³²⁶ *28 od 100 miesięcznie* – na przykład każde 100 rubli pożyczki po miesiącu należało spłacić 128 rublami.

³²⁷ *Wtrata* – strata.

Szymcio i Kubuś dobiegali lat 21, które to lata prawo krajowe uznaje za dostateczne do pełnoletności. Nosili oba małe bródki i wąsiki kręcili w górę. Kołnierzyki wieczorami nosił Szymcio pod same uszy, a było mu w nich do twarzy.

Władze szkolne tymczasem wciąż żywiły niechęć ku Szymciowi i Kubusiowi. Nawet Pańka nie lubiano w sferach uczonych. W czasie pewnego baliku wpadli dozorczy ze stróżami, zabrali gości Szymcia, jak kto był, i wpakowali do karceru³²⁸. Co później było – nie powiem, bo przypominam sobie dotykalne zalecenie pana dyrektora: „Żeby cię smażono i pieczono w smole, nie powiadaj, co się dzieje w szkole”.

Szymcio i Kubuś nie usłuchali rozkazu władzy, nie udali się do karceru. Postanowiono użyć podejścia, byle ukarać niesfornych. Gdy zbierania się w domu naszych bohaterów nie były zbyt bezpieczne, uradzono odtąd wszelkie traktamenta odbywać w „Smoczej paszczy” u Herszka. Tam palono fajki, pito, grano w karty, śpiewano etc. Nigdy może wnątrz³²⁹ Kamieńca nie była tak ożywioną jak teraz oto w piwnicy Herszka.

Przyszedł pewnego razu Kubusiowi koncept do głowy, a raczej zrodziła go konieczność, bo rzecz tak się miała: bohaterom naszym potrzeba było pieniędzy. Wodewilistka chciała mieć nowy kapelusz, pierwsza amantka szal, a każda z trzech stałych znajomości Pańka żądała prezentu od swego kochanka, a tu jak na toż nie było grosza w kieszeni. Zwołano radę trzech. Posiedzenie zagał Kubuś, Pańko przekładał potrzebę zaradzenia złemu, Szymcio zaś obmyślił środek dostania pieniędzy, na który zgodzono się jednogłośnie.

Pomiędzy kolegami był niejaki Oksman, syn bogatego Izraelity, który bardzo lubił *prze*stawać z panami, ale pieniędzy dawać nie chciał. Postanowiono tedy raz już zdobyć tę bankierską fortecę nieczułości. Jakoż o drugiej z południa zastajemy całe grono wybranych w „Smoczej Paszczy” u Herszka. Pan Oksman, nieco podochocony, siedział pomiędzy wodewilistką i amantką, które mu snać wiele słodkich rzeczy mówiły do uszka, bo nasz bankier topniał. Dukat za dukatem wydobywał ze swej kieszeni i wpuszczał je za gorsety dam, gdzie ginęły jak w otchłani morskiej. Z kolei zaczęto pokazywać rozmaite sztuki z dukatami, robiono zakłady, grano w karty – koniec końców pan Oksman bardzo przyjemnie spędził kilka godzin, a ocknąwszy się ze snu w pierzynach pani Herszkowej,

³²⁸ *Karcer* – kara polegająca na zatrzymaniu ucznia po lekcjach.

³²⁹ *Wnątrz* – wewnątrz; tu znaczeniu: życie w mieście.

ze zgrozą spostrzegł, że z kilkuset rubli nie zostało mu jak chyba wspomnienie i nieprzyjemny smak w ustach, nieodłączny od każdego upicia się.

Niewiele myśląc, przyszły Rotszild zerwał się z pierzyn i poleciał wprost do dyrektora. Przyznał się do winy i prosił, ażeby odebrano wydarte pieniądze. Dyrekcja, dawno już mając apetyt na Szymcia i Kubusia, chętnie się przychyliła do prośby Oksmana i w godzinę niespełna chmura stróżów gimnazjalnych, bedelów³³⁰ i nauczycieli pod osobistym dowództwem dyrektora obiegła „Smoczą Paszczę”, za wskazówką Oksmana docierając aż do Herszkowego *sacra*.

Zanim jednak zwiedzą pierwszą piwnicę, do której udali się wszyscy, obaczmy, co się dzieje w drugiej świątyni Bachusa.

Gdy ostatni rubel znikł z pularesa³³¹ Oksmana i potomek Izraela znalazł się w pozycji Noego przy latorośli winnej, wyniesiono go wnet jako zbywającą zawadę, a Pańko, rzuciwszy pijanego w pierzyny pani Herszkowej, poczęstował go tęgim kłapsem. Sam zaś tak dla świeżego powietrza, jak też ze zwykłej sobie przeczności wyszedł na rynek, przed sklepy.

W piwnicy tymczasem rozpoczęła się uczta na piękne! A drwiono też, ile się wlażło z głupiego Żyda. Szczególniej wodewilistka, panna Teofila, drwiła z Oksmana, śpiewając rozmaite strofy, zastosowane do obecnej pozycji pretensjonalnego Żydka. Wszyscy mieli już dobrze w czubku i wielom oczy się kleiły, w samą też porę była propozycja Pańka, który tylko co wszedł do piwnicy. Pańko uwiadamił prześwietne zgromadzenie, że na rynku wynalazł bardzo zabawnego człowieczka, który wszelkich starań dołoży, byle zebranych uprzyjemnić chwilę przyjacielskiej biesiady.

– Któż to, kto taki? – ozwały się głosy.

– Nowa zupełnie postać w Kamieńcu, świeża jak bułka z pieca! A zabawny, powiadam państwu, niczym Aplapuf Guerra³³².

Wspomniane imię dyrektora wołyżerów wywołało obraz Pepity. Kubuś drgnął mimowolnie i zmarszczył brwi.

– Smutny jesteś, hrabio – rzekła pierwsza amantka. – Cóż ci to?

– Wina! – wykrzyknął Kubuś, aż Herszko kulą zleciał po schodach i utoczył trzy kwarty.

³³⁰ *Bedel (pedel)* – woźny w szkole.

³³¹ *Pulares* – portfel.

³³² *Aplapuf Guerra* – prawdopodobnie chodzi o Alessandra Guerrę (1790–1856), włoskiego wołyżera, jednego z założycieli nowoczesnego cyrku.

– Pijcie, moi drodzy. Herszku, otwórz beczkę, mam wielką ochotę utopić się w winie – tak mi tu pośród was dobrze!...

– Brawo! – wykrzyknęło towarzystwo, a Pańko dodał:

– Kiedy tak, to ja komika mogę sprowadzić!

– A choćby i diabła samego! – zawołał Kubuś, spełniając kielich.

– Służę, służę panu hrabiemu – mówił Pańko, wprowadzając do piwnicy niewielką, dziwacznie ubraną figurkę.

Kubuś zadrżał, ujrawszy nowo przybyłego. Kielich mu z rąk wypadł...

– Ojciec! – rzekł i ponury zwiesił głowę ku piersi.

– Na ziemi ludzi nie ma, może ich tu pod ziemią znajduję. A zresztą mniejsza o to! – rzekła figurka, schodząc ze schodów.

Obecni wybuchnęli w głośny śmiech, krzyząc: „brawo!”

– Nie wiem, do kogo mówię, ale chcę, by wiedziano, kto do zebranych przemawia.

– Brawo!

– Jestem Apollin Rodryg Napoleon, niewątpliwie, jak to dowiodłem w tej oto książce, spokrewniony z Burbonami. A oto jest moich dziesięć przykazań. Posłuchajcie i czyńcie, jak przepisano.

Rozłożył książkę i czytał: „Jam jest, który jest, a we mnie mnie by nie było, gdybym nie był jako jestem”.

– Brawo!

„I. Nie będziesz miał nic wyższego nad herb szlachecki, hrabiów koronę i mitrę³³³ książęcą, a baronami brzydź się, bowiem pokurcze³³⁴ są”.

– Brawo!

„II. Tarczy herbu twego nadaremnie brać nie będziesz, tylko ją zawieszając na powozach, szorach³³⁵, guzikach, chociażby nawet nie z przodu sukni noszonych!”.

– Brawo!

„III. Pamiętaj, abyś herb twój i tytuł twój stawił na frontonie³³⁶ domu, w kościele, karczmie i na kartkach wizytowych”.

³³³ *Mitra* – uroczyste nakrycie głowy panujących.

³³⁴ *Pokurcz* – pogardliwie: człowiek niezgrabny, brzydki, koślawy.

³³⁵ *Szor* – szerokim pas skórzany zakładany na pierś konia.

³³⁶ *Fronton* – przód budynku, fasada.

– Brawissimo!

„IV. Czcij wszystko, co arystokratyczne jest, wyjąwszy dżokejklubów³³⁷, bowiem rostbefem³³⁸ trąca”.

– Doskonale! Niech żyją Burboni!

„V. Drzewa nie ścinaj i nie pal, bowiem zdać ci się może, aby rośło”.

– Zapewne!...

„VI. Chodź boso i poprzestawaj na ubraniu wierzchnim, jak ja to czynię”.

– To niekosztowne!

„VII. Jeślibyś mógł co u chłopca wziąć – weź, bowiem z Chama³³⁹ jest i jako taki szlachcie przynależy, którą Jafet³⁴⁰ rodzi, nie wiem tylko, z której siostry swojej”.

– Jaka szkoda!

„VIII. Nie świadcz osobiście przed sądem, bo to nieprzyzwoicie, ale najm sobie świadków za pieniądze. IX. Nie jadaj mięsów żadnych i ryby. X. Ani wołów, ani osłów, ani świń, ani żadnej rzeczy, które z mięsa są”.

– Brawo! Brawissimo! Ale nie wiemy, kto nam przykazania podaje?

– Apollin Rodryg Napoleon Porawa, hrabia Porowski – wyrzekła figurka, dumnie kłaniając się.

Jedno wielkie „a!” wyszło z ust obecnych i wszyscy zwrócili się w stronę Kubusia.

– Do stu piorunów! – wykrzyknął ten, cisnąwszy butelką o ziemię. – Nie patrzcie na mnie teraz, bo...

Wrzawa okropna, która powstała w tej chwili na schodach piwnicy, nie pozwoliła mu dokończyć. Drzwi się otwarły i rudy Herszko padł plackiem na ziemię, wrzeszcząc: „Gwałt! Rozbój!”.

Uczujący porwali się z siedzenia. Kubuś pomiędzy napastnikami dostrzegł nienawistną dla się postać bedela, ślepego Kulika, jak go nazywano.

– Tuś mi, łotrze! – wykrzyknął, a porwawszy ciężki mosiężny świecznik – za mną! – zawołał i wbiegł na schody, a inni za nim, uzbrojeni czym kto mógł naprędce.

³³⁷ *Dżokejklub* – klub jeździecki.

³³⁸ *Trącić rostbefem* – prawdopodobnie w znaczeniu ironicznym: być pochodzenia angielskiego.

³³⁹ *Cham* – syn Noego, przeklęty przez ojca za niewłaściwe zachowanie się wobec niego.

³⁴⁰ *Jafet* – najstarszy syn Noego.

Prędko było po bitwie. Napastujący, ponieważ należeli do ministerium oświaty, nie zaś wojny, oberwawszy parę guzów od mężnie odpierających napad, co rychlej podali tył, nie oparli się z całą siłą zbrojną aż w gmachu gimnazjalnym, przy czym dyrektor wytknął nogę, a nauczycielowi matematyki krew z nosa pociekła.

Na placu boju, pomiędzy chmurą Żydków i gawiedzi, został tylko Apollin Rodryg Napoleon Porawa, hrabia Porowski, nie pojmując, co się stało, a jak we śnie przypominał sobie, że w liczbie walczących dostrzegł swego Kubusia. Wrzawa wojenna bitwy dziwnie podziałała na jego umysł. Im dłużej myślał, tym bardziej upewniał się, że z terazniejszością nie ma nic wspólnego. Duch w nim potężniał, animusz rycerski przybywał. Był pewnym, że walki z Turkami jest świadkiem i wstydził się bezczynności własnej.

– Jak to?! – wykrzyknął. – Powiedzą, że tchórz Porowski! Porowski, krewny Burbonów, od rycerskiego Porawy w linii prostej idący. Dajcie mi kord³⁴¹, buzdygan³⁴², kopię lub co chcecie!... Hurrah! Na wroga! – I o dziwo zachrząszczała zbroja, pióra na szyszaku³⁴³ zawiąły, szabla w górę! Rumak dał skok i wpadł w sam środek Turków! Hrabia Napoleon wrzasnął „hurrah!” i płątnął Mohameda-Baszę po twarzy. Turek krzyknął „aj, waj!” i wezwał pomocy Mameluków³⁴⁴, którzy też wzięli hrabiego w obroty! Apollin Rodryg Napoleon byłby zginął nieochybnie od kuksańców, gdyby w tej chwili na obronę jego nie zjawił się rycerz bardzo podobny do prawnuka pierwszego Porawy.

– Wojewodo! – krzyknął hrabia. – Zabieraj tył Mamelukom! – i zamknął powieki. – Umarłem – myślał. – Mniejsza o to! Złamałem bisurmanów. Mohamed-Basza legł z mojej ręki... Muszę o tym powiedzieć temu Kubie, który tylko ze świniami walczył... Gdzie święty Piotr? Staję do raportu. Anonsuj, gapiu, że hrabia Porowski chce się widzieć z panem Bogiem!... O, do diabła! Niewygodne tu lektyki macie... Ostrożnie, bo kości się rozsypią!...

Ani podejrzewał hrabia Porowski, że z kamienieckimi Żydami bój stoczył, poważnemu rabbi Mojsze Pikeles krwi z nosa utoczywszy *Koroną* Niesieckiego! A byłoby z nim bardzo źle, gdyby nie Kubuś, który uporawszy się z członkami ministerium oświaty, chciał pomówić z ojcem. Na nic by się jednak i jego

³⁴¹ *Kord* – miecz; ogólnie wszelka broń sieczna.

³⁴² *Buzdygan* – rodzaj maczugi o stalowej, zwykle kulistej głowicy.

³⁴³ *Szyszak* – spiczasto zakończony hełm.

³⁴⁴ *Mameluk* – niewolnik państwowy, niewyznający pierwotnie islamu i pochodzący z państwa nieislamskiego.

obrona nie przydała, gdyby nie pomoc Pańka i Szymonka, którzy stawiając czoło synom Izraela, umożliwili ucieczkę nowego Eneasza³⁴⁵ z ojcem swym mniej od Anchizesa³⁴⁶ spokojnym. Kubuś uchwycił wpólnieprzytomnego hrabi Napoleona i zaniósł go do mieszkania artystek, które dla bezpieczeństwa drzwi zatarasowały, zostawiając samotnych ojca i syna.

Kubuś złożył omdlałego na sofę i ponury wpatrzył się w jego rysy. Nie kochał ojca, prawie zapomniał o nim, a jednak w tej chwili czuł, że za tego szaleńca z tysiącami stanąby do boju. Kolana ugięły się pod nim, usta mimowolnie zbliżyły się do ręki ojcowskiej, dwie łzy pozostały na niej.

– Czuję krew na mej ręce! – zawołał w tej chwili nieprzytomny szaleniec. – Śmierć wrogom! Na klejnot szlachecki przysięgam, syn mię pomści!...

Kubuś zadrżał.

– Wojewodo! – wołał hrabia w gorączce. – Uderz na lewe skrzydło! Hańba! Syn mój..., syn uchodzi... Hańba!

Kubuś porwał się z klęczek i zatoczył pod ścianę.

– Nędznik! To nie moja krew! To nie krew Porawy! Uchodzi! Tchórz! Uchodzi!

Kubuś nie mniej od ojca był nieprzytomnym w tej chwili. Burza wrzała w jego piersi: przeszłość i przyszłość łamały się w niej może, sił mu zabrakło.

– Kłamstwo! – wykrzyknął. – Ojcze! Ja nie uciekam! Ja, nawet we śnie twoim tchórzem być nie chcę! – I wstrząsnął silnie ramieniem hrabięgo.

Szalony otworzył oczy.

– To ty? Synu! – zapytał hrabia rozczulony i porwał go w swoje objęcia.

Ojciec i syn po raz pierwszy może uścisnęli się tak szczerze, bo duchy ich w przeszłość uleciały, zapomniawszy o karłowatości dzisiejszej.

Szczery, serdeczny śmiech hrabi Porowskiego przerwał scenę poważną.

– Chi, chi, chi, Kubuś! – śmiał się hrabia. – A czyś ty jadł dzisiaj pszenicę z miodem? Cha, cha, cha!

Rzeczywistość przywróciła równowagę w Kubusiu.

– Skąd się tu wzięłeś, ojcze? – zapytał ponuro.

– Ja zaraz jadę, zaraz odjeżdżam, kochany Kubusiu – mówił bojaźliwym głosem hrabia. – Słońce zachodzi... Rzepecki zabiera mnie ze sobą; ja z nim

³⁴⁵ *Eneasza* – w mitologii greckiej: bohater wojny trojańskiej; uchodził za syna króla Anchizesa i bogini Wenus.

³⁴⁶ *Anchizesa* – w mitologii greckiej: krewny króla Priama, obdarzony tak wielką urodą, że stał się przedmiotem pożądania samej Afrodyty; bogini uwiodła go, po czym urodziła mu syna, Eneasza.

przyjechałem. Chodź, chodź na pocztę, będziesz widział jak odjadę. Moje uszanowanie paniom. Najniższy sługa... Hrabia zaraz wróci, tylko mnie odprowadzi. Moje uszanowanie... Te panie bardzo ładne – zrobił uwagę hrabia Apollin, gdy się z Kubusiem znalazł za drzwiami pomieszkania artystek. – O, patrzaj, patrzaj! Rzepecki! Hop, hop! Stój!

– Bodaj cię, hrabio! – zawołał w tej chwili otyły szlachcic z nejteczanki. – Byłbym cię samego zostawił. Siadajże, siadaj!

– W momencie służę. Moje uszanowanie panu hrabiemu – rzekł, kłaniając się nisko Kubusiowi, a zbliżywszy się, dodał półgłosem: – Jeżeli ci powiedzą, że biłem się z Turkami, to nie wierz temu, doprawdy!... Moje uszanowanie!

Nejteczanka odjechała. Kubuś stał długo na ulicy, a jakiś ciężar przygniótł mu piersi.

– Nie! Nie! – zawołał wreszcie. – Ja takim być nie powinienem. Tam jest praca, zacość, gdy tu!...

– Przyjaciel twój – dokończył Szymcio, ściskając Kubusia serdecznie.

– I Pańko, proszę panicza – dodał ekspowodyr wesoło.

Widok towarzyszy złamał rodzącą się moc młodziana. Powiódł wzrokiem wokoło.

– Trzech! Zawsze trzech... – rzekł z westchnieniem.

– Tak już nas czarownica zaklęła! – zawyrokował Pańko.

– Kubusiu! – rzekł Szymcio. – Z całej łaciny znam tylko mądre przysłowie: *Omne trinum perfectum!*³⁴⁷ Niech żyje „Trójka!”.

– Niech żyje! – zawołał Kubuś. – Chodźmy do domu.

– Brawo! – zakończył Pańko; i trzej towarzysze udali się do swego pomieszkania nad skałą.

Kto wygrał jedną potyczkę, nie jest jeszcze zwycięzcą, a przysłowie mówi: „Ten się najlepiej śmieje, kto śmieje się ostatni”.

Nazajutrz po opisanych wypadkach jakby nic wczorajsi goście Herszka, płeć piękną i naszych bohaterów wyjąwszy, przyszli do gimnazjum na lekcje. Po jednemu wywołano wszystkich z klasy i każdy dostał piękne pamiątkę za ucztę i późniejszą wojnę. A ponieważ pomiędzy oćwiczonymi było kilku ze starszyny,

³⁴⁷ *Wszystko, co potrójne, jest doskonałe!*

powstał stąd wielki rozruch między młodzieżą, którzy wołali pomsty za szkaradne podejście i zhańbienie kolegów. Szymcio i Kubuś wołali najgłośniej.

Nadarzyła się ku pomście wyborna sposobność. Rokrocznie, dnia 1 maja, wyprawiano ucztę w szkołach, majówką zwaną. O świcie już wyruszały z Kamieńca do Lasu Dłuzeckiego³⁴⁸ wozy z samowarami, szklankami i resztą przyrządów herbacianych. Mnóstwo owocarzy, piernikarzy miało tu swe stragany, cukiernie, restauracje wyjeżdżały na ten dzień do lasu, pewne znacznego zarobku.

O drugiej parami wychodzono z gmachu gimnazjalnego. W lesie rozpoczęto grę w piłkę, biegania, huśtawki. Uczniowie bratali się z nauczycielami i na majówce wszystko im wolno było. Władze szkolne, goście z miasta przybywali do zgromadzonych i w miarę popularności niesiono każdego na rękę, często wiorst parę, wśród głośniejszych okrzyków „hurra!”, ciskania czapek w górę, powiewania gałęziami itp.

W czasie takich to owacji na obecnej majówce Kulik został zbity tak tego, że go odwiedzić musiano do miasta. Innym też dostało się sporo. Nauczyciele zwinęli chorągiewkę, uczniowie ucztowali do późnej nocy, a o świcie, sformowawszy szpaler świeżymi gałęziami drzew uwieńczony, wśród śpiewów weszli do miasta. Nieobecny na majówce, a winnym powybijano okna. Nazajutrz zaś wzięto się do książki, ponieważ o tym czasie zwykle rozpoczynały się egzamina. Krzywda kolegów została pomszczona – uczniowie nosili głowę w górę, władza spuściła nos na kwintę.

Po kilku dniach zwołano uczniów gimnazjum do sali. Tu w przytomności wszystkich odczytany został rozkaz kuratora, wydalający ze szkół niepoprawnych: Szymona Złodzickiego i Kubę hrabi Porowskiego. Imiona ich – brzmiał reskrypt³⁴⁹ – mają być wystawionymi na widok publiczny w sali, na czarnej desce, a w czasie uroczystości aktu dorocznego podać do wiadomości publicznej fakt sam, bez wymienienia nazwisk wypędzonych.

Wszyscy ogółem chcieli się ująć za Szymciem i Kubusiem, ale zaniechano demonstracji na wyraźną prośbę uwolnionych, którzy tego dnia jeszcze wyprawili towarzyszom głośną w Kamieńcu ucztę, na którą sami stawili się już nie w uniformie, ale w tużurkach³⁵⁰ ostatniej mody, wprost od pana Ciupy, krawca

³⁴⁸ *Las Dłuzecki* – las rozpościerający się w okolicy Kamieńca Podlaskiego.

³⁴⁹ *Reskrypt* – pismo urzędowe, rozporządzenie władz.

³⁵⁰ *Tużurek* – dwurzędowy, długi surdut.

zawołanej sławy w stolicy Podola. Hulano do dnia białego. Ucztę powiększyło grono artystów i artystek, również skończona młodzież z miasta, witająca nowych swych towarzyszy skończonych: Szymcia i Kubusia.

Nazajutrz już dwaj przyjaciele, ubrani jak z igły i w wielkich na fryzowanej głowie cylindrach, zrobili furorę w ogrodzie. A wiele bardzo matek dorosłych córeczek zawyrokowało, że tak Kubuś, jak i Szymcio bardzo stosowną partią byliby dla Losi, Fosi, Misi albo Gisi.

Pan Kielbasa, człowiek, jak wiemy zacny, ale prostak, nie umiał w swej głowie pomieścić, jak to być może, że jego Kubuś dobrze zrobił, wszedłszy w świat, a rzuciwszy szkołę... Napisał długi list do siostrzeńca, że dotychczas miał jeszcze jaką taką nadzieję, ale teraz, „gdy tyle pięknych rzeczy narobiwszy, zapieczetowałeś wszystko wypędzeniem cię sromotnym ze szkół publicznych, niechże ci Bóg szczęści, ale o mnie przypomnij sobie wtedy dopiero, gdy będziesz uczciwym i pracowitym człowiekiem”. Kubuś listu nie doczytał i zapalił nim papierosa, poprawiając wysokich kołnierzyków. Dyrekcja doniosła państwu Bartłomiejostwu o tym, że syn ich został ze szkół wypędzonym, co odczytawszy, pani Bartłomiejowa krzyknęła:

– Jak to! Moje dziecko wypędzić? Coż to, mój Szymcio pies czy co? – I płakać poczęła. – Moja krew, biedny Szymcio! Ot, jak oni się tam obchodzą z obywatelskimi dziećmi!...

Pan Bartłomiej uspakajał żonę; chociaż mu również opaczynym się wydawało owo wypędzenie syna. Napisano do Szymcia list pełen pociechy rodzicielskiej, ażeby nie zważał na tych hyclów, „a ich Pan Bóg pobije za ciężką twą krzywdę”. Rozczuliło to Szymcia bardzo, a więcej jeszcze pieniądze przysłane na uekwipowanie się. Państwo Bartłomiejostwo zalecali synowi, by wracał na wieś – oni mu tu stosowną partię wynajdą, a może zechce na wojaż³⁵¹, to by dobrze było, gdyby z hrabią Porowskim wyjechał...

Szymcio odczytał list Kubusiowi, z którego też oba byli uradowani niezmiernie. Pańko także cieszył się na myśl wojażu, chciał bowiem poznać inne dziewczęta, a może i tego szelmę Marka z Zoską gdzie przydybie, co mu znikli niby kamfora. Wielka była radość naszych bohaterów! Szymcio co spieszniej napisał list do rodziców, wyświetlający rzecz całą, a tak na swą stronę korzystnie, że ani wątpił, iż do łez poruszy panią Bartłomiejową, która sięgnie po ruble do woreczka. Prosił także, by mu przysłano kryty powóz i cztery konie, tylko młode i ładne,

³⁵¹ *Wojaż* – podróż.

całował *ruci i nozi*³⁵² mamy dobrodziejki i tatka dobrodzieja i został najprzywiązańszym synem Szymonem”.

Do stracenia przysłanych pieniędzy nie potrzebowali bohaterowie nasi więcej czasu, aniżeli go ubiegło do otrzymania listu Szymonka, którego odczytując, pani Bartłomiejowa w rzeczy samej rozpląkała się, a pan Bartłomiej powiedział: „Trzeba mu będzie, dusiu, posłać szpaki³⁵³, a kocz³⁵⁴ dać odlakierować. Byle tylko Szmul nie zdarł drogo, bo to wiadomy szachraj”.

Nikt z interesowanych nie wiedział, że nad bohaterami naszymi wisi straszna chmura, której pioruny mogą im bardzo zapachnąć skórą³⁵⁵ w ostateczności. Objaśnię w tej mierze czytelników.

Powiedziano jest w Starym Zakonie: „Weźmiesz ząb za ząb, a oko za oko!”. Znany nam nieco Oksman chciał jeszcze wziąć rubel za rubel: z wielką łatwością kupił wszystkie weksle³⁵⁶ Szymonka i osobiście stawił się z nimi przed panem Bartłomiejem, który gdy takowe obaczył, odczytał i zliczył, omal nie zastygł na miejscu, czyli – jak mówią gdzie indziej – tylko co go szlag nie trafił. Zaczął się bardzo gniewać, krzyżeć, ale pan Oksman, zupełnie po angielsku, wyciągnął z kieszeni rozkaz urzędu wsadzenia Szymcia do turmy i pokazał go panu Bartłomiejowi, co obaczywszy, zbladł pan Bartłomiej, a pani Bartłomiejowa tak mocno zemdląła, że ją zaledwie smalenizną piór ocucono. Weksłów było tylko na sześć tysięcy rubli i coś tam jeszcze, ale o tę bagatelkę nie dbał pan Oksman.

Państwo Bartłomiejostwo radzili przez noc całą, wreszcie nazajutrz z bólem serca spłacili weksle i uwiadomili o tym syna, dodając: „Nie chcemy, by krew nasza walała się po turmach³⁵⁷. Tak długo jednak nie mamy syna, aż nas przekona, że gorzko zapracowany przez rodziców grosz potrafi szanować. Niech cię Bóg błogosławi, ale od nas nie spodziewaj się złamanego szeląga”. A wkrótce potem w „Wiadomościach Gubernialnych” odczytał Szymcio ogłoszenie ojca, w którym podaje do wiadomości, że syna swego jako marnotrawcę usuwa od spadkobierstwa i żadnych zobowiązań jego nie uzna i weksłów płacić nie będzie.

³⁵² *Ręce i nogi.*

³⁵³ *Szpak* – koń maści ciemnosivej.

³⁵⁴ *Kocz* – półkryty, elegancki powóz dwu-, niekiedy czterokonny.

³⁵⁵ *Koza* – więzienie.

³⁵⁶ *Weksel* – dokument stanowiący pisemne zobowiązanie do zapłaty przez wystawcę pewnej sumy pieniężnej w określonym terminie.

³⁵⁷ *Turma* – więzienie.

Potrzebaż było nieszczęścia, że łotr jakiś i Żydkom to odczytał. Zlecieli się tedy jak kruki i za drobne długi zabrali wszystko, zostawiwszy bohaterów naszych kwalifikujących się na mieszkańców nowego świata. Nawet Pańko tylko w bieli pozostał. I był płacz i zgrzytanie zębów!

IX. ZUPEŁNIE JAK W BAJCE

– Otóż nas pięknie wykierowali! – zawołał Pańko, patrząc na swe niewinności kolory. – A wszystkiemu panicz Szymcio winien!

– Dajże mi pokój! – odparł Szymcio, smutnie oparłszy głowę na rękę.

– Tylkoż to i tego, że nam pokój zostawili, bo z resztą wszystko te diabły wynieśli. – Ale niech mię pomsta porwie, jeśli temu szelmie Naftule pejsy nie powyrywam. Gdyby nie on, tamci by czekali!...

Kubus gwizdał, chodząc po pokoju wielkimi krokami.

– Coż ty na to, Kubusiu? – zapytał Szymcio boleśnie.

– A nic. Spróbujmy, jak to jeszcze smakuje!

– Niech go lichy porwie! Ja się znam na tym i dalibóg to niesmaczne!

– Pańku! – z powagą rzekł Kubus. – Dopiero wstępujesz na arenę życia... Nie wiesz, co cię tam spotka, a na razie tracisz odwagę. Wstydz się!

– Oj, oj, czemu nie! Ciekawym tylko, co panicz pocznie, jak się jeść zechce, a tu pies ma kawałek chleba albo grosz przy duszy!

– Jeść nie będę.

– Obaczymy!

– Wyznam ci, Kubusiu – rzekł z spokojem niemej boleści Szymcio – że mi się widzi większą sztuką jeść, gdy nie ma, aniżeli nie jeść.

– A pewno! To nie sztuka nie jeść, gdy nic nie ma. Niech no panicz Kubus spróbuje zjeść co teraz.

– Dobrze więc! Wyprawię wam ucztę. Czy zgoda na befsztyk z kartoflami, zrazy nelsonskie³⁵⁸, butelkę *bordeaux*³⁵⁹, które tak wszyscy lubimy, i papierosy z tytoniu bafry³⁶⁰ mieszanego z samsonem?

³⁵⁸ *Zrazy nelsonskie* – zapiekanka z wołowiny, grzybów i ziemniaków w sosie śmietanowym.

³⁵⁹ *Bordeaux* – gatunek wina produkowany w regionie Bordeaux we Francji.

³⁶⁰ *Bafra, samson* – marki tytoniu tureckiego.

Szymcio westchnął; Pańkowi ślinka do ust pociekła.

– Bardzo dobre śniadanie – rzekł – ale skąd go panicz Kubuś weźmie?

– Bardzom ciekawy! – zauważył Szymcio.

Kubuś siadł do stolika, napisał bilecik i oddając go Pańkowi.

– Zanieś podług adresu – rzekł.

Ale obaczywszy ubiór Pańka – A do diabła! – zawołał. – Zapomniałem, że i twoja liberia uległa żydowskiej konfiskacie. Nic więc ze śniadania! – i chciał rozerwać bilet, ale wstrzymał go Pańko.

– Za pozwoleniem! Niech no panicz powie, jak to i co, to może ja poradzę, bo mi diabło smaczne to śniadanko!

– Daj pokój. Kubuś żartuje.

– Wcale nie! – zaprotestował Kubuś. – Bilet wystosowany do właścicielki hotelu warszawskiego, wdowy, jak wiecie, niedzisiejszej, ale diabelnie pretensjonalnej. Pewny jestem, że mi nie odmówi takiej bagatelki jak śniadanie!

Szymcio spojrzaniem bolesnym i ruchem ręki zdawał się mówić: „próżna nadzieja!”.

Do wąpiącego zwrócił się Pańko:

– A ja paniczowi powiadam, że taki będzie śniadanie. Pani Warzecka dawno mi już wiele dobrego mówiła o paniczu Kubusiu i nieraz się tam pożywiłem, kłamiąc to i owo. Czekaście, panicze, poszukam, w czym bym mógł wyjść między ludzi.

– Spodnie bez nogawicy na nic! Kawalek surduta..., kamizelka bez kołnierza – grat! Czapka z denkiem wybitym... To ta sama, cośmy to do niej strzelali – pamiętacie panicze, wtedy jak jedliśmy śmietaną u leśniczowej? A pan leśniczy potem...

– Mniejsza o to!...

– To prawda, że mniejsza, bośmy uciekli, ale gdyby był złapał... A, to już prawdziwa złość ludzka: surdut byłby wcale niczego, ale prawej poły nie ma. Doskonale! Koncept wyborny – będzie liberia! Mam ja tu sporo zielonej krajki³⁶¹. W białych spodniach na ulicę wyjść nie wypada, ale jeśli się dadzą zielone lampasy... Druga poła precz! Patrzcie panowie: wyborna kurtka! Czapkę mam, buty siakie takie wybiorą się z tych wychodzonych. Głód czuć się daje..., dalej tedy! Szyjcie, panicze, lampasy! Ja buty i kurtkę wyrychtuję...

³⁶¹ *Krajka* – rodzaj pasa, wstążki tkaney z grubych nici.

– Zuch jesteś, Pańku! Lubię cię za to. Igły, nici! Szymonku, bierz się do jednej, ja do drugiej nogawicy – w nich śniadanie nasze! Otóż to lubię – umieć sobie zawsze poradzić. To rzecz największa!

– Szyć nie trzeba! Niech panicze tylko przyfastrygują, już tam ja miną nadrobię, że nikt wątpić nie będzie o prawdziwości liberii. Kurtka gotowa! Daj go katu! Wcale pięknie leży. Czapka choć dla króla, buty..., buty... O, do diabła, wszystkie z jednej nogi! Mniejsza o to! Wiele ten robi, kto musi. Rozmoczę jeden but w wodzie... Już moknie! Strzępków spod kurtki nie widać; koszula dość czysta, czupryna uczesana... But rozmokł. Patrzcie państwo: włożył i wcale się dobrze prezentuje! Lampasy przyszyte?

– Masz!

– Brawo! Jestem przepysznie ubrany. Teraz bilet, czapka z gracją na lewe ucho pochylona, kurtka rozpięta. Do widzenia panowie! Najdalej za pół godziny albo wam znać dają, że Pańko legł trupem, albo też śniadanie macie przepyszne! Módlcie się na moją intencję!

Po wyjściu Pańka, którego liberia, mówiąc nawiasem, niezbyt była przyzwyczają, Kubuś rzekł do Szymonka:

– Coraz to bardziej Pańko podobać mi się zaczyna – wiele w nim życia, energii! Za to ty, Szymciu, coś mi mazgaisz, bracie. Wstydz się! Mężczyzna nie trzcina, ale dąb wyniosły – niech go piorun druzgocze, ale kilku Żydów... *fidonc!*
³⁶²Nie bądź dzieckiem, Szymonku!

– Wiesz co, Kubusiu! Mnie się zdaje, że z nas dwóch ty właśnie dzieckiem jesteś! Nie myślisz o niczym. Coż teraz poczniemy ze sobą? Powiedz!

– Co poczniemy?...

– A tak?...

– Zjemy śniadanie, które Pańko przyniesie.

– A później?

– Później zapewne będziemy jedli obiad!

– Otóż to, że nie myślisz o jutrze – w tym właśnie leży cała twa wina.

– Szymciu! Bredzisz! Kto widział myśleć o jutrze, kiedy coś podobnego nawet Ewangelia zabrania. Pamiętasz, jak to nam ksiądz Ułanowicz wykładał – na grzbietach?... Miałbym się za jedno wielkie zero, gdybym w moim wieku, jak dziad stary, myślał o jutrze! Co, czy nie zechcesz jeszcze, bym i o duszy pamiętał?

³⁶² *Wstydz!*

- Może by i to nie zaszkodziło...
- Szymciu! Fiksujesz, wyraźnie fiksujesz! Proszę cię, mój drogi, pozwól mi myśleć o nas obu. Śniadanie jest, prawda?
- Nie widzę go.
- To wszystko jedno! Otóż – śniadanie jest, będzie obiad i kolacja, będzie wszystko! Bo wszystko być musi. Uważ tylko, jeśli nas stworzono, to dlatego zapewne, że tu jesteśmy do czegoś potrzebni. A już by też chyba klepek im brakło, gdyby pozwolili takim zuchom umrzeć w kwiecie wieku z głodu. Ani myśl o tym! Wszystko będzie! Ani mój wujaszek, ani twój starzy nie są tak nieludscy – obaczysz, że zmiękną i przyszlą pieniędzy. Wierz mi, jeśli tylko udamy się z prośbą, napiszemy list czyty – wysłuchają niezawodnie! Czyś ty, Szymciu, zapomniał, że nas niebo proteguje? Może ty nawet nie wiesz o tym?
- Dajże pokój, Kubusiu, bo wcale mi teraz nie do żartów!
- Ale ja nie żartuję, bynajmniej! Gdyby nie Ewangelia, wyznaję, byłoby koło nas kuso, ale ona urzędownie wzięła takich jak my w opiekę. Pamiętasz przypowieść o synu marnotrawnym? O co ci chodzi? Jeszcze nam najtłustszego cielaka zabijają. A przynasz, że trzeba być wielkim osłem, ażeby pracować i nie mieć nic, gdy bardzo wygodnie można stracić fortunę, później przyjść do papy dobrodzieja, przeprosić go i dostać suknie nowe, pierścień i ucztę wesołą!
- O jednym tylko zapomniałeś, Kubusiu.
- O czymże to?
- Pomiędzy wesołym traceniem fortunki i ucztą cielecą zostawały świnie i żołądziej; otóż to właśnie, czego bym zakosztować nie chciał.
- Mój kochany! Najpierw świnie były rzeczą okropną w Starym Zakonie³⁶³; dziś najlepszy przykład masz na moim wujaszku, że diabeł to nie tak straszny, jak go Ewangelia maluje; po wtóre – obawa próżna, uręczam cię! – świń paść nie będziemy; a dla nabrania ciała, jeśli chcesz, możemy pić kawę żołądną. Owoż³⁶⁴ mój kochany, wypogódź czoło, a zanim Pańko przyniesie nam śniadanie, napiszmy list do zagniewanych, a pieniędzy... Obaczysz, że zmiękną – tylko nie żałujmy słów grozy, malując okropność położenia naszego. Już widzę: poczciwcy płaczą jak bobry, dobywają kalety – i mamy pieniądze! Szymciu, będziemy je mieli..., tylko zmiłuj się, nie trać fantazji i pisz, pisz co prędzej!

³⁶³ *Stary Zakon* – Stary Testament.

³⁶⁴ *Owoż* (*owóż*) – dawn. otóż.

– Będę pisał – rzekł Szymonek. – Ręczę ci jednak, że na próżno. Znam bardzo dobrze mego ojca; nie da ani grosza!

– A matka, ta czuła, dobra matka? – pytał Kubuś głosem przekonywającym.

– Uwierz, że to dla mego dobra i również nic nie przysze.

– To szkaradnie! Wiesz co, mnie się zdaje, że i pan Kuba zechce się drożyć, i kto wie... A do kata! Cóż tu począć?!... Bądź co bądź jednak list pisać potrzeba... Zanim odpowiedź nadejdzie, jakoś tu sobie poradzimy. Coż u licha! Tyłu kolegów, przyjaciół, wreszcie nasze artystki...

– Mało na nie liczę.

– Szymciu, kwalifikujesz się do kruchty kościelnej. Kto widział tak zwątpić we wszystko. Ja ci powiadam, że artystki nas nie opuszczą! Ale piszmy, ażeby dziś jeszcze listy odesłać na pocztę. „Najukochańszy wujaszku, opiekunie mój i ojczel!”. Trzeba starego zażyć z mańki sercowej – to najślabsza jego strona. A ty piszesz?

– Piszę!

– To dobrze, piszże! Tylko nie żałuj kropek i wykrzykników. To bardzo skuteczne. „Skruszony i upokorzony...”. Daj go katu! Wszak to Józek idzie z listem od naszych pań! Udawajmy, że dla zbytniego gorąca jesteśmy w negliżu. Uf, nieznośne gorąco! A, jak się masz, mój drogi? Nie spotkałeś tam Pańka? Poszedł po lody i zginął. To nie widziałeś?

– Nie, proszę pana – odpowiedział Józek, kłaniając się. – Mam tu list od panny.

– A panna zdrowa? Dawaj!

– Zdrowa; kłania się panom i prosi o odpis.

– Zaczekaj tam w przedpokoju. Zaraz ci dam odpowiedź.

Józef z pewnym zgorszeniem patrzył na rujnację³⁶⁵ pokoju i negliż panów, ale się wycofał do przedpokoju. Kubuś otworzył list, Szymcio patrzył weń zza ramienia towarzysza – obadwaj czytali, co następuje: „Kochani Panowie. Pomiędzy nami a dyrekcją zaszło pewne nieporozumienie, którego przyczyną panowie jesteście. Za karę skazujemy was na dwugodzinną pożyczkę pięćdziesięciu rubli dla kochających was

Teofili i Karoliny”.

– Kara w samą porę! – rzekł Szymcio, składając bilet we cztery równe części. – Jakże, Kubusiu, nie odstąpią nas?

³⁶⁵ *Rujnacja* – zniszczenie, ruina.

– A to się rozumie! Tak źle jeszcze nie trzymam o sobie, ażebym myślał, że brak kilku rubli pozbawi mnie nawet kochanki! I oto, aby cię przekonać, piszę odpowiedź: „Kochane Panie! Plaga człowieczeństwa, Żydzi, przyprawili nas o zgubę. Jesteśmy zrujnowani, zgoła wszystkiego pozbawieni. Mimo to, mamy jeszcze dziś śniadanie złożone z befsztyku, zrazów nelsonskich, bordeaux i dobrych papierosów, na które was zapraszamy. A pozostawcie w domu skromność zbyteczną, bowiem z łaski Żydów zastaniecie w negliżu kochających was przyjaciół

Parysa i Szymona”.

– Józek! Masz tu odpowiedź. Zanieś ją do panien i powiedz, coś tu widział, a raczej, że nic nie widziałeś, bo przeklęte kruki wszystko rozechwyały! Idźże z Bogiem! Nie zapominaj, że masz u mnie pół rubla, a ty wiesz, że to tak, jak gdyby w twojej własnej kieszeni.

– To, proszę panów, jakże to?... Owwa! To taki wszystko zabrali?...

– Oto jak widzisz. Nie mamy nawet w czym wyjść na ulicę. Powiedz to pannom, a list oddaj.

Józek skrobał się w głowę; wreszcie rzekł po chwili:

– Mnie ino jedna dziwota...

– Jaka?

– A ta, że to panicze tacy uczeni, ta pozwolili głupim Żydom wszystko zabrać!

– Mój bracie, tak zawsze bywa z uczonymi! A zresztą – do grabieży nauki nie trzeba...

– Ej, gdzie tam! Niech no by u mnie Żyd spróbował! Ale że Pańko taki straszny na gębę, a pozwolił. Owwa! To już nieładnie.

– No, mniejsza o to, idź już. Oddaj bilet. A może tam przydybiesz Pańka, to powiedz, niech się śpieszy. Coś mi się jeść zachciało. Idźże!

– Całuję rączki kochanych panów. Ale co z Żydami, to taki bardzo źle. Po Pańku się tegom nie spodziewałem... Całuję rączki.

– Słuchaj no, a nie zapomnij, że masz u mnie rubla srebrnego! Albo wiesz co? Będę ci winien okrągło trzy ruble – daj mi teraz dwa. Jeżeli przy sobie nie masz, to przyniesiesz za godzinę, ja poczekam. Dziękuję ci! Bywaj zdrów. A pamiętaj – za godzinę.

– Głupi chłopiec, ale poczciwy. Obaczysz, Szymonku, że przyniesie dwa ruble. Rzecz prosta! Ma rubla w zysku. No, nie rozjaśniszże czoła, Szymciu? Gniewać się będę.

– Nie mogę, nie mogę, Kubusiu! Nie pojmuję istnienia bez pieniędzy. Wziąłem to po moim ojcu!

– Niegruboś się obłowił. Wolałbyś wziąć po nim pieniądze! Zresztą – co się przewlecze, to nie uciecze. Stary niedługo bryknie i będziesz panem.

– Ach, gdybyż to prędzej! – westchnął Szymcio.

– Coż wtedy poczniesz? Zagrzebiesz się na folwarku i będziesz robił pieniądze? Rzecz głupia!

– Oj, niegłupia! – znów westchnął Szymcio.

– Wierz mi, że głupia! Pieniądz powinien być środkiem, nie celem. Nie ubliżając nikomu – głupiec robi pieniądze, mądry je używa. To filozofia życia! Wierz mi, drogi Szymciu!

– Zapewne, miła jest rzecz używać; ale gdy nie ma?...

– Dla nas nie ma? A to mi się podoba! A dla kogoż będą? Za mało masz wiary w siebie. Patrz na mnie: jam wesół zawsze i ani na chwilę nie wątpię, że będę miał wszystko do końca życia!

– Szczęśliwy jesteś, Kubusiu! Ja inaczej się na to zapatruję i jak skoro tylko dostanę do rąk pieniądze...

– Stracisz je wraz ze mną, daję ci słowo!

– Nie stracę.

– Obaczmy. Ale tymczasem kończmy nasze listy. Na czymże to stanąłem? „Skruszony i upokorzony...”. Uważ, że to zupełnie stylem *Psalmsów Dawidowych*, które pan Kuba co sobota odmawia. Poczciwy wujaszek! Jakbym go widział wydostającego srebrne rubelki dla kochanego Kubusia. „Syn marnotrawny...”, wśród świń i żółtzi”. Wybornie! bardzo mi na rękę ta przypowieść ewangeliczna. Świnie to fach mego wujaszka! Ale nie chcę ci przeszkadzać; piszmy!

Po kwadransie listy były gotowe, odczytano je sobie wzajemnie, poprawiono w kilku miejscach. Kubuś listy popieczętował.

– Gotowe. Aj, do diabła! Wraca Pańko – uważasz – bez śniadania! A, to nie-ludzko! To niesumiennie! Taki mam apetyt... Pańku, ty Boga w sercu nie masz! Ale... A cóż to znowu? Gdzie twoja liberia?

Pańko miał tylko resztki lampasów, kołnierza i prawej kłapy u kurtki brakło; włosy były rozczochrane, parę sińców miał na czole.

– Co z tobą, Pańku? – zapytał Szymonek.

Pańko w milczeniu sięgnął ręką w zanadrze i rzucił na stół pęk rudych, kręcących się włosów.

- Co to takiego? – zapytali ze zdziwieniem obaj przyjaciele.
- Pejs Naftufy – poważnie odrzekł Pańko. – Dotrzymałem słowa.
- A, zmiłuj się, Pańku! – począł Szymcio.
- Nie ma zmiłowania! – zawołał z ogniem ekspowodyr. – Ja im tego nie zapomnę, że mi liberię zabrali. Przez nich dziś nie widziałem się z Magdusią, nową pokojówką pani Majorowej! Chrystusa ukrzyżowali, liberię mi wzięli. Ja im popamiętam!
- Ale gdzieżeś podział lampasy, kołnierz i klapę od kurtki? – wesoło zapytał Kubuś.
- To tam, między Żydami zostało. Uczepili się mnie jak raki porwanej ścierki. Nabiłem tego ze dwie kopy – padali niby muchy! Ale pejs u mnie! Lampasy były fastrygowane, odpruły się łatwo... Kurtka na nic... Ha, to już nie moja wina! Te pięćdziesiąt trzy grosze wygrałem w r z e s z u t k ę³⁶⁶ od chłopca biskupowego. – Będzie za co w zębach podłubać!
- Ale śniadanie? Co ze śniadaniem? – zapytał Kubuś. – Przecież Naftułowego pejsa jeść nie będziemy!
- Ale co pytasz na próżno? Widzisz przecie, że nie przyniósł.
- Pańku!
- Czekajcie, panowie; niech się wody napiję, to wam powiem. Ciepła szelma, ale mokra! Otóż, o co tu chodziło?
- Ale o śniadanie, o śniadanie, marudo!
- Panicz Kubuś te rzeczy za gorąco bierze, a z pośpiechu, wiadomo, diabeł korzysta.
- Przynajmniej tym razem skorzystał – boleśnie zauważył Szymcio, któremu jeść się chciało napiętkne.
- Zje wprzód diabła, nim co ode mnie skorzysta. Czy to ja taki dureń, jak panicze myślicie!
- Ale nikt tego nie mówi. Pańku, ja cię zjem, jeśli mi nie powiesz, co się ze śniadaniem stało.
- Najpierw mnie panicz nie ugryzie nawet, bom zawędły³⁶⁷, i gryźć się taki nie pozwolę. A co do śniadania, to śniadanie robi się.
- Żeby cię wszyscy diabli! Jaka nam stąd pociecha! Coś ty z moim listem zrobił!

³⁶⁶ *Rzeszutka* – rodzaj gry.

³⁶⁷ *Zawędły* – zwiędły, zasuszony.

– Właśnie mówić chciałem. Chodziło o to, ażeby dobrze zaprezentować nową moją liberię; szedłem więc, biegnąc, a spotkawszy za bramą tego łotra Kulika, skorzystałem z braku połów u mej kurtki..., ale on udał, że tego nie widział. Mniejsza o to – inni widzieli! Zaraz koło katedry stuknąłem łeb o łeb dwóch Żydków, aż jednemu wypadły *szwejbele*³⁶⁸, a drugiemu *bejgele*³⁶⁹ – łotry śmieli się z mojej liberii! Niby niechcący potrąciłem pannę Surę rozmawiającą z panem Lejbą, któremu za dawniejsze jeszcze wpakowałem cylinder aż po ramiona. A że wielki hałas podniosła panna Sura i pan Lejba, nie miałem już czasu wyrzucić Josiowi śmierzących jego ciastek z króbkki³⁷⁰ i wpadłem do hotelu. Marysię pocałowałem tylko dwa razy; Hania pokazała mi figę, a ja jej za to dwie i nic nie mówiąc, poszedłem wprost do pani Warzeckiej. Zastałem ją właśnie przy gotowaniu: pomadowała włosy tłustością z rosołu.

– Bodaj cię lichu!...

– Dalibóg, z rosołu! Ukłoniłem się jej pięknie, pocałowałem w rękę i oddałem bilecik. Co to, panie – byłbym przysiągł, że ona czytać nie umie, a przecież przeczytała, choć widziałem, że do góry nogami! Ale kto dobrze czyta, to i tak potrafi. Przeczytała, bardzo pięknie kazała podziękować paniczowi, a wreszcie dla lepszej pewności zapytała mnie, czego panicz Kubuś chce w liście, bo niewyraźnie jakoś napisał. Ja naturalnie zwąchałem pismo nosem i zacząłem sobie łągać aż miło, że niby to wszystko ma stać w tym liście!

– A cożeś ty jej tam mówił?

– Już to do mnie należy; dosyć, że mówiłem wiele i pięknie, aż pani Warzecka potniała, sapiąc niby dwa miechy kowalskie dziurawe – jak te, com nimi dął jeszcze w bandzie.

– Na czymże się skończyło? – zapytał Szymcio.

– Na tym, proszę panicza, że Hanię trzy razy pocałowałem, a Rózię uszczypnąłem, aż krzykła: „gwałtu!”, ale to tylko z dobrego serca, bo ona bardzo poczciwa dziewczyna! Gdybyście też panicze wiedzieli...

– Pańku! Czyś ty się na moją zgubę naposiadł! My nie chcemy o niczym wiedzieć, tylko o śniadaniu!

– Alboż nie mówiłem paniczom?

³⁶⁸ *Szwejbele* – być może chodzi o ciastko cebulowe wypiekane na cieście drożdżowym.

³⁶⁹ *Bejgele* – bajgielki, kręcone obwarzanki wypiekane przez Żydów.

³⁷⁰ *Króbka (krobka)* – koszyk z kory.

- Ani słówka.
- To tylko z pośpiechu.
- Cóż więc?
- Wszystko dobrze. Powiedziałem pani Warzeckiej, że hrabia kocha się w niej, a z córką, jak dorośnie, niezawodnie się ożeni.
- A żebyż cię lichy porwało! Kto cię prosił o swaty?
- Kto prosił? A to mi się podoba – panicze!
- My? A to kiedy?!
- Nie chcecie panowie śniadania? Proście o śniadanie?
- No...
- Proście o śniadanie – proście i o to, ażebym kłamał, bo Warzecka nie dałaby inaczej pół porcji flaków nawet!
- A tak da śniadanie?
- A naturalnie! Aż się rozpląkała z radości. Mnie dała kieliszek wódki i piernika panien Dominikanek. Powiedziała, że śniadanie będzie za godzinkę gotowe i kazała mi biec co spieszej, kłaniać się panu hrabiemu i prosić do niej dziś wieczór na kolację. Poszedłem; wyrwałem po drodze pejsa Naftule, rzeszutka napędziła mi pięćdziesiąt trzy groszy. Powiedzcież teraz, panowie, że źle się sprawiłem, a zaraz podziękuję za służbę i wstąpię do zakonu, bo właśnie karmelitom braknie przeora, a mnie do tego niby ułał.
- To diabeł, nie Pańko! – zawołał wreszcie Szymonek.
- Wszystko to piękne, ale za co ja mam męczyć się z Warzecką?
- Poświęcenie – począł Szymcio, uradowany wieścią o śniadaniu – ofiara...
- Chciałbym, byś ty spróbował, czym to pachnie!...
- W najgorszym razie śledziem! Ale patrzcie panicze: dwóch drabów niesie śniadanie. Dalejże do łóżek, niby brzuchy was bolą, bo źle będzie, gdy się Warzecka dowie, a ja tu porządek zrobię.
- Cicho, bo panowie śpią jeszcze. Postawcie tu. Dobrze! Wino, papierosy, srebro... Wszystko w porządku! Możecie odejść, a to wam od moich panów 53 groszy, podzielcie się; jak wstaną dostaniecie więcej, bo drobnych nie mam! Z panem Bogiem!
- Służba hotelu wyszła, Pańko wniósł śniadanie, Kubuś i Szymcio wyskoczyli z łóżek.
- A co? Zuch Pańko! Śniadanie królewskie. Daj go katu! Miłość pomogła: mamy cztery potrawy, w dodatku butelka szampana. Niech żyje miłość!

– Pańku, powinien być zostać ministrem!

– Wolę królem: mam wszystko, co potrzeba do korony i tronu!... Brawo! Szampan wyśmienity. Panowie, pijcie z kieliszków, ja sobie wleję do szklanki.

– Niech żyje miłość! Wiwat!

– Gdzie mowa o miłości, tam nas pomijać nie można. Jak się macie, panowie? – zawołały wesoło artystki, wchodząc do pokoju. – Wina! Nie róbcie sobie żadnej ceremonii z nami.

– Za pozwoleniem, panie. Względy dla płci pięknej, a zresztą jestem gospodarzem. Z kołdry, jak widzicie, wyborny da się zrobić szlafrok, gdy ją w pasie przewiążę ręcznikiem – o tak! *Je suis à vos services mesdames!*³⁷¹ Najpierw muszę was z kolei ucałować. A teraz dajcie wina! Co, zabrakło szampana?! Mniejsza o to. Zabierzmy się do śniadania. Co kto woli: befsztek, zrazy nelsonskie! Tylko na miłość boską nie podnoś pani pokrywy, wszystek zapach uciecze. Cóż to – trufle? Brawo! Pularda³⁷² z kompotem. Wyśmienicie! Niech żyje Warzecka! Pocziwa kobiecina... Uważacie: trufle wcale smaczne, kompot doskonały! Dalej do zrazów!... Pańku, odkorkuj butelki. Żywo, chłopcze! Jakże paniom smakuje śniadanie?

– Wyśmienite. Ale powiedzcie nam, co się to z wami dzieje?

– Bagatela, wierz mi, Karolciu, bagatela! Weź no jeszcze ten kawałeczek... Powiadam ci – delicje! Dawno mi już tak nie smakowała kuchnia Warzeckiej.

– Pan Szymon dotychczas nie może przyjść do siebie – zrobiła uwagę wodewiliłstka.

– Dajcie mu pokój! Wstępuje do zakonu.

– Co?...

– Pani protestuje?

– A naturalnie!

– Uspokój się, pani! Szymcio wstępuje do zakonu pod jednym warunkiem...

– Mianowicie?

– Że pani z nim w jednej celi zamieszka.

– O, nic z tego! Nie myślę o klasztorze.

³⁷¹ *Jestem do waszych usług, panie!*

³⁷² *Pularda* – młoda, nierozwinięta płciowo kura, tuczona w określony sposób celem uzyskania delikatnego i kruchego mięsa.

– To i z jego habitu kwita. Prawda? Szymciu! Ale pocałujże sąsiadkę, jak ja to z moją czynię – o tak, Pańku! Nalej nam wina, a zmiłuj się, nie jedz tyle truflif, bo możesz dostać niestrawności. Zdrowie dam!

– Dziękujemy! Zdrowie wasze, panowie!

– Kochajmy się! Pańku, za wiele pijesz – to ci może poszkodzić, a wiesz, że doktora nie mamy czym opłacać. Panie, do papierosów! Ani widzę, że mój szlafrok..., mniejsza o to! Pańku! zabierz to sobie do przedpokoju i natychmiast odnieś te listy na pocztę. Panna Teofila prześlicznie dziś wygląda. Co widzę: szpinka³⁷³ nowa?

– Dostałam ją wczoraj od barona.

– Zaczny baron, chociaż bez nosa!

– Przeciwnie, poczwara! Wyobraź pan sobie, dwa wieczory kazał się prosić o tę bagatelkę!

– Powiedzcież nam teraz, co się z wami stało?

– Rzeczy bardzo proste, moje panie. Ojciec wydziedziczył Szymonka; mnie wujaszek dał odprawę. Licho Żydów przyniosło. Za nimi była przewaga fizyczna, nasze protesta za nic – wzięli, co się im podobało, i zostawili nas takimi, jak widzicie!

– A, to źle! – rzekły artystki. Szymcio westchnął, a Kubuś dodał wesoło:

– O, i bardzo! Toż się piękne panie nie gniewajcie, że odmówiliśmy wam pożyczania bagatelnej sumy 50 rubli; ale nasze finanse w złym są stanie. Szymciu, przestańże wzdychać, a raczej prośmy pannę Teofilę, by nam zaśpiewała piosnkę na pocieszenie.

– Ostatnia nadzieja jeszcze w listach, które posłaliśmy – rzekł Szymcio smutnie.

– Co mówisz o nadziei? Pewność! Wszelka pewność! – zawołał Kubuś wesoło. – Ci ludzie przecie mają krew w żyłach, a krew – nie woda. Za parę dni będziemy mieć pieniądze!

– Gdyby i tak. Ale co teraz począć? – zapytał Szymcio, wciąż niepocieszony.

– Teraz? O, patrz na mnie i wstępuj w me ślady – rzekł Kubuś, całując swą sąsiadkę. – Oto jest terażniejszość, a o przyszłości niech kto inny myśli! Nazwałbym się osłem, gdyby mię o to głowa bolała.

– Pozwólcież nam teraz panowie przemówić – wniosła pierwsza amantka.

³⁷³ Szpinka – spinka.

– Panna Karolina ma głos.

– Ratowaliście nas nie raz...

– Mówca odstępuje od przedmiotu! – wołał Kubuś, protestując.

– Owszem, zmierza do niego! Robiliście nam dobrze, obecnie przyszła kolej na nas. Wprawdzie stoimy teraz niewyśmienicie: Towarzystwo na rozwiązaniu, z dyrektorem miałyśmy pewną sprzeczkę... Nic to jednak nie stanowi. Z mojej strony ofiaruję kaszmirowy szal, który mi, hrabio, przed miesiącem kupiłeś...

– Ja daję szpinkę barona!...

– Przywołujemy Żydów. Dają nam za to pieniądze – zabieracie je, by móc przyjść do nas dziś jeszcze na herbatę. Rzecz zatem skończona, chodzi tylko o Żydów.

– Panie! – zaczął pół żartem, a półpoważnie Kubuś. – Jestem prawdziwie rozczulony. Bodaj to zacne nasze dziewczęta! Przyjmujemy wasz dar, uściskiem od serca dziękując szczerym przyjaciółkom! W sam czas też Pańko nadchodzi. Kolego, daj nurka między Żydów i przyprowadź tu zastawnika³⁷⁴ na szal i brylanty – potrzebujemy stu rubli. Marsz!

Pańko kulą wyleciał na ulicę.

– Bądźcie więc zdrowi, przyjaciele. Szpinka zostaje, szal zaraz przyszlę. A nie zapominajcie o herbacie! *Au revoir!*³⁷⁵

– Panie, jesteście aniołami. I jeszcze raz przebaczcie, że mój szlafrok... Za godzinę jesteśmy w mieście. Nad wieczorkiem znajdziemy się w waszym towarzystwie!

Do widzenia, mój aniele,

La la, la la!

Dziś sobota, a w niedzielę

La la, la la!

– Złote dziewczęta! Otóż to przyjaciel prawdziwy. Ja zawsze mówiłem, że aktorki lepsze są od baletniczek. U tych cnota w sercu, gdy u tamtych wszystkim – nogi!... Brawo! Pańko wie dzie Żydka. Najpierw zrobimy handelek ze szpinką, później szal przyniosą!... Szymciu, nasza gwiazda jasno świeci!

Zastawiono szal i brylanty, trzej nasi bohaterowie uekwipowali się mniej może elegancko, ale zawsze przyzwoicie. Kubuś był na obiedzie u pani Warzeckiej, na-

³⁷⁴ *Zastawnik* – ten, kto bierze coś w zastaw.

³⁷⁵ *Do widzenia!*

gadał jej pięknych rzeczy, a wiele piękniejszych dziewczętom służącym, i o piątej z Szymciem pod rękę wchodzili oba na wschody mieszkania artystek; za nimi postępował Pańko, uginając się pod olbrzymim bukietem kwiatów. Oczekiwały ich piękne gospodynie, wonna ich herbata i smaczna przekąska. Mile też, wśród śpiewu i żartów wesołych, przepędzono kilka godzin; nawet Pańko nie nudził się z Kasią, garderobianą artystek, wcale przystojną szatynką.

Tydzień oczekiwania na listy upłynął – nawet przyjemnie; odpowiedzi na czuło tragiczne pisanie Kubusia i Szymonka zburzyły gmach ich fantazji, osadziwszy bohaterów naszych na najprozaiczniejszym w świecie koszu.

Najpierw odpisał pan Kuba. Gęsto szpikowany sentencjami list jego kończył się najzupełniejszą odmową, pozostawiając Kubusiowi długą drogą poprawy możliwość dojścia do wujaszkowego worka. Icek przywiózł odpowiedź Szymciowi. Była ona bardzo szczegółowa, bite bowiem trzy strony listu zajęły tylko cyfry – jako rachunek pieniędzy bądź wydanych na edukację Szymcia, bądź marnotrawnie straconych przez „wyrodne dziecko zacnych rodziców, gorzko pracujących na chleb powszedni” – jak opiewał list pana Bartłomieja. Nic więc z nowego okpiwania łatwowernego serca rodzicielskiego! Postscriptum zawierało w sobie wiadomość, że Pan Bóg tak ciężko nawiedził³⁷⁶ pana Bartłomieja za nic innego, tylko za ciężkie grzechy Szymonka.

Szymonek czytał list ojcowski i nie starał się ukryć oburzenia, które w nim wywołał. Zarzuty czynione Szymciowi były niesłuszne, świadczące tylko o skąpstwie, jak również o złym sercu pana Bartłomieja. . . Nawet łza zakręciła się w oku Szymcia, była to jednak łza gniewu, nie rozczulenia. A już też oburzeniu trzech towarzyszy nie było granic, gdy Icek oświadczył, że przysłany jest, ażeby dworek pana Bartłomieja wyrestaurował i najął niezwłocznie.

– Więc mię jak psa na ulicę wyrzucają! – zawołał Szymcio. – Otoż to serce rodzicielskie! Byłem głupi, sądząc, że mam ojca i matkę!

– Wyrzucić z pomieszkania. . . – głośno myślał Kubus.

Wreszcie i Pańko głos zabrał.

– Że tam panu diabeł *htuzdów*³⁷⁷ nakręcił – rzekł – to nie ma wątpliwości; już by też on nas bez niczego nie zostawiał! No, mniejsza już o pieniądze: my sobie damy radę bez niego! Ale co do pomieszkania, to za pozwoleniem – nic z tego

³⁷⁶ *Nawidzieć* – doświadczyć.

³⁷⁷ *Rozumów*.

nie będzie! Wiecie co, panicze? Zanim nas wyrzucą – wyrzucmy najprzód tego parcha, który nam taki cukierek przywiózł!

– *Wusydyus?!³⁷⁸* – zaprotestował Icek. – Ja biedny Żydek, za co mnie turbować? *Aj waj!³⁷⁹* Jaki ten Pańko *zahonystryj³⁸⁰*, owwa! Do czego tego powiedzieć, żeby Icka wyrzucić! Wiesz panicz co? – zwrócił się do Szymonka. – Chodźmy do drugiej izby, ja paniczowi coś powiem od jasnej pani, co *wona³⁸¹* mnie kazała paniczowi powiedzieć.

Szymcio dobry kwadrans konferował z Ickiem, wreszcie obadwa wrócili do towarzystwa. Icek miał minę tryumfującą, Szymcio bardziej chmurną.

– To już *szon gerecht?³⁸²* Ja mogę jaśni państwu powiedzieć. Bo, proszę paniczów, ja, z przeproszeniem, dworek już najął panu sekretarzowi z Kaziennej Palaty³⁸³, to *wun³⁸⁴* tu jutro przysyła mularzy. – Ja już tu niczego nie mam do roboty; to sobie pojedę, żeby na szabas stanąć w domu. Paniczu! – znów wziął Szymonka na stronę. – Coby panicz wiedział, jak jaśni pan gniewa się, to aż w wózku skacze, nu! A jasna pani także, ni wroku jej, przeklina, że aż u mnie w karczmie słyhać... Woni bardzo gniewają się za tych pieniędzy... Nu, ale ja pocziwy Żydek. *Aj waj!* To jeszcze mój dziad u grafa trzymał arendę, a ja bym chciał i z wnukiem umrzeć w tej karczmie. To panicz niech weźmie, ot, jeszcze 10 rubli, żeby jak panicz do majątku przyjdzie... Nu, *herste!³⁸⁵* przecie jasny pan kiedyś taki umrze..., to żeby mnie jasny panicz, jak jasnym panem zostanie, z arenduf nie wygonił. Bo ten szelme Lejba to *wun wielki huncfot³⁸⁶*, choć *wun* panu i raty da większy, nu, kiedy *wun* jej nie zapłaci. Bodaj panicz zdrów był, ta panował. Kłaniam wielmożnego państwu. Pańku, żebyś ty był wokomonem³⁸⁷ za to, żeś chciał mnie przez okno rućać³⁸⁸. Upadam do nogi!

³⁷⁸ *Co to jest?!*

³⁷⁹ *Aj, aj.*

³⁸⁰ *Zapalczywy.*

³⁸¹ *Ona.*

³⁸² *Wszystko sprawiedliwie?*

³⁸³ *Urzędu Skarbowego.*

³⁸⁴ *On.*

³⁸⁵ *Słuchaj!*

³⁸⁶ *Huncfot* – nicpoń, łajdak.

³⁸⁷ *Wokonom* – ekonom, zarządca majątku.

³⁸⁸ *Rućać* – rzucać.

Dobłą chwilę po wyjściu Icka arendarza milczeli nasi bohaterowie, przemysłiwając nad swym losem. Wreszcie przemówił Szymcio:

– Cóż, Kubusiu, świeci nasza gwiazda?

– Chmury ją okryły, ale... Przyznam ci się, że wobec tak niespodziewanych wypadków zaczynam tracić nadzieję... *Milles diables!*³⁸⁹ Nędza nam grozi. Nawet z pomieszkania rugują.

– Mówiłem – rzekł Pańko – Icka wyrzucić i skończyło się! To on całej biedy narobił. Ja go znam dobrze!

– Stało się, nie usłuchaliśmy twej rady – to dosyć! Nie mamy tu po co siedzieć dłużej. Co nasze, to przy nas. Wynośmy się!

– Coż poczniemy? – zapytał Kubuś rozpaczliwie.

– Matka, w sekrecie od ojca, któremu ja póki życia nie zapomnę, przysłała mi 25 rubli, Icek dał 10 – mamy zatem 35 rubli. Chodźmy do artystek, u których i tak dwa dni nie byliśmy; tam ostatecznie ułożymy: co i jak przedsięwziąć. Wynośmy się!

– A no, cóż począć? Chodźmy! – zgodził się Kubuś.

– To i ja pójdę z paniczami; a zawsze taki powiadam – trza było Icka wyrzucić!

Opuszczając pomieszkane, do którego przywiązany było tyle wspomnień, przykro się zrobiło naszym bohaterom. Nawet Pańko rozczulił się, a mimo to zdjął ostatnią już firankę u okna sypialni swych panów, by ją spieniężyć na tandecie³⁹⁰.

W pomieszkaniu artystek czekała naszych bohaterów nowa niespodzianka. W pokojach był wielki nieład, Kasia składała teatralną garderobę pań, artystki obie płakały...

– Co się to dzieje? – zapytali wchodząc Kubuś i Szymcio, a mieli jakies niedobre przeczucia.

– Nieszczęście! Okropność! – zawołały artystki, płacząc.

– Wyobraź sobie, hrabio, traktują nas niby rzecz jaką, a w najlepszym razie jak bydło!

– Ale co się stało?

– Ten osioł stary, dyrektor, ogłosił krydę³⁹¹; a że mu zostałyśmy winne po kilkaset złotych..., więc nas... wraz z dekoracjami, biblioteką i garderobą odstę-

³⁸⁹ *Do stu tysięcy diablów!*

³⁹⁰ *Tandeta* – miejsce handlu starymi, używanymi rzeczami.

³⁹¹ *Kryda* – bankructwo, upadłość.

puje nowemu dyrektorowi, który... który zabiera nas dziś jeszcze na jarmark do Bałty, a stamtąd do Odessy!

– Jak to! Dziś jeszcze?

– Dziś! Dziś!

– I to wyobraź pan sobie – mówiła wodewilistka do Szymcia – zabiera po mimo naszej woli, jak gdybyśmy jego własnością byli.

– Do naszych nieszczęść tego jeszcze brakło – boleśnie zwiesił głowę ku piersiom Szymcio.

– Gdzie on mieszka? Gdzie ten łotr mieszka! – wołał Kubuś. – Wielką mam ochotę policzyć mu kości na grzbiecie!

– Oj to, to, to! – wtórował mu Pańko od proga. – Chodźmy, paniczu! Ja wiem, gdzie on na stacji stoi!...

– Pańku, naprzód! Ja za tobą!

– Hrabio, nie unoś się! – wołała pierwsza amantka, ale jej głosu nie słyszał już Kubuś.

– Gotowe być znowu jakie nieszczęście! Przynajmniej pan Szymon niech tu zostanie.

– Jakże tam z tobą, mój drogi? – zapytała wodewilistka Szymonka.

– Nie pytaj o nic, Teofilo, bo wściekły gniew mię porywa na myśl, że tacy niedludzy ojcowie jak mój mogą żyć na tym świecie... Wszystko, wszystko stracone! A gdy was jeszcze mieć nie będziemy, wypadnie chyba rzucić się z Tureckiego Mostu!³⁹²

– Ja wciąż się obawiam – rzekła pierwsza amantka – ażeby nie było jakiej awantury. Hrabia taki prędko!

W tej chwili wszedł sługa nowego dyrektora, zapytując, czy panie spakowane, bo fura zaraz zajędzie. Nowy wybuch płaczu był odpowiedzią dziewcząt, aż Szymciowi przykro się zrobiło.

Sługa, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, a widząc, że Kasia ostatnie pudełko zawiązuje, odszedł w milczeniu.

Po kwadransie wpadł do pokoju Kubuś blady, zgryziony, za nim Pańko.

– To skała, nie człowiek! – wołał hrabia. – Perswadowałem, groziłem, prosiłem – nic nie pomogło! – Wykazał się rachunkami: zapłacił za was blisko trzysta

³⁹² *Turecki Most (Most Turecki)* – most drogowy w Kamieńcu Podolskim, na Smotryczu; łączy Stary Zamek ze Starym Miastem.

rubli, sam jest bez pieniędzy, ja ich również nie mam... Niepodobna nic uczynić! Musicie jechać!... Karolino, nie płaczże tak, bo mnie zabijasz! Gotów jestem świat cały przekląć, że nie mam nędznych kilkuset rubli, by was wykupić z tej zaprzedaży! Słuchajcie jednak... A!... do stu piorunów! Żadnej, żadnej rady! Stare graty, jeden jak drugi, przysłali nam tylko morały, niewarte złamanego grosza! A wam zapewne potrzebne pieniądze na drogę przynajmniej?

– Nie mamy nic – rzekły obie artystki.

– To tyle, co i my – zauważył Szymcio.

– Do pioruna! Dla głupszych rzeczy miewałem dawniej zegarki, pierścienie... A teraz, gdy idzie o poratowanie pocziwych dziewcząt – ani złamanego grosza! Ale... chodź no tu, Szymonku!

Krótką chwilę zabawili dwaj towarzysze w drugim pokoju; wychodząc, Szymcio miał minę skrzywioną, niejako protestującą, Kubuś jaśniał zadowoleniem.

– Przyjaciółki! – rzekł na wstępie. – Los pozazdrościł nam przyjaźni i cichego szczęścia; dotknął też Nielitosną swą ręką. Jak tu jesteśmy – nie mamy nic! Ale wyście kobiety i wyjeżdżacie – my tu zostajemy i jesteśmy mężczyznami. Oto jest 35 rubli – wszystko, co mamy. Weźcie to z takim sercem, z jakim je dajemy.

Łzy rozczenia i uścisk serdeczny były odpowiedzią dziewcząt, które mimo wszystko pocziwymi być nie przestały.

Czułą scenę niemej podziękii przerwało wejście do pokoju Żydów bałagulów³⁹³, którzy pod przewodnictwem sługi teatralnego zaczęli wynosić kufrы artystek.

Gdy już wszystko było spakowanym, zabrał głos Kubuś.

– Teraz wypada nam was pożegnać; oczewiście nie tu, gdyż mamy zamiar odprowadzić was do „Trójkątu”. Pańku, zwiń się i przyprowadź dwie dorożki.

– Już czekają przed gankiem! – rzekł Pańko tryumfująco. – Wiem przecie, co i jak należy.

– Dziękuję ci, kolego! Pożegnajcie panie raz jeszcze wasz cichy kącik i chodźmy.

Dziewczętom łzy zakreśliły się w oczach, westchnęły szczerze i wsparte na ramieniu przyjaciół udały się do pojazdów. Na dorożkę pierwszą wsiadł Szymcio z wodewilistką, Kubuś z pierwszą amantką wsiadł do drugiej, obok woźnicy zajął miejsce Pańko; konie ruszyły.

³⁹³ *Bałagula* – wynajęty furman, woźnica.

Cudny widok przedstawia Kamieniec z Polskich Folwarków³⁹⁴. Zdaje ci się, patrząc na to orle gniazdo, gród odwieczny, że śniesz rozkosznie, tak oryginalnie pięknym i fantastycznym zarazem jest Kamieniec, żywy świadek tylowiekowej przeszłości. Oko gubi się w przepaści, na dnie której szumi Smotrycz; jak białe plamki widnieją niewielkie domki do podnóża skał poprzyczepiane, a gdy sięgniesz dalej okiem, z przepaści wyskakuje słup kamienny, na którym miasto z olbrzymimi mury swymi, z lasem wieżyc kościelnych, pomiędzy którymi jak smukła palma wybiegł minaret³⁹⁵ z półksiężcem tureckim, a na nim brązowa statua Matki Boskiej lśni w uroczym błękitie podolskiego nieba. Bociany nasze społeczne! gdybyście zamiast wylatywania do zagranicznych rzadkości poznali piękno ziem rodzinnych – może krew ludzką poczulibyście w sobie!

Dorożki z wolna posuwały się ku górze; jadący z zachwyceniem patrzyli na czarowny widok.

– Prześliczne miasto! – mówiła wodewilistka.

– I porzucić go mamy, opuścić... – przez łyzy wtórzyła sąsiadka Kubusia. Trzej bohaterowie nasi równie byli wzruszeni. Pańko okiem i myślą przebiegał wszystkie te miejsca na szczytach skał i wież, gdzie był ze swoimi paniczami.

Przyjechawszy do Trójkątu, kobiety weszły wraz z Szymciem do wnętrza restauracji. Kubusia zatrzymało pytanie woźnicy:

– Czy mamy oczekiwać na panów?

– Nie potrzeba! – odpowiedział i teraz dopiero spostrzegł, że nie ma czym zapłacić dorożki.

Ku wielkiemu zdziwieniu Kubusia wyręczył go Pańko, płacąc kursa.

– Masz pieniądze? – zapytał go Kubuś z zadziwieniem.

– A mam! – odpowiedział Pańko.

– Skądże to?

– Albo to ja taki jak panicze, bym się nie oglądał na tylne koła! Naprędce sprzedałem Żydkom nasze meble i mam jeszcze sześć i pół rubli, bo rubla zapłaciłem za dorożki. Teraz myślę, że panowie zechcecie zjeść śniadanie. Toż biegnę zadysponować! – I znikł w korytarzu.

³⁹⁴ *Polskie Folwarki* – stara dzielnica Kamieńca Podolskiego w zakolach Smotrycza.

³⁹⁵ *Minaret* – wysoka wieża meczetu, z której muezin wzywa muzułmanów na modlitwę. Tu kolejne nawiązanie do minaretu z półksiężcem, który zbudowali Turcy w XVII w. podczas okupacji Kamieńca Podolskiego. Po odbiciu miasta na minarecie nad półksiężcem ustawiono figurę Matki Boskiej. Zob. katedra Świętych Apostołów Piotra i Pawła.

– Dzielny chłopiec! – myślał Kubaś. – Da sobie radę wszędzie!

Śniadanie było wyborne, wino wcale niezłe, tytoń również. Bryki artystów nadjechały. Kubaś i Szymcio wśród łez wsadzili artystki do wnętrza bud żydowskich. Jeszcze ręki ściśnienie, uśmiech pożegnawczy zza łez rozczulenia. Czas jakiś na stepie widać było bryki i powiewające z nich chustki artystek. Wreszcie znikły z oczu bohaterom naszym.

Zjedzono resztki śniadania, wypito wino do kropli. Głos zabrał Kubaś, a mówił uroczyście:

– Koledzy! Towarzysze najpiękniejszych lat młodości! Na ostatek chowałem ten kielich goryczy, który przypada nam wychylić. Los nas dotknął: ci, którzy z prawa natury opiekować się nami byli powinni, wyrzekli się nas, ceniąc więcej pieniądze, aniżeli tych, którzy je jeśli nie robić, tedy użyć umieli. Na Sądzie rozliczymy się z nimi za krzywdy nasze. Koniec końców jednak jesteśmy bez grosza, a żyć potrzeba. Wszak prawda?

– Święta prawda! – odpowiedział Pańko i Szymonek.

– Otóż co umyśliłem. Powiem wam, wy zaś sądziecie, czy mam słusność.

– Słuchamy!

– Nie przeczę, że we trzech zdolni jesteśmy umrzeć razem. Jestem o tym przekonany, ale uważcie, że tylko „umrzeć”, gdy przeciwnie – żyć – dalibóg nie potrafimy. Nie mamy nic, nie umiemy nic, święty Boże nam nie pomoże! Ale pamiętacie wy bajkę o tym, jak trzech bracia rozeszli się na trzy drogi szukać szczęścia? Bracia, uczynimy jak w bajce: trzech nas, jesteśmy na Trójkacie i trzy drogi przed nami: na północ, południe i zachód. Mamże słusność?

– Ha, gdy tak powiadasz?... – zaczął Szymcio.

– Panicze! Posłuchajcie mnie! – rzekł Pańko. – Panicz Kubaś dobrze mówi! Prawda to święta, że razem nic nie zrobimy, bo nas już dobrze tu znają, i we trzech taki rady nie damy. Rozejdźmy się! A za sześć lat od dzisiaj niech każdy stanie o południu w „Smoczej Paszczy” u Herszka, choćby nawet był królem! Zgoda?

– Zgoda! – przystali Szymcio i Kubaś.

– Teraz przystąpmy do finansów. Pańku, ile masz w kasie?

– Po odtrąceniu 3 rubli za śniadanie dzisiejsze, zostaje 3 rubli i 50 groszy – odpowiedział zapytany. – Oto są wszystkie.

– Więcej nie mamy nic?

– Nic! – odpowiedzieli Szymcio i Pańko.

– Hej, służba! Masz tu pół rubla na piwo i wynoś się gapiu! A teraz: los równy, dział równy. Mamy wszyscy po rublu. W którą stronę idziesz, Pańku?

– Wszystko by mi było jedno, w którą bądź; ale nie pożegnałem się z Magdusią i dlatego wybieram zachód.

– Ty, Szymciu?

– Pójdę na południe. Między czarnymi, powiadają, szczęści się rudym!

– Zgoda! Więc ja idę na północ. A teraz uściskajmy się, zapłaczymy, kto może, i dalej w drogę. Szymciu, jeszcze jedno pytanie: gdy cię bieda mocno, bardzo mocno przycisnie – udasz się do rodziców?

– Nigdy! – odpowiedział Szymcio stanowczo. – Wyrzekli się mnie, bo im żal było kilku rubli; ja się ich również wyrzekam!

– Dobrze, Szymonku! Ja także nie znam pana Kuby. Z ojcem obaczę się może, ale to wiesz dobrze – nie dla pieniędzy. Coś jest w tej krwi..., muszę go obaczyć!... Bądźcie zdrowi! Za lat sześć!

– W „Smoczej Paszczy”!

– O południu! – mówili rozchodząc się w trzy strony; a wkrótce każdy z trzech bohaterów znalazł się samotny na swej bezwiednej drodze.

Rozeszli się.

Już widzę, jak jeden, drugi czytelnik skrzywił się na autora, a krytyk nowe dobył pióro, by mię ochłostać. Czy podobna – pytają oba – ażeby tak ważne postanowienie jak rozłąka przyjaciół na lat sześć odbyło się bez uprzedniego przygotowania, narady? Autor pokpił sprawę – to rzecz oczewista!

Panowie! Przykro mi bardzo..., ale się mylicie. Bohaterowie moi są wprawdzie indywidua mało dystygowane, niesalonowe..., zgadzam się. Obstaję jednak przy tym i powiadam, że nie są to osobistości tuzinkowe! A że nie bez pewnej przymieszki poezji – przyzna nawet nieboszczyk ksiądz Baka³⁹⁶ i wszyscy jego młodzi naśladowcy! Przy tym czytelnik nie wie może, że jeśli wino na „Trójkacie” nie jest wyśmienite, tedy wódki i rum jamajski z fabryki balinieckiej³⁹⁷ tanie są i mocne, a każdego z trzech bohaterów miał tego w głowie i wnętrznościach po dwadzieścia kilka kieliszków najmniej. A chociaż tak głowy, jak i wnętrza

³⁹⁶ *Ksiądz Baka* – Józef Baka (1707–1780), polski poeta późnego baroku, jezuita, misjonarz, kaznodzieja, panegirysta i hagiograf. Dawniej uważany za grafomana, dziś za poetę wybitnego.

³⁹⁷ *Fabryka baliniecka* – gorzelnia w miejscowości Balin (Bałyn) na Ukrainie, w obwodzie chmielnickim.

były tęgości wypróbowanej, przecież nie o tyle, ażeby trunek nie dodał śmiałości pomysłowi Kubusia pewnego uroku, szczególnie poparty wzmianką o bajce z wyznaczeniem terminu do zejścia się po latach!

Spodziewam się teraz, że tak czytelnicy, jak i szanowny krytyk (któremu ukłon najniższy oddaję) nie potępia autora, a mole i pomogą w obecnym jego kłopotcie. Każdy z bohaterów zarówno drogi jego sercu, a że się rozeszli na trzy strony świata – za którym ma iść autor, ażeby dwom innym nie ubliżył? Pójdę za Szymciem – szkoda mi Pańka i Kubusia, udam się za Kubusiem – skrzywdzę Szymcia i Pańka. . .

Już widzę, jak dowcipniś chce mi przypomnieć bajeczkę o sianie i pewnym bardzo poczciwym zwierzątku. . . Poczciwiec! Doprawdy, nie masz jak dowcipni! A wiesz pan, co zrobię? . . . Nie? Dowiedz się zatem, że gdy na trzy strony świata udali się bohaterowie powieści, autorowi do odejścia pozostała strona czwarta, a z nią – koniec powieści. . . Nie będę jednak tak okrutnym i czas namysłu dla siebie, a zaspokojenie ciekawości czytelnika, prolonguję do tomu drugiego.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TRÓJKA

P o w i e ś ć

Tom drugi

TRÓJKA

POWIEŚĆ

przez

PAULINA STACHURSKIEGO.

Tom drugi.

Lwów.

Nakładem i drukiem Kornela Pillera.

1868.

Karta tytułowa II tomu powieści Paulina Święcickiego (Stachurskiego) *Trójka*
(Lwów 1868)

I. REHABILITACJA KUBUSIA

Stworzenie Boże, które się zwało u nas o b y w a t e l e m, należy już do przeszłości i gdyby nie portrety rodzinne, kilka książek, rycin para – anibyśmy wiedzieli, jak stworzątko te wyglądały; a już też szkoda nieodżałowana, że jeden przynajmniej okaz obywatela nie zakonserwowano w spirytusie, jak to ma miejsce ze wszystkimi dziwami tej kapryśnej jejmości, zowiącej się przyrodą; wszelkie bowiem balsamowania i trumny kruszcowe okazały się rzeczą niepraktyczną.

Obywatel, jak go pojmujemy, jest to stworzenie wieku dziewiętnastego, płód cywilizacji francuskiej, powstały na rodzinnej glebie naszej. Należy on do rodzaju jednodniówek, ale jednodniówek ciekawych.

Pierwszym obowiązkiem takiego obywatela – od kolebki do grobu – było jak najmniej myśleć, dużo używać i nic nie robić. Kto przeciw jednej z tych kardynalnych zasad obywatelstwa wykraczał, już ten samym stawał się niegodnym należenia do towarzystwa obywateli jednodniówek.

Obywatel mógł być i źle urodzonym, ale miał obowiązek statecznie wypierać się pochodzenia. Mógł i powinien być nie mieć nic takiego, co trąci p l e b s e m¹, a więc: żadnych uczuć, które by uwłaczały w czym bądź egoizmowi, nic takiego, co wymaga ofiar poświęceń.

Taki obywatel powinien był przed wyższym w proch się ścielić, dla równych być w m i a r ę p o t r z e b y przyjaznym lub obojętnym wcale, innymi pogardzać, zagranicę kochać, o ojczyźnie wspominać jak najrzadziej, rewolucję potępiać, chłopów uważać za bydło i zdzierać, dawać na mszę i jeździć na jarmarki. Obywatela zobowiązywał tylko dług honorowy karciany; zabrać grosz ostatni wdowie i sierocie nic nie stanowiło; o tym nawet nie mówiono w obywatelstwie, chyba żartami.

Pan Maciej Kopytko był również obywatelem. Chociaż w niniejszej powieści będzie on tylko częścią dekoracji i nie zamierzam wcale egzemplarz ten przenieść do potomności, odbudowawszy wspomnieniem tę minioną już postać jednodniówki, nie mogę się przecież wstrzymać, bym słów kilka nie poświęcił panu Kopytce.

¹ *Plebs* – pospólstwo, lud, ludzie niebędący szlachtą.

Pan Maciej był to obywatel ściśle wygolony na twarzy księżycowej, a miałeś w nim żywe podobieństwo domorosłego harbuza²: nóżki miał krótkie, ginące pod zaokrąglonym korpusem, ręce starczyły panu Maciejowi tylko do połowy brzucha, a gdy się zszedł z panem Protazym Kruckim, również obywatelem, to ręce sobie podawali bokiem, bowiem przy zwykłym sposobie witania się brzuchy stawały im na przeszkodzie. Pan Maciej miał wszystkie cnoty do obywatelstwa niezbędne: jadł obiad złożony z potraw co najmniej ośmiu, a każdej potrawy obficie; oprócz śniadania i kolacji, w różnych godzinach dnia, przetrzącał pan Maciej pół funtem sera szwajcarskiego, pudełeczkiem sardynków lub podobną bagatelką – ale na brak apetytu wciąż się uskarżał... Wina pijał dobre, a zamiast wody używał *bordeaux*, które dlań było wodą, tylko pomagającą trawieniu. Był to zresztą bardzo zacny i powszechnie szanowany obywatel, którego namiętnie kochał pieczeń wszelką, lubił pieczeniarczów i sam był pieczeniarczem – tylko lepszej próby, bo tam bywał, gdzie się z komina kurzyło smacznie i zapachem tuzina potraw. Pan Maciej kroku nie zrobił bez kilkunastu zrazów bitych, które lubił zjadać w drodze, kilku kur lub kurcząt, pieczeni cielejącej na zimno i odpowiedniej ilości trunków. Oprócz tego sery rozmaite miewał w powozie i dobrego rumu flaszkę; ciastka i inne słodczyce nosił ze sobą w kieszeni i nawet drzemiąc, chrupał to sobie, byle nie odzwyczajając gąbki od ruchliwości.

Obecnie pan Kopytko jechał do Jarmoliniec³, a chociaż od jego wioski do miasta nie było nad milek kilka, wyjechał pan Maciej, uprowidowawszy⁴ się w zapasy żywności, jak gdyby wybierając się na wycieczkę do bieguna północnego. A jeździł zwykle nocą, bowiem gorąco nieznośnie mu dokuczało i dniem nie mógł zjeść jak chyba jednego kapłona⁵, gdy tymczasem o północy i dwóm podolał.

Było już dobrze nad ranem. Pan Maciej ku wielkiemu zadowoleniu swojemu poczuł, że mu się jeść chce. Kazał więc stanąć woźnicy na popas i teraz dopiero opatrzył się, że głupstwo zrobił, nie wzięwszy dla oszczędności Michała, wiernego sługi swego; ale z pomocą woźnicy i stróża zajazdu zsiadł z koczka i wkrótce począł spożywać dary Boże, popijając je to winem, to znów wodą (*bordeaux*), a niekiedy herbatą. Siedział wygodnie pomiędzy poduszkami, nóżki mając oparte o tabore-

² *Harbuz* – arbuz.

³ *Jarmolińce* – miasto w dawnym województwie podolskim na ziemiach ukraińskich.

⁴ *Uprowidować się* – zaopatrzyć się.

⁵ *Kapłan* – młody, wykastrowany kogut.

cik, któren umyślnie na ten cel woził ze sobą. Białą serwetę miał zawiązaną pod brodę, lekka czapeczka z kutasem⁶ ocieniała mu skroń wyniosłą na półtora cala; w prawej ręce trzymał spory kawał indyka, w lewej ser szwajcarski, z rozkoszą przeżuwał cielęcinę na zimno, a z miłością patrzył na świeżo otwarte pudełko sardynek.

Gdy się znajdował w takiej pozycji, drzwi otwarły się – do pokoju wszedł młody, przystojny człowiek i z całą swobodą zdjawszy kapelusz z głowy, zawołał:

– *Bonsoir, Monsieur!*⁷

Pan Maciej Kopytko nie zmienił swej pozycji, zwrócił tylko niewielkie swe ślipki w stronę gościa.

– Nie mogłem trafić szczęśliwiej – mówił młody człowiek. – Jestem głodny i spragniony. Twoje zdrowie, hrabio! – i wychylił spory kielich rumu.

Pan Kopytko połknął był właśnie cielęcinę na zimno, a widząc, że nieproszony gość zabiera się na serio do jadła, jak matka nad pisklętami rozciągnął swe krótkie ręce nad przekąską i rzekł:

– Za pozwoleniem!

– O, nie rób pan ze mną ceremonii! Sam sobie usłużyć potrafię, gdy nie ma lokaja. Salceson doskonały! Pasztet, jakiego nie jadłem w Strasburgu. Dobrego masz pan kucharza. Wino tegie i wystaje, a to grunt! Bodaj to, panie, szlachta polska – ta tylko jedna jeszcze żyć umie!

Pan Maciej dziwnie miękł za każdym słowem gościa. Bo też i trudno było ostać się przed tylu pochlebnymi zdaniem: gość chwalił naraz kucharza, wino i pana Macieja – ciekawym, kto by tu nie kapitulował!

– Herbata szczerze chińska! – mówił nieznajomy. – Rum, jakiego nie piłem na Jamajce, podróżując z następcą tronu...

Pan Kopytko drgnął cały, aż mu się czapeczka przykrzywiła...

– Gdybyś też wiedział, hrabio – mówił dalej nieznajomy, zjadając cielęcinę na zimno – jakie pocieszne zajście miałem z pewnym mandarynem⁸, posłując w Pekinie...

Pan Maciej drgnął znowu i całe ślipki włożył w nadzwyczajnego gościa.

⁶ *Kutas* – w XVII- i XVIII-wiecznej Polsce ozdoba szmuklerska w postaci pędzla z nici lub sznureczków przypinanego do pasa lub czapki bądź końskiej uprząży.

⁷ *Dobry wieczór panu.*

⁸ *Mandaryn* – urzędnik biurokracji w cesarskich Chinach.

– Delicje! prawdziwe delicje! – smakował nieznajomy. – Pozwolisz ponczu, panie hrabio? O, bez żenady! W obozie z infantem⁹ hiszpańskim zwykle nawzajem przyprawialiśmy poncze, a wierz mi, nie było nic pociesniejszego jak ten Franciszek¹⁰, obecny król...

Panu Kopytce zleciała czapeczka z głowy, jednym ruchem ściągnął serwetę spod brody i drżąc, wyszeptał, siłąc się powstać:

– Najjaśniejszy panie!

Nieznajomy zatrzymał go.

– Ale proszę cię, mój kochany, bądźmy bez ceremonii. Podróżuję *incognito* i nie chcę być zdradzonym... Ech, kochany hrabio! Spodziewam się bowiem, że przynajmniej hrabią jesteś?...

– A tak..., tak jest, naj... – mięszał się¹¹ pan Maciej.

– Jak mię kochasz, wypij poncz, który ci sam przyrządziłem!

Pan Kopytko z uwielbieniem wychylił poncz przyrządzony przez najjaśniejszego.

– Zdrowie twoje, hrabio! A patrz, że piję najczystszym białym rumem!

Nieznajomy wypił wodę. Pan Maciej z największą czcią spełnił szklanke rumu za zdrowie najjaśniejszego nieznajomego, sapnął tylko i zmrużył oczka.

– Bydlę! – mruknął nieznajomy, spożywając co smaczniejsze kąski.

– Najjaśniejszy panie!... – mruczał pan Kopytko.

– Dobranoc! – Nieznajomy klasnął w dłoń. Wszedł woźnica pana Kopytki. – Zaprzęgać! Zaraz jedziemy! – zawołał tonem rozkazującym.

– Jedziemy... – mruczał pan Maciej.

Woźnica zebrał resztki kolacji, zamknął do puzdra samowar i butelki, a wkrótce dał znać, że konie gotowe.

Nieznajomy zbliżył się do rozmarzonego trunkiem pana Macieja i dał mu szcztuka¹² w nos. Pan Kopytko kichnął, życząc sto lat najjaśniejszemu, który go wziął pod rękę i uginając się pod tym obywatelskim ciężarem, zaniósł do drzwiczek powozu. Gdy usiadł, krzyknął:

– Ruszaj!

⁹ *Infant* – w Hiszpanii i Portugalii: tytuł przysługujący dzieciom królewskim.

¹⁰ *Franciszek* – Franciszek de Asís Burbon (1822–1902), książę Kadyksu, król małżonek Hiszpanii jako mąż królowej Izabeli II.

¹¹ *Mięszać się* – być zmieszonym, zakłopotanym.

¹² *Szcztuk* – prztyczek.

Woźnica konie zaciął, w koczku został nieznajomy, pan Kopytko zaś padł plackiem na ziemię przed karczmą, a leżąc w prochu, był pewnym, że całuje nogi najjaśniejszego, którego wielką gwiazdą dekoruje.

Woźnica konie popędzał i drzemał, nieznajomy spał w powozie. Dzień biały obaczył kocz pana Kopytki w Jarmolińcach. Spostrzegł go również przechodzący ulicą niemłody już mężczyzna, o licach¹³ wyrazistych i pięknych.

– Stój! – zawołał.

Woźnica przystanął, mężczyzna zbliżył się do drzwiczek powozu i uchylając takowe:

– Dzień dobry panu Maciejowi! – rzekł. – Witamy go, witamy!

Ale zamiast pana Kopytki nieznajomy przetaił oczy ze snu, pytając:

– Co to jest? Co się stało?

– A kogoż to wiesz, Pietrze? – zwrócił się mężczyzna do woźnicy.

– A pana z jakimś panem, proszę pana – odpowiedział zapytany.

– Za pozwoleniem! Pan podobno towarzyszyłeś panu Kopytce? – zapytał mężczyzna nieznajomego.

– Przyznam się panu, trudno mi na to odpowiedzieć – odrzekł zagadnięty. – Wprawdzie przypominam sobie, że z kimsiś jechałem...

– Taże¹⁴ ja widział, jak pan z panem wsiadał do kocza! – zaprotestował woźnica.

– Widziałeś, mój kochany? A, to zapewne musi być, jak powiadasz.

– Ta ja wiem. Ale gdzie pan?

– A, tego to ja nie wiem. Może wypadł z powozu...

– Nieszczęśliważ moja godzino! – wykrzyknął woźnica. – Cóż ja teraz pocnę?!

– Nie widzę innej rady – rzekł na to mężczyzna – jak tylko, ażebyś ruszył na powrót i pana odszukał.

– Bardzo zdrowa rada! – zrobił uwagę młody człowiek, wysiadając z kocza. – Jestem tedy w jakimś mieście. To dobrze. – A zwróciwszy się do zakłopotanego Piotra: – Radzę ci również, mój kochany – rzekł – ażebyś jechał szukać swego pana. A kłaniaj mu się ode mnie.

Piotr poskrobał się w głowę, zaklął, ale zawrócił konie i pojechał. Nieznajomy z gracją ukłoniwszy się mężczyźnie, chciał odejść.

¹³ Lice – twarz.

¹⁴ Taże – przecież.

– Za pozwoleniem! – zatrzymał go znajomy pana Macieja. – Im się panu bliżej przypatruję, tym silniej utwierdzam się w przekonaniu, że rysy jego znane mi... Pan mnie nie znasz?

– Nie mam przyjemności!

– To się poznamy, mój młody panie, bo nie taję, że sympatycznym dla mnie jesteś. Nazywam się Włodzimierz Bużewski, mieszkam na Ukrainie. A pan?...

– Szczerść za szczerść. Dam jej dowody, nie tając przed panem właściwego nazwiska. Jestem Parys hrabia Porowski.

– Porowski! Imię ojca pańskiego?

– Apollin Rodryg Napoleon.

– A matka, matka twoja? Jak z domu?

– Również Porowska.

– Eulalia?

– Tak jest. Znałeś pan moich rodziców?

– Znałem – rzekł smutnie pan Bużewski. – Ojciec żyje, matka umarła.

– Umarła!... Wieczny odpoczynek... Parysie, nie jesteś obcym dla mnie i masz we mnie przyjaciela. Ale chodźże, chodź! Powinieneś mi wiele rzeczy opowiedzieć o rodzicach, o sobie. O tu, na prawo.

Jeżeli czytelnik przypomina sobie króciutką opowieść o wnuku starościny Rawskiej, zamieszczonej w tomie I, tedy bardzo mało wypadnie mi dodać do opisu pana Włodzimierza Bużewskiego. Zacny za młodu – pozostał takim do starości. A chociaż włos mu skronie ubielił i lat przybyło sporo, serce przeto nie ostygło i myśl była trzeźwa, a chęci pocziwe.

Kubuś – czy to rozczulony wspomnieniem matki, czy ujęty ojcowskim obejściem się pana Bużewskiego – wyspowiadał mu się z grzechów całego życia, nie utaił nic i ze łzami w oczach błagał o opiekę, obiecując we wszystkim stosować się do jego rad i wskazówek.

Pan Bużewski zanadto był szlachetnym człowiekiem, ażeby odepchnął młodzieńca stojącego nad przepaścią zepsucia, gdy go mógł na drogę prawą zaprowadzić. A gdy jeszcze weźmiemy i to na uwagę, że Kubuś nie mógł już dla tego być mu obojętnym, że był synem tej, którą zdawało mu się przynajmniej, iż kiedyś kochał – nic więc dziwnego, że prędko przyszło między nimi do porozumienia. Rozplakał się i pan Bużewski, ściskając Kubusia, a ponieważ interesu, jakie miał, załatwił, siadł z młodym Porowskim do powozu i ruszyli oba traktem na Ukrainę, do majątku pana Bużewskiego.

Jeszcze nasz bohater nie dojechał do Latyczowa¹⁵, gdy pan Maciej Kopytko na obywatelskim obiedzie rozpowiadał okolicznej szlachcie z tajemniczą miną o spotkaniu się na drodze z podróżującym *incognito* co najmniej królem francuskim, a przy tym wielkim figlarzu! Szlachta wierzyła i nie wierzyła, a pan Kopytko był pewnym, że niezadługo dostanie gwiazdę taką samą, o jakiej śnił, leżąc przed bramą karczmy, w której stanął na popas.

Po trzech dniach jazdy powóz pana Bużewskiego wjeżdżał do pięknej wsi położonej nad wodami Tykicza¹⁶. Twarz pana Włodzimierza zajaśniała wyrazem szczęścia.

– Jestem już u siebie – mówił wesoło do Kubusia. – To moja wioska, za godzinę staniemy w Żytnikach¹⁷, gdzie mię oczekuje droga żona i córka.

Na polu już włościanie, poznawszy swego dobrego pana, witali go serdecznie. Pan Bużewski z rozczeniem witał się z wieśniakami, często nawet wysiadał z powozu, śpiesząc uściskać wiekowego starca lub powitać ociemniałą staruszkę, otoczoną gronem prawnuków. Dzieciom rozdawał zabawki, pierniki, starszym książki, dziewczętom piękne *byndy*¹⁸ i medaliki. Wśród oznak niekłamane-go uczucia przejeżdżali tak przez parę wiosek, aż oku podróżnych pokazały się Żytniki.

Konie raźniej pobiegły, czując bliskość domu. Przed kołowrotem wstrzymał je woźnica. Pod figurą stały dwie kobiety, a jedna z nich, powóz obaczywszy, w wesołych płasach poskoczyła, wołając radośnie:

– Tatko! Tatuńcio! – i za chwilę pan Bużewski ścisnął rozczulony żonę i córkę.

Kubuś stanął na uboczu, przypatrując się scenie powitania. Wiele rzeczy było dlań nowych w podróży, ale widok, jaki miał przed oczyma, wcale mu był niezny: tak pani Bużewska, jak i jej córka były ubrane po wiejsku, a zgrabniutka figurka piętnastoletniej Heluni cudownie odbijała od wciętego stanika wieśniaczki i koszuli w śliczne wzory *mereronej**. Jasne włosy, splecione w dwie kosy¹⁹,

¹⁵ *Latyczów* – miasteczko na Podolu, dawnym województwie podolskim.

¹⁶ *Tykicz* – rzeka na Ukrainie, na Wyżynie Naddnieprzańskiej, ma 4,5 km długości.

¹⁷ *Żytniki* – wieś na Ukrainie w dawnym powiecie taraszczańskim, u źródeł rzeki Żytnicy (dopływ Tykicza Górnego).

¹⁸ *Bynda* – kolorowa wstążka.

* *Różnokolorowe wyszycia pelia* [pelia (pela) – cienkie nici jedwabne używane do haftowania – przyp. Red.].

¹⁹ *Kosa* – warkocz.

spływały na jej plecy, końcami wstążek igrając z lekkim powiewem wiatru; różyczka u piersi i polny bławatek we włosach dopełniały ubioru panny Bużewskiej.

Helena nie była piękną, lecz czy piękne mają być uprzywilejowanymi do odgrywania znaczniejszej roli w życiu i powieści? Córka państwa Bużewskich była miłą, a to zdaniem moim więcej aniżeli piękność znaczy. Piękne zadziwia – miłe przyciąga! Helena miała w swej twarzy wyraz wioskowych dzieci ludu, z ową poetyczną zadumą i wrodzoną łagodnością, a obok tego lekko przebijały się w niej znamiona, które wzięła zapewne z krwi ojca: poczucie godności własnej, niejako graniczące z dumą, nawet pewien zarys hartu znać było w tej łagodnej twarzy dziewiczej.

– Droga Praksedo! – rzekł pan Bużewski, ucałowawszy żonę i córkę. – Wiozę ci w dom nasz gościa, którego, mam nadzieję, wszyscy pokochamy. Parys Porowski, syn niegdyś panny Eulalii, nieboszczki.

Lekka chmurka przebiegła po czole pani Bużewskiej, ale wnet z uśmiechem dobroci, podając rękę Kubusiowi:

– Gość w dom, Bóg w dom – rzekła. – Witamy całym sercem pana Parysa!

– To moja córka Helena! – przedstawił ojciec, całując w czoło swoją jedynaczkę.

Kubuś stał zmieszany powitaniem. Helunia patrzyła nań spokojnie swym niebieskim okiem.

– Chodźmyż teraz ku domowi. Nasze gosposie poczęstują cię, hrabio, barszczem ukraińskim. Służę ci, żono.

Kubuś był tak zalterowanym²⁰, że nie spostrzegł, iż przechodzili koło krzyża. Krew zimną wróciły mu kroki Heluni: znaleźli się razem. Kubuś czuł potrzebę naprawienia swej niezręczności przy powołaniu i nic lepszego na razie nie mogąc wymyśleć, uszczknął różę polną, a podając ją Heluni, z całą galanterią miejskiego panicza rzekł:

– Pięknej i skromnej dar taki właściwie przystoi.

Helena wzięła różę z rąk Kubusia, a patrząc nań przez chwilę z uwagą, zapytała:

– Czy pan się bardzo gniewa za prawdę?

– Tylko wdzięcznym będę za nią! – odpowiedział Kubuś.

Dziewczę długo patrzyło na niego, wreszcie rzekło:

²⁰ *Zalterowany* – wzburzony, zakłopotany.

– Więc powiem, że dwie rzeczy mi się w panu nie podobają.

– Jakież to, jeśli mi wolno będzie zapytać panią o to?

– O, nie! Jest ich już trzy. Najpierw powinienes pan ze mną mówić po prostu, bo ja jestem trochę chłopka, ale do tego się pan przyzwyczai. A z tego, co mi się w panu nie podoba, pierwszym jest to, że się pan nazywa Parysem, a takiego świętego nie ma w kalendarzu. Do kogo się też pan modlisz?

– Do anioła – rzekł Kubuś z uczuciem i galanterią zarazem, patrząc na Helenię.

– Dobrze i to – szczebiotało dziewczę. – Ale wiesz pan, to by było bardzo dobrze... Jeśli pan będzie żył pocziwie, możesz zostać świętym...

– Zostanę nim niezawodnie za sprawą anioła, pani...

– O, nie! Nic z tego nie będzie. Przecież to drugie, co mi się w panu nie podobało, było to właśnie, żeś nie uchylił kapelusza przed figurą. Ale się pan poprawi, prawda?

– Przyrzekam to pani jak księdzu na spowiedzi.

– No, to już dobrze! Teraz jeśli pan chce, możemy uzbierać prześlicznych tych bławatków na wianek do Matki Boskiej w naszej cerkiewce.

– Z największą przyjemnością!

– Tylko ostrożnie, ażebyś pan zboża nie gniótł.

Bławatki były uzbierane. Przed domem już ośmielił się Kubuś zapytać Helenię:

– Co się też pani jeszcze nie podoba we mnie?

– Na razie nic, bo jeszcze się w panu nie rozpatrzyła, ale później wszystko mu powiem.

– Z góry już przyjmij pani moje dziękczynienia...

Dziewczę spojrzało na niego dziwnie.

– Za co mi też pan dziękuje? – zapytała z powagą, ale za chwilę potrząsnęła jasną główką. – Idź pan do pokoju z rodzicami – rzekła – bo ja muszę być w kuchni. I znikła sprzed oczu naszego bohatera, o którym wypada nam teraz powiedzieć słów kilka.

Na Kubusia wywarła Helena wrażenie stanowcze od pierwszej chwili poznania, ale było to raczej zadziwienie na widok tego w kobiecie, co po raz pierwszy przedstawiało się jego oczom. Na Kubusia nie mniejsze wrażenie wywarli i rodzice Heleny: ten szlachcic – z pierwszymi domami skoligacony, bogaty, a bratający się z chłopstwem; ta żona jego – chłopka, a tak doskonale umiejąca się zastosować

do obecnej swej pozycji; obok swej prostoty wykształcona i imponująca umiejętnością zachowania się towarzyskiego. To wreszcie połączenie się ich w córce – na wpół chłopce, na wpół jaśnie wielmożnej. Całe otoczenie, przyroda sama, powietrze... – wszystko to było jakby zagadką dla Kubusia, której rozwiązać nie był w stanie. Z obecną pozycją swą nie mógł się oswoić i nieraz przecierał oczy, jakby pragnąc się przekonać, czy nie marzy. Był w innym świecie, a obaczmy, czy został innym człowiekiem.

Państwo Bużewscy od lat kilku dla edukacji córki mieszkali w Kijowie. W Żytnikach spędzali zwykle kilka letnich miesięcy, a niekiedy odprowadzali w swej ojcowiznie świątki Bożego Narodzenia lub Wielkiej Nocy. Stosunek ich do włościan był zupełnie patriarchalny: z gromadą stanowili jakby jedną rodzinę, kochali włościan, od nich kochani wzajem. Pani Bużewska ani się kryła ze swym pochodzeniem, ani zerwała z rodziną; owszem, to kumostwem²¹ późniejszym, to znów swatostwem²² skrewniła się bardziej jeszcze z włością, wiążąc ją tym sposobem z całym swym domem. Córka takich rodziców nie mogła być jak aniołem chyba, toteż ją za taką miano we wsi, nie zachając się pańskiego dziecięcia, które było i chłopskim zarazem. A Helena miała wiele przyjaciółek między wiejskimi dziewczętami i żadne święto nie obeszło się bez jej uczestnictwa, jeśli była na wsi. Na *hailkach*²³ ona była pierwszą do śpiewów i zabawy; *Kupała*²⁴, obrządek pogański, mimo marszczenie się dobrodzieja widział pomiędzy innymi dziewczętami i córkę państwa Bużewskich. A żadne zdrożności nie miały tu miejsca, nikt granic przyzwoitości nie przekroczył, bo lud nasz bardziej od nas jest moralnym, a jeśli w nim razi pewna szorstkość obejścia się, to jest ona skutkiem pozostawienia go sobie samemu – wpływ to tej odrębności, niejako skazania ludu na pewną zwierzęcość. Ale niech tylko wieśniak ujrzy w swym kole ludzi szczerych z nim, a należących do towarzystwa wykształconego – nikt wtedy żadnej wśród niego zdrożności nie dopatrzy. Nawet wrodzona mu swoboda i wesołość w zabawie nie ucierpią na tym, jeśli tylko zbliżenie się nastąpi zupełne,

²¹ *Kumostwo* – trzymanie dziecka do chrztu.

²² *Swatostwo* – pośredniczenie w zawieraniu małżeństwa.

²³ *Hailki (gailki)* – pieśni i zabawy ludowe, urządzone w Galicji na drugi i trzeci dzień świąt wielkanocnych.

²⁴ *Kupała* – słowiańskie święto związane z letnim przesileniem Słońca, obchodzone w czasie najkrótszej nocy w roku, co przypada 21–22 czerwca.

a nie obłudne. Trzeba było widzieć taką córkę pańską, jak na wieczornicach²⁵ przędła len cienki, wyśpiewując proste, a tak urocze ludowe piosenki! Pani Bużewska, stateczną rozmowę wiodąc z kobietami, z niewysłowionym uczuciem szczęścia macierzyńskiego patrzyła na córkę. Pan Bużewski w drugim końcu świetlicy wiodł *rozhowor* z włościanami. I miałeś tu zgodę i harmonię, że się dusza radowała, i łza mimo woli ciśnie się do oczu, że też tą drogą nie poszliśmy wszyscy, żeśmy lubowali sobie i lubujemy w rozjednieniu²⁶. Ciężko też za to pokutujemy dzisiaj!

Pod wrażeniem tego, co widział, co go otaczało, Kubuś zmieniał się, przeistaczał z dniem każdym, przynajmniej powierzchownie, a sam nie pojmował, jak się to wszystko działo. Mimo wszelkie swe łobuzostwa dawniejsze, bratanie się z Szymonkiem i Pańkiem, Kubuś nigdy nie zapomniał, że jest hrabią, a więc wyższym od nich o wiele. To przekonanie nie odstępowało go i w Żytnikach, ale tu tyle nowych i dziwnych obaczył rzeczy, tak mu bratanie się z ludem Bużewskiego, którego Kubusiowi w szlacheństwie nie ustępował, szyki popsuło, że nie widział, co począć, i mimo wewnętrzną protestację dał się unieść prądowi i – jak mówiliśmy – z dniem każdym przeistaczał się. Najwięcej do tego przyczyniła się Helunia. Śmiało, z serca, a nie bez dowcipu, wytykała Kubusiowi wszystkie wady, odkrywała śmieszność jego przekonań. Tak mu pięknie opisywała świat poza uprzedzeniami szlacheckimi leżący, tak uroczo zachęcała do zmiany opinii o nim, że ani się spostrzegł Kubuś, jak mu już przykro było poniekąd, gdy kto o jego hrabiostwie wspominał. Z początku przypatrywał się tylko kośbie²⁷ i żeńcom²⁸, później wiązał snopki zboża zżęte ręką Heluni i w kopy je składał. Najpierw był gościem na wieczornicach i trzymał się na uboczu, następnie przewyciężył się i zbliżył do parobków. Helunia, pragnąc, by Kubuś poznał mowę ludu, nie mówiła z nim inaczej jak po ukraińsku. To go zmusiło, że zaczął przemawiać do włościan mową ich ojczystą, a przypomniawszy sobie rozmowy z chłopami, które miewał jeszcze na folwarku pana Kuby, przy dobrej woli coraz to lepiej poznawał mowę ludu i zbliżył się do włościan, a to tak dalece, że już z popędu własnego żął na

²⁵ *Wieczornica* – wieczorne spotkanie na wsi, w czasie których kobiety przędły len, nierzadko połączone z tańcami i śpiewami.

²⁶ *Rozjednienie* – brak zgody.

²⁷ *Kośba* – koszenie zboża, żniwa.

²⁸ *Żeniec* – żniwiarz.

tłoce²⁹ wraz z gromadą, na okrężnym³⁰ zaś stanął w gronie parobków w ich strój przebrany i do upadłego hasał z Helunią i dziewczętami, które chórem przyznały, że z Kubusia parobek co się zowie! I rzeczywiście – nasz bohater, zbywszy wymuszonoci pańskiej, w stroju parobków ukraińskich, bardzo dobrze wyglądał.

Tak się to zmienił Kubuś.

Ze zmiany tej cieszyli się państwo Bużewscy, cieszyła się i gromada, że jeszcze jeden pan przybył jej do chłopskiej rodziny, ale najbardziej uszczęśliwioną czuła się Helunia. Przemiana Kubusia – jej to dzieło! Dumnym też było z tego dziewczę i nieraz ukradkiem długo patrzyła na pięknego parobka, a krótkie westchnienie wydobywało się z jej piersi.

Wakacje się kończyły. Państwo Bużewscy wybierali się z powrotem do Kijowa. Kubuś miał im towarzyszyć, gdyż pan Włodzimierz pragnął, ażeby młody Porowski – pod przewodnictwem zdolnych nauczycieli, na których podówczas nie zbywało w Kijowie – chociaż w części nabył wiadomości niezbędnych dla człowieka zajmującego w społeczeństwie wyższe stanowisko.

Całe grono siedziało przy herbacie w lipowej altanie, wesoło rozmawiając o wrażeniach wyniesionych z odpustu, który miał miejsce w jednej ze wsi sąsiednich. Psy na podwórzu zaszczekały i w bramie ukazał się konno młody, o ile wnosić było można, przystojny mężczyzna, około trzydziestu lat mający. Towarzystwo zwróciło się w stronę jeźdźca, a pan Bużewski, poznawszy go, zawołał:

– Pan Mohyla! *Słychom słychaty!*³¹ A witajże nam, witaj, gościu pożądany! – i szedł na spotkanie mężczyzny, który konia oddawszy służbie, pośpieszał do towarzystwa.

– Paraniu! A patrz no, jak nam zmężniał pan Iwan!

– Starość nie radość – rzekł wesoło nowo przybyły, całując rękę gospodyni domu, a zbliżywszy się do Heleny:

– *Radi czy ne radi?*³² – zapytał.

Helena, z całą swobodą podając mu drobną rączkę:

– *Wytajcie, dobryj druże!*³³ – rzekła.

Nowo przybyły z czułością pocałował podaną sobie rękę.

²⁹ *Tłoka* – słowiański obyczaj pomocy sąsiedzkiej na wsi.

³⁰ *Okrężne* – dożynki.

³¹ *Szmat czasu!*

³² *Radziście mnie widzieć?*

³³ *Witaj, miły przyjacielu!*

– Niechże wam Bóg płaci – rzekł z rozczuleniem – żeście nie zapomnieli sieroty!

– Co też bo nie wygadujecie, panie Iwanie! – protestował gospodarz, ściskając nowo przybyłego. – Toż przecie nie odmówicie nam pocziwości!...

– A co do sieroctwa – wtrąciła wesoło i poważnie zarazem pani Bużewska – toż wiecie, panie Iwanie: *Nad syrotoju Boh z kałytoju*³⁴.

– A ludzie ze słowem dobrym! – dodał pan Bużewski. – Ale kiedy żeście wrócili z zagranicy? No, dał Bóg ukończyć studia?

– *Hospod' myłowaw*³⁵, wczoraj wróciłem. Patentów³⁶ tam trochę się przywiozło, a nade wszystko Bogu chwala, że pocziwi ludzie nie zapomnieli o mnie – dodał z uczuciem, patrząc na rodziców i córkę.

– Zagadaliśmy się – przypomniał sobie pan Bużewski. – Toż przebaczcie staremu! A poznajcie się też: pan Iwan Mołyła, przyjaciel naszego domu, a to drugi: hrabia Parys Porowski.

Mołyła podał swą rękę Kubusiowi, a ściskając go rzekł:

– Przyjmijcie, hrabio, rękę tę na znak szacunku, że się nie zachacie chłopstwa, a nie wstyďte mnie waszym strojem: jadę z zagranicy, a choć chłop, musiałem się tam w ich suknie przyodziać – toż nie zdziwujcie³⁷ chłopu!...

Kubus czuł swoją fałszywą pozycję, pojmował bowiem, że serdeczne dzięki Mołyły niesłusznie mu się dostały. Nic też nie odpowiedział na szczerą jego przemowę.

– Cóż teraz zamierzacie, panie Iwanie? – zapytał nowo przybyłego pan Bużewski.

– Da Bóg osiąść na roli – odrzekł zapytany – i pracować dla braci. Ale wam, panie, wiadomo, że ukończyłem studia za pomocą księcia, mojego krewniaka, a grosz cudzy mi ciąży. Pójdę w odsługę³⁸ i lat parę wypadnie mi sposobić³⁹ jego dzieci. Książ teraz w Kijowie...

– Więc i wam droga tędy? – zapytała pani Bużewska.

– A tak, łaskawa pani.

– Toż szczęśliwe wydarzenie! Będziecie tedy dom nasz nawiedzać?

³⁴ *Sierotę Bóg ma w swej opiece.*

³⁵ *Dziękować Bogu.*

³⁶ *Patent* – dawn. świadectwo ukończenia szkoły, dyplom.

³⁷ *Zdziwować* – dziwić się.

³⁸ *Pójść w odsługę* – odpracować, odwdziżyć się.

³⁹ *Sposobić* – uczyć, kształcić.

– Pani, wiecie, że to szczęście dla mnie: u was tylko swobodne odetchnienie chłopskiemu dziecku.

– Szczęśliwiej to niż się Prakseda domyśla, ale o tym pomówimy chyba później. Teraz by nam posłuchać opowieści pana Iwana o zagranicy.

Pan Mołyła zaczął swą ciekawą opowieść o Europie i sławnych w niej ludziach; co w Warszawie i tak w kraju słyhać – zwyczajnie jak człowiek, który niedawno przybył ze stron dalekich, a sercu nieobojętnych. Kiedy niekiedy tylko gęste brwi mu się marszczyły na widok Heluni, pilnie patrzącej na młodego hrabicza. Baczne oko Mołyły dostrzegło, że pierś młodego dziewczęcia męczą już niewyraźne, krótkie westchnienia.

Opowieść Mołyły i wywiązująca się stąd rozmowa przeciągnęły się do kolacji, po spożyciu której udano się na przechadzkę. A późno w noc pan Bużewski wiódł na osobności rozmowę z panem Iwanem, o którym powiemy czytelnikom słów kilka, posługując się słowami starego dziada Opanasa, od którego opowieść niniejszą słyszałem.

Kozacki ród Mołyłów, jak wiele innych szczerze ukraińskich rodów, wskutek wypraw i zajazdów⁴⁰ domowych podupadł był ostatnimi czasy bardzo. Ostatni z rodu tego, Semen Mołyła, był tylko prostym Kozakiem ukraińskim, za całe mienie mającym szablę wierną, konia karego i urodę kozaczą, jakiej trzeba było poszukać wokoło!

Dola tak już chciała, że wojewodzińskiej krewnej, sierocie, a pannie posażnej i pięknej, Marii Sołohubównie, nie spodobały się pańskie splendory, tytuły i majątki statecznych panów kawalerów, ale przypadł jej do serca smukły stan kozaczy, kare oko i wąs pokrętny. A jakże się pokazało, że u Kozaka krew nie woda, a serce żywiej bije niż u wszystkich naraz starostów i wojewodzców, tak już żadnej rady nie było i wyrozumienia dla krewnej wojewodzińskiej, a jak powietrza, tak trzeba jej było Semenowego spojrzenia – życia jej nie ma bez Kozaka Mołyły!

Zmiarkował rzecz wojewoda i pogroził krewniacze klasztorem, a Kozakowi dać dwieście nahajów przyobiecał, jeśli się poważy zbliżyć do krewnej wojewodzińskiej. Ale cóż ty poczniesz z tą naturą stepową! Niby mu żaru w serce nasypał,

⁴⁰ *Zajazd* – sposób egzekucji wyroku sądowego w prawodawstwie staropolskim, polegający na zwołaniu przez starostę pospolitego ruszenia powiatu i usunięciu siłą opornego dłużnika; czasami o charakterze łupieskim.

tak się porwał pan Mołyła. Jakże się nie zawinie z mołodźcami – niby czarty wpadli na zamek: pannę porwali, a wojewoda takiego połknął straszaka, że mu pilno było do grobów familijnych zanieść przed antenatami⁴¹ skargę na krewniczkę koligającą się z hołotą, choć tam Mołyłów nieraz widziały senatorskie krzesła.

Aby zdrow, Kozak z piękną Laską znikł na stepie i miał raj, choć w niskiej chacie. Wojewodę pięknie pochowano, a jak się zeszała rada familijna, to niby im diabeł kładł do gęby – wszyscy jednogłośnie potępili krok krewniczki i za karę nie tylko jej mienia nie dać postanowili, ale nawet wyrzec się zupełnie. Zmiękli jednak w postanowieniu, bo pan kasztelan przyobiecał, że gdy Sołohubównę wynajdzie, postara się u księży o uznanie ślubu z Kozakiem za nieważny i swoim imieniem zdrożność panny pokryje, tylko mu za to panowie zapłacą... Panowie przyrzekli i rozpuścili psy gończe po Ukrainie.

Gdyby tak do dobrego panom pochopność, a na zło ich zawsze starczyło!... Myszkwali po stepie i taki wytropili szczęśliwą parę, którą Bóg zdrowym i mocnym synkiem pobłogosławił – pociecha, że krew kozacza nie wszystka wylała się w bitwach po całym świecie! Wytropili szczęśliwych, a za rozkazaniem panów naszli hajduty⁴² futor. Ale to zawsze serca zajęczego... Bali się oko w oko spotkać z Mołyłą i chcieli go niby lisa z nory dymem wykurzyć: obstąpili dom nocą, zatarasowali drzwi i okna i na cztery rogi zapalili chałupę. Słoma i drzewo suche pali się dobrze, a w izbie tylko matka z dzieckiem, a pan Mołyła z połowu ryb wraca, bo z tego dochód ciągnął, i widzi futor w płomieniach!... Bóg w takim razie skrzydła daje, a dobrzy ludzie przyśpieszają kroku. Kozacy w pień wycięli hajduków. Mołyła rzucił się w płomień; przepalony belek runął mu na głowę, ale sił nie zabrakło wynieść – trupa żony i dziecko! Spojrzał na wpół spaloną drużynę wierną, zachwiał się i upadł, a dziecina zapłakała, wołając: „Mamo!”. „Cyt, malusieńki! Matusia śpi cicho i tatuś śpi koło niej. Cyt, gołąbeczku mały! Matka cię sobą okryła od ognia i choć zgorzała na poły, patrz, jaki ma uśmiech na ustach! To już po śmierci anioł jej tak usta ułożył”.

Pan Mołyła ma głowę do mózgu rozbitą i ręce opalone. Ze straszną twarzą leży na osłonie obok resztek żony, a Kozacy płaczą niby dzieci małe, bo zbójce te mają serce i lży im w oczach nie wyschły, choć innym z tego śmiech i dziwota!

⁴¹ *Antenat* – przodek, pradziad.

⁴² *Hajduk* – tu: szeregowy żołnierz.

A żony Kozaków kołyszają dziecko zgorzałych⁴³ i „cyt, dziecino” mówią. A co tam w niebie – nie wiedzieć!...

Pany Lachy zrobili dzieło pańskie i wesoło bankietują w pałacach, sieroce złoto trwoniąc marnie. A ze snu ich mara nie budzi, bo ksiądz rozgrzeszył! O ofiarach ani wspomną – chyba jeden, drugi pożałuje straconego hajduka niby psa, co łowił dziki i dzik go rozszarpał!...

Sierotka zdrowo chowała się u dobrych ludzi. Iwaś wcześniej krewnił się z ich niedolą i łzami. Wyjdzie na step, spojrzy okiem karym i westchnie. A nie pyta: „Co dziecinie?”. Ot, zwyczajnie – wiatr stepem wieje, to i westchnienie z piersi wydziera! Tak bo już tam od wieków w tej Ukrainie beżtałannej!...⁴⁴

Przyszły dobre czasy na kozactwo, a do futorów wielu panów zjechało z błyszczącymi guzikami. Jak obaczyli, że u Kozaków diabeł ma złota i drogich kamieni, powiedli ostrym piórkiem po białym papierze i wszystkich zapisali w chłopcy. Ni to małe dzieci, powieszali Kozacy bujne głowy ku piersiom, a niejednemu ciepła łza padła na siwe wąsy. Połamali szable i janczarki⁴⁵ powrzucaли w wodę, a co światem kiedyś trzęśli – poszli robić pańszczyznę. Dobrze wam tak! Nie mieli rozumu żyć z krzywdy ludzkiej – panowaliby! A teraz: zginaj kark, ostatnie dawaj i milcz, choć kij druzgocze się na grzbiecie! Ty muzyk⁴⁶, cham – wiedz o tym!

Nie robili sobie pisarze wiele zachodu i z małym Mohylą, po równo z innymi zapisując go w poddaństwo: nie miał bo złotych liter na czole, ażeby poznać w nim dziecko pańskie! I taki prawda, taj koniec.

Paś Iwaś jagnięta, a stepem jechał wielki pan w kolasie. Obaczył chłopca i kazał stanąć koniom!... Patrzy i przypatruje się; a dalej wyjął malunek jakiś, ta aż mu się źle zrobiło. Niewiele pytał, posadził Iwasia do złocistej karety i powiózł w świat. Ludzie dopiero później dowiedzieli się o tym, bo o chłopcu ani słychno nie było lat z dziesięć.

Jakoś między kozactwem nie znalazł się złodziej i odbudowana chata Mohylów, z gruntem i pasieką, trzymała się w kupie, a grosz sierocy nie nikał w cudzej kalecie. Aż Bóg dał, że się przecie to wszystko mienie doczekało powrotu właści-

⁴³ *Zgorzały* – pogorzelec; kto stracił dom w pożarze.

⁴⁴ *Beżtałanny* – nieszczęsny.

⁴⁵ *Janczarka* – lekka strzelba z długą lufą, pochodząca z Turcji, gdzie znajdowała się na wyposażeniu janczarów.

⁴⁶ *Muzyk* – chłop.

ciela. W niedzielę jakoś zjawił się na slobodzie⁴⁷ młody Mołyła Iwan i rozpowiedział, że go wielki pan, hen z Litwy, wziął na krewnego i dużo go wszelkiej nauki uczono. A teraz pojedzie dalej, do wielkiego miasta, niby nasz Kijów, ażeby znów nauczał się w książkach. Bogu chwała! Ucieszyli się wszyscy, a młody Mołyła zabawił z kozactwem kilka miesięcy i pojechał. Potem co rok przyjeżdżał do slobody i chłopów się nie wstydził, choć był wszelakiego nauczony i z wielkimi panami przystawał...

Takim go też poznaliśmy w naszej powieści. Dodać nam tylko wypadnie, że jako sąsiad Bużewskich rokrocznie bywał u nich Mołyła i pod jego okiem rosła Helunia w siły ciała i ducha. Dwoje to dzieci pańskich, a chłopskich zarazem – ot, dziwaczne połączenie!...

Pan Bużewski długo w noc rozmawiając z Mołyłą, pomiędzy innymi prosił go także, by wziął pod swą opiekę młodego Porowskiego i, na ile to możliwe, wykształcił. Mołyła najserdeczniej przyrzekł podjąć się pracy, a dni parę przybytych w Żytnikach pozwoliły mu poznać Kubusia, pod niektórymi względami przynajmniej dokładnie. Nie ukrywał przed panem Bużewskim, że zdaniem jego Kubuś ma wielkie wady charakteru, ale przyobiecał czynić, co tylko będzie w jego mocy, byle wpłynąć korzystnie na młodego chłopca.

W tydzień po opisanej scenie wyjechali państwo Bużewscy do Kijowa. Towarzyszyli im Kubuś i pan Mołyła.

W Kijowie nasz bohater znów znalazł się w innym świecie: wszystko, co go otaczało, tak było różnym od tego, co znał i widział, że niepodobna było nie ulec wrażeniu i przemianie mniej więcej znaczącej. Młody Porowski mieszkał z panem Mołyłą, który szlachetnie wywiązywał się z przyjętego na się obowiązku kształcenia umysłu i serca Kubusia. A było to rzeczą bardzo trudną. „Zginaj drzewo, póki się zginać daje” – powiada przysłowie, a nasz bohater był już w tym wieku, że giąć się nie dał: żył za wiele, zepsutym był za bardzo, ażeby nie potrzebował walczyć ze sobą ogromnie, byle nie wrócić do dawnego trybu życia, a cóż dopiero myśleć o poprawie!... Wszelako prawdą jest, że okoliczności robią takim człowieka, jakim później zostaje. Najlepszy dowód tego mamy na Kubusiu. Okoliczności, wśród jakich zostawał od chwili wejścia w dom państwa Bużewskich, były tego rodzaju, że niepodobna mu było nie zejść z dotychczasowej

⁴⁷ *Sloboda* – na Ukrainie i w Rosji – nowo powstała osada, której właściciel zwalniał poddanych na określony czas ze świadczeń materialnych i robocizny.

drogi życia. Przez czas pobytu na Ukrainie nie miał czasu i możliwości być takim jak zawsze, w Kijowie było to również niepodobieństwem: towarzystwo Mohyły, uosobionej powagi rozumu, dom państwa Bużewskich – oto krąg ten czarodziejski, w którym Kubuś zmuszonym był obracać się, do teraźniejszości nie przystając, od przeszłości ani się oderwać, ani żyć nią nie mogąc... Czuł się też złamanym, przewiedłym i znudzonym.

Do książki uczuwał Kubuś pewną odrazę, z czym się wcale nie taił przed Mohyłą i panem Bużewskim, którzy to widząc, jęli się innego systemu kształcenia go: systemu nauczającego słowy, opowiadaniem. Kubuś też słuchał uczonych rozpraw nauczycieli i spał, gniewny, że w jakąś wpadł klatkę, z której nie miał siły wydobyć się. Mimo wszystko jednak, pojęciem bystrym i pamięcią obdarzony, choć w części skorzystał z udzielanych mu nauk: nasłuchawszy się po trochę, postąpił⁴⁸ o tyle, że jeśli jeszcze nie mógł przyjąć w rozumowej pogadance udziału, tedy zupełnie obcą żadną mu już nie była.

Że Kubuś nie urwał się z łańcucha przymusu, że coś niecoś korzystał z nauk, winien to był wyłącznie Helenie. To dziwne dziewczę wywierało ogromny wpływ na młodzieńca. Wobec niej, i tylko wobec niej, Kubuś czuł się maluczkiem na duchu i nie brakło chwil, w których zdolny był poświęcić się, byle w opinii Heleny stanąć wyżej, podnieść się. A Helenie o to chodziło, i bardzo. Miłość kładła już swe podwaliny w sercu dziewczęcia, a miała to być miłość spokojna, płynąca głębią jak wód rzeki, o licu uśmiechniętym, a niezmierzonej toni. Miarą ubóstwa ducha jej kochanka był pan Mohyła, którego rozum ceniła wysoko i żądzą serca niewinnego wskazywała Kubusiowi Mohyłę jako graniczny punkt jego rozwoju umysłowego. Takim jak Iwan niech będzie jej kochanek – Helena więcej nie pragnie! Ona będzie szczęśliwą i dumną, a z rozkoszą podda się przewadze i panem go uzna – nie tylko serca...

Ale mówimy o sercu-miłości wpierw jeszcze, nim jej świadomość udzieliła się Helenie... Rzeczy tok wyprzedzając, winnymi się nie czujemy: miłość Heleny do Kubusia objawi się wyraźnie, sekretu z niej robić nie myślimy, a niespodzianką dla czytelników nie będzie.

Każden postęp Kubusia bardzo uszczęśliwiał Helenę i nie taiła się z tym wcale, z rozkoszą chwalać w nim to, co na pochwałę zasługiwało.

⁴⁸ *Postąpić* – zrobić postęp.

– Pan pójdiesz dalej, dalej jeszcze – mówiła – Ach, jakżebym była szczęśliwą, gdybyś stanął tak wysoko... jak pan Mołyła.

Kubuś długo patrzył w jej oczy i wspomnieniem przebiegał wszystkie chwile życia.

– Pan Mołyła – mówił ponuro. – Gdybym panią znał lat temu kilka, o, ja bym widział cię szczęśliwą! Stanałbym wyżej niżeli pan Iwan! A teraz!...

– Panie Parysie! – mówiło dziewczę czule, składając białe rączki jak do modlitwy – ja pana proszę: chciej mnie widzieć szczęśliwą!...

Kubuś łamał się sam ze sobą.

– Pani!... Heleno!... Ja sił nie mam..., ale wszystko uczynię, byle cię widzieć taką, jaką być pragniesz! – i namiętnie całował drobną rączkę, a Heluni wtedy silniej serce biło i łzy świeciły w oczach.

Każda taka chwila dodawała Kubusiowi sił do walki z sobą, z zastarzałym swoim lenistwem. Rozpatrzmy się bliżej nieco w stosunku, jaki zachodził pomiędzy Kubusiem i Heleną. Dziewczę – mówiliśmy już – z dniem każdym gotowało się na przyjęcie świętego uczucia miłości, które w sercach takich jak serce Heleny zwykło swój koniec znajdować w mogile. Inaczej rzecz się miała z Kubusiem. Ten nie kochał, czuł nawet, że Heleny kochać nie będzie w stanie, jednak ulegał jej wpływowi – czuł się niejako zależnym od niej. Lubił ją widzieć przy sobie, słyszeć jej rozmowę, doznawał pewnego rodzaju uspokojenia, patrząc w jej oczy, cisnąc jej rękę. Czuł, że Helena może być dlań aniołem stróżem, że u jej łona zdolny by był zapomnieć o przeszłości, nie myśleć o jutrze, byle go nie budzono z tego snu odrętwienia – Helena była dlań tylko upajającym opium. A w piersi tej młodzieńca musiał być wielki zapas uczuć rozmaitych, które grały nią chwilami, przenosząc młodziana w światy, w jakowych czuł się świętszym, dzielniejszym, wielkiej mocy pełnym!... Były to jednak tylko chwile, jak wśród chmur mętnych, piorunowe błyski. Kubuś czuł swą nieudolność, półmartwość i szczęśliwym był w tym śnie odurzenia, które opium daje..., szczęśliwym się czuł przy Helenie, gdyż ta mu takie sny sprowadza!...

Ludzkość szybko bardzo przebiegłaby drogę swego pochodzenia rozwojowego, gdyby zdołano każdą jednostkę wykształcić odpowiednio tym materiałom, jakie się w niej znajdują nagromadzone. Geniuszów nie rodziłyby wieki, ale dni i godziny!

Tak rzeczy stały pomiędzy Kubusiem i Heleną aż do chwili, w której bohater nasz miał przejść nową próbę pracy, zdolną posłużyć jego przeistoczeniu się.

Pod owe czasy Uniwersytet Wileński przeniesiono do Kijowa⁴⁹. Do roku przysługiwał termin dla zapisywania się uczniów na uniwersytecką listę. Mówiono o tym przy herbacie u państwa Bużewskich. A że wieczór był piękny i po deszczu Kijów wyglądał jak jeden cudny ogród, wybrano się na przechadzkę: państwo Bużewscy przodem, Mołyła podał rękę kuzynce pana Włodzimierza, pani Słoneckiej, bawiącej podówczas w Kijowie, Helenie towarzyszył Kubaś.

Cudny widok przedstawia Dniepr z ogrodu. Od północy, zlewając się z szafirami nieba, płynie majestatycznie wśród ostrowów zielenią uwieńczonych: oko widza pieści się z modrymi falami rzeki dźwigającej tysiące statków jak białoskrzydłe sokoły uwijających się po wód zwierciadle, a lasem wysokich masztów strzelających w niebo! Na zachód ruchliwy Padół⁵⁰ z setkami swych cerkwi malowniczo rozrzuconymi po wzgórzach, między którymi *Chorew* i *Szczekowica*⁵¹ w daleką przeszłość unoszą; od wschodu oko gubi się wśród niezmiernych stepów Zadnieprza, jakby wskazujących świat inny, różny od tego, który przed Dnieprem pozostał. Po widoku Bosforu⁵² Dniepr w tym miejscu jest najpiękniejszym w Europie!

Panowie Bużewski i Mołyła, którzy wiele świata zwiedzili i umieli o nim niemało powiedzieć, pięknie i rozumnie mówili o rozmaitych krajach Europy, porównywając takowe z krasą ziemi rodzinnej. Pan Mołyła mówił zajmująco o Konstantynopolu, Małej Azji i w prostej opowieści swej rozwinął ogromne bogactwo wiedzy, uroczo odbijające od miłości ziemi rodzinnej, która z każdego jego słowa tryskała promieniami. Piękna, męska twarz Mołyły jaśniała w tej chwili zapałem, a jego wymowa porywała słuchaczy. Lica Heleny gorzały, oczy i dusza cała spoczęły na twarzy mówiącego. Dostrzegł to Kubaś i uczył jakby ból w sercu...

Wielką jest siła zapału – większą sympatia. Sercu Heleny udzielił się chwilowy ból i za nim idący smutek Kubusia. Poczęła z nim rozmowę, która przeciągnęła się przez cały czas przechadzki. Zakończyło ją westchnienie, z którym zwrócił się Kubaś do towarzyszki.

⁴⁹ W 1842 roku car przeniósł utworzone po zlikwidowanym Uniwersytecie Wileńskim – Cesarską Wileńską Akademię Medyko-Chirurgiczną i Akademię Duchowną – do Kijowa i Petersburga.

⁵⁰ *Padół* – najstarsze podgrodzie i główny ośrodek miejski Kijowa w okresie I Rzeczypospolitej.

⁵¹ *Chorew*, *Szczekowica* – nazwy wzgórz, na których położony jest Kijów, powstałe od imion legendarnych założycieli Kijowa: Chorywa i Szczeka.

⁵² *Bosfor* – cieśnina łącząca Morze Czarne z Morzem Marmara, położona między Półwyspem Bałkańskim a Azją Mniejszą, oddziela Europę od Azji.

– Ja panią martwię... Jestem wciąż nieukiem... Helena nie jest szczęśliwą?...

– Ale nią będzie. Pan mi to przyrzekłeś – mówiło dziewczę z wewnętrznym drżeniem.

Kubuś również zadrżał.

– Będzie? Kiedyż to nastąpi? Kiedy?...

Wzrok Heleny, zwrócony w stronę Mohyły, starczył za odpowiedź.

– Ale i ja takim nie będę nigdy! – zawołał głosem rozpaczliwym młodzieniec. – Ja takim być nie zdołam!...

– Mówisz to pan bez próby, nie wyczerpnąwszy całego zapasa woli. Mój przyjacielu! Ja proszę...

Głos jej był tak miękki, tak do duszy przemawiał.

– Ha! Niechże i tak będzie! – zawołał młodzieniec z postanowieniem. – Uczynię wszystko!... Ale gdy umrę – bo ja słabszy jestem, aniżeli mniemasz – niechże mi Helena przyrzeknie, że jedną, jedną łzę rzuci na moją mogiłę – a głos drżał mu, gdy to mówił.

Łzy były w oczach Heleny.

– Przyjaciel mój żyć będzie – rzekła. – Będę płakać, ale z radości nad jego tryumfem.

– Heleno! Heleno! Czemu cię wcześniej nie poznałem! – zawołał Kubuś i zamiast wejść z towarzystwem do mieszkania pobiegł ulicą. Helena długo w ślad za nim patrzyła...

Późno w noc spotkał Mohyła Kubusia błakającego się po ulicach miasta i nietrudno mu było zniewolić go do serdecznej spowiedzi; a chociaż spowiednik uczył ból niemały, nie odepchnął chcącego poprawy i z własnym zaparciem się począł pracować nad pozyskaniem społeczeństwu jednego jeszcze pracownika.

Tej samej nocy i matka u łóża córki wysłuchiwała opowieści jej serca, które przez sen to anieliło się szczęściem, to znów jękami witało dalekie przeczucia. Pani Bużewska, patrząc w rysy ukochanego dziecięcia, modliła się do Przczystej w Ławrze⁵³, błagając ją o dołę dla swego jedyne go skarbu. A serce matki drżało od szczęścia, słysząc szept Heleny:

– Kocham cię... Mamo, ja go kocham.

Ale złąkała się bardzo, gdy dziewczę, rzuciwszy się niespokojnie, wykrzyknęło:

⁵³ Ławra – Ławra Peczerska, sięgający korzeniami XI w. prawosławny klasztor w Kijowie. Centrum życia duchowego prawosławia na ziemiach ukraińskich w XIX w.

– On mię nie lubi..., zabija... Mamo, ratuj! – i rzuciła w objęcia matczyne, niespokojnie patrząc wokoło.

Matka żegnała ją krzyżem świętym.

Uspokój się, dziecino – mówiła – Iwan cię kocha!...

– Iwan?... Kto mówi o Iwanie?...

Teraz dopiero zbladła pani Bużewska. Najdroższe jej marzenia pierzchły.

– Mamo, ja tamtego Kocham! – zawołała Helena, ponownie rzucając się w jej objęcia.

Wielki ból przejął serce matczyne i tylko łzami odpowiedziała na wyznanie córki...

Pół roku dzień i noc pracował Kubuś, a czuł, że z walki tej żyw nie wyjdzie. Pół roku nie widziała go Helena, szczerze modląc się do Boga, by mu sił użyczył. Mohyla zbladł i zmarszczek mu na czole przybyło, a Bużewscy patrzyli na niego i jedynaczkę. Wszystko ich jednoczy – serca nie przystały i rozejść się będą musieli!...

– Przynajmniej dam wam zięcia godnego waszej córki! – mówił Iwan, tłumiąc ból w sobie. – Chłopskiemu dziecięciu przystała niedola... Byle tylko ona była szczęśliwą!

– Mamciu droga! – mówiła Helena do matki. – Ja pana Iwana szanuję, bardzo szanuję, ale tamten mi miły, ja go Kocham...

– Niech się dzieje wola Boża! – kończył pan Bużewski.

Świetnie wypadły egzamina Kubusia. Jako celujący został zapisany na listę uczniów uniwersytetu, ale siły go opuściły, a gorączka powaliła obłożnie. Przed paroksyzmem⁵⁴ miał jeszcze czas napisać ołówkiem: „Heleno, zwyciężyłem siebie. Umieram. Winnaś mi łzę”. Służący oddał kartkę pannie Bużewskiej.

Nie serce to dziewicze, nie serce ludu, które w takich razach nie odrzuci na bok wszystkie światowe względy! Helena po otrzymaniu kartki była u łóżka chorego. Matka ją nie odstępowała. Ojciec patrzył smutnie na trupią twarz córki, obok złożonego chorobą Kubusia.

Czy to naturze młodzieńca, staraniom lekarzy, czy też modlitwom kobiet przypisać należy – choroba przesiliła się szczęśliwie. Kubuś bardzo prędko do zdrowia przychodził. Rumieniec wracał na lica Heleny, Mohyla bladł bardziej, rodzice oddawali się Bogu w opiekę.

⁵⁴ *Paroksyzm* – nagłe wystąpienie lub zaostrzenie się objawów chorobowych.

Blady jeszcze po chorobie Kubuś pięknie wyglądał w studenckim mundurze, a Helena z dumą nań patrzyła. On dał dowód, że jest mężczyzną, a dla prawdziwie kochającej bez tego szczęścia nie ma!

Uwiadomiony o wszystkim pan Kuba Kiełbasa kurierskimi przyleciał do Kijowa i długo a szczerze płakał, ściskając swego Kubusia. Nie bez trudności siostrzeniec dał się przeprosić, a pan Kuba, pogadawszy z państwem Bużewskimi, wyściskał wszystkich z kolei. Nad Helunią aż zapłakał, powiedziawszy zapłonionej: „Jakoś to będzie, moja koteczko!”. Zostawił Kubusiowi dużo pieniędzy i odjechał na powrót do swoich dzików na folwarku. Kubuś miał odwiedzić wuja w czasie wakacji.

Są natury, co zdobywszy się raz na krok jaki stanowczy, zapadają w cięższy jeszcze letarg, jakby odpoczywając po wysileniu, że bardzo trudno później dać wiarę, iż mogą się jaką zasługą poszczycić. Do takich zapewne i Kubuś należał. A może mu przeszkodziła pieniężna interwencja wujaszka – dość, że bohater nasz w bardzo krótkim czasie nawiązał zerwane nici przeszłości, a w miarę jak grał na strunach dawnych, nowo nawiązane pękały bez jęku, odgłos swój chyba znachodząc w sercu Heleny, która wiedziała, a czuła silniej jeszcze, że nie zdoła wpłynąć na stanowczą poprawę kochanka.

Kubuś bardzo prędko pozabierał w Kijowie liczne znajomości: tytuł, pieniądze wujaszka i pozycja ucznia uniwersytetu, wielce podówczas ceniona, otworzyły mu drzwi salonów. Poza nimi znalazło się towarzystwo inne, miejsca nowe, osoby rozmaite... W towarzystwie wesołym niepodobna było uchylić się od toastów rzęsistych, później wypadło obchodzić imieniny albo inne uroczystości, po tym wszystkim bilard, karty... Słowem, Kubuś w bardzo prędkim czasie wrócił do dawniejszego trybu życia, tylko już w świecie innym, z mniejszą dozą serca, z większą za to bez porównania powierzchownego szychu i blichtru. U państwa Bużewskich bywał coraz to rzadziej. Nieraz go już gniewały przyjacielskie uwagi Mohyły, a nieznośnie długimi zdawały mu się godziny przepędzone z Heleną. Trwało to tak długo, aż dziewczę, widząc obojętność kochanka, zaczęło upadać na siłach, kiedy niekiedy łzami tylko wywnętrzając się ze swą boleścią przed matką.

Mohyla bolał nad tym nieszczęściem zacnych ludzi i ich córki anioła, a zarazem żał mu było upadku Kubusia, który, zdawało się, wstąpił był na drogę prawą. Pewnego poranku stanowczo rozmówił się z młodym hrabią. Kubuś uznał się winnym i poprawę obiecał, a widok wynędzniałej Heleny rozczulił go – przypomniał sobie, że ją miał za swego anioła stróża, że jej winien pozycję obecną, a nawet

powrót do zdrowia... Na kolanach błagał przebaczenia, a uzyskawszy takowe wraz z zapewnieniem, że go kocha, upadł do nóg rodziców i prosił o rękę ich córki.

Oświadczeniu był przytomny Mohyla, a chociaż zbłądł jeszcze bardziej, dołączył swe prośby do próśb młodziana i Kubuś uzyskał błogosławieństwo państwa Bużewskich.

– Iwanie! Biedny panie Iwanie! – mówili Bużewscy ze łzami do Mohyły.

– Niech tylko ona będzie szczęśliwą – odpowiadał Iwan. – Chłopskiemu dziecięciu niedola zwyczajna.

– Smutnie mi wróżycie, panie Iwanie – mówiła matka. – Helunia toć także chłopskie dziecię...

– Matko! Nie mówcie tego w złą godzinę! Niechaj ja szczęściem jej żyję...

Po zaręczynach już doszła Kubusia wiadomość, że pan Kuba na łożu śmiertelnym wzywa siostrzeńca, by śpieszył otrzymać ostatnie jego błogosławieństwo. Od powrotu z Kijowa pan Kuba zaniemógł niemocą ostatnią.

Niepodobna było odkładać wyjazdu i Kubuś pojechał śpiesznie. Bolesne dla Heleny było rozstanie z narzeczonym. Smutne owładnęły nią przeczucia, ale nadzieja prędkiego powrotu kochanka, a z tym połączenia się pokrzepiały ją. Stroskaną cieszyli rodzice, pocieszał i pan Mohyla.

Kubuś zastał ciało wujaszka na katafalku, a u wstępu obaczył ojca malującego „Porawę” na tarczy dla skruszenia jej u grobu nieboszczyka.

Pochował wujaszka, schedę jego złożoną z dwudziestu tysięcy rubli zabrał, ojca umieścił w Kamieńcu, utrzymanie mu zapewniwszy, i zamyślił się. W Kijowie oczekiwała go narzeczona, ślub z nią i ciche szczęście, gdyby go ocenić potrafił... Kraj, obowiązki obywatelskie... Ale gdzie życie, życie, jak go Kubuś zawsze pojmował: w towarzystwie wesołym, wśród hulanki i awantur, w miejscu coraz innym? Takiego życia żona mu nie da, a istnieć bez niego – żywotnie ślimaczo – nie warto! Kazał się wieźć za miasto i dumał nad obiorem drogi. Woźnica zatrzymał konie i

– Trójką! – rzekł.

– Trójką!... Miejsce rozłąki z towarzyszami młodości.

Kubuś wysiadł z powozu i machinalnie skierował swe kroki ku restauracji. Uchylił drzwi pokoju, w którym w towarzystwie Szymcia i Pańka jadł ostatnie śniadanie: nic się w nim nie zmieniło... Zadumany siadł nasz bohater na sofie. Nie słyszał szelestu sukni młodej, gustownie ubranej kobiety, która na razie⁵⁵, oba-

⁵⁵ *Na razie* – tu: z początku.

czywszy mężczyzną, chciała się cofnąć, ale znajome rysy wstrzymały ją w miejscu. Drobną rączką potarła czoło.

- Czy podobna?... Parys! – zawołała.
- Karolina! – poznał ją Kubuś.
- Parysie! Drogi Parysie! Skądże się tu wzięłeś?
- A ty, Karolino? Lecz kimże to jesteś?
- Wdową po hrabi Orzelskim. Jestem bogatą, wolną...
- Ja także mam pieniądze, ale i ręce związane. Patrz! – i pokazał jej obrączkę.
- Żonaty?
- Zaręczony!
- A, to nic jeszcze złego! Mój Boże, jakżem ja szczęśliwa, Parysie!

Nazajutrz przejeżdżała komorę w Husiatynie⁵⁶ bogata karetą z herbami Orzelskich. W powozie siedziała młoda kobieta w towarzystwie mężczyzny.

Helena oczekiwała powrotu narzeczonego. Rodzice mieli niedobre przecucia. Mohyłę powoływały obowiązki, musiał wyjechać za granicę. Z niewymownym bólem serca pożegnał tę, którą tak szlachetnie umiał kochać, zacnych jej rodziców i na Warszawę udał się do Paryża – szczęśliwy jej szczęściem!... A jakże to trudno o szczęście!

Trzy lata upłynęło od chwili rozstania się naszych bohaterów. Co przez ten czas działo się z jednym z nich – wiemy już. Teraz przejdźmy do Szymcia i Pańka.

II.

SZYMCIO IDZIE W GÓRĘ. PAŃKO DAJE NURKA

Z niedzielnego jarmarku w Dunajowcach⁵⁷ wracał pan Mateusz Potocki, szlachcic czynszowy, i drzemał spokojnie w swym wozie. Nie piastował on wygórowanych zachceń przodków swoich i obecnie miał tylko skromne życzenie: niespotkania się z kułakiem żony, gdy stanie w swej ojcowiznie. A pani Katarzyna, żona pana Mateusza, była tego rodzaju niewiastą, że tylko zapianie koguta

⁵⁶ *Husiatyn* – od 1559 roku miasteczko w dawnym województwie podolskim Rzeczypospolitej, po rozbiorach z komorą celną na granicy między Austrią i Cesarstwem Rosyjskim.

⁵⁷ *Dunajowce* – miasto w dawnym województwie podolskim; prawa miejskie nadał im Zygmunt III Waza (1566–1632).

spowodowało, iż w swoim czasie zdolną była zostać żoną pana Mateusza i matką sześciora dzieci jego, bowiem miał się to urodzić grenadier⁵⁸, z pierwszego pułku grenadierów, blisko sążniowej⁵⁹ miary. Takie już szczęście pana Mateusza! Potrzebaż, ażeby mu nawet kogut piał nie w porę!

Z kułakiem pani żony spotykał się pan mąż często i był z tym ostrzelany. Obecnie przerażała go już nie jakość, ale ilość buchańców, które obawiał się, by nie padły gromadnie na szlachetne jego plecy. Pan Potocki nie miał czystego sumienia: najpierw zagapił się na targowicy i skradziono mu gęsjora. Porwał się, by go szukać – wziął diabeł tytoniu boksę⁶⁰. Załamał ręce pan Mateusz i z rozpaczycie ciężko usiadł na wozie – źle wymierzył... i zrobił jajecznicę z kopy jaj, które mu żona dała na sprzedaż. Już się chciał obwiesić albo rzucić w wodę, na szczęście jednak spotkał się z kumem Maciejem. Gadu, gadu, to i owo – ani się spostrzegli, jak weszli do Moszka i kilka kwart golnęli. Przyszło do obrachunku – pokazało się, że kum nie ma pieniędzy wcale, pan Mateusz również nie posiadał gotówki.

– A, nieszczęśliważ ty moja godzino! – zawołał pan Potocki i aż zapłakał.

Moszko otarł sobie powieki.

– Słuchajcie no, panie Potocki, ja wam coś powiem. Co wy tam macie we wozie?

– Był gęsjor, to go złodziej – bodaj się za zęby wziął! – ukradł; były jaja, to się potłukły... A cóż ja teraz nieszczęśliwy człowiek pocznę?...

Kum Maciej przemawiał do obecnych, ze współczuciem patrząc na pana Mateusza:

– Oto, panie, nieszczęście człowieka! Ot, na co zesłała uczciwa szlachta. Haj, haj! Nie postawilibyście który kwarty miodu? Jak będę miał, to was poczęstuję, Moszku.

– A zaraz. Słuchajcie no, panie Potocki. Sura tam znalazła we wozie worek kartofli. Wy może nawet o tym nie wiecie?

– Przekazywała żona, przekazywała – mówił pan Potocki – ale ktoś nawroczył⁶¹. To pewnie ta czarownica Motra. Już ja jej dogodzę!

⁵⁸ *Grenadier* – formacja piesza, której głównym zadaniem było miotanie granatów ręcznych; później oddziały grenadierów przekształciły się w doborowe jednostki przeznaczone do ataków na bagnety.

⁵⁹ *Sążeń* – miara miała długość rozpostartych ramion dorosłego mężczyzny.

⁶⁰ *Boksza (basztan)* – pole w ukraińskim stepie; tu zapewne chodzi o część zbiorów z takiego pola.

⁶¹ *Nawroczyć* – zauroczyć, rzucić urok.

– Słuchajcie no, panie Mateuszu! Wypijcie no jeszcze, to sprawiedliwa alem-bikówka⁶².

Pan Mateusz wypił i pana Macieja poczęstował.

Po kwadransie niespełna arendarz Moszko i przytomni, z wszelkimi honorami, odprowadzili pana Mateusza do woza. Pan Potocki ścisnął wszystkich wśród łez, ścisnął wzajemnie. O własnej sile włożył jedną nogę za półdrabek⁶³, ale drugą wciągnął już za pomocą przyjaciół; pochylił się na bok, huknął sobie z fantazją „Hu ha!” i ruszył galopem sprzed gospody. Miejsce pana Mateusza u Moszka zajął worek kartofli pana Potockiego.

Dobrze już za miastem rozważał pan Mateusz swoją pozycję: wracał z jarmarku bez niczego – wojna nieunikniona, a pan Potocki musi w niej być na głowę pobitym, jeżeli nawet nie z głową rozbitą... Żle! Myślał, myślał i wymyślił w końcu, że w całą tę sprawę krom czarownicy Motry wmieszał się jeszcze – Duch Święty przy nas! – diabeł rogaty. A że pan Mateusz miał wyobraźnię bujną, a w głowie mu było jasno po traktamencie, widział tedy, jak na dłoni owego diabła jegomości, który mu takich figłów napłatał: był to szkaradny jak siedm grzechów głównych, piegowaty galant, a rudy koniecznie! Niemczyk w kurtce kusej, spodenkach opiętych, a rogi ma skryte pod wysokim kapeluszem; kopytka zawinał w pańskie buciki, k i k c i e⁶⁴ pochował w rękawiczki i był albo złośliwy, albo układny! Widział go pan Mateusz jak na dłoni i niby pełnym kłosem żyta chwiał oczynszowaną swą głową w stronę, w tył, a na dół najczęściej. Drzemał tak jaką godzinę, wciąż śniąc o b e z p i ę t y m⁶⁵, który to w psa, to w kota się przerzucał, a czasem piał niby kogut. Wtem szkapieża wbiegły na pagórek, wóz się pochylił..., pan Mateusz miał czas zaledwie krzyknąć „Jezus!” i wpadł do rowu. W tym samym czasie coś huknęło w rowie, niby z harmaty strzelił: „Ano tam!” – i szlachcic skamieniał. Pan Mateusz Potocki w rowie natknął się na diabła. Ten sam: rudy, piegowaty, opięty z niemiecka, w kapeluszu, a we czworo zwinięty ogon diabła znać było spod kurtki. Pan Mateusz odmówił naprędce jakie umiał modlitwy i na czworakach wycofywał się z rowu. Wóz i konięta stały spokojnie na drodze. Łażł tedy szlachcic, nie oglądając się, a na wszystko zaklinał świętego

⁶² *Alembikówka* – wódka uzyskiwana poprzez destylację zwykłej gorzałki w tzw. alembiku, czyli miedzianym naczyniu z kotłem, pokrywą i dwoma rurami.

⁶³ *Półdrabek* – wąskie drabiny tworzące boki wozu.

⁶⁴ *Kikieć* – kciuk, duży palec u ręki.

⁶⁵ *Bezpięty* – diabeł.

Mateusza, by go ratował w tej gwałtownej potrzebie, obiecując w zamian post i szczególne do świętego nabożeństwo. Dopadł wozu, z lekkością młodzika wskoczył w środek i zaciął konie. Szkapięta ruszyły z kopyta drobnym kłusem, pan Mateusz odetchnął swobodnie. Już myślał, czy nie zbyt mocno się zagalopował, ślubując patronowi post i nabożeństwo, naraz spojrzył poza siebie – i znowu padł bez ducha: ten sam diabeł siedział na wozie pana Potockiego i mruczał coś pod nosem, a kapelusz miał diabelskie jakieś hopki⁶⁶ na rudej głowie szatana. Pan Mateusz wyrzekł się wozu, koni, skoczył na ziemię i co tchu leciał przez lasek do swojej chałupy, odległej stąd o staję. Wpadł na podwórze, krzyknął: „Oj!” i tchu mu zabrakło. Kto wie, jak długo pan Mateusz byłby bez przytomności, gdyby mu takowej nie wróciła pani Mateuszowa, a raczej kułaki szlachetnej połowicy pana Potockiego.

– A gadajże mi, złodzieju, gdzieś to podział konie z wozem?!

– Wszystko diabli wzięli! – zaledwie zdołał odpowiedzieć pan Mateusz.

– Jakie diabły? Gadajże mi zaraz! – krzychała pani Mateuszowa, dokładając kułaków.

– Żywe, żywe diabły! Było ich chmura, z samym Lucyperem. Ledwie żem uciekł z duszą, bo mię Lucyper przypadł już tu, pod chałupą, a konie z wozem i z maźnicą wzięli do piekła.

– Co się tobie stało? Jakie diabły? Duch Święty przy nas! – bo i pani Mateuszowa, mimo swe kształty ciała grenadierskie, bardzo się lękała czartów. – Gadajże mi zaraz!

Ale zamiast odpowiedzi pan Mateusz krzyknął.

– Matko Najświętsza Latyczowska⁶⁷, ratujże nas! Diabeł na obejście wjeżdża! – i jednym susem wpadł do chałupy, nie oparłszy się aż między dziećmi za piecem.

Pani Mateuszowa, również diabła obaczywszy, krzyknęła „Jezus!” i znikła w świetlicy. Pan Mateusz dzwonił zębami jak dziad na nieszpory, pani Katarzyna głośno odmawiała modlitwy, dzieci wrzeszczały przestraszone. Żuczek ogonkiem kręcił, patrzył to na pana Mateusza, to na jego żonę i był przeraźliwie – znak, że czuje nieczystą siłę!

⁶⁶ *Hopki* – podskoki.

⁶⁷ *Latyczowska (Latyczów)* – miasto w dawnym województwie podolskim Rzeczypospolitej.

Pani Mateuszowa była kobietą, a więc i ciekawą. Chociaż drząc jak w febrze, ośmieliła się jednak spojrzeć w okno: wóz bez przeszkody wjechał na podwórze, diabeł siedział na wozie, konie stanęły – diabeł nie zląził. Szkapięta zdziwionym okiem patrzyły wokoło zniecierpliwione, że je nie wyprzęgano – diabeł nic sobie z tego nie robił, tylko wygodniej przeciągał się w wozie. Co to być mogło takiego?... Pani Mateuszowa, odmówiwszy wszystkie modlitwy, przysłała do upamiętania: zdjęła z obrazu wianuszek poświęcany i pokazała go diabłu przez okno – diabeł na to ani ogonem nie kiwnął! Pokazała mu gromnicę, flaszkę z wodą święconą, kawał kredy z Trzech Króli, obraz Łatyczowskiej – diabeł był nieporuszoną i z woza nie zląził. Należało tedy myśleć, że albo diabeł ten jest z tych strasznych diabłów, którzy podobno i biskupowi na nosie grają; albo może jest z nieszkodliwego gatunku – taki, który napastuje pijaków. Czerwony nos pana Mateusza wystający zza pieca umocnił ostatnie przypuszczenie pani Katarzyny i grenadierska ta niewiasta, z właściwą sobie energią, zarządziła pospolite ruszenie na diabła. Sama z kropidłem szła na czele; pan Mateusz niósł wodę święconą i gromnicę; dzieci wianuszki, kredę i obrazki; Żuczek nie niósł nic, ale wesoło kręcąc ogonkiem, wziął udział w wyprawie, kiedy niekiedy naszczekując; kogut, stojąc w sieni na beczce wywróconej, z wielką bacznością przypatrywał się pochodowi i głośnym „kukuryku!” zyczył walecznym zwycięstwa.

Okładano krzyżami diabła na wszystkie strony, kadzono, kropiono – nic nie pomogło! Aż Żuczek, widząc zapewne, że bez jego pomocy nie obejdzie się, wskoczył na wóz, a obwąchawszy diabła ze wszystkich stron, warknął mu głośno nad uchem. Diabeł się ocknął i spojrzał na przytomnych. Przytomni krzyknęli nieprzytomnie: „Jezus!” i chcieli podać tył, ale pani Katarzyna wstrzymała pana Mateusza, a dzieci same się trzymały spódnicy matczynej lub hajdawerów⁶⁸ tatusia.

– Wszelki duch pana Boga chwali! – krzyknęła pani Mateuszowa.

Diabeł popatrzył zdziwienie, wreszcie zapytał po polsku:

– Czego wy chcecie ode mnie?

– Szczętnij, przepadnij, siło nieczysta! – wrzała pani Mateuszowa. – Smołą się rozlej i zapal siarką, a wiej się z wiatrami! Ksz! Ksz!... – i nuż kropić diabła wodą święconą.

– Ludzie dobrzy! Czy wy powariowali – przemówił diabeł – że też spać nawet nie dacie człowiekowi, który wam nic nie winien.

⁶⁸ Hajdawery – szerokie, bufiaste spodnie; szarawary.

– Człowiekowi? – zapytali spokojniej państwo Mateuszostwo.
 – A cóż to jest pan za człowiek?
 – Tak jak i wszyscy inni! – odpowiedział zapytany.
 – A jakiej że kondycji⁶⁹ albo profesji? – pytała pani Mateuszowa, która lubiła się popisywać ze swoją erudycją „i jak wzięła czasem mówić, to ją i sam diabeł nie zrozumiał!”.

Nieznajomy widocznie myślał, co ma odpowiedzieć, wreszcie rzekł:

– Jestem lekarzem.
 – A co to właśnie takiego? Bo chcielibyśmy wiedzieć dokładnie!...
 – To taki, co krew puszcza i pijawki stawia...
 – Aha, cyrulik – zawyrokowała pani Katarzyna.
 – Stójże, kobieto – zawołał pan Mateusz – bo może jegomość to są pan doktor?

– A naturalnie, że doktor – odpowiedział nieznajomy.
 – O dla Boga! Niechże też pan doktor poradzą, co memu Maciusiowi, bo mu coś od czasu ta brzuszek nie statkuje⁷⁰.

– A dobrze! Pokażcie Maciusia, a najpierw chodźmy do chaty.

– A prosimy też łaski pańskiej – zawołali uprzejmie państwo Mateuszostwo, wprowadzając nieznajomego. Wkrótce doktor patrzył w gębę Maciusiowi, za uszami pomacał, przasnym miodem wysmarował brzuszek i kazał mu dać kwaśnego mleka. Maciusiowi tak poskutkowało lekarstwo doktorskie, że aż pani Mateuszowa zmuszoną była nazajutrz gniewać się za pewną rzecz na Maciusia... , ale wdzięczność dla doktora była bez granic i jego to wstawieniu się pan Mateusz winien był, że tylko z lekka przetrzepanym został przez panią Katarzynę za niedzielne jarmarkowanie.

Wkrótce doktor Pigulini miał wielką sławę we wsi Siworogach⁷¹, a nawet do Litniowiec⁷² dobiegała fama o cudownym doktorze. Nasi rolnicy, przez wszystkich opuszczeni, zwykle nad zasługę cenią tego, który im jaką ulgę przynosi. Najchętniej podejmują doktorów, dających im zdrowie potrzebne do pracy, bez której wypadłoby chyba umrzeć z głodu.

⁶⁹ *Kondycja* – dawn. stanowisko społeczne.

⁷⁰ *Nie statkować* – nie służyć, dolegać.

⁷¹ *Siworogi* – wieś nad rzeką Pobujanką, dopływem Uszycy; obecnie Siworohy, niedaleko Lwowa.

⁷² *Litniowce (Letniowce)* – miasto królewskie Korony Królestwa Polskiego; potem miasto powiatowe w guberni podolskiej Imperium Rosyjskiego. Obecnie: Uszyca Nowa.

Pan Protazy Krucki był właścicielem ziemskim, dzięki pracy ludzkiej wygodnie próżniącym w wiosce swej, niedaleko od Litniowiec położonej. A miał córkę Fosię, bardzo romantyczną panienkę, która imieniowi swemu wierna miała wiele fochów, a muchy nosa jej nie opuszczały nawet w grudniu! Panna Fosia kochała pana Tytza, a pan Tytz nie miał nic – przecież zachciało mu się posagu i panny. Na to naturalnie pan Protazy pozwolić nie mógł i panu Tytzowi pokazał drzwi przed nosem. Pan Tytz, jakby nic, poprzysiągł t y r a n o w i zemstę i odjechał z sercem nakipiałym, a panna Fosia jak dostała płacząco-śmiejących się spazmów, to i Baraniecki, i sławny Michałko nic nie pomogli. Śmieje się i płacze, płacze i śmieje się, rękami wymachiwa, nogami fyc⁷³, a wciąż woła, by ją wydano za Tytza! A pan Protazy ani rusz: „Niech co chce, będzie, a nie oddam frycowi fortuny!” Na szczęście przyjechał do pana Kruckiego pan Kopytko, a gdy bokiem stanąwszy, podali sobie ręce, i twarze przechyliwszy, oślinili się wzajemnie po trzykroć, pan Protazy opowiedział swój kłopot sąsiadowi. Sąsiad na fotelu siadł i powiedział panu Protazemu o sławnym geniuszu, doktorze Pigulinim, o którym wie z najpewniejszych źródeł, że wszelką chorobę uleczyć potrafi, nawet... I tu coś pan Kopytko powiedział panu Protazemu do ucha. Pan Protazy zaraz kazał zaprząć parę koni do nejteczanki i żywego czy umarłego przywieść doktora Piguliniego, któremu da sto dukatów albo batów – stosownie do tego, czy mu córkę uleczy lub nie uleczy.

Koło karczmy na trakcie zjechał się pan Tytz z woźnicą pana Kruckiego. Pogadali ze sobą, pan Tytz wetknął Kasprowi do rąk złotówkę i pojechał do wsi, w której mieszkał doktor Pigulini. Pogadał z doktorem, dał mu żywca⁷⁴ na rękę... Pojechał Pigulini do pana Kruckiego. Miał ze sobą wiele rozmaitych rzeczy i na osobności pozostał z chorą. Panna Fosia z początku krzyczała, ale później dała pokój i zdrowiusieńka wyszła z pokoju, Pigulinemu przypisując swoje uzdrowienie. Pan Protazy bardzo był uszczęśliwiony – nie dał jednak doktorowi stu dukatów, tylko złotych sto, ale sto zawsze! Pigulini odjechał, panna została, a nazajutrz pokazało się, że Fosia znikła jak kamfora, zostawiwszy na gotowalni kartkę: „Ojczy! Idę za skłonnością serca i zostaję żoną Tytza. Twoja córka Fosia”.

Pana Protazego niby w łeb obuchem palnął. Zaraz przypomniał sobie doktora.

⁷³ *Fycac* – przebierać nogami.

⁷⁴ *Żywiec* – prawdopodobnie: żywy pieniądz, gotówka.

– To on, złodziej! Ułatwił Fosi ucieczkę. Hej, ekonomie! Rozesłać Kozaków na wszystkie strony. Złapać doktora Bibuliniego i rznij mu acan⁷⁵ pięćdziesiąt odlewanych⁷⁶.

Ruszył się ekonom, rozlecieli się Kozacy i dopadli doktora zbierającego ziółka na polu.

– *Skaczy wraże, jak pan każe*⁷⁷.

Sypnęli mu odlewanych pięćdziesiąt i zostawili jęczącego wniebogłosy. Dobra to była nauczka Szymciowi, by się nie puszczał na chleb lekarski i nie grał roli Piguliniego. Zmierzył też sobie nasz bohater medycynę i wyniósł się ze wsi, idąc gdzie oczy patrzą, a kilka rubli miał jeszcze w kieszeni. Próbował później Szymcio stanów rozmaitych – wszędzie niemal z początku wiodło mu się dość szczęśliwie, a pod koniec czart się musiał wmieszać i bohater nasz, dostawszy cięgi, wnet rzucał obrany zawód, mając się innego. Ostatnią razą był lektorem, a nie skończył z honorem z powodu sentymentów ognistych, które uczuwał do wychowawcy hrabiny, dawno już nic wspólnego z Kupidynem⁷⁸ niemającej.

Zrozpaczonego Szymcia znajdujemy w karczmie przy humańsko-odeskim trakcie, jak zanurzywszy się w słomę, dumął filozoficznie nad zagadnieniami człowieka. W sąsiedniej izbie wszczął się ruch. Bohater nasz – w możliwym przewidywaniu wypadków – nastawił uszu. Usłyszał rozmowę mniej więcej następującą:

– W Bałcie interesa niezłe.

– Do Jarmoliniec jechać albo nie jechać!

– Odłóżmy to lepiej do jarmarku berdyczowskiego⁷⁹.

– Albo do Kontraktów!⁸⁰

– Masz słuszność. Nawet do Kontraktów. Co się przewlecze, to nie uciecze, a lepiej interes prowadzić na wielką skalę...

– A cóż z akcyjnym towarzystwem?

– Wszystko w porządku. Formalności załatwione, pieniądze są. Nawet dwóch Murzynów mamy.

⁷⁵ *Acan (asan)* – waćpan.

⁷⁶ *Odlewane* – baty, razy wymierzone na odlew, z siłą.

⁷⁷ *Skacz, synu wraży, jak pan każe*.

⁷⁸ *Kupidyn* – w mitologii rzymskiej bóg i uosobienie miłości.

⁷⁹ *Jarmark berdyczowski* – jeden z dziesięciu dorocznych jarmarków w Berdyczowie.

⁸⁰ *Kontrakty (Kijowskie Kontrakty)* – największy jarmark w byłej guberni kijowskiej, odbywający się w Kijowie każdego roku w styczniu.

– Brawo!

– Chodzi tylko o naboba⁸¹.

– Skądże go weźmiemy?

– W tym sęk właśnie!

– Żaden z nas nie może...

– Dajże pokój! My przecie ludźmi jesteśmy, a do tego co najmniej mały potrzeba.

– Milczącego jak mała.

– A naturalnie. Pięknie byśmy wyszli z papłą! Wszystko zgubione. Nam trzeba ryby niepięknej i niegłupiej, ażeby w razie czego głowy nie stracił.

– Nabob się znajdzie, jeśli nie w Odessie, to w Stambule. Mniejsza o naboba...

– A może bym się ja panom przydał? – rzekł w tej chwili Szymcio, wchodząc do pokoju nieznanym. – Jestem ryba, do usług: niepiękna, jak widzicie, a głowę, gdybym jej strzec nie umiał, straciłbym dawno.

Każdy fach stwarza szkołę i mistrzów w niej. Zebrany dość było spojrzeć na Szymcia, by się przekonać, że to smyk nie lada! Ograniczono się więc na bardzo krótkim egzaminie, który nadspodziewanie świetnie wypadł dla Szymonka. Wkrótce też wyruszył nasz bohater w towarzystwie nieznanym traktem ku Odessie.

Dotarł Szymcio do miejsca przeznaczenia: był na południu i – co za tym idzie – szczęście się mu musi. Jakoż w istocie: wkrótce gazety podały do wiadomości całego świata, że In-gu-theem-tum-mat, nabob indyjski zamieszkały w Odessie, osobiście stanął na czele Towarzystwa Akcyjnego do Wydobywania Złota w Indiach Środkowych, do czego ma upoważnienie tak swego rządu, jak potrzebne dokumenta od dworów innych. Tym nabobem był Szymcio, wymalowany na oliwkowo, strojny w przednie indyjskie szaty, uroczyście siedzący na makatach, z fajką przy herbacie; dwóch Murzynów czystej krwi nie odstępował pana, wszelkiej służby ćma⁸², złoto, przepych wszędy!

Rozprzedaż akcji szła świetnie. Bardzo wielu już dlatego je kupowało, by na żywe oczy ujrzeć takie dziwo jak nabob indyjski. Pomiedzy innymi pieniądze swe i czołobitność złożyli Szymciowi panowie Maciej Kopytko i Krucki Protazy, nad wszelki wyraz uszczęśliwieni, że ich nabob wonną poczęstował herbatą. Szymcio

⁸¹ *Nabob (nabab)* – w Indiach: gubernator prowincji, namiestnik panującego.

⁸² *Ćma* – tłum, wielka liczba.

zemsty nie zaniechał, a przy panu Protazym i pan Maciej padł ofiarą gniewu naboba: obu im Szymcio dał herbaty z jalapą...⁸³, bardzo też niekorzystne mieli mniemanie o herbacie indyjskiej.

– Doskonała, powiem ci, ale... – i tu pan Maciej i pan Protazy mówili coś do ucha słuchaczom. – Jak cię kocham, powiadam szczerze!

Nabob widzialnym był dla panów akcjonariuszów przez trzy godziny dziennie, czwartą przesiadywał zwykle na balkonie, ciesząc swym widokiem gapiów ulicznych, tysiącami zbierających się przed mieszkaniem naboba. Resztujące 20 godzin na dobę miał Szymcio wolne. Co prędzej więc wycierał twarz z oliwkowej farby, kładł perukę, farbował włosy, wąsy, brodę przyprawiał lub inaczej przeobrażał się i wychodził lub wyjeżdżał do miasta.

Rozmaite gałęzie wiedzy studiował Szymcio w wolnych godzinach, najwyżej jednak stanął w nauce zwanej kartologią i w krótkim bardzo czasie miał swą katedrę i licznych słuchaczy. Sława jego stała się tak głośna, że Towarzystwo Uczciwego Zarobku mianowało go swym członkiem – wpierrw honorowym, później członkiem korespondentem, a wreszcie członkiem rzeczywistym. Do wyniesienia się na ostatni ten stopień posłużył Szymciowi pan Krucki, do nitki ograny przez Don Pedra Dieza-Chuas-Alhambra, granda⁸⁴ Hiszpanii, którym był pewnego wieczora Szymcio *vel* Dottore Pigulini!...

Żadne miasto na świecie nie zna tylu języków co Odessa. Od tragarza do najbogatszego bankiera każdy tu mówi kilkoma językami, a nierzadko znalazłbyś tu nowego Mezzofanti⁸⁵, o którym świat dlatego tylko nie wie, że mu braknie czerwonego kapelusza. Szymcio po roku znał wybornie języki: francuski i włoski, a po niemiecku mógł się rozmówić.

Zbytecznym też podobno wspominać, że przy takim składzie rzeczy Szymcio stanął bardzo wysoko: pieniędzy miał moc, co wieczora tytuł nowy, godność inna!... Jaśni wielmożni, dygnitarze mocarstw rozmaitych często bardzo ubiegali się o zaszczyt przyjmowania go na swych salonach, uściśnienia brylantami obciążonej jego ręki. Szymcio w prędkim czasie został prezesem Towarzystwa Uczciwego Zarobku i losy wielu ludzi spoczęły w jego rękę. Z charakteru indyj-

⁸³ *Jalapa* – roślina, której korzeń stosowany jest jako środek przeczyszczający.

⁸⁴ *Grand* – tytuł dworski w Hiszpanii nadawany magnatom i szlachcie.

⁸⁵ *Mezzofanti* – Giuseppe Gasparo Mezzofanti (1774–1849), włoski kardynał, językoznawca i poliglota; uważa się, że mówił w 38 językach i 50 dialektach.

skiego naboba kwitował Szymcio w ten sposób, że akcyjne pieniądze poszły do kieszeń przedsiębiorców, a In-gu-theem-tum-mat znikł z Odessy, przez środek ziemi udając się do Indii. Prezes Towarzystwa Uczciwego Zarobku mianował na swe miejsce tymczasowego zastępcę, a sam udał się z własnymi i sumami towarzystwa do Niemiec dla robienia dalszych interesów.

Wielki był hałas w Odessie na wiadomość o wyjechaniu Towarzystwa Akcyjnego do Wydobywania Złota w Indiach drogą podziemną do ojczyzny Papuasów⁸⁶. Krzyku tego jednak nie słyszał Szymcio, zaopatrzony legalnymi paszportami i działający w myśl interesów Towarzystwa poza granicami ziem rodzących pszenicę, pieniężną szlachtę i takich cymbałów jak panowie Maciej Kopytko i Krucki Protazy!

Rozpaczających żegnam, rzecz poczynając o Pańku.

Pańko z bardzo dobrą miną powrócił do miasta. Widział się z Magdusią, widział i z innymi dziewczętami, które nie wiedząc dlaczego, szalały za rudym zuchem!

Co to jest komunizm? Pytanie wagi wielkiej. Gdybym był posiadaczem własności ziemskiej lub kapitalistą, odpowiedziałbym krótko: komunizm to kradzież, proste łotrstwo! Ale że nie mam nic, zatem inną daję odpowiedź: komunizm jest to coś takiego, co się udziela każdemu hołyszowi⁸⁷ jak powietrze. Komunizmu nikt nie studiuje, katedr ani książek, które by go uczyły, nie ma wcale, a przecież miliony znają go na wylot. „Nie mam – biorę!” – króciutka formułka, bardziej wystarczająca aniżeli wszystkie przemądre foliały⁸⁸ mówiące o równie krótkiej, ale mniej sympatycznej formułce: „Mam – daję!”.

Pańko byłby niezawodnie miłośnikiem ostatniej, gdyby nie natura rzeczy, która go uczyniła zwolennikiem pierwszej. Uważcie państwo: gdy Pańko uroczyście przyznawał się do „nie mam” – nikogo to nie obchodziło w Kamieńcu; jak skoro zaś w praktyce stwierdził część drugą formułki „biorę” – wszyscy wnet krzyknęli: „Złodziej! Złodziej!” i mimo gorącą protestację zaprowadzono Pańka na zamek. niesprawiedliwość oczewista! Nie inaczej też myślał ekspowodyr, wysiadując roczne rekolekcje⁸⁹ na zamku kamienieckim.

⁸⁶ *Papuasi* – autochtoniczna ludność Nowej Gwinei.

⁸⁷ *Hołysz* – człowiek biedny, golec.

⁸⁸ *Foliał* – wielka księga; stos zapisanych arkuszy.

⁸⁹ *Rekolekcje* – ironicznie: więzienie.

Zdanie jego w tej mierze podzielali towarzysze, zamieszkujący zamek od lat kilku i kilkunastu, nie godząc się na inne, z którymi wszelako rozstał się Pańko po rocznej konwersacji z zamkowymi kolegami. Od nich nauczył się ekspowodyr wielu pięknych rzeczy, o których dotąd zaledwie miał słabe wyobrażenie, mianowicie zbadał dokładnie naturę witychów...⁹⁰

Po roku zamieszkania w zamku Pańkowi znacznie urosła ruda jego bródka, miarę jakowej zestawiając z obecną swą pozycją, miał wielką ochotę uważać się za Turka więzionego przez nienawistnych gjaurów. W drodze mu jednak stanęła ta okoliczność, że nie słyszał, ażeby bisurmanom przy uwolnieniu dawano takie dokuczliwe paszporta⁹¹, jaki się dostał Pańkowi...

Po *etapie*⁹², czyli – jak gdzie indziej mówią – *ciupasem*⁹³, odstawiono mego bohatera do rezydencji pana Bartłomieja, który obaczywszy złotą czuprynę areonauty, takim się gniewem zapalił, że mu od siebie kazał dać również piękny paszport i wygnać na cztery wiatry!

Niesumiennie obity, z sercem bolejącym, a pragnieniem zemsty przepelnionym, szedł osmutniały Pańko i ani się spostrzegł, jak go nogi zaniosły na popielisko chaty starego Hryhora.

Jak na gruzach Troi albo Jerozolimy siadł nasz bohater, cały dumający nad znikomością rzeczy ziemskich. Czym był Pańko, a czym jest dzisiaj? Niczym, niczym po prostu!...

Filozoficznie tak dumając, spostrzegł ekspowodyr chodaki Hryhora. Smutne losu igrzysko! Tyle się rzeczy zmieniło... Pańko runął ze szczytu swojej potęgi, a chodaki niby nic – *calusienkie*... I wziął je do rąk Pańko.

– Może te same, które wyplatałem? – pomyślał. – Te same! Mój Boże! – rzekł dalej z westchnieniem. – Przyszło mi też sierocie na *po hybel*!⁹⁴ Może znów łapcie pleść wypadnie!... Muszę też sobie przypomnieć, jak się to wyplata.

I łyko za łykiem począł wyjmować z łąpciów, patrząc, w jakim porządku szło układanie takowych. Dostrzegł skórę i serce mu żywiej zabiło... Uspokoił się jednak.

– Wygodniś, dziadyga! Podłożył skórę, by mu nie przemakało.

⁹⁰ *Witych (wytrych)* – zakrzywiony drut służący do otwierania zamków.

⁹¹ *Dokuczliwe paszporta* – tu: wilczy bilet; wygnanie z miasta.

⁹² *Etap* – transport więźniów pod eskortą.

⁹³ *Ciupas* – odsyłanie więźniów pod strażą.

⁹⁴ *Pohybel* – zguba, zatrącenie.

I już miał chętkę rzucić chodaki, ale coś go tknęło. Wyjął skórę, rozwija... Słabo mu się zrobiło. Przeciera oczy..., sam sobie nie wierzy.

– Pieniądze! – wreszcie wykrzyknął. – Pieniądze! Żywe pieniądze! Boże... 120 rubli! Wieczny odpoczynek pocziwemu Hryhorowi! I ja głupi te chodaki zostawiłem tu, by pierwszy lepszy osioł zabrał mi pieniądze... Ażebyż mnie!... Na wieki zapomniałem, że dziady w chodaki chowają grosze. A świta⁹⁵, torby dziadowskie – gdzie to wszystko? Spalone!... Tam musiało być niemało pieniędzy, bo stary – złodziej jakich mało! Znam ja jego sprawki. A żebyż go szelmę piekło pożarło, że świty nie ustrzegł!... Mniejsza o to, stało się! 120 rubli!... Jestem panem! Cóż teraz począć? Nie, nie teraz, bo jestem bardzo wzruszony!... Chodźmy! Mam pieniądze...

Żaden grand Hiszpanii nie miał tak dumnej postawy jak Pańko, gdy opuszczał gruzu i z pieniędzy opróżnione chodaki! 120 rubli to grosz nie lada i dla takiego zucha jak Pańko! Z diabelnie też tęgą miną podążał nasz bohater ku karczmie położonej w lesie, a zwanej Chapanką. Ostro krzyknął, by mu dano jeść, co mają najlepszego, i półkwaterek szczerego spirytusu! A pokazaniem pięciorublówki całą Chapankę w ruch wprowadził. Spożył, wypił i leżał w sianie na strychu, do jutra odkładając kreślenie dalszych planów.

Pańko z całego świata widział tylko siebie, ale skromniejsi o wiele biesiadnicy u stołu karczemnego widzieli Pańka i jego pięciorublówkę. A że tym dzieciom kapryśnego losu zbywało na pieniądzech, nic więc dziwnego, iż trzech aspirantów komunizmu w przyzwoitym milczeniu udało się ku strychowi, gdzie spoczywał Pańko. Przydybali go w sianie i jeden z nich, niby od niechcenia, sięgnął do kieszeni naszego bohatera... W kieszeni nie było nic. Ręka tedy poszła dalej, szukając w zanadrzu, czego nie znalazła gdzie indziej.

– Za pozwoleniem! – rzekł w tej chwili Pańko.

– Przepraszam! – głos mu odpowiedział.

– Porządni ludzie nie kradną u porządnym, gdy naokoło tyłu jest złodziei! A ilu tu was jest? – zapytał Pańko.

Amatorowie pięciorublówek milczeli. Pańko tedy zmuszonym się widział przemówić do nich w języku, którego ja nie znam dokładnie, ponieważ z towarzyszami Pańka nie miałem bezpośrednich stosunków. Na czarodziejskie słowo odpowiedziano mu lakonicznie:

⁹⁵ Świta – wierzchnie okrycie, kapota.

– Trzech.

– A za karczmą?

– Będzie z dziesięciu.

– Macie się dobrze?

– Oj, bardzo źle! – była odpowiedź.

– Boście głupcy. Hajda za mną! Ja wam dam chleb, tylko mię słuchać, bo ja nie darmo terminowałem w Kamieńcu!

– W Kamieńcu! – ozwały się trzy głosy, a przebił w nich pewien szacunek dla osoby Pańka, która terminowała w Kamieńcu.

– A tak! – odpowiedział. – Gdzie reszta was?

– W lesie...

– Prowadźciez mię tamtędy. Zaraz zrobimy interes.

Zapewne przekonywującymi musiały być argumentacje Pańka i potężną jego elokwencją, gdy po godzinnej pogadance i naradzie towarzystwa poddano się jego władzy. Złodzieje jednogłośnie obwołali Pańka swym naczelnikiem.

Władzę naczelną rozpoczął ekspowodyr od wydania następującego rozkazu:

– Rozstawić trzy pary koni: jedną tutaj, drugą stąd o mil trzy, trzecią ja pojedę, a ze mną was trzech – i wskazał na wybranych. – Reszta czekajcie nas w lesie, stąd o mil sześć. Tam są nasi, a ja wiem o tym. W lesie gwizdnij raz i kłaśnij: wyjdzie Żyd węglarz, to nasz człowiek. Żywo, do roboty!

Nazajutrz w nocy przez drzwi od ogrodu i apteczkę wkradły się do pokoju pana Bartłomieja cztery czarne cienie. Jedno z nich dawało znaki innym. Prędko bardzo wyciągnięto szkatułkę pana Złodzickiego. Brzęk ukochanych rubelków obudził go. Chciał krzyknąć, ale sił mu zabrakło: przed nim stanęła śmierć – wprawdzie bez kosy, ale z otwartych jej oczu i paszczy buchał płomień; dwóch diabłów uwijało się koło łóżka, gotując jakieś tortury, a jeden, najstraszniejszy, przemówił grobowo:

– Bartłomiej, przyszedł twój czas!

W tej samej chwili diabły wpadły na pana Złodzickiego, wiążąc mu głowę chustką. Pan Bartłomiej usłyszał głos: „To znak mojej bytności!”, uczył coś ogromnie bólowego na odwrotnej części ciała i ocknął się dopiero nazajutrz, rozwiązany przez domowników i panią Bartłomiejową.

Wszczął się rozruch w domu. Chciano ścigać złodziejów. Pan Bartłomiej wstrzymał zapędy.

– Dajcie pokój, to nie złodzieje – jęknął.

– A któż! Któż? – zapytała pani Bartłomiejowa. – Krwawa praca w niwecz poszła. Któż ją zabrał?

– Diabli! – odpowiedział pan Bartłomiej.

– Co ci z tymi diabłami! – krzyknęła pani Bartłomiejowi. – Złodzieje! Prosty rozbój!

– Żono – boleśnie mówił pan Bartłomiej – pozwól mi skonać spokojnie. Powiadam ci: diabły ze śmiercią tu były. Śmierć stała o tu, na tym samym miejscu, gdzie ty stoisz: z czaszki jej się świeciło. Diabłów czarnych było tyle, że ledwo w pokoju się zmieścili. A jeżeli nie wierzysz, to ci pokażę znak, który diabeł zostawił.

– Jezus! – krzyknęła pani Bartłomiejowa, znak obaczywszy.

– Krągły? To od kopyta. Może podłużny? – pytał pan Bartłomiej.

– Podłużny – odpowiedziała pani Bartłomiejowa.

– To tak ogonem mlasnął. Dajcież mi pokój i nie szukajcie daremnie. A sprowadźcie księdza.

Diabły ze szkatułką pana Bartłomieją rozstawnymi końmi⁹⁶ oparły się aż w lesie u węglarza. Naczelnik sprawiedliwie wynagrodził uczestników wyprawy, resztę pieniędzy użył na zorganizowanie towarzystwa, któremu zbywało na ludziach energicznych i przedsiębiorczych, jakich poznał Pańko w zamku kamienieckim...

– Ot, kiedy zuch, to zuch! – rozprawiali złodzieje o swym naczelniku. – Nie daremnie w Kamieńcu terminował. Kto by się z nas takiego domyślał! No, za diabłów poprzebierać, to jeszcze, ale że z Iwaszki śmierć zrobił, oto ale! W próżnym harbusie trzy dziury, a w środku świeczeczka woskowa. Ot i cała sztuka! Ale sztuka! Ja sam małym się Iwaszki nie przeląkł, tak szelmie z pyska świeciło!

– A i temu pankowi było tam dobrze leżeć! Diabli żywego zabierają, a śmierć stoi i czeka!

– A później, jak mu nahajem znak zostawił... Oj, popamięta on go dobrze, bo to nahaj kozacki, drutem opleciony!...

– Zuch Pańko! Nie ma co mówić!

– Co prawda, to prawda!

– A my, durnie, chcieli go osmuszyć⁹⁷.

– Oho, nie taki on głupi!

⁹⁶ *Konie rozstawne* – konie zapasowe do przeprężenia na stacjach pocztowych.

⁹⁷ *Osmuszyć* – okraść.

Rzeczywiście Pańko głupcem nie był, czego liczne dał dowody, przechodząc rozmaite koleje... Działalność swą jako naczelnik zuchów nocnych rozwinął Pańko na wszystkich punktach i był grozą wszelkich jarmarkowiczów, z którymi co najmniej dzielił się ich własnością. W czasie wędrówek udało się Pańkowi wytropić i wykropić⁹⁸ Marka. Zośce żadnej przykrości nie sprawił, a małej Olesi, córeczce Marka, podarował nawet funt karmelków i ładne korale z dukatem – był bowiem złodziejem *a la* Rinaldini⁹⁹.

Sfera działań ekspowodyra była podziemna. Pańko został kretem społecznym, któremu niekiedy zdarzało się ujrzeć światło dzienne. Czy i dla Pańka, jak dla kreta, połączonym to było z niebezpieczeństwem – obaczymy w rozdziale następującym.

III. TRÓJKA

Hrabia Parys i hrabina Orzelska przejechali Europę wzdłuż i wszerz, nie odmawiając sobie żadnej przyjemności, na którą ich stać było. A ponieważ Kubuś miał wszystkie wielkich panów przymioty, nic więc dziwnego, że z groszem nie rachował się nigdy i sporo też turyści nadszarpnęli fortuny. Hrabia Parys opatrzył się dopiero wtedy, gdy z zapisu wujaszka zostało mu tylko wspomnienie, ale hrabina zrobiła go panem nie tylko serca, lecz i szkatułki – Kubuś więc prędko zapomniał o stracie schedy wujowskiej.

Rzecz szczególna – ile razy hrabia Parys pomyślał o Helenie, zawsze w głęboką zadumę wpadał i uczuwał coś na kształt wyrzutów sumienia... Co go wiązało z Karoliną, dla której poświęcił Helenę, a z nią wszystko? Nic, jak tylko swoboda życia, bez myśli o jutrze, życia, które się najczęściej samobójstwem kończy zwykło!... A Kubuś był już na tej drodze: uczuwał coś na kształt przesyty, bardzo mało rzeczy zadowolić go potrafiło, a sam z siebie zadowolonym był najmniej, co złym jest znakiem. Mimo to jednak, nie wiadomo, jak długo przeciągnąłby się jeszcze obecny nastrój duchowy Kubusia, gdyby nie okoliczność, która go na nowe tory zepchnęła.

⁹⁸ *Wykropić* – wymierzyć chłostę; pobić.

⁹⁹ *Rinaldini* – Rinaldo Rinaldini, tytułowy bohater powieści sensacyjnej Christiana Augusta Vulpiusa (1762–1827); herszt bandytów; szlachetny zbójca, przywódca bandy łupiący bogatych i wspomagający biednych.

Hrabia Parys, jak wiemy już, lubował sobie w duchowej drzemce, owej półmartwocie, tak wybornie charakteryzującej naszą arystokrację. Ani był głupim, ani tak nikczemnym, sił mu nie brakło; gdyby wola – stanąć by mógł wysoko! Ale mu właśnie zbywało na tej woli. Czynność wszelka miała w nim wroga, nudziło go wszystko i sam siebie nudził... , czuł się więc zadowolonym, gdy zapominał o wszystkim i o sobie, godziny całe przesiadując w fotelu, z głową ku piersi pochyloną, bez żądz, bez pragnień, bez myśli nawet!

Karolina dostrzegła tę zmianę w przyjacielu. Mówiąc prawdę, Kubuś ją również wiele nie interesował. Młody, przystojny, wykształcony, imponujący arystokratycznym obejściem się, nie mógł być obojętnym dla świeżo kreowanej hrabiny, w której wspomnienie przeszłości nie wygasło wprawdzie, nie było jednak zdolne zapalić jej serca ogniem miłości. Snać jednak sprzykrzył się jej stan wdowi, może zapragnęła życia mniej wrażliwego – dość, że ku wielkiemu niezadowoleniu Kubusia oświadczyła mu pewnego razu Karolina, iż życzy sobie nosić nazwisko Porowskich, zostać z o n ą hrabiną Parysa.

– Spodziewam się, mój drogi – dodała – że to również i twoim jest życzeniem.

Hrabia Parys stanowczo nie zaprzeczył, jednak... bardzo nie w porę zrobiła mu propozycję hrabina.

– Żenić się nie mam zamiaru wcale – dumął hrabia – dość mam z samym sobą; przy tym żona... Nie! Nie! A gdybym nawet i poświęcił się, to w każdym razie Karolina najmniej ma prawa do tego. Dawałem jej dowody mojej przyjaźni, dziś jej nawet sprzyjam, ale z o n ą mą nazwać... Co jej się stało? Kaprys, chwilowy kaprys, zapewne!

Mylił się hrabia. Chęć pozostania hrabiną Porowską zwiększała się w Karolinie w miarę oporu Parysa. Hrabinę gniewało, o łzy przyprawiało ociąganie się Kubusia.

– Dlaczego mię nie chce zaślubić? – pytała. – Jestem młoda, ładna, bogata. Przy tym to już nie aktorka podaje rękę hrabiemu, ale hrabina dostatnia temu, który nie ma nic!... – Myśl ta wywołała rumieniec na jej twarzy. – Nie chcę mu robić wyrzutów: tracilibyśmy wspólnie... , ale dlaczego trwa w uporze? Miałżeby jeszcze myśleć o tej Helenie, którą wiem, że nie kochał?... Musi w tym coś być... Ja muszę, muszę się dowiedzieć!...

Ołowiana chmura nieporozumień okryła niebo przyjacielskiego pożycia hrabstwa. W Karolinie chęć pozostania hrabiną Porowską przerodziła się w na-

miętność, która jej dnia i nocy nie dała spokojnej. Hrabia Parys bardziej jeszcze posmutniał, częściej zapadał w odrętwienie, nierzadko dzień cały nie opuszczając swego pokoju. Czuł swą zależność od Karoliny i gorączkowie odpędział od siebie myśl o upokorzeniu: był na łasce kobiety, kobiety, której nazwiska swego dać nie chciał!... Coraz to widniej zarysowywał się w umyśle jego plan zakończenia dolegliwości życia wystrzałem z pistoletu.

Hrabia od niechcienia tylko czytywał dawniej kurs anatomii. Teraz mu się to przydało: w marzeniach o samobójstwie śledził za kulą, która mu czaszkę zdruzgotać miała i z chłodnym drzeniem rozpatrywał wewnątrz własną: ład mózgowy popsuty przejściem ołowiu..., wola, myśl, czucie nie istnieją! Czucie?!... Krew w żyłach sączy się jeszcze kroplą ostatnią..., kropla serca dobiega..., stygnie..., serce bić przestaje... „Nicość, bezwiedność, stan rozkoszny!” – i ręką sięgnął po broń zabójczą... Ręka opada bezwładnie..., uspokojenie balsamem zlewa się na serce... Zza chmur widnieje błękit..., po nim przesuwają się postacie anielskie ze łąką współczucia w oku... Helena!

– Nie, nie! Jam jej niegodny!... – i łąką mu zabiegły źrenice.

Taka łąka zdolna zbrodniarza przemienić w świętego – hrabiemu tylko zamiar samobójstwa odracza... Mało też w tym sercu świętości pozostać musiało!... Wyszedł z pokoju. Jasna noc księżycowa cudnie harmoniowała z przyrodą... Fontana szemrzy w oddali, słowik pieśń swą śpiewa... Hrabia szedł bez myśli. Ocknął go gwar ulicy, światła. Spojrzał: dom gry. Iskra elektryczna przebiegła go. Szatan szepnął: „Tu!”. Wszedł do sali przepełnionej grającymi. Stosy złota, papierów, widok kart przyśpieszyły mu obieg krwi i wywołały rumieniec na twarzy. Wydo był pugilares, postawił wszystko, co miał – wygrał! Druga karta – zabił! Trzecia, czwarta... – złoto przybywa gromadnie, mnóstwo widzów przypatruje się grze, podziwiając szczęście ponitera¹⁰⁰. Trzynasta karta *va banque*¹⁰¹. Wygrana! Bankier ustąpił, hrabia zgarnął złoto i wyszedł.

Co nocy odtąd dom gry widział u swych stolików hrabi Porowskiego. Parys grał zapamiętale, na pozór obojętny, gorejąc wewnątrz, z chciwością zabierał złoto...

Karolina po raz ostatni przypuściła szturm do kochanka. Hrabia milczał. Łzy, narzekania nie rozbroiły go. Mówiła, że z rozpaczą odda rękę baronowi Oksman.

¹⁰⁰ *Poniter* – w grach hazardowych: uczestnik grający przeciw bankowi.

¹⁰¹ *Cały bank*.

Hrabia przetarł czoło – przypomniał sobie nazwisko ofiary „Smoczej Paszczy” i zachował milczenie. Karolina odważyła się z lekka napomknąć mu, że z jej łaski żyje... Parys zdrzął! W milczeniu uklonił się hrabinie i wyszedł. Karolinę przejęła trwoga, bo okropne jakieś postanowienie spostrzegła w oku kochanka.

– Parysie! Wróć się! – krzyknęła. – O, ja nieszczęśliwa! Ja bym mu tego nigdy nie powiedziała, ale dlaczegoż mię odpycha? Dlaczego mną się brzydzi!

Hrabia wprost udał się do domu gry. Wydostał wszystko, co miał i

– Banko!¹⁰² – krzyknął straszliwym głosem.

Bankier, drżąc, odkrył kartę.

– Słup! Trójka!

– Bije! – krzyknęli wszyscy. – Szalone szczęście!

Hrabia zaśmiał się szyderczo. Zgarnął złoto i kazał się wieźć do domu. Błady, chwiejący się, uchylił drzwi salonu. Karolina rzuciła się ku niemu ze łzami.

– Parysie, przebacz!...

Hrabia z dumą spojrział na rozczuloną, wydostał złoto i papiery – cisnął je pod nogi hrabinie.

– Kwita! – rzekł grobowo i wyszedł. Karolina zemdłała.

Hrabia szedł z wolna za miasto, nie myślał o niczym. Po zerwaniu z Karoliną duch jego znów zapadł w odrętwienie, w beczynność. Ognie zgasty, w piersi było pusto – stan to trupi...

Cisza zamiejska, świeże powietrze obudziły go z uśpiania. Natura dziwną nad nami władzę posiada! W lesie swobodniej odetchnął hrabia, piękny widok na skałę i szumiącą rzeczulkę u dołu wywarł na nim korzystne wrażenie. Mógł skupić się w sobie, zebrać rozpieczętowane myśli. Widział jasno swe położenie: z cnotą zerwał i o Helenie marzyć nie mógł; z występkiem nie miał siły połączyć się, czego dowodem było zajście z Karoliną; wejść na drogę pokuty – hrabia w nią nie wierzył!

– Być więc czy nie być?¹⁰³

Długo myślał...

– Nie! Istnieć niepodobna, nie warto!...

Lufa pistoletu przytknięta do czoła wywołała w hrabiu cały szereg obrazów przeszłości: złe wziął z rodziców; idąc za wskazówkami wuja, mógł być

¹⁰² *Banko* – w grach hazardowych: stawiać na kartę sumę równą sumie znajdującej się w banku.

¹⁰³ *Być więc czy nie być?* – ironiczna aluzja do słynnej frazy z *Hamleta* Williama Szekspira (sc. 1, a. III): *To be, or not to be*.

pocziwym; wychowanie szkolne nie dało mu dobrego gruntu; miłość go chciała osłonić skrzydłami od zguby: z Pepitą mógł być zycznym i szczęśliwym!... Życie lekkie, rozpustne, jakie wiódł później – tu go już słabo tylko broniła przyjaźń... A Bużewski? Helena? Mołyła?... Wszak był już na drodze szczęścia! – Nie chciał go, odrzucił... Teraz jest nikczemnym, bez sił, złamanym...

– Do istnienia praw nie mam! Nicość – niech ginie w nicości! – i pociągnął cyngiel.

Strzał wypadł stroną, rękę samobójcy uchyliła jakaś postać, którą, zda się, kiedyś znał hrabia... Parys tarł ręką czoło, siląc się przypomnieć, gdzie widział nieznanego.

– Nic głupszego nad samobójstwo, prawda, hrabio? – zapytała go postać. – Głupstwa tego nie powtórzysz nigdy, skoro ci go raz spełnić przeszkodzono... Uważ, hrabio, że pierwszy raz w życiu mówię poważnie, a to coś znaczy! Podziękujże mi pan za to.

– Czekaj! Niech przypomnę...

– Widzę, masz mnie, hrabio, za osła, który nawet odmienić się nie potrafi. O, teraz to mię panicz Kubuś pozna.

– Pańko! – wykrzyknął hrabia, ujrawszy ekspowodyra bez peruki i przyprawionej brody. – Bracie! Dziwna siła jakaś popchnęła go w ramiona Pańka. Ścisnął go z rozczeniem...

– Widzę, zem dobrze zrobił, uchyliwszy pistolet. Do diabła, takie pocziwe panisko nie powinno ginąć marnie!...

– Skąd się tu wzięłeś, Pańku? – zapytał hrabia, ochłonawszy z pierwszego wrażenia.

– Najpierw trzeba panu wiedzieć, żeś Pańka przywitał i pożegnał. Ten przystojny brunet, który ma zaszczyt rekomendować się hrabiemu, nazywa się Nurek. Do usług!

– Jak to?

– Bardzo po prostu: dałem nurka, nurkuję i jestem nurkiem!

– Zostałeś więc?...

– Co chcesz, hrabio? I tego rodzaju przemysł potrzebny... Wyszukujemy perły, korale i co się nadarzy, byle w mętnej wodzie... A dziś mi się udał wcale piękny połów: złapałem za ogon życie pewnego człowieka, którego pan hrabia zna bardzo dobrze.

– Tak... Winienem ci życie. Fatalizm!...

– O, nie sądz pan, bym na tym poprzestał. Wrócić życie, życia nie dawszy, to znaczy stworzyć upiora.

– Masz słuszość, jestem upiorem...

– Niedługo! My na upiora znajdziemy kół jasionowy: upiór zginie, a panicz Kubuś zdrow i żyw zostanie.

– To ci się nie uda, mój Nurku! – rzekł hrabia z zimnym uśmiechem.

– Spróbujmy! Jest tu panicz Szymcio... A co? Widzę, że jasion działa!... „Życie to zadowolenie, zadowolenie to użycie, a użycie – to pieniądze!”. Uważ pan, że wcale mądrą zasadę głoszę i szczerze filozoficzną! Wszelkie romansowo-pastuszkowe czułości na diabła się zdały! Grunt – dukat i mina gęsta, nawet na szubienicy! Widzę, że to panu trafia do przekonania. Bardzo naturalnie! Nie każdy ma tyle hartu co my z paniczem Szymciem, ażeby nie zachorować na czułość, ale też za to naszą jest rzeczą chorego wyleczyć. Hrabio, przypomnij sobie dawne hasło: „Niech żyje »Trójka!«”.

Czy to usposobieniu chwili, czy wymowie Pańka przypisać należy – hrabia uczuł w całym sobie raptowną przemianę: zrodziła się w nim chęć życia, obudziła dawna energia, jak łuska opadały zeń wrażenia, pod ciężarem których uginał się. Warstwa za warstwą spadając, odnawiały hrabiego, aż się poczuł dawnym Kubusiem i zawołał wesoło, ostatnim westchnieniem z pełnej piersi przeszłość swą żegnając:

– Czarownikiem jesteś, Pańku!

– Tylko nurkiem, hrabio, którym i ty zostaniesz na chwilę. Oto jest skała, krzaki zasłaniają otwór, a otwór jest po prostu dziurą. Dajemy oba nurka. A zginią się pan, bo tu nisko – i jesteśmy w gmachu filii Towarzystwa Uczciwego Zarobku, którego agentem jestem ja, a prezesem... „Trójka!”.

Na hasło drzwi się uchyliły. Hrabia i Pańko stanęli przed Szymonkiem.

– Kubuś!

– Szymcio!

– A że się ściskacie, podziękujcie Pańkowi. Gdyby nie ja, pan hrabia piłby już u Abrahama kwaśne piwo. Prezesie, każ dać wina, bo kazanie wysuszyło mi gardło.

Opowiedzieli sobie przygody od chwili rozstania się w krótkich słowach trzech nasi bohaterowie. Kubuś parę razy wdrygnął się na wiadomość o karierze Pańka i Szymonka. Nie ukrywał jednak, że w położeniu ich wyjątkowym nieco widzi dużo poezji życia, na czym mu właśnie zbywało, i oświadczył gotowość,

jedynie z amatorstwa, przyjąć na się rolę, którą mu Towarzystwo Uczciwego Zarobku wyznaczy.

– Brawo! – zawołał Pańko. – Widzę, że upiór zginął. Teraz dopiero staną nasze interesa świetnie. Prezesie, nie lada rybę złowiliśmy w hrabiu.

Prezes uśmiechnął się znacząco i rzekł:

– Moi kochani, nie widzicie przepaści, która jest pod waszymi nogami?...

– O! O! O! Jakie przepaści?! Co się prezesowi marzy?! – protestował Pańko.

– Powtarzam, przepaść, w którą lada chwila wpaść możemy. Kolega Nurek stworzony do szubienicy – tobie, hrabio, zbywa na doświadczeniu... Patrzcie na mnie: niewątpliwie położyłem w Towarzystwie znaczne zasługi, a cóż mam w zysku? Zawiść niecna, brak zaufania!... I gdyby nie moja energia, dawno już wydano by mnie w ręce sędziów! Ot, świeżo przysłano mi rewizora¹⁰⁴, jak gdybym splamił siebie kiedy przeniewierstwem. Niewdzięczni są ludzie i świat fałszywy!...

– Otóż masz! – rzekł Nurek, wytrąsając popiół z fajki. – Pięknego się dowiedział od prezesa! Do stu katów! To rewizorstwo bardzo mi się nie podoba.

– Jest tu rzecz jeszcze gorsza! – ciągnął dalej prezes. – Zdaje mi się, przeczuwam, wietrzę zdradę. Jeden ze świeżo przybyłych z Odessy towarzyszy bardzo mi się nie podoba! Niepewny człowiek...

– To z nim krótka sprawa: przewietrzyć na gałęzi i basta! Moi chłopcy mogą ci w tym usłużyć, prezesie!

– Czy twoi chłopcy, Nurku, są w stanie wszystkich zdrajców wywieszać?

– Niech tylko wiem, którego święta skrucha napada, już on mi do nieba przez gałęzie powędruje!

– Ale wiedzieć nie będziesz o tym właśnie, który cię na hak wsadzi! Otóż, moi drodzy, posłuchajcie, co umyśliłem. Pragnę już spokoju, życia uczciwego, gdy chcecie...

– Rzecz głupia! – splunął Nurek. Kubuś ziewnął.

– Mam lat do trzydziestu. Życia nie znam, nie żyłem, a żyć pragnę! Na stanowisku dzisiejszym prędzej czy później czeka mię więzienie albo szubienica – obie rzeczy głupie i niepociągające. Co tam piszesz, Nurku?

– Notuję sprawunek dla prezesa: szkaplerz i koronkę.

– Zawsze wesół! Słuchaj no mnie dalej. Taki koniec, jak mówiłem, nikomu podobać się nie może...

¹⁰⁴ *Rewizor* – urzędnik dokonujący kontroli; inspektor.

Nogom nie do ziemi,
Głowie nie do nieba:
Każdemu zuchowi
Tak umrzeć potrzeba!

– zanucił Nurek półgłosem.

– Proszę cię, Pańku! Zaprzestań śpiewu i posłuchaj mię cierpliwie.

– Słucham cię, prezesie!

– Złodziejski stan nie ma dla mnie powabu...

– Za pozwoleniem! Protestuję! Co do mnie, stan mój uważam za tak dobrze uczciwy jak każdy inny. To mój fach, specjalność, a że się on ludziom nie podoba...

– Odbieram ci głos. Koniec końców zrywam z Towarzystwem i jako człowiek uczciwy wyjeżdżam do Ameryki. Coż ty na to, Kubusiu?

– To mi się dość podoba – rzekł hrabia.

– I ja przeciw temu nie mam wiele...

– Nurek nie ma głosu. Byłem pewny, że w podróży tej zechcecie mi towarzyszyć: pozycja niezależna, bez obawy krat i stryczka ma wiele za sobą! Ale do tego potrzeba nam jednej rzeczy: pieniędzy.

– Rzecz mała – mruknął Pańko, cmokcząc fajeczkę.

– I to pieniędzy niemałych: milionów!

– Ciekawa rzecz, skąd je prezes weźmie!

– Potrzebna mi do tego twoja pomoc, Nurku.

– Na mnie licz pan, jak na cztery tuzy¹⁰⁵ w ćwika!¹⁰⁶

– I twoją, hrabio!

– Nie wiem, na co ci się przydać mogę...

– Zaraz ci powiem, tylko obaczę, czy nie mamy szpiegów... Na korytarzu pusto – mogę mówić bez obawy.

Pańko z całą uwagą przygotowywał się słuchać prezesa, zaniechawszy nawet cmokania krótkiej swej fajeczki.

– Mówiłem już – rozpoczął Szymcio – że tak do poczciwości, jak i szczęścia potrzeba nam dużo pieniędzy. Gdybym zabrał kasę Towarzystwa, gra świeczki nie byłaby warta! I znów musielibyśmy w nowym świecie szczęścia próbować...

¹⁰⁵ *Tuz* – figura karciana: as.

¹⁰⁶ *Ćwik* – dawna gra w karty.

– Jeżeliby stary nie pokładł nas na mary¹⁰⁷ – zauważył Pańko.

– Rozumnie powiedziano, chociaż mówi Pańko, i wierszami do tego!... Towarzystwo mogłoby nas wytropić i zemścić się. Jest za to inny, daleko lepszy sposób. Jako nowicjusz w tych rzeczach wzdragać się będziesz, hrabio... , ale my z Pańkiem uważamy to za chleb powszedni. W tutejszym domu gry, jak wiadomo, największym w Europie, najpiękniej można się obłowić. Anglik wygrał miliony: ledwo go widać zza stosów złota i papierów – bank ten cały zagarnąć mu możemy...

– Ba, gdyby!... – mruknął Pańko.

– Pieniądze tak dobrze jak w naszej kieszeni, jeśli Nurek potrafi tę oto talię kart zgrabnie podsunąć bankierowi w zamian za inne, które ma przy sobie.

– Karty są już u bankiera! – zawołał Nurek z przekonaniem.

– Aaa, bank jego w naszej kieszeni! Nie traćmy tedy czasu. Zróbmy najpierw toaletę. Ty, hrabio, jesteś księciem, ja baronem, Nurek ambasadorem cesarstwa Fec i Marokko¹⁰⁸. Do miasta udamy się znajomą nam drogą. Z pomieszkania weźmiemy pojazdy. Dalej tedy! Oto jest cała kasa Towarzystwa. O dwunastej godzinie kaźden z nas przykłada Anglikowi nóż do gardła: *Va banque!* na trójkę. Ta liczba nie zawodziła nas nigdy!

– Brawo! A wygrawszy, zaraz jedziemy? – pytał Pańko.

– Natychmiast, co dzięki organizacji Towarzystwa jest kaźdej chwili możliwym.

– Ubierajmy¹⁰⁹ się tedy!

W nocy, o wpół do dwunastej, zajechały przed dom gry trzy rozmaite karety. Największą uwagę obecnych w sali zwrócił na siebie ambasador cesarstwa Fec i Marokko. Trzej nowo przybyli przypatrywali się grającym. Po kwadransie ambasador, przechodząc koło barona, upuścił chustkę. Książę, baron i ambasador zbliżyli się do bankiera.

– Służę! – rzekł Anglik zimno.

Ambasador szeroko otworzył gębę, wydostał pugilares¹¹⁰ i stawiając kartę *Va banque*, chrzypnął. Anglik był obojętnym. Baron również sięgnął po pugilares:

– *Banco* – rzekł spokojnie.

¹⁰⁷ *Pokłaść na mary* – uśmiercić.

¹⁰⁸ *Fec i Marokko* – nazwa wymyślona na podstawie autentycznych nazw: Fez (w powieści: Fec) – królewskiego miasta w Maroku; i Maroka – czyli państwa o ustroju monarchicznym, które w połowie XIX wieku toczyło wojnę z Francją, zakończoną traktatem w Taugerze.

¹⁰⁹ *Ubierać się* – zabierać się, ruszać w drogę.

¹¹⁰ *Pugilares* – portfel.

Mniej śmiało, za baronem, księżę również rzekł:

– *Banco*.

– Trzech banko? – zapytał Anglik.

Poniterowie skinęli głowami potwierdzająco. Anglik obtarł zimny pot z czoła i sięgnął po nową talię kart. Ambasadorowi zaświeciły się oczy... Wielka cisza załęgła salę: po raz to pierwszy widziano taką stawkę. Bankier karty odkrył i zadrżał. Lewa, prawa... – wyrzucił kart kilka i dotknął się bocznej kieszeni u surduta...

– Bita! – ozwały się naraz trzy głosy i trzy trójki padły na zielone sukno.

Wielki krzyk zdziwienia zmieszał się z wystrzałem. Wszczął się wielki ruch: bankier nie żył, poniterowie z pieniędzmi znikli... Za chwil kilka weszła do sali policja.

Korzystając z zamieszania, poniterowie wybiegli z sali gry i żywo skoczyli do powozu. Konie ruszyły. Prezes wejrzał przez okno karety i zbladł.

– Jesteśmy zgubieni! – zawołał. – Odkryto kryjówkę. Słyszycie strzały? To znak umówiony!...

– Do pioruna! – zawołał Pańko. – Nie mamy chwili czasu do stracenia... „Nora” jeszcze niezajęta. Na prawo! Galopem!

Powóz zatrzymał się w ciasnej uliczce. Pańko pierwszy wypadł zeń jak strzała, za nim Szymcio i Kubuś. Zamknięto drzwi domu na rygle. Za Pańkiem spuszczone się do piwnicy.

– Gdy „Filia” odkryta, tedy policja musi być na drodze do „Nory”. Ale zjedzą diabła, jeśli nas złapią! Na to Pańko ma głowę. Demaskujmy się – ubrania tu dość! Bierzmy do kieszeni tyle pieniędzy, ile się wlezie!... Policja już się dobywa!... Reszta do szkatułki, szkatułka do tej krynicy! kiedyś ją wynajdziemy. Teraz zapalimy fajerwerk, by nieco skrzydeł osmolić policjantom!... Za chwilę dom będzie w płomieniach, gruzy wchód zakryją... Dalej, za mną, na czworakach!... Łotry, że też do kanałów nieco perfum nie wleją! Zakatarzysz się, hrabio!... Jesteśmy za miastem! Tu niech się każdy kieruje instynktem – rozłączyć się musimy. Wyjazd do Ameryki odkłada się na czas nieograniczony... Do widzenia, prezesie! Do widzenia, hrabio!

Pańko znikł. Po chwili nie było i Szymonka. Hrabia, nie znając miejscowości ani umiejac sobie zdać jeszcze sprawy ze wszystkiego, co się stało, po krótkim namyśle udał się przed siebie. Wychodząc z lasu, spostrzegł na drodze powóz posuwający się z wolna. Woźnica drzemał, konie szły powoli. Hrabia uznał za stosowne zająć w nim miejsce gospodarza.

Nad ranem spostrzegł woźnica pasażera, ale sownie opłacony z chęcią zawiózł nocnego gościa do pobliskiego miasta, w którym hrabia siadł na kolej i za godzin kilkanaście znalazł się w Paryżu.

Spotkanie się z towarzyszami podróży, przygoda, którą doświadczyli, najmniej spodziewane rozstanie się – wszystko to razem wzięte podziałało na hrabiego stanowczo na tyle, że o samobójstwie myśleć przestał, natomiast postanowił dowiedzieć się o losie towarzyszy i dobrą czy złą dolę swoją z ich losem nadal połączyć. Projekt wyjazdu do Ameryki bardzo mu się podobał: ocean oddzielił by go od przeszłości, którą brzydził się prawie. Ostatecznie posłużyłoby mu to do zerwania nici wiążących Parysa z czymkolwiek na stałym lądzie. Fundusze jednak, jakie miał, nie wystarczały mu do przedsięwzięcia samemu podróży. Postanowił zatem czekać na połączenie się z towarzyszami.

Długo Kubaś nie mógł się wywiedzieć o Szymonku i Pańku. W gazetach dopiero odczytał dokładne opisanie wykrycia Towarzystwa Uczciwego Zarobku w Odessie, jego filii i agentury w Niemczech; dwóch jednak przewódców szajki nie udało się władzy pochwytać. „Rzezimieszki, umówiwszy się, fałszywymi kartami, ściągnęli bank, wskutek czego bankier po przegraniu odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu... W jednym z domów, zwanych przez złodziei »Norą«, wszczął się pożar w czasie rewizji... Pod gruzami nazajutrz znaleziono obszerną piwnicę, będącą składem rozmaitych rzeczy. Ze znajdującej się tu studni wydobyto żelazną szkatułkę, napełnioną złotem i papierami...”.

Zabranie szkatułki ostatecznie niweczyło zamiar wyjazdu za granicę.

– Niebo nie chce mojej poprawy – zawołał hrabia w rozpacz. – Ha, *vogue la galère!*¹¹¹

IV.

ŁÓDŹ ŻYCIOWA ZAWIJA DO PORTU

Wśród saharyjskich piasków naszej powieści Iwan i Helena są jak dwie palmy urocze a smutne: jedna zapatrzona na wschód, druga na południe! Samotne, zielenieją na piaszczystym morzu, oczekując chwili, gdy straszny huragan gróbi im w piaskach otworzy!...

¹¹¹ *Będzie, co ma być!* (dosłownie: niech galera płynie).

Helena tęskni za narzeczonym. Nie! Ona drży strasznym przecuciem miotana, które ją ze snu budzi i sercu bóle nasyła. Każda chwila, która ją przedziela od powitania miłego, to wieki całe! A cóż się w tym sercu nie działo, gdy rzekła sobie: „Dziś ma wrócić... Już wraca! Mamo, to on!”. Każdy odgłos pocztowego dzwonka, turkot kół, powiew wiatru niemal wywoływał radość, a potem tłumił bólem zawodu – nie przyjechał... Dzień drugi, tydzień – jego nie ma!

– On umarł, nie żyje!... Mamo! Mamo! Czemu go nie mam przy sobie?! Ja umrę! Rozłąki z nim nie zniosę!...

Rodzice wiedzieli już o wszystkim. Mieliz zabić córkę powiedzeniem jej prawdy? Są chwile, kiedy grzech cnotą się staje! Zmyślono, że Kubuś z powodów nieprzewidzianych dłużej musi zatrzymać się na Podolu... List zapewne zginął na pocście... Parys lada chwila przyjedzie...

Takie uspokojenia są chwilowymi tylko – przygaszają płomień, by później z tym większą siłą wybuchnął.

Rodzice Heleny mieli nadzieję, że czas złagodzi cierpienie, wyleczy rany... Helena zapomni o niegodnym i serce swe skłoni do Mohyły... Próżne nadzieje!

– Gdzie on!... Zabrano mi go... Może nie żyje... Mamo, ja go kocham! Umrę, umrę bez niego!...

Niknęła z dniem każdym. Rodzice patrzali na to powolne konanie dziecięcia i zdobyli się na krok rozpaczliwy: Helena dowiedziała się o zdradzie.

Są piorunowe losu pociski, które przepaścią oddzielają nas od przeszłości. Po takim gromie w przyszłość już spojżenia nie ślemy... Za nami pozostała mgła, w nas pustki, grób, gdy wpółmartwych nie wesprze wiara, nie ożywi modlitwa. Helena była kobietą, miała wiarę – wiara ją uratowała!

Nie kobieta to już teraz, lecz biały anioł, czekający na chwilę swego wyzwolenia. W tym sercu jęk tylko jeden, na twarzy cicha do Boga modlitwa. Taką na ołtarz stawcie wszyscy odnowienia dostąpić pragnący!

Niematy też ból uczuł w swym sercu Mohyła na wiadomość o postępku Parysa. Ta, dla której szczęścia zbawienie by oddał własne, nie jest szczęśliwą – zdradził ją nikczemnik, dla którego wyrzekł się marzeń najdroższych, poświęcił samą myśl o szczęściu! Mohyła znał to serce dziewicze – on wiedział, że Helena mąk nie zniesie, a rodzice piszą, że ledwie cień z niej pozostał... On wie, że tej duszy anielskiej szczęście się należy, ona go znać powinna – *ch o c i a* ż by na *ch w i lę*... I zrodziło się w nim postanowienie nieodwołalne: Helena będzie szczęśliwa! Na *ch w i lę* przynajmniej... bo szczęścia na całe życie on jej dać

nie może, chociażby go Iwan ostatnią krwi kroplą chciał okupić. Iwan wynajdzie Parysa! Rzucił Paryż i w każdym mieście czynił staranne poszukiwania za zdrajcą.

—

Niedola ogólna każe nam zapomnieć o własnej: wielką jest siła udzielania się bólu. Kraj nasz nawiedzały klęski tysiączne, a o lud rolniczy obijały się one najpierw: wojna ze zgubnymi jej następstwami, zagony pohańskie, mord i rabunek – z wszystkim tym włościanin obeznany dobrze: on krew i łzy przelewał, on cierpiał i ginął, aż się oswoił z tym, skrewnił. Nic go jednak bardziej nie przeraża jak pomór. Ten palec gniewu Bożego cały hart duszy odejmuje milionom. Śmierć niespodziana, zabierająca wszystkich bez różnicy, osłupia, przeraża je, że w niej boleści zapominają o wszystkim, pewni nieuniknionej zaguby wszystkich. Wszelki ratunek uważa się tu jako grzeszny opór tylko woli zagniewanego bóstwa.

Taką klęską dla naszego ludu jest cholera¹¹² – dziś już mniej straszna, ubiegłymi laty równająca się zarazie morowej¹¹³. Nierzadko wsie całe wymierały do szczytu: opuszczano wszystko, chroniąc się w lasy, trupy zostawały niepogrzebanymi, dzieci odbiegały rodziców. Był to obraz Sądu Ostatecznego!

W straszliwy ten czas Bużewscy nie poszli w ślady współobywateli chroniących się sromotną ucieczką, zostawiając innych na łup śmierci. Przeciwnie – jak przystało na ludzi u przewodu ludowi stojących, śmiało stawili czoło niebezpieczeństwu, osobiście niosąc ratunek klęską dotkniętym. Ich poświęceniu się winni byli włościanie swe uratowanie: gdy naokoło marły tysiące, w majątku Bużewskich dzięki podjętym staraniom liczba ofiar była znacznie mniejszą. Niestety, ofiarami ostatnimi byli ci właśnie, którzy rozwój choroby powstrzymali: oboje Bużewscy jednocześnie zmarli na cholere. W jeden głośny płacz wybuchły setki na wieść o stracie swych panów: ojca i matki. Od starca do dzieciny wszyscy towarzyszyli ich zwłokom do miejsca wiecznego spoczynku. Nawet gromady z majątków sąsiednich stawiały się na pogrzeb. A duchy tej pary prawdziwych obywateli musiały się uśmiechać anielsko, widząc ten nieklamany objaw wdzięczności tysięcy. Z garstek ziemi usypano wysoką mogiłę dobrodziejom ludu, łzami ją rosząc, a ojcowie i matki gromad obwołały się rodzicami pańskiej sieroty, córki zmarłych – Heleny.

¹¹² *Cholera* – ostra choroba zakaźna. W XIX wieku jej epidemie na ziemiach polskich wystąpiły w latach: 1831, 1852, 1872–1873, 1892–1894.

¹¹³ *Zaraza morowa (mór, dżuma, czarna śmierć)* – ostra bakteryjna choroba zakaźna gryzoni i (rzadziej) innych drobnych ssaków, a także człowieka.

We Frankfurcie doszedł Mohyłę list Heleny. „Jestem sierotą” – mówiło w nim dziewczę. – „Bóg do swej chwały powołał świętych mych rodziców. Umarli, zostawili mi w spuściźnie wdzięczność ludu, dla którego poświęcili życie, zostawili mi naukę, jak żyć powinnam. Nie szemrzę przeciw wyrokom Boskim i dziękuję Mu za otuchę, którą mam, iż wkrótce połączę się z duchami najdroższych mych rodziców. Dziękuję Mu za tę chwilę szczęścia, którą mię uradował. On mię kochał chociaż przez chwilę – to dość, by dziękczynić Stwórcy, który mógł mi i tego odmówić...”.

Kto wypowie stan duszy Mohyły, gdy list Heleny odczyta?!... Nie ja! Są tajniki duszy, które lekkomyślność lub zbrodnia tylko poważa się płytko rozbiierać...

Noc całą przebolewał Mohyłę, odczytując list Heleny. Nazajutrz ujrzał się siwym.

Wypadek zrządził, że Iwan dowiedział się we Frankfurcie o pobycie w tym mieście hrabiny Orzelskiej. Udał się też do niej niezwłocznie. Nic mu hrabina nie umiała powiedzieć o Porowskim nad to, że wszelkie węzły między nimi zerwane zostały i Karolina wychodzi za mąż za barona Oksinana. Mohyłę postanowił dalej czynić poszukiwania, co wymagało uwolnienia się od nauczycielskich jego obowiązków. W tym celu wyjechał Iwan do Paryża.

Przechadzając się w parku, dostrzegł pewnego razu Parysa, galopującego obok powozu jakiejś damy. Dosiadł fiakra¹¹⁴ i śledził jeźdźca... Porowski z przejażdżki udał się do hotelu „Pod Złotą Szpadą”, za nim do mieszkania wszedł Mohyłę.

Hrabia zbladł, zobaczywszy przed sobą Iwana, bo przeczuwał w nim sędziego.

Mohyłę ostro patrzył na zdrajcę.

– Poznajesz mnie? – zapytał wreszcie głosem drżącym.

Parys ochłonął już z pierwszego wrażenia i przytomność mu wróciła.

– Witam pana Mohyłę! – rzekł swobodnie, rzucając się na fotel. – Galop zmęczył mię nieco...

– Nie tak lekko, mój panie – zawołał Mohyłę grzmiącym głosem. – Przybyłem tu w sprawie ważniejszej.

– Ważniejszej?... A więc słucham pana.

– Parysie, jesteś nikczemnym!

¹¹⁴ *Fiakier* – lekki jedno- lub dwukonny pojazd zaprzęgowy służący do wynajmu w celach zarobkowych.

– Mój panie! – spojrzenie Moły przykuło hrabiego do fotelu. Głos Iwana drżał coraz bardziej.

– Czy masz ty siłę, Parysie, odebrać sobie życie?

– Dziwne pytanie...

– Ja go powtarzam: masz odwagę zginąć?

– Nie rozumiem pana. Wyznaję jednak, że do czegoś podobnego nie mam najmniejszej ochoty.

– A jednak zginąć musisz. Zginiesz niechybnie, boś z rodzaju tych podłych zmij, których samo przesunięcie się trawy wypala! Opuściłeś anioła dla zalotnicy. A dziś komuż to towarzyszyłeś?

– Jeśli pan nic więcej nie masz mi do powiedzenia – rzekł hrabia dumnie – to z mojej strony odpowiem, że kurateli nad sobą nie uznaję żadnej. Żegnaj pana.

– Znać krew zgniła! – wybuchnął Moły. – Panowie, gdybyście w aniołów postać przyoblekli się, zawsze z was czart wyczerać będzie! Panie hrabio, tu nie kamerdyner z nim mówi, ale szlachcic, którego imienia ani on sam, ani żaden z przodków nie splamił... Tu mówi c z ł o w i e k w imieniu prawdy, z którą ty i twoi rozminęliście się dawno... Czytaj ten list, a ja pistolet nabiję.

Hrabia wziął list, z niemałą jednak trwogą dostrzegł, że Moły w rzeczy samej broń nabijał. Parys był już nikczemnym. Odczytany list Heleny do Iwana nie obudził w jego duszy żadnego uczucia, natomiast w głowie zrodził plan, którego wykonanie przyspieszył widok Moły stojącego opodal z pistoletem nabitym... Hrabia zaczął szczerze płakać! Moły zachwiał się – pistolet wypadł mu z rąk.

– Płacz?... Nie ma więc zbrodni w naturze!

– Iwanie! Szlachetny Iwanie – rzucił się ku niemu hrabia. – Teraz dopiero widzę moją nikczemność. Tak, powinienem zginąć! Podaj mi broń, sędzio mój szlachetny!

Moły odtrącił nogą pistolet.

– Skazujesz mnie więc na wieczne wyrzuty sumienia?! – wołał hrabia. – To sroższa jeszcze, ale zasłużona kara! Wierzysz ty w młodego poprawę? Jam się dał uwieść, obałamucić, to mię popchnęło na drogi występku..., ale ja chcę poprawy, żądam pokuty: na kolanach udam się do niej ze łzami, latami krwawej pracy okupię mą zdrożność i dowiodę, że poprawa moja nieklamana... Stanę się godnym przebaczenia Heleny! Bracie mój!...

Mrok wieczoru bardzo posłużył hrabiemu. Promień księżycy widział łzę w oczach Moły. Nie odtrącił obłudnika od ramion – przycisnął go szczerze do piersi i łzy polały mu się strumieniem.

– Ona będzie szczęśliwą! – wyrzekł z cicha. – Parysie, więc szczerze żałujesz?...

– Szczerze! Ze łzami... Nie odpychaj mnie! – i ugiął kolan.

Mohyłę oblał blask księżycy: piękną i natchnioną była twarz jego.

– Ja cię błogosławię – wyrzekł poważnie. – Jesteś mi bratem. – I podniósł go z ziemi.

Późno w noc przeciągnęła się rozmowa Mohyły z Parysem. Uradzono, by hrabia udał się przodem do Żytnik, Iwan miał za nim pośpieszyć, zakończywszy swe interesa w Paryżu. W wagonie przemyśliwał Parys: „Helena mię kocha – oto mniejsza; nie kocham jej – bagatela! Ma znaczny majątek... Mohyła zanadto jeszcze naiwny! A byłbym też głupcem szczerym, gdybym ofiarą kilkudniowego przymusu nie pochwycił nadarzającej się zręczności!... Ha, nie udało się powędrować do nowego świata – może i stary będzie na nas łaskaw! Mam lat blisko trzydzieści... powinienem pomyśleć o sobie!...”

Po dwóch tygodniach stanął hrabia w Żytnikach przed Heleną. Dziewica jęknęła boleśnie, odchyliwszy się od kochanka. Ale on był u jej nóg, ze łzami w oczach. Błagał, by go wysłuchała... Ona go kocha... A serce rozkazom nie poddaje się, ono jest samym przebaczeniem... Nie dośćże jego widoku, nie dość łez i błagania, by wszystko zapomnieć, wszystko przebaczyć i poświęcić wszystko?... Helena jednak dużo miała mocy nad sobą: nie rzuciła mu się ze łzami na szyję, nie przycisnęła do silnie bijącego serca... Drżąc, głosem, który łyzy tłumili, powiedziała hrabiemu, że dzieli ich przeszłość, świeży grób ich dzieli. I wyszła.

Parys był w rozpacz: najpiękniejsze jego plany mogły się rozbić o obojętność Heleny! Po namyśle prosił o chwilę rozmowy. Odpowiedziano mu, że pani przyjąć go nie może. Jął się innego sposobu: napisał list – zwrócono mu go, nie odczytawszy. Hrabia był w rozpacz. Nie podejrzewał, by Helena mogła dlań być tyle obojętną.

Hrabia miał list Mohyły do Heleny, bał się go jednak oddać, przeczuwając, że treść listu mieści w sobie szczegóły niekorzystne. Miał zamiar wręczyć go Helenie, gdy porozumienie zupełne między nimi nastąpi. Gdy jednak do tego nie przyszło, oddał list słudze, dodając, że sam wyjeżdża do Kijowa.

Niezadługo potem przyjechał do Żytnik Mohyła. Rozmowa z Heleną utwierdziła go bardziej jeszcze w przekonaniu, że całe jej szczęście spoczywa w Parysie. Powiedział jej wszystko, co wie, co przypuszcza; opisał scenę spotkania się z hrabią w Paryżu; nie ukrywał tego, że słabą bardzo ma nadzieję i w szczerść

poprawy Kubusia niezupełnie wierzy... Przełożył¹¹⁵ to wszystko i oddał pod decyzję Heleny.

Helena długo myślała nad postanowieniem. Rozsądek przekładał..., miłość przemogła! I ona, jak Mohyła, znała złe strony Kubusia. Zgadzała się ze zdaniem Iwana co do sposobu zapatrywania się na charakter przyszłego jej męża, czuła to, że szczęśliwą z nim nie będzie... Ale bez niego szczęścia również nie ma dla niej, chyba cichy grób... „On się może poprawić... Moja miłość, poddanie się, łązy, może go nawrócić zdolają...”. Helena miała nadzieję.

Mohyła w milczeniu wysłuchał jej postanowienia. Przywiózł hrabiego z Kijowa i był świadkiem pojednania się. Termin ślubu wyznaczono za dwa miesiące po upływie trwania żałoby. Przez ten czas Mohyła miał objąć zarząd majątku i zamieszkać we wsi sąsiedniej wraz z Parysem, który miał mu w zarządzie dopomagać.

Nazajutrz po przejednaniu się starsi z gromady opiekunowie panienki zeszli się na poradę do Mohyły, a trochę markotnie im było, że wybór padł nie po myśli gromady, bo oni życzyli by sobie Mohyłę za pana... Ale kiedy już takie postanowienie, to „nic i rada nie nada!”. Wszyscy poszli do dworu, winszując swej pani i przyszłemu panu szczęścia, a najstarszy z obecnych, przystąpiwszy do hrabiego, rzekł:

– A wiecie panie o tym, że nie ino jasną pannę, ale bierzecie i córkę gromadzką za siebie. Toż baczcie, by nam była szczęśliwa, bo jej rodzicom – świeć tam Panie! – wiele winni jesteśmy, to byśmy na krzywdę ich dziecka patrzeć nie mogli... – i rozplakał się stary, a za nim inni.

Hrabia uspokoił obawę włościan i przyrzekł, że córka gromadzka¹¹⁶ będzie szczęśliwą. Helena ze łzą rozczenia żegnała starszych, którzy ją z kolei ucałowawszy w rękę, wyszli gwarząc.

– Więc będę szczęśliwą, Parysie? – zapytała Helena zadumanego Kubusia.

Hrabia ocknął się z zamyślenia.

– Heleno, potrzebaż ci przysięgi?

– O nie, nie, mój drogi! To tak..., wspomnienie... Przebacz!

Rok oczekiwania upłynął hrabiemu na pracy około zarządu majątkiem. Nie zdradził się niczym, chociaż wewnętrznie czuł cały ogrom przymusu, który znosił... Mohyła bacznie śledził za postępowaniem Kubusia, nic jednak zdrowego

¹¹⁵ *Przekładać* – przedstawiać, wykładać.

¹¹⁶ *Córka gromadzka* – córka gromady, społeczności wiejskiej.

w nim nie dostrzegł. Poprawa zda się była zupełną, a chociaż w charakterze hrabiego nie pokładał Mołyła zbyt dużego zaufania, z mniejszym już drżeniem oczekiwał chwili, w której Helenę utraci na zawsze. W wigilię ślubu raz jeszcze rozmówił się z Heleną, a usłyszawszy z ust jej ponowne zgodzenie się na los, który jej niebo z Parysem przeznaczyło, z czystym sumieniem, choć z bólem serca wielkim poprowadził Helenę do ołtarza.

Szczególne to było wesele. Hrabia nikogo ze szlachty na ślub nie prosił. Gośćmi Heleny byli wyłącznie włościanie. Panna młoda przywdziała strój wieśniaczy, pan młody miał na sobie czamarkę¹¹⁷. Drużką Heleny była jedna z jej rówieśnic, drużbą był Iwan – ta marmurowa postać, który wciąż musiał łamać się z bólem, krwawiąc własne serce... Strój Iwana także był chłopskim. Ojcem i matką państwa młodych byli najstarsi wiekiem z włościan – ci udzielili im błogosławieństwa; a gdy do nóg upadłszy rodzicom przybranym, załała się łzami Helena, obecni jak jeden człowiek w głośny płacz wybuchli. Nie dobrze to wróży młodej parze!...

Mołyła, chwiejąc się, zaprowadził Helenę do ołtarza. Hrabia drżał w oczekiwaniu spełnienia się stanowczej chwili, a gdy już pocałowaniem krzyża przysięgę swą stwierdził, odetchnął z pełnej piersi, pierwszy raz od roku śmiało spojrzawszy przytomnym w oczy.

Gromadą tłumnie udali się włościanie do dworu na wesele swej pani – córki gromadzkiej. W czasie wieczerzy doręczono Kubusiowi list z poczty. Zawierał on w sobie te słów kilka: „Serdecznie wieszczę spełnienia zamysłów. Tylko nieuregulowaniu mych interesów przypisz, że osobiście nie mogę tobie i żonie twej złożyć mych powinszowań. Do widzenia. Szymon Złocicki”.

Parys uśmiechnął się i oddał list żonie.

– Serdeczny mój przyjaciel... Przeczytaj!

Helena mimo woli drgnęła, dotknąwszy się listu.

Po wieczerzy Mołyła zęgnął państwo młodych.

– Moje spełnione – rzekł. – Nie mam tu co robić więcej. Żegnajcie, a daj wam Boże... , wam, pani, szczęścia! Parysie, przysiągłeś...

– Już nas opuszczacie, panie Iwanie? – słodko zapytała Helena. – Którędyż bogi prowadzą?

– Między swoich, do slobody... Czas osiąść na roli.

¹¹⁷ Czamarka – męskie okrycie wierzchnie pochodzenia węgierskiego, w kroju zbliżonym do kontusza.

– Gościem u nas będziecie częstym? Codziennym?... Nam tak waszej rady potrzeba, waszego doświadczenia...

– Zawsze go z przyjemnością witać będziemy w domu naszym – chłodno dorzucił hrabia.

Z bólem w sercu odjechał Iwan. Dla niego wszystko stracone!... Goście nie-
długo rozeszli się również. Państwo młodzi pozostali sami.

Nie powiedzieliśmy, że obrządkowi zaślubin syna był przytomny Apollin Rodyg Napoleon Porawa hrabia Porowski, niezmiernie zgorszony demokratycznością wesela i że nigdzie „Porawy” nie widział. Podobno zmartwieniu z tego powodu przypisać należy, że hrabia wymknął się niepostrzeżenie z pokojów, a nazajutrz trupa jego znaleziono w Tykiczu. Utopił się. Nad brzegiem rzeki została *Korona Niesieckiego* i księga hrabi Napoleona, w której na ostatniej kartce ołówkiem był wyrysowany herb Porawa, a pod nim następujący czterowiersz:

Kogut stęka między trawy,
Syn mój nie chce znać Porawy;
Wstyd jest za to kogutowi,
Ale większy Parysowi,

któremu to królowa Polska nigdy nie przebaczy, że się znaku jej najpiękniejszego »Porawy« zrzekł dla chłopstwa pachnącego żytem, a mającego dziegciowane buty...”.

Nazajutrz więc po ślubie miano pogrzeb we dworze. Zła to również wróżba, bo choć hrabia rozumu nie spełnia, ale zawsze ojciec...

– Niedobrze to wróży panience naszej! – mówili włościanie smutnie.

Zadziwił Kubusia list Szymonka – już nie Złodzickiego, ale Złocickiego. Jakiego to rodzaju interesa przeszkodziły mu być na weselu?

Sądzę, że wraz z hrabią i czytelnik również jest ciekawym wyjaśnienia rzeczy. Miło mi tedy usłużyć mu w tym względzie.

—

Dla dokładności wypada nam cofnąć się wstecz o jakie pół roku i rzecz rozpocząć od osobistości, która wyszła może czytelnikom z pamięci, pomimo że w swoim czasie, mniemam, wywarła na nich wrażenie korzystne.

Ojciec Pafnucy, człek, jak wiemy, mocno świątobliwy i społeczności użyteczny, miał niecoś kociego w swoim charakterze. Nie był jak kot drapieżnym

ani lubieżnym – nie! Mruczał – to prawda – ale nie miauczał! A kociego to w nim było, że jak kot przywiązywał się do miejsca.

Do karmelitów, jak wiemy, wszedł ojciec Pafnucy nie z własnej woli, ale się tak już zadomował w klasztorze, że wcale nie chciał opuszczać celi pokutniczej, swego kącika przy ołtarzu i w refektarzu¹¹⁸. Przy tym otworzył w klasztorze fabrykę tabaki na wielką skalę, a widmo rewizora z Moszkiem nie straszło go więcej. Klatek również zbudował niemało: ma szpaki, kosy, szczygły, kanarki. Jakże to wszystko porzucić?... Przeor i zakonnicy byli łaskawi na ojca Pafnucego, chociaż był bernardynem. Nie odmawiano mu chleba i kąta, ojciec Pafnucy tedy wciąż sobie pokutował: koło klatek majstrował, tarł tabakę, uczył śpiewu ptaków, chociaż sam z trudnością *Sursum corda*¹¹⁹ mógł zachrzypieć, i nie myślał wcale o panu Bartłomieju.

Ale cóż z tego, kiedy pan Bartłomiej myślał, i bardzo, o ojcu Pafnucym! W świątobliwość jego wiarę miał wielką i kołatał też usilnie do sumienia ojca Pafnucego, chcąc je poruszyć, by to ze swej strony wzruszyło księdza, ażeby makutry, wałki, klatki i inne ruchomości zabrawszy, przybył strzec duszy pana Bartłomieja od napaści diabelskich. Mimo to wszystko ojcu Pafnucemu bardzo się nie chciało opuszczać celi klasztornej! Ale po ostatniej przeprawie z diabłami pan Bartłomiej nie mógł dłużej wytrzymać i umyślnie posłał Icka do Kamieńca, by mu koniecznie przywiózł ojca Pafnucego.

– Czemu mi jaśni pan tego zrazu nie był powiedział? Pan ksiądz dawno by tu boruchy odprawiał!...¹²⁰

– Jedźże, Icuniu, i przywieź księdza, a ja ci już za to...

– *Aj waj*¹²¹, jasna pani! Na co tego gadania powiedzieć... Cy by to ja ta dla jasnych państwa za durno nie zrobił?...

– A weź nejteczankę...

– Na co? Ja księdza z moim wózek przywiezie. Kłaniam jaśni państwo!

Nie upłynął tydzień – przed dom państwa Bartłomiejostwa wjechała budka z Ickiem na kozie, a ojcem Pafnucym w budce. Klatki z ptakami były w budzie

¹¹⁸ *Refektarz* – w budynkach klasztornych, seminariach duchownych duże pomieszczenie służące jako jadalnia.

¹¹⁹ *Sursum corda* – w *górze serca*; *nie traćcie ducha* (formuła liturgiczna we mszy rzymskiej).

¹²⁰ *Odprawiać boruchy* – zamawiać modlitwami, odprawiać egzorcyzmy.

¹²¹ *Dobrze już, dobrze.*

i na budzie, z kozła wystawał makohon¹²² fabryczny, makutry i słoje zanurzyły się wsianie po uszy.

Ojciec Pafnucy po przybyciu zajął pokój – nie ten koło karmnika¹²³, ale tuż obok sypialni pana Bartłomieja. Nazajutrz zaś poświęcił cały dom, z pana Bartłomieja długo bardzo szatanów wypędzał i wziął się do tarcia tabaki i nauki śpiewu.

Pewnego razu kończył ojciec Pafnucy klatkę nowej zupełnie konstrukcji, a tabakę zażywszy, przypomniał sobie Szymonka i Pańka. Nie odkładając tedy, przy wieczerzy, począł rozpytywać o swego pupila, a słuchając skarg i narzekań pana Bartłomieja przez dystrakcję¹²⁴ zjadł pół kopy¹²⁵ pierogów z mięsem. Po kolacji znalazł się pater z matką Szymonka, która jeła przed nim wyrzekać na ojcowską srogość pana Bartłomieja, że ją jedynej pociechy, Szycia, pozbawił i teraz ani sobie da wspomnieć o pojednaniu się z synem!...

Na ojca Pafnucyego tak podziałało wywnętrzanie się pani Bartłomiejowej, łącznie z pierogami, że całą noc stękał, we śnie okropnym widząc piekła czeluście i siebie wraz z panem Bartłomiejem w piekle za krzywdę Szymonka. Pana Bartłomieja szatani, wsadziwszy na rożen, kręcili jak gdyby kurczę przy ogniu..., a ojcu Pafnucemu sprawiono straszliwe rżnięcie brzucha, które trwało nawet po przebudzeniu się, aż ojciec Pafnucy zmuszonym się widział kieliszkiem pieprzówki zalać ślepie diabłu gospodarzemu w jego wnętrzościach, wskutek czego nie mógł już mszy odprawiać, natomiast dzień cały poświęcił skruszeniu pana Bartłomieja. A tak mu żywymi farbami odmalował męki piekielne, tak dokładnie przedstawił widziany we śnie obraz – smażenie się pana Bartłomieja sposobem kurczęcym na rożnie – że skruszył zapamiętałego starca, który wyrzekł słowo przebaczenia synowi.

Wielka radość napełniła serce pani Bartłomiejowej, a po trosze i ojca Pafnucyego, ale dopiero w czasie ogólnej narady opatrzone się¹²⁶, że nikomu niewiadomym jest miejsce pobytu Szymonka.

– A prawda, że nie wiadomo – rzeki ojciec Pafnucy, zażywając tabakę. – O tym nie pomyślałem – dodał, zasilając nos nową szczyptą. – Bez Szymonka na nic przebaczenie! – zakończył, trzecią miarę w nos tłocząc, i kichnął.

¹²² *Makohon (makogon)* – wałek do ucierania maku.

¹²³ *Karmnik* – chlewek lub odgradzona część chlewu.

¹²⁴ *Dystrakcja* – roztargnienie, brak uwagi.

¹²⁵ *Kopa* – 60 sztuk.

¹²⁶ *Opatrzeć się* – zorientować się.

Małżeństwo życzyło ojcu Pafnucemu sto lat zdrowia, a ojciec Pafnucy dziękował z osobna panu Bartłomiejowi i pani Bartłomiejowej. Nazajutrz dopiero postanowiono wezwać Icka do pomocy.

Po tygodniu poszukiwań wrócił Icek z niczym, radząc drogą gazeciarską odszukać Szymonka. Trzy dni pisał ojciec Pafnucy ogłoszenie gazeciarskie, a skończyło się na tym, że Icek wziął trzy ruble, zobowiązawszy się wynaleźć takiego, który ogłoszenie napisze i wydrukuje... Zapłacił później pan Bartłomiej jeszcze niemało i Europa z wielkim zadowoleniem odczytała wreszcie w swych gazetach wezwanie, by „Szymon Złodzicki wrócił do kraju dla objęcia majątku rodzicielskiego”. Z ogłoszeniem spotkał się Szymcio w pewnej kawiarni, kiedy już bardzo kręto¹²⁷ było koło ekspresesa... Cichaczem tedy *per pedes apostolorum*¹²⁸ wybrał się nasz bohater w drogę do rodziców. Z najbliższego miasteczka wziął pocztę i jak długi padł plackiem do nóg rodzicielskich, z wielką pociechą łyż ich oglądając, świadczyły bowiem o puszczeniu wszystkiego w niepamięć.

Miesiąc cały Szymonek tak wielkie okazywał przywiązanie do rodziców, tak kochającym ich był synem, że pan Bartłomiej, śmierć swą bliską przewidując, po naradzie postanowił cały swój majątek przelać na syna, sobie i żonie zapewniając skromne dożywocie. W czasie to załatwiania sądowych formalności napisał Szymcio list do Kubusia, a wkrótce został samowładnym panem znacznego majątku i akcje jego poszły w górę!

Gdybym nawet osobistą mą sympatię odłożył na stronę, to już sama konsekwencja nakazywałaby powiedzieć czytelnikom słów kilka przynajmniej o tym, co się stało z Pańkiem od chwili ucieczki z „Nory” i wędrówki kanałowej w las za miasto.

Wierny swemu nazwisku Nurek dał nurka i tak zgrabnie nurkował przez Niemcy, że parę razy tylko potrzebował wyprowadzić w pole policję Związku Niemieckiego, który od początku tak się pięknie z w i ą z a ł, że ruszać się nie mógł, i trzeba było aż Bismarka, by g o r o z w i ą z a ł...

Nie tak szczęśliwie udało się Pańkowi w Austrii, bo żandarmi zdołali go pochwyci, ale nie znając ruchliwości ekspowodyra, ustrzec go nie potrafili. W czasie przewozu przez Prut¹²⁹ Pańko dał szpryngla¹³⁰ w rzekę i znikł pod wodą. Ciemna

¹²⁷ *Kręto* – niebezpiecznie; źle.

¹²⁸ *Na wzór apostołów* (pieszo).

¹²⁹ *Prut* – rzeka graniczna między Mołdawią a Rumunią.

¹³⁰ *Dać szpryngla* – skoczyć, dać susa.

noc nie pozwoliła go dostrzec żandarmerii i Nurek umknął. Niestety jednak chciało, że w lesie spotkał się nasz bohater z bandą Cyganów, którzy najniechętniej odarli go do koszuli, grożąc przy tym kijami, gdyby się ośmielił sprzeciwić zbiorowej ich woli. Nie wiadomo, co by uczynił Pańko, był bowiem do żywego dotknięty nieposzanowaniem jego naczelnikowskiej osoby, a głównie zabranieniem mu wszystkiego, co posiadał... Pańko jednak miał swą gwiazdę: stary Cygan z bandy postrzegł go siedzącego w ubraniu, które ze sobą na świat przyniósł, i ze znaku na ramieniu Pańka poznał, iż jest zbiegiem z bandy, którą ten sam Cygan dawniej dowodził. Za jego to wstawieniem się oddano Pańkowi część ubioru i nieco pieniędzy, a wkrótce potem stary Cygan przyznał się ekspowodyrowi, że go osobiście ukraść u rodziców, wcale dostatnich włościan, którzy niedawno temu pomarli, zostawiając synowi, gdy się odszuka, piękne bardzo gospodarstwo na Polesiu i pasiekę z tysiąca pni złożoną. Cygan podejmował się udowodnić tożsamość osoby Pańka przed sądem opiekuńczym w zamian za pewne wynagrodzenie, które mu ekspowodyr najchętniej przyobiecał, z całej duszy tęskniąc do pięknego gospodarstwa na Polesiu i jeszcze piękniejszej pasieki. Jakoż po trzech miesiącach niespełna znajdujemy Pańka dostatnim gospodarzem. A dzięki pszczołom mógł się nasz bohater mierzyć z niejednym dzierzawcą.

Nie powiem, ażeby Pańko nie był zadowolonym z odmiany losu. Nie byłoby jednak prawdą, gdybym chciał utrzymywać, że bohaterowi naszemu nie pozostawało nic do życzenia. Życie na wsi, gospodarstwo, znajomości wiejskie... – miało to swój urok niezaprzeczenie. Życie wygodne, bez trosk i kłopotów, przy tym praca tylko dla rozrywki – Pańko od tego nie był nigdy! Czuł się jednak w nieswoim żywiole... i miał to przeświadczenie, że tak życia całego przepędzić nie będzie w stanie. Tu mu ciasno! Pańko potrzebuje szerszej areny życia. Wieś nie dla niego! Miasto – to żywioł Pańków!

Nie wiedział jednak jeszcze, co ma przedsięwziąć, i postanowił dobrze pomyśleć nad dalszym krokiem, stan obecny uważając zawsze jako przechodowy tylko do życia czynu. Głównie utrzymywała Pańka w miejscu niewiadomość o losie Szymcia i Kubusia. Postanowił dowiedzieć się o tym dokładnie i bądź co bądź złą czy dobrą dolę z nimi dzielić koniecznie. Wierzył w to Pańko, że czarownica zakłęta ich, by żyli razem, i ani przypuszczał, ażeby „Trójka” kiedy rozerwana być mogła! O schadzce w „Smocznej Paszczy” pamiętał również – nie wiedział tylko, czy Kubuś i Szymcio stawiają się na czas umówiony...

V. WE TRZECH

Szymonek został panem; a w pierwszych tygodniach panowania rozwinął tak wielką energię, że co żyło w pohrabiowskim majątku, patrzyło na wszystkie strony, by tylko z energią tą nie spotkać się oko w oko! Nawet pan Bartłomiej, słysząc o gospodarzeniu syna, czuł dlań respekt niemały i przebaczał mu nieco mniej już czułe obejście się synowskie...

Pod żelazną prawicą rządów ojcowskich i pani Bartłomiejowa nabrała życia. W krótkim bardzo czasie domowe gospodarstwo przywołało do pomocy kułakową siłę zbrojna i pani Bartłomiejowa jak za lat dawnych poczęła wojować po swojemu.

Ręka żelazna nowego pana dotknęła najpierw Icka arendarza za pewne arendarskie zdrożności, nielitościwie wypędzonego z majątku i przez pradziada zamieszkiwanej karczmy. Odwołanie się Icka do dziesięciu rubli danych jasnemu panu, gdy był jeszcze prostym paniczem w Kamieńcu, posłużyło arendarzowi do poznania się dotykającego z żelazną ręką dziedzica, aż krew z Ickowego nosa dała wymowne świadectwo, że ręka młodego jaśnie pana była nie z lanego, ale z kutego żelaza!... Wśród płaczu i lamentów Chajki i bachorów, jej wnuków, zabrał Icek, co mu pozwolono z rupieci, i wyniósł się do najbliższego miasteczka, klnąc gojmów¹³¹ na czym świat stoi.

Jak z Ickiem, zrobił tak nowy dziedzic jeszcze z dwoma arendarzami. Poobjeżdżał folwarki, jednemu z ekonomów dał dymisję, innym *Pater noster*¹³² przeczytał, przy gorzelnii założył browar, postawił młyn i dwie nowe karczmy, a gdy mniej więcej jakiś ład udało mu się zrobić we wszystkim, wziął się do chłopów.

Rygor, w jakim byli trzymani włościanie za lat dawnych, znacznie zwolnił wskutek kalectwa pana Bartłomeja. Nie był to jeszcze błogosławiony stan włości, bo dzięki znakomitej organizacji ekonomicznej nigdy chłopu nie zbywało na zdzierających go opiekunach!... Zawsze jednak poddani pana Złodzickiego stosunkowo mieli się nieźle. To się nie podobało panu Szymonowi. Obywatelska ekonomia polityczna uczyła, że wtedy dopiero panom dobrze, gdy od poddanych zabiorą wszystko i z gospodarzy porobią żebraków. Wtedy bowiem chłop traci swą butę i krnąbrność, staje się posłusznym i pracowitym, robiąc dziedzicowi siedm

¹³¹ *Gojm* (*goj*) – u Żydów: innowiercy.

¹³² *Ojciec nasz* (słowa modlitwy).

dni w tygodniu za to, że go owsianką karmić będzie i drogą wojskowej egzekucji wymoże na nim zapłatę podatków, chociażby potrzebne na to pieniądze miał włościanin ukraść – byle nie u swego pana. Przy tym jeszcze chłop w nędzy zostający pozwala się bić, ile dziedzic pragnie, co było wówczas zbyt wielką przyjemnością, by panowie zrzekli się jej dobrowolnie.

Pan Szymon, trzymając się zasad takiej ekonomii, od razu wziął się energicznie do chłopów: jedną ręką siał gęste baty naokoło..., drugą odzierał, kogo i co mógł w swych włościach. Włościanie próbowali przekładaniami¹³³ wpłynąć na młodego dziedzica – odpowiedzią były plagi¹³⁴ sążniste, dane najpoważniejszym włościanom. Prośba pokorna również innej odpowiedzi nie uzyskała. Włość jęła się protestu, skarg do urzędu. Pan Szymon nazwał to buntem i postarał się, że odnośne komisje zgodziły się na jego zdanie. Sprowadzono wojsko: dwóch przewodzców skonało pod razami, innych posłano na Syberię albo oddano do wojska. Chłopi przycichli – dziedzic tryumfował.

Tak więc w krótkim bardzo czasie przekonał Szymonek, że wieszczymi były słowa jego ojca: „Ten im nie popuści!”.

Pan Szymon od serca nienawidził włościan, chociaż mu nic złego nie zrobili nigdy. Największą przyjemnością dlań było patrzeć na ich łyzy, słuchać skarg i narzekań. Sam widok chłopą sprawiał mu świerz b prawej ręki i nie zasnął, nie zjadł, aż sownie ucztowawszy którego z ch a mów. A nierzadko trzy czwarte dnia upływało mu na obecności przy wymierzaniu kary. Słowem, był to dziedzic co się zowie!

W sąsiedztwie gruchnęła wieść o energicznym gospodarzeniu młodego Złodzickiego i zjednała mu sympatię w z o r o w y c h obywateli. Nawet sam pan marszałek bardzo pochlebnie mówił o panu Szymonie. Mamunie dorosłych córeczek, wiedząc że Złodzicki jest dziedzicem bardzo znacznej fortuny, pchnęły swych panów mężów, by się poznali z panem Szymonem, a może Bóg poszczęści... I tu każda spojrzała na dorodne swe stadko, całą szerokością piersi wzdychające do małżeńskiego kobierca.

Jak z worka posypały się odwiedziny sąsiedztwa. Pan Szymon grzecznie, ale dość chłodno przyjmował współobywateli, nawałem prac gospodarskich tłumacząc

¹³³ *Przekładanie* – wyjaśnianie, tłumaczenie.

¹³⁴ *Plagi* – ciągi, baty.

swoje zadomowanie¹³⁵. A ponieważ pan Złodzicki wąsów nie nosił, tylko rude bokobrody, zgodzono się tedy jednomyślnie, że jego obojętność jest tylko manierą angielską, i z wszelkim szacunkiem mówiono o nim w sąsiedztwie.

Pan Szymon sprowadził kocz z Wiednia, cztery konie kupił ze stadniny Wittgensteina, lokajów i woźnicę ugalonował¹³⁶, oblepiwszy herbami na wszystkie strony, i pojechał z wizytą najpierw do marszałka, a że wypadkiem trafił na imieniny, więc zatrzymał go szlachecki dygnitarz powiatowy na wieczór. Na wieczorze wielu panów i pań znalazło, że pan Szymon jest *un homme comme il faut!*¹³⁷, a chociaż nie ma akcentu paryskiego i tańczy sztywnie, to mu nie przeszkadza być wcale interesującym... Niezmiernie jednak szeroko otworzono obywatelskie gęby, gdy pan Szymon zaczął z hrabiną B. rozmowę po włosku, bo hrabina zwykle przemieszkowała w Rzymie i raz przynajmniej w roku dostępowała zaszczytu całowania pantofla Ojca Świętego. Pan baron zaczepił pana Szymona po niemiecku – pan Szymon wcale pięknie mu na to odpowiedział.

– Meternich!¹³⁸ – powiadam ci.

– Głowa!

– Po francusku jak Francuz, po włosku rżnie aż miło i po niemiecku szwargocze!

– Znakomita erudycja!

– Bardzo, bardzo do rzeczy człowiek. No proszę, kto by się, spodziewał: syn ekonomiczny!...

Czasy się zmieniają. Należy być za postępem. Uważałeś, maszerciu¹³⁹, jaki śliczny powóz i konie?... Służba w liberii...

– Z herbami?

– A naturalnie...

– Potrzeba, byś go do nas zaprosił... Patrz, jak on na Emcię spoziera.

– Nie tracę czasu, by mię sędzia nie uprzedził!

¹³⁵ *Zadomowanie* – zasiedzenie w domu; zajęcie domowymi obowiązkami.

¹³⁶ *Ugalonować* – ozdobić, przystroić.

¹³⁷ *Jest człowiekiem takim, jakim powinien być, jak trzeba.*

¹³⁸ *Meternich* – Klemens Lothar Wenzel Fürst von Metternich-Winneburg-Ochsenhauzen (1773–1859), austriacki polityk, książę i dyplomata. Zwolennik tradycjonalistycznego konserwatyzmu.

¹³⁹ *Maszerciu* – spolszczone francuskie *mon chérie* (mój drogi).

- Już to nasza Emcia nie ma potrzeby obawiać się sędzianek¹⁴⁰.
- A zawsze... Spieszę!

Pan Szymon stał się modnym. A wszyscy głowy potracili, gdy w parę miesięcy po wieczorze marszałka wystąpił pan Złocicki z obiadem. Dwa tygodnie mówiono o tym w sąsiedztwie. Naturalnie, że ani państwo Bartłomiejostwo, ani ojciec Pafnucy na tym obiedzie nie byli. Nie dość tego – musieli jeszcze ustąpić zajmowanych pokojów... Pan Bartłomiej z żoną zajął tylne apartamenta, które dotychczas były spiżarnią, a ojciec Pafnucy zmuszonym się widział na powrót wrócić do swego pokoju obok karmnika, tylko że obecnie nie mógł sobie dać rady z zapachami pokojowymi, gdyż opuszczony przez księdza apartament z woli pani Bartłomiejowej zajmowały dotychczas gęsi i indyki.

Pan Szymon nie tylko że odebrał schedę Maksyma, której zrzeczenie się wymógł na panu Bartłomiejcu diabeł z błota, ale jak się zawinał, to sporo przybyło mu, jak to powiadają, „i łączki, i mączki”, a gdy się zwąchał z pewnym adwokatem, sypnęli procesami jak z procy. Ponieważ zaś pan Szymon miał gotówkę i długów na majątku żadnych, nic więc dziwnego, że procesa wygrywał, opłacając adwokata, na którego głowie leżało zrobić białe z czarnego lub przeciwnie!

Po balu państwo Bartłomiejostwo chcieli zająć dawne swe apartamenta, a nawet ojciec Pafnucy nie był od zamieszkania w pokoju tuż koło sypialni pana Bartłomieja, lecz pan Szymon odpowiedział lokajowi krótko: „Nie puszcząć!” i pojechał na objazd folwarków.

Państwo Bartłomiejostwo bardzo się tym zgorzyszyli. Ojciec Pafnucy zaś począł odmawiać koronkę na intencję opamiętania. Sądzili, że to tylko nieporozumienie, ale pan Szymon osobiście oświadczył, że pomieszkanie potrzebnym jest dla niego; rodzicom z wiosną wybuduje domek za stajnią, tuż obok ogrodu warzywnego.

– I bernach¹⁴¹ znajdzie tam klatkę dla siebie! – dorzucił chmurny pan Szymon i zatrzaskał drzwi.

Ojciec Pafnucy osłupiał. Po raz to pierwszy od wdziania sukni zakonnej nazwano go bernachem... a już sama powaga stanu kapłańskiego nie pozwalała mu włączyć do klatki, szpakiem bowiem ani kosem nie jest, a tym mniej kanarkiem! Ale że państwo Bartłomiejostwo również głowy potracili, ojciec Pafnucy tedy

¹⁴⁰ *Sędzianka* – córka sędziego.

¹⁴¹ *Bernach* (*bernacha*) – zakonnik (bernardyn).

nie widział nic stosowniejszego, jak wejść do swego pokoju i utrzyć parę funtów przedniej tabaki, a słoik zawiązując pęcherzem, jeszcze mruczał:

– Pchi! Bernach..., właśnie do klatki! Skąd mu to do głowy przyszło?

Dawniej jeszcze pan Szymon nie siadał do wspólnego stołu – zawsze mu coś w gospodarstwie przeszkodziło. Rodzicom było to przykro, ale wymawiali go zajęciem. Teraz niejednokrotnie był w swych pokojach, na obiad jednak rodziców nie prosił i sam do nich nie przychodził. Ale pani Bartłomiejowa była dotąd wyłączną szafarką i gospodynią domu. Wypadło i z tym się pożegnać. Pewnego razu lokaj przyszedł po klucze do pani Bartłomiejowej dla pana. Drżąc w niepewności, oddała mu je – na zawsze. Próżno później zalewała się gorzkimi łzami po stracie przez tyle lat piastowanej godności – pan Szymon był głuchym! A klucznica jego niby na złość wciąż brząkała kluczami nad uchem pani Bartłomiejowej.

– Szymonku! Szymonku! – wołała pani Bartłomiejowa, płacząc. – Za co ty krzywdzisz matkę? Przecież choć klucznicą mogę być u ciebie.

Szymonka niecierpliwie płacze matczyne.

– Starzy modlić się powinni, nie myśleć o kluczach – zawyrokował.

Nic bardziej ohydneho nad podłą służbę u nikczemnego pana! Hałastra ta prześciga się w podłości, byle mu schlebiać. Państwo Bartłomiejostwo doświadczali tysiącznych nieprzyjemności od służby – pewnej, że to ich pana nie tylko nie rozgniewa, ale nawet będzie mu przyjemnym. Z początku dawano im to samo, co jadł pan – naturalnie z tysiącznymi szykanami, np. srebrne naczynie zmieniając na gliniane, łyżki drzewiane zamiast srebrnych, woda farbowana za wino itp. Później już dostawali to tylko, co się dać podobało kamerdynerowi i klucznicy, a na wszystkim poczęło im zbywać, gdy pan Szymon odjechał do Kamieńca za interesami, jak utrzymywał. Rzeczywiście, wziął ze sobą dużo pieniędzy, zabrał papiery i w towarzystwie adwokata odjechał na dwa tygodnie, zostawiając dom, rodziców i ojca Pafnucego pod opieką dworskiej swej służby.

Przenieśmy się teraz do Żytnik przypatrzeć się poźyciu młodej pary.

—

Pierwsze miesiące po ślubie zwą miodowymi, dla ich słodczy zapewne... Znośnymi one były i dla Heleny, chociaż nazajutrz po ślubie ły jej twarz załały z przyczyny Parysa.

Helena miała faworyta kanarka. Mała ta ptaszyna musiała kochać swą panię – z jej rąk tylko przyjmowała jedzenie, okazując swe przywiązanie, na ile

to ją starczyło. Gdy Helena weszła do pokoju, ptaszyna z radością przywitała wchodzącą, usiadła na jej dłoni, trzepocząc skrzydełkami. Helena pieśczośliwie zbliżyła usta swe do kanarka. W tej chwili Parys wszedł do pokoju i z cicha podszedłszy do zamysłonej, chciał ją pocałować... Ptaszę, jakby zazdroszcząc pieśczośliwości, dziubnęło natręta. Porywczy Parys pochwycił ptaszynę i zanim Helena miała czas krzyknąć, już kanarek leżał nieżywy na podłodze. Zapewne, że kroku swego żałował Parys po chwili. Helena jednak nie mogła wstrzymać się od łez. Ta czułość żony rozgniewała małżonka. Nie licząc się z słowami, wycedził przez zęby jeden z tych frazesów, które nie ujmują nikogo, i wyszedł. Helena podwójnie czuła się zmartwioną i łzami zalaną zastał ją Parys, wróciwszy do pokoju. Przeprosiny wprawdzie nastąpiły niezwłocznie, zawsze jednak pierwszy dzień po ślubie zostawił smutne wspomnienie po sobie.

Dnie następujące nie obeszły się bez lekkich chmurek, które z jednej strony zahartowały cierpliwość Heleny, z drugiej służyły dla Parysa za szczebel do coraz nowych a bardziej dotkliwych uchybień swej żonie. Przymus hrabiego wolniał z dniem każdym. Stanowczo nie wystąpił jeszcze, ale przeciw wielu rzeczom założył już wyraźny swój protest. Najpierw oświadczył żonie, że zbyt nie poufałości włościom nie ścierpi.

– Można być dla nich łaskawym, można ich kochać, gdy tak chcesz koniecznie... ale niechaj nie zapominają, że jesteś moją żoną!

W Helenie obudziła się gwałtownie godność własna. Powstrzymała się jednak, łagodnie przekładając mężowi, że stosunek włościom do niej w niczym nie ubliża żonie hrabiego. Na to Parys odpowiedział gniewnie, że dobrze to widzi, iż Helena położyła sobie za zadanie sprzeciwić się woli męża, i wyszedł z pokoju. Helenę łzy zalały. Płaczącą zastał ją Iwan. Błady stanął u progu, a sercem mიაոաł ból ogromny.

– Heleno! – rzekł z cicha.

Płacząca ocknęła się. Spostrzegła Iwana i bolesny, bo kłamany uśmiał się zmieszany z jej łzami.

– Jestem dziecko, panie Iwanie – rzekła. – Lada trawka zgnieciona łzy mi z oczu wyciska. Ale jam szczęśliwa, bardzo szczęśliwa... Parys mię kocha... – Tu łzy jej mówić nie pozwoliły.

– Iwanie!... Nie patrzcie teraz na mnie..., jam szczęśliwa... – i zachwiała się nieprzytomnie. Poskoczył ku niej Iwan i

– Heleno! Pani!...

Wpółomdlała, oparła się na jego rękę.

– On mię kocha – mówiła.

W tej chwili hrabia wszedł do pokoju. Stał u progu i parsknął szyderczym śmiechem.

– Bravo! – zawołał. – Piękny obrazek z miodowych miesięcy! Ach, prawda, miodowe już przemieły.

– Panie hrabio! – zawołał groźnie Iwan.

– Sługa pana Mohyły! – odpowiedział ironicznie.

– Tu nie czas sprzeczek... Czy pan nie widzisz? Hrabina zemdłała.

– Doprawdy? A sądziłem, że panna Bużewska nie czytała romansów! Helena widocznie walczyła ze sobą, by przyjść do przytomności.

– Parysie! – zawołała z jękiem.

Mohyła posadził ją na kanapie i przywołał służbę.

Hrabia groźnym wykrzyknikiem „Precz!” odpędził chcących dać ratunek pani. Na ten widok Iwan zatoczył się pod ścianę.

– Hrabio! – zawołał głosem stłumionym, a pięści mimo woli zacisnął.

Hrabia stał przed kanapą i patrząc na żonę i Mohyłę rzekł obojętnie:

– Pan Iwan traci zimną krew na próżno. Jako niezonaty nie pojmujesz pan natury tych mdłości...

– Ale je jako człowiek pojmuję! – wybuchnął Iwan.

– Wiadomości tej nie radzę do cudzych żon stosować!...

W tej chwili Helena przysła do siebie. Spojrzała na męża.

– Okropną masz twarz, Parysie! Nie patrz tak na mnie...

Hrabia spokojnie zapalił cygaro.

– Nie podobają ci się moje faworyty?¹⁴² – rzekł. – Jutro je ściągę każę.

– Panie Iwanie – mówiła Helena głosem cichym – Parys żartuje... On mnie kocha... Czuję się słabą... Podaj mi rękę, mężu...

– Służę pani hrabinie. Mówiłem, że na twe nerwy szkodliwie oddziaływa przytomność chłopstwa – dodał z naciskiem, rzuciwszy spojrzenie na Mohyłę.

– Zlituj się! – jęknęła Helena, pochylona na ramieniu męża.

– Boże, Boże! – wykrzyknął Iwan, patrząc za odchodzącymi. – Więc to jest szczęście?! – i załamała ręce.

– Parysie! – rzucił się ku wchodzącemu i zatrzymał w miejscu.

¹⁴² *Faworyty* – bokobrody.

– Jakże tam bracia Kozacy? – zapytał hrabia lekko, rzucając się na fotel. – Czy myślicie o Siczy, hetmanach?...

– Hrabio! – zawołał Iwan, a głos jego drżał. – Jesteś jej mężem... Niech ci Bóg przebaczy! – i wybiegł z pokoju.

Hrabia patrzył za Mohyłą. Widział, jak dosiadł konia i znikł za bramą.

– Nienawidzę tego człowieka! – zawołał, odchodząc od okna.

Helena parę tygodni nie wstawała z łóżka. Przez ten czas hrabia porobił wizyty sąsiadom swym z arystokracji i dom urządził na stopę odpowiednią.

Helena była obojętną na wszystkie zmiany, zostawiwszy mężowi zupełną swobodę działania, wręcz jednak odmówiła uczestniczenia w wizytach mężowskich i na własnym salonie nie ukazywała się nigdy. To posłużyło Parysowi do nowych wyrzutów, które czynił żonie z całą niedyskrecją człowieka niechącego pojąć, jak wielką to jest krzywdą dla kobiety z sercem i wykształconej.

Dom hrabiostwa rozpadł się na dwie połowy: hrabina żyła jak dawniej, hrabia zerwał z przeszłością, swą niepowściągliwość malując życiem. Żony nie kochał i dlatego może nie podobało mu się to wszystko, co stanowiło jej przyjemność. To wywołało w nim chęć stworzenia sobie świata, w którym mógłby oddychać swobodnie. Wszystko jednak na próżno! Hrabiego gniewała demokratyczność żony, zaś arystokracja stosunków, które sobie stworzył, nudziły go. Prędko bardzo odbiło się to we wszystkich postępkach hrabiego i goście odstrychnęli się od d z i w a k a, jak nazywano Parysa, nie wiedząc o tym, że hrabia był obrazem przepalonego żużla, moralną nicością, dla której tylko nicość była właściwą.

Otrzeźwiwszy się z szału arystokratyzmu, którym chciał wewnętrzną próżnię swą nasycić, hrabia zbliżył się do żony. Nietrudno mu było uzyskać jej przebaczenie. Na parę tygodni odżywiły go: miłość żony, ponowne zejście się z włościanami, którzy z daleka wprawdzie trzymając się od pana, serca swego jednak odeń nie odchyliłi przez wzgląd na anioła gromady Helenę. Ale cóż! To, co wpiery rozrywkę sprawiło hrabiemu, gniewało go następnie. Dlaczego włościanie nie kochają go tak jak żonę, choć dużo pieniędzy między nich rozdał, chociaż bezpośrednio schodził się z nimi? A o wściekłość przyprowadził Parysa Iwan, którego za wolą żony przeprosił, i czas jakiś zdawało mu się nawet, że chce go przyjaźnią obdarzyć. Dlaczego ten Kozak ma taką wszędzie powagę?... Dlaczego rozumu ma tyle, szacunku u ludzi, miłości, przyjaźni?... Wszak i Helena bardziej go aniżeli męża poważa, bo Parys to widzi, czuje...

– Nie, dwom nam za ciasno na tej ziemi! – wołał hrabia. – Ktoś z nas dwóch musi ustąpić!

Pewnego poranku oświadczył hrabia swej żonie, iż nie życzy sobie widywać w swym domu Iwana.

– Nie zniosę, by dłużej wytykano mię palcami!

– Parysie, ubliżasz twej żonie! – odpowiedziała mu Helena z godnością. – Nie myślisz, co mówisz.

Hrabia poznał swój błąd.

– Przyznaję i przepraszam cię nawet, ale dlaczego nie chcesz mi ustąpić? Dlaczego trwasz w uporze?... Ja chcę, byś dla mnie poświęciła Iwana! Inaczej nie uwierzę, że mię kochasz.

– Zabijasz mię..., Parysie. Mnie spokój potrzebny.

– Otóż to! – wołał hrabia. – Byłem głupi, pozwoliwszy się usidlić!

– Hrabio, zostaw mię samą, bo mogę zapomnieć, żeś moim mężem!...

– Więc Iwan będzie bywał?

– Będzie! – odpowiedziała Helena stanowczo.

– Dobrze więc! Jak długo on bywa, pani hrabina nie obaczy mię na swych pokojach!

Pogniewawszy się z żoną, hrabia gorączkowo rzucił się do myślistwa, po dwóch dniach jednak znudziła go strzelba; taki sam los spotkał się i wędkę. Wypadkiem wpadła mu do rąk książka traktująca o filozofii.

– Tu ratunek! – zawołał i trzy dni siedział w swym gabinecie, obłożony stosem ksiąg nieboszczyka Bużewskiego, gorączkowie chwycił tom za tomem i przewracał karty.

– To znam..., to nudne..., tamto głupstwo..., to niedokładne!

Wreszcie skończył zawyrokowaniem, że mądrość ludzka funta kłaków nie warta! Znów mu się grób uśmiechnął i hrabia częściej broń oglądał.

– Głupiec Pańko, że mi wtedy przeszkodził!... Rzecz ciekawa: co to jest nieistnienie?... Jeżeli zaś o tym nie dowiemy się po śmierci? Głupia rzecz kula! – i cisnął pistolet na ziemię.

W tej chwili wszedł do gabinetu służący.

– Pani prosi pana hrabiego!

– Pani? – przypomniał sobie, że tydzień cały nie widział Heleny.

– Pani zdrowa? – zapytał lokaja.

– Zdrowa.

– A nie gniewa się?

– Pani, proszę pana hrabiego, nie gniewa się nigdy.

Hrabia spojrział nań ostro.

– To tylko ja jestem tyranem?!... Wy mnie tu wszyscy nienawidzicie. Idź precz!

Sługa, zmieszany niespodziewaną burą, wyszedł, pokornie kłaniając się. Za chwilę hrabia był w pokoju żony. Przyjęła go z uśmiechem anielskiej dobroci, a podając rękę, rzekła słodko:

– Przeproś mię, Parysie.

Hrabia w milczeniu pocałował jej rękę.

– Nachyl się... Teraz mię pocałuj.

Hrabia był posłuszny. Helenie stanęły łzy w oczach, a tuląc męża do serca, rzekła:

– Nie kochasz mię, Parysie, a ja dla ciebie zbawienie duszy poświęcę...

Hrabia bezwiednie ukląkł przy żonie, której twarz oblana słońcem czyniła ją podobną do świętej z nieba.

– Mój drogi – mówiła Helena żałośnie. – Tydzień cały nie byłeś u mnie... Czy ci lepiej bez żony?...

– Nie, Heleno – rzeki hrabia wzruszony. – Tęskniłem...

– O, mój najdroższy! Płaczesz? Te łzy robią cię świętym. Tyś dobry, Parysie! Byłbyś aniołem, wychowanie skrzywiło cię nieco...

– Heleno! Droga Heleno! Czuję, że jestem niesprawiedliwy, żeś ty lepszego losu warta..., ale jam temu nie winien. Jestem zepsuty. Widzę me błędy – naprawić ich siły nie mam.

– A Kijów, Parysie, pamiętasz?... O, ja będę szczęśliwą! Wkrótce będę matką...

Całe niebo uroku jest w kobiecie w czasie takiego zwierzenia się. Chwila to rozkoszna! Podziałała ona i na hrabiego, którego ze łzami całował nogi swej żony, aż oczyszczony skruczą złożył na ustach Heleny serdeczny pocałunek.

Pod koniec tej sceny czarownicy wszedł Iwan. Serce mu biło gwałtownie, a łza świeciła w oku: „Ona może być szczęśliwą... Ona jest szczęśliwą!...”

– Parysie! – zawołał wreszcie, nie mogąc wytrzymać, i porwał go w swoje objęcia. – Bracie!

– Iwanie! Heleno! Przebaczcie mi! – wołał hrabia głosem rozrzuwionym. – Nie odtrącajcie mię od waszego serca!...

Słodką była rozmowa pogodzonych, która się późno w noc przeciągnęła. Iwan pożegnał szczęśliwych małżonków i szlachetne serce jego biło w piersi jej szczęściem.

Oddawszy dobranoc Helenie, której stan zdrowia wymagał wczasu¹⁴³, Parys nie kładł się już wcale, miotany tysiącnymi myślami, cały rozgorączkowany. Hrabia był w szczególnym usposobieniu: czuł jakieś przyjemne ciepło rozlewające się w piersi. Każdy nerw drgał mu życiem, z przestworza wiało mu swobodą, błękit zdawał się być jaśniejszym, gwiazdki bardziej urocze!

Zdawało mu się, że po raz pierwszy coś podobnego doświadcza. Zapragnął przekonać się o tym: dzień za dniem, tygodnie, miesiące – przechodził tak myślą cały przeciąg czasu od chwili obecnej wstecz aż do rozłąki towarzyszy na Trójkącie. „Trójkąt!” – słowo to obudziło w hrabiu wspomnienie. „Trójkąt. Cóż na Trójkącie?” – rozmyślał.

– Głupia pamięć! Wiem, że coś zaszło, ale co – nie pamiętam... Muszę sobie przypomnieć!

Im bardziej jednak myślał hrabia, tym dalej myślą odbiegał do rzeczy, którą wspomnieniem pragnął wywołać. Tysiące faktów, słów, myśli, krzyżowały się ze sobą – nie było tego, za czym szukał hrabia. To go przyprawiło o pasję!

– Przecież muszę sobie przypomnieć! – zawołał, siłąc się wrócić do zimnej krwi.

Z kolei wpadł na myśl obliczenia czasu, który go dzielił od rozstania się na Trójkącie.

– Trzy lata w Kijowie, dwa za granicą, rok blisko tutaj – sześć. Sześć? Do tej liczby coś przywiązane... Sześć lat?... Ach, „Smocza Paszcza”... nasze zejście się! Przecież przypominałem!

Czy hrabiego ucieszył tak tryumf nad własną pamięcią, czy pewność, że obaczy towarzyszy – nie wiadomo. Dość, że był niepomiernie uradowany. W jednej chwili zapomniał o wszystkim, a wyliczywszy, że go tylko dwa dni oddziela od terminu stawienia się u Herszka, postanowił wnet wyruszyć, by nań nie czekali. Obudził służbę i sam był przy zaprzęgnięciu koni, gorączkowie nagłąc do pośpiechu. Rzeczy kazał lokajowi wziąć co najmniej¹⁴⁴, sam wpadł do gabinetu, porwał palto, kapelusz i wybiegł na ganek. Wsiadając do powozu, przypomniał sobie żonę.

– Odkładać niepodobna... Z Heleną obaczę się wkrótce. Stój!

¹⁴³ *Wymagać wczasu* – wymagać odpoczynku, wytchnienia.

¹⁴⁴ *Co najmniej* – jak najmniej.

Woznica stanął. Hrabia w pugilaresie napisał ołówkiem te słów kilka: „Okoliczności nieprzewidziane spowodowały nagły mój wyjazd. Najdalej za tydzień uściskam cię. Parys”. Oddał kartkę i dając ją lokajowi:

– Oddaj pani – rzekł. – A ty ruszaj!

Konie ruszyły, lokaj żegnał się zdziwiony.

– Mówcie, co chcecie – mruknął – ale hrabia niesamowity. W nocy poleciał, niby go diabły gonią. Tfu!

Helenę bardzo zmartwił odjazd męża w chwili, gdy obecność jego była w domu niezbędna, a zestawiając tę okoliczność z faktem wyjazdu, musiała przyjść do tego przekonania, że tylko rzecz wielkiej bardzo wagi mogła spowodować wyjazd hrabiego. Niewiadomość przyczyny, łącznie z niepewnością, martwiły Helenę. Nie wiedziała nawet, w którą stronę mąż jej odjechał.

Na wieść o wyjeździe hrabiego Iwan znowu posmutniał, a chociaż uspakajał Helenę, sam ani spokojnym, ani wierzącym w poprawę Parysa nie był.

– Panie Iwanie, dlaczego tak smutnie patrzycie na mnie? – pytała go ze łzami Helena.

– Pani, przebaczone mi. Od niejakiego czasu na cały świat smutnie patrzę...

– Nie znacie szczęścia?

– Waszym, pani, żyję...

– Moim? O, prawda, ja jestem szczęśliwą...

Taką była rozmowa Iwana z Heleną.

—

Jednocześnie prawie do zajazdu Brodzkiego w Kamieńcu zajęchały dwa wozy, a w sali jadalnej hotelu warszawskiego spotkał się hrabia Parys z panem Szymonem Złocickim.

Powitanie przyjaciół na pozór było chłodne, gdyż znaczna ilość gości nie usposabiała do szerszego wywnętrzenia się, natomiast w pokoju, u siebie, Szymcio i Kubuś serdeczniejszą wiedli rozmowę. Nie była to jednak szczerłość lat dawnych. Dla hrabiego Szymcio, jego opowieść i przeszłość cała, której świadkiem Kamieniec, były tylko środkiem lekarskim do opędzenia nudów, urozmaicenia życia... Pan Szymon, rozmawiając z towarzyszem, jednocześnie myślał o licznych swych sprawach po sądach, dla których przybył do Kamieńca. Zadając pytania, opowiadając, obserwował swą postać w lustrze zawieszonym na przeciwnej ścianie i nieustannie poprawiał kołnierzyki lub też układał złote swe faworyty.

Po kawie pan Szymon zaproponował przechadzkę. Parys zgodził się na nią chętnie. Kamieniec ponownie obaczył dwóch przyjaciół przechadzających się po ulicach, które były świadkiem tylorakich figlów niezapomnianej w Kamieńcu „Trójki”. Hrabia i pan Szymon odżyli wspomnieniem w mieście, gdzie każda piędź granitu żywo malowała im swobodną przeszłość.

Dobrze już wieczorem wrócili dwaj towarzysze z zamku, przechadzając się następnie po wałach. Szymcio wskazał miejsce, na którym zabrali znajomość z Włoszkami.

– Kochałeś Rosetę, Szymonie? – zapytał hrabia towarzysza.

– Nie! – odpowiedział zapytany.

– Ja kochałem Pepitę – rzekł hrabia z westchnieniem.

– Miłostki dziecinne! – zrobił uwagę pan Szymon.

– O, cóż bym nie dał, by cofnąć się w te lata!

– Co do mnie – zauważył pan Złocicki – nie mam do tego najmniejszej ochoty!

– Tamto życie było poezją, gdy dzisiejsze...

– Dobra proza lepsza od lichej poezji – zdecydował pan Szymon – a zdaje mi się, że twoja proza nie jest pośledniego gatunku. Masz majątek, przyjaciół, żonę – masz wszystko!

– Tylko życia nie ma... – cierpko wycedził hrabia. – Ale nie mówmy o tym! Doprawdy, pięknym jest Kamieniec. Nic podobnego nie widziałem za granicą.

W tej chwili towarzysze znaleźli się na rynku.

– Zawstydzę cię, kolego – rzekł hrabia, wstrzymawszy kroku.

– Czym? – zapytał Szymon.

– Krótką masz pamięć...

– Bardzo wątpię.

– Zapomniałeś o sześciu latach. „Smocza Paszcza” przed nami!

– Ach, więc pamiętałeś?...

– Sądziłem, że ty, hrabio, pamiętać nie zechcesz.

– O, nie! Umyślnie po to przyjechałem.

– A więc podaj mi rękę.

– Szymonie, mów, co chcesz, a przeszłość ma swój urok... Pójdźmy do Herszka.

– Służę ci.

Trzykrotne stuknięcie wywołało ducha Herszka w atlasowym chałacie. Na widok jasnych panów potomek Izraela zgiął się we czworo i znikł pod ziemią,

wprowadzając nowo przybyłych do *sacra*. Przy stole, plecami do wchodzących, siedziała pochylona jakaś postać. Hrabia dał znak i Herszko z ukłonami wycofał się z przybytku.

– Pańko! – zawołali jednocześnie nowo przybyli.

– Panicze! – wykrzyknął ekspowodyr. – Moi kochani panicze! – i ręce ich całował z rozczuleniem. – Myślałem, że jak pies skonam tu u Herszka z tęsknoty za wami! Niechże wam Bóg da zdrowie, żeście przyszli. Hrabio! Prezesie!

– Tss!

– Paniczu Szymciu! Jestem grób na całe życie, ale tu pozwólcie mi was nazywać po dawnemu!

– A więc Szymciem i Kubusiem!...

– Niech i tak będzie! – zawołał Pańko. – Panicze! Panicze! Ja oszaleję z radości, bom ledwie nie skisł w tym przeklętym Polesiu! Nie ma nic nudniejszego nad pocziwych głupców leśnych. Wina! Wypijcie wino, bo nie uwierzę, że mnie kochacie, jak ja was od serca.

– Zgoda! Dawaj! – zawołał hrabia. – Do stu katów! Pańko z grobu potrafi mię wywołać.

– Zdrowie wasze!

– Niech żyje „Trójka!” – zawołał Pańko. – Na honor, we trzech zdolni jesteśmy świat przewrócić!

– Coś o Polesiu mówiłeś, Pańku! – zwrócił jego uwagę hrabia.

– Co tam o mnie! Ja jestem niczym. Panicze, mówcie mi o sobie. Prezesie! Hrabio! Mówcież, bo od przeklętej wędrówki kanałami nie wiedziałem, czy żyjecie nawet.

– Stary opamiętał się – rozpoczął pan Szymon.

– Umarł? – przerwał mu Pańko. – Powinien był to dawniej zrobić!... A matka?

– Żyją oboje...

– O, do diabła!

– Nic złego. Majątek mi oddali.

– Oddali? Pocziwi ludzie! Teraz mi żal jednej rzeczy... ale cóż! Jeszcze mię bolały te nahaje, którymi obito mię z woli starego... No, ale o to mniejsza! Pan Szymon więc jest panem? W to mi graj! Teraz dopiero ruszymy się światem!

– Nic z tego, mój Pańku.

– Jak to?

- Gospodaruję, ruszać się nie myślę.
- E, nie wierzę! Prezes żartuje. Co, podarujemy Niemcom szkatułkę?! A Ameryka?...
- Szkatułkę wzięli dawno, a z Ameryki kwita!
- Wzięli? O, złodzieje!... Na sumienie – nie dopuszczę, by Niemcom dostała się nasza praca!
- Nic to już nie pomoże. Powiadam ci: pieniądze zabrane.
- A to je odbierzemy! Prosta rzecz. Policzymy sobie piękne procenta i to, że kapitał martwo leżał!... A z hrabią co się stało?
- Ożeniłem się.
- O, fe! Jak można było pęta sobie nakładać! Ale bogato?
- Niebiedno.
- Ze starą babą?
- Nie, z młodą dziewczyną.
- Z chorowitą przynajmniej?...
- Zdrową.
- A hrabiemu co się stało! – zawołał Pańko, załamawszy ręce. – To już lepiej było w łeb sobie strzelić.
- Sam przeszkodziłeś...
- Ale któż się mógł spodziewać. Owwa! Żona to ciężka kula u nóg: człek się ruszać nie może! Przynajmniej panicz Szymcio?...
- Również mam zamiar ożenić się.
- Pańko poskoczył z siedzenia.
- E, nie! Panicz Szymcio żartuje – dodał, uspokajając samego siebie.
- Wcale nie żartuję. Zerwałem z przeszłością. Pragnę być uczciwym obywatelem, dobrym mężem i ojcem.
- Świat się kończy! – zawołał Pańko. – A cóż ja teraz pocznę?
- Wstępuj w ślady nasze.
- Damy ci pieniędzy na gospodarstwo...
- Dziękuję panom. Ja moich mam więcej aniżeli mi potrzeba. Czego innego mi brakło... A jeżeli to prawda, co mówicie, to kupię postronek i obwieszę się.
- Zrobisz głupstwo! – zauważył Szymon.
- A panicze mądrość robicie? Niech mi nie wiem, co się stanie, ale śmierci prędzej spodziewałem się aniżeli coś podobnego usłyszeć!...
- Otóż widzisz!... Ale mówże nam o sobie.

– Et, co mam mówić, gdy mię ledwie diabli nie biorą!... Cóż mi po tym! Myślałem, że was tu zastanę głodnych, bosych. Sprzedałem grunt, pasiekę na Polesiu, myślę – ot, poratuję pocziwych paniczów i pójdziemy światem, a tu diabeł wziął wszystko. Bierze diabeł i pieniądze! – i cisnął workiem w kąt piwnicy.

– No, no! Nie zapalaj się – jakoś to będzie. A tymczasem podnieś pieniądze – szkoda, ażeby z nich Herszko korzystał. Chodź teraz z nami, w hotelu pogadamy jeszcze.

Wychodzących zatrzymał Pańko.

– Panicze, wstydl!... Pańko niby baba płacze... ale powiedzcie, że to wszystko były żarty, powiedzcie, że znów będziemy razem, a z radości przewrócę wam do góry nogami wieżę dominikańską! Nie? Ha, bierze diabeł wszystko!

Ani się spostrzegł Herszko, jak ciężka prawica ekspowodyra spoczęła na jego twarzy... Nie miał czasu krzyknąć, bo mu dwa złote dukaty do rąk padły. Herszko kłaniał się pokornie, a w duchu klął Pańka:

– *Tatnere i statnere!*¹⁴⁵

Jak w „Smoczej Paszczy”, tak i w hotelu Szycio i Kubuś byli głuchymi na przedstawienia Pańka, którego o rozpacz przyprawiało postanowienie paniczów zostania pocziwymi. Przekładał, prosił, błagał, robił wyrzuty, że dają dowody niestałości... zapewniał, że z doświadczenia poleskiego wie, iż życie pocziwe jest najgłupszym w świecie, a wszyscy pocziwcy wierutne osły! – nic to nie pomogło, aż złamany, przebolany zgodził się z życzeniem towarzyszy. Uradzono nazajutrz w trzech pojechać najpierw do Szymonka, a następnie do hrabiego. Przypatrzenie się spokojnemu ich życiu miało wpłynąć na Pańka, by również osiadł na roli – bądź w majątku Szycia, bądź Kubusia. Pojechali.

Pańko całą drogę był smutnym i niepocieszonym. Rozruszał go nieco widok wioski, popielisko chaty Hryhora i wiadomość o wypędzeniu Icka, którego w swoim czasie wielką miał ochotę wyrzucić przez okno dworku pana Bartłomieja w Kamieńcu.

—

Wielka rewolucja społeczna miała miejsce w domu pana Złocickiego w czasie pobytu jego w Kamieńcu. Pań Bartłomiej do żywego dotknięty obchodzeniem się służby wydobyl resztę pozostałej mu energii i na prawa swe powołując się, a urząd

¹⁴⁵ *Tatnere i statnere* – przekleństwo w żargonie o nieustalonym znaczeniu.

na pomoc przyzwawszy, powypędał służbę synowską, dawne apartamenta zajął, żonie klucze zwrócił i ojca Pafnucego ponownie osadził w pokoju, tuż obok sypialni.

W kołowrocie¹⁴⁶ wioski spotkał pana Szymona wielki płacz dymisjonowanej służby, wołającej o pomstę za sromotne wypędzenie z posad objętych z woli dziedzica – jaśnie pana Złocickiego. Pan Szymon zacisnął usta i pięści i kazał szybko jechać do domu.

Mimo całej odwagi, państwo Bartłomiejostwo, łącznie z ojcem Pafnucym, uczuli dreszcz, usłyszawszy o powrocie syna.

Pan Szymon trząśnięty jak w febrze, a oczy krwią mu zabiegły. Poprosił towarzyszy o chwilową cierpliwość, a sam wszedł do pokoju.

– Kto tu śmiał sprzeciwiać się mej woli! – krzyknął groźnie. – Zaraz mi precz z tym wszystkim!

W mgnieniu oka służba dawny ład przywracać zaczęła. Z kolei wzięto się do pokoiów zajmowanych przez państwo Bartłomiejostwo i ojca Pafnucego. Pan Szymon stał w czapce pośrodku pokoju i gwizdał przeraźliwą jakąś arię. Krzyk zgrozy rodziców wyrzucanych z pokoiów bardziej go gniewem zapalał – coraz to dzikszysze wygwizdywał nuty.

W tej chwili do pokoju wpadła pani Bartłomiejowa.

– Synu! Synu! – krzyknęła, załamując ręce. – I ty pozwalasz na krzywdę naszą?...

Pan Szymon jeszcze okropniej gwizdał. Z dalszych pokoiów doleciał krzyk pana Bartłomiejaja:

– Słyszysz?! To ojca twego znieważają – zawołała matka, a wyraz jej twarzy był okropny. – Szymciu, dziecko moje, czy ty nie słyszysz mego głosu?! – i rzuciła się do stojącego.

Pan Szymon odtrącił matkę i

– Żywo! – krzyknął na służbę.

Pani Bartłomiejowa osunęła się do kolan syna.

– Zlituj się! Bóg cię pokarze...

– No, dość już tych lamentów! – krzyknął pan Szymon. – Wyrzucić ekonoma z folwarku. Da mu się inne mieszkanie. Starych na folwark i klechę z nimi! Ja was nauczę sprzeciwiać się mej woli!

¹⁴⁶ *Kołowrót* – podwójne wrota, których połowy są zawieszane u słupa stojącego na środku drogi.

Jak szatani wpadli lokaje na starych, przenosząc ich do pobliskiego folwarku. Pan Bartłomiej dostał konwulsji, ręka matki groziła wyrodnemu synowi. Ojciec Pafnucy pokornie kłaniał się służbie, nie wynosząc z domu oprócz duszy ani szczypty tabaki własnej fabrykacji.

Pan Szymon piekielnie śmiał się, stojąc w sieni. Pańko i Kubuś byli świadkami tej przerażającej sceny, która na nich oddziałała niemiło.

– Szymonie! – zawołał hrabia. – Wszakże to rodzice!...

Szymon jeszcze głośniejszym śmiechem i zgrzytał zębami, nie słysząc słów hrabiego.

Pańko nie mógł wytrzymać i widząc, jak męcząco wsadzano do wozu kalekę i jego żonę, przypadł do służby i łeb o łeb uderzył dwóch drabów, aż padli na ziemię.

– Złodzieje! Wszak to starzy! I kaleka umiera! – zawołał, poprawiając głowę pana Bartłomieja, która się tłukła o półdrabek. – A jedź uważnie – krzyknął na woźnicę – bo i tobie dam pamiątkę!

Szymona napadł pewien rodzaj spazmów; zimna woda z kroplami przerwała śmiech jego dziki. Hrabia i Pańko stali koło niego.

– Czy już wszystko skończono? – zapytał ponuro służącego. – Są już na folwarku?

– Są, jaśni panie!

– Niech im na niczym nie zbywa, bo głowy nie wasze! Ekonom zajmie ten dworek, który wybudowałem pod lasem! Cóż tak posmutniałeś, hrabio?

– Żal mi twych rodziców...

– Nic się im nie stanie! Był czas, kiedy dla mnie litości nie mieli.

– Aleś ty był winny...

– A oni nie sprzeciwili się mej woli?... Lecz nie mówmy o tym! Może chcecie obejrzeć mój ogród, gospodarstwo?

– Gdzie klucz od apteczki? – zapytał Pańko po chwili. – Do kata, ta scena wzruszyła mię!

– Tam znajdziesz kordiał¹⁴⁷ na zakropienie.

A gdy Pańko odszedł, Szymon rzekł do Parysa:

– Uważ, hrabio, że Pańko nie jest zwykłym rzezimieszkiem. Nie kłamał: ma nerwy czulsze od moich! Dowody tego miałem niejednokrotnie. Służę ci do ogrodu. Pańko widzę również gotów?

¹⁴⁷ *Kordiał* – mocny, szlachetny trunk.

– Gotów! – potwierdził ekspowodyr.

– Czy nie nazbyt?

– Jeden kieliszek na pamiątkę dobrych czasów, a dwa za tych biednych starych. Ej, mógł też ich panicz i tu zostawić!...

Pan Szymon nic na to nie odpowiedział. Hrabiemu widziana scena również humor popsowała. Pan Szymon był kwaśny do wieczora. Pańko dwa razy jeszcze zakrapiał swe nerwy.

W tydzień po niespodziewanym swym odjeździe wrócił hrabia do Żytnik w towarzystwie Szymonka i Pańka. U wstępu powitano go radosną nowiną, że hrabina powiła syna. Wiadomość ta błogosławienie podziałała na Parysa. Zapomniał o świecie całym – przepelniony szczęściem, ze łzami, na kolanach zbliżył się do łóża żony i łzy były jego modlitwą. Nie Helena to mogła głuchą pozostać na tę bezsłowną prośbę! Ona również była uszczęśliwioną widokiem męża, a niebo całe otwarło się małżonkom, gdy piastunka okazała im dziecko – anioła. Niemowlę, zda się, uśmiechało do matki... Szczęśliwszej chwili nad tę nie zna człowiek w życiu!

Hrabia był w uniesieniu: płakał, tańczył, całował dziecinę, ścisnął wszystkich z kolei i wybiegł jak szalony z pokoju. Po chwili wbiegł na powrót, ciągnąc za sobą Szymonka i Pańka.

– Patrzcie! Patrzcie – wołał. – Mam syna! Jestem szczęśliwy! To mój syn! To żona anioł! Patrzcie, jak się on uśmiecha... On poznaje ojca... Heluniu! Najdroższa żono! Przebacz: to mój przyjaciel Szymon, to towarzysz naszych lat dziecinnych Pańko. Uściskajcie mię wszyscy – jestem w niebie, a szczęście me winienem tobie, tobie, aniele! – i rzucił się ze łzami na kolana, pocałunkami okrywając nogi Heleny.

Pańko ponownie przekonał się, że ma nerwy. Pan Szymon namiętnie patrzył na anielską w tej chwili twarz Heleny. Płomień zajął się w jego piersi.

Grono przytomnych zwiększyło wejście Iwana. Pan Szymon zadrzał, spotkawszy przenikliwy wzrok Mohyły, zwrócony w stronę jego i Heleny. Pańko naprawdę rozczulił się.

– Pani! – rzekł, zbliżając się do Heleny. – Jeżeli chcecie wyratować duszę z piekła, nie odmówcie mi pocałowania waszej ręki, ile razy tylko prosić o to was będę.

Helena w milczeniu, ale drżąc na widok Szymona i Pańka, podała mu rękę. Ekspowodyr ucałował ją w pokorze, a zwracając się do Parysa:

– Panie hrabio – rzekł. – Teraz nie dziwię się, że nie posłuchaliście mej rady. I z Pańka byliby ludzie, gdyby mu taką kobietę dał Pan Bóg. Ta ponoż z trzech nas tylko jednemu to dozwolono!

– Nie należy wątpić – zabrał głos Iwan. – Bóg po równo łaskaw dla wszystkich.

– Iwanie! – rzucił się ku niemu hrabia. – Czy wiesz, że jestem szczęśliwy! Mam syna! Widziałeś go?

– Wyrezyłem cię tu – odpowiedział Iwan dobitnie, co zmieszało hrabiego.

– Obecność nasza nie jest może dyskretną – zabrał głos pan Szymon. – Wina to hrabiego.

– Przyjaciele! Żono, przebacz, ale chciałem z całym światem podzielić się moim szczęściem. Zostawiamy cię, Heleno. Pa, aniołeczku mój drogi! Patrzcie – zasnął, mój syn zasnął. Na palcach, panowie, wynośmy się, by go nie obudzić...

– Parysie! – skinęła nań Helena.

– Za chwilkę służę wam, koledzy. A rozgośćcie się u mnie.

Pan Szymon i Pańko wyszli do salonu. Parys i Iwan zostali w pokoju Heleny.

– Anielska kobieta! – zawołał Szymon, znalazłszy się w salonie. – Szkoda jej dla Kubusia!

– Dla nas byłaby jej większa szkoda, prezesie!

Szymon porwał go za rękę, trwożliwie patrząc naokoło.

– Jesteś szatanem, Pańku! Najskrytsze myśli me przenikasz.

– Nie darmoż, bo beczkę soli zjedliśmy ze sobą. Prezesie, wszystko można, ale nie to.

– Nie ma o tym mowy!...

– Ale jest już myśl... Widok tej kobiety do łez mię rozczenił, to już ją Pańko bronić będzie do ostatka.

– Pańko jest babą i często niepotrzebnie wtyka nos w nie swoje!... O najważniejszym nie myślisz...

– Owszem. Ten drugi, co wszedł, ryba gruba. Woda nie na nasze koło...

– Cicho! Nadchodzą.

W tej chwili do salonu wszedł hrabia, wsparty na ramieniu Mohyły. Hrabia promieniał szczęściem.

– Żona moja to anioł! Ty, Iwanie, jesteś mi bratem! Stójcie tak zawsze przy mnie, a nie upadnę nigdy. Szymonie! Pańku! Pan Iwan Mohyła – druh moich rodziców, przyjaciół mego domu.

Szymon zimno podał rękę Mohyle. Pańko cofnął swoją z ukłonem.

– Jestem chłopem – rzekł – i byłem lokajem.

– Toś mi brat, bo również chłopem jestem! Podaj mi rękę, Pańku!

Ekspowodyrowi pocziwie zaświeciło w oczach.

– Panie Mohyło! – rzekł z uczuciem. – Umiem cenić łaskę, ale jej niegodny.

To mi przystoi – i pocałował rękę Mohyły.

Iwan szczerze przycisnął go do piersi.

– Nigdy nie późno – rzekł poważnie, aż Pańkowi miękko zrobiło się na sercu.

– Do kata! – zawołał – muszę ja stąd uciekać, bo Pańko gotów świętym zostać.

A to dopiero byłoby diabłom po nosie!

– Dowcipny ten Pańko! – rzekł pan Szymon, udając śmiech, a w gruncie lękając się, by Pańko jakiego bąka nie strzelił¹⁴⁸.

W tej chwili wniesiono wino na tacy.

– Bracia! – zawołał hrabia. – Spełnijmy kielich za pomyślność mego syna.

Od siebie życzę mu, by miał rozum.

Milionów życzył pan Szymon.

– Niech będzie dobrym obywatelem kraju! – wniósł Mohyła.

– A ja – rzekł Pańko – życzę, by nie był do nas trzech podobnym. Co mi nie przeszkadza spełnić kielich drugi: niech żyje „Trójka!”

– Wieczny jej odpoczynek! – wniósł żartobliwie hrabia.

– Amen! – dodał Iwan poważnie.

Szymon drgnął i Pańko uczył coś na kształt mrozu. Mohyła spokojnie usiadł przy stole.

Huczne chrzciny wyprawił hrabia synowi. Ale i tym razem obeszło się bez arystokracji. Ojcem chrzestnym był Iwan, matką Ołena, przyjaciółka Heleny, kumami i gośćmi włościanie ze wsi, co bardzo zgorszyło pana Szymona, a Pańko czuł się jak dziecko szczęśliwym. Na krzyżmo młodemu synowi grafów dali włościanie: zupełny strój ukraińskiego parobka, krzyżyk srebrny i grudkę ziemi obok krzyżyka. „Niech się chłopów nie wstydzi, a kocha tę ziemię” – życzyli włościanie.

Z woli matki młody hrabia dostał imię chrzestnego ojca – ochrzczono go Iwanem. Hrabia trochę się skrzywił, ale uroczystość chwili prędko zagłuszyła niezadowolnienie i hrabia przez cały wieczór był w dobrym humorze. Własnym przykładem zachęcał przytomnych do ochoty, nie uchylając się od kieliszka i tańca.

¹⁴⁸ *Bąka strzelić* – dawn. powiedziec głupstwo.

Pana Szymona gorszyło poufalenie się hrabiego z włościanami i przez cały czas trzymał się chłodnie, a oczu swych nie mógł oderwać od twarzy Heleny. Mieszał go tylko wzrok Mohyły i niektóre głębsze uwagi Pańka rozochoczonego na piękne.

Nazajutrz pan Szymon odjechał do majątku, przyrzekłszy odwiedzać częściej hrabiostwo. Pańko pożegnał towarzyszy ze łzami. Podobało mu się ciche szczęście, to prawda, ale był przekonany, że takiej kobiety jak Helena nie znajdzie, a dla innej krępować swej woli nie warto! Dla Mohyły powziął szczególniejszy szacunek – zwrócił jego uwagę na niestałość hrabiego, zapewniając, że „dobra pani”, jak nazywał Helenę, szczęśliwą z nim nie będzie.

Pańko poszedł w świat, gdzie oczy poniosą, a przyrzekł dowiadywać się do swych paniczów. Spłakał się jak bóbr, żegnając Szymonka i Kubusia, ucałował nogi dobrej pani i mimo oporu rękę Mohyły. Pożegnał się z włościanami, zapalił krótką fajeczkę i znikł ze wsi, wyśpiewując ulubioną strofę:

Nogom nie do ziemi,
Głowie nie do nieba,
Każdemu zuchowi
Tak umrzeć potrzeba!

W Żytnikach zostali hrabiostwo z synem. Iwan wieczorem wrócił do swej słobody.

VI. W KIJOWIE

Wszystko przemawiało za tym, że Parys od chwili zostania ojcem rozpocznie inne życie – właściwie że będzie żyć, jak przystało na obywatela, męża, ojca... Niestety! były to tylko pozory, którymi niedługo łudzili się Iwan i Helena!

Hrabia nazajutrz po rozstaniu się z Szymonem i Pańkiem zamknął się w swym gabinecie. Przez dzień cały tysiączne przychodziły mu myśli, jedne czarniejsze od drugich: szatan gryzł serce i mózg wyjadał, w żyłach krew trując. Błady, ze świecą w rękę, wyszedł z pokoju. Cisza północna zaległa dom cały. Hrabia w milczeniu przechodził pokoje. Żywiej zabiło mu serce, gdy zbliżył się do kolebki dzieciny. Straszliwie wpatrywał się ojciec w swego syna – drżał cały, a wzrokiem chciał

go na wskroś przebić, jego wizerunek odbić w duszy własnej, by oko w oko spotkawszy, poznały się wzajemnie.

Dziecina uśmiecha się we śnie, składa usteczka... Hrabia przypadł cały, jakby chciał tajemnicę jego wyznania pochwycić..., okiem i uchem utonął w dziecku i nie słyszał cichego szmeru, nie czuł jak wiotka postać oparła się na jego ramieniu. Dopiero pocałunek ocknął go. Poznał żonę – jej obraz dopatrzył w rysach dziecińcy..., a w postawie tej kobiety tyle było anielskiego, taka świętość..., że hrabia zadrżał jak przed trybunałem zbrodzeń i z przerażeniem wybiegł z pokoju. Straszne widma goniły go, mszcząc się podejrzeń potwarczych¹⁴⁹, aż winny upadł na kolana i długo bił się w piersi z skruchą. Widma znikły, jasna postać Heleny łała sniącemu balsam uspokojenia w drżące serce. Hrabia ocknął się nazajutrz i wkrótce był w pokoju żony. Zastał ją z dzieckiem przy piersi i widok ten pogodził go z życiem, ze światem, z ludźmi. Hrabia był szczęśliwy i łzami rozkoszy oblewał nogi Heleny, błogosławiąc ją za nieodchylenie serca od winnego.

Jedno słowo „Iwasio”, pieszczotliwie wyrzeczone przez matkę do dziecińcy, zburzyło nietrwały gmach szczęścia Parysa. „Dlaczego Iwanem nazwała Helena syna hrabiego?”. Szalona wściekłość napadła Parysa. Piekło wrzało w jego piersi i piekło też wyrzuciło z ust jego słowa, które każdą cnotę dotknąć muszą boleśnie.

Helena szepnęła tylko „Niech ci to Bóg przebaczy!” i łyzy ją zalały. Dziecko tuliło się do matki, i płaczem jej łzom wtórzyło. Hrabia wybiegł nieprzytomny, a wszystko w naturze zdawało się nań wołać milionowymi głosy: „Iwan! Iwan!”. Hrabia chciał uciec przed okropnym tym głosem, ukryć się i biegł przed siebie, z jedną myślą pozbycia się tego okropnego ciężaru, który mu piersi tłoczył niesłyszania straszego słowa, którym drżał cały!...

Ocknął się samotny na stepie i rozlany tu majestat przyrody oddziałał uspokajająco na jego organizm. Parys był w stanie pomyśleć trzeźwiej. Czuł potrzebę spokoju..., step mu go dawał – pozostał na stepie. Wkrótce innego zapragnął widoku i był w lesie; szmer rzeki przypomniał mu skały, wody olbrzymie...

Hrabia wypadkiem miał przy sobie pugilares z pieniędzmi. Nie myśląc długo, najął furmankę i od mogiły do mogiły zwiedził kurhany stepowe, miejscowości bardziej odznaczające się i z kolei dotarł aż do porohów dniewprowych¹⁵⁰.

¹⁴⁹ *Potwarczy* – będący potwarzą, oszczerstwem.

¹⁵⁰ *Porohy dniewprowe* – poprzeczne progi skalne, przegradzające koryto Dniepru pomiędzy miastami Dniepr i Zaporozże.

Wielki popłoch wszczął się w Żytnikach, gdy się opatrzone, że nie ma hrabiego. Helena przeczuwała okropne nieszczęście. Wezwany – przyjechał Iwan. Uspokoił Helenę, rozesał służbę w różne strony i sam udał się w zamiarze wyszukania hrabiego. Wioska za wioską dotarł aż do brzegów Dniepru i stanął za hrabią przypatrującym się wspaniałemu widokowi.

– Piękny to widok porohy! – przerwał milczenie Iwan.

– Cudowny! – odpowiedział hrabia, wcale niezdziwiony obecnością Moły w tym miejscu. – Zazdroszczę twym przodkom, Iwanie – ciągnął dalej. – Musiało to być rozkosznym spadanie z wodą w przepaście!

– Zapewne i teraz równie mogłoby być przyjemnym...

Hrabiemu przyszła myśl.

– Tak sądzisz? – zapytał ponuro. – A więc możemy spróbować... O, nie, mój panie! Ciebie jaki przodek bodaj za kark wyniesie, ją zginę niechybnie. Nie pójdę w zawody! Życie ma swój urok – mówił po chwili – potrzeba tylko umieć w tętno uderzyć. Byłbym się w piekło rzucił! Step mię pogodził ze światem, a widok tych porohów obudził chęć życia!

– Jedźmy więc do Żytnik. Zmartwiłeś żonę...

– Ach, obudzasz żmiję w mym sercu! Czy wiesz, Iwanie, że młody hrabia Porowski Iwanem się nazywa?

– Cóż z tego?

– Nic! Jedźmy do Żytnik. Helena zmartwiona. Ucieszy ją twój widok...

– Parysie!

– I mój – kończył hrabia z trupim uśmiechem. – Jedźmy.

Za powrotem hrabia w milczeniu powitał żonę, a po chwili, spojrzawszy bacznie na nią i na Iwana, wyszedł do gabinetu. Obojętność była na jego twarzy i chłód w piersi, gdy nabijał pistolet. Dopiero gdy rękę położył na klamce drzwi prowadzących do pokoju żony, serce żywiej mu zabiło. Wahał się przez chwilę, wreszcie z gwałtownością otworzył je i z uśmiechem stanął przed Heleną i Iwanem.

– Rozmawiacie państwo – rzekł głosem drżącym – o cudach przyrody, o życia rozkoszach... Tak?... A to bardzo, bardzo przyjemna rozmowa!...

– Mylisz się, hrabio, w przypuszczeniach – odpowiedział mu Iwan. – O czym innym wiedliśmy rozmowę z hrabiną.

– O czymże to, jeśli wolno wiedzieć?

– Mówiliśmy o świętości obowiązków, o zbrodni, jaką popełnia ten, kto się odchyła od ich spełnienia.

– Rozmowa budująca... – zrobił uwagę hrabia, a po chwili rzekł: – Mój kochany Iwanie, powiedz mi: wielkim to jest głupstwem, gdy kto zrobiwszy postanowienie, postanowienie niecofnione, chce je natychmiast spełnić?

– Rozumiem, hrabio, że sam najlepiej odpowiesz na to pytanie.

– Masz rację! Tak też myślałem, że go sam rozwiązać potrafię. Ale!... Nie widziałem jeszcze syna hrabiny – a zadrżał to mówiąc. – Pójdźmy go obaczyć, Iwanie!

– Z największą chęcią.

Helena przebiegły dreszcze.

– Parysie! – jęknęła strasznym miotana przecuciem.

Parys pocałował rękę żony.

– Uspokój, się moja droga – rzekł. – Wszystko dobrze będzie...

Służę ci, Iwanie...

Zostawszy samotną¹⁵¹, Helena rzuciła się na kolana przed obrazem Przeczystej. Iwan i hrabia weszli do pokoju. Dziecinę w tej chwili rozwijała z upowić¹⁵² piastunka. Hrabia drżał i patrząc na syna:

– Rzecz ciekawa – rzekł – kim zostanie to dziecko: Iwanem czy Porowskim?

– Zostanie jednym i drugim – odpowiedział Mołyła.

– O nie, mój panie! Jednym albo drugim! – Silnie porwał Iwana za rękę, wy dobył pistolet i stanąwszy nad synem, rzekł głosem okropnym:

– No, malcze, wybieraj ojca!

– Szalony! – zawołał Iwan, lecz go powstrzymał hrabia.

– Cicho! Nie przeszkadzaj.

Dziecię uśmiechnęło się..., wyciąga drobne rączki..., podnosi się... Jedną chytya hrabiego, drugą Iwana i uśmiecha się do obu.

Na ten widok hrabia zaśmiał się dziko.

– Nigdzie pewności! – zawołał i strzelił na wiatr przez okno.

Na strzał w pokoju dziecięcia wypadła matka.

– Zabójco! – krzyknęła, nie wiedząc, co się stało, i siły ją opuściły.

Hrabia również zachwiał się i upadł całym ciężarem ciała, szepnąwszy:

– Prze-klę-ty!

Helena zachorowała, hrabia w malignie okropne mówił rzeczy... Nastąpiło przesilenie: Helena przyszła do zdrowia, hrabia dostał czarnej melancholii.

¹⁵¹ *Samotna* – tu: sama; bez towarzystwa innych osób.

¹⁵² *Upowicie* – powicie, powijaki.

Jednocześnie Iwan, powołany obowiązkami, wyjechał na Litwę, a pan Szymon przybył do Żytnik.

Rola Heleny zmienia się: jest odtąd piastunką chorego męża. Udźwień przybywa.

—

Znając moralną nicość pana Złocickiego, niepodobna przypuścić, ażeby w piersi tej obudzić się mogło wznioślejsze jakie uczucie. Co do miłości zaś – nie mógł jej znać ten, kto serca nie czuł w sobie!... A jednak w panu Szymonie zrodziło się coś na kształt uczucia. W rzeczy samej! Helena od pierwszego wejścia obudziła w Szymonie to, o istnieniu czego w sobie nie wiedział dotychczas ekspres. Jej widok nabawił pana Szymona jakąś gorączką, którą podtrzymywał w nim obraz Heleny, gdy opuścił Żytniki. Próbował rozmaitych sposobów, by dawną równowagę przywrócić, ale wszelkie środki chłodzące działały odwrotnie, aż pan Szymon uczuł w sobie gwałtowną potrzebę obaczenia tej, która pierwsza potrafiła martwą bryłę, jakim wewnątrz był Szymon, natchnąć jakimś życiem, a przynajmniej drganiem życiowym. Przyjechał do Żytnik i bardzo mu na rękę była choroba Parysa. Przyjaciel nie odstępował go, a tym samym był wciąż przy Helenie, postanowiwszy ująć ją sobie... Niestety, każda chwila obcowania z hrabiną potęgowała ogień, którym gorzał pan Złocicki, w Helenie natomiast rodząc coraz to głębszy wstręt do towarzysza męża, którego nawet chęć przypodobania się nie umiała uczynić znośniejszym, mniej odrażającym. Szymon był despotą – despotycznie też chciał zapanować nad kobietą, gdy ta obojętną dlań nie była... Coś podobnego spowodowało tylko, że Helena zmuszoną była zwrócić jego uwagę, iż się zapomina... i pan Szymon zmienił taktykę. Udawanie uczuciowo-sentymentalnego, bawienie się w poetę tak mu było nie do twarzy, że tylko śmiech i pogardę dostawał w nagrodę za niezręczną komedię. Piekło zawrzało w nim, ale się powstrzymał i poszedł drogą nową.

Hrabia nie cierpiał obecności ludzi. Znosił tylko towarzystwo Szymona, którego poznawał, i Heleny, ale Heleny innej – nie tej, która jest jego żoną!... Choremu zdawało się, że ta, która go pielęgnuje, jest dobrym jego aniołem, chroniącym go od Heleny, innej, którą mu dano za żonę, którą nienawidzi za to, że ją dawniej kochał, a ta go zdradziła... Tuląc się do tej, która była przy nim, błagał ją, by go uchroniła od tamtej, od znieawidzonej, występnej. Helena więc zmuszoną była znosić męczarnie, słysząc z ust męża skargi, które ją bolały, bo niezasłużone,

okropne... Helena kochała męża, który jej tyle wyrządził przykrości, a teraz, gdy go w chorobie pielęgnuje, zmuszoną jest słuchać, jak ją spotwarza, jak męczarnią odpłaca za jej miłość. Był to stan okropny i tylko taki nikczemnik jak Szymon mógł go jeszcze wyzyskiwać dla niegodnych swych celów.

Przyjaciela męża nie zawahał się tego uczynić. Z szatańską umiejętnością potęgowania cierpienia umiał pan Szymon każde bardziej przykre wyrażenie chorego wystawić w takim świetle, że serce Heleny krwią zabiegało, cierpiąc niewymownie. Pan Szymon mógł być mistrzem katów. Z jaką rozkoszą patrzył na łzy Heleny, słuchał jej łkań i jęków! „Cierpieć będziesz póty, aż zaczniesz błagać litości, a wtedy ja dyktuję warunki!...”. I uśmiechnął się na tę myśl szatańską.

Helena, znosząc podwójne katusze, szukała ratunku w dziecinie, tam znajdując swe niebo. Lecz szatan był czujny. Każdą taką chwilę przerywał jej Szymon, przywołując do hrabiego, na którego umysł wielki wpływ wywierał i umiał weń przelać własną swoją wolę.

Miara cierpienia przebrała się w Helenie. Z godnością ofiary zapytała swego kata, za co ją tak dręczy. Pan Szymon rozumiał, że się zbliżyła stosowna chwila – upadł na kolana, oświadczając swą miłość.

– Co?! – wykrzyknęła Helena, drżąc od oburzenia.

– Kocham – powtórzył pan Szymon.

Helena załamała rękę.

– Boże! Jeszcze takie upokorzenie!... Precz sprzed moich oczu, nikczemny!
Precz z mego domu!

Panu Szymonowi potoczyła się piana z ust.

– Heleno! Nie zapominaj!...

– Precz, bo zawołam ludzi!

Pan Szymon zbladł, zęby i pięście zacisnął, a białka oczu na wierzch mu wyszły.

– Idę – rzekł głosem, który wściekłość tłumiała. – Idę, ale pamiętaj, że z nami nie skończono! Musisz być moją!

– Raczej szatana.

Pan Szymon odjechał. Nieobecność jego tak szkodliwie podziałała na hrabiego, że lekarze zgodnie zdecydowali, iż życie chorego jest przez to narażonym na niebezpieczeństwo. Hrabia nieustannie wołał Szymona.

Obawa śmierci chorego, chęć uratowania mu życia stanęły w Helenie do walki z nienawiścią, jaką obudził w niej Szymon. Pierwsze przemogło – hrabina napisała list do pana Złocickiego, zaklinając go, by przyjeżdżał ratować przyjaciela.

Pan Szymon uśmiechnął się szatańsko, odczytawszy list.

– Muszę dopiąć swego – mruknął, a oczy zaświeciły mu bazyliżkowo. –
Zaprzęgaj konie!

Po przybyciu do Żytnik pan Szymon powitał hrabinę.

– Pani! – rzekł. – Przebaczenia i łaski...

Helena z trudnością podała mu rękę.

– Pogodzimy się – dodał – jestem pewien. Tylko trochę litości dla mnie...
Teraz spieszę do Parysa.

I znów popłynęły dla Heleny dnię okropne pod naciskiem dwóch katowni: nieprzytomnego męża i nikczemnika, którego śmiało nosić miano jego przyjaciela. Siły poczęły ją opuszczać. Lekarze tak dla poratowania zdrowia hrabiego, jak i hrabiny zalecili obojgu wyjazd do wód za granicę. Pan Szymon nie odstępował swej ofiary – udał się z hrabiostwem w daleką podróż ufny, że zbrodniczy zamysł jego teraz dopiero przyjdzie do skutku.

W wigilię odjazdu Helenę doszedł list Mohyły. Iwan pisał, że okoliczności zatrzymują go na Litwie, a z całą troskliwością wypytywał się o zdrowie Parysa.

Możemy powiedzieć czytelnikom, że osobiste stosunki, które miał Mohyła na Litwie, pozwalały mu przypuszczać, iż najgorętsze pragnienie jego tam może urzeczywistni się... Mohyła pracował nad przeprowadzeniem uwolnienia i uwłaszczenia włościan.

—

Ażeby dopiąć zamiaru, o którym wciąż myślał, Szymonowi potrzeba było być przy Helenie. Obcowanie z nią czynił możliwym stan zdrowia Parysa... Należało więc robić wszystko, byle sprzyjający tym zamiarom Szymona stan przydłużyć możliwie. Pan Szymon nie omieszkiał dołożyć usiłowań, byle przyjaciel jego zdrowia nie odzyskał... Z drugiej zaś strony dręczył swą ofiarę, chcąc wymóc na niej poddanie się na łaskę.

Miejszem kąpielowym, wskazanym hrabiostwu przez lekarzy, były Karlowe Wary¹⁵³. Pan Szymon zamieszkał w jednym hotelu z hrabiostwem i dnię całe nie odstępował Parysa – i Heleny. Szatan nie byłby zdolnym prześcignąć pana Złocickiego w wynajdywaniu rodzaju męczarni. Z Heleny pozostał cień – nawet widok syna nie zdołał już życia w niej obudzić!...

¹⁵³ *Karlowe Wary* – największe uzdrowisko w Czechach.

O zmroku zastajemy w salonie Helenę i Szymona. W pokoju sąsiednim bez znaku życia siedzi hrabia Parys. Pan Szymon jak wąż zjadliwy obezwładnił ofiarę i szatańskie słowa płyną mu z ust, które pianę toczą; oczy świecą się próchnem, całe ciało drży, a palce łamią się w stawach.

– Żona! Helena! – wykrzyknął w tej chwili hrabia. – Iwan. I mój syn Iwan! Cha, cha, cha!

– Słyszysz to, pani? Heleno, nie opieraj się dłużej... , ja ci dam szczęście!

Helenę zalały łzy rzęsiste i głosem cichym, z rękami jak do modlitwy złożonymi, szepnęła:

– Litości!

W tej chwili w przedpokoju wszczął się jakiś hałas, a głos mocniejszy zawołał:

– Do stu diabłów, puszczaj!

Na ten głos zadrżał Szymon. Drzwi się otwarły, do pokoju wszedł odarty jakiś mężczyzna. Wniesione światło pozwoliło panu Szymonowi poznać w nim Pańka. Pańko spostrzegł go także.

– Ho-ho, mości prezesie! – zawołał. Pan Szymon zbładł. – A gdzie to nasza umowa? Do pioruna! Możemy się pogniewać. Dobra moja pani – mówił, zwróciwszy się do Heleny – otrzyście wasze oczy, już złemu koniec. A dacie mi też rękę do pocałowania?... Paniczu Szymciu, dobra pani ręki nie cofa i wyciąga mię z piekła, toż mię ją także trza ratować stamtąd... – A zbliżywszy się, dodał ciszej: – A wiecie, że was tam pan Bartłomiej chcą wydziedziczyć?... Hajda więc tamtędy, a ja tu już hrabiego dopilnuję!

Pan Szymon porwał się z siedzenia.

– Skąd wiesz o tym? – zapytał.

– Jadę wprost stamtąd i wprost tutaj – dodał z naciskiem. – Obaczymy się wkrótce.

Pan Złocicki zgrzytem zębów i skinieniem głowy pożegnawszy hrabinę i Pańka, wybiegł z salonu. Pańko stanął przed Heleną.

– Nie boicie się mnie, pani? – zapytał.

Życzliwy wzrok Heleny był dostateczną odpowiedzią.

– Nie bójcie się Pańka, bo choć on niejedno zbroił, a tak i wie, co święte. Bardzo wam dokuczał?

– Cierpiałam wiele – jęknęła Helena.

– Już tego nie będzie. A i nie byłoby, gdyby nie to, że..., że mi wypadło przesiedzieć kilka miesięcy na zamku w Kamieńcu i w Kijowie. Tam dopiero

dowiedziałem się o waszej niedoli i o panu hrabiu. Przyleciałem kulą, a panicz Szymcio kulą stąd wyleciał... Prawda, pani? Bo my z paniczem znamy się nie od dzisiaj! A gdzież pan hrabia? Ach, i nie widzę!

Pańko wziął do rąk świecę i popatrzywszy przez chwilę na hrabiego

– Paniczu Kubusiu! – rzekł z cicha.

Na głos Pańka ocknął się hrabia.

– Kto to? – zapytał.

– A ja, kochany paniczu, Pańko!

– Ty?... Czy znowu jestem Kubusiem?

– Dla mnie wiecznie nim będziecie.

Hrabia rzucił mu się na szyję.

– Pańku! Pańku! – mówił z rozczuleniem. – Gdybyś ty wiedział, jaki okropny sen miałem...

Godzin kilka potrwała rozmowa Pańka z hrabią. Ekspowodyr ułożył go do snu i wyszedł z pokoju na palcach, a zbliżywszy się do Heleny, rzekł, wskazując w stronę pokoju hrabiego:

– Wierście mi, dobra pani, że to nie on winien. Tam niejeden grzech cudzy pokutuje w jego piersi. A to panisko dobre... Śpijcie zdrowi, nie płaczcie! Już ja w tym, że wszystko dobrze będzie.

Hrabia spał spokojnie noc całą, a nazajutrz, po kilkogodzinnej rozmowie z Pańkiem, wszedł do salonu. Żonę w milczeniu pocałował w czoło i wyszedł z Pańkiem na przechadzkę. Ekspowodyr większy miał wpływ na hrabiego aniżeli pan Szymon, co się pokazało za dni kilka. Hrabia przychodził do przytomności: nic już nie mówił sam ze sobą, od ludzi nie stronił, żonie i dziecku więcej przychylności okazywał. Helena składała dzięki Najwyższemu za uratowanie męża, ale sama czuła, że wkrótce wypadnie jej rozstać się z tym światem.

– O, ciężkie to życie! Spoczynek mi potrzebny... A dziecię? Ono zostanie sierotą... Nie! Iwan będzie jego ojcem. Helena może umrzeć spokojnie.

Pańko doprawdy cudów dokazał z hrabią! Bo też szczerze pragnął jego wyzdrowienia. A ze smutkiem patrzył na dobrą panię.

– Marniejecie mi – mówił – a ja przecie nie na to dostałem się do was. Krzeczcie się pani! Wam kiedy nie szczęście, to należy się życie długie.

– Nic mi nie jest, Pańku – jestem zdrową.

– Gadajcie, a Pańko ma dobre oczy... Pociercie troszeczkę. Dam głowę, że hrabia dla was żyć będzie, dla waszej dzieciны.

Helena uśmiechnęła się smutnie. Ona przeczuciem wiedziała, że próżne są nadzieje Pańka, że szczęście nie dla niej, nie dla niej miłość męża. Wiara zawiodła ekspowodyra – przeczucie Heleny ziściło się. Hrabia przyszedł do zdrowia: melancholia ustąpiła zupełnie – miejsce jej w stosunku do żony zajęła obojętność, której cały wpływ Pańka zniszczyć w nim nie potrafił. Hrabia stał się zimnym głazem i wszystko go prędzej mogło rozczerzyć aniżeli żona i dziecię. Heleny podejrzewaniem nie dręczył, wyrzutów jej nie czynił żadnych, niemniej przeto bolesną dla hrabiny była ta obojętność męża. Biedna kobieta cierpiała wiele!

Po dwóch miesiącach stan zdrowia hrabiego był już na tyle zadowolającym, że hrabiostwo mogli wrócić do majątku.

Pańka niemało zdruzgotało życie beczynne i miał słuszną obawę, by doprawdy świętym nie został. Wracać bardzo mu się też nie chciało do kraju. Ekspowodyr żywą miał chęć zarządzić śledztwo i odebrać szkatułkę, którą Niemcy wzięli z „Nory”, ale hrabia nalegał, hrabina prosiła, a dla „dobrej pani” Pańko zrobiłby wszystko. Pogroził więc Niemcom: „Co się przewlecze, to nie uciecze” i przybył do Żytnik z hrabiostwem. A coraz to smutniej mu było patrzeć, jak hrabia lodowaciał, a zdrowie Heleny nikło z dniem każdym.

Po powrocie hrabiostwo zastali w Żytnikach list Mohyły, w którym donosił, że najdroższe życzenia jego spełniać się zaczynają i podobno, że wypadnie mu być w Kijowie – wtedy i do swej ojcowizny zaglądnie, i hrabiostwu złoży winne uszanowanie.

Pan Szymon nie dawał znać o sobie. Nie interesowało to hrabiego, którego świat cały interesować przestał. Hrabina zaś tylko zadowolona mogła być z tego, Pańko był pewnym, że jego obecność u hrabiostwa wstrzymuje przyjazd ekspresza. Obaczmy, ile w tym było prawdy.

—

Pan Szymon – jakby go szatani gnali – pojechał do majątku. Sprawa krucha! Gdy się nie przeszkodzi, stary gotów pokręcić w urzędzie i wystrychnąć Szymona na dudka. Ale nie tak to łatwą było rzeczą! Pan Szymon udał się wprost do Kamieńca, wszelkim machinacjom ze strony ojca łeb skręcił i sam groźny przybył do majątku. Pomówił z adwokatem i oficjalistami, rozpytał detalicznie służbę i osobiście udał się na folwark, gdzie mieszkali rodzice. Uchylił drzwi pokoju, zastał ojca śpiącego w fotelu. Pan Szymon pilnie wpatrzył się w jego rysy. „Stary oddycha równo..., rumieniec ma na twarzy... Tacy kalecy żyją długo... On mi

bruździć może. Cóż przedsięwziąć?” – myślał, chodząc po pokoju. Wreszcie położył rękę na ramieniu ojca i wstrząsnął nim.

– Stary!

Pan Bartłomiej ocknął się i z trwogą ujrzał przed sobą syna, którego twarz miała piekielny wyraz.

– Czego chcesz ode mnie? – zapytał ze drżeniem.

– Miłości ojcowskiej! – odpowiedział ironicznie pan Szymon.

– Miałeś ją... sam zniszczyłeś!... Nie mam już syna!

– Ale syn ma jeszcze ojca, a mieć go nie powinien!...

Słowa te brzmiały kalece jak dzwon pogrobowy.

– Czego chcesz ode mnie? – powtórzył pytanie, oglądając się, czy kogo nie spostrzeże w pokoju.

– Chcę, byś mi nie zawadzał! Pora ci umrzeć, mój ojcie.

– Synu! Synu! Bóg to słyszy – Bóg cię pokarze.

Pan Szymon dziko wpatrzył się w twarz ojca.

– Jeżeli prawda jest, jak mówisz, to musi się śmiać serdecznie, słysząc takie słowa z ust... Cha, cha, cha! Ale przestańmy żartów! Wracam z Kamieńca... Chciałeś mi zabrać moją własność, stary.

– Nic tu twego nie ma!

Pan Szymon pozieleniał.

– Wszystko! – wykrzyknął. – Nawet to życie, którym gnijesz, masz z mojej łaski. Ale dość pobłażania! Skończyć to raz muszę...

Pan Bartłomiej jęknął:

– Skarałeś mię, Boże, ciężko! To mój syn?... Zgroza!

– Jakiego wychowałeś, takiego masz. Co z ciebie mogłem wziąć oprócz podłości?

– Synu! Miej litość nad ojcem!

Pan Szymon coraz to bardziej gniewem się zapalał – był wściekłym.

– Dziecko – patrzyłem na zbrodnie, a łotra widziałem w ojcu... Czyliż świętym miałeś pozostać? Później samopas puszczono malca, by się wykształcił na szubiennika¹⁵⁴. Potem mu kilka pożałowano rubli i zrobiono złodziejem, a teraz chcą świętego mieć we mnie! Coście sieli – zbiercie! Jakie piwo nawarzyliście – pijcie! Gdzie jest klucz od biurka, w którym masz swe papiery?

¹⁵⁴ *Szubiennik* – łotr, kłamca.

Pan Bartłomiej zdradził się, że ma go przy sobie – zadrżał bardziej jeszcze.

– Muszę go mieć! – wołał Szymon.

– Precz, gadzino! – trząsał się pan Bartłomiej. – Precz, dziecko szatana!

– Aniele!... Daj klucza!

– Precz, bo zawołałam ludzi!...

– Klucza!

– Pomocy! Pomocy!

– Ha, psie wściekły!

Wyrodny syn rzucił się na ojca: porwał go za rękę, chcąc klucza odebrać. Pan Bartłomiej uchwycił syna oburącz za gardło. Szymon syknął jak wąż, podniósł ojca z krzesła i z całej siły rzucił go o ziemię:

– Masz!

Pan Bartłomiej szepnął:

– Prze...klę... – i skonał.

Szymon nachylił się nad trupem.

– Nie oddycha?... To nie ja go zabiłem... – zawołał: – Ojczy!... Ha – trup!

W tej chwili we drzwiach ukazała się pani Bartłomiejowa i ojciec Pafnucy.

– Precz! – wykrzyknął Szymon. – Puszczajcie mnie! – i wybiegł z pokoju...

Na katafalku leżał trup pana Bartłomiejja, przy nim siedziała pani Bartłomiejowa i ojciec Pafnucy odmawiał modlitwy. Czeladź dworska i włościanie ukradkiem zaglądali do wnętrza pokoju.

We dworze pan Szymon naradzał się z adwokatem, w jaki sposób usunąć możliwe zarzuty. Przywołano lekarza, którego po opatrzeniu trupa urzędownie zaświadczył, że pan Bartłomiej umarł śmiercią naturalną. Świadcami skonu¹⁵⁵ – oprócz syna – byli jeszcze: adwokat, lekarz i jego podręczny.

Pana Bartłomiejja grzebano na wiejskim cmentarzu – syn cieszył się, że nie ma tego, który by go pozbawił majątku...

Po pogrzebie pani Bartłomiejowa jak się zamyśliła nad swoją niedolą, to ją dobrzy ludzie na próżno starali się pocieszyć.

Ojciec Pafnucy, widząc że nie ma tu co robić, zabrał co lepsze narzędzia fabryczne, kilka klatek zostawił, słoików sporo, a sam udał się do Kamieńca, do klasztoru karmelitów. Tarł tam wonny proszek, aż pewnego razu śmierć w swej makutrze utarła ojca Pafnucego na tabakę własnej fabrykacji, wysypawszy ją w dół

¹⁵⁵ *Skon* – dawn. zgon, śmierć.

trzyłokciowy na cmentarzu za Smotryczem. Tak skończył mentor naszego Telemaka – a z pewnością wiadomo, że go nie kanonizowano w Rzymie.

Pan Szymon, uregulowawszy swe interesa, począł myśleć o Helenie. Przeklęty Pańko! Przeszkodził mi w chwili, gdy już mogłem ją mieć w ręku... Ale prawda, dobrze zrobił, inaczej tu puszczone by mię z torbami. Zapamiętały stary!... Teraz mógłbym pojechać... Ten rzezimieszek oszalał ze swoją czułością dla niej! Koniec końców przeszkodził mi, a liczyć się z nim wypada!... Ha!... Odłóżmy to na czas nieograniczony... Raczej pomyślmy, czy nie dałoby się i tę zawadę usunąć?... Pańko bardzo wygodnie może się oprzeć na Syberii... Myśl dobra! Potrzeba jednak zbadać ją wszechstronnie, bo to nie stary!...

Pan Szymon myślał i przemyślał, nie miał jednak odwagi zdecydować się na coś stanowczego, a dni i tygodnie bieły. Kto wie, jak długo przeciągnąłby się ten stan wahania się, gdyby pana Szymona, łącznie z całym obywatelstwem, nie wstrząsnęła wieść, że demagogi, komuniści myślą o zniesieniu pańszczyzny. Wielki popłoch padł na obywateli i poczęto radzić nad groźącym nieszczęściem. Znając energię pana Szymona i przeświadczeni naocznie, że postępuje jak na rzeczywistego obywatela przystało, wybrała go szlachta, by w charakterze deputowanego jechał do Kijowa na naradę ze szlachtą trzech prowincji, przemyślającą o swym ratunku.

Nie zwlekał pan Szymon – a za nim i my poprosimy czytelników do sali klubu szlacheckiego w Kijowie, gdzie znajdujemy licznie zebraną reprezentację trzech najżyźniejszych prowincji. Pomiędzy wieloma nieznanymi są tu i znajomi nasi: panowie Maciej Kopytko i Krucki Protazy, którzy lada dzień i bokiem nie będą w stanie przywitać się, gdyż ręce pana Macieja i pana Protazego z dniem każdym maleją, a brzuchy bardzo poważnie rosną. Pan Szymon w zgromadzeniu spotkał hrabiego, któren go chłodno przywitał. Dostrzegł i Mohyłę, ale z tym nie witał się wcale. Pan baron Oksman – z mocy pełnomocnictwa swej żony – był obecnym na posiedzeniu.

Prezes zagaił posiedzenie mową, w której w krótkości przedstawił słuchaczom całą groźbę nieszczęścia zawieszono nad niebem obywatelstwa. Zniesienie pańszczyzny bardzo trafnie przyrównał do skończenia świata, a w końcu rzecz całą oddał pod rozagę obywatelstwa. Obywatelstwo dało prezesowi głośne brawo i postanowiło słuchać mówców, którzy kolejno zabierali głos, przemawiając w sprawie włościańskiej mniej więcej w myśl prezesa. Baron Oksman przy sposobności przemówił za emancypacją Żydów, główny nacisk kładąc na potrzebę nieutrud-

niania Żydom działalności mającej na celu okpiwanie chłopów po wsiach, gdyż obywatelstwu z tego korzyść oczewista, a Żydki bardzo prędko zdolni będą pod chejrym¹⁵⁶ przysiąc, że Berdyczów większą jest ich stolicą aniżeli Jerozolima. I ta mowa podobała się obywatelstwu. Śmiali się tylko, że baron, mówiąc, chlupał z żydowska, ale to bagatela!

Najenergiczniejszą była mowa pana Złocickiego. Mówca dowiódł w niej jak na dłoni, że uwolnienie, a strzeż Boże uwłaszczenie włościan, jest zgubą kraju. W każdym zaś razie nożem, który szlachta podaje chłopstwu, by mu gardło podcięło. Ostatni argument aż do szpiku kości przejął obywatele, którzy grzmiącymi oklaskami przyjęli mowę pana Złocickiego, winszując mu elokwencji i zapewniając, że przy najbliższych wyborach zasługa jego pozostanie w pamięci wdzięcznego obywatelstwa. Pan Szymon z angielska kłaniał się obywatelom i poprawiał rude bokobrody.

Po mowie pana Złocickiego prezes z widoczną niechęcią dał jednak głos Mohyle. Szlachta z uwagą zaczęła słuchać Iwana. Mohyła mówił bez namietności, nie posługiwał się frazesami, ale dowodził słuchaczom konieczności uobywatelenia milionów – tak na podstawie obliczeń ścisłych korzyści, jak i hołdując nauce Chrystusa. Krótkimi, ale dosadnymi słowy zbił twierdzenia poprzedników, przemawiających za *status quo*, a rzecz zakończył zwróceniem uwagi reprezentacji ogółu szlacheckiego na tę okoliczność, że opieranie się postępowi, zacofanie się chluby mu przynieść nie zdoła, ale przeciwnie – narazi na pośmiewisko i wzgardę Europy, która przestała już być pobłażającą czynom karygodnym. Wreszcie zebrani mają obowiązek iść w ślady współobywateli, którzy na Litwie zgodzili się na podanie do rządu prośby o uwłaszczenie włościan, na dowód czego odczytał depezę telegraficzną, która doszła Mohyle już w czasie zebrania.

Po skończeniu mowy kilku zacniejszych obywateli przystąpiło do Mohyły, dziękując mu za słowa prawdy i oświecenie szlachty w kwestii tak wielkiej wagi. Inni pospuszczali głowy, gdyż wiadomość o kroku Litwinów szyki im popsła.

Hrabia słuchał przemówienia Mohyły – i piekło zagrało w jego piersi. Nie-nawiść, jaką miewał dla Iwana, spotęgowała się w nim w tej chwili i hrabia wszedł na mównicę. Mowa jego pełną była piekielnego zapału! Hrabia szermował

¹⁵⁶ *Pod chejrym (chorem)* – u Żydów: pod groźbą klątwy rzuconej przez rabina.

słowami – najędźniejsze sofizmata¹⁵⁷ potrafił wnieść do potęgi apostołskiej prawdy. Namiętnie wystąpił przeciw włościanom, zgrabnie okrywając się płaszczkiem patriotyzmu i opierając na świętej tradycji szlacheckiego narodu, dla którego lud zawsze był, jest i będzie tylko piedestałem, na którym potęga szlachty spoczywa. Nie uszanował nawet osobistości swego poprzednika, wytykając Mohyle, że sam nic nie ma, a śmie rozrządzać mieniem innych!... , że wobec takiego wystąpienia podobnych ludzi jak Mohyła za nic innego uważać nie może jak tylko za przywódców ciemnego tłumu, którzy chcą zburzyć porządek społeczny, by samym na ruinach zapanować! Nie mniej namiętnie wystąpił hrabia przeciw Żydom, z większą nieogłędnością jeszcze szarpnąwszy sławę barona Oksmana. Naprężenie jednak było za wielkie – siły go odbiegły, hrabia zemdłał.

Huczne oklaski były odpowiedzią na świetną mowę hrabi Porowskiego, z jednej łoży padł mu do nóg bukiet. Hrabia, mdlejąc, dostrzegł, że bukiet rzuciła Karolina. W drugiej łoży Helena płakała nad tryumfem męża – ale nie radości łzami.

Serce Iwana ścisnęło się żalem.

Hrabia, przyszedłszy do siebie, opuścił salę, a przechodząc koło Iwana, zatrzymał się.

– Spodziewam się – rzekł, popatrzysz nań przez chwilę – że pan Mohyła wierzy, iż jego osobistość od bronionych zasad umiem oddzielić. Dotknąć go w mowie nie miałem zamiaru.

– A więc i ja jestem usatysfakcjonowany! – z widocznym zadowoleniem zawołał baron.

Hrabia spojrział na niego z góry i z rękawiczką rzucił swój bilet.

– Co to się znaczy? – zapytał baron.

Hrabia nic nie odpowiedział i wyszedł.

– *Was ist das?*¹⁵⁸ Niechże mi kto powie: czego on chce ode mnie i co to się wszystko znaczy?

– To pojedynek, panie baronie – odpowiedział jeden ze szlachty. – Adres hrabiego.

– *Sehr gut!*¹⁵⁹ My się z nim policzymy – burknął baron i wyszedł z sali.

¹⁵⁷ *Sofizmat* – wszelka próba dowiedzenia swoich racji, bez względu na poprawność logiczną przedstawionej argumentacji.

¹⁵⁸ *Co to jest?*

¹⁵⁹ *Bardzo dobrze!*

Posiedzenie skończyło się tym, że większość odrzuciła projekt podpisania adresu¹⁶⁰ w myśl uwolnienia włościan. Iwan nie tracił nadziei.

Po wyzwaniu hrabia zamyślony szedł po schodach. W przedsionku czyjaś ręka dotknęła się jego ramienia. Hrabia poznał Karolinę.

– Czy mogę cię prosić, hrabio, o chwilę rozmowy?

– Do usług! – odpowiedział hrabia, podając rękę Karolinie.

Hrabia i baronowa odjechali w jednej karecie, a za chwilę znaleźli się w salonie.

Wspomnienie wielki ma urok. Dawni znajomi pogodzili się prędko, zapomniawszy uraz wzajemnych. Zda się, odmłodnieli oboje i jak za lat dawnych pieczęcią zgody był uścisk. W tej pozycji zastał ich baron – i zgłupiał.

Hrabiemu zimnej krwi nie brakło.

– Baronie! – rzekł. – Rozumiałem, że jesteś tchórzem i wyzwania nie przyjmiesz. Chcąc cię zmusić, udałem się tutaj i ubliżając nawet pani, obrażam cię powtórnie. Przyjmujesz pojedynek?

– Panie hrabio! – trząśł się baron. – Ja jestem Żyd i mogę nienawidzić goj-mów... nu! Ja pana dawno już nienawidzę i postawię na swoim – zastrzelę cię j a k p i e s! Za godzinę przyślę sekundanta – rzekł hrabia, opuszczając salon.

Karolinie wypadło przypomnieć rolę z dramatu, która by się dała zastosować do obecnej pozycji. Łatwym to było dla niej, a baron kochał swą żonę zapamiętale i uwierzył łzom i przysięgom. Rozczulony, wygotował testament, w którym cały swój majątek zapisał żonie. Karolina miała czas ulegalizować należycie zapis barona.

Po godzinie wszedł do salonu pan Złocicki w charakterze sekundanta hrabiego. Baron pałał taką chęcią zemsty, że zgadzał się strzelać z hrabią bez sekundantów, a w każdym razie przestawał na obecności pana Złocickiego. Zgodzenie się to barona bardzo przypadło panu Szymonowi do jego zamysłów. Podziękował baronowi za ufność w nim położoną i zaprosił go do swego powozu. Lokaj pana Złocickiego uwiadomił Parysa o miejscu, gdzie ma się udać niezwłocznie.

Karolina kilka razy zemdlała przy rozstaniu się z mężem, ale zgodziła się z tym, iż obraza, którą mu hrabia wyrządził, żąda krwawego zadośćuczynienia, wiedząc dobrze, że jeśli baron nie zginie, tedy w żadnym razie nie potrafi odebrać życia hrabiemu – pan Oksman nigdy nie miał pistoleta w rękę.

¹⁶⁰ *Adres* – tu w znaczeniu: pismo zbiorowe wystosowane do władz w jakiejś sprawie.

Iwan wiedział o wyzwaniu barona przez hrabiego i chciał rozlewowi krwi przeszkodzić. Na wszelkie jednak przekładania hrabia odpowiedział krótko, że od zamiaru nic i nikt go powstrzymać nie zdoła.

– Gdy zginę – mówił – tym lepiej dla was. Wszak jestem zawadą.

– Hrabio, ubliżasz twej żonie.

– Ach, żona. Na honor! Gniewa mię jej czułość małżeńska. Niech prosi Boga, ażebym zginął, bo jestem w stanie ją znienawidzić!

Co było począć? Mówić Helenie na to chyba, ażeby umarła z rozpacz... Czyliż jej próśb usłucha hrabia? Czyliż go żona albo dziecię obchodzą?... Mohyła myślał, że uda się pojedynek puścić w odwłokę...

Szedł Pańko ulicą Bulwarną¹⁶¹ i spostrzegł Szymona jadącego z baronem. Poznał obu. Uderzyło go to, że w jednym powozie jadą, a bardziej jeszcze, że baron smutny, a Szymciowi oczka się świeciły. Stał w miejscu i patrzył: powóz zwrócił się w stronę lasu. Po niejakię chwili spostrzegł Pańko hrabiego jadącego najętą kareta w tę samą stronę.

– Szymon z baronem, hrabia za nim... Coś w tym być musi!...

Nie wiele myśląc, Pańko siadł za powozem i przyjechał wraz z hrabią do lasu. Przeworność nakazywała ekspowodyrowi zleźć, co też i uczynił, zza krzaków śledząc, co będzie dalej. Ujrzał stojących Szymona i barona. Hrabia również wysiadł z powozu i trzej szli w głąb. Pańko za nimi. Gdy przyszli na miejsce bardziej od drogi oddalone, przemówił pan Szymon:

– Z obowiązku sekundanta proponuję pogodzenie się.

– Daj pokój formalnościom – przerwał hrabia – i nabijaj pistolety.

– A więc gdy trwacie panowie w zamiarze, rozpoczynam moją funkcję. Pan baron podobno strzelać nie umie?

– Jest na to sposób. Nabij Szymonie jeden pistolet kulą, drugi prochem tylko. Kto wybierze kulę, zginie z własnej ręki.

Panu Szymonowi zaiskrzyły się oczy. Pańko to spostrzegł i pokiwał głową: „Coś tu jest!” – mruknął.

– Uczynię, jak chcecie, panowie – mówił pan Szymon, nabijając pistolety, a położywszy oba na trawie, spojrzął znacząco na barona.

– Panowie, przebaczcie! – rozpoczął pan Szymon, odstąpiwszy na parę kroków. – Za chwilę jeden z was zginie – moment uroczysty...

¹⁶¹ *Ulica Bulwarna* – jedna z ulic w Kamieńcu Podolskim; dziś – ulica Szewczenki.

– Ale ty, Szymonie – przerwał mu hrabia – masz minę wcale nieuroczystą!... Dość kazania! Zostawiam ci wybór baronie.

Baron, drżąc, zbliżył się do pistoletów. Spojrzał na pana Szymona i wziął pistolet leżący na prawo. Pańko skrzywił się dziwnie i patrzył na wierzchołki drzew. Odwiedziono kurki. Dwa strzały padły – baron nie żył. Panu Złocickiemu straszliwie twarz się przedłużyła.

– Jak to? – zawołał.

– To nic – ozwał się w tej chwili głos Pańka wychodzącego zza krzaka. – To mała wolta¹⁶², prezesie. Biedny Żydzisko! Nic mu już teraz i *kierbele*¹⁶³ nie pomogą.

Hrabia zimno patrzył na trupa.

– No cóż, panowie, myślicie o niebieskich migdałkach? – zawołał Pańko. – Ruszcie się przecie! Poszukajmy najpierw w pugilaresie... Głupiec Żydzisko nie myślał zapewne o śmierci. Wyręcz go, prezesie! Oto jest wzór jego pisma. Przypomnijmy dawne czasy i pisz pan za nieboszczyka: „Odbieram sobie życie wskutek zawodu, jakiego doznałem w interesach handlowych; umieram śmiercią dobrowolną. Baron Oksman”. Wybornie! Prezes nie stracił nic ze swych zdolności – dowód tego mamy na baronie!...

Pan Złocicki zbladł jak chusta i osłupiałym wzrokiem patrzył na Pańka.

– Pieniądze zabieram – mówił Pańko. – Pugilares z listem przedśmiertnym zostawmy na trawie..., o tak... A teraz, moi panowie, może zechcecie wrócić do powozów, by was na policję zawieziono? O, ludzie! Robią, a nie obliczą z góry! Ale że prezes tak się oszwabił, to nieładnie... Dalej za mną! Wrócimy do miasta drogą bezpieczną. – A zwróciwszy się do trupa, dodał: – Pokpiłeś sprawę, baronciu! Nie trzeba ci było wdawać się z „Trójką”, a szczególnie z prezesem. Chodźcie, panowie!

Tegoż samego wieczora jeszcze Pańko wiódł na osobności rozmowę z panem Szymonem, od której eksprezesowi zimny pot występował na czoło. Pańko przeniósł jego plan najskrytyz.

– Prezesie – kończył ekspowodyr – tracisz mój szacunek! Nie dlatego nawet, że chciałeś śmierci towarzysza, ale że liczyć nie umiesz. Czy wiesz ty o tym, że

¹⁶² *Wolta* – zwód, unik.

¹⁶³ *Ruble*.

hrabina dziś, jutro umrze?... Chciałeś więc trupa dostać za trupa?... Wstydź się, prezesie! Zglupiałeś na obywatelskim chlebie. Chodź, przypatrz się jej.

Pańko uchylił drzwi pokoju hrabiny. Helena usnęła w fotelu przy oknie. Oddech jej był krótki, usta zsiniałe, a na lica wybiegł rumieniec jakby wypieczony. Szymon zadrżał.

– Pańku! – rzekł z cicha. – Ja chcę, ażeby ona żyła!

– Ba! – smutnie odpowiedział ekspowodyr. – Suchoty nie żartują.

– Suchoty! Więc ona umrzeć musi?

– Umrze. I dobrze! Nacierpiała się biedaczka, a wy dwaj w grób ją wpędzi-liście.

– Pańku! Rozerwij pierś i ukąś serce – nie zaboli jak twoje słowa. Ja kocha-łem ją...

– Cicho!

Helena ocknęła się.

– Kto tu? – zapytała.

– Ja, dobra pani.

– Ty, Pańku? Otwórz okno... Tchu mi braknie... Gdzie mąż?

W oku Pańka błysnęła łza współczucia. Helena w milczeniu podała mu rękę.

– Byłeś złodziejem – rzekła – a płaczesz... Parys nie płacze.

– Pani, darujcie mu. Darujcie im obu.

– Niech im to Bóg przebaczy – moje godziny policzone...

W tej chwili Szymon jęknął okropnie i wybiegł z pokoju.

Helena zadrżała.

– To tak jęknęło sumienie – rzekł Pańko – bo my wszyscy moglibyśmy być ludźmi... Pani, to Szymon...

– O, boli mię tu..., tu... – i wskazała na piersi, kaszląc krwią.

W tym czasie hrabia był u Karoliny.

—

Pan Szymon spiesznie wyjechał z Kijowa.

Po pogrzebie wdowa po baronie udała się na stałe mieszkanie do Warszawy. Hrabia wymógł to na Helenie, że również pojechali do stolicy. Na Ukrainie zo-stał Iwan – sprawa milionów kazała mu zapomnieć o sobie. I nikt nie wiedział, że w jego sercu ból jest niezmierny, że w tej jasnej duszy Mołyła zapomniał o sobie, poświęciwszy się dla innych.

Pańko przez parę tygodni był na slobodzie, w gościnie u Moły. Bardziej aniżeli księdza słucał jego słów, kochał go i czcil, ale poprawić się nie dał.

– Inaczej mię czarownica zaklęła – mówił. – Kiedym nie utonął dotychczas, to niezawodnie powisnę. Ot, żal mi tylko moich paniczów. Mnie i sobie wiek skwasili. Hej, hej! Gdyby nie to, co by to już za życie było!... Nie zatrzymujcie mnie, łaskawy panie, nie rozżalajcie, dobrzy ludzie, bo dalibóg ja poczciwym być nie mogę! Bywajcie zdrowi, a ja w świat muszę ruszać. Dobrej pani już chyba śmierć poradzi. Mnie tam nie ma co robić i wy panie nic nie dokażecie... Z paniczami obaczę się jeszcze nieraz, a i do was zajdę kiedy. *Buwajcie zdrowi*¹⁶⁴ a dajcie jeszcze czarkę!

*Kołyb ne taja sywucha,
Oj, zhynuwałeb ja jak mucha*¹⁶⁵.

– I mnie wiek zepsuli, i sami nie zaznali życia! Niech im tam... Bywajcie zdrowi, a jakże powieszą, to wspomnijcie nie złym słowem.

Nogom nie do ziemi,
Głowie nie do nieba,
Każdemu zuchowi
Tak umrzeć potrzeba!

– Hu, ha! Niech żyje „Trójka!”.

Pańko znikł ze slobody.

Moły pisał wiele, jeździł, mówił i pracą dla sprawy ogólnej głuszył jęk własnego serca. A życie Heleny płonęło niby dopalająca się świeca.

VII. LOLA

W Warszawie stan zdrowia Heleny pogarszał się z dniem każdym. Suchoty postępowały gwałtownie, Helena dogorywała samotna, bo hrabiego wszyscy interesowali, ale nie żona. Widoku jej nie znosił, czuł nawet ciężar, że pod jednym

¹⁶⁴ *Bywajcie zdrowi.*

¹⁶⁵ *Gdyby nie ta siwucha,
Oj, przypadłbym jak ta mucha.*

z nią dachem zostaje. Żona mu nic nie zrobiła złego, hrabia z ust jej przykrego nie usłyszał słowa ani spojrzaniem nie czyniła mu wyrzutów... – mimo to jednak hrabiego coś odpychało od biednej męczennicy. Wolałby już skargi, narzekania, wyrzuty aniżeli tę grobu ciszę, ten spokój kobiety, każący się domyślać wielkich cierpień duszy. Nawet widok syna nie był ojcu przyjemnym: zastawał go przy matce, a gdy malec spostrzegł wchodzącego ojca, wnet rzucał się ku Helenie, jakby ją chcąc zasłonić przed napaścią, i do hrabiego nie zbliżał się z pieszczotami, nawet lękał się jego widoku.

„Coś mię dzieli od was” – myślał hrabia, patrząc na żonę i syna. Bał się do-badywać przyczyny rozdziału, bo sumienie w nim wskazałoby winowajcę. Hrabia w takich razach opuszczał dom – zgryziony, gniewny na wszystko – i najczęściej znajdował się w salonie baronowej. Tu go zza chmur domowego pożycia witało słońce uśmiechu Karoliny, nieco jesienne wprawdzie, ale świecące przynajmniej, gdy tam...

– Co ci to, mój drogi? – pytała baronowa.

– Karolino! – była odpowiedź hrabiego. – Zrób, ażebym znowu został Ku-busiem, a wieki całe kochać cię będę!

– Dla mnie jesteś nim zawsze.

– Ale dla mnie?... Ta kobieta do grobu mię wtrąci.

– Sądzę, że ciebie uprzedzi... Ona w suchotach.

Hrabia zadrżał.

– Przynajmniej ja temu winien nie jestem!... Umrzeć – dumiał głośno – umrzeć to zapomnieć o cierpieniach. A Helena cierpi... Czyliż moja w tym wina? Nie stworzyliśmy dla siebie... Karolino, Karolino! – wołał hrabia szczególniejszym głosem. – Dlaczego zawsze spętany jestem, skutny?...

Na zmartwienie hrabia szukał ratunku. Przed wszystkim starał się nigdy nie być samotnym, a chociaż go wizyty nudziły, a w salonach czuł się niewymownie zmęczonym, znośniejszym to jednak było dlań aniżeli dom własny, widok żony albo też myśli dręczące hrabiego w samotności. Widowiska nastrecały rozrywkę Parysowi, co wieczora więc był w teatrze na operze lub balecie. Wreszcie wszedł w koło „złotej młodzieży”¹⁶⁶ – kapłanów Bachusa i Wenery...¹⁶⁷ Lazł w piekło, byle wpływ Heleny nie dosięgnął go swoją świętością. Tak upłynęło kilka miesięcy.

¹⁶⁶ *Złota młodzież* – młodzież prowadząca dostatni, beztroski i zwykle próżniaczy tryb życia.

¹⁶⁷ *Bachus i Wenera* – bogowie rzymscy; tu jako symbol zabawy i próżnego życia.

Żaden chory nie wzbudza większej litości jak suchotnik. To konanie powolne, śmierć niechybna, a przy tym chęć życia i kłamana wiara, że unikniemy śmierci – jakże to bardzo przypomina życie ludzkie!... Żyjąc, konamy, tak pragniemy życia... a w nieśmiertelność wierzących śmierć zabiera.

Helena przeczuwała, że umrze, ale jej żyć potrzeba dla syna. O, gdyby nie to dziecko, z jakąż rozkoszą oczekiwałyby chwili śmierci! Teraz jej smutno, drży i myśl o śmierci odpycha. Iwaś ruszył się w łóżeczku – czuła matka była już przy nim; ugina kolan – błaga Pana zastępów o szczęście dla syna. Czy Bóg modlitw wysłucha?...

Po modlitwie Helena usiadła przy oknie, zapatrzona w niebo. Noc księżycowa, przestrzeń wieczności obrazem będąca tysiączne myśli nasuwa... Zadumaną ocknęły niewyraźne krzyki ulicą – ujrzała biegnących: za kobietą pędziło kilku mężczyzn. Uciekająca snać spostrzegła Helenę w oknie, krzyknęła: „Ratunku!” i upadła pod kamienicą. W tej chwili kilku goniących wpadło na ofiarę i jeden z nich rękę po nią wyciągnął. Helena krzyknęła na ten widok i bezwiednie uchwyciwszy jeden z wazonów cisnęła nim na napastników.

– Precz, nikczemni! – krzyknęła.

Napastujący spostrzegłszy, że ofiara znalazła pomoc, odstąpili jej i wkrótce znikli w zakręcie ulicy. Ze śpiewek paryskich i wykrzykników można w nich było poznać „złotą młodzież” Warszawy.

Wysłana przez Helenę służba wniosła do pokoju omdlałą kobietę. Była to dziewczyna najwięcej szesnastoletnia. Piękne jej rysy pobladły, włosy w nieładzie spadały na skronie. Helena, trzeźwiąc omdlałą, ze współczuciem i zajęciem patrzyła w bladą twarz dziewczęcia. Nieznajoma odzyskała przytomność, a spojrzawszy na Helenę, przycisnęła jej rękę do ust.

– Bóg zapłać, dobra pani – rzekła – żeście uratowali sierotę.

Sierota! Jakże to słowo przemawia do serca...

Helena przycisnęła nieznajomą do piersi, łzami na jej łzy odpowiadając.

– Tyś sierota?... O, moja droga! A jesteś tak młoda... Biedna!... Nie płacz... Nieszczęśliwi wiedzą, co jest nieszczęście. Ja cię nie opuszczę... Będę twą siostrą...

– Pani! Pani – wołało ze łzami dziewczę. – Niech wam Bóg płaci... Jam już dawno słów takich nie słyszała!...

– O, moja droga! – ścisnęła ją Helena. – Ale jak cię mam nazywać? Jakie masz imię?

– Lola – wydzwijało dziewczę.

– Droga moja Lolo! Teraz cię już Kocham, a czuję, że pokocham bardziej jeszcze.

– Pani jesteś aniołem!... Wiesz tylko, że jestem biedną... O, to prawda, że biedna! – Tu gęste łzy zalały jej ładną twarzyczkę. Po chwili milczenia mówiła dalej: – Jeśli chcesz, opowiem pani wszystko, bo Lola wiele, wiele cierpiała. Posłuchasz mnie, pani?

– Z największą chęcią, moja droga. Ale może ci to przykrość sprawia, więc nie mów.

– O, nie! Od tak dawna pragnęłam wypowiedzieć, co mi na sercu ciąży, ale dla Loli serca nikt nie miał, chociaż nikomu nie zrobiłam nic złego.

Helena pocałowała ją w czoło, rozgarnawszy jasne włosy dziewczęcia.

– Biedna Lolo – rzekła. – Ale siądź tu przy mnie.

– Nie, pani. Ja tu, u nóg twych, siędę. Będę ci patrzeć w oczy. One musiały wiele łez przelać.

Helena stłumiła gwałtem wydobywające się westchnienie.

– Słucham cię, moja droga.

– Moi rodzice byli paryżanie – rozpoczęła swą opowieść Lola. – Ojciec pracował w fabryce, mama dnie i noce szyła. A miała taką śliczną twarz i malutką rączkę, że kto ją tylko obaczył na ulicy, stawał i patrzył długo, długo. Ojciec się za to gniewał bardzo i mama nigdy nie wychodziła z izdebki. A mieliśmy w niej wilgoć i mamie to szkodziło. Mama często bardzo płakała przy mnie, patrząc na obrazek pięknej jakiejś panienki, a jak urosłam już taka, że mamie szyć pomagała, to powiedziała mi, że nie jest Francuzką, i w sekrecie przed ojcem zaczęła mnie uczyć po polsku. Ja mamę kochałam bardzo i lubiłam, gdy rozmawiała ze mną jej mową; moja mama zawsze tęskniła za ojczyzną... Nie wiem, jak się to stało, ale pewnego dnia przynieśli ojca ciężko ranionego i powiedziawszy coś mamie, umarł. Później dużo innych widzieliśmy trupów i ranionych i z mamą poszliśmy daleko. Mama płakała wciąż, a mnie się wiele podobało krajów i miast przez które przechodziłyśmy. Po dwóch latach, bo mama pieniędzy nie miała, przybyliśmy do Warszawy. Jakaś pani dała nam u siebie przytułek i pracowałyśmy obie; sąsiadka nauczyła mnie czytać i pisać i teraz jeszcze umiem. Później odmówiono nam mieszkania, bo sama pani wyjechała. Najęłyśmy izdebkę ze starą kobietą Katarzyną...

Lola otarła dwie duże łzy, które jej na rzęsy spłynęły, i mówiła dalej:

– Mama umarła..., a ja zostałam z tą starą kobietą... Przed śmiercią dała mi mama obrazek, przed którym tak często płakała, mówiąc, że ładna panienka

była jej matką, ale nie kazała mi o tym mówić nikomu. O, ona pani nie знаła! Ja nie mam grzechu, że jej to mówię?...

– Nie masz, moja droga – uspokoila Lolę Helena. – Pokaż mi ten obrazek. Piękną była twa babka – dodała hrabina, przypatrzawszy się miniaturze.

– I mama była śliczną – rzekła Lola – ale Bóg jej szczęścia nie dał.

Helena westchnęła.

– Cóż później było? Zostałaś z Katarzyną...

– A, to niedobra kobieta! Pracowałam na nią długo, a wciąż mi wymawiała suchy chleb, który jadłam, i jedną starą sukienkę, bo miałam tylko jedną. Ale to jeszcze nic. Mówiono mi, że dorostałam lat czterem. Słyszałam mówiących, że jestem ładną... A to miło słyszeć, gdy chwala, ale cóż, kiedy nie miałam ani sukni, ani trzewika. Smutno mi było bardzo. Dwa lata temu na wiosnę szłam nocą z roboty w jednej sukience tylko, bez chustki. Było mi zimno, ręce skostniały, nie miałam siły iść dalej i upadłam koło Panny Marii. Zaczęłam płakać i modlić się. Później zrobiło mi się dobrze, tak jakoś przyjemnie... Obaczyłam jasność... Mama w bieli z gwiazdami na głowie..., uśmiechała się, wołając mnie do siebie, a ja szłam do niej wysoko..., wysoko... Ocknęłam się w obcej jakiejś malutkiej izdebce. Koło mnie klęczał nieznajomy mężczyzna i płakał. On mnie wyratował od śmierci, on jeden nie śmiał się z łez moich. To był Piotruś, czeladnik ciesielski. Piotruś mnie kochał bardzo i ja go równie kochałam od serca. On był taki dobry... Prawda, pani, że Lola grzechu za to nie ma?

Helena przycisnęła ją do piersi.

– Cóż więcej, moja droga?

– O, tu już bardzo smutne – westchnęło dziewczę i łzy stanęły w jej czarnych oczach. – Piotrusia wzięli do wojska, a ja znów zostałam samą na tym świecie. Chciałam umrzeć, ale on żyć mi kazał, czekać na niego... Mieszkałam zawsze z Katarzyną. Ona niedobra śmiała się z łez, które lałam za Piotrusiem i namawiała mnie, ażeby pójść do wielkich panów, którzy mi dużo, dużo złota dadzą i suknie aksamitowe. Ale mi tego nie trzeba! Co bym ja u nich robiła? Śmieliby się ze mnie. Prawda, pani?

– O, gorszy jeszcze los by cię spotkał!...

– Gniewałam się nawet na Katarzynę. A ta powiedziała, że jestem głupia z moim Piotrusiem, i dała mi pokój. Później wielu panów kłaniało mi się na ulicy i zaczęli rozmowę, ale ja nie odpowiadałam żadnemu. Potem przychodziły do mnie rozmaite kobiety, namawiając do tego, co Katarzyna. Nawet mi grozili..., ale

mi Piotruś był na myśli i mama nieboszczka... Nie słuchałam namowy i dano mi wreszcie spokój. Kilka dni temu, nie wiem dlaczego, odmówiono mi roboty, gdzie ją miałam dawniej, a Katarzyna dziś wypędziła mnie z domu. Poszłam, płacząc. Jeden z tych panów, co dawniej rozmawiali ze mną, spotkał mnie płaczącą i prosił do swego domu, gdzie miałam znaleźć wszystko, ale mnie wielki lęk wziął i nie przyjął gościny. Długo modliłam się przed kościołem, potem poszłam ulicami, bez celu... Kilku pijanych panów idących ulicą wpadli na mnie, a jeden z nich wziął mnie w pół... Z żalu i gniewu uderzyłam go mocno i zaczęłam uciekać. Ci panowie za mną, ale że byli pijani, kilku tylko gonilo mnie tak długo, aż bez tchu padłam tu, pod oknem. O, dziękuję wam, pani, dziękuję, żeście mnie wyratowali.

Helena ścisnęła płaczącą.

– Uspokój się, moja droga! Tu jesteś bezpieczną, ja cię nie opuszczę. Lolu, godzina późna – ty potrzebujesz spoczynku. Oto jest twój pokój. Może głodną jesteś?

– Nie, dobra pani. Nie jadłam nic, ale mi się jeść nie chce...

– A więc dobranoc ci – śpij spokojnie.

Lola stanęła przed Heleną, a patrząc się długo w oczy, rzuciła się jej ze łzami na szyję.

Niemym uścisk był wymowniejszy niż słowa.

Lola udała się do przeznaczonego dla niej pokoju. Helena westchnęła:

– Biedne dziecię!

Nazajutrz hrabia dowiedział się od lokaja o nocnej awanturze i o tym, że pani przyjęła pannę do siebie, kazała ubrać i to jest bardzo piękna panna, a na imię jej Lola. Hrabia uśmiechnął się: „Ptaszek wpadł do klatki” – pomyślał i począł się ubierać.

– Pierwszy raz jestem zadowolony z hrabiny – rzekł półgłosem, przeglądając się w lustrze.

Wbrew zwyczajowi hrabia uwiadomił żonę, że będzie w domu na obiedzie. Helenie żywiej zabiło serce. O, ona kocha Parysa jak dawniej!

Zbliżyła się godzina obiadowa. Helena z Lolą siedziały przy stole, podano wazę. W tej chwili wszedł hrabia. Lola zadrżała na jego widok. Parys miał czoło przewiązane chustką. Helena ujrzawszy to, wstała żywo od stołu.

– Co ci to, mój drogi?! – zapytała niespokojnie.

– Mała nieostrożność. Tyłu niezgrabusów chodzi ulicą. Jak twoje zdrowie, Heleno?

– Dziękuję ci – jak zawsze... Ale przebacz: to moja przyjaciółka Lola, to mąż...

– Pani! – rzekł hrabia, z całą układnością kłaniając się Loli, drżącej wewnętrzzną trwogą.

– Pozwólcie panie, że was poproszę, byście zajęły wasze miejsca.

Hrabia pożerał spojrzeniem zawsze jeszcze drżącą Lolę. „Nie wiedziałem, że jest tak piękną” – pomyślał. Parys był w dobrem usposobieniu przez cały ciąg obiadu, z uprzejmością i galanterią usługiwał damom.

Helena była szczęśliwą. Lola uspokoić się nie mogła – czuła cały ciężar spojrzenia hrabiego, którym ją przykuwał do miejsca. I westchnęła z pełnej piersi, znalazłszy się w pokoju z Heleną i jej synkiem, którego pokochała sercem całym.

Od tej chwili hrabia częstszym był gościem w domu, czułym dla żony, uprzedzająco grzecznym dla Loli, a niezbyt go interesowały narzekania Karoliny i wyrzuty biesiadowych przyjaciół. Lola pogodziła hrabiego z życiem. Biedne dziewczę nie na próżno drżało przed spojrzeniami, które ciskał nań hrabia...

Kilka miesięcy życia Helena również winną była Loli. Dziewczę tak wielkie okazywało do niej przywiązanie, tak ją kochała szczerze, a z niewinnego serca umiała wysnuć tyle uroczych pieszczot, że Helena, patrząc na nią, godziła się ze swym losem, dziękując Bogu, iż dni jej ostatnie nie są pozbawione promieni świetlanych, które rodzi szczerą, nieklamana przyjaźń. Lola również kochała małego Iwasia. Śliczneż bo to było dzieciątko! Smutek matczyny widniał już z jego twarzyczki, ale i dobroć Heleny była w jej małym synku, który podzielił swą miłość między matkę i Lolę i smutnym był, jeśli obie nie były przy nim, gdy ich pieszczotliwego głosu nie słyszał. Często dłużej wpatrywał się w oblicze matki i twarzyczkę Loli, jakby pragnąc w nich co odkryć, wreszcie uśmiechał się słodko i padał w objęcia jednej lub drugiej, obie całując namiętnie. Lola tylko czuła niewytłumaczony lęk na widok hrabiego; często nawet ze snu budziła dziewczę myśl o nim. A przecież mimo tę bojaźń Lola w rysach hrabiego spostrzegała coś jej krewnego, coś co obcym dla niej nie było... i długo pewnego razu patrzyła na wizerunek babki, jej rysy z rysami hrabiego porównywując... Dziwne uczucie ośwładnęło Lolę. Drży na widok hrabiego, a przecież jest coś, co ją ku niemu przyciąga.

Jak rzecz każda inna znudziła hrabiego greczność, którą okazywał dla Loli. Zapragnął ją ująć sobie i pośrednio wpięrow, bezpośrednio później oświadczył jej swą wolę. Odpowiedzią było milczenie dziewczęcia wymowniejsze nad słowa

i ten wzrok, który niewinności służy za oręż niezwalczony. Tknięty tym hrabia ustąpił, przeprosił nawet obrażoną i czas jakiś pozostał samotnym. Wszedł w samego siebie... i po kilku dniach zawyrokował, że nie ma powodów czynić sobie żadnych wyrzutów.

– Dziewczyna z gminu – rozważał. – Czyliż to nie jest zaszczytem dla niej?!... Przepuścimy wreszcie, że dumną być z tego nie ma potrzeby, czyliż to jej ubliża?... Nie znam przeszłości, przyszłość jednak niewątpliwie będzie taką, jak myślę, a więc... – gdy ma być czyją inną – moją zostanie! A Helena?... Ach, ta wiecznie konająca, czemuż mię raz już nie uwolni od przykrej swej obecności? Być przykutym do trupa – rzecz nieznośna, okropna! Jeśli nie pęknie, sam ten łańcuch przerwę, bo sił mi nie staje być cierpliwym dłużej!

Upłynął tydzień, drugi. Hrabia był przygotowanym na opór, nigdy jednak nie myślał, ażeby z cnotą walczyć mu przypadło, a Lola była niewinną. Nikczemne propozycje hrabiego zakrwawiały serce biednej dziewczyny... A smutnej twarzy i łzy okazywać nie było wolno: hrabina dostrzeże smutek Loli, będzie zmartwioną, a gdy zechce dowiedzieć się powodów, zabić to ją może, a Lola kocha Helenę, Helena jest wszystkim dla niej!... I dziewczę milczało, dla Heleny i jej syna uśmiech mając na twarzy, a dla siebie wielki ból serca, i nocą tylko samotnymi łzami czyniła mu ulgę.

Hrabiego trawiła gorączka żądz. Coraz to bardziej nienawidził żonę, co rano wypytując lokaja, czy żyje.

– Żyje!... Czy ten trup wiecznie mię dręczyć będzie? Niebo albo doświadcza mej cierpliwości, albo z niewczesną karą się wybrało – ta dziewczyna musi być moją, chociażby się piekło przeciw mnie sprzyściło!

Czy hrabia kochał Lolę? Nieraz sam siebie zapytywał o to. Nie! Ale w tej dziewczynie jest coś, co mu się niewymownie podoba, a tego dość, by nie odstąpić od zamiaru. Lecz hrabina... Parys myślał przez chwilę, wreszcie zadzwonił. Wszedł służący. Hrabia był błądy, w twarzy jego znać było wyraz niecofnionego postanowienia.

– Daję ci do wyboru – rzekł do lokaja głosem suchym. – Ten worek albo precz ze służby.

Lokaj uklonił się z pokorą, czekając na wytłumaczenie.

– Nie potrzebujesz nic myśleć – mówił hrabia z naciskiem. – Po kwadransie wróć z miasta, i z przerażeniem opowiedz hrabinie, żeś mnie trupem widział...

- Jak to, jasnie panie? – zapytał lokaj, zdziwiony rozkazem.
- Zastrzelony, zarżnięty... mniejsza o to – trup! I trumnę sprowadź do domu.

Ruszaj!

Lokaj osłupiał.

- Wybierasz więc?... – pytał hrabia.
- Idę, jasny panie.
- Pamiętaj, nie dłużej jak kwadrans!

Lokaj wyszedł. A służba umie być głuchą na głos sumienia, a sumienną w wypełnieniu rozkazów, często niesumiennych. Płatny sługus zawahał się chwilę, wreszcie skrupuły ustąpiły – poszedł do miasta.

Hrabia wielkimi krokami przemierzał pokój, z głową ku piersi pochyloną, bez myśli, a może pod nawałem myśli. Zapomniał o postanowieniu i o wydanym rozkazie. Z zadumy wyrwał go krzyk rozpacz, dolatujący z pokojów żony. Hrabia zadrżał i chwycił się poręczy fotelu.

- Umrze – szepnęła, a serce bić mu przestało.

W tej chwili usłyszał kroki na schodach i głos Heleny wołającej:

- Gdzie on? Gdzie? Puszczajcie mię!

Hrabia wyprężył się cały, dziwna siła pchnęła go ku drzwiom. Znalazł się przed domem w chwili, gdy służba karawanowa wносиła trumnę. Helena z jękiem rzuciła się ku tragarzom, a wraz usłyszała za sobą głos Parysa, zapytującego:

- Co się tu dzieje?

Na ten głos Helena krzyknęła i upadła przy nogach męża.

- Mówiono, żeś umarł – szepnęła.

- Precz z tym wszystkim! – zawołał hrabia. – Zabiliście mi żonę.

- Doktora! – wołała Lola, trzeźwiąc hrabinę. – Żyje, przychodzi do siebie.

– Żyje – wycedził hrabia. – Czy pewnie żyje? – zapytał, schylając się nad żoną.

- Parysie! – szepnęła Helena, przychodząc do przytomności.

Hrabia odskoczył.

- Piekło przeciw mnie! – mówił w duchu, wchodząc na schody.

Hrabinę zaniesiono do jej pokojów. Przybył lekarz. Hrabia zamknął się w swym gabinecie. Parys dopiął zamiaru. Od okropnej sceny, którąśmy opisali, Helena nie wstawała z łóżka. Śmierć była nieuniknioną – lekarze nie obiecywali jej dłuższego życia nad parę tygodni. Za każdą taką wieść hrabia opłacał lekarza. Drżał niecierpliwie, oczekując śmierci żony.

Lokaj opłacony sownicą, milczał. Czy i Helena nie domyśliła się zamiaru hrabiego przyspieszenia jej śmierci – nikt nie wiedział również.

Najsmutniejszą była Lola. Bolesna to rzecz patrzeć na konanie drogiej nam istoty!... A Lola kochała Helenę. Z jej śmiercią znów zostanie sierotą.

– Droga Lolu, nie płacz – głosem cichym mówiła Helena. – Dla nieszczęśliwych śmierć jest szczęściem. Wkrótce połączę się z matką... ojcem... Tam nie ma łez, cierpień nie ma... tam będę szczęśliwą...

Lola zalewała się łzami.

– Pani! Heleno! Nie mów tak smutnie. Ty nie umrzesz!... Ty żyć będziesz!...

Bolesny uśmiech wybiegł na usta Heleny. Skinęła ręką.

– Lolu, kochasz mego syna? – zapytała.

Dziewczę rzuciło się w stronę łóżeczka dzieciny.

– O, któżby – zawołała – nie kochał twego syna, pani!

– Kochaj go. Nie zapominajcie o nim... Pozostanie sierotą... Ty będziesz szczęśliwą, Lolu... Poczyniłam starania... Twój Piotr będzie wolny... Senno mi..., zostaw mię samą...

Lola w milczeniu pocałowała wychudłą rękę Heleny i wyszła z pokoju. W salonie oczekiwał na nią Parys. Na widok hrabiego Lola cofnęła się z przerażeniem. Hrabia uchwycił drobną rączkę dziewczęcia.

– Słyszałem waszą rozmowę – rzekł głosem drżącym. – Ty musisz być moją!...

Lola z oburzeniem wyrwała swą rękę.

– Panie hrabio! – chciała powiedzieć ostro, a łzy ją zalały rześiste. Zza łez tych wyglądała tak cudownie, że hrabia po raz pierwszy uczył, iż ma jeszcze serce.

– Lolu, ty mię nienawidzisz?... A przecież... Mógłbym ci powiedzieć, że cię kocham...

– O! – gorzko zaśmiało się dziewczę, wzrokiem wskazując pokój hrabiny.

– Tej nie kochałem nigdy.

– A przecież ona jest aniołem!

– Dla mnie ty jesteś aniołem, Lolu! – zawołał hrabia namiętnie. – Kocham cię!

– Ciszej hrabio, bo gdyby Bóg usnął, wyznanie twoje żonę obudzić może!

Hrabia pierwszy raz słyszał Lolę takim tonem mówiącą i dziwnie na nią spojrział.

– Puść mię pan! Chora ocknęła się.

Hrabia zadrżał.

– Słuchaj mnie... Może bym tego mówić nie powinien... Dziewczyno, módl się ty, by hrabina zasnęła na wieki!...

– Potworo! – wykrzyknęła Lola.

– Módl się, powiadam, bo zostaniesz hrabiną. Cóż? Nie rzucasz mi się na szyję? Nie padasz w objęcia?...

Hrabia puścił Lolę i z otwartymi ramionami oczekiwał na uścisk. Oburzenie odjęło zmysły dziewczynie.

– Nie dziękujesz mi, Lolu? – pytał hrabia namiętnie.

Dziewczę ocknęło się.

– Plwam ci w twarz, nikczemny!

Jak wąż, gdy mu ogon przydepczą, porwał się hrabia.

– Tak?! – zawołał, a oczy krwią mu zabiegły. – Tak mi odpowiadasz?!... Więc cofam me słowa! Nie żoną moją będziesz, ale...

Hrabia skamieniał: widmo Heleny stanęło przed nim. W milczeniu spojrzała na męża i wzięwszy Lolę za rękę, poprowadziła drżącą do pokoju.

Hrabia stał niemy przez chwilę, aż straszny płomień zalał mu piersi.

– Trup! Trup! – wykrzyknął dziko. – Trup mi życie zabiera... Do grobu z trupem! – i szalony wpadł do pokoju żony.

W tej chwili melodyjnie a przerażająco ozwał się dzwon za konających. Helena i Maria odmawiały cichą modlitwę. Chwila to uroczysta! Hrabia w milczeniu wycofał się z pokoju żony, zamknął się w gabinecie i przez dwa dni nie przyjmował nikogo.

Helena czuła zbliżającą się godzinę śmierci i sztafetą¹⁶⁸ zawezwała Mohyłę, by przybywał do Warszawy. List znalazł Iwana daleko od slobody, pracującego nad dziełem, w którym spoczywała przyszłość. Nie zwlekając, dniem i nocą pędził do Warszawy.

Trzecia doba samotności upływała hrabiemu na tajemniczym dumaniu – jakiś plan dojrzewał w jego umyśle. Wreszcie z uderzeniem drugiej z północy hrabia wyrzekł grobowo:

– Tak być musi!

¹⁶⁸ *Sztafeta* – goniec, posłaniec.

Wziął krytą lampkę ze stołu i wyszedł. Uchylił drzwi sypialni żony. Cisza. Krótki, przerywany oddech hrabiny świadczył, że chora usnęła. Hrabia jak cień przesunął się do pokoju Loli. Uchylił zasłonę latarki. Światło smugą padło na twarz uspiętej. Ognie zagorzały w piersi Parysa... Lola przez sen wymawia jakieś niewyraźne słowa: „Piotruś... Helena... hrabia...”. Hrabia nachylił się, by lepiej usłyszeć i zadrżał. Lola trzymała na piersi medalionik... To rysy matki hrabiego! Skąd portret hrabiny u Loli, dziecka ulicy? Widok medalionu musiał silnie podziałać na hrabiego, gdyż zapomniał o wszystkim i wzięwszy go z rąk śpiącej, wyszedł z sypialni.

W swoim pokoju hrabia długo przypatrywał się medalionowi. Nie dowierzając samemu sobie, porównał go z innymi portretami matki – to jej wizerunek! Hrabia długo myślał. Opatrzył medalion: sprężyny nie ma nigdzie; nożem złamał oprawę – napis: „Mario, przebacz grzech matki. Módl się za Eulalię i Ewarysta. Dwa małe zвитki włosów. Zatarty napis: „Paryż, rok 18...”.

Hrabia porwał się gorączkowo z siedzenia. W tej chwili wzrok jego padł na drzewo genealogiczne Porowskich. Teraz dopiero zrozumiał znaczenie czarnego punktu, umieszczonego pod imieniem Eulalii. Parys porwał książkę ojca i czytał skwapliwie jej ustępy. Tysięczne niedorzeczności, które zapisywał szalony, tylko rozniewały hrabiego. Cisnął książkę... Odwrotna strona okładki okazała wymalowany herb Porawę i napis drobnymi literami. Hrabia czytał:

Victoria Porawa!
Z „Porawą” zła sprawa.
Paryska zabawa
Czarny punkcik dawa.

A kiedyś ciekawy
Znać sprawy Porawy,
Poszukaj w dzienniku
Loli. Kukuriku!

– Dziennik! – Hrabia zaczął szukać między papierami pozostałymi po ojcu i panu Kubie, które na szczęście przywieziono mu wraz z biblioteką do Warszawy. O dziewiątej zastał go lokaj czytającego pilnie rękopis. Wejście służącego obudziło Parysa.

- Umarła hrabina?
- Żyje, jasny panie.

– Idź do panny i zapytaj, jak było na imię jej matce?

Lokaj wyszedł i wrócił po chwili.

– Powiada panna, że Maria.

Hrabia zadrżał.

– Dobrze. Idź precz! – Maria! – dumiał hrabia po wyjściu lokaja. – Lola zatem jest córką mej siostry. Cha, cha, cha! Los nowe wyszukuje mi zawady, dzieli mię od niej. Na próżno! Nie jestem tak głupim, by związki krwi kępować mię miały, a zresztą, ja tylko jeden wiem, kim dla mnie jest ta dziewczyna... Czy ta Helena wiecznie żyć będzie?... Ha, spróbujemy jeszcze tego sposobu: gdy się okaże niepraktycznym, nie zbywa na innych!... Muszę upokorzyć tę hardą dziewczynę! Miałażby doprawdy krew tak wiele znaczyć?

VIII. SKON

Pan Szymon był przekonany, że kochał Helenę, że ona jedna zdolną była uczynić go szczęśliwym i pocziwym. W zamian za obojętność, nienawiść Parysa dawał jej Szymon swą miłość – odepchnęła go.

Eksprezes miał zwierzęcą naturę – co mu nie dawano dobrowolnie, zwykł brać siłą. Byłby zmusił Helenę do zerwania z Parysem, byłby ją posiadał, gdyby... nie okoliczności, bo nie chciał się przyznać, że Pańko stanął mu zaporą nieprzebytą.

– Cóż ma teraz Helena, mnie odepchnąwszy? Cierpienie i grób. Na jej uprze wyszliśmy źle wszyscy: ona, Parys i ja, który kocham tę kobietę, kocham ją mimo wszystko!...

Tak myślał pan Szymon, wracając z Kijowa do swego majątku, a niepomny na interesa wymagające jego przytomności wszędzie po raz pierwszy w życiu zamknął się w swoim pokoju i przez tydzień cały nikogo nie przyjmował u siebie.

Po tygodniu klucznica zrobiła uwagę kamerdynerowi, że jasny pan zmizerniał znacznie i przybył mu nowy zmarszczek na czole, na co w zupełności zgodził się kamerdyner.

Dnia siódmego wyszedł pan Szymon do ogrodu i godzinę przeszło błąkał się samotny po alejach. Wrócił do gabinetu: pisał coś długo, wreszcie kazał dać wody, umył się i ubrany stanął przy oknie. Na stole pomiędzy innymi rzeczami

stały oprawne dagerotypy¹⁶⁹ hrabiego i hrabiny. Pan Szymon wziął do ręki portret Heleny i długo się weń wpatrywał. Po chwili rzekł półgłosem:

– Stracona dla mnie na zawsze! Skarb dostał się temu, który go poznać i ocenić nie umiał! Helena wkrótce umrze... Dla mnie jest już umarłą. Dość myśleć o niej!

Zamknął dagerotyp w kantorku, a chowając klucz pomyślał:

– Gdy zechcę się odświeżyć, być pocciwszym, popatrzę na jej rysy. O, Heleno, czemuś tak postąpiła nieogłędnie?...

Od chwili, w której portret Heleny zamknięty został w biurku, pan Szymon wrócił do dawniejszego trybu życia. Bił włościan, odzierał, kogo mógł, procesował się, z kim chciał; czynnym był nieustannie, zaledwie parę godzin na dobę poświęcając wypoczynkowi. Pan Złocicki miał zadatki skąpstwa. Teraz wada ta wystąpiła w nim z całą potęgą. Ani się spostrzegł Szymon, jak z dniem każdym stając się większym skąpcem, po kilku miesiącach przeszedł okolicznych mistrzów w sztuce zaoszczędzania się – sobie i wszystkim prawie wszystkiego odmówił! Była to niewątpliwie choroba, skutek walki, którą toczył Szymon, by zniszczyć ostatki uczucia, wygnąć z siebie wspomnienia Heleny. Niemniej jednak była to choroba straszna! Nie ubiegło pół roku – pan Szymon został cieniem tylko; wszystko, co go otaczało, pochudło.

Najbardziej cierpiała pani Bartłomiejowa. Gdy z płaczem skarżyła się synowi, że głód znosi, syn na Ewangelię przysięgał, że je mniej od matki, „bo o s z c z ę d z a ć się musi, żył za pańsko dotychczas...”.

Okoliczna szlachta ze zgrozą mówiła między sobą o szczególniejszej zmianie pana Złocickiego. Włościanie po naradzie dali na akafest¹⁷⁰, byle pan przyszedł do rozumu, gdyż całą wieś zamorzy głodem, pan Szymon bowiem zdzierał włościan jeszcze bardziej, natomiast o udzieleniu by najmniejszej pomocy nie pozwalał sobie nawet wspominać. Żadnego wyrozumienia nie miał na nic i gdy chłop nie płacił albo nie odrabiał – zabierał wszystko, co ma, sadzał do więzienia, wypędzał z chaty. Po pół roku takiego gospodarzenia wielu z włościan pana Szymona poszło po żebrach, a wsie wyglądały jak po najściu Tatarów. Majątek pana Złocickiego został spustoszony: inwentarz znikł, fabryki stanęły, bo pan Szymon wszystko

¹⁶⁹ *Dagerotyp* – obraz na metalowej płytce otrzymywany metodą naświetlania fotograficznego.

¹⁷⁰ *Akafest (akatyst)* – rodzaj hymnu liturgicznego w Cerkwi prawosławnej.

sprzedawał za bezcen, byle mieć gotówkę. Sam w wytartym odzieniu siedział przy skrzyni i bawił się widokiem złota i srebra!...

Pewnego razu pan Złocicki dzień cały nie wyszedł z zamkniętego pokoju, do którego nikogo nie wpuszczał. Domownikom wydało się to bardzo podejrzanym. Stukali – pan Szymon nie otwierał. Gdy i nazajutrz pan Złocicki nie wyszedł z pokoju, wyłamano drzwi. W pokoju o oknie grubo zakratowanym przy żelaznej skrzyni leżał pan Szymon bez znaku życia, a z miłością cisnął ku piersi worek z dukatami.

Zaczęto trzeźwić pana i posłano po lekarza.

Pan Szymon wprawdzie przyszedł do siebie, ale kilka tygodni wyleżał w gorączce, wciąż marząc głośno o Helenie..., lekarstwie..., Pańku..., pieniądzach. A śmiał się nieraz serdecznie i ręce zacierał jakby z zadowolenia.

Przyszedłszy do przytomności, Szymon zapytał obecnych:

– Co się ze mną dzieje?...

A gdy mu odpowiedziano, że był chorym kilka tygodni, przetarł czoło ręką.

– Gorączka! Musiałem wiele mówić... Co mówiłem? Co?

Odpowiedziano mu, że wymawiał imię Heleny, Parysa, Pańka, Kubusia, mówił o lekarstwie.

– I nic, nic więcej? – drżąc, pytał pan Szymon.

– Nic! – była odpowiedź.

– To dobrze, to bardzo dobrze... Już mogę wstać..., zdrowszy jestem... Och, nie mam siły!... Nie mówiłem nic więcej...

Po kilku dniach pan Szymon wstał z łóżka. W milczeniu wszedł do gabinetu i wyjął z biurka portret Heleny. Patrzył długo na tę twarz łagodną i łza zaświeciła mu w oku.

– Złe lekarstwo obrałem – wyszepnął. – Należało mi patrzeć wciąż na ciebie... Ty musisz być świętą, gdy na twój widok ja płakać mogę... Heleno, ja powinienem być innym!...

– Czy ona żyje jeszcze? – zapytał sam siebie. – Czy patrzy na mnie tam z góry?... – Ta myśl przeraziła go. – Więc wie, jakim byłem! – wykrzyknął, błędąc bardziej jeszcze. – Nie..., nie! Ona żyje. Śmierć jej powinienem był przeczuć... Nie przeczułem... Ona się nie dowie... Bóg grzechy przebacza! Ja moje odpokutuję!...

To mówiąc, wybiegł z pokoju i bił się w piersi ze skruczą. Ze zbudowaniem widziano nazajutrz pana Szymona, jak po spowiedzi przez całą sumę leżał

krzyżem w kościele. Wróciwszy do domu, przywołał najpoczcziwszego ze swych ekonomów, kazał sobie powiedzieć, jakich nadużyć dopuścił się i takowe wynagrodził. O matce również kazał mieć staranie i wyjechał do Warszawy.

Za panem Szymonem i my wróćmy do stolicy.

Od chwili dowiedzenia się, kim jest Lola, hrabia Parys częstym był gościem w pokoju swej żony. Kilka razy na dzień stawał przy jej łóżku, a chwilę popatrzawszy.

– Jeszcze nie umarła! – cedził gniewnie przez zęby i wychodził, na Lolę, zda się, najmniejszej uwagi nie zwracając.

O, jak bolesnym było dla Heleny słyszeć podobne słowa z ust męża, którego tak kochała! Męczennicę utrzymywała przy życiu potrzeba widzenia się z Iwanem przed śmiercią. Przyjąwszy sakramenta, chora, uspokojona, usnęła na chwilę. Obudził ją katowski wzrok hrabiego, który tkwił w niej sztyletem.

– O, czyliż mi umrzeć nie dasz, Parysie? – po raz pierwszy jęknęła Helena. Hrabia odwrócił się – we drzwiach spotkał Iwana.

– A, przybywaj! – wybuchnął śmiechem zjadliwym. – Umrzeć bez ciebie nie może! – I zatrasnął drzwi za sobą.

Iwan stanął zgrozą przejęty.

– Przybywacie wreszcie, panie Iwanie! – wyciągnęła ku niemu rękę Helena.

Iwan upadł przed chorą na kolana, jęknąwszy z piersi męskiej:

– Heleno!

– Nie ma chwili czasu do stracenia... Lolu, przywołaj panów, którzy czekają w tym pokoju... O, dobrze, żeście przybyli, Iwanie... Teraz umrę spokojna...

Przerwało jej wejście do pokoju dwóch ludzi sądowych. Helena skinęła:

– Zostaw nas, Lolu, na chwilę.

Dziewczę łzami zalane wyszło do salonu. Usiadła płacząc na balkonie, a myśli jej były przy umierającej. W tej chwili cichy jęk dobiegł ją z ogrodu. Lola wychyliła się za balkon, patrząc pilnie. W alei, o kroków kilka od domu, spostrzegła kobietę, słabym głosem wołającą ratunku. Powodowana litością Lola zbiegła do ogrodu – jęk słychać było w głębi. Dziewczę poszło spiesznie, a spostrzegłszy płaczącą kobietę, jęła ją wypytywać o przyczynę łez.

– O, moja złota panienko – zawołała kobieta. – Ratu! Tam córka moja..., nie jadłyśmy trzy dni..., leży zemdlona...

– Wielki Boże! – krzyknęła Lola. – Spieszmy na jej ratunek!... Biedne! Nie jadły trzy dni...

To mówiąc, biegła w kierunku wskazanym przez kobietę. Przed furtką jakaś postać pochwyciła ją silnie. Lola krzyknęła przerażona. Hrabia był przed nią.

– Do powozu! – dał rozkaz, rzuciwszy kilka sztuk złota kobiecie, za głosem której szła Lola.

Po chwili powóz ruszył. Zemdloną hrabia trzymał w swych objęciach.

– Zwyciężyłem! – zawołał. – Opór tej dziewczyny zachęcił mnie.

Konie biegły szybko ku rogatkom, a o kilkaset sążni przed nimi mknął wózek pocztowy trzema zaprzężony końmi. Hrabia krzyknął: „Na prawo!”. Woźnica zwrócił się ku niemu i w tej chwili dwa pojazdy wpadły na siebie. Pocztylion zaklął od siarczystych. Lola, ocknąwszy się, krzyknęła: „Ratunku!”. Z wózka wyskoczył młody żołnierz i stanął na stopniach powozu.

– Lola! – wykrzyknął, porwawszy za pistolet.

– Piotruś!

– Do szatana! – zgrzytnął zębami hrabia. – Czego pan tu chcesz?

– Zabić cię, nikczemniku! – zawołał młody żołnierz. – To moja narieczona!

– A to ją sobie zabierz... Sądziłem, że jest wolną.

Lola już była w objęciach Piotrusia. Hrabia na ten widok zaśmiał się dziko i krzyknął:

– Ruszaj!

Powóz popędził ku rogatkom. W stronie przeciwnej, Krakowskiem Przedmieściem, jechał czterokonny powóz pana Szymona, którego niecierpliwie naglił woźnicę, drżąc wewnętrznie. Nie widział, że za nim – ile sił starczyło – biegł obszarpany jakiś blisko czterdziestoletni mężczyzna, przeklinając szybkość jazdy powozu. Wreszcie zaklął ogniście i dobył sił ostatka – starczyło też ich tyle, by dopędzić jadących i jednym rzutem oprzeć się bez tchu w powozie. Pan Szymon krzyknął przerażony niespodziewaną wizytą, a po chwili zawołał zdziwiony:

– Pańko!

– Ja – ledwie zdołał odpowiedzieć ekspowodyr, chwytając uciekające z piersi powietrze.

– Skąd się tu wzięłeś? Co tu robisz? – pytał pan Szymon.

Pańko zamiast odpowiedzi szarpnął woźnicę:

– Na Senatorską! – zawołał.

Woźnica spojrział na pana – Szymon skinął potwierdzająco. Po kilku minutach Pańko przyszedł do siebie.

– Paniczu! Prezesie! Niech ci Bóg da zdrowie! – mówił, całując jego kolana.

Zdziwieniu pana Szymona nie było granic.

– Co to jest, Pańku? – zapytał. – Mówże: skąd się tu wziąłeś?

– Wprost z cytadeli! – odpowiedział ekspowodyr. – Nie mogłem tam siedzieć dłużej, bo dobra pani umiera.

– Umiera! – krzyknął Szymon. – Janie, w galop! – zawołał na woźnicę.

– Umiera nieboraczka! Muszę ją zobaczyć przed śmiercią... Stój! To ich dom.

Oj, coś bardzo grobowo... Jeszcze żyje? Żyje, żyje!

Za chwilę Pańko klęczał przy umierającej.

– Pani, dobra pani! – jęknął.

Szymon stanął jak skamieniały przy drzwiach.

Obecni za księdzem odmawiali modlitwę za konających. Iwan, śmiertelnie biały, tulił do piersi synka hrabiny, który płakał, przeczuwając sieroctwo. W tej chwili drzwi otwarły się z łoskotem. Lola i Piotruś upadli przed łóżem Heleny. Dziewczę chwyciło stygnącą już rękę konającej i konwulsyjnie okrywała ją pocałunkami.

– Aniele mój! – jęknęła. – Nie umieraj! Pobłogosław mię wprzódy.

Helena otworzyła powieki.

– Lola... To twój Piotruś?... Błogosławię... Gdzie Parys?... Syn mój?...

Iwanie..., nie zapominajcie... Och!... Parys... Iwaś... – ręka opadła bezwładnie...

Helena nie żyła.

W jeden wielki płacz wybuchnęli obecni.

– Przebaczenia! – wyjęknął Szymon.

Iwan upadł na kolana łzami zalany. Szymon bił się w piersi, Pańko ponuro patrzył na niego.

Hrabia nazajutrz dopiero dowiedział się o śmierci żony. Zimny uśmiech wybiegł mu na usta.

Z obojętną twarzą wszedł do pokoju, w którym był ustawiony katafalk żony. Dał rozkaz, by hrabina z całą okazałością pochowana została, i w żałobnych sukniach szedł za trupem żony. Po pogrzebie zamknął się w swym pokoju i nie przyjmował nikogo.

Wezwano go, by był przytomnym odczytaniu testamentu zmarłej. Obojętnie usiadł na krześle i słuchał. Helena cały majątek zapisywała synowi, z wyjątkiem jednej wsi w Królestwie, którą odstępować hrabiemu na własność. Loli, po wyjściu za mąż, przeznaczyła wieczystą dzierżawą wieś sąsiednią z Żytnikami. Opiekę nad synem i majątkiem powierzyła Mohyle – z wyraźnym zastrzeżeniem, by hrabia na zarząd majątkiem, a tym mniej na wychowanie syna żadnego wpły-

wu nie miał, którego nawet nie mógł mieć przy sobie, chyba za zgodzeniem się opiekuna. Na ten ostatni punkt testamentu hrabia skrzywił usta sarkastycznie. Reszta testamentu zawierała wzmianki o wynagrodzeniu sług, udzieleniu pomocy gminom i niektórym z włościan.

Po przeczytaniu, hrabia wstał, oświadczając, że nie ma nic przeciw ostatniej woli hrabiny wyrażonej w testamencie. W tej chwili zbliżył się ku niemu Mołyła.

– Za chwilę wyjeżdżam – rzekł. – Pan hrabia zechce może pożegnać się z synem?

– Nie mam mu nic do powiedzenia – odpowiedział hrabia cierpko. – Natomiast – dodał ciszej – gdy będzie przeklinał ojca, powiedzcie mu, że mniej on jest winien, aniżeli się zdaje... – odwrócił się i wyszedł.

Tegoż dnia jeszcze Mołyła z małym Iwasiem wyjechał z Warszawy.

Narzeczony Loli, który staraniu hrabiny winien był swe uwolnienie z wojska, po ślubie udał się z żoną na Ukrainę.

Trzej nasi bohaterowie pozostali w Warszawie. Śmierć Heleny wywarła na nich wielkie wrażenie. Rozmaite miotały nimi uczucia, a wszyscy trzej byli smutni. Hrabia ponury dnie całe przesiadywał w pokoju, nie widując nikogo, wyjąwszy Szymona i Pańka. Pan Złocicki zapomniał o świecie, bez celu błąkając się po ulicach i ogrodach, a nocą często widywał go grobarz¹⁷¹ na Powązkach, jak dumiał na świeżo usypanej mogile hrabiny. Pańka, okoliczności zmuszały do niewychylania się za mury domu, gdyż byli ludzie niezadowoleni z jego nieobecności w więzieniu – siedział więc, smutnie patrząc na paniczów. Żał mu było dobrej pani, to prawda..., ale ekspowodyr był filozofem, rozumował więc:

– Umarła nieboszczka, wieczny jej odpoczynek. Dobrze zrobiła, bo się już nie męczy. Panicze się smucą – ha, mają czego, bo prawdę powiedziawszy, dojechali jej końca – Ale co z tego?... Umarła – to poszła do nieba. Stamtąd nie puszcza – i już nie wstanie! A smutek co pomoże? Zrobionego nie odrobiją, umarłej nie wskrzeszą – skończono! Tydzień kwasimy się niby ogórki, a widzi Bóg – na nic! Gdy tymczasem robota stoi... Ha, muszę im przecie na rozum powiedzieć.

Pańko jednak parę dni jeszcze nie miał odwagi mówić paniczom na rozum. Aż wreszcie zdecydował się.

O zmroku hrabia i pan Szymon siedzieli w pokoju pogrążeni w zadumie. Parys zwiesił głowę ku piersi, Szymon oparł ją na ręce i patrzył w kąt pokoju. Panującą

¹⁷¹ Grobarz – grabarz.

ciszę przerwało wejście Pańka. Ekspowodyr wniósł na tacy butelkę wina i trzy kieliszki. Umyślnie brzęknął, stawiając to na stole. Zadumani nie ocknęli się. Pańko chrząknął – i na to nie zwrócono uwagi. Ekspowodyr poszedł po rozum do głowy: jedną ręką dotknął się hrabiego, drugą pana Szymona i wzrokiem wskazując butelkę:

– Wino! – rzekł znacząco.

Hrabia i pan Szymon spojrzeli.

– Na frasunek dobry trunek – mówił Pańko, podając nalane kieliszki. – Co się stało – nie odstanie... Daj nam Boże zdrowie!

Hrabia i Szymon machinalnie wypili wino. Pan Szymon spojrział na Pańka – hrabia nadstawił kieliszek:

– Lej!

Pańko nalał. Gdy i te były spełnione, dobrze się zrobiło ekspowodyrowi.

– Panicze! – zawołał. – Trzeci jeszcze. Jak to? *Omnum trenum...*, a co po prostu „Trójka” znaczy!

Na wspomnienie lat młodych żywiej zabiło serce hrabiemu.

– „Trójka!”. Ach, niech żyje wspomnienie. Szymonie!

– Lepiej było podówczas – ponuro mówił Szymon, ale za chwilę wypogodziwszy czoło: – Niech żyje! – zawołał.

– O tak, to się serce raduje – mówił Pańko. – Nam się smucić, to niby słońcu deszczem płakać. Dalibóg, że dosyć już tego!

– Słusznie mówisz – rzekł hrabia, powstając z fotelu. – Hej, służba, wina jeszcze!... Szymonie! Pańko zawsze rozumniejszym jest od nas.

– Ej, co bo też panicz – zaprotestował rozrzewniony ekspowodyr. – Ja tylko z was najwięcej kocham dawne życie, dawną sławę „Trójki!”, paniczu Szymciu! Przestańcie bo już, ot..., bo dalibóg, że...

– Zdrowie twoje, Szymonie! – zawołał hrabia.

– Ha! Jak mówicie – koniec smutkom!

– Oj to, to, to! – zawołał uradowany Pańko. – Niech wam Bóg da zdrowie. Jeszcze jedno: niech żyje „Trójka”.

– Wiwat! Z tego Pańka szatan wcielony. Myślałem, że prędzej diabła przełknę, aniżeli czoło wypogodzę, a teraz lekko mi na sercu. Chodź tu, niech cię pocałuję. A ty, Szymonie, jak się uczuwasz?

– Lżej mi, bo też wino wytrawne! Ale kiedy już mowa nie o smutku – skąd się wzięłeś, Pańku, w mym powozie? Wyobraź sobie, hrabio – spadł mi do powozu jak z deszczem.

– To cały diabeł ten Pańko! Mów nam, jak się to stało, a pewnie narwiemy boków¹⁷².

– Gdzie tam! – zaczął Pańko. – To oni mię szarpnąć¹⁷³ chcieli.

– Co? Ciebie, kto?

– Ba, historia długa, a powiem ją krótko, bo nie ma o czym mówić. Toż to już z górą pół roku, jak się rozstałem z paniczami. No, przecież za piecem nie siedziałem! Szwendało się tam i owdzie, było tak i inaczej – ot, rozmaicie! Ale paniczom nietajno, że lubię kieliszek. Bo i cóż to życie – tfu, taj koniec. To się człek przynajmniej kieliszkiem pociesza. Jakoś sobie golnałem uczciwie, a szynkarz zdradził... Otrzeźwiłem się w lochu, w trzynastofuntowych łańcuchach, bo jakiś bies już im powiedział, że mam dobry charakter w nogach, a w głowie dwie kwarty oleju... Ale zdrowie paniczów! Winko dalibóg lepsze od tego, cośmy ciągnęli oczeterem z Abramkowej beczki.

– Ha, ha! Przypomniałeś!... Szymciu, dobre to były czasy!

– Łotrowaliśmy aż miło!

– A ojciec Pafnucy? Pamiętają panicze, jakie wówczas stało mu się nieszcześnie z habitem?

– Prawda. Cha, cha, cha! Niech żyje ojciec Pafnucy! Ale mów dalej, Pańku!

– Historia niedługa – mówił ekspowodyr. – Po tygodniu byłem sobie w więzieniu jak w domu. Porozumiałem się dokładnie ze wszystkimi i wiedziałem o wszystkim. Byłbym dawniej wyszedł, ale mi nie zbywało na dobranym towarzystwie... Pewnego razu dano mi znać, że hrabina niebezpiecznie chora...

Słuchacze sięgnęli po nowe kieliszki.

– Cóż dalej?

– A nic. Zostawiłem im kajdany i poszedłem.

– Jak to! Puścili cię?

– O nie! W złych byliśmy stosunkach z władzą. Poszedłem z własnej woli, a oni mówili zapewne, żem uciekł.

– A, musiało tak być zapewne!

– Na jednej z ulic spostrzegłem powóz i konie panicza Szymcia. Pobiegłem żywo, o ile że wtenczas goniła za mną policja. Popędziłem, wpadłem do powozu i dalej wiadomo!

¹⁷² *Narwać boków* – zrywać boki ze śmiechu.

¹⁷³ *Szarpnąć* – tu: pobić, poturbować.

- Cóż teraz myślisz począć?
 - Otóż to jest właśnie, o czym mówić miałem, bo już to Pańko na darmo nic nie robi. Miałem też nieco na myśli, wnosząc wino.
 - Cóż takiego? Ale zapal sobie fajkę.
 - Dziękuję, moja krótka lepiej mi smakuje.
 - Owóż, powiadasz...
 - Nic! Najpierw pytam paniczów: co teraz z sobą robić zamyślacie?
 - Co robić?...
 - A tak! Przecież ręce założywszy jest się próżniakiem, a ja, uchowaj Boże, nie chciałbym paniczów tak nazywać.
 - Nazwij, Pańku, nazwij, nie żenując się, bo doprawdy nic innego robić nie będę.
 - A panicz Szymcio?
 - Wrócę do majątku...
 - A ja?
 - Właśnie ciekawi jesteśmy: co zrobisz ze sobą?
 - To tylko każdy z nas. A wszyscy trzej, to już nic robić nie mamy?... A Towarzystwo, Ameryka?...
- Hrabia patrzył ciekawie na pana Szymona.
- Prezesie!
- Eksprezes uśmiechnął się.
- Zielono w głowie – rzekł. – Co ci się marzy, Pańku?
 - Jak to marzy! – wykrzyknął ekspowodyr. – Prezes już nie myśli o niczym?
 - O niczym! – stanowczo odpowiedział pan Szymon.
 - Tak!... A cóż będzie z Niemcami?
 - Z jakimi?
 - A z tymi, którzy nam złoto z „Nory” zabrali.
 - Niech ich piorun trzaśnie!
 - Prezesie – zawołał Pańko rozgorączkowany. – W nas trzaśnie, jeśli krwawą pracę zostawimy w ich ręku. Musimy złoto odebrać!
 - A to go sobie odbierajcie! Ja ręce umyвам.
 - Ba! Prezes musi...
 - Jak to musi?! – oburzył się pan Szymon. – Kto mnie przymusić może?
 - A chociażby ja na przykład...

– Pańku! – mitygował¹⁷⁴ go hrabia. Pan Szymon zbladł i milcząc, usiadł na sofie.

Ekspowodyr mówił głosem drżącym:

– Mogę... powinienem przymusić!... Prezes zapomina, że dla mnie bez was życia nie ma... że z wami byłbym świat wywrócił, a teraz jestem kłak, pakuły! Póki było kręto, to do mnie... a teraz obydwom paniczom ciepło, to mnie jak psa gonicie... Wstyd!... Jam się tego nie spodziewał nigdy... Warto to było kochać... Tfy!...

Pańko płakał. Hrabiego rozczulił ten widok.

– Pańku, nie wyrzekaj, bo i my ciebie kochamy...

– To się rozumie – potwierdził pan Szymon. – Ale dla kaprysu iść na szubienicę?...

– To kaprys? A cóż znaczyła „Trójka”? A przysięgi? To wszystko kaprys! Wstydź się, wstydź, prezesie!... Ha, raz jeszcze się zapytam: idziecie ze mną? Nie?...

Pan Szymon milczał.

– Co do mnie – rzekł hrabia, wahając się – niech Szymon stanowi.

Pańko wzrokiem pytał eksprezesa.

– Nie! – krótko odpowiedział pan Szymon.

– Ha, kiedy tak, niechże diabeł bierze wszystko, a mnie najpierwej. Paniczu Szymciu, kochałem was i niech wam nie będzie karania, że mnie zgubiliście! Bywajcie mi zdrowi. Wziął diabeł „Trójkę” – niechże bierze wszystko, a mnie kiedy zechce! Będę pił, to może krzywdę moją zapiję. A gdy zatęsknię bardzo, to was znajdę. Bywajcie zdrowi! Haj, haj! Zgubili Pańka.

U drzwi zatrzymał go hrabia.

– Szalony! Policja!

– Co mi policja?! – wykrzyknął ekspowodyr. – Gdy zechcę, Warszawę spalę, policję spiekę jak kurczęta. Puszczajcie! Prezesie, jeszcze: nie?

– Co chcesz dam – rzeki pan Szymon – ale sam nie pójde.

– A mnie nic nie trzeba, ale was trzeba. Chodźcie ze mną... co chcecie – dam wszystko. A bez was zdechnie Pańko jak pies, bo go tak czarownica zakłęła. Ha, ha! Durny był Pańko, że w „Trójkę” wierzył.

¹⁷⁴ *Mitygować* – hamować, powstrzymywać.

Trzasnął drzwiami i wybiegł na ulicę. Rzucił okiem przed siebie, dał skok i zniknął w zakręcie.

– Szkoda go! – rzekł hrabia, gdy mu Pańko znikł z oczu. – To genialny człowiek!

– Raczej rzezimieszek – mruknął pan Szymon.

– Powtarzam twoje słowa, kolego: „Pańko nie jest powszednim złodziejem”.

To postać poetyczna!

– Piękna mi poezja – szubienica! Gwałtem chce wisieć wraz z nami!

– Kto wie, może się spełnią jego życzenia?...

Pan Szymon zadrżał.

– A, piękne masz przecucia, hrabio! Ale wypada mi cię pożegnać. Jest już dość późno. Jutro rano chcę opuścić Warszawę, a przed wyjazdem mam jeszcze być w kilku miejscach.

– Odjeżdżasz? Kiedyż się obaczymy?

– Ty stale będziesz mieszkać w Warszawie?

– Zapewne.

– A więc tutaj. Bądź zdrow!

– Do widzenia. To nie żal ci Pańka?

– A dajże mi pokój! – odpowiedział pan Szymon i wyszedł z pokoju.

– A przecież – myślał hrabia – nie oddałbym Pańka za Szymona i dziesięciu podobnych! Ten złodziej ma w sobie wiele stron dobrych, którymi ja pochwalić się nie mogę... Ha, nie moja w tym wina!... Smutno mi bez nich. – Kto tam?

Do pokoju wszedł lokaj i podając hrabiemu list, rzekł:

– Od pani baronowej.

– Od baronowej... – powtórzył hrabia. – Powiedz, że będę.

IX. SWATY

Powróciwszy z Warszawy, pan Szymon wielce był zadziwiony wieścią, którą mu zakomunikował kamerdyner, że matka pana ma pieniądze.

– Skąd?

– Nie wiem, proszę jaśnie pana, ale ma. Będzie temu ze dwa tygodnie, jak wyjechała na parę dni do miasta, a wróciła z wielkim kufrem, który kazała

przykuć do podłogi, tuż koło swego łóżka, i na krok go nie odstępuję. Zaraz też sypnęła pieniędzmi... Nawet ja dostałem dwa srebrne ruble.

Więść ta była prawdziwą niespodzianką dla pana Szymona.

– Więc stara miała pieniądze!... A ja głupiec nic o tym nie wiedziałem – myślał pan Szymon, wielkimi krokami pokój przemierzając. – To nie do darowania! Bardzo słusznie może być zagniewana... Któż wiedział?... Ale to jeszcze da się może przerobić... Ha, spróbujmy!

Wykonanie postanowienia rozpoczął pan Szymon od wizyty, którą złożył swej matce. Wchodząc do pokoju, ujrzał spory kufer żelazem okuty i panią Bartłomiejową siedzącą obok, z głową ku piersi pochyloną. Panu Szymonowi zaiskrzyły się oczy, a postać przybrała układ lisi. W milczącej pokorze zbliżył się i pocałował rękę matki.

W postępku tym musiało być wiele nieprawdy, bo judaszowski pocałunek wstrząsnął panią Bartłomiejową, że się z miejsca porwała, przerażona widokiem syna. Pan Szymon stał w pokorze i głosem cichym błagał:

– Przebaczenia!...

Nie będziemy opisywać wstrętnej tej sceny, bo zanadto jest smutną. Widok kufra tak magnetycznie podziałał na pana Złodzickiego, że stał się barankiem i z pokorą, a nawet ze łzami, słuchał wyrzutów, które mu matka czyniła, przyznając się do winy i błagając przebaczenia... Pani Bartłomiejowa długo była głuchą na układne słowa synowskie i nie chciała przyjąć gościny w jego domu, mówiąc owszem, że lada dzień wyniesie się z folwarku, całą gotowiznę zapisawszy na kościół. Łatwo pojąć, o ile niemiłą była Szymonowi ta groźba matki, a że przekonał się dowodnie, iż pani Bartłomiejowa ma pieniądze w kufrze, wił się więc jak wąż i czynił zabiegi, by jeśli nie pozyskać sobie matki, tedy przynajmniej zatrzymać ją w swym domu.

Dopiął swego. Pani Bartłomiejowa zgodziła się zamieszkać z synem pod warunkiem, że nigdy od niej pieniędzy pożyczać nie będzie, ze swej strony dając matce to wszystko, cokolwiek ona zapotrzebuje. Pan Szymon zgodził się.

– Byłe zamieszkała ze mną – myślał – już ja w tym, że kufer będzie moim!

Pani Bartłomiejowa zajęła gustownie umeblowany apartament, miała wszelkie wygody – skarżyć się na nic nie mogła. Pan Szymon nawet wybornie udawał przywiązanie synowskie... Potężna to rzecz pieniądze!

Pogodziwszy się z matką, a na oku mając jej kufer, który pani Bartłomiejowa kazała przykuć do podłogi w swoim pokoju, pan Szymon zamyślił się, co dalej

przedsięwziąć... Jest bogatym, cieszy się dobrą opinią, zdrowie mu służy... Czegoż chcieć jeszcze?... „Ha, nie mam tytułu!” – zawołał. Myśl o swym prezesostwie, która mu się w tej chwili nasunęła, odpędził od siebie i pogrzyżył się w dumaniach.

– Do majątku tytuł odpowiedni..., rzecz niezbędna – dumął pan Szymon. – Potem należałoby o żonie pomyśleć.

W tej chwili obraz Heleny stanął mu w myśli.

– Czy kochałem ją? – zapytał z westchnieniem, a po chwili odpowiedział cierpko: – Innej kochać nie będę!... Tak! Muszę mieć tytuł.

Za parę miesięcy miały się odbyć wybory w Kamieńcu. Pan Szymon rzucił się na wszystkie strony między bracią szlachtę: możniejszym kłaniał się, biedniejszych ścisnął i do pokrewieństwa się przyznawał, wreszcie dał jeden, drugi obiadek, na których przytomną była pani Bartłomiejowa... Miała czarowny kuferek!... Zresztą szlachta znalazła, że u Złocickiego kucharz dobry i wino wystałe, a pani Bartłomiejowa bardzo do rzeczy kobieta, szczególnie gdy milczy. Objadano i opijano pana Szymona, ścisniano i kłaniano mu się na wszystkie strony – każdy zapewniał, że przy wyborach wszyscy upadną, a górą pan Złocicki!

– Złoty człowiek, powiem ci. To mi marszałek! Jakie obiady, wina!

– Kałamaszek¹⁷⁵ się nie wstydzi. Jak Boga mego kocham – wysiadł z powozu, by mnie uściskać. Oto mi szlachcic prawdziwy!

– Przy tym co za powaga! Jaka głowa!

– Takiego właśnie trzeba nam było w powiecie. Niech żyje marszałek Złocicki!

Słowem, była wszelka pewność, że pan Szymon będzie miał tytuł. Na tydzień przed wyborami przyszedł marszałek zamyślił się głęboko.

– Co tu począć? W Kamieńcu trzeba być koniecznie, a jakże tu stać z kufrem zostawić?

Myślał, myślał pan Szymon, wreszcie zaproponował matce, by z nim jechała do Kamieńca, a kufer może zabrać ze sobą. Pani Bartłomiejowa odmówiła towarzystwa, upewniając natomiast syna, że zadowolona jest z obejścia się z nią i gdy tak będzie nadal, nie tylko że nie wyjedzie, ale rozmyśli się i może... Wybuch czułości synowskiej przerwał słowa pani Bartłomiejowej. Ubóstwiający ją syn na klęczkach przysięgał, że matce na niczym zbywać nie będzie do końca życia, które oby potraowało wieki! Mniej więcej uspokojony co do pani Bartłomiejowej

¹⁷⁵ *Kałamaszka* – niewielki pojazd konny, rodzaj czterokołowej bryki o bardzo prostej budowie.

i jej kuferka pan Szymon dał rozkaz służbie gotować się do drogi i nazajutrz, uzyskawszy błogosławieństwo matki, wyjechał do Kamieńca na wybory.

Wybory! Jedno to słowo wywołuje w pamięci mojej tysiące obrazów, godnych pędzla Hogarta!¹⁷⁶ Ale za długo już trwa moja opowieść... Więc mijam tę niewyczerpaną kopalnię wykwitów żywota obywatelskiego i po prostu powiadam, że pan Szymon z urny wyborczej wyniósł tytuł – ale nie marszałka! Obrano go deputatem Podolskiego Szlacheckiego Zgromadzenia¹⁷⁷. Ha, stało się! Trzeba i ten ciężar przyjąć, który kraj wkłada na barki pana Złocickiego... Złożył przysięgę, kazał zaprząć konie i ruszył na wieś z powrotem.

Wyznać należy, że panią Bartłomiejową ucieszyła myśl, iż jest matką deputata – zawsze to zaszczyt niemały, a przy tym pani Złodzicka kochała Szymonka, chociaż ją wiele łąz kosztował obecny deputat.

Po obliczeniu pokazało się, że gra świeczki warta nie była: cztery tysiące rubli – i deputat! Lepiej mydło ważyć. Ale cóż począć? Stało się! Walka o marszałkowską (chciałem powiedzieć: laskę, ale na nieszczęście laska nie była tu w użyciu)... o marszałkowską godność odłożona do przyszłych wyborów. Pan deputat począł się rozpatrywać w sąsiedztwie, czy się nie znajdzie amatorka na marszałkową *in spe*¹⁷⁸.

Naturalnie że na płci pięknej, a dusznie¹⁷⁹ pragnącej oddać swe mniejsze i większe rączki, nie zbywało w bliższej i dalszej okolicy. Przyjaciele, przyjaciółki, stręczyły panu deputatowi rozmaite partie, ale przyszły marszałek miał gust wyrobiony nie lada – od żony potrzebował trzech rzeczy: majątku, tytułu i piękności. A że trzy te rzeczy żyją ze sobą w ustawicznej wojnie i bardzo rzadko tylko zawierają rodzaj przymierza, nie więc dziwnego, że pan deputat w kilku miejscach tylko nie trafił na belonę¹⁸⁰. Hrabianka Aniela, księżna Ida, senatorowa M. wdowa – były bogate, z tytułami i piękne, ale cóż: trzy te panie miały szkaradny gust: przez każdą z nich pan deputat został uczęstowanym szarą polewką¹⁸¹.

¹⁷⁶ *Hogart* – William Hogarth (1697–1764), angielski malarz, miedziorytnik, twórca rysunkowych satyr i rycin, wolnomularz.

¹⁷⁷ *Podolskie Szlacheckie Zgromadzenie* – właściwie: Deputacja Szlachecka Guberni Podolskiej, powołana do kontroli przynależności stanowej szlachty.

¹⁷⁸ *W planowanej przyszłości*.

¹⁷⁹ *Dusznie* – serdecznie, z ochotą.

¹⁸⁰ *Belona* – drapieżny gatunek morskiej ryby.

¹⁸¹ *Szara polewka* – odmowa ręki panny udzielona starającemu się kawalerowi.

A złośliwi powiadają, że lokaj znalazł w powozie trzy wielkie harbuzy, które – nic panu nie mówiąc – oddał potomkom w prostej linii ułaskawionych dzików nigdy niezapomnianego pana Kuby.

Dostawszy kosza od uposażonych we wdzięki, tytuły i mienie, pan deputat zwrócił się do takich, które miały dwie z tych trzech rzeczy, mianowicie pieniądze i urodę. Los go jednak prześladował: ledwie sobie upatrzył przyszłą towarzyszkę życia, jeszcze się w niej nie rozpatrzył należycie, a już mu ją sprzed nosa zdmuchnięto! Jedne powychodziły za mąż, inne umarły dla świata i dla siebie. Deputatowi nie szczęściło się!

Pani Bartłomiejowa wciąż mu mówiła:

– Ożeń się, Szymonie! Niech ja się wnuków doczekam. Już by pora – nad grobem stoję...

– Widzi mama, że chcę. Ale cóż: nie wiedzie mi się!

– Może za wysoko strzelasz! Ożeń się lepiej z poczciwą jaką, pracowitą – ot, jak my z nieboszczykiem.

Deputat skrzywił się i byłby może odpowiedział nieco jaskrawiej, ale w tej chwili wzrok jego padł na kufer okuty i przykuty. Pocałował w rękę panią Bartłomiejową.

– Posłucham mamy, ale mi się nie wiedzie!

– Postaraj się tylko, a ja na twoją intencję odmówię koronkę do Przemienienia.

Znać modlitwa pani Bartłomiejowej miała swe znaczenie w niebie, bo deputat w rzeczy samej przemienił się: już tylko na majątku poprzestawał. Los jednak był nieubłagany, a pan Szymon, pragnąc dwie sroki złapać za ogon, w końcu zostawał na lodzie... Oświadczył się pani B., są już po zaręczynach; na licho dowiedział się deputat, że pani C. ma o kilka tysięcy więcej – dalejże do majątniejszej! Nie miał jeszcze czasu okazać wszystkich swych zalet, a już mu pani C. dała harbuza, a pani B. odesłała pierścione. Deputata ogłoszono bałamutem, a stare kawalerstwo rozsiało się w nim na piękne.

Pan Szymon miał czyzy tytuł i żony zdobyć nie mógł, pomimo że miał niekłamana ochęć związać się ślubami małżeńskimi... Coś podobnego może przyprawić o rozpacz! A panu Szymonowi niewiele już brakowało do tego: przestał sypiać, jadł mało, o poddanych jakby zapomniał... Słowem, zmienił się do niepoznania.

Kto wie, czy zrażony światem, nie byłby go porzucił i w celi klasztornej zagrzebał swe uczucia, gdyby nie to, że deputat dusznie pragnął dwóch rzeczy: zostać marszałkiem i być panem kuferka pani Bartłomiejowej. A ponieważ mar-

szalkostwo nie było za górami, a pani Bartłomiejowa lada dzień zateśkni za panem Bartłomiejem i zechce się z nim połączyć, nic więc dziwnego, że deputat wołał przeczekać te parę lat i wtedy dopiero pomyśleć stanowczo. Gdy dozna zawodu... , o czym wszelako myśleć nie chciał wcale.

Pani Bartłomiejowa w rzeczy samej zaczęła coraz to bardziej postękiwać. Baczny deputat dostrzegł nawet, że ręce matczyne widocznie drżeć zaczynają, a chwilami występują na zorane jej czoło krople potu. Był to niezawodny znak, że pani Bartłomiejowa na serio myśli o zaświatowej wędrówce. Jako dobry syn deputat nie sprzeciwiał się życzeniu swej matki, o ile że był pewnym, iż kufra ze sobą nie zabierze. Otoczył panią Bartłomiejową większą troskliwością, zaleciwszy służbie, by nikogo obcego nie wpuszczano do matki bez wiedzy pana Szymona, szczególnie zaś księdza, gdyż panowie ci od czasu swego na świat przyjścia mają niekłamany apetyt do wszystkich kufrów ładownych.

Ponieważ pani Bartłomiejowa zdawała się być zadowoloną z syna i nie okazywała najmniejszej skłonności do wojny, która by się rozpoczęła od fatalnego wywiezienia kufra z posiadłości pana Szymona, deputat zatem nie przerywał starań i zabiegów podejmowanych w celu wyszukania sobie bądź własności nieruchomości, bądź kapitału w gotówce, z którymi połączyłby swą osobę, jako dodatek wzięwszy to, co się w pożyciu codziennym i w papierach urzędowych „żona” zwać zwykło.

Dotychczas niełaskawy – los tym razem posłużył deputatowi. Wystawiony na sprzedaż majątek, graniczący z dobrami p. Złocickiego, nabytym został przez pewną panią *von Knedel*.

Była to, jak się z nazwiska domyśleć można, Niemka, przybyła kędyś z zamorza¹⁸², której też naturalnie nikt zgoła nie znał. Zaszczyt poznania nowej dziedziczki dwóch kluczków, a takich, które odmykają na oścież drzwi o najwyższych progach albo bez progów wcale... , przypadł panu deputatowi, który pierwszy złożył swą czołobitność w pałacu obecnie własnością pani *von Knedel* będącym.

Żyd faktor dostatecznie obeznał pana Szymona ze stanem majątkowym sąsiadki, a deputat naocznie przekonał się, że pani *von Knedel* jest to niewiasta dobrej tuszy, lat czterdziestu z czubkiem, który nosiła właścicielka dwóch kluczków na wierzchu głowy przyozdobionej bujnym włosom, jej własnością będącym, bo za własne pieniądze kupionym u perukarza. Pani *von Knedel* mówiła nosowym altem, nosiła dużo brylantów na palcach rąk i w uszach, zawracała oczy aż do

¹⁸² *Zamorze* – położony za morzem kraj, ląd.

fioletowych żyłek na białkach i nie wiadomo, czy wzdychała, czy sapała całą szerokością swych wcale nie ważkich piersi.

Pan Deputat został uprzejmie przyjętym przez panią Bertę, bo takie imię, nie wiem czy na chrzcie świętym dano obecnej pani *von Knedel*, która na raz mówiła łamaną francuszczyzną, okaleczała polszczyzną i chlapiąco-śpiewającą niemczyzną, a mimo rześiste uperfumowanie się nos pana Szymona zwietrzył w salonie aromatyczny zapach cybuli.

Pani Berta, bawiąc swego gościa, rozpoczęła szeroko rozwodzić się o swych stosunkach w świecie, o spokrewnieniu z najpierwszymi domami Niemiec, o swych dobrach, o kapitałach... A chociaż pan deputat nie we wszystko wierzył, zawsze jednak przyznał w duchu, że gdyby trzecia część prawdy była w całej opowieści, tedy pani *von Knedel* niezaprzeczenie jest znakomitą partią. Już chciał ze swej strony zainterpelować¹⁸³ panią Bertę, gdy wtem drzwi otwarły się z hałasem i szumiąc jedwabiami sukni, weszła do salonu istota niewątpliwie należąca do płci pięknej, ale niepodobna było na razie zdecydować, jest li jeszcze panną, mężatką czy wdową. Szczęściem, że pani *von Knedel* nie nadużywała cierpliwości deputata.

– Prunella – moja siostrzenica, pan deputat Złocicki – najbliższy nasz sąsiad.

– Który to sobie za prawdziwy zaszczyt poczytuje... i będzie się uważał za szczęśliwego – kończył pan Szymon, całując rękę nowo przybyłej.

– Pan kawaler czy żonaty? – zapytała panna Prunella, siadając, a pół kładąc się na sofie. – Bo my z ciocią obie jesteśmy paniami naszej woli.

Pani Berta wysunęła spod sukni końce trzewików.

– *Oui!*¹⁸⁴ Wolne, jak pan widzisz, i bez śmiesznych tutejszych przesądów.

– Jesteśmy amazonkami! – dodała panna Prunella.

– Panie! – rozpoczął deputat. – Czuję się prawdziwie uszczęśliwionym... i miło mi zaspokoić ciekawość pań: nie jestem również związany.

– A, to wyborne! Mamy więc jednego kawalera. Bo pan nie odmówi nam swego towarzystwa?

– Usług pani, usług wszelkich, a będę się czuł najszczęśliwszym.

– *Cher député!*¹⁸⁵ Bo my jesteśmy tak *san façon*¹⁸⁶.

¹⁸³ *Zainterpelować* – przerwać czyjąś wypowiedź.

¹⁸⁴ *Tak!*

¹⁸⁵ *Drogi deputacie!*

¹⁸⁶ *Bezceremonialne.*

– *Wissen Sie, mein Herr*¹⁸⁷ – przerwała ciocia swej siostrzenicy – Jakie to *siurpriz*¹⁸⁸, że pan jesteś kawalerem! Palisz pan cygara? Bo my palimy.

– Pięknie dziękuję.

– Tylko bez konwenansów, deputacie, bo my jesteśmy kobiety emancypowane.

– Amazonki! – dorzuciła panna Prunella, puszczając kłęby dymu.

– Panie, jesteście zachwycające! To prawdziwa łaska nieba, że mi was tu zesłało. Teraz przecież żyć będę! Panie, nie wiecie, jakie tu nudy u nas...

– O, my wcale nie mamy ochoty nudzić się. Przyjechałyśmy tu nabrać nieco świeżości.

– Panie? Boginie wiosny?...

– *Flatteur*¹⁸⁹ – z wdziękiem rzekła pani Berta, lekko uderzając wachlarzem deputata.

– Musimy zreformować waszą okolicę. Pan nam pomożesz!

– Otóż mamy wino! – zawołała panna Prunella. – Co pan wolisz: szampańskie czy *bordeaux*?

– Z rąk pani nawet truciznę!

– Brawo, deputacie! Przypominasz mi Europę.

– Więc szampan! Za naszą pomyślność!

– Zdrowie pięknych pań!

– Szarmujesz¹⁹⁰ mię, deputacie! *Bien chevaleresque*!¹⁹¹

– *Mesdames*!¹⁹² Życie dla was i za was! Wino doskonałe, a panie jesteście piękne i dobre!

– Otóż i konie! Galopujesz, deputacie?

– Panie, nie pytać, ale rozkazywać mi powinnyście. Z wami do piekła i nieba!

– *Fi donc*!¹⁹³ Kto mówi o piekle? Może pan jesteś katolikiem?

– *Madame*!¹⁹⁴ Jestem mężczyzną! To była tylko przenośnia.

– A więc w drogę! Charty są?

¹⁸⁷ *Musisz wiedzieć, mój panie.*

¹⁸⁸ *Niespodzianka.*

¹⁸⁹ *Pochlebca!*

¹⁹⁰ *Szarmować – zadziwiać.*

¹⁹¹ *Bardzo rycerski!*

¹⁹² *Panie!*

¹⁹³ *Nonsens.*

¹⁹⁴ *Pani.*

– Są, jaśnie pani!

– Pistolety!

Pan Szymon był rozgorączkowany: grzało go wino, rozpałały ogniste spojrzenia amazonek – ani się spostrzegł, jak dosiadł rumaka i z kopyta ruszył galopem za panną Prunellą, którą poprzedzały charty. Pani Berta nieco opodał galopowała także na wierzchowcu.

Tuż za pałacem było pole, a dalej nieco pod lasem, błotnista ruda. Pan Szymon zrównał się w galopie z amazonką.

– Dobrze pan strzelasz? – zapytała panna Prunella swego towarzysza.

– Nieźle! – odpowiedział pan Szymon.

– Otoż dwa gołębie. Mój samiec, twoja samica!

Dwa strzały padły: pan Szymon chybił, samiec nie żył. Deputat szeroko otworzył oczy – Prunella śmiała się z jego niezręczności.

– Pudłujesz deputacie, jesteś do niczego! Bądźże zuchem i podejm gołębia z konia.

Dotknięty do żywego pan Szymon chciał tu okazać swą męskość: dał ostrogę koniowi i w galopie zbliżył się do leżącego nad rudą gołębia, schylił się z konia i ręką już-już dosięgał piór ptaka... W tej chwili Prunella gwizdnęła głośno: posłuszny jej rozkazowi koń wierzgnął i pan deputat padł plackiem w błoto. Mimo zanurzenia się, pan Szymon usłyszał głośny śmiech Prunelli, a gdy cały owalany błotem wyszedł na ląd, powitały go śmiech i wesołe drwiny amazonek, nie wyłączając dżokeja, którego również nie żałował boków, patrząc na umalowanie się deputata.

Zgryziony wewnętrznie i zły niemało pan Szymon próbował dowcipami naprawić niezręczną swą pozycję, co mu się poniekąd udało, o ile że pani Berta stanęła w jego obronie, gromiąc siostrzenicę za żart niestosowny. Jako tako otarłszy się z błota, pan Szymon dosiadł ponownie rumaka i z większą już ostrożnością jechał za amazonkami.

O kilka staj porwał się zając. Jeźdźcy puścili się za uciekającym. Tym razem pan Szymon był szczęśliwszym – pierwszy dopadł zająca i z konia powalił go harapem. Prunella oddała sprawiedliwość jego zręczności i myśliwi wrócili do pałacu. Po kolacji, dobrze rozgrzany trunkiem, pożegnał pan deputat nowe znajome, które zapowiedziały mu rewizytę.

Amazonki wkrótce zasłynęły swą emancypacją nie tylko w powiecie, ale i dalej nieco, a mimo to wszystko pan Szymon nie zrywał stosunku z panią Bertą

i panną Prunellą. Przekonał się bowiem dowodnie z ksiąg Izby Cywilnej w Kamieńcu, że obie panie mają bardzo znaczną fortunę, a nieodłużoną wcale, mniejsza zaś, co tam kto o nich mówi!... Pan Szymon dawno już przestał myśleć o sentymentach sercowych. Potrzeba mu było zostać marszałkiem i panem milionowej fortuny, zaczął więc na serio myśleć o ręce której bądź z dwóch amazoнок. Żałował tylko, że z oboma na raz nie mógł się ożenić, czyli zabrać ich majątek, co się wzajemnie dopełnia.

Pani Berta miała fortunę o wiele większą aniżeli Prunella, ale też i starszą była o wiele, tak że pan Szymon mógłby nawet nie myśleć o połączeniu się z nią dozgonnym, gdyby nie to, że obawiał się, by amazonka nie znalazła sobie jakiego Scyte¹⁹⁵, a tym samym całe fortuny nie sprzątnęła mu sprzed nosa. Po głębokim zastanowieniu się pan Szymon przyszedł do następującego przekonania: lat blisko pięćdziesiąt i zbyteczna otyłość staną zapewne na zawadzie pani Bercie do zamążpójścia, gdy tymczasem panna Prunella, mniej więcej w wieku deputata, jest dlań partią bardzo stosowną, o ile że kochana ciocia nie zechce zapewne skrzywdzić swej siostrzenicy i – Bóg daj – po najkrótszym życiu zapisze jej całą swą fortunę.

– A więc postanowiono! – zawołał pan Szymon. – Oświadczam się o rękę Prunelli!

Postanowienie to deputata wyda się czytelnikom bardzo naturalnym, gdy się dowiedzą, że roczna blisko znajomość pana Szymona z amazonkami zaskarbiła mu pewną dozę sentymentów tych dwóch emancypowanych niewiast. Przy winie, wśród dymu cygarowego, oświadczył się pan Szymon o rękę Prunelli i został przyjętym. Pani Berta skrzywiła się w sposób szczególniejszy i naprawdę westchnęła, spojrzawszy na deputata.

Od tej chwili znikła harmonia między ciotką i siostrzenicą. Prunella, będąc raz u pewnego z wizytą u deputata, powiedziała mu, że ciotka czuje się być bardzo dotkniętą,

– Gdyż, wyobraź sobie, sądziła, że o jej rękę się oświadczysz! Oszalała na starość.

Bądź jak bądź, pochlebilo to panu Szymonowi, że naraz rozkochał dwie kobiety, i przy tym emancypowane. Uspokoił Prunellę, pogadał z panią Bertą i za tygodni parę odprawił zaręczyny. Fama niosła, iż deputat zapewnił panią Bertę, iż

¹⁹⁵ Scyta – członek indoeuropejskiego ludu, w starożytności zamieszkującego część dzisiejszej Ukrainy.

choć przyjmuje ręką Prunelli, serce swe przy Bercie zostawia, ale to potwarz, którą rozsiewają złe języki!

Po zaręczynach ciotka z siostrzenicą i jej narzeczonym udali się do Kamieńca dla sprawienia wyprawy i załatwienia pewnych sądowych formalności. W najdrażliwszej, bo w chwili, gdy pani Berta do posagu Prunelli skłaniała się od siebie dodać coś na wiano, dano znać panu deputatowi, że pani Bartłomiejowa jest śmiertelnie chora. Pan deputat znalazł się między młotem i kowadłem, a oba były ze szczerego złota. Ale że pierwsze nie uciecze, a drugie jako rzecz ruchoma może być sprzątniętym, pan Szymon tedy w największym pośpiechu wyjechał z Kamieńca.

Pierwsze słowo, które wyrzekł, znalazłszy się przed gankiem swego domu, było lakoniczne pytanie zadane kamerdynerowi:

– Kufer?

– Jest, jaśnie panie.

Pan Szymon odetchnął swobodnie i wszedł do pokoju.

– Proszę jaśnie pana – rzekł doń kamerdyner. – Nie wiedziałem, co robić.

Pani prosi księdza...

– I cóż?...

– Nie puściłem go.

– Dobrześ zrobił.

– Ale on tam czeka.

W tej chwili ksiądz zbliżył się do pana deputata.

– Pogańską masz pan służbę – rzekł kapłan. – Nie puszczają mię do umierającej...

– A co pan chce od mej matki?

Ksiądz cofnął się zdziwiony.

– Jak to? – rzekł. – Chrześcijanin-że mię pyta o to?

– Teologia, mój księże, na stronę! Mam moje powody, że cię nie puszczę. Zamiast mieć o duszy staranie, wy w takiej chwili wyłudzacie zapisy. Z Bogiem! Droga wolna. Moja matka ostatnimi czasy wiodła żywot bogobojny.

Zgorszony taką przemową kapłan zaczął perswadować deputatowi, który obojętnie słuchał jego dowodzeń, dostęp do chorej łącząc z warunkiem, że oprócz powinności kapłańskiej nie będzie mieć miejsca żadna inna scena. Po oporze ksiądz przystał wreszcie i wszedł z panem Szymonem do umierającej. Pani Bartłomiejowa miała się już tak źle, że do wyzionięcia ducha nie odzyskała

przytomności. Gdy lekarz rzekł: „Skonała”, pan Szymon wnet kazał przenieść kufer do swego gabinetu, a z rozkoszą patrzył, że dwóch ludzi ugięło się pod jego ciężarem. Wydał potrzebne rozkazy i wszedł do gabinetu. Zamknął drzwi na klucz i z sercem bijącym począł otwierać kufer.

Zamek jęknął, klamka odpadła, pan Szymon podniósł wieko – i osłupiał.

– Kamienie! – wykrzyknął ze zgrozą. – Proste kamienie!... Jestem oszukany! Zrabowany! Okradziony! Ha, żmije nie ludzie!... Jakaś kartka...

Pan Szymon, drżąc, chwycił zwitek i czytał: „»IV. Czcij ojca twego i matkę« – Pańko”.

– Ha, zbój! Więc to jego sprawka. Łotrze, szubienica cię nie minie, przysięgam!

W tej chwili głośny śmiech za oknem przerwał wykrzykniki deputata. Ruda głowa Pańka i jego twarz różnokolorowa ukazały się w oknie.

– Upadam do nóg prezesa! – zawołał. – Cóż tak gniewnie?

– Ha, to ty! – wykrzyknął deputat i porwał pistolet.

Pańko znikł, jego miejsce w oknie zajął półarkusz papieru, na którym wielkimi literami było napisano: „Wyrok”.

Znać silnie wstrząsnęło deputatem wspomnienie przeszłości, bo pistolet wypadł mu z rąk i drżąc, zbliżył się do okna.

– Już po burzy – mruknął Pańko – to bagatela! Prezesa już powieszono, ale w razie potrzeby i deputat może także. – Tu ekspowodyr zrobił znak w powietrzu, na widok którego zrobiło się mdło panu Szymonowi.

Pańko patrzył przez chwilę na deputata.

– Haj, haj! Co się to z ludźmi nie dzieje! – zawołał. – Ale broń mię Boże kłócić się ze swoimi. Paniczu Szymciu, zgoda z nami! A na wrogów pohybel. Ażeby króciej, to okno otwórzcie. Zmachałem się nie lada. Dzień dobry! – rzekł włączając przez okno. – Ta, nie krzywcie się też niby środa na piątek! No, zgoda! Podajcie rękę. Pan Szymon ręki nie cofnął.

– Bo to widzicie, paniczu Szymciu – ciągnął dalej Pańko – człowiek ma serce. Już jakie tam ono, a zawsze serce. W tym czasie jakoś, jak to was w domu nie było, zabiegłem tu i dalibóg żal mi się zrobiło starej: biedna, po prostu nie miała co jeść na folwarku. Ot, poradziłem kobiecie. Kupiłem kufer, wyładowałem kamieniami, dałem starej kilkanaście dukatów... A co wam to szkodziło, że matka miała co jeść do śmierci? Że was nie przekłęła, jak ojciec?...

– Masz rację – rzekł wreszcie deputat, który wciąż myślał o „wyroku”. – Ale widzisz, zrobiło mi to zawód... liczyłem na ten kufer... liczyłem...

– Ba, mało na co człek liczy, a przyjdzie co do czego, a tu figa! Ot, jakby z naszej „Trójki!”

Pan Szymon już nie mógł dłużej wytrzymać. Drżąc, zapytał:

– Skąd masz ten papier?

– Wyrok?

– Tak.

– Głupstwo! Zalazło im do głowy i koniecznie chcieli znaleźć agenta i prezesa Towarzystwa. Ba, chęci dobre, ale czy to oni tacy głupcy, by się znaleźć dali. Deputat Złocicki pan całą gębą, a prezes Towarzystwa Uczciwego Zarobku – ba, ba, gdzie to do siebie podobne?

Pan Szymon zadrżał.

– A jednak – rzekł, wskazując oczami papier.

– A niech się bawia! Wielka sztuka, że prezesa powiesili na papierze, głupie pludry!¹⁹⁶ Ot, nie ma o czym mówić.

– Ale przeciwnie! Jest i bardzo. Mów, co się stało? Musiałeś nabroić...

– No, nie próżnowałem, to prawda... Ale co się z hrabią dzieje? Słyszałem, że odziedziczył wielki majątek po jakimś krewnym.

– Nie wiem o niczym. Nie widziałem go od rozstania się.

– Otóż przyjaciele! Haj, haj! Jak widzę, to mię dla was szkoda było! Niechże ja byłem zajęty, ale prezes! Nie widzieć przyjaciela dwa lata... To nieładnie!

Deputat przerwał mu niecierpliwie:

– Koniec końców – co robiłeś? Gdzieś bywał? Bo to nie na próżno ten wyrok...

– Powtarzam: głupstwo! Wprawdzie nie mam potrzeby ukrywać, że byłem na was zły ogniście. Zostawić mnie samego, niby psa? To się nie godziło... No, ale o tym wiemy. Ach, zbawienne nalewki! Pozwól, deputacie... O nie, teraz kieliszkiem nie piję: próżna, powiem ci, fatyga. Miara w brzuchu – więcej jak można, nie wlejesz! Wyborna! I to znak, że roboty pani Bartłomiejowej. A prawda, że w sam czas przybyłem? Prawdziwa to niespodzianka zastać prezesa przy tym kufrze...

– Kończcie raz! – naglił niecierpliwie deputat.

– Słów niewiele, bo cała rzecz psu na budę się nie przyda! Dałem nurka w Warszawie i wypłynęliśmy wkrótce w sześciu zuchów do Niemiec. Mówiłem, że odbiorę Niemcom szkatułkę! Wyobraź sobie prezesie: z „Fili” i „Nory” ledwie ślad pozostał, studnię zasypano, przejście do kanału zamurowane... Słowem, roz-

¹⁹⁶ *Pludry* – tu: pogardliwie o Niemcach.

gospodarzyły się pludry niby we własnym domu... Diabłoż zły byłem! Po trzech dniach dowiedziałem się, że pieniądze nasze zabrał panujący do swego skarbcza. Pojmujesz, że musiałem to odebrać, by nie korzystał z cudzej własności! Po miesiącu niespełna podkopaliśmy się pod skarbiec... Wyznaję, że nieco za grube wziąłem procenta... i zemknęliśmy. Powiadam szczerze: nie miałem żadnego planu, co dalej począć. Chciałem odebrać naszą pracę – odebrałem, ale też byłem w kłopotcie, co z nią zrobić! Mówiąc po prostu: żal mi było wyjeżdżać do Ameryki, bo w takim razie nie widziałbym z was żadnego, a mam słabość do „Trójki” i zawsze mi się zdaje, że nas лихо weźmie wszystkich trzech razem. Pomyślałem sobie: złożę ja pieniądze w miejscu bezpiecznym i uwiadomię was o wszystkim. Jeżeli zechcecie – ruszymy do Ameryki. Tak też i zrobiłem. Część rozdałem między towarzyszków, część zostawiłem przy sobie, a resztę schowałem tak, że – zda się – diabeł nie widział... Gdzie zaś! Szelma Haczyk, skądinąd nawet dobry kolega, wywachał grosze i myśląc, że mu zdrada wyjdzie na dobre, oddał pieniądze Niemcom, niby żałując swego uczestnictwa w kradzieży. Żal mi było Haczyka, to prawda, ale jeszcze bardziej pieniędzy. Nie cieszył się długo ze swej skruchy – zabraliśmy pewien bank w Frankfurcie i postawiłem na swoim: Haczyka powieszono jako byłego prezesa Towarzystwa Uczciwego Zarobku... Ha, cóż robić? Zdradził swoich i mnie osadził na koszu. Przyznam ci się, prezesie, że od tej awantury zbrzydło mi życie ostatecznie. Co chcecie: nigdzie serca! Zdrada lub obojętność... Zdrowie twoje, deputacie! To pociecha – dodał wskazując na butelkę. – Zażywam też jej, ile się wlezie. Grożą mi lekarze, że się spalę wódką, bo wino mi nie smakuje – ha, spróbujemy jakie to uczucie! Chociażbym się mógł nawet zaasekurować...¹⁹⁷, ale mniejsza o to! Cóż teraz prezes porabia ze sobą? Słyszałem, że się panicz żeni...

– Alboż nie pora? – rzekł deputat, wciąż jeszcze myśląc o wyroku.

– Zapewne. Zaczynamy siwieć. I patrz pan – posiwieliśmy głupcami, a każdy z nas mógł być nie lada rybą! Jeszcze jeden haust na pamięć dni minionych. Co bym też nie dał, by się wróciły. Och, dno ujrzałem we fłaszce – to źle! A wie też panicz, kto jest pani *von Knedel*?

– Znasz ją? – zapytał deputat skwapliwie.

– Cokolwiek.

– Któż ona jest? Bogata?

– Bogata, to prawda, ale...

¹⁹⁷ *Zaasekurować się* – ubezpieczyć się w towarzystwie ubezpieczeniowym.

- Cóż? Cóż!
- Prezes musisz wiedzieć: Żydówka!
- Nieochrzczona?
- A diabli ją wiedzą! Sura¹⁹⁸ i basta!
- A siostrzenica?
- Tego samego gatunku, tylko... nachyl się, panicz, to ci powiem.
- O, do kata! – zawołał deputat. – Wiesz o tym z pewnością?
- Widziałem we Frankfurcie: dwie krople wody jak matka!
- To fatalnie! – wołał deputat, chodząc po pokoju.
- Co chcesz prezesie: emancypacja! Ale pozwól mi zdrzemnąć się chwilkę.

Zmachalem się, a twoja jałowcówka... Na tej sofce będzie mi bardzo wygodnie... Za godzinę służę ci, prezesie. Po chwili Pańko chrapał. Deputat wciąż chodził po pokoju, nie tyle zmartwiony oszukaństwem, ile wieściami, które przyniósł Pańko.

– Berta Żydówka... Byłem tego pewny. Ale któż się spodziewał?... Zresztą nie byłyby to rzecz tak wielkiej wagi, gdyby nie skutki, które za sobą pociąga... Matka zawsze jest matką, do stu katów! I bodaj czy mi to pomiędzy szlachtą nie zaszkodzi...

W tej chwili Pańko głośniej chrapał, co zwróciło uwagę deputata.

– Czy on jest moim dobrym, czy złym duchem – pomyślał, patrząc na śpiącego. – Szczególna rzecz, że człowiek, który mię każdej chwili może zgubić, żyje dotychczas... A jednak nic mi złego nie zrobił, owszem – wiele mu winien jestem. Zresztą pijaństwo uczyniło go nieszkodliwym: dziś, jutro zginie w jakim rynsztoku. Ach, z kufrem sprawa pokpiona! Kto by się mógł spodziewać, że ten łotr ma tyle sprytu. Że też mi to nawet przez myśl nie przeszło!... Bądź co bądź, wszyscy wiedzieć powinni, że z kufrem zdobyłem nowy majątek... Do Prunelli muszę napisać list... Los mi figla płata. Ha, obaczymy, czy nie zawinę do portu! – To mówiąc, spojrzął na śpiącego Pańka i wyszedł z pokoju.

Panią Bartłomiejową, jak każe zwyczaj, ułożono na katafalku. Deputat napisał potrzebne listy i właśnie pieczętował ostatni z nich, gdy wszedł Pańko.

– Zdrów? – zapytał pan Szymon, uśmiechając się ironicznie.

– Do usług pana deputata – odpowiedział Pańko, siadając na krześle. – Co to za listy panicz wyprawia?

– O tak, rozmaite.

¹⁹⁸ Sura – jeden ze 114 rozdziałów Koranu.

– Aha, rozumiem. A nie wie też panicz, co się dzieje z Mohyłą i synkiem nieboszczki hrabiny?

– Zapewne jeden orze chłopom, a drugi uczy się paść ich gęsi!

– Prezes widzę żartuje z Mohyły, a on trochę więcej wart aniżeli z nas niejedem, ale to do rzeczy nie należy. Sądziłem, że deputat przynajmniej synka hrabiny zechce obaczyć.

– A coż mię to interesuje!

– I to prawda. Aby zdrowa panna Prunella...

– Bądź tak dobry, Pańku...

– Nie mówić? Ano to się zamilknie, jeżeli paniczowi słuchać niemiło. Ciekawa to rzecz, czy się hrabia ożeni z baronową.

– Z jaką baronową?

– A z tą, co była aktorką w Kamieńcu.

– Bardzo wątpię.

– Baba kuta, a z hrabiego może być krzyż i łopata – kto co zrobić zechce.

A może byśmy też trupa poszli odwiedzić?

– Proszę cię. Na przeciwnej stronie.

– A panicz?

– Nie sprawia mi to żadnej przyjemności.

– I to prawda. Ale na pogrzeb deputat pójdzie?

– Namyśle się.

– Ano to ja tymczasem sam pójdę.

Deputat wysłał posłańców z listami na pocztę, powydawał potrzebne rozkazy w gospodarstwie i pojechał konno na przechadzkę. Wracając wieczorem, ujrzał Pańka na drodze wiodącej do karczmy, którą kreślił esami, a mimo to wyśpiewywał głośno ulubione: „Nogom nie do ziemi...”.

– Więc Pańko jest pijakiem – pomyślał deputat. – Rzecz szczególna, co się to dzieje z ludźmi! Niewątpliwie od nas dwóch zdolniejszy. Ha, przeznaczenie istnieje!

Ostroga przyśpieszyła biegu końskiego, deputat znikł w alei.

Po kwadransie Pańko spoczywał w dobrze sobie znanym ogrodzie, na trawniku, używając przez noc całą świeżego powietrza. Nazajutrz przyznał się deputatowi, że czuje się być nieco znudzonym jednostajnością sytuacji i dostatecznie wypoczął do dalszej podróży. Wstrzymuje go tylko pogrzeb pani Bartłomiejowej, a głównie podobno stypa, bo Pańko lubi traktament w towarzystwie, gdy – przeciwnie – będąc samotnym, tylko z nudów zakrapiał się gorzałką.

Szczęściem, że pogrzeb nastąpił na trzeci dzień po śmierci pani Bartłomiejo-
wej, a stypa wnet po pogrzebie. Pańko uraczył się sówicie i nie miał czasu zwrócić
należytej uwagi, że nad wieczorem zajęchała przed dom deputata karetą, z której
wysiadły dwie kobiety bardzo podobne, jak utrzymywał Pańko, do Sury¹⁹⁹ szyn-
kującej²⁰⁰ żytniówką na trakcie warszawsko-lubelskim i... Do kogo druga była
podobną, nie mówił ekspowodyr, bo jak długi zwałił się na podłogę, krzycząc:
„Niech żyje »Trójka!«”.

Przyjezdne były to: pani Berta i panna Prunella, z którymi, a z ostatnią szcze-
gólniej, wiódł deputat żywą rozmowę, a o północy zdaje się nastąpiło porozumienie
zupełne, bo damy odjechały, deputat zaś uśmiechnął się i tarł ręce zadowolająco.

– Ha, obaczmy! – wyrzekł półgłosem.

O świcie wstał Pańko, a czując niejaką kcliwość, uciekł się do lekarstwa do-
świadczonego i pociągnął parę łyków spirytusu. Od razu też uczuł się zdrowym.
W tej chwili deputat wszedł do pokoju.

– Dzień dobry, prezesie! Dobrze żeś wyszedł, bo miałem cię zamiar obudzić.
Idę w świat.

– Zatrzymaj się chwilę. Może wyruszymy razem.

– A panicz któredy?

– Do Warszawy.

– A do kata! Bardzo mi się uśmiecha Warszawka, ale cóż, kiedy nie mogę...

– A to dlaczego?

– Mówiąc po prostu: chcę obaczyć malca hrabiny i pogadać z tym jaśnie
wielmożnym, a chłopem.

– Sentymenta... – uśmiechnął się deputat.

– Głupstwo! Kawałek jakiejś poczciwości, która lichu wie dlaczego trzyma się
mnie dotychczas. Muszę mieć coś popsutego w środku!

– Kiedy już tak chcesz koniecznie, to cię nie zatrzymuję. Może nie masz
pieniędzy na drogę?

– Parę dukatów zdało by mi się. Zresztą, umiem sobie zaradzić.

– Wiem o tym, ale to by cię mogło zatrzymać po drodze...

– Panicz ma zupełną rację..., a wcale bym sobie tego nie życzył. Na Ukrainie
zabawię niedługo. Mam tam jeszcze kawał interesu w Kijowie... Zaraz też stamtąd

¹⁹⁹ *Sura* – żydowskie imię żeńskie.

²⁰⁰ *Szynkować* – sprzedawać, handlować.

udam się do Warszawy. Nie wiem tylko, czy mi się zbierze na ochotę... , jestem wezwany do Petersburga. A powiadają, że to ładne miasto.

– Tylko stamtąd do Syberii bliżej.

– Czy dlatego deputat nie był w Petersburgu? – zapytał naiwnie Pańko.

Deputat zgryzł gorzką pigułkę, a wymijając odpowiedź:

– Przygotowałem dla ciebie ten pulares, a nie ma w nim kamieni i moralnej nauki!... – rzekł.

– Ach, że też prezes umarłej wypomina kawałek chleba...

– Nie mówmy już o tym! Do widzenia. Spotkamy się w Warszawie?

– Tak sędzę. Bądźmy zdrowi. Ach, do kaduka! Dopiero przypomniałem. Czy mi się tak zdaje, czy wczoraj ta... Ale to mi się śniło zapewne!

– Owszem, była tutaj.

– Tak? I prezes nie zrywa z tą Żydówką?

– Obaczę.

– No, bo mi się zdawało... A zresztą prezes ma także głowę na karku. Do widzenia.

– Bądź zdrow. To szczęście prawdziwe – myślał deputat, patrząc za odchodzącym – że on jest pijakiem.

O południu drogą żytomierską posuwały się dwa czterokonne pojazdy, a drogami bocznymi ku Ukrainie szedł, cmokcząc krótką fajeczkę, pieszy podróżny; miał zaś minę milionowego pana i kiedy niekiedy przyśpiwywał wesoło. To były amazonki z deputatem i Pańko.

X. ZAKOŃCZENIE

W Żytnikach na pozór nic się nie zmieniło. Taż sama harmonia w przyrodzie i pomiędzy ludźmi, bo Iwan był bratem włościan, a jego wychowaniec wcześniej patrzył na wielki przykład bratania się z ludem. Brakło tu tylko jednego melodyjnego dźwięku – Helenę grób daleki kryje, ale jej duch musi być w wiosce rodzinnej, czuwa nad sierotką synem.

Słońce ma się ku zachodowi. Mozyła wiedzie rozmowę z włością, naradzając się nad sprawami w zarządzie, na klombie²⁰¹, pod lipą, igrają dzieci.

²⁰¹ Klomb – tu w znaczeniu: kępa drzew lub krzewów.

Pańko z daleka już dojrzał dwór i serce mu zabiło żywiej, witając znajomych sobie włościan w Żytnikach. Przed cerkwią uchylił kapelusza i z pobożnością spoczął mu krzyż na piersiach. Pańko miał stanąć przed Mohyłą, miał powitać synka Heleny, od rana więc wymijał wszystkie karczmy po drodze, a w Żytnikach zapomniał nawet, że nie spotkał się z gorzałką – tak zbawiennie oddziaływał nań widok tej wsi, tych ludzi i oczekiwanie spotkania się z Iwanem.

Pańko w gruncie był poczciwym, ale przyzwyczajenie, okoliczności, wśród których wzrósł, zmuszały go do staczania walki z samym sobą; a zamiłowanie życia pełnego przygód rodziło w nim strach przed spokojem i ciszą, który daje żywot zacny, z występkiem nic wspólnego niemający. Już w bramie ekspowodyr odkrył głowę, a łyzy radości stanęły mu w oczach, gdy ujrzał Mohyłę w towarzystwie włościan, a między igrającą dziatwą starał się poznać małego Iwasia.

– *Słychom słychaty!*²⁰² – zawołał rozrzewniony. – Witajcie dobrzy ludzie i wy, zacny panie. A nie pędźcie też od siebie *burtakę!*²⁰³

– Pańko! – zawołał Mohyła, poznavszy witającego się z nim. – Przypomniałeś sobie przecie hreczkosiejów²⁰⁴.

– Niech mię Bóg zapomni – odpowiedział Pańko, całując rękę Mohyły – jeżelim was zapomniał. A gdzie sierotka dobrej pani, *zemlab jiji perom!*²⁰⁵ Pozwólcie, niech go ucałuję. To on, robaczek, prawda? Chodź tu, sokolátko małe... , nie bój się Pańka... , twoja matka nie wyrzeka na mnie tam w niebie – i ściszał małego Iwasia, którego ciekawie przypatrywał się nowo przybyłemu.

– Na, malcze, konik, szabelka – *kozakuj na sławu!*²⁰⁶ A nu, hołoto! – skinął na inne dzieci. – Macie tu zabawki, pierniki... , nuże chwytajcie!

Dziatewa rzuciła się do upominków. Pańko śmiał się wśród też, patrząc na maleństwo. Mały Iwaś z powagą przypatrywał się szabelce.

– Co to, *diadiu!*²⁰⁷ – zapytał Mohyłę.

– Szabla, malcze, szabla! – odpowiedział Pańko. – Rąb nią, tnij, co napadniesz.

– Nie chcę – odpowiedział malec z powagą i oddał pałasik²⁰⁸ Mohyle.

²⁰² *Szmat czasu!*

²⁰³ *Burtaka (burtak)* – tu w znaczeniu: biedak, włóczęga.

²⁰⁴ *Hreczkosiej* – dosłownie: ten, kto sieje grykę, czyli chłop, włościanin.

²⁰⁵ *Niech jej ziemia lekką będzie!*

²⁰⁶ *Kozakuj na chwale!*

²⁰⁷ *Wujku!*

²⁰⁸ *Pałasik* – mały pałasz, czyli rodzaj szabli.

– He, he! Nie ta krew – zawołał Pańko. – Tu znać waszą naukę, panie. Ha, róbcie, jak wasz rozum mówi! A ja bym myślał, że po staremu ciąż wrogów na kapustę!

– Minęły te czasy – rzekł Mohyła poważnie. – Uczciwa praca a duch trzeźwy więcej dziś mogą od kuli i szabli.

– Taki tak! – potwierdzili włościanie – *Syła w hromadi!*²⁰⁹ Żeby jej tylko rozumu: wiedzieć, co chcieć, a co porzucić.

– A nu, to niech już po waszemu...

– Po Bożemu, Pańku! Po Bożemu! – kończył Mohyła. – Ale skądże wracasz? Czy może zamieszkas z nami?

– A na co bym się ja tu przydał? Żeby jeszcze jakiego licha narobić... Pańko już *propaszczyj!*²¹⁰ Późno myśleć o poprawie!

– Nigdy nie późno! Ale chodźmy do chaty. Z drogi wypada ci się posilić.

Trzy dni przebył Pańko w Żytnikach i dał dowód nadludzkiego wysilenia. Ekspowodyr był pijakiem nałogowym, a taką miał cześć dla Mohyły, że nigdy nie poważyłby się upić w domu, w którym on przebywał. Łatwo więc pojąć, dlaczego – mimo całą przyjemność, jaką znajdował w Żytnikach – pozostał głuchym na prośby włościan i nalegania Mohyły... Szczerymi łzami pożegnał wszystkich, serdecznie ucałował małego Iwasia i śpiesznie wyruszył daną mu furmanką w kierunku ku Żytomierzowi²¹¹. W pierwszym miasteczku odprawił woźnicę i całą dobę pił nieustannie. Drugą dobę przespał, a na trzecią wyruszył do Warszawy.

Wpływowi Mohyły przypisać należy, że Pańko nie stawił się na czas umówiony w Kijowie i tym samym zerwał z wzywającymi jego pomocy adeptami komunizmu. Pańko postanowił stanowczo zarzucić złodziejstwo i resztę życia poświęcić wesołej hulatyce w Warszawie. A liczył na hrabiego i na pana Szymona, że mu dadzą tyle, ażeby bez troski miał swoją miarę spirytusu. Z rozwiązaniem „Trójki” życie straciło dlań urok poezji, rozumiał więc, że go już tylko należy przepęłznąć, za stacje mając miejsca na ławach i pod ławami szynkowni.

Uprzedzimy go, przenosząc się do Warszawy, w której zostają dwaj nasi bohaterowie.

²⁰⁹ *Syła w gromadzie!*

²¹⁰ *Przepadł!*

²¹¹ *Żytomierz* – miasto w województwie kijowskim dawnej Rzeczypospolitej. Ważny ośrodek kultury polskiej na ziemiach ukraińskich.

Hrabia w rzeczy samej otrzymał znaczny majątek w spadku po dalekim krewnym, który może nie wiedział, komu pozostawia swe mienie. Poprawiło to chwiejącą się już nieco jego pozycję, ale mu życia nie wróciło wcale. Hrabia przykrzył istnieniem: każda rzecz miała dlań powab chwilowy, a wkrótce nudziła. Z ludźmi nie sympatyzował, kobiet nie lubił, wszystko przestało go interesować... Oficjaliści go oszukiwali, służba okradała; z ludzi jedni mówili o nim z politowaniem, inni szydzi. Tylko Karolina zdawała się być niezmienną w swych uczuciach. Ona też jedna miała wpływ na hrabiego – nie taki wszelako, by go mężem swym nazwać mogła. Opieranie się to hrabiego było ostatnią iskrą wygasłego ognia hartu i własnej woli – poza tym robiła z nim Karolina, co chciała tylko, przyjąwszy na siebie wprost opiekę nad hrabią.

Pan Szymon przybył z amazonkami do Warszawy. Uradzono, że tu odbędzie się ślub jego z panną Prunellą. Przemyśliwając nad sprawami pieniężnymi, pan Szymon nie zapomniał o swym pragnieniu pozostania marszałkiem. Do urzeczywistnienia swych zamysłów postanowił użyć hrabiego. Jakoż niedługo zjawił się w jego pałacu.

– Pan hrabia nie przyjmuje nikogo – odpowiedział mu lokaj, gdy deputat żądał, aby go zameldowano.

– Oddaj ten bilet hrabiemu.

Lokaj wziął bilet i wrócił po chwili.

– Pan hrabia prosi.

– A! – rzekł hrabia na powitanie. – Pamiętałeś o mnie, bo ja o tobie prawie zapomniałem...

– Otwartość ujmująca! – zawołał wesoło deputat. – Ale się klócić nie będziemy. Jakże tve zdrowie, hrabio?

– Głupio.

– Czyś chory?

– Nic mi nie brak i zbywa na wszystkim. Nie pojmuję, jak się możecie interesować taką nicością, jaką ja jestem.

– Ubliżasz sobie, hrabio.

– Chciałbym mieć to przekonanie. Coż tu porabiasz?

– Przybyłem dla interesów...

– Aa!...

– Żenię się...

– Doprawdy? Więc to ja tylko strupiałem...

-
- Marzy ci się: jesteś w sile wieku i czerstwy jeszcze.
 - Próchno, wierz mi, próchno tylko.
 - Przypuścimy. Ale próchno świecące!... O nikim nie mówią w Warszawie, tylko o tobie, hrabio.
 - To dlatego zapewne, że o nich nie myślę.
 - Być może. Ale po cóż ta obojętność? Dlaczego, gdy świat wyciąga ku tobie ramiona, ty się zasklepiasz jak ślimak w skorupie?
 - Mówiłeś podobno, że się żenisz. Z kim?
 - Potrzebuję twojej pomocy.
 - Mojej? Niestety, nawet ciekawy nie jestem, ale gdy chcesz, możesz opowiadać.
 - Masz stosunki...
 - Nie bywam nigdzie.
 - A przecież spostrzegam tu bilety pierwszych znakomitości.
 - To mój lokaj zapewne pragnie mieć ich komplet.
 - Koniec końców możesz i powinieneś mi dopomóc.
 - Mogę i powinienem... To zaczyna obudzać we mnie pewien interes. Co mam zrobić?
 - Wprowadzić mnie na salony.
 - Znudziś się.
 - Już to moja rzecz. A ja cię upewniam, że ty się rozerwiesz.
 - Wątpię. A zresztą nie mam nic przeciw temu. Zawsze mówiłem, że wspomnienie ma swój urok. Chociaż go już w grubej mgle tylko widzę, uczynię zadość twemu żądaniu.
 - Dziękuję ci, kolego.
 - A Pańko? Przypomniałem go sobie. Nie wiesz, gdzie się obraca?
 - Podobno w Kijowie. Ma tu przybyć do Warszawy.
 - Muszę go obaczyć. Czy zawsze ma tyle życia?
 - Podnieca go spirytusem. Ale ruchliwy.
 - Wyobraź sobie, ja nawet upijać się nie mogę. Próbowałem: trunek mi nie smakuje.
 - Zanadtoż bo wielka różnica pomiędzy Pańkiem i tobą, hrabio.
 - To prawda, on żyje, gdy ja... Wiesz co? Nieraz żałowałem, żeśmy zerwali z „Trójką”. Doprawdy, to życiem zwać się mogło.
 - W tej chwili do pokoju weszła Karolina.
 - A, pan Szymon! Witamy – rzekła. – Cóż pana sprowadza do Warszawy?

- Chęć życia. Pani zawsze wygląda czarująco.
- Dziękuję za komplement.
- Jak to! Znacie się? – zapytał hrabia. – Ach, prawda, z Kamieńca. Do pioruna, musimy też być starzy nie lada!
- Wiosna nie starzeje się nigdy! – poprawił nieuwagę hrabiego deputat, zwróciwszy się do Karoliny.
- Baronowa obdarzyła go wdzięcznym uśmiechem, od niechcienia przejrząwszy się w ściennym lustrze.
- Czy wiesz, Karolino? Szymon się żeni.
- Karolina westchnęła, hrabia mówił dalej:
- Żeni się i pragnie, bym go wprowadził na te nudne wielkiego świata salony... Czy nie pamiętasz, kiedy bal u księcia?
- We środę był ostatni.
- Szkoda. Ale się nie martw – znajdziemy dziesięć innych.
- Za tydzień ma być bal u namiestnika..., jesteś proszony – rzekła Karolina.
- Pojedziemy tedy...
- Deputatowi uderzyła krew do głowy.
- Do namiestnika – rzekł zmieszany. – Ależ zaproszony nie jestem.
- Nic łatwiejszego. A w końcu ja cię wprowadzam.
- Jesteś łaskaw, hrabio. Nie omieszkać korzystać z twojej dobroci.
- Pan deputat był cały rozgorączkowany. Ośm dni, które go przedzielały od balu, o niczym innym nie myślał jak tylko o zaszczycie, który go spotka.
- Co na to powiedzą w powiecie? Wybory się zbliżają... Tak, to mi posłużą... Szlachta będzie olśniona... Zostanę marszałkiem!
- Nieco żywiej zabiło deputatowi serce, gdy wstępował na pokoje namiestnika, a gdy ujrzał tylu dygnitarzy, orderowych panów, zrodziła się w nim chęć nieprzeparta dojść do podobnych zaszczytów.
- Byle zostać marszałkiem – myślał – droga zaszczytów otwarta! – Nie ustąpię z tych żadnemu.
- Nazajutrz pan deputat zjawił się w redakcji „Kurierka”²¹². Rozmowa pomiędzy nim a redaktorem pozostanie zapewne wieczną tajemnicą; dość, że za godzin

²¹² „Kurierek” – tak nazywano potocznie w Warszawie „Kurier Warszawski”, gazetę wydawaną od 1821 do 1939 roku.

parę czytała Warszawa, czytał kraj cały, że pomiędzy zaproszonymi na bal do namiestnika był wielmożny pan Szymon Złocicki, deputat z Podola.

Wiadomość zamieszczona w „Kurierku”, łącznie z faktem bytności deputata na balu wywarły, wielkie wrażenie na panią Bertę i pannę Prunellę: szczególnie pierwsza westchnęła tak głośno, że aż serwantka²¹³ została wzruszoną i jęknęła dźwiękiem saskiej porcelany. Panna Prunella zażądała zaś od swego narzeczonego, by jej sprawił szal kaszmirowy, za który żądają od niej tylko sześć tysięcy złotych polskich. Pan deputat skrzywił się bardzo, ale nie odmówił. Kupił szal, kupił innych rzeczy niemało: karete wiedeńską, rozmaite garnitury, szkło, porcelanę itd. – słowem wszystko, czego potrzeba w gospodarstwie, gdy w dom ma przybyć gospodyni. Numer „Kurierka”, w którym go wydrukowano, rozesłał deputat pomiędzy obywateli podolskich w stu egzemplarzach, co jak zapewniał przybyły do Warszawy arendarz, wielką sensację wywołało pomiędzy obywatelstwem.

Niestety, większą o wiele sensację wywołała okoliczność, o której może bym i zamilczał przez wzgląd na mego bohatera, gdyby nie pewność, że cała Warszawa wie o tym, a o czym Warszawa wie – wie świat cały! Panna Prunella... Nie mam odwagi podzielić się tą wieścią z czułymi czytelniczkami... Panna Prunella, amazonka, kobieta emancypowana, dała dowód emancypacji i pewnego poranku, nic nawet cioci Bercie nie mówiąc, znikła z Warszawy – o zgrozo! – z fryzjerem teatralnym, któremu oddała swe serce!

Na wieść o tym siarczyste pioruny strzeliły w deputata, szczęściem nieszkodliwie. Pan Szymon zmysłów nie postradał, jednak nie mogło mu się to pomieścić w głowie: jak można było opuścić jego, zaledwie nie marszałka, przed którym cały świat zaszczytów otwiera swe podwoje, uściela mu drogę wawrzynami...

– Ha, to niepodobna – zawołał. – To się wytłumaczyć nie da! Dostrzegam tu piekielną machinację!... Prunella, ta Prunella, którą jeszcze niedawno tak ucieszył mój, a tym samym i jej tryumf... Piekło i niebo! O, kobiety! Czymże to, czym jesteście? Fryzjer lepszy od marszałka. – Pan Szymon upadł na sofę, tragicznie załamawszy ręce.

Jakie to szczęście, że deputat nie znał zgoła *Dziadów* Mickiewicza, niewątpliwie bowiem zadeklamowałby głosem grobowym: „Kobieto, puchu marny! Ty

²¹³ *Serwantka* – wolnostojąca, oszklona z trzech stron szafka do przechowywania ozdobnej porcelany, szkła, sreber i elementów zastawy stołowej.

wietrzna istoto!”²¹⁴. Pan Szymon nie deklamował, ale porwawszy się na równe nogi, biegł do pani Berty.

– Prawda to? Prawda?! – wykrzyknął.

– Niestety!

– Za moją miłość, za moje przywiązanie...

Doprawdy powiedzieć nie umiem, czy deputat płakał, ale to pewna, że pani Bercie ckliwie jakoś zrobiło się w sercu.

– Deputacie! – rzekła miękko.

– Cóż teraz świat, co Warszawa powie? – wołał deputat. – Czyliż podobna po tym wszystkim bywać na pokojach?...²¹⁵

– Uspokój się, deputacie...

– Nie ma uspokojenia! Dla mnie teraz grób pozostał!... Tak jest – tylko samotna mogiła...

– Deputacie! – szepnęła łzawo pani Berta. – Czyliż nie wiesz, że jest istota, która twej śmierci nie przeżyje...

Pan Szymon zreflektował się. Spojrzał na wzruszoną panią Bertę. „Kto wie!” – pomyślał i już z większym spokojem odczytał bilet, pozostawiony przez Prunellę. Bilet brzmiał: „Deputacie i ty, ciociu! Nie bierzcie mi za złe, że idę za głosem serca, którym powodowałam się od dzieciństwa. Mój wybrany nie ma odpowiedniego stanowiska w świecie, dlatego zmuszoną jestem stworzyć sobie świat inny, świat szczęścia. Nie zazdroście mi i bądźcie równie szczęśliwi. Prunella”.

Ostatni ustęp listu silnie wzruszył panią Bertę – zdawało się, że sznurówki ustąpią naciskowi i dadzą więźniom swobodę.

– Deputacie! – rzekła czule. – Bądźmy szczęśliwi...

Obcesowo tak zagadnięty pan Szymon był w niemałym kłopotcie. Szczęściem wyratował go lokaj, podając list, w którym hrabia usilnie prosił towarzysza, ażeby natychmiast go odwiedził.

Deputat pożegnał panią Bertę do prędkiego widzenia; na co amazonka odpowiedziała, że jak żegna, tak i powita ją we łzach, które oby szczęście z ócz jej otrzeć zdołało... Deputat nie lubił poezji, niewiele też znalazł przyjemności

²¹⁴ Słowa Gustawa z IV części *Dziadów* (1823) Adama Mickiewicza (1798–1855), jednego z trzech w XIX wieku wieszczów narodowych, autorytetu w życiu polskim pod zaborami.

²¹⁵ *Bywać na pokojach* – bywać w towarzystwie, uczestniczyć w przyjęciach towarzyskich lokalnej elity.

w wysłowieniu się pani Berty – wziął kapelusz i wyszedł. Zastał hrabiego w różowym humorze.

– Czy wiesz, Szymonie! – zawołał hrabia. – Pańko jest w Warszawie. Powiadam ci, ten człowiek cudów dokazuje. Jestem wesół, prawie szczęśliwy, czuję krew w mych żyłach... – a wszystko to on zrobił. Dziwną posiada nade mną władzę. Nie widziałeś się z nim? Ale cóż to? Smutny jesteś... Do licha, Szymonie! Ja przestałem, a ty się kwasić zaczynasz... *Fi donc!*...²¹⁶

– Jestem zmartwiony – rzekł wreszcie deputat.

– Czym?

– Nie słyszałeś?

– Zgoła o niczym.

– Cała Warszawa o tym tylko mówi...

– Coż się stało?

– Narzeczona zdradziła mię.

– No, to jeszcze nic nadzwyczajnego.

– Uciekła...

– A, to co innego.

– Z fryzjerem teatralnym...

– Co?! Z fryzjerem?!... A to doskonale! Wybornie! Cha, cha, cha!

– Śmiejesz się?... Tak to bardzo wesołe!

– Co chcesz? Wyśmienite!... Pojmuję twoje zmartwienie, niemniej przeto ucieczka bawi mnie niezmiernie. Cha, cha, cha! Więc to amazonka dała takiego kominka?... Brawo! *Bravissimo!*²¹⁷

– Czy mi nic więcej nie masz do powiedzenia, hrabio? – zapytał deputat, urażony śmiechem Parysa.

– Obrażasz się niesłusznie, Szymonie. Ręczę ci, że na moim miejscu śmiałyś się również... *Mais n'importe!*²¹⁸, strata nieznacząca! Uciekła ci narzeczona – dziś jeszcze będziesz miał dziesięć innych. Będę cię swatał, zgoda?

Pan Szymon nie miał tak bardzo zranionego serca, ażeby pociecha nie miała doń przystępu – szczególnie tego rodzaju, jaką ofiarował hrabia. Jego swatostwo rzecz nie lada... Różowe myśli owionęły deputata, a daleka perspektywa świetnie

²¹⁶ *To niedorzeczne!*

²¹⁷ *Wybornie!*

²¹⁸ *Ależ to nieważne.*

zaczęła mu jaśnieć. W sam jednak środek tego Eldorado²¹⁹ wpadła czarna bomba nowej myśli i znowu wszystko stało się mętным chaosem.

– Dziękuję ci za twą dobroć, hrabio, ale nie mogę z niej korzystać.

– Czy nie zechcesz utrzymywać – zapytał hrabia nieco ironicznie – że miłość ku wiarołomnej?...

– O, nie! – przerwał mu deputat, ale się zmitygował²²⁰. – Właściwie: i miłość... Jest jednak okoliczność inna, nie mniej ważna...

– Jakaż to okoliczność?

– Mówiłem ci już, że pragnę zostać marszałkiem.

– Wiem... Czy ci to przeszkadza do ożenienia się?...

– Owszem, nakazuje mi.

– A więc przyjmujesz moją pomoc?

– To niepodobna!

– Coż znowu?

– Nie mamy czasu...

– Jak to?

– Zaledwie miesiąc dzieli mię od wyborów. Muszę mieć żonę, bo i pierwszym razem dlatego tylko obrany nie byłem, że kawaler nie ma potrzebnej powagi u obywatelstwa... Widzisz więc, że nie mogę korzystać z twej dobroci.

– To prawda, że tak prędko żony dać ci nie będę w stanie, ale zdaje mi się, że jej również nie wynajdziesz.

– Muszę! – odparł deputat.

– Wprawdzie wiele ten robi, kto musi, ale żony za trzy dni nie znajdzie – i jeszcze takiej, z którą byś był szczęśliwym.

– Przede wszystkim musi być bogatą, bo nic tak naszej szlachcie nie imponuje jak złoto. Ubierz kożę w brylanty, wszyscy ją w łapkę całować będą.

– Pięknie ilustrujesz szlachtę – rzekł hrabia, uśmiechając się. – Koniec końców jednak i takiej kozy nie znajdziesz za dni parę.

– Ha, wezmę Bertę! – zawołał deputat po chwili.

– Co to za Berta?

– Ciotka Prunelli.

– Wybornie! Uciekła siostrzenica – ciotka jej miejsce zajmuje. Młoda? Ładna?

²¹⁹ *Eldorado* – legendarna kraina w Ameryce Południowej pełna złota.

²²⁰ *Zmitygować się* – pohamować się, powstrzymać się.

– Bogata!

– A więc jest niezbędny warunek... Kiedy tak, to żeń się.

W tej chwili drzwi do gabinetu otwały się i wszedł Pańko.

Ekspowodyr widocznie silił się, ażeby zachować równowagę.

– Przychodzę – rzekł, a obaczywszy deputata – ba, wdowiec słomiany – zawołał wesoło i upadł, szczęściem, że na krzesło. – Mówiłem, że u hrabiego posadzka zbyt śliska...

– Podobno, że ci nogi nie statkują²²¹ – złośliwie zauważył deputat.

– Ale za to głowa moja! – odciął Pańko. – Paniczu Szymciu, od kogo baba ucieka, niech idzie do kruchty, bo już mu nie ma co robić na świecie! Ale mniejsza o to. Przyszedłem powiedzieć hrabiemu, że po raz ostatni jestem w jego domu.

– A to dlaczego? – zapytał hrabia zdziwiony.

– Wiem, że głównymi drzwiami wchodzić mi nie wypada, a wejście boczne przez furtkę ubliża Pańkowi. Otóż dlatego wcale go odwiedzać nie będę.

– Zrobisz mi tym przykrość.

– Co chcecie: człowiek również ma swoją ambicję!

– Ale któż ci broni wchodzić drzwiami głównymi?

– Nie wypada! Zanadto demokratyczną mam powierzchowność. Przy tym postanowiłem odbyć próbę: mam zamiar, nie ustając, pić tydzień cały.

– To trochę za wiele!

– Właśnie chcę się przekonać. Pod „Kogutkiem” wyborna żytniówka! Bywajcie mi zdrowi, panicze. Prawdę mówiąc, chciałbym już nie wstać spod czopa. Życie głupie – cel chybiony, zdałem się już tylko na sztukę mięsa dla robaków. Życzę szczęścia, bo prezes zapewne ożeni się z Bertą. Do widzenia tu albo gdzie indziej.

– Pańku! Żartujesz czy mówisz prawdę?

– Niech mię piorun strzeli! Idę wprost pod „Kogutka”.

– Gdy tak, to cię nie puszcę.

– Ho!

– Zginiesz marnie.

– A co komu do tego?

– Pańku!

²²¹ Nie statkować – nie służyć.

Ekspowodyr popatrzył na hrabiego.

- Mówiłem: panisko dobre... Ba, kiedy dla mnie życia nie ma. Bądźcie zdrowi!
- Połóż się spać – w tamtym pokoju masz łóżko.
- Idę pod „Kogutka”.
- Powtarzam, że cię nie puszczę.
- Ba, kiedy „Kogutek...”.

Ekspowodyr ledwie mógł ruszać językiem.

- Szymonie, zaprowadźmy go do łóżka.
- Zanadto interesujesz się nim, hrabio – zrobił uwagę deputat.
- Ech, do pioruna! – odpowiedział mu hrabia. – Całe życie jesteś samolubem.

Pomóż mi.

Wprowadzony do sąsiedniego pokoju Pańko mruczał:

- Puszczajcie!... Pod „Kogutka”! Wiwat „Trójka”!
- Jaka szkoda – rzekł hrabia, gdy się znowu znaleźli w gabinecie – że ten człowiek nie poszedł drogą właściwą. Mógłby być wielkim.
- Żegnam cię, hrabio.
- Już odchodzisz?
- Muszę spieszyć. Wybory niezadługo.
- Kiedyż się obaczmy?
- Dziś jeszcze uwiadomię cię o mym postanowieniu.
- Czekam.

Pan Szymon wyszedł. Hrabia zamyślił się nad przyszłością towarzysza i własną.

Humor weselszy, który wywołało przybycie Pańka, musiał być chwilowym, gdyż hrabia jak zwykle przebył godzin parę w zadumie, bardzo do odrętwienia podobnej. Na chwilę tylko wstrząsnął nim jakby brzęk stłuczonej szyby w pokoju, w którym spał Pańko.

– Zapewne musiał strącić co ze stołu – pomyślał hrabia i ponownie zapadł w zadumę.

Ocknęło go przyjście deputata, którego uwiadomiał hrabiego o swym połączeniu się z Bertą za tydzień najdalej. A gdy oba weszli do pokoju, chcąc do towarzystwa przywołać Pańka, już go tam nie było – wyskoczył przez okno do ogrodu, a stamtąd zapewne dostał się na ulicę. Przykry uśmiech wybiegł na usta hrabiego.

– A mówią, że mamy własną wolę – rzekł półgłosem.

– Należałoby o to zapytać Pańka pod „Kogutkiem” – dodał złośliwie deputat. Hrabia nic nie odpowiedział.

Pan Szymon zdecydował się pojąć panią Bertę za dozgonną towarzyszkę życia.

Przedugodne traktacje²²² ich żywo przypomniały kantor wekslarski. Dobre cztery godziny upłynęły przysłym państwu marszałkostwu na targach. Deputat dwadzieścia razy brał kapelusz i chciał odchodzić, wszystko zerwawszy... dwadzieścia razy zatrzymywała go pani Berta, każdym razem czyniąc nowe ustępstwa. Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona – i rzuciła się w jego objęcia...²²³

Mówię słowami ballady Mickiewicza – z tym dodatkiem, że wraz z panią Bertą padł w objęcia deputata zapis całego majątku, na którym zastrzegła sobie dożywocie przysła połowica pana Szymona, jeśli ją Bóg nie pobłogosławi potomstwem... Ostatni punkt zamieszczono w umowie na wyraźne żądanie pani Berty, czemu się nie sprzeciwiał deputat, zastrzegłszy się formalnie co do przeszłości, o przyszłość zupełnie spokojny.

Tydzień cały biegał pan Szymon po Warszawie, pragnąc wszelkie sprawy tak pokończyć, ażeby wnet po ślubie wyruszyć na Podole. Całe siedm dni pił Pańko żytniówkę pod „Kogutkiem”, nie jedząc nic więcej tylko ogórki kwaszone; a był to środek tak doskonały, że ekspowodyr z potyczki wyniósł laur najzupełniejszego zwycięstwa i miał czas wyszukać ubogi kościółek na przedmieściu, w którym deputat ślubował Bogu i wybranej przez siebie kobiecie.

Hrabia był przytomny aktowi zaślubin towarzysza, jednak widok ten nie rozjaśnił chmurnego jego czoła.

Pańko miał ironiczny uśmiech na ustach i od czasu do czasu spazmatycznie zaciskał ręce. Obrzęd się skończył, deputat podał rękę swej żonie. Pańko uśmiechnął się.

– Szczęść Boże! – rzekł, kłaniając się nowożeńcom, i dodał ciszej: – Aż teraz panicz dojechał wszystkiemu końca! A pan hrabia? – zapytał, gdy deputat sadzał żonę do powozu.

– Wyjeżdżam za granicę – odrzekł zapytany. – Głupio się plecie – dodał po chwili.

– To prawda, że niemądrze. Ano to chyba bądźcie panicze zdrowi. Już się nie mamy po co widzieć ze sobą.

²²² *Przedugodne traktacje* – tu: przedślubne uzgodnienia, pertraktacje.

²²³ Fragment z utworu Adama Mickiewicza *Czaty (Ballada ukraińska)* (1828). W oryginale: „I schyliła się w jego objęcia”.

– Żegnam cię, hrabio – rzekł deputat. – Wkrótce odjeżdżam. Bądź zdrów, Pańku.

– Albo mi tego potrzeba! – zawołał ekspowodyr. – Ot, zginąć gdzie pod płótem. Haj, haj! Wyklarowali mię na dudę²²⁴. No, bywajcie zdrowi!

Łzy mu stanęły w oczach, popatrzył na hrabiego i Szymona, westchnął i poszedł szybkim krokiem.

Deputat za parę godzin wyjechał z Warszawy pomimo gorącą protestację małżonki, która nazajutrz dopiero pragnęła puścić się w drogę. Hrabia ruszył za granicę, i podobno bez baronowej, która straciwszy nadzieję na połączenie się z dawnym swym kochankiem, zostawiła go własnemu losowi. Pańko znikł gdzieś bez wieści.

Pan Szymon przybył do Kamieńca w samą porę, by zaimponować wyborcom tak swoją osobą, jak i przepychem, którym się otoczył. Prędko bardzo zamknięto oczy na pewne niedostatki w osobie kandydata, natomiast wynoszono pod niebiosa jego zalety, a numera „Kurierka” pomogły tu bardzo!... Przy tym obiady były świetne, wina doskonałe, tytoń przedni – nic więc dziwnego, że pan Złocicki jednogłośnie został okrzyknięty marszałkiem.

– Niech żyje marszałek! – krzyknęła szlachta.

– Niech żyje! – zawtórujemy jej od siebie.

I pan marszałek żył w rzeczy samej. Trzy tryjenia²²⁵ zatrzymywano go na stanowisku, które mu dało rozgłosne imię, powagę wielką, szacunek i parę krzyżów. Pan Złocicki został panem orderowym, bogatym, bo umiał robić fortunę, wreszcie wdowcem, gdyż pani marszałkowa, martwiąc się ciągłymi postami (była prezesem Towarzystwa Dobroczyńności), umarła na zbytnią otyłość.

O hrabiu wiemy tyle tylko, że podróżował długo, ale życia nie znalazł. Powrócił do Warszawy już za rządów margrabiego²²⁶ i cieszył się jego przyjaźnią – przynajmniej tak powszechnie utrzymywano.

O Pańku wiadomo, że był jednym z filarów, na którym spoczywa propinacja²²⁷, będąca ze swej strony ostatnim filarem walącego się dziś gmachu szlachet-

²²⁴ *Wyklarować na dudę* – zrobić z kogoś cymbała, osła, głupca.

²²⁵ *Tryjenie* – prawdopodobnie: kadencja.

²²⁶ Chodzi zapewne o hrabiego Aleksandra Wielopolskiego (1803–1877), naczelnika rządu cywilnego Królestwa Polskiego (1862–1863).

²²⁷ *Propinacja* – wyłączne prawo właściciela dóbr ziemskich do produkcji i sprzedaży piwa, gorzałki i miodu w obrębie jego dóbr oraz przywilej do sprowadzania tych wyrobów z innych miast i czerpania z tego tytułu dochodów.

czynny. Mówiono nawet, że odbył pieszą podróż na Syberię, zapewne w celach utylitarnych²²⁸ – nic w tym jednak nie ma pewnego. A rzecz niezawodna, że w chwili, gdy powieść naszą kończymy, widziano go pod „Kogutkiem”, szeroko rozprawiającego o pierwszeństwie żytniówki przed wódkami innego rodzaju, nic już nie mówiąc o winie i miodzie.

Mohyle ubyłoby lat, ale nie dzielności – o głowie i sercu jego wiedzą szeroko naokoło. Mały Porowski skończył szkoły i chodzi na uniwersytet w Kijowie. Z ojcem widuje się niekiedy, kocha go nawet, ale w zdaniach różni się bardzo...

Lola jest szczęśliwą żoną i matką. Piotruś pod kierunkiem Mohyły wykształcił się na dzielnego człowieka. Z czworga ich dzieci jak różyczka z pączka zakwita Helunia – najstarsza ich córeczka.

Otóż i wszyscy. Ach, prawda! Panowie Maciej Kopytko i Krucki Protazy – jakim mieczem wojowali, od takiego zginęli. Wyborną ucztę miały z nich robaki, gdyż sukcesorowie²²⁹ żałowali pieniędzy na zabalsamowanie cennego ich ciała, a w gabinecie anatomicznym, jak już mówiłem, nie ma „obywatela” zakonserwowanego w spirytusie.

—

Widzę przerażenie na twarzach czytelników. „Na Boga! Koniec powieści – wołają. – A gdzie jest m o r a ł?”

O, wy moralni! Wam się zdaje, że powieść to pozytywka, której obowiązkiem grać, chociażby fałszywie, ale najpierw melodyjnie – p i a n o..., później przejść drogą akordów zwalonych jeden na drugi jak stopy kamienia..., następnie niby piorunami strzelić straszliwym *fortissimo*²³⁰ i wreszcie odpowiednim *finale*²³¹ zakończyć pracę nabitą na kopyto form rozumowych.

A powieść jest życiem! A życie nie układa się wedle z góry postawionych formułek!

Łzy, śmiech i głupstwo, cnota cicha i podłość, zbrodnia i świętość – oto wiązanka życia!... Cóż tu formułki poradzą?...

Szczęście ludzkości od niej samej zawisło. Wychowajmy jedno pokolenie jak należy, a zacnych ojców synowie będą zacnymi. Bo złe nie w naturze ludzkiej

²²⁸ Utylitarny – mający na celu praktyczną, materialną korzyść.

²²⁹ Sukcesor – spadkobierca.

²³⁰ Bardzo głośno.

²³¹ Zakończeniem.

spoczywa, ale go wyradzają okoliczności zewnętrzne. Wychowaniem odejmijmy potęgę ich wpływowi – grunt im usuńmy, a łotrów i trutniów społecznych pomiędzy nami nie będzie.

Człowiek płynie rzeką życia... Pierwiastek dobra w nim łamie się z brudnymi falami mętów, które zło wyradza. Ilekroć zanurzone, wir porywa ze sobą – wyciska nam łzę żalu; a gdy wynurzy się nad fale, to błysnie słonecznie i twarz nam rozjaśni wyrazem błogości.

Dlatego to łotry mej „Trójki” nie są pozbawieni sympatii. I otóż jej morał cały.

Bardziej wymagający na duszną swą pociechę znajdują jeszcze inny morał – skutków.

XI. ROK 1863 NA UKRAINIE

Nie ma większej sprzeczności nad dzień i noc: światło i ciemność.

Ludzie wiedzą o tym i dlatego podzielili się na jasnych i ciemnych. Pierwsi stanęli u góry, ostatni spód zajęli. Ci mądrzy – tamci głupi; oświeceni – ciemni, tłum.

Rzecz jednak szczególna, że często ciemni pierwsi ujrzą światło i rwą się ku niemu, gdy oświeceni wołają: „Noc wokoło – śpijcie jeszcze!” i często bardzo stają po stronie niedozwalających ciemnym ujrzeć światło dzienne.

A ludzkości ma świecić słońce! Noc dla niej zginąć musi! I ciemnych to ręka wali zapory, a ile szczelin i wpadających przez nie słońca promyków, tyle usiłowań ciemni, tłum! Oni światła pragną i zdobędą światło, a wtedy dla jasnych pozostanie noc – może hańby, może noc potępienia...

I u nas, gdy ciemni zawołali: „Światła! Dnia!” – jaśni odpowiedzieli: „Nie ma!”, w sta głosów wtórzac: „Precz z marzeniami!”. Tłum w modlitwie błagał: „Jasności!” – jaśni szyderstwem na ten głos odrzekli i naprzeciwno skrwawionej chusty krzywd milionowych wywiesili chorągiew białą na świadectwo, że w nich krwi już nie ma. I daleko naokół widną była białość, a ciemnota u spodu wołała głuchym jękiem: „Światła!”. Jej wskazywano chorągiew...

Więc ciemni chrzest odbyli nowy: krwią umazali swe czoła i między białych weszli czerwonii!... A gdy jak upiory przeszli szeregi jasnych, nie znaleźli w nich życia! Toż do podziemiów zeszli głębokich i w świeże rany targnęli zakłębieniem, aż trysła krew wrogom w oczy. Na strunach serca grał duch tajemniczy,

a wszystkie serca odjęknęły nuta, która się wpleść miała w psalm przyszości. Uboga dziatwa, kijami zbrojna, stanęła piersią przeciw działom wroga, a w jego piersi bojażń osiadła, chociaż milion bagnetów miał na swe usługi i życzliwie wiała ku niemu chorągiew białych.

Tak było w Koronie, tak na Litwie, tylko na Ukrainie odmiennie.

I tu nie zbywało na białych, i tu spieszącą do zapasów krwawych hołotę, zwaną czerwonymi. Lecz mieliśmy wśród nas czarnych²³². Ci, wierni kolorowi swego sumienia, nie trzymali się podobnie białym na uboczu, ale duszą i ciałem lgnęli do wrogów, gotowi zaprzedać im żony swe, dzieci, ludzkość całą – za orderową blaszkę, tytuł carskiego lokaja i wolność plugawego gnicia w występkach.

Na Ukrainie było odmiennie, bo u naszego ludu, kto Polak – ten Lach, a Lachem matki straszą swe dzieci, bo Lach – to pan, a pan – to wspomnienie krwi i łez!

Pocieszamy się myślą, że wyjątki winny złemu... O, na wyjątki wieki i pokolenia kłątwy nie wydadzą! Wyjątki nie mają mocy zohydzić imienia ogółu, a na Ukrainie największą obrazą jest nazwa Lacha.

W ziemi mógł inaczej, bo tam krzywda ludu trafiła do serc młodych i ojciec wyrzekł się syna, że wraz z nim nie pragnął zguby chama, że miał ucho na jego jęki. Na Ukrainie inaczej, bo tam w każdej piersi żyje nieprzedawnione wspomnienie swobody, woli – jak step olbrzymiej, jak to niebo jasnej, jak powietrze rozkosznej!

Do tych milionów nie przemawiaj w imię przedrozbiorowych granic, bo cię zbęda ruchem ramion. Nie mów im o królach i senatorach, bo śmiech szyderstwa otrzymasz w zamianę, ale się odezwij w imię swobody człowieczej, nieskrępowania działalności, w imię czarownej tej woli, którą na Ukrainie dziecię i starzec rozumieją po równo, do której jednakowo biją im serca... Zaklnij tym potężnym słowem, a gdy wiarę znajdziesz – siądź w milczeniu na mogile najwyższej i patrz na Ukrainę: jednej chwili zginie niewola! Jednej chwili wróg przepadnie! Archanioł woli przeleci te stepy i wróci na nie szczęście, i sława powróci!

²³² *Biali, czerwoni, czarni* – nazwy obozów w polskim ruchu narodowym w okresie przedpowstaniowym i powstania styczniowego. Biali reprezentowali nurt konserwatywny, umiarkowany, zaś czerwoni radykalny. Czarni – autorska koncepcja Święcickiego na określenie renegatów, lojalistów, zdrajców narodowych.

Chodziło tylko o to: kto ma przemówić do ludu? Czy i m o n s ł o w o m u w i e r z y? Car, urzędnicy, wojsko, popy? – Nie! Obywatele?... Jeszcze nie przy-schły rany pańszczyźnianych razów, jeszcze krwią cieką egzekucje wojskowe, które obywatel przywołał... Im lud nie uwierzy, chyba że powiedzą, iż niedawne czasy powrócą!

Zostawała tylko młodzież. Oni byli tacy jeszcze bieli niewinnością, a tak ich opromieniała miłość dla ludu, którego z niewoli wydzwignąć pragnęli, że zdawało się im, iż słowa ich znajdę u niego wiare, że jak braci przyjmie ich lud w swoje szeregi i pójdą wraz z nim na bój za prawdę, za żywot!

Białe sokolątka! Zapomnieli, że miłość, że pragnienie szczęścia milionów – choć ich okrywa blaskiem – nie wypala jednak plam krwi męczeńskiej, którą ich czoła poznaczyli ojcowie na znak, że od nich pochodzą...

O, nie! Nie zapomnieli!... Im nie było tajnym, że krzywda zemsty pragnie, że ona wziętą zostanie, chociaż z niewinnych, że kto z a s ł u g i d z i e d z i c z y, odziedzicza i winy... Tak utrzymuje lud i dlatego w czwartym pokoleniu jeszcze ściga wroga: mści się na ojcach, rodzinie.

Święci męczennicy z sercem miłości ludu pełnym poszli na krwawą ofiarę, niosąc wolność w *Złotej Hramocie*²³³ – i z pieśnią przyszłości, ściskając swych morderców, zginęli pod ich razami. *Sołowijówka*²³⁴, *step rozalowiecki*²³⁵ – to pomniki wiekowej chwały. U stóp dwu tych mogił skołała smutna przeszłość. Nad nimi unosi się duch wielkiej przyszłości milionów. Potomni tu ołtarz ustawią i jak w świątyniach polecą w niebo hymnem.

Rok 1863 zastaje hrabiego Porowskiego w szeregach b i a ł y c h. Nie dlatego, by go interesowało to, co się wokoło dzieje, ale że jedyny człowiek, którego mu imponował, margrabia, wytknął narodowi drogę powolnych reform. Hrabia zapatrywał się na ruch jak na robotę uliczną motłochu, który łamie porządek

²³³ *Złota Hramota* – dekret uwłaszczeniowy zredagowany pod koniec marca 1863 roku przez Komitet Centralny Narodowy Rządu Narodowego, skierowany do chłopów ukraińskich, mający na celu pozyskać ich przychylność do walki z Imperium Rosyjskim.

²³⁴ *Sołowijówka* – w tej miejscowości, na Ukrainie, 21 powstańców zostało osaczonych przez podburzonych przez władze carskie chłopów ukraińskich. 12 powstańców w okrutny sposób zamordowano. Resztę, ciężko rannych, odstawiono do władz rosyjskich (9 maja 1863).

²³⁵ *Step rozalowiecki* – bitwa pod miejscowością Rozalówka (Rozaliówka), w której Rosjanie, wsparci przez okolicznych chłopów, zniszczyli oddział powstańcy (10 maja 1863).

społeczny i jako taki ukarany być winien. Pogardzał nim ani przypuszczając, by dłużej nad parą tygodni utrzymać się zdołał.

Tymczasem ruch trwał blisko rok. Margrabia ustąpił. Jednocześnie i hrabia opuścił Królestwo, przenosząc się do dóbr swoich na Ukrainie. Znalazłszy się w sąsiedztwie Mohyły i syna, hrabia niejednokrotnie wyrażał przed nimi swoją opinię o ruchu i z szyderstwem słuchał wywnętrzań się Iwana i jego wychowawca. Bawiły go pełne ognia i zapału wypowiedania się syna, któren – jak wszyscy młodzi podówczas – chciał ojca na stronę ruchu przeciągnąć, ale nie pojmował, jakim sposobem człowiek tak wytrawny i niemłody jak Mohyła mógł sympatyzować z powstaniem!...

– A tutaj czy również macie zamiar ruch wywołać? – pytał hrabia z ironią.

– Uwłaszczenie ludu jest rzeczą niezbędną! – zawołał z ogniem młody Porowski.

– Stara to piosenka!... A ty, panie Iwanie, jak utrzymujesz?

– Sądzę – rzekł Mohyła – że ruch dążący do wolności należy wywołać wszędzie, gdzie tylko to jest możliwe.

– A, to mię pocieszasz! Proszę was, moi kochani, gdy zechcecie to głupstwo zrobić, uprzedźcie mnie, bym wcześniej wyniósł się za granicę.

– Ojciec tego nie zrobi! – zawołał Iwaś.

– A to dlaczego?

– Bo..., bo się nie godzi w chwili tak uroczystej opuszczać kraju..., bo..., ojciec tego nie robi dla siebie! Dla mnie... – Łzy mu nie pozwoliły mówić.

Młodzieniec rzucił się do ręki ojcowskiej i okrył ją pocałunkami. Pomimo całą swą obojętność hrabia uczuł się wzruszonym słowami syna.

– Młodzi, szczęśliwi – rzekł. – Gdyby mi twoje lata..., kto wie... Ale teraz...

– A pan Mohyła? Ojczy!

– Ach, ten Mohyła. Doprawdy, panie Iwanie, obawiam się, by twym imieniem wnuki mię nie prześladowały. Patrz, syn już zaczyna...

– Ojczye...

– Żartowałem. Ale nie liczcie na mnie i proszę: uprzedźcie w czas przed ruchawką.

Prośby syna i przedstawienia Mohyły nie wywierały wpływu na hrabiego, któren o żadnym ruchu nic wiedzieć nie chciał.

– Obałamuciliście młodych waszymi mrzonkami. Dajcież pokój starszym, bo ci widzą lepiej.

Mohyla nie zrazał się tym wcale, a chociaż nie podzielał zdania młodzieży, że lud pójdzie za nimi, po bliższym porozumieniu się z członkami Rządu Narodowego²³⁶, zgodził się na potrzebę wywołania ruchu, chociażby nawet nie trwał on długo. Uwłaszczenie włościan było faktem doniosłym! W końcu liczone na pomoc dyplomacji... Zgubne rachuby!

Był inny, którego jak hrabia nie sympatyzował z ruchem – z tą jednak różnicą, że pan marszałek Złocicki bez żadnych skrupułów byłby powywieszał wszystkich niespokojnych, buntowników, jak ich publicznie nazywał. Pan marszałek bowiem, którego właśnie kandydował na gubernialnego dygnitarza szlachty, bez zaprzeczenia stał na czele czarnych, a sam był z nich bodaj najczarniejszym.

Wiele ciekawych rzeczy umiałyby opowiedzieć krzyże wiszące na piersiach marszałka. Jego liczne włości, które rokrocznie mnożyły się ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich; nie miała gotowizna umieszczona w banku rządowym i u osób prywatnych na zastaw majątków, które prędzej czy później, z dopłatą albo za pomocą procesu, przechodziły na własność pana Złocickiego; ale najwięcej podobno umieliby opowiedzieć włościanie każdej wsi, bo marszałek – jako dobry ojciec swych poddanych – o nikim nie przepomniał²³⁷ i dał się dobrze we znaki.

Wierny sługa rządu, który go hojnie łaskami obdarzał (marszałek nienawdził rewolucji, a w dodatku bał się jej niewypowiedzianie), słyszał bowiem, że powstańcy najpierw darują ziemię włościanom i robią ich obywatelami kraju, na co pan Szymon nie godził się nigdy. Następnie biorą się do rozpatrywania cudzych pretensji²³⁸: wchodzą w zażalenia, sądzą sprawy, wymierzają sprawiedliwość..., co wszystko marszałkowi nie byłoby na rękę... „A już też – mawiał – trzeba być osłem wierutnym, ażeby myśleć, że obywatelom może być gdzie lepiej jak pod rządem najmiłociwszego cara! Przywileje nas chronią, posiadamy wszystko, nad nami tylko car... Powariowali, gdy chcą czegoś lepszego!”

Tymczasem podziemna, jak ją nazywano, robota szerzyła się. Organizację przeprowadzono wszędzie. Poborcy zjawili się u marszałka, żądając opłacenia

²³⁶ *Rząd Narodowy* – naczelny organ władzy, działający w okresie powstania styczniowego na dawnych ziemiach polskich.

²³⁷ *Przepomnieć* – zapomnieć.

²³⁸ *Pretensje* – żądanie, domaganie się należnej sumy pieniędzy.

podatku narodowego. Marszałek struchlał. Nie wiadomo, co go bardziej przeraziło: czy widok wykonawców władzy podziemnej, czy dokładne wyliczenie dochodów, od których podatek ma opłacić. Pewna jednak, że po krótkim namyśle kazał poborców zwięzać i odesłać do sprawnika²³⁹.

Opinia napiętnowała marszałka nazwą zdrajcy – nie rozczuliło go to wcale. Gdy jednak nacisk był za silny i marszałek odczytał przysłany mu wyrok infamii²⁴⁰, z zagrożeniem dalszych skutków – za radą gubernatora wyjechał pan Złocicki do swego majątku na Ukrainie i wpadł z deszczu pod rynnę.

Powstanie wybuchło.

Pewnego poranku gromada Żytnik poważnie ruszyła ku dworowi, zawezwana przez Mohyłę. A gdy się zebrali, powitał ich Iwan zwykłym:

– *Sława Bohu!*²⁴¹

– *Wo wiky!*²⁴² – odpowiedziano mu, coś niezwykłego przeczuwając.

Mohyła w krótkich słowach opowiedział gromadzie cel zwołania.

– Przyszedł czas – rzekł – upomnieć się o swobodę. Nasi bracia znad Wisły broń podnieśli – czas i na nas! Czy tak, *dobri lude?*²⁴³

Włóścianie pospuszczali głowy na piersi i milczeli. A włość gdy milczy, to mówi wiele! Iwan zrozumiał ich i ból przejął jego serce.

W tej chwili zza ogrodu wysunął oddział zbrojnych: nieco piechoty i kilkanaście koni. Szmer przebiegł między włóścianami. Oddział z okrzykiem *Sława Bohu* wszedł na podwórze i na dany znak przez Mohyłę ustawił się obok włóścian.

– Broń w kozły! – dał rozkaz Mohyła.

– Bracia! – rzekł do ludu. – Znacie mię od dziecka i wierzycie, że was nie zdradzę...

Gromada jednogłośnie przyświadczyła, że go nie podejrzewa o złe zamiary.

– Czekaliśmy długo – mówił dalej – i cierpieli niemało. A mówiono nam, że car da wolę.

²³⁹ *Sprawnik* – naczelnik powiatu w carskiej Rosji.

²⁴⁰ *Infamia* – kara w systemie prawnym Rzeczypospolitej Obojga Narodów wobec szlachty za najcięższe przestępstwa (rozboje, kradzieże, gwałty); oznaczała utratę czci, zakaz sprawowania funkcji urzędnika zaufania publicznego oraz częściowe wyjęcie spod prawa.

²⁴¹ *Niech będzie pochwalony!*

²⁴² *Na wieki wieków!*

²⁴³ *Dobrzy ludzie?*

– A tak, tak – mówili włościanie, kiwając głowami.

– I nie dali nam jej.

– A taki nie dali – zawtórowała gromada.

– Toż przyszedł czas słuszny, ażebyśmy sami zdobyli wołę dla siebie. Oto ja od siebie i od syna dobrej nieboszczki powiadam, że ta ziemia, którą macie, jest waszą na wieczne czasy, bez żadnej zapłaty.

Wybuch radości stłumiły skinienia poważniejszych w gromadzie, którzy dalej słuchali. Mohyła mówił:

– Moskal nie daje nam swobody, tylko niewołę. Oto wam *Złota Hramota* naszej starszyny narodowej w Kijowie, która potwierdza to, co mówiłem. Od dziś wszyscy włościanie są wolni i mają ziemię na własność! Widzę i diak tu jest między wami. Przeczytaj, Opanasie, *hramotę* dobrym ludziom.

Opanas wystąpił i czytał. Rozmaite uczucia malowały się na twarzach słuchaczy, tylko starcy chowali wyraz spokojnej powagi. Gdy Opanas skończył czytanie, zabrał głos Iwan.

– A teraz, gdy macie wołę i ziemię, daną wam po wieczne czasy, brońcież jej od Moskali, którzy chcą waszej zguby. Kto ochoczy, niech idzie z nami. Znajdzie się broń – to dobrze, a nie – to kosy na wprost i dalej na wroga!

– Hurrah! – ozwały się głosy i młodszy przymknęli do oddziału, a gdy im broń podano, stanęli w szeregu.

– Skończyłem moje słowo – rzekł po chwili Mohyła. – Teraz zapraszam was, hromado, na chrzest. Iwasiu – zwrócił się do młodego Porowskiego. – Zdejm twe suknie, tu masz ubiór inny. Pamiętajcie, dobrzy ludzie, jak na chrzcie świętym daliście synkowi hrabiny strój parobka, krzyżyk i ziemi grudkę. Oto go macie w tym samym stroju, a ja nic mu innego nie powiem jak wasze słowa tylko: „Nie sromaj się²⁴⁴ chłopów, a kochaj tę ziemię i giń za swobodę!”.

Rozwinął podaną sobie chorągiew i zawołał:

– Oto nasz Michał święty²⁴⁵. Hurah! Naprzód! *Za dolu! Za wolu!*²⁴⁶

– Hurah! – zawtórował mu oddział i nowi ochotnicy, garnący się pod sztandar świętego Michała.

W oddziale nastąpiło poruszenie. Włościanie rzucili się ku Mohyle.

²⁴⁴ *Sromać się* – wstydząć się.

²⁴⁵ *Św. Michał Archanioł* – patron Rusi Kijowskiej, Ukrainy.

²⁴⁶ *Za życie! Za wolność!*

– *Ej, brate nasz, pane!* – zawołali ze łzami. – *I ty, sokołyku młodeńkyj!*²⁴⁷ Zostańcie tu z nami, bo zginiecie marnie. Wy nasza krew. Po co wam iść do Lachów?! *Iwańczyku, lubczyku!*²⁴⁸ Pożałujcie nas sierot!

Kto chce swobody – za mną! – wolał Iwan. – Komu miła niewola – niech zostanie. *Proszczawajcie! A nu, matojci!*²⁴⁹ – zwrócił się do oddziału. – *Krokom!*²⁵⁰

Długo na stepie wiała chorągiew malinowa²⁵¹. Długo włościanie ze łzami w oczach patrzyli w ślad za oddziałem, aż wreszcie znikł im z oczu.

– *Propaszcz!*²⁵² – zawołała gromada. – Czy im podużać²⁵³ Moskali? Taj jeszcze z Lachami!

– A cóż z tą hramotą zrobimy? – zapytali inni.

– A niech zostanie. Zanieśmy ją do cerkwi, za carskie wrota. Zawsze tam Święte Pisanie, bo za wolę.

– Haj, haj! *Pidniałaś bucza na Wkrajini – bude tycho!*²⁵⁴ Ta za co nasi tam zaginę?... Gorąca to dusza kozacka ten Iwan. A zapomniał, że gdzie hromady nie ma, tam nie ma i skutku!

Oddział tymczasem posuwał się w kierunku zachodnim, w każdej wsi ogłaszając *Złotą Hramotę*, której przyjęciu towarzyszyły sceny podobne do opisanej, bo to jeszcze były wsie Porowskiego – i Mohylę z Paniczem znano tu i kochano nie mniej jak w Żytnikach.

Pierwszą wsią, gdzie gromada już sąsiednia, była majątność hrabiego Parysa. Tu, na widok zbrojnych, uderzono w dzwony. Kobiety i dzieci skryły się, włościanie zbrojnie wystąpili przeciw napastnikom, za jakich miano powstańców. Po przemowie i odczytaniu hramoty, nastąpiło porozumienie i włościanie nie czynili trudności w dalszym pochodzie oddziału.

Pałac hrabiego był położony za wsią. W tę stronę zwrócił się oddział. Służba pałacowa, drżąc, oczekiwała zjawienia się powstańców. Hrabia na wiadomość o zbliżaniu się oddziału zaśmiał się ironicznie.

²⁴⁷ *Ej, bracie nasz, pane. I ty, sokoliku młody!*

²⁴⁸ *Iwanieńku, kochanieńku!*

²⁴⁹ *Żegnajcie! Dalej, matojcy!*

²⁵⁰ *Naprzód!*

²⁵¹ *Chorągiew malinowa* – chorągiew z wizerunkiem archaniola Michała, nadana kozaczyźnie przez króla Stefana Batorego.

²⁵² *Przepadli!*

²⁵³ *Podużać* – pokonać.

²⁵⁴ *Podniosła się wrzawa na Ukrainie – będzie źle.*

– Przecież postawili na swoim! Głupcy!

Hrabia był przygotowanym, że powstańcy, mszcząc się za jego neutralność, złupią mu pałac.

– Siły odeprzeć nie jestem w stanie – myślał – a chociaż mego życia nie cenię wcale, nie oddam go jednak sankilotom²⁵⁵ bezkarnie!

Z rewolwerem w rękę zbliżył się do okna.

– Banda liczna! *Comment?*...²⁵⁶ A więc to proste rabusie. Hola, służba!

Wszedł lokaj.

– Ilu was tu jest? – zapytał hrabia.

– Sześciu, proszę jaśnie pana.

– Jeżeli jesteście zuchy, to możemy rozpedzić tę hołotę.

Lokaj zawahał się.

– Proszę jaśnie pana – rzekł. – To powstańcy...

– A! Więc aż do mego kredensu²⁵⁷ dosięgła propaganda – mruknął hrabia. –

Idź precz!

W tej chwili drzwi się otworzyły i młody Porowski upadł ojcu do nóg.

– Błogosław mię, ojcze! – zawołał.

Hrabia zachwiał się.

– Ty! Z nimi?...

– Idę walczyć za wolność! Błogosław mię na śmierć lub zwycięstwo!

– Szalony! – zawołał hrabia. – Spójrz, że toniesz w kałuży!

– Ojcze! – z godnością przerwał mu Iwan.

– Tak jest! – mówił hrabia rozgorączkowany. – Czerni! Motłoch!... Oni cię uwiedli, nikczemni. Synu, przecież nie zaprziesz się krwi mojej!

Na podwórzu ozwał się głos trąbki. Iwan zadrżał.

– Ojcze, na pamięć matki, zaklinam cię!...

Ostatnimi czasy hrabia znacznie podupadł na siłach. Rozumowania mu nie wystarczały, upór dał miejsce innemu uczuciu w jego piersi: hrabia często doświadczał zgryzot sumienia, które mu wyrzucało śmierć Heleny. Wspomniane

²⁵⁵ *Sankilota* – pogardliwa nazwa stosowana przez stany wyższe w odniesieniu do najradykałniejszych uczestników rewolucji francuskiej.

²⁵⁶ *A cöz to?*

²⁵⁷ *Kredens* – tu w znaczeniu: służba stołowa.

przez syna imię matki wstrząsnęło całą jego istotą. Hrabia porwał syna w objęcia i z wzniesionymi ku niebu oczami rzekł głosem drżącym:

– O, niech mi tam przebaczy!

W tej chwili do pokoju wszedł Mołyła. Nie miał jednak czasu przemówić, gdyż w ślad za nim wpadł jeden z wysłanych na zwiady z wiadomością, że Moskale są w wiosce sąsiedniej w liczbie przeważającej. Mołyła skinął tylko ręką, żegnając hrabiego, i wyszedł dla dania rozkazów. Hrabia przez chwilę wpatrywał się w wyniosłą postać syna, wreszcie rzekł z uczuciem:

– Bierzcie wszystko, co wam potrzeba! I Niech cię Bóg chroni, boś mi już jeden pozostał...

Hrabia, drżąc, tulił syna w objęciach. Iwaś po raz dziesiąty ucałował jego rękę, zawołał:

– Do widzenia! – i wybiegł z pokoju.

Po wyjściu syna hrabia stanął przy oknie. W szeregu dojrzał kilku swych oficjalistów i trzech ze służby dworskiej.

– Wszystko idzie za prądem – rzekł z westchnieniem. – Ha, może jesteśmy w błędzie?...

Wkrótce oddział wyruszył. Samotny hrabia dumiał zapatrzony w chmury przesuwane się po błękitach. Ciszę przerwało wejście posłańca, którego podając list

– Od pana marszałka – rzekł.

Hrabia czytał: „Kochany hrabio. Jeśli się nudzisz albo masz obawę, by zbuntowana hołota nie oddała ci wizyty, przyjeżdżaj do mnie. Mam tu straż bezpieczeństwa i towarzystwo dobrane. *Au revoir!*²⁵⁸.

S. Złocicki, marszałek”.

List w samą porę doszedł hrabiego. Natychmiast kazał zaprząć konie do karety i wyjechał.

Usposobienie włościan, obojętne wprawdzie, w miarę przekonywania się o nie-liczebności sił lackich²⁵⁹ i dawania posłuchu propagandzie policyjno-popowskiej stawało się coraz to bardziej nieprzyjaznym. Włościanie już wymagali złożenia broni, gdy oddział wchodził do wsi, i pod tym tylko warunkiem słuchali odczytywania hramoty i proklamacji. Gromada jednej wsi towarzyszyła powstańcom

²⁵⁸ *Do zobaczenia!*

²⁵⁹ *Lacki* – polski.

do wsi drugiej i połączone szły z nimi do trzeciej. Był to już objaw nieprzyjazny, chociaż brak broni usprawiedliwiał włościan poniekądże tylko z prostej ciekawości: co powiedzą gromady inne? Towarzyszą oddziałowi powstańców. Oddziały mniejsze, jednostki pojedyncze już były zatrzymywane przez włościan – rozbrajane, niekiedy nawet więzione.

Na podobną scenę natrafiamy w jednej z wiosek graniczących z posiadłościami marszałka. Kilkudziesięciu włościan, z pikami naprędce zrobionymi w wiejskiej kuźni, zatrzymało pieszo idącego podróżnego, którego energicznie protestował przeciw wzbranianiu mu dalszej drogi. Z okrzykami: *laszok, laszok!*²⁶⁰ zbiegli się parobcy ze wsi, okrążając go coraz gęstszą masą. Podróżny protestował:

– Hij na was! Jaki ja Lach?

– A któż taki? Kto! – pytali włościanie.

– Chłop, muzyk – jak i wy.

– Ehe, muzyk, a w surducie! Związać go! Związać Lacha!

– Zwiąż sobie język – wołał podróżny – a ja nie Lach. Idę do dobrych ludzi, kiedy wiecie, do Mohyły w Żytnikach.

– W Żytnikach – przemówił jeden z poważnych włościan. – *No, to zapiznywsia, neboże!*²⁶¹. Tam już wszyscy poszli na Lachy.

– O! I Mohyła?

– A pewnie. On Kozak, póki nie na cara. A jak Lachy podnieśli się, to dalej z nimi! Oni tacy wszyscy!

W tej chwili popłoch wszczął się pomiędzy zebranymi. Kilkunastu konnych powstańców zbliżyło się do włościan.

– *Sława Bohu!*²⁶² – zawołał z konia młody Iwan, trzymający czoło przedniej straży od działu. – *Po woli czy po newoli?*²⁶³

– *Po woli*²⁶⁴ – odpowiedziانو mu. – *Koły w nas, najbude i w was*²⁶⁵ – dodali, składając swe piki. Powstańcy również broń złożyli.

Podróżny teraz dopiero wydostał się z pomiędzy włościan i zbliżywszy się do powstańców:

²⁶⁰ *Laszek, Laszek!*

²⁶¹ *No to spóźniłeś się, biedaku!*

²⁶² *Chwała Bogu!*

²⁶³ *Po dobroci czy nie?*

²⁶⁴ *Po dobroci.*

²⁶⁵ *Jeśli my, to i wy.*

– *Slychom stychaty!*²⁶⁶ – zawołał. – Panicz Iwaś!

– Pańko!

– A on sam. Wiecie? Już mię Lachem zrobiono. A ja do was!

– Więc z nami?

– E!... A pan Mohyła?

– Ot, z całym oddziałem nadciąga.

– Ho, ho! – zawołał ekspowodyr. – Daj go katu – krew odezwała się w żyłach!

Taki ja *bodaj szcze ne tedaszczō*²⁶⁷. Ano, coź robić – dajcie i mnie pukawkę. *Zdorow buw, pane atamane!*²⁶⁸ – zawołał, zwracając się do Mohyły, gdy ten zbliżył się do zebranych. – Szedłem do was, ażeby zacząć żyć uczciwie, bo już mi i kwarta obmierza, a tu widzę wypadnie pójść do Abrahama... To i lepiej! A pokażcie mi moje miejsce w szeregu.

– Tu, przy mnie! – rzekł Mohyła wesoło – *A szczo, hromado, wola z namy?*²⁶⁹ Włóścianie zrobili ruch uchylający się.

– *My, proszu pana, ne wojenni*²⁷⁰ – odrzekli.

– A coź spisy²⁷¹ znaczą, kosy?

– To już jak chyba napadną, to człek bronić się musi.

– No, to brońcież się. A brońcie swobody i ziemi, bo to wasze. *Przeczytajcie Hramotu*²⁷².

W milczeniu słuchała gromada czytania. Dokument przyjęto, oddział poszedł w swoją drogę.

—

*Pidniałaś bucza na Wkrajini – bude tycho!*²⁷³ – powiedzieli włóścianie, gdy powstańcy wyszli z Żytnik. Wróżba ta prędko się sprawdziła.

Carska policja mówiła ludowi, że to zbuntowane pany Lachy chcą wrócić pańszczyznę, bo nie darmo modlili się w kościołach: „P a ń s c z y z n ę naszą racz

²⁶⁶ *Dawnośmy się nie widzieli!*

²⁶⁷ *Niech nie będę ladaco.*

²⁶⁸ *Witajcie, panie atamane!*

²⁶⁹ *A co, gromado, będziecie z nami?*

²⁷⁰ *My, panie, nie do wojaczki.*

²⁷¹ *Spisa* – broń drzewcowa o wąskim, prostym i długim żeleźcu w formie grotu, z dwoma bocznymi, również wąskimi kolcami.

²⁷² *Przeczytajcie Hramotę.*

²⁷³ *Podniosła się wrzawa na Ukrainie – będzie źle.*

nam wrócić Panie!”. Że powstańcy ukradli obraz Przczystej w Ławrze, że oni palą wsie, a chłopów zabijają, dzieci zaś pieką i jedzą... Sprawnik zachęca, pop błogosławi, car nakazuje rznąć Lachów, a wszystko co po nich zostanie – wasze! Ziemia, las, pałace, złoto i makaty – mordujcie!* Dodajmy do tego zemstę za krzywdy wiekowe, a ołtarze stawić nam wypadnie świętości ludu, który wśród takich okoliczności tak mało krwi przelał! A choć głównie pociekła ona z serc czystych – nie zginęła! Ona jest tą rosą niebieską, z niej zejdą kwiaty szczęśliwości. Hosanna męczennikom!

Wśród niewinnych padł i winny niejeden. Pana marszałka chroniła policja od powstańców, ale przeciw zemście włościan ustrzec nie zdołała i gdyby nie gwiazda, pod którą się urodził, życiem za życie zapłaciłby pan Złocicki. A tak, poturbowany tylko po trosze, krwią ociekając, wymknął się z rąk mścicieli. A spotkawszy jadącego doń hrabiego, zaklął, by jechał z nim do miasta.

– Bydło wzięto na kiel! – mówił drżąc. – Tylko rząd nas ochroni!

Widocznie jednak marszałek zbliżał się do swego przeznaczenia. W lesie zatrzymali powóz powstańcy. Straż przednia zaraportowała. Do powozu zbliżył się Mohyła.

– Zginąłem! – wybełkotał marszałek na widok Iwana.

– A więc to wy! – zawołał hrabia, poznawszy Mohyłę. – A syn mój?

– Jestem, ojcze – odpowiedział młody Porowski. – Szczęśliwy, że z tobą walczyć będę przeciw wrogom.

– Wychodź, panie marszałku – rzekł Mohyła. – Jesteś naszym jeńcem.

Marszałek zbłądł bardziej jeszcze i rzucił się do hrabiego.

– Ratuj! – wykrzyknął.

– Ba, jesteśmy obaj jeńcami! Obaczymy, jaką nam karę wyznaczą. Ci panowie, mój drogi, są dziś sędziami obywatelskiego sumienia. *Que faire?*²⁷⁴ Trzeba się poddać.

– Iwanie! – rzekł Mohyła do młodego Porowskiego. – Weź sześciu ludzi i zreknoskuj²⁷⁵ stronę lasu, przypierającą do gościńca. Służę panom do „koła”.

Hrabia idąc wśród powstańców, miał minę lekceważącą; marszałek drżał febrycznie²⁷⁶.

* Historyczne.

²⁷⁴ *Co robić?*

²⁷⁵ *Zrekognoskować* – zbadać, poznać dla celów wojskowych.

²⁷⁶ *Febrycznie* – jak w ataku febry, gdy gorączce towarzyszą dreszcze.

Zbliżając się do miejsca, gdzie były szataśze²⁷⁷, hrabia spostrzegł szeregowca nabijającego strzelbę i poznał go:

– Pańko! – zawołał zdziwiony.

Pańko zadrżał.

– Panicze! Do stu... Nie spodziewałem się spotkać was tutaj.

– Obywatelu! – rzekł w tej chwili Mohyla do marszałka. – Stajesz przed sądem.

– Sąd – mruknął Pańko. – Przyszła kreska... A co ja tu poradzę! – i wziął się znów do strzelby.

Pan Szymon obłąkanym wzrokiem patrzył wokoło, a usta drgały mu, wymawiając niezrozumiałe słowa.

– Obwiniony jesteś o następujące występki...

Tu Mohyla wyliczył cały szereg czynów karygodnych, których się dopuścił marszałek.

– Co masz na swe usprawiedliwienie? – zapytał.

Pan Złocicki upadł na kolana.

– Litości! – jęknął. – Przebaczenia!

Hrabiego oburzyło tchórzostwo marszałka.

– Szymonie! – krzyknął. – Nie upadlaj się.

Pańko ze łzami w oczach patrzył na dawnych swych towarzyszków.

– Sędziowie! – rzekł Mohyla. – Znacie winy. Obżałowany²⁷⁸ nie ma nic na swe usprawiedliwienie – sądziecie!

Grobowa cisza zapanowała w obozie. Sędziowie naradzali się na uboczu. Po chwili rzekł prezydujący:

– Sąd znajduje winnym obywatela Złocickiego kilkakrotnej zdrady. Wydaje wyrok: śmierć!

Marszałek zemdłał.

Usłyszawszy wyrok, Pańko rzucił się ku sędziom, lecz się zatrzymał.

– Zdradzał swoich – mruknął ponuro. – Ha, ja tu nie poradzę...

– Śmierć! Śmierć! – powtórzyły liczne głosy.

Obozowy ksiądz zbliżył się do skazanego. Wtem od strony lasu wypadł strzał, za nim drugi, dziesiąty.

²⁷⁷ Szataśz – szataś.

²⁷⁸ Obżałowany – oskarżony o coś, podsądny.

– Do broni! – zawołał Mołyła i w tejże chwili Iwan wpadł na spienionym koniu.

– Moskale! – krzyknął. – I z konia rzucił się do nóg hrabiego. – Ojcie! – zawołał. – Krwią obmyj plamę imienia. Broń do ręki! Zginmy za swobodę!

Uroczysta była to chwila. O parę kroków wrzał już bój, kule przelatowały po gałęziach.

– Ojcie, jeszcze chwila! – wołał Iwan, podając ojcu broń nabitą.

Czoło hrabiego oblewały krople zimnego potu. Ostatnią staczał z sobą walkę. Wreszcie

– Nie! – zawołał, upadając na kłodę.

– Ha! – jęknął młodzieniec, porwawszy się z kolan. – Śmierć wrogom! – i rzucił się w szeregi walczących.

Hrabia wyciągnął doń ręce.

– Synu! Synu! – zawołał.

Co żyło tylko, porwało za broń, bo Moskale w dziesięćkroć przeważającej sile napadli na obóz powstańców. Mołyła pierwszy rzucił się na czoło, za nim poszedł Pańko. Ksiądz przerwał spowiedź, porwawszy za broń. Hrabia i marszałek pozostali sami. Pan Szymon nie wierzył własnym oczom. Wreszcie obejrzał się wokoło.

– Uciekajmy! – zawołał, porywając ramię hrabiego.

Hrabia odtrącił go.

– Precz!

Powstańcy zaczęli ustępować siłom przeważającym – prawe ich skrzydło zostało złamane. Hrabia na próżno silił się dostrzec syna pomiędzy walczącymi. Marszałek ujrzał bagnety Moskali wciskające się w środek oszańcowanego obozu powstańców i oczy dziko mu się zaświeciły.

– Zwyciężeni! – wykrzyknął uradowany. – Ha, łotry!...

W tej chwili, o kroków kilkanaście, na ustępujące prawe skrzydło przebiegał Mołyła. Krew lała mu się ze skroni, ale zapal i męstwo jaśniały z twarzy dowódcy.

– Kwadrans – wołał do swoich. – Jeszcze kwadrans, a zwycięstwo przy nas!

– Ha, psie! – syknął marszałek. – Chciałeś mię powiesić, a uciekasz... Górą nasi! Ja wam pomogę! Kwadrans?... Poczekaj!

Porwał za leżący na ziemi karabin i zmierzył do Iwana przebiegającego linię. Ale gdy miał już pociągnąć za cyngiel, głos Pańka zawołał:

– Daruj, prezesie! Teraz czasy inne! – i kula jego pistoletu powaliła marszałka.

Pan Szymon dojrzał Pańka rzucającego się na bagnety Moskali. Wybełkotał: „Złodz...” i skonał.

Hrabia, drżąc, patrzył na walczących. Dostrzegł malinową chorągiew... Syn, zda się, ku ojcu powiewał nią, tnąc wrogów okrwawioną szablą.

– Hurah! – wołał. – Niech żyje wolność!

– Syn... Syn... – chwiał się hrabia. – Boże!... Ja nie jestem ich wrogiem!... – i porwał karabin, który wypadł z rąk marszałka.

W tej chwili wiatr rozwiął dymy bojowe. Hrabia ujrzał syna samotnie stojącego na wzgórku ze sztandarem pośród tłumów Moskali.

– Naprzód! – zawołał hrabia, rzucając się na wrogów. – Synu!

Iwan dostrzegł ojca. Z uśmiechem powiał ku niemu chorągwią.

– Niech żyje wolność! – zawołał i padł przeszyty kilkoma kulami.

Na ten widok hrabia jęknął i upadł także.

Bitwa się skończyła. Powstańcy zginęli śmiercią bohaterów. Kilku tylko ciężko rannych, pomiędzy nimi Iwana, pognano na Syberię.

Pańko zginął walecznie.

Hrabiemu, ponieważ miał strzelbę w rękę, skonfiskowano majątek, lecz go to nie interesowało, gdyż zmysły utracił.

Na Ukrainie przybyła nowa mogiła. W sali tronowej w Moskwie powiewa chorągiew malinowa. Na niej srebrny Archanioł, a na stronie odwrotnej napis: „Wola. r. 1863”.

Mogilne duchy gwarzą coś tajemnie...

KONIEC



Alojzy Misierowicz (1825–1900), Napoleon Orda (1807–1883),
Kamieniec Podolski. Ogród generała Jana de Witte (1875)

Paulin Świącicki

MOSKAL

Powieść z ostatnich czasów

(nie Bolesławity)

Wychodzi co piątku, z dodatkami muzykaljów, mód, wzorów i krejów.
Cena do końca b. r. — z r. 50 ct. —
z dodatkami... 1. 50
za pięć miesięcy... 1. 50
z dodatkami... 3.

NOWINY

z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy franco przysyłać należy:
Do wydawnictwa „Nowin” we Lwowie,
w drukarni Kornela Pillera.
Reklamacje nieopieczowane nie opła-
cają się.
Ekspedycja i pecunierata miejscowa
razem z „Gazetą Narodową.”

Szanowni czytelnicy!

Nie przychodzimy do Was z długim spisem nazwisk sławnych autorów, którzy Pismu naszemu współpracownictwo przyrzekli, ani z programatem przyobiecującym to, czego dać nie byłibyśmy w stanie; ale w poczuciu potrzeby pisma, któreby odpowiadało słusznym wymaganiom, stajemy przed Wami ufni, że pracą zdobędziemy sobie stanowisko w szeregu pracowników na polu narodowych zasług.

Naszem zadaniem będzie: z czystością języka łączyć pożyteczne i przyjemne, a celem ostatecznym: dać czytelnikom w „Nowinach” to, czego nam wszystkim tak bardzo potrzeba: pokarm ducha i rozrywkę wśród kłopotów życia.

Pomijając politykę i rzeczy ściśle naukowe, staraniem naszym będzie rozwinąć należycie w Pismie dział beletrystyczny, zwracając szczególniejszą uwagę na odpowiednie nowości; w myśl czego postaramy się o korespondentów ze znaczniejszych miast tak w kraju, jak i za granicą.

Tygodniowy dodatek będzie zawierać, naprzemian: muzykalja, kolorowane ryciny mód, kroje i wzory z opisami.

Mody ze znanego we Lwowie magazynu mód p. Władysława Lewickiego.

Cena „Nowin” do końca b. r. 50 ct.; z dodatkiem mód itd. 1 zł.; za pięć miesięcy 1 zł. 50 ct. z dodatkiem 3 zł.

Od nowego roku: rocznie 4 zł.; z dodatkiem mód i t. d. 8 zł.; kwartalnie 1 zł.; z dodatkiem mód i t. d. 2 zł.

Za przesyłkę pocztową dolicza się do prenumeraty 15 ct. w. a. kwartalnie.

Moskal.

Powieść z ostatnich czasów
nie Bolesławisty.

Wschodzące słońce rzuciło kilka dobroczynnych promieni do wilgotnej kaźni, i oświeciło leżącą na zgnitej słomie postać więźnia.

Był to młodzian mający lat około 25, ile z pierwszego rzutu oka wnosił się dale, postawy ujmującej i budowy silnej. Kruce, czarne włosy spadały mu na ramiona; na nieco wciętych ustach igrał łagodny uśmiech — więzień śnił, może o wolności...

Skrzypnęły ciężkie drzwi więzienne i do kaźni wszedł żandarm, w towarzystwie żołnierzy. Zbliżył się do śpiącego, i dotknął go ostrzem palasza.

— Wstawaj! — zawołał oschło, głosem którym oprócz żandarna moskiewskiego mówią jeszcze szalani w wypadkach szczególnych.

Więzień ocknął się, przetarł duże czarne oczy; spostrzegł żandarna.

— Przeklecie siepacze! — zawołał — tużin waszych mózgow nie wynagrodzi mi snu, któryście przerwali!... Czego chcesz? — zapytał z gniewem żandarna.

— Zbieraj się!

— Coż tam nowego?

— Wyrok — odpowiedział żandarm.

— Przecież! — rzekł więzień, z gorzkim uśmiechem — po trzech latach więzienia. A, no! pójdźmy posłuchać tego ciekawego wyroku.

Choć była dopiero 7 godzin zrana, mieszkane powiatowego miasteczka byli już na nogach oddawna, i zebrały przed turnią lud powitał więźnia głuchym szmerem żalu i łzą nie jedna.

Więzień w towarzystwie żandarna i żołnierzy szedł ku domowi zamieszkiwanemu przez miejscowego sprawnika, moskała czystej krwi, bo mającego zwierzęcą dzikość, chciwego na pieniądze i pjanice. Makar Fiodorowicz Pytkin uznany był przez władzę za człowieka na miejscu, a zostający pod jurysdykcją rządów tego satrapy na małą skalę, drzeli o swe mienie i wolność osobistą.

Zagrzmiały hebny; na ganku ukazał się sprawnik w towarzystwie kilku oficerów i urzędników; zmierzyl wzrokiem więźnia.

— Charosz sadat budiet! — mruknął (Dobry żołnierz będzie) i postąpił przed dom kroków kilka; wydołał z zanadru papier, i czytał silnym głosem:

„Na moey wyroku, Franciszek Barski, ze szlachty, za podżeganie chłopów do buntu w r. 1855, za niełagodno-diożne zachowanie się skazany zostaje na służbę w sat-daty, bez wysług, i ma być niezwłocznie odestany na Kaukaz.”

Głuchym szmerem przyjęli zebrani ten carski wyrok, a nie znalazłes pomiędzy nimi takich, którzyby wierzyli w jego sprawiedliwość.

— Ha, ha! — smutnie uśmiechnął się Barski — to kara prawdziwa; chciałem wolności, siepacze zdejmują mi łańcuchy na to, bym w nie kuł ręce swobodnych Czerkiesów. Niech żyje carska sprawiedliwość!

Pierwszy fragment powieści Paulina Świącickiego *Moskal. Powieść z ostatnich czasów* (tygodnik „Nowiny” 1867, nr 1)

Wschodzące słońce rzuciło kilka dobroczynnych promieni do wilgotnej kaźni¹ i oświeciło leżącą na zgniłej słomie postać więźnia.

Był to młodzian mający lat około dwadzieścia pięć, ile z pierwszego rzutu oka wnosić się dało, postawy ujmującej i budowy silnej. Krucze, czarne włosy spadały mu na ramiona; na nieco wciętych ustach igrał łagodny uśmiech – więzień śnił, może o wolności...

Skrzypnęły ciężkie drzwi więzienne i do kaźni wszedł żandarm w towarzystwie żołnierzy. Zbliżył się do śpiącego i dotknął go ostrzem pałasza.

– Wstawaj! – zawołał oschło głosem, którym oprócz żandarma moskiewskiego mówią jeszcze szatani w wypadkach szczególnych.

Więzień ocknął się, przetarł duże, czarne oczy, spostrzegł żandarma.

– Przekłete siepacze! – zawołał. – Tuzin waszych mózgów² nie wynagrodzi mi snu, któryście przerwali!... Czego chcesz? – zapytał z gniewem żandarma.

– Zbieraj się!

– Cóż tam nowego?

– Wyrok – odpowiedział żandarm.

– Przecież! – rzekł więzień, z gorzkim uśmiechem. – Po trzech latach więzienia. Ano pójdźmy posłuchać tego ciekawego wyroku!

Chociaż była dopiero siódma godzina z rana, mieszkańcy powiatowego miasteczka byli już na nogach od dawna i zebrany przed turmą³ lud powitał więźnia głuchym szmerem żalu i łzą niejedną.

Więzień w towarzystwie żandarma i żołnierzy szedł ku domowi zamieszkiwanemu przez miejscowego sprawnika⁴, Moskala⁵ czystej krwi, bo mającego zwierzęcą dzikość, chciwego na pieniądze i pijanicę⁶. Makar Fiodorowicz Pytkin

¹ *Każń* – ciężkie więzienie, kazamaty.

² Tak w oryginale.

³ *Turma* – dawn. więzienie.

⁴ *Sprawnik* – naczelnik powiatu w carskiej Rosji, w tym naczelnik policji.

⁵ *Moskal* – niegdyś pogardliwie o Rosjaninie.

⁶ *Pijanica* – pijak, człowiek nadużywający alkoholu.

uznany był przez władzę za człowieka na miejscu, a zostający pod jurysdykcją rządów tego satrapy na małą skalę drżeli o swe mienie i wolność osobistą.

Zagrzmiały bębny; na ganku ukazał się sprawnik w towarzystwie kilku oficerów i urzędników. Zmierzył wzrokiem więźnia.

– *Chorosz soldat budiet!* (Dobry żołnierz będzie!)⁷ – mruknął i postąpił przed dom kroków kilka; wydostał z zanadru papier i czytał silnym głosem: – Na mocy wyroku, Franciszek Barski, ze szlachty, za podżeganie chłopów do buntu w roku 1855, za niebłagonadiożne⁸ zachowanie się skazany zostaje na służbę w *soldaty*, bez wysług, i ma być niezwłocznie odesłany na Kaukaz.

Głuchym szmerem przyjęli zebrani ten carski wyrok, a nie znalazłeś pomiędzy nimi takich, którzy by wierzyli w jego sprawiedliwość.

– Ha, ha! – smutnie uśmiechnął się Barski. – To kara prawdziwa: chciałem wolności, siepacze zdejmują mi łańcuchy na to, bym w nie kuł ręce swobodnych Czerkiesów⁹. Niech żyje carska sprawiedliwość!

Ostatnie słowa zagłuszył huk bębnow i dźwięk opadających więzów.

Dziwnego doświadcza się uczucia gdy po latach dźwigania u nóg nam padną łańcuchy! Wówczas ręce zdają się być skrzydłami, zdolne unieść nas w kraj wolności... Barski musiał doświadczać podobnego uczucia, bo ani spostrzegł jak go posadzono na jednym z tarabanów¹⁰, a wojskowy cyrulik zabrał się do obcinania włosów rekruta. Pęk czarnych kędziorów, który upadł skazanemu pod nogi, ocknął go z zadumy. Łzy stanęły w oczach młodziana.

– Ostatnia oznaka własnej woli – rzekł smutnie – i tej car zabrania. Odtąd jestem tylko ślepym narzędziem zaguby mych bliźnich!...

Za chwilę czoło jego zajaśniało pogodą myśli: widział łzy współczucia w oczach znajomych i obcych; to go pocieszyło.

– Włosy odrosną – rzekł weselej – a com w piersi mej zamknął, tego mi nikt nie wydrze, i takim do was powrócę, jakim mnie wywożą. Bracia, niech żyje wolność! Niech żyje ojczyzna!

Młodzieńczy zapal elektryczną iskrą przeszedł do serc innych i zebrani jednym głosem odwzorzyli:

⁷ Tu i dalej: w nawiasach tłumaczenie autora. Oryginalny zapis fonetyczny (np. *charosz*) – dostosowany do współczesnej polskiej transkrypcji alfabetu rosyjskiego (np. *chorosz*).

⁸ *Niebłagonadiożny* – nieprawomyślny.

⁹ *Czerkies* – członek narodu zamieszkującego zachodnio-północny obszar Kaukazu.

¹⁰ *Taraban* – wielki bęben wojskowy.

– Niech żyje!

– *Mołczat'!* (Milczeć!) – zagrzmiął głos sprawnika i kibitka z żandarmami stanęła przed gankiem.

– *Otprawlajsia!* (Ruszaj!) – krzyknął sprawnik. Żandarmi wsadzili rekruta na kibitkę.

W tej chwili pomiędzy zgromadzonymi wszczął się ruch niezwykły. Jakiś powóz torował sobie drogę przez tłum do domu sprawnika.

– Miejsca! Miejsca! – krzyczano w tłumie i za chwilę do kibitki przypadła młoda, trzynastoletnia dziewczynka, z płaczem wołając:

– Franio! Gdzie mój Franio?...

Jednym rzutem młodzieniec znalazł się przy dziewczynce; porwał ją w męskie ramiona, do piersi przycisnął i łzy mu trysnęły z oczu.

– Róziu, siostrzyczko moja! – zawołał. – Sądziłem, że mi cię pożegnać nie dadzą.

– Ja ciebie nie puszczę! Nie dam im mego braciszka! – wołało dziewczę, obejmując brata za szyję, i trwożnie patrząc dokoła.

– *Wot istorja!*¹¹ – zaśmiał się Iwan Iwanowicz, piśmowodiciel¹² sprawnika, znana najpodlejsza figura w powiecie, który był świadkiem zejścia się brata z siostrą. – Płaczem licha nie odrobiał! – dodał, złośliwie uśmiechając się.

Tyle było uroczystego w tej scenie pożegnania, że żaden z czynowników¹³ nie zwrócił uwagi na słowa piśmowodiciela; sprawnik ponuro zwiesił głowę ku piersi, bezmyślnie patrząc na krzyż orderowy.

– Któż cię tu przywiózł, sierotko moja miła? – pytał Barski siostrzyczkę, całując ją w jasne zapłakane oczęta.

– Pan hrabia – szepnęło dziewczątko. – O, dziękuję panu, dziękuję! – do dała, całując rękę sędziwego mężczyzny, który w tej chwili zbliżył się do Barskiego.

– Przywiozłem małą – rzekł – by cię pożegnać mogła, mój młody więźniu. – A za chwilę dodał smutniej: – Wielką masz przed sobą drogę, niemałe wydatki... Przyjm to na opędzenie¹⁴ niezbędnych...

¹¹ *Ot ci historia.*

¹² *Piśmowodiciel* – sekretarz, kancelista.

¹³ *Czynownik* – urzędnik.

¹⁴ *Opędzić* – zaspokoić, opłacić.

Barski z uszanowaniem zatrzymał rękę hrabiego, w której był woreczek z pieniędzmi.

– Panie hrabio – rzekł wzruszony. – Zatrzymaj te pieniądze dla potrzebujących. Ja mam ręce zdrowe i dam sobie radę. Innej ja łaski chcę, szanowny panie. Oto moja siostrzyczka sierota. Dotąd byłem jej ojcem i matką; gdy mnie nie stanie, źli ludzie krzywdzić ją zechcą. Panie hrabio, dajcie jej swą opiekę, nie pozwólcie krzywdzić sieroty.

Hrabia ze łzami w oczach przycisnął proszącego do piersi.

– Niech cię Bóg chowa, a o siostrę bądź spokojny.

– Teraz w drogę! – wykrzyknął młodzian weselej. – Panowie towarzysze – rzekł, zwracając się do żandarmów – jestem gotów na wasze usługi.

– Franiu! Franiu! – jęknęła dziewczeczka, z ramion swych nie wypuszczając szyi młodzieńca. Barski pocałował ją w czoło.

– Róziu, otrzyj oczęta! Oto twój ojciec. Nie płacz i czekaj na mnie. Niedługo ja tu wrócę – dodał głosem jakby natchnionym – i da Bóg, nikt już z tej ziemi nie będzie tak wywożonym, jak ja w tej chwili. Dalej, w drogę!

Dzwonek jęknął. Barski zbliżył się do kibitki.

– A mnie to chyba nie pożegnacie, paniczu Franiu?! – ze łzami zawołał młody parobek, dotychczas stojący w milczeniu koło kibitki.

Barski porwał go w swoje objęcia i szczerze do serca przycisnął.

– Dmytro! – rzekł rozrzewniony. – Od dziecka żyłem z tobą, a choć obadwa jednakowo oraliśmy ziemię, coś nas dzieliło... i to był grzech! Uściskaj mię bracie! A gdy taki uścisk wszystkich nas połączy, wtedy będziemy szczęśliwi. Bądźcie zdrowi, bracia! Ojczyzna ziemio, bądź zdrowa!

Wszyscy wybuchnęli głośnym płaczem; obstąpiwszy kibitkę, zegnali więźnia.

– Bądź zdrow, Franciszku! Bądź zdrow, a powracaj do nas.

– Powrócę, bracia! Do widzenia! – wołał skazany. – I z wami także, panowie czynownicy! – dodał, zwróciwszy się w stronę sprawnika. I w tej chwali ujrzał szesnastoletniego wyrostka w szkolnym mundurze, którego twarz zalaną była łzami.

– I ty płaczesz? – zawołał więzień z rozczuleniem. – Syn sprawnika płacze nad losem skazanego. To największa dla was kara, siepacze! Panie kapitanie, te łzy syna może cię kiedyś od zguby ocalą!

Sprawnik zbladł mimowolnie, chwycił syna za rękę i gwałtownie krzyknął na kibitkę:

– *Poszot!* (Ruszaj!).

Jemszczyk¹⁵ gwizdnął na konie, kibitka ruszyła.

– Bądźcie zdrowi! Żegnajcie! Róziu!... Panie hrabio! – wołał skazany z kibitki, ale głos jego zginął w tysiącznych okrzykach żegnających go i setki krzyżów popłynęły w ślad za skazanym, drogę jego czyniąc błogosławioną.

Daleko za miasto przeprowadzono tłumnie kibitkę. Barski kłaniał się na wszystkie strony, łyzy mu twarz zalewały, a w sercu było tak błogo jak dziecku żeganemu przez rodziców, gdy odjeżdża do szkoły. Rodziną skazanego był ten tłum żegnających go na daleką drogę.

Pył drogowy zakrywał kibitkę. Skazany długo stał na niej, powiewając chustką ku żegnającym go; wreszcie i dzwonek słabiej dawał się słyszeć, dźwięk jego rozplynął się w przestworzu – więzień znikł z oczu, ale nie z serca tych, którzy go kochali. Hrabia z płaczącą Różą ostatni powrócił do miasta.

Na ganku jeszcze stał chmurny sprawnik i szatańsko uśmiechający się piśmowoditiel.

– *Czego dobrogo!* (Kto wie!) – przerwał milczenie sprawnik. – Chłopiec *bojkij* (dzielny), dosłuży się oficera i dopieroż nam podziękuje...

– Kapitanie – zachrzypiał Iwan Iwanowicz – na Kaukazie więcej kul aniżeli patentów oficerskich.

– Twoja prawda – uśmiechnął się sprawnik. – Chodź, napijemy się wódki.

Iwan Iwanowicz potulnie szedł za swym pryncypałem do pokoju, a w myśli mignął mu dworek Barskiego, jasna twarzyczka jego siostry Rózi... Na usta piśmowoditiela wybiegł szkaradny uśmiech szatańskiego łakomstwa; spazmatycznie skurczył palce i rzekł półgłosem:

– *Uwidim!* (Obaczymy!).

Dla wyjaśnienia rzeczy dodamy tu, że Barski był synem czynszowego szlachcica¹⁶. Po ukończeniu szkół osiadł na roli i żył z włościanami jak z braćmi; gdy wojna krymska zdawała się podawać niejakie nadzieje, Barski stanął na czele włościan, żądających swobody dawnej kozackiej woli. Ruch się nie powiódł, bo był za mało określony i popularny tylko w Kozaczyźnie; Barskiego osadzono w więzieniu, z którego, jak widzieliśmy, wyszedł żołdatem na bojową linię Kaukazu.

Trzy lata minęło od wywiezienia Barskiego.

¹⁵ *Jemszczyk* – woźnica.

¹⁶ *Czynszowy szlachcic* – szlachcic opłacający czynsz za użytkowanie ziemi.

Pod okiem hrabiego, w towarzystwie starej swej ciotki, Różia wyrosła na piękną pannę Różę, której tak co do wdzięków, jak i przymiotów duszy nie było równej w okolicy.

Syn sprawnika – ten, który łzami żegnał Barskiego, już student uniwersytetu – czas wakacji przepędza u ojca i niemal codziennym gościem jest w sierocym dworku, gdzie go widują radzi.

Dmytro, objąwszy gospodarstwo po wywiezionym Barskim, jest sługą i bratem młodej sieroty. Hrabia nieco się postarzał, sprawnik poczerwieniał bardziej, a Iwan Iwanowicz wysechł i pozieleniał – otóż i wszystko!

O Barskim jedni mówili, że zginął od szaszki¹⁷ Czerkiesa, drudzy, że jest na drodze do uzyskania stopnia oficera; pewności nie było, bo listy skazanego przejmowała władza na poczcie, a Iwan Iwanowicz, wprzód odczytawszy z uwagą, następnie niszczył je, mając w tym jakiś interes, z którym wszelako nie zwierzał się przed nikim. Czuł tylko, że z każdym dniem bardziej podoba mu się dworek Barskiego i piękna szlachcianeczka, jak nazywał Różę. Niby wąż wił się Iwan Iwanowicz koło dworku i panny; chował pazury i udawał zakochanego; ale mu jakoś szło niesporo: panna i ciotka bez humoru przyjmowały piśmowodителя, a Dmytro taką miał minę, że o febryczne drżenie przyprowadził aspiranta do ręki i dworku pięknej szlachcianeczki. Zresztą i Michał mu przeszkadzał – nieraz przyciął boleśnie, parę razy pogroził i psuł piśmowoditeliowi opinię u kobiet. Ale Iwan Iwanowicz miał wolę niezłomną: co postanowił, to zwykł dopiąć, nie bacząc na sumienie i tym podobne drobnostki... Chce i będzie miał Różę, bo tak postanowił! Piśmowodiciel nie ukrywał tego przed sobą, że z Michałem czeka go gorąca przeprawa, bo już to chłopiec nie na próżno przyłgnął tak sercem do sierocego dworku – nawet widoczny przymus zadawał sobie, będąc w domu ojca, a dopiero u Barskich można go było widzieć swobodnym, szczęśliwym.

Nasza ziemia i słońce dziwną mają potęgę w sobie! Kogo pierwsza wykarmi, a drugie skąpie w swych promieniach – już się staje bratem nam z ducha.

Syn sprawnika, Moskal rodem, sam o tym nie wiedząc, był Polakiem. Łzy, które według słów Barskiego miały okupić sprawnika, nie były już łzami Moskala. Michał brzydził się despotyzmem, chciał wolności szczęścia wszystkich – a takim Moskal nie bywa; nie trzymał z brutalną siłą, nie zasklepiął się w egoizmie, ale stanął po stronie cierpiących, co gdy czyni Moskal – przestaje być sobą. A kiedy

¹⁷ *Szaszka* – szabla (zwłaszcza rosyjska).

następnie poznał czystą polską dziewicę, jaką była Róża, gdy ją pokochał całym zapałem młodej duszy – duchowe odrodzenie Moskala nastąpiło zupełne! I dziś Michał z całą świadomością gotów był z synami wolności iść na działa, wymierzone przez braci jego z ciała, a wrogów z ducha – Moskali!

I z taką to siłą w nas chcą walczyć nieprzyjaciele nasi, niepojmujący ducha potęgi! Podobni są oni do żelaza, które kruszy złoto – nie zbrudzi go, ale samo wyszlachetnieje, złocąc się.

—

Jest godzina druga z południa. W kancelarii sprawnika przy stole zawalonym kupami papierów, na którym stoi karafka z wódką, siedzi ten przedstawiciel cara i ciężko oddycha, a białka ocz krwią mu zasłyły. W kącie wychudły Iwan Iwanowicz, z szatańskim wyrazem twarzy, patrzy na swego pryncypała i kiedy niekiedy złośliwy uśmiech przeleci po jego spieczonych wargach.

Milczącą scenę przerwał spawnik, wychyliwszy szklanekę wódki, którą następnie tak mocno o stół uderzył, aż przysła w kawały.

– *Czort woźmi, ja propa!* (Bierz lichy, zginąłem!) – zawołał głosem najwyższej rozpaczki. – *Wygovor* (Wymówka¹⁸) od gubernatora... To już nie ma żyć po co! *Polaki – grafy!*¹⁹ Przez was ja nieszczęśliwy! – dokończył, zwiesiwszy głowę ku piersi. Wreszcie gniewny zawołał:

– Iwanie Iwanowiczu! Czegóż ty milczysz?! Przynajmniej pij ze mną...

– *Wypit' možno...* (Wypić można...) – zrobił uwagę piśmowoditiel, wychyliwszy szklanekę spirytusu.

– Przekłete Polaki! I ja człowiek *propaszczyj!* (zgubiony!) – wołał sprawnik.

Iwan Iwanowicz przez chwilę stał w milczeniu. Wreszcie rzekł, zwracając się do pryncypała:

– Może by temu można zaradzić... Graf nie święty – dodał, znacząco spojrzawszy na sprawnika.

– Ba, poradźże z nim! – krzyknął sprawnik. – Ledwie wjadę na folwark, już mi wynoszą pięćioróblówkę. Tak graf przykazał... Podjadę pod pałac – dają *krasnieńkuju* (10 rubli srebrnych), a w przedpokoju, *bud' ja biestija!* (niech mię

¹⁸ Tu raczej: nagana.

¹⁹ *Graf* – hrabia.

lichu!) już czeka na mnie dwudziestopięciorublówka! *Czort pobieri!*²⁰ Ten graf umie gadać z ludźmi! i ja z nim do ładu nie dojdę.

– Ale jego priewoschoditelstwo²¹ chce...

– Chce! Chce! – przerwał sprawnik z rozpaczą. – I ja duszę bym oddał, żeby tego grafa wpakować na Sybir; ale zrobię mu co, kiedy płaci i siedzi spokojnie!

– Ja bym myślał inaczej – znacząco rzekł piśmowoditel.

– Iwan Iwanowicz! – porwał się sprawnik. – Krzyż²² cię nie minie i łaska hosudarska²³, tylko powiedz, jeżeli co wiesz!...

– Onoto ja nic nie wiem – począł Iwan Iwanowicz – ale Polaki zawsze skorzy do buntu; można by pomyśleć... Hrabia ma syna w Kijowie; on był w Warszawie, a tam *Polaki szumiat* (burzą się Polacy)...

– *Szumiat Polaki* – powtórzył sprawnik. – Twoja prawda! Ale coż tu graf?! Co syn jego?!... Skąd tu wziąć Sybiru?²⁴

– Może by Misza...

– Mój syn?

– On się zna z młodym grafem; są razem w Kijowie... Mógłby nam dopomóc...

– Jak pomóc? Co on tu poradzi?!

– Niechby się zgłosił do grafów...

– Gdzie go tam oni puszcza?! – zawołał sprawnik. – Mnie nie przyjmują, a coż mego syna!...

Iwan Iwanowicz uśmiechnął się.

– A syna przyjmą – rzekł z naciskiem – bo u Polaków nie tak jak na całym świecie: oni ojca za drzwi wyrzucają, a syna za stół sadzają. Taka u nich natura...

– Twoja prawda! U tych bestiiów wszystko nie po ludzku. To coż by Misza poradził?...

– Niechby z młodym grafem niby bunt *zatiejał* (zaczął)... Ale on nie zechce!

On taki dumny...

Sprawnik wybuchnął.

²⁰ *Do diabła.*

²¹ *Priewoschoditelstwo* – ekscelencja.

²² *Krzyż* – jeden z carskich orderów, nadawanych za zasługi dla Imperium Rosyjskiego.

²³ *Łaska hosudarska* – łaska pańska.

²⁴ *Sybir* – tu: powód do zesłania na Syberię.

– Musi! Czy to on nie mój syn, żeby się sprzeciwiał mojej woli. Gubernator chce – car chce! A carskiej woli i w niebie słuchają! Twoja rada, Iwan Iwanowiczu. podoba mi się. Wańka, zawołaj mi tu Miszę! Niech przyjdzie natychmiast.

Deńszczyk²⁵ wykręcił się po wojskowemu na pięcie i znikł za drzwiami, z wiecznym echem swego istnienia. – *Słuszajus'!* (Słucham!).

– Iwanie Iwanowiczu, ty dobrze poradził. Młodzi zawierzą sobie. Misza namówi go do buntu, a wtedy obu grafów *machnę* do katorgi...

Dalsze słowa sprawnika przerwało wejście Michała.

– Kazałeś mnie wołać, ojcze – rzekł młodzieniec, kładąc na stole przyniesioną książkę, na którą jak wyżeł rzucił się Iwan Iwanowicz.

– Pan Michał – złośliwą zrobił uwagę – zawsze z polską książką...

– A coż to pana obchodzi? – zapytał młodzieniec, wzrokiem pogardy mierząc nędzną figurę piśmowoditiela.

– Mnie nic! Ale to niedobrze widzi naczalstwo...²⁶

– Iwan Iwanowicz! *Pieriestań!* (Przestań!) – przerwał mu sprawnik, a zwracając się do syna: – Misza! – rzekł. – Ty mój syn i musisz mi dopomóc. Gubernator grozi mi na starość wypędzeniem ze służby i pójdę na żeby, jeżeli ty mnie nie poratujesz.

– W czym mogę ci być pomocnym, ojcze?

– Słuchaj, naczalstwu potrzeba, ażeby grafa oddać do katorgi...

Michał zadrżał.

– Ty nam pomożesz – mówił sprawnik. – Zbliż się do młodego grafa, namów go do spisku... Misza, *syn moj*²⁷, ratuj starego ojca...

Twarz Michała zbladła; odgarnął z czoła długie jasne włosy i wpatrzył się w twarz ojca. Po chwili łąą mu oczy zasły.

– Ojcze! – rzekł. – Ty nie mówiłeś tego do syna!... Nie, to być nie może, byś ty chciał hańby swego dziecka!

– Wot, i polskie muchy, sentymety, poezja! – zawołał sprawnik. – Misza, *nie duraczsia* (nie rób głupstwa) – ty już nie dziecko! Jaka tu hańba? Tu po prostu wola gubernatorska – wola carska, a ona dla nas zakon!²⁸

²⁵ *Deńszczyk* – ordynans.

²⁶ *Naczalstwo* – władza, zwierzchnicy.

²⁷ *Synu mój*.

²⁸ *Zakon* – prawo; tu w znac.: rzecz święta.

- Ojczy!...
- Ja zawsze mówiłem – przerwał synowi sprawnik – że *pokojnaja* (nieboszczka), Bóg jej daj *carstwo niebesnoje!* (królestwo niebieskie!), zrobi z ciebie czort wie co! Misza, ty nam pomożesz!
- Nie, ojczy – odpowiedział spokojnie młodzieniec.
- Nie?
- Nie! Przez pamięć dla imienia matki nie przestanę być człowiekiem.
- Misza! – przerwał mu sprawnik. – Ty nie człowiek, ty sługa cara!... My wszyscy jego służy i mamy robić, co on przykaże! Car chce, by zginął Polak..., winny czy niewinny – niech ginie! To nasza powinność. – Nam robić, co każe naczalstwo.
- Nigdy! – z oburzeniem zawołał Michał. – Nikt mi nie może nakazać być podłym!
- Wot, i polskie książki! – wybuchnął piśmowoditiel. – Wot, romansy z *choroszeńkoju polkoj!*... (z piękną Polką.)
- Misza! – przerwał mu sprawnik. – Dziś jeszcze pojedziesz do grafów! Ty kolega, pogadaj z młodym, po...
- Nie zrobię tego – przerwał ojcu Michał. – Jestem synem sprawnika, ale szpiegiem nie będę!
- *Czto?! (Co?!)* – porwał się sprawnik, a pianą usta mu zaszczyły. – Kto mówi o *szpionach?! (szpiegach?!)* *Ty russkij*²⁹, ty moja krew i musisz słuchać naczalstwa! *Ty czistorusskij!*...³⁰
- Jestem człowiekiem! – z godnością odrzekł ojcu młodzieniec.
- *Wot, filozofija!*³¹ – syknął piśmowoditiel, z pogardą patrząc na Michała.
- Misza! – zawołał sprawnik, wstrzymując się, ile mu sił starczyło. – Ja wiem, że ty student, że masz czyn czternastej klasy...³², ale ty ojca nie rozwściekaj! Bo ja piechotą pójde do cara i zrobię cię rekrutem!
- Będę wszystkim, ale nie podłym – zakończył Michał, wychodząc z pokoju. Sprawnik osłupiał z podziwu, piśmowoditiel gryzł wargi.

²⁹ *Jesteś Rosjaninem.*

³⁰ *Jesteś Rosjaninem z krwi i kości!*

³¹ *O, filozofia.*

³² *Czyn czternastej klasy* – w carskiej Rosji: ranga urzędnika cywilnego w stopniu registratora kolegialnego lub wojskowego w stopniu chorążego.

– Misza! – ryknął sprawnik po chwili. – Wróc się do ojca!... Nie wrócił... *Buntowszczik! Moj syn buntowszczik! Wot, polaki! Wot, co mi z syna zrobili!... W Sibir! W katorgu! Wsiech, wsiech!*³³ Ja wam pokażę, co może sprawnik! Misza! Misza! Ty mnie zgubisz!... Ty jeden syn u mnie i ty mnie gubisz...

Sprawnik upadł na krzesło i zakrył twarz rękami.

– Polskie mleko..., polska krew – mówił piśmowoditiel. – Podziękujcie *po-kojnej!*...

– *Mołczat', podlec!* (Milczeń, łotrze!) – krzyknął sprawnik. – Ty mi żony nie tykaj. Ona była Polka, ale święta kobieta – ja tobie mówię, a ty mnie wierz! Ty mię nie szczuj na syna, bo on mnie gubi, ale on nie *wor* (złodziej), nie taki jak ty i ja!

– Wódki! – wykrzyknął, przechylając karafkę ze spirytusem. – Wot, tak! A ty, Iwan Iwan Iwanowicz, *prosti!* (daruj!). Ja wściekły, ja nie wiem sam, co mówię. Wygovor od gubernatora – a mój syn dał mi staremu w pysk, i *pokojna*, widzisz, jak mi grozi z nieba. – Wańka, *karaut!** Brońcie mnie, bo ona strasznie patrzy!... Cha, cha, cha! Mój syn *podlec* i ja *skotina* (bydlę), *tolko car' da Bog* (tylko car i Bóg) – a reszta proch, marna glina... Wódki! Jeszcze spirytu!

Wysączył do kropli z karafki i upadł na ziemię bez znaku życia.

– Skotina! – mruknął Iwan Iwanowicz. – I jemu to być sprawnikiem! Co obiecałem, dotrzymam: w szpitalu u inwalidów zginiesz, *głupaja baszka!* (głupia głowa!).

Kopnął pijanego nogą i wyszedł z pokoju.

Sprawnik, tocząc pianę z ust, wołał nieprzytomnie:

– *Misza, Podlec – wodki!*...³⁴

Po rozstaniu się z ojcem Michał poszedł do ogrodu i usiadłszy pod drzewem, długo dumał samotny. Świat miał przed sobą, a nikogo na świecie. Pogardzał tymi, co go otaczają, a czuł, że inni nie przyjmą go tak serdecznie, jak przyjęcia tego pragnie dusza młodziana! Chociaż po matce wziął krew męczenników – on Moskal, syn niewoli, sługa despotyzmu. Jego własny ojciec...

³³ *Buntownik! Mój syn jest buntownikiem! Oto Polacy! Ot, co mi z syna zrobili! Na Sybir! Na katorgę! Wszystkich, wszystkich!*

* Wezwanie na pomoc rontu wojskowego u moskali [*ront* – patrol wojskowy wyznaczony do kontrolowania porządku i bezpieczeństwa na podległym mu terenie – Red.].

³⁴ *Misza, ty łotrze – wódki!*

– O, jak to boli, jak boli!... – westchnął młodzieniec. – Nie dla mnie szczęście, radość nie dla mnie! Wzgardziwszy jednymi, nieprzyjęty przez drugich, pójdę drogą samotny... A jaki cel życia? Gorzko, gorzko pomyśleć. Gdybyż przynajmniej umrzeć, bohaterską śmiercią wkupić się w człowieczeństwo, zmyć piętno niewoli, co mi czoło plami... O, mnie niebo i tego odmówi! – Ha, z pokorą poddajmy się losowi!... A smutno pomyśleć, że szczęście nie dla mnie...

I znowu zapadł w zadumę. Widzi ukochaną matkę: błogosławi go, ukrzepia na drodze wytrwania...

– O, ty mi uprosisz szczęście u Boga! Jam cię tak bardzo kochał, tak chcę być godnym ciebie!...

Skromny dworek ocieniony lipami, jasnookie dziewczątka witające go uśmiechem majowego słońca...

– Nie! Nie! To być nie może, ażeby niebo odmówiło mi szczęścia! Ja go tak mało pragnę: tylko jej, jej jednej, a cały świat innym zostawiam; ona dla mnie światem całym!... Matko, uprosz mi to szczęście u Boga; to jedno – innego nie chcę!

Łzy ulżyły sercu. Słońce tak jasno świeci, a oko młodziana dostrzega w oddali niewielką wioskę. Oko duszy widzi lipy, dworek i ją, jak skromna, robótką zajęta, wyśpiewywa piosnkę prostą jak ona i jak ona uroczą. Dosiadł konia i już jest przy niej; patrzy w te oczy niebieskie, słyszy bicie jej serca... Błogie chwile! A lecą tak szybko jak strzała – ni ich zatrzymać, ni cofnąć w naszej mocy.

– Prawdziwie, że ja siedzę jak na pustyni – zaszcebiotało dziewczątka, odrzuciwszy robótkę. – Ciocia krząta się, gospodarząc; rada bym śmiać się, weselić, a pan od godziny siedzi taki smutny. Co panu jest, panie Michale?

A mówi to głosem tak przejmującym, tak rzewnym i słodkim, że dusza młodziana zadrżała niby harfa tknięta wiatru powiewem.

– Niechże pan odpowiada, bo się będę gniewać – i odęła śliczne usteczka, którym wiśnie koloru by pozazdrościły.

Michał wziął drobna rączkę dziewczęcia.

– Smutno mi – rzekł – że jestem sierotą.

– A, to grzech, panie Michale. Bóg daje – Bóg zabiera... I ja jestem samą, a widzisz przecie, że Boga nie obrażam. Nie mam tatka i mamy, nie mam brata, jestem samą... – i łzy zalały jej cudne oczęta.

– Nie płaczcie, panno Różo!... Ja nie o takim sieroctwie mówiłem... Wyście szczęśliwi..., bo macie ojczyznę – dodał ciszej i zalał się łzami.

– A pan Michał – czy to jej nie ma? – zapytało dziewczę, zdziwione jego słowami.

– Moja ojczyzna – rzekł gorzko Michał – to wstyd młodego czoła, które nie śmie wznieść się, by nań nie wskazano palcem; moja ojczyzna to niestawa własna i pogarda innych... O, źle z taką ojczyzną!

– Nie rozumiem was, panie Michale.

– A rozumieć powinniście. Czy wy wiecie o tym, że kiedyś może brat wasz, wasz bliski, próg mi domu pokaże, boja jestem Moskal, niewolnik, carski sługa...

– Biedny panie Michale – ze łzami rzekła dziewczyna. – Czy to wy nie jesteście z nami? Czy nasza Polska nie przyjmie was za syna?... Franio mi dawniej powiadał, że kto na naszej ziemi się urodził i ją kocha, ten ma prawo do nazwiska naszego brata; a wasza matka przecie była Polką...

– Prawda! – mówił Michał smutnie. – To mnie rozdwaja, przepoławia. Moskal – zostałbym z mym smutnym losem i nie miał prawa wymagać współczucia, u szczęśliwych... Ale ja mogę dumnie nosić głowę, czuję że jestem Polakiem; a przecież... bolesna rzeczywistość! jedna ojczyzna dała mi w całości swą spuściznę: noszę znamię niewolnictwa, druga – skarbów mi swych odmawia!... Otóż moje sieroctwo, droga panno Rózo.

– Naszym skarbem – rzekło dziewczę poważnie – niedola i cierpienie. Toż wam chyba od tych skarbów uciekać...

– O, nie krzywdźcie mnie! – przerwał jej Michał. – Ja nie tylko dobra chce od drugiej mej ojczyzny! Jej łzy do łez moich, cierpienie do cierpienia! Ja potrafię umrzeć, potrafię się poświęcić, tylko mnie nie odpychajcie od siebie – dodał, błagalnie wyciągając ręce.

Dziewczynie duże dwie łzy zaświeciły w oczach.

– Was odepchnąć?! – rzekła. – O, nie! Wyście szlachetni, wyście godni imienia Polaka.

Michał bezwiednie osunął się na kolana przed Różą.

– Nie odepchniecie mnie! – zawołał głosem szczególniejszego rozrzewnienia. – O, moi święci! Mój aniele! Rózo! – i gorącymi pocałunkami okrywał jej drobna rączkę.

W tej chwili u progu stanął Dmytro. Jakby nie widząc Michała, rzekł do zapłonionej Róży:

– Stożek wywierszony³⁵. Może panienka zechce obaczyć?

³⁵ Wywierszyć stożek – ułożyć stóg siana lub zboża na klepisku.

Różę ucieszyło wejście Dmytra. W całym zachowaniu się Michała było coś takiego, co ją przejęło trwogą po raz pierwszy w życiu. Jak lekka ptaszyna Różia wybiegła do drugiego pokoju, wołając ciotkę.

Michał potarł ręką blade czoło i westchnął. Dmytro patrzył nań w milczeniu; a w całej postawie parobka znać było, że nie bez przykrości ujrzał Michała klęczącego przed Różą. I w tej duszy był jakiś głos, ale go silna wola uwięziła w piersi i milczał.

Ciociu! – zaszczebiotała Różia w drugim pokoju. – Stożek wywieszony. Dobry Dmytro chce, byśmy go obaczyły. Pójdźmy na tok³⁶, ciotuniu.

– Dobrze, moja koteczko – rzekła ciotka. – Pan Michał z nami? Prosimy!

– Panny Róży śliczne *ruci*³⁷ *całuję* – zachrzypiał głos piśmowodителя i Iwan Iwanowicz, wystrojony odświętnie, ujął rączkę Rózi, by złożyć na niej kawalerski całus.

Róża wyrwała rękę.

– Żegnam pana – rzekła. – Ciociu, chodźmy!...

– Państwo na *progulkę* (przechadzkę) – znowu chrypnął piśmowodiciel, gniewny, że Róża cofnęła rączkę, a uśmiechem starający się pokryć obudzone uczucie. – Taka *stawna* (piękna) pogoda... Ja pana Michała nie spodziewał się tu zastać.

– Również jak ja pana tu obaczyć...

– Ja mam *dieło* (interes) z panią dobrodziejką – rzekł piśmowodiciel, całując rękę ciotki, której mu nie wzbraniała.

– Kiedy tak – zawołała wesoło Różia – to zostawmy ciocię w przyjemnym towarzystwie, a sami chodźmy! Wesołej zabawy, ciotuniu! – dodała figlarnie, kiwnąwszy główką.

– *Szut, dziewczonka!*... (Żartowniś, dziewczynka!) – mruknął piśmowodiciel, zezem mierząc wychodzących Różę i Michała. – *Szut*, ale będzie moją żoną, choćby się diabeł naposiadł, bo ja tego chcę!

– Pani dobrodziejka pozwoli – rzekł głośno. – Ja pomówię z nią otwarcie, bo ja nigdy długo nie mówię. Prosto z mosta! To moja zasada.

– Słucham pana – odpowiedziała ciotka, wskazując gościowi krzesło.

– Pani dobrodziejko – rozpoczął Iwan Iwanowicz. – Dosłuchałem się, Bogu dzięki, *kolleżskiego asesora*³⁸. Mam trochę grosza, a głowę na karku mocną i wyj-

³⁶ *Tok* – klepisko.

³⁷ *Dłonie*.

³⁸ *Kolleżski asesor* – asesor kolegialny – w carskiej Rosji: urzędnik VIII klasy według tabeli rang.

dę na ludzi! Otóż pomyślałem sobie: do tego wszystkiego, Iwanie Iwanowiczu, potrzebna ci jeszcze żona: młoda, ładna – ot, jak raz taka jak panna Róża Barska. Ubrał się ja więc w mundur, rękawiczki, taj przyjechał tu prosić o rękę panny Róży. Cóż pani dobrodziejka na to? Czy wola oddać mi siostrzenicę za żonę?

Przemowa piśmowoditiela wprowadziła ciotkę w niemały kłopot. Zaczęła od tego, że sama bez opiekuna o losie Róży postanawiać nie może, że to dziewczę zbyt młode, a w każdym razie od niej wybór męża zależy... i już pocziwej kobiecie zaczynało braknąć argumentów, ale na szczęście w tej chwili usłyszała głos Róży i Michała powracających z toku. Niedługo też namyślając się, powtórzyła siostrzenicy słowa piśmowoditiela, licząc na przytomność Michała, że w razie potrzeby obroni kobiety od zbytnej natarczywości konkurenta.

Łzy oburzenia i żalu były odpowiedzią Róży na oświadczenie się piśmowoditiela. Ściśnięte pięści Michała i Dmytra nakazały mu przezorny odwrót. Iwan Iwanowicz u drzwi wysłuchał niemiłe słowa odprawy.

– Więc mnie nie chcecie, panno Rózo?! – poważyl się jeszcze zapytać wzgardzony konkurent, jakkolwiek w oczach Dmytra wyczytał wielką niecierpliwość.

– Nie chcę! Nie chcę! – wołało dziewczę, płacząc. – Ja pana nie cierpię! Pan jesteś zły..., niedobry. To pan zgubiłeś mego brata.

– Bunt go zgubił, panno Rózo. A ja was szczerze kocham, *jej Bogu!* (dalibóg!).

– Milczeć! – wykrzyknął wreszcie Michał. – I precz stąd!

– Jak najdalej! – zawtórzyl Dmytro. – Bo ja mam chłopską rękę i jak nie połamie te patyki!

Piśmowoditielowi zaiskrzyły się oczy.

– Dmytra oddam w rekruty³⁹ – zawołał – a o pannę starać się wolno każdemu, mój mości panie Michale!

– Jak pan śmiałeś?! Jak śmiesz jeszcze?! – krzyknął Michał, postępując ku piśmowoditielowi, który się cofał nie bez trwogi, aż w sieni się znalazłszy, krzyknął:

– Śmiem, bo nie jestem żaden młokos! Nie jestem synem, którego ojciec przeklina...

– Precz! – z rozpaczą krzyknął Michał, którego zraniło przypomnienie sceny w gabinecie ojca.

I źle byłoby koło pana piśmowoditiela, gdyby w czas nie skoczył na bryczkę, z której jeszcze zawołał:

³⁹ *Oddać w rekruty* – oddać do wojska.

– Poznacie wy mnie wszyscy! Ty, chamie, pójdiesz w rekruty! Wy, panno, będziecie moją żoną, a pan Michał jeszcze się może przespacerować do kazamatów⁴⁰.

Turkot kół zagłuszył dalsze słowa rozjuszonego Moskala.

Róża w milczeniu podała ręce swym obrońcom.

– Panie Michale! Dmytrze! Ciociu! – rzekła ze łzami. – Wy mnie obronicie przed tym złym człowiekiem, nie pozwolicie na mą zgubę!

Uścisk ręki i spojrzenie były wymowną odpowiedzią na słowa załęcznionego dziewczęcia. Z długiej narady wypadło, że oprócz osobiście przedsięwziętych środków obrony we dworku należy jeszcze uwiadomić hrabiego o niebezpieczeństwie grożącym jego pupili. Z wiadomością o tym, co miało miejsce we dworku, pojechał do hrabiego Michał.

Nie bez drżenia zbliżał się Michał do domu hrabiego. Syn sprawnika w domu patrioty polskiego jakież mógł znaleźć przyjęcie? Obojętne?... Może pogardliwe?... Na tę myśl ścisnęło się serce szlachetnego młodzieńca, a oko łzą zabiegło.

– Pogarda – mówił sam do siebie, zwolniwszy cugle koniowi. – Ha, słusznie! Po co żem się urodził synem carskiego policjanta! Gorzki los... I to tak zawsze, na wieki... O, mam dosyć dumy, by nie stanąć przed wami, ale tu o nią idzie! Tylko hrabia może ją zasłonić przed napaścią tego nikczemnika, gdy ja odjadę. Zresztą Adam tak dobrym był dla mnie w Kijowie...

Przyśpieszył biegu koniowi i wkrótce znalazł się przed gankiem pałacu. Hrabia z synem był w ogrodzie. Tam się też udał Michał. Zebrał wszystkie siły, przywołał całą przytomność umysłu i wszedł do altany. Znalazł się w towarzystwie kilku mężczyzn w rozmaitym wieku. Ujrzał znanego sobie syna hrabiego, zajętego żywą rozmową z jednym z gości.

Szlachetne oblicze hrabiego, na którym rozlany był wyraz dobroci, ośmieliło Michała, ale myśl, że za wymówieniem nazwiska spotka się z wyrazem pogardy, odebrała mu odwagę tak dalece, że przez chwilę nie mógł słowa wymówić. Na szczęście ujrzał go Adam i wzięwszy za rękę, przedstawił zebrany.

– Michał, mój kolega.

Młodzieniec silnie uścisnął podaną sobie rękę i

– Dziękuję! – rzekł z cicha, a oczy dopowiedziały resztę.

Hrabia uprzejmie przywitał Michała, a że lokaj doniósł, iż herbata przygotowana, całe towarzystwo udało się ku pałacowi.

⁴⁰ *Kazamaty* – lochy, więzienie.

Przez drogę Michał opowiedział koledze, z czym przybył do hrabiego, gorąco prosząc go o wstawienie się do ojca, by nie odmówił swej opieki sierocie.

– Nie znasz mego ojca – rzekł na to Adam. – Nie trzeba go prosić o pomoc, bo sam z nią chętnie pospiesza. A ta panienka, o ile wiem, bardziej go interesuje. Uspokój się więc, kolego! Nie damy jej krzywdzić nikomu.

Rozmowę młodych przerwała dyskusja ogólna. Zapytany o zdanie Michał odpowiadał skromnie i z namysłem. Pomimo to uczuł natychmiast, że jest w pozycji drażliwej: rozmowa toczyła się o kraju, o jego stanie obecnym i nadziejach na przyszłość; mówiono w duchu narodowym polskim.

—

Kilka rysów w rozdziale poprzedzającym dały nam poznać Michała. Brzydził się on służalczą Moskali, ale do przekonań Polaka – zdaniem jego – nie miał prawa. Dumnym był ze swej polskości, ale zarazem czuł gniotące go brzemie ojcowskiego moskwicyzmu... Ci ludzie mówią doń jak do jednego ze swoich. A gdy się dowiedzą, kim jest – czy nie zadrżą o swe bezpieczeństwo, pomyślawszy, że Michał z ich nieogłędności może skorzystać w duchu carskich ukazów?... Toż nie dziw, że rozmowa, którą prowadził, łamała go. Serce biło gwałtownie, twarz bladła, to okrywała się gorączkowym rumieńcem. Wreszcie sił mu zabrakło i jęknął z cicha do Adama:

– Och, czy mię pan nie wyratujesz?... Wszak ci ludzie nie wiedzą, kim jestem...

Adam zrozumiał ten jęk młodego serca – silnie uścisnął Michała za rękę i rzekł:

– Jesteś szlachetnym i to ci daje prawo do naszego towarzystwa. Ty nie jesteś Moskałem.

– Ale i nie Polakiem – smutnie dokończył Michał.

– Tylko człowiekiem! – zawołał Adam z zapałem. – Wraz z nami brzydzisz się niewolą, wraz z nami chcesz swobody szczęścia milionów.

– O, chcę! – odwtórzył⁴¹ Michał. – I gdybym miał tysiąc razy umrzeć – umrę! Byle swobody zajaśniało słońce, byle niewolnicy stali się ludźmi.

– Michale, znam cię od roku, ale teraz dopiero po znam. Witaj mi, bracie z ducha!... Panowie! Ojczcie! – zawołał zwracając się do towarzystwa. – Oto nowy

⁴¹ *Odwrócić* – odrzec, odpowiedzieć.

bojownik przybywa do naszego grona! – Przyjmijmyż go sercem, bo z sercem do nas przychodzi.

– Panie Michale! – rzekł poważnie hrabia. – Znam cię od dawna jako zacnego młodzieńca. Pochodzenie jest u nas niczym! Człowieka przyjmujemy cię do naszego grona i witaj nam bratem!

Adam z rozczuleniem uściskał Michała, obecni zbliżyli się doń ze słowami serdeczności. Młodzieniec stał przez chwilę w milczeniu; wreszcie ciche łzy spłynęły po jego twarzy.

– Więc uznaliście we mnie człowieka – zawołał rozczulony. – Nie jestem tedy sam, mam braci w narodzie... O, dzięki wam, dzięki! Powiedzcie: co mam uczynić, by dowieść, że nie omyliliście się na mnie? Chrzstu! Na to życie odrodzenia, czynu! By przezeń wkupić się w człowieczeństwo.

– Bliżej do tego, aniżeli mniemasz – rzekł hrabia. – Adamie, powiedz towarzyszowi, jakie miejsce ma zająć w organizacji, a my tymczasem dokończymy odczytanie odezwy Centralnego Komitetu⁴².

– Jeszcze jedno! – zawołał Michał, a znać było, że walczy ze sobą. – Ojciec mój...

– Nie mówmy o tym... – przerwał mu hrabia.

– Prawda, tak będzie dobrze! Moja tu obecność zasłoni was przed podejrzeniem policji... Ha, ha! Szpiega chcieli mieć we mnie. Ojciec chciał hańby własnego dziecka...

W tej chwili dano znać hrabiemu, że jakiś człowiek chce się z nim widzieć koniecznie i natychmiast.

– Proś go – skinął hrabia, a za chwilę wszedł do salonu... piśmowoditiel.

Michał krzyknął przerażony. Iwan Iwanowicz zakrzuszył się, ujrawszy syna sprawnika, i zgiął się w łuk ukłonu.

– Do jasnego hrabiego – rzekł – maluczki mam interesik. Ale jeżeli łaska, chciałbym na osobności...

– Przede wszystkim: kto pan jesteś?

– Panie hrabio – zawołał Michał – każ wypędzić tego nikczemnika! On to jest, o którym mówiłem przed chwilą.

⁴² *Centralny Komitet (Komitet Centralny Narodowy)* – prowadził przygotowania do powstania styczniowego: rozbudował organizację konspiracyjną, wyznaczył podatek narodowy, powołał policję narodową; 22 stycznia 1863 roku przekształcony w Tymczasowy Rząd Narodowy.

– To jeszcze pytanie, kto z nas jest nikczemnym, bo ja tu właśnie względem pana sprawnikowicza⁴³ przybyłem, by hrabiego przestrzec...

Dokończenie usłyszała służba w sieni, wyprowadzając piśmowoditiela.

– Nie udało mi się! – mówił Iwan Iwanowicz, wsiadając na bryczkę. – Ale dobrze wiedzieć, że było ośmiu mężczyzn, a pan Misza jakoś czule patrzył na wszystkich... Hm..., ten Misza zawsze mi w drogę wlezie. Ha, nie chciałeś być szpionem, może zostaniesz buntownikiem. To i lepiej dla mnie, bo cię poszlę paść sobole!... Trzeba to nad tym pomyśleć...

W domu hrabiego trwały narady. Nowy członek organizacji Michał – po złożeniu przyrzeczenia – zobowiązał się propagować pomiędzy włościanami myśl o swobodzie i zarazem zawiadaniać organizację o rozporządzeniach rządu przesyłanych na ręce jego ojca. Hrabia ponownie przyrzekł opiekę nad Różą, a młody Adam na pożegnanie serdecznie uściśnął kolegę. Umówiono się, że w razie potrzeby Adam znajdzie Michała w dworku Barskich.

– Bądź zdrów!

– Do widzenia w dworku! Michał dosiadł konia i teraz dopiero poczuł wielkość przemiany, jaka w nim zaszła: do hrabiego jechał niewolnik, powraca – człowiek. O, wiele robi przeświadczenie, że się jest człowiekiem!

Michał już bez obawy może pomyśleć o Róży, bo go nie odepchnie jako wroga swej ojczyzny.

Uśmiechnęła mu się błoga przyszłość... Z myślą o niej wjechał do znanej wioski. Zatrzymał konia przed dworkiem. Kur piał północ, we dworku było cicho... Różia śniła o kwiatkach, aniołach... Może o nim?...

– Dobranoc – szepnął młodzieniec – duszo mojej duszy, dobranoc!

Za przybyciem do domu doniósł paniczowi Wańka, że ojciec dużo pił wódki, płakał, przeklinał i wołał Miszę do siebie.

– Biedny ojczu! – westchnął młodzieniec. – I ty byłbyś człowiekiem, gdyby caryzm nie zabił w tobie szlachetnych popędów. Wolności, swobody nam trzeba, bo nigdy nie będziemy ludźmi!

Świt już łamał się z ciemnościami nocy. Michał śnił o przyszłości, o swym odrodzeniu... Sprawnik w gorączce wołał syna i modlił się do pokojnej. Iwan Iwanowicz przemysliwał nad zgubą wszystkich i nad posiadaniem Róży.

⁴³ *Sprawnikowicz* – syn sprawnika.

– Musi być moją! – zawołał, zasypiając, a i we śnie warczał na ludzi ten carski kondel⁴⁴.

—

Michał tak rozkosznie śnił o Róży: przyjęła go serdecznie... zapomniała, że jest Moskałem, dawszy swą przyjaźń, miłość...

Serce mu biło gwałtownie, gdy nazajutrz zbliżał się do dworku. Sądził, że z głową podniesioną stanie przed wybraną serca – godny jej, bo jest człowiekiem... Niestety, na widok tych pięknych oczu, tej wiotkiej postaci znikła pewność siebie i ból serca był dowodem, że przedziału istniejącego pomiędzy nim i Różą nie wypełniła chwila wczorajsza.

– Nie! Nie! – westchnął boleśnie. – Znamienia niewolnictwa nic nie zetrze z czoła! Nigdy się do niej nie zbliżę!...

A Róża była tak dobrą jak wczoraj, tak powabną jak zawsze, chociaż dzisiaj więcej już poważną...

Młodzieniec tonął w tym spojrzeniu niebiańskim, upajał się uśmiechem i zapominał o wszystkim. Wiedział, że kocha; czuł, że ubóstwia małą sierotę i świat cały przestał dlań istnieć. O przyszłości nie myślał.

Tak mijały dni w upojeniu, a gdy Michał wymógł na sobie chwilę zastanowienia się nad swym stanem, wówczas złudzenie przesunęło przed jego oczyma czarowny obraz miłości Róży... Może dziś, może w dniu jutra... i szczęście, szczęście bez granic i miary!...

I sen jest życiem...

Razu pewnego, gdy oddychając wonią lip ocieniających, dworek duszą wsłuchiwał się w nutę piosenki, którą śpiewała Róża, drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Adam.

Czy to, że obcy zastał ją sam na sam z mężczyzną, czy z innego powodu Róża na widok młodego hrabiego spłoneęła jak rzeczywista róża i jasne oczęta skierowała ku ziemi, nie śmiać i spojrzeć na nowego gościa, a serduszko tak zabiło w piersiach, że je musiała drobną przytrzymać rączką.

Michał i Adam również byli czegoś zmieszani... i troje młodych stało przez chwilę w niewytłumaczonym zaambarasowaniu⁴⁵.

⁴⁴ *Kondel* – dawn. kundel.

⁴⁵ *Zaambarasowanie* – zakłopotanie.

Adam pierwszy odzyskał przytomność.

– Pani przebaczy – rzekł do Róży – że poważyłem się tutaj szukać kolegi, ale rzecz nagli, a on był tyle dobrym, że przyrzekł mię pani przedstawić.

Róża spłonęła ponownie. Michała dziwny jakiś owijał smutek i omal nie zapłakał, gdy mu wypadło powiedzieć, przedstawiając:

– Hrabia Adam.

– A nie straszę pani czczym tytułem! – zawołał wesoło Adam. – Jestem po prostu kolegą Michała i czuję, że od tej chwili zostanę na zawsze przyjacielem pani.

To mówiąc, wziął jej drobną rączkę i do ust przycisnął.

Pocałowanie elektryczną iskrą przebiegło po ciele dziewczęcia; w piersi szczególnie rozlało się ciepło, w oczach mętno... Róża musiała się oprzeć o krzesło – tak nogi jej drżały. Pierwszy to raz coś podobnego doświadczyła w życiu; a chociaż Adam od chwili był zajęty rozmową sam na sam z Michałem, Róża pomimo wysilenia nie mogła nań spojrzeć – chociaż chciała, bardzo chciała... Złą była na siebie i śmiać się miała ochotę, że takiej prostej rzeczy nie była w stanie uczynić: nie mogła popatrzeć na gościa.

– Oto są kopie rozporządzeń gubernatora – mówił Michał, oddając papiery koledze. – Miałem niemało trudności, zanim je ojcu wykradłem. Iwan Iwanowicz śledzi was. Miej się na baczności, Adamie!

– Dziękuję ci, kolego – odpowiedział Adam, chowając papiery. – Niedługa chwila, kiedy zajaśnieje nam dzień swobody, dzień szczęścia...

– Dla mnie go nie będzie – smutnie rzekł Michał.

– Raczej już jest. Na honor! Szczerze ci wieszuję narzeczonej.

Michał zadrzał.

– Coż to?! Zdajesz się być niezadowolonym ze swego losu! Wszak ją kochasz?...

– O tak! – odpowiedział Michał. – Ale ja nie mam prawa do jej ręki – jestem moskalem.

– A mój kolego, tego nadto! Oskarżam przed panią niedobrego Michała – mówił, zwracając się do Róży. – Martwi mię, a siebie gryzie myślą dziwną... – I rozpoczął dłuższą rozmowę, wynosząc przymioty duszy i serca Michała, tłumacząc, jak dalece przestał być Moskalem, po równo z Polakami pragnąc wolności i szczęścia milionów.

Adam niezawodnie miał dobre intencje: chwalać Michała, szczerze chciał go postawić wyżej w opinii Róży, by raz już znikło uprzedzenie dzielące ją od

człowieka, którego całą winą było, że się urodził synem moskiewskiego urzędnika – ale skutek rozminął się z założeniem. Róża całą duszą słuchała słów Adama, z czcią patrzyła w tę twarz natchnionego mówcy, który tak wymownie bronił swego towarzysza; i gdy mówić przestał, gdy samą została – jeszcze w duszy dziewczęcia uroczym echem brzmiał głos jego dźwięczny. W sercu miała jego pełne szlachetności wypowiedzenia się, a twarz Adama mięszała się do jej wieczornych modlitw, aż we łzach musiała przed nią szukać ratunku i z łzami tymi, z twarzą tą – usnęła. Widząc go, słysząc i ocknąwszy się nazajutrz szukała wzrokiem – Adama.

Młody hrabia częstym bywał gościem we dworku. Roboty organizacyjne wymagały częstych usług od Michała, a porozumiewać się z nim mógł Adam tylko we dworku Barskiego.

Adam poważniał z dniem każdym, patrząc na Różę i Michała. Towarzysz jego smutniał i wewnętrzna troska zmarszczkiem myśli wybiła mu na blade czoło.

Oczki dziewczęcia nabierały szczególniejszego blasku i młodą pierś częściej podnosiło westchnienie. Róża nie wiedziała, co się z nią dzieje – czuła tylko, że dobrze jej w towarzystwie Adama, dobrze z myślą, że go jutro obaczy, że usłyszy jego głos dźwięczny.

Tak płynęło życie trojga, gotując się na nowe wypadki.

—

Iwan Iwanowicz nie zasypiał sprawy. Szpiegami otoczył dom hrabiego, na Michała miał zwrócone oko i o sierocie także nie zapomniał. Miał on na nią srogi grom w rękę: konfiskatę na rzecz rządu dworku i wszystkiego, co doń należało, pod pozorem, że jest własnością buntownika Barskiego. Ale z wykonaniem dekretu, uzyskanego nieprawnie, wstrzymywał się do chwili odjazdu Michała do Kijowa, bo miał obawę, że mu znowu połamie szyki – tak przez wpływ na ojca, jak również i świadomość, że podobna konfiskata nigdy prawną być nie mogła.

Sprawnik po dawnemu gryzł się myślą, że nie może uczynić zadość gubernatorskiemu żądaniu, bo hrabia siedział spokojnie, a Misza nie chciał ojcu dopomóc do zguby grafa. Makar Fiodorowicz pił wódkę z rozpaczą i narzekał, że miał syna, który chce jego zguby.

– Misza! Misza! – wołał pijany. – Twoja matka była świętą, ale ona Polka i porodziła mi zgubę: ty zgubisz twego ojca. Bałwan ja i dureń, że ciebie nie oddam w żołdacy! – i tłukł pięścią o stół, targając siwe włosy.

Iwan Iwanowicz siedział przy stole z „Inwalidem”⁴⁶ w ręku; przeglądał go i kiedy niekiedy rzucał wzrokiem pogardy na pijanego sprawnika.

Naraz zbladł, wykrzywił usta i krzyknął:

– *Wot, bieda! My propali!* (Nieszczęście! Zginęliśmy!).

Sprawnik ocknął się i duże swe oczy wlepił bezmyślnie w piśmowodителя.

– Dobrze wy mówili Makar Fiodorowicz! Szelma Barski został oficerem. W „Inwalidzie” wyraźnie stoi: Franc Barski. *Nie minut’ biedie!* (Bieda nie ominie!) – przyjedzie i będzie lichy!

– A niech cię zabiję, *sobako!*⁴⁷ Wszak to ty oddałeś go w żołdacy – zawołał sprawnik.

– Ale sprawnik zaskarżenie podpisał – z przyciskiem wycodził Iwan Iwanowicz – toż gdy się dostanie, to nam obydwom...

– *Moszennik ty!* (Łotr ty!). Przez ciebie ja głową nałożę. Ale słuchaj, złotem cię osypię, tylko daj mi hrabiego! Albo on w katordze, albo ja na marach⁴⁸, bo zapiję się spirtem! (spirytusem!) – i na potwierdzenie słów własnych wypróżnił szklankę spirytusu, oparł głowę na ręk i zasnął.

– Teraz trzeba się prędko sprawić – mruknął piśmowodiciel, składając gazetę. – *Sława Bogu* (Chwała Bogu), ten szelma Misza jutro odjedzie, a zanim Barski zbierze się powrócić z Kaukazu, ja moją rzecz zrobię! A gdy już raz w moje łapy dostanę szlachcianeczkę, to już sam diabeł ode mnie jej nie wydrze...

Smutno było nazajutrz we dworku. Michał i Adam odjeżdżali razem do Kijowa i przybyli na pożegnanie z kobietami. Stara ciotka kładzie mądrą kabałę⁴⁹, by dobrą wyróżić drogę. Róża miała łzy w oczach i tęsknie patrzyła na Adama. Michał smutnie zwiesił głowę ku piersi i duma. Adam był jeszcze najweselszym, a może udawał wesołość...

Konie czekały przed gankiem – czas był wyruszyć w drogę.

Wiele, wiele mocy potrzebowało dziewczę, by nie zapłakać, gdy młodzi żegnali ją – na długo...

Niema modlitwa sieroty unosiła się nad drogą głową jednego z odjeżdżających. Adam wysilił się i wesołym okolicznościowym wierszykiem wywołał

⁴⁶ „Inwalid” – prawdopodobnie chodzi o czasopismo „Russkij inwalid”, wydawane w Petersburgu przez ministerstwo wojny w latach 1862–1917.

⁴⁷ *Psie jeden*.

⁴⁸ *Mary* – nosze do noszenia zmarłych.

⁴⁹ *Kabała* – wróżenie z kart, z liczb lub z ręki.

uśmiech na usta Róży. Michał w milczeniu patrzył na kochankę i łez nie mógł powstrzymać. Konie ruszyły.

– Do widzenia!

– Szczęść Boże! A prosimy wracać...

– Nie zapominać o nas – dodała Różia, gwałtownie wstrzymując łzy, cisnące się do oczu...

Za chwilę powóz znikł w zakręcie ulicy.

Róża wbiegła na najwyższy wzgórek w ogrodzie i stamtąd patrzyła na szybko posuwający się powóz; słucha jego turkotu, gdy znikł z oczu..., aż łzami one zasłży, łzami gorzkimi.

Nie widziała, że za nią stał Dmytro – błądy, milczący. Pozwolił łzom płynąć – tylko nie swoim...

Po chwili westchnął i smutnie zapytał płaczącą:

– Panno, kochacie Michała? On dobry..., on nie winien, że jego ojciec zgubił naszego panicza...

– Franio?... – zawołało dziewczę ze łzami. – Czemuż cię nie ma przy mnie w tej chwili?! – A zwracając się do parobka: – Dmytrze – dodała – ja... nie kocham pana Michała.

Twarz parobka okrył żywy rumieniec.

– Nie kochacie! – wykrzyknął.

Za chwilę zwiesił głowę ku piersi i westchnąwszy, wolnym krokiem poszedł ku płynącej rzece.

Siadł na kamieniach i zadumał się, sierota.

– Po co daremna dumka? – westchnął po chwili. – Moja dola inna!

I po dawnemu był sługą Róży, najmytem⁵⁰ w dworku Barskich.

—

Po odjeździe Michała Iwan Iwanowicz miał nadzieję, że mu się uda zgodnym sposobem dobić targu z Różą. Parę razy przyjeżdżał do dworku, ale go nie przyjęto, a Dmytro omal raz nie spróbował siły swej pięści... Należało tedy chwycić się ostatecznego sposobu, który wprawdzie był niebezpiecznym, ale też mógł całą rzecz przyprowadzić do skutku.

⁵⁰ *Parobkiem.*

Pewnego dnia, w asystencji⁵¹ komisji sądowej, zjechał do dworku Iwan Iwanowicz, oświadczając, że na mocy rozporządzenia władzy, zabiera na rzecz rządu dworek, własność buntownika Barskiego. Wdanie się hrabiego nie wpłynęło na piśmowodителя – komisja przystąpiła do opieczętowania rzeczy znajdujących się w dworku. Dmytro w bolesnym milczeniu przypatrywał się robocie zbirów grabiących cudzą własność. Róża miała łzy w oczach. Ciotka łamała ręce z rozpacz.

Ku wieczorowi Iwan Iwanowicz oświadczył ciotce, że w jego mocy jest powstrzymać czynność komisji, że dworek pozostanie własnością Róży, jeżeli tylko sierota zgodzi się na przyjęcie ręki piśmowodителя. Jakkolwiek poczciwa kobieta wzdrygała się na myśl podobnych związków, chcąc jednak ratować ojcowiznę Barskich powtórzyła siostrzenicy oświadczenie piśmowodителя.

– Precz, precz z nim! – krzyknęła Róża. – Ciociu, grób mi wykop i żywą zagrzebaj, ale mi nie mów o tym szatanie! Boże, Boże, jakżem ja biedna!

– Panna mnie nie chce – złośliwie chrypnął Iwan Iwanowicz – a przecież ze mną czeka was szczęście, a beze mnie nędza...

– Śmierć z głodu! – zawołała Róża. – Wszystko, byle ciebie nie widzieć, potworze!

– Ha, jeśli tak, wychodźcie, panie, natychmiast z domu, który przestał być waszą własnością!...

– Chodźmy, ciociu! Uchodźmy przed szatanem. Bóg jest w niebie, a dobrzy ludzie zginąć nam nie dadzą. Chodźmy!

– I ja z wami pójdę, panienko – zawołał Dmytro. – Mam zdrowe ręce, zarobię, że na niczym zbywać wam nie będzie.

– Ten cham jutro pójdzie pod miarę – złośliwie krzyknął piśmowoditel. – Oto bumaga (papier): jesteś rekrutem!

Bolesny, rozpaczliwy krzyk wyrwał się z piersi parobka i byłby rzucił się na swego kata, gdyby w tej chwili uwagi wszystkich nie zwrócił na siebie pocztowy dzwonek tuż przed gankiem.

Iwan Iwanowicz zadrzał tknięty przecuciem. Zanim jeszcze miał czas zebrać myśli, drzwi się otwały, do pokoju wszedł młody oficer.

– Panicz! – rzucił się ku niemu Dmytro.

– Franio! – krzyknęła Róża, drobnymi rączkami obejmując szyję brata.

– *Ja propa!* (zginąłem!) – mruknął piśmowoditel, usuwając się w najgłębszy kąt pokoju.

⁵¹ *Asystencja* – asysta, towarzystwo.

Urzednicy uczuli się mocno zaambarasowanymi i niespokojnie patrzyli to na oficera, to na Iwana Iwanowicza.

Za chwilę przekonał się piśmowodiciel, że zupełnie nie powiodła mu się wyprawa na dworek Barskiego; jak nie pyszny wyleciał wraz z komisją, nie opamiętawszy się aż za bramą.

– *Czort pobieri! Wsiudu pomiecha!* (Do licha! Wszędzie przeszkody!) – mruknął, poprawiając nieco zmiętą swą odzież.

– Franiu! Franiu! – zawołała Róża, przez łzy uśmiechając się, szczęśliwa. – Bóg cię zesłał na mój ratunek.

– Jakżeś mi wyrosła, siostrzyczko, wypiękniała! Ciociu! Dmytrze, tyś ich nie opuścił?... Bracie, uściskaj mnie!

Dmytro zapłakał jak dziecko i ręce całował drogiego panicza.

– Hej, jak my tu tęsknili za wami! A ja zawsze mówiłem, że panicz powróci... No, teraz niecieńko i na rekruta, gdy wy jesteście przy panience.

Nie bój się, Dmytrze – uspokoił go Barski. – Wszystko biorę na siebie. Może i będziesz dzwigał karabin, ale nie moskiewski.

Oczy parobka zajaśniały dziwnym ogniem.

– Hej, gdybyż to! – zawołał. – A mam ja im podziękować nie za jedno!...

—

Powstanie w Królestwie⁵² wybuchło.

Na wieść o nim, wielu z uczniów uniwersytetu wcale nie wracało do Kijowa ze świąt Bożego Narodzenia. Michał i Adam również pozostali w domu.

Organizacja z dniem każdym przybierała szersze rozmiary; przygotowania do wybuchu czyniono w całym kraju.

Barski organizował siłę zbrojną, Adam zajmował się administracją w powiecie, Michał uwiadamiał zarząd o rozporządzeniach moskiewskich i wszelkimi sposobami wpływał na lud, by przyszłe powstanie zrobić dlań popularnym.

Czynności przygotowawcze do wybuchu nie zagłuszyły mowy serca. Michał kochał Różę jak dawniej – bardziej może, bo bez nadziei... Z dniem każdym przekonywał się, że serce Róży nie odpowiada biciu jego serca, że myśli dziewczęcia nie ku niemu się zwracają.

⁵² *Powstanie w Królestwie* – powstanie styczniowe w Królestwie Polskim (1863–1864).

– Nie dla mnie szczęście! Cierpieć, cierpieć i żyć samotnym – to moje przeznaczenie; a źle samemu na świecie!

Po chwili zawołał z rezygnacją.

– Ha, niech się spełnia moja dola!

I odtąd już był spokojnym. Cierpiał, ale się nie uskarżał przed nikim; ból schował w głąb duszy i postanowił żyć dniem dzisiejszym, nie myśląc, co przyniesie jutro!

Z zachwyceniem patrzył na Różę, drżał rozkoszą, gdy go serdecznym obdarzyła słowem; płakał skrycie, jeśli jej obojętności dostrzegł.

A Róża coraz silniej, coraz namiętniej przywiązywała się do Adama. Rozsądek ostrzegał, przecucie mówiło jej: „Cofnij się przed zgubą, czas jeszcze!”... Dziewczę zamykało oczy, rzucając się na osłep w ten czar łudzący! Kochała, chociaż jej wszystko mówiło, że Adam nie dla niej – hrabia nie dla ubogiej dziewczyny... W miłości ku niemu jej zguba, śmierć... O, umrzeć, byle z myślą o nim! Kochając go, kochając nawet po śmierci! On jej życiem, myśl o nim całym szczęściem – bez tego wszędzie pustka, grób wszędzie.

A Adam? On nazbyt był szlachetnym, by nie widzieć smutku Michała, by nie domyślić się jego przyczyny.

Chociażby gwałt zadając własnemu uczuciu, postanowił uspokoić towarzysza. Gdy się znaleźli sam na sam, długą a serdeczną rozpoczął z nim rozmowę.

—

Michał był zamkniętym w sobie, nie zwierzał się przed nikim. Nawet z Adamem nie mówił o Róży od chwili, gdy po raz pierwszy był w dworku Barskich. Serdeczne słowa przyjaciela rozrzewniły go. Uczuł niewymowną potrzebę wyłania się, wypowiedzenia przed tym, który by mu nie odmówił trochę współczucia. Oparł głowę na piersi Adama i zalał się łzami.

– Biedny, niedobry Michale – mówił Adam, przyciskając go do piersi. – Dlaczego się ukrywasz przede mną z twoim zmartwieniem?! Czemu w wypowiedzeniu się nie chcesz szukać ulgi?...

Michał westchnął.

– Jestem biedny – rzekł. – W złą na świat przyszedłem godzinę. Cierpię... To i dobrze! Oczyszczę się w tym ogniu – a może i spalę... – dodał ciszej.

Adam w milczeniu pocałował go w czoło.

– O, tyś szlachetny – mówił Michał ze łzami – tyś pierwszy uwierzył, że ja, Moskal, mogę być człowiekiem. Ale po coś ty mię w świat wprowadził, po coś dał

wiarę w lepszą przyszłość?... Bez nadziei byłbym zginął w sobie; a teraz ciężko rozstawać się z myślą, że mogłem być szczęśliwym...

– Ale skądże ta rozpacz? Kochasz...

– Ot, jej tylko chciałem – przerwał mu Michał, cały w ogniu. – A ona nie dla mnie! Nie kocha mię...

Adamowi z trudnością przyszło pocieszać kolegę.

– Młoda – rzekł – niewinna... Dla czegoż by cię jeszcze pokochać nie miała?...

– Bo już kocha... A, ty zadrzałeś..., Adamie! O, dlaczego człowiekiem, który mi niebo zabiera, jesteś ty, mój zbawca?!...

Adam zadrzał powtórnie. Cierpienie wybiło na jego twarz szlachetną.

– Nie krzywdź mię, kolego – rzekł, biorąc Michała za rękę. – Ja potrafię kazać zamilknąć sercu, gdyby przemówiło głośniej.

– Nie czyni tego – gorączkowo przerwał mu Michał – to do jej szczęścia potrzebne. Ja nie chcę ofiary! Kochaj ją – niech będzie szczęśliwą. Adamie, Adamie! Dlaczego po tych słowach umrzeć nie mogę?!... Puść mię, puść, bracie, bo nazbyt się rozczuliłem. Ot, na chwilę zapragnąłem szczęścia i Bóg mię za to pokarał... Jedźmy do dworku. Ty bierz i daj szczęście życia, ja za was wezmę jego truciznę... Gdybyż mię tylko prędko zabić zdołała... Jedźmy!

Adam, ulegając sile cierpienia towarzysza, w milczeniu był posłusznym jego woli.

Biedni serca męczennicy!...

—

Chociaż widział zniszczonym owoc swych mozolnych zabiegów Iwan Iwanowicz nie stracił nadziei, że wszystko jeszcze zdoła naprawić. Potrzeba mu było zgubić tych, którzy stali na jego drodze, i piśmowoditiel dnie i noce o tym tylko myślał. Wietrzył, że się coś robi wkoło niego. Prawie pewnym był, że hrabia z synem przyjmują udział w robotach konspiracyjnych, ale dla ich zguby potrzebował dowodów, a tych nie było. Wychowany w szkole szpiegowstwa piśmowoditiel na to pole rzucił się gorliwie: oko i ucho miał wszędzie, słuchał, patrzył – na próżno. Uderzyło go to, że kilka przedsiębranych rewizji, chociaż na dobry ich skutek liczone z pewnością, nie udały się. Wszędzie zastawano jakby przygotowanych na przyjęcie komisji. Niezawodnie musiał ktoś zdradzać rządowe tajemnice...

– Miałżeby Misza?...

Krew uderzyła piśmowoditeliowi do głowy.

– Jeżeli go złapię na uczynku – zawołał – to będę ich miał wszystkich w ręku.

Wtedy mnie poznają Spróbujmy.

Próba udała się nadspodziewanie. Iwan Iwanowicz sfalszował rozkaz bezwłocznego uwięzienia jednego z obywateli i włożył go pomiędzy sekretne papiery sprawnika. Ostrzeżony przez Michała obywatel znikł z domu.

– Ura!⁵³ – wykrzyknął piśmowodiciel, szczęśliwy, że mu się tak powiodła próba. – Mam was wszystkich! Misza przeczytał bumagę, ostrzegł i polaczek daremniutko spaceruje gdzieś z dala od żony i dzieci.

– Mam cię, ptaszku! A z tobą i tamtych, bo za sobą wprowadzisz ich w mój samotrzask. Teraz idźmy dalej!

Tym razem szatan dopomógł piśmowoditeliowi.

Jak wiadomo, korespondencje zarządów przesyłano pocztą tajemną, urzędową na rozmaitych drogach. Los chciał, że do przewożenia papierów użyto Żyda arendarza⁵⁴ z wioski hrabiego, który zdawał się być przywiązany tak do swego chlebobawcy, jak i do sprawy ogólnego wyzwolenia. Wrodzona jednak Żydom chciwość pieniędzy przemogła.

Przekupiony przez piśmowodiciela arendarz oddał mu powierzone sobie do przewiezienia rewolucyjne papiery.

Tym sposobem Iwan Iwanowicz został panem tajemnicy i miał w ręku los osób, na których zgubie tak bardzo mu zależało.

– Teraz mię już nie wyrzucisz za kark, mości oficerze! – tryumfował Iwan Iwanowicz, rozczytując się w pochwyconych papierach. – Raport wojskowy – mruzczał. – No, no! Barski nie próżnuje!... Ten kasek dla hrabiego. Dość, ażeby zgnił w Sybirze... A, jest i Misza! Biestija!⁵⁵ Jak on pięknie poprzepisywał instrukcje gubernatorskie... Mam was! – wszystkich oddam do katorgi! A Róża będzie moja!

Z rozpromienioną twarzą wszedł piśmowodiciel do pokoju sprawnika.

– Makar Fiodorowicz! – rzekł głosem podniesionym. – Gotujcie order i pieniądze – mam hrabiego.

Sprawnik zerwał się na równe nogi.

– Masz?! – wykrzyknął, a wszystka krew uderzyła mu do głowy.

⁵³ *Hura!*

⁵⁴ *Arendarz* – karczmarz, szynkarz.

⁵⁵ *Szelma!*

– Mam! I tuzin innych przy nim, a w dodatku i waszego Miszę.
– Misza... – ledwie wymówił sprawnik i upadł na krzesło.
– Mówiłem, że was zgubi. Są dowody: wykradał papiery, zdradzał tajemnice buntownikom. Oto jego ręką porobione kopie dokumentów, które przesyłał buntownikom.

Sprawnik zbladł, poznaawszy pismo syna, i łzy stanęły mu w oczach.

– *Misza, syn mój*⁵⁶ – mówił ze łzami, chowając twarz w drżące dłonie – *ty pogubił mienia, ty stał mianieźnikiem...* (Tyś mię zgubił, zostałeś buntownikiem...). Iwan Iwanowicz – zawołał, zwracając się do piśmowoditiela – ty jego nie zgubisz? Ty mnie nie zgubisz?

– To będzie od niego zależeć – sucho odrzekł piśmowoditiel. – Niech mi nie przeszkadza, a nic mu się nie stanie. Ja...

Przerwało mu wejście Michała do pokoju.

Na widok syna sprawnik rzucił się ku niemu, porwał za ręce i chwilę wpatrywał się w spokojną twarz młodzieńca. Wreszcie odtrącił go i ryknął, zalawszy się łzami.

– I ty, ty mogłeś być mianieźnikiem?! Syn mój, krew moja, buntuje się z Polakami!

Michał zbladł. Oko jego padło na papiery, które trzymał piśmowoditiel. Poznał je i z krzykiem rzucił się ku drzwiom. Iwan Iwanowicz zastąpił mu drogę.

– Za pozwoleniem – rzekł. – Tych ostrzec nie pozwolę, jak kilka dni temu pana Łaskiego, bo tamtemu włos by z głowy nie spadł, a ci pójdą do katorgi.

Okropny obraz zguby wszystkich wstrząsnął duszą Michała, zachwiał się i padł zemdlony.

Na ratunek syna pospieszył sprawnik.

– Zbójco! – krzyknął do piśmowoditiela. – Zabijeś mi jedyne dziecko!

– To romansy, Makar Fiodorowicz! Uspokójcie się. Ot, już i wstaje nieboszczyk.

– Czy to prawda..., czy prawda? – jęknął Michał, odzyskując przytomność. – Nie, to sen! Sen okropny...

A na dowód macie tu wszystkie papiery...

– Boże! – wykrzyknął młodzieniec, załamawszy ręce z rozpacz.

⁵⁶ *Misza, synu mój!*

– Misza, syn mój! – mówił sprawnik ze łzami. – Ot, ja ciebie powinienem przekląć... *Ja skot, prosto biestija!*⁵⁷, a dla ciebie mam serce... Tobie się nic nie stanie...

– Pod warunkiem – dokończył piśmowodiciel – że mi nie będziecie przeszkadzać u panny Róży.

Imię kochanki przywróciło Michałowi przytomność.

– Mam cię – wykrzyknął, rzuciwszy się na piśmowodiciela. – Zguba za zgubę! Tyś skradł rządowe pieniądze, które zginęły przed rokiem. Świadczy twój współnik.

Teraz na Iwana Iwanowicza przysła kolej. Zadrzał febrycznie, ale za chwilę odzyskał zimną krew.

– Wspólnik nie żyje – rzekł spokojnie – i wy nic nie wiecie.

– Wiem i zgubię cię, łotrze! Oto zeznanie urzędowe umierającego, żeś go namówił do kradzieży... Czy wierzysz teraz?

Sprawnik stał osłupiały. Buta piśmowodiciela znikła, zgiął się pokornie i szepnął:

– Misza Makarowicz, Nie gubcie duszy niewinnej!...

– Wolność za wolność – wołał Michał – zeznanie za papiery. Zgoda?

Przez głowę piśmowodiciela błyskawicą przemknęła myśl.

– Zgoda! – rzekł, oddając trzymane w ręku papiery.

Michał chwycił je drżącą ręką i cisnął na żarzące się węgle w kominie. Gorączkowo śledził oczami płomień pochłaniający papiery, aż gdy sam popiół pozostał.

– Dzięki ci Boże! – wykrzyknął i cisnąwszy piśmowoditeliowi papier, na którym tak mu zależało, wybiegł z pokoju.

Iwan Iwanowicz również poszedł za przykładem Michała: spalił groźne zeznanie i uśmiechnął się ironicznie.

– Młodość – rzekł – niezastanowienie!... Poleciał, a nie wie, że najważniejszą rzecz mam w ręku, i wszystkich zgubię! Syna wam, Makar Fiodorowicz, oszczędzę, bo młody jeszcze... – to rzekłszy, wyszedł z pokoju.

Sprawnik stał osłupiały z podziwienia, nie umiał sobie wytłumaczyć tego, co się stało, i uciekł się do lekarstwa wypróbowanej dobroci – do spirytusu. Pił

⁵⁷ *Jestem bydlakiem, po prostu szelmą!*

już trzecią szklanekę, gdy Michał w największym galopie dobiegał dworku, wioząc ważne wiadomości. Na ganku zastał Barskiego i Adama.

– Jesteśmy wyratowani! – krzyknął, rzucając konia na podwórzu. – Przed kwadransem cała poczta była w ręku piśmowoditiela. Papiery własną spaliłem ręką. Uściskajcie mię, bracia, bo nigdy nie byłem tak szczęśliwy.

– Najchętniej – rzekł Barski. – Bogu chwała, że się tak stało, ale chodź do pokoju, a dowiesz się czegoś więcej.

W pokoju obaczył Michał Różę i ciotkę, obie zapłakane, a przy świetle dostrzegł, że obaj towarzysze byli ubrani do drogi; broń leżała na stole.

– Co to jest? – zapytał z trwogą.

– Nadszedł rozkaz. Ze świtem powstanie. Za chwilę nadejdą inni i ruszymy na stanowisko.

– A ja? – zawołał Michał i rumieniec zapału wybiegł mu na lica.

– Ty, drogi Michale, pozostaniesz tutaj. Na twoim stanowisku więcej zrobisz aniżeli jako żołnierz. A kobiety potrzebują opieki – będziesz je bronił, bracie, przed wieloma, przed piśmowoditielom...

Michał smutnie zwiesił głowę ku piersi.

– Sądziłem – rzekł z cicha – że pożądaną śmierć znajdę w powstaniu, a wy mi żyć każecie... Będę żył! – dodał z westchnieniem.

W tej chwili weszło do pokoju kilku zbrojnych. Barski udzielał Michałowi potrzebnych instrukcji. Adam i Róża znaleźli się sam na sam w sąsiednim pokoju.

– To już na zawsze? – drżąc, pytało dziewczę kochanka, bezwiednie cisnąc rękę Adama w swoim ręku.

– Bóg to wie – odpowiedział młodzieniec z westchnieniem.

– Nie, nie! Tak źle nie będzie... Pan powróci... My pana... Ja jeszcze... – i łzy nie pozwoliły jej mówić.

– Ja będę modlić się – mówiła, łkając. – Ten krzyżyk... Proszę, weź go... Matka Boska niech cię chroni... Mnie już nie będzie... Ja umrę, umrę tu sama...

– Różo! – jęknął Adam. – Czemuś mi nie pozwoliła odejść bez grzechu zdrady przyjaciela?... Kocham cię i żegnam na wieki!... Michał szlachetny, on cię kocha... Bądź jego... On ci da szczęście...

– Nie da on szczęścia nikomu – odezwał się głos Michała, który był niemym świadkiem pożegnania kochanków. – Skazano go na wieczne cierpienie, więc mu grzech nie cierpieć. Adamie, bracie mój, tyś zdradą nie zgrzeszył!... Idź, ja tu zostanę i będę jej bronił – dla ciebie...

Taka scena słów nie potrzebuje. Adam w milczeniu pocałował rękę Róży, uściśnął Michała i wybiegł z pokoju. Jęk kochanki, który się wydobył z piersi, poszedł za nim na boje – nie opuści go w godzinie skonania.

Dmytro również był świadkiem pożegnania... Chwiejącym się krokiem wyszedł do sieni i rzucił się do nóg Barskiego.

– Paniczu – jęknął – zabierzcie mię ze sobą! Śmierć mi się dawno należy, a ja tu mam żyw pozostać...

Barski podniósł go z ziemi, i do serca przycisnął.

– A któż w domu zostanie, Dmytrze?! Czy rzuciłbyś pannę samą, bez obrony? Dmytrze! Michale! Bracia moi, zostańcie bronić tu sierotę!...

– Idź z Bogiem – rzekł Michał poważnie, a Dmytro w milczeniu pocałował rękę Barskiego.

Gdy ucihły kroki powstańców, Dmytro przystąpił do zadumanego Michała i biorąc go za rękę:

– Dwom nam jednaka doła – rzekł smutnie.

Michał zrozumiał go.

– Prawda, Dmytrze! – rzekł i rozeszli się.

Michał powrócił do domu. Nazajutrz doszły go dwie wieści: powstanie wybuchło, hrabia wywieziony do Kijowa. Teraz dopiero poznał Michał, że nie wszystkich wyratował, zniszczywszy papiery.

Iwan Iwanowicz miał tryumfującą minę. Sprawnik pił spirytus.

—

Miesiąc kwiecień zakwitł nam mogiłą, z której jednak wstanie kiedyś wolność, w imię której powstanie było rozpoczętym. Słabe liczebnie, było ono potężne duchem. Wiedział o tym rząd opierający się na milionie bagnetów i zadrżał przed garstką powstańców. Od razu też użył na ich zwalczenie broni najbardziej ryzykownej.

Powstańcy ze „Złotą Hramotą”⁵⁸ szli pomiędzy lud, wzywając go, by bronił od najeźdźców swą ziemię, która stała się jego własnością. Moskwa posunęła się dalej na tej drodze, chcąc sparaliżować czynność rewolucyjną: przez popów i policję

⁵⁸ „Złota Hramota” – dekret uwłaszczeniowy, zredagowany pod koniec marca 1863 roku przez Komitet Centralny Narodowy Rządu Narodowego, skierowany do chłopów ukraińskich mający na celu pozyskać ich przychylność do walki z Imperium Rosyjskim.

nakazała głosić ludowi, że wieczystą jego własnością staje się ziemia nie tylko ta, którą już posiadał z prawem wykupu, ale i ziemia dworska; że wszystko, co pan posiada, jest i zostanie własnością chłopów.

Prawdzie przeciwstawiono fałsz i obłudę... Obłuda zwyciężyła: lud odepchnął „Hramotę”, uwierzywszy policyjnym podszeptom. Rozkiełznane namiętności zagrały – lud sam zaczął sobie sprawiedliwość wymierzać; w powstańcach obaczył panów i wraz z nimi ogłosił ich za swych wrogów. Robota policji powiodła się nadspodziewanie. Rząd nie potrzebował walczyć z powstaniem – ono upaść musiało wobec wrogiego sobie usposobienia milionów ludu.

Jednym z najbardziej energicznych siepaczy w powiecie, gorliwie działającym w myśl rządu, był Iwan Iwanowicz – niezmordowany, gdzie chodziło o ludzką krzywdę, o zgubę niewinnych. Z wódką i nadzieją łupów na czele rozbestwionej tłuszczy piśmowoditel przelatywał od dworu do dworu, grabiąc, więżąc, mordując spokojnych wsi mieszkańców i setkami gnał ich do więzienia, pozwalając pastwić się nad nieszczęsnymi w sposób najokropniejszy.

Syt krwi i jęków ofiar, dobrze wyładowawszy kieszeń cudzą własnością, Iwan Iwanowicz przypominał sobie Różę i przyrzeczenie, że ją posiędzie. Nic dlań obecnie nie było łatwiejszego jak zgubić ubogą dziewczynę, której brat był przywódcą powstańców. Chodziło tylko o usunięcie Michała, by mu nie przeszkadzał. I to nie było trudnym dla piśmowoditeła.

Od chwili, w której się przekonał, że Michał został *buntowszczykiem*⁵⁹, Sprawnik pił nieustannie, na to tylko wytrzeźwiając się, by kazać podać sobie nową flaszkę wódki. Powstanie przyniotło go ostatecznie.

– *Polaki miatieżniki! Misza miatieżnik! Wsie miatieżniki!* (Polacy buntownicy! Michał buntownik! Wszyscy buntownicy!) – wołał sprawnik i pił bez pamięci.

A w powiecie wszystkim był Iwan Iwanowicz. Ufny w swoją potęgę piśmowoditel samowolnie kazał aresztować syna sprawnika.

Michał protestował, ale brutalna siła przemogła i musiał się udać do więzienia. Przeczuwał, że z jego aresztowaniem Iwan Iwanowicz zamierza nową jakąś popełnić zbrodnię, i liczył na znajomego sobie dozorcę turmy, że go natychmiast uwolni z więzów. Na nieszczęście oficer ten odjechał z miasta na godzin kilka, a tych było dość dla piśmowoditeła, by bez żadnych przeszkód, zbrodniczy swój zamiar przyprowadzić do skutku.

⁵⁹ *Buntownikiem.*

Na czele zawsze mu towarzyszącej przy wyprawach hołoty udał się piśmowoditiel do dworku. Z hałasem wpadł do pokoju. Róża i ciotka głośno modliły się przed obrazem Bogarodzicy.

– *Gdzie buntowuszczyki polaki?! (Gdzie buntownicy Polacy?!)* – krzyknął Moskal, a zwracając się do swoich:

– *Riebiata (dzieci⁶⁰)* – zawołał. – Zabawcie się!

Sam usiadł w krześle, z szatańskim uśmiechem patrząc na drżące z trwogi i przerażenia kobiety.

Zbójce, zachęceni przez naczelnika, bawili się, zabierając i niszcząc, co było pod ręką.

– *Czto (co) panno?! – dziko zaśmiał się piśmowoditiel. – Teraz już nie powiesz: „Precz! precz!”, ale mnie za szyję obejmiesz rączkami, całować będziesz w usta, bo ty już moja, moja, gołąbko!*

Róża z przerażeniem cofnęła się w głąb pokoju.

– *Czego się chowasz? Chodź tu, pocałuj twego pana, bo cię oddam tym kawalerom, gdy mnie nie zechcesz. Choroszeńkaja (Piękna), na przeprosiny daj ja cię uścisknę! – i porwał Różę za rękę... Ciężka pięść Dmytra, który wpadł był przed chwilą do pokoju, powaliła na ziemię Moskala.*

– *Masz, rozbójniku! – krzyknął parobek głosem strasliwym i wyrwawszy od jednego z rabusiów siekiere, obuchem począł gruchotać ich kości.*

Za chwilę Iwan Iwanowicz przyszedł do zmysłów po ciężkim uderzeniu.

– *Zabijcie tego psa! – krzyknął, pokazując Dmytra. – Tę zwiążcie, a polskie gniazdo zburzyć do szczytu! Ja wam pokażę, co może Iwan Iwanowicz!*

Na gwałt zbiegli się włościanie z wioski.

– *Na pomoc! – krzyknął Dmytro do swoich i rozpoczęła się krwawa bitwa.*

Włościanie bronili Dmytra i dobrą panienkę, którą kochali wszyscy; rzucili się z wściekłością na rabusiów, bijąc i wiążąc opierających się.

Iwan Iwanowicz krzyczał, że to bunt, że wszystkich odda do katorgi, ale widząc, że włościanie zwyciężają jego popleczników, skorzystał z zamieszania wywołanego bójką, porwał związaną Różę na ręce i rzucił ją na bryczkę. Sam wskoczył za nią i

– *Paszo! – krzyknął na jamszczyka⁶¹.*

⁶⁰ Taki przekład w oryginale; powinno być: *Chłopcy!* lub *Kamraci!*

⁶¹ *Jamszczyk* – woźnica.

Dmytro widział porwanie Róży i z innymi włościanami rzucił się w pogoń za uchodzącym piśmowoditelem. Dosiedli koni i pędzą za nikczemnikiem.

Z pozostałymi prędko dano sobie radę: tych, co przy życiu zostali, powiązanych odstawiono do powiatu.

—

Za przybyciem dozorca Michał natychmiast został wypuszczonym z więzienia. Ze strasznym przeczuciem dosiadł konia i błyskawicą popędził do dworku... Zastał ruinę i z jękiem „Rózo!” upadł na skrwawioną podłogę. Ale nieszczęście było za wielkie, by z utratą zmysłów pozwoliło zapomnieć o sobie. Michał ocknął się i z krzykiem:

– Gdzie ona? Oddajcie mi ją, oddajcie! – wybiegł, by ją znaleźć, odszukać.

A Iwan Iwanowicz pędził, ile sił koniom starczyło! Wiedział, że dognany nie uniknie śmierci, a żał mu było rzucić Różę...

– Pędź! – krzyknął do woźnicy, ale konie były zmęczone poprzednią jazdą, a droga w tym miejscu szkaradną.

Piśmowodiciel widział swą zgubę. Do miasta nie dojedzie, stawić czoło dopędzającym nie mógł ani chciał... W oddaleniu mignęła karczma tego samego arendarza, który mu oddał rewolucyjne papiery.

– Poszo!⁶² – wrzasnął Moskał i sam chwycił lejce.

Bieg był szalony, konie pędziły ostatkiem sił i padły przed karczmą. Iwan Iwanowicz skoczył z bryczki, a porwawszy nieprzytomną Różę na ręce, znikł na podsieniu karczmy.

– Zarygluj drzwi – krzyknął na Żyda – i leć po żołnierzy albo po chłopów – niech mię bronią!

Drżący arendarz zatarasował drzwi karczmy, a wyjrzawszy na drogę do lasu, zawołał:

– Idą, idą żołdacy!

Róża odzyskała przytomność.

– Gdzie jestem? Co się ze mną dzieje? – szepnęła, starając się wydobyć ręce z krepujących je sznurów.

– Ze mną, moja panno! – odpowiedział piśmowodiciel. – I już cię z rąk moich sam diabeł nie wydrze.

⁶² *Wynoś się!*

W tej chwili Dmytro z towarzyszami dopadł drzwi karczmy.

– Wysadzić bramę! – zawołał. – Obstąpić karczmę i by tyłem nie uszedł...

Co tam za wojsko?... Boże! To nasi! – wykrzyknął z najwyższą radością.

Na te słowa piśmowodiciel pobladł jak chusta, arendarz dostał febry.

Róża upadła na kolana.

– Boże, dzięki Ci! – zawołała. – Wybawiasz mnie z rąk szatana.

– Ale nie wybawi! – krzyknął w obłąkaniu piśmowodiciel. – Razem zginie-
my! – I podniósł sztylet, chcąc zadać Róży cios śmiertelny.

Kula pistoletu strzaskała mu pięść prawą, sztylet wypadł ze skaleczonej ręki.

We drzwiach karczmy ukazali się powstańcy.

– Adam! – krzyknęła Róża, słoniąc się na ziemię.

– *Ja propa!*⁶³ – mruknął piśmowodiciel, podnosząc do ust zakrwawioną rękę.

– Róziu moja, biedna siostrzyczko! – ze łzami wołał Barski, trzeźwiąc omdla-
łą. – Bóg mię zesłał na twój ratunek.

Jednocześnie Adam rozwiązał sznury krępujące ręce ofiary zbrodni piśmo-
wodiciela.

– Z tym łotrem na gałąź! – krzyknął Barski, wskazując Iwana Iwanowicza.

– To już nie ma co gadać – mruknął Moskal. – Udało się wam... No, to i jego
chyba weźcie – dodał, wskazując arendarza.

– Ja nie winien, jaśnie wielmożny generale! – zawołał Żyd, padając na kola-
na. – Ja te papiery dał jemu, żeby wam oddał, pod *chejrym*...⁶⁴

– I Żyda tą samą drogą! – zawołał Barski. – Powiesić ich obu przed karczmą!

Rozkaz wykonano natychmiast. Żyd i Moskal powisli na drzewie tuż koło
drogi, ku wielkiemu zadowoleniu włościan, którzy tłumnie zbiegli się na wieść
o Polakach.

Róża była w objęciach Adama.

– Mam cię znowu – szepnęła zachwycona, wpatrując się w twarz kochanka. –
Jestem przy tobie... O, teraz mogę już umrzeć...

Ledwie miał czas dowódca wydać potrzebne rozkazy, gdy od strony lasu na
koniu spienionym przypadł powstaniec z krzykiem:

– Moskale!

⁶³ *Już po mnie!*

⁶⁴ *Przysięgam.*

W tym samym czasie zagrzmiały działa, kartaczowe kule sypnęły się z lasu, nie dosięgając jednak karczmy, za którą stał oddział. Na głos wystrzałów Adam wypuścił Różę ze swych objęć.

– Bądź zdrowa! – i wybiegł przed front.

– Naprzód! Krokiem podwójnym marsz! – zakomenderował dowódca i oddział w porządnym szyku ruszył przed karczmy.

Dmytro spojrział na wyruszający oddział i milcząco w cierpieniu Różę.

– I teraz mi nie iść z wami! – zawołał westchnawszy. – Ha, taka już moja dola! – Panno, siadajcie na konia! Ja znam bezpieczną drogę.

Róża była posłuszną. Dmytro wiódł konia, przedzierając się leśną ścieżką ku błoniowi⁶⁵. W oddali grzmiał bój.

– A dokąd Bóg prowadzi? – zaszedł podróżnym drogę sędziwy starzec. – Tą ścieżką wpadniecie na Moskali. Chodźcie za mną do mojej pasieki – tam będzie bezpiecznie.

Wziął konia za cugle i mówi przez drogę:

– Ot, zesłał Bóg pokaranie! Ta grzeszyliż bo, grzeszyli! Szkoda tylko, że za winnych padną niewinni. *Haj, haj!*⁶⁶ Czemu by to prawdzie nie być na tym święcie, kiedy na ziemi tak pięknie, że ino żyć i Pana Boga chwalić! A tu ludzie mordują się niby zwierzęta. . . Ot, dopust Boży, *taj hodi!*⁶⁷ A wam że jaka stała się *pryhoda*?⁶⁸ – zwrócił się z pytaniem do Dmytra.

Parobek zaspokoił ciekawość dziada.

– Ot, ono⁶⁹ jak – mruknął starzec. – To prawda, że z Moskałem ciężko! Ale ono, synu, było tak z dawna: biednym ludziom zawsze krzywda od niedobrych. . .

– Odbiliśmy się od drogi już i strzałów me słytać. . . A po mojemu: to niech Bóg pomaga temu, kto chce dobra! To dziw, że Lachy dają wolę i ziemię. . . A, no to pewnie im Bóg pomoże, skoro chcą prawdy na świecie! . . . Tu wam i moja pasieka. Panna niech odpocznie. Może by czego przynieść: miodu, mleka na ochłodę, to ja zaraz wyniosę.

– Nie płaczcie, panienko – zwrócił się Dmytro do Róży po odejściu dziada. – Bóg waszej krzywdy nie zechce.

⁶⁵ *Błonie* – otwarta przestrzeń, rozległa równina pokryta trawą.

⁶⁶ *Oj, oj!*

⁶⁷ *Oj, co!*

⁶⁸ *Przygoda*.

⁶⁹ *Ono* – w znaczeniu: to.

– Jego zabiją – szepnęła dziewczę.

Cierpienie wybiło na twarz parobka.

– *Nie smućcie*⁷⁰ tak ciężko!... Będziecie szczęśliwi...

– Tam! – szepnęła Róża, wzrok rzuciwszy ku niebu.

Dmytro westchnął i zamilkł, otarłszy skrycie łzę.

Po niejakiem chwili dały się słyszeć kroki dziada i drugiej osoby.

– *Ta bo*⁷¹, dziwny człowiecze! – mówił dziad do towarzysza. – *Rozważ tuhe*⁷²: powiedz co ci jest, czego tobie potrzeba?

– Nic! nic! – odpowiedział znany Dmytrowi głos, a za chwilę w towarzystwie pasiecznika⁷³ poznał on Michała.

Wykrzyknął. Michał zadrzał.

– Ty? Róża! – jęknął, upadłszy przed nią na kolana. – Sądziłem, że mi cię na zawsze zabrano! – zawołał.

– Czy wiesz co o nich? – zapytało dziewczę, bacznie śledząc wyrazu twarzy Michała.

– Nie wiem! Nic nie wiem – odpowiedział Michał. – Ciebie widzę i nic mi już do ludzi i Boga! Dziada zgorszyły te słowa młodziana.

Haj, haj! – zawołał. – Świat się zepsuł. Za moich czasów tak nie mówiono.

– Gdzie on? Co się z nim stało? – pytała Róża wpołnieprzymtomnie. – Jakieś mam straszne przecucia... Chodźmy stąd! Muszę wiedzieć o ich losie zaraz, natychmiast!

– Noc się zbliża – przekładał pasiecznik. – Może by podnocować?... O świcie będzie bezpieczniej.

– Dziękuję wam, dziadu. Dobrze znam drogę. – Chodźcie! Wezmę was do siebie. Tyś teraz prawdziwą sierotą.

– Wiesz! Widziałeś? – krzyknęła Róża z trwogą.

– Myślę o dworku, o hrabiu...

– Ach, co mię to teraz obchodzi?! Franio... Adam... Co z nimi? Co z nim?!...

Pasiecznik zęgnął się krzyżem świętym, patrząc w ślad za odchodzącymi, a gdy znikli w gęstwinie, stary westchnął i poszedł spać do chaty.

⁷⁰ *Nie smućcie się.*

⁷¹ *Hej!*

⁷² *Rozwiej smutek.*

⁷³ *Pasiecznik* – ten, kto dogląda pasieki; pszczelarz.

Na wiadomość o powieszeniu pismowoditeia wytrzeźwiał sprawnik. Pierwsze jego pytanie było:

- Czy syn jest w domu?
- Jest – odpowiedział Wańka.

Uspokojony co do losu syna sprawnik długo chodził po pokoju, bijać się z myślami: jakie stanowisko ma zająć wobec ruchu, który tak groźnie zaczął się manifestować?

Że sprawnik nie pojmował, czego chcą Polacy i powstanie odnosił na karb szalonej krwi płynącej w żyłach tego narodu, która gra, aż mu jej nie upuszczą – wypływało to z natury Moskala. Ale co sprawnika dziwiło niepomiernie, to siła powstańców, z garstką których nie mógł sobie dać rady rząd, chociaż wezwał włościan do pomocy.

– Nieczysty pomaga buntownikom! – zawyrokował sprawnik i naprawdę zdrztał o bezpieczeństwo własne. Powiesili pismowoditeia, mogą i sprawnika obwiesić. Wszak oba jednakowej maści!... I jak na toż przypomniał sobie Makar Fiodorowicz słowa Barskiego, którymi żegnał go wywożony na Kaukaz...

Sprawnik bardziej jeszcze sposepniał...

– Może i dobrze zrobił Misza – myślał Makar Fiodorowicz – że trzymał z grafem. *Czego dobrogo* (Co do czego) w razie tarapaty on mnie wyratuje... Ale co on robi? Co on robi?!... Mnie i siebie zgubi, zadając się z miatieżnikami! To wielkie szczęście, że tego łotra powiesili, bo już nikt nie wie o sprawkach Miszy. *Syn moj, syn moj!*⁷⁴ Ty mnie i siebie zgubisz!

Jakby na wezwanie ojcowskie Misza wszedł do pokoju. Sprawnik rzucił się ku niemu, porwał w objęcia i ze łzami do piersi przycisnął.

– Drogi ojcze! – rzekł Michał, rozczulony przyjęciem ojcowskim. – Mam do ciebie wielką prośbę.

– *Prikazywaj!* (Rozkaż!) Ja stary dureń tak ciebie kocham, że wszystko zrobię, co zechcesz. Ty istny portret mojej *pokojnej*...⁷⁵

– Wiesz już, ojcze – mówił Michał – że twój pismowoditeiel napadł na spokojny dworek Barskich, zrabował go...

– Za toż go Polaki przewietrzyli na gałęzi. *Podietom, moszenniku!* (Dobrze tak, szelmie!). On miał sumienie brudniejsze od mojej podeszwy.

⁷⁴ *Synu mój, synu mój!*

⁷⁵ *Nieboszczki.*

– Hrabiego aresztowano...

– To jedno, co dobrze zrobił – przerwał sprawnik. – Mam za to podziękę gubernatora. Chcesz? zaraz ci pokażę...

– Nie, ojcie – smutnie odpowiedział Michał. – Nie po to tu przyszedłem. Proszę cię o opiekę nad sierotą, która pozostała samą, bez nikogo...

– Może nad tą małą, siostrą buntownika?

– Tak, ojcie. Ona jest tu. W twoim imieniu zapewniłem jej bezpieczeństwo...

– Siostra miatieżnika... – głośno myślał sprawnik, chodząc po pokoju. – W moim domu... Ale sierota, sama jedna... Ha, niech zostanie. Już ja biorę na siebie odpowiedzialność przed naczalstwem...

– Ojcie, ojcie mój! – zawołał Michał, rękę sprawnika okrywając pocałunkami. – Całą wieczność błogosławić ci nie przestanę! Idę, uspokoję jej trwogę, spieszę pochwalić się przed nią, że mam ojca, ojca najlepszego...

– Czekaj i ja z tobą pójdę. Jeszcze tej małej nie widziałem. A Iwan Iwanowicz mówił mi, że ją kochasz... Ty mój syn – ja chcę ją obaczyć.

Sprawnik i Michał zastali Różę zatopioną w gorącej do Boga modlitwie. Makar Fiodorowicz w milczeniu patrzył chwilę na modlącą się i wyszedł, ciągnąc syna za sobą.

– Misza – rzekł – naczalstwo źle na to patrzy, ale ja ci pozwalam. Pokojna była także Polką. Ta dziewczyna będzie dla ciebie taką, jak moja była dla mnie. Ja *zwier'* (zwierzę), a przy tamtej poznał, że jestem człowiekiem, i nauczył się kochać ciebie... Bierz ją za żonę, ja błogosławię.

Michał westchnął i ukradkiem otarł łzę z oka.

Przez trzy dni nie wiadomo w powiecie, jaki los spotkał oddział Barskiego, który z pierwszej potyczki zdołał się uchronić cofnięciem się w lasy. Niepodobna jednak było przypuścić, że będzie świetniejszym aniżeli oddziałów innych. Nie bagnety moskiewskie były strasznymi dla powstańców – ich zgubą była nieprzychylność bezbronного ludu, który domagał się śmierci buntowników walczących za powroć pańszczyzny. (Tak policja i popi wytłumaczyli ludowi powtarzane przez Polaków w śpiewach kościelnych słowo „ojczyzna”). Prędzej czy później i oddział Barskiego będzie musiał złożyć broń przed ludem.

Różę nie odstępowały najsmutniejsze przecucia. Michał pocieszał ją, ale i sam nie miał wiary w pomyślny obrót sprawy, która nie znalazłszy w ludzie odgłosu, musiała upaść jako pozbawiona gruntu. Dmytro dnie i noce przesiadywał

w smutku, dumając nad losem ukochanych: panicza i panny. Tamten poszedł i zapewne zginie... Tu została sierota, bez dachu.

Ku schyłkowi trzeciego dnia od przybycia Róży w dom sprawnika, gdy całe towarzystwo siedziało smutne przy herbacie, nie wyjmując sprawnika, który częściej teraz zdradzał w sobie szlachetne uczucia drzemiące w głębi jego duszy – wpadł do pokoju szczęściem promienny kapitan Kutow i jeszcze za progiem wykrzyknął:

– *Pobieda!* (Zwycięstwo!). Barski zabity, młody graf w niewoli!...

Na tę wieść Róża z jękiem upadła bez zmysłów. Michał rzucił się na jej ratunek. Sprawnik, pomagając synowi, przeklinał kapitana, niemogącego pojąć, z jakich powodów pomyślna wiadomość tak przykre wrażenie wywarła na towarzystwie sprawnika, a widząc, że zajęci trzeźwieniem omdlełej nie zwracają na niego uwagi i nawet kieliszkiem spirytu⁷⁶ nie częstują, zaklął po moskiewsku i trzasnął drzwiami, wychodząc gniewny z domu sprawnika. Nie dalej też jak na odwachu⁷⁷ ogłosił naczelnika policji buntowszczykiem, który go złąjął za udzielenie wiadomości o klęsce Polaków.

Niespodziewana wieść o śmierci brata i niewoli Adama była zbyt wielkim ciosem dla Róży, by go przenieść⁷⁸ mogło dziewczę i tak już cierpiące pod wrażeniem minionych wydarzeń. Ze słabej z początku gorączki wywiązała się malingra i lekarz zwątpił o życiu chorej.

Ale niebo snać chowało sierotę do większych jeszcze cierpień.

Po tygodniu Róża zaczęła odzyskiwać przytomność. Poznawała Dmytra i Michała... ale przypomnienie utraty najdroższych istot znów pogorszało jej zdrowie i pomiędzy życiem a śmiercią chora przeżyła dni kilkanaście. Na koniec młode siły przemogły chorobę i dziewczę zaczęło przychodzić do zdrowia.

Michał i Dmytro przez cały ten czas nie odstępowali cierpiącej. A co się w tych duszach działo – Bóg wiedział tylko... Jakaż radość nappełniła czyste ich serca, gdy lekarz oświadczył, że niebezpieczeństwo stanowczo minęło i najdalej za tydzień chora będzie mogła wstać z łóżka!

Przy Róży, w towarzystwie syna, i sprawnik wyszlachetniał. Od dwóch tygodni nikogo nie skrzywdził, nie obdarł nikogo – urzędowa czynność jego straciła

⁷⁶ *Spirytusu.*

⁷⁷ *Odwach* – siedziba warty głównej garnizonu, w której mieszczą się także biura komendy miasta oraz areszt.

⁷⁸ *Przenieść* – tu: znieść, wytrzymać.

na sprężystości. Zamiast potępiać, Makar Fiodorowicz parę razy usprawiedliwił obwinionych i z więzienia wypuścił. Policja i wojskowość zaczęły sarkać na sprawnika, donosy posypały się do gubernatora.

Sprawnik wiedział o tym, ale zaczynał lekceważyć sobie niełaskę zwierzchności, nad jej pochwałą przenosząc łzy syna, którymi dziękował ojcu za każdy czyn szlachetny. Pokojna śniła mu się często, dziękując za dobry uczynek, syn otaczał ojca szacunkiem, mała Poleczka, jak nazywał Różę, uśmiechała się doń tak słodko... Nawet Dmytro przywiązał się do sprawnika, który teraz dopiero zakosztował słodczy pocziwego życia. Makar Fiodorowicz uśmiechał się do brotliwie, przyciskając syna do piersi, i rozrzewniony mówił, patrząc na Różę:

– Wot, i zrobili ze mnie, co chcieli! Ja i sam siebie teraz nie poznaję. Dobrze mi tak z wami, choć się naczałstwo krzywi. Bóg z nimi! Żyłem dla nich tyle, pożyję lat kilka dla siebie i dla was. Ty, choroszeńkaja⁷⁹ – dodał, zwracając się do Róży – nie patrz tak łzawo. Śmierć wzięła ci brata, nu tak my⁸⁰ tobie damy innego. Dieti moi!⁸¹ Daj wam Bóg szczęście, że ja przy was odżył, niby przy pokojnej...

Młodość i silna wola powrotu do zdrowia bardziej niż lekarstwa pomogły dziewczynie. Róża z dniem każdym nabierała siły, a sił tych wiele jej potrzeba, by udać się w drogę, być przy Adamie, bronić go albo los jego podzielić, choćby najokropniejszy. Z zamiarem wyjazdu nie zwierzyła się Róża przed przyjaciółmi z obawy, by jej nie odradzano, nie stawiano przeszkód... Oni nie czują tak silnie potrzeby obaczenia go, oddychania powietrzem, które go żywi!... I dziewczę gorąco błagało Boga, by jej siły wrócił, dał skrzydła, ażeby znaleźć się mogła przy nim, przy nim!...

Pewnego dnia Róża, ocknąwszy się ze snu który jej siły przywracał, usłyszała w sąsiednim pokoju cichą rozmowę Michała z ojcem. Zwykły słuch nie wystarczyłby do pochycenia jej wątku, ale przeczucie jakieś tknęło chorą; duszą i sercem wsłuchiwała się w cichą rozmowę i usłyszała wieść straszną: biuletyn wojskowy donosił, że Adam został skazany na rozstrzelanie. Wyrok oddano gubernatorowi dla konfirmacji⁸².

⁷⁹ *Mileńka.*

⁸⁰ *Ale my.*

⁸¹ *Dzieci moje.*

⁸² *Konfirmacja – zatwierdzenie.*

Taka wiadomość z grobu poruszyć może... Chorej wróciła potrzebne siły. Za chwilę Michał i sprawnik z wielkim zdziwieniem ujrzeni ją wchodzącą do pokoju.

Szła pewnym krokiem, z twarzą bladą śmiertelnie i z dziwnym ogniem w oczach.

– Wiem o wszystkim – rzekła spokojnie – i natychmiast, natychmiast zawieźcie mnie do niego!... On beze mnie nie umrze. Ja czuję to, że się obaczmy przed śmiercią. Jeżeli w was iskra jest człowieczeństwa – o, nie odmówcie mej prośbie! Michale! Panie! – i usunęła się przed nimi na kolana.

Sprawnik chciał coś mówić, przerwał mu Michał:

– Ojcze, jedziemy natychmiast. Pomyśl o rzeczach dla Róży, ja idę po konie pocztowe.

Nieme spojrzenie Róży starczyło za podziękę, a gdy Michał wyszedł, dziewczę szepnęło:

– Szlachetny!

Uległszy sile wyższych uczuć, sprawnik w milczeniu pobłogosławił syna i Różę, uściskał Dmytra i po ich odjeździe raz pierwszy w życiu uczuł całą gorczy samotnego życia.

Konie pocztowe szybko niosły podróżnych do Kijowa.

—

Grobowo odbijał od murów cytadeli głos moskiewskich tarabanów.

O godzinie szóstej z rana wyprawiał car w Kijowie ucztę swym wiernym sługom. Idą strojne szeregi wojska, generałowie i pułkownicy w paradnych mundurach, żandarmi i wierny towarzysz skazanych – policmajster⁸³ na koniu. Uczta będzie suta! Znać to po uśmiechniętych twarzach siepaczy...

Oto i król godów. Przed śmiercią zdjęto zeń łańcuchy, by wspomnienie wolności uniósł ze sobą do grobu i w innym życiu poświadczył, że car wolnych zabija ludzi. Czterech bagnetowych towarzyszy strzeże, by drogę do śmierci miał wygodną..., ażeby mu na niej nikt nie stawał...

Adam idzie krokiem śmiałym. Nie znać trwogi na jego obliczu, tylko smutek rzewny; oko za sercem płynie, szukając w tłumie obojętnej istoty, która pragnęła by ujrzeć po raz ostatni... Nie ma nikogo!...

⁸³ *Policmajster* – wyższy urzędnik policji w wyższych urzędach carskiej Rosji.

Wolnym krokiem w paradyzie oprowadzają skazanego przed wojskiem. Przechodząc, widzi dół wykopany, który za chwilę będzie dlań grobem wiecznym... Car umyślnie każe go obejrzeć ofierze, czy będzie dla niej domem wygodnym.

Szmer ubolewania przebiegł tłum zebranych na wałach fortecznych.

– Młody... Jaki piękny... Szkoda go...

– Niewinny! – ktoś wyrzec się ośmielił i zamilkł z trwogi, by go za to sroga kara nie spotkała.

Adam stanął pod słupem, pocałował podany sobie wizerunek Chrystusa – i nastąpiła cisza grobowa.

Przerwał ją jęk, straszliwy, okropny, który tylko wydobyć się może z piersi kobiety – kochanki.

Fakt bezprzykładny w dziejach egzekucji! Rozrzedziły się szeregi, by do skazanego przypuścić ducha dziewicy: Róża z jękiem rzuciła się w objęcia Adama.

– Boże, dzięki Ci! – zawołał skazany. – Dajesz mi śmierć słodką. – I tulił ukochaną do serca, które za chwilę przestanie bić na wieki. – Ojcie...

– Adamie! – ozwał się w tej chwili głos Michała, silącego się przebić wał żołnierzy, który go oddzielał od przyjaciela.

Ale chwilowe osłupienie siepaczy przeszło. Brutalnie wyrwano Różę z objęć Adama, oficer skinął: dwanaście strzałów padło – męczennik sprawy Narodu, Adam, szepnął: „Różo!”... i pochylił się pod słupem.

Za chwilę trupa przykryto ziemią, a na świeżą mogiłę rzuciła się Róża z jękiem – ostatnim. Dmytro i Michał podnieśli trupa dziewczęcia.

Jęknął Michał rozpaczliwie, przywołując do życia tę, której dusza płynęła gdzieś w niebo z duszą ukochanego!... Dmytro załamał ręce i młodą głowę ku piersi pochylił.

Tegoż dnia jeszcze Michała osadzono w fortecy.

Dmytro sam odprowadził zwłoki Róży na miejscowy cmentarz i płakał na nim gorzkiej swej doli, która mu kazała samotnym zostać na świecie.

Sprawnika oddalono z urzędu. Stary przybył do Kijowa. Był w stolicy, błagając, by mu wrócono syna. Odmówiono ojcu nawet łaski widzenia syna, gdy w łańcuchy skutny poszedł do kopalni na lat dwadzieścia.

Z rozpaczki sprawnik powrócił do wódki – pił i przeklinając siepaczy, jęczał:

– Oddajcie mi syna, syna pokojnej!

Stary hrabia zszedł się jeszcze w życiu z Michałem: jednym łańcuchem skuci, przebyli razem drogę do Nerczyńska⁸⁴.

—

O wschodzie słońca stał na górze św. Andrzeja niemłody już człowiek, podróżny, i odmawiał poranną modlitwę. Ulicą zadumany przechodził parobek.

– Dmytro! – poznał go sprawnik.

– To wy, panie! – smutnie rzekł parobek. – Dokądże to Bóg prowadzi?

– Zabrali mi syna – zapłakał stary. – Idę go szukać na Sybirze. A ty dokąd, Dmytrze?

– Za Bug. Po śmierć! – odpowiedział parobek i rozeszli się.

KONIEC

⁸⁴ *Nerczyńsk* – miasto i kolonia katorżnicza w Kraju Zabajkalskim w Rosji, gdzie więziono m.in. dekabrystów, powstańców polskich z 1831 i 1863 oraz narodników.

Paulin Stachurski

**OPOWIEŚCI
STEPOWE**

Paulina Stachurskiego

Opowieści stepowe.



LWÓW

Skład główny w księgarni J. Milikowskiego,

Nakładem Augusta Skerla.

Karta tytułowa *Opowieści stepowych* Paulina Święcickiego (Stachurskiego)
(Lwów 1871)

GULNARA

Na to Bóg stworzył Ukrainę, by łała czar w duszę człowieka, a ukraińską krasawicę, by czarowała mołojców! Zjedźże świat cały od morza do morza – czy znajdziesz piękniejszą jak Ułana Damianówna? pociecha ojcowska, pycha stepów Ukrainy!

Tam to już urody u tej krasawicy ukraińskiej! Oczy to wieczorne na niebie gwiazdy, kiedy promykiem strzelają ku ziemi, a włosy, włosy... – kruk im połysku dawał i czarności, a gałąź wierzyby płaczki pożyczyła miary. Stan *diwoczyj*¹ – wiotka łodyga kwiatu... Ot, co długo mówić – wiadomo: krasawica Ułana! Takiej sułtan nie widział, słońce jeszcze na taką nie patrzyło, a jedną tylko zrodziła Ukraina – jak szeroka od kraju do kraju!

Rozповідаją, że gdy raz stanęła nad Rosią², to zapatrzona na krasawicę rzeka zatrzymała się w tym miejscu i do dziś szeroko rozlewa się po błoni, tęskniąc za cudnym widokiem... Poszła światem sława o krasie Ułany Damianówny, a serce dziewicze poczuło wolę Bożą i po swojemu nudzi światem, wyczekując *kochannia*³, które mu jasnym ma zaświecić słońkiem...

Niemąło panów szle swaty po Ulanę czarnooką, a kopa mołojców zmarniała z serdecznej *tuh*⁴ za krasą stepów Ukrainy za sławą urody kozackiej... Taj na nic się zdało wszystko! Odjechali swaty z Damianowego dworu i jak przywieźli, odwożą flaszkę nienadpoczętą. Nie słucha krasawica czułych zaklęć mołodźców, bo do dziewiczego serdeńka przypadł Kozak Iskra – ten sam, co w wątlej czajce⁵ dopłynął *Carogrodu*⁶ i taką zapalił sułtanowi świecę, że cały oświeciła Bosfor⁷.

¹ *Dziewczęcy*.

² *Roś* – rzeka na Ukrainie, prawy dopływ Dniepru.

³ *Kochania*.

⁴ *Żałości*.

⁵ *Czajka* – zwrotna, pełnomorska kozacka łódź bojowa.

⁶ *Carogród* – Konstantynopol.

⁷ *Bosfor* – cieśnina łącząca Morze Czarne z Morzem Marmara, oddziela Europę od Azji.

Taj Kozak że to był *motorny*⁸ Nie mała Ukraina na Zaporozu kozactwa dostatkim, a do Prokopa Iskry żaden ani się umył. Chwat był mołojec! I Ulana wiedziała, kogo ma wybrać na serdecznego druha.

Jak tam przyszło do kochania pomiędzy młodymi – dużo by o tym powiadać. Nad Rosią widziała ich razem kalina, słowik słyszał rozmowę serdeczną, a *mołodyk*⁹ na gwiazdzistym niebie widział taką rzecz, że o niej nie zapomni po wieki: widział pierwszy uścisk zakochanych – klucz, który niebo szczęścia otwiera!

Pokochali się. A taki to już przykaz Boży: mołojec dopiero z krasawicą *człowiek*, a bez tego – burłaka¹⁰, zdał się chyba na zaporoskiej Siczy! A światła więcej jak na Czartomeliku...¹¹ Toż i nie dziwo, że Prokopowi przysłała dobra wola połączyć się z Ulaną – jasnopióremu sokołowi z gołąbką śnieżnoskrzydłą.

Ta nie zaraz, że to przyszło zakochanym. W naszej Ukrainie nie jak na obczyźnie! Dużo wody Dniepr wyleje i niejedna trawa pokryje *tuh*¹² stepowy, zanim mołojec posiędzie krasawicę. A jeszczeż taką jak Ulana!... Skarbem ona u rodzonego ojca, a droższym nad skarby sułtana, nad świecące złoto tatarskiego władcy! Damian drogo skarb swój ocenia i nie za lada co odstąpi go Kozakowi!

Ale młodym – co mówić o trudnościach?... Dla nich świat, bo oni dla siebie; a jak się dusza zrozumiała z duszą, to już im o rozłące nie wspominaj!... Pobrali się za ręce; krasawica rumieńcem dziewiczego wstydu, jak ta wiśnia płonie, a Kozakowi silnie bije serce... Weszli do świetlicy, i rzucają się do nóg starego Damiana.

– Daj mi Ulanę, *bat'ku!* – zawołał Kozak i w stare lica patrzy niby w obraz święty.

– Oddaj mię za Prokopa – wtórzy mu Ulana, całując nogi rodzica.

Hej, młodzi wy, młodzi! Czemuście wy nie pomyśleli o Damianowych słowach?! Jakże wam teraz słuchać jego niewesołej mowy?...

Nie podniósłże Damian młodej pary i błogosławieństwa dla nich nie ma. Po szczyrbatym czole niedobra przeleciała dumka.

– Oj, ta дума kozacza *hore!*...¹³

⁸ *Motorny* – sprytny.

⁹ *Miesiąc* [księżyc w jednej z faz].

¹⁰ *Burłaka* – włóczęga.

¹¹ *Czartomelik* – lewoboczny dopływ Buzułuku w dorzeczu dolnego Dniepru z siczą Kozaków zaporoskich.

¹² *Łąke*.

¹³ *Pali!*

Popatrzył na młodych i westchnął, ciężko westchnął.

– *Bat'ku!*¹⁴ – aż krzyknął Kozak, zbladłszy niby chusta, bo w Damianowym licu dostrzegł złą swoją godzinę.

– Tatusiu! – jęknęła Ulana i łzami oblewa kolana ojcowskie.

Stary Damian w milczeniu podnosi zakochanych, wskazuje im miejsce opodal na osłonie; a gdy usiedli zwraca słowo do Kozaka.

– Widzisz, Prokopie, step *rozłohy?*¹⁵ – powiada poważnie. – Taką mi daj sztukę szczerego złota, a jeszcze ci nie wziąć Ulany! Z Góry Kijowskiej¹⁶ zrób mi perłę białą i tu osadź na podwórzu – a jeszcze mieć jej nie będziesz!... Za wysoko sięgnąłeś, Kozacze! Sto głów miej – a stracisz! Cztery życia – a jeszcze ci nie dojść Ulany!

Kozak zachwiał się jak ta trawa w polu, a Ulana jęknęła żałośnie:

– Oj, *hotube mij sywyj!*¹⁷ Tatusiu serdeczny! Nie gubże mnie młodej, jedynej u ciebie, ta kochanej!

Daremna, że Kozak, a zapłakał Prokop jak *mała dytyna*¹⁸.

– Nie mów strasznego słowa! – wykrzyknął rozpacznie, ściskając Damianowe kolana. – Nie zwalaj *bestatannia*¹⁹ na moją głowę. Nie ma mi życia bez Ulany! Bez niej nie ma dla mojej duszy zbawienia!

I oboje całują nogi starca, łzami je myją, aż niebu ciężko od ich łkań i westchnień.

Damian milczy poważnie i, znać, waży się z dumą wielką.

– Ulano! – rzekł po długiej chwili do krasawicy. – Zostaw mnie z Prokopem. Ważne mam do niego słowo.

Ta nie takąż to córka, by nie słuchała woli ojcowskiej. Niski oddaje mu pokłon, odchodzi do komory, a łzy z jej oczu płyną nie wstrzymane.

– Słuchaj mnie, mołojcze! – rzekł Damian do Kozaka, gdy sami zostali. – Długo żyję, niemało lat jeszcze przejść może, a ty jeden tylko usłyszysz o tym, co mi w piersi straszną męką legło, i z czym nie pójdem do grobu, bo upiorem błąkałbym się po świecie...

¹⁴ *Ojczulku!*

¹⁵ *Szeroki?*

¹⁶ *Góra Kijowska* – Wzgórze Zamkowe w Kijowie.

¹⁷ *Gołębju mój srebrzysty!*

¹⁸ *Dziecko.*

¹⁹ *Niedoli.*

– Widzisz mię starcem kaleką... Szabli od tyłu lat nie udźwignę, bo mi wróg zabrał siłę strasznej dla niego ręki... A tobie wiedzieć, że innym ja byłem dawniej – o, innym!

– Wiem, bat'ku, o waszej sławie – rozpoczął Kozak, ale go Damian powstrzymał.

– Nie przerywaj, Kozacze, i uważnie mię posłuchaj! Innym ja byłem kiedyś. Niech tam kości wrogów mówią, jakim był Damian za lepszych czasów kozactwa! A Dniepr na porohach po dzień sądu niechaj im śpiewa straszną pieśń o kozackiej sławie! To już przeszło, minęło..., to wszystko już nie moje... Tu, do tej starej nakłoń się piersi. Siedmdziesiąt lat bije to serce... A wsłuchaj się: usłyszysz skargę wielką, głos straszny, co woła zemsty wielkiej, jak wielką była zbrodnia! Nie patrz, że drżący mówię ci to ze łzą w starym oku – tak o tym będę mówił Bogu, gdy mię bez zemsty na t e n świat powoła... Miałem żonę. W niebie wiedzą, czy była od niej lepsza, ale ja wiem, że dla mnie była ona niebem! Sława o jej krasie rozniosła się szeroko. Bogdajby²⁰ nigdy nie była!... I Tatar o niej zasłyszał. Fazyl-Kiram – to mój stary wróg ze stepowych tańców, w których nie było wesela nogom pohańskim... On mi nie zapomniat tatarskiej niesławy, spalonych miast i zrujnowanych zamków!... Nieprzygotowanego napadł w futorze... W moich oczach... O, te oczy patrzą jeszcze!... Mój skarb najdroższy, żonę moją... Na tortury wzięty nie czułem bólu, bo on cały był w widoku mej hańby, w widoku jej męczarni, które dobrze, że zakończyła skonaniem!... Wpół martwy dowlokłem się do trupa żony...

Gdym przyszedł do siebie, pomiędzy dobrymi znalazłem się ludźmi. Ot, ta zielona mogiła urosła, a przy mnie ujrzałem kwilące niemowlę – sierotkę, którą mi zostawiła święta męczennica, przenosząc się do krajów, gdzie nie ma krzywdy, nie ma łez niedoli!... Pragnienie zemsty stało się życiem kaleki. Ulanę wychowałem na mściciela. Kozacze, tu mi żywcem przystawisz Fazyla..., tu go na wolnym spalę ogniu i wtedy Ułana twoja! To moje ostatnie słowo! A drugi raz ci go nie powtórzę.

Straszne słowo i grobem zawiąło Kozakowi. Krym szeroki, a Fazyla strzeże wojsko mnogie... Ciężko go będzie odpytać²¹ na świecie, a cóż żywego oddać Damianowi...

²⁰ *Bogdaj* – bodaj.

²¹ *Odpytać* – odnaleźć, odszukać.

– Bat’ku! – rzekł po chwili zadumany. – Święte wasze słowa i stać się musi po waszej woli. Albo moje kości czarny kruk rozniesie po stepie, młodą głowę przyjmie ziemia *syra*²², albo ci tu Fazyla przystawię żywego! Błogosław, ojcze, na daleką drogę! Bądź zdrowa, Ulano! Nie będziesz ty moją tu, to w lepszym świecie znajdziemy się oboje.

Duże łyzy świecą w oczach Prokopa i głos drży kozaczy. Oj, bo to niemałe słowo „Bądź zdrowa”, gdy w duszy brzmi: „Na wieki”. Damian w milczeniu odmawia modlitwę. A Ulana jak objęła Prokopa za szyję, tak i zemdloną złożył ją Kozak na osłonie. Pokłonił się bogom*, jeszcze raz spojrzął na Ulanę.

– Bądźcie zdrowi! – I wybiegł ze świetlicy²³.

Wrony zarzął pod jeźdźcem..., kozacza spisa błysnęła na słońcu, wierzch kołpaka zamajaczył w trawie..., trochę pyłu, świst, gdzie Kozak przeleciał – i wszystko znikło. Damian spokojnym okiem patrzy w niebo i może rozmawia z nieboszczką.

Ułana przyszła do siebie – załamała drobne rączki.

– Sokole mój! Orle pyszny! – jęknęła. – Powitaszże ty mnie w zimnej mogile, bo mi życia bez ciebie nie ma!

Wybiegła ze świetlicy i pada na mogiłę matczyną.

– Matusiu, gołąbko, serdeńko moje najmilsze! Uprośże ty u Przekzystej, żeby zdrów powrócił! Ażebym go choć raz jeszcze obaczyła przed skonaniem.

Taka to dola dziewicza była pod owe czasy w Ukrainie. Słodkie kochanie, ale gorzko przychodziło go okupić; szczęście niemałe, a trudno go było zdobyć na szerokim świecie.

*Neńko*²⁴ Ukraino! Na dziwo cię stworzył *Hospod*²⁵ i na radość kozaczego ducha! Głośno ty mówisz mogiłami i wiekową sławą twoją. Czemuż tak mało ludzi mowę tę rozumie!...

²² *Wilgotna*.

* Wyrażenie dziś jeszcze używane na Ukrainie; oznacza obrazy świętych.

²³ *Świetlica* – paradny pokój wiejski.

²⁴ *Ukochana*.

²⁵ *Pan Bóg*.

Płyną dnie za dniami, dużo ich minęło, a o Prokopie wieści nie ma!

Stepowe morze szerokie – kto dał w nie nurka, łatwo na tamten świat wypły-
nie... Może i Kozak spoczywa gdzie w mogile? Ciężka ziemia tłoczy pierś młodą,
a jasne oko wygryzł brzydki robak?...

Stary Damian tylko modli się do Boga, a Ułana, cień-krasawica, stepowych
wiatrów pyta o dolę miłego... i wiatr ją pociesza piosnką, podaje wieści o młodym
Kozaku. Żyje! Żyje... On nie zginął... Powróci! Młode serce nie robi zawodu,
a ono wieszczy Ułanie, że serdeczny nie zginął.

Prawdę mówiło dziewicze serdeczko! O życiu Prokopa wiedzą w Siczy: dowie-
dzieli się na Limanie²⁶ i brzegach czarnomorskich, wiedzą o Kozaku w Krymie.
Ta nie zaraz to przyszło, a jak się złożyło – tu słowo niedługie.

Pożegnawszy Ulanę i Damiana, Kozak leciał niby czarna chmura dumą zase-
piony. Ta jest bo czemu zasepić młode czoło! Niemały świat Tatarszczyzna – Fazył
nie za jedną zachowany bramą, a Kozak sam jeden! I wrony²⁷ posmutniał wraz
ze swoim panem: nie potrząsa grzywą, nie parska radośnie, zwolnił biegu i czas
do czasu zarzy do echa na stepie.

W ciężkiej zadumie przyjechał Kozak do kurynia²⁸. Przywitał go Ilko, to-
warzysz pobrat²⁹ Prokopów. Ilko to Kozak bywały, starszy wiekiem od Prokopa,
niby opiekun młodego. Nietrudno mu było poznać Prokopowe *hore*. Choć w ogniu
hartowne, a zabolalo go serce nad dolą towarzysza i począł rozważać jego tęsknicę.

– *Ne horuj, Kozacze!*³⁰ – czule rzekł do pobrata. – Wielka *prytca*³¹ i smutek
niemały, ale i nie z takich my żywą wynosili duszę!... Na wszystko jest swoja
rada i na twoje znajdzie się, niebożę! *Pek mu, a ty się horem nie wbijaj!*...³² Hm!
Potrzeba ci tego psa, Tatar... Tatar mniejsza, ale jak go z nory wykurzyć, jak
złapać, żeby całą oddać Damianowi skórę?... Niewielka rzecz byłoby z mołojcami
pobywać u Chana – u nas i tak są z nim swoje rachunki..., ale co po wyprawie,
gdy diabli mu wiedzą, w którą udać się stronę! Posłuchaj mojej rady, Prokopie!

²⁶ *Liman* – zapewne chodzi o Liman Dniestru, jeden z największych limanów Morza Czar-
nego (zatoka, która powstała z zalanego, ujściowego odcinka głębokiej doliny rzecznej).

²⁷ *Wrony* – koń o czarnej maści.

²⁸ *Kuryń* (*kureń*, *kurzeń*) – siedziba Kozaków w stepie.

²⁹ *Pobrat* – człowiek pobratany z kimś, wierny przyjaciel.

³⁰ *Nie smuć się, Kozacze!*

³¹ *Historia*.

³² *Do diabła, a ty się smutkiem nie zadreczaj!*

Nie mówić nam tutaj i słowa nikomu, bo wszystko na nic się zdało... A kiedy ci już tak pilno – *hajda*³³ we dwóch do Krymu odszukać siedzibę Fazyla!... W długiej niewoli dobrze wyuczyłem się po tatarsku. Przebierzemy się obydwaj za psich synów i pomyszkujemy w chańskiej siedzibie. Wymierzyłem ja Krym nogami – szeroki! Ale koniec się znajdzie i Fazyl nie uciecze – jeżeli *did'ko*³⁴ nie porwał czarną duszę, bo wtedy – *pyszy Kozacze: propało!*³⁵ Da Preczysta, że z wędrownki powrócimy zdrowo – wtedy „hurah!” z mołojcami, choć do Bachczy-Seraju!...³⁶ *Czy po dumci, pane brate – moje słowo nerozumne?*³⁷

Prokop uściśnął podaną sobie rękę i nazajutrz o świcie wyruszyli z kurynia. Ilko trzy razy przeżegnał się, gdy przyszło Dniepr przepływać, a za połtawską pałanką³⁸ poszło stepem dwóch Tatarów w stronę Perekopu: to Ilko i zakochany Prokop. Dobrze świadomy zwyczajów tatarskich Ilko wiódł towarzysza od miasta do miasta. Tu był wędrownym kupcem, tam ubogim derwiszem, indziej pielgrzymem, a indziej pastuchem stada. A choć mierzył sobie włóczęgę, szedł coraz to dalej, wypytyjąc o siedzibę Fazyla.

Po kilkutygodniowej podróży dowiedzieli się Kozacy, że Fazyl-Kiram żyje w zimowym swym pałacu na południu i że na wiosnę powróci do swoich posiadłości, graniczących z niewiernymi psami (takim mianem chrzcili Kozaków Tatarzy).

Tego też i trzeba było podróżnym. Wiedzą, gdzie i kiedy przydybać Fazyla... Teraz by do swoich, w czas dla zebrania drużyny do pochodu. A że do wiosny daleko, to dla rozpędzenia nudoty może by na Wołoszę³⁹, do Carogrodu⁴⁰ albo co!... Czemu nie zażyć młodego wieku?!... A tymczasem wiosna *naspieje*⁴¹ i Fazyl wyjdzie na szlach kozacki... Taki prawda, taj koniec.

Dwanaście pokłonów uderzył Ilko świętemu Mykole, że szczęśliwie wiódł po obczyźnie, i wielką mu świecę obiecał, gdy wszystkie kości doniesie do stepowego

³³ *Hajda* – dalej! ruszajmy!

³⁴ *Czart*.

³⁵ *Chwacki Kozacze: przepadło!*

³⁶ *Bachczy-Seraj (Bakczysaraj)* – miasto na Krymie, stolica Chanatu Krymskiego.

³⁷ *Czy tak może być, panie bracie – dobrze prawie?*

³⁸ *Poltawska pałanka* – kozacki okręg na Siczy Zaporoskiej, z centrum w Połtawie.

³⁹ *Wołosza* – Wołoszczyzna, tereny dzisiejszej Rumunii.

⁴⁰ *Carogróg* – Konstantynopol (dzisiejszy Stambuł).

⁴¹ *Naspieć* – nadejść.

kurenia. Ta trochę czy nie bajbardzo⁴² była świeca dla świętego, bo już niewiele brakło, by Kozakom przyszło na pohybel...

O tym rozprawiał Ilko towarzyszom, gdy już bezpiecznie siedział przy kotle smakowitej kaszy, dobrze okraszonej słoniną.

– Nieczysta siła tak przywiodła – mówił Ilko, splunąwszy na uroki – że w Perekopie⁴³ trafiliśmy na bazar, kiedy sprzedawano niewolnice. Chmura Tatarów zbiegła się oglądać towar, bo i było patrzeć na co!... Mnie samemu nie *hyd*⁴⁴ było spojrzeć na krasawice, choć żadna niechrzczona!... Ale wiedziałem, że z tego może się *scoić*⁴⁵ lichu, i ciągnąłem pod mury, by co prędzej wymknąć się z przeklętego miasta. Taki tam lament i kweres⁴⁶, że aż sercu *motoroszo*⁴⁷: tu córkę biorą od matki, sprzedają za morze; tam mężowi zabierają żonę... Napatrzył się ja na to i znam psi obyczaj, ale Prokop to aż się na twarzy mieni – rad by targi porozpędzał kułakiem.

– *Triwaj, mołojcze!*⁴⁸ – powiadam mu na ucho i ciągnę, ażeby prędzej uciekał za miasto. Już o staje⁴⁹ brama przed nami, za nią step szeroki, a nosem, *pane brate*⁵⁰, tak i czuję wiatr Ukrainy. *Hospode, sława tobi!*⁵¹ – pomyślałem w duchu i *czymczykujemy*⁵² z Prokopem, aż tu za nami wielki krzyk powstaje i lament niewieści... Dusza mi poszła w pięty: młoda niewolnica wrywa się kupcom bazarnym i leci do nas jak strzała – prosto do Prokopa, wołając ratunku. Krasawica, prawda, nie z prosta⁵³; ta lichu nie w porę wybrała się z uściskiem!... A mój Prokop, żeby ją trącić i uciekać za miasto, jak należy. Przycisnął młodą do piersi i składa kułak do bójki... Aj, *tycho moje!*⁵⁴ A tu nas zewsząd oskoczyli Tatarzy

⁴² *Bajbardzo* – lekceważąco, na odczepnego.

⁴³ *Perekop* – najdalej na północ położona miejscowość Republiki Autonomicznej Krymu.

⁴⁴ *Żal*.

⁴⁵ *Zrobić*.

⁴⁶ *Kweres* – zamieszanie, rwetes.

⁴⁷ *Strasznie*.

⁴⁸ *Wstrzymaj się, mołojcze!*

⁴⁹ *Staja* – miara długości drogi definiowana jako odległość przebyta przez konia pomiędzy dwoma odpoczynkami.

⁵⁰ *Panie bracie*.

⁵¹ *Chwała Ci, Panie Boże!*

⁵² *Umykamy*.

⁵³ *Niebrzydka*.

⁵⁴ *Do licha!*

i dalej wypytywać... Ledwie nieledwie z ciężką biedą wybrechałem się⁵⁵ przed sobakami... A krasawica zawodzi, że się kraje serce; porwana przez kupców zwraca głowę w naszą stronę i ze łzami woła „kardasz”⁵⁶ na Prokopa. Przypadł jej Kozak do serca, ale *spasybi*⁵⁷ ci za bractwo – przyszłoby za niego powisnąć ziobrem na haku!... A zapamiętały Prokop chciał taki bronić Turkinie...⁵⁸ Ledwim go wywlókł za bramę. Turkinia została u kupców, a my tu żywi przywędrowali do was. No, dajcie jeszcze palonej!

Tak rozprawiał Ilko o przygodzie Kozaków na perekopskim bazarze. Prokop milczy pogrążony w zadumie. Może myśli o Turkinie młodej?... Oj, nie to mu na dumce! Tam, w stepie, dworzec⁵⁹ Damianowy, przestronna świetlica, a w niej Ulana, wyczekująca powrotu Kozaka. Ot, Turkinia Prokopowa!...

O tamtej już i zapomniał – brzmi mu tylko w uchu jej imię, którym wołał na nią kupiec: „Gulnara”. Imię – słowo puste, gdy nie ma osoby... A Turkinia słowa nie zna – ta może obraz Kozaka zapadł w jej młodą duszę?... Kto się tam dowie prawdy?...

—

Bieda przysłała na kozactwo. Chołoznie⁶⁰ na strzępy, w Siczy ani kawałka słoniny i Żyd czarki wódki poborgować⁶¹ nie chce. Zebrali się Kozacy i idą do atamana.

– *Batku atamane!*⁶² – powiadają z pokłonem. – *nizassczo*⁶³ przepada kozactwo! Kto tłustym przystał do k o s z a⁶⁴, to już zsechł jak deska – oczkury⁶⁵ pozostawiali..., trudno wyżyć bez *charczu!*⁶⁶

⁵⁵ *Wybrechać się* – wytłumaczyć się.

⁵⁶ *Kardasz* – brat, druh.

⁵⁷ *Dziękuję*.

⁵⁸ *Turkinia* – Turczynka.

⁵⁹ *Dworzec* – dwór.

⁶⁰ *Chołoznie* – spodnie zimowe z białej wełny.

⁶¹ *Poborgować* – dać na kredyt.

⁶² *Ojcie atamanie!*

⁶³ *Całkiem*.

⁶⁴ *Kosz* – kozacki obóz wojskowy.

⁶⁵ *Oczkur (uczkur)* – sznurek, pasek u spodni.

⁶⁶ *Jedzenia*.

Pan Ataman skrobie się w czuprynę, ale prawdy nie ukryć: ani jednego tustego Kozaka i niby dziady świecą łachmanami.

– Ha, panowie koronni jakoś długo *kmetują*⁶⁷ nad wypłatą... Pójdziemy u Turków poszukać czerwońców.

– Hurah! – wykrzyknęli Kozacy, aż fala zatrzęsła się dniewprowa, i niezadługo wesoła hołota płynie na straszny *rozdobytę*⁶⁸ – idzie po charcz do pohańców!⁶⁹

Dnieprem płynie kozactwo, a pomiędzy innymi Prokop. Drzewiane kłody rwą na limanie silną zaporę łańcuchów tureckich. Sto harmat bije w martwe drzewo, a żywe kozactwo z wesołą pieśnią wpływa na Czarne Morze. Lotna czajka bije się na falach, sitowianym skrzydłem pluska o szmaragdowe wody i chyba⁷⁰ uwija się po powierzchni, a gdzie brzegu dosięgnie, tam wieś zapali lub miasto, wrażej krwi przeleje niemało i znów na wodach kąpie swoje boki.

Wiedzą o Kozakach w Turecczyźnie, wiedzą i o młodym Prokopie, bo sam pan ataman nagroził go garścią złota za młództwo⁷¹ – a to rzecz niemała.

Pohulali u sułtana – toż chana krymskiego grzech przepomnieć⁷², grzech nie przywitać go kozackim *wytaniami*⁷³.

– Zdrów był, panie chanie! Przyszło w gości kozactwo. Ładuj dobytek i skarby mnogie, dawaj pod szablę bisurmańskie głowy – przyszli my tu u ciebie gospodarzyć!...

Ta i nie w smak chanowi gospodarstwo kozackie, że uciekł za morze i na sto kłódek zamknął się z sułtanem w Carogrodzie!... I obadwa wzywają pomocy Proroka!

A kozactwo bankietuje!... Hula z krasawicami, ścina łby eunuchom⁷⁴. Wesoło duszy kozaczej – ta żal, że między młództwem nie ma Kozaka Ilka. Zdziwaczał na starość: do serca mu przypadła rusafka czarnomorska i w czasie jednej bitwy poszedł na dno, do jej pałaców, a pewno dla wagi miał kulę ołowianą w sercu... i gdzieś tam zażywa wczasu po *czestnym*⁷⁵ życiu kozackim. Tylko łza Prokopo-

⁶⁷ *Zastanawiają się.*

⁶⁸ *Łupy.*

⁶⁹ *Pohaniec (poganiec)* – poganin; tu: wyznawca islamu – Tatar lub Turek.

⁷⁰ *Chybko* – zwinnie.

⁷¹ *Mołódstwo* – męstwo.

⁷² *Przepomnieć* – zapomnieć.

⁷³ *Powitaniem.*

⁷⁴ *Eunuch* – wykastrowany mężczyzna lub chłopiec, służący jako strażnik w haremie.

⁷⁵ *Prawym.*

wa upadła za nim w Czarne Morze, szczere westchnienie towarzystwa doszło do kozaczego trupa – taj tyle! Inni wysoką na stepie moglię, a Ilko za dom wieczysty obrał sobie chłodne morze i nie powiedzieć mu nawet, jak kozacki zwyczaj każe: *zemplab jomu perom!*⁷⁶ Ot, dziwnie bywa na świecie!

Łażnięż nie lada sprawia Tatarom kozactwo! Nieścięta trawa legła na pokosach – to głowy tatarskie usłały sobą równiny Akermanu... I nie ognie w polu rozniecili chłopcy – to gorą⁷⁷ wsie i miasta Tatarów!... Oj, zarobiliż wy sobie na tę łażnię, *lukawe*⁷⁸ Tatarzeta! Za krew przelaną niewinnie, za gruzy i popioły, ta za jasyr niemały i wszelki dobytek! Poili nas gorzkim napojem – kosztujcież sami, jaki smaczny!... Hula kozactwo! Dało wolę szabelce, że niby błyskawica wpada w szeregi wrogów, a za każdym błysnięciem rzęsiasty deszcz spada – ale z krwi czerwonej!

Pomiędzy kozactwem krasuje się⁷⁹ Iskra mołojec. Za każdym machnięciem jego szabli kłonią się do ziemi tatarskie czałmy⁸⁰, gdzie stąpi wrony, tam wróg ucieka przed straszliwym *giaurem*⁸¹, jak go przewali Tatarzy. Kozactwo cześć oddaje dzielności towarzysza, na radzie obwołuje go watażką; starszyzna wzywa Kozaka do siebie i choć młody, słucha jego słowa... Cześć wielka, wielkie poważanie! A jednak Prokopa nie bierze to za serce!... Nie tak zaszczytów jak trzeba mu Fazyla, bez którego nie wracać Kozakowi na Ukrainę, nie widzieć Damianowego dworu..., a w nim słonka duszy kozackiej – Ulany czarnobrewiej!

Pokłonił się Kozak atamanowi do ziemi.

– *Dozwól, bat'ku*⁸², pohulać z Kozakami. Mam tu zwierzynę, ale ją wygnać trzeba na czyste pole. Żeby mi sotnia druga, to sławy i dobytku przysporzę kozactwu, a siebie także nie pokrzywdzę!... *Koby*⁸³ wasza woła, panie atamanie... – I znowu kłania się, jak obyczaj każe.

Pan ataman miło spojrział na gładkiego chwata, uśmiecha się i pokręca wąsą.

– Dobrze, synku! – powiada. – Wybierz sotnię i powracaj, bo ruszymy dalej.

⁷⁶ *Niech mu ziemia lekką będzie!*

⁷⁷ *Goreć (gorzeć)* – palić się, płonąć.

⁷⁸ *Łżywe.*

⁷⁹ *Krasować się* – wyróżniać się.

⁸⁰ *Czałm* – turban.

⁸¹ *Giaur* – pogardliwe określenie nadawane przez wyznawców islamu innowiercom.

⁸² *Pozwólcie, ojczulku.*

⁸³ *Nie się stanie.*

Hej, kto opowie radość kozaczego serca?!... Prokop już ma Fazyla – ma raj i niebo!... Nie ciesz się przed czasem, kozacze, bo zły d n i⁸⁴ nie śpią i jak raz jeszcze pójdzie ci nie po dumce⁸⁵.

Ta nie Prokopowi myśleć o tym... Zebrał drużynę i znajomą puszcza się drogą – do Fazylowego zamku. Ze strachu przed kozactwem rozsypują się mury, tatarska hołota układa się do snu wiecznego... Prokop wpada do zamkowego pałacu... Przeleciał sale i rząd długich komnat... Do haremu! Tam ukrył się zniewieściały Fazył... Tu..., tu... Ostatnia komnata... Drzwi z okuciem żelaznym... Nie wytrzymały zawiasy, z łoskotem upadają żelazne odrzwia... Z okiem pałającym, z szablą wierną w dłoni wpada Prokop do komnaty i... stanął. U jego nóg leży postać niewieścia, co na widok Kozaka wydała okrzyk i rzuciła mu się pod nogi, szepcząc nieznanne słowa... Fazyla nie ma w komnacie! Kozak marszczy brew gęstą, szabla mięknie w dłoni... Spojrzał na klęczącą. Duże, jasne oko wpatruje się w twarz Kozaka, blade lica okrywa purpurowy rumieniec, ręce złożone jak do modlitwy, a usta szepczą słowa dziwne, które ogniem przejmują... Prokop zna gdzieś twarz tę..., przypomina rysy..., przypomniał...

– Gulnara! – krzyknął i twarz mu żywy okrywa rumieniec.

Słowo to czarodziejski wpływ wywiera na dziewczycę, oko dziwnym zapłonęło ogniem, wydaje okrzyk przejmujący i rzuca się na szyję Kozaka... Z tą chwilą przychodzi rozważa. Gulnara usuwa się do nóg swego pana i łzami zalały się jej lica... Kozak podniósł płaczącą.

—

W zamku zapanowała cisza. Prawie bez boju oładnęli nim Kozacy i Prokop mógł oddać Gulnarę w ręce licznej służby haremu. Przywołany tłumacz oświecił nowego pana zamku, że Gulnara została kupioną do haremu Fazyla, że szalona – wzgardziła wielkim szczęściem. Próbowała ucieczki, za co po wielu innych karach została następnie zamkniętą w komnacie, w której znalazł ją Prokop – chociaż nie o niej myślał, wyłamując drzwi żelazne.

Fazyla nie znaleziono. Nikt z Tatarów nie umiał lub nie chciał wskazać miejsca pobytu ich pana, ale Prokop nie wyruszy bez Damianowego wroga! Rozesłał

⁸⁴ *Złydnia* – w wierzeniach wschodniosłowiańskich mieszkający za piecem złośliwy duch, sprowadzający wszelakie nieszczęścia na dom i jego mieszkańców.

⁸⁵ *Nie po dumce* – nie po myśli.

Kozaków w rozmaite strony i tęskny czeka, jaką mu wieść o nim przyniosą. A dnie płyną...

Smutna to dola niewolnicy haremu, a jeszcze smutniejsza młodej Gulnary! Dzieckiem wykradziona z ojczystego kraju Gruzji, z bazaru na bazar była sprzedawana, aż kupił ją Fazyl.

I nie znalazł w Gruzince tego, za co niemałe zapłacił pieniądze... Gulnara była niewzruszoną – oświadczyła swemu panu, że odejmie sobie życie, jeśli jej gwałt zadać chciano, a w głosie jej taka przebijała prawda, że Fazyl poprzestał na wyczekiwaniu, aż męczarnią złamie opór Gulnary, i temu winna była Gruzinka swoje uwięzienie.

O, ileż razy młode dziewczę chciało odebrać sobie to pełne udręczeń życie!... Ileż razy trucizna ukryta w pierścieniach jej włosów była u jej ust koralowych!... Chwila... i piękna niewolnica zakończyłaby męczarnię życia. Ale ją coś wstrzymywało od zadania sobie śmierci, jakiś głos mówił jej: „Czekaj! Twój dzień jeszcze przyjdzie!”. I dziewczę czekało, rojąc o nieznanym szczęściu w dniu jutra.

Wśród gór niebotycznych, w ojcowskim aule, dzieckiem roiła Gulnara, że na płomiennym koniu, ze skrzydłami jasnymi przyleci do niej junak i uniesie w kraje dalekie, gdzie panuje rozkosz, szczęście nieokreślone, niepojęte, ale wieczne, niezamącone niczym!...

Zdawało się jej, że ten młody Tatar, którego pomocy wzywała na perekopskim bazarze, miał lica podobne do owego widma rojeń dziecięcych... Ale teraz... O, Gulnara duszą odczuwa, wie serca przecuciem, że giaur, który zdobył zamek Fazyla i ją z niewoli wybawił – to on, ten anioł jej snów, który przyszedł dać jej szczęście wieczne!... I biedne dziewczę samą tą myślą było już szczęśliwe.

Młody giaur jest jej panem, ona jego niewolnicą – nie rozstaną się ze sobą. Ona wiecznie będzie u nóg jego: patrzeć w te oczy – nieba nieskończoność! Słyszeć głos, który jej dźwięczał harmonią stron ojczystych; podać mu napój, gdy spragniony; usnąć, gdy po trudach sen go zmorzy... Mieć jego wzrok pierwszy, gdy ze snu otworzy oczy, jego słowo, gdy czego zapragnie. Oto szczęśliwość Gulnary! Ona więcej nie pragnie niczego, nie wymaga nic więcej – a tego ją nikt nie pozbawi, nikt jej tego nie zabierze!

Chęci Gulnary są przy chęciach jej pana, myśl przy jego myśli. Czemuż jakaś chmura kryje piękne jego czoło?... Dlaczego blask oczu przyciemnia mgłą posępna, a na ustach nie widać słońca uśmiechu? Gulnara jest u jego nóg: czemuż od niej nie weźmie pogody czoła? Czemu słudze nie każe dać sobie jasności wzroku,

uśmiechu wesela?... Wszak on ma prawo jej rozkazywać..., a dla niej, o, jakąż rozkoszą byłoby spełnić rozkazy, chociażby nawet kazał na wieczny sen zamknąć oczy, wiecznie nie istnieć bez niego! O nie! Gulnara żyć musi! Musi patrzeć na słońce swego istnienia, na promienistego ducha, który ją wziął sobie na wieki

– Dlaczegoż taki smutny?...

Powiedziano Gulnarze, czemu wesela nie zna młody chan kozacki. Biedne serce! Jednym słowem odjęto mu niebo.

– On ma swoją Peri – szepcze dziewczę, cichymi zalewając się łzami. – Od dali Gulnarę od jego boku, położy ręce na silne jego ramię, spojrz w oczy, jak Gulnara nigdy w nie patrzeć nie będzie... Szczęśliwa! Szczęśliwa! Biedna Gulnaro, w cóż się twoje obrócić marzenia?

Po chwili twarz jej nabrała szczególnego blasku.

– Będzie szczęśliwym! – wykrzykuje radośnie. – Pan mój uśmiechnie się weselem i może okiem rzuci na sługę swą Gulnarę. O, niech ją posiada! Niech ją ma u boku, byle był szczęśliwym!...

Po chwili namysłu znajduje tłumacza i wchodzi z nim do komnaty zajmowanej przez Iskrę. Na złotogłowie leży młody Prokop, okiem patrzy na równiny Krymu rozścielające się przed oknami pałacu, a tęskną dumką wybiegł daleko: błąka się nad wodami Rosi i smutny rozhovor wie dzie ze swą dolą – szczęściem, które zorzą zaświeciwszy poranną, znikło, odstąpiło młodego. A czy powróci?...

Lekka jak powiew wiatru zbliża się do zadumanego Gulnara. W milczeniu klęka przed Kozakiem i okiem utonęła w jego duszy, a oko to łzą zabiega i ciche łkanie daje znać Prokopowi, że nie sam jest przytomny swym dumom. Gulnara skinęła na tłumacza i przyzwawszy całą moc duszy, mówi do Prokopa:

– Pokrewny blaskom księżycy, jak góry szczytny i wyniosły, pan mój najwyższy czegoś smutny.

Kozak milczy w zadumie, a Gruzinka mówi dalej:

– Niewolnica pana mojego, w prochu przed nim, nie śmie boleść swoją połączyć z jego smutkiem... Pozwól jej, panie, lać łzy w twojej obecności...

– Tyś się uśmiechnął, mój władco i panie! – woła Gulnara z niewymownym wyrazem szczęścia. – Tyś łaskaw na swoją służebną i pozwoliłeś jej ujrzeć uśmiech ust twoich... O, weź me życie, tylko raz drugi łaski tej nie odmów... Jak oddech dnia wiosennego, jak dzień lata, gdy zefirem chłodzi uznojone skronie, serce mojego pana smutku owionęło się szatą i na słońce szczęścia nie spojrz!... Ja wiem, co mu boleść sprawia. Nad wielką wodą ciekącą w równinie pan mój

zostawił swą Peri i jej uśmiechu pożąda, i chce, by jej oko ujrzało jego jaśniejące oblicze... Szczęśliwa Peri!... Władca mój ją posiędzie, bo Gulnara chce widzieć szczęśliwym swego pana.

Tak mówi biedne gór dziecicę pięknym swym językiem Wschodu, a okiem mówi więcej jeszcze..., a w słowach taka boleść jak w mowie pogrzebu. Kozak słucha słów jej niewinnych, jak słucha szmeru strumyka, gdy po kamieniach wydzwania piosenki, jak powiewu majowego wiatru, gdy pieści wonne główki kwiecica.

Naraz zadrżał i oczy zajaśniały mu blaskiem. Gulnara mówi o Fazylu!

– Ty wiesz, gdzie on się ukrywa! – wykrzyknął Kozak, aż zadrżała Gruzinka.

– Wiem – odpowiada dziewczę – i oddam go w ręce pana mojego, by posiadał swą Peri i był szczęśliwym.

– Gulnaro! – krzyknął Kozak, silnie ścisnąwszy rękę Gruzinki, a wyraz oczu, jaki towarzyszył tym słowom, na długo starczy sercu dziewczęcica.

– Gulnaro!... – reszty nie pozwoliło mu wypowiedzieć wzruszenie.

– Na koń! – zawołał do swoich. – Gulnaro, prowadź!... Do piekła... i stamtąd dostanę Fazyla, a wtedy – połowa Wschodu twoją!

– Pan mój spojrz na mnie – szepnęło dziewczę z cicha. – Wspomni, gdy będę w mogile – dodała tak cicho, że ją ledwie usłyszał tłumacz, ale słów tych nie podała Iskrze, przejęty zgrozą, że niewolnica wie dzie gaurów na swojego pana.

Za Iskrą i Tatar wyszedł z komnaty, zostawiwszy Gruzinkę samą. Nikt jej westchnienia nie słyszał, nie widział łzy przelanej nad utratą myśli o szczęściu, a tylko Bóg wiedział, co się w sercu dzieje dziewczycym. Biedne to serce! Ono wszędzie jednakie!...

—

Błyskawicą mknie oddział Kozaków po stepie. Dzikie ptactwo zrywa się przed nim z dala i wrzaskiem oznajmia przybycie gości. Na przedzie Prokop watażka, przy nim młody przewodnik – niewolnica Gulnara.

Zapadła noc głucha, księżyc z rzadka wyjrzy zachmurzony, obaczy Kozaków i chowa twarz rogatą. I jemu, widzisz, straszno przed stepową dziaćwą!

Nie spodziewano się gości w zamku Fazyla. Ulubieniec chana drzemie na sofie, otoczony tłumem żon i niewolnic. Ej, nie śpij, Fazylu, bo możesz zasnąć na wieki!... Tatar więcej wciąga haszyszu, by niemiłe marzenia odpędzić od siebie... Woń kadzideł, muzyka i śpiew usypiają Fazyla.

Niby senne mary przymknęli Kozacy pod zamek. Jeszcze w starej wieży nie krzyknął puchacz „puhu!”, wiatr nie miał czasu dopaść zamku za kozactwem, a już ich szabla toczy tatarską posokę.

– Allah! – wrzasnęli Tatarzy, ale po czasie wzywają pomocy Proroka!

Już im i bies nie pomoże! Niby muchy padają od cięć szabel kozackich i celnych ich strzałów.

Za watażką przebiegają mołojcy pałacowe komnaty, wpadli do sal haremu. Tam, do komnaty ostatniej! Tam garstka przybocznych Fazyla broni swego pana – nie obronią!... Skrzyżowały się szable, kula odpowiedziała na połysk jataganu⁸⁶. Niby snopy padają Tatary, a Iskra dopadł Fazyla!

Miecz wypada z drżącej starca dłoni.

– Mam cię! – wykrzyknął Kozak. – Mołojcy, w łańcuchy ptaszka, bo go żywcem mam przystawić!...

Tatar jęknął pod ciężkim żelazem, nie pojmuje srogości przywódcy giaurów. Wszystkim skarbem chce się wykupić z niewoli, oddaje stada i bydło... Próżno! Kozacy wezmą skarby, konie i bydło... Lecz i Fazyla zabrają!...

Usłużny tłumacz powtórzył Tatarowi słowa Iskry.

– Damian! – przypomniał sobie Fazyl i twarz mu śmiertelnie pobladła, a zęby ścięły się przeczuciem straszliwej zemsty.

Zła godzina na ciebie, Fazylu! Nie pożycz ci sławy i dostatków, skoroś wpadł w ręce kozackie, w ręce Iskry Prokopa.

– Bracia! – mówi szczęśliwy watażka, zwracając się do swoich. – Już smutnego lica we mnie nie obaczycie. Innym ja teraz, o, innym. Ognia! Zniszczyć to psie gniazdo, a z naszym ptaszkiem brodatym dalej do swoich! Bośmy tu dość nagospodarowali w Krymie.

Radość odjęła pamięć watażce: zapomniał, komu winien swe szczęście... Gruzinka smutnie patrzy na wesele pana, słów radości nie łączy z okrzykiem Kozaka... Ciche łzy płyną po bladym licu i serce ściska się w biednej piersi.

– Niech ci Ałlach szczęści z twoją młodą Peri, giaurze mój drogi – szepcze Gruzinka. – Po cóż ci mam stawać przed oczy jako przypomnienie cierpień? Tu pozostanę samotna..., tu, gdzie po raz pierwszy przyjąłeś szczęście z mojej

⁸⁶ *Jatagan* – jednosieczna broń biała średniej długości, o podwójnej krzywiźnie ostrza i charakterystycznej rękojeści.

ręki. Wielki Prorok niechaj cię wiedzie na ojczyste niwy, do szczęścia... – Łzy przerwały dalsze słowa Gruzinki.

Gulnara niepostrzeżenie wymyka się z pałacu, wchodzi do ogrodu i pod cyprysem schyla młodą głowę w zadumie...

W tryumfie powraca kozactwo z wyprawy. Wiezie łupy mnogie i niepośledniego jeńca w łańcuchach. Młody Prokop kręci węża i wesołym okiem spoziera na wóz kuty – klatkę Damianowego wroga.

Jasną świecą płonie zamek Fazylów – grzeją się w nim tatarskie trupy. Mołojcy piosnkę śpiewają stepową, wrony rży i parska – dumny, że takiego wiezie rycerza.

– Gdzie młody czura?⁸⁷ – opatrzone się w szeregu. – Gdzie Gruzinka? – pytają.

– Gulnara – przypomniał watażka. – Bracia, za mną! Wszak jej to winniśmy zwycięstwo!

Zwrócił wronego i leci w stronę zamku, a za nim kilkunastu mołojców pędzą wyciągniętym kłusem. Wpadli na podwórze zasłane trupami. Prokop objął okiem całą przestrzeń.

– Nie ma jej tutaj!...

Niby zmija wijący się płomień goni Kozaka, dopada ramion, dotknął się gęstego włosa... Jeździec przeleciał pomiędzy dopalające się belki, minął szczątki haremu... już jest w gaju! Nad strumieniem, pod drzewem cyprysowym, ujrzał Gruzinkę zalaną rześzystymi łzami. Trucizna, co ma jej wskazać drogę do lepszego świata, jest już u ust górskiej krasawicy, a te usta cicho szepczą... Czy słowa modlitwy?...

– Słońce tak pięknie ozłaca wierzchy Czatyrdachu...⁸⁸ Z jego zachodem i ja skończę...

– Gulnaro! – zawołał w tej chwili Kozak, a głos ten odbił się w sercu dziewczęcym, niebo szczęścia zajaśniało w jej oczach.

– On! On! – wykrzyknęła w zachwyceniu i odchyła od ust truciznę. – Nie dziś..., nie dzisiaj!... Jeszcze nań spojrzę, chociaż raz ostatni.

– Gulnaro! – powtórzył Kozak, skoczywszy z wronego. – Niedobry mój czuro! Chciałaś opuścić swego pana w chwili, gdy dałaś mu szczęście...

Gruzinka nie rozumie słów Kozaka, ale w głosie młodego giaura tyle słodyczy! W spojrzeniu taka mowa duszy, że serce dziewczęcia drży od szczęścia i taką

⁸⁷ Czura (dżura) – w XVI–XVIII wieku chłopiec posługujący przy orężu kozackiej starszyny.

⁸⁸ Czatyrdach (Czatyrdah) – masyw górski na Krymie.

błogością napawa się jej pierś młoda, że w rajy większej rozkoszy nie będzie! Siły ją opuszczają, dziewczę zamyka powieki i słoni się – w ramiona Kozaka. . .

– Ot tak, po kozacku! – wesoło zawołali towarzysze, ujrzawszy Gruzinkę w objęciach Prokopa. – A to *hyd*⁸⁹ było patrzyć, że taka krasawica więdnije marnie.

Prokop nie odpowiada na słowa Kozaków. Zemdloną sadowi na łęku⁹⁰ i wkrótce połączył się z oddziałem. Przy boku swego pana młody czura Gulnara marzy o rozkoszach rajy. Widzi go. . ., słyszy głos dźwięczny. . ., jest przy n i m. . . To snu spełnienie! To najwyższe szczęście Gulnary.

– Twoja Peri giaurze – zapytuje Gruzinka – czy piękniejsza od huryszek rajy? Bo inaczej niegodna, ażebyś rzucił na nią twoje jaśniejsze wejrzenie. . . I za chwilę sama odpowiada smutnie. – Ona piękniejsza od huryszek Proroka i jej Allah da wielkie rozkosze, gdy szczęście z tobą będzie podzielać. . .

Gulnara wie, że Kozak słów jej nie rozumie, a wie dzie z nim rozmowę serdeczną. . . To jej szczęście jedyne i ostatnie! . . . Wkrótce ona giaura utraci na zawsze! . . .

Powracają Kozacy do domu z gościny. Dużo za sobą zostawili miast i wsi spustoszonych. Stada dzikich ptaków jak przywitały, żegnają ich wrzaskiem, dziękując za ucztę wyprawioną przez mołojców. Żywcie się, skrzydlaci! Mięso wrogów – mięso smakowite. . . Lepsze wam jeszcze zastawimy stoły!

W dali, na stepie, wije się sina wstęga – to Dniepr-Sławuteć⁹¹, najmilsze dziecko naszej Ukrainy. Żywiej zabiło serce kozackie. Oni już u siebie, we własnej chacie, jak u rodzonej *neńki*⁹². Rumieniec szczęścia oblewa twarz Prokopa. Lica Gruzinki bardziej zbladły, a smutnie odjękły łańcuchy Fazyła. Każdemu swoja dola – na jednych radość i szczęście, na drugich błąda śmierć oczekuje. Dziwno na tym świecie!

Nad dniewą wodą ponikły głowy kozackie. Długim szeregiem zsiada z koni towarzystwo, całują ziemię świętą – ziemię ojczystą. Radość wielka, szczęście niemałe i święto w Ukrainie, która wita swoich sokołów wracających z dalekiej wycieczki. Tu mołojcom rozmaita droga: jedni wesoło wracają do Siczy, tamci do góry puszczają się bajdakiem⁹³. Pieśń dźwięczy ochocza, wtrząsają jej teorbany.

⁸⁹ *Szkoda*.

⁹⁰ *Łęk* – część siodła wygięta do góry.

⁹¹ *Dniepr-Sławuteć (Dniepr-Sławutycz)* – dawna, słowiańska nazwa Dniepru.

⁹² *Ukochanej*.

⁹³ *Bajdak* – jednomasztowa duża, szeroka, bezpokładowa łódź żaglowo-wiosłowa używana dawniej na rzekach Ukrainy, Białorusi i Rosji,

Prokop z nieliczną drużyną przepływa Dniepr łodzią. Z nim wierny czura Gulnara i zakład szczęścia: Fazyl-Kiram w łańcuchach. Coraz to bliżej do celu podróży. Już konie kozackie nurzają się w trawie stepowej, szeroko roztwierają na wiatr chrapy, wciągając do piersi powietrze ojczyste. Oczy Prokopa wesoło patrzą w stronę zachodnią: tam sloboda nad srebrzystą Rosią... , świetlica przestronna... , a w niej: słońko jasne, wesoła godzina Kozaka – Ułana!

Serce Gulnary zamiera w młodej piersi. Drżącą ręką dotyka posłańca śmierci – truciznę. Ona utraty szczęścia nie przeżyje... Tylko ją obaczy, ujrzy światło jej światła, giaura, i odejdzie w światy lepsze z cichą do Allacha skargą, że ją stworzył, a o szczęściu dla niej zapomniał.

—

Kuka zazula⁹⁴ w lasku nad srebrzystą Rosią, skrzekotka sroka przyleciała na Damianowy podwórzec i skrzecze, a kot siadł na przypiecku, taj myje się łapkami... To znak, że jadą do Damiana goście.

A jacyż tam oni? Czy panowie wielcy jadą z ręcznikami od zamorskiego kniazia? Czy wesołe drużki śpieszą pocieszać Ulanę?... Zamorskim swatom niechby się połamały osie u wozów, a szczebiotu druzek i wesołego ich śmiechu nie chce smutek Ułany... Łzy wypłyły rumieniec z dziewiczego liczka, serdeczna *tuha*⁹⁵ przyćmiła blask czarnego oka i zegnała uśmiech z wiśniowych ustek krasawicy. Nie dla niej dola wesoła i promienne szczęście!... Dla Ułany – zielona w polu mogiła.

Dwa lata nie ma już miłego, rok jak żadnej nie dał o sobie wieści... Może gdzie zginął od tatarskiej strzały? Może u Turka w ciężkiej zostaje niewoli?... Stary Damian modli się dnie i noce. Czy zbawienia duszy pragnie? Czy prosi Boga o zemstę za krzywdę drużyny wiernej?... Co wyrzy oknem – zielona przed nim mogiła... I stanie mu przed oczyma nieboszcza jak w wielkich męczarniach kona, i serce zabiega krwią staremu.

A Ułana z dniem każdym więdnije i jak ten kwiatek bez deszczu usycha. Jej niedolę widzi oko ojcowskie – i znów stare serce boli... Z początku próbował rozważyć: jak mógł, pocieszał nadzieją. A dalej widzi, że próżno tylko siebie i Ulanę łudzi – dał spokój i wszystko powierza woli Boskiej.

⁹⁴ *Zazula* – kukułka.

⁹⁵ *Smutek*.

– Dziej się Twoja wola – szepcze i szybko ociera łzę, co ze starego płynie oka nad wiekiem i szablami wrogów poorane lice.

Z głową na piersi zwieszoną siedzi Damian na osłonie. Do świetlicy weszła Ulana. Cień to już tylko hożej krasawicy. Lica zbyły dawnej krasoty, a zbiałały niby te lilie, co w wieniec splecione zdobią warkocz smutnej. Jak cmentarna mara cichym krokiem przechodzi świetlicę, obrywając listki stokrocia, i coś cicho mówi do siebie – może skargę głosi na swoją dolę *bezatałanna!*...⁹⁶

– Ulano! – jęknął Damian. – Doniu moja! Pożałuj starego i rozwesel twoje liczko młode.

– Tatusiu! – do nóg mu pada Ulana, rękami obejmuje szyję i patrzy w ojcowskie oczy. – Ja wam smutku dodaję, a wy go i tak macie dostatkiem... Przebaczcie, darujcie córce nieposłusznej! Ale mi tak ciężko, tak mi trudno, że może lepiej w mogile... – dodaje ciszej i chowa twarz w obie dłonie, by ojciec nie widział łez jej gorzkich, piekących.

Damian w milczeniu wznosi oczy w niebo i tuli do piersi swoją donię kochaną.

– Nie zabijaj się *tuhą*⁹⁷ – pociesza. – Prokop powróci, choć sam... Jeżeli taka wola Boża, weźmie cię – bez wykupu...

– Tatu! – wykrzyknęło dziewczę uszczęśliwione, ręce i nogi ojcowskie całuje. – To on wam miłym będzie bez Fazyla?! O, dzięki wam, dzięki! Teraz już wierzę, że moja dola złota wróci... Bóg wam da radość i szczęście. On pewnie nie chce tej zemsty!...

Damian westchnął, słucha szczebiotu córki, szczęśliwy, że ją ujrzał choć na chwilę weselszą.

– O, my będziemy szczęśliwi! – woła wesoło Ulana. – Dzisiaj we śnie przyszła do mnie matusia, błogosławiła, oddała Prokopowi... Ale to może jeszcze zła oznacza? – dodaje smutniej. – Może mię rodzona przyzywa do siebie?... Tatu! Tatu! Ciężko będzie umrzeć, nie widząc miłego.

I znów łzy ją zalały.

– Nie! To być nie może – woła po chwili – ażebym go nie obaczyła w życiu! On powróci, on mię żywą zastanie... Pójdę na grób matusi..., poproszę, by mię wydała za Prokopa...

⁹⁶ *Nieszczęsna.*

⁹⁷ *Smutkiem.*

Cicho – jak przysza – opuszcza świetlicę, a Damian przez okno widzi Ulanę, jak na matki mogile leje łzy serdeczne i gorąco modli się do Boga.

– *Hospode Boże!*⁹⁸ – woła Damian. – Uczyni jak woła Twoja święta, a daj szczęścia dla mojej dzieciny ukochanej.

Modli się Ułana na mogile wysokiej i łzami polewa jej ziemię. Naraz rzuci okiem na step od wschodu słońca – i serce zamarło w jej piersi, a czuje, że ogień na lica wystąpił... Jakiś orszak zbliża się do slobody... Kozackie spisy i kraśne kołpaki, wrony koń na przedzie, a na wronym...

– Prokop! – wykrzykuje dziewczę i niby strzała leci na spotkanie miłego.

– Ułana! – skoczył Kozak z konia i do serca przyciska swą miłą...

– O, teraz umrzeć... – szepcze młode dziewczę, z nadmiaru szczęścia zamykając oczy, jak do snu wiecznego.

Ognisty pocałunek życiu ją wraca.

– Ty żyć będziesz! Będziesz szczęśliwą! – woła Kozak. – Już mię nic z tobą nie rozłączy!

Serce rośnie towarzyszom na widok przywitania młodej pary, weselej ich duszy, a nie widzą, że twarz młodego czury pobladła śmiertelnie. Gulnara chyli się z konia... Mdlejącą ujrzał Prokop i śpieszy na ratunek. Młoda Gruzinka odzyskuje przytomność, ciężkie westchnienie wydobywa się z jej piersi, a oko nie chce patrzeć na niedolę.

Prokop wskazuje Ulanę Gruzince.

– To twoja pani – mówi wesoło. – Ułano, wierną przywiozłem ci sługę.

– Siostrę! – mówi Ułana; nie pozwala Gruzince upaść do swoich nóg i szczerze do serca ją przyciska.

Ciche łzy są odpowiedzią Gulnary na uścisk. Łzy to ostatnie, którymi nadzieję szczęścia pożegnała Gruzinka na wieki.

– Piękna – szepcze boleśnie. – O, ona godna tego szczęścia rajy!... Biedna Gulnara zaśnie w zimnym grobie...

—

Wielkie święto w Damianowym dworze. Staremu przybyło sił i życia. On ma w rękę swym wroga, ma pomstę hańby i śmierci żony!

⁹⁸ *Panie Boże!*

Młodym do szczęścia śpieszno... , toż i niedługo kazano im czekać. Wioskowy ksiądz pobłogosławił nowożeńcom. W tryumfie, wśród wystrzałów, odprowadzają Kozacy młodą parę do weselnej świetlicy. Oparta na ramieniu Kozaka wraca z cerkwi Ulana i niby majowe słońce uśmiecha się do męża. Prokop jedną ręką objął żonę, a drugą daje pokłon towarzystwu.

W weselnym orszaku nie widać Gruzinki. U niej także wesele, tylko nie okrzyk radosny, ale drużką na nim grobowa cisza. W chwili, gdy weselni goście wydawali okrzyki na cześć młodej pary, biedne dziecię gór przyjęło postańca śmierci. Znalaziono ją u mogiły: twarz bladej trupiej, usta zsiniałe. Rzucono się na ratunek. Ulana trzeźwi obumarła, Prokop swym głosem przywołuje ją do życia... Z trudem podniosła powieki. Ostatnie spojrzenie zwraca na młodego gajura, stygnącą dłoń bierze jego rękę i do zimnych ust przyciska... Skonała. Biednemu dziecku gór dość było obaczyć Kozaka, by później nie przeżyć utraty szczęścia.

Wesele Prokopa zaczęło się od trumny – niedobra wróżba dla młodej pary! Gdy dano znać Damianowi o śmierci Gruzinki, czoło starego Kozaka sposepniało dumą poważną.

– Dzieci! – rzekł do Prokopa i Ulany. – Idźcie z Bogiem kosztować waszego szczęścia, bo tu śmierć domaga się już ofiary. Zabierz ją, Prokopie. Mnie pozostawcie – z Fazylem...

—

Młody sokół zawiózł gołąbkę do ojczystego gniazda nad Dnieprem i żyją szczęśliwi, a nad rzeką Rosią stanęła nowa mogiła.

Damian spełnił krwawą zemstę... i niedługo sam poszedł otrzymać u Boga to, na co długim życiem zasłużył.

Mogiłę Gruzinki wieńczy zielony barwinek, a niezabudki błękitne zowią tu łąkami Gulnary.

NA STEPIE

I.

Co to już za psotny ten wiatr ukraiński! Naharcował się po stepie, wystraszył ryby w stawku, zatrzęsł starą wierzbą i uległ się na kurhanie – niby zasnął... Gdzie tam – obaczył polne maki i dalejże w tany! Jak wziął wywijać, jak wziął okręcać!... Aż czerwona namitka¹ zleciała z głowy kwiecica i na wstyd wypadło pozostać makówce z głową łysą... Kwiaty w śmiech, a swawolny wijun² wpadł w trawy, potrząsł burzanami³ i świszcząc, jakąś piosenkę poleciał – poleciał, że ledwie go ząjrzysz na stepie!

Ta nieladaż bo robota wzięła się psotnika i wiedział, do kogo ma przypaść z weselem. Tam, pomiędzy brzozami, płynie czysta struga; woda chłodna, chłodna, a przejrzysz się w niej jak w lustrze kupionym na jarmarku... W wodzie kiedy niekiedy pluśnie zwinna rybka, obaczy coś – i w nogi! Rozpowiada towarzyszkom o wielkim dziwie. A dziwa tu nie ma żadnego, tylko malutka w wodzie nóżka, dalej: czerwona galonami⁴ szyta spódnica, białe, okrągłe ramiona, rumiane liczko i długa rusa⁵ kosa z byndami⁶ – tak niby dziewczyna nad strugą...

Nad potokiem stała,
W wodę się patrzała.
„Gdyby się tu zjawił,
Rękę bym mu dała”.
A w naszej Ukrainie śpiewają:

¹ *Namitka (namiotka)* – nakrycie głowy zameężnych kobiet wiejskich.

² *Wijun* – coś, co się wije.

³ *Burzan* – chwasty.

⁴ *Galon* – ozdobny pasek, tasiemka.

⁵ *Rusy* – rudy.

⁶ *Bynda* – wstążka.

*Stojit' diwcza nad wodoju,
W oczach zo slozaju:
„Prychod', prychod', Kozaczeńku,
Odrużyś zo mnoju!”⁷*

Ale tak śpiewają o innej dziewczynie! Ta stoi nad strugą i nie myśli o niczym. Może rybek dopatrzeć by rada? A jakież dziwo, że nieproszone zjawia się w wodzie: liczko, kosa z byndami, namisto⁸ – i taka cała dziewczyna... A taka już, że i rusałki nie trzeba!

Ta dziwoż bo z tą dziewczyną tam w wodzie! Czemu bo u niej usta jak z koralu, oko sine-sine jak to niebo, co tu w wodzie i hen tam w górze, wysoko, a kosa to aż za kolana sięga, niby chce pójść do wody!... Brwi jak dwa luki, liczko rumiane, a jak usta otworzy, to zęby niby perły białe... O! – I otwarła usta.

A wiatr już dawno patrzył na nią z boku. Przyszła mu ochota i dmuchnął na wodę: aj aj! – zmarszczyło się liczko, a zęby krzywe..., fe! Taka rusałka... Ano teraz!... Ij!... Ta dalibóg śmiesznie!...

I co ty poradzisz z dziewczyną? Śmieje się do siebie, ta z siebież taki samej! A dalej jak wzięła stroić do wody różne minki: to się nasroży, to skrzywi, to znowu się uśmiechnie... Radość taka w strudze i pusta wesołość u dziewczyny, że śmieje się, śmieje, a sama nie wie z czego. A dalej jak wziął wicher igrać z byndami, z kosą krasawicy, ba i czerwona spódniczka mu na zawadzie... no! Dobrze, że na stepie nie ma żywej duszy, a to wypadło by się zarumieniść, taka z tym wiatrem nieporadna godzina! Ta niech tam sobie wieje i bawi się z byndami, tyle by i *horia*⁹ dziewczynie! U niej smutku niemało...

Ot, niedawno jagniątko zapadło, że mu rady nie dać. Coś się czarnobrewcom¹⁰ stało, że zakwitać nie chcą. Przerwały się korale... I dużo, dużo kłopotów ma jeszcze Handzia i smutku tyle, że chyba płakać, *taj hodi!*¹¹ Ta i doprawdy na smutek się jej zbiera. Usiadła na kłodzie pod brzozą; jakoś tak dziwnie dziewczy-

⁷ *Stoi dziewczę nad wodą,
W oczach łzy się złocą,
„Przychodź, przychodź, Kozaczeńku,
Pojmij mnie za żonę!”*

⁸ *Namisto* – naszyjnik.

⁹ *Smutku*.

¹⁰ *Czarnobrewce* – aksamitki, kwiaty polne z rodziny astrowatych.

¹¹ *A niech to!*

nie... westchnęła głęboko, głęboko, gdzieś aż spod serca, łza się kręci w oku... i ani wie, że tęskna piosnka płynie już z jej piersi, hen gdzieś strugą, ta stepem.

Na Ukrainie nie wołasz, a dumka sama przypyta się – napaśna!¹² Aż i wiatr zasłuchał się w pieśni dziewczęcej – tyle tam kraszy i serdecznego smutku! Zaprzestał swawoli i tęskną nutę roznosi het po stepie:

*Bujnyj witre w poli*¹³

Śpiewa dziewczyna:

*Popytaj u doli,
Czy harazd bude?
Czy mij sokół sywyj,
Kozak czornobrywyj
Ta do nas zajde!*

– *Oś win, moje serdeńko!*¹⁴ – zawołał w tej chwili dźwięczny męski głos, aż całym ciałem zatrzęsa się Handzia i

– *Łyszeńko!*¹⁵ – krzyknęła, ujrawszy przed sobą młodego na koniu Kozaka.

– *I ja do spodobu!*¹⁶ – przypadł w tej chwili drugi Kozak na spienionym koniu.

Jak spod ziemi dwóch się ich wzięło na stepie i patrzą na dziewczynę.

A Handzi tak już jakoś dziwnie, ta niezwyczajnie!... I lękać by się to nie ma czego, i sromać się¹⁷ nie ma po co, a przecież serduszko tak się bije w piersi... Jedną ręką zakryła jasne oczęta, drugą gra się z byndą wzorzystą.

– Ta skąd się ich dwóch wzięło?... – myśli sobie w dumce.

I Kozakom nie w smak jakoś ich kompania, spode łba mierzy jeden drugiego wzrokiem..., a niedobre tam patrzy z ich oka i niby pyta: „Jakiego biesa stoisz tu na zawadzie?”.

¹² *Napaśny* – natrętny.

¹³ *Silny wietrze w polu!*

Zapytaj u losu,

Czy szczęście będzie,

Czy mój sokół błękitny,

Kozak czornobrewy,

Do nas przybędzie.

¹⁴ *Oto i on, moja serdeńko!*

¹⁵ *Co za lichy!*

¹⁶ *A ja ci się podobam?*

¹⁷ *Sromać się* – wstydzić się.

– *Jak tebe zowut' diwczyno?*¹⁸ – zapytał pierwszy Kozak i nim się jeszcze Handzia namyśliła, co mu odpowiedzieć, a tu drugi zsiada z konia i do niej:

– *Zasie!*¹⁹ – krzyknął pierwszy, aż się Handzia przełękła. – Ja tu pierwszy, ja lepszy! – i następuje koniem.

Drugi Kozak zmarszczył brwi i do lewego boku sięgnął..., ale się zmiarkował i

– W swoją drogę! – rzekł spokojnie do Kozaka.

– Niekoniecznie!

Zakrawało na niedobre, bo szable gwałtem cisnęły się do rąk kozackich.

– Stójcie! – krzyknęła dziewczyna, stając pomiędzy dwoma zapaśnikami. –

Jaka wam wola do mnie?

– Mnie z tobą, perepełyczko²⁰, żyć i umierać! – rzekł Kozak, który zsiadł z konia.

– I mnie to samo! – odpowiedział drugi.

– Ano wybieraj, dziewczyno!

– Wybieraj!

Handzia stanęła kraśna jak ta kalina w jesieni. Co tu jej począć, kiedy ona pierwszy raz w życiu sama między dwoma Kozakami... Ta choćby którego przedtem widziała w oczy! Ot, wywołała sobie lichy stepową piosenką! Spojrzała! Ta i Kozacyż to chwaty, że i we śnie takich nie przyśniła! Ten rusiawy²¹ niby młody jawor, a tamten czarniawy – równy jak sosna i wysoki... Zebrałóż się dwóch na biedę!...

– Jakże będzie, dziewczyno? – pytają obydwu.

Co tu im u Boga odpowiedzieć?...

– Ta czegoż bo wy ode mnie chcecie? – pyta wreszcie zakłopotana.

– Wybieraj: który do spodobu?...

– Jakże mi wybierać, kiedy ja żadnego przedtem nie widziała w oczy.

– Teraz widzisz – powiadają napaśni!

Oto lichy naszło dziewczynę!

– Jest u mnie tatuś siweński – powiada po chwili. – To oni myślą o Handzi, a mnie nie przystoi zachodzić się z wami. *Proszczawajcie!*...²²

¹⁸ *Jak cię zwą, dziewczyno?*

¹⁹ *Nie pozwalam!*

²⁰ *Przepióreczko.*

²¹ *Rusiawyj* – jasnorudy.

²² *Żegnajcie!*

Czarniawy zatrzymał odchodzącą.

– Stój, Handziu – powiada. – Jednemu z nas sądzona doła – nie darem zeszedli się na stepie. Ja tobie w wyborze dopomogę: *Chto dużczyj, toj tuczczyj!*²³ Złaż, Kozacze! Pójdziemy na próbę. Ty mnie powalisz – twoja doła, ja ciebie – nie pokazuj się na oczy!

– Zgoda – odpowiada rusiawij²⁴ i złązi z konia.

Jaki lęk wziął dziewczynę, to i opowiedzieć trudno! Oni się *dużac*²⁵ mają – jeden z nich może nie wstanie z ziemi, a może obydwaj śmierci pożyją... *Łyszceńko!*²⁶

Uwiązali konie u wierzby nad strugą. Jeden, drugi próbuje żyłastej ręki; stanęli. Oddają sobie rycerski pokłon i zbliżają się powoli.

Serce Handzi bije się, jakby wyskoczyć chciało; ze strachu zamyka oczy – otwarła je po chwili.

Niby dwa wichry wzięli się pod siłę: gną się, wyginają, a jeden drugiego złamać nie może! Aż ziemia zda się stękać od ich siły i ustępuje im spod nóg, że dalej, dalej wkopią się po pas... Nie pomoże – równa obu siła!

– Ano *po łycarski!*²⁷ – powiada czarniawy.

I już obadwa na koniu. Rozjechali się stepem, mkną strzałą naprzeciw siebie, a spisy przodem! Zwarli się jak dwie *tucze*²⁸ – spisy poszły w drzazgi i szable zdały się na nic!

– Był ja w zamku – powiada pierwszy Kozak – sławnym siłaczem i aż tu w stepie znalazł sobie równego!

– I mnie – powiada drugi – pierwszyna, że mojej sile dotrzymano.

– Nie poradzić nam, chyba na *pisto!*

– Stójcie! – krzyknęła Handzia. – Mnie waszej śmierci nie trzeba. Żadnego z was nie chcę!

– Nie na wiatr szły słowa – powiada czarniawy. – Jeden z nas twoim. Stawaj, Kozacze!

²³ *Kto mocniejszy, ten lepszy!*

²⁴ *Rusiawij* – rudawy.

²⁵ *Mocować*.

²⁶ *A to ci!*

²⁷ *Po rycersku!*

²⁸ *Chmury*.

– Nie chcę śmierci – krzyknęła dziewczyna. – *Hej! te pistole!*²⁹. Nie chcecie woli tatusia, to posłuchajcie mojej. Jest hen, za morzem, pogański kraj bisurmanów, a u ich carówien takie spódnice, że słońce, miesiąc³⁰ i gwiazdy wbiera³¹ w siebie materia – słyszałam od tatusia, a to się zowie termołama³². Kto mi taką spódnicę przywiezie zza morza, ten weźmie Handzię jasnooką jak swoją. Tu wam, Kozacy, ostatnie moje słowo.

– *Proszczawaj, dziewczyno!*³³ Ubiorę cię w termołamę – zawołał rusiawy.

– A ja w dodatek kopę przywiozę carówien – dodał czarniawy, siadając na konia.

– Wspominaj, dziewczyno, Dmytra!

– A mnie wołają Hnatem. Bądź zdrowa!

– Kozacze – rzekła Dmytro do Hnata. – Step szeroki, świat szerszy jeszcze, a nam dwom za ciasno. Nie stawajże ty na mojej drodze! To moje słowo ostatnie.

– I ja drugiego nie powiem! – odpowiedział Hnat Kozakowi.

Pokłonili się dziewczynie i znikają w zielonym stepie.

Handzia długo stoi u strugi: to za tym, to za tamtym Kozakiem spojrzy. Czy się śniło, czy co? Wzięli się jak spod ziemi, znikli niby pod ziemię... Dziwa w stepie, taj koniec!

Dziewczyna poszła do chaty. Czy powiedziała, czy nie powiedziała ojcu o spotkaniu z Kozakami, a dalej i zupełnie zapomniała o tym. Młoda – gdzie jej tam myśleć o *witrohonach!*³⁴ A i termołamę wymyśliła, aby się ich pozbyć tylko... U Handzi co innego na dumce!...

II.

Na ciemnym tle stepowej nocy widnieje w oddali rozłożone ognisko, oświetlając sobą dzikie stepowe postacie. Z bodiaków i suchych traw rozpięty nad

²⁹ *Zostawcie pistolety!*

³⁰ *Miesiąc* – księżyc.

³¹ *Wbierać* – zawierać.

³² *Termołama* – wymyślona nazwa tkaniny.

³³ *Żegnaj, dziewczyno!*

³⁴ *Lekkoduchach!*

ziemianką szafas zdradzał siedlisko stepowików³⁵. Zasiedli wokoło ogniska i luna wyrwa ciemnościom nocy ich ogorzałe, wąsate twarze, odkryte, włosem porośłe piersi i herkulesowe kształty ciała. Straszna to dla wielu hołota kozacka! Nie mówić o bisurmanach, ale w ręku tych na wpółnagich spoczywają losy największych dostojników kozactwa. Gdy czerń³⁶ zawoła na radzie, to niby listek z drzewa za podmuchem wiatru spada z karku głowa koszowego³⁷, chociaż przed nim drżał Krym i Carogród! Niełatwo było sprostać stepowej hołocie...

Gdy na Zaporozu cisza i starszyzna zabawia się czarką, a święty Michał³⁸ nie wyziera jasną twarzą ze swojej obsłony³⁹ – połowa kosza wychodzi na stepy dla rozdobytku: łowią ryby, polują na dziczyznę, komonnikiem⁴⁰ chadzają w pobliskie stepy tatarskie, zabierając konie i bydło. Inni w Czerkasach⁴¹ prowadzą wolny handel, a i do Kijowa dochodzą. Jeszcze inni hulają po futarach, żenychając się⁴² z kozaczkami, mołodcząc⁴³ z wielmożną szlachtą... Ot, jak zwyczajnie bywa na stepie, kiedy nie wiesz, co zrobić z głową, gdy jej nie można wystawić na wrogów pociski...

Ucichł gwar koło ogniska, uwaga stepowików zwrócona na przybysza, który natknąwszy się na kureń, pyta o drogę do Siczy. Hołota jakoś nierada spoziera na przybylca: koń u niego dobry, szabla ostra i spisa, ale jakoś z pańska przybrany: kontusz nawyloty⁴⁴, oseledec nie z materii prostej i wszystko jakoś nie po kozacku...

Przybyły powtórzył pytanie:

– Którędy droga do Siczy?

– Do Siczy – mruknął olbrzymi Kozak, zdaje się, starszy pomiędzy stepowymi, mierząc przybylca oczami. – Hm!... Droga do Siczy z wiatrem i z trawą stepową, a jak kiedy... to i gwiazdy prowadzą do kosa. A wam by co do Siczy?

³⁵ *Stepowik* – człowiek żyjący na stepie.

³⁶ *Czerń* – pogardliwie: masa ludzi.

³⁷ *Koszowy* – ataman koszowy, dowódca kozacki.

³⁸ *Święty Michał* – bojowa chorągiew kozacka przedstawiająca św. Michała.

³⁹ *Obsłona* – nimb, świetlistego otoku wokół głów przedstawianych na obrazie postaci boskich lub świętych.

⁴⁰ *Komonnikiem* – na koniach.

⁴¹ *Czerkasy* – miasto na Ukrainie, w obwodzie czerkaskim.

⁴² *Żenichać się* – zalecać się.

⁴³ *Mołodczyć się* – wadzić się, bić się.

⁴⁴ *Kontusz nawylotny* – rodzaj płaszcza lub kamizelki, z typowymi tzw. wylotami, czyli rozciętymi od pachy do łokci rękawami.

– To już moja rzecz – odpowiedział nowo przybyły. – A za wskazaną drogę należałoby podziękować wam na grzbiecie... Ta żal! Z wołociuhami⁴⁵ moja szabla wojować niezwyčajna!

Starszy zmarszczył brwi.

– Wielmożnemu panu – rzekł – krzywda zadawać się z hołotą... a u nas to idzie inaczej! *Chłopc!*⁴⁶ – skinął na swoich – ano popatrzcie, jaki tam grzbiet u wielmożnych.

Jeszcze się Kozak nie opatrzył, a tu już z konia zsadziła go hołota i niby w kleszcze wzięła w żelazne ręce. *Pohano!*⁴⁷

– Teraz by nie zawadziło wypić czarkę, bo to łaskocze... – rzekł starszy. – *Zdrow, pane wielmożny!*⁴⁸

– Ja nie wielmożny – odparł przybysz, wzięty pomiędzy Kozaków i silnie przez nich trzymany. – Gdyby mi teraz wola, pokazałbym wam, rozbójniki, jak zdradą podchodzić...

– Nie wielmożny – mrucał starszy, trzymając czarkę w żylastej dłoni. – A któż by, jeśli wola?...

– Kozak – odpowiedział trzymany.

– Hm! Chyba pański?

– A pański.

– Tym to i durny, że kozackich nie znasz zwyczajów. Puśćcie go, *do bisa!*⁴⁹ Szabla błysnęła w oswobodzonej ręce.

– A teraz choć całą watahą! Zmierzcie się z Kozakiem, komu głowa cięży!

Łuna padła na rozpromienioną męstwem twarz przybysza, a iskry ogniska zgasyły przy skrach, które sypały jego czarne oczy. Starszy z widocznym zadowoleniem patrzył na Kozaka.

– *Brawuj!*⁵⁰ na oko! Ano, burłacze, spróbuj chwata.

Sążnisty chłop wysunął się z szablą rzezakiem. Złożyli się przy świetle łuczycywa: puścił burłak z góry, popróbowował z dołu, w krzyż... szabla brzękła i stepowik

⁴⁵ *Wołociuha* – włóczęga.

⁴⁶ *Chłopc!*

⁴⁷ *Niedobrze!*

⁴⁸ *Na zdrowie, wielmożny panie!*

⁴⁹ *Do diabła!*

⁵⁰ *Śmiały.*

rozwarł gębę z podziwu: był rozbrojonym... Rozwarły się gęby i reszcie hołoty... Starszy podniósł się z ziemi...

– Na Zaporozie – rzekł – droga, tobie mołojcze, z nami, jutro do świtu. *Myrom*⁵¹ z Kozakami! Chleb i sól tobie w kurenium. Wielu was tam takich na pańskich pokojach, to może by nie *hyd*⁵² i mnie do nich w służbę... A jak na chrzcie zwano?

– Hnatem – odpowiedział Kozak.

– Hnat – chwata! Tu moja ręka i kozackie bractwo. *Wyataj, druże!*⁵³

Reszta stepowików obstała Hnata, druząc się⁵⁴ z mołodźcem.

Kozak niedowierzająco patrzył na garnących się ku niemu.

– A cóż wy za jedni? – zapytał po chwili.

– Burłaki, stepowa hołota, Kozacze! Siczowi goście na stepie. Czy nie do spodobu? – zapytał starszy, silnie wstrząsnawszy ręką przybylca.

– Swobodne *ptachy*⁵⁵ – mówił dalej – nie czyjeś tam sługi!... I tobie, druże, takim pozostać. *Het*⁵⁶ te pańskie łachy! – Kawał kontusza pozostał w ręku mówiącego i w oczach Hnata spłonął wrzucony na ognisko. – Kozak na stepie – ot, jak my, mołojcze! Rosa umywa, a słońce suszy... Pańska krasa nie dla siczowych dzieci!... Niech cię stepowy wiatr uwędzi, a sam diabeł nie zgryzie Kozaka! *Wypij czararku na bractwo!*⁵⁷

Hnat był posłusznym, a choć na razie dziwiły go słowa starszego, po czarce i drugiej przypadły mu one do smaku.

– Wasza prawda! – powiada. – Służba pańska – psia służba, skoro bez niej można być wolnym jak duszy na stepie! Mam tu starościńskie listy – w ogień pisanie! – I w tej odzieży nie ma dla mnie *pychy*... Ot, tu wam taki jak i wy drantyhuz!⁵⁸ – dodał, rwąc dalej kontusz. – A teraz daj Boże świtu! I prędzej na Zaporozie!

Starszy porwał Kozaka w objęcia.

⁵¹ *W zgodzie.*

⁵² *Szkoda.*

⁵³ *Witaj, druhu.*

⁵⁴ *Drużyć się – witać się.*

⁵⁵ *Ptaki.*

⁵⁶ *Het – precz.*

⁵⁷ *Wypij czararkę za zgodę!*

⁵⁸ *Drantyhuz – oberwaniec.*

– Hnat, *czortowa dytyno!*⁵⁹ – Wykrzyknął rozczulony. – Ciebie bies złożył na Kozaka!... Nie mamy dziegiu, aby cię skąpać... Mołojcy, sprawić mu chrzest stepowy!...

Jeszcze Hnat nie miał czasu zdać sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje, a już porwany przez stepowików z rąk ich wyszedł niby inny człowiek: z kontusza zostały strzepy, w bujnej czuprynie śmiecie i piasek, twarz osmolona i pierś naga. Odbył chrzest stepowy!

W chwili, kiedy hołota wzięła pomiędzy siebie Kozaka, jak Żydy Hamana⁶⁰ nadjechał do ogniska inny Kozak i widząc, że cała kupa tarnosi jednego, niedługo myśląc, wpadł pomiędzy hołotę.

– *Rozbyszaky!*⁶¹ – krzyknął. – Wszyscy na jednego?... *Het'te!*⁶² Bo was tu wszystkich zgniotę na miazgę.

– A to co? – wrzasnęli stepowiki. – Kto huka po stepie?... – I rzucili się na przybysza.

Hnat poznał w nowo przybyłym Dmytra. Krew zawrzała w Kozaku. Pochwycił za szablę i rzucił się pomiędzy hołotę.

– Znowu cię czort przynosi! – krzyknął na przybysza. – Złaż, wraże! A wy – het na boki! Teraz cię *did'ko nie uchowa!*⁶³

Głos mówiącego zdaje się być znanym Kozakowi, ale ciemność nocy i przemiana zaszła z Hnatem nie dozwoliły mu poznać rywala. Posłuszny jednak wezwaniu zlązł z konia i dobył szabli.

– Dam ja ci step i dziewczynę! – krzyczał Hnat, rozgrzany kilkoma czarkami wódki. – Pogryziesz ziemię, nim dojedziesz do Handzi.

– A, to ty! – dopiero poznał go Dmytro. – Czort cię znowu nasłał. *Propad!*⁶⁴ – i silnie zamierzył szablą.

Hnat odbił ciężki raz i dał cięcie od lewego. Szabla trafiła o szablę, skry sypnęły się rześiste, oświecając walczących. Zapaśnicy silnie następowali na siebie. Po gęstych razach szabel czuć było trupa: kto zmyli – ten legnie... Stepowiki pochwycili palące się luczyna i przyświecają walczącym... Dawno dwóch takich

⁵⁹ *Czarci synu!*

⁶⁰ *Haman* – imię biblijnego wroga Żydów.

⁶¹ *Rozbójnicy!*

⁶² *Zostawcie!*

⁶³ *I sam diabeł nie pomoże!*

⁶⁴ *Obyś przepadł!*

nie zeszło się z sobą! Żadna muzyka nie wpada tak zgodnie jak te cięcia, żadna tak krwi nie rozgrzewa jak ta bójka!... Oczy patrzących krwią zabiegają, ich wzrok pożera cięcia, w piersi jakiś bies prze do bójki – i w przeciwników ciska okrzykami zachęty:

– Lepiej! Tak! Jeszcze raz! *A, czortowa dytyna!*⁶⁵ – wołają stepowiki pijani szalem, który w nich bójka wznieca.

Migotny blask łuczywa rzuca światło dziwne na ten obrazek ze stepowego życia. Rzęsisty pot występuje na czoła walczących i tych, którzy przypatrują się walce; uderzenia wolnieją, szable w rękę miękną, cięcia coraz rzadsze – aż krwiożercze oręż przeciwników opadły na ziemię bezwładne.

– Obadwa mołojcy! – krzyknęła hołota, porywając w objęcia nowo przybyłych. – *Pozdorow Boże*⁶⁶ chwatów, że ich też bies przyniósł tu na uciechę! Podajcie sobie ręce na bractwo!

Dmytro i Hnat cofnęli się od siebie.

– Prędej na stepie wyrosną skalne góry, niż między nami dojdzie do bractwa! – zawołał Dmytro.

– Z wrogiem tylko bójka na śmierć! – zawtórzył Hnat, dziko spojrzawszy na przeciwnika. Stepowiki zamilkli...

– Ważne słowo – ozwał się starszy. – Nie nam godzić, co z sobą w drużbie być nie chce. W swoją drogę, mołojcze – dodał, zwracając się do Dmytra. – Między nami nie ma dla ciebie miejsca.

– Wprzód by wam zapytać – dumnie rzekł Dmytro – czy mnie wola pozostać z wami?... Burlactwo nie przypada mi do serca. Moja droga na Zaporozie.

– To się tam zobaczymy w dobrą porę. Stepem droga. *Zdorow!*⁶⁷

– Niekoniecznie, bo mi tu z wami poradniej, niż nocą błąkać się po czaharach⁶⁸. Wrony⁶⁹ chce wypoczynku, a tu, widzę, jest czarka, to: wrogom na bezhołowie!⁷⁰ – I wychylił miarę.

Hołota dziwnymi oczyma patrzy na zachowanie się przybysza.

⁶⁵ *A, czarci synu!*

⁶⁶ *Daj im Boże zdrowie.*

⁶⁷ *Bywaj zdrów!*

⁶⁸ *Czahar* – zarośla na podmokłym terenie.

⁶⁹ *Wrony* – koń kary, o odcieniu popielatym, bez połysku.

⁷⁰ *Na bezhołowie* – na zgubę.

– I wam na Zaporozie droga – mówił dalej Dmytro, zapalając lulkę bakunu⁷¹. – Nie pytać mi, z czym idzie wałka⁷², i poszedłbym z wami, gdyby nie ten *woroh tiazkyj*⁷³ – wskazał na Hnata – którego mi czort drugi raz już na step wysyła. Ej, poszanuj głowy, bo ci dojadę końca!... No, a nie macie jakiego jadła? Bo mam tu łyżkę – i wyciągnął ją zza cholewy...

– *Hospodar!*⁷⁴ – mruknął starszy, marszcząc brwi gęste. – Umiesz w cudzej gospodarzyć chacie, to pewno ład dasz wszystkiemu. Ot, tu nas bez mała dwudziestu, a każdy głodny. Nakarmisz – twoja sława i pójdiesz z wałką, nie nakarmisz – będzie pohano! Bier się na sztuki!

– *Nimećkyj pidchodysz – puttia ne dowodysz*⁷⁵ – zmierzył go wzrokiem Dmytro. – Nie z takimi sprawić się umiał! I dla was rozumu starczy. Jest w kalecie czerwonic – dość, by nakarmić hołotę. Chodźcie do karczmy!

– Do karczmy pójść nie wadzi. Zakosztujemy twego chleba, ale go dostaniesz sztuką⁷⁶, a czerwonic niech w kalecie czeka lepszej godziny! Inaczej dowiemy się, jaką skórą obszyli twoje kości.

– Niedoczekanie spróbować wam jej wyprawy! Chcecie sztuką – pójdzie sztuka! Tylko mi ten *holtiapaka*⁷⁷ niech w drogę nie włązi pohanym słowem, bo inaczej czort was zabierz z duszami!

– Hnat spokojem zachowa się przy sztuce. Chodź, mołojcze, do karczmy. Abo sztuka, abo nauka!

—

– *Zdorow szynkaru i pani szynkarko!*⁷⁸ Przyszło w gości kozactwo – rzekł starszy, wchodząc na czele reszty hołoty do szynkowej izby.

– Czy radzi gościnie? – zapytał, mrugnawszy na gładką szynkarkę.

Szynkarz kiwał się nad książką za szynkwasem... i tylko spode łba patrzył na gości.

⁷¹ *Bakun* – tani tytoń fajkowy.

⁷² *Wałka* – obóz wędrowny; grupa wędrujących ludzi.

⁷³ *Wróg przekłęty*.

⁷⁴ *Gospodarzu!*

⁷⁵ *Źle się zabierasz, jak trzeba nie zrobisz!*

⁷⁶ *Sztuką* – sposobem, fortem.

⁷⁷ *Holtiapaka* – hultaj, nicpoń.

⁷⁸ *Witajcie, szynkarzu i pani szynkarko!*

- Macie pieniądze, to utoczę sywuchy⁷⁹ – sucho rzekła Chajka.
- Bóg zapłać, szynkarko! My tu za innym przyszli. Arendarz oderwał wzrok od talmudu⁸⁰ i spojrzawszy na gości:
- Są ż o ł n i e r y – rzekł znacząco.
- A niech zdrowi będą: my tu po dobrej woli.
- Nu, bo oni prędko sprawę zrobią – dorzucił arendarz, wracając do książki.
- Zaczynaj, mołojcze! Już ci i kocioł przynieśli.
- *Herste*⁸¹, a co to będzie z kotłem? – niespokojnie zapytał szynkarz, tuląc się do żony, która stanęła za szynkwasem.
- Będziemy gotować trzaskę⁸² – rzekł Dmytro, ustawiając kocioł. – Wy, panie arendarzu, nie pożałujecie ognia.
- Czemu żałować... Ale co wy zrobicie z trzaską?
- Ugotujemy.
- *Kikste!*⁸³ Jak to się gotuje trzaska?
- Ot, obaczycie. Niech tylko woda zakipi.
- Przytomni otworzyli gęby z podziwu. Dmytro w rzeczy samej wrzucił trzaskę do kotła wody.
- Starszy kręcił długiego wasa, szynkarz i Chajka ciekawie patrzyli na kocioł.
- Nu, to je prosty patyk – potwierdził arendarz, obejrzawszy pływającą w wodzie trzaskę.
- Co to z tego będzie? – ciekawie pytała Chajka. – Ja tego jeszcze nie widziała...
- Niejednego i ja nie widział w życiu – rzekł Dmytro – a przyszło pobywać za morzem. Napatrzył się takiego, że przy nim o ta trzaska niczym!
- A co wy z tą trzaską później robić będziecie? – zapytał znowu arendarz.
- Zjemy, a i was poczęstujemy panie o r e n d a r u⁸⁴. Ot, właśnie kipieć zaczyna.
- To i ja rada obaczyć takiego dziwa – dorzuciła Chajka, przypatrując się trzascie pływającej w kotle.

⁷⁹ *Sywucha* (*siwucha*) – źle oczyszczona wódka, gorszego gatunku.

⁸⁰ *Talmud* – jedna z podstawowych ksiąg judaizmu, komentarz do biblijnej Tory.

⁸¹ *Sluchaj*.

⁸² *Trzaska* – kawałek drewna używany zwykle na podpałkę.

⁸³ *Patrzcie go!*

⁸⁴ *Orendar* – arendarz.

– Smakowita potrawa! Ot, dajcie tylko, szynkarko, z pół kwarty soli, a ja tu powiem trzy słowa tureckie, a cztery hiszpańskie...

Dmytro zaczął coś szeptać pod nosem i robić rozmaite tajemnicze znaki nad kotłem. Przytomni w milczeniu przypatrywali się wszystkiemu. Chajka wsypała do kotła żądane pół kwarty soli.

– Trzaska sama po sobie – mówił Dmytro – potrawa zwyczajna w Hiszpanach! To jak my na Francuzach żyli miesiąc kamieniami – ot, to było!

Kozacy przeżegnali się ze zdziwienia.

– *Wusyduś!*⁸⁵ Jak to? Z prostym kamieniem? – zapytali arendarze.

– Nie! Do tego jest kamień niemiecki. Ot, mam tu kawałek. Twardy jak skała, a ugotujesz – niby *mediwnyk*⁸⁶ słodki.

– Może byście i tego kamienia zgotowali?

– Do tego wiele trzeba zachodu... Najbardziej zaś krup hreczanych⁸⁷, ale tak z dobry garniec.

– Nu, to ja dam i dwa – porwała się Chajka – żeby tylko takie dziwo widzieć zgotowane jak kamień niemiecki. – I ani się opatrzyli przytomni, jak dwa garnce krup weszły do kotła.

Dmytro wrzucił kamień do środka i dalej dogadywał.

– Na Hiszpanach – powiada – przyszło nam raz tak ciężko, że gdzie był jaki krzak, to pojedliśmy do czysta, tylko kora została, a po nas przyszli inni, to i tę pojedli! A raz jak zabrakło drzewa...

– Słuchajcie no, Kozacze! – przerwała mu Chajka – może ta trzaska już się ugotowała?

– Na trzaskę już by i pora, ale kamień niemiecki niech jeszcze raz zakipi. Podłóżcie no drzewa pod kocioł!... A teraz jeszcze powiedziec i mi dziesięć słów chińskich – to jak raz kamień będzie gotów.

I znowu coś szeptał i obchodził kocioł wkoło. Kozacy patrzyli w milczeniu, starszy kręcił długiego węża, arendarz z arendarząwą drżeli z niecierpliwości.

– Już gotowo – rzekł Dmytro.

– A nu! – wszyscy zbliżyli się do kotła.

Dmytro zaczerpnął warzechą z kotła, i podając ją starszemu

⁸⁵ *Co to?*

⁸⁶ *Miodowy piernik.*

⁸⁷ *Krupy hreczane* – kasza gryczana.

– W smak? – zapytał.

– Czartów ty syn, Kozacze! – wybuchnął starszy. – Ugotował kaszę, jak należy. – Oto nam starym durniom pokazał sztukę!

– *Herste!*⁸⁸ Jaka sztuka? A co z trzaskiem i kamieniem?

– Trzaskę – rzekł Dmytro – wyrzucimy z kotła, a kamień zachowajcie sobie na pamiątkę żydowskiego nierozumu. A wy, hołota, zabierajcie się do kaszy, co ją mamy *spasybi*⁸⁹ arendarzom.

Dopiero otwarły się oczy Kozakom.

– Nu, sztuka! – krzyknęli chórem. – To diabeł z niego cały! Hajda do kaszy!

– *Wusydu!*⁹⁰ Rozbój! – krzyknął arendarz. – Moja sól i krupy...⁹¹ Ja nie pozwolę!

– Ktoś by cię pytał! – huknęła hołota, garnąc się do kotła.

– Wiadro sywuchy!... – zawołał starszy. – Sprawiaj się, szynkarko – masz tu zapłate.

Nie było co robić! Oszukał goim Żydów i dokazał sztuki.

Trzebaż było widzieć radość Kozaków, że taki chwyt zdarny przypytał się do nich na stepie! Każden nazywał Dmytra bratem, ścisnął go i całował. Tylko Hnat trzymał się z daleka. A gdy sywucha zabrała się do kozackiego czuba, a kasza znikła z kotła, niby jej nie było – wyszła na wierzch kozacka natura: jedna, druga ozwała się bałałajka; hołota jak nie pójdzie w prysiudy⁹², jak nie zacznie wyhu-kiwać, a nogami aż o ściel⁹³ bije... No, było uciechy, że się arendarz udobruchał i może by sam przystał do kozactwa, gdyby nie to, że podchmielona hołota porwała Chajkę pomiędzy siebie i dalej z nią wybijać tropaka!⁹⁴ A Chajka – daremna że Żydówka – do tańca ochocza, jakby się urodziła Kozaczka – hasa z Kozakami, tylko się jej muszki⁹⁵ świecą! Arendarz wrzeszczy w niebogłosa, a Chajka śmieje się z męża i z Dmytrem wywija aż miło!... *Spasybi jej!*⁹⁶ Nakarmiła kozactwo, a teraz w tańcu dotrzymuje kompanii.

⁸⁸ *Słuchaj!*

⁸⁹ *Dzięki jej!*

⁹⁰ *Co się dzieje?*

⁹¹ *Krupy* – kasza.

⁹² *Prysiudy* – taniec z przysiadami.

⁹³ *Ściel* – strop, sufit

⁹⁴ *Tropak (trepak)* – taniec ludowy popularny na Ukrainie i w Rosji.

⁹⁵ *Muszka* – pieprzyk na twarzy.

⁹⁶ *Dzięki.*

Kozacy pili, pili sywuchę aż *hyd'* grajkom⁹⁷ – i struny porwały się na bałałajkach! Precz odlatują obcasy, z Chajki pot się leje rześisty, a arendarz nieborak krzyczy za szynkasem i pejsy sobie obrywa. Dokrzyczał się durny Żydzisko! Hołocie za wiele już było żydowskiego hałasu. Jedni tańczą i piją, a drudzy tymczasem zdjęli z bantów⁹⁸ wołową skórę i zaszyli w nią arendarza. Śmiechu takiego, że strach! Arendarz z wołowej skóry wygląda, jak nie przymierzając sam diabeł... Kozactwo wypilo i wyjadło, co się tylko w karczmie dało znaleźć: nahulali się do syta, zapłacili czym mogli... i o świcie dmuchnęli na Zaporozę, zostawiając w karczmie Chajkę i jej męża zaszytego w wołową skórę.

Ot, tak to bywało na stepie! Kozactwo łało krew niby wodę, a jak przyszło pohulać, to także nie żalowano uciechy. Dobrze było w Ukrainie!

III.

*Oj, Sicz maty! Oj Sicz, maty!
Czym tebe wytaty?
Szczyroju duszoju,
Dobroju zbrujaju!*⁹⁹

Tak kiedyś śpiewali Kozacy o swojej siedzibie. Ano chodźmy i my do Siczy! Na stepie słobody, za nimi wody Dniepru, a tu – Sicz kozacka.

Najpierw idą kramy – cały bazar, a cały żydowski! Wiedziała dusza kozacka, że ją Żyd odda na pohybel! A przecież bez Żyda i Kozakowi było nieporadnie. Biesowskie nasienie! Tak się umie wneść, tak się obleśnie wwinie i jak pijawka uczepi człowieka – ssie krew serdeczną, a ty nie wiesz, jak sobie dać rady, żeby się odzepić.

Żydy handlują z kozactwem. Co rozmaitego dobytku przeszło do ich rąk nieczystych za marność, nierzadko za kwartę sywuchy! Kozak złota nie cenił,

⁹⁷ Tu: *dopadli do grajków*.

⁹⁸ *Bant* – belka spajająca krokwie dachu.

⁹⁹ *Hej, ty Sicz mateńko,
Hej, ty Sicz mateńko,
Czym cię przywitać?
Czy szczerą duszą,
Czy twardą zbroją!*

bogactwo było dlań niczym. Wrócił z wyprawy – zaczął hulać... Oddał złoto, srebro..., oddał zdobyte na bisurmanach klejnoty, kamieniami wysadzone siodła i czapraki, zdjął z siebie adamszkowy kontusz i pas złotem lity... Pozostał tylko z szablą, a przebudził się w chołozniach i dziegciowanej koszuli. Wszystko prze-hulał, wszystko oddał Żydom!

To chciwe złota stworzenie! I wie, że za byle co diabli wezmą jego pohaną duszę... wie, że Kozactwu do czysta uprzątnąć Żydów – to plunąć! A przecie lezie aż pod sam kosz i za dukata nadstawia gardło... Pohany naród, powiedziano! Kramiki drewniane, nędzne, z miodem, sywuchą i jabłecznikami, a w beczkach stoją kwaszone ogórki. Niejeden Kozak da garść czerwońców za trochę ropy ogórkowej¹⁰⁰. Kto miarę przebrał, ten jej i w rękę nie ma: wyjmie garść – taj rzuci Żydowi w oczy! Złoto rzecz żydowska, a Kozakom, aby wola ta pochody na bisurmanów! Tam zawsze znajdzie się *pożywa*¹⁰¹ dla kozactwa!...

Gromadami rozsypało się kozactwo pomiędzy kramy. Ci palą lulki, tamci piją sywuchę; ten opowiada, a tamten głośno wyhukiwa; inny położył się śród drogi i smacznie chrapie *serdega*¹⁰². A tamci wzięli Żyda między siebie: łyżką biją w kocioł, niby grają, a z Żyda pot się leje – tańczy! Tańczyć musi, bo inaczej wezmą go diabli, wezmą i złoto, które wytumanił od kozactwa!

W dobrą my trafili porę. O staję widać zbliżających się Kozaków z muzyką, śpiewami, tańcem. A jaki taniec!... Poza Siczą już takiego nie ma.

Dzisiaj hula u o s t a n n i e¹⁰³ Semen Czoporyj. O nim dużo dałoby się powiedzieć... Takich jak on było tylko dwóch na Zaporozu: Seńko Komacha i Artem Hrynia. Chwaty na całą Ukrainę i dalej jeszcze! Do tańca tam z nich każdy – niby miał diabła w nogach! A jaka gdzie była młodyca na futorach, to nie minęła trzech holtiapaków. A sywuchę pili wiadrami! No i w pochodach czort im nie dorównał. Bywało gdzie najtrudniej – czy wdrapać się na mury, czy przejść lochem – diabli ich tam zawsze wynieśli i nie było wrogom *pomyłowannia*!¹⁰⁴ A tak się we trzech kochali jak rodzeni bracia i we trzech zostali pobratami. Rzecz niezwyčajna, ale bez siebie żyć nie mogli!...

¹⁰⁰ *Ropa ogórkowa* – roztwór, w którym kisi się ogórki.

¹⁰¹ *Zdobycz*.

¹⁰² *Nieszczęśnik*.

¹⁰³ *U ostannie* – na ostatek.

¹⁰⁴ *Litości!*

A przecie przyszło chwatom na pohybel. Jakoś w czasie bieganiny za Tatarem po stepie czort zaniósł Kozaków do karczmy na rozstajnej drodze. A szynkarkaż tam była chyba samym biesem! Oczy u niej czarne jak smoła, a włosy – że jak chciała, to okryje się nimi niby lasem... Oj, przywiódłż ona na pohybel Kozaków! Grzech ciężki, a bankietowali u niej trzy dni i trzy moce, wypili bez liku, taj popili się pierwszy raz w życiu... Zgubiłż ich czarownica, choć prawda, nie odprosiła się od gościny Kozaków, którzy, ot – może po pijanemu – zabili jej męża.

Przebudził się Semen – oj, lichu! Pohańców pełna karczma, a szynkarka daje przewód biesom i z okiem zaognionym woła:

– Zgubili mnie młodą – niech że sami przepadną!...

Huknął Semen na pobratów – śpią, zalani sywuchą i miodem czarownicy, a za chwilę ciepła ich krew załała... Semen jęknął i upadł bez pamięci...

Później rozpowiedzieli mu Kozacy, co się stało w karczmie: naskoczyli Tata-rów wtedy właśnie, gdy Semen padł zemdłony – pobili, jak należy... Ta dziwo z tą szynkarką czarnooką! Krzyknęła: „Zgubili mnie młodą, zabrali moje szczęście całe!”, porwała, głownię z pieca i cisnęła na strych karczmy. Wiatr był wielki, karczma spłonęła jak wiecheć słomy – ledwie z duszą uciekli Kozacy..., a szynkarka została z trupami!

Poznał Semen, że ciężki grzech wziął na swoją duszę, że sywucha zgubiła jego pobratów, zgubiła dusze ludzkie, i przysiągł, że dwa lata nie weźmie jej do ust za grzechy swoje, cztery za grzechy pobratów, jeden rok pić nie będzie za śmierć szynkarza i szynkarki, a po siedmiu latach na śmierć się zapije, żeby i jego, jak pobratów, zgubiła sywucha!

I dotrzymał rycerskiego słowa. Siedm lat, jak jedna godzina, nie wziął do ust kropli sywuchy... Odpokutował winę pobratów, a teraz kara ostatnia... Przez lata pokuty nazbierał Kozak złota czy mało – będzie za co sprawić pogrzeb kozacki. Horował¹⁰⁵ siromacha¹⁰⁶ siedm lat jak siedm długich wieków po stracie swoich pobratów – teraz pora zejść się z nimi, gdzie każą. Pokłonił się Semen starszyźnie i kozactwu, dużo, dużo złota dał Bohorodycy, co pilnuje Kozaków w koszowej cerkwi. Co było ze zbroi i rynsztunków – rozdał towarzyszom. Konia sokoła przeznaczył najdzielniejszemu z jeźdźców siczowych i czyja wola zaprosił na swój

¹⁰⁵ *Horować* – pokutować, wyrzekać się czegoś.

¹⁰⁶ *Siromacha* – biedaczysko.

pogrzeb. W sajetach¹⁰⁷, ubrany jak wojewoda, stanął przed beczką sywuchy. Koło niego dwóch czurów niosą worki złota. Co było grajków w Siczy – stoją opodal, tu co najlepsi tancerze, a tam już reszta kozactwa.

Przeżegnał się Semen trzy razy, nalał kwartę sywuchy i wypił. Na ten znak zagrali grajki. Kto żył, zaczyna toczyć z kufy¹⁰⁸. I rozpoczął się pochód pogrzebowy. Grają grajki skoczego, kufy z wódką toczą się za orszakami. Semen pije i innych zaprasza, garści złota sypie na obie strony i wyhukiwa z innymi... , a dalej puścił się w tany... Za nim co żyje – i sobie w prysyudy! Przed śmiercią słuszną zażył wesela. A kto na Siczy zabroni Kozakowi, jak chce umierać?...

W chwili, kiedy Semen wchodził z muzyką i tańcami na bazar, z przeciwnej strony nadjechali stepowiki, a z nimi Hnat i Dmytro.

Cztery dni i cztery noce umierał Semen zapiciem, a umrzeć nie mógł. Od kosza do bazaru ledwie nie co krok ktoś przyzostawał na wpół żywy z przepicia i spał bez pamięci, a stary Kozak jeszcze się trzyma... Prawda, że dwóch go podpira, ludzi już Semen nie poznaje, ale jeszcze nadstawia czarkę i z biedą do ust ją donosi.

Przed spotkaniem wracającej ze stepu hołoty powalił się na ziemię, ale to nie wadzi: wyraźna wola Kozaka była, by weń póty lano sywuchę, aż się pokaże, że nie żyje. Niech znają ludzie, jakiego zła narobił trunek i jaka za niego kara! Smutno się zrobiło nowo przybyłym – jakoś im to nie przypada do myśli, by człowiek taką ginął śmiercią, ale nie im radzić, nad czym postanawia kozactwo. Stoją z boku i patrzą na to, co się dzieje.

A dzieje się, jak się już nigdzie dźać nie będzie. Kozacy pijani – piją, tańczą, a płaczą, bo to nie wesele, to pogrzebowa stypa: umiera Kozak chrobry, umiera pokutnik za dawne grzechy. Umiera stary siczownik!...¹⁰⁹ To wesele tylko na oko – ten taniec wieje grobem i w okrzykach przebija żal smętna...

Stepowiki to rozumieją i pozwieszali głowy ku pieransom. Smutno i młodym przybyszom. Semen leży na ziemi w sajetach jak do ślubu, twarz pobladła i smutny ma wyraz, oko kiedy niekiedy wyjrzy spod powieki i z piersi wyrwie się westchnienie... kona. Grobowa nastała cisza..., ważna chwila – przestawia się¹¹⁰ dusza – dusza kozacka!

¹⁰⁷ *Sajeta* – kosztowne sukno.

¹⁰⁸ *Kufa* – wielka beczka, kadź.

¹⁰⁹ *Siczownik* – Kozak z Siczy Zaporoskiej.

¹¹⁰ *Przestawiać się* – umierać, konać.

– Skonał! – rzekł jeden z trzeźwych Kozaków. – Skończył swoje. *Wiecznaja jomu pamiat'*¹¹¹.

Nie jeden zapłakał jak dziecko, a w oku każdego – niby łza... Przypadli do trupa, całują go.

– *Proszczawaj, brate! Wiecznaja tobi pamiat'!*¹¹² – wołają.

Smutno na sercu... Trupa podnieśli na mary i głośniejszy wszczął się rozhowor. Nieboszczyk żądał, by na większe pokaranie za grzech i zgubę pobratów ciało jego nie pogrzebać w ziemi świętej, ale wrzucić rybom na strawę. Temu sprzeciwiali się Kozacy.

– Grzech – wołali – by święta ziemia nie przykryła takiego jak Semen Kozaka! Dość z niego pokuty! *Hodi'*¹¹³ kary po śmierci...

Ale wola umierającego święta. Starsi wytłumaczyli kozactwu, że grzech jej nie spełnić, a przekonali dowodnie pytaniem: kto weźmie na duszę, gdy pogrzebany Kozak upiorem będzie musiał błąkać się po świecie, jeśli winy nie odpokutuje?

– Prawda! Prawda! – zawołali przekonani. – Poszanujmy wolę umierającego.

W uroczystym pochodzie ruszyli Kozacy nad Dniepr rzekę. Trzy razy zawołali: *Wiecznaja pamiat'*¹¹⁴, każdy przeżegnał trupa i opuścili go w wodę.

Ciało Kozaka kilka chwil trzymało się na powierzchni, wir porwał trupa i ślad po Semenie zginął... Orszak pogrzebowy w milczeniu odszedł ku bazarom. Nad Dnieprem zostali młodzi przybysze: obadwa zadumani i starszy stepowik, który opodał patrzył na nich z uwagą.

– Czy po sercu zwyczaj kozacki? – zapytał po chwili.

– Dziwno! – odrzekli młodzi.

– Takiego dziwa napatrzycie się tu dowoli. Chodźmy do kosza.

—

Za bazarami – kosz. Czterdzieście długich kureni legło na równinie: pośrodku cerkiew Bohorodycy, na wałach żelazne harmaty, ale straży nie ma żadnej. W Siczy wszyscy swoi – po co darem wartować?

¹¹¹ *Wieczna mu pamięć!*

¹¹² *Żegnaj, bracie! Wieczna tobie pamięć!*

¹¹³ *Nie może być.*

¹¹⁴ *Wieczna mu pamięć.*

Przed jednym z kureniów stoi gromada starszych Kozaków, o czymś rozmawiając. Przed nimi zatrzyma się stepowik z młodymi towarzyszami.

– *Pokłon towarzystwu i wam, pane atamane*¹¹⁵ – rzekł, z lekka dotknąwszy czapki. – Ze stepu w dobry czas do kosza. A tu dwóch chwatów wiodę na siczowych¹¹⁶. Czy będzie wola wypróbować?

Ataman obejrzał nowo przybyłych.

– Na oko niczego! – mruknął. – Ta nie lada z żelaza kuta ostra szabla i nie każdemu do kosza, kto ma brzuch i gębę!...

– Jest i ręka *duża**, *wnada*¹¹⁷ do Kozactwa szczerą ochotą. Prawda, mołojcy?

– Powiedziano! – odrzekli młodzi.

– Chrzczony? – zapytał jeden ze starszyzny.

– Obydwa – odpowiedział stepowik. – A nam by teraz w kumy do chrztu innego!...

– A, no to czekać nie ma po co. Obaczmy ich mołodztwo na oczy. Do Dniepru im z pokłonem!

– Ta i w porę przed zachodem słońca. Chodźcie, chwaty, na chrzest kozacki!

Niewiele da się tu mówić, bo nie ma o czym. Biesowe dzieci! Jeden za drugim przepłynęli porohy, jeden jak drugi wyszedł żyw z kąpieli...

Teraz inna próba, a nadała się, jak potrzeba. Jest koń po Semenie, orzeł – zabrał go nieboszczyk spod sułtanowego wezyra. Nie ino na Siczy, a może i w świecie całym nie ma już takiego! Cały niby najpiękniejsza panna... Ogień, przysięgniesz, że taki bucha z nozdrzy... Ważny¹¹⁸ konik! A dostanie się, jak chciał nieboszczyk, najlepszemu z jeźdźców.

– Stawajcie, chwaty, do zawodu! – rzekł ataman do młodych Kozaków. – Obaczmy, jaka w was siła na czystym polu...

A im w to i graj – radzi! Jeden drugiego tylko mierzy basem, klnie w duchu i dosiadają koni. Na szerokim polu sławnych jeźdźców ze dwie sotnie. Każdy chce nie tak Semenowego konia – choć i tym nie hordować¹¹⁹ – jak sławy pierwszego! W kozactwie natura niesprosta: każdego na pierwszego! A tu jak

¹¹⁵ *Kłaniam się towarzystwu i wam, panie atamanie.*

¹¹⁶ *Siczowy* – tu: Kozak siczowy.

* *Silna.*

¹¹⁷ *Przystać.*

¹¹⁸ *Ważny* – tu: cenny.

¹¹⁹ *Nie hordować* – nie gardzić.

nie staraj się – tylko j e d e n zwycięży... Ciężko będzie młodym zaczynać z si-
czowymi – ta grzech nie próbować!...

Ze starszyzną przyszedł koszowy. Stawił się i pisarz z piórem i kałamarzem –
będą sędzić, kto lepszy! Wyznaczono metę, poustawiano przeszkody, najtrudniej-
szą wybraną jazdę... *Panotec*¹²⁰ siczowy pobłogosławił – i ruszono!

*Hospody!*¹²¹ Świat się skończy, a drugiej takiej jazdy nie będzie na świecie!
W oczach się mieni, w głowie kręci, zapominasz o wszystkim!... Dwie setnie
mołojców – dwieście wiatrów i błyskawic lecą!... Ziemia im spod nóg ucieka,
zachodzące słońce z łęku chowa się za chmury... Strach! Jeździec wpada na
jeźdźca – co dziesiąty kaleka i śmierci pożył niejeden... A komu to w głowie?
Cały kosz patrzy na tych, co mkną u przodu. Niebo i ziemia, Dniepr siwy i dzikie
ptactwo – wszystko patrzy na jeźdźców!... Coraz mniej u przodu, coraz więcej
zostaje na zawadach...¹²² Już ledwie dziesięciu... Oho! Padł jeden i drugi..., tylko
pięciu goni... I tych nie ma – leżą na stepie... Dwóch dobiega mety..., dwóch – czy
diabły wcielone? A reszta leży pokodem albo ustąpili na boki!...

Nie tak warczy chmura, gdy się ma zejść z chmurą; nie tak kra na Dnieprze
zgrzyta twardym zębem, jak warczy i zgrzyta, ogniem piecze i ścina lodem w du-
szy tych dwóch, co dobiegają mety. Pędzą ostatnim tchu wysiłkiem. Przed metą
spojrzeli na siebie.

– Ty! – wyrывa się z obu piersi, a straszny krzyk pociskiem godzi w prze-
ciwnika. – Giń! Przepadnij!

Bies znowu na opętanie sprowadził razem Dmytra i Hnata!... Nie zabili się
słowami, jak chcieli – lecą... Hej, poszłóż po biesowsku! U samej mety padły
dwa konie – równo na mierze..., a oba Kozacy rozciągnęli się na ziemi... Czort
wziął nagrodę! bo na dwoje Semenowego konia nie przedziela. Wstali Kozacy,
ale dzielny koń nie wstaje, a żal nie mały wiernego druha – rodzzonego brata!...
Sławnie skończył – a skończył!... I łza zakręciła się w oku Kozaka. Smutni stoją
nad pomartymi¹²³ końmi...

Z zadumy wywiodły ich głośne okrzyki, strzały i wołania w cześć zwycięzców.
Sam koszowy objął obu mołodźców i pocałował od serca. A cóż dopiero inni –

¹²⁰ *Duchowny.*

¹²¹ *Panie mój!*

¹²² *Zawada* – przeszkoda.

¹²³ *Pomarty* – umarli, nieżywy.

ledwie nie roznieśli chwatów z serdeczności!... Cześć wielka, sława niemała – ale jak pogodzić sprawę?... Konia nie rozdzielić, Kozaków nie złożyć do kupy...

A od czegoż rozum starszyny i kozowego? Koń Semenowy nie dla nich, ale już nikt inny mieć go swoim nie będzie... Niech i sto lat stoi na owsie, póki swoją śmiercią nie zginie – nie będzie należeć do nikogo!

Dwom chwatom wybrano najlepsze konie ze stadniny, dano każdemu po janczarce tureckiej i po parze srebrem nabijanych¹²⁴ pistoletów. A dalej – jak się rozochociła starszyna – pyta, czego chcą jeszcze.

Pierwszy odpowiedział Hnat.

– Kiedy mnie czort sprowadził z ciężkim wrogiem, a rzeki i morza przedzielić od niego nie chcą – niechaj dzieli kureń... Nie jemu jeść z jednego ze mną kotła i pić z jednej czarki.

– A ty, mołojcze? – zapytał kozowy Dmytra.

– Po jego słowie! – odpowiedział zapytany. – *I propad' ty*¹²⁵, żebym na oczy pohańca nie widział!

– Wasza wola! – ozwał się kozowy – a jeżeli ochota, to powiedzcie: jakiego czorta życie wam w niezgodzie?

– Takich dwóch chwatów – dorzucili inni – niechby drużbą doszli do bractwa.

– *Hnate! Dmytre!*¹²⁶

Jeden i drugi potrząsa głową.

– *Se mij woroh!*¹²⁷ – mruczy. – Poszanuj głowę i nie włącz mi w drogę!

Zawzięty naród! Ta nie poradzić: nie chcą drużby – niech robią, co chcą. Na to oni Kozacy!... A szkoda! Chwaty, że trudno o takich...

IV.

Hnat i Dmytro kozakują: jedzą kaszę, piją sywuchę, palą lulkę – nuda taka, że strach! Młodym by w czyste pole, między chmurę wrogów, na Tatarów, w Tureczynę – tam byłoby gdzie rozhulać się duszy kozaczej! A tu... jakoś nie czysty

¹²⁴ *Nabijany* – tu: wykończony, zdobiony.

¹²⁵ *Żebyś przepadł.*

¹²⁶ *Hnacie! Dmytrze!*

¹²⁷ *Tyś mi wrogiem.*

poplątał! W zamku było psie życie – na posługach pańskich... Do kosza przystał – myślał: do raję. A tu wyszedł na leżnia¹²⁸ i gotów jeszcze spaść się na kozackim chlebie... A prawdy nie minąć: tam na stepie błyszczą Kozakowi srebrna struga, sinooka Handzia wabi uśmiechem i doprasza się termołamy...

– *Hej, bratci*¹²⁹, pomóżcie. Gdzie tej biesowskiej dostać materii? Żeby raz zakosztować raję! – woła jeden z drugim i tęskny wzrok rzuca na nieprzejrzane okiem stepy Budżaku¹³⁰ albo hen dumką płynie z Dnieprem na Czarne Morze, do bogatych miast sułtańskich... Termołama nie daje spać Kozakom! Sama do Siczy nie przyjdzie, a koszowy i starszyzna – czy posnęli?... Ani myślą o pochodach!

Gdzie tam nie myślą! Tylko siczowym nie wiedzieć, nad czym radzą głowy kozackie – a radzą nad dobrym! Nie w smak poszło sułtanowi sąsiedztwo hołoty siczowej. „Bołączką mi – powiada – zasiedli na porohach!”. I posłał do króla swoje sułtańskie pismo: „Ty, królu lackiej ziemi, Mahometów sługo, jeśli nie chcesz powisnąć tu u mnie na haku – rozpuść het kozactwo! Żeby mi jego duch nie pachł w stepie, bo z wojskiem przyjdę, ziemię do czysta zniszczę, a z tobą zrobię jak z tamtym i dziesiątym!” – tak rozjędycyli¹³¹ się krewny Mahometa. A król nie taki! Myśli: co mi głowy łamać za kozactwo?... Niech sami radzą o sobie! I przysłał listy sułtańskie na Zaporozie.

Dopieroż to było rejwachu! Pan pisarz jeszcze listu nie doczytał, a tu wszystka starszyzna skoczyła jak jeden człowiek. A koszowy jak nie zawoła:

– Siaki a taki psie pohański! To z budy śmiesz grozić kozactwu?!... *Panowie starszyzno i wsi atamany!*¹³² Pokazać tej zagwożdżonej mózgownicy, co to Sicz może!... Chce on nas dusić w koszu? My wcześniej przypieczemy mu boków w Carogradzie! Czy zgoda?

– Zgoda! Zgoda! – odkrzyknęli atamani i starszyzna.

Im w to i graj! Wojna – choć z samym diabłem!... Bo na nic rozleżało się kozactwo... Już i kaszy nie ma czym omaścić, sadła ani na palec – taka bieda w Siczy!

¹²⁸ *Leżeń* – próżniak, leń.

¹²⁹ *Hej, bracia*.

¹³⁰ *Budżak (Budziak)* – kraina historyczna będąca częścią Besarabii, obecnie znajdująca się w granicach obwodu odeskiego Ukrainy oraz południowej Mołdawii.

¹³¹ *Rozjędyczyć się* – rozindyczyć się, rozsierdzić się.

¹³² *Panowie starszyzno i wszyscy atamani!*

Pan pisarz umoczył w kałamarzu wielkie pióro i zaczyna pisać słowami koszowego: „*Pohana sobako! Nechreste*¹³³, pałko łysa, rodzony synie piekielnych biesów, Mahomecie, sułtanie turecki! Przyszło do wiadomości sławnej na świat cały Siczy Zaporoskiej, że ty – mać by twoja taka a taka – psie niechrzczony, ze swojej budy tureckiej śmiesz ujadać na przesławne kozactwo zaporoskie, nas atamanów, starszycznę i koszowego, i pożądasz zguby sławnego na cały świat kosza Siczy Zaporoskiej, w której tobie i państwu twojemu nie być nawet kupą gnoju... Wiedz, że o tym – czortów by ci trzysta i wszystkim baszom twoim! – że sławne Zaporoże nie chce nawet pluć na ciebie, *prostowołosyj czube*¹³⁴, i na wszystko twoje wojsko plugawe, które niewarte torby sieczki i konia zdechłego, kiedy go ze skóry obedra! My, starszyczna, atamani i koszowy przesławnego wojska zaporoskiego, zapowiadamy tobie kołtunie, p...wy psie pohański, że niezadługo przyjdziemy do twej budy w Stambule i taką ci sprawimy łaźnię, że wszystkie biesy z piekła i twój prorok – siaki a taki – ci nie pomoże! A jak raz twą twą skórę wygarbujemy, to wszystkie języki twoich psów poddanych nie wyliżą ci jej za tyle lat, ile masz włosów w twojej brodzie, na którą całym koszem plujemy! Tak mówi tobie imieniem sławnego kosza zaporoskiego starszyczna i koszowy, a podpisuje pisarz wojska zaporoskiego Matwij Kormyha”.

*Staważ tobi, Hospode!*¹³⁵ Nie przepadnie marnie kozactwo! A to już tak było, że choć w wodę z *dosady*...¹³⁶ Teraz pokazać światu, co umie Zaporoże! *Ważko*¹³⁷ ci będzie, *sultunoczku*¹³⁸, bo na dwa szlachy¹³⁹ puściło się kozactwo: koszowy wie-dzie, mołojców po suszy¹⁴⁰, a druga kupa siczowych płynie czajkami! Z dwóch boków zabiorą się do księżycy... Ciężko będzie pohańcom.

Nareszcie raz doła rozdzieliła wrogów: Hnat w czajce popłynął, a Dmytro krasuje się¹⁴¹ na koniu – tuż koło koszowego, który mile patrzy na dorodnego Kozaka i kręci długiego wąsa. Tam to już chwacka drużyna, ci siczowi! Chłopcy

¹³³ *Psie pogański niechrzczony!*

¹³⁴ *Prostowołosa czupryno.*

¹³⁵ *Chwała Ci, Panie.*

¹³⁶ *Z żalu.*

¹³⁷ *Ciężko.*

¹³⁸ *Sultaneczku.*

¹³⁹ *Szlach – szlak.*

¹⁴⁰ *Susza – ład, ziemia.*

¹⁴¹ *Krasować się – wyróżniać się czymś, w jakiś sposób; paradować.*

jeden w drugiego jak malowany – a z koniem to niby jeden człowiek: nie różnisz! W Kozaku i koniu jedna dusza, jedno bije serce – tak się rozumieją ze sobą, tak siebie kochają!...

A tam, na Sinym Morzu¹⁴² – biesowskie dzieci! Czajka jak łupina orzecha unosi się na wysokiej fali: to wyleci w górę, aż hen gdzieś pod niebo, to z nią spadnie w pieniającą się bezdnę¹⁴³ – zdaje się, śladu nie zostanie. Gdzie tam – wypłynęła na wierzch i leci strzałą, tylko szable i janczarki kozackie migocą w złudnym świetle, a na atamańskiej łódce z chorągwi wyziera srebrny archanioł¹⁴⁴.

Poszłóż kozactwo Turecczyzną! A jaką połąć ziemi zajęło – popamięta przejście hołoty przez długie lata!... Czajki nyszkie¹⁴⁵, cichutko do brzegu podpłyną, zakryją się sitowiem i sza! A za jaką minutę niby spod ziemi wyrasta kozactwo. „Hurah!” – leci z okrzykiem, utoczy wrażej posoki¹⁴⁶, zapali zamek obronny i... hulk w wodę. Płyną, niby dla żartu wysiedli na brzeg ludny!...

Ciężko psom bisurmańskim z chorobrym¹⁴⁷ kozactwem! Sami wywołali biedę na lichy, a teraz pokutują, głowami rozplacając się za urazę sławnego kosza. To biesowe dzieci, same charakterniki!¹⁴⁸ Gdzie się ich najmniej spodziewasz – tam wpadną, złupią, zniszczą wszystko i przepadli!... Szukajże wiatra w polu! Aż słyszysz – wypłynęli szmat drogi: tam zniszczyli obóz, wycięli załogę, zabrali sułtańską kasę... Bisurmany w głowę zachodzą... Ściągają wojsko, gdzie jakie było... Już otoczyli siczowych, już pewni zwycięstwa, dziękują Allachowi, że gjaurów zagnał w matnię... A kozactwo zamiast być w środku, wpada na karki bisurmanów i takie sprawia poczesne¹⁴⁹, że basza jeden z drugim ledwie się opamiętał w Oczakowie¹⁵⁰ albo w Adrianopolu!¹⁵¹

Gdzie tylko przyszło do rozprawy z bisurmanem, Hnat i Dmytro zaraz pytają: „Czy jest tu termołama?”. A Turkom to w głowie, kiedy ich czesze kozactwo po czubach, że krwawy pot występuje i za turbanem leci głowa z karku... Nie ma

¹⁴² *Sine Morze* – Morze Azowskie.

¹⁴³ *Bezdna* – otchłań.

¹⁴⁴ *Archanioł* – tu: archanioł Gabriel.

¹⁴⁵ *Nyszkiem* – bezszelestnie.

¹⁴⁶ *Posoka* – krew.

¹⁴⁷ *Chorobry* – dzielny, mężny.

¹⁴⁸ *Charakternik* – ktoś niepospolity, wyróżniający się czymś.

¹⁴⁹ *Poczesne* – gościna.

¹⁵⁰ *Oczaków* – miasto w południowej Ukrainie, w obwodzie mikołajowskim.

¹⁵¹ *Adrianopol* (Edirne) – miasto w północno-zachodniej Turcji.

biesowskiej termołamy! Czy drwiła z Kozaków stepowa dziewczyna? Ale, prawda, mówiła, że to mają tylko sułtańskie carówny... Prędej do sułtana!

Stało się po ich dumce. Koszowy z wojskiem przysiadł się na czajki płynąć do Carogrodu. Czort znowu sprowadził Hnata i Dmytra do jednej łódki! Duszno Kozakom... Ciężki wróg o dwa kroki, a tu nietajno, że płynie po termołame i zaraz dmuchnie¹⁵² na step do krasawicy kosztować rajy...

– Niedoczekanie twoje! – mruczy jeden.

– Pohybel na ciebie! – wtóruje mu drugi i nie dobrym okiem mierzą się, że zjeść by się chcieliby ale w pochodach wszystkie swarki¹⁵³ zabronione: milczeć i wypełniać rozkazy powinność Kozaka, a za byle co – kula do szyi i w wodę.

Sułtan przeczytał list kozacki... Tak mu coś niby chrzanem zakręciło w nosie!... Gościna Kozaków – gościna niemiła, a że koszowy słowa dotrzyma, to jak Allah jeden, a Mahomet jego prorok!... Gdzie jakie było wojsko, kazał mu sułtan wystąpić w pole i zagrodzić drogę Kozakom do Stambułu.

Daremną robotą! Ich sto tysięcy pilnuje w polu maniaka¹⁵⁴, a koszowy czajkami dopływa sułtańskiej siedziby i gładzi długie wasy – a to znak, że wszystko idzie po jego dumce. Niekoniecznie!

Skinder-Basza sztuka proworna!¹⁵⁵ Przewąchał, że kozactwo morzem podpływie, i wysłał korab¹⁵⁶ na spotkanie. Noc ciemna, choć wykol oko. Turek z okrętu nie to czajki, ale nie dopatrzy samego biesa i, ot – może na strachy – wypalił z harmaty... Biesowska kula miała dobre oczy – jak raz wpada pomiędzy czajki kozackie!... Ani się opatrzyli mołojcy, jak wypadło skapać się w morzu... Poszedł i Dmytro pod wodę...

Różnie myślał Kozak, ale że rybom pójdzie na strawne – w dumce mu nie powstało... A kozactwo? A Handzia sinooka?... Jak się rzuci w prawo, w lewo – uderzył się o coś łbem. Patrzy: czajka – dalejże do łodzi! Już był bezpiecznym, słucha: coś się obok pluchocze – Kozak... Żal duszy chrześcijańskiej. Buch – znowu do wody, porwał tonącego za czuprynę, dopłynął czajki, sam wylazł i Kozaka wysadził. Zaczyna go tormosić... Odląła się woda z topielca, księżyc niby umyślnie

¹⁵² *Dmuchać* – tu: uciec.

¹⁵³ *Swarka* – kłótnia.

¹⁵⁴ *Maniak* – wypchany zabity ptak, służący do manienia ptaków podczas polowania na nie.

¹⁵⁵ *Proworny* – sprytny, zwinny.

¹⁵⁶ *Korab* – statek.

oświecił jego twarz... – *propad' ty!*¹⁵⁷ Wroga sobie wyciągnął Kozak – uratował Hnata... No, szczęście, czterdziestu upadło do wody, a ten z nich wszystkich tylko wroga wyciągnął... Ot, dola!

A i Hnatowi niedobrze się zrobiło. Jakże teraz dziękować wrogowi, że go wyciągnął z wody?...

– Kto cię prosi?! – wykrzyknął i na równe zrywa się nogi..., a tu go ktoś wiosłem pociągnął po grzbiecie. Patrzy Kozak – koszowy!

– *Cyt, sobako!*¹⁵⁸ Bo Turków naprowadzisz... *Poodno!*¹⁵⁹ – dał rozkaz i czajki rozsypały się po morzu... Teraz już im diabeł nic nie zrobi!

Nie było wielkiego licha: kuła przewróciła czajkę, mołojcy napili się morskiej wody, ale wszyscy, żywi, znowu zeszli się do łodzi – a sprawują się cicho, bo tak nakazał koszowy. Siwa głowa – tam rozumu u niego za cały kosz, jeżeli nie więcej! Miarkuje teraz, jaką by pohańcom uciąć sztukę, ale tak co się zowie, po kozacku!

– Ha, jest dobry sposób, ale czort wie, jak tu zrobić... Okręt na strzał harmatni – można by mu przypiec szczeciny, gdyby się chwata znalazł i do nosa wpakował mu tabaki...

– A jakby to zrobić? – nieśmiało zapytał Hnat, który już przyszedł był do siebie i słuchał mowy koszowego.

– Nie twoim rozumem – odmruknął przywódca Kozaków.

– A jakby moim?...

– Ano przepłyniesz do korabiu?

– Przepłynę.

– *Breszesz!*¹⁶⁰

– Spróbujcie, bat'ku, to się pokaże.

– *Pobaczymo!*¹⁶¹ Ot, tu sznur podajcie, chłopcy, zaczeć go za nos okrętu tak, żeby nie widzieli, i powracaj z nim nazad... Ale cię bies i do okrętu nie dopuści – drogi kawał dobry, a trzeba płynąć pod wodą...

– Spróbuję! Niemiłe mi życie z wrogiem na jednej desce – lepiej w morzu.

*Buwajcie zdrowi!*¹⁶²

¹⁵⁷ *Bodaj byś przepadł!*

¹⁵⁸ *Cicho, psie!*

¹⁵⁹ *Rozproszyc się!*

¹⁶⁰ *Łżesz!*

¹⁶¹ *Zobaczymy!*

¹⁶² *Bywajcie zdrowi!*

Wypatrzyli się Kozacy, a z Hnata tylko bulki¹⁶³ na wodzie... i sznur się posuwa – znak, że Kozak płynie...

– *Czortowa dytyna!*¹⁶⁴ – mruknął koszowy. – Wart być Kozakiem, jeżeli dokaże sztuki! Sznur idzie..., no, no, K o z a k – t a k, t a k.

Koszowy z uwagą patrzy na wysuwający się z łodzi sznur; niekiedy spojrzął w jego kierunku, jakby okiem mierząc odległość...

– *Pomynajcie duszu!*¹⁶⁵ – rzekł po chwili. – Sznur się nie rusza, czort wziął Kozaka, a szkoda!

Dmytro mimowolnie przeżegnał się. Grzech – a lżej mu się zrobiło, że pozbył się wroga...

– Idzie! Jeszcze idzie! – wykrzyknął w tej chwili koszowy. – To chyba bies ciągnie, bo czemu by Kozak tak długo spoczywał pod wodą?... *Abo pało, abo propało!*...¹⁶⁶ Tu już nikt nie zgadnie! – I znowu zamilkł.

Ubiegło dobrych kilka minut. Żyje Hnat czy nie żyje? Dmytro ciekawie wyjrzał z czajki.

– Chyba go czort ustrzeże na moje bezhołowie!¹⁶⁷ Niechby..., tfu, przez tego holtiapakę grzech na duszę biorę. *Wo imia Ojca i Syna!*...¹⁶⁸

– *Amiń!*¹⁶⁹ – odpowiedział mu głos w pobliżu: Hnat, żywy Hnat wszedł do łódki koszowego... Wszyscy aż krzyknęli, zobaczywszy go na oczy.

– *Mołojcze! Ridnyj synu!*¹⁷⁰ – porwał go w swoje objęcia koszowy. – Uchowal cię did'ko. A coż ze sznurem?

– Ot, drugi koniec...

– *Czortowa dytyno!*¹⁷¹ Ciebie tu Hospod' sprowadził na sławę kozactwa! A co to za krew na czole?

– *Durnyčia!*¹⁷² Turek zdrzemał się na straży, a zanim go wyprawilem do piekła, udrapnął kindżałem. Przyschnie...

¹⁶³ *Bulka* – bańka powietrza.

¹⁶⁴ *Czarci syn!*

¹⁶⁵ *Módlmy się za jego duszę.*

¹⁶⁶ *Albo padło, albo przepało!*

¹⁶⁷ *Zgubę!*

¹⁶⁸ *W imię Ojca i Syna...*

¹⁶⁹ *Amen!*

¹⁷⁰ *Mołojcze, synu rodzony!*

¹⁷¹ *Czarci synu!*

¹⁷² *Drobnostka!*

– *Pylno!*¹⁷³ – dał sygnał koszowy. – Gdy się zacznie okręt palić, z *Bohom na prystup! Bohorodycia z nami!*¹⁷⁴

Niemieckiej sztuki zażył koszowy z Turkami! Rzecz niezwykajna, a znał się z ogniami niby z masną¹⁷⁵ kaszą i nieraz wyrabiał takie sztuki, że dziwo! Ot, i teraz nie ubiegło ćwierć godziny, a źle było z pohańcami... Koszowy do sznura uwiązał jakiegoś did'ka, który wielkim wybuchnął ogniem u samego nosa okrętu i objął go płomieniem. Biesowska tabaka koszowego! Przyszło od niej nie lada kichnąć bisurmanom, a Kozacy jak nie krzykną: „*Zdorowo!*”¹⁷⁶ i dalej pod okręt – niby z morza wyszli. Turcy nie wiedzą, czy okręt gasić, czy bronić się od Kozaków, którzy jak raki uczepili się boków okrętu i na pokład leżą... Rzucili się tu i tu – nie pomogło! Hołota już na pokładzie i siecze wrogów na kapustę. „*Ałach!*” – wrzasnęli bisurmanie – rzucają broń przed zwycięzcami i w myszą chowają się dziurę...

Krótko było po wszystkim! Zawzięte kozactwo nie oszczędziło nikogo! Co było pohańskiego mięsa – poszło na jatki!... Hołota czasu nie tracąc, zabiera doby tek. A nie ten to Dmytro, żeby nie myślał o sobie. Kto bierze złoto, zbroje, makaty¹⁷⁷ – a on dał nurka pomiędzy składy i szuka... termołamy! Niewiele było potrzeba, ażeby się doszukał śmierci.

– Do czajek – huknął koszowy – bo ogień do prochów dochodzi!

Groźne słowo. Kto żyw, go słucha, bo z prochem żartów nie ma! Kozacy jak mogą najprędzej wsiadają do łodzi. Hnat widzi, że Dmytro nie wyszedł ze składów... Wroga by się teraz pozbyć – to plunąć! Ale mu winien życie... Nie namyślał się długo, choć ogień zajmuje już połowę okrętu i lada chwila rozsadzi go na części, Kozak jednym skokiem wpada na schody. Siroma Dmytro nie mógł po ciemku doszukać się termołamy... Chwycił oberemek¹⁷⁸ rozmaitych materii. Sapie, a niesie – pomiędzy nimi pewno jest ta przekłeta!... Ani się opatrzył, a tu go Hnat chwyta za karczyło...¹⁷⁹ Kozakowi żal materii, a pokazałby mu, jak zażywać zdrady!... Hnat nie wchodzi w rozprawy – dźwignął Dmytra pod siłę i jak piłkę ciska do odpływającej czajki, a sam buch! – do wody... Dopędził i siada przy innych...

¹⁷³ *Uwaga!*

¹⁷⁴ *Z Bogiem do ataku! Bogurodzica z nami!*

¹⁷⁵ *Masny* – tłusty.

¹⁷⁶ „*Naprzód!*”.

¹⁷⁷ *Makata* – jedwabny kobierzec przetykany złotą lub srebrną nicią (złotolita lub srebrnolita) o stylizowanych wzorach roślinnych.

¹⁷⁸ *Oberemek* – wiązka, pęk.

¹⁷⁹ *Karczyło* – karczydło.

Oszołomiony Dmytro chwilę nie mógł przyjść do siebie, wreszcie porywa się i chciał dopaść wroga. Wtem zakipiało morze, rozwarło się – huk taki, jakby świat pękł na czworo: czajki rozleciały się po morzu... Hnat wskazał ręką na okręt.

– Niedłuzny! – mruknął.

Otworzyły się oczy Dmytrowi.

– *Czortiw syn!*¹⁸⁰ – wycodził przez zęby i usiadł na miejscu.

Tylko bulki zostały z tureckiego korabiu, a czajki popłynęły dalej.

Koszowy kręci węża – rad, że mu się udało sztuka. Mołojcy patrzą, czy daleko jeszcze do Carogrodu. A Hnat i Dmytro, zachmurzeni, siedzą obok siebie, przeklinają dołą, że z wrogiem rozłączyć nie chce.

– Lżej mi było prochem wylecieć w niebo, anizeli tu patrzeć na tego biesa... – myśli ponury Dmytro. – Nu, dola sobacza, że się ja tego czorta pozbyć nie mogę!

– Niechby mię już pożarła ryba, czym miał wyratować ten... – nie kończy Hnat, patrząc przed siebie... A czajki mkną jak strzały!

*Czarne more, synie more –
Kozackeje more!
Czy na radiśt' zacorniło,
Czy na nasze hore?*¹⁸¹

Kto wie?... Czajki płyną, dumka kozacza szybki lot ich wyprzedza. *Hraj, more!*¹⁸² Płyniemy do Carogrodu!

*A w turečkoho sultana wysoki kimnaty,
W Carhorodi bazar wetyk – je de pohulaty!
U choromach krasawyci – sami pyszni krali.
„Ta wytajte, Kozaczeńky – my was dożydały!”*¹⁸³

¹⁸⁰ *Czarci syn!*

¹⁸¹ *Czarne morze, sine morze –
Kozackie morze!*

*Czyś na szczęście poczerniało,
Czy na nasze gorze?*

¹⁸² *Graj, morze!*

¹⁸³ *U sultana tureckiego wysokie komnaty,
W Carogrodzie wielki bazar – jest gdzie pohulać!
Po domach krasawice – same piękne panny.
„A witajcie, Kozaczyny – myśmy was czekały”.*

Sto innych pieśni jeszcze brzmi w duszy kozackiej. Wyrwać by się chciały i głosem z piersi popłynąć... Ta ba – rada by dusza do rajy... Wola kozowego zamknęła gębę kozactwu... Dopiero gdy w młodoczej ręce błysnie szabla – wtedy i piersi lżej będzie!... Marudna robota – pływanie!

Znana rzecz, że Bohorodycia lubiła Kozaków jak rodzone dzieci – bo gdzie jej było lepiej niż na Siczy Zaporoskiej... Kozak nie zawsze wiedział, co tam w niebie, i duszę ważył nie więcej jak bujną głowę, ale co do cześci dla Bohorodycy – nie było mu równego! Kamienna podłoga cerkwi kozowej powytłukana czubami kozackimi w pokłonach!... A co tam pereł, złota, kamienia drogiego – do Kijowa wysłałbyś tym drogę i jeszcze dosyć zostanie... Lubiłaż za to Preczysta wierne jej kozactwo i – choć jak się srożył – a zawsze wyprosiła u Spasa¹⁸⁴ porady dla holtiapaków.

Ot, i teraz: wiatr niby się zaprzągnął, dmie w płótna czajek, że wiosła podstawiali, a choć słońcu dawno na wstawanie, gruba mgła okrywa świat cały, że do komnat sułtańskich wejdiesz – nie to do Carogrodu. Koszowy wie, że droga bliska. Rad z ciemnej mgły układa plan napadu i kręci długie wąsy. Oj, te wąsy atamańskie! Niemale licho wróżą one dla tureckiego cara...

Do łódki kozowego weszło dwóch kurennych¹⁸⁵: Taraneć – kiedy znacie – i Harasym Szwydki. Przyszli na poradę¹⁸⁶. Taj rada tam mądra, że jej wyjść tylko z głowy atamańskiej i myśleć o kozactwie! Postanowiono: w szuwarach na brzegu azjatyckim ukryć łodzie, przesiedzieć do nocy, a z pierwszą gwiazdą p r z y p i e c T u r k o m g r z a n k i! Zasedłszy z tyłu, ażeby lepiej dopiektło!...

Ośmdziesięciu ma pilnować łodzi, sotnia młodźców niechaj wantaży¹⁸⁷ dobytek, a reszta pod przewodem kozowego i dwóch atamanów pokaże, co umie, w Skutari!¹⁸⁸ Za minutę wiedziało kozactwo o postanowieniu starszyny – i radość tam, że z biedą powstrzymać się mogą, by nie wykrzyknąć z pełnej piersi: *Hurah! Sława Bohu!*¹⁸⁹ i wyrzucić w górę czapkami, choćby powpadały do morza... U Tur-

¹⁸⁴ *Spas* – Zbawiciel.

¹⁸⁵ *Kurenny* – tu: ataman kurenny, czyli dowódca jednego z oddziałów Kozaków w koszu.

¹⁸⁶ *Porada* – narada.

¹⁸⁷ *Wantażyć* – ładować, pakować.

¹⁸⁸ *Skutari (Chryzopol)* – starożytne miasto położone nad cieśniną Bosfor, dziś dzielnica Stambułu.

¹⁸⁹ *Hura! Na chwałę Bożą!*

ków dla siczowych znajdą się czapki lepsze!... Tylko jedno Kozakom *hore*:¹⁹⁰ kto zostanie w łodzi? Kto pójdzie na posługi?... Z nich każdemu chciałoby się pobywać w tureckim mieście, pohulać z pohańcami... Byłoż tam modlitwy, że Kozak za cały rok tego nie namodlił... Siczowik, o jakim świętym tylko zasłyszał, każdemu obiecywał świecę, żeby mu tylko wyprosił u starszyny pójście na swobodę, na pohulanie w mieście z Turkami... Spodoba¹⁹¹ świeczkę prepodobny¹⁹² – wysłucha, nie spodoba – *propało!*...¹⁹³

– *Dopomoży, światyż Mykoło!*¹⁹⁴ – woła Kozak jeden z drugim, a jak się nie modł – ktoś zostać musi... Ot, w tym i *hore* Kozaków!

Wzięto się do grzanek ze słoniną, wypito po czarce wódki – do wioseł! W największej ciszy podpływają czajki do brzegu. Przodem wysłana na wywiady czajka kurenego Tarancia dobrze wskazuje drogę... Już niedługo do kozackiego wesela, niedługo do rozprawy z pohańcem!

Słońce może by i chciało odkryć oczy Turkom, przedarło się przez mgłę – późno! Czajki kozackie jak stado kaczek wpadły pomiędzy szuwały i śladu po nich nie zostało! – Wierne morze! Od tego się i zowie *k o z a c k i m*, że zawsze stawało siczowym w przygodzie.

Markotno Sułtanowi w Stambule. Hołota kozacka nie daje mu marzyć spokojnie, choć nie żałował haszyszu. Janczary¹⁹⁵ i spahy¹⁹⁶ bronią sułtana, bramy miasta poobsadzone żołnierzem, choć o wrogu ani słyhu nie ma – a przecież niewesoło *p r a w o w i e r n y m*. Rozdroczyli¹⁹⁷ rój szerszeniów, a teraz drży skóra... Tak wam trzeba, pohańcy! Siedzieliby cicho w domu, a nie napierali się gwiazdy z nieba!... Kosz w oczy kole niejednego, a wszystkim do niego zasie!¹⁹⁸ Będzie i wam nauka!

Tam mądrość u koszowego, że nie wiesz, skąd jej tyle nabrał! Dziwiło się kozactwo, po co z ostrowów zabiera jakieś deski wymalowane? Co w ciężkich

¹⁹⁰ *Trapi*.

¹⁹¹ *Spodobać* – tu: przyjąć.

¹⁹² *Prepodobny* – święty.

¹⁹³ *Przepadło!*

¹⁹⁴ *Święty Mikołaju, dopomóż!*

¹⁹⁵ *Janczar* – żołnierz doborowych oddziałów piechoty tureckiej.

¹⁹⁶ *Spah* – żołnierz dawnej nieregularnej armii tureckiej.

¹⁹⁷ *Rozdroczyć* – rozzłościć.

¹⁹⁸ *Zasie (zasieć)* – nie wolno.

skrzyniach, które brano do czajek? A w szuwarach dopiero dowiedzieli się prawdy: deski przypasowano do czajek – wyszły *k a i k i*¹⁹⁹ tureckie, a w skrzyniach – turbanów bez liku... Przez noc poprzystrajało się kozactwo – *iste*²⁰⁰ Turki... No, już rozum u kozowego! Taką łodzią, w turbanach, choć dniem płyn do Carogrodu – nikomu się nie przyśni zatrzymać... Rozumny kozowy!

Oj, byłoż harmidera – choć sprawiano się cicho – zanim przyszło do wybrania tych, którzy nie mieli iść na pohańców!... Sam kozowy musiał do tego przeznaczać. Hnat i Dmytro ledwie, ledwie żywi ze strachu... ale *Hospod' myłowaw*²⁰¹. Kazał im kozowy wziąć turbany na głowę – znakiem, że płyną do Carogrodu. No, teraz będzie termołama! Grzechu nie utaić: obydwom w głowie stepowa krasawica...

Strzegła Preczysta wierne kozactwo – przepłynęli Bosfor szczęśliwie, a druga połowa weszła do Skutari. Drużyna kozowego, zebrana w nadbrzeżnych ulicach miasta, czeka umówionego znaku. Ataman Szwydki nie marudzi: harmatni wystrzał znakiem, że się taniec rozpoczął... Wielka luna nad Skutari świadczy, że pył nie lada leci spod nóg kozackich!... Przeżegnał się kozowy, skinał na drużynę... turbany poleciały z głowy, żeby po ciemku nie brać się za Turków. Hołota jąknie, krzyknie: *Sława Bohu! Huraha!*²⁰² i wpada na ośupięte ze zdziwienia wojsko tureckie!

Oj, byłoż tam mięsa, że *hyd*²⁰³ wspomnieć!... Turka rozum odstąpił: rzucając broń i biegną w popłochu, żeby się skryć za warowne bramy miasta, a Kozacy wsiedli na karki... Porwał się Sułtan i oczy w słup mu poszły... Tam Skutari morzem płomieni... tu kule kozackie tłuką okna pałacu, a ich wojenne okrzyki wstrząsają duszą Mahometa. To był wojak, jakiego znaleźć trudno, i rycerz był sławny, a tak się uląkł kozactwa, że krzywą szablę odpina od boku i leci do Aja Sofii meczetu²⁰⁴, i każe derwiszom²⁰⁵ wzywać pomocy proroka, a sam w prochu korzy się przed gniewem Allacha, który mu największych wrogów sprowadził do stolicy.

¹⁹⁹ *Kaik* – długa, wąska łódka z lekkiego drewna.

²⁰⁰ *Isty* – istny.

²⁰¹ *Pan Bóg się zlitował.*

²⁰² *Na chwałę Bożą! Hura!*

²⁰³ *Strach.*

²⁰⁴ *Aja Sofii meczet* – meczet Hagia Sofia w Stambule.

²⁰⁵ *Derwisz* – członek muzułmańskiego bractwa religijnego o charakterze mistycznym.

Pod mitrami²⁰⁶ oparło się Kozactwo.

Czy budemu byt'cia?

*Czy budem myryt'cia?*²⁰⁷

Może by i pomyślał nad tym koszowy, gdyby w tej chwili nie rozwarły się bramy jednego z pałaców i dobrze wymierzona kula nie wpadła pomiędzy kozactwo. Warknęła przeklęta, poszła w kółko, gwizdzy, szypie, jakby w niej milion siedziało diabłów; proch rozsadził boki – jak nie zamaluje Kozaków odłamami, tak i koło wyrąbała pomiędzy siczowymi! Atamanowi krew uderzyła do głowy. Zawrzało i pomiędzy kozactwem.

– *Propad', wraże!*²⁰⁸ – ryknął koszowy z pełnej piersi i rzuca się w stronę pałacu. Kozactwo za nim, a Hnat i Dmytro tuż przy atamańskim boku.

*Nie uspiął*²⁰⁹ Turek drugi raz wypalić z harmaty, nie miał czasu zamknąć wrót żelaznych... Kozactwo już na podwórzu!...

– Huraha! – leci okrzyk, a z nim kopy głów tureckich.

To pałac Reszyda-Baszy. Kozactwo ma z nim rachunki – teraz pokończy!

– *Mołodci, można pohulaty!*²¹⁰ – zawołał koszowy.

Kozakom tego tylko było potrzeba – wałą na pałacowe ganki, a koszowy z nimi. Nielekko marmurowym posadzkom pałacu dźwigać kozactwo siczowe – pękają pod ciężką stopą! Świszczą kule tureckie, pocałunki szabel iskrami świecą, okrzyk kozacki miesza się z głuchym szmerem zwyciężanych Turków. Przekleństwa, jęki konających, głos harmat z murów Carogrodu... – muzyka ucieszna!

– Śmierć pohańcom! – wołają Kozacy, brnąc we krwi po kostki.

– Żywcem Reszyda! – zagrzmiął głos koszowego, któremu kula odcięła osetę, a szabla liznęła po twarzy.

– Hurah! – ozwały się głosy i Dmytro pierwszy skoczył w ciemne krużganki. Zapomniał o termołanie – jemu teraz trzeba Reszyda!

Ta nie ten to Basza, żeby się dał wziąć żywcem – a jeszcze Kozakom, z którymi znał się nie od dzisiaj! Póki jeszcze nie tak było ciężko, tępił krzywą szablę

²⁰⁶ *Mitra* – bóstwo solarne w mitologii indoirañskiej.

²⁰⁷ *Czy się będziemy ukladać?*

Czy się będziemy ukladać?

²⁰⁸ *Giń, wraże!*

²⁰⁹ *Nie zdążył.*

²¹⁰ *Mołodźcy, można poswawolić!*

na kozackich czubach, a teraz wziął się do janczarki²¹¹ i praży kulkami, że ciężko wytrzymać!... Niewolnicy podają broń nabitą, a Basza kulę za kulą posyła w ciemne korytarze niepewny: swoich zabija czy nieprzyjaciół.

Dmytro sam jeden przebiegł już dziesiątki komnat. Z szablą w jednej, a z pistoletem w drugiej ręce szuka Reszyda. Ostry jatagan trzyma w skrwawionych ustach... Kozaka bies uczy wojować, nauczył i Hnata! Przebiega Kozak komnaty i ganki. Tu widać światło... Silnie kopnął nogą, drzwi rozwarły się na oścież... Oj, źle z Kozakiem! Wpadł do komnat niewieścich – wpadł do samego rajy. Krasawice z całego świata zalęknione, łzawe; na widok zbrojnego Kozaka rzucają się z jękiem na kolana, błagają litości... Mięknie Kozak siroma i kindżał z ust mu wypada, szabla pochyla się...

– *Propad' ty!*²¹² – wstrząsł się cały i szybko wybiega z komnaty, ucieka przed czarnym okiem, przed łabędzią szyją.

Przypomniat Handzię sinooką... przypomniat termołame...

– Reszyda! Reszyda-baszę! – woła. – Będzie raj i niebo, tylko mi tego baszę wynaleźć!... – i strzałą puścił się na dalsze komnaty.

A Turkom coraz to gorzej: kozactwo zbija ich do kupy i praży, że trudno co począć... Cofają się pohańcy, a siczowi krok w krok za nimi!... Reszyd-basza widzi, że sprawa niedobra. Zaprzestał strzelania i myśli, jaki by znaleźć ratunek. Trudne poratowanie, bo siczowa hołota nie daje czasu do namysłu. Już tylko kilkunastu Turków broni baszę – reszta leży pokotem; niedługo i ci ustąpią... Ratuj się, sługo sułtański, bo niedobre czeka cię od kozactwa!

W tej chwili do uszu baszy przedarł się przez mury jęk kobiet haremu... Mordują żony i niewolnice!... Turek zdrzął. Rozpacziwa myśl przemknęła mu przez głowę... Zaśmiał się dziko i wybiegł potajemnymi drzwiami.

Bodaj się świeciły świetlice kozackie, a bies niechaj zabierze wszystkie pałace! Tam człowiek zawsze u siebie – wie, gdzie się obrócić, a w pałacu baszy s i r o m a s z n y²¹³ Dmytro jak w lesie... Biesów by mu trzysta! Taki zamoroczny²¹⁴, że ani rusz trafić do ładu! Szedł górą, dołem, przez wielkie komnaty, korytarze, krużganki – po omacku..., a nie tylko, że Reszyda nie znalazł, ale odbił się tak

²¹¹ *Janczarka* – lekka strzelba z długą lufą, pochodząca z Turcji.

²¹² *Zgiń, przepadnij!*

²¹³ *Siromaszny* – nieszczęsny.

²¹⁴ *Zamoroczny* – zamroczony.

od swoich, że ledwie dochodzi go odgłos strzałów... Pohana robota! Czy tu już pohybel ma przyjść na Kozaka? Śmiało, na przód! Nie może być, żeby przekłety pałac nie miał gdzie końca... Ledwie postąpił kilkanaście kroków: buch! – i przewalili się w przepaść... Leciał, leciał... zdawało się, do piekła na dno i upadł w jakąś słomę. *Śława tobi, Hospode!*²¹⁵, a to inaczej i kostek nie doszukaliby się z Kozaka... No, teraz chyba już śmierć niesławna pod ziemią... Gdzie tu u Boga znaleźć jaką poradę? *Pohyb Kozak nizawiszczo!*²¹⁶

Ta nie ma nad czym myśleć długo – trzeba poszukać wyjścia... Idzie Kozak, a już bezpieczniej, żeby na nową jamę nie trafić, w której może i słomy nie będzie... Maca ściany – wilgotne... Gdzieś wpadł do wilczej nory!... Szedł tak dobry kawał – słyszy jakiś głos tęskny. Słucha – znana nuta... *A bihme*²¹⁷ – Dumka ukraińska.

*Stepom, tuhom witer wije,
Wije zawywaje.
U newoli serce mlije,
Mlije omliwaje.*²¹⁸

Kozak słucha i uszom swoim nie wierzy: dumka, szczerza dumka... Czary czy urok! To i w piekle żyje Ukraina?... W tej chwili brzękły łańcuchy i głuchy jęk doleciał Dmytra... Zrozumiał wszystko – to Kozacy w tureckiej niewoli. Z ich to piersi płynie smętna dumka... Puścić braci na wolę – powinność Kozaka!

Za głosem nietrudno mu było kierować się..., doszedł do drzwi żelaznych..., krzyknął po kozacku: *Puhu!*²¹⁹ – wszystko zamilkło. Dmytro okrzyk powtórzył, za trzecim dopiero razem radosne: *Puhu!* odpowiedziało z głębi więzienia i brzękły łańcuchy, jakby się porwać chciały...

– A jak was wyswobodzić? – huknął Dmytro.

– Rozbić drzwi! – ozwał się głos z wnętrza.

²¹⁵ *Dzięki Ci Boże!*

²¹⁶ *Przepadł Kozak nie wiadomo za co.*

²¹⁷ *Jej Bohu.*

²¹⁸ *Na stepie, na ługu wiatr wyje,*

Wyje i zawodzi,

W niewoli serce więdnie

Więdnie i omdlewa.

²¹⁹ Zwyczajowe przywitanie Kozaków zaporoskich.

Ba, rozbić! Powiedzieć łatwo, a goła ręka kutemu żelazu nie sprosta! Zadumał się Dmytro, a tu mu coś brzękło pod nogami; dotyka – klucze! Szczere klucze..., może od zamku? Próbuje: otwarły się ciężkie drzwi więzienia i Kozak wszedł do pieczary. Dobrze, że nie miał sowych oczu, bo straszliwe ujrzałby rzeczy. Pieczara długa, długa, niewolników przykutych łańcuchami do skały było kiedyś wielu..., dziś już kilku tylko – reszta zgniła albo dogniwa pod łańcuchem. Nikt nie spieszy grzebać umarłych...

Oko więźnia – oko sokole! Żywi obaczyli Kozaka... Jak nie wykrzykną w jeden głos!... Jak się nie rzucą na łańcuchach... Boże ty, nie daj zakosztować niewoli! Ale bez tego nikt nie zrozumie, co się dzieje w sercu, gdy nadchodzi wolność!...

Dmytro najpierw zabrał się do rozbijania łańcuchów. Kto się upomniał – został wolnym, kto milczał – *Wieczna jomu pamiat!*²²⁰ Opadły łańcuchy. Niewolnik stanął – i zapłakał... Żał mu żelaza czy straconych lat w niewoli?... Młodym zakuto w łańcuchy, *tycarom sławnym*²²¹, a teraz zdał się do liry, na dziada... Policzyli się – dziesięciu..., a różnymi czasy było ich w pieczarze trzydziestu kilku – reszta ma u Boga spoczynek.

Niewola nauczy modlitwy. Modlą się zatoczeńcy²²² – żegnają pomarłe dusze.

– *Wedy, Kozacze!*²²³ – mówią wreszcie do Dmytra, otarłszy z łez oczy. – Prowadź... Choć umrzeć ze swoimi.

– Pójdziemy razem – odpowiedział Dmytro – bo diabeł tu zna drogę.

– Ano chodźmy!

Idą omackiem. Cicho... Odgłos strzałów, okrzyki... Żle z Turkami! – Jakiś szmer w oddalonym korytarzu... Ktoś biegnie... Kroki skierowują się w stronę Kozaków. Zaparli dech – czekają... Jakaś postać z pochodnią w ręku przemyka się korytarzem... Turek... Za nim! Na zakręcie pochodnia jaśniej twarz Turka oświeca.

– Basza! – poznali go jeńcy.

– Reszdy!?! – wykrzyknął uradowany Dmytro, aż Turek zatrzymał się chwilę w miejscu, nasłuchując... Kozacy zamilkli, basza pobiegł dalej. Za nim! Dmytro

²²⁰ *Wieczna mu pamięć!*

²²¹ *Wolnym Kozakiem.*

²²² *Zatoczeniec – uwięziony.*

²²³ *Prowadź, Kozacze!*

o kroków kilka... Zabić Reszyda nie sztuka, ale żywcem pochwycić, jak chciał koszowy – ot, nad czym myśli Kozak!

Odmyka Reszyd ciężkie drzwi z żelaza, spuszcza się do głębszego jeszcze podziemia. Kozacy za jego przewodem, a Dmytro na przedzie...

Mróz przeszedł wszystkich po kościach... Reszyd wprowadził Kozaków za sobą do prochowni... Chciał czy nie chciał – Kozak, a przeżegnać się musiał! Strach spojrzeć śmierci w oczy, kiedy siedzi na kupie prochu!

Basza stanął ponury – słucha... I tu go doleciał zwycięski okrzyk Kozaków!... Twarz Reszyda skrzywiła się... Jęknął rozpaczliwie i ciska pochodnię... Nie miała czasu pochodnia dolecieć do prochu, bo ją pochwycił Artem, jeden z wyswobodzonych Kozaków, a jednocześnie Dmytro z pozostałymi rzucił się na Reszyda. Ani się spostrzegł basza, jak został skrępowany. Dmytro wesół – ma żywego Reszyda!... Niewolnicy radzi, bo choć część tego odbierze, co im zadał w długiej niewoli...

Przyświecił Artem pochodnią i pyta:

– Czy poznajesz nas, baszo, twoich gości więziennych?

Reszyd zadrzał. Jeńcy na swobodzie – straszliwa czeka go zemsta.

– Nie spodziewał się takiego końca Basza trzybuńczuczny?...²²⁴ – mówi dalej Artem. – Ha, różnie bywa na świecie! Przyszła i na Turków ostatnia godzina...

– Świeć, Artemie, czas nam do swoich.

– A po drodze nie grzech zajść do pałaców, w których z łaski baszy przeżyliśmy lata w rozkoszy. Niechaj obaczy, jaka w nich była wygoda.

– I przywita tych – dorzucił inny Kozak – co pomarli w dowolstwach²²⁵.

– A należą mu się łańcuchy, w których nam lekko nie było.

Tak rozprawiają jeńcy, idąc z Reszydem, który drży na całym ciele. Czują pohaniec, że idzie na śmierć niechybną. Weszli do podziemia. Straszliwy widok! W skały powbijane łańcuchy, u łańcuchów gnijące trupy albo kości szkieletów...

– Poznaj, baszo – mówi Artem poważnie – do kogo jaki łańcuch należał?... Dopomogę twojej pamięci. Tu był Ilii z trzema synami – pomarli na zarazę..., tam rzędem Kozacy sławni, co światem trząść mieli, a przyszło – Boże ty mój! – zginąć tu marnie. A tam, na prawo, w tej ciemnej jamie... – chodź, baszo, i przypatrz

²²⁴ *Basza trzybuńczuczny* – basza mający prawo do buńczuka z trzema końskimi ogonami.

²²⁵ *Dowolstwa* – wygody, luksus.

mu się dobrze! To sławny nasz watażka Kremianec, którego osądziłeś na śmierć głodną... Choćby twoim Bogiem był bies najstraszliwszy to i ten grzechu ci twego nie odpuści!... Patrz, baszo! W naszych oczach łzy, a one tyle lat światła nie widziały... Płacemy łzami, patrząc na kości rycerza, a płakali krwią szczerą, gdy przyszło być świadkiem jego mąk okropnych. Spójrz, baszo, na łańcuchy, pozginane ogniwa!... Silnie musiał się natężyć więzień! Może nie wiesz dlaczego? Z daleka przykuci do ścian łańcuchami, ile sił starczyło rzucaliśmy umierającemu suchary, którymi nas karmiono. Padały koło więźnia. Widział je..., jeden cal może dzielił go od kawałka chleba, w którym było życie... Łańcuchy wyciągnął, powyłamywał stawy – a taki umarł z głodu i pragnienia. Ciężko męczył się rycerz chrobry..., ciężko ci będzie za niego, Reszydzie!

– Nałożyć mu łańcuchy nieboszczyka! To początek kary...

Basza nieprzytomny słuchał mowy Artema, przebudził go brzęk łańcuchów. Straszny był chrzęst suchych kości, gdy je z kajdan wyswobadzano, ale straszniejszy zgrzyt i jęk Reszyda, gdy więzy te uczuł na sobie. Poważne oblicza Kozaków. Nie ma wesela na twarzy Dmytra... Straszne sądy Boże, a i sąd ludzki straszny był!... Więźniowie osądziła Reszyda. Uroczystą chwilę milczenia przerwał Dmytro uwagą, że czas spieszyć do swoich.

– Twoja prawda, mołojcze! – odpowiedzieli więźniowie. – Czas powitać kozactwo, choć i z tą pieczarą rozstać się niełatwo! Każdy myślał, że, ot, jak tamci kości tu swoje położy... Chodźmy!

—

Czas nam teraz powrócić do Kozaków na górę: co oni tam robią? A nic! Wesołą się... Turków pozabijali albo powiązanych trzymają na kupie... Basza gdzieś znikł – jak pod ziemię poszedł... Koszowy posłał go szukać na wszystkie strony; będzie mądry, jeśli mu się uda ukryć przed Kozakami!... Mołodźcy, uporawszy się z Turkami – prawdy nie zataić – poszli do komnat haremu. Z początku było trochę płaczu i lamentu, ale później – jak się rozpatrzyły Turkinie, że Kozacy to nie jednookie ludojady, ale chłopcy jak dęby – dały się ułaskawić. Łez niby i nie było! Lamentu nie słyhać... i niejedna rada by, żeby tak potrwało lata!... Bo to szczerą nieprawdą, że Kozak nie znał się na grzeczności! Starsi, prawda, nieco od niewiast odwykli, ale ci trzymają się na boku i w sali radzą z koszowym, co dalej począć. Reszyd, choć Turek, a lubił wino. Co lepsze powytaczało kozactwo i piją, komu wola, a do Turczynek nie spieszą.

– Czy czort zachował baszę – zawołał jeden ze starszyny – że go nigdzie znaleźć nie można?... Charakternik! Ustrzegł się przed Kozakami.

– Moroz chwat na te rzeczy, a powrócił z niczym. Przetrzęsł pałac od góry do dołu – nie ma!

– Choćby w myszą wlał dziurę... i to mu nie pomoże! – rzekł koszowy, stawiając szklankę na stole. – Kilkudziesięciu chwatów położyło tu bujne swe głowy – trzeba im pogrzeb wyprawić..., a obaczmy, czy ogień nie wypłoszy Reszyda z kryjówek!

– Mołojców zginęło pół kopy z czubem²²⁶, Turków – nie przeliczyć!...

– A z chwatem, co zapalił okręt turecki, co się stało? – zapytał ataman.

– Żyje. Aby zdrów, zabawia się z Turkiniami. Chłopiec ważny!... Wojuje jak stary siczownik. Ten drugi, co z nim przyszedł, jakoś czy nie skosztował tureckiej kuli – nie było go widno...

– Pewnie zginął... I tego szkoda! Na zucha patrzył. Czortów basza, drogo nas kosztuje!

Dalszą rozmowę starszyny przerwało wejście do sali Kozaka Moroza.

– Niewartże ja niucha tabaki! – zawołał ten na wstępie! – Ot, na durnia zeszedł pod koniec... Chciał głowę dać, że Reszyda nie ma w pałacu, a tu go niepoczesny²²⁷ *hołous*²²⁸ jak barana prowadzi!...

– Kto? Gdzie? – porwała się starszyna, a koszowemu oczy się zaiskrzyły.

– Sami obaczycie. Po takiej niesławie chyba mi teraz prąść kądziel...²²⁹

W tej chwili drzwi się otwały, do sali wszedł Dmytro, a za nim więźniowie z Reszydem. Starszyna i koszowy stanęli z podziwu. Wynędzniałe postacie zatoczeńców, ciała ich na wpół nagie, okryte zgniłymi łachmany, długie włosy i brody... Twarze te znane gdzieś starszyźnie... Koszowy przeciera oczy...

– *Isus Chrystos!*²³⁰ – woła. – Czy z grobu powychodzili?...

– Z grobu, taj jeszcze jakiego! – odpowiadają więźniowie. – *Myrom, brattia!*²³¹ Pokłońcie się temu Kozakowi. Żeby nie on, wylecielibyście pod niebo wraz z pałacem, a i nam nie przyszłoby ujrzeć was na oczy. Mołojec przyprowadza tu

²²⁶ *Pół kopy z czubem* – trzydziestu i trochę.

²²⁷ *Niepoczesny* – niepokazny, o lichym wyglądzie.

²²⁸ *Gołowąs*.

²²⁹ *Kądziel* – pęk lnu, konopi albo wełny przygotowanej do przędzenia.

²³⁰ *Jezu Chryste!*

²³¹ *Razem, bracia!*

wam Reszyda. Bierzcie go, a nam dajcie się zakrzepić... Zapomnieli, jaki smak w winie.

Starszyzna jeszcze nie może przyjść do siebie z zadziwu.

Po dobrej chwili ocknął się koszowy.

– Dmytro! – zawołał, porywając go w objęcia. – Czym tobie zawdzięczyć sławę kozactwa?...

– Zrobił ja, co mógł – odpowiedział Kozak – a resztę dała Preczysta. Weźcie, bat'ku, Reszyda – tu on wam żywy, jak była wola.

Koszowy jeszcze raz uściskał Dmytra serdecznie i zwraca się do więźniów. Długo patrzył na wynędzniałe ich twarze, łzy puściły mu się z oczu.

– *Hotuby moji, brattia ridni!*²³² – zawołał. – Czy takimi chciał ja was widzieć za młodu?... Lat temu dwadzieścia z okładem, jak wpadli w łapy bisurmanów. Mnie dał Bóg uciec, a wy... Czy poznajecie mnie, towarzysze?

Więźniowie przez chwilę patrzyli na pytającego.

– Niepewne oczy – rzekł wreszcie Artem – zepsuła wilgoć więzienia... Nie poznajemy.

– Seńko Moroczny?

– Seńko! – krzyknęli w jeden głos zatoczeńcy. – Prawda, prawda! Ot, zeszedli się jeszcze na świecie...

– *Wasyłu! Hnate!* – zaczął ścisnąć towarzyszków koszowy... Spłakali się jak małe dzieci.

– Cóż z innymi? Watażka?... – woła ataman.

– Nie pytaj – odpowiedzieli więźniowie. – Dmytro widział ich kości. Dzięki baszy dotychczas leżą tam jeszcze w łańcuchach...

– Sprawimy im pogrzeb! – wykrzyknął z ogniem koszowy. – Pogrzeb, który popamiętają w Carogrodzie! Prowadźcie mnie do lochów – trzeba uczcić pomarłe dusze... Przygotów się, baszo! Godzina twoja niedaleka! Chodźmy!

Zatrzymał koszowego głos baszy:

– Przed śmiercią pozwól mi się obaczyć z niewolnicą Toldą...

– Pozwolić! – skinął koszowy na Dmytra. – Tylko ostrożnie z psem, żeby nam sztuki nie wypłatał – a zwracając się do towarzyszków:

– Chodźmy – rzekł. I wyszli.

Na usta baszy wybiegł uśmiech. Zwrócił się do Dmytra.

²³² *Sokoły wy moje, bracia rodzeni!*

– Tolda! – szepnął, spuszczać głowę na piersi.

Kozak wyszedł spełnić rozkaz atamana.

Oj, czy nie przyjdzie mu żałować, że się błąkał pod ziemią. Do której nie wejdzie komnaty – Kozak z krasawicą, ta jeszcze jaką!... A wraży Hnat aż dwie ma koło siebie!... Jedną objął w pól, a druga całuje go w kare oczy. Tak się nie-dobrze zrobiło Dmytrowi, że aż splunął.

– Szelma chmyz²³³ jak o sobie pamiętał... Dwie, a każda jak malowana... Bies tu wyszuka Tolde! Chyba głupia czekać na baszę, kiedy chwatów tyle, że ino wybieraj.

– Hej, która tu z was Tolda? – zawołał głośno. – Niechby szła do Reszyda!

Na ten głos wybiega z komnaty jakaś poczwara i prosto do Dmytra.

– Reszyd!... Tolda!... – woła wpół nieprzytomnie i znakami wskazuje, że z nią to chce widzieć się basza.

– To z taką lalą chce się Reszyd hołubić przed śmiercią? – skrzywił się Dmytrow. – No, wybrał... Chodź, *moja krale*²³⁴, zaprowadzę cię do kochanka!

Skinął na Tolde. Wracają przez komnaty. Turkinie wdzięczą się do Kozaków... Hnata już obie objęły za szyję, a on na jedną, to na drugą patrzy...

Dmytro znowu splunął.

– Przeklęty chmyz! Ot, jak on tu wojuje!...

Ledwie weszli do sali, w której był Reszyd, Tolda rzuciła się do nóg baszy i całować je zaczęła.

Turek ocknął się... Spojrzenie, kilka słów wymówionych... Oczy Reszyda dziko zagorzały... Wyciągnął rękę... W tej chwili koszowy pokazał się na progu – dojrzał ruchu baszy.

– Dość rąk dla łańcuchów – zawołał. – Precz z tą czarownicą!

Kozacy oderwali Tolde od nóg Baszy.

– Pozwólcie mi ją ucałować – drżąc, zawołał Basza. – Wszak to wam nie szkodzi.

– A nie szkodzi! Całuj, tylko prędko – rzekł koszowy – bo już niewiele czasu ci zostało.

Z dzikim okrzykiem rzuciła się Tolda do Reszyda. Basza nachylił się..., dotyka ustami jej włosów... Długo i zapamiętale całuje..., aż dzikim zalał się śmiechem.

²³³ *Chmyz* – smarkacz.

²³⁴ *Moja piękna*.

– Podłe giaury! – wykrzyknął. – Nie wam brać zemstę z żywego Reszyda!...
 Twarz turka zsiniała, na usta występuje piana, pochylił się i pada.
 – Otruty! – krzyknęli Kozacy, przyskakując do trupa.
 – Przeklęty Turek! – krzyknął koszowy. – Wykręcił się od zemsty. Ale jakim sposobem?...

Niewolnica uśmiechnęła się boleśnie.

– Tu we włosach trucizna. Patrzcie!

Odlepia od warkocza woskową kulkę i do ust kładzie.

– Pan mój kazał mi umrzeć – szepnęła. – Umieram. – I padła u nóg Baszy...
 Kozacy w milczeniu patrzą na dwa trupy.

– Wykręcił się! – mruknął ataman po chwili. – Szelma Turek!... Ale go nam już nie wskrzesić... *Propało!*²³⁵ Dalej, zabierajmy się do sułtana! – zawołał głośno. – Komu głowa na karku nie zawadza, niech się wynosi z pałacu... Do sułtana!

Za chwilę w pałacu Reszyda pozostały tylko trupy. Kobiety i dzieci wyprowadzono, rzeczy co kosztowniejsze zabrało kozactwo. Koszowy skinął i pałac Reszyda z czterech stron objęły płomienie.

Skóra drży na bisurmanach, sułtan modli się w meczecie. Hołota kozacka grzeje zęby przy pałacowym ogniu, a koszowy ze starszyzną radzą na uboczu. Skończyli radę. Występuje ataman Taraneć, z nim Kozak Moroz i jeszcze czterech. Idą z poselstwem do sułtana. Ważne posły! Nie lada nowinę niosą sułtanowi: dwie nagie szable na krzyż złożone, bułkę chleba i flaszkę wódki, a za chorągiew pokoju służy głowa Reszyda, wysoko na spisie zatknięta. Poszli pod mury, a wojsko kozackie czeka powrotu, niepewne:

Czy budemo byt'cia?

*Cy budem myryt'cia?*²³⁶

bo jedno i drugie można!...

Niedobrze robi się Turkom, ale puszczają posłów za bramy, stawiają przed radę dywanu²³⁷. Stanął pan kurennny na przedzie, przy nim Kozak Moroz do rozprawy, bo zna mowę bisurmańską; na lewo ten, co niesie głowę Reszyda, z prawej Kozak

²³⁵ *Przepadło!*

²³⁶ *Czy się będziemy okładać?*

Czy się będziemy układać?

²³⁷ *Dywan* – rada państwa w dawnej Turcji.

z chlebem i szablą, reszta z tyłu. Wystąpił Moroz przed radę sułtana i odzywa się w te słowa:

– Przesławny kosz wojska zaporoskiego siedział spokojnie i chwalił pana Boga w Siczy Zaporoskiej. Rozruszał go sułtan turecki, odwieczny wróg chrześcijaństwa, i listem zaprosił towarzystwo do siebie w gościnę. Kozactwo posłuchało prośby, przyszło na chleb i sól do sułtana i ot, tam, czeka za bramą. Przesławne wojsko zaporoskie, koszowy i starszyzna posyłają nas tu powiedzieć tobie, sułtanie: albo chcesz bitwy – spalenia Carogrodu i takiej śmierci, jaką ma twój sługa Reszyd basza, którego głowę przynosimy..., albo przystajesz na *mir*²³⁸ i zgodę z przesławnym wojskiem zaporoskim, atamanem i starszyzną. Ot, tu wam chleb i czarka, kiedy *mir*, a nagle dwie szable, skoro wojna!...

Z lekka pokłonił się i czeka. Widzi Turek, że nie żarty!... Tam już czy nie połowa Stambułu w ogniu..., tu głowa Reszyda straszными oczyma patrzy na radę dywanu... Biegną do sułtana: co robić?

– Dać wszystko, co zechcą – odpowiada sułtan – byle tylko pozbyć się licha...

Przystali Turki na *mir*! Pytają, czego chcą Kozacy, żeby odeszli z Carogrodu?

– Prostą drogą na Sicz odjedzie kozactwo – mówi stary Moroz – ale nie pierwszej, aż nam dacie. – I tu zaczął wyliczać.

Turcy za głowy się biorą! Połowę bogactwa tureckiego żąda wraże kozactwo. Znów rada biegnie do sułtana.

– Dać! Wszystko dać! – odpowiada sułtan, któremu pięty trzęsą się ze strachu.

Niewiele żądało kozactwo: na każdy kureń po trzy tysiące czerwonych, koszowemu – trzy, kurennym – po dwa, reszcie starszyzny – po tysiącu. Na każdego mołojca trzy czerwone, a na dziesięciu ich – postaw²³⁹ sukna czerwonego, dwa czarnego. Podarunki dla króla i senatorów w zbroi, rynsztunkach, materiałach i drogich kamieniach – taj tyle! Sułtan – aby zdrow – znowu sobie nazbiera dostatków, a Kozacy – hołota – nie pożywią się u sąsiadów, z głodu zaginą; ot, i tak już kolanami świecili... Daj Boże zdrowie sułtanowi, że zaprosił do siebie i w co potrzeba zaopatrzył biedne kozactwo!...

To się wie, że gdzie był jaki więzień – puścił go sułtan na swobodę, a za to, żeby kozactwo nie wysiadało po drodze na brzegi pożegnać się z Turkiniami, sułtan dał im swoje pismo, którym warowano gościom swobodny przejazd aż do

²³⁸ *Pokój.*

²³⁹ *Postaw* – zwój sukna, który wychodzi z warsztatu tkackiego.

ostrowów. Okręt był przeznaczony czajkom do pomocy, ażeby kozactwo niezbyt się męczyło, wiosłując. Z wielkimi honorami wyprawił sułtan swoich gości, a choć później przeklinał, ile się włożyło – Kozacy i koszowy nie słyszeli tego na morzu.

Nie stało Kozaków w Stambule...

Wesele weselem, a niejednej krasawicy żal chwatów. Co Turek? Maruda... Ot, Kozak – to było!... Zostawili znak po sobie!... Wypływają z Bosforu siczowi, a każdy patrzy w stronę Stambułu. Choć trochę, a pohulał i napatrzył się na dziwa, których może póki życia więcej nie obaczy!

W dumce Hnata to jedna, to druga Turkinia mignie, śmieją się do Kozaka... Szkoda! Taj koniec. Nie było czasu nacieszyć się.

Dmytro markotny, że tylko widział, jak inni rozkoszowali, a samemu ślinka ciecze... i termołamy nie znalazł! Bies wie, po jakiemu wszystko poszło! Jakby mu teraz na brzeg – wiedziałby co zrobić?... Ta-ba – już po wszystkim!...

Hnat także przypomniał sobie termołamę... Aż się za głowę złapał, że mu na myśl nie przyszła w Stambule..., ale w tej chwili Turkinia stanęła Kozakowi przed oczami – może ani trochę nie brzydsza od Handzi... No co miał szukać termołamy, kiedy tu... Ot, szkoda, że tak prędko stanęła ugoda z koszowym!... Co szkodziło jeszcze choć dzień zatrzymać się w Stambule! Wraże dzieci – do smaku przypadła im gościna w Carogrodzie!...

Liman! Liman! Już Kozacy u siebie, na swoich wodach.

*Proszczaj, more, synie, more
I tychy Dunaj!
Dnipre sywyj w Ukrajini,
Sławutciu wytaj!
Hraj, more, hraj!
Łychom ne zhadaj!²⁴⁰*

Tu się rozstali z galerą turecką. Jak mrówki wysypało się na brzeg kozactwo. Ciągną czajki sznurami, żegnają się, całują jedni drugich – powrócili na Zaporozie... A ile tam już było wesela, jak wysiedli na wyspę, gdzie powrotu towarzystwa

²⁴⁰ *Żegnaj, morze, sine, morze
I cichy Dunaju!
Dnieprze siwy w Ukrainie,
Sławutyczu, witaj!
Graj, morze, graj!
I źle nie wspominaj!*

oczekiwali ci, których zostawiono w Siczy! Niejednemu na brzegu serce bije: czy obaczy tych, których by ujrzeć pragnął... Okrzyk wesela wydobywa się z piersi, oko szuka pomiędzy szeregami. Nie ma tego... i ten nie wrócił..., tamten zginął... Ale na smutek będzie dość czasu. Teraz wesele, radość z powrotu!

Przed kosзовą cerkwią czeka już *panoteć* w ryzach²⁴¹: błogosławi towarzystwo, do cerkwi wprowadza. Wszedł kosзовy, za nim starszyzna – zwalili się w nogi przed Preczystą. Kto żyw – bije pokłony... Służba Boża prawi się w cerkwi, kozactwo szczerze odmawia modlitwy. Jak nastawiali świeczek – aż duszno w cerkwi, a to dopiero początek! Niejeden ze świecą pojedzie do Poczajowa²⁴² i do kijowskiej ławry²⁴³.

Dostała Bohorodycia nie na jeden sznur koralów za to, że strzegła kozactwo. Bogatą ryzę przywiózł ze sobą kosзовy i *moszczy*²⁴⁴ świętego z Carogrodu, kawał drzewa z krzyża Chrystusowego... Wszystko to złożono w siczowej cerkwi, a po modlitwie przystąpili do podziału zdobyczy.

Czy był na wyprawie, czy w domu zostawał, każdemu przypadła część równa – nabili kieszenie czerwońcami!...

Podarki dla króla i senatorów w Warszawie postanowiono, ażeby zawiózł kurenny Szwydki. A kiedy zdawało się koniec wszystkiemu, wystąpił kosзовy.

– Całemu towarzystwu – mówił – należy się sława i cześć po wieki. Każdy z Kozaków zrobił, co do niego należało, bo taki zwyczaj w kozactwie. Ale jest tu między nami dwóch chwatów, którym osobno należy się sława, bo zrobili więcej niż każdy inny. Jeden z nich oddał w ręce kozactwa turecki okręt masztowy, a drugi wyratował nas wszystkich od śmierci w pałacu Reszyda i żywcem przystawił baszę. Nam, starszyźnie, wydało się sprawiedliwym osobno nagrodzić tych mołojców. *Czy dobrom zahadały*²⁴⁵, panowie towarzysze?

– Sprawiedliwie! Sprawiedliwie! – odhuknęli Kozacy.

– Ano wystąp tu, Hnacie! I ty, Dmytro, nie kryj się za plecami. Zasłużył się – otrzymujesz nagrodę, a narobisz licha, skóra odpowie – u nas tak po zwyczaju!

²⁴¹ Rzyzy – szaty liturgiczne.

²⁴² Poczajów – miasto na Ukrainie z prawosławnym klasztorem – ławrą Zaśnięcia Matki Bożej.

²⁴³ Kijowska ławra – Ławra Peczerska, prawosławny klasztor w Kijowie, siedziba zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego.

²⁴⁴ Moszczy – relikwie świętych.

²⁴⁵ *Czy dobrze mówię.*

Ot, tu wam wszelkiego dostatku: zbroi, rynsztunków, srebra, złota... Wybieraj, mołojcze!

Hnat coś długo mnie czapkę w dłoni – nie wie, jak tu powiedzieć... Dobra zbroja i wszelki dostatek, ale...

– Zanim się Hnat namyśli, ty, Dmytro, wybieraj! – mówi kozzowy.

A i temu nie tak łatwo wybrać!...

– Co się wam stało? Poniemieli?!

– Wybierajcie! – mówi starszyczna.

– Co do sposobu: koń? ryszunek?

– Nie! – odpowiadają Kozacy.

– Złoto? Srebro?

– *Ter mołama* – na siłę odpowiedzieli obydwaj.

Aż się zachnęło kozactwo.

– *Ter mołama!* – krzyknęli.

– A wam po jakiego biesa tej płachty?... – zawołał kozzowy.

– Czy w spódnicach chodzicie? – pyta kurenny Stupa.

Dmytro i Hnat – obadwa poczerwienieli, a przecież niczego nie chcą, tylko *termołamy*.

– Tfu! – splunął Kozak Moroz, patrząc na Dmytra. – I jemu to było wynaleźć *Reszyda*.

– *Dity czy podurily?*²⁴⁶ Chcecie *termołamy*? – uszom swoim nie wierzy kozzowy.

– *Ter mołamy* – odpowiadają Kozacy.

– *Ahij na was!*²⁴⁷ – krzyknął kozzowy i porwawszy kawał materii, szablą rozkroił ją na dwie równe części.

– Poróbcież sobie fartuchy! – mruknął, rzuciwszy każdemu po kawale.

Dmytro podniósł *termołamę*, włożył ją pod pachę, a pochyliwszy *kołpak*²⁴⁸ na prawe ucho, krzyknął groźnie, mierząc wzrokiem uśmiechających się Kozaków.

– A teraz kto zechce śmiać się z Dmytra, *proszu na czyste pole!*²⁴⁹

²⁴⁶ *Dzieci czy pogłupieli?*

²⁴⁷ *A niech was!*

²⁴⁸ *Kołpak* – wysoka czapka bez daszka, w kształcie cylindra lub stożka, futrzana lub obszyta futrem, noszona w średniowieczu przez Tatarów, w Polsce od XV do XIX wieku.

²⁴⁹ *Proszę na puste pole!*

– I ja nie inaczej! – odpowiada Hnat, trzęsąc się od gniewu. – *Hodi*²⁵⁰ śmiechu, bo się lichem skończy!

Koszowy pokręcił wąsa, z zadowoleniem patrzy na zaperzonych.

– Chwaty! – mruknął. – Tylko na czorta im ta termołama?... Ano, mołojcy! – zawołał głośno do Dmytra i Hnata. – Czy jeszcze diabeł dmucha w niezgodę?... Podajcie sobie ręce na bractwo!

Hnat i Dmytro zmierzyl się okiem... Może by i zmiękli, gdyby nie biesowska termołama, która wypadła Kozakom spod pachy.

– Nie ma zgody! – mruknął Dmytro.

– *Woroh!* – wtóruje mu Hnat niewesoły.

– Biesowskie dzieci! – uśmiecha się koszowy. – Niech robią, jak chcą – na to kozacka wola... A szkoda, że się bieszą!²⁵¹

Rozeszło się kozactwo, gdzie komu wola: pić, hulać albo burlakować²⁵², bo wszystko można – póki można. A przyjdzie co do czego – trzeba gryźć suchara i wspominać o lepszych czasach!

Na przewozie spotkali się: Hnat, stary Artem i Dmytro.

– Dokąd? – pyta Hnat Artema.

– Do swoich – odpowiada zatoczeniec. – Pół kopy lat, jak nie widziałem rodziny... A ty, mołojcze?

– Gdzie poniosą oczy! – odpowiada Hnat, wsiadając do łodzi.

– I tobie, Kozacze, przyszła ochota – zwraca się stary do Dmytra. – A dokąd, jeśli wola?

– W step, przed siebie! – odpowiada Dmytro, niespokojnie patrząc na łódź wiozącą Hnata.

Kozak domyślał się, dokąd wróg zmierza i gniew mu zawrzał w piersi.

– Mało żeń Turkini – zgrzytnął. – Jeszcze mu tej trzeba... Niedoczekanie twoje! – i pogroził kułakiem.

A Hnat tymczasem wy dostał bandurkę²⁵³ i śpiewa przy jej brzęku. Dmytro zły, ledwie oddycha... W różnych punktach przystały łodzie do brzegu. Przeciwnicy stracili siebie z oczu... Może się spotkają!...

²⁵⁰ *Wystarczy.*

²⁵¹ *Biesić się* – wściekać się, szaleć ze złości.

²⁵² *Burlakować* – włóczyć się.

²⁵³ *Bandurka* – instrument muzyczny podobny do mandoliny.

V.

Nie tak to mała siła musi spoczywać w krasawicy stepowej, kiedy otwandrowali²⁵⁴ my po Zaporozu, Turecczyźnie – a taki przychodzi wrócić na step, dowiedzieć się, co porabia sinooka Handzia.

Niemало wody upłynęło w Dnieprze, nieraz zmieniał *tuh*²⁵⁵ stepowy swoją wzorzystą powłokę – wiosna za zimą, kilka ich, przeleciały po świecie, a krasawica jak była, tak i jest jednaką. Wiadomo: na to się wdała od przyrody, by ludzi czarować krasą!

A kogo oczarowała Handzia? Czy jednego! A już najbardziej Ochrymowego Wasyla z niebliskiego futuru, bo aż zza Rosi het²⁵⁶. Głowę stracił parobek! Powiem, jak się to przytrafiło.

Może już i rok bez mała, kiedy to u strugi przydybali Handzię Kozacy, że się ledwie odczepiła termołamą. Jeszcze teraz śmiech ją zbiera na wspomnienie... Cały ten rok żyła Handzia w chacie ojcowskiej, jak u Boga w gościnie – ani wie, co troska i hore! Wesoła, szczebiocze niby mała ptaszyna, cieszy starość ojcowską i tylko czasem okryje się chmurą gładkie liczko dziewczęcia, westchnienie dobędzie się z piersi... ale to nie na długo! Zaśpiewa ptaszę w gaju, kwiatek kiwnie do Handzi malowaną główką – i znów wesoło dziewczynie! Pustuje²⁵⁷, że aż samej dziwno... Bo ona już niemaleńka, już nie ta Handzia, co to była dawniej... O nie! Niejeden parobek mówił, że ją kocha, że kochać będzie po wieki!... A ona dobrze słyszała, jak chwalono Handzię, że ładna... Albo ci Kozacy! To chyba nic? Oho!... Ale co ją oni obchodzą!..., co jej tam do wszystkich ludzi?... Dziewczynie tak nudno..., tak trudno na świecie..., że nieraz zapłacze, choć i sama nie wie czego...

A ja wiem! Bo to już s w ó j czas przyszedł na dziewczynę... I taki przyszedł!...

Jakoś – czy nie przed miesiącem – kiedy Handzia była u strugi²⁵⁸ ulubionej, dopytał się do chaty starego Kłyma, Handzinowego ojca, młody Wasyl, parobek.

²⁵⁴ *Otwandrować* – podróżować.

²⁵⁵ *Łąka*.

²⁵⁶ *Het* – daleko.

²⁵⁷ *Pustować* – żyć beztrosko; figlować.

²⁵⁸ *Struga* – rzeczka, strumyk.

Z jakimś dziełem przybył do futuru. Wchodzi do świetlicy – ta wszedł, że bodaj czy nie na własne лихо!...

– *Pomahaj Bih!*²⁵⁹

– Daj Boże! Prosimy do chaty.

Rozmówił się Wasyl ze starym Kłymem. Już by mu i do domu pora, zbiera się, wtem... no, już to serce! Zasłyszal srebrny dźwięczny głosik, śmiech jak dzwoneczków granie – tak mu się dziwnie zrobiło...

Lekka niby Boża ptaszyna, ustrojona w wieńce kwiecica, wbiegła do świetlicy dziewczyna – słońce jasne! I rzuca się staremu na szyję. Bywał że Wasyl po świecie, widywał różne..., a takiej krasawicy i we śnie nie przyśnił!... Zbladł jak chusta, to znów czerwienieje jak polne maki. Serce zabiło żywiej, nogi się zachwiały... Może by i upadł, gdyby nie ściana, o którą wsparł się w potrzebie!... A oczu to ani oderwać od młodej dziewczyny!... Zczarowała od razu!

Nielekko i Handzi przyszło powitać parobka!...

– *Łyszeńko!*²⁶⁰ – pomyślała w duszy. – Tego samego nieraz we snach widziała... I śmiać się przestaje, oko w ziemię spuszcza, a na liczka taki rumieniec wybiega, że z róży we włosach nie zostało znaku – znikła przy krasie rumieńca! *Oto przyhoda*²⁶¹ trafiła się młodym!...

Aż stary Kłym uśmiecha się serdecznie, widząc ich kłopot niemały. Ani rusz, żeby przyjść do rozumu!... Zaczął Wasyl coś o pługu, a skończył na kwiatach... Handzia zamiast podać na stół barszczu, niesie sitko od nabiału... poprawiła się i podaje – rantuch²⁶² wyszywany... A dalej widzi, że nie da sobie rady, rzuciła się na szyję ojca i rozpaloną główkę ukrywa na jego piersi, a spod oka taki spojrzęła na gościa... Stary całuje *donię*²⁶³, uśmiecha się do Wasyla (a dobrze zna jego ojca!) i pyta, czy widział w stepie piękniejsze kwiaty od Handzi sinookiej?... Dziewczę bardziej jeszcze płonie, parobkowi tak się robi duszno, że aż wychylił się za okno nabrać świeżego powietrza...

Dziwa, taj koniec!

²⁵⁹ *Niech będzie pochwalony!*

²⁶⁰ *Niedobrze!*

²⁶¹ *Przygoda.*

²⁶² *Rantuch (rańtuch)* – kobiece nakrycie głowy, używane w Polsce od XVI do XVIII wieku. Występowało w formie sporych rozmiarów chusty, najczęściej wełnianej.

²⁶³ *Córcię.*

Ledwie nieledwie zjedli obiad, a i to Kłym pomagał wylewać z garnków, bo Handzi niebodze wszystko się plątało: co nie weźmie do ręki, na co spojrzy – wsząd ten rusiawy parobek patrzy na nią czarnym okiem: z makutry, z wałka²⁶⁴, z obrazów, z obrusa – takie dziwo!

Po obiedzie stary Kłym zdrzemnął się na ławie, a młodzi wyszli do wiszniku²⁶⁵. Tam dopiero cały świat inny się im pokazał! Niebo jaśniejsze, zieleńsza trawa i kwiatki, niby gdzieś z nieba – takie cudowne... Skończyło się na tym, że Wasyl do późnej nocy zabawił w futorze, a tak mu było ciężko odchodzić do swoich... I taki nie poszedł! Całą noc przebłąkał koło chaty. A Handzię również o sen nie pytaj – okiem nie zmrużyła, myśląc o Wasylu!

Może by i długo nie mówić, że się pokochali młodzi jak sokół z gołąbką jasnopiórą? Tyle tylko było dziwoty Wasylowi, że wyrósł nie tak to daleko od futuru starego Kłyma i o Handzi dowodziło mu się słyszeć, a tak późno obaczył słońce jasne – dziewczynę sinooką!...

A Handzia sobie dziwuje, że we snach nieraz widziała Wasyla, a teraz dopiero ma przed oczami orła pysznego, ma go przy swym sercu, bo prawdy nie utaić: prędko młodzi zaznali czystych nieba rozkoszy! Serce przypadło do serca, dusza złała się z duszą – to już o ustach nie pytaj! One u ust lubego! Serce zamiera w szczęściu, świat sprzed oczu ginie... Cudne, cudne to kochanie stepowe!

Prędko zeszli się młodzi i ojcowie nie marudzili.

- Pokochali się dzieci.
- A pokochali!
- To niech się pobiorą!
- A daj im Boże!
- Wasylu!
- Handziu!

Młodzi upadli ojcom do nóg, wszyscy popłakali się od szczęścia i stanęło, że dawnym obyczajem poszle Wasyl swatów, a sam tymczasem pójdzie jeszcze z wałką do Kijowa.

Nam by wiedzieć, że Wasyl czumakował²⁶⁶. Do kozactwa nie dał go stary Ochrym, bo czterech synów miał na Zaporozu i sam z nimi chodził do Krymu...

²⁶⁴ *Walek* – narzędzie do ugniatania ciasta, wyżymania blielizny po praniu.

²⁶⁵ *Wisznik* – wiśniowy sad.

²⁶⁶ *Czumakować* – trudnić się przewozem towarów (zwykle soli) wozami zaprzęganymi w woły.

Dola nie poszczęściła: śmiały pochód zapłaciło kozactwo głowami. Na własne oczy widział Ochrym śmierć synów, jak skonali na żelaznym haku. Sam rycerz chrobry, głużył w dziecku popędy wojenne, w czarnych kolorach wystawiał mu wojnę i życie siczowe, zaprawiał go do roli i cichego życia w ustroniu... Dokazał swego! Wasyl wyrósł na parobka, a o kozactwie ani pomyślał; sercem całem ukochał step i łany, skromną chatę futoru i życie pracowite. A kiedy widok gęsto rozsianych mogił smutnie nastrojał jego duszę, brał do ręki teorban i wyśpiewywał tęsknicę cudną dumką, której mu nigdy nie zabrakło.

Muzyką podbijał serca wszystkich, pięknnością rysów uderzał, a daleko nokoło znaną była poczciwość Ochrymowego Wasyla, którego wszyscy kochali, któren kochał wszystkich. Kiedy niekiedy słał go ojciec z wałką do Kijowa i miast innych, by trochę świata obaczył, ale Wasylowi dobrze było tylko w ojcystym futorze. Rozkosznie sercu, gdy cieszył starość ojca i śpiewał tęskne dumy przy dźwięku strun teorbanu. A kiedy Handzię obaczył, pokochał duszą szczerą – o, jakże mu trudno było, po raz pierwszy w życiu spełnić wolę ojca – na czas krótki rozstać się z miłą!... Serce, serce! Czegoś ty takie dziwne u wszystkich?

– Wasylu! – mówi Handzia ze łzami. – Czy to prawda, że mnie porzucisz? Na długo...

Wasyl westchnął, ciężko westchnął.

– Czemu by nam nie zostać ze sobą wiecznie, kiedy sercu tak potrzeba zostania?...

– Gwiazdko moja świetlana! – woła parobek, czule przyciskając lubą do serca. – Cóż ja na to poradzę, gdy ojciec każe odjeżdżać? A ojca czy można nie usłuchać?... Ale ja wróć! Prędko powrócę... Bóg mi drogę zmniejszy i już się z tobą nie rozstanę nigdy!

– Nigdy? – pyta dziewczę, okiem tonąc w duszy lubego.

– Nigdy! – odpowiada Wasyl z zapalem, a serca przez usta powtarzają: „Nigdy! – dusza mówi duszy, że się nie rozstaną nigdy!

Poszedł Wasyl do Kijowa – na tamten świat poszedł! I Handzię zostawił umarłą, bo nie ma jej życia bez miłego.

Wieki minęły w czarnej tęsknicy, z łez ulałyś morze, a westchnień na stepowy wiatr by starczyło... Wieki młodym słońce nie świeci i nie cieszą ich kwiaty, i powietrza braknie na świeży oddech... Aż przyszła chwila upragniona! Niebo otwarło się dziewczęciu, anioły zstąpiły chórem, a jeden między nimi – świetlany Wasyl jasnowłosy! Rzuciła mu się na szyję, oplotła wdzięcznymi ra-

miony... Gdzie raj, gdzie niebo bardziej rozkoszne nad ten uścisk powitania lubego?

– Wasylu, ty już mój? – woła dziewczę w nadmiarze szczęścia.

– Z tobą! Z tobą, zorro jasna! – odpowiada szczęśliwy. – I już na wieki!

Nie wypowiedzieć rozkoszy, nie odmalować szczęścia!... Trzeba go zaznać samemu, trzeba mieć, a wtedy – na nic opisy!

—

Znacie wy swaty ukraińskie?...

Stary Kłym wie o dniu naznaczonym. Ubrał się odświętnie, w świetlicy czysto, jak w lusterku, stół nakryty białym obrusem, na nim bochenek chleba; przed bogami palą się poświęcane świeczki.

Handzia, jak Boża ptaszyna szczebiocząc, przebiega świetlicę, porządkuje, a czas do czasu ukradkiem wyjrzy przez okno, czy nie idą, czy jeszcze nie widać...

Stary Kłym ma dobre oczy... Serce bije mu w piersi jak za własnych czasów. Uściskał by szczęśliwą donię, ale zwyczaj każe zachować w tym dniu powagę... Stary wstrzymuje się od czułości i odmawia modlitwę.

Raz jeszcze rzuciła Handzia okiem na podwórko i stanęła, a serce bić przestało... Ledwie nieledwie wyszepnąć mogła: „Tatu!”, okiem wskazując na podwórze, a sama rumieni się jak wiśnia. Stary wie, co to znaczy. I jemu serce zabiło, bo ważna zbliża się chwila: dziś jedyne dziecko, jego raj na ziemi, wybiera sobie towarzysza na całe życie... Wielka chwila!

– Idź, doniu, do komory – mówi ojciec, żegnając się trzykrotnie – i nie wychodź, póki nie zawołają.

Strasznie było by Handzi w tej chwili, bardzo strasznie!... Bo nigdy nie widziała ojca tak bardzo poważnego, ale na podwórku dojrzała Wasyla..., już się jej nic złego nie stanie! Ledwie przymknęła drzwi od komory, ozwało się trzykrotne stuknięcie do drzwi wchodowych. Jak rybka w więcierzu²⁶⁷ zatrzepotało się serduszko Handzine: ciekawa patrzy, co będzie się dziać w świetlicy.

Kłym milczy – niby nie słyszy pukania. Puk! Puk! Puk! – jeszcze raz. Nie ma odpowiedzi. Trzeci raz zapukali swatowie... Wtedy odzywa się stary:

– Kiedy dobrzy ludzie, to prosimy do chaty – a sam żegna się krzyżem świętym.

²⁶⁷ *Więcierz* – pułapka na ryby w kształcie cylindra.

Wchodzą swatowie. Dwóch ich – ludzie poważni, za nimi Wasyl, niby na śmierć idzie – taki niepewny losu. Weszli, pokłonili się bogom i gospodzie, a Kłym pyta:

– Co wy za jedni, ludzie dobrzy?

Swatowie najpierw oddają chleb, który ze sobą przynieśli, a gdy Kłym, święty chleb ucałował, poprosił ich siadać, pierwszy swat zaczął:

– My ludzie porody²⁶⁸ niemieckiej, a idziemy z ziemi tureckiej. Polowali – nic nie upolowali, ot, tego kniazia spotkali (tu Wasyl powstał i kłania się, bo o nim mowa). Kniazia nie minęli – takie od niego słowo usłyszeli: „Był ja na łowach w wielkich borach, wypadła na mnie łasica czy piękna dziewczica. Jeść i pić bym nie chciał, byle bym ją dostał. Wy, łowcy młodzi, dziewczynę mi dajcie i jakiej chcecie nagrody żądajcie. Dziesięć miast dam za nią – to jeszcze tanio!”. My to usłyszeli, w bory poleciali, łasicy-dziewicy długo szukali – tu się zabłąkali. Nie poszłaż ona w bór, tylko w wasz jasny dwór. Darmo nie chowajcie – za kniazia ją dajcie. Czy dacie ją nam radośnie, czy niechaj jeszcze rośnie?

– Co to za napaść taka! – niby gniewnie mówi Kłym. – Doniu, a chodź no tu na poradę.

Wyszła Handzia – jak ten róży kwiat. Oczka w dół spuszczone, jedna ręka bawi się z długą kosą, a druga mnie koniec fartuszka. Stała koło pieca i niby gospodarzy.

– Ot, biedy narobili – mówi Kłym do swatów. – Mnie przestraszyli, córkę zasmucili, że dalej piec rozwali... Ha, cóż robić! Żebyście nie myśleli, że my wam złe chcieli, to my tak zrobimy: chleb święty przyjmujemy, was tu powiązemy, pokłon oddamy – dalej posłuchamy!

– Handziu, a wynieś no czym łowców powiązać.

Handzia milczy, bo tak każe zwyczaj.

– *Ot, tak pak!*²⁶⁹ – mówi Kłym. – Może i powiązać czym nie masz? Takich lat dożyła, a nic nie narobiła. Poszukaj no w komorze. Pochwal się przed zamorskimi ludźmi.

Wychodzi Handzia do komory, wynosi cudnie wzorzyste ręczniki, które sama wyszywała. Powiązano nimi swatów i dalej poszedł obrzęd z przemówieniami, śpiewem i tak dalej, jak jest u nas w zwyczaju. Ale mi tu o nim mówić nie pora...

²⁶⁸ *Poroda* – ród, rasa.

²⁶⁹ *O masz ci los!*

Wszystko poszło jak należy! Drużki śpiewają pieśni, stary Kłym z Ochrymem szczęśliwi częstują gości, o Wasylu i Handzi nie mówić: ręka w rękę siedzą na miejscu poczesnym i szczebioczą jak ptasząt dwoje.

Dziewczęta widzą, że młodzi o całym świecie zapomnieli, patrząc się na siebie – jak nie zaśpiewają:

*Oj, ty hałoczko,
Nasza Hannoczko!
Łamlite rożeńku,
Stelite dorożeńku,
Szczob miahko stupaty,
Na dwir tanciowaty²⁷⁰.*

A tu jak nie zagra za drzwiami muzyka! Jak nie rzucą się dziewczęta i parobcy – ta do drzwi!... Stanęli wszyscy... Jakiś podróżny wchodzi do świetlicy. Strój kozacki, włos biały, długa broda... Patrzy na obecnych. Stary Kłym wpatruje się pilnie w twarz przybyłego – te rysy znane mu.

– Duch Święty! – woła, żegnając się. – Artem?...

– On sam, bracie rodzony! To jeszcze można poznać zatoczeńca? Bo ja ledwie przypominam starą naszą chatę... Gdzież ojciec, matka?... Pomarli?

– Dawno!

– A?... – i nie dokończył.

– Razem z m o j ą poszła do grobu. Nastia mi zostawiła o tę sierotę...

Artem otarł łzę ze starego oka.

– Coż tu u was: wesele?... Czy to ona?... Podobna do matki... A, no to nie przeszkadzajmy młodym. Gra muzyka – niechaj tańczą zdrowi. Kłymie, wiele lat, jak my się nie widzieli?...

– I widzieć nie spodziewał się... – mówi Kłym, ocierając łzę z oka.

Starzy zaczęli rozmowę o dawnych czasach. Młódź wyszła i hula na podwórzu. Wasyl z Handzią już i nieba nie chcą... Za cztery niedziele ślub, za cztery niedziele niebo! Czegóż im teraz chcieć jeszcze?...

²⁷⁰ *Oj, ty gotąbeczko,
Nasza Haneczko!
Narwijcie różyczek,
Wyścietajcie drożynę,
Żeby miękko było stapać,
Do dworu iść tańcować!*

Do ciemnej nocy zabawili goście. No już hulali! To i starzy nie zapamiętają lepszej zabawy!... A Semko Kwitczyn z Pażką Kowalczyną tyle dokazywali, tak już weselili wszystkich, że i Artem czoło rozmarszczył, a kiedy czarke, drugą wychylił – takiego urznął tropaka, że się aż ziemia trzęsła!... Na swaty hulali tak ochoczo – a cóż to będzie na weselu? Wspomnisz – nogi rwą się do tańcu!... Tam już wesele wyprawi stary Kłym! Będzie o czym wspominać do późnej starości. Ach, żeby prędko do tej czwartej niedzieli!

—

Wysiadł Hnat z łódki, wyszedł i Dmytro na brzeg. Nie wiedzą o sobie, a jeden i drugi Kozak jednakowo zamyślił się: po jakiego biesa wyszedł z Siczy? I co zrobi z dziewczyną?... Kozackiego życia ledwie zapróbował, żal by mu go porzucić... a z żoną nie pokazuj się do kosza! Nie tak Kozakowi szkoda dziewczyny jak tego, że ten drugi może ją zabrać niby swoją... Pokarał że *Hospod'* ciężkim wrogiem! A prawdę mówiąc: i wróg to niewielki... Hnat dobrze pamięta: kto go z wody wyciągnął. A Dmytrowi także w oczach stoi, jak leciałby pod niebo, gdyby nie pomoc Hnata... Licho nadało z tą tam dziewczyną stepową! Bo lepszego druha może by i nie znalazł jak ten Kozak... Ha, niech robi, jak chce! Porzuci Sicz – mnie lżej będzie! Nie porzuci... – jakoś pomyślimy!... A teraz by mi do swoich. Tam czeka ojciec i matka, mały braciszek i siostra... Dziewcząt dość na świecie – a matkę i ojca innych nie znaleźć!

Jeden i drugi pomyślał jednakowo, jeden i drugi minął step i pamiętną strugę, jadąc do swoich. Aż hen na Bohu²⁷¹ spotkali się razem.

– Nie był u Handzi – mruknął Dmytro, dojrzawszy Hnata.

– Licho go tam nie poniosło – wtóruje mu Hnat, wesoły, że poszło po jego dumce...

– Teraz by mi jego wyprzedzić!

– Sprawić się prędzej i do Handzi!

– Ba! A coż z nią zrobię? – pyta siebie Dmytro.

– Sicz czy żona? – rozważa Hnat po drodze.

– Obaczymy!

– Obaczymy!

Znowu się rozeszli.

²⁷¹ *Boh* – rzeka na Ukrainie z licznymi porohami.

Tak to się zdaje: być u śmierci w gościnie, wojować na morzu i na lądzie – obaczyć swoich i dalej nazad! Sprawa niełatwa. Zanim to się na młodych Kozaków napatrzyli rodzice, nacałowały matki i siostry, bracia i towarzysze rozpytali o uzbrojenie, życie i siczowe zwyczaje – przeszło czasu niemało! Ani się opatrzyli Hnat i Dmytro, jak parę niedziel minęło – czas wracać na Zaporozie! Czas pokończyć z termołamą... którą jednak nie pokazali nikomu! Termołamę Kozak chowa dla kogo innego... Nie przyszło ono łatwo, ale przecież pożegnali Kozacy rodzinę i dalej – prosto na step, do futoru! Raz już trzeba to zakończyć!

A na futorze nie mniej ani więcej, tylko – wesele. Młoda para ledwie co wróciła z cerkwi, drużki kończą weselne pieśni. Młodych posadzili za stół. No już para dobrana! Świat zjeździesz – kto wie, czy znalazłby drugą podobną. A co gości, dziewcząt, parobków! A muzykantów – aż czterech, i to najlepszych! Jadła, trunków – co tylko dusza zapagnie! Wszystkiego dostatkiem.

Wśród wesołego gwaru umilkły pieśni weselne, a tu jak nie hukną parobcy: *Zdorowa-b kniahynia i kniaź młodyj!*²⁷² – aż się ziemia zatrzęsa. Młodzi kłaniają się gościom, w oczach ojców świecą łyzy szczęścia...

Ozwała się muzyka! Jak się rozchodzili młodzi i starzy – tańcować i tańcować! Ledwie chaty nie roznieśli... Nikt i nie widzi, że jak dwie chmury dwa wronie konie przed chatą i niby na słowo stają przed weselnymi Hnat i Dmytro.

– Co tu? Co tu? – krzyknęli, a jeden i drugi zbladł, jak chusta – nie mają nawet czasu popatrzeć na siebie zajadłym okiem.

– A coż by? – odpowiada Starosta. – Wesele!

– Wesele! – ryknął Dmytro. – A ja? – i do Handzi!

– A ja? – w jeden głos Hnat mu dopowiada. Poznał Handzia Kozaków znad strugi! Tuli się do boku Wasyla...

– Stawaj do rozprawy, kto śmie zabierać mój dziewczynę!

– Słowo nie wiatr! – krzyczy drugi Kozak.

Wszyscy poniemieli.

– Tatusiu! – przyszła do siebie Handzia. – Tatusiu! To oni... Biednaż moja głowa!

– Nie bój się, doniu – odpowiada ojciec. – Ja staję do rozprawy.

²⁷² *Niech się szczęści kniahini i młodemu kniaziowi!*

– Czego chcą panowie mołojcy i co za jedni?

– Niech ona odpowie – woła Hnat, pokazując na Handzię. – Ja niedarem tłuł się po bisurmanach.

– Ot, tu termołama – mówi Dmytro, rzucając na stół materię. – Dziewczyna moja!

– Abo moja! Bo i ja nie przyszedłem z próżnymi rękami – i sobie dobywa termołamę.

– *Hij na was!*²⁷³ – woła Kłym. – A czegoż wy chcecie?

– Dziewczyny!

– Dziewczyny! – wołają obadwa.

– Ta dwóch do jednej? Opamiętajcie się!...

– Dwóch? – zmiarkował się Dmytro. – To niechaj wybiera!

– Dobrze, wybieraj! – przystaje Hnat.

– Nie chcę żadnego, nie chcę! Ja mam Wasyla! – ze łzami woła Handzia.

– Ba, sztuka! – na to jej Kozacy. – My pierwsi... – i nastają na dziewczynę. Kto wie, co byłoby jeszcze, gdyby przed siczowych nie wystąpił Artem.

– *Wytajcie, panowie mołodci!*²⁷⁴ – powiada. – Może bym ja mógł wam stanąć w przygodzie. Jakże to było?

Niedobrze robi się Kozakom... Trochę wstyd Artema.

– Dziewczyna – mówi stary Kozak – no, odrzucić trudno... Ale jakże będzie z Siczą?... Coś pomilkli mołodźcy... Mówcie, bo my wiedzieć radzi.

Trudno Kozakom... Jeden i drugi chciałby być o sto mil od futuru... Co tu odpowiedzieć Artemowi?

Wyrezyła ich Handzia, opowiadając, jak dla pozbycia się napastnych wymyśliła termołamę, jak jej ani w dumce nie postało, żeby to wszystko miało być prawdą, jak jej oba Kozacy niemili, bo ona tylko chce Wasyla i jego nie zamienia za wszystkich siczowych...

– Hm! – mruknął Artem. – Słowo nie wiatr – powiedziano!... Ano pokażcie termołamę. Materia piękna... Chodź no tu, Handziu! Zmierz, czy na spódnicę starczy... (a sam się uśmiecha, rozumny stary!). Nie wyjdzie jak na połowę... To już Dmytro nie ma nic do dziewczyny! A teraz obaczmy termołamę Hnata... Tak samo – tylko pół spódnicy... Ot, i daremnie narobili krzyku! We dwóch dopiero

²⁷³ *A niech was!*

²⁷⁴ *Witajcie, panowie mołodźcy!*

przywieźli, co miał przywieźć jeden – we dwóch że chyba wziąć wam młodą Handzię? Ale tak i pomiędzy Turkami nie bywa!... Coż teraz będzie, mołojcy?

– A nic! – odpowiada Dmytro, rad w duszy, że tak się skończyło.

– Czort wiedział, że tego na spódnice nie wystarczy – pomruknął Hnat, gniewny, że ponoś na durnia wyszedł.

– Coż by teraz robić dalej? – pyta Artem.

– A cóż? Pojedziemy, jak przyjechali. *Buwajcie zdorowi!*²⁷⁵

– U mnie inna dumka – powiada Hnat do Artema. – Zostanę na weselu!

– I ty zostań, Dmytrze! Widzisz, jak *kniahynia* zaprasza cię okiem...

– Kniahynia! – popatrzył weselej Kozak. – Ja nie siczowy, kiedym widział gdzie ładniejszą! Zostanę, a termołama niechaj jej choć na rantuch służy.

– Razem z moją – powiada Hnat – będzie dość na spódnice.

– Niechaj schodzi zdrowa!

– *Sokoły moji!*²⁷⁶ – woła Artem. – To już przystali do nas?

– Ano czemużby żałować serca dobrym ludziom, a nóg do tańca. *Hraj, muzyko!*²⁷⁷ Ja z młodą przód wiodę!

– A mnie choćby i ta družka! – mówi Hnat wesoło i staje w drugiej parze.

Jak się nie wysypią pary na podwórze, jak nie złączą tańczyć – aż mogiłam weselej!

No już dokazywali w tańcu Dmytro i Hnat! Tam czort w nich chyba siedział. Jak zaczęli wyrabiać różne figle, a dogadywać w tańcu – to wszyscy mało nie popłakali się ze śmiechu. A dalej przyszło im do głowy ubrać Handzię w termołamę... Ubrać, taj ubrać! Oto już wyglądała – niby słońce jasne!... Starzy i młodzi podurzeli²⁷⁸, patrząc na krasawicę.

Kiedy już wszystkim było tak na sercu, że ściskali się ze łzami i całowali wzajemnie, wystąpił stary Artem.

– *Hnacie! Dmytro!*²⁷⁹ – rzekł rozczulony. – Rzućcie raz do czorta swarki! Połączcie ręce na bractwo! Wziął Wasyl Handzię – nie ma spierać się o co. *Hołuby moji!*²⁸⁰ Poczescie starego i nas wszystkich.

²⁷⁵ *Bywajcie zdrowi!*

²⁷⁶ *Sokoły moje!*

²⁷⁷ *Graj, muzyko!*

²⁷⁸ *Podurzyć* – wpaść w osłupienie.

²⁷⁹ *Hnacie! Dmytrze!*

²⁸⁰ *Gołębki moje!*

Niedługo myśleli Kozacy i padli sobie w ramiona.

– Miał ja cię dawno w sercu – mówi Hnat do Dmytra.

– I mnie było źle bez ciebie! – odpowiada Dmytro.

– Razem!

– Na wieki!

Co tam było radości, co wesela! Popłakali się wszyscy, a jak później hulali!... Podkowy pogubili, obcasów nie stało! Na podwórzu ubili ziemię na łokieć, aż trzeba było przenieść się z tańcem na inne miejsce.

Nazajutrz weselni goście poprowadzili Hnata i Dmytra do cerkwi i byli świadkami ich przysięgi na bractwo – a później nazad do Kłyma! Hulali bez ustanku jeszcze dni cztery. Piątego dnia mało kto nie legł z przepicia, a wielu poodjeżdżało do domów.

Hnat i Dmytro trzeźwi weszli do świetlicy. Wasyl z Handzią hołubią się szczęśliwi. Ojcowie i stary Artem patrzą na młodych, lży świecą im w oczach.

– *Zdorowi, molodci!*²⁸¹ A jak tam po hulance?

– Jak zwyczajnie. Ot, czas nam, bat'ku, na Zaporozże – dosyć zabawy!

– Już jedziecie? – pyta Handzia żałośnie.

– Wiek by przy tobie zostać chcieli, ale Wasyl nie pozwala – żartuje sobie Dmytro.

– *Buwajcie zdrowi!*²⁸² – żegna się Hnat. – Czas w drogę.

– To nie chcecie zostać? – pyta Kłym Kozaków.

– *Ne prychodyt'cia!*²⁸³ Trzeba zajrzeć na Sicz.

– Jedźcież z Bogiem!

– A nie zapominajcie o nas! – dodaje Handzia.

– Nie tak łatwo zapomnieć... Ot, może i szkoda, że nie przywiózł całej spódnicy – mówi żartem Dmytro.

– I tak już byłoby za późno! – odpowiada Kłym, żegnając Kozaków.

– *Proszczawajcie!*²⁸⁴

– *Z Bohom!*²⁸⁵

²⁸¹ *Witajcie, młodzi!*

²⁸² *Bywajcie zdrowi!*

²⁸³ *Jakoś się nie składa!*

²⁸⁴ *Żegnajcie!*

²⁸⁵ *Z Bogiem!*

Wsiedli na koń, pokłonili się gospodzie. Jeden, drugi rzucił okiem na Handzię... Pojechali!

Starzy patrzą w ślad za Kozakami. Patrzy Wasyl i Handzia... Chwaty, że trudno! Postali czas jakiś, Wasyl spojrzął na Handzię – rzuciła mu się na szyję... Szepnęli sobie młodzi czarowne jakieś słówko... Wasyl złożył serdeczny pocałunek na ustach żony i poszli do chaty. Młoda para już na swoim gospodarstwie.

Hnat i Dmytro w Siczy. Sławni to rycerze! I wiele, wiele jeszcze da się o nich powiedzieć, ale już chyba nie teraz...

ATAMAŃSKA MOGIŁA

Leci stepem siry¹ orzeł i kracze. Na mogile wiatr ukraiński suszy stare kości, a u podnóża siadł ślepy kobzarz² i śpiewa dumkę burzanom i stepowemu kwieciu. Hej, ta nutaż to Bojanowa!³ Niby caryca stepów płynie rozłogiem, chwytą się traw i kwiecica, uczepi mogił wysokich i stamtąd leci już w niebo, by i tam ją posłuchano. Kracze orzeł w obłokach, czajka skihli⁴ nad rudą⁵, niebem płyną czarne chmury, a ziemia coś stęka, aż się król dzikiego tabunu koni porwał i uchem strzyże i wietrzy chrapami...

Pokazały się z traw ostre spisy, wieją kraśne wierzchy kołpaków. To Kozacy spieszą... Dokąd? Wie Bóg i pan ataman! A nie wiedzieć, czy ich chmura wyprzedzi, czy oni chmurę... Ta gdzie, gdzie jej sprostać? Pozostała w tyle i z ciężkiego zasumowania⁶ rozlała się deszczem, zmiatając pył, co został za Kozakami. Polecieli!

Pan ataman na przedzie na koniku czesze⁷, aż się wszyscy diabli śmieją i patrzą z piekła na jazdę kozacką. Za nim wierna drużyna. Kiedy niekiedy to szabla brzęknie, to koń zarży, to Kozak zaklnie, że czarci mają wroga, by go posiekać na kapustę! Lecą. Orzeł zawisł w powietrzu, patrzy na Kozaków i myśli: „Wraże dzieci! Muszę przystać do kosza, by takiego lotu zapróbować”.

Koło mogiły pan Ataman zatrzymał karego. Doleciał go dźwięk teorbanu, słyszy dumkę śpiewaną, a dumy nie słuchać – grzech, bo mądre jej słowa i dobrą naukę dają.

– Panowie mołojcy! – rzekł. – Spocznijmy tu *czasynę!*⁸ Posłuchamy starego kobzarza.

– Dobrze, bat’ku – odpowiedzieli Kozacy, zsiadając z koni. – Posłuchamy! Niechaj dziad śpiewa, zawsze coś wyśpiewa.

¹ *Siry* – szary.

² *Kobzarz (kobziarz)* – na Ukrainie: ludowy śpiewak grający na kobzie.

³ *Bojan* – wieszcz gęślarz i poeta ruski, drużynnik kniazia Jarosława Mądrego.

⁴ *Skihlić* – kwilić.

⁵ *Ruda* – podmokła łąka, bagnisko.

⁶ *Zasumowanie* – zafrasowanie, zmartwienie.

⁷ *Czesać* – tu: jechać klusem.

⁸ *Chwile!*

– *Zdorow, didu!*⁹ – krzyknął ataman. – Śpiewaj Kozakom, a do kalety przybędzie.

– Hej, skoryś płacić za pieśni! – ozwał się kobzarz. – Pieśń jak słońce – gdy świeci to darem, a zaszło – już go za korzec¹⁰ dukatów nie dostaniesz!

– Stary dziad się gniewa, a to było powiedziane nie ze złego serca. Śpiewaj, kobzarzu. Niejeden z nas posłucha pieśni *uostanne*¹¹.

– To i prawda! – odrzekł dziad poważnie i zaczął stroić instrument.

Przebiegł palcami po strunach, brzęknął z cicha, jakby coś mówił w tajemnicy ze swoim teorbanem, dotknął basu, przebiegł po środkowych, wreszcie całą ręką po strunach uderzył i z pełnej piersi zaśpiewał pieśń, po każdej zwrotce przygrywając na teorbanie:

Oj, zazula w lesie kuka, że ją słychać wkoło.
Pan ataman z młodą żoną bawi się wesoło.
Zabawia się pan ataman, aż mu w duszy miło –
Ani wie, że w Ukrainie *lichu się wkoilo*¹².
Wkoilo się ciężkie lichu: Turek rżnie i pali.
Hej, hulali Kozaczeńki, za długo hulali!
Nie trza było pić sywuchy i miodu bez miary,
Nie puściliby na stepy bisurmańskiej wiary!

Pogładził poważną brodę i z lekka przygrywa na teorbanie. A pan ataman coś bardzo zasumował się. Patrzy na kobzarza i pieśni słucha.

Podjechali Kozaczeńki pod cisowy dworzec¹³:
„Wychodź, wychodź, atamanie! Rozwijaj proporzec.
Rzucaj w domu dziecię małe i wierną drużynę,
Popłyniemy rzeką Dnieprem do Turka w gościnę”.
Siada na koń pan ataman. Żona z żalu mdleje.
„Nie płacz, droga, ja powrócę! Miej dobrą nadzieję”.
„Oj nie rzucaj, orle pyszny, żony nieszczęśliwej!
Choć powrócisz zdrów i cały, mnie nie znajdziesz żywej”.

⁹ *Witaj, dziadu!*

¹⁰ *Korzec* – dawna jednostka objętości o różnej wielkości (na przykład korzec warszawski – ok. 120 litrów).

¹¹ *Ostatni raz.*

¹² *Licho się zaległo.*

¹³ *Dworzec* – dwór.

– *Didu!* – wykrzyknął ataman. – To o mnie pieśń ta, to słowa mojej żony!...
Kobzarz nic nie odpowiada, tylko śpiewa dalej:

Wraca z wojny pan ataman, wiezie mnogie łupy,
Ta spotyka na swej drodze krew i ludzkie trupy.
Leci strzałą do futoru, do żony niebogi!
„Co to bracia za mogiła nowa koło drogi?”
Ataman zbladł jak chusta, a dziad drżącym głosem dośpiewał:
„*Dożywże ty, atamane, tychoji hodyny!*”¹⁴ –
To mogiła twego dziecka i wiernej drużyny”.

– *Dosyc!* – wykrzyknął ataman, porwawszy się jak sokół z mogiły. – Niech ci woron¹⁵ resztkę ślepych oczu wykluje za twą dumę przeklętą. Na koń, bracia! Tam moja drużyna i jedyne dziecko!...

Jak stado sokołów za swym przywódcą polecili Kozacy w ślad za atamanem! I za chwilę tylko chwiejące się wierzchy traw wskazują, gdzie znikły stepowe dzieci.

Kobzarz smutnie zwiesił głowę na piersi i łzą mu zabiegło ślepe oko.

– Hej, doło ty, doło łukawa¹⁶ – westchnął z całej piersi. – Zdradziłaś ty mnie, niewierna! Czy w ślepych kobzarzu pozna kto Szwajkę, dzielnego watażkę Kozaków, co mu Turek na Carogrodzkim bazarze wypiekł oczy gorącym żelazem?...

Westchnął, przewiesił teorban przez plecy i przeżegnawszy się krzyżem świętym, poszedł burzanami ku wschodowi. Może zajdzie do ludzkiej siedziby, a może stare kości złoży gdzie w czaharze¹⁷ wilkom na pożarcie...

—

Oj, wyróżył żeś ty, ślepy kobzarzu, złą dolę atamańską! Z ojczywego futoru znalazł ataman kupę gruzów i garść popiołu. Dobrzy ludzie pokazali mu mogiłę dziecka i żony. Wyróżyłeś lirniku, ale nie wszystko – nie było końca twjej pieśni: pan ataman jak przypadł szeroką piersią na mogiłę, to i nie wstał więcej. Pilno mu było do żony i dziecka. I leży koło nich do dzisiaj.

¹⁴ *Ty żeś dożył, atamanie, smutnej godziny!*

¹⁵ *Woron* – kruk.

¹⁶ *Łukawy* – przewrotny.

¹⁷ *Czahar* – zarośla na podmokłych gruntach.

Atamańska mogiła widnieje z daleka. Czasem na niej usiedzie kobzarz ze swą lirą i zaśpiewa dumkę tęskną; czasem głodny wilk zawyje, szukając karmi¹⁸ dla swych dzieci, a wiatr trawą chybotrze i cichy rozhovor wiedzie z mogiłą. Nikt nie podsłuchał tego rozhoworu, a chód słyszał, to nie rozumiał mowy mogli i stepowego wiatru.

¹⁸ *Karmia* – karma.

CZARTOWA GÓRA

Na skalistym brzegu rzeki Uszycy¹ stoi zamek obronny i ciekawie przegłąda się w zwierciadlanej fali. U podnóża legła wioska – łany, łany bez końca, las i mogił wieniec, które tę ziemię poznały sobą.

Zamek to sławnej rodziny Koreckich².

A nie tym sławnych, że są kniaziami z rodu, nie tym, że mają złota zasięki, ale że na nich nie ma łyzy sieroczej, że krzywda ludzka nie płami sławnego rodu. A jak zapamiętać tylko, nie na łóżach puchowych, ale śmierć spotykała kniazów wśród bitew z wrogami ziemi ojczystej. Tam do skarbu płynęło złoto rzekami, ale się nie zlewało w nieużyte morze, tylko było źródłem, z którego czerpała nędra, czerpało nieszczęście i bieda.

Dusza Bogu, serce i głowa ojczyźnie, a mienie dla potrzebujących! Z tego słynęli Koreccy, a najbardziej książę Ostafi, ostatni z tej linii, co nie siedziała na Korcu³ wołyńskim. Książę Ostafi miał mir⁴ wielki pomiędzy rycerstwem. Druh Sahajdacznego⁵ z nim razem przebywał w obozach i kroił kurty bisurmanom, aż ranny śmiertelnie omocnił⁶ w zamku – tylko do wojaczki niezdatny: lewą rękę zabrał mu Turek, a prawą obezwładniła kula, że ledwie nieledwie zdoła krzyż położyć na piersi, a szabli udźwignąć i wywinąć młynca⁷ nie zduża⁸. Westchnie tylko, gdy obaczy družkę⁹, co mu tyle razy stawała w przygodzie i głowę na piersi pochyli.

¹ *Uszyca* – rzeka na Ukrainie, lewy dopływ Dniestru.

² *Koreccy* – ród książęcy, którego kolebką był zamek w Korcu na Wołyniu, wywodzący się od wielkiego księcia litewskiego Olgierda, wygasły w 151 roku.

³ *Korzec* – miasto w dawnym województwie wołyńskim Rzeczypospolitej.

⁴ *Mir* – posłuch, szacunek.

⁵ *Sahajdaczny* – Petro Konaszewicz-Sahajdaczny (1570–1622), hetman kozaków rejestrowych; jeden z najwybitniejszych wodzów kozackich w XVII wieku.

⁶ *Omocnić* – zabarykadować się, okopać się.

⁷ *Młyniec* – w fechtunku: cios poprzedzony nagłym, szybkim uchem obrotowym.

⁸ *Nie zdużać* – nie dawać rady.

⁹ *Družka* – tu: szabla.

Smutne byłoby życie kniazia, gdyby nie cześć, jaką dawali mu ludzie, nie zasługa, co ją zdobył życiem rycerskim. A najbardziej – córka, którą mu Bóg chowa na pociechę, bo trzech synów oddał kniaz ojczyźnie.

A kniahynia to gdzieś córkę kąpała w lubystku¹⁰ i od mołodyka¹¹ pożyczka krasę, gdy się zmywał rosą, bo daleko, daleko nie było takiej krasawicy jak księżniczka Ołena. Jeszcze to było dzieciną, ponoś wiosny piętnastej, a kto ją ino obaczył – stawał z zadziwu, niby anioła ujrzał z nieba! Bo istnym była aniołem: i z krasę, i z serca dobroci; a dusza w niej była czysta jak wody źródeł naszych, jak niebo podolskie¹², gdy na nim żadnej chmurki nie ma, a tylko jasne słońko świeci na uciechę.

To wielkie szczęście, że wtedy było za bardzo wojenno – i co żyło z młodzi¹³, w polu wyprawiało harce, a to traciłoby głowy mołojcy! Bo taka krasawica zabiera serce niby swoje i tylko by umrzeć zapatrzonemu w te błękitne oczy, w te usta z koralu. A choć i jak było nie do kochania, bo pohaniec przygrzewał, że tam mu biesów trzysta – przecie światem poszła sława o Ołenie młodej, krasawicy, dońce kniazia Ostafiego. A najlepiej ponoś wiedział o tym Prokop Dżuryło, młody sotnik w kozactwie, bodaj czy nie powinowaty kniazia, syn jego druha obozowego. Prokop wzrósł na kniażym dworze i co dzień patrzył w liczko kniaskiej córki.

Toż to był Kozak z tego Sotniczетка! Tam bies w nim chyba siedział – taki żwawy! Gdy wąs podkręci, a czarną brwią mrugnie – to dziewczęta, gdzie jaka żyje, giną za Kozakiem! W tańcu i w zabawie wszelkiej nie masz ponad niego! Do rozmowy z dziewczętami niby się urodził – taki składny; a posłuchaj jego rozmowy ze starszymi – tam statek, tam powaga wszelka, że dziwo siwej głowie!... A obacz go w polu: jak zatoczy wronem a szabelką błysnie, to niby snopy lecą bisurmańskie głowy i kłonią się sotnikowi dżuryle¹⁴. Chwat Kozak, że w całej Ukrainie nie znaleźć takiego!

Wiedział i ktoś drugi o krasawicy Ołenie i nieraz zaczajony tonął okiem w obliczu księżniczki, a w piersi grały mu nieczyste uczucia.

¹⁰ *Lubystek* – lubczyk.

¹¹ *Mołodyk* – ukraińska ludowa nazwa jednej z faz Księżyca, w której ma on postać sierpa.

¹² *Podolski* – Podole, tj. kraina historyczna i geograficzna na terytorium Ukrainy i Mołdawii, położona nad północnymi dopływami środkowego Dniestru i w górnym biegu rzeki Boh.

¹³ *Młódź* – tu: młodzi chłopcy.

¹⁴ *Dżurył (czura)* – w XVI–XVIII wieku chłopiec posługujący przy orężu kozackiej starszyny.

Na zachód od kniaziowego zamku jeszcze het przed dwudziestą laty założył swą siedzibę niemiecki rycerz, kędyś zza morza przybyły, a dziwnie go ludzie zwali, bo *Hansem grafem von Rotkirchem*¹⁵.

Za Bóg wie tam jakie usługi król mu nadał ziemie na własność dziedziczną i tu się graf okopał, wybudował zamek i osadził go niemieckim żołnierzem, a sam na nieznanych wędrówkach przebywając, tylko latem zjeżdżał do zamku, przesiadując w nim aż do zimy, z którą znów w obce kraje odjeżdżał. Różnie tam prawiono o nowym dziedzicu i jego synu jedynaku, a dobrego niewiele... także ludzie wymijali zamek niemiecki, żegnając się odeń krzyżem świętym, bo ponoś tam n a m a g a n o z n i e c z y s t y m...¹⁶ Szczególniej o północy słyhać było w zamku diabelskie jakieś wrzaski i ogień niby piekielny buchał z narożnej wieży zawieszanej nad przepaścią.

Niedługo tysiączne powieści zaczęły krążyć o niemieckim zamku, a skłonny do wiary w rzeczy nadprzyrodzone lud, nazwał go Czartową Górą i żegnając się, omijał siedzibę grafa Rotkircha.

I kniaź nie bardzo dolubiał sąsiada: znajomości z nim nie zabierał żadnej, a gdy przerażona wielką łuną z Czartowej Góry i tysiącnymi o niej powieściami kniahynia zachorowała obłożnie i zamek chciała opuścić, kniaź Ostafi przykazał górę od zachodu zasadzić lasem i zakrył niemieckie gniazdo, że tylko żółtą choraągiew było widno, co powiewała z głównej baszty Rotkirchowego zamku. Od chwili, gdy las stanął przegrodą pomiędzy obu zamkami, uspokoiła się kniahynia i mało było mówienia o Czartowej Górze.

Było to jakoś niedługo przed wojną z pohańcami. Szlachta bankietowała, wykrzykując na sejmikach, kozactwo tęskniło za wojennym tańcem, ale Sahaj-daczny siedział spokojem... A gdy on siedzi, to i kozactwu nie pora na pochody.

W zamkowym ogrodzie, ponad rwącą rzeką – czy to młoda brzoza rozmawia z kaliną? Nie! To pan Dżuryło wie dzie rozhovor z jedynaczką kniazia Ostafiego. Ładna para! Czy tylko nie za młodzi?... Może i nie znają, co mowa serdeczna?...

Ho, ho! Spójrz tylko, jak się słońce mieni w rzecznej fali, a w liczku młodej kniaźny jakie tam kolory!... A sotnik? – To szczęście, że fala o skały pluchocze – zagłusza bicie kozaczego serca... Znają się oboje, bo młodym miłosnej nauki nie

¹⁵ Postać prawdopodobnie zmyślona.

¹⁶ *Namagać z nieczystym* – paktować z diabłem.

trzeba. Oko z okiem zestrzeli się w spojrzeniu, w piersi zaparzy gorącym i na lica krasą wystąpi; serce zamrze przez chwilę, a później wyskoczyć by chciało – ot, i po wszystkiemu! Ani się młodzi opatrzą, a tu już chmurka osiada na czole, w sercu tęskno i lubo zarazem, a westchnienie goni dumkę o miłym.

Ponoś tak samo pokochali się i Prokop z Oleną. Stoją serdeczni nad wodą, wzięli się za ręce i milczą – a mówią wiele; nie patrzą – a dusza gdzieś do głębi widna. Cudne to kochanie dwojga młodych!

– Oleno! – przemówił wreszcie Kozak. – Gdy powrócę z wyprawy, czy przyjmiesz mię słowem serdecznym?...

Dziewczę pochyliło się na ramie miłego i słodko patrzy w oczy... Chciała przemówić, lecz słowa zamarty na ustach: o kroków parę padł strzał i szkaradna, biesia postać wychyliła się zza skały, zielonymi oczyma patrząc na młodą porę. Na ten widok dziewczę krzyknęło, tuląc się do Kozaka, którego ręka mimo woli padła na rękojeść szabli.

– Przebaczenie, piękna sąsiadko – przemówiła zagadkowa postać, uchylając kapelusza. – Zabiłem krogulca, który skradał się do gołąbki, bo ja krogulców nie cierpię! A to was przeraziło... – dodał, z szyderyczym uśmiechem patrząc na kochanków.

Sotnik porwał się jak orzeł w locie.

– Ktoś ty, biesowska maro! – krzyknął.

Zielonookie widmo spojrzęło nań z pogardą.

– Do widzenia, piękna sąsiadko! – Cha! Cha! Cha! – echo powtórzyło śmiech szatański i mara znikła.

– Czy uroki?! – wstrząsł się Kozak. – W biały dzień biesy włóczą się nad rzeką!...

– Pójdźmy do zamku – z trwogą rzekła księżniczka.

– A już też i czas wielki. Widzę, sotnia w pogotowiu.

– Ale ty wrócisz do nas, Prokopie? – cicho, ze drzeniem zapytało dziewczę.

– Wrócę, gołąbko moja! Wrócę, gwiazdko świetlana!

Aż teraz wypowiedzieli młodzi, co im bies dopowiedzieć nie dał...

Za małą chwilę pan sotnik pokłonił się wszystkim z wronego, karym okiem raz jeszcze sięgnął aż w głąb duszy dziewczęcej, skinął na swoich i sotnia ruszyła.

Długo z zamku patrzano za Kozakami. A księżniczka to i we śnie widziała mołojców z sotnikiem na przedzie, który Bóg wie, po co wziął ze sobą serduszko

młodej kniahyni. Przyszłaż mu ochota!... Niech by już sam odjechał, ale po co mu było brać serce?... A gdy młójec dziewicze serdeńko zabierze, to się to nigdy nie utai! Tak też i z księżniczką. Nie je, nie sypia, wzdycha, płacze... Ej, niedobrze!

Ojciec z matką:

– Co tobie, gołąbko? Co, z a z u l k o? – pytają.

– Nic mi, nic, serdeczni! To tak... – A łezka, niby perła toczy się po liczku, westchnienie podnosi pierś młodą.

Nie tacyż bo to starzy książę i kniahynia, by się nie domyślili prawdy! Jak zaczęli pytać a wypytywać – tak się dowodnie pokazało, że pan sotnik całkowicie zawrócił głowę dziewczynie. Książę się zadumał, kniahynia zaczęła modlić się w duchu. A księżniczka płacze, taj na licu z kraszy spada¹⁷.

– Ta cyt już, cyt, zazulko! Bóg twojej niedoli nie zechce! – uspokaja matka swą donię.

– A jakże, Ostafi, co poradzimy naszej jagódce?

– A radźcie, jak znacie! Nie umieli dopatrzeć, że sokół w pobliżu – płacziecz, że zabrał gołąbkę jak swoją!

– A kto sokoła hołubił? Kto go w naszym gnieździe chował?...

– Ta jużci nie kto inny jak ja – odpowiedział stary książę nieco markotny. – Ależ bo to i Kozak udały! Ot, i teraz pisze mi ataman, że tam cały diabeł z niego na wojnie i nie chybi – dorąbie się pułkownika. Przy tym syn mego druha Ostapa.

– To może by?... – i ucięła kniahynia, patrząc w siwe oczy mężowskie.

– Ta ono dla naszej przepióreczki i król nie za wiele, ale skoro go miłuje...

– Tak, tak, mój ty orle siwy! Niech się młodzi pobiorą.

– A niech Bóg szczęści! Komuż by i oddać kniaską córkę, gdyby hordować¹⁸ takim chwatem... Ołeno!

Co tam już było, gdy córkę przywołali, to chyba nie mówić. Łzy, śmiech, radość i szczęście... Kto zaznał – wie! A innemu żadne słowa nie pomogą.

Wesoło, gdy słonko świeci, wesoło, gdy ptaszki śpiewają – ale jak nigdy sercu, kiedy powiedzą: „On twój – tyś jego!”.

¹⁷ Z kraszy spadać – tracić urodę.

¹⁸ Hordować – gardzić.

Ołena zdrowa jak rybka, śpiewa niby ptaszę w gaju, kwieciem zdobi skroń, a rumieniec taki wybiegł na gładką twarzyczkę, że stolistna róża wstydliwie schowała kwiat pod liście, bo jej takiej krasie nie sprostać.

Wesoło w zamku, szczęśliwie, a nikt nie wie, że się gotuje ciężkie lichy. Zagrały trąby przed zamkową bramą. Straż żegna się krzyżem świętym, bo jak żyje – takiego dziwa nie widziała. Idą rajtary¹⁹, halabardami²⁰ zbrojni, z ogonami na głowie, skórą zwierząt pookrywani. Na wielkich koniach, miedzią okuci, postępują wielkoludy, we środku cała z brązu i szkielec buda, a w niej czy nieczysta siła – jakaś maskara cała w złocie i kamieniach, a koło niej drugie zielonookie rude lichy, także cudacko przystrojone.

Ledwie wyszli z podziwu, a tu wrzask orszaku:

– Graf Hans von Rotkirch! Graf Fritz von Rotkirch!

Dziwo, dziwo! Tyle lat nikt nie widział grafa, aż oto przyjeżdża do zamku w gościnę. I książę Ostafi zdziwił się niemało, ale kazał prosić gości na pokoje. Książę na wieść o odwiedzinach strasznego sąsiada zamknęła się z córką w dwudziestu komnatach i trzech popów przywołać kazała, by odmawiali nabożne modlitwy.

Niedługo trwały odwiedziny grafów. Za małą godzinę widziano ich wychodzących z sali zamkowej gniewnych, że skry padały z ocz krwią nabiegłych, a klęli i wygrażali w swej diabelskiej mowie.

Książę Ostafi ledwie żywy w swym krześle, choć słabą ręką, a targa pas złotolity.

– On śmiał, knecht²¹ niemiecki! Ten łaciński kuchta ważył się podnieść oko na ród Koreckich. Czy bies go opętał?!... Mości gubernatorze! Podnieść most zwodowy²², wykierować działa na drogę. Jak mi ta diabelska landara²³ z tymi tam pludrami²⁴ ukaże się na wystrzał – pal, żeby w proch poszła!... On śmiał, phi! On się poważył...

¹⁹ *Rajtar* – żołnierz kawalerii używającej w walce przede wszystkim pistoletów.

²⁰ *Halabarda* – dwuręczna broń drzewcowa, składająca się z drzewca z głownią, łączącą w sobie elementy trzech broni: topora z jednej strony, haka z drugiej i włóczni pośrodku.

²¹ *Knecht* – żołnierz pieszy w dawnym wojsku niemieckim.

²² *Zwodowy* – zwodzony.

²³ *Landara* – coś dużego, niezgrabnego.

²⁴ *Pludry* – krótkie sukienne spodnie sięgające kolan, z bufiastymi nogawkami.

Bardzo się stary książę rozsierdził. Wkrótce też wszyscy wiedzieli w zamku, że niemieckie grafy z Czartowej Góry radzi byli zabrać córkę kniaziów, ale że odjechali z harbuzem²⁵ do swej diabelskiej siedziby. Książka aż zaniemogła na wieść o śmiałości sąsiadów, a księżniczka przyrzekła utkać Przczysteję złotą w perły namitkę, że ją od szponów chroniła czartowskich.

Ale niebawem zapomniano w zamku o dziwnych odwiedzinach. Pan sotnik zaś przysłał pokłon księstwu i wiadomość, że niebawem do nóg im upadnie. A licho, siedmią wiatry, pędzi na zamek kniaziów.

Sądny dzień był w siedzibie Rotkirchów, gdy wrócili z rekuzą²⁶. Diabelskie to jakieś państwo! Tak się jeży, jakby Boga zjeść chciało, że nie poszło po ich myśli. Hałas, krzyk, rwetes – jak w piekle! Stary graf pianę z ust toczy, młody ze złości strzela psy i konie, służbie kulami ponad uchem świszczy, że co żyje chowa się w nory przed gniewem zielonookiego grafa. Długo w noc trwała narada w zamku niemieckim, mało wypito trunków, a krzyczano wiele, jak zwyczaj u niemieckich ludzi.

Grafa nie to bolało, że Koreckiej dla syna nie dostał, bo mu przyrzekł wszystkie Margarity i Hermenegildy z całych Niemiec sprowadzić do zamku, ale go biesiło jakieś niegrzeczne słowo kniazia Ostafiego. Toż kłął zemstę straszną całemu rodowi Koreckich za obrazę grafa von Rotkircha. O świcie zapadło postanowienie: korzystając z czasów wojennych, prawem baronów, wpaść na zamek kniazia, złupić go, a córkę wziąć gwałtem za żonę grafa Pritza. Stary graf rozesłał gońców w rozmaite strony, by mu zdali sprawę z tego, co się dzieje, ażeby siła zbrojna nie pomieszała jego szyków. Sam pozostał ze swym powiernym²⁷.

– Herman!

Wywiędły Niemiec ukłonił się nisko.

– Czy ostatni transport poszedł?

– Poszedł.

– Wiele tam było?

– 200 000, hrabio. Franc je powiózł.

– Dobrze! To pewna, że mnie ten książę obraził, ale czy zemsta nie popsuje całej sprawy?...

²⁵ *Odjechać z harbuzem* – odjechać z odmową.

²⁶ *Rekuza* – odmówienie ręki panny

²⁷ *Powierny* – człowiek zaufany, powiernik.

– Hrabio! Wszak taki sam zamek mamy na Węgrzech. W razie niebezpieczeństwa kuźnię wyrzucam w powietrze, a za tydzień mam nową w innym kraju.

– Słusznie. Zemsta więc! Upokorzę cię, dumny kniaziu. Poznasz, co to graf niemiecki!

—

Już jesienno na dworze. Liście drzew pożółkłe, smutnie szeleszczą, kołysane chłodnym wiatrem; traw i kwiecica nieszczodrze²⁸ na łąkach. A przecie ludziom i ten widok miły, i w tej tęsknicy znajdzie się oddech dla piersi.

Kniażna Ołena wybiegła do ogrodu. Kwiaty powiędły, jasne słońeczko straciło na krasie. Smutno dziewczęciu: zaduma wbiega na czoło i ani wie księżniczka, że przysła nad rzekę w to miejsce, gdzie rozmawiała z sotnikiem, gdzie...

– Jezus! – wykrzyknęła przerażona, ujrawszy widmo kobiece, które ją wzięło za rękę.

– Nie bój się, rybko, jasna panienczko! Daj rączkę, niech ci dołę wypatrzę i wypowiem słowem, by wszystko jawnym było.

Ochłonęła księżniczka z przestachu. Drży jeszcze, lecz ją wielka ciekawość zbiera... bo i któraż dziewczyna nie rada by znać przyszej swej doli, a jeszcze gdy kocha?... Nie było długiego namysłu i mała rączka księżniczki spoczęła w czarnej dłoni Cyganki. Stara wiedźma długo rozmyśla i siwą głową kręci.

– Sądzone ci szczęście i rozkosz wszelaką, wiek długi i panowanie – zaczęła zwykłymi słowy wróżek i ucięła, litośnie patrząc w oczy dziewczęcia.

– Mówcie, mówcie babuniu! Tu wam grosz bity, a dam więcej jeszcze.

Wróżka smutnie pokiwała głową.

– Nie dawaj, gołąbko – rzekła. – Srebra ni złota nie chcę, bo nie mam dla ciebie wesołej nowiny.

– Może nie żyje! – wykrzyknęło dziewczę, blednąc jak chusta.

– Żyje, powróci. Ale kruk czarny zadławi gołąbkę, a sokół smutny odleci. Więcej mnie o nic nie pytaj. Biada gołąbce, bo kruk się już skrada!...

– Nie wierzcie jej, księżniczko! – ozwał się w tej chwili głos zza skały i ta sama zielonooka postać niemieckiego grafa stanęła przed dziewczyną. – Czarownica plecie jak na mękach! Wam szczęście sądzone. Ja was kocham, księżniczko, i będziecie u mnie królową. W naszym skarbcu złota dużo, ja dam wam wielkie szczęście...

²⁸ *Nieszczodrze* – niewiele.

Wróżka znikła, jak podziemie poszła, a graf dalej prawi zalęknionej księżniczce:

– Ojciec odmówił mi waszej ręki, ale wy moją będziecie.

– Nigdy! – ocknęło się dziewczę i z krzykiem jęło uciekać ku zamkowi.

Graf zatrzymał ją żelaznym ramieniem.

– Będiesz moją – rzekł – bo mi się podobasz! – I zielone ślepie, iskrzące diabelskim jakimś ogniem, utopił w licu księżniczki.

Szczęście, że dworskie niewiasty nadbiegły w tej chwili, szukając panienki. Skamieniały trwogą. Na szelest graf wy dobył pistolet, ale ujrawszy niewiasty zaśmiał się szyderczo i puścił z rąk Ołenę.

Księżniczka szepnęła cicho:

– Ratunku! – i padła zemdlnona.

Zielonooki graf znikł za skałami i tylko echo odbija niemiecką jego śpiewkę. Niewiasty rzuciły się do trzeźwienia młodej swej pani.

Księżniczka przeleżała tydzień w gorączce. A tymczasem w siedzibie grafów niejedna rzecz bezbożna gotuje się na ludzką biedę. Wysłani gońce przynieśli wiadomość, że wojna trwa w najlepsze, wojska nigdzie wokoło.

– Teraz pora! – zawołał stary graf, zawzięty na kniazia za niedobre słowo.

– Fritz! Musimy pomścić zniewagę imienia Rotkirchów! Weź sobie tę dziewczę.

—

Hej, niepocziwe to plemię te rudowłose Niemcy! Niedarem dusza kozacka znieść ich nie może. Po krzywemu poszła zemsta panów grafów. Nie jak u nas: w dzień biały, z nagą szablą i piersią otwartą... ale ciemnej nocy wybrali się zbóje niemieckie. Głowy okryte blachami, odzież nieludzka i do tego zdradą weszli na zamek kniazia. Kto stawił opór, tego zabito; innych powtręcali do lochów. A na salę wszedł stary Rotkirch z synem.

– Witaj, kniaziau! – zawołał. – Czy po myśli niemieckie swaty?... Gdzie moja synowa? Nie chciałeś dać jej nam po woli, to ją zabierzemy siłą. Fritz, dalej za twą sarną!

Młody graf z drużyną rzucił się na dalsze pokoje.

Hej, gdzie ta siła bierze się w człowieku, gdy wroga obaczy przed sobą? Książ kaleka i już nad grobem, a ciężki pochwyił pistolet i dobrze wycelił, bo graf jak długi upadł na kamienie posadzki, brzęknąwszy miedzią niby szeląg lichey.

Porwali się rajtary. Książ Ostafi padł przekłuty kilkoma dzidami, a zbóje rzucili się na ratunek grafa. Nie zdechł od razu sobaka. Łypnął biesowskim okiem, zachrzypiał „Fritz!” i oddał diabłu duszę.

W tej samej chwili pod przewodem młodego grafa siepacze przywlekli do sali opierających się: księżnę i córkę. Nie mieli wielkiego zachodu, bo kniahynia, gdy ujrzała trupa męża, przypadła mu na piersi i nie wstała więcej. Młody graf zadumał się głęboko. Wreszcie skinął w milczeniu na swoich. Jedni wynieśli trupa grafa, drudzy omdlałą księżniczkę.

—

Przemiął miesiąc jakby chwila, a dla młodej Ołeny to wiek cały. Ona w niewoli, zamknięta w najwyższej baszcie Rotkirchowego zamku. A wokoło ludzie niemego języka, serc głuchych kamiennie... I dziewczę ledwie wie, że żyje.

O, żyje! Bo co dzień wzdrygać się musi na widok szatana, zielonookiego grafa, co łaskaw tylko dla żałoby po ojcu nie idzie z księżniczką do ołtarza, ale za to czartowsko naigrawa się z boleści dziewczycy.

– Piękna, czego płaczesz? – pyta. – Z zaczerwionym okiem możesz mi się nie podobać, a wtedy oddam cię rajtaram.

– Czarcie! – z pogardą spojrzała nań księżniczka.

– Taką cię lubię! – syknął graf, błysnąwszy okiem zielonym. – Będziesz Rotkirchową!

– Król i atamany nic tu nie poradzą. Ojciec mój przewinił, ale już nie żyje, a książd, gdy raz stulą ręce zwiąże, wtedy za nic wszystko! W niedzielę kończę żałobę – w niedzielę pójdziesz do ołtarza.

– Do grobu, a ty w piekła czeluście, czarcie ohydny!

– W niedzielę z żoną odjeżdżam do Niemiec. Wiedz o tym, księżniczko – sucho rzekł hrabia, i wyszedł, własną ręką zamknąwszy żelazne drzwi więzienia.

– Boże! Boże! – jęknęła Ołena, upadłszy przed obrazem Bogarodzicy.

—

Wojna ma się ku schyłkowi. Za wolą króla i pana atamana wraca sotnik Dżuryło z Kozakami na Ukrainę. A śpieszno mu, bo to droga do miłej, droga do raj! Ha, haj! Jaka ta ludzka dola nieszczera. W zaraniu słońkiem ci zaświeci, a gdy się spodziewasz rajskiej wiosny – grad i pioruny zniszczą kwiaty życia... Niedobra ta dola człowiecza!

Sotnikowi ani w myśli, co się dzieje w zamku. On dumką wesołą wbiegł na znane komnaty: ścisną nogi kniazia i kniahyni, do męskiej piersi tuli wiotką kibić Ołeny. Dobrze mu tak śnić o szczęściu! I sotnik marzy: zwiesił głowę na piersi, puścił cugle wronemu, a za nim chobrobra drużyna postępuje lasem. Na zakręcie koń Sotnika zastrzygł uchem, rozdał nozdrza ogniste i chrapnął. Ocknął się Dżuryło. Przed nim baba czarownica.

– *Daj, poworożu*²⁹, sławny Kozaczenu! Byłam w zamku kniazia. Daj ruczku!

– Co się tam dzieje? – zapytał żywo sotnik, a niepokój znać w jego twarzy.

– Zleciały się kurki – rozpoczęła wróżka – zburzyły gniazdo i ptaszka w ich szponach. Śpiesz się, sokole, bo kruk zadławi ptaszynę!...

Sotnik niedobrze zrozumiał ciemną mowę Cyganki, ale sercem targnął ból strasliwego przecucia i Kozak pomknął strzałą, a za nim nieodstępna sotnia.

Wróżka smutnie kiwa głową, patrząc w ślad orłów stepowych.

Strzałą leci pan sotnik, wierne kozactwo za nim, a licha, co się już stało, nie wyminą. Przywitało ich zielone straszna wieścią o tym, co było w zamku kniazia, i straszniejszą, że dzisiaj graf Rotkirch uprowadza księżniczkę do Niemiec.

– Naprzód! – krzyknął Sotnik rozpaczliwie i wierna szabla błysnęła w jego dłoni.

– Hurah! – odwóczyli Kozacy i pędzą na Czartową Górę, zagrać po swojemu.

A w zamku zła godzina dla młodej księżniczki. Zielonooki graf otrzymał jakieś listy z Niemiec, i kazał służbie gotować się do wyjazdu na zawsze. Dziś nocy wyruszy, a nie wyjedzie bez żony. Oj, ciężko biednej gołąbce! Czy i Bóg o niej zapomniał?...

Gwałtem przyprawiono wybladłą do zamkowej kaplicy. Płatny ksiądz niemiecki czeka ją na wysokich stopniach ołtarza. Zielonooki graf z szyderym uśmiechem podał rękę narzeczonej. Nad omdlałą przeczytano słowa przysięgi, a gdy Ołena przyszła nieco do siebie, jak grom uderzył ją wykrzyk służby zamkowej:

– Niech żyje grafini von Rotkirch!

– Już się stało! – wycedził graf z wolna. – Witam cię, grafini!

Rozpacz nie zwykła wybierać rodzaju śmierci. Żałosny jęk wyrwał się z piersi dziewicy i nieszczęsna rzuca się ze stopni ołtarza. Krew pociekła po marmurze, z czaszki mózg prysnął – księżniczka nie żyła!

²⁹ *Daj – powróżę.*

A w tej chwili ozwały się liczne strzały w podwórzu zamkowym i jak anioł mściciel na czele Kozaków wpadł sotnik do kościoła. Trupami wysłał drogę do ołtarza i obaczył – trupa. Daremna że sotnik, że rycerz chorobry – a zapłakał jak małe dziecko i szabla wypadła mu z dłoni. Nie słyszy i nie widzi, co się wkoło niego dzieje. Przed Kozakiem trup jego miłej, jej rękę trzyma w swej dłoni i cicho szepcze: „Ołeno!”, jakby ją ze snu chciał obudzić. Twardy to sen, Kozacze! Żebyś ty nim mógł zasnąć!...

Kozacy sami uporali się ze zbójami. Graf Fritz von Rotkirch powisnął na chorągiewnej żerdzi najwyższej baszty zamkowej, nieco niżej – dziesiątek jego powierników. Hermana złapali mołojcy w lochu, gdy lont przykładał do prochowej miny, by szatańską kuźnię wyrzucić w powietrze. Sam poszedł do piekła, a Kozacy nie tknęli stosów pieniędzy, co leżały w tych piecach – i dobrze zrobili, bo były fałszywe.

Jasną świeczką zapałał zamek niemiecki. Ostatni w zgłiszcza upadł trup zielonookiego grafa von Rotkirch.

Ołenę pogrzebano obok rodziców, a sotnika, niby małe dziecko, wzięli Kozacy pomiędzy siebie i hołubili sierotę.

W lat kilka pułkownik Dżuryło poległ sławną śmiercią w bitwie z wrogami i do dziś widna jego mogiła na stepowej równinie. A nad skalistym brzegiem Uszycy jeszcze znać ruiny niemieckiego zamku, lecz nie ma śmiałka, który by się poważyl wyjść na Czartową Górę. Byli tacy, co chcieli dostać się do złota leżącego tam kupami, ale im did'ko głowy poukręcał i trupy wrzucił do rzeki.

To zaś szczera prawda, że o św. Janie wielki płomień bucha ze zwałiska, słyhać hałas straszliwy i stuk ciężkich młotów. Wtedy Rotkirchy robią czartu pieniądze, by nimi świat prowadził do zguby. Późną jesienią przerażają podróżnych straszliwe jęki, świst i wycie. Dwa kościotrupy latają nagie nad górą. A niekiedy przemknie się duch dziewicy w białych chustach.

To dusza Ołeny i pokutujących grafów.

POKUTA

Krwawo wzeszło słońce nad Sawur-Mogiłą¹. Siódmy raz patrzy z nieba na równiny stepu – siódmy raz widzi garstkę Kozaków otoczonych chmurą pohaństwa. Nie widać odsieczy, nie ma wyratowania – przepadli młodźcy!

Siry orzeł wyleciał pod niebo i kracze – żal mu obłączonych. Zwołał swe orleńta – latają nad Sawur-Mogiłą. Żal, ta żal mołojców!

Towarzystwo czuwa za wysokimi okopami. W ostrzach spis kozackich przegląda się wschodzące słońce, oświeca smutne twarze kozactwa i najsmutniejszą – atamana Hryni. Z jego winy przepada towarzystwo – za daleko posunął się w stepy, nie przewidział złej doli kozactwa... Siwą głowę do ziemi pochylił, duma i duma ataman – na próżno! Porady żadnej, znikąd!

– Panowie mołojcy! – przemówił po chwili. – Bóg o nas zapomniał, zapomnieli i ludzie. Tu, pod Sawur-Mogiłą, spoczną nasze kości. Albo nas strzały tatarskie zakryją, głód przemoże albo niewola czeka sromotna... Co komu milsze – wybieraj! – I zamilkł, bo słów innych nie ma.

Nikt nie przedłuży atamańskiej mowy, duma mołojców – duma o zagubie...

Ruszyło się pohaństwo. Z dzikim okrzykiem wałą na okopy – nowym wałem trupów otoczyli mogiłę... Harde towarzystwo nie ugina głowy. Stoją, jak stali – smutni. Tylko z samopałów świeży dym się kurzy, ciepła krew spływa po ostrzach szabel kozackich.

– Poddajcie się! – woła wódz tatarski. – Głowy wasze to nasze głowy. Poddajcie się, گیاury! – Ale głos jego odbzmiewa bez echa – milczą na głos ten Kozacy.

Minęło południe. Odleciały orły i żarłocznego ptactwa staje. Słońce jeszcze czerwienieć zachodzi... „Umrzeć!” – zrodził się głos w jednej piersi kozackiej... „Umrzeć” – przeszło do piersi innych i trzydzieście siedm ust powtórzyło go z cicha, trzydzieście siedm dobyło się westchnień z tyłuż piersi kozackich.

To nie żal umrzeć ze sławą! Nie żal w obronie innych... Ale ciężko umierać, gdy się jest winnym śmierci, gdy sami oddaliśmy się wrogom! Ot, czemu ciężko

¹*Sawur-Mogila (Sawur-Mohyla)* – strategicznie położony szczyt na Wzgórzach Donieckich, około 10 km od granicy obwodu donieckiego z obwodem rostowskim.

kozactwu! Trzy dni bez chleba i wody, trzy dni w nieustannym boju – a takich dni aż do śmierci! Zginąć – oto, co zostało.

– Prowadź, atamanie! – zawołali Kozacy. – Z tobą nasze głowy, z tobą i dusze kozackie. Nie tego spodziewali się, ta i to przyjąć potrzeba!

Nie pękło serce atamańskie, łza stoczyła się po licu – łza gorzka, bo niewidziana dawno!

– Wasza wola, wasze wykonania – przemówił ataman. – Mnie pokutę przyjąć należy – zostanę.

To nie strach, gdy na ziemią grom z nieba wypadnie. To nie lęk, kiedy skała w dno dniewprowe spada... To strach, gdy o uszy obije się słowo „pokuta”, a toż – atamańska pokuta!... Jak jeden przypadli Kozacy do swojego bat’ka, ze łzami błagają go jak dzieci:

– Nie mów strasznego słowa! – wołają. – Nie gub duszy niepowinnej!²

Na darmo! Nic nie cofnie atamańskiego słowa.

– Nie podoba mi³, panowie mołojcy, w czestnym⁴ boju z wami głowę swą położyć, bo na atamańskiej duszy grzech: zaguby towarzystwa. Bóg z wami, a ze mną – pokuta!

– To i z nami! – zawołali Kozacy. – Bez atamana nie przystało i umierać towarzystwu! Zostaniemy z tobą.

Nie przemówiżte i słowa pan ataman. Dobywa szablę ostrą.

– Za mną! – krzyknął, aż dalekie poszło stepem echo.

– *Sława Bohu!*⁵ – odwótrzyli⁶ Kozacy i rzucają się na głowy Tatarów.

Żaden żyw nie wyszedł. Tylko tam, w najgęstszym tłumie pohaństwa, czyjaś szabla połyska. Od jej cięć zlatują głowy tatarskie, strumienie krwi toczy ta jedna szabla. Za jej migotnym błyskiem przez Tatarów tłumy inne przedziera się ostrze: zakrzywiona w tęczę, z rękojeścią o drogich kamieniach – szabla Kara-Mustafy⁷ wodza.

² *Niepowinny* – niewinny.

³ *Nie podoba mi* – nie jestem godny.

⁴ *Uczciwym*.

⁵ *Na chwałę Bożą!*

⁶ *Odwótrzyć* – odpowiedzieć.

⁷ *Kara-Mustafa* – Merzifonlu Kara Mustafa Pasza (1620 lub 1634/1635 – 1683), wielki wezyr Imperium Osmańskiego.

Dopadł, zmierzył się z wrogiem, dał cięcie jedno... O dziwy, wróg rozbrojony – ostatnia szabla kozacza z jękiem upada na ziemię! Z nią wraz pada słowo: „pokuta!” – ataman Hrynia oddał się Tatarom w niewolę. Wróg, a zadumał się Kara-Mustafa. Rycerz pojął rycerza. Nie sama to szabla wypadła z ręki kozaczej.

– Bij się! – woła na jeńca. – Nie dla mnie straszny twój oręż!

Ale ataman milczy. Na słowa tatarskie jedną ma odpowiedź:

– Róbcie ze mną, jak wasz zakon⁸ każe.

Aż pohaństwu dziwno od słów jego. Kara-Mustafa – wódz Tatarów, Kara-Mustafa – gjaurów pogromca, on nienawidzi niewiernych – kozactwa wróg nieubłagany... A przecież nie śmie być sędzią dobrowolnego jeńca. Przeczuwa, że jego wyrok tu na nic, że winnego kto inny osądził, i puszcza *połonnika*⁹ na swobodę.

Zaśmiał się – ze łzami – zaśmiał pan ataman... Zostawił go Tatar na bezludnym stepie, samego z bratnimi trupami.

– Nie przyjął *Hospoda*¹⁰ pokuty – dla grzesznej duszy nie ma zmiłowania... I czarna noc zasiadła duszę atamańską.

Wtem cichy jęk doleciał go z oddala. To najmłodszy z towarzystwa, szablami posiekany, kona.

Nachylił się nad nim ataman.

– Przeżegnaj mnie – wyszeptał konający. – Po... cho... – I dusza kozacka uleciała za innymi.

Ataman w usta pocałował trupa, zakrył mu ręką powieki.

– Pochowam was, głowy niepowinne!¹¹ Pochowam ciała chrześcijańskie, a moje – niech rozszarpią kruki i stepowe orły!...

I wzeszło słońce – widziało pokutnika, jak szablą kopał dół mogilny – i zaszło, przy robocie go zostawiając. Gdy drugi raz ukazało się nad Sawur-Mogilą – już świeża ziemia przykryła poległych. Tylko jeden trup leżał niepogrzebiony. Wiatr stepowy siwe rozwiewał włosy i odstraszał nimi zlatujące się na żer ptactwo.

To trup atamana Hryni – pokutnika.

⁸ Zakon – prawo.

⁹ Jeńca.

¹⁰ Pan Bóg.

¹¹ Niepowinny – niewinny, bez winy.

PODOLANKA

Hulaszczo płynie Dniestr pomiędzy skałami, igra swobodnie z odłamami granitu, zaprasza do wesołego tańca i ze śmiechem i hukiem młodczym niesie je precz gdzieś w Sine Morze.

Miliony gwiazd, rozsypane po jasnym niebie, wtórzą krasie przyrody, która szczodłą ręką rozsypała swe dary na świętą ziemię podolską. Jak dziecięcki u rodzonej matki wyglądają zza nieba lazurów, kąpią liczko w srebrzystej fali dniestrzanej i figlarnie mrugają na rusalki, wabiąc je do siebie. A wokoło tak pięknie i cudownie jak gdyby tu kraina aniołów! Zda się, nuta świętej ich pieśni, rozlana w tym przestworzu, drży na powiewnych skrzydłach wiatru, ukryła się w brylantach rosy niebieskiej i zgina główki stepowych traw i kwiatów. Pięknie tu, czarownie! A duszy i sercu błogo.

Dlaczegoż ty, błydy księżycu *misiaczeńku*¹, skryłeś się za chmurę czarną, która sama tylko zaciemnia tę nieba pogodę? Czemu okiem wesołym nie spojrzysz wokoło i nie przydasz kraszy temu pięknu, a tej wielkości – powagi majestatu?... Czy w przyszłość wtajemniczony nie cieszysz się dla łez, które tu popłyną za chwilę?... Powiedz nam, królu nocy! Niech wiemy, czego się spodziewać... Milczy uroczyście, a snąc nie darem chmurzy twarz promienną.

—

Na zamku – co wysoko wzniosł się ponad ziemię i jak orzeł spomiędzy chmur na dalekie stepy patrzy szumnie, hucznie – kasztelan Sołomerecki², pan z panów co to mu równego poszukać daleko, wydaje dzisiaj swoją córkę, piękną Hannę, za mąż za chrobrego sotnika Spisę, który młodo zdobył już sławę, jakiej i siwowłosym mieć by nie wadziło!

Hej, pięknaż bo to para państwo młodzi! Ona – białolica, rumiana jak róża w rozkwicie; kiedy spojrzy czarnym okiem, to het gdzieś aż do duszy sięga i chcesz czy nie chcesz, musisz oddać serce czarodziejnej krasawicy, co na po-

¹ *Misiaczk*.

² *Sołomerecki* – Mikołaj Lew Sołomerecki (?–1627), kasztelan smoleński w latach 1623–1627.

dziw wdała się³, na Podola sławę i pociechę ojca, który nieba przychyliłby jej i duszę oddał za dońkę ukochaną.

A Sotnik – to to chwat kozarluha!⁴ Stan wysoki, w ciemnym oku siła młodocza, że jakiego chcesz wroga przestraszy! Z szablą zrósł się on, z szablą się skrewnił. Ot, i teraz: tuli do łona już swą żonę, ukochaną Hannę, a kare oko co chwila pada na wierną szablę, co aż się prosi do rycerskiego boku i silnej jego dłoni!

– Szczęśliwy Bohdan! – szepczą młodzi, tonąc okiem w wiernej drużynie Sotnika, która czystą duszą zlewa się z duszą ukochanego. – Piękna para! – wołają starsi, przypominając dni swe młode, co niby sen przeszły, a były takie piękne... I każdemu stanęła w myśli swoja Hanna, co to kiedyś... Et! – I marudną dumkę topią w kufiach tęgiego miodu, który się leje potokiem.

Muzyka gra wesoło. Młódź ochoczo tańczy i zaleca się do dziewcząt. Starsi rozmową stateczną albo się bawią pucharem. W każdej piersi wesele, w każdym sercu radość – ale nigdzie jak u młodej pary, która niebo zdobyła i niczego nie pragnie więcej! Ta i skąd go wziąć już w świecie!...

– Zdrowie młodej pary! – wniósł weselny Starosta.

– Niech żyją wieki! – huknęli goście w sta głosów i setkę pełnych pucharów opuszczono na stół – próżne do kropelki, a to znak szczerości.

– Niech żyje jaśnie wielmożny kasztelan! – I znowu ozwał się każdy serdecznie, i wino ciecze strumieniem.

A muzyka gra zamasyście! Na zamku głośne ozwały się surmy⁵, jeszcze głośniej biją w bębny i kotły, z rusznic i harmat strzelają dla uciechy. Wszędzie radość i ochota szczera – wino rozgrzewa krew i serce weseli.

– Za kozaczą dolę i za naszą wolę! – huknął sotnik z pełnej piersi.

Zamkowe ściany zatrzęsły się od okrzyku i nie pucharem, ale konwiami⁶ pito, spełniając wielki toast. Ta i jakże go nie pić? Toć za dolę i za złotą wolę! Gdzie szczera ochota, tam nie pytaj o miarę! I rozum utonie w serdecznym uścisku.

Nie było obłudnych pomiędzy gośćmi kasztelana – toż ci wszyscy dowodem! Parnie kurzy się z kozackiego czuba i z czupryny szlacheckiej; nie statkują nogi i ziemia czy w taniec z niebem poszła – tak się okręca i chybcze!...

³ *Wdać się* – udać się, być pięknym (o kobiecie).

⁴ *Kozarluha* – *Kozaczyna*.

⁵ *Surma* – instrument dęty z drewna lub kości słoniowej używany w dawnym wojsku do celów sygnalizacyjnych.

⁶ *Konew* – naczynie do przenoszenia i przechowywania płynów.

– Nie ma mocy, *pane bracie!*⁷ Nie żałował kasztelan dobrego!... Pohybel wrogom Ukrainy! Hurah kozacza doła! Przeklęty Tatarzyn! *Stereżicia, bisurmany!*⁸ Powydujemy, zetrzemy na niuch tabaki!

I niejeden gdzie stał, tam się też i zwałił *serdega*⁹, a rękami objął nogę od stołka w przekonaniu, że ściska Iwana czy Opanasa.

—

Hej! co tam za tętent, że się aż ziemia ugina i stęka, jakby wroga dźwigała na sobie? Dzikie świsty w powietrzu i jeszcze dzikie wrzaski... Zamkowa straż słyszy przez sen, ale podchmielona nie wie, co się dzieje... Kozacy i szlachta śnią o wesolych przygodach!

A na drodze do zamku pokazał się jezdny, dobiegł wrzeciędzów¹⁰ i z całej siły huknął:

– Tatarzy!

– Tatarzy! – powtórzyły zamkowe wały.

– Tatarzy! – odbija echo od ścian sal zamkowych.

– Tatarzy! Kto żyje – za mną! – wykrzyknął Spisa i wierna szabla błysnęła w silnej jego dłoni.

– Tatarzy... – szepnęła piękna Hanna i zemdlona osuwa się na zimne marmury...

Spisa widzi żonę.

– Nie czas..., nie pora! – krzyknął. – Za mną! – i wybiega, a za nim goście, których otrzeźwiło groźne imię wroga.

Z niemałą siłą przyciągnął na Podole brat tatarskiego chana, chrobry Mahomet¹¹, którego niejedną już rzekę krwi niewiernych przelał. A wie, że dla Ordy¹² będzie tu łup nie lada, bo weselni nie spodziewali się tak groźnego gościa. Na karym koniu dzielny jeździec Mahomet jest wszędzie, gdzie tylko miecz tatarski

⁷ *Panie bracie!*

⁸ *Strzeżcie się, bisurmany!*

⁹ *Nieszczęśnik.*

¹⁰ *Wrzeciędz* – dawne urządzenie do zamykania bramy.

¹¹ *Mahomet* – chodzi o jednego z Mehmedów Girejów (III lub IV), którzy władali Chanatem Krymskim w latach 1623–1666.

¹² *Orda* – stosowane w Polsce określenie ogólne dla wojsk koczowników, zazwyczaj Tatarów z Chanatu Krymskiego.

spotyka przeszkodę. Krzywa jego szabla przeważa szalę zwycięstwa na stronę dwurogiego księżycy, a Orda z dzikim krzykiem „Ałlah!” wali na zamkowe mury.

Nie ostoją się chrześcijanie przeciw sile wrogów. Ani wojska, ani potrzebnych zapasów, a zaś najbardziej to przestrach połączony z nieładem na wieść o niespodziewanym napadzie w chwili weselnej biesiady. Upada brama zamkowa pod uderzeniami ciężkich berdyszów¹³ tatarskich... Za krzywą szabłą Mahometa leją się krwi potoki.

– Wszystko stracone! – słychać krzyk rozpaczliwy, a na najwyższej baszcie zamkowej błysnął księżyc dwurogi.

– Allah! Allah! – ryknęli Tatarzy z radości i dalej walą na zamek.

W najgęstszym tłoku, gdzie wrogów siła zdała się na nic, koło kasztelana stoi sotnik Spisa. Jego szabla niosła śmierć za każdym cięciem, strzał nie chybiał celu... Na próżno! Wróg już tu! Chwila – i wszystko stracone!...

Zwrócił się do kasztelana.

– Ojczy, broń ją, a ja strzałą polecę i da Bóg wyrwę was z nieszczęścia.

– Idź! – odrzekł starzec spokojnie. – Tylko po trupie ojca dojdą do jego dziecka.

Spisa uścisnął rękę kasztelana, tęsknym okiem spojrzął na okna sali, gdzie swój raj zostawił – siadł na wronego i lotem błyskawicy przeleciał przez kupy Tatarów, osłupiałych z podziwu na objaw odwagi Kozaka. Sto strzał świsnęło, niejedna kula poleciała w pogoń za śmiałkiem..., ale nie zatrzymano Kozaka, który klątwą bryznął wrogom w lica i z żądzą zemsty znikł w tumanie¹⁴.

Na zamku panami Tatarzy. Dzikie wrzaski ich wesela rozdierają duszę konnających, których powalił miecz najeźdźcy. Krew ciecze, stopy trupów zawalają fosy i rowy, niemało ich także na bruku zamkowym.

Rzucono się do grabieży. Rwą, odzierają, palą, ładują wozy cudzym dostatkim, zabierają i niszczą przybory wojskowe.

Tylko z jednej baszty słychać jeszcze strzały – ostatnia nie poddała się Ordzie zwycięskiej.

– Co tam jeszcze?! – krzyknął Mahomet i jak dzika sarna skoczył do drzwi żelaznych.

¹³ *Berdysz* – broń drzewcowa piechoty zdolna zmiażdżyć broję, będąca ciężkim, szerokim toporem o zakrzywionym ostrzu i długim drzewcu.

¹⁴ *Tuman* – tu: unoszący się z drogi kurz.

– Precz z nimi! – zawołał i ostatnia zaporą z chrzęstem upadła na pomost kamienny, odsłoniwszy piękny, a zarazem rozdzierający obraz.

Nad omdlałą córką stoi zgrzybiały kasztelan i groźnie patrzy na wrogów, gotów zmierzyć się z nimi. Ostatni wystrzał pistoletu dymi się jeszcze, plunąwszy przed chwilą w twarz Tatarzyna, którego łamał kratę w oknie. Naboju już braknie, ale czoło starca groźne! Cała postawa świadczy, że tylko po jego trupie wiedzie droga do pięknej Hanny, jeszcze piękniejszej w tym śnie półśmierci, który ją swymi skrzydły ocienił¹⁵.

Pierwszym do komnaty wszedł Mahomet. Pierwszy dostrzegł starca i krasawicę. Czemuż to serce rycerskie zabiło mu w piersi? Czemu rumieniec smagłe lica krasi?

– Starcze, porzuć miecz nieużyty – z twej głowy siwy włos nie spadnie. Ręczę słowem Mahometa.

– Precz stąd, psie pogański! Nie zatruwaj tego powietrza niecznym twym oddechem! – krzyknął zapamiętały kasztelan i miecz poruszył się w starej jego dłoni.

– Giaur! – wrzasło pomiędzy Tatarami. Groźni obrazą swego pana rzucili się na starca i zanim Mahomet zdołał powstrzymać pijaną od gniewu tłuszcę, już trup kasztelana padł u nóg Hanny, jakby i swą pozostałością jeszcze chciał wzbraniać do niej przystępu.

Ocknęła się. Jedno spojrzenie wystarczyło, by swą niedolę pojąć... Lotem błyskawicy chwyta miecz ojcowski i rzuca się na Mahometa.

– Giń, pohańcze! – uderza w pierś, ale ostrze ślizga się po stalowym pancerzu Tatara. Zelektryzowana na chwilę spotęgowaniem swej niedoli Hanna mdleje ponownie i upada – w ramiona Mahometa, którego silnie trzyma ją w objęciach, pałające oko topiąc w pięknym licu Podolanki.

W szerokim stepie, nad rzeką Dnieprem, rozłożony tabor kozaczy. Z daleka poznasz wolnych synów Ukrainy! Gwar, wesołe okrzyki, brzęk szabel i czarek, odgłos strun teorbenu i nuta smętnej dumki – wszystko to zlało się razem w cudną harmonię stepowej swobody, co jak step szeroka, jak Dniepr pyszna, sławiła ród kozacki!

¹⁵ *Ocienić* – osłonić.

Koło ogniska, pomiędzy kotłami smacznej kaszy i jeszcze smakowitszej sywuchy, zasiadła gromada Kozaków, wesoło baraszkując – jak zwyczajnie Kozacy! Tylko stary Tymosz siedzi niewesoły, długi wąs kręci i mruczy coś pod nosem.

– Co tak zadumałeś się, *pane brate*?¹⁶ Wypij czarękę, będzie ci weselej! – rzekł jeden z Kozaków, podając zadumanemu kufel palonej.

Tymosz przechylił czarękę i niby nic postawił koło kotła.

– Ech, bracia! Tymosza, jak widzę, czarka już nie grzeje! Niby wodę wypił i jeszcze bardziej osowiał.

– Co dla niego sywucha? – dorzucił drugi Kozak. – Czy to on mało przelał jej w sobie?! Jego by rozruszać zdołały tylko strzały tatarskie i przekłeta ich śpiewka: „Aħach!”.

Tymosz zadrżał.

– A co, nie mówiłem? Na samo wspomnienie już mu coś opacznie... Co, panie Tymoszu, nie rozważysz z nami duszy?

– *Pohano, bratci!*¹⁷ – ozwał się Tymosz, ciężko westchnąwszy. – Czy tylko nie ma jakiego licha w Ukrainie, bo już nie darmo tak mi *motorosznie*...¹⁸

– A kto wie – dorzucił Kozak Semen, którego tylko fajeczkę cmokał, do rozmowy nie wtrącając się wcale. – Z naszym zasiedzeniem świat mógłby się zaważyć, a nam by o tym i wieści nie było. Kat wie, po co *leżniem*¹⁹ tu leżymy, psując kaszę za darmo!

– Prawdę mówi Semen! – potwierdził ktoś z hurtu²⁰. – Stary watażka już przestarzał...

– Taki tak! Czego oczekujemy? Brzuchów ponad nosy i dziur w chołozniach?!...

Tu już wszyscy zahuczeli niby pszczoły w ulu.

– Chłopczy, młodźcy! – przemówił Tymosz. – Nie po kozacku u was rzecz stanęła! Samiście obrali starszego – toż wam służyć jego woli i przykazu. Stary Czupryna nie zaśpi – to darmo – i kozaczą sławę nie zaprzepaści! On teraz miarkuje...

¹⁶ *Panie bracie?*

¹⁷ *Niedobrze, bracia!*

¹⁸ *Strasznie.*

¹⁹ *Leniem.*

²⁰ *Z hurtu* – z obecnych.

– Rozumnie powiedziano – zawołał ktoś z gromady. – Jego wola, wiadomo: obrany na starszego!

– Ta, to prawda..., zwyczajnie..., a przecież, ono wstyd siedzieć czort wie czego na stepie!

– Hej, gdyby też pohulać z *worohamy*²¹ i przemyć szabelkę we wrażej posoce!

– Niedługo czekać na to – mruknął Tymosz. – Jakoś pohano się składa i lichy nie ominie...

– Abo co, Tymoszu? – poruszyli się Kozacy, ostąpiwszy go wkoło. – Może wiesz o czym? Czy mówił watażka?... – Ale nie starczyło czasu dla odpowiedzi: inna gromada Kozaków z radosnymi okrzykami wiodła gościa Kozaka do taboru.

– Zdrów był, panie Spiso! – wykrzyknęli towarzysze, poznawszy sotnika w nowo przybyłym – *stychom stychaty!*²² Co tam na Ukrainie?

– Żle, bracia! – smutnie odrzekł Spisa.

– O, czy Tatar poszedł zagonem?

– Zniszczył wszystko i już pociągnął z dobytkiem.

– Więc nam pod nosem! – ryknęli Kozacy. – I wieści o tym czort tu miał w kozactwie! Ot, na leżuchów²³ zesłi drantyhuzy²⁴. *Spasybi*²⁵ watażce... *He!*²⁶ z nim do biesa!

– W pogoń, bracia, za Tatarem! Nie dajmy kozaczej sławy na śmiech i urągowisko!

– Hurah! – odwodziło kozactwo i w taborze wszczął się ruch niemały.

Z kuryńia wyszedł watażka.

– Co wrzeszczycie?! – zawołał. – Miarę przebrali?

– Przebrali, z twojej łaski, panie atamanie, i tobie sława pozwolili Tatarom uciec nam pod nosem – jeszcze i ze zdobyczą!

– Jacy Tatarzy?! Powariowali z rozkoszy!

– A, ot, popytaj pana sotnika.

²¹ *Wrogami.*

²² *Kopa lat!*

²³ *Leżuch* – leń.

²⁴ *Drantyhuz* – oberwaniec.

²⁵ *Dzięki.*

²⁶ *Dalej.*

– *A, zdrow buw, druże!*²⁷ Co cię od młodej żony do nas na step sprowadza? Spisa poważnie skłonił się watażce i Kozactwu.

– Panowie mołojcy i ty ba'ku atamanie! Wysłuchajcie mię i udzielcie pomocy! Tatar pohaniec zdradą wkradł się w nasze zagrody i pochód swój ruiną pozaczył. Wsie i miasta leżą w popiołach... Krwi pociekła rzeka i siła ludu zabrali do jasyru²⁸. Zamek mego teścia zdobyli, wszystko zrujnowali, moją niewiastę żonę...

– Śmierć wrogom! – wykrzyknęło kozactwo, rozjątrzone opowiadaniem sotnika. – Na Tataru! Do Krymu! Do Krymu! – groźnie krzyczeli, wywijając ostrymi szablami...

– A kto był z Ordą? – spokojnie zapytał sotnika watażka.

– Mahomet.

– Hm, już mi ten pohaniec... Ale pies ja, jeżeli mu sadła nie zaleję za skórę!

– Panowie mołojcy! – zwrócił się do Kozaków. – Inaczej się myślało, a inaczej stało!... Chciałem pohaniców zapędzić do matni, a oni ponoś figę wetknęli pod nos kozaczy... *Pohano, ale nie przegrano!*²⁹ Nie zemknie sobaka!... A choć i legnie w budzie, to go wykurzymy, abo co...

– Hurah! – wykrzyknęło Kozactwo radośnie i tysiąc czapek leci do góry.

– W Krym! Na Tatarów! – wołają. – Hurah Czupryna!

Watażka z uśmiechem zadowolenia lekko skłonił się kozactwu, a gdy nieco przycichło, rzekł:

– Do Krymu pójdziemy w dwa szlachy. Jaw stepie będę psów podganiał, a ty, panie Spiso, poszukasz żony w budynkach Mahometa.

Spisa skłonił głowę, a w jego oku błysnął ogień i ręka ścisnęła szablę, aż mu się w palce wpiła rękoność.

– Hurah watażka! Hurah sotnik Spisa – krzyknęli Kozacy.

I za godzinę stepowe syny zginęli w trawach i burzanach. Tylko odgłos pieśni kozaczej dolatał wód sinego Dniepru i płynął w Czarne Morze, by pocieszyć sułtana wieścią o gościach w Krymie.

²⁷ *Witaj, druhu!*

²⁸ *Jasyr* – turecka lub tatarska niewola.

²⁹ *Niedobrze, ale i nie beznadziejnie.*

W Krymie panami chan i jego brat Mahomet – reszta słudzy i ich niewolnicy. Słońce i księżyc: chan i brat jego świecą Taurydzie³⁰, sławni grozną sławą swych pochodów, co trupy tylko i ruiny zostawiają po sobie.

Cudownej kraszy pałac Mahometa, jeszcze cudniejsze w nim mieszkania, a jak sen rozkoszne komnaty seraju!³¹ Marmur, złoto i drogie kamienie – wszędy; w powietrzu rozlana woń róż i jaśminów. Pięknie tu, lecz smutnie, bo nie masz woli. A klatka, choćby złota – zawsze klatką, i śmierć w niej ptaszynie kochającej swobodę!... A małoż takich ptaszek z całego świata zamkniętych w haremie Mahometa? Żyją tęsknie, bez wspomnienia przeszłości, bez nadziei jutra!...

Pomiędzy czarownym kwieciami Mahmudowego seraju najpiękniejszą jest nowa branka, którą Mahomet przywiózł z lackiej³² krainy, dla której zapomniał wszystkie krasawice, na próżno wyczekujące jego gościny. Smętnej Podolance nie do miłości Mahometa!...

W komnacie ubranej z niewysłowionym przepychem Tatarzyn i jakaś niewiasta. Ona z powagą niewinności patrzy i tym spojrzeniem przykuwa Tatara do miejsca... On, okiem namiętnym, tonie w krasawicy, a niewy tłumaczona siła jej spojrzenia wzbrania mu przystępu. O, co się stało z Mahometem? Nigdy jeszcze jego wola nie znajdowała dla się oporu – zapragnął i miał! A teraz...

– Co się stało ze mną – zawołał i podniósł hardą głowę.

– Hanno! – rzekł ciszej. – Nie wstyd mi, że z ust Mahometa pierwsza wyszła prośba w życiu... Ja, pan życia i śmierci wszystkiego jak zasięgnie oko, jestem twym niewolnikiem... Mów! Rozkazuj! Na jedno twe słowo... Ja szaleję! Słuchaj: pierś moja była dotąd spokojną, serce w niej nie biło nigdy... O, spójrz chociaż raz przyjaźniej! Jestem synem dzikiego stepu – jak on dziki. Ale i na stepie świeci słońce, i we mnie dusza jest i serce...

– Mahomecie! – z powagą rzekła Hanna. – Tyś człowiek. Ty masz serce, sam powiadasz... Odeszlij mię do męża! Proszę cię, błagam... – i usunęła się przed nim na kolana.

– Nigdy! – dziko wykrzyknął Tatar. – Każ mi świat zhołdować, powiązane króle rzucić ci pod nogi – wszystko zrobię! Ale ciebie opuścić?... Oddać innemu?... W czyjej by głowie taka myśl powstała – śmierć mu! Śmierć w straszliwych

³⁰ *Tauryda* – w starożytności nazwa Krymu.

³¹ *Seraj* – w krajach muzułmańskich: rezydencja władcy, zwłaszcza pałac sułtana.

³² *Lacki* – polski.

męczarniach!... Hanno, ja błagam ciebie!... Patrz, ja mogę uchylić kolan przed tobą, moją branką...

Hanna rzuciła nań wzrok pełen pogardy.

– Ha, tak to – porwał się z kolan Tatarzyn. – Dumna Laszko! Ty nie znasz jeszcze siły tej ręki, co światem zdołałaby zatrząść!... Hanno! Hanno! Jedno spojrzenie przyjazne, a ja się rajskich wyrzekam rozkoszy... Ha, piekło! – i porwał na sobie ubranie, a paznokcie głęboko w pierś mu się wpiły.

– Chcesz tego..., a więc – siła na siłę!

Hanna, spojrzawszy nań z godnością, wychodzi z komnaty.

– Stój! Nie odchodź z myślą, że przeciw tobie mógłbym użyć siły... Hanno, umrę z rozpaczy, skonam jak pies tu, u nóg twoich, ale cię stąd nie wypuszczę! Choćby mi przyszło walczyć z całym światem – nie wyjdiesz za te mury! Po coś się ukazała oczom Mahometa!... Idź już, idź! Twoje łzy jak żar padają mi na serce i duszę palą... O, hańba! Co się stało z Mahometem?

Hanna wyszła, łzami zalana.

Tatar długo chodził po komnacie. W jego piersi – ogień! Szeroko oddycha, a straszliwe dумы – jedna za drugą – zjawiają się na czole. Godzina za godziną płyną. Promień zachodzącego słońca zajrzał Tatarowi w ręką przesłonięte oczy i ocucił z zadumy. Mahomet klasnął. Stary sługa stanął przed nim, skłoniwszy się nisko po trzykroć.

– Meri! Co robi branka?

– Płacze...

– Płacze... i tych łez ja jestem przyczyną!... Meri, co je osuszy z ocz tych jak światło dnia cudownych? – zawołał Mahomet, pałające lica chowając w obie dłonie.

Meri zbliżył się do Tatara i z piekielnym uśmiechem wycedził:

– Pocałunek...

Mahomet zadrzał i odchylił się od starca.

– Piekło w twych ustach, Meri! Ale i ono tu na nic! Hanna mię nienawidzi, a przy niej siła mię odbiega!...

– Efendi!³³, tu żadnej siły nie trzeba. Długą mam praktykę na dworze chanów... I ułuda może dać rozkosz równą rzeczywistości...

³³ *Efendi* – turecki tytuł oznaczający pana, władcę.

Znowu nachylił się nad Mahometem i cicho coś szepcze. Mahomet słucha, a pierś jego opada, to wznosi się gwałtownie, ogień tryska z ócz³⁴ i na smagłym licu rozlał się rumieńcem.

– Wieczór..., sorbety... – szatańsko szeptał Meri.

– Dość! Dość, Meri! Wina! Muszę w tym napoju gjaurów utopić mą pamięć... Przeklęta twa rada, ale jej usłucham. O, już mi istnieć bez niej niepodobna! Raj za raj! W tamtym takiej huryski nie znajde!

Meri wyszedł i za chwilę wrócił z koszem cypryjskiego wina. Mahomet osuszył puchar jeden i drugi.

– Allah wielki, a Mahomet jego prorok! Źle uczynił, wzbroniwszy wina prawowiernym. Lżej mi teraz..., piersi przycichło... Teraz mogę zebrać myśli... Meri, twoja rada dobra!... Tylko śpiesz się, bo żądza rozkoszy spali mię wpierw, niż jej zakosztuję. Kobiety wszędzie te same... Prawdę rzekłeś, starcze. Ja – Mahomet! Mojej woli wszystko powinno być posłusznym! Chociaż to będzie tylko złudzenie... Meri! Meri! Dziś będę szczęśliwym! A gdy ja się cieszę – precz ze smutkiem! Pamiętaj o straży i domownikach! Wyciąć im ucztę! Ty, Meri, weźmiesz sobie trzy garście złota z mego skarbcza! Lej, jeszcze puchar!

—

W komnacie przybranej z rozkoszą praktykowaną na Wschodzie, na złotogłowi, w półleżąc, branka Mahometa Hanna smutnie patrzy na stopy Krymu, za którymi jej raj pozostał. Resztki sorbetów widać w naczyniu złocistym. Tęskno młodej brance w obczyźnie. Myślą wybiegła nad Dniestr wody: zamek w gruzach..., na marmurowej podłodze niezatarta krew ojcowska... Biada! Biada! – A miły gdzie?... On nie zginął! Kochające serce upewnia: on żyje..., przyjdzie, wyrwie ją z niewoli!...

Co to jest? Tak mętno w oczach..., w piersi miłe jakieś rozlewa się ciepło... Świat taki piękny... Senno... Sto niewolnic czeka rozkazów swej pani. Za najmniejsze uchybienie spotka je śmierć okropna. Ujrzały snem rozmarzoną. Te w skoczne puszczają się płasy, inne jej długie rozplatają warkocz i zdejmują suknie, a gdy już senna spoczęła na łożu – nikną jak lekkie widziadła. Woń kadzideł płącze się z akordami ukrytej muzyki, rajskie dźwięki płyną w powietrzu... A sercu tak lekko, tak swobodnie!... Jakaś postać wychyla się z półcienia.

³⁴ Ócz – oczu.

– Czy to sen, czy jawa?... Bohdanie! – I rzuca się w objęcia miłego, duszę z jego duszą łączy, bo on już jej, jej na wieki!

– Miły, drogi mój Bohdanie! Jakżem tęskniła... Ale to przeszło. Tyś przy mnie! Tyś mój!... Mahomet?... Przysięgam! O, ty mi uwierzysz! – Boże! On tu! Ratuj, ratuj, Bohdanie! – I ocknęła się.

O, czemuż nie zasnęła na wieki? Przeciera oczy..., nie wierzy samej sobie...

– On?... Tu?... Mahomet?... Wielki Boże! – i skamieniała zgrozą i boleścią.

– Nie! To sen, straszny sen! To nie ja może... O, kłątwa mi nieszczęsnej! – a oczy dziko jej zaświeciły.

Patrzy się, dotyka rąk, twarzy...

– Nie! Nie!

Zimny pot oblewa czoło, serce w piersi zamarło..., zęby zgrzytnęły dziko, a łzy nie ma!

– To się śni... śni straszliwie! – szepcze na wpół obłąkana.

Mahomet uśmiechnął się we śnie i rękę wyciąga jak do nowego uścisku.

Ozdobo Tauridy, Mahomecie! Czyś ty na świadka zostawił swój kindżał, co lśniący cały leży na dywanie. Groźny to świadek, Mahomecie! Ale sen Tatarsa rozkoszny.

– Peri moja! – woła we śnie. – Laszko czarowna!... – i ręką dotknął jej ręki.

Hanna skoczyła dziko.

– Ha, zmijno plugawa! Nie dość ci było mąk moich...

Wzrok jej pada na kindżał... Z dziką radością chwyta broń zabójczą.

– Giń przekłety! – wykrzyknęła, topiąc stal w piersi Mahometa.

Dobra stal! Przystała do serca tatarskiego – nie na próżno kochał ją tak Mahomet!

– Cha, cha, cha! Jak się ta krew leje... Wstań, mój małżonku! Pójdź po nowe rozkosze! Cha, cha, cha, wstańże!

Z dziką radością patrzy na konwulsyjne ruchy konającego... Wreszcie z szalonym śmiechem, w rękę z okrwawionym kindżałem puszcza się w płąsy, a dalekie echo pałacowych komnat odbija śmiech jej szalony.

W pałacu Mahometa cisza. Upici haszyszem śpią prawowierni, marząc o rozkoszach przyobiecane go rajy – do którego, o, wkrótce wyniosą się wszyscy!... Opoдал od zamku chylcem przedziera się wojskowa drużyna, a w takiej ciszy, że pomyślałbyś, iż nie ludzie to, lecz duchy. Cytrynowe zarośla nawet cień ich kryją, słabo odbijający się od światła księżycy. U czoła orszaku dwóch ludzi: konny

i pieszy. Księżyc, który w tej chwili, zza chmur twarz swoją wychylił, obaczył na głowie ostatniego czałmę³⁵ tatarską. Stanęli.

– Gdy zdrady chcesz zażyć – rzekł konny do Tatara – o, to wiedz, że pierwszym pójdziesz na dno piekła.

– Atamanie – odrzekł cicho ten, któremu grozono. – Ja lat dwadzieścia czekam tu na was... Żądza zemsty serce mi wyjadła!... I ja byłem... – nie pytaj kim... Teraz ja pohaniec! Diabłu zaprzedałem duszę... Ale się zemszczę! Na piekło przysięgam: krwawo im odemszczę! Za mną! Tym wchodem podziemnym dojdziemy do środka pałacu i w ciepłym łożu pochwycisz Mahometa!...

Spisa, bo to był on, zadrżał na wspomnienie. Skinął – wszyscy ruszyli w milczeniu za przewodnikiem. Za minut kilka zamek kąpał się w krwi tatarskiej! Krzyknąć nie dali Kozacy, psa za psem szląc do piekła! Tylko Meri ocknął się ze snu twardego i pośpieszył na ratunek pana, ale mu w poprzek stanęła szabla sotnika: Tatar upadł na progu komnaty, do której wbiegł Spisa, a za nim wierne kozactwo...

– Hanno! – krzyknął sotnik – i skamieniał.

Kozacy również stanęli przerażeni...

– Kto tu?... Precz! Cicho! Nie widzisz? Śpi brat chana, a ja tu stróżem jestem i strzec go będę wiernie! Cha, cha, cha! Jak on śpi spokojnie... – I szklanym okiem patrzy na trupa i kindżał.

Za chwilę wzrok jej padł na sotnika.

– Boże! – krzyknęła i żelazo wypada z jej ręki. – Bohdan!

– Hanno! – zaledwie przemówił sotnik i chwiejąc się, postąpił ku żonie.

– Precz, ja nie Hanna! Hanna umarła, a pozostała kochanka Mahometa, w której objęciach on usnął! Patrzcie!... O, jak tu boli!...

– Czego tak patrzysz na mnie?... I ty, i wy, i oni tam!... Ha, serdeczny mój to uścisk ostatni!

Błyskawicą poskoczył sotnik – za późno!... Kindżał utonął w sercu Hanny. Konwulsyjnie objęła męża za szyję, szepnęła:

– Boh... da... nie... – i skonała.

Spisa westchnął – raz tylko – i upadł przy żonie. Kozacy podjęli dwa trupy.

³⁵ *Czałma* – turban.

Łuna pożaru wzbiła się wysoko nad pałacem Mahometa, aż ją w Carogrodzie widno. Kozactwo do domu wraca z dobytkiem niemałym, ale nie słysząc wesołej pieśni: tęskne dumy zawisły nad czołem kozaczym.

Na wysokim wozie leżą dwa trupy – to sotnik z sotnikową. Tysiące ludzi wróconych z jasyru cieszą się swym szczęściem. A nad rzeką Dniestrem wyrosła nowa mogiła, do dziś dnia wiodąca rozhovor z bujnym wiatrem stepowym.

O, dolo człowiecza! Dlaczego często bywasz tak okropną...



Józef Szermentowski (1833–1876), *Dunajec w Pieninach* (1868)

Paulin Stachurski

**WYCIECZKA
DO PIONIN**

WYCIECZKA DO PIONIN.

PRZEZ

PAULINA STACHURSKIEGO.



L W Ó W.

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
CZCIONKAMI „DZ. LW.“ Dr. H. JASIEŃSKIEGO.
1869.

Karta tytułowa *Wycieczki do Pionin* Paulina Święcickiego (Stachurskiego)
(Lwów 1869)

I.

Wielkie odkrycie. – Do Pionin¹. – Poeta i filozof. – Salamon. – Przygoda uczonych. – Pijaństwo. – Krościenko². – Kobieta przewoźnik. – Źródło. – Legendy. – Droga do Czorsztyna³. – Pani Emilia.

„Czy znasz ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?” zapytuje poeta. Ja zadam pytanie ciekawsze: Czy znacie kraj, w którym nie ma ani jednego żołnierza, ani jednego sądu lub policji poprawczej, ani jednego ugalonowanego kołnierza?...

Widzę zakłopotanie na twarzach, wyraz powątpiewania... Gdzie jest ten kraj podobny? W lasach dziewiczych Ameryki? Na spokojnych wodach oceanu czy na Księżycu może?

Nie tak daleko, a nawet blisko bardzo, bo o dzieli drogi od granicy, u podnóża Tatr. W miejscu, do którego garnie się płeć piękna i brzydka, słowem: w Szczawnicy!⁴

Bóg się zlitował nad tym zakątkiem i zostawił go niemal w pierwotnym stanie natury: dając mu powietrze czyste, niebo piękne, wodę uzdrawiającą – nie dał kozy⁵, protokołów i wielu innych pięknych rzeczy. Tak upośledzona od natury Szczawnica jest dziwowiskiem, dla przypatrzenia się któremu czas do czasu zjeżdża Anglik i po-kiwawszy głową, wraca na powrót do siebie, kończyć nadpoczętą butelkę porteru.

Myślicie, że na tym koniec? Gdzie zaś! Ma Szczawnica rzecz ważniejszą jeszcze, a jeśli nie bardziej, to nie mniej dziwną jak pierwsza, oto: r ó w n o ś ć z u p e ł n ą. Najbogatsi i najbiedniejsi w niej nie znają wołowego mięsa (bo krowa nie jest wołem!) Wszyscy zarówno muszą tu drapać się na góry, często rąk używa-

¹ *Pioniny* – dawna nazwa Pienin, pasma górskiego w łańcuchu Karpat, położone w południowej Polsce i północnej Słowacji.

² *Krościenko* – wieś w województwie małopolskim, w dolinie Dunajca i Krośnicy, u podnóża Pienin.

³ *Czorsztyń* – wieś w województwie małopolskim, położona na wschodnim skraju Kotliny Orawsko-Nowotarskiej, na pograniczu Pienin i Gorców.

⁴ *Szczawnica* – miasto uzdrowiskowe obecnie w województwie małopolskim, na pograniczu Beskidów Zachodnich i Pienin.

⁵ *Koza* – tu zapewne: areszt, więzienie.

jąc do pomocy, chociażby te miały na sobie białe rękawiczki... Wszyscy zarówno ziębną, gdy wśród największych upałów zawita ostry wiatr górski i rozwiązuje ciekawą zagadkę: dlaczego górale przez całe życie nie rozstają się z kożuchami?, a gości kąpielowych zmusza do zaopatrzenia się w szal, paletot⁶ lub co najmniej w kaftanik flanelowy... Wszyscy wreszcie zdają się tu na łaskę góralskich koników i jak w febrze muszą się trząść, jeżdżąc wózkami odgrywającymi tu rolę: dorozek, fiaków⁷ i karet w potrzebie. Tym góralsko-wózkowym sposobem wszyscy zostają podciągnięci pod jedne prawa i zrównanie stanów zupełne ma miejsce pomimo gorącej protestacji większych i mniejszych pań i panów, zmuszonych poddać się barbarzyńskiemu prawu, którego moc obowiązuje od Bochni⁸ do Munkacza⁹.

Wiele, bardzo wiele dziwów można ujrzeć w Szczawnicy, o których jeśli i śnili filozofowie, tedy z pewnością ani marzyły piękne nasze panie, wybierające się do wód z całym zapasem: koronek, atlasów, szynionów, farb itd!

Mysłą uczeni o wynalezieniu kwadratury koła, mozołą się nad *perpetuum mobile*, chcą balonów i wielu innych rzeczy... A ja od dawna wraz z moją trzystofuntową kuzynką Serafiną..., od dawna przemyśliłam nad sposobem odbywania wygodnej podróży po krajach bliskich i dalekich, po lasach i górach, po morzu i stepach..., ale tego rodzaju, ażeby być wszędzie, widzieć i słyszeć wszystko, a nie ruszać się z wygodnej kanapy, nie stracić sprzed oczu lustra zawieszzonego na przeciwnej ścianie, mieć przy sobie bonońskiego szpica¹⁰, przeżuwać ciasta, które oboje z kuzynką bardzo lubimy, i podróżować.

Nieprawdaż, że nad podobnym wynalazkiem już warto sobie łamać głowę, *nota bene* – u kogo nie jest złamaną.

A ponieważ większość rodzaju ludzkiego żywo jest zainteresowana wynalazkiem, wyobrażam tedy sobie, z jaką uciechą przyjmą wiadomość, że usiłowania moje uwieńczył skutek pomyślny..., że wynalazłem sposób, za pomocą którego można być tam, gdzie się nie jest, widzieć i słyszeć to, czego się ani widzi, ani

⁶ *Paletot* – francuski płaszcz wierzchni, dopasowany do kształtu, z klapami z daszkiem, płaskim tyłem i bez paska.

⁷ *Fiakr* (*fiakier*) – lekki jedno- lub dwukonny pojazd zaprzęgowy służący do wynajmu w celach zarobkowych.

⁸ *Bochnia* – miasto w województwie małopolskim, położone nad rzeką Rabą, na granicy Kotliny Sandomierskiej i Pogórza Karpackiego.

⁹ *Munkacz* (obecnie *Mukaczewo*) – miasto rejonowe na Ukrainie, w obwodzie zakarpackim.

¹⁰ *Bonoński* (*boloński*) *szpic* – rasa małego psa towarzyszącego.

słyszysz i *nota bene* – nie złącząc z kanapy, nie wstając z fotelu itd. Eureka! A jeśli mi Zoil¹¹ jakowy zarzuci, że to nie jest sztuka, przypomnę mu jajko Kolumba¹².

Dalej tedy, kto chętny, niech się sposobi w podróż do Pionin! Siadajmy wygodnie na kanapę, podłóżmy pod jeden z boków poduszkę, oprzyjmy głowę i zapaliwszy cygaro, przeczytajmy, co następuje.

—

Wybiła stanowcza godzina. W Szczawnicy ruch niezwykły. Na deptaku znacznie mniej osób, w kuchniach mięsa więcej; mężczyźni na posługach dam, a damy kłopotliwie krzątają się około przygotowań.

– Zosiu, czy wzięłaś pudełko z kapeluszami?

– Wzięłam, proszę pani.

– A beduina¹³ – czy jest?

– Jest, proszę pani.

– Pewnie zapomniałaś żelazka...

– Róziu! Joasiu! – zawołały inne głosiki krzątających się piękności.

– Ależ na miłość Boską! Moje panie – protestował mężczyzna, w obu rękach trzymając pakunki, którymi go obładowano. – Wybieracie się jak na bal!... Do czegoż to wszystko w czasie wycieczki?

– *Silence!*¹⁴ – i drobny paluszek spoczął na różanych usteczkach, słodko grożąc, a chociaż był bardzo drobny, zamknął jednakże niewąską gębę jegomości, który z pokorą przyjął trzeci pakunek na swe barki i tylko westchnął...

– Proszę jasnej pani – już czekają.

– Ależ to niepodobieństwo! – wykrzyknęły chórem piękności. – Jesteśmy niezebrane. Niech czekają!

– Godzina dziewiąta – nieśmiało wtrącił mężczyzna.

– Jesteś pan nudny! – otrzymał odpowiedź i znów westchnął, przyjąwszy jeszcze szal, który mu rzucono na plecy.

– *Wejcie, wejcie, a to się opóźniewa!*¹⁵ – wołali przewoźnicy górale, niecierpliwie oczekując na zbierające się państwo.

¹¹ Zoil – zawistny, nadmiernie surowy, niesprawiedliwy krytyk literacki.

¹² Jajko Kolumba – określenie prostego rozwiązania pozornie trudnego zagadnienia.

¹³ Beduina – damski płaszcz z kapturem.

¹⁴ Cisza.

¹⁵ *Pospieszcie się, bo jest już późno!*

Scena, podobna do opisanej, powtarzała się niemal w każdym domku, w którym mieszkały panie udające się na dzisiejszą wycieczkę do Pionin. Szczęśliwsi z mężczyzn, których znajome albo nie jechały, albo już miały asystentów, niecierpliwiłi się to na wysoko posuwające się słońce, to patrząc na zegarki.

– Jeść mi się zachciewa – wołał jeden – a do obiadu nie bliżej jak do Pionin.

– Będzie śniadanie – pocieszał go drugi.

– A zaopatrzenie się w tytoń – wołał ktoś z boku.

– Może wziąć parasol?

– Mam burkę¹⁶ na wózk.

– Będzie pogoda, ojczy?

– *Siodełko nie kuzyło, proś je gomości, to za wolo Bosko będzie pięknie!*¹⁷

– Chorągwie! Chorągwie! Tu, do nas, do nas!

– Do nas! Mamy lepsze konie – wołali inni, ubiegając się o godność chorążych.

– Wsiadać! – zawołał gospodarz wycieczki.

– Wsiadać! – powtórzyły liczne głosy i rzucono się do wózków. Jako tako z biedą powsiadały panie, po dwie na wózek. Za anioła stróża mają wybranego przez się mężczyznę, który wcale do anioła nie był podobnym – ale o to trudno...

– Ruszaj! – i pomknęły koniki, jak umiały z kopyta. Ponieważ z losem jestem w małym nieporozumieniu, więc mię umieścił nie w towarzystwie dam, ale obok dwóch figur, które niekiedy śmieszyły, a nudziły częściej. Towarzyszami mojej podróży byli: pan Walenty poeta i pan Wincenty filozof. Boże zmiłuj się – jedziemy.

Potoczyły się wózki. Ukłony, gwar, śmiechy, pożegnania...

– Wielka partia! – usłyszałem. – Wozów ze trzydzieści.

W istocie zebrała się nas garstka niemała... Oby tylko nie popsuto nam zabawy!

– A kuchnia czy pojechała? – z trwogą zapytał gospodarza pewien jegomość, którego tusza mówiła wyraźnie, że nie z czczej ciekawości zadał to pytanie.

– Wyjechała od dwóch godzin – uspokoił go gospodarz i zwróciwszy się do górala:

– Śpiewajcie! – zawołał.

¹⁶ *Burka* – rodzaj długiego, obszernego płaszcza z kapturem.

¹⁷ *Na Siodełku [przełęcz w Pieninach] nie było mgły, proś je gomości, to za wola Boską będzie pięknie!*

*Cyś ty dziopo malowana, czy zacarowana,
Ześ ty dla mnie taka śliczna, takaś ukochana.
Hej, ha, hu!*¹⁸

Pojechali – naturalnie w moim towarzystwie, a wyznaję, że filozof i poeta martwili mię nieco... Szczęście jeszcze, że woźnicą był Salamon – nie król izraelski, ale król górali, a raczej Dunajca¹⁹. Osobistość ciekawa, wielkiej zażywająca powagi w Szczawnicy i ciesząca się moimi osobistymi względami...

Z Miodzusia²⁰ jedziemy przez wieś Niżnią²¹. Dzieciaki, hoże dziewczki górskie ciekawie przypatrują się państwu. Zaczepione przez weselných gości odpowiadają głośnym śmiechem i barwistym rumieńcem... Na Boga! Pan Wincenty marszczy brwi i ma na ustach moralną sentencję; pan Walenty liczy coś na palcach... Uciekam do Salamona.

– Ojcie! Piękne wasze Pioniny?

– Oj jakie, panisku! *Dusy wesolo, kiej cłek na nie wejźry!*²²

Słyszę za sobą mruczenie pana Walentego. Dziewczęta, wioski, chłopcy górali. Kamienie szare i... Męczy się biedaczysko! Muszę mu dopomóc. „I tam dalej krzyknąłem”, aż się rzucił na wózek, lecz po chwili:

– Nie! – odpowiedział. – Nie tak, bo to prozaicznie...

Dziewczęta wioski, chłopcy górali,

Kamienie szare i skry szakali!

– Tak będzie dobrze!

– Zupełną pan ma rację, tylko szkoda, że ani s k i e r, ani s z a k a l i nie mamy pod ręką.

– Były! – z przekonaniem odrzekł poeta, a za nim w ślad:

– Rteć jaźni ludu – rzeczce filozof – równa się... , równa się potędze absolutu!

– A niech was pan Bóg ma w swojej opiece!

Nie wdając się w dyskusję, swobodnie puściłem oko po cudnym krajobrazie, który się roztaczał przed nami.

¹⁸ *Czyś ty, dziewczę, malowana, czy zacarowana,
Ześ ty dla mnie taka śliczna, takaś ukochana.
Hej, ha, hu!*

¹⁹ *Dunajec* – rzeka w południowej Polsce, prawy dopływ Wisły.

²⁰ *Miodzius* – zajad pomiędzy Szczawnicą Niżnią i Szczawnicą Wyżnią.

²¹ *Niżnia (Niżnia Wieś, Czorsztyń)* – wieś we Pieninach, położona niedaleko Szczawnicy.

²² *Dusy wesolo, kiedy człowiek na nie spojry!*

Jechaliśmy drogą nad Dunajcem, którego swawolne wody rozpryskiwały się o kamienie, tworząc jedną wspaniałą kataraktę²³. Za rzeką, stojne w zieleń świerkową, piętrzyły się Pioniny, zachwycające wzrok.

– Dlaczego objeżdżamy, gdy góry za rzeką? – zapytałem przewodnika. – Lepiej przeprowić się łodzią.

– Nic tam cłek nie ujrzy – odpowiedział – a trudne dostanie. *Hajnok silniejsze góry. Wihola, konie!*²⁴

– Niewielka rzeka – rzekłem po chwili, patrząc na Dunajec, który zaledwie na kilka stóp zdał mi się być głęboki. – Strach przed nią próżny.

– Oj, nie tak, panecku! *Małać to mała, a zmyślna, że lęk ma pśed nią cłek wszelki!... Siła ludu zginęło w tej zece. Woda tęga, ze kogo chce – zmoże...*²⁵ A hejże tam – z drogi!...

U przewozu zatrzymało się całe towarzystwo, a za chwilę dowiedziałem się, że pan Wincenty stworzył trzy nowe sentencje; poeta zaś miał w zapasie rym tak udatny, że nie mógł się wstrzymać od wygłoszenia go w obecności całego towarzystwa i ciekawych górali. Włazł na przewróconą łódź, rękę wyciągnął ku góróm, natchniony wzrok na nas zwrócił i głosem wrzuszonym wygłosił następującą improwizację do gór:

O, wy góry! O, wy lasy!
 Jakie teraz mamy czasy.
 Dawniej góry strzałą w chmury
 Biegły – dzisiaj masz z nich dziury!
 O, mocne góry! O, świerkowe lasy!
 Dlaczego teraz mamy złe czasy?
 Czyli to z waszej pochodzi winy?!
 Mówcie, Pioniny!

Nie Pioniny wprawdzie, ale odpowiedziały poecie oklaski, które przyjął z głową pochyloną z godnością... i z widocznym zadowoleniem zszedł z podwyższenia. Natomiast filozof gniewał się, że jego sentencji ani rozumiano, ani słuchano.

– Ciężkie czasy na filozofię! – rzekłem, chcąc go pocieszyć.

²³ *Katarakta* – rodzaj wodospadu.

²⁴ *Tam większe góry. Wio!*

²⁵ *Mała to mała, a groźna, że lęk ma przed nią cłek wszelki. Siła ludzi zginęła w tej rzece. Prąd silny, że kogo chce – zmoże.*

– At! – odpowiedział mi ruchem ręki i poszedł zbierać rzeczne kamyki, które zapewne dla wynalezienia nowej prawdy systematycznie ciskał do wody.

– Admirale! – zawołał w tej chwili jeden z towarzystwa na przewoźnika. – Czy pomokniemy, wracając?

Admirał spojrział z wyrazem chłodnego spokoju i opierając szost²⁶ o kamienie:

– Woda nie pieni się – rzekł. – Pogodnie.

Trzeba wiedzieć, że górale dokładniej aniżeli wszyscy meteorologowie wiedzą o zmianach powietrza. Gdy chmury przeciągają nad górami, ścieląc się poziomo; gdy woda pieni się w Dunajcu; gdy było wcześniej powraca z gór do domu – będzie niepogoda. Wskazówki to niezawodne!

– Autorze! – rzekł do mnie w tej chwili pewien jegomość, którego mało znałem. – Gdy nie chcesz tracić czasu na próżno, posłuchaj mojej przygody, którą ci opowiem, zanim admirał przeprowi nasze wózki. Może ci się na co przyda. Przyjąłem z chęcią. Nic lepszego nie było do roboty.

– A więc, mości dobrodzieju, opowiem panu, że dawniej jeszcze, gdy byłem młody, jak tu z nas niejeden, wałęsałem się po górach w towarzystwie kolegów, z których jeden był lekarzem, a drugi astronomem. Ja byłem – niczym, jak i dzisiaj, mości dobrodzieju, i wałęsałem się z wariatami, powodując się²⁷ ich woli. Otóż, mości dobrodzieju, strzeliło im do głowy pójść bez przewodnika na jedną z gór kaducznie²⁸ wysokich, a chociaż protestowałem ile sił – nie pomogło. I poszliśmy, mości dobrodzieju! Jak dziś pamiętam: umęczyłem się na nic, a jeść mi się chciało, że teraz dałbym za to wiele... Kłąłem, ile wlaźło uczonych, bo noc nas zaskoczyła na manowcach, i wypadało jak dzikiej kozie nocować chyba pomiędzy skałami lub wpaść w jaką przepaść... Ale łaska Boska była z nami – ujrzelśmy światelko i niech mu będą wielkie dzięki. Wdrapaliśmy się pod ostatnią górę, do chatki bacy. Pamiętam mości dobrodzieju, że omal nie wycalowałem dość brzydkiej gazdyni²⁹, gdym się znalazł na ławie przed misą twarogu i sporej porcji owsianego chleba. Z apetytem spożyliśmy dary Boże i już oglądałem się za posłaniem, gdy wszedł sam gazda³⁰. „Niech będzie”... „Na wieki!” – przywi-

²⁶ Szost – bosak.

²⁷ Powodować się – poddawać się.

²⁸ Kaducznie – diabelnie, piekielnie.

²⁹ Gazdynia – gospodyni.

³⁰ Gazda – gospodarz.

taliśmy się i góral, mości dobrodzieju, wziął się do wieczerzy. Najpierw zmiótł dwie misy ziemniaków z kwaśnym mlekiem. Aż mi się dobrze zrobiło na sercu, bo i sam jadłem zawołanie, ale widziałem, że konsyliarzowi³¹ jakoś to nie w smak poszło. Astronom nie zważał, obserwując Marsa, czy Raka – nie wiem już co, mości dobrodzieju! Następnie podała góralowi żona placek i sporo owczego sera, co z wielkim moim zadowoleniem także spożył. Konsyliarz trącił mię łokciem, czego przyznam się nie rozumiałem... Chciałem, mości dobrodzieju, uściskać górala, gdy nie zadawalając się spożytą strawą, kazał sobie podać miszkę kwaśnej kapusty, którą zmiótł do szczętu. A na to wszystko, mości dobrodzieju, wlał konew wody i odsapnął... Aż tu mój konsyliarz chwytą mnie i astronoma za rękę i dalejże do sieni.

– Uciekajmy! – woła strwożony.

Banda zbójców stanęła mi w myśli – źle, mości dobrodzieju!

– Uciekajmy! – powtórzył doktor. – Będzie trup w tej chacie.

– Którę z nas ma zginać? – zapytałem w prostocie ducha, nie bez słuszności lękając się, czy na mnie los nie padnie.

– Czy nie widziałeś? – zapytał mię konsyliarz.

– Nie!

– Co ten człowiek pochłonał?...

Nigdy nie znałem się na przenośni i nad poezjami śpię zazwyczaj. Nie rozumiałem, czego chce mój doktor. Spojrzę na astronoma: a i ten jakby mu się poplątały niebieskie konstelacje patrzy na mówiącego.

– Tłumacze się jaśniej, do diabła – rzekłem – bo nic nie rozumiemy!

– Ten człowiek umrze tej nocy – to rzecz niezawodna.

Zaśmiałem się na całe gardło, ale mój konsyliarz:

– Głupiś, Fipciu! – rzekł bez ogródki. Nie znasz się na tym. Ziemniaki, owsianik³², mleko kwaśne, kapusta i woda – śmierć nieunikniona. Wynośmy się z chaty!

– Ani myślę! – zaprotestowałem. Może sobie umierać, gdy tak chcesz koniecznie, ale dlaczego ja mam rzucać bezpieczną chatę, by iść pomiędzy wilki, dziwożony³³ i inne szkaradzieństwa!... Krokiem stąd nie ruszę!

³¹ *Konsyliarz* – dawn. lekarz.

³² *Owsianik* – owsiany placek.

³³ *Dziwożona* – demon w postaci kobiety z dawnych słowiańskich wierzeń.

– Człowieku! – porwał mię za rękę eskulap³⁴. – Czy tak ci miły widok trupa? Wiesz, że ich tyłu miałem pod skalpelem, a jednak... jest coś w śmierci, co wznieca bojaźń! A wreszcie jęki konania... Czyliż cię to nie przeraża?

Zacząłem się wahać.

– Cóż poczniemy? – zapytałem wreszcie, gdyż astronom zdawał się nie interesować rozmową, zapatrzony w pogodne niebo.

– Przenocujemy na dworze – rzekł konsyliarz. – Astronomie, będziemy mieć pogodę?

– O ile się to da utrzymywać na podstawie...

– Do diabła, mów po prostu: deszcz będzie czy nie będzie?!

– Nie będzie.

– Cóż, panowie? – zapytał w tej chwili góral, ukazując się na progu. – Może spoczniemy?

– W chacie duszno – rzekł konsyliarz, kłamiąc, bo wcale zaduchy w niej nie było. – Wolelibyśmy przenocować na dworze.

– Nie radzę, będzie deszcz. Lepiej pościelimy w chacie. Zmokniecie państwo!

Wzrok pytający pobiegł w stronę astronoma, który kiwnął głową uspokajająco. Eskulap tedy obstawał przy noclegu na dworze.

– Gdy taka wola państwa – rzekł baca – to śpijcie, *kaj*³⁵ chcecie. Nie przymuszę! A może oni – dodał, zwróciwszy się do mnie – posłuchają, że mokro będzie na dworze?

Jakby na potwierdzenie tych słów górala ostry wiatr owiał mię w tej chwili i on to zapewne zdziałał, że przyjąłem zaprosiny górala, zapomniawszy o obawie.

– *Requiescat!*³⁶ – szepnął z cicha Eskulap, gdym za gospodarzem wchodził do chaty.

– Pogoda stała! – usłyszałem głos astronoma. A że zmęczenie było wielkie, a troska o zdrowie gazdy zbyt słaba – zasnąłem, jak się śpi w dwudziestu latach, nie obudziwszy się aż nad ranem, gdym usłyszał silne do drzwi i okien pukanie.

Spojrzę – deszcz jak z rynny, a mój konsyliarz zmoknięty, na miły Bóg prosi, by mu drzwi otworzyć.

³⁴ *Eskulap* – dawn. lekarz.

³⁵ *Gdzie*.

³⁶ *Spoczywaj w pokoju!*

Tfu, do czarta! – pomyślałem. – Skąd się wziął deszcz przy pogodzie? – i poszedłem otworzyć drzwi chałupy. Słyszę, aż tu eskulap woła przerażony:

– W imię ojca! A ty żyjesz człowieku?

– Ano! – odpowiedział góral, otwierając drzwi przemokłym i zziębniętym. – *Przecik*³⁷ nie umarłem.

– Z mlekiem, kapustą, serem, wodą i ziemniakami? – wołał konsyliarz. – Astronomie, czy widzisz?

Astronom mruknął gniewnie, zrzucając z siebie surdut, z którego płynęły strumienie, a ja zacząłem się śmiać na całe gardło.

– Oj, uczeni! Dobraście mieli naukę!...

– To astronom winien wszystkiemu – opryskliwie zawołał konsyliarz. – Tak się zna na niebie jak ja na jenerałbasie!...³⁸

– Gdyby nie twoja obawa – odmruknął uczony – spalibyśmy jak ot ten, wygodnie. Brr! Rozniećcie no na kominie.

– Kocioł garnkowi! – zawołałem. – No, nie kłóćcie się! „Wart Pac pałaca, a pałac Paca”. Macie tu wódkę!

– Dawaj! – Skwapliwie porwali butelkę, a parę łyków pociągnawszy, konsyliarz zwrócił się do górala:

– Gazdo! Bóg by cię miłował – powiedz: kto cię nauczył tak jeść i trawić?

– A toć, prose paniska, samo z siebie idzie – odpowiedział naiwnie.

– Pięknyś z takim, samo z siebie! Tysiące ludzi tym sposobem wytruć można... A skądże wiedziałeś o deszczu, gdy niebo było tak pogodne?

– Ano widzę: świnie z żeru wracają, to pewna deszcz nie minie...

– Astronomie!

Ale astronom w najlepsze drzemał pod piecem.

Tymczasem ostatni wózek przejeżdża, mości dobrodzieju, to może i my się powlecjemy. No jakże opowieść?

– Dziękuję panu. Zabawna i pouczająca.

– Opowiem asanu³⁹ więcej takich, a gdy wydrukujesz, daj mi znać, to przeczytam, bo zwykle nie czytuję. Do widzenia!

³⁷ *Przecież*.

³⁸ *Jenerałbas* – instrument grający akompaniament w niskiej tonacji.

³⁹ *Asan* – waćpan.

Prawdę czy nie prawdę opowiadał szanowny obywatel? Nie wiem, ale chcąc się stawić w słowie, proszę czytelnika, jeśli pozna pana Filipa, niech mu powie, że opowiadanie wydrukowałem i wydrukuję inne jedynie dlatego, by pan Filip całkowicie czytać nie zapomniał.

Łatwo w górach o zdrowie, ale o chorobę i śmierć nie trudno.

Jeżeliś szczęśliwie przebył Dunajec i łódź przewoźna nie wpadła na kataraktę, z której kości by człek nie wyniósł, to ci grozi śmierć od zawieszonych głązów olbrzymich, które Bóg trzyma silną swą dłonią, ale gdy zechce puścić ku Dunajcowi, a wówczas z nas który znajdzie się na drodze... Nie! Raczej odłóżmy podróż do Szczawnicy!

A to rzecz niemała: ocierać się o śmierć rąbkiem sukni, dotykać jej ręką z wózka – tak blisko przejeżdża się pod wiszące głązy... A oko widzi takich setki. Całe opoki jakby zatrzymane w swym biegu i czekające rozkazu, ażeby w dalszą puścić się drogę...

Dojeżdżając do Krościenka, spotkaliśmy kilka wózków góralskich, wesołych i więcej aniżeli wesołych!... Młodzi parobcy i dziewczęta wyśpiewywali piosnki treści niezbyt budującej..., a chociaż pora zdawała się najmniej do tego stosowną, całe towarzystwo było pod dobrą datą!...⁴⁰ A że, jak mówiłem, była to sama młodzież, a raczej wyrostki góralskie, wesołość ich przykre na mnie zrobiła wrażenie. A o ileż bardziej byłem zdziwiony, gdy Salomon odpowiedział na moje uwagi:

– Młodzi należy się uciecha, gdy się zestarzeją, będzie pora statkować. U nas, proszę pana, starsi rzadko kiedy piją gorzałkę, bo się jej tam za młodu napili.

Szczególniejsze rozumowanie!

Wjeżdżamy na rynek Krościenka. Miasteczko zastaliśmy w ruchu, bo to dzień targowy. A poznasz to po żydostwie, co jak kruki opadają górali, by podstępem wydrzeć grosz krwawo zapracowany. Poznasz wreszcie po ogromnej liczbie pijanych i pijących w miejskiej szynkowni. Przeważnie były to kobiety i młodzi mężczyźni – starsi opodal częstowali się piwem.

Mój filozof zapewne w celu robienia uwag filozoficznych skierował swe kroki ku szynkowni, a że wraz z nią była połączona sprzedaż tytoniu – trafika – wszedłem za nim. Krzyk, hałas, wyziewy wódczane uderzyły mię na wstępie do izby, a zanim mogłem się opamiętać, już spoczywałem w objęciach starej

⁴⁰ *Być pod dobrą datą* – być pod wpływem alkoholu.

góralce, która mię na miły Bóg prosiła, bym z nią pił *smacną, smacniuchną* wódeczkę... Spojrzę o krok – aż tu i mój filozof z równą gościnnością jest podejmowany, tylko że jak ja nie uchyla się od częstowań. Zostawiłem go w imię Boże, a wziąwszy parę papierosów, uciekłem z szynkowni, wolniej odetchnąwszy około kościoła.

Pół godziny czasu dano nam do rozpatrzenia się w osobliwościach miasteczka, a że najciekawszymi w nim były źródła mineralne, zwróciłem się ku rzece, pragnąc je zwiedzić. U przewozu znalazłem młodą, wysmukłą góralkę, która pewną ręką szost ujawniła:

– Siadajcie, panecku! – zawołała, choć w łodzi stać tylko było można.

Świeżo miałem w pamięci, gdy dwaj górale, wsiadłszy do łodzi w Szczawnicy, znaleźli śmierć w Dunajcu, chociaż musieli być dobrze obeznani z właściwościami swej rzeki... Ale śmiałe spojrzenie góralce, jej pewna ręka, którą szost ujęła, rozsiały trwogę. Wszedłem do łodzi i szybko odbiliśmy od brzegu.

– Nie lękasz się wody? – zapytałem dziewczynę.

– Cego bym się też bać miała, *kiej*⁴¹ spokojna jak dziecko.

– A gdy się rozgniewa?

– To jej ta tedy i najmędrzy nie poradzi. *Tady*⁴² nie pływamy.

– A wiele zarabiasz za przewóz?

– Mało na dostatki, ale jaki *papierek* uzbiera się do miesiąca. Tylko guldena...⁴³ Niezyskowne zatrudnienie.

– Czy zawsze sama przewozisz?

– Wożą ci tatuś, ale tera osłabli.

Wielkimi wypatrzyła się na mnie oczyma, gdy jej za przewóz dałem szóstaka (10 centów⁴⁴), a przekonawszy się, że nie żądam reszty, z radością poskoczyła ku towarzyszkom, chwając się zarobkiem.

Skutek to nędzy czy inne działały przyczyny – dość że górale chciwi są pieniędzy. Doświadczyłem tego wielokrotnie, a nawet góralce, której dałem szóstaka,

⁴¹ *Kiedy*.

⁴² *Wtedy*.

⁴³ *Gulden (gulden austro-węgierski)* – srebrna moneta Cesarstwa Austriackiego, a następnie Austro-Węgier, ważąca 12,34 grama.

⁴⁴ *Cent* – oficjalna nazwa krajcara, równa 1/100 guldena.

przypomniała mi za powrotem, że jej się *patsy centa*⁴⁵, ale od tak wielmożnego pana, to i dwa by wziąć nie wadziło...

Do źródeł, których jest dwa w Krościenku, prowadzi stroma ścieżka wąwozem w górę. Urządzeń nie ma żadnych i wątpić należy, czy sąsiedztwo Szczawnicy pozwoli kiedy wzmóc się tutejszym źródłom. Woda, silniejsza aniżeli Józefiny⁴⁶, dużo ma w sobie gazu. Drugie źródło, słone całkowicie, wyłącznie służy do kąpeli, dobywają zeń warzonkę⁴⁷.

Za powrotem zastałem całe towarzystwo, oczekujące na mnie. Przeprosiwszy, wsiałem do wozu.

Gdyśmy mijali karczmę, przed którą stała gromada pijanych górali, Salomon rzekł do mnie, wskazując sączącą się strugę przed karczmą.

– To pokaranie Boskie, panecku. Dawno, dawno, ksiądz jechał z panem Bogiem, a pijani – jak, ot, dziś – w tym miejscu czci mu nie oddali... To się Bóg mocno rozgniewał za obrazę i zalał wodą karczmę z onymi bezbożnikami, a śladem tego pozostała struga.

– Nie boicież się – zapytałem – by i teraz karczmy nie zalało?

– Wola Boska! Kto wie, co się stać może...

Droga z Krościenka do Czorsztyna prowadzi wznoszącym się ku górze rozdołem⁴⁸, który przerywa woda źródeł sączących się ze skał i łupkowych pokładów. Widok tu jakkolwiek piękny, ustępuje jednak tym, które za sobą zostawiliśmy i które obaczyć mamy w Czorsztynie i dalej. Świerkowe lasy urozmaicają monotonię gór, a ubogie zboża wymownie świadczą o ubóstwie ludu górskiego. A jednak, cokolwiek by się dało złego o nim powiedzieć, cnoty ludu większe są aniżeli jego zdrożności: prawość tu, zacność charakteru większa aniżeli gdzie indziej. O kradzieży w tych stronach nie słyszałem, chociaż w Szczawnicy przy napływie gości nadarza się do tego dobra sposobność; czystość obyczajów godna naśladowania; zbrodnie jeśli się zdarzają, płyną z pobudek, które się usprawiedliwić dadzą: zemsta za krzywdę, ukaranie niewiary, zdrada, rozpaczliwy krok obrony – to pociąga za sobą wykroczenia przeciw prawu. W górach miłują silnie, wierzą głęboko, kochają i cenią rzeczywistą wolność.

⁴⁵ *Prosi centa*.

⁴⁶ *Józefina* – woda lecznicza ze Szczawnicy.

⁴⁷ *Warzonka* – sól warzona, odparowana z solanki.

⁴⁸ *Rozdół* – głęboka dolina; wąwóz.

Mijając wózki góralskie i bryki wiozące nowych gości do Szczawnicy, dojechaliliśmy wreszcie do czorsztyńskiej góry⁴⁹, pod którą prawie połowa towarzystwa wysiadła.

Po obu stronach drogi, w wilgotnym parowie, rosło górskie kwiecie, nie barwą zalecające się i wonią, lecz prostotą i skromnością ujmującą. Kobiety i młodzi kawalerowie, wśród wesołej rozmowy zbierali kwiaty, w malutkich rączkach naszych piękności przemieniające się na wcale ładne bukiety. Szczęśliwe kwiaty! Szczęśliwsi ci, którym służyć miały pamiątką!

Królową naszej wyprawy była powabna pani Emilia – wesoła, pełna życia, władczyni ręki, wiosek i serca, które chociaż ukryte pod sznurówką, było jednak – szczególnie po zmęczeniu – tak silnie, że za zbliżeniem się usłyszałem jego głos stłumiony.

Świadczę się Apollinem⁵⁰ i całym zastępem bogów Olimpu, że szedłem moją drogą, wcale nie zważając na piękność, lecz mię z zadumy wyrwał dźwięczny głosik, na który głuchym zostać nie mogłem:

– Poważny autorze, zapominasz o życiu wśród życia. Patrz, ile mam kwiatów... Czyliż pan jeden wyłamiesz się od obowiązku złożenia darów królowej? Śpiesz się, bo mogę być nieubłaganą.

– W bukiecie – rzekłem – nie widzę jednego kwiatka, ale któż się odważy dać go królowej?...

– Odważ się, odważ się, panie nieśmiały. Właśnie mi braknie niezapominajki, którą masz w ręku. Przy pamięci o książkach, może i autor znajdzie jaki kącik.

– Na takie zapewnienie... oto mój skromny kwiatek.

– Skromny jak jego dawca, nieprawdaż?

Omam nie westchnąłem... A czytelnik zapewne podejrzewa, że nie miałbym nic przeciw zostaniu w pamięci ładnej brunetki?... Zapewne!

Byłem na dobrej drodze i wiódłbym z piękną arcyprzyjemną rozmowę, gdyby nie rój jej wielbicieli, pomiędzy którymi znalazł się i niefortunny poeta. Stał przed piękną z rozkwitniętym bodakiem⁵¹, a zanim jeszcze mogłem domyśleć się, co z nim zrobi, wygłosił, wręczając go, wiersz następujący:

⁴⁹ *Czorsztyńska góra* – Góra Zamkowa na końcu północno-wschodniego grzbietu masywu Trzech Koron w Pieninach Właściwych.

⁵⁰ *Apollin (Apollo)* – grecki bóg piękna, sztuki i poezji.

⁵¹ *Bodiak* – inna nazwa ostu.

Gdy ci kaźden, królowo,
Daje to i owo,
Ty ode mnie nieboraka
Przyjm choć bodiaka.

Królowa parsknęła śmiechem, wdzięczny robiąc dyg poecie za jego podarunek, a ja kląłem wszystko i wszystkich! Ludzie niekiedy bywają natrętni jak muchy, a za chwilę przyjemnej rozmowy można by dać wiele... Taką chwilę zabrano mi jak swoją.

Zmartwiony i gniewny, z prawdziwym amatorstwem rzuciłem się na salamandrę, którą dostrzegłem pośród kamieni i – niech mi tam Wenus⁵² i syn jej przebaczą – całkowicie zapomniałem o piękności, gdy mi się udało pochwyć ciekawe zwierzątko, które bez ceremonii wpakowałem do szklanki poety pomimo gorącej protestacji z jego strony.

– Na Apollina! – zawołał z przerażeniem, ujrzawszy potwór w swej szklance. – Skalałeś naczynie, z którego miałem pić ciecz hypokreńską⁵³ w Pioninach!

– Napijesz się pan jej wprost z Hypokreny, *alias* ze studni – będzie bardziej skuteczna na rymy!

– Czerpiąc dłonią, jak czynił wielki Diogenes⁵⁴ – wsparł mię filozof i uspokoił mi poetę.

– Tatry! – zawołał w tej chwili nasz przewodnik. – Łomnica, Krywań, Babia Góra, Kościelisko!⁵⁵

Zapomniałem o wszystkim, nawet o salamandrze, zapatrzony w cudowny widok, który się oczu moim ukazał. Staliśmy na szczycie najwyższym pomiędzy Krakowem, a Górami Szczawnickimi⁵⁶.

Tatry zdały się być tak blisko, że śnieg widziałem gołym okiem. Na tle lazurów nieba wznosiły się pyszne, w chmurach kąpiąc swe wyniosłe szczyty. Promienie słońca złociły Łomnicę – tę królowę naszych Tatrów wspaniałych. Od gór wiał ku nam wietrzyk tak lekki i rozkoszny, jakby na swych falach unosił chóry aniołów

⁵² *Wenus (Afrodyta)* – rzymska bogini miłości.

⁵³ *Ciecz hypokreńska* – woda ze źródła Hipokrene w gaju muz na Helikonie, symbol natchnienia poetyckiego.

⁵⁴ *Diogenes* – Diogenes z Synopy (413 p.n.e. – 323 p.n.e.), grecki filozof, przedstawiciel szkoły cyników.

⁵⁵ *Łomnica, Krywań, Babia Góra, Kościelisko* – nazwy miejscowości położonych w Tatrach.

⁵⁶ *Góry Szczawnickie* – grupa górská na Słowacji, w Wewnętrznych Karpatkach Zachodnich, stanowiąca zachodnią część łańcucha Rudaw Słowackich.

nucących pieśń uspokojenia. Uroczysta cisza zaległa przestwór, duch rozparł się na tym gór majestacie, potężniał, wznosił się i gdzieś u stóp Boga spoczął na szczycie. Niewierzących w potęgę Boga chciałbym widzieć wśród gór niebotycznych. Jeśli ich majestat nie przemówi do niedowiarków – na próżno żyją na świecie!

Szczęśliwy, z pogodą w sercu i błogością w duszy, spojrziałem wkoło siebie – nasza piękność stała przy mnie z oczyma utkwionymi w góry, a świeciła w nich łza – perła drogocenna!...

Nie przerywałem tej niemej ducha modlitwy – światowa kobieta modli się tak rzadko... Ta, może po raz pierwszy duszą wzniosła się do Boga..., może to pierwsza łza, którą zwilżyło się jej oko, dotychczas zalotne rzucające spojrzenia?

Za chwilę ocknęliśmy się wszyscy. Emilię ujrzałem śmiejącą się i wesołą jak pierwej, a jednak... nie zapomniałem o jej łzie widzianej przed chwilą.

– Wielmożne państwo – rzekł Salamon, nisko kłaniając się zwyczajem góralskim. – *Tera*⁵⁷ na dwie drogi, komu wola: wózkciem do gospody, a *piechto*⁵⁸ na zamek. Ja prowadzę.

– Na zamek! Na zamek! – ozwały się liczne głosy, większość jednakże wołała prozaiczne śniadanie anizeli karm duchową, której żądny stanąłem przy Salomonie, kierującym swe kroki w stronę lasu.

Rzecz szczególna, że mię zadziwił widok pani Emilii.

– Ja kto? – zawołałem, wyznaję, naiwnie. – Na zamek?

– Czy to dziwi pana?...

Po łzach widzianych nie powinna mię była dziwić chęć zwiedzenia zamku... Ale nie powiedziałem jej tego, coś odbąknąwszy niezrozumiale...

Chwilowe milczenie przerwała panna Emilia.

– Podaj mi rękę – rzekła – złośliwy autorze i nie kłóćmy się, bo nie jestem w tej chwili usposobioną do kłótni.

Kalwakata⁵⁹ ruszyła w pochód.

Jeśli mam prawdę powiedzieć, łzy pani Emilii nie oczarowały mię tak mocno, bym nie miał życzyć sobie samotności teraz mianowicie, gdy szedłem odwiedzić starego gościa naszej przeszłości. Wobec wieków minionych, gdzie każda piędź ziemi tyle opowiedzieć umiała, lepiej by mi było samotnie dumającemu.

⁵⁷ *Tera*.

⁵⁸ *Piechota*.

⁵⁹ *Kalwakata (kawalkada)* – orszak złożony z jeźdźców albo powozów.

Towarzyszka może odgadła moją myśl ukrytą, bo spod długich rzęsów rzuciła na mnie spojrzenie tego rodzaju, które zdolne było uczynić każdego niewolnikiem...

Już nie chciałem samotności! I szliśmy kobiercem zieleni, witani śpiewem ptasząt i przychylnym wianiem ku nam leśnych gałęzi.

– Siła też mówią o tym zamku? – zapytałem Salomona, gdyśmy kawał już uszli.

– *Taj ilo!*⁶⁰ – odpowiedział. – Do końca świata nie wypowie się wszyckiego!...

II.

Czorsztyń. – Wspomnienia. – Znowu improwizacja. – Cielecina na zimno. – Zakochani. – Dziwa i cuda. – Niedzica. – Dalsza podróż.

Żywiej zabiło mi serce, gdym ujrzał zwaliska, ale jakże smutnie zarazem uderzył mię widok żałoby zamku! Wszak przed kilkadziesiąt laty jeszcze ucztowano w komnatach zamkowych i staruszek trzymał się krzepko. Lecz ogień niebieski, sprowadzony nieogłędnością ludzką, spalił okrycie, a mury rozrzuciła wandalaska ręka właściciela cennej pamiątki narodowej. Dobrze, że zapomniałem nazwisko barbarzyńcy, bo musiałbym je podać zasłużonej pogardzie. Własność wszelka jest świętą, a za frymarkę⁶¹ dobrem narodu ukarzą Bóg i dzieje!

Widok z tej strony na zamek nie jest tak piękny, jak ze stron innych. Dopiero zszedłszy z góry, spostrzegamy jak imponująco jest budowany: gdzie orły gniazda słały, tam człowiek założył swe obronne siedlisko! Tu najdokładniej dostrzec się dają ślady straszliwej rewolucji, jaką przeżyć musiała ziemia przed wiekami: siłą ognia wyrwane z jej wnętrza granity sterczą groźnie, nieporządnie rozsianymi odłamami; na ich wiekami pooranym czole rozsiadł się olbrzym kamienny – dzieło rąk ludzi-tytanów.

Stanęliśmy u stóp zamku, a raczej jego zwalisk, i smutne owładnęły nami myśli. Przeszłość... Dziś... Przyszłość?

⁶⁰ *I to ile!*

⁶¹ *Frymarka* – szachrajstwo, szalbierstwo.

– To, proszę wielmożnych państwa – przerwał nasze milczenie Salomon – stara siedziba wielkich i straszliwych panów. *Tutok*⁶² bywali króle i książęta, panowie i zbrojnego ludu siła! Było i zbójników dostatkiem i wszelakiej ksywdy, ze aż Bóg musiał zesłać sprawiedliwe pokaranie. Strasne w tym zamku dzieją się zeczy! Opowiadają o nich *niepese piecnie*⁶³, bo – Chrystus z nami i Matka Jego święta – nieszczęście spotka, ani by się go cłek spodział. Cart hula po nocy i dręcy gzesne duse!... Wselakiego tu dziwa napatsono się bez lat wiele... A jesce łoni, powiadano, widzieli strasydło, jak od wieży latało do wieży, ksycąc załośliwie!... Ja to, proszę państwa, nie widziałem, ale powiadają...

– Czy wejść można na zamek?

– Ba hej! Jeno ze bystro, to może nóżkom pańskim lekko nie będzie...

Spojrzałem na moją towarzyszkę. Odpowiedziała mi gotowością i ruszyliśmy ku górze. Byli amatorowie, którzy zostali w miejscu, zadawalając się tym, co widzą z oddali, inni towarzyszyli nam do pół drogi. Co do mnie – znalazłem, że wejście nie jest zbyt przykrym, a rozkosz ducha, jakiej doświadczyłem, znalazłszy się u celu, sownie wypłaciła zmęczenie.

Nie opiszę wrażenia doznanego w dawnych komnatach zamkowych, a raczej w miejscu, gdzie były, tak strasnym jest tu spustoszenie!... Zdaje się, że hordy Wandalów⁶⁴ więcej miałyby względu dla tego świadka przeszłości aniżeli ludzie, którzy – ręczę – roszczą sobie prawo do ogólnego szacunku!...

Dziś niepodobna mieć wyobrażenia nawet o przestrzeni, którą zajmował zamek: gdzie były sale, komnaty, łoża, bramy wjazdowe?... Wszystko w ruinie! Nagie mury, przerażająco stercząc, ku chmurom wyciągają ramiona, jakby się żaliły nagości. Wyszarpiane, poszczerbione z pogardą patrzą w dół na ród Pigmejów⁶⁵, nawet swą małością niegodny minionych wieków.

A widok zamku! O, jakież tu cuda zgromadziłeś, Boże! Jakże tu widny twój majestat!... Na dalekim horyzoncie jak olbrzymie duchy widnieją Tatry... Bliżej – długi łańcuch skał porośniętych świerkami i jałowcem, u spodu wąska wstęga

⁶² *Tutaj*.

⁶³ *Niebezpiecnie*.

⁶⁴ *Wandalowie* – grupa plemion wschodniogermańskich, zamieszkująca przed wielką wędrówką ludów Europę Środkową.

⁶⁵ *Pigmeje* – plemiona negroidalne zamieszkujące lasy tropikalne Afryki Środkowej; ich przedstawiciele odznaczają się niskim wzrostem.

modrego Dunajcu. Nad twym czołem przeciągają chmury, lecący sokół ledwie że nie dotyka skrzydłem... Swobodnie, lekko oddychasz pełną piersią.

Przewodnik wskazał nam miejsce, z którego najpiękniejszy był widok na słońcem umalowane Tatry. Stanęliśmy nad przepaścią, którą oko zaledwie zmierzyć mogło, zapatrzeni w dal przed siebie!... I mógłbym tak długo zostać w zamyśleniu, gdyby mię z zadumy nie wyrwał głos poety. Wołał głośno, by go słuchano, bowiem będzie improwizować! Stanął na złomie baszty, czapkę przezornie schował do kieszeni i resztki włosów rzuciwszy na wiatr, rozpoczął:

O, Czorsztynie! O, Czorsztynie!
Jak w Dunajcu woda płynie,
Tak wszystko płynie i – ginie.
Jak ząb czasu mur twój kruszy,
Tak też kruszy skarby duszy;
Wrzuca do zapomnień rzeki,
I niesie w kraj daleki.

– Skończyłem.

Wdzięczni byliśmy improwizatorowi bardzo, którego jeśli w dobrej wierze dzielił się z nami natchnieniem, niech mu to spamiętanym nie będzie!

Czyniąc zadość naleganiom towarzystwa, chwilę odpoczynku wypełniłem opowiadaniem dziejów Czorsztyna, o ile pamięć była mi posłuszną. Założenie zamku sięga prawdopodobnie owych czasów, gdy niemieccy rycerze, budując zamki nad Dunajcem, trudnili się rzemiosłem tak zwanym podówczas rycerskim, które mało czym różniło się od prostego dziś rozboju na gościńcach.

Wskazywać na to zdaje mi się niemiecka nazwa zamku: Schauerstein – groźna skała. Tyle o dalekiej przeszłości, a raczej o początku zamku. Na działań widowni występuje Czorsztyń pod Wydźgami⁶⁶, z których jeden pan na Czorsztynie i Łącku⁶⁷ w roku 1246 pomagał Krzyżakom, wojującym z Polską, co zdaje się usprawiedliwiać przypuszczenie, że Wydźgowie są rodu niemieckiego: Witgenowie lub Wittikenowie. Tu ukrywał się przed Mongołami Bolesław Wstydlivy⁶⁸ i w tym

⁶⁶ *Wydźgi* – stara nazwa Szczawnicy.

⁶⁷ *Łącko* – wieś w województwie małopolskim, niedaleko ujścia potoku Czarna Woda do Dunajca.

⁶⁸ *Bolesław Wstydlivy* (1226–1279) – książę krakowski i sandomierski, ostatni przedstawiciel małopolskiej linii Piastów.

zamku żonie swej Kunegundzie⁶⁹ dokumentem oddał ziemię sanocką⁷⁰ w zamian za posąg stracony na potrzeby państwa.

Cokolwiek działo się w Polsce lub sąsiednich Węgrzech, wszystko to odgłos swój znalazło w Czorsztynie i zamek ten niemal we wszystkim przyjmował czynny udział: Mongołowie, Krzyżacy, Husyci⁷¹ nawet zapisali się na kartach historii zamku.

Zostawszy własnością Zawiszy Czarnego⁷², Czorsztyn służył na miejsce schadzki królewskich. Stąd Władysław Jagiełło⁷³ udał się na zjazd z Zygmuntem⁷⁴, elektorem brandeburskim i cesarzem Niemiec, dla osobistego porozumienia się i zawarcia umowy; stąd w 1440 Władysław Warneńczyk⁷⁵ wychodził na pamiętną wyprawę.

Żyszka⁷⁶, Taborycy⁷⁷, Bracia Krzyżowi⁷⁸, w 12 000 przeciągają pod murami zamku. W roku 1651 sławny Napierski⁷⁹, oblężony w Czorsztynie i wzięty, daje w Krakowie głowę pod topór katowski jako rozbójnik, chociaż na jego obronę wiele by się powiedzieć dało... Tu król Jan Kazimierz⁸⁰, uchodząc przed Szwec-

⁶⁹ *Kunegunda* – Kunegunda-Kinga (1234–1292), księżna krakowsko-sandomierska, żona Bolesława V Wstydlwego, klaryska, błogosławiona.

⁷⁰ *Ziemia sanocka* – jedna z większych jednostek administracyjnych I Rzeczypospolitej; istniała od XIV do XVIII wieku.

⁷¹ *Husyci* – zwolennicy husytyzmu, tj. ruchu religijnego i politycznego zapoczątkowanego przez Jana Husa w 1417 roku, domagającego się m.in. sekularyzacji dóbr kościelnych i komunii pod dwiema postaciami.

⁷² *Zawisza Czarny* – Zawisza Czarny z Garbowa herbu Sulima (1370–1428), rycerz, niepokonany w licznych turniejach, symbol cnót rycerskich.

⁷³ *Władysław Jagiełło* – wielki książę litewski w latach 1377–1381 i 1382–1401, od 1386 mąż Jadwigi Andegaweńskiej i król Polski.

⁷⁴ *Zygmunt* – Jan Zygmunt Hohenzollern (1572–1619), elektor brandenburski, regent księstwa pruskiego.

⁷⁵ *Władysław Warneńczyk* (1424–1444) – król Polski i Węgier, starszy syn Władysława Jagiełły.

⁷⁶ *Żyszka* – Jan Žižka z Trocnova (1360–1424), przywódca i strateg taborytów w czasie wojen husyckich; czeski bohater narodowy.

⁷⁷ *Taborycy* – najbardziej radykalny odłam husytyzmu.

⁷⁸ *Bracia Krzyżowi* – Zakon Krzyżacki.

⁷⁹ *Napierski* – Aleksander Kostka-Napierski (1617–1651) – oficer wojsk koronnych, przywódca powstania chłopskiego na Podhalu w 1651 roku.

⁸⁰ *Jan Kazimierz* – Jan II Kazimierz Waza (1609–1672), król Polski i wielki książę litewski w latach 1648–1668.

dami, bawi dni kilka. Zwolennicy króla Leszczyńskiego⁸¹, później konfederaci barscy⁸² przebywają w Czorszynie, który dopiero w roku 1811 zostaje sprzedany przez Austriaków na własność prywatną. A co oszczędzały wieki i krwawe zapasy wojenne, to zniszczyły: niedbałość i wandalizm ludzi niemających prawa do nazwy rzeczywistych obywateli kraju!

Z murów zamkowych widzieliśmy całe towarzystwo nasze zebrane przed karczmą, a jak sokole oko poety dostrzegło – zabierające się do śniadania. Nie pozostawało też i nam nic innego, jak opuścić zamek dla połączenia się z towarzyszami wycieczki. Zejście bodaj czy nie było nad wejście przykrzejszym. Ruchliwe kamienie usuwały się nam z pod nóg, utrudniając drogę. Częste wycieczki nauczyły mię chodzić po górach, zdołałem więc nie tylko sam zejść, ale i sprowadzić moją towarzyszkę.

Poeta praktycznego chwycił się sposobu, bo rękami pomagał nogom, a chociaż często utykał, znalazł się jednak z nami na dole. Dopiero teraz opatrzyliśmy się, że filozof znikł, chociaż widziano go na zamku. Nie ręczę, czy góral nie pomyślał już o sprawce złego ducha, który porwał już paniska... , lecz tak źle z filozofem nie było. O kilka łokci niżej zeszedłszy, ujrzeliśmy go siedzącego na złomie muru – zdawał się być mocno zamyślonym, jeśli nie drzemał...

– Filozofie! – zawołałem, dumanie jego przerywając. – Czy masz zamiar pozostać w zamku?

– Pozwólcie mi dumać – odpowiedział poważnie. – Tu, na tych gruzach...

– Przyjemnych marzeń! – przerwał mu poeta. – Nas oczekuje cielęcina na zimno.

Usłyszeliśmy głębokie westchnienie i poważna postać filozofa powstała z rumowisk, przebudzona do życia czarownym słowem „cielęcina”.

Znalazłszy się już przed karczmą, spojrzałem w górę. Na wysokiej skale wznosiła się prostopadle kamienna ściana zamkowa. Patrząc na jej wysokość, doświadczyłem zawrotu głowy.

– Jacyż to ludzie mogli takie zakładać w tych miejscach siedziby? Idziemyż naprzód czy li się cofamy?... Odpowiedź trudna zaiste!

⁸¹ *Leszczyński* – Stanisław Bogusław Leszczyński herbu Wieniawa (1677–1766), król Polski w latach 1704–1709 i 1733–1736.

⁸² *Konfederaci barscy* – zbrojny związek szlachty polskiej, utworzony w miasteczku Bar na Podolu 29 lutego 1768 roku z zaprzysiężeniem aktu założycielskiego w obronie wiary katolickiej i niepodległości Rzeczypospolitej, skierowany przeciwko kurateli Imperium Rosyjskiego.

Dumania moje przerwała panna Emilia pytaniem, co mi się więcej podoba w tej chwili: natura czy szczątki widzianego zamku? Odpowiedź nie była tak łatwą, a najmniej spodziewanie dał ją za mnie poeta:

– Lubię to i owo – rzekł w moim imieniu – ale obecnie najbardziej podoba mi się cielęcina, szczególnie gdy za chwilę ma całkowicie zniknąć w okropnych żołądkach towarzystwa.

– O, prozaiczny poeto! – pomyślałem. – Niechcący powiedziałeś prawdę. Cóż w człowieku nie ustąpi miejsca zwierzęcemu apetytowi?... Jedliśmy więc cielęcinę, która dość smakowała naszej piękności...

Po śniadaniu towarzystwo żywą zajęło się dyskusją, czy zwiedzić, czy nie zwiedzić Niedzicę⁸³ – zamek leżący na przeciwnej stronie Dunajca. Głosy były za i przeciw, a że najwięcej zgadzać się zwykłem z wolą większości, zostawiłem dyskutujących i poszedłem, by się bliżej przypatrzeć olbrzymim ruinom.

Wzrok mój z zamku przenosząc na to, co go otaczało, nie mogłem nie widzieć mieszkania dziedzica zbudowanego z cegieł zamkowych, które mogło być wszystkim: ciepłarnią⁸⁴, browarem, owczarnią – chociaż zowie się dworem, a modniej, pałacem. Wybornie tu odwzorowuje się przeszłość i terażniejszość. Zamek i ta szopa! To jakbym widział w stal zakutego rycerza i dandysa⁸⁵ ze szkiełkiem w oku!

Uczułem dotknięcie miękkiej ręki kobiecej... Z dala patrzący mogli nas wziąć za zakochaną parę..., a w istocie bardzo mało znałem pannę Emilię. Lecz z tym się nie taję, że lepiej mi było w jej aniżeli w towarzystwie innych.

– Zrobię panu propozycję – rzekła. – Zanim ci tam skończą narady i naszym zwyczajem nic nie uradzą, pójdźmy drogą, by pierwsi stanąć na ziemi Translajtanii... Czy dobrze nazwałam Węgry?

– Niewiele się znam na tym – odpowiedziałem. – Lecz pójdźmy! Przechadzka nie zaszkodzi.

– Pomoże, pomoże, mój ponury panie! Może cię to rozweseli nieco.

Rzeczywiście, powinienem był gniewać się na siebie, lecz wesołym być nie mogłem. Czorsztyn winien! W milczeniu poszliśmy drogą, którą przecinał Dunajec, dźwigając na swym grzbiecie most kamienny, noszący jednak sprawy. Co do mnie – całą mą uwagę zwróciłem na drogę, którą przejeżdżaliśmy. A nic

⁸³ *Niedzica* – wieś w województwie małopolskim, położona u podnóży szczytów Pienin Spiskich: Cisówki i Hombarku.

⁸⁴ *Ciepłarnia* – szklarnia.

⁸⁵ *Dandys* – mężczyzna o wyszukanym sposobie ubierania się i dość swobodnych obyczajach.

ciekawego nie było do widzenia. Brzegi Dunajca aż do Czerwonego Klasztoru⁸⁶ nie przedstawiają nic uwagi godnego. Dość szerokim korytem płynie rzeka, nie głębiej nad parę stóp, i całkowicie prawie traci charakter górskiej rzeki. Z dala tylko, po obu brzegach, towarzyszą Dunajcowi wyniosłe wzgórza, dążąc wraz z nim ku rysującym się na nieboskłonie Pioninom.

Droga węgierska w tym miejscu tak dobra jak i polska: na łokcieć podskakiwaliśmy w wózkach, mimo woli klnąc po madziarsku...⁸⁷ Ale mosty nie polskie, bo porządne, a jeden nawet kryty. Dziwić się potrzeba: dlaczego krycie mostów nie jest powszechnym, gdy tak dokładnie na długie lata chroni most od zepsucia.

Lud tutejszy różni się od górali chyba kapeluszami o wgiętych krysach⁸⁸, jakby umyślnie dla zbierania wody deszczowej. Przeważnie mówi po polsku, inni mówią po słowacku. Fizjonomia kraju ta sama aż po Tatry, które olbrzymim łańcuchem zamykają

– *Naszą krainę!*⁸⁹ – jak mówił mój przewodnik. – *Bo heniok aż po Tatry wszystko to Polska*⁹⁰, paneczku.

I w rzeczy samej! Przyroda tak dobitnie oznaczyła tu granice, że mimo wszelkie umowy niepodobna będzie ziem leżących pomiędzy Dunajcem a Tatrami oddzielić od ziem z tej strony rzeki. Jeden to kraj jakby jedna ku górom dolina, poprzerzynana rzekami.

III.

Czerwony Klasztor. – Wilki. – Kameduli. – Cygani. – Wycieczka na Koronę. – Opowieści górala.

Ku wielkiemu gości naszych ucieszeniu wózki zatrzymały się w cieniu drzew przed rodzajem klombu ze statuą Matki Boskiej pośrodku.

– Czerwony Klasztor! – zawołały radośnie liczne głosy i każdy pospieszał wydobyć się z niewygodnego siedzenia, by stanąć na ziemi, która miała nam dać

⁸⁶ *Czerwony Klasztor* – kompleks klasztorny na Słowacji w miejscowości Czerwony Klasztor nad Dunajcem, na pograniczu Pienin i Magury Spiskiej.

⁸⁷ *Po madziarsku* – po węgiersku.

⁸⁸ *Krysa (kresa)* – płaski brzeg kapelusza, rondo.

⁸⁹ *Naszą krainę!*

⁹⁰ *Bo hen aż po Tatry wszystko to Polska.*

piękno i – obiad. U długich bowiem stołów, zastawionych pod drzewami, krzątała się służba restauracji szczawnickiej, pocieszając zgłodniałych nadzieją, że wkrótce spożyją dary Boże przed oglądaniem cudów Bożych.

Wiedząc z doświadczenia, czym są zbiorowe obiady w czasie wycieczek, postanowiłem odpowiedniej zużytkować czas, który inni poświęcają oczekiwaniu na obiadową mistyfikację, czym zazwyczaj bywa taki obiad... Postanowiłem obejrzeć to, co się da na razie, zanim odpłyniemy w Pioniny.

Staliśmy jakby u bram zaczarowanego pałacu, Pioniny bowiem układają się w tym miejscu tak dziwnie, że formują jakby jeden olbrzymi monolit, w który wchodzi Dunajec, zdając się tu gubić całkowicie. Oko widzi zaledwie kilkunastonoszą przestrzeń, a oparłszy się o nagą skałę, musi wybiec ku niebu, u wyobraźni pożyczyć obrazu, bo moc wzroku tu nie sięga.

Najbardziej majestatyczną, najsilniej przemawiającą do duszy, jest Korona⁹¹, jakby przednia wieżyca pioninńskiej warowni. Wielką masą wznosi się nad poziom, a rozpadłszy się u szczytu na kilka odłamów, dosięga nimi tysięcstopowej wysokości i łudząco naśladuje kształt korony. *Perć*⁹² w rozmaitych kierunkach przeryniają olbrzymią górę, strojąc ją w dziwne arabeski. A z jaką radością przyjąłem wiadomość Salomona, że niektóre z nich nie tylko kozy, ale mogą i mnie wprowadzić na górę, a czasu na to potrzeba nie więcej, ile go zabiorą przygotowania i sam obiad w Czerwonym Klasztorze.

Z wdzięcznością przyjąłem gotowość Salomona służenia mi za przewodnika i rozeszliśmy się: on – by wydać potrzebne rozkazy góralom, ja – dla wyszukania jakiej takiej żywności, by uniknąć oczekiwania na obiad.

Znalazłszy w karczmie chleb i mleko, już się nie troszczyłem o resztę, a nawet miałem sposobność przysłuchania się opowiadaniom górali. Czerwony Klasztor, tak nazwany zapewne od cegły, dziś już klasztorem być przestał. Nawet kościół został zamknięty, w którym zresztą nie ma nic ciekawego. W oknach byłego klasztoru widziałem wcale ładne twarzyczki... A czy kartuzi⁹³ i kameduli⁹⁴ my-

⁹¹ *Korona* – inna nazwa Trzech Koron, najwyższego szczytu Pienin Środkowych należącego do Masywu Trzech Koron.

⁹² *Perć* – ścieżka w górach dla owiec i pasterzy lub wydeptana przez kozice, wykorzystywana przez turystów.

⁹³ *Kartuzi* – katolicki zakon męski i żeński o bardzo surowej regule, założony w 1084 roku przez św. Brunona z Kolonii.

⁹⁴ *Kameduli* – zakon utworzony w 1012 lub 1027 r. przez św. Romualda.

śleli kiedy, iż miejsce ich zajmą te szczebiotki, które ciekawie mi się przypatrują, śmiejąc się, że rozlałem mleko, choć same temu były winne?...

Pamiętek nie ma żadnych. Przechowało się tylko niezbyt pochlebne dla zakonników podanie: że zakonnicy za „obżarstwo” przemienieni zostali w wilków i dotychczas pojawiają się niekiedy w Pioninach. Mniemam, że obżarstwo nie jest jedynym grzechem tych, którzy po swym zejściu zasłużyli sobie u ludu na miano i postać wilków, a wilcy są tu o wiele straszniejszymi aniżeli gdzie indziej!...

Po spożyciu mleka, któremu towarzyszyła medytacja na temat zakonników-wilków, udałem się do towarzystwa, jak widzę, wielce czymś zajętego. Ba, rzeczy ciekawe!... Gdzie jest szlachcic polski, tam Żyd i Cygan zjawić się musi!... I nam nie zbywało na Żydach, ale i banda Cyganów znalazła się jakby cudem, z nimi rozmaite sztuki i naturalnie – kradzież!... Zapiąłem przezornie tużurek⁹⁵, a płacąc dań rodowej ciekawości, wsunąłem się pomiędzy ściśniętą grupę, przypatrującą się czemuś z uwagą.

A było też patrzeć na co, w istocie! Młody Cygan, pięknie z węgierska ubrany, z taką samą Cyganką przy akompaniamencie lichej skrzypczki wywijał dziarsko c z a r d a s z a⁹⁶. Pierwszy raz taniec ten widziałem i dość mi się podobał, ale nie mogłem mu się przypatrzeć należycie, gdyż Salomon szarpnął mię za poły. Ano wołę góry niż czardasza! – pomyślałem, i za przewodnikiem! Na zakręcie kto mię spotyka? – Panna Emilia!

– Pani?... – wykrzyknąłem, cofnąwszy się z zadziwienia.

– Niezawodnie! – odpowiedziała z uśmiechem.

– Na Koronę?

– Czy to pana zadziwia?

– Nie tylko dziwi, ale zmusza do protestu. Pani nie możesz iść na Koronę, to za męczące.

– To tylko?... Nie troszcz się pan o mnie! Wychowana w górach, znam się z nimi dość dobrze i – zapewniam – nie ja pierwsza zapragnę wypoczynku.

– Ależ...

– Ani słówka. Idę, bo chcę, a gdy chcę, to możesz pan być w bardzo złym humorze – nie odmówię sobie przyjemności zwidzenia Korony. No, dalej na górę, bo czasu mamy niewiele!

⁹⁵ *Tużurek* – rodzaj okrycia męskiego podobnego do żakietu.

⁹⁶ *Czardasz* – taniec pochodzenia węgierskiego, przejęty i spopularyzowany przez Romów.

Oczom mym wierzyć nie chciałem. Jak sarna wbiegła na ścieżkę i śmiała się, gdy zdążyć za nią nie mógł. Góral śmiał się również, ja widziałem radość w jego twarzy, gdy patrzył na Emilię.

– Górać to bystra – rzekł – ale *chodza dogodna*⁹⁷. *Do polany heniok za te rypy wyniść można, ale gron ho-ho wysoko!*...⁹⁸

– Na miłość Boską! – krzyknąłem zasapany. – Pani się zmęczysz, tak biegnąc.

– A pan już się zmęczyłeś!... No, zbliż się, nudziarzu, i spojrzysz, jak tu już pięknie. Czerwony Klasztor mamy u nóg, nasi towarzysze, łodzie w przystani, rzeka, skały... A, cudnie tu, cudnie!

– A co tam spoza drzew widnieje? – zapytałem Salomona.

– *Truhaniec*⁹⁹, wielmożne państwo, dalej na Węgry *bez tę dziedzinę, co heniok*¹⁰⁰ chowa się za skałki.

– Tam w górze, zielone – czy to polana?

– Nie, prose panienki, to *jazec*.

– Jęczmień?

– Tak się u nas zowie *jazec*. A kiedy państwo łaskawi, to od *Scawnic*¹⁰¹ *droga lekka na Koronę. Do pół można wyjechać wózkami, tu chodzenie ciężkie. My tam psywycni*¹⁰², ale wielmożne państwo...

– Prowadź, prowadź! – przerwała mu panna Emilia. – Jakoś się wydrapiemy. – Dziękuję panu! Podanie ręki może drogę utrudzić, pójdę o własnych siłach... Co krok, to lżej oddychać... O, to musi być prawda, co powiedział poeta, że „na górach mieszka wolność”...¹⁰³

– Tu, prose państwa – zabrał głos Salomon, pomny obowiązku przewodnika – jest pięknie, ale chodzenie niepewne. Chroń ręką Boską – o nieszczęście łatwo. *Nad upłazy a stroniki – kaj cłek nie bacy – lichy!* – *O, o, Orzeł porwał się z turni!*...¹⁰⁴

⁹⁷ *Droga dobra.*

⁹⁸ *Tam za to rumowisko skał wejść można, ale szczyt wysoko!*

⁹⁹ *Truhaniec (Trohaniec)* – najwyższa kulminacja pasma Otrytu w Bieszczadach Zachodnich.

¹⁰⁰ *Przez tę wieś, co tam.*

¹⁰¹ *Szczawnicy.*

¹⁰² *Przyzwyczajeni.*

¹⁰³ Cytat z dramatu F. Schillera *Braut von Messina*, w oryg.: „Auf den Bergen ist Freiheit!”.

¹⁰⁴ *Na trawiastych zboczach i ścianach skalnych – jeśli człowiek nie uważa – może być źle. O, o, orzeł zerwał się zerwał się ze szczytu!*

To nas ptak, państwo! Innych mamy niewiela. Biedno żyć w górach!... I wróbel pożywienia nie nachodzi, wielmożni państwo!

Oj, tu ciężko, *kaj cłeka zaskocy psota, a uchron Bóg fujawica!*¹⁰⁵ – Ale mi tez psysło o tym w letnią porę..., *kiej*¹⁰⁶ *tak jest pięknie jak u Boga!*... *O, z tego psegibu*¹⁰⁷ już i Tatry widno!

– Lecz zanim się tam dojdzie – westchnąłem.

– A panisko już umęczone. *Tą złobiną pójdziemy to ledziej.*...¹⁰⁸ Psy tym tu jałowcu mało mi końca nie było. Słonko jasne, niebo ani chmurki; sedłem z kozami... *Chryste, jak zaświscy, jak padnie stryło – ledwiem się z duso ostał.*...¹⁰⁹ Dzewisko rozłupane na poły, z lęku jedna koza padła ze skały i zabiła się na śmierć. Łaska Boga, że nie we mnie padło!

– Salomonie! – przerwałem mu opowieść. – Są tu dziwa w tych górach?

– Wselakie, panisku; strasnej siły moc!

– A skarbów ukrytych nie ma?

– Ile! Ile! Nikt by nie zebrał!... Ot, jesce drobina, a dojdziemy.

– A i pani już czuje zmęczenie – rzekłem z pociechą, dojrzwszy utrudzenie, które mną dawno już owładło.

– Lecz się nie skarżę! – odpowiedziała.

– Bo niewiasty *zawdy cierpliwse*¹¹⁰ – zawyrokował góral, na rękę przenosząc Emilię przez rozpadlinę, którą ja ze strachem sam przebyć musiałem.

Szczęśliwa ta niemoc kobieca!

Nie będzie dla nikogo niespodzianką, gdy powiem, że czułem się fatalnie zmęczonym, o ile że słońce nie oszczędzało nas wcale... i wyznaję: gdyby nie kobieta, po razy kilka byłbym już spoczywał, a kto wie – może i przerwał nużącą wędrówkę. Przykład Emilii zmuszał mnie do wytrwałości.

Z jakąż rozkoszą upadłem na skałę, gdy przewodnik wyrzekł czarowne „już!”. Twardy granit zdał mi się być puchem... Puściłem wzrok swobodnie... , duch za nim uleciał... Com widział – opowiem po śmierci, bo w żyjących języku nie masz na to słowa! Łzy zachwyty rzuciły się do ocz, serce bije żywiej...

¹⁰⁵ *Kiedy człowieka zaskoczy jaki śnieg z deszczem albo i śnieżycą!*

¹⁰⁶ *Kiedy.*

¹⁰⁷ *Przełęcz.*

¹⁰⁸ *Tą koleiną pójdziemy, to lżej...*

¹⁰⁹ *Chryste, jak zagwiżdże, jak padnie piorun – ledwiem się z duszą ostał!*

¹¹⁰ *Zawsze cierpliwse.*

– Jesteśmy w cudów krainie! – zawołała moja towarzyszka.

I w rzeczy samej – cuda mieliśmy wokoło!... Kto po raz pierwszy ujrzy góry – zadrży jakąś świętą grozą, duch najpotężniejszy ulęknie się tego ogromu natury i skryje się w głąb istności człowieczej, jakby niepewny, czy z walki, gdyby do niej stanął, wyjdzie zwycięsko...

Tu, stojąc na masie kamiennej, odczułem owo wrażenie niemowlęcej ludzkości – gdy na widok potęgi Himalaja¹¹¹, na widok blasku majestatu prawdy, uczuwszy lęk i straszliwą grozę – wewnątrz ziemi weszła i tam dopiero zdolną była odnaleźć siebie, gdyż wobec natury człowiek był tylko nicością.

Nic łatwiejszego, jak wśród gór poznać naturę, ich mieszkańców, jak znów, po za górami, prawie niepodobna mieć o tym dokładnego wyobrażenia. Śledź za uczuciem, jakie się zrodzi w twej piersi, gdy staniesz wśród gór niebotycznych; zdaj sobie sprawę ze stanu twej duszy, a będziesz miał odwzorowanie wewnętrznej istoty górala, zrozumiesz, jakie miotają nim uczucia. Majestat przyrody, oddziaływać na zmysły, i duchowi każe się ukorzyć przed jej potęgą. Człowiek całą istnością uczuje zależność swą od natury i mocą swą poza jej moc wybiec nie zdoła. Natura będzie dlań panią, której służyć niewolniczo, czcić, lękać się będzie – w miarę tego, jaką się mu przedstawi. Zbliżyć się do natury będzie mógł człowiek jak dziecię do matki – nigdy jako równy, nigdy jako pan władający! Stąd to zespolenie się, zrośnięcie niejako górala z górami, stąd przekonanie, że po za nimi nie masz nic, co by uwagi godnego było! Stąd i duma, że potęga, że wielkość, której góral podobnej nie widzi, że ta wielkość żywi go swym łonem, dźwiga na barkach, w niebo unosi, rozkrywa tajemnic skarby, czyni go jakby swym powiernikiem... Góral jest dumnym, nawet pysznym w stosunku do niegórali, których jeśli uważa za ludzi, tedy za bardzo biednych... ale wobec natury, wobec swych gór – zeznaje własną nicość.

Tym, co się jej przedstawia, uderzona wyobraźnia, zmysłami pojętą moc, stroi w cudowne szaty poezji. Kochankę swej duszy góral zdobi tęczami mar, ubiera w cudów kolory, dodaje mocy i potęgi wyższej; a tak bożyszczę swe ustroiwszy – sam upada przed nim na kolana i cześć oddaje poddańczą; kocha i lęka się go, czci a drży trwogą na jego widok.

Świat duchów najrozleglejszy, najbardziej cudowny – w górach! Bo tu najłatwiej potęgom natury zawładnąć zmysłami człowieka, wstrząsnąć jego istotą

¹¹¹ *Potęga Himalaja* – tu uogólnienie: potęga gór.

i zhołdowawszy sobie, mieć w nim wiecznego czciciela... Prawdopodobnie coś w tym sensie mówiłem do panny Emilii, która – dzięki jej – słuchała mię z tym nieudanym zajęciem, tak nas zachwycającym w dzieciach i kobietach.

Spojrzałem na naszego przewodnika. Wsparty o skałę utonął w zachwycie i jestem pewien – nie słyszał mojej na pół uczonej rozprawy. Wzrok posłał w daleki krajobraz, ducha przykuł do skał majestatu i łąz w oku, zachwytem, który mu wybiegł na twarz promieniejącą, może śpiewał „hosanna!” przyrodzie.

– Ociec! – wyrwałem go z zadumy. – Lubicie góry?

– A kto by ich nie miłował! – odpowiedział z przekonaniem, że każdego, który by gór nie lubił, uznaje za nieczłowieka.

– Cudowny widok! Ale wyżej musi być piękniej jeszcze.

– O, jesteście śliczniej! – zawtórzył góral, więcej własnym myśłem aniżeli słowom panny Emilii.

– A duchów tu siła? – zapytałem, chcąc zmusić górala do zwierzeń się, czego nie zwykli czynić chętnie.

Salomon przeżegnał się, z trwogą wokół spojrzawszy.

– Są ci, panecku – rzekł ciszej. – Ale Najświętsza Panienska chroni, złego od nich niewiele.

– Więc są i złe duchy?

– Oj, są, są – na pokaranie gzechów!...

– W tych tu skałach?

– *Ba hej, tutok!*¹¹²

– A widzieliście duchów? Salomonie?

– Prose wielmożnej panienski – odpowiedział góral, zaambarasowany pytaniem. – U nas strach o tym powiadać, bo na cłeka wsyćko wypaść może... Ale *kiejście*¹¹³ państwo łaskawi, to opowiem ludzki *psytrafunek*¹¹⁴, a mię tam nie było *podoncas*¹¹⁵. *Heniok jak te stroniki, powyżej grapy widnieje groń*¹¹⁶ – widzicie wielmożni państwo. To jest tam *aze*¹¹⁷ do dziś złota, wselakich skarbów – mno-

¹¹² *Tak, w tych, tutaj.*

¹¹³ *Jeśliście.*

¹¹⁴ *Przygodę.*

¹¹⁵ *Co się komuś kiedyś przydarzyło, a mnie tam wtedy nie było.*

¹¹⁶ *Tam, jak te ściany skalne, powyżej tej górki, widać pagórek.*

¹¹⁷ *Aż.*

gość. Kto ma łaskawość u Boga – *na ocy ujrzy wsyćko*¹¹⁸, jak leży rozsypane po ziemi – ino wziąć! Ale skarbu strzeze cart – Bóg z nami! – i siła złego wyrabia ludziom chadzającym pod górę, choćby kto i nie pożądał kostowności. To było tsech zbójników – jak świerki, a śmiałość mieli do wsyćkiego! Zachciało się im skarbu ze Sk a ł k i¹¹⁹ i uradzili: pójść, a choćby się psysło spotkać z samym cartem – złoto zabrać, by nie marniało. Jak poradzili, tak i pošli. *Heniok, za młakiem, spojrzą: kozioł młynkuje na psegibach, a śmieje się bestya kaj mie-miec, nie psymawiając?*¹²⁰ *Stselili do kozła, wrychle patsq*¹²¹, a to nie kozioł, jeno carownik!... Chłopy mądre – zrozumieli się¹²² z carodziejem...., a posło tylko o zapisanie cartu dusy. *Zec strasliwa*¹²³, ale myślą: tak i tak psyjdzie dać głowę... – zabiez dusę, dawaj złotko! – podpisali krwią z małego palca. A carodziej był strażnikiem skarbu i dalejże na figle, by złota nie oddać. Usadził się na zbójników i catuje. Idą zbójnikowie obłazami¹²⁴, *a cart im cestę zalozył typami*...¹²⁵ Zbójnickowie chłopy poradne – *umiotą chodze*¹²⁶ i dalej! A im carodziej: to skałę urwie, to ją nastawi w miejscu, *kaj*¹²⁷ nie była... To fujawicą sypnie im w ocy, to ogniem sieje strasliwym; to górą zatsęsie, to wodę puści... A zbójnicy zawse idą i bliżej im do złota!... Widzi carodziej, ze źle, i na ostatnią puścił się stuckę: chciał się *wiewiozycą pseinknąć po stronie*¹²⁸, by wysadzić turnię, na której stali zbójnicy, ale jeden nich, ani wie za co: *zmiezył, stselnął – stwozeńko padło*...¹²⁹, a ci spojrzą – to carodziej, ustzelony tocy się w psepaść, a ze do dziś cerwony znak ostał... Juz ledwie, ledwie nie dostali cartowskiego złota, ale Bóg nie chciał ich zguby. *Zadzały*¹³⁰ góry, świat się odmienił z dopuszczenia boskie-

¹¹⁸ *Na ocy ujrzy wszystko.*

¹¹⁹ *Skatka* – Wysokie Skałki, szczyt w Małych Pieninach, położony na granicy polsko-słowackiej.

¹²⁰ *Tam, za torfowiskiem, spojrzeli: kozioł skacze na przełęczu, a śmieje się bestia jak Niemiec, nie przymawiając.*

¹²¹ *Strzelili do kozła, nagle patrzą.*

¹²² *Zrozumieć się – dogadać się.*

¹²³ *Rzecz strasliwa.*

¹²⁴ *Obłaz* – ścieżka pod zwisającymi skałami.

¹²⁵ *A czart im drogę zarzucił głazami.*

¹²⁶ *Oczyścili drogę.*

¹²⁷ *Gdzie.*

¹²⁸ *Zwinnie przemknąć na stronę.*

¹²⁹ *Wymiezył, strzelił – stworzenie padło.*

¹³⁰ *Zadrzały.*

go..., zbójników wzięł lęk i skrucha. Wyzekli się skarbu, ostali pustelnikami i pomarli jak święci ludzie.

– Cudownie! – zawołała panna Emilia. – Jeśli zbójcy skarbu nie dostali, ty go znalazłeś, autorze! Wszak to cały skarb poezji, ta opowieść. Nieprawdaż?

– Znajdzie się tu więcej podobnych – odpowiedziałem.

– A sprawiedliwie! – potwierdził góral. – Niejedno jescze powiadają.

– Co to za góra widnieje tam, na prawo?

– To, proszę paniska, Kopa¹³¹.

– Czy i na tej są duchy?

– Proszę panienci: nie wiedzieć! Ale i Kopa ciekawa. Bystra, że koza na nią *nie wnidzie*...¹³² A znalazł się juhas¹³³, co wsedł, na wirchu zatknął toporek i zlął cało:

– Śmiały zuch!

– Co śmiały, to śmiały! – Posed na żołnieza...

– A gdzie jest góra św. Kunegundy?¹³⁴

– *Tamok*¹³⁵, prośe paniska. Ostał i mur zamku, kaj żyła święta. O niej tyz mówią u nas.

– Opowiedz nam to, Salomonie!

– Toć opowiem, łaskawa panienko. Taka mowa miła nasej świętej. Dawno, dawno, kiedy jeszcze i dziadów naszych nie było na świecie, w polskiej ziemi królowała św. Kunegunda – dziwnej piękności i Bogu miła niewiasta. A straszliwie miłował ją pohaniec, rycerz wielki z końca świata, i przyszedł z mnogim wojskiem, by ją przemocą zabrać do swojego kraju. Zwojował wszystko, popalił i zniszczył – aż do stolicy. Święta musiała przed nim uchodzić w trwodze. Wyjechała we wozie z zakonnicami, a straszliwy rycerz z wojskiem za nią! Tak było niebezpiecznie, że zakonnice zrzuciły świętą z wozu i poszła ona piechto. A pogoń za nią! Idzie koło Krościenka, a gazda sieje *jazec*. „Ratuj mię!” – woła święta. A on: „Ratowanie trudne, bo mnie i ciebie zabiją. Idź z Bogiem, on cię uratuje”.

¹³¹ *Kopa* – szczyt w Gorcach, na obszarze Gorczańskiego Parku Narodowego.

¹³² *Nie wejdzie*.

¹³³ *Juhas* – młodszy pomocnik bacy podczas wypasu owiec.

¹³⁴ *Góra św. Kunegundy* – góra w Pieninach Właściwych, na której leżą ruiny Zamku Świętej Kingi (Kunegundy), zwanego Zamkiem Pienińskim, ruiny zamku położonego w Pieninach Właściwych, pod wierzchołkiem Zamkowej Góry.

¹³⁵ *Tam*.

„Powiedz że im – mówi święta – że przechodziłam wówczas, gdyś siał”. A to była prawda. Powiada o tym gazda rycerzom... Ci zadziwili się, a i on zląkł się bardzo, bo *jarzec* wyrósł, choćby go zaraz pod kosę!... Święta cud uczyniła. „W którą stronę poszła?” – pytają gazdy rycerze, a on odpowiada: na prawo, umyślnie, by im drogę zmylić. Wracają nazad rycerze: „Oszukałeś nas, mówią”. Ścieli mu głowę i gonią świętą. Już, już – tylko pochwycić. Święta, modląc się, rzuciła za sobą szczotkę. Wyrósł z niej las gęsty, puszcza. Przebyli ją rycerze i dopędzają świętą... Ona modli się i rzuca grzebień. Z grzebienia wyrosły ogromne góry, święta doszła do Pionin, upadła na kolana i modli się gorąco do Boga. A rycerze góry przebyli i już ją mieli pochwycić... Bóg ochronił sprawiedliwą: z łez świętej powstała mgła tak gęsta, że rycerze utracili drogę i odstąpili od świętej królowej. A ona długo żyła w Pioninach z zakonnkami, wiele cudów czyniąc, i dziś wspiera nas łaską swoją świętą. A na górze, gdzie stał zameczek, rosną takie śliczne kwiaty i dzewa, że ich u nas nigdzie nie ma – chyba w pańskich ogrodach. To Bóg tak przystroił siedzibę wielkiej świętej, która z nim w niebie króluje, na naszą chwałę!

– Cuda! cuda! – wołała panna Emilia – zachwycona opowieścią. – O, jakże panu wdzięczną jestem, że za jego przykładem poszłam na Koronę. Wszak tego wszystkiego nie słyszałabym nigdy w naszym nudnym salonie..., nie doznałabym tych wrażeń, które, to czuję, uczyniły mnie lepszą. Autorze, podaj mi rękę – i mów ty jeszcze! Tak jestem oczarowaną tym, co widzę i słyszę, że przebyłabym tu wieki!... Czaru mamy dość. Mów mi o dziwach, cudach..., wszak w cudów krainie jesteście – prawda, Salomonie?

– Sprawiedliwie, łaskawa panienko.

– Mówże, nudziarzu! – zawołała z grymasem, któremu oprzeć się nie było podobna.

– O czymże mam mówić? – zapytałem, patrząc na to kapryśne dziecko, a tak urocze w tej chwili.

– O czym chcesz. Wszakże masz fantazję..., jesteś autorem..., słyszałeś tyle cudownych rzeczy... Mów!

– A więc zgoda! Będę pani mówić o świecie cudów. Powiem bajkę.

– Doskonale! Powiesz rzecz ciekawą, bo wasze prawdy, ach, tak są nudne!...

Mów! Słuchamy cię z uwagą.

– Ale proszę o pobłażliwość...

– Ani słówka! Słuchamy.

IV.

Świat cudów. – Bajka nie z tysiąca i jednej nocy*.

„Działo się to pod owe czasy, kiedy jeszcze nie było na świecie naszych pradziadów. Za pięcioma morzami, a za siedmioma górami żyli ludzie – jak ludzie: to ciesząc się, to smucąc... A wśród nich rośło pachole, które Bóg wiedział skąd się wzięło w wiosce. Chowało się to, żyło... Aż wyrósł chłopak słuszny – a od ludzi!... Przewano go *Cieniem*, bo się błąkał po górach, od ludzi rad stronił i cały był – nicpotem!¹³⁶

Włosa miał Iniane, w oczach dwie niezapominajki, koral za usta, a postać młodej brzozy. Grał cudnie na fujarce, ale piękniejsze flety miał w głosie, w uśmiechu zaś pogodę majowego ranku. Nikomu drogi nie przeszedł, nikogo o nic nie prosił, żył, jak żyją ptaki leśne i motyle na kwiatkach... A ludziom się nie nadał.

– Dlaczego ten Cień taki a owaki? – pytali jedni.

– Dlaczego on nie jest taki a taki? – troskali się drudzy i biednego chłopca każdy miał przynajmniej na ustach... Obaczą go – dziwnie się im robi... Pomyślą o nim – bierze ich turbacja¹³⁷, co z tego Cienia będzie... A Cień nic sobie nie robi z niczego. Chodzi po górach, patrzy w niebo, na kwiaty... Jemu nieźle na świecie – ludziom źle z Cieniem!

– O czym ty myślisz, chłopcze? – pytają go starzy.

– Ot, tak – odpowiada im. – O niczym!...

– To źle, bo nic z ciebie nie będzie.

– A co by zaś być miało? – zapytuje.

Śmieszny chłopczyna!...

– Czego błąkasz się po górach? – pytają go rówieśnicy.

– Zgubiłem – powiada – to, czego nie miałem, i szukam – może odnajdę.

Oczywiście rozumu niespełna.

– Co tobie jest, Cieniu? – zapytywały go dziewczęta.

– Nie wiem! – odpowiadał smutnie. I w istocie – nie wiedział, choć i to prawda, że ludzie również nie wiedzieli, czego ich głowa boli o Cienia, którego ani krewnym, ani był ich przyjacielem.

* Bajka ta z pewnymi zmianami była drukowaną w „Nowinach” (przyp. Aut.).

¹³⁶ *Nicpot* – tu: dziwak, inny niż wszyscy.

¹³⁷ *Turbacja* – niepokój, zakłopotanie.

Skończyło się na tym, że starzy i młodzi, chłopaki i dziewczęta powiedzieli zgodnie, że „Cień głupi!” I kto wie, czy tak by nie zostało na zawsze, ale przyszła do wsi stara z za gór wróżbita: wszystkim wróżyła z ręki, a nie każdy był rad z przepowiedni... Aż jeden, co mu wróżbita przepowiedziała, że do oślich uszu dostanie jeszcze i parę rogów, chwycił za ramię przechodzącego Cienia i krzyknął do wróżbity:

– Powróćcie temu jeszcze!

Cień chciał uciekać, bo się lękał wszystkiego, ale go zatrzymała wróżbita.

– Poczekaj, chłopcze, popatrzę na rękę.

Ledwie spojrziała – zaczyna ruszać głową, wykrzykuje z cicha i coś szepcze pod nosem. Ludzie w śmiech, bo wiedzieli pewno, że coś złego powie głupiemu, a wróżbita:

– Szczęśliwyś ty, chłopcze – powiada. – Tobie tu wiele napisano i pięknie... Będziesz miał szczęście, Cieniu, i pokłonią ci się wszyscy.

Zdziwili się ludzie, zdziwił się Cień bardziej jeszcze. A skończyło się wszystko śmiechem, że wróżbita stroi sobie żarty z głupiego... bo gdzieżby mu kto miał się kiedy kłaniać?...

– Żeby głupi miał szczęście – powiadali – kiedy z nas żadnemu go nie przepowiedziano... to cała nieprawda! Cień jak był, tak zostanie głupim! Żartuje wróżbita.

– Oj, nie żartuje – powiada stara. – Cieniu, będziesz miał szczęście.

Ludzie z początku śmieli się z wróżbity, później w gniew wpadli, a w ostatku zabrali się do jej grzbietu, ażeby głupiemu nie wróżyła szczęścia, bo im tego nie trzeba i to nieprawda!

A stara swoje:

– Będzie miał Cień szczęście i pokłonią mu się wszyscy!

Tak to rozgniewało ludzi z wioski, że wśród klątw i pogroźek wypędzili wróżbitę ze wsi, a z nią wraz – i Cienia.

– Idź, głupi, za szczęściem! – wołali. – Niech ci go da czarownica, skoro tak powiada.

Płakał Cień i jak mógł prosił, by go nie wypędzano... Wszystko zdało się na nic! Wygnano Cienia i wróżbitę za kopce graniczne.

– Cóż ja teraz pocznę, nieszczęśliwy – załamał ręce chłopiec – kiedy ja tu nogą nie stąpiłem jeszcze!... Oj, biedny ja z tą wróżbą przekłętą!

– Nie bądź bo głupim, Cieniu – powiada doń wróżbita – i nie płacz, skoro cię szczęście czeka.

– Czeka?... A co ja będę jadł i czym się żywił teraz?

– A czym żywiłeś się dotychczas?

– Czym Bóg dał! – odpowiada.

– A teraz Bóg nie da, głuptasiu?... Więcej on ma, aniżeli rozdał, i jest tam u niego dość chleba dla ciebie i stu takich. No, otrzyj łzy i posłuchaj, co ci powiem.

– Ano to słucham.

– Dobrze, chłopcze! Pamiętaj, co powie stara: jak się człowiek rodzi, to Bóg wysyła na świat jego szczęście. Co człek stąpi krokiem, to szczęście dwa ich robi – a zawsze jest koło niego, tylko nie wiedzieć, z której strony. Człek w prawo – szczęście w lewo! Człek na górę – a ono na dole, a zawsze blisko! Kto zmyślny, nachyli się, podskoczy, uchwyci szczęście oburącz i już go ma! Ale gdy puści – pożegnaj się na wieki! Szczęście wraca do Boga, który go rozumniejszym daremnie daje. I ty masz swoje szczęście, Cieniu, które tu jest koło ciebie. Tylko umiej go w czas pochwycić, trzymaj mocno – a będziesz szczęśliwy. Idź teraz w świat, chłopcze, przed siebie, gdzie poniosą oczy. A w wielkiej przygodzie, gdy ci pomoc będzie potrzebną, masz tu cudowne ziele... Ono robi wszystko. Bądź zdrow! Już się nie zobaczymy ze sobą.

To rzekłszy, rozpuściła na wiatr czarną chustkę, wyrzekła jakieś słowa tajemnicze i znikła, zostawiając Cienia w osłupieniu. „I ty masz swoje szczęście... Idź w świat, gdzie poniosą oczy” – brzmiały mu w uszach słowa wróżki.

– Ha! Co będzie, to będzie – pójdę! – I poszedł”.

– Ale tego może już dosyć będzie? – zapytałem.

– Co? W miejscu najciekawszym... Za nic! Mów pan dalej

– Boję się znudzić...

– Autorze!

„Szedł Cień godzinę, drugą i do zachodu słońca, przez góry, doliny – gdzie wskazują oczy. Znajdzie owoc leśny lub grzyba – zje, źródło napotka – wody się napije, a na spoczynek wydobywa fujarki i gra – płacze..., bo szczęścia nie spotkał, i nie wie, gdzie go szukać. Głos fujarki od traw do kwiecica płynie po szerokim błoni, o skały się obije – skały podają go echem i smętna nuta płynie dalej i dalej! Spójrzy Cień za siebie – tyle świata zostało... Spójrzy przed siebie – jest go więcej jeszcze... A dla biednego chłopca nie ma kącika, gdzie by głowę skłonił spokojnie! Bieda z wróżbitą, że mu jak na śmiech szczęście wróżyła!

Westchnął chłopiec, łzę otarł z oka i rusza dalej. Idzie godzinę, drugą, przechodzi rzeki, strumienie, idzie po piaskach i skałach..., aż go noc zaskoczyła

w wielkim lesie. Strudzony, zbiedzony – jak padł Cień u strumienia, tak i zasnął, niepomny, czy go zwierz rozszarpie, czy gad jadem zatruje. Śpi smacznie i śnią mu się rozmaite dziwa.

Wypląnął księżyc na niebo i twarz oświecił śpiącego. Wiatr pierwszy ujrzał go i pobiegł igrać jasnymi włosami Cienia; nocny motyl – dusza niegdyś zimnej zalotnicy – koło ust jego krąży; kwiat schylił się po oddech śpiącego... A Cień śpi i różne marzą mu się dziwa.

W strumyku plusnęła złota rybka – obaczyła dziwo: uśpionego młodzieńca. Plusnęła drugi raz, by mu się lepiej przypatrzeć... Plusnęła raz trzeci i na brzeg wychodzi – ale nie złotą rybką, tylko cudownej piękności rusałką. Żadna dziewczyna wiejska nie ma tak długiej kosi! Żadna panna miejska tak pięknie utoczonych ramion! Żaden kupiec nie ma takich brylantów, jak jej świecące oczy ani koralów jak jej usta cudowne!... Stała nad śpiącym Cieniem i patrzy w jego twarz uśmiechniętą. Patrzy długo, długo... Kto wie, jakie rodzą się w niej myśli? Kto wie, jakie w sercu budzi się uczucie? Na lica występuje rumieniec, marmurowa pierś wznosi się silniejszym oddechem, luby dreszcz przebiega ciało. O, co się stało z leśną czarodziejką? Oczarował ją młodzian śpiący u strumienia. W milczeniu nachyla się nad Cieniem... Powódź włosów okrywa ją całą, ogień większy..., drżenie silniejsze... Spłonęła rozkoszą, dotknąwszy się ust śpiącego!

Pocałunek budzi Cienia. Młodzian otwiera oczy..., a gdy ich błękit odbił się w błyskawicach spojrzenia rusałki, już ją miał Cień wszystką – wszystką po wieki!

Młodzieniec przeciera oczy..., nie wie, czy śni jeszcze. Otwiera usta, by przemówić... Rusałka zamyka je drobnym swym paluszkciem, a gdy ten słabą jest zaporą – usta jego przykrywa swymi usty i szepcze:

– Cicho! – aż srebrną falą zadrżał strumyk, rosy spadły lubieżnie na łono traw i kwiatów. – Cicho!... – powtarza rusałka.

Ale Cień nie milczy, bo przeszkadza zdziwienie. On pragnie mówić z cudną nieznaną i zapytuje:

– Kto ty?

– Twoja! – odpowiada rusałka i cała płonie szkarłatem, oczy przysłania długą rzesą, nie śmie spojrzeć w szafiry ócz młodziana.

– Moja? – pyta Cień bardziej zdziwiony. – Lecz co ty za jedna? Bo cię nigdy nie widziałem pierwej.

Drżąc rozkoszą i tajemną trwogą, odpowiada mu:

– Rusałka...

Cień zbladł, bo duchów lękał się bardzo, a wie, że rusałki pozbawiają życia... Lęk wybiegł mu na twarz i ukazał się w oku.

– Nie trwóż się! – mówi doń rusałka. – Nie lękaj się, luby! Troski życia już cię odstały – znajdziesz szczęście...

– Gdzie? – zapytuje już śmielej młodzian, pomny słów wróżbity. – Gdzie to szczęście, bo go szedłem szukać światem...

– Już go znalazłeś! Tu, ze mną i przy mnie, będziesz szczęśliwy!

– Z tobą? – zapytuje Cień z niewiarą. – To chyba nieprawda... Ty nawet koszuli nie masz na sobie!

Rusałka spłoneęła wszystka. Daje znak tajemny. Wodne nimfy stają do usług, znoszą ubrania, stroją swą panię... i w oczach Cienia odbywa się cudowna przemiana rusałki. Suknię ma z białej piany wodnej, ubrana w perły i korale; cudną jej kibić obejmuje pas tkany z muszek świecących; na głowie wianek z lilii, a w każdym kielichu zamknięte lśnią złudne promyki; od włosów spływa trawa końcami, na której rosa zastygła w brylantowe krople... Stanęła i pyta:

– Cóż? – a głos jej drży nadmiarem uczucia.

Cień nigdy jeszcze nie widział podobnego ubrania.

– Ślicznie! – woła w zachwyceniu i zachwyt wywołuje w rusałce.

Czarodziejka rzuca mu się na szyję, pierś do piersi i do ust jego przyciska swe usta – zimne, jakby lodowe... Cień dotknął jej ubioru, ją ujął powiewną – mgłą: niescalone w kształt nadobny... I sam nie wie, dlaczego posmutniał. Rusałka smutku nie widzi. Jak bluszcz, gdy konary dębu oplata, jak mgła, gdy dolinę okryje – czarodziejka zlewa się, scala z młodzianem.

– Luby! – szepcze rozkosznie. – Zostaniesz ze mną na zawsze! Ustroję cię w tęczone blaski, we włosy powplatam promienie księżycy, pod nogi rzucę gwiazdzisty kobieriec i poprowadzę tam, gdzie nas już nic nie rozdzieli!... Ale cóż ci to, luby? Co, mój świetlany?

– Chce mi się jeść! – odpowiada Cień naiwnie i w smutku pograża rusałkę.

– Jeść... – mówi smutnie. – Ty musisz jeść? Ach, tyś człowiek...

– We wiosce zwano mię Cieniem.

– Cień? O, gdybyś nim był! – woła rusałka. – Postać byś moją odbijał... Powtórzyłabym się w tobie... Aleś ty nie cień, lecz człowiek!

W tej chwili silniej zawiąły drzew wierzchołki, dał się słyszeć świst przeciągły, wrzask i dzikie śmiechy zmieszały się z liści szelestem i jak z chmur wypłynęła ta pieśń dziwna:

Hu, w górę!
 Hu, w chmurę!
 Na wody! Las!
 Księżycy! Gwiazdy!
 Dalej do jazdy!
 Dogońcie nas!
 Znad chmurnej kołyski,
 Pioruny i błyski,
 Tu do nas, co tchu!
 Nad lasy, nad wody!
 Lecimy na gody –
 Hu, hu! Hu, hu!

Spojrzał Cień do góry. Widzi: wiankiem splecione mkną ponad drzewa rusałki i dziwożony. Czarna chmura płynie za nimi, pioruny w niej warczą, ogniowe wystawiwszy języki. Duszo po przejściu chorowodu!¹³⁸ Liście więdną, ptaki z gniazd spadają, zwierzę głębiej kryje się w ziemię...

Pobladł Cień z trwogi. Zbladła i Rusałka na widok towarzyszek, a całą nią zatrzęsł głos wołający: „Leśna! Leśna!”, aż go dalekie echo od skał odbija.

– Wodnica!...¹³⁹ – trwożnie szepnęła rusałka. – Ona mi go zabierze – dodała, patrząc na Cienia, który coś groźnego czytał w jej spojrzeniu..., ale nie miał czasu błagać o litość.

Rusałka, zerwawszy z włosów liliowy swój wieniec, powiała nim trzykroć w powietrzu, a zakławszy słowo czarodziejskie, rzuciła go na twarz młodziana. Cień zachwiał się, głowa opada mu na piersi, ugięły się kolana, powieki same zakryły się z wolna... Zasnął. Leśna szybko ugięła liści paproci i przykryła niemi śpiącego, w straż jej Cienia oddając. W tej chwili stanęła przed nią inna rusałka – Wodnica.

– Co ty tu porabiasz, siostrzyczko? – zapytała, podejrzliwie patrząc wokoło.

– Zbieram sen-ziele – odpowiada jej Leśna – na poduszkę dla królowej. Uznołam¹⁴⁰ się przy pracy...

– A ten ubiór?... – złośliwie zapytała Wodnica.

– Tak..., przypadkiem... Lecz wracam do pałacu!...

¹³⁸ *Chorowód* – korowód.

¹³⁹ *Wodnica* – wodna rusałka, topielica.

¹⁴⁰ *Uznoić się* – zmęczyć się.

– A idź, idź, bo królowa czeka niecierpliwie.

Leśna westchnęła z cicha i spojrzawszy nieznacznie w stronę paproci, odeszła, zostawiając Wodnicę w miejscu, w którym by jej zostawić nie chciała... Więc tę po małej chwili zwróciła się do towarzyszki:

– A ty, siostrzyczko, nie pójdziesz? – zapytała ze źle tajoną obawą.

– Zostanę nieco w lesie – odpowiedziała Wodnica. – Spiesz się, siostrzo!

Leśna znikła z westchnieniem.

Zły duch był w Wodnicy i on też szepnął jej słówko rodzące podejrzenie.

– I nie na próżno ona była w tym miejscu – myśli rusałka. – A że nie dla sen-ziela, to ręczę!

I nóż rozglądać się wokoło, nuż wybadywać wszystko. Zwraca się do drzew, strumienia, do skał okolicznych – milczą... Nie lękają się mocy Wodnicy, bo władnie nimi Leśna. Ale księżyc do niej należy! On wie o wszystkim! Pyta go rusałka łaskawie – nic nie odpowiada... Zapytuje groźnie – nie przerywa milczenia.

– Ach, chcesz doświadczyć mej mocy, blada maro! – woła rusałka w gniewie. – Dobrze!

To mówiąc, chwyciła pęk promieni księżyca, o dąb je owija, każe wiatrom wiać gwałtownie... Wiatry wieją, dębem kołyszają i boleśnie szarpią brodę księżyca.

– Powiedz, coś widział? – woła rusałka, ale księżyc choć cierpi, nie zdradza tajemnicy Leśnej.

Rusałka wysiła się w wyszukiwaniu nowych męczarni, by zmusić księżyc do wyznania... Wzruszona cierpieniem swego opiekuna paproć postanawia go ratować: rozchyła swe liście i ukazuje śpiącego Cienia.

– A! – wykrzykuje Wodnica. – Otóż sen-ziele siostrzyczki! O, moja skromni-siu, mam twą tajemnicę i ciebie w moim ręku! Tyś mię ubiegła w łaskach królowej, a ja ci miłość zabiorę... Obaczmy, kto gorzej wyjdzie!

Długo wpatrywała się w twarz śpiącego, a znalazłszy, że niezły gust miała Leśna, wstrząsnęła Cieniem gwałtownie.

– Wstawaj! – zawołała groźnie.

Cień oczy otworzył, a pomny z jaką zasnął myślą, nie miał nic spiesniejszego, jak upomnieć się o pokarm.

– Dajcie jeść – wykrzyknął – bo głodny jestem bardzo!

Jakaś myśl nowa przebiegła po głowie Wodnicy. Skinęła.

Cień ujrzał się przy stole zastawionym najwykwintniejszymi potrawami, a chociaż nie wiedział, jak się która zowie, a nawet czy jeść je ma ręką lub widelcem –

jadł ze smakiem, a popiwszy obiadek smacznym winkiem, zwrócił się do rusałki. Z niemałym jednak zdziwieniem przekonał się, że to nie Leśna. Wziął go więc lek niemały... Ale widok potraw i wina, którymi został uczęstowany, kazały mu przypuszczać, że dostał się w moc czarodziejską, równie jak poprzednia nieszkodliwą.

Wodnica bacznie wpatrywała się w oblicze Cienia, a gdy w nim nie dostrzegła obłudy, przyzwała uśmiech na usta i strojąc się we wszystkie wdzięki niewieście, zapytała łagodnie:

– Dawno już jesteś w tym lesie?

Utaić się nie da, że łagodny wyraz twarzy rusałki nie zniszczył obawy w Cieniu i nie mógł on szczerością odwdzińczyć się za jej łaskawość.

– Jak długo jesteś w lesie? – powtórzyła pytanie rusałka.

– W lesie – odpowiedział Cień, wahając się. – W lesie byłem pierwiej, aniżelim zasnął.

Rusałka zmarszczyła brwi.

– Była tu z tobą?... – zapytała.

– Kto?

– Leśna.

– Jeśli stąd poszła, to być tu musiała.

– Podobałeś się bardzo...

– Jeżeli tak, to musi mię lubić.

– Czyś ty, chłopcze, głupi, czy zanadto mądry?

– Jednego nigdy mało, a drugiego za wiele – odpowiedział.

– Niegłupi! – myśli Wodnica – i nieszpetyny wcale. Nie dam go Leśnej, a dla mnie przyda się ten dudek... Słuchaj no, chłopcze! Jak się zowiesz?

– Sam siebie nie nazywam.

– A ludzie jak cię zowią?

– Dla ludzi jestem Cieniem.

Ach, więc w tym cieniu szuka Leśna spoczynku pomyślała złośliwie rusałka i rzekła głośno:

– Powiedz mi, Cieniu – tylko prawdę – czy ci się podobam?

– Ta... Obiad był smaczny! – odpowiada chłopak.

– A Leśna czy piękniejsza?

– Usypia nie nakarmiwszy... Dziękuję za jej piękność!

– Dobrze mówisz, chłopcze! To zła rusałka, a byłaby cię zgubiła. Ale ja chcę twego dobra i dla tego mię słuchaj.

- Ano to mówcie!
- Chodź ze mną.
- Wolałbym jechać, bo widzę, za dużo zjadłem...
- Masz tu łopuch¹⁴¹ – siadaj!
- Łopuch! A cóż bym z nim zrobić?...
- Głupiś! Wsiadaj!

Rad nie rad – siada Cień do łopucha. A to dziwo – włożył cały i siedzi jak w karecie! A przy nim rusałka. Łopuch tylko warczy, tak mknie ponad lasem! Cień myśli: – Piękna jazda! Ale co to z tego będzie?...

- Lecą, lecą – kto wie jak długo?... Przylecieli. Rusałka powiada:
– Złaź!

- Ba, zlązić, gdy nic nie ma pod nogami!... Cień w kłopotcie: jak tu wyleźć?...

A rusałka kopnęła wóz nogą, łopuch pękł i Cień poleciał jak piłka! Młynkował w powietrzu, wywracał koźła za koźłem... Już myślał, że przyszła ostatnia godzina: zamknął oczy, nie chcąc patrzeć na śmierć straszliwą i... zatrzymał się: nie na dnie straszliwego piekła, nie w przepaści żadnej, ale w rozkoszonym pałacu, świecącym od złota i drogich kamieni. Na sto łokci w górę biją wodotryski z różanej wody i najdroższych pachnidła; zamorskie bluszcze czepiają się ścian przysionków; posągi, świątynie, zdobią ogród; cudowne ptaki przelatują, śpiewając; zamorskie kwiaty zachwycają oko, upajając wonią; muzyka gra... Cuda!

Na widok tych dziwów, Cień zapomniał o wszystkim. Nie wiedział, we śnie czy widzi to na jawie!...

- Wszystko, co tu widzisz, Cieniu – rzecze doń rusałka – jest twoim! I więcej ci dam jeszcze, bo czego tylko zapragniesz, stawi się na twe zawołanie... Jedno tylko jest ci wzbronionym na zawsze: poza ten pałac nie wyjdiesz!...

- A po co bym miał wychodzić – pyta Cień – kiedy nic piękniejszego nigdzie już nie znajdę. – Ale czy to prawda, że mogę mieć wszystko?

- Oprócz wolności wyjścia za obręb pałacu – wszystko! – odpowiada rusałka.

- Ano spróbujemy. Niech mi tu zastawią obiad – a lepszy od tego, który jadłem w lesie!

- Ledwie wymówił – jest obiad, jakiego nie ma król najpotężniejszy.

- Teraz mi dać dobrego wina flaszkę – woła Cień – a taką, która by zawsze pełną była! Flaszka stanęła na stole.

¹⁴¹ Łopuch – łopian.

Cień próbuje wino – dobre! Wylewa go za okno, aż podpłynął strumień –
flaszka pełna!

– A teraz, skoro już jestem panem, muszę mieć piękne ubranie! – Spójrzy
w lustro, już jest ustrojony jak panicz najbogatszy.

– Podać mi fajkę na długim cybuchu! – Fajka już się dymi najlepszym ty-
toniem.

– Muzyka! – Już gra.

– Skoczki! – I tych nie braknie. – Grajcie i tańczcie! bo pan chce spoczywać.
Dobra noc, rusałko!

– Bądź zdrów, Cieniu! – powiada Wodnica. – A pamiętaj, że stąd nie wyj-
dziesz nigdy!

– Dobrze, dobrze!... – mruczy Cień, zasypiając. – Idź już sobie z Bogiem!

Wodnica uśmiechnęła się złośliwie.

– Spij, spij – rzekła – Adonisie z krwi i mięsa... Kochanku skromnej faworyty
królowej! – dodała, rzucając na Cienia spojrzenie ostatnie.

– Do widzenia! – przerzuca się w jaskółkę i niknie owiana chmurami”.

– Ale to prawdziwie cudowna powieść, autorze! – zawołała pani Emilia. – Za-
czyna mnie interesować los twojego Cienia. A wam, Salomonie, podoba się bajka?

– A jakaś to ona bajka? Szczera prawda! Tylko się działo bardzo dawnych
wieków.

– Słyszysz pan?! Mówże nam dalej o tej prawdzie z bardzo dawnych wieków.
Słuchamy.

„Leśna, ułożywszy do snu królowę rusałek, straż pałacu powierzyła najmilszej
towarzyszce – jasnowłosej Topłanie, a sama, chyżo jak jej chęć serdeczna, prze-
leciała przestrzeń dzielącą ją od liści paproci, które ukrywały skarb najdroższy...
I któż wypowie ogrom boleści zakochanej, gdy miejsce znalazła próżnym. Cienia
nie było w ukryciu!

Wiedziała o swej winie paproć i drząc, stula kielich przecudnego kwiatu –
koronę wszechkwecia. Zgrozą przejęty wiatr uległ się w szczelinie skały, trawy
kornie pochyliły główki, przeczuwając burzę.

– Gdzie on?! – wykrzyknęła Leśna głosem, który drzemiące lwy obudził.
Gdzie ten, któregom w straż twym liściom oddała, nieszczęsna paproci?!

Drząc niewypowiedzianą trwogą, pewna najstraszliwszej kary, paproć zale-
dwie wyszeptać zdołała:

– Wodnica...

– Ach! – jęknęła Leśna, imię to usłyszawszy. – Ona! Zawsze ona!... Zabierz mi wszystko, zniszcz wszystko, mnie wtrąć do otchłani, ale mi jego powróć! Wróć mi Cienia, Wodnico!

Tyle w głosie rusałki było prawdziwej boleści, taka rozpacz straszliwa, że cała natura odczuła jej cierpieniem, i nie było istnienia, które by nie zabolowało nad nieszczęściem.

– Nie ma go! Nie ma! – wołała rusałka w rozpacz. – Wszystko stracone! Kwiecie ohydny – krzyknęła, zwracając się do paproci – któryś mi winien twe panowanie pomiędzy kwiatami, także to dziękujesz za dobrodziejstwa?!... Nędzną byłeś trawą, ukrytą wśród leśnych parowów. Dałam ci kwiat piękności cudu..., a tyś mi skarb mój wydarła!...

– Jestem winną – drżąc, szeptała paproć. – Ukarz mię, bo grzech mój wielki...

– Straszny! Okropny! I niema pokuty, która by go zmazać mogła! – wołała rusałka. – Kwiecie niewdzięczny! Kwiecie zły! Odbieram ci moc cudu, pozbawiam krasę! Przeklinam wieczyście! Giń! – I ręką ujęła koronę kwiatu.

Jęknęła paproć, targnięta najwyższą boleścią. Kwiat za kwiatem posypał się z korony..., a gdy ostatni miał upaść, targnięty ręką rusałki księżyc z rozpaczą:

– Stój, Leśna! – zawołał. – Ja to, nieszczęsny, winien jestem. Chcąc mnie ratować, zdradziła cię paproć. Nie karz niewinnej! Ze mnie weź pomstę!...

– Ty? Ty! O, bądź przeklęty!... A ty, niedobry kwiecie – dodała, zwracając się do paproci – któryś mi taką krzywdą zapłacił za dobrodziejstwa, zgiń w nicestwie! Zostawiam ci część tego, coś miała w całości – na chwilę zakwitaj cudem, a więc czekaj na jego spełnienie! Giń!

Ledwie wyrzekła te słowa, kwiat pochylił piękną swą głowę, z której spadła korona, i smętnie suchymi liśćmi zaszeleścił po cudów pogrzebie... A księżyc z żalości i serdecznego bólu, by nie patrzeć na nędzę kwiatu, odwrócił swą twarz promienną i do dziś odwraca ją każdego nowiu.

Po wyrzeczeniu klątwy stanęła rusałka nad brzegiem strumienia. Groźne chmury sprowadza na czoło, pioruny bierze do oka, lwi ryk ma w piersi, włosy i z traw przepaskę puściła na wiatr... Załamała ręce przejrzyste i stoi na blask wzięta. W tej chwili zaszeleściły drzew wierzchołki, puszczyk jęknął w oddali, przed Leśną staje – Wodnica. Straszliwy był wzrok, którym zrozpaczona przeszła swą rywalkę..., lecz się odbił o szyderczy uśmiech Wodnicy, o pogardliwe spojrzenie, którym odpowiedziała na wezwanie. W promień wplata się księżyc,

brylanty rosy pokładła na czoło, błękit wzięła za szaty i bawiac się spadającą gwiazdką, zaśpiewała, złośliwie patrząc na Leśnę:

Sen-ziele, sen-ziele.
 Chłopczyku-aniele!
 Cud cudów w twym ciele,
 Chłopczyku-aniele!
 Sen-ziele, sen-ziele.
 Mam wiele – dam wiele.
 Sen-ziele, sen-ziele!

– Cha, cha, cha! Nieprawdaż, siostrzyczko, piękna piosenka?
 Szyderstwo to nie znalazło już Leśnej... Płomieniem rzuca się na nieprzyjacielkę i ogarnia ją całą! Wodnica w też ślady przemienia się w potok.
 Smok straszliwy wypija wodę potoku!
 Do walki sęp z nim staje!
 Na sępa wpada straszliwy kangur i szpony swe weń wpija!
 Wodnica staje się chmurą!
 W chmurę bije piorun – Leśna!
 Zapaśnik przemienia się w ostrze żelaza i wpędza piorun do ziemi środka.
 Leśna wybucha na zewnątrz wulkanem i lawą zalewa Wodnicę – już osłabioną w nierównej walce.

Uwięzła w lawie i wydobyć się z niej sił nie ma.

– Przekłata! – woła Leśna. – Sto wieków upłynie, zanim cię stąd wydobyć zdołają, jeśli mi go nie oddasz!...

– Za wieków tysiące jeszcze go mieć nie będziesz! – odpowiada Wodnica, niknąc wraz z lawą w otchłaniach krateru.

Straszliwy był bój rusalek! Wstrząsnął on ziemię w posiadach i królowę ze snu przebudził. Zgorszona hałasem pani rusalek wysyła swego marszałka, by się dowiedział, co jest przyczyną niepokoju.

Marszałkiem dworu królowej był straszliwy Strzyg, starszy niedźwiadków. Dla brzydoty i złego charakteru nienawidzono go w całym państwie wodnym, a najbardziej niechętną była mu Leśna, do której Strzyg uczuwał pociąg miłosny. Wyszedł na powierzchnię, nozdrze rozdarł szeroko i wietrzył.

Księżyc żył ze Strzygiem w niezgodzie, od czasu gdy przekonał się o podstępnych intrygach tego dworaka i przy sposobności szkodził mu blaskiem. I w tej chwili ugodził marszałka promiennym pociskiem, aż kichnął – i kichnięciem

rozłupał skałę na dwie połowy, a tym sposobem uwolnił jednego z chochlików, który był w niej zamknięty za pewną zdrożność. Wyswobodzony psotnik skłonił się figlarnie Strzygowi i odleciał na łąki, do braci, w przelocie musnąwszy skrzydełkiem o białą pierś Leśnej, co ją przebudziło z zadumy.

Rusałka przemyśliwała nad sposobem odszukania swego kochanka. Widok Strzyga, którego ujrzała nad strumieniem, przeraził ją, ale i wzbudził myśl, którą pochwyliła Leśna. Z wymuszonym uśmiechem, walcząc ze sobą, zbliża się do Strzyga i z lekka dotyka jego ramienia. Strzyg drgnął, ujrzawszy boginię swego serca, i upadł przed nią na kolana.

– Najpotężniejsza z potężnych! – zawołał – Pani mojego serca! Powiedz, czego możesz żądać ode mnie, a choćbym miał wyzucić się z istnienia, uczynię zadość twej woli.

Leśna spojrzała wzrokiem, który przeszył na wskroś marszałka i jako balsam spłynął w serce... Od lat stu nie widział równego temu spojrzenia!

– Rozkazuj, czarodziejko cudowna! – wołał w zachwyceniu. – Masz we mnie niewolnika.

– Strzygu! – rzekła doń Leśna. – Mam ci zrobić zwierzenie i żądam twojej pomocy. Wstań i wysłuchaj mię z uwagą.

Strzyg powstał, a Leśna mówiła dalej.

– Wiem, że mnie kochasz...

– Ach! – westchnął marszałek, nieśmiało spojrzawszy w prześliczne oczy rusałki.

– Ty wiesz – mówiła Leśna – że cię nienawidzę...

– Niestety! – bardziej jeszcze westchnął Strzyg i otarł coś na kształt łzy z oka.

– Otóż teraz wszystko to odmienić się może...

– Za jaką cenę? – zawołał marszałek, a wszystek ogień na twarz mu wystąpił, czyniąc ją bardziej odrażającą.

– Za cenę posłuszeństwa i wypełnienia moich rozkazów.

– Czekam na nie i spełnię!

– Wszystko?

– Wszystko!

– Zamknęłam Wodnicę we wnętrzu ziemi, a tylko ty wiesz o tym i nie powiesz nikomu...

– Będę milczał jak grób!

– Zostałam skrzywdzoną – zemściłam się! I dalej mścić się będę!... Ta niecna otrzymała zasłużoną karę, ale jej kochanek...

- Czy któren z moich podwładnych?
- Nie! Jest to pewien śmiertelny...
- O!
- Tak jest. Ukryła go w miejscu mi nieznanym, lecz go wynaleźć muszę, by ukarać, jak na to zasługuje... Ty mi przyjdiesz z pomocą.
- Najchętniej! Ale gdzie go szukać?
- Gdybym o tym wiedziała, czy byłbyś wezwany?...
- Słusznie. Będę go szukał..., wynajdę i oddam w twe ręce. Ale... jaką nagrodę otrzyma Strzyg za trudy?
- O tym później.
- Królowo moja!...
- Spiesz się, bo zastuga ominąć cię może. Wezwę innego.
- Lecę! *Adieu*¹⁴², moja pani promienna! Będziesz go mieć, niewątpliwie.

Po zniknięciu Strzyga zamyśliła się Leśna. Przeczucie mówiło jej, że odszukanie Cienia nie będzie rzeczą łatwą. Nie na próżno groziła jej Wodnica lat tysiãcem!”

– Ale może byśmy go nie szukali – zapytałem pannę Emilię – a zwrócili się raczej do innego przedmiotu?...

– Owszem! Szukajmy Cienia i... nie przerywaj pan powieści.

„Na dwie świata strony polecili: Strzyg i Leśna, by odszukać Cienia wprowadzonego przez Wodnicę.

A Cień spał smacznie w swym czarodziejskim pałacu i różne śniły mu się dziwa... żadne zaś nie było podobne do tych, które ujrzał po swym przebudzeniu się... Ocknął się zaś Cień, przerażony widzeniem, że znowu jest we wsi rodzinnej celem ogólnego pośmiewiska i wypędzony wraz ze starą wróżbitą. Z niemałym też zadowoleniem przekonał się, że nie we wsi, ale jest w pałacu. A w jakim pałacu!... Spał w przepysznie umeblowanej komnacie, ozdobionej dziełami sztuki i niepoślednimi bogactwy. Przez kryształowe szyby okien wpadały promienie słońca, kąpiąc się brylantowymi pryskami w przejrzystej fontannie. Rozmaite ptactwo śpiewem swym biegło w zawody z czarowną muzyką, której dźwięki ważyły się na powiewnej fali powietrznej; woń kadzideł, zmieszana z zapachem kwiatów, odurzała zmysły... Tak było pięknie w komnacie, w której się Cień znajdował, że przybyć w niej wieczność całą zdawało się dlań najwyższą rozkoszą!

¹⁴² Do widzenia.

Po tysiąc razy oglądał wszystko, dotykał każdej rzeczy i nie przestawał błogosławić rusałce, że go uczyniła panem tych wszystkich cudów. Piękna, piękna komnata, a przecież chłopca zebrała ochota obaczyć, co jest po za nią. Ciekawość wiodła go w dalsze części pałacu, coraz bogatsze, coraz piękniejsze! Długi rząd pokoiów, sal, krużganków mieścił w sobie to wszystko, o czym tylko człowiek zamaryć może, a jakaś ręka niewidzialna utrzymywała w pałacu, który nie miał końca ani początku, wzorowy ład, niczym nienaruszony porządek... i jakby odgadywano myśli Cienia – miał to wszystko, czego mógł zapragnąć.

Drzwi szklane w największej sali, którą Cień oglądał, same otwały się przed nim, wiodąc go do ogrodu.

Żadna fantazja nie przedstawi tego, co się znajdowało w zaczarowanym ogrodzie! Jakie tu były cuda! Bogactwa natury rozsiane tu były do zbytku hojną ręką: najpiękniejsze kwiaty wszystkich sfer, drzewa, ptactwo wszelkie, oswojone zwierzęta, rwące rzeki i ciche strumienie, kaskady, wodotryski, góry, doliny, grotty, tunele, ruiny zamków, domki pustelnicze, altany – słowem wszystko!

Cień był zachwycony, a po długiej chwili dopiero zrobił spostrzeżenie, że jednej rzeczy nie widział dwa razy: ukazawszy się, znikająca natychmiast, dając miejsce nowej, bardziej niżli sama cudownej. Na wyraźne tylko żądanie Cienia widziany przedmiot ukazywał się ponownie, lecz znikał wraz z ustąpieniem chęci, która go wywołała.

Cień był szczęśliwym! Widząc się panem wszystkiego, co widział, pewny, że każde jego życzenie natychmiast wypełnionym zostanie, słusznie czuł się najpotężniejszym, szczęśliwym nad zasługi, nad najsilniejsze pragnienie swoje. Oddychał rozkoszą, gubił się w zachwycie, tonął w upojeniu... Za wielką była różnica pomiędzy Cieniem ubogim chłopcem wiejskim a właścicielem zaczarowanego pałacu, by nie miał zapomnieć o wszystkim wśród zachwyty, nie zgubić dni rachuby, zapomnieć o sobie wśród szczęścia!...

Upłynęło tyle czasu, ile go upłynąć może wśród zapomnienia, że jest coś jeszcze nad zadowolenie zupełne... Nic się nie zmieniło wokoło, tylko Cień się zmienił... Przestało go interesować to, co widział, nie pragnął tego, co mógł mieć – zachciało mu się rzeczy nadzwyczajnych! Widział, że wszystko w naturze istnieje w przypisanym porządku: dzień idzie za nocą, wprzód rosnać musi, co się starzeje, urodzić się co umiera... To mu się nie podobało! Zapragnął odwrotnego porządku – i miał go na zawołanie! Zginęły dnie i noce, cień i światło, początek i koniec... Znalazł się w świecie dziwołagów: olbrzymi dąb powstaje z niczego

i w nic się obraca, z kwiatów tworzą się chmury, z tych – dzikie zwierzęta... , z dzikich bestii masz głębokie wody, z wód pałace i miasta, z lazurów nieba wytryskają kamienne fontanny, przebijają ziemi środek i płyną na powietrznej fali, dźwięcząc jak pieśń, błyszcząc jak topazy, aż się zmieniają w motyla... W niemym osłupieniu Ciebie patrzy na te wszystkie dziwa, zapomina o wszystkim, żyje tak lat tysiące... , a przecież spokoju dziecka, dawniejszego stanu duszy odnaleźć w tym wszystkim nie może i zrozpaczony każe, by wszystko zginęło!... Lecz gdy się sam znalazł wśród ogólnego zniszczenia, gdy wszystko znikło i on tylko zawisł atomem w niepojętej próżni – przeląkł się tego stanu i zapragnął powrotu dawniejszego porządku rzeczy. Z jaką radością powitał teraz ziemię i siebie na niej, z jakim zachwytem ujrzał światło, usłyszał śpiew ptaków, uczuł balsamiczną woń powietrza...

– Byłem dziecinny – zawołał – żądając nadzwyczajności, gdy to, co istnieje, tak jest piękne, tak rozumnie, w ład i harmonię ujęte!... Już nie wybiegnę poza istnienie. Tu jest szczęście! A jednak... – westchnął. Czuje, że jest inny, pełny sił, odrodzony do życia, bo przeszedł szkołę doświadczenia... , a jednak smutno mu, jakiś ciężar padł na duszę... Cóż to? – Ach! zapomniałem, że samotność zabija szczęście. Potrzeba mi towarzystwa. Chcę tu mieć ludzi!

Jakże się zdziwił, gdy woła jego nie znalazła posłuchu – raz pierwszy!... Powtórzył zaklęcie – nikt nie odpowiada. Spotęgował wolę, zaklął silniej jeszcze i ręką dotknął talizmanu danego przez wróżbitę. Głos tajemniczy odpowiedział:

– Jestem, słyszę, lecz woli twej zadość stać się nie może.

– Dlaczegoż – zapytuje Ciebie – gdy nie wyjścia za obręb pałacu, lecz chcę czego innego, a wszystko inne miało mi być dane?...

Głos: Miało ci być danym.

Cieść: Jak to! Więc teraz mieć już tego nie będę?

Głos: Nie będziesz!

Cieść: Z jakich powodów?

Głos: Bo cię odstąpiła siła opiekuńcza.

Cieść: Nie rozumiem...

Głos: Odeszła cię rusałka Wodnica.

Cieść: A cóż się z nią stało?

Głos: W walce, zwyciężona przez Leśną, została uwięziona.

Cieść: Gdzie? Przez kogo?

Głos: W ziemi wnętrzu, przez Ognitę, strasznego króla wulkanów.

Cień: A więc pospieszam na jej ratunek!

Głos: Nie wolno ci wyjść z zaczarowanego pałacu i musisz w nim przebywać samotnie. Taka jest wola władającej potęgi. Żegnaj!

Tajemniczy głos zamilkł, pozostawiwszy Cienia zmartwionego wieścią o uwięzieniu swej dobrodziejki, a głównie podobno, iż został skazanym na wieczystą samotność, która dlań stała się prawdziwą męczarnią. Myśl, że nie ujrzy twarzy, nie usłyszy głosu ludzkiego, przyprawiała go o rozpacz.

Nie zważając na dane słowo, na żadne niewidome potęgi, Cień postanowił wydostać się na wolność, a choćby mu przyszło zwiedzić straszliwe wnętrza ziemi i walczyć z Ognitą – on wyswobodzi Wodnicę, sam uzyska i jej wróci wolność, która – dopiero teraz to poznał – jest skarbem największym! Siły potrzebne do walki czuł w sobie, przyciód pragnął, niebezpieczeństwa nie lękał się.

– Muszę wydostać się z pałacu! – zawołał, przemyśliwając nad sposobami oswobodzenia Wodnicy, której dobrodziejstw był pomny.

Chciał najpierw upewnić się, czy nie ma jakiej drogi do wyjścia z miejsca zaczarowanego. Żadnej! Pałac i ogród ani końca, ani początku nie miał: gdziekolwiek stanął – zawsze był pośrodku. Pozycja Cienia była okropną! Ale mąż nie zwykł poddawać się rozpacz, w przeciwnościach nabiera on nowego hartu i siły. Przekonawszy się, że własna moc i potęga nie wystarczą, Cień oglądnął się za inną siłą, która by mu pomocną być mogła. Wzywał więc tajemniczego głosu, by go wsparł swoją potęgą... Ale głos ani sam pomocy nie przyrzekał, ani pobił nadziei, że kto lub cokolwiek zdoła pomóc Cieniowi.

– Jesteś dobrowolnym więźniem – mówił do zmartwionego. – Sam skazałeś siebie na zamknięcie w pałacu, z którego też wyjść nie zdołasz.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Do pioruna! – wykrzyknął Cień gniewny. – Prawdą jest, że dobrowolnie wlałem do tej złotej klatki, że zgodziłem się na wszystko, ale wówczas byłem dzieckiem, niepojmującym znaczenia wolności!... A zresztą: moja opiekunka jest w niebezpieczeństwie – ja bronić jej muszę!

– Na nic się to nie przyda! Nie wyjdiesz z pałacu.

Upływały dnie, miesiące, może lata – w nieczynności.

Cień zwątpił w możebność opuszczenia pałacu, który stał mu się bardziej nieznosnym aniżeli licha lepianka, w której przebywał, pasąc trzody wiejskie. Na

niczym mu nie zbywało, miał, czego zapragnął, ale że był niewolnikiem – wszystko uważał za nic! I chętnie przemieniałby obecne rozkosze za trudy i mokoły życia swobodnego. Stopniowo, powoli, oswajając się z myślą o swej niewoli wieczystej, przestał się interesować wszystkim, na wszystko zobojeźniał. Nie zachwycało go piękno, nie interesowały cuda i dziwy, wrażeń doznawać przestał, na wszystko miał za odpowiedź tylko westchnienie...

Razu pewnego, gdy zapuściwszy się w okolicę bardziej oddaloną, przechodził szeroką równinę, szczególnym jakimś trafem zwrócił Cięń uwagę na dziwowisko, którego przedtem nie widział. Na tej równinie walczyły z sobą dwie góry, a chociaż równości sił nie było między nimi wcale – góra mniejsza, a więc słabsza, z zaciekłością rzucała się na olbrzymiego zapaśnika, którego ją na piasek rozbijał. Ale zwyciężona natychmiast scalała się z pruszynek i chociaż była pewną swego losu z dawną zaciekłością wpadała na zapaśnika, by znów zostać rozbitą i ponownie scalać się dla nieustającej walki.

Cienia zainteresował ten widok. Stał, by dokładniej przypatrzeć się zaciętej walce. Widział tedy, jak góry rozsrożone, buchając wyziewami ognia, z wolna zbliżały się ku sobie, jak następnie bieg przyspieszywszy, z wściekłością nieopisaną rzuciły się na siebie i jęły szarpać... Lecz w chwili, gdy góra silniejsza, w tył odskoczywszy, miała wpaść na słabszą i rozgnieść na miazgi, Cień ulitował się nad zwyciężoną i pochwycając oburącz tuż płynącą rzekę, cisnął ją w otwartą paszczę krateru i ogień przygasił. Ze zmieszania olbrzymiej góry skorzystawszy, słabszy zapaśnik wpadł śmiało na jej karki i uderzył z tak wielką siłą, że olbrzym prysnął, rozsypawszy się piaskiem na przestrzeni mogącej się zdawać nieświadomemu dnem morza, którego wody znikły.

Jakież zdziwienie było Cienia, gdy jednocześnie i druga góra znikła, a on u nóg swych ujrzał klęczącego rycerza, którego nie był większym od wskazującego palca. Okrywał go hartowny pancerz, przyłbica była podniesioną, na hełmie powiewały pióra. Klęczący rycerz, składając u nóg Cienia swój miecz okrwawiony, mówił głosem rozrzewnionym:

– Potężny mój wybawco! Przyjm hołd, który ci składam jako podziękę za wyrwanie mię z mocy olbrzyma.

Cień był tak mocno zdziwiony zjawiskiem, a więcej głosem ludzkim, który wychodził z malutkiej figurki rycerza, że przez chwilę nie był w stanie przemówić do klęczącego. Przyszedszy jednak do siebie, odpowiedział:

– Nieznany rycerzu! Zaszczycem nie miałym byłoby dla mnie, gdybym zdołał zasłużyć na wdzięczność tak mężnego wojownika, lecz nie wiem, kiedy i w czym mogłem ci być pomocny...

– Przed chwilą uratowałeś mię, zwyciężywszy olbrzyma-górę, wpierw nim zdołałem ohydne serce jego przeszyc mym mieczem hartownym.

– A więc to ty byłeś ową walczącą górą, której niechcący zostałem pomocny?

– Tak jest, szlachetny panie. Widzisz we mnie rycerza Trata, niegdyś potężnego króla gnomów¹⁴³, sprzymierzonego z dzielnym państwem ludu-duchów świetlików, którego ohydną zdradą został oddany w moc nieprzyjaznych potęg i wieczystą cierpiałyby mękę, gdyby nie twoja pomoc, która z rycerza i króla czyni mię twym sługą i niewolnikiem... Rozrzadzaj mną i moją szpadą!

– Dzielny rycerzu Tracie i królu gnomów! – odpowiedział Cięń na przemowę klęczącego. – Powstań i nie sługą lecz bądź mi bratem. Witaj!

– Szlachetny mój wybawco – zawołał Trat rozczulony, powstając z kolan. – Podnieś mię, bym cię mógł uściskać.

Cień podniósł rycerza, którego oburącz szyję jego objąwszy, pocałował ją trzykrotnie, a stanąwszy na dłoni nowego swego przyjaciela, rzekł:

– Widzę, że niezupełnie jeszcze opuściła mię moc dawniejsza, bo oto wiem, kim jesteś i czego ci potrzeba. Zanim wyruszę z tobą, Cieniu, na długie boje z tyranami, muszę ci pokrótce opowiedzieć me dzieje. Po ojcu objąwszy gnomów królestwo i sprzymierzywszy się z ludem świetlików, wypowiedziałem wojnę królowi wirów wodnych i zradnych przepaści Trakacie, którego zwyciężywszy, zabrałem z jego pałacu nigdy niezapomnianą Talis, wieczystą boginię mojego serca, z którą wstąpiłem w związki małżeńskie. Ach, za spojrzenie tej boskiej niewiasty oddałbym cztery królestwa! Świat cały za skromny uśmiech jej rubinowych ustek!... Ubóstwiałem ją i, mniemam, byłem ubóstwiany – mam nawet dowody na to... Ale szatański Trakata pozazdrościł mi szczęścia i mszcząc się, poruszył przeciw mnie Ognitę, króla wulkanów, i z nim wspólnie wypowiedział mi wojnę. Zwyciężyłem Trakate, pobiłem wojsko Ognity, lecz zdrada wydała mię w moc moich wrogów. Po świetnym zwycięstwie, syt sławy i zaszczycu, szczęściem i miłością upojoną głowę złożyłem na kolanach boskiej Talis, jak w nieba lazury patrząc w jej cudne oczy!... Od ust jej wiały mi róż zapachy... Dotknięcie ręki budziło

¹⁴³ *Gnom* – legendarna lub baśniowa istota o niewielkim wzroście, mieszkająca zazwyczaj pod ziemią.

rozkosz! Byłem szczęśliwy nad wszelki wyraz, ale do chwili przebudzenia się tylko... Czy odstąpiła mi moc we śnie..., czy zdradzony zostałem przez Talis (czego przepuszczać nie chcę!...) – dość, że przebudziłem się w srogich więzach, stawiony przed sądem straszliwego Ognity, które porwawszy mię za włos królewski, wyrzucił w powietrze pod siedmiosferne gwiazdy z taką siłą, że spadając, przebiłem sobą wnętrze ziemi, i nieprzygotowany wpadłem w moc olbrzyma-góry, który mię dręczył straszliwie. Od srogich cierpień, od mąk okropnych – tyś mię uwolnił... Więc raz jeszcze przyjmij z głębi serca bratnią podziękę.

– Tajemnicze losy – mówił dalej Trat – zrządziły, że obecnie mamy jedno życzenie: wyjścia z zaczarowanego pałacu i jednego wroga: Ognitę. A więc łączmy nasze usiłowania, zespólmy siły i wydrzyjmy ohydnej jego mocy boską Talis i nadobną Wodnicę. Młodzieńcze, weź mię za włos królewski i ciśnij w górę.

Cień wzdrygnął się pierwotnie, ale ulegając powtórnemu życzeniu Trata, porwał go za włos najdłuższy i jak piłkę rzucił w powietrze. Trat zniknął natychmiast. Z tego zniknięcia Cień wcale zadowolonym nie był i już miał chętkę podejrzewać ekskróla gnomów o niewdzięczność, gdy tenże we własnej osobie stanął po godzinnej przeszło nieobecności.

– Daruj – rzekł zadyszany. – Ale niemałą musiałem przebyć drogę. W trzecim prądzie wiatrów mieszkają najprzywiązańsi do mnie gnomy. Rozrzewniło mię ich powitanie!... Dowiedziałem się, że moim królestwem zawładnął Trakata, że Talis..., lecz wierzyć temu nie mogę!... Tak ją kochałem!... Dalej, naprzód, Cieniu! Nie mamy chwili czasu do stracenia. Z garstką wiernych zgniotę przywłaszczyciela, wyrwę z rąk jego Talis! I albo będę najszczęśliwszym z nieśmiertelnych, albo... utracisz swego przyjaciela, bo nie zdołam przeżyć pewności, że byłem zdradzony. O, Talis! Miałażby twa dusza być tyle ohydną, o ile pięknym twe ciało!... Młody mój przyjacielu, musisz się przeistoczyć! Jako śmiertelny nie zdołasz wyjść z pałacu, moja moc bowiem żadną jest na ziemi, za to w chmurach ginie siła zakłęb rusałki i tą drogą wyprowadzę cię na świat. R a t e t – t r a t e t – t e r r a t e t – zmień się!

Ledwie wymówił to zakłęcie, Cień zmałał do rozmiarów wskazującego palca i stał się tak lekkim, że go trzymało powietrze. Na znak Trata prąd wiatru zabrał obu i uniósł w przestwór. Cień znalazł, że jazda powietrzna wcale jest przyjemną. Za dobrą chwilę zawołał Trat do towarzysza:

– Victoria! Widzę wiernych mych gnomów powracających w triumfie. Cieniu, będziesz miał twą Wodnicę, ale ja czy odszukam Talis?

W tej chwili legiony gnomów otoczyły swego króla, witając go wesołymi okrzyki i łzami rozczulenia. Rozrzewniony Trat uściskał przywódcę gnomów i głosem, w którym przebiegało się wielkie wzruszenie, rzekł, zwracając się do legii:

– Wierne ludy potężnego królestwa gnomów! Losy zawistne i wrogowie podstępni rozłączyli mię z wami, skazawszy na cierpienia i tęsknotę. Kto wie, jak długo bylibyśmy jeszcze rozdzieleni, gdyby nie sławny rycerz Cień, który mię wyrwał z mocy olbrzyma-góry. Oto jest ten, któremu ja wolność, a wy winniście odzyskanie prawowitego monarchy!

Tłumy rzuciły się do nóg Cienia, wdzięczność mu swą wyrażając. A ponieważ pośpiech w działaniu jest połową skończonego dzieła, dalsze więc podziękności odłożono do stosownej chwili i wszyscy w marszu pospiesznym udali się do stolicy, by w niej zastać nieprzygotowanego króla wirów i przepaści – tyrana Trakate!

O boskiej Talis usłyszał Trat od świeżo przybyłych gnomów szczegóły, najwyraźniej dowodzące, że haniebnie został przez nią zdradzonym. Krwią i pragnieniem zemsty przepełniło się serce króla.

– Naprzód! – zawołał na wojsko, z mieczem wydobytym pędząc na czele legii.

Szturm fortecy, w której mieszkał Trakata, był rzeczą zbyteczną, bo na wieść o powrocie króla, przywłaszczyciel ujrzał się opuszczonym przez gnomów i z życiem uchodząc, zemknął co prędzej, nie tylko skarby, ale i piękną Talis pozostawiając w pałacu.

W tryumfie wszedłszy na zamek, Trat natychmiast kazał stawić przed siebie wiarołomną, niegdyś panią swego serca. Weszła jaśniejąca blaskiem piękności, a zapewne bojaźń takim jej lica przyozdobiła wyrazem niewinności, że i najnieprzychylniejsi uczyli litość w swym sercu dla zdrajczyni. Cień poprzysiągł w duchu, że podobnie pięknej nie widział nigdy!

Trat, błądź śmiertelnie, siedział na tronie w niemej boleści. Po chwili, łzę otarłszy ukradkiem, rzekł głosem, w którym znać było wielką boleść:

– Nie mogę sądzić tej niewiasty... Oczynia¹⁴⁴ mię swoją pięknnością. Zaprowadźcie ją przed sąd starszyzny – niech wyrok dadzą na winną.

Talis jęknęła i padła zemdlona na marmurową posadzkę. Jęknął i Trat, lecz złamać się nie dał i kazał ją wynieść do komnat sąsiednich. Gdy znikła, wprowadzona przez swe niewiasty i sądowych pachotków, Trat zapłakał wielkimi łzami i boleścią swą wszystkim łzy wycisnął.

¹⁴⁴ *Oczyniać* – olśniewać, zachwycać.

W sąsiedniej sali odbywał się sąd nad winną Talis. Trat przyjmował z tronu hołdy osób i korporacji, wynurzających swe uszczęśliwienie z powrotu tak wspańskiego monarchy do osieroconego kraju. Przyjęcie trwało do chwili, w której jeden z grona sędziów, wszedłszy do sali tronowej, doniósł, że wyrok zapadł. Trupia bladeść okryła twarz króla, gdy wprowadzono osądzoną. Wyrokiem sądu Talis – za zdradę małżonka i króla – skazaną została na śmierć, ale ponieważ prawa krajowe nie przewidziały wypadku podobnej zbrodni, więc potwierdzenie wyroku lub jego zmianę oddano do woli króla. Grobowa cisza zaległa salę – nikt nie poważał się przeszkodzić namysłowi króla nad swym postanowieniem. Po dłuższej chwili rzekł Trat do osądzonej:

– Ty, której imienia nie mogę wymówić bez żalu, odejdz sprzed oblicza mojego! Sługi i niewolnice twoje niech cię ustroją w najpiękniejsze szaty, włożą wszystkie kosztowności, byś taką była, jaką umrzeć przystoi małżonce króla. Odejdźcie wszyscy – samotności!¹⁴⁵

Głośnym płaczem odpowiedziano na słowa królewskie i szanując boleść wielką, zostawiono go samotnym, by łzom dał swobodę. Po godzinnej samotności otwarto się drzwi sali tronowej. Wszyscy zajęli dawniejsze swe miejsca, oczekując wejścia Talis. Wprowadzono ją chwiejącą się i bladą. Nigdy nie była piękniejszą! Nigdy bardziej rozkoszną. Ubiór i klejnoty jeszcze bardziej podniosły jej i tak niezwykłą piękność, bladeść oblicza dodała skazanej nieziemskiego uroku. W każdym oku były łzy, w każdej piersi westchnienie na myśl, że za chwilę wszystkie te wdzięki spoczną w zimnym grobie.

Trat niczym nie zdradził swej trującej boleści.

– Zbliź się! – rzekł do skazanej.

Jak senne piękno, stopą ledwie dotykając ziemi, zbliżyła się Talis w milczeniu i uklękła przed królem. Trat wstał z tronu i blade, podnosząc rękę do góry, rzekł uroczyście:

– W obliczu śmierci, przed skonaniem chwilą, mówię ci, niewiasto: drogą mi byłaś nad królestwa wszystkie nad moc i potęgę wszystką! Kochałem cię... Kocham w tej chwili... a nie ustąpisz z mego serca, chociaż cię oddam wieczności. Talis, małżonko moja, żegnaj! Na twych ustach składam ostatni pocałunek i przebac śmierć temu, któren z rąk twoich wziął truciznę życia.

¹⁴⁵ Tak w oryginalnym wydaniu.

Ogólny płacz towarzyszył tym słowom króla, ale i wielki. Jęk przebił sklepienie sali, gdy ujrano piękną Talis chylącą się ku marmurom... Krew tryskała z jej alabastrowej piersi... Trat odrzucił krwią zbroczony sztylet i zakrył twarz rękami. Po chwili umierająca odkryła powieki – ręką wstrzymuje krew, z którą życie upływa, i zwróciwszy się w stronę króla, rzekła z uśmiechem anielskim:

– Śmierć rozwiązała mi usta... Teraz mówić mi wolno... Królu, jestem niewinna... Za sprawą Traktaty musiałam milczeć... Umieram, Kochając cię...

Westchnęła z cicha, ostatnie spojrzenie śląc w stronę króla... Z jękiem najwyższej boleści rzucił się Trat do umierającej. Za późno! W objęciach miał już tylko trupa! Uścisk gorący, zakłęcia miłości nie przebudziły umarłej. Król zachwiał się i upadł zemdlony. Wszyscy rzucili się na jego ratunek.

—

W koralowej trumnie złożono ciało pięknej Talis i ustawiono ją w grobach królewskich. Trzystu kapłanów dniem i nocą odprawiało modły, a oddział wojska utrzymywał straż honorową. Trat przez trzy doby płakał nieustannie przy trumnie małżonki. Czwartego dnia przyszedł do komnaty Cienia.

– Przebacz, rycerzu! – rzekł – że boleść moja przeszkodziła mi pamiętać o obowiązkach. – Jestem na twoje usługi.

Natychmiast wyruszymy przeciw królowi wulkanów, a chociaż walka czeka nas krwawa i jeszcze żaden król gnomów nie zwyciężył Ognity, tym chętniej podejmuję się wyprawy, że w posiadłościach nieprzyjawnego nam króla jest źródło wody ożywiającej, która posłuży mi do wskrzeszenia boskiej Talis, bez niej bowiem nie pojmuję istnienia!

– Królu! – rzekł Cień do Trata. – Dzięki za niezastudzoną łaskę. Jakkolwiek wdzięczność nakazuje mi ratować Wodnicę, ale i chęć dotarcia do ożywiającego źródła byłaby dostateczną, bym poszedł z tobą, narażając się na największe niebezpieczeństwa. Wskrzeszenie najpiękniejszej Talis będzie dostateczną za trudy zapłatą!

– Oby tylko udało się nam dotrzeć do źródła... Mniemasz więc, że Talis była piękną?

– Na honor! Nie widziałem podobnej.

– Pójdźmy, rycerzu! Wojsko czeka mego znaku. Dalej na Ognitę!

– Hurah! – zawołał Cień z zapałem.

Za chwilę co tylko mogło broń udźwignąć w królestwie gnomów wyruszyło ze swym królem przeciw straszliwemu Ognicie”.

– Ale jak widzę: zasmucił panią los boskiej Talis... Czuję się więc w obowiązku powiedzieć o rzeczy nieco weselszej: o mniej pięknym od Talis marszałku Strzygu.

„Dawno już nie był on w takich opałach jak teraz, gdy mu wypadło szukać Cienia! Jak sam powiada: zdarł siedem par najpiękniejszych siedmiomilowych butów i trzy garnitury królewskie, obleciał siedemnaście królestw, pojednał się z siedemdziesięcioma nieprzyjaciółmi, byle odszukać protegowanego Leśnej, a znaleźć go nie mógł! Z biedy wdał się nawet ze starą Chandrą, matką czarownic, i szkaradną tę babę trzy razy pocałował w usta, by mu pomogła... Chandra poruszyła wszystkie swoje podręczne od kijowskiej Łysej, aż do tatrzańskiej Babiej Góry – sama była wszędzie..., a Cienia – ani śladu!

Zmęczony, gniewny i w zmartwieniu wielkim usiadł Strzyg na suchej wierzbie i po krótkiej chwili zasnął nieboraczek, nawet we śnie nie zapominając o poleceniu Leśnej.

A biedna zrozpaczona rusałka do kogóż nie udawała się z prośbą o pomoc... Jakichże nie poruszyła sprężyn, byle odszukać Cienia – wszystko na próżno! Piękny śmiertelny znikł gdzieś bez śladu. Z rozpaczy, chciała już sobie życie odebrać, które po utracie Cienia stało się dla niej ciężarem..., gdy ją wśród łez ujrzał niepozorny robaczek, świetlik, na którego nigdy przedtem uwagi nie zwracała. Zbliżył się i pozdrowił ją uprzejmie. Ledwie zdobyła się dlań na odpowiedź rusałka.

– Pozwól mi się zapytać, piękna rusałko – rzecze skromny robaczek – czegoś taka smutna? Czego ci potrzeba? A może zdołam ci być pomocnym?

– Ty, biedny robaczku? – z boleścią zawołała Leśna. – Potężniejsi od ciebie nie wiedzą, gdzie się znajduje.

Skromność niekiedy tam dosięga, gdzie duma przystępu nie ma – mówi świetlik. – Jestem tylko biedny robaczek, a przecież wiem, gdzie się Cień znajduje.

– Wiesz? – wykrzyknęła Leśna. – Świetliku, uczynię cię ptakiem rajskim, tylko mi powiedz: gdzie go widziałeś?

– Uczepiłem się – rzecze pokorne żyjątko – sukni Wodnicy, gdy go porwała... i wiem, że się znajduje w jej zaczarowanym pałacu.

– Prowadź mnie, prowadź, świetliku luby! – zawołała rusałka. – Raj mi otwierasz twą mową...

– Ty mi dałaś niebo – cicho szepnął robaczek – i świetlik niczego od ciebie nie żąda... Pójdź, piękna wód królowo! Zaprowadzę cię do kochanka.

Leśna schyliła się po robaczka i świetlik spoczął na jej piersi – spoczął w raju! Za wskazówką swego przewodnika Leśna znikła w kierunku wschodnim.

Nie musiało być źle świetlikowi na łonie rusałki, skoro zazdrosny Strzyg przez sen ujrzał go rozkoszującego i na równe nogi skoczył z suchej wierzby. Wdział ostatnią parę siedmiomilowych butów i dopędził Wodnicę ze świetlikiem.

– Dobrze, że przybywasz – rzekła rusałka do zadyszanego Strzyga. – Dzięki temu robaczkowi wiem już, gdzie się Cień znajduje, i liczę na twą pomoc.

– Rozkazuj, królowo serca! Jestem twym niewolnikiem.

– Wodnica zamknęła go w pałacu zaczarowanym, którego stróżem jest Trzygłów, wiecznie czujny. Otóż podejść go musisz, Strzygu, uspić jego baczość, bym mogła wejść do pałacu. Czy uczynisz to dla mnie?...

– Rzecz ryzykowna!... Ale dla ciebie, pani mego serca, wszystko uczynię! Więc biorę cię, Leśna, pod moją komendę, a proszę o bezwarunkowe posłuszeństwo, bo od tego wszystko zawisło!

– Będę posłuszną.

– Owóz najpierw w mgłę się pani rozwiej i otocz nią Trzygłowa. Kiedy pierwszy raz ryknie, oblej go wodą! Gdy drugi raz ryknie – śniegiem go zasyp! Za trzecim rykiem – ciśnij nań gradem i spiesz do pałacu! Ja teraz biorę się do roboty, a z tą bestią sprawa niełatwa!...

O trzy mile przed górą, na której leżał Trzygłów, przerzucił się¹⁴⁶ Strzyg w wielką kłodę drzewa i z pędem ugodził nią w jedną głowę potwora. Trzygłów ryknął... Chciał pożreć drzewo, ale deszcz rześisty zalał mu gardło wodą. Przerzucił się Strzyg w skałę i uderzył nią o drugi łeb potwora. Byłby niewątpliwie oparł się w jego wnętrzościach, bo Trzygłów straszliwie ryknął, ale drugie jego gardło zasypał śnieg Leśnej... Za trzecim razem Strzyg przemienił się w wielką sztabę żelaza i w trzecią głowę uderzył potwora. – Trzygłów znowu ryknął i już miał sztabę przełknąć, ale w tej chwili wpadło mu do gardła kilka korcy¹⁴⁷ gradu, który go przydławił. Zanim Trzygłów pozbył się wody, śniegu i gradu, już Leśna i Strzyg byli w pałacu. Przetrzęsnęli wszystkie kąty, przebiegli ogród – nie znaleźli Cienia!

Nic nie dorówna rozpaczy Leśnej! Załamała białe dłonie i stanęła w niemej boleści, patrząc przed siebie. A siła jej cierpienia była tak wielką, że od niej skonał biedny robaczek i usunął się z piersi rusałki. Strzyg zaś uczuł się mocno wzruszonym... i znajdował, że lepiej by dlań było, gdyby wcale nie kocha rusałki Leśnej.

¹⁴⁶ *Przerzucić się* – przeistoczyć się, zmienić się w coś.

¹⁴⁷ *Korzec* – dawna jednostka objętości, stosowana dla ciał sypkich.

Kto wie, na czym by się skończyło, gdyby przypadek nie sprowadził w to miejsce jednego z gnomów, którego widząc zabawnie krzywiącego się Strzyga, nie wytrzymał i dał mu w nos pstryczka. Strzyg kichnął, a ujrawszy psotnika, porwał go za skrzydło i już miał ukarać śmiercią na paznokciu, gdy małego ujrzała Leśna i zdjeta litością kazała go puścić Strzygowi.

Uwolniony gnom, rzucił się do nóg Leśnej, dziękując za darowanie życia, i prosił, by nim rozrządzała jak sługą. Leśna nie wiedziała, na co by się jej mógł malutki gnom przydać i już go miała odprawić z niczym, gdy praktyczniejszy Strzyg przytrzymał gnoma za skrzydła.

– Nie puszczać psotnika! – zawołał. – Znam ja tych próżniaków i jeśli mój nos jest nieco za czerwony, ich to pstryczków wina!... Nie puszczę cię, smarkaczu, aż mi powiesz gdzie Cię się znajduje, którego musiałeś widzieć, brojąc w tym pałacu i tam, gdzie cię najmniej potrzeba!

– Tu czy gdzie indziej – widziałem Cienia, ale ci o nim nie powiem, ty stary chmyzie¹⁴⁸, chyba że mi Leśna każe...

– Mów! Mów, mały! – żywo zawołała Leśna. – Gdzie go widziałeś? – Czy złe opętały go duchy? Może życia pozbawiony został?...

– Nic mu się złego nie stało! – odpowiedział gnomik. – Widziałem go na dworze naszego króla: zdrów i piękny! Poszedł z Tratem na wyprawę przeciw Ognicie, by dostać wody ożywiającej i odszukać jakąś tam rusałkę.

– Mnie! – wykrzyknęła Leśna. – O, mój najdroższy! Będziesz mię miał, choćby się wszystko przeciw nam sprzysięgło... Do Ognity! Prędzej do Ognity! – I znikła w powietrzu.

Strzyg stanął zmartwiony... Nie wiedział, co ma czynić. Lecieć za szaloną?... Po co? By patrzeć, jak tłustemu chłopakowi rzuci się na szyję!... Powracać do domu?... Z czymże, z czym? – zapytał głośno sam siebie.

– Z nosem! – odpowiedział mu gnomik wesoło, pokazując nos palcami, co w taką wściekłość wprawiło Strzyga, że puścił się za nim w pogoń, niepomy, iż jeden z siedmiomilowych butów spadł mu z nogi!...

—

Już przednie straże obu wojsk nieprzyjanych starły się w krwawej utarczce, już Trat i jego gnomy przekroczyli granice państwa króla wulkanów, a Ognita

¹⁴⁸ *Chmyz* – mały, niepozorny człowiek.

spał jeszcze w swym podziemnym pałacu, wygrzewając się na spodzie krateru. Przyszło do walnej bitwy, w której Cień cudów waleczności dokazywał. Szczęście sprzyjało orężowi gnomów: wróg usłał trupami pole bitwy, cofając się wewnątrz państwa. A Ognita zaledwie jedną otworzył powiekę... Druga bitwa – nie mniej jak pierwsza krwawa – zmusiła króla wulkanów do otworzenia drugiej powieki. Spojrzał i – ziewnął, a od tego ziewnięcia wody mórz wstecz się cofnęły, rzeki wystąpiły z brzegów i wszystko w naturze zadrżało. Zadrżał i Trata, bo wiedział, z jaką mierzyć się ma potęgą, i zwołał swe wierne rycerze na naradę wojenną. Gwarnie rozprawiano w obozie, przedkładano plany rozmaite, ale osiwiali w boju wodzowie gnomów i dyplomaci radzili królowi co rychlej cofać się ku granicy, zaniechawszy kampanii, która nie może wypaść korzystnie dla oręża gnomów. Przed myślą odwrotu wzdrygnął się rycerski animusz Trata, a Cień gorąco zaprotestował przeciw radzie, którą nazywał tchórzowską, i wręcz oświadczył, że sam jeden nawet pozostanie w kraju nieprzyjaciela i walczyć z nim będzie.

– Bowiem rycerskiej godności ubliża – mówił – cofnięcie się w chwili, gdy zwycięstwo jest na naszej stronie, okupione takim krwią przelewem.

Energiczne wystąpienie Cienia umocniło Trata w przedsięwzięciu prowadzenia wojny z Ognitą, a za przewodem króla i wojsko oświadczyło gotowość: raczej zginąć, aniżeli cofnąć się, choćby o krok! Acz z wewnętrzną trwogą, posuwano się jednak w głąb państwa Ognity, zabierając pod swą moc miasta i kraje.

Ziewnął Ognita raz drugi i przeciągnął członki na miękkich puchach z płomieni, z lubością zanurzył nogi w kipiącej lawie i z uśmiechem rzekł do jednego ze swych dworzaków, którego pełnił służbę przy królu:

– Siarczyku, czy mi się zdaje, czy też naprawdę któryś z owadów dotyka mego ciała? Obacz tu, na plecach.

Siarczyk spojrzawszy na plecy królewskie i rzekł od niechcienia:

– Jest niewielki. Czy każesz go zadławić, królu?

– Zostaw go w spokoju – rzecze król łaskawie. – A który to z psotników?

– Jeżeli się nie mylę – odpowiedział Siarczyk – to ów Trata, mizerny władca gnomów.

– Trata? Miałżeby go olbrzym-góra z mocy swej wypuścić?...

– Przed chwilą właśnie dano mi znać, że olbrzym-góra został zwalczony przez nieznanego rycerza, którego Trata uwolnił. Nie chciałem tą drobną wieścią przerywać snu waszej królewskiej mości.

– Hm! Nieznany rycerz – mruknął Ognita. – Któż by to mógł być taki?... Czy stawiono opór gnomom?

– Po trzykroć, lecz niepomysłnie. Żałowałem przerywać spoczynku waszej królewskiej mości...

– Niepomysłnie... A cóż się dzieje z Hurgrotem?

– Zwyciężony po trzykroć zamknął się w zamku kamiennym. Nie chciałem...

– Snu mi przerywać? – dokończył Ognita groźnie brwi marszcząc. – Przywiązany słuگو! Za to możesz pójść tam, gdzie pobyt nie byłby dla cię przyjemnym! Trat zwyciężył Hurgrota po trzykroć... On go nie mógł zwyciężyć! Kto mu towarzyszy?

– Ów rycerz, królu. Ten, który zwyciężył olbrzyma-góře.

– Ten?... Skoro zwyciężył Hurgrota po trzykroć, nie musi być pospolitym... Konia mi Skromiota! Muszę go ujrzeć. Prędeż!

Za chwilę koń był gotów. Ognita dosiadł rumaka – ziemia zdrząła. Skromiot dał skok – pękła góra najwyższa, dał drugi skok – wypadło sto piorunów, dał skok trzeci – ognisty deszcz zalał ziemię, zniszczył trzy bogate królestwa. Ognita ukazał się na powierzchni.

– Rycerzu! – mówił drżący Trat do Cienia. Zbliża się godzina stanowcza... Ognita stanie przeciw nam, a gdy jego ujrzymy w szeregach, wypadnie pożegnać się z istnieniem.

Nie uląkł się Cień tych przeczuć ponurych króla.

– Zmierzymy się z nim! – zawołał. Nie wszystkich przeraża potęga Ognity!

Na koniu, skrami prychającym, stanął król wulkanów i groźnie spojrzął na wojsko Trata. – Najodważniejsi zdrżeli!... Zawołał wielkim głosem, miecz dobywając z pochew – połowa wojska upadła na ziemię! Błysnął mieczem trzymilowym – druga połowa krwią się zlała.

Trat jęknął boleśnie, przejęty ogromem swej straty, a Ognita zaśmiał się dziko:

– Ha, ha! Przemożny króliku! Tobież to zemną iść w zapasy?! Nie zasługujesz, bym stawał do walki – ty i twoi!

Krew zawrzała w piersi Trata, a Cień jak strzała puścił się ku Ognicie i w twarz mu cisnął rękawicę. Rękawica wpadła w oko króla wulkanów i o gniew go przyprowadziła wielki.

– Łotrze – krzyknął, wydobywając rękawicę z oka – drogo mi zapłacisz twą bezczelność! – i oburącz porwał swój miecz trzymilowy.

W stanowczej chwili, w przedgodzinie wielkiego niebezpieczeństwa, przypomniał sobie Cień, że ma jeszcze podarunek wróżbity. Pochwyił go z piersi i wzniosłszy w górę, zawołał głosem wielkim:

– Pomocy!

O, cudo! Cień zniknął, a na jego miejsce zjawia się rycerz tak straszliwy, że ziemia pod nim zadrżała. Trat upadł, twarzą na ziemię, z nim wojsko jego legło, a Cień, odnowiony siłą podarunku wróżbity, postąpił ku Ognicie. Skromiot nie zniósł walki z groźnym rycerzem, wierzgnął ogromnie i z siodła wysadził Ognitę, a na mil dziesięć wokoło widziano skry, które miotał, uciekając ku ognistym górcom. Porwał się Ognita na równe nogi, a przed nim stoi straszliwy rycerz. Spojrzeli na siebie..., ręce położyli na mieczach. Padły cięcia – oba miecze przysły, jakby zrobione z gliny!

– K r a m k a r a t u! – krzyknął Ognita, nie posiadając się ze złości! – Wbiję skałę w twą paszczę za zniszczenie miecza! Dalej, na siłę!

Chwycili się za bary ziemia stęka od ich mocowań!... Ścisnął Cienia Ognita – kości zatrzęszczały. Ścisnął Cień Ognitę – oczy mu na wierzch wylazły! Straszliwie zgrzytnął Ognita, porwał przeciwnika z gwałtowną siłą i po pas wbił go w ziemię! Cień skoczył, oburącz chwyta Ognitę i ciska nim w górę na sto łokci... Król wulkanów poprawił się i w ziemię wbił Cienia do źródeł rzeki. Cień w odwet rzuca go w górę ponad najwyższe szczyty! Połtukt się bardzo Ognita, upadłszy na ziemię, jednak nie o pardon woła, ale proponuje zapaśnikowi chwilowy odpoczynek. Cień zgadza się. Król wulkanów korzysta z chwili, dopada beczki wody-siły i duszkiem ją wypija. Cień tymczasem wyprostował swe członki i czeka na przeciwnika. Wzmocniony na sile Ognita kiedy nie porwie Cienia, nie zawinie nim w powietrzu! I wbił go do środka ziemi, a korzystając z chwili, porwał bliską skałę i przykrył nią otwór zostający nad Cieniem.

Pewny zwycięstwa, Ognita legł na polu i kazawszy podać sobie gorejących węgli, pożarł ich cztery miary. Zdawało się, że zwycięstwo jest niewątpliwe i że Cień zginie we wnętrzu ziemi. A jednak moc podarunku wróżbity była tak wielką, że nie tylko, iż wydostał się z ziemi, ale znienacka podszedłszy Ognitę, porwał go w silne ręce i jak piłką cisnął w górę, ale tak ogromnie, że król wulkanów oparł się na jednej z gwiazd, rozbity na cztery nierówne części.

Wysilenie było nadzwyczajne – Cień zachwiał się i upadł. Otworzywszy powieki, znalazł się w objęciach Trata, łzami wdzięczności oblewany przez całe wojsko gnomów.

– Szlachetny mój wybawco! – wołał Trat rozrzuwiony. – Największy rycerzu w krajach nadpowietrznych! Po raz wtóry otrzymuję życie z twojej ręki... i więcej niż życie, bo chwałę z twojego zwycięstwa, szczęście moich ludów i moje.

– Teraz pójdźmy do źródła wody ożywiającej! Wskresimy boską Talis..., uwolnimy piękną rusałkę Wodnicę!

– Gdzież jestem? Co się ze mną dzieje? – zapytał Cię słabym głosem.

– W moich objęciach! Pośród tych, którzy cię uwielbiać, wdzięcznymi ci być nie przestaną! O, Cieniu! O, największy z rycerzy! O!... Lecz napij się wody-siły – ona cię pokrzepi.

Cień przechylił podaną konew, a spełniwszy ją do dna, powstał i wyprostował swe członki.

– Ach! – westchnął pełną piersią. – Cud dokonany. Dzięki ci, wróżbito!

Nastąpiły wynurzenia wdzięczności... Głośnie okrzyki, łzy rozrzuwienia świadczyły o uczuciach gnomów, którzy nie posiadali się z radości po zwyciężeniu Ognity. Ale bo też i zwycięstwo obfitowało w nie lada korzyści! Na wieść o losie króla całe państwo wulkanów: wojsko, lud urzędnicy w niewolniczym poddaństwie ugięły kolana przed Tratem, oddając się na łaskę zwycięzcy. Bogate prowincje, skarby, zapasy wojenne i niezliczone hufy¹⁴⁹ żołnierzy dostały się gnomom i pochód zwycięzców w głąb krajów Ognity był jednym nieustającym tryumfem.

W stolicy króla wulkanów czekały szczęśliwych zwycięzców rzeczy, o których nie śnili w swym życiu. Nie ma słów na opowiedzenie piękności, dziwów, cudów, które przepełniały stolicę i pałac Ognity, a szczególnie pałac. Miejsce, w którym Cię był zamknięty przez Wodnicę, w zestawieniu z pałacem Ognity było lepianką i skromnym ogródkiem! Dziwa i cuda tam oglądane były fraszkami w stosunku do tych, które tu miałeś co krok, co chwila!

Ale nie czas było przypatrywać się dziwom, bo ważniejsze sprawy oczekiwały spełnienia. Należało uwolnić Wodnicę i wynaleźć źródło wody ożywiającej. Rozległe było państwo Ognity, a chociaż niemal w całości uległo orężowi zwycięzców, znajdowały się jednak krainy, w których ani wiedziano o porażce wojsk i o losie, jaki spotkał króla... Do takich krajów należał i ten, gdzie – jak powiadano – znajduje się źródło wody życia. Dotarcie więc do źródła było połączone z niemałymi trudnościami, o ile ze zwycięskiego wojska starczyło zaledwie

¹⁴⁹ *Huf* – hufiec.

na utrzymanie w karbach posłuszeństwa ludów podbitych i mowy być nie mogło o dalszym forsownym pochodzie!

Ufny w swe siły i cudowną moc podarunku wróżbity Cień podjął się bez wojska pójść do nieznaney krainy i gnomom ją zhołdować. Trat zgodził się towarzyszyć mu i obaj przyjaciele samowtór¹⁵⁰ puścili się drogą, którą im wskazano, że ma wieść do krainy wody-życia.

Tuż za zamkiem Ognity była wielka puszcza. Oprócz króla wulkanów nikt do niej nie wchodził z obawy różnych okropności, bo puszcza ta miała być siedliskiem bardzo złych duchów.

– Jeżeli się nie mylę – rzekł Cień – najkrótsza to droga, którą możemy dojść do źródła.

– I zapewne do miejsca uwięzienia Wodnicy – dodał Trat. – Pójdźmy więc tą drogą.

– Pójdźmy!

Zaledwie się zbliżyli, patrzą: droga zaciągnięta pajęczyną – znak to, że nikt do puszczy nie wchodził.

– Piękna zaporą! – rzekł Trat wesoło do Cienia i zbliżył się, chcąc ręką rozerwać sieć pajęczą. Dotknął jej, aż w jednej chwili zostaje cały skrępowany pajęczyną, nie mogąc się ani poruszyć... Nie miał jeszcze czasu zawołać „ratunku!”, gdy olbrzymi pająk wyskoczył z ukrycia i rzucił się na ofiarę... Szczęściem Cień w czas przybył z pomocą i jednym cięciem miecza na odlew rozciął pajęczynę, a drugim rozplatał pierś pająka. Zamierzył się raz trzeci, chcąc mu uciąć głowę, ale ten przemówił doń ludzkim głosem:

– Rycerzu Cieniu, nie zabijaj mię! Mogę ci stanąć w przygodzie...

– Nie zabiję – odrzekł Cień – ale mi powiedz, czy w tej puszczy znajduje się źródło wody-życia.

– Jest – odpowiedział pająk, tamując krew płynącą z rany.

– A rusalka Wodnica – czy tam jest uwięziona?

– Tam, rycerzu! Ale by dojść do źródła i więzienia, potrzeba ci mojej pomocy. Weź do flaszki krwi, która ciecze ze mnie, i w niebezpieczeństwie pokrop nią zapory, a ustąpią. Wróciwszy zaś szczęśliwie, nie zapominaj o mnie. Och, okropnie cierpię!

¹⁵⁰ *Samowtór* – we dwoje, we dwóch.

Cień żałował pająka, ale nie mogąc mu dopomóc, wziął krwi do flaszki i poszli z Tratem w głąb puszczy. Szli, szli długo, aż przyszli do miejsca, w którym drzewa tak były gęste, że uformowały jedną ścianę, której przebyć było niepodobna. Zwrócili się na prawo – takąż sama ściana, na lewo – to samo!... Zmartwieni chcą się cofnąć – i za nimi takąż sama z drzew zaporą!... Dopiero poznał Cień, że są w mocy złego ducha! Ale jakież ogarnęło ich przerażenie, gdy cztery ściany drzew zbliżać się ku sobie zaczęły, jak w klatkę zamykając sobą Cienia i Trata. Klatka co raz to stawała się węższą i widocznym było, że grozi obu śmierć przez zaduszenie! Przypomniał Cień, że ma ze sobą krew pająka. Okropił nią drzewa – ustąpiły, dając wolne przejście.

Wdzięczni za ratunek szli dalej i utknęli na kamienną skałę. Spojrzą: takąż skała otacza ich z każdej strony jak drzewa, grożąc zaduszeniem... Nie czekając ostateczności, Cień okropił skały krwią pająka – i rozstały się!...

Tak samo później chciała ich zalać woda, dzikie zwierzęta pożreć, złe duchy porwa do piekła, ale krew pająka ochroniła podróżnych... Z przerażeniem jednak ujrzeni, że flaszka była próżna, a cel podróży prawdopodobnie jeszcze daleko! Posmutniał Trat i Cień nie był rad z obrotu rzeczy... Noc zapadła. Strudzeni, głodni usiedli oba u podnóża białej góry i rozmawiając o swych przygodach, zasnęli. A to nie była góra, lecz jajo ptaka K r a m a d a t y!... I kiedy rycerze spali w najlepsze, przyleciał ten ptak i usiadł na jajo, przykrywszy sobą śpiących.

Budzi się Trat... Ciemno coś, duszno, ruszyć się nie można. Żle! Trącił Cienia: – Wstawaj. – powiada. – Nowe jakieś licho!

Przetarł Cień oczy, spojrzął i także zląkł się niepomału...¹⁵¹ Po chwili jednak przyszedł do siebie. Zbliżył się do gładkiej masy i parę razy uderzył w nią ręką i mieczem.

– Kto tam? – zapytał jakiś głos.

– Ja, rycerz Cień. A ty coś za jeden?

– Syn Kramadaty – odpowiedział. – Czy już pora na świat wychodzić?...

– Ach! – uśmiechnął się Cień. – Siedz spokojnie, mały królewczu! – Teraz już wiem, co robić!... Tracie, uwiąż się pasem do tego, co ci się grubym pniem wydaje, a co jest tylko udem ptaka Kramadaty, jak ja to czynię, a mocno, bo zrobimy nie lada przemaszkę!...¹⁵² Czy już?

¹⁵¹ *Niepomału* – bardzo.

¹⁵² *Przemaszka* – fortel, wybieg.

– Już – odpowiedział Trat.

– Teraz, na moją odpowiedzialność, wbijaj miecz po rękojeść w ciało ptaka, co będzie dlań ukąszeniem pchły, i trzymaj się mocno!

Kramadata porwał się ukłuty mieczami Cienia i Trata, rozpuścił skrzydła i uniósł obu w górę. Leciał z nimi nad lasy, góry, morza i pustynie, aż spoczął w pięknej dolinie, wpośród której był gaj rozkoszny. W tym gaju cudownej piękności altana, misternie złożona z „kocham” zakochanych, a nad nią w tęczowym blasku unosiły się dobre duchy, formując sobą napis: „*Źródło wody życia*”.

– Stanęliśmy u celu! – zawołał Cień, odwiązując się od nogi ptaka.

– Przecież! – zawtórował Trat, czyniąc to samo. I dwaj towarzysze znaleźli się w zaczarowanej dolinie.

Cudownej piękności był ptak Kramadata: pióra miał takie, jak gdyby wszystkie wzięły na się brylanty; głos jak muzyka najcudniejsza, a potrząśnięciem skrzydeł sypały się z nich urocze błyski i zdobiły ziemię; śpiew cudnego ptaka zwabił skrzydlatych mieszkańców zaczarowanego gaju, którzy, obsiadłszy krzewy i gałęzie, słuchali śpiewu w rozkosznym upojeniu.

Po skończeniu cudownego śpiewu Kramadata ujrzał Cienia i jego towarzysza. Ujrzał i zatrząsł się całym ciałem. Rozwinął skrzydła – połowę gaju zalał brylantowym blaskiem, całą moc gniewu przywołał do oka – a zaświeciły jak najcudniejsze rubiny! Chciał grozą przerazić przybyszów, a wydał ze siebie głos tak tęskny i rzewny, że mu współczuciem odjęło wszystko i obaj rycerze uczuli w swym sercu miłość dla cudownego ptaka.

– Kramadato! – rzekł Cień rozrzewniony. – Nie słabość, lecz przyszła tu siła, nie złość, lecz do gaju zawiodła nas miłość. Ta cała kraina oddaną nam została w służbę po zwycięstwie Ognity. Jestem Cień, a ze mną Trat, król gnomów. Nie występuj wrogo, bo zwyciężyliśmy potęgę, lecz daj nam miłość, bo ci ofiarujemy serce. Oto dowód mej mocy.

Skinął, wyrzekł tajemne zaklęcie – snop światła strzelił w górę ku gwiazdom i okazał rozbite części Ognity. Na ten widok gaj cały wydał głos podziwu, wszystko aż do najniższej trawki oddało hołd zwycięzcy, chyląc się ku ziemi. . . Cień skinął ponownie – światło znikło i dwaj rycerze postąpili ku źródłu. Jakie tam cuda ujrzeli, jaki piękna majestat – nie opowiedzieć! Wobec tego, co było u źródła życia, Kramadata był tylko zwykłym wróblem. . . Napatrzwszy się wszystkiemu do woli, Cień kazał duchom napełnić sto beczek wodą życia, a wsadziwszy je na Kramadate, wsiadł nań z towarzyszem i kazał się wieźć do miejsca, w którym

była uwięzioną Wodnica. Ptak rozwinął skrzydła i unioś obu w przestwór. Płynęli prądem powietrza przez rozkoszną krainę, zachwycając się na każdym kroku, aż zatrzymali się nad wielką górą ołowianą, która na skinienie wszechwładnego Cienia rozwarła się, ukazując w swym wnętrzu obszerną salę, w środku której ujrzeli rycerze postać niewieścią, która była zajęta przedziwną robotą: u nóg jej leżały drogocenne rudy, a tajemnicza niewiasta jak z kądzieli wysnuwała z nich nici: srebrne, złote, miedziane, które spod jej palców uciekały długim pasmem w głąb ziemi... W pracownicy poznał Cień rusałkę.

– Witaj, Wodnico! – rzekł, zbliżywszy się do wiotkiej postaci.

Rusałka zadrżała, a ujrzawszy Cienia, padła przed nim na kolana.

– Przebacz mi – zawołała – losów ulubieńcze, zem cię w pałacu cudownym zamknęła... Przebacz nierozważnej, która wiele, wiele cierpiała...

Cień z dobrocią podniósł klęczącą.

– Powstań – rzekł. – Nie uczyniłaś mi nic złego. Cierpienia twoje skończone. Wolna. Ulatuj w te gaje i niech cię zła wola odstąpi.

– O najszlachetniejszy! – zawołała rusałka. – W tym straszliwym podziemiu wypaliły się we mnie złe żądze... Teraz jestem lepszą! Dla złości nie masz miejsca w moim sercu... Panie, pozwól mi służyć tobie wiernie, po wszystkie czasy...

– Cieniu – rzekł Trat rozczulony – nie weź mi za złe, że cię wyręcę w odpowiedzi na tak pokorną prośbę. Rusałko, pójdz do moich pałaców, uczynić towarzyszką boskiej Talis, a będzie ci tak przyjazną jak słońce ziemi, jak rosa kwiatom spragnionym!...

– Czy chcesz tego? – zapytał Cień rusałkę.

– Wola twoja, panie, jest moją wolą. Pójdę do Talis i będę jej wierną.

– Wychodź więc, piękna pokutnico! I wracajmy dokończyć szczęśliwie rozpoczętego dzieła. Cudowny ptaku, zanieś nas w krainę szczęścia!

Rozkoszną była droga powrotu! Wśród cudów przyrody, gromadą dobrych duchów otoczeni, w powodzi tonów muzyki niebiańskiej, potężnym skrzydłem rozcinał błękit Kramadata i stanął z podróżnymi w miejscu, gdzie olbrzymi pająk legł przebity mieczem Cienia.

Miriady¹⁵³ gnomów i mieszkańcy byłego państwa Ognity wysypały się z głośnymi okrzykami na przyjęcie władców. Pierwszym czynem powracających była

¹⁵³ *Miriada* – grecki liczebnik główny, oznaczający m.in. liczbę 10000; używany zazwyczaj w liczbie mnogiej do określania wielkiej liczby, trudnej do policzenia.

łaska: kropla wody ożywiającej wróciła życie pająkowi, któren na znak wdzięczności poprzysięgał zaniechać szkodliwego rzemiosła i odtąd snuje przędzę, ale nieszkodliwą, bujającą tylko w powietrzu każdej jesieni.

Drugim aktem było wskrzeszenie poległych. Woda ożywiająca wszystkich wróciła do życia. Okrzyki wdzięczności i błogosławieństwa płynęły w drogę za rycerzami udającymi się do stolicy Trata dla wskrzeszenia pięknej jego małżonki, boskiej Talis! A gdy życie odzyskała, jakby z długiego snu przebudzona, nie ma wyrazów na opisanie szczęścia króla gnomów!... Płakał, tańczył, rzucał się na szyję, do nóg Cienia i łzami wdzięczności je oblewał... Wydano ucztę, która trwała tydzień cały, co raz to nowymi przeplatana rozkoszami. Boska Talis zachwycała wszystkich pięknnością, ujmowała dobrocią... Szczęście zapanowało w krainie gnomów! A wieść o cudach zdarzonych doszła do najdalszych krain ziemi i ściągnęła mnóstwo ciekawych, którzy przybyli dla widzenia cudów naocznie.

Zapewne ta sama ciekawość sprowadziła i królowę rusalek do stolicy Trata. Przybyła w towarzystwie Toplany, jedynej towarzyszki, która jej została po zniknięciu Leśnej i Wodnicy. Z niemałym zdziwieniem ujrzała tu królowa Wodnicę... Rzecz jednak wyjaśniła się natychmiast i królowa mogła z całą swobodą oddać się rozrywkom i przyjemnościom na dworze Trata. Jeżeli królowę zadziwiła obecność Wodnicy w królestwie gnomów, nie mniej zdziwionym był Cień, ujrawszy Toplanę. Zdziwiony, bo widok towarzyszki królowej sprawił na nim wrażenie, jak gdyby znaną mu już była, chociaż był pewnym, że spotykają się po raz pierwszy w życiu... Na pierwszy rzut oka dostrzegł pomiędzy nią a innymi paniami, w których była towarzystwie, jakąś szczególną różnicę..., coś, co ją czyniło bardziej mu swojską, bardziej podobną do tego, co znał, co lubił, do czego był przywiązany..., słowem: zdała mu się być bardziej ludzką pomiędzy duchami, bardziej cielesną wśród tych, które miały kształty, ale bez ich wypełnienia... Bądź jak bądź – Cienia zachwycała Toplana!

Śliczne bo to było dziewczątko, jakkolwiek różna od innych! Nie tak powiewna, nie tak eteryczna – w całym swym ułożeniu jednak miała jakiś urok, który podbijał serca. W skromnym jej spojrzeniu, w miłym ust uśmiechu było tyle naturalnego wdzięku, taka słodycz, że nawet Trata co do piękności stawiał Toplanę na równi z boską Talis! Cień zaś utrzymywał, że o całe niebo jest od niej piękniejszą, lepszą, skromniejszą, bardziej kochania godną bo... zakochał się w niej po uszy, jak utrzymywał jeden z gości Trata.

W bajce czy nie bajce młodzi mają ten przywilej, że na zakochanie nie czekają długo: spojrzeli na siebie, przemówili... z rąk uściskiem, ze złaniem się oddechów przeistoczył się serc stosunek: z obojętnych, nieznanych – za chwilę masz w nich duszę jedną w dwóch ciałach! Serce jedno, myśl jedną, chęć, wolę – wszystko! Tak się też stało z Cieniem i Toplaną. Pokochali się jak gołąbków para – na zabój, jak mówił Trat, któren podjął się być swatem zakochanych.

Królowa rusalek mile przyjęła oświadczyni Cienia. Całym sercem oddawała mu Toplanę, niepewna tylko, jak przyjmie Cię wiadomość o pochodzeniu swej przyszłej, która wcale nie była z rodu duchów, ale dziecięciem ukradziona przez rusałki i pomimo wszystko dotychczas nie przestała być kobietą, jak inne ziemianki... Mogłóż co bardziej ucieszyć Cienia jak słowa królowej?

– Toplana jest kobietą! Toplana człowiekiem! A przecież i ja duchem nie jestem! Cenny podarunku wróżbity, ustąp z mej piersi. Znalazłem skarb! Mam s z c z ę ś c i e! Mam moją lubą Toplanę – zawołał Cię uszczęśliwiony, przybierając zwykle swe kształty człowieka, które go bardziej pięknym czyniły, co przyznanym zostało jednogłośnie przez wszystkie piękności zebrane u Trata!

Bez długich zachodów przystąpiono wprost do zaślubin, a po spełnieniu tego aktu wydano ucztę tak wspaniałą, że podobnej nie widziano jeszcze nigdy! Wszystko, cokolwiek dało się zgromadzić najlepszego, najcenniejszego, najwymyślniejszego nawet – wszystko to miałeś! Jadło, napoje, muzyka, ognie sztuczne, widowiska sceniczne, popisy – następowały po sobie długim szeregiem, by uprzyjemnić chwilę połączenia się dwojga istot, którzy i na pustyni byłiby szczęśliwymi zupełnie!

Dnia trzydziestego trwania uczy, uciechę gości przerwało następujące zdarzenie: gdy uczujący, wysiliwszy się na życzenia pomyślności młodej parze, zabierali się do spełnienia jej zdrowia tym wymyślnym sposobem, że sztucznie urządzone deszcz z powały¹⁵⁴ miał im lać nektar do gęb otwartych, drzwi sali otwały się cichaczem i przed zgromadzeniem, w pokornej postawie, stanęło coś, czego widok ogólny śmiech wzbudził w uczujących. Szkaradne jakoweś indywiduum, z gębą wykrzywioną, zezowate, łyse, z twarzą, którą trąd okrywał, kuląc się pokornie, postępowało w śmiesznych ukłonach, coś niezrozumiale bełkocąc... Toplana za nadto była zajęta rozmową z Cieniem, Wodnica zbyt pogrążona w myślach, by mogły zwrócić uwagę na przybysza, ale królowa rusalek, którą trunek wymyślny wprowadził w złoty humor, ujrzawszy go, krzyknęła zadziwiona:

¹⁵⁴ Powąta – strop, sufit.

– Strzyg!... A co ci się też stało?...

Strzyg – bo to był on – struchlał, a ujrawszy królowę, upadł przed nią na kolana.

– Najjaśniejsza pani! Przebacz – zawołał ze łzami. – Jestem wielce winny...

– Skądże przybywasz? Co się z tobą stało? Mów! – wołały liczne głosy osób, osobiście znających marszałka.

– Najjaśniejsza pani! Prześwietne zgromadzenie! Panowie i panie! – rzekł Strzyg, kłaniając się na wszystkie strony. – Odarty, bez buta, zgłodniały i umęczony stoję przed wami – ofiara gorących płomieni miłośnych... Nie śmieście się, o dostojni! Na stare me lata – bo liczę wiek szesnasty...

– Dwudziesty czwarty! – zawołały głosy.

– Bo liczę wiek dziewiętnasty..., dałem się oczarować, pochwyć szalonej miłości, która też mię, proszę państwa, wystrychnęła na dudka! Przebiegłem ziemię całą, byłem nad nią i w jej wnętrzu, za nos wodzony przez mą ubóstwianą szukałem jak największego skarbu jej kochanka, dostojni!... Szukałem i nie znalazłem nigdzie! Przekląty Cień zniknął na moje utrapienie.

– Na pociechę twą, Strzygu – ozwał się w tej chwili Cień do marszałka. – Istnieję jeszcze.

– Ach, najjaśniejszy! – wybełkotał Strzyg, ponownie upadając na kolana. – Nie chciałem cię obrazić... Przebacz!

– Nie gniewam się. Lecz czegoż to chciałeś ode mnie?

– Nie ja, nie ja, ale ta nieszczęsna Leśna szuka cię wszędzie. Lecz otóż i ona! Rozmówcie się raz przecie...

Jak senne widziadło w przedśmiertnej ciszy weszła na salę. Wzrok jej przeszedł twarze biesiadników, zatrzymał się chwilę nad Cieniem i Toplaną... Jęk wielki wydobywa się z piersi rusałki; blednieje bardziej jeszcze i pada na marmury. Szczęściem nie zbywało wody życia! Okropiona nią rusałka, przyszła do siebie.

– Po co mię budzicie? – rzekła. – Kochałam i to było mym życiem. Utraty myśli o szczęściu przeżyć nie chcę. Władco wód! Duchu potężny, wzywam twej pomocy! Jako łez moich wyciekły strumienie, szukając kochanka, tak mię strumieniem rzuć pod jego stopy. Może spojrzy, może ugasi pragnienie... Cieniu, kochałam cię i kochać nie przestanę. Żyj szczęśliwy!

W tej chwili grom straszliwy zatrzęsł posadami ziemi, gmach runął, wszystko znikło. Cień ocknął się nad strumieniem, który szumiał, tocząc się z urwiska... Ocknął się i przetarł oczy.

– Sen czy jawa?

Sen, Cieniu, a szkoda, bo się śniło pięknie. Chłopcu nie żal było zamków i pałacu, nie żal złota i cudów... Żal mu było jasnowłosej Topłany!

– Gdzież się podziała? – pytał samego siebie. – Była tu ze mną... Uśmiechała się tak cudnie...

Powiadają, że w istocie znalazł kochankę, bo ożenił się z piękną dziewczyną, zbudował niewielką chatkę nad strumieniem i żyją szczęśliwie. Niekiedy tylko, gdy spojrzy Cięń w czyste wody strumienia, zdaje mu się, że na jego dnie widzi smętną postać, a szmer strumyka jakby się skarżył jej głosem... Wówczas przypomina sobie Cięń rusałkę i różne inne dziwa, które zapewne śniły mu się we śnie”.

V.

Góral protestuje! – W łódce. – Pioniny. – Zbójnictwo. – Dzieciaki góralskie. – Studzienki. – Powrót. – Zakończenie.

– Czy tak, Salomonie? – zapytała moja towarzyszka górala.

– Wielmożni państwo – odpowiedział – radzi żartować, ale to tak było, choć nie takim sposobem. I u nas o tym powiadają.

– Słyszysz, autorze? Dlaczego żeś kazał przebudzić się twemu Cieniowi? Dlaczego lud ten odzieras z wiary w cuda, z którą mu tak dobrze?... Popraw się na przyszłość! A teraz – nie gniewaj się za tak niestosowną podziękę. Podaj mi pan rękę...

Czarodziejka! Zawróciła mi głowę na wysokości 800 stóp i mógłbym wpaść w przepaść, gdyby mię nie chroniła rozważa. Wiedziałem, co nas dzieli i... zapobiegłem złemu! Lecz nie o tym mowa.

– Towarzysze czekają na nas – rzekłem zamiast odpowiedzi.

– Prawda, czekają... A przecież dobrze nam tu, nieprawdaż?... Gazdo, czy jeszcze myślisz o Cieniu?

– Dziwno mi, że on to tak rozpowiedział... A *przecik*¹⁵⁵ to prawda!

Moja miłość autorska mogła się czuć zadowoloną. Nie musiałem rozminąć się z prawdą, zgodziłem się ze światem pojęć ludu..., a to już bardzo wiele! Ale

¹⁵⁵ *Przecież.*

należało powracać, bo towarzysze mogli nas zostawić samych – co by mię wcale nie zasmuciło!... Weszliśmy w sam czas, by wsiąść do łodzi, a że przyszliliśmy ostatni, z konieczności musiałem się znaleźć obok panny Emilii – przeciw czemu znowu nic nie miałem.

Ster naszej łodzi objął król Dunajca. Głosem silnym zawołał na przewoźników i odbił od brzegu, przodem wskazując drogę całej flotylli składającej się ze dwudziestu łodzi. Płyniemy!

Dziwne uczucie przejąć musi płynącego po raz pierwszy górską rzeką. W wód szalonych uścisku zdaje ci się, że łódź twa musi koniecznie zatonać lub roztrzaskać się o skały i wystające z wody kamienia. Niepodobnym zdaje się przebycie tych wirów, przepaści, rozpadlin skał, które są jakby uchem igielnym Biblii... A jednak pewna ręka wioślarza tak zręcznie kieruje słabym statkiem, że powoli oswajając się, musisz dojść do przekonania, że niepodobieństwem jest, by się mógł zdarzyć wypadek. Drżąc z początku jak w febrze, uczuwasz następnie szczególny w sobie humor, jakąś dzielność wewnętrzną, harc dziwny, że niejako pragnąłbyś oko w oko zejść się z niebezpieczeństwem... Człowiek jest człowiekiem: przed mocą drży, kolan ugina, ale gdy uda mu się zwyciężyć potęgę, jakże prędko z niewolnika staje się tyranem, jak trudno mu nie puścić wodze samowoli!...

Śledzę za biegiem łodzi. Szczególna! Co za pewność ręki... O linię łódź nie zejdzie z drogi, zadrży chwilę, jakby wahając się w miejscu, i skoczy w otwartą paszczę pieniącej się katarakty! Nie odetchnąłeś jeszcze – płynie już wiotka, igrająca z falami! Niekiedy biegu nie zwalnia i pędzi na skałę, uderza w nią... Sądziś: nieszczęście! Gdzie zaś – to uderzenie było potrzebnym, by łódź w bok odsadzić i wpaść na jeden z potrzebnych prądów, a ominąć inne!...

Niekiedy zakręci się w wirze, stamtąd wpada na kataraktę i z nurtów wyskakuje w górę jak pluskająca rybka... Często omija spokojny bieg wody i pędzi tam, gdzie się pieni i burzy i pianę w górę ciska... Lęk próżny! ta właśnie droga jedyne jest możliwą do przebycia – każda inna może zatopić podróżnych.

Już wrażenie z samego pływania odniesione jest niemałe, a cóż gdy okiem rzucisz wokoło i ujrzysz te straszne masy, które jakby uciekając w niebo, zostały zatrzymane w biegu i czołem dosięgają chmur, gdy za podstawę jest im ziemi środek. O, nie dziwię się poetyczności ludu górskiego... Wśród tych dziwów natury niepodobna nie być poetą! Wszakże tu niezwykle, niecodzienne myśli gwałtem cisną się, tłoczą... Tu, z konieczności, z musu, trzeba się rozstać z prozą życiową.

W twardą pierś granitu znać że się przebojem dostał Dunajec, rozpruł je, poszarpał!... Rozdzielone, przecięte – stanęły jakby zdziwione zuchwalstwem i przeglądając się w zwierciadle wody, muszą się dziwić swej odmianie. Rozprute łono granitu świeci nagim kamieniem, który gdzieniegdzie tylko okrywają cząbry¹⁵⁶, zwieszając się w rozpadlinach, lub rzadki las szpilkowy przykrył nadszarpane boki. Długie, ostre iglice strzelają w niebo, niekiedy uwieńczone brzozą lub wrzosem, który może stęskniony za niebem wszedł, by mu się ze szczytu przyjrzeć. A dziwi go, znać, wszystko, co widzi, bo długim włosem gałęzi powiewa ku dalekim stronom i o czymś rozmawia z wiatrem... Boki gór, poprzerynane perciami i licznymi *cestami*¹⁵⁷, które wiszą nad przepaścią albo schodzą gdzieś w strome, drzemiące czarnością jary. Czasami orzeł porwie się i krzyknie przeraźliwie, niekiedy kamień oderwany od szczytu, tocząc się z łoskotem po skale, wpada, warcząc, w Dunajec. U spodu nurty rzeki, z dwóch stron ujęte ścianą kamienną, przed i za tobą także skały odbijające się od szybu wody, u góry nieba tyle, ile go widzieć pozwalają granity, łożyskiem rzeki głucho toczą się kamienie... Szum wody, świst wiatru, który dzika piosnkę nuci po szczelinach, urywane głosy przewoźników... To Pieniny!

U wstępu, jakby na straży, stoją olbrzymi: wieloramienna Korona z prawej, Grabczycha Wyżnia i Niżnia¹⁵⁸ z lewej strony. Znać, że kiedyś musiały być jedną skałą, ale przed wiekami rozhukane żywioty przebiły wewnątrz gór, a w otwarte ramiona wpadł Dunajec – i zniknął. Tak jest! Z łudzącą prawdą zakańcza bieg swój rzeka ta u początku Pionin i w wielu innych miejscach tak, iż widzowi zdaje się, że dalsza podróż jest niemożliwą dla braku rzeki, która gdzieś znikła u stóp skał, a przecucie chyba może wskazać, w którą stronę udadzą się łodzie, bo kierunku Dunajca dostrzec niepodobna. Wrażenie odniesione z tego widoku zniknięcia rzeki z niczym porównać się nie da, a lęk niemały zbiera nieświadomego na myśl, że porwana przez pieniającą się wodę słaba łódź góralska musi roztrzaskać się o skałę, która zagroziła dalszą drogę wodom! Ale trwoga przemija, ustępując miejsce dziecinnej radości, którą prawdziwy zachwyt poprzedza... Za zbliżeniem się łodzi do skały, jak na skinienie laski czarodziejskiej, roztwiera się dalsza gór panorama – także skałą zamknięta, ale tej nie lękamy się już wcale,

¹⁵⁶ *Cząber* – zioło i przyprawa kuchenna.

¹⁵⁷ *Cesta* – droga, ścieżka.

¹⁵⁸ *Grabczycha Wyżnia i Niżnia* – dwa skalne żebra w skałach Facimiecha w Pieninach.

przekonani, że pierwsza ustąpiła nam drogi, pozwolewszy oglądać cuda Boże, serce napić radością, rozmarzyć duszę...

Do tych, którzy w światy obce zapatrzeni nie widzą i widzieć nie chcą piękna ziemi rodzinnej, nie przestanę wołać: „Pójdźcie! Obaczcie!”, a spadnie z waszych oczu, z waszego serca łuska niewiary i odrodzicie się w duchu! Teraz pojmuję, rozumiem ten głos duszy, konającej niewiasty, która zawieść się kazała do Pionin i ujrawszy cuda, westchnęła w zachwyceniu: „Panie, mogę umrzeć!”*. Pojmuję teraz, że widok majestatu przyrody może łązy wycisnąć z oczu, które łza nie wilżyła! Nawet że podnieść może człowieka z upadku! Oto duch mój w skupieniu wielbi wielkość stwórcy, serce drży rozkoszą... płacząc. O, więcej łez podobnych! One nie jedno zmazują z duszy, one łączą nas z bóstwem!

Uroczą ciszą zaległa Pioniny. Wpłynęliśmy na pełne wody rzeki, która w tym miejscu, uspokojona, modrym okiem patrzy na niebo, las, skały i wytryskające z nich strumienie. Spojrzałem na towarzyszy. Dwadzieścia łodzi stanęło w szeregu, wiosła opadły, górale milczą – i wszyscy umilkli. Każdy uczył, że ciszą tylko można rozmówić się z przyrodą, która tu władnie duszą, sercem, myślą człowieka. Oczy zapatrzone w gór majestat, serca uderzają zgodnie w takt ogólnej harmonii, rozlanej w przestworzu.

Moja towarzyszka... zdała mi się być świętą w tej chwili! Łzy jak brylanty świeciły w jej oczach, na twarzy był wyraz anielskiego spokoju... Zapatrzona w cuda widniejące zewsząd zdejmując z palca złotą obrączkę i wrzuca ją do wody...

– Co pani robisz? – przerwałem jej zamyślenie. – Obrączka!...

Łzawy uśmiech wybiegł na jej usta.

– To moja spowiedź – rzekła. – Natura udzieli rozgrzeszenia. Z tą obrączką wiązał mnie interes..., a wobec Boga, któremu tu ujrzała, chcę mieć serce czyste.

Nie pojmuję, dlaczego bardziej posmutniałem... Łodzie ruszyły, rozwiązały się usta – wróciłem do rzeczywistości!

Bersztyk!¹⁵⁹ Ostra Skałka!¹⁶⁰ Faćmich!¹⁶¹ – słyszałeś głosy górali, przeplatane wykrzyknikami gości podziwiających wielkość i piękno, to wesoło

* Rzeczywista prawda. Pewna obywatelka z Galicji kazała się zawieść do Pionin, będąc już chorą śmiertelnie, i umarła w zachwyceniu, mówiąc słowa powyższe.

¹⁵⁹ *Bersztyk (Berestek)* – jedno ze wzniesień w Pieninach.

¹⁶⁰ *Ostra Skałka* – szczyt położony nieopodal Trzech Koron

¹⁶¹ *Faćmich (Czerwona Skałka)* – czerwono wybarwiona wapienna skała w Dolinie Biała Woda w Małych Pieninach

gwarzących o wszystkim! Człowiek prędzej aniżeli zwierzę oswaja się ze wszystkim. Tych, którzy mieli łyż w oczach u wstępu do Pionin, widziałem śmiejących się, gdyśmy płynęli pod Sokolicę¹⁶². Ale i jedna łyż zbawia grzesznika...

Ozwały się śpiewy górali rybaków. Dziwny to śpiew górski. Nuta równa, jednaka, prawie bez zmian..., a mimo to jest w niej siła szczególna, jakaś głęboka tajemnica, która porusza, wstrząsa cię całego... Ta muzyka dzika zdaje się być skałą odgłosem, echem mowy istot tajemnych; za jej pośrednictwem człowiek rozmawia z przyrodą. Posłuchajmy śpiewu górala na nizinie – żaden! Ale wśród gór, od skał odbity, jakże brzmi potężnie, jak przejmuje, przeraża nawet! Treść śpiewów górskich niezbyt bogata: miłość, zbójnictwo; z nowszych czasów: rekrutacja¹⁶³ – to wszystko, jeśli się pominie śpiewki niemoralne, odśpiewywane przez górali z niewinnością dziecka, które nic w nich zdrożnego nie widzi.

Uroczym zabrzmiał mi głos przewodnika, gdy zawołał:

– Sokolica! Naszych gór królowa.

O, słusznie należy się jej to miano!... Z biegiem łodzi wysunęła się zza skał pobliskich i stoi w całym majestacie. Wysoka na tysiąc stóp, koroną opiera się o nieba lazury, a blask słońca zdobi jej szczyt jakby w uśmiech pogody twarz pięknej niewiasty. Kilka brzoź – jak warkocze – rozpuściły swe gałęzie, las świerkowy służy jej za szaty...

– Królowa, proszę państwa, kąpie nogi w Dunajcu!...

Dziwna obrazowość mowy! Lepiej nie opiszę, nie odmaluję Sokolicy jak tymi słowami górala.

Tak jest – królowa kąpie nogi w Dunajcu, a na tę kąpiel patrzą nieba szafiry, skały sąsiednie, zazdroszcząc królowej majestatu, i nasze łodzie z wolna płynące, by dokładniej przypatrzeć się wdziękom władczyni Pionin.

Jak sama nazwa wskazuje, na szczycie góry gnieźdzą się sokoły, a chociaż trudno przypuścić, by na wierzch góry mógł się kto dostać krom¹⁶⁴ ptaka, nie zbywa na śmiałkach pomiędzy góralami, którzy włączają na tysiącstopową skałę dlatego tylko, by mierzyć się z niepodobieństwem... Szczególny lud!

¹⁶² *Sokolica* – szczyt w północno-wschodniej części Pienin Środkowych, w tzw. Pieninkach, na obszarze Pienińskiego Parku Narodowego.

¹⁶³ *Rekrutacja* – pobór do wojska.

¹⁶⁴ *Krom* – oprócz.

Czerwona Skałka, Leśny Potok¹⁶⁵. Ten ostatni wypływa ze źródła znajdującego się na szczycie Góry Świętej Kunegundy – najwyższej w Pioninach, bo liczącej 3096 stóp wysokości. Uważałem, że na widok Góry Świętej Kunegundy, na której są jeszcze szczątki zamkowego muru, górale odkryli głowy przez cześć dla świętej gór patronki.

O zbójcach wiele opowieści pomiędzy góralami! A zbójnictwo nie jest tu uważanym nawet za rzecz zdrożną – owszem, za przymiot, bo tym góral składa dowody, że jest rzeczywistym zuchem, rycerzem! Sama nazwa spieszczona z b ó j - n i c e k dowodzi miłości górali dla zuchów oddających się pełnemu niebezpieczeństw zawodowi, a wielu dziś jeszcze nie robi tajemnicy ze swego zbójnictwa w młodszych *leciech*¹⁶⁶.

Źródła zbójnictwa trzeba szukać w rzeczywistej rycerskości ludu. Wszak górale to potomkowie w prostej linii osadników, których rzemiosłem była wojna. Mnogie zamki nad Dunajcem i Popradem¹⁶⁷ były zamieszkane przez rycerzy, pod których przewodem najczęściej górale brali okup z podróżnych, robili bliższe i dalsze wycieczki¹⁶⁸. Mieszkańcy gór nieurodzajnych z zapatrywaniem się swojego wieku do dziś przetrwali w wierze, że oddając się zajęciu przodków, w niczym nie uchybiają przepisom religii i społecznej moralności. Jak dawny rycerz za złupione skarby robił Bogu miłe ofiary i nimi wkupował się w niebo, tak też i zbójnik modli się gorąco, daje na mszę i ani wątpi, że niczym nie zagroził sobie drogi do zbawienia! Że zbójnictwo nie nosiło charakteru powszedniej zbrodni, za dowód służy jeszcze Napierski!¹⁶⁹

Zajęcie odziedziczone po przodkach, potrzeba swobody i życia wśród ciągłych niebezpieczeństw i narażeń się – to podtrzymywało, a i dziś jeszcze utrzymuje zbójnictwo w górach, które w rzadkich wypadkach tylko jest prostym morderstwem obliczonym na zyski. Patrzmy tylko: tu odarto podróżnych, lecz byli to nielubieni N i e m c y lub Ż y d z i, a przy tym rozprawiono się honorowo: strzały

¹⁶⁵ *Leśny Potok* – prawy dopływ Dunajca uchodzący do niego w końcowej części pienińskiego przełomu tej rzeki.

¹⁶⁶ *Latach*.

¹⁶⁷ *Poprad* – rzeka we wschodniej Słowacji i w południowo-wschodniej Polsce, w dorzeczu Wisły.

¹⁶⁸ *Wycieczka* – wyprawa wojenna.

¹⁶⁹ *Napierski* – Aleksander Kostka-Napierski (1617–1651), oficer wojsk koronnych, przywódca powstania chłopskiego na Podhalu w 1651 roku.

na strzały, na noże noże! Zbójnik nie żałował własnej głowy! Tu zamordowano znanego lichwiarza i oszusta, tam zły urzędnik padł ofiarą zemsty, indziej ukarano zdrajcę... Wszędzie dopatrzeć możemy, bodaj rysu, który z zabójstwa ściera charakter pospolitej zbrodni.

Jak dalece zbójnictwo, leżąc w charakterze, jest nieuniknioną potrzebą, przekonywa między innymi żyjąca w ustach ludu opowieść, że znalazł się góral, którego przez całe życie nie był zbójnikiem, ale też całe życie dręczyło go sumienie... Tak dalece był pewnym, że za grzech swój zbawionym nie zostanie, iż zachorowawszy śmiertelnie, wstał z pościeli i dowłókłszy się ze strzelbą na gościniec, strzelił do podróznego i umarł za chwilę, dziękując Bogu, że mu dał siły spełnić *p o w i n n o ś ć*!

Przyznać należy, że tego rodzaju pojmowanie zbójnictwa nie może odstręczać od górali... Owszem – w tych zbójcach jest coś pociągającego... Domyślasz się, że są w tym ludzie szlachetniejsze uczucia, które na właściwą skierowane drodze ze zbójców mogą zrobić bohaterów, jak dziś robią z nich – poetów życia.

Jaką miłością otacza góral zbójnictwo i śmiałych zuchów. *J a n o s e k*¹⁷⁰, najślawniejszy ze zbójników, jest czczonym przez górali. Tego króla gór, swego ulubieńca, fantazja ludu stroi w piękności ciała, siłę niezwykłą, w nadprzyrodzone moce i potęgę. Janosek jest ideałem górala. O nim słyszy z ust piastunki, o nim marzy wyrostkiem: mąż – chciałby mu być podobnym, starzec – ze czcią wspomina imię bohatera... A przecież w naszej prozie życiowej tego samego Janoszka po prostu nazywamy zbójcą, szubiennikiem!¹⁷¹ Jeżeli miarą wartości człowieka jest dobre o nim przekonanie ludzi, ta miłość, jaką ma u nich, to zaprawdę chętniej z ludem oddam Janoszkowi pochwałę, aniżeli z wielkimi cisnę nań kamieniem potępienia!

Pokazują w Pioninach miejsce, w którym miał przeskoczyć Dunajec ścigany Janoszek. Skała od skały odległa jest na kilka sążni. Potrzeba było albo nadludzkiej zręczności albo, co prawdziwsze, wiary ludu w nadprzyrodzoną potęgę zbójnika, dla którego nie mogło być niepodobieństwa.

*Golica*¹⁷² inne wspomnienie przechowuje o zbójnikach. Gnani przez silny oddział wojska, któremu czoła stawić nie mogli, ratując się, zapalili zbójcy las za sobą. Musiała to być nie lada forteca z płomieni, bo dziś jeszcze z grozą wspomi-

¹⁷⁰ *Janosek* – Juraj Jánošík (1688–1713), karpacki zbójnik, słowacki bohater narodowy.

¹⁷¹ *Szubiennik* – szubienicznik, łotr, kłamca.

¹⁷² *Golica* – szczyt w Grupie Golicy w słowackiej części Pienin.

na lud o pożarze lasu, całą winę złego oczywiście nie zbójcom przypisując, lecz wojsku austriackiemu!... Przerazającej nagości skały, z bokami oczernionymi, dziwnie odbijają od zieloności gór sąsiednich!

Wycieczka do Pionin, rozmaite dając wrażenia, zapisuje jeszcze wspomnienie faktu, na który nie wiadomo jak się zapatrywać! Wody Dunajca, jak wiemy, są niezmiernie rwące. Pływanie łodzią nie jest bezpiecznym..., a cóż pomyśli przedsiębiorcy wycieczkę, gdy ujrzy dzieciaki, najczęściej dziewczęta, wchodzące do rzeki dla powitania łodzi płynących?... Powitanie ogranicza się na zatknięciu chustki u żerdzi, a podzięką, raczej nagrodą za narażenie się, jest centów kilka rzuconych litosną ręką gości, którzy zwykle widzą w tym narażaniu się wymowne słowa ubóstwa, a – co częściej – jest żebraniną gęsto spotykającą się w górach.

Wziąwszy się za ręce, malcy łańcuchem zbliżają się do łodzi, walcząc z wodą, która kołysze nimi, zwija w przeraźliwie krzyczącą girlandę, niekiedy obala... A wszystko za parę centów, które zwykle są jeszcze przyczyną kłótni, krwawej bójki, gdy nierówność podziału ma miejsce, a nigdy się bez niej obejść nie może..., bo górale zdają się wierzyć w maksymę: *beatus qui tenet!*¹⁷³

W miejscach mniej szerokich witający urządzają bramę z chustek lub z długiej girlandy kwiatów utrzymywanej na żerdziach, pod którą łodzie przepływają, opłacając się witającym. Na brzegach niekiedy góralczyki, ujrawszy łódź, pokazują łamane sztuki: kozły, koła, skoki, wyginania – jak w cyrku! Tylko że nie na miękkim piasku, ale na bardzo twardych a ruchomych kamieniach rzecznych!... Ostatni skok domorośłego gimnastyka jest skokiem do wody – i masz go przy łodzi!

Zadziwiło mię, że nasz przewodnik, szybko łódź wypuściwszy, oddalił się od reszty flotylli tak, że o jakie kilkadziesiąt sążni wyprzedziliśmy towarzystwo, przebywszy mimochodem trzy spore katarakty, które warcząc, wślaczały nas w wir kipiący, daleko odrzucając na spokojniejszą wodę... Pokazało się jednak, że to była niespodzianka ze strony Salomona. Stanąwszy w oddali, przypatrywaliśmy się rzeczywiście pięknemu widokowi, gdy łodzie kolejno przebywały katarakty, z szumem wody przynosząc do nas okrzyki górali i całe krzyki gości przerażonych niebezpieczeństwem przeprawy. Góralów gniewa lęk płynących: zapewniają, że nic złego stać się nie może..., a jednocześnie z całą naiwnością mówią ci: „Tu, w tym miejscu, zatoneła łódź... O tę skałę roztrza-

¹⁷³ *Szczęśliwy, kto posiada.*

skane poszły na dno trzy łodzie z sześciu ludźmi... Ten zakręt, ten schód¹⁷⁴ i inny – dały śmierć podróżnym!”...

Niezwykłe wrażenie sprawiają na podróżnych strzały moździerzowe, w niektórych miejscach odbijające się od skał siedmiokrotnym echem. Tylko w Wieliczce¹⁷⁵ jeszcze w jednej z grot spotkałem coś podobnego. Tu i tam, zdaje się przy wystrzale, jakby świat cały runął w przepaść bezdenną!...

Po wielkim wstrząśnieniu nastąpiła cisza uroczą, gdyśmy się z wolna zbliżali do Studzienek.

U podnóża skały kryształem wytryska źródło wody, podług górali mającej niezwykle własności. Z tego źródła piła wodę Janoszek i ona dała mu siłę nadludzką. Z tego źródła piła święta Kunegunda i żyła lat tysiące... Z tego źródła wreszcie musi się napić każdy, kto chce, by go złe mocy nie napastowały w górach, a natomiast by weszły doń siły dobre... Sumę jednak zalet Studzienki stanowi długie życie, które daje woda... Każdy kubek wody wypitej daje sto lat życia – nie więcej! Ale i tego dość, by goście ze Szczawnicy i z całego świata oblegli studzienkę, gdy się dowiedzą o jej własnościach – bo żyć chcą ludzie!... Piliśmy więc wodę życiodajną, a nawet całe towarzystwo wysiadło na brzeg. Poeta swoim zwyczajem improwizował – tym razem na zadany temat: do dzbanka z wodą i góralki, która doń była podobną... Podobno z zadowoleniem słuchaczy wywiązał się z zadania poeta, bo usłyszałem oklaski, gdy się zbliżył do siedzącej opodal panny Emilii – niezwykle zadumanej.

– Czy po utracie obrączki? – zapytałem.

Spojrzała na mnie tęsknym okiem i zamiast odpowiedzi rzuciła zagadkowe pytanie:

– Czy możesz mi wskazać moją przyszłość, autorze?

Oczywiście – nie mogłem.

– Otóż to mię smuci. Zawijałam do portu... Jakiego? Któż pyta? A teraz znów jestem na otwartym morzu...

– Niedługo będziesz pani samotną – pocieszyłem.

– Gdyby! – rzekła z westchnieniem. – Dlaczegoś pan Leśnę uczynił nieszczęśliwą?... – zapytała po chwili i – Jestem śmieszna – dodała, powstając.

¹⁷⁴ *Schód* – kamieniste przeszkody, idące z góry ku dnu.

¹⁷⁵ *Wieliczka* – osada górnicza powstała w XI wieku, z warzelnią i kopalnią soli.

U Studzienki zastał nas mrok wieczorny. Na świecie był jeszcze dzień: tu góry okryły nas cieniem, a chłód dawał znać o zbliżaniu się nocy.

Kto inny podał szal Emilii, z innymi usiadła do łodzi. Słyszałem jej śmiech wesoły, srebrny głos wydobywający się z szumu fal – i było mi smutno!... Pioniny straciły urok dawniejszy. Mrok wieczoru okapturzył je mgłami, że wyglądały jak duchy. Rozniecone po górach ognie pastusze, większej grozy dodawały szarym widmom...

Kołysany chwianiem się łodzi, opowieściami górala i własną myślą, nie zwróciłem nawet uwagi na przedmiot wielce interesujący. Góral pokazywał mi dolinę, w której rosną jeszcze cisy, jedyne w Polsce.

Z ostygnięciem powierzchni ziemi – potrzebujące wysokiej temperatury olbrzymie cisy – znikły, znajdując się jeszcze na pół skamieniałe w przepaściach lub odrodzone w karłowatych swych potomkach dzisiejszych. Mówił mi jeszcze mój przewodnik o zbójcach, o dawnych królach i panach, o duchach i skarbach... ale roztargniony roniłem perły przeszłości i rodzimej poezji... Wiatr wiał mi do uszu ucinane słowa płynących na przedzie, a pomiędzy innymi rozróżniałem srebrny głos... niedobrej mojej towarzyszki.

Ognie sztuczne, bramy triumfalne, hałas i wrzaski góralczyków u przystani, głosy woźniców, powitania, śmiechy... – wszystko to mię drażniło... Napółgniewny wsiałem do wozu..., a gdym się znalazł na „Miodziusiu” i miał już wchodzić do pomieszkania, usłyszałem dźwięczne:

– Dobranoc!

Przy świetle latarni ujrzałem twarz Emilii.

– Dobranoc! – I wszedłem do mego pokoju.

Otóż jestem samotny, z mymi myślami, z wrażeniem odniesionym z wycieczki i z rękopisem zaczęłym...

A łaskawy czytelnik, jeśli dotrwał w dawniejszej pozycji i wygodnie wróciwszy z wycieczki do Pionin, zapatrzył się w jeden punkt pokoju, myśląc i nie myśląc..., niech się tak ułoży do snu błęgiego, jakbym ja chciał to uczynić!...

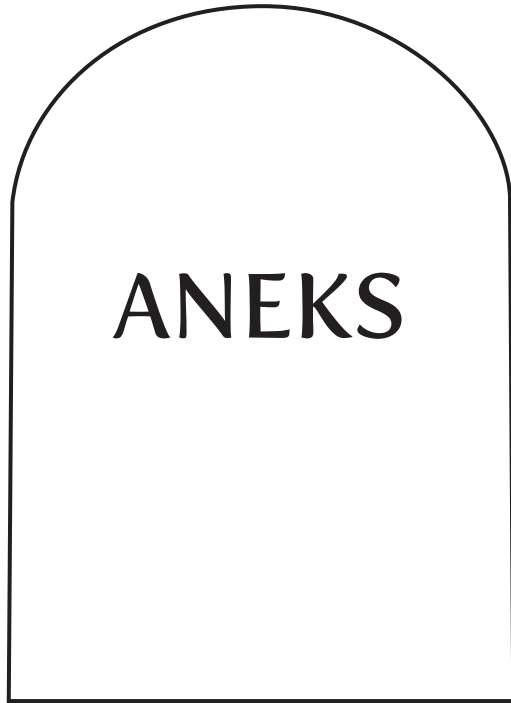
– A Emilia? – może zapytają ciekawsi.

Ach, Emilia!... Czytelniku! Wszystko się kończy... i marzenia znajdują swój

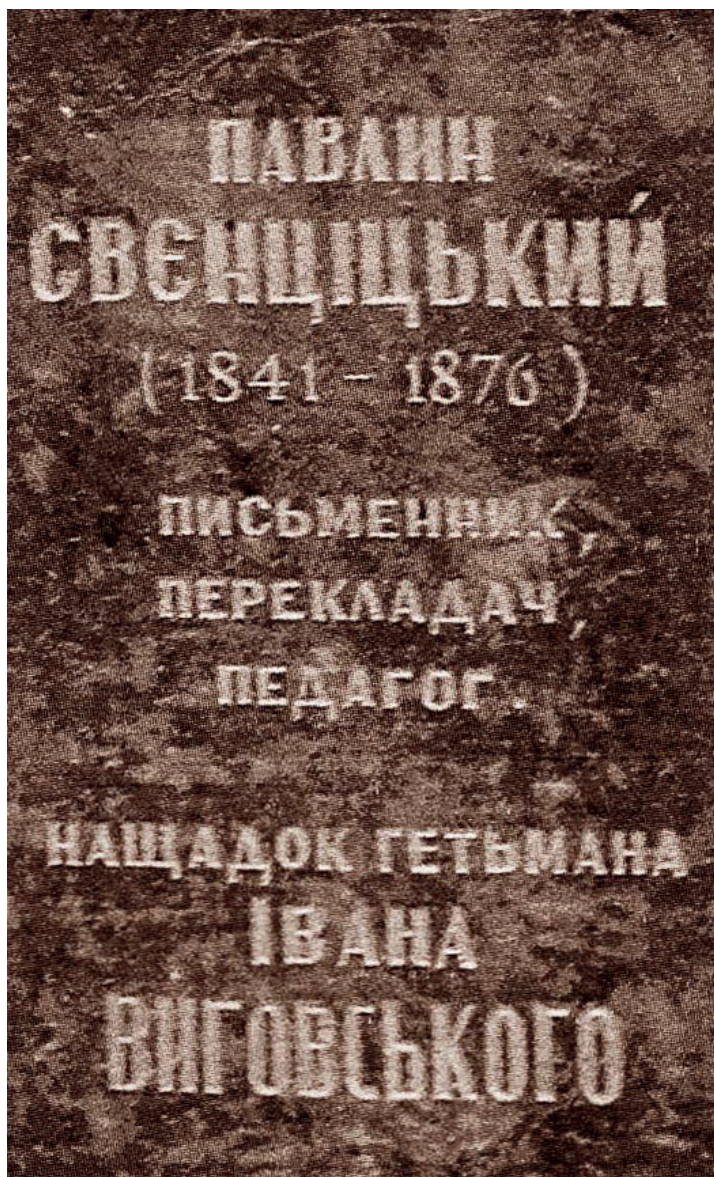
KONIEC



Szczawnica. Przejazdka po Dunajcu w Pieninach
(Michał Zieleniewski, *Ilustrowany przewodnik w podróży po Szczawnicy*, Kraków 1869, s. 15)



ANEKS



Tablica nagrobna na grobie Paulina Świącickiego
na cmentarzu we Lwowie

MOWA NA POGRZEBIE ŚP. PAULINA ŚWIĘCICKIEGO

miana¹ dnia 14 września 1876 na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie
przez Jana Grzegorzewskiego

*I młodzi liła swoi
Ja skorotaw na czużyni².*

Nie czynów rozgłośnych sława, nie w tłumach wieszczące imię sprowadza was tu, żałobni goście! Stoicie przed cichym grobem samotnego pisarza. Tam, za murami tego przybytku żałoby, słyhać gwar życia z całą jego radością i smutkiem, szalem i boleścią. To uczta żyjących, rozpołowiona śmiechem i łzami, to gody, do których każdy przystąpić musi, lecz nie każdy w szacie weselnej. Spoczywający tu przed nami brat nasz po duchu i słowie świętej pamięci Paulin Święcicki nie do weselnych należał godowników³. Widzę na twarzach waszych smutek nieklamany, a w sercach żal szczery, bo wy wiecie, że ta myśl, co zagasła, nie sobą tylko żyła, a to serce, co bić przestało, nie dla siebie tylko biło.

Żywot osobisty literata to dla świata nić niewidoma do ujęcia. Nie czyny zewnętrzne stanowią treść jego, lecz świat ducha nieuchwytny, zamknięty dla obcych. Życiem literata – życie myśli, a światem – świat idei. Tyle tylko ludzie o nim się dowiadują, ile on sam chce lub może, a stąd czerpana wiadomość jakże daleką jest od rzeczywistości. Gdy bowiem jeden daje światu zewnętrznemu to tylko, co z przemijających co chwila przyjmuje wrażeń, drugi za ledwo małą częśćkę udziela z tego, co stanowi dlań istotę całego wewnętrznego żywota. Obadwaj niosą w darze światu myśl i uczucie, niosą to z rozkoszą będącą potrzebą duszy, ale gdy dla jednego rozkosz ta jest prostą wymianą wrażeń, dla drugiego – bolesnym pozbyciem się najszlachetniejszej własności, utratą części życia.

¹ *Miana* – od *mieć*: wygłoszona.

² *I młode lata swoje*

Roztrwonilem ja na obczyźnie.

³ *Godownik* – biesiadnik, weselnik.

Paulin Świącicki urodził się w roku 1841 w Worszycy na Ukrainie. Nauki gimnazjalne pobierał w Kamieńcu Podolskim, skąd wspomnienia i obrazki o tamtejszej hulaszczey, lecz pełnej zapału młodzieży szkolnej odszkicował później z takim humorem w powieści pod nazwą *Trójka*. Studia uniwersyteckie odbywał w Kijowie na tamtejszej wszechnicy⁴ św. Włodzimierza. W braku odpowiednich dla życia publicznego organów ówczesna młodzież tego uniwersytetu poczuła całą ważność obowiązku, jaki na niej ciążył, i z całym zapałem dusz młodych pracowała nad programem przyszłości. Świącicki stał w pierwszym szeregu i należał do przodowników tej młodzieży. Gorącą przejęty miłością dla macierzy ukraińskiej i ludu ukraińskiego zajął umysł swój pracą nad rozwiązaniem sprawy ruskiej i wyjaśnieniem stosunku jej do Polski. Przede wszystkim uwłaszczyć lud i przez wolność pomóc mu do wyrobienia świadomości, mogącej rozstrzygnąć o dalszych losach tegoż – to była podówczas przewodnia myśl prac jego. Nieudała próba ze Złotymi hramotami⁵ i napad w Sołowiówce⁶, nareszcie całe zachowanie się ludu ukraińskiego w powstaniu polskim 1863 roku boleśnie zraniły serce Paulina, ale w niczym nie zmieniły ani jego przekonań, ani uczuć dla tegoż ludu. Owszem – z tym mocniejszym postanowieniem rzucił się do pracy długiej, mozolnej i na całe lata obrachowanej, pracy spokojnej, organicznej, która miała uzupełnić pierwotny program i w końcu zaprowadzić do celu.

Nie udał się przeto na emigrację na Zachód, lecz przybył do Galicji i stałe osiadł we Lwowie, chciał bowiem między pracą swoją a narodem, któremu ją poświęcał, zachować żywy, nieustający łącznik, mogący go utrzymywać w ciągłej świadomości potrzeb narodowych. Nim jednak przystąpił do urzeczywistniania programu ukraińskiego, dla którego uzupełnienia i rozwinięcia potrzeba było czasu, postanowił sobie tą lub ową drogą wywalczyć stanowisko jednocześnie w literaturze polskiej i ukraińskiej. Chcąc bowiem, aby obie strony dały później posłuch jego słowom, wiedział, iż po za nimi potrzeba powagi i pewnego rodzaju autorytetu, który by uprawniał do wydawania sądu w sprawach narodowych.

⁴ *Wszechnica* – szkoła wyższa.

⁵ *Złota Hramota* – dekret uwłaszczeniowy zredagowany pod koniec marca 1863 roku przez Komitet Centralny Narodowy Rządu Narodowego skierowany do chłopów ukraińskich mający na celu pozyskać ich przychylnosc do walki z Imperium Rosyjskim.

⁶ *Sołowiówka* – wieś na Ukrainie w obwodzie żytomierskim, w której studenci Uniwersytetu Kijowskiego, proklamujący Złotą Hramotę, zostali zabici przez jej mieszkańców, podburzonych przez carskiego urzędnika sądowego.

Dla zdobycia to imienia korzystał ze swego talentu i zaczął od powieści i poezji, w ogóle od beletrystyki, bo tą drogą spodziewał się najłatwiej⁷ znaleźć uznanie w masach, a dopiero z dyplomem ich popularności przemawiać do sfer trudniej się decydujących w publicznych sprawach znaczenia narodowego.

Z polskich powieści wydał: *Trójka*, *Przed laty*, *Moskal*, *Sotłowiówka*, *Opowieści stepowe*, *Wycieczka do Pionin*, *Grajcarek* i wiele pomniejszych obrazków. Wszystkie prawie nacechowane były tym tęsknym humorem ukraińskim, co to śmiech przez łzy przebija. Wszystkie też odznaczają się szlachetną czystością języka, bujną fantazją, tudzież jedrnością, a zarazem kwiecistością stylu, to jest zaletami, których pisarz polski łatwiej zdobywa przez bliższe i głębsze zaznajomienie się z mową ukraińską*.

Na powieściach tych podpisywał się pseudonimem Stachurskiego. Niektóre z nich jednocześnie pisał po ukraińsku albo po prostu tłumaczył na ten język i wówczas podpisywał je pseudonimem Łozowskiego. Z tego powodu trudno byłoby orzec, które powieści oryginalnie pisane były w polskim, a które w ukraińskim języku. Jedne ustępy tej samej powieści pisał po polsku, inne po ukraińsku, a następnie tłumaczył z jednego na drugi. Gdy następnie kilka pomniejszych powieści i rozpraw naukowych wydał tylko w języku ukraińskim, postanowił przystąpić bliżej do wypełnienia swego programu: miał to, czego pragnął, imię i stanowisko w obu literaturach. Czasopismo „Sioło”⁸ miało się stać organem prac jego, redagowano więc je z inicjatywy jego w obu językach: jedne prace były drukowane tam w języku polskim, inne znów w języku ukraińskim, a zadaniem pisma zbliżyć i porozumiewać obie narodowości na podstawie dziejów, tudzież obecnych potrzeb społeczno-politycznych. Ta współrzędność prac odbywała się i trwała ciągle, chociaż w formie zmienionej. I tak pisywał do ruskiej „Nywy”⁹, a wkrótce potem redagował polskie czasopismo „Nowiny”¹⁰ (od 1867 do 1869).

⁷ *Najłatniej* – najłatwiej.

* Świącicki przetłumaczył na język polski bardzo wiele utworów tych pisarzy ukraińskich, którzy pisali w języku moskiewskim, między innymi wszystkie pomniejsze powieści Hohola [Gogola – przyp. Red.]. Tych i wiele innych przekładów dokonywał nawspół z panem Janem Grzegorzewskim [(1850–1922) – polski krajoznawca, etnograf, slawista, orientalista – przyp. Red.], o czym mówca nie wspominał (Przyp. Redakcji „Gazety Narodowej”).

⁸ „Sioło” – miesięcznik założony i prowadzony przez Paulina Świącickiego w latach 1864–1867.

⁹ „Nywa” – czasopismo naukowo-literackie, wydawane we Lwowie w 1863 roku.

¹⁰ „Nowiny” – czasopismo ukazujące się we Lwowie w latach 1854–1856.

Organizacja stronnictwa ukraińskiego za jego żywym współudziałem zaczęła przybierać formy wyraźniejsze i dążenia coraz jaśniej wypowiedane. Obok prac skierowanych ku oświacie ludu – któremu to zadaniu poświęciło się głównie towarzystwo „Proświta”¹¹, i usiłowań przeprowadzenia programu politycznego dla Ukraińców galicyjskich, nad czym znów pracował wraz z innymi śp. Ławrowski¹² – z wolna postępową myśl jawnego wypowiedzenia zasady ukrainizmu jako zasady narodowej dla piętnastu milionów ludzi.

Święcicki chciał, aby się to stało dogmatem wiary politycznej dla Polaków, aby wyraźnie i otwarcie przyznali w zasadzie odrębność narodowy Ukraińców tak od Moskali, jak od Polaków. Praktyczne załatwienie sprawy równouprawnienia obu narodowości, zwłaszcza używanie języka w instytucjach publicznych w Galicji, pozostawiał politykom. Jemu szło o zasadę, która by została wypowiedziana dla ludzi od Donu do Sanu, od Czarnego Morza do Nowogrodu Wielkiego¹³. Tym, którzy znajdowali to sprzecznym z tradycjami i prawami Polski historycznej, odpowiadał, że w program polityczny nie wdaje się, że unia narodowa musi być świadomą, a świadomość ta wówczas będzie tylko, jeśli lud ukraiński poczuje, że jest narodem. Takie tłumaczenie znalazło wielu niechętnych między Polakami tego stronnictwa, które nie uznaje narodowości, ruskiej. Pogląd ten swój wypowiedział Święcicki w publicznym odczycie, który następnie wyszedł w osobnej broszurze pt. *Dził literatury ukraińskiej w XIX wieku*¹⁴. Maleńka ta broszura, zawierająca zaledwo arkusz druku, stanowić będzie epokę w piśmiennictwie ukraińskim pod względem zalet języka. Jak powieści Marka Wowczka¹⁵ stały się wzorem niedoścignionym w literaturze nadobnej, tak samo w literaturze poważnej, naukowej, filozoficznej będzie wzorem ta właśnie broszura. Okazał się w niej autor tak potężnym znawcą filozofii języka ukraińskiego, a to zarówno pod względem odtwarzania wyrazów w duchu i właściwościach tegoż języka, jako też przypomnienia wyrażeń dawno zapomnianych i zagrzebanych w przeszłości, a jednak w całej pełni uprawnionych do bytu, że utwór jego musi być uważany za drogowskaz dla tych wszystkich

¹¹ „Proświta” – ukraińska organizacja społeczno-oświatowa, założona we Lwowie w 1868 roku.

¹² Ławrowski – Julian Ławrowski (1821–1873), ukraiński działacz polityczny, poseł i wice-marszałek sejmu galicyjskiego.

¹³ Nowogród Wielki – miasto w północno-zachodniej Rosji nad rzeką Wołchow.

¹⁴ *Dzieje literatury ukraińskiej w XIX wieku*.

¹⁵ Marko Wowczok – właśc. Marija Ołeksandriwna Wilinska (1833–1907), przedstawicielka szkoły realistycznej w prozie ukraińskiej drugiej połowy XIX wieku.

Ukraińców, którzy chcą pracować nad wykształceniem i rozwinięciem swego języka. Kwiecistość zaś i męskość stylu użytego tam oczarować może ludzi nawet niezdolnych do zachwyty. Broszura ta, jak zrozumieć łatwo, ściągnęła na autora gromy jowiszowe niechętnych.

Wcześniej przed tym wyszła praca jego zdradzająca niepospolitą znajomość języków słowiańskich w ogóle, a starobułgarskiego, czyli tak zwanego cerkiewnego, w szczególności. Były to Uwagi nad tłumaczeniem *Nestora*, dokonane przez A. Bielowskiego¹⁶. Przebija się w niej głębokie wczytanie się w kroniki ruskie i zrozumienie ducha dziejowej przeszłości Rusi. Ówczesny namiestnik śp. Agenor Gołuchowski¹⁷ umiał ocenić głęboką znajomość języka ruskiego, którą posiadał Świąteczki, a wiedząc, jak dalece człowiek taki może być pożytecznym wobec szerzonego przez redakcję „Słowa”¹⁸ zepsucia i kaleczenia mowy ruskiej, dał mu obywatelstwo austriackie i ułatwił pozyskanie suplentury¹⁹ w gimnazjum akademickim. Na tej posadzie Świąteczki żywym słowem zaszczeniał w umysłach młodzieży to, co dla szerszej publiczności podawał w pismach.

Profesor języka i literatury ruskiej był wierny autorowi rozpraw i powieści. Praca nad językiem była najdoskonalszym wyrazem tego programu, jaki postawił sobie Świąteczki. Pierwszym i najważniejszym czynnikiem narodowości jest język. Jeśli Rusini chcą i potrzebują, aby ich językowi przyznano prawa narodowe, powinni przekonać, że on nie tylko ma warunki ku temu i zdolność do wyrażania najsztubtelniejszych pojęć literackich, naukowych, społecznych i politycznych, ale oraz że posiada dzieła w tych gałęziach. Aby uczynić zadość temu, jako też aby się przekonać samemu o takowej zdolności języka ukraińskiego, Świąteczki próbował pisać oryginalnie i tłumaczyć celniejsze utwory z różnych gałęzi literatury i nauk ścisłych. Tak powstał przekład *Hamleta* zamieszczony w ruskim czasopiśmie „Nywa”, którego on był gorliwym współpracownikiem,

¹⁶ *August Bielowski* – pseud. Jan Płaza (1806–1876), polski historyk, sławista, pisarz, dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.

¹⁷ *Agenor Gołuchowski* – Agenor Romuald Onufry Gołuchowski herbu Leliwa (1849–1921), galicyjski hrabia, austriacki polityk konserwatywny, minister spraw wewnętrznych Austrii w latach 1859–1861, namiestnik Galicji w latach 1849–1859.

¹⁸ „*Słowo*” – czasopismo społeczno-polityczne i literackie, wydawane w latach 1861–1887 we Lwowie.

¹⁹ *Suplentura* – posada zastępcy etatowego nauczyciela w szkołach średnich w Galicji.

około roku 1865, tak też powstały różne drobne prace w „Czytalni”²⁰, którą redagował wspólnie z Klimkowiczem²¹, i w „Weczernyciach”²², gdzie zamieszczał śliczne *Bajki*²³ (podpisywane pseudonimem Pawło Swij), wyszłe później w osobnej odbitce. Dopóki taka próba nie została przeprowadzona wszechstronnie, Świącicki zdawał się być przeciwny temu, ażeby od razu i w zupełności wprowadzić język ruski do naukowych zakładów i urzędów, co mu znów za złe brało wielu ze stronnictwa ukraińskiego Rusinów. Rozgoryczony bywał tym, że przez te lub owe jednostki nie był rozumiany i w owej to chwili niezawodnie wrywał mu się z ust ów dwuwiersz: „*I mołodi lita swoi ja skorotaw na czużyni*”, bo zdawało mu się, że jest jakby na obczyźnie. W pracy naukowej szukał ulgi. Wówczas to wydał pracę pod tytułem *Odmiana zaimków*²⁴, dość oryginalną i samodzielną w poglądach, a dla której wykonania uczył się przez lat dwa anatomii i fizjologii ciała ludzkiego.

Przez dłuższy czas marzył o tym, ażeby zostać profesorem narzeczy słowiańskich na wszechnicy lwowskiej, chciał bowiem z katedry uniwersyteckiej w imię i z powagą nauki przeprowadzać obronę odrębności języka ukraińskiego, której z taką natarczywością zaprzeczają Moskale, ogłaszając go za narzecze języka moskiewskiego. Dla ziszczenia tego zamiaru potrzeba było dyplomu naukowego dla osoby jego i stworzenia katedry dla uniwersytetu. W pierwszym celu za poradą uczonych zagrzebskich, z którymi utrzymywał ciągłe stosunki naukowe, udał się do Wiednia do Miklosicza²⁵ i tam, przez pewien czas słuchając wykładów tej pierwszorzędnej potęgi w świecie językoznawstwa porównawczego i filologii słowiańskiej, otrzymał od niego chlubne świadectwo, stwierdzające znajomość narzeczy słowiańskich. Główny jednak cel nie został osiągnięty – ministerium oświecenia²⁶ nie uważało za stosowne zakładać drugą tego rodzaju katedrę w Galicji, gdy już jedna istnieje w Krakowie.

²⁰ *Czytalnia* – Czytalnia Akademicka, polskie studenckie towarzystwo naukowe, działające we Lwowie w latach 1867–1939.

²¹ *Klimkowicz* – Ksenofont Kłymkowicz (1835–1881), ukraiński publicysta, redaktor lwowskiego czasopisma „Meta”.

²² „*Weczernyci*” – ukraińskie czasopismo literackie, wydawane we Lwowie w latach 1862–1863.

²³ *Байки вѣ науку молодымъ и старымъ* (Lwów 1891).

²⁴ *Odmiana zaimków. Rzecz językowo-porównawcza* (Lwów 1871).

²⁵ *Miklosicz* – Franc Miklošič (1813–1891), słoweński językoznawca i sławista.

²⁶ *Ministerium oświecenia* – ministerstwo oświaty.

Przed trzema laty przeniósł się z gimnazjum akademickiego na suplenturę do wyższej szkoły realnej i oddał się dramaturgii. Zamierzywszy stworzyć cały cykl dramatów osnutych na tle dziejów Rusi, napisał trzy, z których *Marta Posadnica*²⁷ była na konkursie krakowskim, *Świętosława Igorowicza*²⁸ zaleciła do grania komisja konkursowa warszawska, a trzeci, niewiadomego tytułu, przeznaczony został na konkurs do Poznania. W tej pracy śmierć go zaskoczyła.

Był to charakter w wysokim stopniu prawy i szlachetny, stały i wytrwały, skory do ofiar, uczynny dla innych i miłośnierny. Cnoty te wykonywał w prawdziwym znaczeniu ewangelicznym, tak aby lewa ręka nie wiedziała, co daje prawa. Chłubić się tym uważał za zdrożność, a że wysoko cenił dumę osobistą, stąd się wydawał dla wielu pysznym i niekiedy zrażał sobie ludzi chcących dopatrzeć w nim zarozumiałości. Jak każda natura ukraińska był zamknięty w sobie, uczuć swych nie mógł nigdy uzewnętrznić, ale z tym większym ogniem pałyły one w głębi serca jego. Z przykrościami i dolegliwościami nigdy się przed nikim zwierzać nie mógł, dlatego też że nie mógł znaleźć ulgi w zwierzeniu, tym snadniej²⁹ stawał się przedmiotem trawiącej gorączki. To usposobienie w połączeniu z pracą wielką przyprawiło go o chorobę piersiową i nareszcie o zgon przedwczesny. Do tego też się przyczyniło niepowodzenie materialne, zwłaszcza w pierwszych latach pobytu w Galicji, kiedy to dla zarobienia na kawałek chleba musiał odrywać się od prac literackich i szukać utrzymania w zawodzie aktorskim – najpierw w jednej z trup prowincjonalnych, a następnie w teatrze lwowskim pod dyrekcją Miłaszewskiego³⁰. Zabyłszy mu na chwilę lepsza dola i wówczas zapragnął szczęścia rodzinnego i znalazł je w ożenieniu. Nie była to jednak długa chwila, bo choroba piersiowa zaczęła coraz bardziej dolegać i wyrwała go z tego świata.

Spocznij tu, bracie nasz Paulinie! Spocznij, choć z dala od strzechy rodzinnej. Wiatr stepowy już nie obudzi twych marzeń do lotu, a smutnego czoła nie rozjaśni niebo Ukrainy. Tam, nad brzegami twej ulubionej *Śniwody*³¹, może by ci lżej było. Echo kołysanki, która wabiła do snu dziecięcego, przeniosłaby cię

²⁷ *Posadnica Marta* (Lwów 1884).

²⁸ *Świętosław Igorowicz, Igor, książę kijowski: dramat historyczny w pięciu aktach* (Lwów 1884).

²⁹ *Snadniej* – łatwiej.

³⁰ *Miłaszewski* – Adam Aleksander Miłaszewski (1827–1893), polski aktor teatralny, dyrektor teatrów prowincjonalnych w Galicji.

³¹ *Śniwoda* – rzeka na Ukrainie, lewy dopływ Bohu.

w one dnie błogie, kiedy życie samo było snem na kwiatach i snem złotym. Tyś wybiegał tęskną myślą po szerokiej Ukrainie, tyś ją tak ukochał, że w granicach jej okiem duszy objąłeś i tę piędź ziemi, na której teraz leżą twe zimne zwłoki. Więc jeśli nie można inaczej, to niechże tu cię otuli sen spokojny. Przeszedłeś przez życie twardo i z bólem, lecz prawdą i miłością. Z miłością też żegnamy cię dzisiaj po raz ostatni – oby ci choć teraz przynajmniej lekką była ta ziemia ojczysta.

Józef Tretiak

PAULIN ŚWIĘCICKI I JEGO NIEWYDANE DRAMATA

Mam opowiedzieć życie człowieka, które od kolebki do grobu było w całym znaczeniu tego słowa sierocym, życie człowieka, którego dusza trawiona była nieustannie gorączką szlachetnej pracy i rwała się ku wyżynom, spychana ciągle żelazną dłonią konieczności na poziom twardej pracy dla kawałka chleba. Człowiek ten w tej strasznej, choć ukrytej walce nie poddał się do końca: nędza mogła go zabić, ale nie zmusiła go do wyrzeczenia szlachetnych aspiracji.

Paulin Święcicki urodził się 1841 roku we wsi Worszycy¹ na Ukrainie. Ojciec Paulina był prywatnym oficjalistą². Wychowaniec bazylianów³ musiał być surowym ojcem, w pamięci bowiem Paulina przedstawiał się jako postać groźna, tym groźniejsza, im słodsza i łagodniejszą przedstawiała się obok ojca postać matki. Oprócz Paulina rodzice jego mieli jeszcze jednego syna i dwie córki. Zasoby majątkowe rodziny były bardzo szczupłe, a jeszcze więcej zeszczupłe musiały po śmierci ojca, który umarł pięć lat po urodzeniu się Paulina. Wcześniej już zaczęło się sieroctwo, ale żyła jeszcze matka, tak ukochana przez syna, której postać najczudniejszymi kolorami odbiła się w pamięci dziecka. Cóż kiedy i z tą matką los nie dał mu żyć długo? Chłopaka oddano na prywatną pensję, do niejakiego Pawłowskiego, gdzie dostał się pod rękę pedagoga starej daty, który wierzył w różgę i kułak jako najdzielniejsze dźwignie w wychowaniu i metodę swoją w przerażający dla dziecka sposób stosował do Paulina. Dziecko było tak zastraszone, że nie śmiało nawet poskarżyć się matce, gdy ta je odwiedzała.

¹ *Worszycyca (Warszycyca)* – wieś w obwodzie żytomierskim na Ukrainie.

² *Oficjalista* – dawn. osoba zarządzająca prywatnym majątkiem ziemskim.

³ *Bazylianianie* – katolicki zakon obrządku greckiego, żyjący według reguły zakonnej Bazylego Wielkiego.

W dziesiątym roku życia utracił Paulin matkę i sieroctwo było już zupełne. Znaleźli się jednak dobrzy ludzie, którzy się zajęli losem sierot. Mianowicie pani Orłowska z Jarmoliniec, staruszka, wzięła małego Paulina na wychowanie i wyprawiła go do szkół do Kamieńca Podolskiego. Życie szkolne daleko swobodniejsze i weselsze było dla Paulina od życia na pensji prywatnej. Wspomnienia z tych czasów żywymi barwami odzwierciedliły się w jednej z powieści Święcickiego (wydanej pod pseudonimem Stachurskiego) pod tytułem *Trójka*. Życie koleżeńskie ożywiło zmartwiałą pod srogim rządem Pawłowskiego duszyczkę dziecka, która wszystkimi porami wciągała teraz w siebie wesołą atmosferę koleżeńską, używała swobody, jak mogła i umiała, i lubowała się w psotach i figlach szkolnych.

Wkrótce i za tę wesołość trzeba było zapłacić. Oskarżono dziecko przed panią Orłowską, i Paulin utracił w niej opiekunkę. W czternastym roku życia, pozostawiony własnym siłom, musiał odtąd sam przebijać się przez życie, tocząc z nim walkę nieustanną, czasami bardzo trudną i smutną.

Minęła dawniejsza swoboda. Potrzeba było i samemu uczyć się, i drugim dawać korepetycje, aby zarobić na utrzymanie. Szczęściem nietrudno to było dla chłopaka, który miał miłość kolegów, co się i długo po czasach szkolnych przechowywała.

Ukończywszy studia gimnazjalne, pojechał Paulin do Kijowa i zapisał się na uniwersytet. Było to około roku 1860. Historia kijowskiego studenckiego życia w tych czasach zasługuje na obszerniejsze opracowanie, którego ktoś z dawniejszych akademików kijowskich powinien się podjąć. Tu podam tylko pokrótce charakterystykę tego życia, o ile ona w zyciorysie Święcickiego jest niezbędną. Otóż były to czasy, kiedy w młodzieży uniwersyteckiej wielki ruch zaczął się budzić. Potępiono dawniejszy tryb życia, jaki się był wytworzył pod pobłażliwym okiem generał-gubernatora i kuratora Bibikowa⁴, owe burdy, pijatyki i swawole, co były niejako echem bałagulszczyzny⁵ i tężyzny, a oddano się wyłącznie roztrząsaniu kwestii społecznych i narodowych. Nauka była na drugim, jeśli nie na dalszym planie, a to dla rozmaitych przyczyn – między innymi dla tego, że profesorowie nie umieli niczym do niej zachęcić i sami niezbyt wysoko w nauce stali, jako też

⁴ *Bibikow* – Dmitrij Bibikow (1788–1870), gubernator podolski i wołyński oraz gubernator wojenny kijowski; rusyfikador, kurator Okręgu Naukowego Kijowskiego; wprowadził w szkolnictwie porządku wojskowe.

⁵ *Bałagulszczyzna* – ruch polskiej młodzieży szlacheckiej na Wołyniu i Podolu w XIX i na początku XX wieku.

że młodzież nadto była gorącą, aby mogła smakować w systematycznej pracy naukowej. Chciała ona co prędzej zreformować społeczeństwo, sądząc, że dość do tego mieć dobre chęci, jakimi była ożywiona.

Przede wszystkim zwróciła oczy na niedolę i nędzę ludu i chciała wynagrodzić krzywdy, jakie mu się od wieków działy. Wszędzie, gdzie tylko głos jej dochodził, propagowała, że chłop jest człowiekiem, że potrzeba się z nim obchodzić jak z bratem, oświecać go i zrobić zeń obywatela. Dziś to są wszystko rzeczy oklepane, wtedy były nowością dla szlacheckiego społeczeństwa Rusi przeddnieprzańskiej i sprawiały ogromne wrażenie, bo wypowiedziane były z całą energią młodych serc i nieraz poparte czynem.

Demokracja młodzieży kijowskiej przybrała była szczególnie charakter wskutek tego, że się znalazła na ziemi ukraińskiej. Nie dość było uznać człowieka w chłopie – chodziło o to, aby uznać odrębność plemienną ukraińskiego ludu. Pod tym względem było mnóstwo odcieni w zdaniach. Niektóre z nich były owocem najbujniejszej fantazji młodzieńczej, a nawet dla najumiarkowańszych historycznym punktem wyjścia była ugoda hadziacka⁶.

Demokracja tedy i ukrainizm to były dwa główne prądy nurtujące podówczas w młodzieży kijowskiej. Oba one szerokim strumieniem padły na młodą i wrażliwą duszę Paulina i na wskroś ją przejęły; pozostał on im wierny aż do końca życia. Nie brał wprawdzie udziału w zaciętych, nieco hałaśliwych sporach, jakie się wywiązywały w kwestii ukraińskiej pomiędzy rozmaitymi stronnictwami w Kijowie, ale za to czynny był w inny, bardziej dodatni sposób. Wyuczył się wybornie języka ukraińskiego, tak że władał nim równie dobrze jak polskim, i nauczał nim w małej szkółce prywatnej, którą młodzież założyła własnymi siłami. Wydawał bezimiennie różne ulotne pisemka, czytane na posiedzeniach koleżeńskich. Studenci dzielili się wówczas na gminy prowincjonalne. Paulin, kochany i ceniony przez kolegów, zaszczycony był przez nich jednym z koleżeńskich urzędów w gminie podolskiej.

Paulin był na wydziale prawnym. Że pod względem naukowym nie odniósł należytej korzyści z uniwersytetu, nie było to jego wyłączną winą – było to powszechną klęską, o której przyczynach już wyżej napomknąłem.

⁶ *Ugoda hadziacka* – zawarta 16 września 1658 roku w Hadziaczu na Ukrainie między Rzeczpospolitą Obojga Narodów a kozackim wojskiem zaporoskim, reprezentowanym przez hetmana Iwana Wyhowskiego.

W roku 1863 opuścił strony rodzinne na zawsze i wyjechał do Galicji. Tu znalazł się znowu bez środków do życia. Chciał wyłącznie oddać się pracy literackiej, ale jeżeli dzisiaj ta praca u nas tylko wyjątkowo przynieść może kawałek najpowszedniejszego chleba, to przed piętnastu laty szaleństwem byłoby budować na niej swój byt materialny. Łaską to byłoby dla młodego i nieznanego autora, jeżeli utwory jego drukowano bezpłatnie, bo dawano mu sposobność do zyskania sławy... Atoli nadzieja sławy zagrzewała, ale nie karmiła. Potrzeba było jąć się czegoś, co choć lada jako, ale natychmiastowo mogła być podeprzeć. Nie wiele się namyślając, Świącicki wstąpił pod imieniem Sielskiego do wędrowniej trupy aktorów pana Stengla⁷ i grywał role bohaterów, kochanków, do których go warunki fizyczne, mianowicie dźwięczny głos, piękna twarz i kształtna postawa, szczególnie mogły polecać.

Nie był to jednak zawód odpowiadający pragnieniom Świącickiego, który też niebawem rozstał się z aktorstwem i osiedlił się we Lwowie, trudniąc się daniem lekcji i pracą literacką. Pierwszym drukowanym utworem Świącickiego była powieść *Przed laty*. Wychodziła ona w „Dzienniku Literackim”⁸ w 1865 roku. Świącicki wystąpił w niej pod pseudonimem Stachurskiego, który zachowywał aż do ostatnich prac swoich.

Ten pseudonim nie był pierwszym lepszym wymyślonym nazwiskiem, służącym do zakrycia prawdziwego: ukrywała się w nim cześć i miłość dla matki, która z domu była Stachurską. Powieść *Przed laty* jest jednym z najśłabszych utworów Świącickiego, zasługuje jednak na uwagę z tego względu, że w niej bardzo wyraźnie zarysował się już kierunek prawie całej późniejszej jego działalności literackiej. Kierunek ten można by nazwać ukraińsko-słowiańskim. W poezji najwybitniejszym i najznakomitszym jego przedstawicielem jest, jak wiadomo, Bohdan Zaleski⁹. W kierunku tym rozmiłowanie się w tle ukraińskim kojarzy się z tęsknotą do idealnego gminowładztwa słowiańskiego i z dość jawną niechęcią dla cywilizacji Zachodu. Bolejąc nad ubóstwem, ciemnotą i zależnością

⁷ *Stengel (Sztengel)* – Miłosz Emil Stengel (1844 – po roku 1897), aktor; stworzył w Stanisławowie najciekawszy polski teatr prowincjonalny.

⁸ „*Dziennik Literacki*” – tygodnik wydawany we Lwowie w latach 1852–1854 i 1856–1870.

⁹ *Bohdan Zaleski* – Józef Bohdan Zaleski (1802–1886), polski poeta okresu romantyzmu; wraz z Antonim Malczewskim i Sewerynem Goszczyńskim zaliczany jest do szkoły ukraińskiej polskiego romantyzmu.

ludu wiejskiego, wzdychał Świącicki do owych czasów, w których podług jego mniemania ten lud był niezależnym, samodzielnym i szczęśliwym.

Jednocześnie wydawał „Sioło” – periodyczne pismo kwartalne, które przeważnie zapełniał swoimi pracami pisanymi tak w języku polskim, jak w ukraińskim. Głównym zadaniem tego pisma było zaznajomienie Polaków i Rusinów halickich z literaturą ukraińską, a zarazem zbliżenie i zbratanie dwóch pierwiastków plemiennych, żywiących zadawnione ku sobie niechęci. Na tym polu położył Paulin Świącicki wielkie zasługi; nikt też w tym kierunku nie mógł działać skuteczniej od niego, który wybornie znał język ukraiński i władał nim lepiej niż ktokolwiek w całej Galicji. Prócz tego w tym samym duchu pisywał artykuły do ruskiej „Nywy”, wychodzącej podówczas we Lwowie. Działalność ta Świącickiego nie mała się przyczyniła do wytworzenia się wśród Rusinów halickich stronnictwa ukraińskiego.

W roku 1867 „Dziennik Literacki” drukował dwutomową powieść Świącickiego pt. *Trójka*. I tej powieści nie brak tendencji ukrainofilskiej, ale tendencyjność nie hamuje tu swobodnego i żywego opowiadania, jakim się szczególnie pierwszy tom odznacza. Opowiedziane tu są ze swobodnym humorem przygody i psoty szkolne trzech chłopaków, z których dwaj należą do szlacheckiego społeczeństwa, trzeci zaś, Pańko, postać bardzo oryginalna i szczęśliwie zarysowana, należy do ludu. *Trójka* przypomina powieści hiszpańskie w stylu *picaresco*¹⁰, tylko należy pamiętać, że Świącicki bynajmniej nie naśladował tego stylu, a oryginalnie go sobie wytworzył.

Po *Trójce* napisał jeszcze wiele innych powiastek i obrazków: *Wycieczka do Pionin*, *Krzyż mogilny*, *Opowieści stepowe* i inne. Opowieści przypominają manierę Czajkowskiego¹¹, pisane są tą prozą, co zdaje się naśladować rytm kopyt końskich galopujących w stepie. Toteż pod względem oryginalności i naturalności opowiadania stoją niżej od *Trójki*, którą można uważać za najlepszą powieść Świącickiego. Opowieści zanim wyszły osobno, drukowane były po większej części w literackim piśmie „Nowiny”, które Paulin Świącicki wydawał przez dwa lata: od 1868 do 1870 roku.

¹⁰ *Picaresco* – powieść łotrzykowska, romans awanturniczy, przedstawiający losy przebiegłego i pomysłowego włóczęgi-oszusta, jednocześnie ukazujący satyryczny obraz epoki.

¹¹ *Czajkowski* – Michał Czajkowski, vel Sadyk Pasza herbu Jastrzębiec (1804–1886), działacz niepodległościowy, pisarz i poeta zaliczany do „szkoły ukraińskiej” polskiego romantyzmu.

Wydawnictwo to nie powiodło się. Wszelkie usiłowania Świąćickiego, aby wyłącznie oddając się literaturze, wydobyć z niej zarobek wystarczający choćby na najskromniejsze utrzymanie – wszystkie tego rodzaju usiłowania okazały się płonne i trzeba było chwycić się innego zajęcia. Tym nowym zawodem obranym przez Świąćickiego był zawód nauczycielski. Podał prośbę do rady szkolnej o miejsce suplenta (zastępcy nauczyciela) w szkołach średnich, a rada szkolna przez wzgląd na jego wyborną znajomość języka ruskiego natychmiast go zrobiła suplentem¹² w ruskim gimnazjum we Lwowie.

Otrzymana posada dała mu wiele zajęcia, a bardzo mało dochodu, ale był to przynajmniej dochód stały i była nadzieja zostania wkrótce rzeczywistym nauczycielem, a zatem i otrzymania dwa razy większej pensji. Nowy zawód oderwał Paulina Świąćickiego od beletrystyki, a zwrócił ku studiom naukowym, a mianowicie ku badaniom lingwistycznym i filologicznym. Owocem tego kierunku były *Uwagi nad tłumaczeniem Nestora*, dokonany przez Augusta Bielowskiego, *Odmiana zaimków* i *Mowa ludzka*¹³. Dwie ostatnie prace odznaczały się oryginalnością pomysłów⁷, ale pomysły te nie były oparte na ściśle naukowych podstawach i dlatego nie mogły w uczonym świecie zjednać sobie uznania.

W roku 1873 ożenił się Świąćicki z wdową po urzędniku magistratualnym¹⁴ Mrazku, osobą młodą i jak sam ubogą. Małżeństwo to uśmiechało się do niego jak port, do którego po długim życiu sierocym miał zawinąć. Ubóstwo ozłoczone miłością nie straszło go, walka z nim, którą przez całe życie toczył, nie miała dlań w sobie nic groźnego, tym bardziej, że była nadzieja bliskiego polepszenia losu. Czuł przy tym Paulin, że siły jego fantazji nie wyczerpały się i zdolne były tworzyć rzeczy lepsze od wszystkiego, co przedtem wydawał. Marzył więc o „miernym” (jak sam pisał przed ślubem w pewnym liście do żony), cichym, domowym szczęściu... Ale i tu fatalizm zjawił się u wejścia do nowej fazy życia i brutalną ręką porwał wszystkie marzenia. W kilka godzin po ślubie Świąćicki, zmęczony urządzeniem domowego gniazdka, dostał silnego krwotoku. Był to złowrogi zwiastun następnych wybuchów, co go w końcu pokonały i położyły w mogile.

¹² *Suplent* – zastępca etatowego nauczyciela w szkołach średnich w byłej Galicji.

¹³ Pełny tytuł brzmi: *Mowa ludzka: jej układ pierwotny i budowa* (Lwów 1873).

¹⁴ *Urzędnik magistratualny* – urzędnik pracujący w magistracie.

Długo się jednak jeszcze nie poddawał. Żeby z posady suplenta przejść na posadę nauczyciela szkół średnich, potrzeba było złożyć odpowiedni egzamin. Pomimo zagrożonego zdrowia, zabrał się Świącicki do tej ciężkiej pracy z wytrwałością, w której rzadko kto mu wyrównywał. I dopiął swego – złożył egzamin, ale był już tak osłabiony, że musiał niebawem wziąć urlop na dłuższy czas. Wtedy to fantazja jego najświetniej zabłysnęła. Rzucił się na pole dramatyczne i w ostatnich dwóch latach przed śmiercią napisał trzy dramata historyczne, z których dwa, posłane na konkurs: krakowski i warszawski, wielki rozgłos autorowi zjednały. Były to: *Posadnica Marta* i *Świętosław Igorewicz*. Ale i tu go los prześladował – przyznano dramatom wielkie zalety, ale nagrody autorowi nie dano, pomimo iż niewątpliwie zasłużył był na nią. Był to ostatni cios, jaki spotkał Świącickiego. W parę miesięcy potem umarł, 12 września 1876.

Trzy dramata historyczne*, o których wspomniałem (trzeci ma tytuł *Książę Igor*), osnute są na tle dawniejszej historii Rusi. I w nich, przynajmniej w dwóch ostatnich, odzywa się ukrajinizm, przeniesiony tym razem na pole dramatyczne i zasunięty w zmierzch dziejowy. Nie są to zapewne utwory bez błędów w budowie, w niektórych ustępach naśladownictwo Szekspira zbyt jaskrawo występuje, w dosadności wyrażeni i porównań przekracza czasem poeta granicę smaku, mimo to wszystko jednak zajmą dramata Świącickiego niepoślednie miejsce w ubogiej dramatycznej literaturze polskiej. Wieje z nich powaga tragiczna, ukrajinizm nadaje im oryginalny koloryt, wreszcie pojedyncze ustępy odznaczają się prześlicznym wykończeniem. *Posadnicę Martę* drukował „Przegląd Polski”¹⁵ w roku 1876, ale ani *Świętosław Igorewicz*, ani *Książę Igor* nie doczekał się dotychczas nakładcy, dlatego chcę podać o nich bliższą wiadomość.

Świętosław Igorewicz¹⁶ jest dzielnym, rycerskim księciem, żądnym sławy i bojów, to jest takim, jakim go tradycja i historia przekazały. Prócz tego obdarza go autor tym, co świeci zawsze jako najcenniejszy klejnot w koronie panującego: głębokim uczuciem sprawiedliwości. Widzimy go właśnie na początku sztuki wymierzającego sprawiedliwość pewnej wdowie, której córkę chciał zhańbić

* Oprócz dramatów historycznych została jeszcze w papierach śp. Świącickiego komedia mniejszej wartości pt. *Milion na giełdzie*.

¹⁵ „Przegląd Polski” – miesięcznik poświęcony nauce i literaturze, wydawanym w latach 1866–1914 w Krakowie.

¹⁶ *Świętosław Igorewicz* – Światosław I (942–972) – książę Rusi Kijowskiej w latach 945–972, Syn Igora i Olgi.

któryś z książęcej drużyny i stał się przyczyną jej samobójstwa. Wspaniałą tę scenę kończy wyrok księcia, skazujący winnego Trelafa na śmierć, pomimo iż winny jest „pierwszą ozdobą drużyny książęcej”, jednym z najlepszych przyjaciół i najdzielniejszych wojowników Świętosława. Wydając wyrok, książę uroczyście oświadcza:

Jeśli podobnej zbrodni się dopuszczę,
Jaką on spełnił – niech zhańbione życie
Ostatni z moich weźmie mi poddanych.

Świętosław nie może usiedzieć w Kijowie. Pieczyngi¹⁷ ofiarowują mu pokój, ale on chce wojny, rusza na Pieczyngów, zwycięża, a potem jak piorun spada na Bułgarię, która mu się po krótkiej walce poddaje. Ale i tryumf ma swoją truciznę: rozkosze i bogactwa stolicy bułgarskiej sąsiadującej z Bizancjum rozhartowują rycerską duszę Świętosława. „Otruto kniazia, powiada jeden z drużyny jego, otruto”.

Lecz nie czarami ani też trucizną,
Struto go życiem miękkiem i rozwiązłym,
Gładkimi słowy dworaków, pochlebstwy...

Książę ugania tylko za rozrywkami i kobietami, staje się przedmiotem plotek i pośmiewiska. Bułgarzy, czując słabnącą siłę zdobywcy, podnoszą rokosz, ale Świętosław, który się do lwa porównywa („Lew śpi, lecz jedno oko ma otwarte”), poskramia ich samym zjawieniem się swoim. Atoli tego lwa, dla którego nie ma strasznych wrogów zewnętrznych, pokonywa chuć lubieżna. Każe on porwać żołdakom swoim pewną cnotliwą dziewczę bułgarską i dopuszcza się na niej zbrodni, za którą ongi na śmierć skazał Trelafa. Obraz uczt, na której zhańbiona dziewczyna wypija truciznę z pucharą, jest pełnym tragicznej grozy. Szybko teraz jeden po drugim stają przed księciem zwiastuni kary niebios: z Kijowa nadchodzą wieści o śmierci matki i napadzie Pieczyngów, z Bułgarii o wystąpieniu siły greckiej przeciw księciu Rusów i o dezercji bułgarskiego wojska. Lew zrywa się i rusza na wrogów, ale lwia siła już słabnie: Grekom musi odstąpić Bułgarię, a sam w drodze do Kijowa ginie w walce z Pieczyngami.

¹⁷ *Pieczyngi (Pieczyngowie)* – związek kilku plemion koczowniczych, które wyruszyły ze swoich pierwotnych siedzib w Azji Środkowej w VIII–IX wieku osiedliły się między dolnym biegiem Wołgi a rzeką Jaik (obecnie Ural).

W *Księciu Igorze* główną osobą jest nie tyle sam Igor¹⁸, nie tyle opiekun młodego Rurykowicza „wieszczy Oleg”¹⁹, ile żona Igora – Olga²⁰, z której poeta utworzył wspaniałą postać kobiety dla berła stworzonej. Dramat, który jest tylko jakby prologiem do dalszych dziejów tej księżnej, ma za treść poznanie się i małżeństwo Igora z Olgą. Pod Kijowem, u przewozu przez Dniepr, spotkał Igor silną i kształtną dziewczynę w łodzi, którą sama kierowała, i zakochał się w tej wodnej amazonce. Dziewczyną tą była Olga, wychowanka starej Mileny, a narzeczona jej syna Sławoja. Igor pragnie ją poślubić, a mądry Oleg nie tylko nie stawia przeszkód temu małżeństwu, ale i owszem sam pragnie tego, naprzód że tym sposobem normandzki żywioł tym lepiej się zespoli z miejscowym słowiańskim, po wtóre, że chwiejny Igor potrzebuje właśnie tak dzielnej dla siebie podpory, jaką znajdzie w Oldze. Ale swatom książeńcem stanowczo się opiera Milena, zastępująca matkę Oldze, i jej syn Sławój²¹, któremu Olga przysięgała, iż wiecznie go kochać będzie. Nic jednak, żadne zaklęcia i wyrzuty nie zdołają powstrzymać Olgi od przyjęcia swatów: odpycha matkę i kochankę i spieszy z weselnym orszakem do książeńcych teremów²². Jednocześnie za Dnieprem pojawia się Buj-Tur²³, olbrzym trapiący rozbojami okolicę, i wyzywa zuchów kijowskich do pojedynekowego boju. Oleg ogłasza, iż kto by przywiózł głowę Buj-Tura, w nagrodę otrzyma zbroję od niego, a złoty łańcuch z rąk Olgi w dzień jej ślubu. Sławój, któremu życie bez Olgi niemiłe, potyka się z olbrzymem, zwycięża go i otrzymuje przepisana nagrodę z rąk niewiernej kochanki w chwili pochodu ślubnego, ale tamże na miejscu u jej nóg pada i umiera.

W *Księciu Igorze* koloryst jest jeszcze bardziej rodzimy, ukraiński jak w *Świętosławie*. Naśladownictwo Szekspira przebija się głównie w postaci Wazy, wareskiego²⁴ Falstafa²⁵, który jest przyjacielem Igora. Rzecz także godna uwagi,

¹⁸ Igor – Igor Rurykowicz (?–945), władca Rusi Kijowskiej w latach 912–945, według tradycji kronikarskiej syn protoplasty dynastii Rurykowiczów, księcia nowogrodzkiego Ruryka.

¹⁹ *Wieszczy Oleg* – Oleg Mądry (ok. 845–912), książę zwierzchni Rusi w latach 879–912, następca i krewny Ruryka.

²⁰ *Olga* – Olga Kijowska, Olga Mądra, Olga (ok. 923/927 – 969), wielka księżna kijowska, święta Kościoła katolickiego i prawosławnego.

²¹ *Milena, Sławój* – postaci wymyślone przez Świącickiego.

²² *Terem* – tu: pałac.

²³ *Buj-Tur* – przydomek użyty symbolicznie dla podkreślenia ogromnej siły fizycznej bohatera.

²⁴ *Wareski* – skandynawski.

²⁵ *Falstaf* (Falstaff) – fikcyjna postać pojawiająca się w trzech sztukach Williama Shakespeare’a jako kompan przyszłego króla Henryka V.

że Świącicki – pomimo swego słowianofilstwa – bezstronnie ocenił znaczenie drużyny normandzkiej²⁶ dla Polan naddnieprskich²⁷ i nie starał się wywyższyć Słowian kosztem Waregów²⁸.

Na zakończenie przytoczę mały ustęp z *Księcia Igora* – jeden z ustępów, które mi się wydają pięknieszymi od innych. Jest to rozmowa starej Mileny z Olgą, w której poeta daje bardzo poetyczną charakterystykę przyszłej żony Igora. Milena pyta wychowanki, dlaczego jest smutną. Olga jej odpowiada:

Olga: Nie smutnam, matko, tylko mi tak jakoś... Ot, jak zazwyczaj, wierzącie – nic nadto.

Milena: Oj, oj, wiewiórko! Nie zdurzysz²⁹ ty starej. Smutno ci – wiem ja od czego, pieszczoto. Alboż nie byłam jako ty dziś młodą? Albożem twoich nie zaznała smutków?

Olga: Czy wszyscy ludzie jednakowi, matko?

Milena: Nie, rybko. Ludzie na świecie niejedni. Człowiek drugiemu bywa niepodobny jak trawka trawce, choć zda się być jedną. Ale dziewczuchy w twoich latach, Olu, tym są podobne do siebie, że myślą i czują wszystkie jednakowo: stąd łatwo zgadnąć powody ich troski serdecznej.

Olga: A o czym myślą i co czują dziewczuchy w mych latach, matko?

Milena: I niby też nie wie! Myślą, koteczko, o swym miłowaniu, czują miłosny żar w piersi i znoszą srogą tęsknicę za lubym. Tak, rybko.

Olga: Wszystkie tak, matko?

Milena: A wszystkie, dziewico.

Olga: Tom ja się z dziewczuch wcale wyrodziła. Miłować dla mnie nie jest szczęściem, matko, i gdy tęsknicę znam, to nie za miłym.

Milena: Toć by się Sławój zasmucił, niebożę, gdyby cię słyszał, Olu, tak mówiącą. On cię z wszystkiego umiłował serca, duszy by swojej dla cię nie poskapił... A i ty, kotku, nie rzekła żeś w onczas: „Twoją zostanę po wieki, Sławoju”?

²⁶ *Drużyna normandzka* – wojownicy z Księstwa Normandii, państwa powstałego w 911 roku na terenach dzisiejszej północnej Francji, zasiedlanego w tamtym czasie przez napływową ludność skandynawską.

²⁷ *Polanie naddnieprscy (naddnieprzańscy)* – plemię wschodniosłowiańskie zamieszkujące od VI do X wieku oba brzegi środkowego Dniepru.

²⁸ *Waregowie* – nazwa używana na określenie skandynawskich wikingów.

²⁹ *Zdurzyć* – zwieść, oszukać.

- Olga:* Rzekłam to, matko.
- Milena:* I powtórzysz jeszcze?
- Olga:* Powtórzę chętnie, że mi Sławój miły, ale nie za nim tęskno mi, matulu. I nie w tym widzę ja szczęście, że razem wiek nasz przeżyjem w szczęściu i spokoju.
- Milena:* O, niech cię strzegą od grzechu bogowie! A o czymże ty myślisz, biedne dziecko? I za czym tęsknisz, jeśli nie za szczęściem?
- Olga:* Nie wiem ja, nie wiem, za czym dusza rwie się, ku czemu serce wyrywa się w loty i z czym me myśli płyną rozognione. Albow za młoda, albo nierozumna, że nie wiem, czemu spokój mi nie starczy, są ciche szczęście nie wabi ku sobie... Ja bym tak chciała..., głowa nierozumna, na orlich skrzydłach wzlecieć ponad chmury, z wichry i burzą przenieść się po stepie, z gromami wpadać w skalne rozpadliny... Wrzawy bym chciała wojennej...
- Milena:* (w przerażeniu) Dziewczyno!
- Olga:* Gdy się nasz stary Dniepr rozdaśa, matko, wełny³⁰ z siebie wydyma jak góry, ryczy i pianę ciska ku niebiosom, tysiącem mokrych grobów najeżony – nie wytrwam!... Gnana jakąś dziwną siłą, o świecie całym niepamiętna, spycham mą łódź do wody i w najsrozsze głębie, najbliżej gniewu starego Sławuty³¹ pędzę ją wszystką siłą moich ramion. Pochwycą tonie moją łódź, zakipią wełny, uskoką i silnym rozpędem uderzą w moją pławicę...³² O, matko, nie jedna – tysiąc obegna mię śmierci i wszystkie tysiąc uchodzą ze wstydem, nic nie sprawiwszy ani mnie, ni łodzi. Zwycięska wracam z tej walki – szczęśliwa, taka swobodna, taka lekka. Matko, jakby mi skrzydła u ramion urosły, jakbym nie była twą Olgą... O, powiedz: co to jest, matko? Co to znaczyć może?

Może wiadomość, którą podałem o Świętosławie i *Księżu Igorze*, i przytoczony ustęp, którego piękność jest nadto wymowną, aby potrzeba ją było wykazywać, skłonią kogoś do wydania tych pośmiertnych utworów Świącickiego. Jak dogasająca lampa przed samym zgaśnięciem jaśniej i szerzej rozbłyśka, tak i talent

³⁰ *Wełna* – fala.

³¹ *Sławuta* – miasto na Ukrainie, w obwodzie chmielnickim.

³² *Pławica* – długa, płaska łódź, zrobiona z jednego kawałka drewna.

Święckiego w tych ostatnich utworach, przed samą śmiercią pisanych, zajaśniał pełniejszym, uroczystszym blaskiem, protestując niejako przeciw śmierci, co go tak wcześnie zabierała i nie pozwoliła mu rozwinąć skrzydeł, które właśnie dojrzewały do wysokiego lotu.

Józef Bohdan Zaleski

DO PANA PAULINA STACHURSKIEGO

Szanowny Ziomku! Potrzeba doprawdy totalności na dobę przed odebraniem odezwy Waszej. Wyprawiłem właśnie do Lwowa poezje Szewczenki¹: wyprawiłem je na zanesioną już dawniej do mnie gorącą prośbę Rusinów lwowskich*, trudniących się wydaniem pism ukraińskiego piewcy. Oczywiście byłbym wołał posłać je polskiej bojującej redakcji „Sioła”, a osobliwie Tobie Panie, jako autorowi ślicznej, świeżej powiastki*, którą przeczytałem kiedyś z lubością. Otóż nie czytuję teraz dzienników lwowskich, to nie słyszałem zgoła o „Siole”, a do tego i „Paulin Stachurski” uchodził u nas tu za pseudonima.

Stało się. Poezje Szewczenki, posłane do Lwowa, należą do znajomszych², do ostatnich. Co lepsze rozbiegły się dawno po rękach rodaków i nie wróciły do mnie. Kolega z Kijowskiego uniwersytetu doktor Bernatowicz³ posiada zbiór ich bodaj najzupełniejszy. Kędy się dzisiaj B.[ernatowicz] obraca i czy żyje nawet, nie wiemy tutaj za granicą. Listów Szewczenki, Szanowny Panie, chowam jeno parę na pamiątkę. Podarował mi je niegdyś z pakietów swoich Bronisław Zaleski⁴,

¹ *Szewczenko* – Taras Szewczenko (1814–1861), ukraiński poeta narodowy, etnograf, folklorysta, malarz, przedstawiciel romantyzmu.

* „Rusińska Hromada”, której Zaleski posłał nieco autografów Szewczenki wraz z listem drukowanym w „Siole”, wydała w 1800 roku *Kobzar*.

* Tytuł powiastki: *Przed laty*.

² *Znajomszy* – bardziej znany.

³ *Bernatowicz* – Wołodmyr Bernatowycz (1840–1865), ukraiński pisarz, popularyzator twórczości Tarasa Szewczenki.

⁴ *Bronisław Zaleski* (1819–1880) – polski i białoruski działacz społeczny, pisarz, publicysta i malarz-amator.

oremburski⁵ druh Tarasa i korespondent jego przez wiele lat. Korespondencja między nimi nie tyle jest ważna pod względem literackim, co budująca szczegółami pożycia dwóch wygnańców na kirgiskim stepie. Postaram się, aby Wam posłał do „Sioła” wyjątki z listów Szewczenki.

Dziękuję, Panowie, za uprzejme zaprosiny do „Sioła” Waszego. W czasach wojennych literatura niestety nie popłaca: umysły i serca wciąż roztargnione czymś innym. Szkoda! Z tym wszystkim szczęść Wam Boże w zamierzonej pracy. Błogosław Boże miłosnym, natchnionym słowem ku zakłęciu waśni bratniej, ku zażegnaniu burzy, co grozi gradobiciem strasznym obydwom ziemiom polańskim!⁶ Duszą i sercem, Panowie, jestem przy Was, z rozjemcami tam ukraińskimi w Galicji, ale wiek mój, stan tułacki trzymają mnie z dala, jakoby na uwięzi. Zresztą dawnom już pożegnał Ukrainę, dużom zapomniał o niej, że stałem się bodaj cudzy młodszym pokoleniom...

Ongi⁷, Panie Paulinie, przed pięćdziesięcioma blisko laty, kolegowałem ze Stachurskim w szkole humańskiej⁸ – kto wie, czy to nie z ojcem Twoim albo może z dziadem? Stachurski ten miał zda mi się na imię Józef, ale zapewne pamięta o nim lepiej Goszczyński.

Załączam dwa luźne hymny*. Jeśli duchem swoim i treścią nie będą raziły redaktorów „Sioła”, możecie drukować w pierwszym zeszytcie.

Przyjm, Panie, dla siebie i dla kolegów Twoich pozdrowienie i zapewnienie przychylnych uczuć i życzeń.

J. B. Zaleski
Paryż, 19 czerwca 1866

⁵ *Orenburski* – Orenburg – miasto w miasto obwodowe w południowej Rosji (Kirgizja), położone nad rzeką Ural.

⁶ *Ziemie polańskie* – określenie dotyczy zapewne Polaków i Ukraińców.

⁷ *Ongi* – niegdyś.

⁸ *Szkoła humańska* – szkoła w Humaniu na Ukrainie.

[Józef Jurkiewicz, Waław Lipiński]

DO CZYTELNIKA Z ZIEMI UKRAIŃSKIEJ¹

Pokolenie nasze żyje w okresie odradzania się narodów, które odrębny ustrój polityczny w ciężkiej walce ongi utraciwszy, zostały na czas jakiś w rozwoju normalnym powstrzymane, przez państwa silniejsze w znacznym stopniu zasymilowane i przez obce narodowe kultury – szczególnie w swych tak zwanych warstwach wyższych – pochłonięte.

Zbudził się dziś do życia nowego i nasz naród: naród ukraiński. Bezpowrotnie minęły dla nas nareszcie czasy uśpienia, w przeszłość odchodzą ciężkie chwile upadku i bezwładu. Hasło życia przemknęło po szerokiej ziemi naszej od krańca do krańca. I ozwały się nań wszystkie komórki, wszystkie części składowe rozczłonkowanego, złymi lasy poćwiartowanego naszego narodowego organizmu.

Czy na uboczu mamy pozostać tylko my – krew z krwi i kość z kości ukraińskiego narodu – jego część nierozdzielna, którą oderwała niegdyś przemocą od pnia ojczystego państwowość polska, znacząc nas później widomym piętnem odstępstwa: językiem innym i kulturą obcą? Czy tylko my jedni pozostać mamy dla olbrzymiego drzewa narodu naszego tym jedynym konarem martwym, strupieszalym, którego nic już ożywić i nic już odrodzić nie zdoła?

Wszak i my mamy prawo do życia. Mamy prawo iść tam, gdzie w otwartym polu wre czysta walka o możność ludzkiego, w uszlachetniające formy narodowej kultury ubranego życia dla milionów, które ziemię ukraińską swą krwią i swym potem od wieków polewają. Mamy prawo ze wskazywanej nam przez różnych – jak mawiali ojcowie nasi – zabiezańców, uatorowanej i wygodnej drogi od obowiązków

¹ Wstęp z książki pt. *Z dziejów Ukrainy*, pod red. W. Lipińskiego, Kraków 1912, s. V–XI.

względem ludu naszego i ziemi naszej odstępstwa zawrócić na odłogiem leżące, burzanami i cierniem porośłe, szerokie przestwory posiewu ciężkiej, ale życiodajnej ukraińskiej pracy spragnione; mamy prawo do szeregu dzisiejszych, pełnych poświęcenia pracowników ukraińskich się przyłączyć. Mamy wreszcie prawo w życie wcielać to, cośmy dobrowolnie umiłowali: czynami swymi dawać świadectwo przywiązaniu do ziemi ukraińskiej, które z młodości naszej wszyscyśmy tu, rdzenni Ukrainy mieszkańcy, wynieśli, któreśmy z błogosławieństwem matki z nauką pracującego na zagonie ojczystym ojca otrzymali. I prawa tego nikt nam odmówić, ani nikt nam dawać nie może, bo to jest prawo nasze.

Mamy to prawo, a posiadamy prócz tego obowiązki.

Bo jeśli, sami nie pracując fizycznie, z pracy rąk mas ludowych narodu ukraińskiego żyjemy, to zwrócić temu narodowi w postaci wartości kulturalnych swój dług powinniśmy. Bo jeśli przodkowie nasi ongi, w okresie powszechnej ruiny ukraińskiej na lewym brzegu dniewowym rosyjską, a na prawym polską przyjęli kulturę, to odkupić ich winę i do odrodzenia narodu, z którego – mówiąc słowami Szczęsnego Herburta² – „krew wzięliśmy swoją” i na którego ojcowiznach, bez względu na pochodzenie nasze, od wieków siedzimy, przyczynić się, w miarę sił naszych dopomóc obowiązek mamy.

Pracę zaś uświadomienia narodowego od siebie przede wszystkim rozpoczynamy. Nie chcemy, lży faryzeuszowskie nad „nieuświadomieniem ludu naszego” przelewając, czekać w gnuśnym lenistwie, aż ją ktoś za nas wykona, aż naród nasz stanie się potężny i silny i aż porwie nas wówczas bez wszelkiego z naszej strony wysiłku wezbrana fala zwycięstwa. Nie chcemy trwożliwie oglądać się na braci naszych, tęskniąc do reasymilacji bezwładnej, lecz sami – śmiało, po męsku – odpowiadamy sobie na postawione wszystkim Ukrainie przez wieszczę naszego pytanie:

..... *szczo my?*
Czyji syny? Jakich bat'kiw?
*Kim, za szczo zakuti?.....*³

² *Szczęśny Herburt* – Jan Szczęśny Herburt (1567–1616), starosta dobromilski i wiszeński, sekretarz królewski, polski pisarz polityczny (rokoszowy), poeta, wydawca, dyplomata i poseł na Sejm.

³ *kim jesteśmy?*
Czyimi synami? Jakich ojców?
Przez kogo i za co zakuci?...

A że w dziejach Ukrainy posiadamy swą kartę odrębną, że narodowe odrodzenie nasze w odmiennych nieco od odrodzenia innych warstw narodu ukraińskiego warunkach się odbywało, więc tym dziejom naszym – bez poznania których nie może być zrozumienia teraźniejszości, historii odrodzenia narodowego ukraińskiej warstwy spolszczonej, którego dalszym ogniwem rozwojowym jesteśmy – i wskrzeszeniu naszych prastarych, chwilowo zapomnianych ukraińskich tradycji, które fundamentem i drogowskazem dla społecznej pracy naszej mieć pragniemy, poświęcamy wydawnictwo niniejsze.

Znajdą zatem Czytelnicy w części I naszej książki pamiątkowej* szereg monografii z zakresu dziejów szlachty ukraińskiej. Jedną bowiem tylko warstwą szlachecką, wciągniętą ongi do państwowego życia Rzeczypospolitej, przemożnym wpływom polskim – z początku politycznym, a potem językowym i kulturalnym – w ogromnej swej większości uległa. Tej to spolszczonej prawobrzeżnej szlachty ukraińskiej my potomkami jesteśmy. Lecz zapomniane, a drogie dla nas dzieje ojców naszych naukowo badając, nie mamy oczywiście żadnych uroszczeń stanowych lub klasowych na myśli. O poznanie prawdy dziejowej nam chodzi. Naukę z naszej przeszłości mieć chcemy: jakich błędów przodków naszych unikać winniśmy?, w jaki sposób, bez względu na dzisiejsze nasze stanowisko, warstwą społecznie użyteczną i narodowi naszemu potrzebną zostać możemy? Wiemy bowiem, że dzieje nasze szlacheckie wiele kart smutnych i wiele wspomnień bolesnych zawierają. Ale wiemy również, że ojcowie nasi w szeregach Rusi starożytnej walczyli, że ze sławnej pamięci Bohdanem Chmielnickim ojczyznę swą z niewoli wyzwალali, że na wierność Ukrainie „czasu szczęścia i nieszczęścia” przysięgali, że z ostatnimi hetmanami na wygnanie szli, w ostatnich walkach zbrojnych głowy swe na pobojuwisku składali. A nawet gdy już ruina ostateczna nastąpiła, gdy ugiął się i skarlłowaciał ukraiński tłum szlachecki, była zawsze z pokolenia w pokolenie wśród niego garstka, która o wyzwolenie swego narodu walczyć nie przestawała. Więc ufamy, że i dziś wywłaszczyć siebie duchowo z Ukrainy nie pozwolimy. I we wspólnej pracy i wspólnej walce z milionami ludu ukraińskiego nadzieję wspólnego lepszego jutra dla naszej ziemi ojczystej pokładamy.

* Wedle planu pierwotnego wydawnictwo nasze miało stanowić jeden tom pod wspólnym tytułem: *Zarosłymi Szlaki Ukrainy*, który to tytuł figuruje nawet na pierwszych arkuszach tomu niniejszego. Wielka jednak ilość materiału zmusiła nas do wydzielenia części I w tom osobny, z bardziej odpowiadającym jego treści tytułem: *Z dziejów Ukrainy* (Redakcja).

Czci i niezapomnianej pamięci trzech najwybitniejszych przedstawicieli ostatniego przed nami pokolenia, którzy w ślady swych poprzedników idąc, o lepszą dolę dla Ukrainy do końca życia walczyli, poświęcamy księgę niniejszą. Lecz nie bierzemy od nich – do potrzeb chwili zastosowanego – ich programu polityki zewnętrznej. Bo smutnym doświadczeniem lat ostatnich nauczeni wiemy, jak bardzo mylił się Włodzimierz Antonowicz⁴, licząc na uwzględnienie kulturalnych potrzeb bratniego ukraińskiego narodu przez naszych możnych rosyjskich sąsiadów. Wiemy, jak niemniej boleśnie zawiódł się Paulin Świącicki, zapewniając, że Ukraina w kierowniczych sferach polskich przyjaciół i sojuszników mieć będzie. Bierzemy natomiast ze świętej dla nas tych „chłopomanów” nauki to, co w niej było istotne i niezmienne. Przyjmujemy ich hasło powrotu do swego narodu, które tak wyraźnie sformułował i ogromem pracy dla ukraińskiej wiedzy stwierdził Włodzimierz Antonowicz. Dziedziczymy ich ideę spełniania swych obowiązków względem ludu ukraińskiego, którą odpowiednio do ówczesnych warunków przeprowadzał w czynach całego swego wiejskiego życia Tadeusz Ryłski⁵. Chcemy, jak oni, iść ręką w rękę z przedstawicielami tego ludu, „od którego siebie oddzielić nie możemy” – mówiąc wyznaniem głębokiej wiary Paulina Świącickiego. I pragniemy wreszcie, by ich niezłomny charakter i nieugięta woła przykładem dla nas świeciły. By nie wygasły wśród synów szlacheckich tradycje ofiarnej walki o Ukrainę, pokoleniu naszemu przez poprzedników naszych, zmarłych szermierzy ukraińskiej idei przekazane.

Dziejom tych poprzedników naszych, historii narodowego odrodzenia spolszczonych warstw Ukrainy Prawobrzeżnej część II wydawnictwa naszego poświęcimy. Zobaczają Czytelnicy, że odrodzenie to w takim samym jakościowym stosunku do kultury i narodowości polskiej jak odrodzenie zrusyfikowanych warstw naszego narodu do kultury i narodowości rosyjskiej pozostawało. Że zarówno badaniem życia ludowego, etnografią i historią w nauce, a romantyzmem w literaturze rozpoczęte, tak samo do zupełnego uświadomienia odrębności narodowej i tu, i tam w końcu doprowadzić musiało. Odtąd zlewają się te dwa strumienie w jeden potok potężny, do morza ludowego wpadający. I odtąd znikają powoli sztuczne

⁴ *Włodzimierz Antonowicz* – Wołodymyr Antonowycz (1834–1908), ukraiński historyk, archeolog, etnograf, działacz społeczny pochodzenia polskiego, jeden z liderów ukraińskiego przebudzenia narodowego.

⁵ *Tadeusz Ryłski* (1841–1902) – ziemianin, działacz społeczny, publicysta.

przegrody, przez obce wpływy państwowo-kulturalne wśród ukraińskich warstw wynarodowionych w czasach upadku Ukrainy zbudowane.

Odmiernymi jednak w porównaniu z większością ukraińskiego narodu warunkami poprzedniego naszego historycznego rozwoju, dziedzictwem naszego dnia wczorajszego, tłumaczy się język polski wydawnictwa niniejszego. Pamiętajmy bowiem, że współczesny ruch kulturalny Ukrainy, dziś już w szatę ukraińskiego języka literackiego ubrany, poprzedzony został wśród ukraińskich warstw zrusyfikowanych przez długi okres literatury odrodzeniowej w języku rosyjskim. Myśmy w tym względzie upośledzeni w porównaniu z bracią naszą zostali, gdyż tego rodzaju literatury (reprezentowanej na przykład rocznikami petersburskiej „Osnowy”⁶, „Kijewskiej Stariny”⁷ itd., nie mówiąc o szeregu dzieł zbiorowych i wydawnictw naukowych po rosyjsku przez Ukraińców pisanych, w języku polskim w odpowiedniej ilości i jakości nie posiadamy. Po części złożyły się na to fatalne dla nas warunki zewnętrzne: cenzura oficjalna rosyjska, a potem i nieoficjalna polska. Próby bowiem wytworzenia takiej literatury przed rokiem 1863 u nas istniały. Więc na przykład (pominąwszy później, w roku 1860–1867, we Lwowie przez Paulina Świąteczkiego wydawane czasopismo „Sioło” i inne wydawnictwa tamtejsze) jeden z pionierów naszego odrodzenia, Erazm Izopolski⁸, drukując w roku 1858 swoją *Dumę z dum ukraińskich*, pisał w przedmowie:

Chociaż rodem jestem Ukrainiec, a sercem i duszą Kozak z dziada pradziada, chociaż zaprzątniony myślą połączenia w jeden uplot dum, pieśni, skazek i przypowieści ludu ukraińskiego, usiłowałem najmocniej nabyć wprawy i biegłości w narzeczu ludowym ukraińskim, jednak nie mogłem ich osiągnąć i otrząść się z wpływów tych, jakie się na mnie odpiętnowały od dzieciństwa, w ciągu szkolnych nauk i kółek towarzyskich, wśród których żyłem. Spróbowałem się więc po raz setny na darmo, uznałem ostatecznie myśl moją za niemożliwą dla mnie w wykonaniu jej językiem ludu ukraińskiego; nie przeto jednak samej myśli zaniechałem, usiłując ją wykonać w języku polskim*.

A Izopolski nie był oczywiście wyjątkiem.

⁶ „Osnowa” – „Osnowa: Južnorusskij literaturno-uczonyj wiestnik”, ukraiński miesięcznik literacki i społeczno-polityczny, wydawany w Petersburgu w latach 1861–1862.

⁷ „Kijewskaja Starina” – miesięcznik literacki i historyczno-etnograficzny, wydawany w Kijowie w latach 1882–1907.

⁸ Erazm Izopolski – pseud. Biłocerkiwskyj (1802–1863), pisarz, folklorysta, etnograf, duchowny w Białej Cerkwi na Podolu.

* *Duma z dum ukraińskich. Pieśni lirnika o ukraińskim kozactwie*, przez Erazma Izopolskiego, Warszawa 1858, s. 1–2.

I chociaż dziś od tego czasu zmieniło się wiele, chociaż znajomość ukraińskiego języka literackiego, przemawiającego obecnie w piśmiennictwie, nauce i prasie, wielkie wśród naszych warstw wynarodowionych uczyniła postępy, jednak i dziś jeszcze są na ziemi ukraińskiej tacy, którzy biegle językiem ludowym władając, form i pojęć naszego języka literackiego przyswoić sobie dostatecznie nie zdołali. Tę to brać naszą – mowy polskiej jako języka towarzyskiego używającą – mamy na względzie, część I wydawnictwa niniejszego przeważnie w języku polskim drukując. Gorąco jednak współwyznawców idei naszej nawołujemy, by do stosunków domowych, towarzyskich i literackich język ukraiński jak najszerszej wprowadzali, gdyż w tym leży jedna z najpotężniejszych dźwigni naszego narodowego odrodzenia.

Wiemy wreszcie, że nasza księga pamiątkowa wszystkich poruszanych w niej kwestii całkowicie nie wyczerpuje. Wiemy, że częstokroć daje ona tylko szkice, zarysy niejako, i że wiele cennych i ciekawych faktów i epizodów – dla braku miejsca chociażby – pominąć byliśmy zmuszeni. Toteż jeśli stanie się ona bodźcem do studiów dalszych, jeśli dorzuci garść faktów i dostarczy nieco wskazówek do wszechstronnego zbadania naszej przeszłości i teraźniejszości – zadanie nasze, pogłębienie świadomości narodowej mające na celu, całkowicie spełnione zostanie.

Oddając zatem w ręce Wasze, Czytelnicy, ten owoc pracy – hołdowi i czci trzech wiernych synów Ukrainy poświęcony – zwracamy się jedynie do tych spośród Was, którzy żądzy wiedzy i umiłowania prawdy w odmętach życiowej szarzyzny nie zatracili. Przemawiać pragniemy jedynie i wyłącznie do tych, którzy ukochanie Ziemi Ojczystej głęboko w sercu noszą, którzy poczucie duchowej łączności z narodem naszym, nie bacząc na szarpiące nas wpływy zaborcze, jeszcze zachowali; do tych, którzy wierzą w potęgę idei, w wieczne życia zwycięstwo...

Wszystkim, którzy nam w wydaniu dzieła niniejszego dopomogli, składamy na tym miejscu podziękowanie serdeczne.

*Wydawcy
Kijów, w sierpniu 1910 roku*



POSŁOWIE



Panorama Lwowa w połowie XIX wieku
Aleksander Zawadzki (1798–1868), *Galicja w obrazach...*, Lwów 1840

Michał Mordań

Katedra Językoznawstwa Porównawczego i Stosowanego

Zakład Historycznego Językoznawstwa Słowiańskiego

Uniwersytet w Białymstoku

ORCID: 0000-0002-5709-3469

O PAULINIE ŚWIĘCICKIM I JEGO UTWORACH Z PERSPEKTYWY ONOMASTYCZNEJ

Wstęp – kilka słów onomasty o autorze

Przed omówieniem nazw własnych w tomie powieści i opowiadań Paulina Święcickiego¹ wypada przedstawić kilka informacji onomastycznych o samym autorze.

Imię Święcickiego – *Paulin* należy niewątpliwie do grupy imion rzadkich w antroponimii historycznej, a tym bardziej współczesnej. Na gruncie języka łacińskiego, z którego się wywodzi (w formie *Paulinus*), stanowi z etymologicznego punktu widzenia przydomek, utworzony od imienia *Paulus* za pomocą formantu *-inus* wyrażającego przynależność. A zatem, *Paulin* (*Paulinus*) oznacza ‘należący do Paulusa, tj. Pawła’². Henryk Fros i Franciszek Sowa odnotowali 15 świętych z tym imieniem, z czego 9 postaci jest poświadczonych w literaturze hagiograficznej w stopniu miarodajnym³. W materiale imienniczym średniowiecznej Polski Maria

¹ Moje rozpoznania obejmują utwory pomieszczone w niniejszym tomie: *Przed laty. Powieść ukraińska, Trójka. Powieść, Moskal. Powieść z ostatnich czasów, Opowieści stepowe, Wycieczka do Pionin*.

² M. Malec, *Imiona chrześcijańskie w średniowiecznej Polsce*, Kraków 1994, s. 303; H. Fros, F. Sowa, *Księga imion i świętych*, t. 4, Kraków 2000, s. 539.

³ H. Fros, F. Sowa, *Księga imion...*, t. 4, s. 539–544.

Malec na podstawie danych kartoteki *Słownika staropolskich nazw osobowych* wynotowała jedynie 8 przykładów użycia tego imienia, na dodatek wszystkie są poświadczone w wersji łacińskojęzycznej⁴.

Niewielką częstotliwością użycia imię *Paulin* odznacza się też w czasach współczesnych. Jeśli weźmiemy pod uwagę dane z XX wieku, to w Polsce w 1994 roku imię to nosiło 239 mężczyzn⁵.

Zofia Abramowicz w obszernym, bo obejmującym niemal stuletni okres (1885–1985) i cztery grupy wyznaniowe, materiale imienniczym dotyczącym białostoczan odnotowała zaledwie dwa nadania, z czego jeden raz imię *Paulin* wystąpiło na drugiej pozycji w nominacji dwuimiennej. Imię to w materiale białostockim pojawiło się wyłącznie w okresie 1885–1905 i tylko w metrykach parafii rzymskokatolickiej⁶.

Imię *Paulin* jest także obecne w dyptychach Kościoła wschodniego. Imię cerkiewne *Pawlin* (*Paulin*) odnotowane jest m.in. w *Spisie imion prawosławnych*⁷ i *Kalendarzu prawosławnym*⁸.

W *Słowniku historycznych nazw osobowych Białostoczczyzny* autorki podają kilka przykładów zestawień antroponimicznych, identyfikujących osoby ze stanu szlacheckiego (*szl. Piotr Pawleniuk, szl. Jan Pawleniuk, szl. Wawrzyniec Pawle-*

⁴ M. Malec, *Imiona chrześcijańskie...*, s. 303.

⁵ W latach 1911–1920 imię *Paulin* nadano w Polsce 62 razy, w kolejnych dekadach odpowiednio 67 (1921–1930) i 54 (1931–1940). W okresie powojennym omawiane imię traci na popularności: w latach 1951–1960 zostało nadane 11 razy, w 1961–1970 – 4 razy, w 1971–1980 – 11 razy, w 1981–1990 – 10 razy (K. Rymut, *Słownik imion współcześnie w Polsce używanych*, Kraków 1995, s. 318).

Zdecydowanie częściej pozostaje w użyciu jego żeński odpowiednik *Paulina*. Na podstawie danych *Słownika imion* Kazimierza Rymuta (tamże) można stwierdzić, że w 1994 roku imię to nosiły 126552 kobiety. Także w perspektywie diachronicznej odznaczało się ono znacznie wyższą frekwencją, niż jego męski wariant. I tak w latach 1911–1920 imię *Paulina* zostało nadane 1799 osobom płci żeńskiej, zaś w dekadzie kolejnej – 2837. Nieco mniej nadań imienia obserwowano w następnych dziesięcioleciach, ale znaczny wzrost popularności imienia *Paulina* ma miejsce w latach 1971–1980 i wynosi 8711 nadań, zaś w latach 1981–1990 – aż 70786.

⁶ Z. Abramowicz, *Imiona chrześcijańskie białostoczan w aspekcie socjolingwistycznym (lata 1885–1985)*, Białystok 1993, s. 40, 422.

⁷ *Spis imion prawosławnych w brzmieniu polskim i staro-cerkiewno-słowiańskim*, Warszawa 2011, s. 86.

⁸ *Kalendarz prawosławny 2009*, Wydanie Warszawskiej Metropolii Prawosławnej, Warszawa 2009, s. 167.

niuk), w których protonazwisko *Pawleniuk* wywodzą właśnie od im. *Paulin* w jego wschodniosłowiańskiej wersji *Pawlin*⁹. Rozalia Kersta w XVI-wiecznym materiale ukraińskim odnotowała omawiane imię w formie *gen. sg.: Павлина*¹⁰. W antroponomii białoruskiej im. *Паўлін* znane jest od XVII wieku, również w wariacie *Павлин* (*Pawlin*), są też nazwiska utworzone na bazie tego imienia, np. *Паўлініч*¹¹.

W odróżnieniu od imienia autora, które sytuuje się w grupie mniej popularnych, jego nazwisko – *Świącicki* reprezentuje rozpowszechniony typ tzw. nazwisk odmiejscowych na *-ski*¹². Od XVI w. aż do zakończenia II wojny światowej, kiedy model nazwiska był wyznacznikiem statusu społecznego, za pomocą formacji na *-ski* byli identyfikowani przedstawiciele szlachty, ziemiaństwa i arystokracji (w odróżnieniu od nazwisk odapelatywnych charakterystycznych dla mieszczaństwa i chłopów)¹³. W XVII w. formacje odmiejscowe na *-ski* były najbardziej produktywnym modelem nazewniczym wśród szlachty na pograniczu polsko-wschodniosłowiańskim¹⁴. Od dawna nazwiska na *-ski* uchodziły nie tylko za typowo szlacheckie, ale również za typowo polskie¹⁵. Do XV wieku ten typ nazwisk pozbawiony był komponentu wartościującego, natomiast w stuleciach kolejnych następuje polaryzacja modeli antroponimicznych – mówi się o nazwiskach „lepszych” (zakończonych na *-ski*) i „gorszych” (odapelatywnych). W II poł. XVI w. odmiejscowe nazwiska na *-ski* stały się symbolem szlacheckiego pochodzenia i kultury oraz pozycji polityczno-społecznej¹⁶.

⁹ Z. Abramowicz, L. Citko, L. Dacewicz, *Słownik historycznych nazw osobowych Białostoczczyzny (XV–XVII w.)*, t. 2, Białystok 1998, s. 20.

¹⁰ Р.Й. Керста, *Українська антропонімія XVI ст. Чоловічі іменування*, Київ 1984, с. 122.

¹¹ А.К. Усціновіч, *Слоўнік асабовых уласных імён*, Мінск 2011, с. 161.

¹² Z. Kaleta, *Nazwisko w kulturze polskiej*, Warszawa 1998, s. 41.

¹³ Tamże, s. 55.

¹⁴ Zob. E. Wolnicz-Pawłowska, *Antroponimia polska na Kresach południowo-wschodnich*, w: *Antroponimia słowiańska: materiały z IX OKO*, red. E. Wolnicz-Pawłowska, J. Duma, Warszawa 1996, s. 349.

¹⁵ Zob. m.in. J. Matuszewski, *Polskie nazwisko szlacheckie*, Łódź 1975, s. 9, 92; E. Wolnicz-Pawłowska, W. Szulowska, *Antroponimia polska na kresach południowo-wschodnich XV–XIX wiek*, Warszawa 1998, s. 166; I. Mytnik, *Imiennictwo szlachty polskiej w dawnej ziemi wołyńskiej*, w: *Niejedno ma imię... Prace onomastyczne i dialektologiczne dedykowane Profesor Ewie Wolnicz-Pawłowskiej*, red. E. Dzięgiel, T. Korpysz, Warszawa 2013, s. 295.

¹⁶ Z. Kaleta, *Nazwisko w kulturze...*, s. 94–98; J. Kuć, *Przydomki szlacheckie jako jeden ze sposobów identyfikacji szlachty z parafii trzebieszowskiej w 2. poł. XVII w.*, „Białostockie Archiwum Językowe” 2003, t. 3, s. 119.

*Słownik geograficzny Królestwa Polskiego*¹⁷ podaje kilka nazw miejscowych, które mogły być podstawą motywującą nazwisko *Święcicki*: *Święcica* (pow. sandomierski, stopnicki, chełmski, wołkowyski, piński, braclawski), *Święcice* (pow. błoński, miechowski, płocki), mniej prawdopodobne: *Święcie* (pow. łęczycki) i *Święciec* (pow. koniński, krzemieniecki, kościański). Uwzględniając aspekt geograficzny (autor urodził się we wsi Warszycza (lub Worszycza))¹⁸ w tym konkretnym przypadku można przypuszczalnie wiązać pochodzenie nazwiska z n.m. *Święcica* w pow. braclawskim – wsią skarbową nad rzeką Zamczyk (dopływ Bohu), w gm. Monasterskie.

Jak się wydaje, nie mniej ważne w życiu każdego literata są pseudonimy. Warto wspomnieć, że Paulin Święcicki w swojej twórczości literackiej i teatralnej korzystał z kilkunastu polskich i ukraińskich pseudonimów. Do najbardziej rozpowszechnionych należały: *[Paulin] Stachurski*, *[Paulin] Sielski*, *Pawło Świj*, *Danił / Daniło Łozowski*, *Zorjan / Zorian* i inne¹⁹. Antroponimy *Stachurski*, *Łozowski* i *Sielski* mają strukturę nazwisk „szlacheckich” na *-ski*. Pierwszy z nich jest *de facto* nazwiskiem panięńskim matki Święcickiego²⁰. *Stachurski* – zob. nazwy wsi *Stachura* w pow. kieleckim i – przede wszystkim – w pow. kowelskim dawnej guberni wołyńskiej²¹. Jeśli zaś chodzi o pseudonim *Łozowski* (jeśli przyjmujemy, że powstał na zasadzie trans(antrop)onimizacji realnego nazwiska) to mamy do dyspozycji sporo nazw miejscowych, które mogłyby stanowić podstawę nazwiska (a w konsekwencji – pseudonimu). Wiele z nich znajduje się na obszarze stosunkowo bliskim rodzinnym stronom autora, np. wsie *Łozowa* w pow. lityńskim, starokonstantynowskim i tarnopolskim, wieś *Łozówek* w pow. kijowskim, czerkaskim, przysiółek *Łozówka* w pow. trembowelskim, wieś *Łozówka* w pow. zbaraskim, wieś *Łozy* w pow. krzemienieckim. Możliwy jest też udział innych nazw miejscowych o podobnym brzmieniu²². Nazwisko (będące bazą pseudo-

¹⁷ *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, red. F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewski, t. XI, Warszawa 1890, s. 685–686, http://dir.icm.edu.pl/pl/Słownik_geograficzny [dostęp: 22.02.2021].

¹⁸ Zob. D. Świerczyńska, *Paulin Święcicki: dramat pisarza pogranicza*, „Pamiętnik Literacki” 1996, 87/1, s. 201.

¹⁹ Tamże, s. 200–204.

²⁰ Tamże, s. 204.

²¹ *Słownik geograficzny...*, t. XI (1890), s. 172.

²² Tamże, t. V (1884), s. 765–769.

nimu) *Sielski* mogło nawiązywać do nazwy folwarku *Sielsk* w pow. bóbreckim²³, choć źródłem pseudonimu autora mogła być nazwa polskojęzycznej gazety *Siolo* (a pośrednio – ap. *siolo* ‘wieś’). Czasopismo, którego Świącicki był założycielem i redaktorem naczelnym²⁴, sugeruje, zgodnie z podtytułem, że było ono poświęcone „rzeczom ludowym”.

Słownik nazwisk autorstwa K. Rymuta podaje, że w latach 90-tych XX wieku nazwisko *Świącicki* nosiło w Polsce 3111 osób, zaś nazwiska *Stachurski*, *Sielski* i *Łozowski* – odpowiednio 6573 os., 2636 os. i 1672 osoby²⁵.

Przyczyn obrania pseudonimu *Swij / Świji* będącego z gramatycznego punktu widzenia zaimkiem dzierżawczym, hipotetycznie można doszukiwać się w jego pozytywnej konotacji, przede wszystkim towarzyszącej percepcji dzieł Świącickiego przez potencjalnego odbiorcę. Niezależnie od narodowości czytelnika autor zawsze będzie „swoim”, choć w połączeniu z im. *Pawło* ma raczej na celu zainteresowanie głównie adresata ukraińskiego. Nie jest też wykluczone, że użycie takiego pseudonimu wiąże się z lingwistycznymi zainteresowaniami Świącickiego, wyrażonymi m.in. w wydanej w 1871 r. pracy pt. *Odmiana zaimków, rzecz językowo-porównawcza*²⁶.

Zorian jest z kolei imieniem słowiańskim, popularnym zwłaszcza na Bałkanach (w formie *Zoran*)²⁷, choć występującym także na Słowiańszczyźnie wschodniej (m.in. na Ukrainie) i Węgrzech²⁸. W tym przypadku motywem doboru pseudonimu mogło być zainteresowanie Świącickiego tematyką Słowiańszczyzny (*Zor(i)an* to imię „typowo” słowiańskie, przejrzyste semantycznie i raczej niewystępujące w innych regionach Europy i świata). Można też wysnuć hipot-

²³ Tamże, t. X (1889), s. 536.

²⁴ D. Świerczyńska, *Paulin Świącicki...*, s. 202–203.

²⁵ K. Rymut, *Słownik nazwisk współcześnie w Polsce używanych*, t. VI, Kraków 1993, s. 65; Tamże, t. VIII (1994), s. 396; Tamże, t. IX (1994), s. 9, 461.

²⁶ D. Świerczyńska, *Paulin Świącicki...*, s. 208.

²⁷ Autorki *Słownika imion* umieszczają to imię jako męski odpowiednik semantyczny żeńskiego im. łac. *Aurora*. Przywołują występujące w różnych językach europejskich (przede wszystkim słowiańskich) żeńskie formy *Zorine*, *Zara*, *Zora*, *Zorka*, *Zorilä*, *Zorica* oraz – choć zdecydowanie rzadziej – ich męskie formy pełne i derywaty: poza wspomnianym węgierskim także serbskie i chorwackie *Zorislav* oraz słoweńskie *Zorislav* i wariant derywowany *Zorko* (Zob. W. Janowowa, A. Skarbak, B. Zbijowska, J. Zbinowska, *Słownik imion*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991, s. 41).

²⁸ Tamże.

teżę, że mamy tu do czynienia z nawiązaniem do pseudonimu innego polskiego słowianofila, etnografa i historyka Zoriana Dołęgi-Chodakowskiego (właśc. Adama Czarnockiego), jednego z głównych prekursorów badań nad Słowiańszczyzną, w którego pracach występowały, podobnie jak w dziełach Świącickiego, tematy antyfeudalne²⁹. Ponadto, pseudonim *Zorian* być może był nawiązaniem do nazwy pierwszej ukraińskiej gazety wydawanej w Galicji pt. *Зоря Галицька* (*Zoria Hałycka*), z redaktorami której Świącicki miał bliskie kontakty i do której pisał³⁰.

Stanowiące element pseudonimów imiona *Daniło* i *Pawło* przybierają natomiast wyraźnie ukraińską postać językową dzięki zmianie paradygmatu imienia podstawowego $-o > -o$.

Nazwy własne w prozie Paulina Świącickiego

Do głównych zadań onomastyki literackiej, sytuującej się na pograniczu językoznawstwa i literaturoznawstwa³¹, należy analiza funkcji nazw własnych w utworze oraz ustalenie relacji nazw autentycznych i fikcyjnych w dziele literackim³², a także wskazanie ich związków z określonymi nurtami stylistycznymi³³. „Podstawową funkcją nazw osobowych w tekście literackim jest nazywanie i wyodrębnianie postaci literackich, współtworzących wykreowaną społeczność

²⁹ D. Świerczyńska, *Paulin Świącicki...*, s. 202.

³⁰ О. Середя, *Павлин Свенціцький у суспільному житті Галичини: до історії польського українофільства*, в: *Україна: культурна спадщина, національна свідомість, державність*. Вип. 15: *Confraternitas*. Ювілейний збірник на пошану Ярослава Ісаєвича, ред. М. Крикун, Львів 2006–2007, с. 477, www.inst-ukr.lviv.ua/files/23/470Sereda.pdf [dostęp: 27.02.2021].

³¹ I. Sarnowska-Giefing, *Onomastyka literacka dziś – przełomy czy kontynuacje?*, w: *Nowe nazwy własne – nowe tendencje badawcze*, red. A. Cieślukowa, B. Czopek-Kopciuch, K. Skowronek, Kraków 2007, s. 559.

³² K. Handke, *Nazewnictwo jako narzędzie ekspresji*, w: *Onomastyka literacka*, red. M. Biolik, Olsztyn 1993, s. 48.

³³ R. Mrózek, *Nazwy własne jako przedmiot badawczy onomastyki*, w: *Nazwy własne w języku, kulturze i komunikacji społecznej*, red. R. Mrózek, Katowice 2004, s. 16; por. I. Sarnowska-Giefing, *Onomastyka literacka wobec współczesnej stylistyki*, w: *Nazwy mówią*, red. M. Pająkowska-Kensik, M. Czachorowska, Bydgoszcz 2004, s. 23.

utworu”³⁴. Poza funkcją denotacyjną i dyferencjacyjną, właściwymi także sferze uzualnej³⁵, onimia literacka pełni też szereg funkcji artystycznych: lokalizacyjną w aspekcie czasowo-przestrzennym, socjologiczną, ekspresyjną, aluzyjną, treściową itd.³⁶ W przypadku funkcji artystycznych, nazewnictwo literackie uczestniczy w umiejscowieniu fabuły i losów postaci, wskazuje na ich przynależność społeczną, narodową i środowiskową, opisuje bohaterów i miejsca, odsyła – bezpośrednio lub w sposób zakodowany – do konkretnych osób i miejsc³⁷. Są to zatem nie tylko funkcje onomastyczne, ale też pragmatyczne, odpowiadające celom komunikacyjnym wypowiedzi zawierających *nomina propria*³⁸, i semantyczne, stanowiące zamierzony i celowy nośnik treści³⁹. Wśród badaczy-onomastów toczy się też dyskusja na temat nadrzędności jednych funkcji nad innymi w utworze literackim⁴⁰. Z polemiką w tym zakresie nie spotykamy się zresztą wyłącznie na gruncie polskim⁴¹.

Onomastyka literacka zawsze ma charakter wtórny, jest odbierana jako subiektywne odzwierciedlenie przestrzeni uzualnej⁴². Owa wtórność w stosunku do innego rodzaju tekstów mówionych i pisanych nie dotyczy jedynie nazw będących wynikiem kreacji własnej autora⁴³.

Analizy nazw własnych w utworach literackich można dokonywać z różnej perspektywy. Celem niniejszego opracowania jest przede wszystkim ukazanie

³⁴ I. Łuc, *Nazwy własne w literaturze dziecięco-młodzieżowej Małgorzaty Musierowicz*, Katowice 2007, s. 62.

³⁵ Por. A. Siwiec, *Nazwy osobowe w „Schodami w górę, schodami w dół” Michała Choromańskiego*, w: *Onomastyka literacka*, red. M. Biolik, Olsztyn 1993, s. 187.

³⁶ A. Wilkoń, *Nazewnictwo w utworach Stefana Żeromskiego*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1970, s. 82–111; Ł. M. Szewczyk, *Nazewnictwo literackie w twórczości Adama Mickiewicza*, Bydgoszcz 1993, s. 15–16.

³⁷ Por. Ł. M. Szewczyk, *Nazewnictwo literackie...*, s. 16, 112–154.

³⁸ I. Sarnowska-Giefing, *Onomastyka literacka dziś...*, s. 566.

³⁹ Ł. M. Szewczyk, *Nazewnictwo literackie...*, s. 13–14.

⁴⁰ Zob. A. Cieślíkowa, *Nazwy własne w różnych gatunkach tekstów literackich*, w: *Onomastyka literacka*, red. M. Biolik, Olsztyn 1993, s. 33; I. Domaciuk-Czarny, *Nazwy własne w przestrzeni literackiej i wirtualnej typu fantasy*, Lublin 2015, s. 139.

⁴¹ Zob. H. Munia, *Nazwy własne w utworach rosyjskiej prozy wiejskiej XX wieku*, Lublin 2013, s. 23.

⁴² Ф. Пашаева, *Эволюция имени собственного в русской литературе XIX века и ее отражение в творчестве Ф. М. Достоевского*, Баку 2017, с. 11.

⁴³ A. Cieślíkowa, *Nazwy własne...*, s. 33.

zasobu nazw, występujących w cyklu pt. *Opowieści stepowe. Pisma prozą* wraz z krótkimi uwagami interpretacyjnymi⁴⁴. Przedstawione w tekście spostrzeżenia nie wyczerpują wszystkich możliwości eksploracyjnych, nie pretendują zatem do miana typowego studium z zakresu nazewnictwa literackiego. Niemniej, mogą one stanowić punkt wyjścia do dalszych badań onomastycznych nad onimią w utworach Świącickiego, a pośrednio – do zgłębienia jego twórczości w ujęciu całościowym.

1. Antroponimy

a) Imiona

W omawianym cyklu wystąpiło ponad 200 różnych form imiennych. W wymiarze statystycznym imiona męskie dominują nad antroponimami żeńskimi.

Część imion męskich pojawiła się w formach pełnych: *Achmet* (PL 185)⁴⁵, *Adam* (Mo 576), *Aleksander* (T I 302), *Ali* (PL 166), *Apollin* (T I 296), *Artem* (OS NS 647), *Bartłomiej* (T I 233, T II 420), *Bohdan* (OS Pod 713), *Bolestaw* (WdP 747), *Damian* (OS G 610), *Chwedor* (PL 78), *Dmytro* (Mo 564, OS NS 636), *Ewaryst* (T II 498), *Filip* (WdP 739), *Franciszek* (T II 388, Mo 562), *Fazył*⁴⁶ (OS G 612), *Fritz* (OS CG 702), *Gira*⁴⁷ (PL 165), *Hans* (OS CG 699), *Harasym* (OS NS 662), *Herman* (OS CG 703), *Hryhor* (PL 92, T I 241, T II 420), *Ignacy*

⁴⁴ Por. np. klasyfikację imion w artykule Józefa Bubaka (J. Bubak, *Imiona w polskiej prozie fabularnej z przełomu XVIII i XIX wieku*, w: *Onomastyka literacka*, red. M. Biolik, Olsztyn 1993, s. 107–111).

⁴⁵ Liczne nazwy własne powtarzają się wielokrotnie w obrębie poszczególnych utworów. Z tego też względu dla oszczędności miejsca ograniczono się do podania jednego (zazwyczaj pierwszego) poświadczenia występowania onimu w danym dziele. W przypadku powieści *Trójka* tom I i II potraktowano oddzielnie, co odpowiada podziałowi strukturalnemu w obrębie całego cyklu pt. *Opowieści stepowe. Pisma prozą*. Rozwiązanie skrótów zamieszczono na końcu tekstu (przed wykazem bibliograficznym).

⁴⁶ Niektóre imiona pochodzące z tatarsko-tureckiego kręgu językowo-kulturowego mogły występować w nieco odmiennych wariantach w zależności od ich funkcjonowania w poszczególnych językach. Na przykład: *Mustafa* – baszkirskie, krymsko-tatarskie, *Kiram* – baszkirskie, tatarskie, *Raszid* – karaczajsko-bałkarskie, nogajskie, tatarskie, adygejskie, *Fazył* – tatarskie, *Fazył* – nogajskie, krymsko-tatarskie, *Muchammed* – tatarskie, *Girej* – kabardyno-czerkieskie (grupa iberokaukaska), *Gulnara* – tatarskie itd. (zob. A. B. Суперанская, *Справочник личных имен народов РСФСР*, Москва 1987).

⁴⁷ Por. też nazwę dynastyczną *Girejowie*.

(T I 280), *Ilia*⁴⁸ (?) (OS NS 669), *Iwan* (PL 105, T I 270, T II 396, Mo 563, OS Pod 714) / *Jan* (PL 127, T II 504), *Józef* (T I 365) / *Osyp* (PL 79), *Juchym* (T I 253), *Kalasanty* (T I 280), *Kasper* (T II 415), *Krzysztof* (PL 189), *Lejba* (T I 369), *Maciej* (T II 385), *Mohamed* (T I 355) / *Mahomet* (OS NS 654, OS Pod 714), *Makar* (Mo 561), *Maksym* (PL 82, T I 325, T II 450), *Marek* (T I 347, T II 424), *Matwój* (PL 79, T I 260, OS NS 655), *Mendel* (T I 292), *Michał* (T II 386, Mo 566), *Mitrofan* (T I 245) / *Mytrofan* (T I 251), *Mustafa* (OS Pok 710), *Naftuła* (T I 361), *Napoleon* (T I 302, T II 442), *Ochrym* (OS NS 682), *Omar* (T I 295), *Opanas* (T I 240, T II 398, OS Pod 714), *Ostafi* (OS CG 697) / *Ostap* (OS CG 701), *Pafnucy* (T I 280, T II 442), *Pedro* (T II 418) / *Piotr* (T I 304, T II 389), *Prokop* (OS G 610, OS CG 698), *Protazy* (T II 386), *Reszyd* (OS NS 665), *Salamon* (WdP 733) / *Salomon* (WdP 739), *Semen* (PL 84, T I 289, T II 398, OS NS 647, OS Pod 717), *Skinder* (OS NS 657), *Szmul* (T I 360), *Szymon* (T I 238, T II 441), *Walenty* (WdP 732), *Wasył* (PL 80, OS NS 672), *Wincenty* (WdP 732), *Władysław* (WdP 748), *Włodzimierz* (T I 303, T II 390), *Zawisza* (WdP 748), *Zygmunt* (WdP 748).

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w przypadku onomastyki literackiej podział imion pełnych na oficjalne i potoczne nie jest zasadny w takim stopniu, jak przy ich analizie w sferze uzualnej. Nie zawsze można też uchwycić ową polaryzację *forma oficjalna* – *forma potoczna* w warunkach kulturowego zróżnicowania, z jakim mamy do czynienia w utworach Świącickiego. Trudności pojawiają się przy próbie ustalenia, czy daną nazwę należy uznać za formę oficjalną w obiegu administracyjnym (tu np. w ukraińskim narodowym onomastykonie), czy rozpatrywać ją jako wtórną (a więc potoczną) względem formy kanonicznej, używanej w sferze religijnej. Ponadto, nie zawsze wiadomo, jakiego obrządku jest konkretny bohater, a forma jego imienia nie zawsze musi na to jednoznacznie wskazywać. Nie jest też możliwe określenie, czy mamy do czynienia z formą potoczną czy z wariantem wschodniosłowiańskim spolszczonym przez autora na potrzeby języka utworu.

Mimo problemów towarzyszących ustaleniu statusu niektórych form imiennych, zwraca uwagę biegunowość dwóch zbiorów antroponimów: oficjalnego (do którego należą m.in. imiona *Bartłomiej*, *Damian*, *Krzysztof*, *Maciej*, *Protazy*) i potocznego (*Chwedor*, *Hryhor*, *Juchym*, *Opanas*, *Semen*, *Wasył* i in.). Do form podstawowych zalicza się też imiona wschodniosłowiańskie pozbawione cerkiewnej

⁴⁸ Por.: „*Tu był Ilia z trzema synami*”.

końcówki *-ij* (przy założeniu, że dana forma jest pochodną imienia cerkiewnego, np.: *Artem* – por. cerk. *Artiemij*, *Makar* – por. cerk. *Makarij*; *Prokop* – por. cerk. *Prokopij*), jak też imiona ze zmienionym paradygmatem⁴⁹, np.: *Naftuła* – por. *Naftali*, *Dmytro* – por. *Dymitr*, *Dimitrij*).

Licznie w utworach Paulina Świącickiego wystąpiły też derywaty imion męskich: *Abramko* (T I 312), *Bacio* (T I 233), *Fipcio* (WdP 736), *Franc* (Mo 583, OS CG 703), *Franio* (Mo 563), *Herszko* (T I 280, T II 457), *Hnat* (OS NS 636), *Hrycek* (T I 239), *Hryćko* (T I 240), *Hrynia* (OS NS 647, OS Pok 709), *Hula*⁵⁰ (PL 114), *Icek* (T I 233, T II 443), *Icunio* (T II 443), *Ilko* (OS G 614), *Iwanek* (PL 92), *Iwanko* (PL 84), *Iwańczyk* (T II 549), *Iwasiek* (PL 87), *Iwasio* (PL 83, T II 469), *Iwaszko* (T II 423), *Iwaś* (PL 85, T II 400), *Jankiel* (T I 314), *Jasio* (PL 107), *Jaś* (T I 336), *Joś* (PL 183, T I 341), *Józek* (T I 365), *Kłym* (OS NS 680), *Kuba* (T I 296), *Kubus* (T I 296, T II 390), *Maciuś* (T II 414), *Michałko* (T II 415), *Misza* (Mo 568), *Mojsze* (T I 346), *Moszko* (T I 294, T II 410), *Pańko* (T I 243, T II 395), *Pawłuk* (PL 155; por. niżej), *Piotruś* (T II 491), *Semko* (OS NS 686), *Seńko* (OS NS 647), *Sobko* (PL 112), *Staś* (T I 336), *Stefanek* (T I 347), *Szymcio* (T I 235, T II 408), *Szymek* (T I 311), *Szymonek* (T I 235, T II 444), *Tymosz* (OS Pod 717), *Wańka* (Mo 569), *Włodzio* (T I 304), *Włodziuś* (T I 334).

Jak pokazuje materiał, formy derywowane ukształtowały się w wyniku derywacji alternacyjnej (np. *Hnat*, *Kłym*) lub sufiksальной, niekiedy połączonej z paradygmatyczną lub alternacyjną. Wśród derywatów sufiksalnych dominują formy z sufiksem zawierającym element spółgłoskowy *-k-* (np. *Abramko*, *Herszko*, *Ilko*, *Moszko*, *Stefanek* itd.).

Pojedyncze imiona to prawdopodobnie efekt nazwotwórczej kreacji autora, np. *Aplapuf* (T I 352)⁵¹, *In-gu-theem-tum-mat* (T II 417).

W kilku sytuacjach Świącicki używa wieloskładnikowej formuły imiennej: *Alfons*⁵² *Rodryg Napoleon* (T I 324) / *Apollin Rodryg Napoleon* (T I 296, T II 390) / *Rodryg Napoleon* (T I 297), *Jan Kazimierz* (WdP 748), *Jan Maria* (T I 339),

⁴⁹ Zob. L. Citko, *Nazewnictwo osobowe północnego Podlasia w XVI w.*, Białystok 2001, s. 27, 32–33.

⁵⁰ *Hul*, *Hul* < *Julian* (Zob. Z. Abramowicz, L. Citko, L. Dacewicz, *Słownik historycznych nazw osobowych...*, t. I, Białystok 1997, s. 119).

⁵¹ Por. przypis redakcji w tekście utworu.

⁵² Prawdopodobnie pomyłka autora. W pozostałych przypadkach *Apollin*.

Juliusz Cezar (T I 302), *Mojsze Mendel*⁵³ (T I 346), *Władysław Jagiełło*⁵⁴ (WdP 748) oraz *Fazyl-Kiram* (OS G 612).

W jednym przypadku zastosowanie wieloimienności ma na celu podkreślenie wysokiego statusu społecznego nosiciela. Jednakże, w kontekście losów hrabiego Porowskiego (pierwszy przykład) wieloimienność ta wywołuje efekt komizmu, zwłaszcza że tworzą ją imiona nacechowane konotacyjnie. Podwójnym imieniem pieczętuje się chan tatarski Fazyl-Kiram. W innych sytuacjach podwójne imię jest związane najczęściej z przywoływaniem przez narratora postaci autentycznych: Juliusza Cezara, króla Jana Kazimierza i producenta pierwszej na świecie wody kolońskiej Jana Marii Fariny.

Z zasobu antropimów żeńskich wystąpiły następujące formy podstawowe imion: *Alfonsyna* (T I 297), *Aniela* (T II 513), *Anna* (PL 144) / *Hanna* (PL 227, OS Pod 712), *Berta*⁵⁵ (T II 516), *Emilia* (WdP 742), *Eulalia* (T I 304, T II 390), *Gulnara* (OS G 617), *Helena* (T I 305, T II 392) / *Otena* (PL 118, T II 467, OS CG 698), *Filomena* (T I 316), *Hermenegilda* (OS CG 703), *Ida* (T II 513), *Karolina* (T I 365, T II 409), *Katarzyna* (T II 409), *Kunegunda* (T I 237, WdP 748), *Margarita* (OS CG 703), *Maria* (PL 139⁵⁶, T II 398), *Pepitta* (T I 345, T II 459) / *Pepita* (T I 348, T II 428), *Prunella* (T II 516), *Rosetta* (T I 345, T II 459) / *Rozeta* (T I 348) / *Rozetta* (T I 348), *Prakseda* (T I 306, T II 392), *Różia* (T I 369, Mo 563, WdP 731) / *Róża* (Mo 565), *Serafina* (WdP 730), *Sura* (T I 369), *Teofila* (T I 352), *Warwara* (PL 82).

Wśród form derywowanych wystąpiły imiona z formantem *-ka*: *Chajka* (T I 252, T II 447, OS NS 643), *Hannoczka* (OS NS 686), *Helka* (T I 303), *Nastka* (PL 213), *Paraska* (PL 215), *Pażka* (OS NS 686), *Zośka* (T I 347, T II 424), *-sia*: *Fosia* (T I 298, T II 415), *Gisia* (T I 359), *Jagusia* (T I 304), *Joasia* (WdP 731), *Kasia* (T I 374), *Kunusia* (T I 234), *Losia* (T I 359), *Magdusia* (T I 368, T II 419), *Misia* (T I 359), *Olesia* (T II 424), *Zosia* (WdP 731), *-cia*: *Emcia* (T II 450), *Karolcia* (T I 371), *-nia*: *Hania* (PL 99, T I 369), *Helunia* (T I 310, T II 391), *Marynia*⁵⁷ (T I 361), *Parania*

⁵³ Kontekst nie pozwala jednoznacznie wnioskować, czy mamy tu do czynienia z podwójnym imieniem, czy drugi składnik formuły antropimicznej pełni rolę innego, niż imię, określenia.

⁵⁴ *Jagiełło* – litewskie imię pogańskie.

⁵⁵ Zob. W. Janowowa i in., *Słownik imion...*, s. 50.

⁵⁶ W powieści *Przed laty* imię wystąpiło jako celowy „błąd” autora (zob. przypis redakcji w tekście utworu).

⁵⁷ W przypadku derywatów *Hania*, *Helunia*, *Marynia* można mówić zarówno o dodaniu do podstaw skrótowych formantu *-nia*, jak też o zmiękczeniu wygłosowego fragmentu imienia

(PL 111, T I 307, T II 396), *-dzia: Handzia* (OS NS 632). Kilka imion powstało w wyniku derywacji alternacyjnej bezsufiksальной: *Horpyna* (T I 238), *Lola* (T I 298, T II 489), *Motra* (T I 300, T II 410), *Nastia* (PL 96, OS NS 686), *Ulana* (OS G 609).

W dwóch przypadkach narrator stosuje formułę dwuimienną: *Alfonsyna Eulalia* (T I 297) oraz *Fosia Lola* (T I 298). Oba zestawienia identyfikują tę samą osobę – za pomocą imion pełnych i form derywowanych.

Największa grupa zacytowanych imion to antroponimy pochodzenia semickiego, greckiego, łacińskiego, słowiańskiego i germańskiego związane z nurtem chrześcijańskim, w większości używane zarówno przez wyznawców obrządku łacińskiego (rzymskokatolickiego), jak i bizantyjskiego (greckokatolickiego i/ lub prawosławnego). Nawet pobieżne zapoznanie się z treścią utworów Świecickiego pozwala stwierdzić, że większość imion i ich form w wersji polskiej służy do identyfikacji bohaterów reprezentujących wyższe klasy społeczne. Imiona w wariantach wschodniosłowiańskich dotyczą najczęściej przedstawicieli prostego ludu. Wystąpiły również imiona wyrastające z tradycji judaizmu. Ich nosicielami byli wyznawcy religii możeszowej, licznie zamieszkujący miejscowości opisane przez Świecickiego. Imiona muzułmańskie pojawiły się w kontekście postaci „obcych”, a więc Tatarów, Turków, z którymi Kozacy prowadzili liczne potyczki zbrojne. Utwory dostarczają też przykładów imion zachodnioeuropejskich, odnoszących się, w większości, do bohaterów przybyłych (na stałe lub tylko czasowo) na terytoria będące miejscem wydarzeń w omawianych tekstach⁵⁸.

Imiona w wersji nieoficjalnej identyfikują głównie przedstawicieli niższych warstw społecznych, służą więc do charakteryzowania socjalnej, ale też narodowej i zawodowej przynależności nosicieli⁵⁹.

Niektórzy bohaterowie na przestrzeni całego utworu są identyfikowani wyłącznie przy użyciu imienia, ale znajdują też poświadczenie sytuacji, w których

bez towarzyszącej temu procesowi sufiksacji.

⁵⁸ Analiza etymologiczna poszczególnych imion nie jest przedmiotem niniejszego opracowania, ponieważ, jak stwierdza Aleksandra Cieślikowa, „bohater [...] nosi takie imię ze względu na popularność imienia, a nie ze względu na jego znaczenie etymologiczne, czyli tzw. funkcję treściową. Nikt oprócz onomastów nie etymologizuje nazw w dziele literackim, a więc trudno w wypadku takiego zabiegu mówić o funkcji, chyba, że informacja o związku z etymologią zawarta jest w tekście lub literaturze uzupełniającej (listy, pamiętniki, wywiady)” (zob. A. Cieślikowa, *Nazwy własne...*, s. 38).

⁵⁹ Por. K. Długosz, *O funkcjach nazw własnych w baśniach, podaniach i legendach różnych regionów Polski*, w: K. Długosz, *Z zagadnień nazw własnych*, Gorzów Wielkopolski 2014, s. 62.

taki sposób nominacji występował obocznie z innymi formułami antroponimicznymi (nazwisko, imię + nazwisko, nazwisko, imię + przezwisko / pseudonim itd.). Identyfikacja bohaterów reprezentujących niższe warstwy społeczne za pomocą jednego tylko imienia mogła być uwarunkowana społecznie lub była spowodowana faktem, że przedstawiciele tej klasy w czasach opisanych w utworach (także w okresie współczesnym autorowi) w ogóle nie posiadali nazwisk⁶⁰.

b) Patronimy

Antroponimy męskie (imiona, przyzwiska) często służyły za podstawę do tworzenia form patronimicznych i marytonimicznych. W zakresie męskich patronimików odnajdujemy kilka form zróżnicowanych słowotwórczo: [*Semko*] *Kwitczyn*⁶¹ (OS NS 686), *Ochrymów* lub *Ochrymowy*⁶² [*Wasyl*] (OS NS 680), *Pawluk* (PL 155; por. wyżej).

Męskie patronimica na terytoriach wielkoruskich przekształciły się w otczestwa i takie formacje również są poświadczane w tekstach Świącickiego. Wystąpiły one w powieści *Moskal*, której już sam tytuł stanowi niejako uzasadnienie użycia form patronimicznych w takiej właśnie funkcji: [*Iwan*] *Iwanowicz* (Mo 563), [*Makar*] *Fiodorowicz* (Mo 582) / [*Makar*] *Fiodorowicz* [*Pytkin*] (Mo 561), [*Misza*] *Makarowicz* (Mo 591).

Żeńskie formacje patronimiczne zostały urobione na drodze dodania przyrostka *-ówna*: [*Ulana*] *Damianówna* (OS G 609; od im. ojca *Damian*), [*Maria*] *Sotohubówna* (T II 398) / *Sotohubówna* (T II 399; od przyzwiska lub nazwiska ojca *Sotohub* / *Sotohuba*). Znajdziemy też jedną formę z sufiksem *-(cz)yna*: [*Pażka*] *Kowalczyzna* (OS NS 686; przypuszczalnie od nazwy zawodu ojca, która z czasem utrwaliła się jako nazwa własna: *kowal* > *Kowal*; być może od formy typu *Kowalec*).

c) Marytonimy

Odnajdujemy kilka przykładów, w których kobieta była nazywana za pomocą formacji syntetycznej pochodnej od antroponimu męża: *Chwedorowa* (PL 80),

⁶⁰ Por. Ф. Пашаева, *Эволюция имени собственного...*, s. 36–37.

⁶¹ Nie jest wykluczone, że mogła to być forma matronimiczna (por. *Kwitka* – męska lub żeńska n.os.).

⁶² Forma zrekonstruowana z biernika: *Ochrymowego Wasyla*.

[*pani*] *Bartłomiejowa* (T I 234, T II 422), [*pani*] *Herszkowa* (T I 351), *Iwanowa* [*Paraska*] (PL 217), [*pani*] *Kostiukowa* (T I 301) / *Kostiukowa* (T I 315), *Maciejowa* (T I 280), [*pani*] *Mateuszowa* (T II 412), *Pawlicowa* (T I 316), *Rotkirchowa*⁶³ (OS CG 706).

Najczęściej forma żeńska pochodziła od imienia męża, co znajduje potwierdzenie w dziełach Świącickiego (z imionami mężów spotykamy się bezpośrednio w utworach). Niektóre kobiety były identyfikowane w różny sposób: za pomocą formy marytonimicznej lub imienia własnego, np.: *Bartłomiejowa* / *Kunegunda*, *Chwedorowa* / *Nastka*, *Mateuszowa* / *Katarzyna*. Forma *Rotkirchowa* jest derywatem od nazwiska męża zakończonego na spółgłoskę, zaś antroponim *Pawlicowa* przypuszczalnie należy wiązać z formą imienia męża (**Pawlic* / **Pawlica*) lub jego patronimem (**Pawlic*).

d) Nazwy małżeństw

Imiona mężów mogły też stanowić podstawy do ukształtowania się antroponimu określającego małżeństwo. Tego typu nazwy wystąpiły jako derywaty z formantem *-ostwo*: *Chwedorostwo* (PL 87), [*państwo*] *Bartłomiejostwo* (T I 234, T II 443), [*państwo*] *Mateuszostwo* (T II 414) oraz *-owie*: *Chwedorowie* (PL 83).

e) Nazwiska

Za nazwiska bezspornie należy uznać struktury derywowane formantem *-ski*, *-cki* (*-ska*, *-cka*, *-scy*, *-ccy*). W utworach Świącickiego tworzą one stosunkowo liczny zbiór: *Baraniecki* (T II 415), *Barski* (Mo 562) / *Barska* (Mo 575) / *Barscy* (Mo 566), *Bużewski* (T I 303, T II 390) / *Bużewska* (T II 391) / *Bużewscy* (T II 394), *Koguccy* (T I 237), *Korecka* (OS CG 703) / *Koreccy* (OS CG 697), *Kossakowska* (PL 189), *Leszczyński* (WdP 749), *Kruccki* (T II 386), *Łaski* (Mo 590), *Malinowska* (T I 326), *Muczowska* (PL 111), *Napierski* (WdP 748), *Orzelski* (T II 409) / *Orzelska* (T II 424) / *Orzelscy* (T II 409), *Porowski* (T I 295, T II 390) / *Porowska* (T I 296, T II 390) / *Porowscy* (T I 296, T II 498), *Potocki* (T II 409), *Rawska* (T I 303, T II 390), *Rzepecki* (T I 357), *Słonecka* (T II 404), *Sołomerecki* (OS Pod 712), *Trocki* (PL

⁶³ Tak mówi Fritz o Olenie jako swojej przyszłej żonie.

210), *Warzecka* (T I 362), *Zbaraski* (PL 189), *Złodzicki* (T I 233, T II 422) / *Złocicki* (T II 441) / *Złodziejcki*⁶⁴ (T I 311) / *Złodzicka* (T II 513) / *Złodzicy* (T I 235).

W przeszłości antroponimy reprezentujące ten model nazwiskowy w znakomitej większości posiadały motywację realnoznaczeniową – były tworzone od nazw miejscowych i wskazywały, kto jaką miejscowość posiadał lub z jakiej miejscowości pochodził⁶⁵. Sufiks *-ski* (i jego pochodne) mógł także pełnić funkcję strukturalną. Nazwiska tego typu od dawna uchodziły za „typowo szlacheckie” i „typowo polskie” (zob. *Wstęp*). Odznaczały się one wysokim prestiżem społecznym. W utworach Świącickiego rzeczywiście służą one do identyfikacji osób narodowości polskiej, reprezentujących wyższe stany socjalne. Nie bez powodu formuły nazewnicze zawierające nazwiska na *-ski* poprzedzone są określeniami eksponującymi pozycję nosicieli, np.: *pan Krucki*, *pan marszałek Złocicki*, *pani Stonecka*, *panna Róża Barska*, *państwo Bużewscy*, *hrabi Orzelski*, *hrabina Orzelska*, *hrabstwo Porowscy*. Obecność w utworach Świącickiego nazwisk na *-ski* i ich współwystępowanie z nazwiskami reprezentującymi inne modele antroponimiczne (przede wszystkim pochodzenia apelatywnego) pozwala mówić o zróżnicowaniu socjologicznym i, bardziej ogólnie, o funkcji socjologicznej antroponimów⁶⁶. Pojawiają się też inne sformułowania korespondujące ze statusem nosicieli nazwisk z omawianym formantem, np. w *dworku Barskich* (Mo 579).

Nazwiskami w dzisiejszym rozumieniu były też inne antroponimy użyte przez Paulina Świącickiego. W stosunku do niektórych antroponimów pojawiają się sformułowania wyraźnie nawiązujące do całej rodziny / rodu: *Mohyla* (T II 396; występują określenia „*chata Mohylów*” (T II 400), por. też: „*Kozacki ród Mohylów*” (T II 398), „*ostatni z tego rodu*, *Semen Mohyla*” (T II 398)), *Kielbasa* (T I 296, T II 407; por.: „*pochodził z litewskiej rodziny Kielbasów (czy Kielbas – nie wiem jak gramatycznie)*” (T I 296)). Spośród nazw rodowych wymienieni są też *Wydźgowie* (WdP 747; nazwa autentyczna) oraz *Witgenowie* / *Wittikenowie* (WdP 747; nazwy nierealistyczne (?)). Inne antroponimy – zwłaszcza proveniencji germańskiej – występują z leksemami podkreślającymi rodzinny status nazwy: *Knedel* (T II 515; zawsze w sformułowaniu *pani von Knedel*), *Rotkirchowie* (OS CG 703) / *Rotkirchy*

⁶⁴ Jako forma okazjonalna; tak napisał w dzieciństwie Szymon Złodzicki w momencie, kiedy nie posiadał jeszcze zdolności poprawnego pisania.

⁶⁵ Z. Kaleta, *Nazwisko w kulturze...*, s. 44.

⁶⁶ Zob. I. Sarnowska-Giefing, *Nazewnictwo w nowelach i powieściach polskich okresu realizmu i naturalizmu*, Poznań 1984, s. 83; A. Siwiec, *Nazwy osobowe...*, s. 190–191.

(OS CG 708) / *Rotkirch* (OS CG 699) / *Rotkirchowa*⁶⁷ (OS CG 706; często w połączeniu z *graf* (*graf Rotkirch*), *von* (*von Rotkirch*)), *Wittgensztejn* (T II 449; „*kupił ze stadniny Wittgenszteina*”), *Tytz* (T II 415; *pan Tytz*), *Oksman* (T I 351, T II 426; w tomie II *Trójki* w połączeniu z leksemem *baron*). Odnotowane są nazwiska typowe dla ziem wielkoruskich: *Kutow* (Mo 602), *Pytkin* (Mo 561). Pojawiają się też dwie formy patronimiczne: *Ułanowicz* (T I 363) oraz *Nehabidowicze* (T I 347). Pierwsza odnosi się do osoby duchownej i kontekst raczej wyklucza użycie w innej, niż nazwisko, funkcji (por. cytat: „*Pamiętasz, jak to nam ksiądz Ułanowicz wykladał*”), druga zaś dotyczy rodziny *Nehabidowiczów* („*ładna dziewczyna Zośka, co służy u Nehabidowiczów*”), a więc niejako opatrzonej wspólnym onimem, choć może mamy tu do czynienia z formacją patronimiczną w czystej postaci (dziedziczność nazwy nie jest potwierdzona w tekście). Formę *Pawłuk* (PL 155) można traktować zarówno jako nazwisko typu patronimicznego z formantem *-uk*, jak też w charakterze patronimu właściwego lub hipokorystyczno-deminutywnego wariantu imienia własnego (o czym zob. wyżej). Do grupy nazwisk zaliczono też formę *Kopytko* (T II 385; „*obywatel*”; występuje w połączeniach: *pan Maciej Kopytko*, *pan Kopytko*, *panowie Maciej Kopytko i Krucki Protazy*), nazwisko Żyda *Pikeles* (T I 355; „*poważnemu rabbi Mojsze Pikeles*”) oraz nazwiska sztuczne: *Pigulini* (T II 414) / *Bibulini* (T II 416) i *Diez-Chuas-Alhambra* (T II 418), które zostały nadane bohaterom *Trójki* w konkretnych celach, o których dowiadujemy się w toku akcji powieści.

Nazwiskami są także określenia występujące po imieniu odnoszące się do realnych postaci historycznych. Pojawiają się w wypowiedziach narratora lub bohaterów: *Baka* (T I 381; ks. Józef Baka), *Bismark* (T I 302, T II 445; Otto von Bismarck), *Cuvier* (T I 282; zoolog Georges Cuvier), *Hegel* (PL 110; filozof Georg Wilhelm Hegel), *Hogart* (T II 513; malarz i wolnomularz William Hogarth), *Farina* (T I 339; producent pierwszej wody kolońskiej Giovanni Maria Farina), *Kolumb* (WdP 731; żeglarz i podróżnik Cristoforo Colombo), *Meternich* (T II 449; polityk Klemens Lothar von Metternich), *Mezzofanti* (T II 418; kardynał i językoznawca Giuseppe Gasparo Mezzofanti), *Morison* (T I 314; pseudofarmaceuta James Morisson), *Niesiecki* (T I 301; genealog, pisarz i jezuita Kasper Niesiecki), *Pac* (WdP 738; generał Ludwik Michał Pac; występuje w powiedzeniu), *Rotszild* (T I 352; Rothschildowie – bogata rodzina niemieckich Żydów). Do nazwisk

⁶⁷ Por. wyżej.

przypuszczalnie odnoszą się również: pojawiający się w opowiadaniu *Wycieczka do Pionin* antroponim *Żyszka* (WdP 748; czeski bohater narodowy Jan Žižka) oraz wspomniany w utworze *Czartowa Góra* antroponim *Sahajdaczny* (OS CG 697; hetman kozacki Petro Konaszewicz-Sahajdaczny), jednak w tych dwóch przypadkach można poddać w wątpliwość, czy rzeczywiście interesujące nas onimy pełniły funkcję nazwisk (nawet w kontekście pojmowania terminu *nazwisko* w czasach współczesnych Świącickiemu).

Przywołanie postaci historycznych często jest wykorzystywane przez autora jako środek porównań zachowań i działań bohaterów lub sytuacji opisanych w utworach. Autentyczną jest też nazwa dynastii *Burbonów* (T I 324), pojawiająca się w kontekście hipotezy narratora o pokrewieństwie Porowskich z rodem królewskim.

f) Przewwiska

Dwie nazwy własne można odnieść do kategorii przewwisk: *Nurek* (T II 428; przewwisko Pańka) i *Parys* (T I 300, T II 390) / *Parysek* (T I 294). Forma *Parys* wielokrotnie używana przez rodzinę, przyjaciół, a przede wszystkim przez samego nosiciela – Kubusia Porowskiego urasta właściwie do rangi imienia, choć formalnie imieniem nigdy nie była. W przypadku tych dwóch głównych bohaterów *Trójki* można odnaleźć fragmenty opisujące okoliczności powstania przewwisk, czyli motywy onimiczne⁶⁸: „*dałem nurka, nurkuję i jestem nurkiem*” (T II 428; słowa Pańka); określenie *Parys*, nadane przez rodziców, wynikało zapewne z ich zamiłowania do francuszczyzny: „*hrabina robiła toaletę, hrabia czyścił paznokcie, gwiżdząc ulubione piosneczki paryskie*” (T I 298), „*plukali hrabstwo usta ciepłą wodą i mówili po francusku aż do uspienia pana Kielbasy*” (T I 298), „*małżeństwo prześcigało się wzajemnie w dawaniu nauk synowi [...]: miłość dla wszystkiego, co paryskie, poczwąwszy od akcentu, a na rękawiczkach skończywszy*” (T I 299).

Jeden z bohaterów powieści *Trójka* porównywany jest przez narratora do szlachetnego zbrojcy, herszta bandytów *Rinaldiniego* (T II 424). Rinaldo Rinaldini jest jednak produktem fikcji literackiej, co utrudnia zaklasyfikowanie tego onimu – w kontekście jego występowania w utworze Świącickiego – do konkretnej podgrupy.

⁶⁸ A. Siwiec, *Nazwy osobowe...*, s. 192.

g) Pseudonimy

W utworach Świącickiego wiele określeń antroponimicznych służy do identyfikacji Kozaków. W takich sytuacjach, jak się wydaje, można mówić nie tyle o przezwiskach, co o pseudonimach, często przecież występujących wśród członków formacji o charakterze militarnym. W analizowanym zasobie z dużym stopniem prawdopodobieństwa do pseudonimów można by zakwalifikować nazwy występujące jako jednoskładnikowe formuły antroponimiczne: *Czupryna* (OS Pod 717), *Dżuryło* (OS CG 698), *Iskra* (OS G 609), *Kremianiec* (OS NS 669; watażka), *Moroz* (OS NS 671), *Mucha* (PL 112; identyfikowany też za pomocą im. *Sobko*), *Skrypa* (PL 114), *Spisa* (PL 155, OS Pod 712; sotnik), *Stupa* (OS NS 678; kurennny), *Szwajko* lub *Szwajka*⁶⁹ (OS AM 695; były watażka), *Szwydki* (OS NS 662; kurennny), *Taraniec* (OS NS 662; ataman kurennny), *Wyrwydub* (PL 161; Kozak). W przypadku Kozaka *Czajki* (PL 180) w wyraźny sposób została przedstawiona scena chrztu bojowego, po przejściu którego *Iwanko* otrzymał takie właśnie „kozackie imię”. Pseudonimy kozackie mogły występować wraz z imieniem chrzestnym w zestawieniach dwuskładnikowych: *Semen Czoporyj* (OS NS 647), *Prokop Dżuryło* (OS CG 698), *Matwój Kormyha* (OS NS 655), *Seńko Komacha* (OS NS 647), *Seńko Moroczny* (OS NS 672), *Harasym Szwydki* (OS NS 662), *Iwan Czajka* (PL 185) / *Czajka Iwan* (PL 185), *Prokop Iskra* (OS G 610) / *Iskra Prokop* (OS G 624). Należy zauważyć, że w przypadku dwóch ostatnich bohaterów narrator – być może celowo – stosuje szyk przestawny chcąc w ten sposób podkreślić, że w środowisku kozackim nadany przez współbraci pseudonim jest ważniejszy od imienia chrzestnego stosowanego w życiu „cywilnym”. Podobną funkcję pełni też drugi element zestawienia *Artem Hrynja* (OS NS 647), choć etymologicznie nie jest to określenie apelatywne, lecz derywat imienia wschodniosłowiańskiego *Grigorij*.

Motywacja onimiczna tych określeń nie pojawia się wprawdzie w tekstach utworów, ale nietrudno zauważyć, że większość z nich to nazwy znaczące, które wskazują – w sposób dosłowny lub przenośny – na właściwość zewnętrzną lub charakterologiczną nosiciela. Zacytowane antroponimy mogły zatem odnosić się do takich cech jak siła fizyczna (*Kremianiec*, *Taraniec*, *Wyrwydub*), usposobienie (*Moroczny*), szybkość działania, spryt, zręczność (*Czajka*, *Iskra*, *Szwydki*), osobliwości wyglądu (*Czupryna*) itd., mogły być zaczerpnięte z nazewnictwa ze sfery

⁶⁹ Wariant zrekonstruowany z formy biernika: *Szwajkę*.

wojennej (*Dżuryło, Spisa*) lub odwoływać się do zjawisk społecznych, aktualnych w czasach opisywanych w utworach (*Kormyha* – por. ukr. *kormiha* ‘niewola’).

W tym miejscu należy umieścić wspomnianego przez Paulina Świącickiego w innym opowiadaniu *Zawiszę Czarnego* (WdP 748) – postać historyczną, w przypadku której drugi element zestawienia antroponimicznego pełni funkcję pseudonimu rycerskiego.

h) Przydomki

Do przydomków włączono nazwy będące składnikiem formuł antroponimicznych władców (postaci autentyczne): [*Aleksander*] *Wielki* (T I 302), [*Bolesław*] *Wstydlivy* (WdP 747), [*Władysław*] *Warneńczyk* (WdP 748), *Kara[-Mustafa]* (OS Pok 710).

i) Antroponimy o nieustalonym statusie

Część nazw ze względu na brak kontekstu sytuacyjnego może być interpretowana w różny sposób, np. jako nazwisko lub zantroponimizowane określenie apelatywne o charakterze przezwiskowym: *Ciupa* (T I 358; krawiec stolicy Podola), *Kulik* (T I 354; bedel szkolny), *Moroz* (T I 326; robiący interesy z panem Bartłomiejem), *Podsedek*⁷⁰ (T I 326), *Smuszek* (T I 280), *Szadhej* (T I 330). Występuje też niejaki [*szelma*] *Haczyk* (T II 523), którego określenie może być nazwiskiem, przezwiskiem, a nawet derywatem imienia (*Hacz-yk* < *Gabriel*). Drugi człon zestawienia *Mojsze Mendel* (T I 346) to przypuszczalnie drugie imię lub nazwisko.

Cytowany materiał pozwala stwierdzić, że Świącicki w swoich utworach wykorzystuje antroponimy do zabiegów stylistycznych. Z jednej strony, wprowadzając do treści szereg nazw osobowych realnych postaci historycznych stara się wywrzeć na odbiorcy wrażenie autentyczności opisanych zdarzeń. Z drugiej strony, identyfikuje swoich bohaterów wykorzystując antroponimy znaczące (mówiące), których obecność powoduje w świadomości czytelnika potraktowanie świata przedstawionego jako fikcji literackiej. Część onimów znaczących jest objaśniona przez samego Świącickiego, por.: „*A miał [Protazy Krucki] córkę Fosię [...], która imieniowi swemu wierna miała wiele fochów, a muchy nosa jej nie opuszczały nawet*

⁷⁰ W źródle zawsze wielką literą, ale być może chodzi o funkcję we władzach sądowniczych.

w grudniu” (T II 415), „pan Kuba nazywał się Kiełbasa, i [...] Kiełbasa handlował wieprzami!... Dlaczego wieprze mają pana w Kiełbasie? Gdy z porządku rzeczy kiełbasa powinna być od wieprzów zależną jako ich mała częśćka tylko?...” (T I 319). Inne nazwy zawierają pierwiastek „mówiący” w samej strukturze – na przykład kojarzące się z ap. *złodziej* nazwisko *Złodzicki* (aluzja do licznych występków bohatera). Czytelnikowi, któremu ta asocjacja nie przychodzi na myśl, narrator podpowiada takie skojarzenie za pomocą pewnej sceny, w której nieumiejący jeszcze dobrze pisać Szymonek podpisuje list do rodziców nazwiskiem *Złodziejski* (T I 311), uwydatniając niejako wartość konotacyjną pierwotnej wersji nazwiska. Określone asocjacje wywołuje też zmieniona wersja nazwiska tej postaci – *Złocicki* (por. ap. *złoto*, *złocić* o jednoznacznie pozytywnym nacechowaniu). Nie pozostaje przy tym bez znaczenia fakt, że bohater zaczął określać w ten sposób samego siebie, por.: „Zadziwił Kubusia list Szymonka – już nie Złodzickiego, ale Złocickiego” (T II 442). Wśród antroponimów znaczących znalazło się też nazwisko *sprawnika*, tj. naczelnika powiatowego, przedstawionego w powieści pt. *Moskal* jako postać negatywna – *Pytkin* (nazwa nieautentyczna realistyczna)⁷¹ – por. ros. ap. *pytki* ‘tortury (najczęściej podczas przesłuchania)’ oraz nazwisko doktora *Pigulini* (nazwa nieautentyczna nierealistyczna) – por. *piguły* ‘lekarstwa, tabletki’. W opowiadaniu *Wycieczka do Pionin* wielokrotnie pojawiło się imię przewodnika turystycznego *Salomon / Salamon* – człowieka o ogromnym zasobie wiedzy. Imię *Salomon*, jak wiadomo, posiada dość jednoznaczne zabarwienie konotacyjne (symbol mądrości; por. związek frazeologiczny *salomonowy wyrok*).

Niektóre antroponimy w omawianym cyklu utworów Święcickiego użyte są w znaczeniu przenośnym i służącym wyrażeniu generalizacji. W tym zakresie zaznaczają się imiona, por. np.: „I każdemu stanęła w myśli swoja Hanna” (OS Pod 713; tu w znaczeniu: kobieta bliska sercu, ukochana itp.); „I niejeden gdzie stał, tam się też i zwałił serdega, a rękami objął nogę od stołka w przekonaniu, że ściska Iwana czy Opanasa” (OS Pod 714; tu w znaczeniu: przyjaciela, osobę bliską).

Nazwy własne występujące w utworach, choć są elementem fikcji literackiej, mogą być nośnikiem informacji o historii, kulturze, tradycjach w przestrzeni realnej. Dzieła Święcickiego również dostarczają czytelnikowi takich wiadomości. Na przykład, w tradycji chrześcijańskiej na obszarze wschodniej i zachodniej Słowiańszczyzny istniał, niegdyś popularny, zwyczaj nadawania dzieciom tzw.

⁷¹ I. Łuc, *Nazwy własne w literaturze...*, s. 62.

imion kalendarzowych (przyniesionych). Dziecko otrzymywało imię nie według osobistych upodobań rodziców, ale na cześć świętego, pamięć którego czczono w Kościele w dniu urodzin lub chrztu dziecka. I tak np. z powieści *Przed laty* dowiadujemy się, że *Iwan*, syn Chwedorostwa otrzymał takie akurat imię, ponieważ urodził się w dzień pamięci św. Jana (lub w okolicach tego dnia): „*Iwasiem ochrztili chłopca, bo się jakoś na Iwana na ten tu świat dostał*” (PL 87). Innym zwyczajem w lokalnej tradycji, powiązanej z nurtem chrześcijańskim, było nadawanie imion po rodzicach biologicznych i chrzestnych, dziadkach, względnie po innych członkach rodziny. Jeden z głównych bohaterów *Trójki – Kubuś* Porowski otrzymał imię po swoim ojcu chrzestnym *Kubie* Kiełbasie, co jest wyraźnie zaakcentowane w historii tej postaci: „*Przebaczył [Kuba Kiełbasa] winę hrabstwu i trzymał młodego hrabiczka do chrztu, na krzyżmo dawszy mu zapis całej swej fortuny [...], pod warunkiem że na chrzcie św. Kuba będzie patronem młodemu hrabi Porowskiemu*” (T I 296). Podobnie synowi Kubusia – małemu *Iwasiowi* nadano imię ojca chrzestnego – *Iwana* Moły: „*Z woli matki młody hrabia dostał imię ojca chrzestnego – ochrzczono go Iwanem*” (T II 467)). Najmłodsza córka innego bohatera – *Włodzimierza* Bużewskiego otrzymała imię swojej prababki – babki *Włodzia* *Heleny* Rawskiej (T I 310).

Pojawiają się też inne wątki związane z tradycją imienniczą i religijną. Podczas jednego z pierwszych spotkań *Heleny* i *Kubusia*, który w tym czasie używał „imienia zastępczego” *Parys*, panna *Bużewska* zwraca uwagę na następujący fakt: „*A z tego, co mi się w panu nie podoba, pierwszym jest to, że się pan nazywa Parysem, a takiego świętego nie ma w kalendarzu. Do kogo się też pan modlisz?*” (T II 393). W innej scenie czytamy: „*Pan Deputat został uprzejmie przyjętym przez panią Bertę, bo takie imię, nie wiem czy na chrzcie świętym dano obecnej pani von Knedel [...]*” (T II 516).

Antroponimy odgrywają też istotną rolę w opisie obyczajów kozackich, np. *Iwan*, postać z powieści *Przed laty* po inicjacji został nazwany *Czajką* (PL 180) na cześć innego bohatera o tym pseudonimie, który cieszył się ogromnym szacunkiem wśród braci kozackiej.

Z kolei sformułowania typu *Chwedor i jego żona* (PL 104), w których kobieta nie jest wymieniona nawet z imienia, są odzwierciedleniem istniejącego w czasach opisanych w powieści patriarchalnego modelu rodziny.

Antroponimy i ich zestawienia mogą też być środkiem wywołującym efekt komizmu. W tym celu *Świącicki* ucieka się m.in. do zabiegów syntaktycznych –

kilka razy używa sformułowania *panowie Maciej Kopytko i Krucki Protazy* (T II 417, T II 419, T II 480, T II 541). Nie jest wykluczone, że stosując taki zabieg składniowy autor chciał podkreślić wysoki status nazwiska na *-ski* (w odróżnieniu od nazwisk pochodzenia apelatywnego), które w zestawieniu antroponimicznym występuje przed imieniem.

Można także zauważyć, że w swoich dziełach Świącicki używa różnych nazw własnych do identyfikacji jednej i tej samej osoby. Miana te mogą być różnymi wariantami imienia nosiciela, imieniem lub innym antroponimem, różnymi wariantami nazwiska, np.: *Sobko / Mucha* (PL 112), *Hania / Anna* (PL 144), *Iwasiek / Iwaś / Iwasio* (PL 89), *Iwan / Iwasio* (syn Heleny i Parysa; T II 469), *Pańko / Nurek* (T II 445), *Szymon / Szymcio / Szymonek* (T I 236, T I 238), *Kubuś / Parys* (T II 440), *[pani] Katarzyna / [pani] Mateuszowa* (T II 413), *Salomon / Salamon* (WdP 754), *Złodzicki / Złocicki* (T II 442) itd. Taki zabieg jest niekiedy uwarunkowany sytuacją, stylem wypowiedzi lub formą i intencją komunikatywną narracji⁷².

Świącicki zmienia zatem imiona lub nazwiska bohaterów w toku powieści i opowiadań, w pewnym momencie wprowadza nowe antroponimy i odtąd stosuje je zamiennie. Bywa jednak, że konsekwentnie używa tej samej formy imienia, podkreślając nawet ten fakt, np.: „*Piękną była Hania [...], i my dawniejsze imię jej nie zmienimy na inne: Hanią będzie wciąż u nas, bo ją tak śnieżną i piękną widzimy teraz, jako przed kilku laty*” (PL 207–208).

Należy też odnotować powtarzalność tych samych imion w różnych utworach, np. *Kunegunda* – pojawia się w T i WdP, *Ołena / Helena* – w PL, T i OS CG. Co więcej, to samo imię służyło do identyfikacji różnych bohaterów nawet w obrębie jednego dzieła, np. *Helena* i *Ołena* („*matką [chrzestną była] Ołena, przyjaciółka Heleny*” (T II 467)), książę *Ostafi* i jego druh *Ostap* (OS CG 701), *Opanas* (diak cerkiewny; T II 548) i *Pańko* (T II 553; oba derywaty od im. *Atanazy*, cerk. *Afanasij*), *Semen* (Mohyla; T II 398) i *Semen* (woźnica; T I 327) itd. W celu zachowania funkcji dyferencyjnej użyte są zazwyczaj różne warianty imienia, choć ostatni przykład pokazuje, że nie zawsze mamy do czynienia z zastosowaniem odmiennych form. Użycie poszczególnych wariantów było też uwarunkowane innymi czynnikami: statusem socjalnym (pełne formy stosowane w przypadku bohaterów reprezentujących wyższe sfery, derywaty nieoficjalne – do nazywania

⁷² Por. I. Łuc, *Nazwy własne w literaturze...*, s. 92.

ludzi prostych; zob. wyżej) lub przynależnością narodową (najczęściej sytuacja ta dotyczy Polaków i Ukraińców).

Skupiając się na kwestii nazw własnych w utworach Świącickiego pozostawiamy do oddzielnego rozpatrzenia zagadnienie identyfikacji poszczególnych bohaterów za pomocą deskrypcji apelatywnych⁷³, tj. innych, niż antroponimy, określeń. W analizowanym cyklu tworzą one dość pokaźny zasób. Pisarz stosuje deskrypcje jednostkowe różnego typu: określenia od nazw zawodów i pełnionych funkcji, leksemy wskazujące na stan społeczny lub inne okazjonalne miana, występujące w utworach jako ekwiwalenty nazw własnych⁷⁴. Poza funkcjami typowymi dla onimów, specyficzna rola deskrypcji jednostkowych przejawia się w zapobieganiu „niepożądaney stylistycznie powtarzalności nazw”⁷⁵.

Warto jednak odnotować zastosowanie w charakterze „zamienników” antroponimów dość osobliwych formuł identyfikacyjnych. W przypadku kilku bohaterek użyte są jedynie inicjały imienia (być może nazwiska), por.: „*zaczął z hrabiną B. rozmowę po włosku*” (T II 449), „*Oświadczył się p. B., są już po zaręczynach; na licho dowiedział się deputat, że p. C. ma o kilka tysięcy więcej [...]. Nie miał jeszcze czasu okazać wszystkich swych zalet, a już mu p. C. dała harbuza, a p. B. odesłała pierścionek*” (T II 514). W innej sytuacji napotkane Włoszki (których imiona – Rosetta i Pepitta – czytelnik poznaje chwilę później) określane są przy użyciu zaimków (w funkcji rzeczowników własnych): „*Westchnął Szycio jak miech kowalski – (Ona⁷⁶ spojrzała); Kubuś kołnierzyk poprawił (Ta⁷⁷ się uśmiechnęła)*” (T I 344). Trudno wnioskować o przyczynach zastosowania tego typu rozwiązań, choć w przypadku użycia leksemów *Ta* i *Ona* można pokusić się o hipotezę, że taki sposób identyfikacji wynikał z zainteresowania samego Świącickiego tematyką zaimków (zob. *Wstęp*).

2. Etonimy

Stosunkowo licznie w opowiadaniach i powieściach Świącickiego pojawiają się etnonimy. Część egzemplifikacji dotyczy grupy etnicznej jako całości i jest

⁷³ Zob. A. Cieślíkowa, *Nazwy własne...*, s. 34.

⁷⁴ Por. Ł. M. Szewczyk, *Nazewnictwo literackie...*, s. 17, 27–28.

⁷⁵ Tamże, s. 14.

⁷⁶ W oryginale rozstrzelonym drukiem i w nawiasach.

⁷⁷ Zob. poprzedni przypis.

wyrażona w formie pluralnej: *Austriacy* (WdP 749), *Cygani* (WdP 751) / *Cyganie* (T I 243, T II 446), *Czerkiesi* (Mo 562), *Mongolowie* (WdP 748), *Moskale* (T II 548, Mo 567), *Niemcy* (T I 299, T II 477, OS CG 705, WdP 803), *Papuasii* (T II 419), *pigmeje* (PL 220) / *Pigmeje* (PL 160, WdP 746), *Szwedzi* (T I 296, WdP 748–749), *Wandalowie* (WdP 746), *Żydki* (T I 292, T II 481) / *Żydzi* (T I 237, T II 480, WdP 803) / *Żydy* (OS NS 640) / *żydostwo* (WdP 739)⁷⁸, *Lachy* (PL 152, T II 400, Mo 598) / *Polaki* (Mo 567) / *polaki* (Mo 571) / *Polacy* (T I 333, Mo 568)⁷⁹, *Litwini* (T II 481), *Tatarzy* (PL 150, OS G 615, OS Pod 714) / *Tatary* (PL 96, OS G 616) / *Tatarowie* (PL 144) / *Tatarzeta* (OS G 619)⁸⁰, *Turcy* (T I 355, OS G 618, OS NS 660) / *Turki* (OS NS 664), *Ukraińcy* (PL 152). W badanym materiale odnotowano też etnonimy odnoszące się do pojedynczych osób. W formie rodzaju męskiego wystąpiły: *Anglik* (T II 432, WdP 729), *Cygan* (T I 268, T II 446, WdP 753), *russkij* (Mo 570) / *czistorusskij* (Mo 570) / *Moskal* (T II 548, Mo 561), *Hiszpan* (T I 292), *Niemiec* (T I 350, OS CG 703) / *Niemczyk* (T II 411), *Scyta* (T II 519), *Izraelita* (T I 351) / *Żyd* (PL 84, T I 290, T II 422, Mo 589, OS G 617, OS NS 646, WdP 753) / *Żydek* (T I 269) / *Żydzisko* (T I 322, T II 485, OS NS 646)⁸¹, *Lach* (T II 543) / *laszok* (T II 552) / *Polak* (T II 543, Mo 566) / *polaczek* (Mo 589), *Tatar* (PL 151, OS G 612, OS NS 648, OS Pok 711, OS Pod 716) / *Tatarzyn* (PL 114, OS Pod 714)⁸², *Turek* (PL 187, T I 355, OS G 627, OS NS 657, OS AM 695, OS CG 697), *Ukraińiec* (PL 82). Formy syngulatywne odnosiły się również do kobiet: *Cyganka* (PL 133, OS CG 704, WdP 753), *Francuska* (T II 490), *Gruzinka* (OS G 621), *Żydówka* (T I 294, T II 524, OS NS 645), *Laszka* (PL 186, T II 399, OS Pod 721) / *Polka* (T I 304, Mo 570) / *Poleczka* (Mo 603), *Niemka* (T II 515), *Turkinia* (OS G 617, OS NS 676), *Ukrainka* (PL 152), *Włoszka* (T I 344). Z kolei w liczbie mnogiej wystąpiły następujące określenia żeńskie: *Cyganki* (T I 345), *Laszki* (PL 152), *Turkinie* (OS NS 670) / *Turczynki* (OS NS 670), *Włoszki* (T I 344, T II 459).

⁷⁸ Również za pomocą deskrypcji [*kupcy*] *mojżeszowego wyznania* (T I 338) / *starozakonni* (T I 293) / *synowie Izraela* (T I 290).

⁷⁹ Także w formie opisowej *bracia znad Wisły* (T II 547). Należy pamiętać, że etnonimy *Polacy* i *Lachy* nie zawsze są tożsame, zwłaszcza w sytuacjach ukazanych w utworach Święcickiego (zob. niżej).

⁸⁰ Ponadto: *psi synowie* (OS G 615) / *pohańce* (T I 269; tu: pogardliwie o Tatarach) / *sobaki* (OS G 617).

⁸¹ Również jako *potomek Izraela* (T I 352).

⁸² Też za pomocą deskrypcji *pohaniec* (OS G 618), odnoszącej się zarówno do *Tatara*, jak i do *Turka*.

Oddzielnej uwagi wymaga określenie *Kozak* (i jego derywaty). W pracach onomastycznych nazwa ta, pojawiająca się m.in. jako baza motywacyjna nazwisk, jest zaliczana do etnonimów⁸³. Jednakże, według *Słownika języka polskiego* (wersja online), *Kozacy* – to nazwa odnosząca się do grupy ludności o charakterze wieloetnicznym⁸⁴, reprezentująca określony stan społeczny w Rzeczypospolitej i w państwie moskiewskim (później w Rosji)⁸⁵. Ma ona zatem nieco szerszy zakres desygnacyjny. Ponadto autor używa niekiedy terminu bardziej jako określenie grupy wojskowej, niż w kontekście stanu społecznego czy wspólnoty o charakterze etnicznym. W utworach Świącickiego występują następujące poświadczenia: *Kozacy* (PL 112, T II 399, OS G 615, OS NS 634, OS AM 693, OS CG 707, OS Pok 709, OS Pod 714) / *Kozaczeńki* (OS AM 694) / *Kozaczeńki* (OS NS 661; w piosence) / *Kozactwo*⁸⁶ (OS NS 665, OS Pod 719)⁸⁷. Zawężenie zakresu referencyjnego znajduje realizację w nazwie *Zaporożce* (PL 182) / *Zaporożcy* (PL 178). Są też przykłady nazw użytych w liczbie pojedynczej: *Kozak* (PL 96, T II 398, OS G 609, OS NS 633, OS AM 693, OS CG 698, OS Pod 715) / *Kozaczeńko* (PL 136, OS NS 632; w piosence) / *Kozaczyisko* (PL 115) / *kozaruha* (PL 117, OS Pod 713), oraz w węższym znaczeniu: *Kozak zaporoski* (PL 181) / *Kozak ukraiński* (T II 398), chociaż kontekst treściowy pokazuje, że większość użyć (jeśli nie wszystkie) omawianego określenia dotyczy właśnie Kozaków zaporoskich / ukraińskich. Odnotowano również jedną formę feminatywną *Kozaczka* (PL 119).

Do kategorii etnonimów wypada zaliczyć również nazwę *Słowianie* (PL 98), identyfikującą całą gałąź ludów indoeuropejskich posługujących się językami słowiańskimi.

Istotne miejsce w powieściach i opowiadaniach Świącickiego zajmują Żydzi. Są to z reguły postaci drugoplanowe czy nawet epizodyczne, ale ich

⁸³ Por. np. Z. Abramowicz, L. Citko, L. Dacewicz, *Słownik historycznych nazw osobowych...*, t. I, s. 177; M. Kondratiuk, *Współczesne nazwiska mieszkańców polsko-białoruskiego i słowiańsko-litewskiego pogranicza od nazw grup etnicznych i narodowości*, w: *Polsko-białoruskie związki językowe, literackie, historyczne i kulturowe*, t. 3, Białystok 2001, s. 26.

⁸⁴ Por. A. Raszewska-Klimas, *Wieloznaczność nazwisk Polaków*, Łódź 2018, s. 218.

⁸⁵ *Encyklopedia PWN*, online [dostęp: 23.02.2021].

⁸⁶ Leksem *kozactwo* pojawia się wielokrotnie w różnych utworach Świącickiego. Zawsze jednak (poza zacytowanymi przykładami) określenie to jest zapisywane małą literą.

⁸⁷ *Kozacy* są również określani jako *synowie Ukrainy* (OS Pod 716) oraz – co może być zaskoczeniem – jako *niewierne psy* (OS G 615). Świącicki bezpośrednio w tekście objaśnia czytelnikowi, że tym ostatnim mianem Kozaków „chrzcili” Tatarzy.

udział w rozwoju akcji jest stosunkowo wyraźnie zaakcentowany, jak widać, także z punktu widzenia użytych nazw etnicznych. W opisie tej grupy religijno-narodowościowej uwidacznia się surowa ocena, przede wszystkim stereotypizacja, która na przestrzeni wieków towarzyszyła przedstawicielom wyznania mojżeszowego. W utworach Żydzi niemal zawsze przedstawieni są w negatywnym świetle, co wyrażone jest m.in. za pomocą środków językowych: nacechowanych emocjonalnie sufiksów (np. *Żydzisko* (T I 322)), dodania przydawek lub innych określeń (por. np.: *głupim Żydom* (T I 366), *durny Żydzisko* (OS NS 646), *głupi Żyd* (T I 352), *głupiec Żydzisko* (T II 485), *nie lubieni Niemcy lub Żydzi* (WdP 803), *plaga człowieczeństwa, Żydzi* (T I 366), *pretensjonalny Żydek* (T I 352), „*Wrodzona jednak Żydom chciwość pieniędzy*” (Mo 589). Nieżyczliwy stosunek uzewnętrznia się też wskutek użycia nazwy w określonym kontekście sytuacyjnym (pozornie neutralnym, w rzeczywistości jednak negatywnym): „*lichy Żydów przyniosło*” (T I 372), „[...] główny nacisk kładąc na potrzebę nieutrudniania Żydom działalności mającej na celu okpiwanie chłopów po wsiach [...], a Żydki bardzo prędko zdolni będą pod chejrym przysiąc, że Berdyczów większą jest ich stolicą aniżeli Jerozolima” (T II 480–481). Niektóre leksemy wyrażające politowanie, a być może ironię, w połączeniu z derywatem etnonimicznym wywołują efekt komiczny, np.: *biedny Żydzisko* (Pańko o zastrzelonym baronie; T II 485). W pozytywnym świetle Żydzi przedstawieni są jedynie wówczas, gdy bohaterowie wypowiadają się sami o sobie, np.: *ale ja poczciwy Żydek* (T I 375), *ja biedny Żydek* (T I 375) itd. Mimo pewnej niechęci do tej grupy ludności, która „*jak pijawka uczepi człowieka*” (OS NS 646) i którzy „*Chrystusa ukrzyżowali*” (T I 368) narrator w pewnym miejscu stwierdza: „*A przecież bez Żyda i Kozakowi było nieporadnie*” (OS NS 646). Etonim *Żyd* pojawia się też w otoczeniu wyrażen wskazujących na działalność zarobkową, co było cechą charakterystyczną tej grupy ludności, np. *Żyd węglarz* (T II 422), „*Zapłaciłem kilka czerwonych..., posłałem na wszystkie strony... Powrócił Żyd i...*” (mowa tu o usługach „detektywistycznych”; PL 170), *Żyd siwuchy borgować nie chce* (karczmarz; PL 175), *jeszcze tylko szabli Żyd w zastawie nie ma...* (pożyczki pod zastaw; PL 177), „*Zarygluj drzwi – krzyknął na Żyda [...], Drżący arendarz zatarasował drzwi karczmy*” (Mo 596), i *Żyd czarki wódki poborgować nie chce* (szynkarz; OS G 617), *użyto Żyda arendarza* (tu: do dostarczenia poczty; Mo 589), *Żyd faktor* (T II 515), „*sprzedatem Żydkom nasze meble*” (T I 379), „*panów kupców, bez wyjątku mojżeszowego wyznania*” (T I 338).

Cyganie są sportretowani przede wszystkim jako złodzieje i porywacze dzieci, np.: „[...] bandy Cyganów, która go [Pańka] dawniej ukradła z jakiejś wsi” (T I 243), „Cyganów, którzy najniemiłosierniej odarli go [Pańka] do koszuli” (T II 446), „stary Cygan przyznał się ekspowodyrowi, że go osobiście ukradł u rodziców” (T II 446), „ale i banda Cyganów znalazła się jakby cudem, z nimi rozmaite sztuki i naturalnie – kradzież!” (WdP 753). Ukazana jest również „typowa profesja” kobiet cygańskich, tj. wróżbiarstwo, por.: „mała rączka księżniczki spoczęła w czarnej dłoni Cyganki” (OS CG 704), „stara czarownica Cyganka” (PL 133), „Cyganka spojrzęła na dłoń Kozaka” (PL 133).

W wypowiedziach narratora lub bohaterów powieści i opowiadań uwidacznia się niechęć, czy wręcz antypatia do Tatarów, którzy od wieków nieśli śmierć i pożogę wszystkim mieszkańcom Ukrainy, por. np.: *lukawe Tatarzeta* (OS G 619), *przeklęty Tatarzyn* (OS Pod 714). Świącicki nie darzy sympatią także Niemców („mamy sprawić Niemcowi kocią muzykę, jakiej nigdy jeszcze nie słyszał” (bohaterowie *Trójki* o nauczycielu-Niemcu; T I 316), *nielubieni Niemcy* (WdP 803)), którym wypomina nawet wygląd zewnętrzny: „niepocziwe to plemię te rudowłose Niemcy” (OS CG 705). Swoją negatywny stosunek do przedstawicieli niektórych narodowości autor wyraża nawet przez dodanie określenia wskazującego na mnogość, np.: *kupy Tatarów* (OS Pod 715), *chmura Tatarów* (OS G 616), *chmura Żydów* (T I 355), *zbiegło się Żydów co niemiara* (T I 314).

Za pomocą środków językowych autor uwydatnia też ujemne cechy Lachów⁸⁸: *Dumna Laszko!* (OS Pod 721), *Pany Lachy* (T II 400), *Lachem matki straszą swe dzieci* (T II 543), *Lach – to pan* (T II 543), *na Ukrainie największą obrazą jest nazwa Lacha* (T II 543). Z drugiej strony, w utworach ukazany jest stereotyp pięknej Laszki – w zakresie urody kobiet pojawiają się określenia jednoznacznie pozytywne, np. *Laszko czarowna* (OS Pod 723), *z piękną Laszką* (T II 399) itd.

Świącicki nie szczędzi natomiast pochwał Kozakom⁸⁹, co wielokrotnie znajduje odzwierciedlenie w utworach, por. np.: *Bożego Kozaka* (PL 182), *Kozak chrobry*

⁸⁸ Należy zaznaczyć, że na Ukrainie *Lach* to nie określenie Polaka w ogóle (sam zresztą Świącicki uważał się za Polaka ruskiego pochodzenia), ale Polaka-szlachcica, a właściwie *pana*, najczęściej wrogo nastawionego do Kozaków.

⁸⁹ Por. A. Mazur, „*Na Ukrainie za owych dobrych czasów*” – *Przed laty. Powieść ukraińska Paulina Świącickiego*, „*Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria*” 2020, 20, s. 216, <https://studiahistoricolitteraria.up.krakow.pl/article/view/7840/7121> [dostęp: 28.02.2021].

(OS NS 649), *bracia Kozacy* (T II 454), *sławny Kozaczenku!* (OS CG 707) i inne. Taka postawa autora (narratora) wiąże się z mitem Kozaka w literaturze romanizmu polskiego, z jego idealizacją⁹⁰.

Co ciekawe, w utworach Świącickiego spotykamy się z sytuacją, w której narrator używa danego etnonimu do określenia innej grupy narodowościowej, niż wynika to ze znaczenia leksemu. Takiemu porównaniu towarzyszy przeczenie, np.: „*mieszkania panów kupców, bez wyjątku możeszowego wyznania, ale nie Polaków, tylko kupców po prostu, Żydami tu zwanych*” (o Żydach; T I 338–339), „*powiedziała mi, że nie jest Francuską, i w sekrecie przed ojcem zaczęła mię uczyć po polsku*” (T II 490). Autor stosuje też etnonimy na określenie przedstawicieli innych grup na zasadzie podobieństwa cech, np.: *Cyganki* (gdymowa o Włoszkach; T I 345), „*patrzyli na dumną osobistość, która by im przypominała Hiszpana*” (mowa tu o uczniu miejscowego gimnazjum; T I 292), „*by amazonka nie znalazła sobie jakiego Scyte*” (T II 519)⁹¹, „*Pańkowi znacznie urosła ruda jego bródka [...], miał wielką ochotę uważać się za Turka*” (T II 420), „*Turkinia Prokopowa!*” (tu: Ułana; OS G 617).

Niektóre etnonimy użyte są tylko okazjonalnie i nie mają większego wpływu na rozwój akcji, np. *Anglik* (T II 432) lub stanowią jedynie element porównania narratora, np. *Pigmeje* (PL 160; obraźliwie o ludziach niskiego wzrostu), *pigmeje* (PL 220), *Pigmejów* (WdP 746), *do ojczyzny Papuasów* (T II 419; o uczestnikach szemranego interesu, którzy przepadli bez wieści), *hordy Wandalów* (WdP 746; tu jako eponim w kontekście opisu zniszczonego miejsca).

⁹⁰ Więcej na ten temat zob. «*Українська школа в літературі та культурі українсько-польського пограниччя*», red. P. Радішевський, Київ 2005; M. Kwapiszewski, *Kozacka autolegenda. Michał Czajkowski wobec Ukrainy i prawosławia*, w: M. Kwapiszewski, *Późny romantyzm i Ukraina. Z dziejów motywu i życia literackiego*, Warszawa 2006, s. 81–99; M. Kwapiszewski, *Kozak romantyczny. Dzieje motywu*, w: M. Kwapiszewski, *Późny romantyzm i Ukraina. Z dziejów motywu i życia literackiego*, Warszawa 2006, s. 7–34; M. Брацка, *Етнічна парадигма поезії «української школи» польського романтизму*, Київ 2009; A. Fabianowski, *Rola Kozaczyzny w koncepcjach politycznych Michała Czajkowskiego*, w: *Szkoła ukraińska w romantyzmie polskim. Szkice polsko-ukraińskie*, red. S. Makowski, U. Makowska, M. Nesteruk, Warszawa 2012, s. 421–431; П. М. Крالیук, «*Полонізовані козаки*», w: П. М. Крالیук, *Козацька міфологія України: творці та епізони*, Харків 2016, s. 341–356.

⁹¹ Scytowie w starożytności zamieszkiwali część Ukrainy, zatem miejscowy mieszkaniec mógł być teoretycznie dalekim potomkiem tego indoeuropejskiego ludu.

Niekiedy formy syngulatywne ethniców użyte są w celu wyrażenia mnogości desygnatów, np. *Turek* (PL 113; tu: Turcy), *Tatar* (OS Pod 719; tu: Tatarzy), *Przekłety Tatarzyn!* (OS Pod 714; tu: Tatarzy). Wiele określeń jest stosowanych wymiennie, np. *Tatarzyn / Tatar* (PL 150). Etnonimy są też stosowane jako zamienniki antroponimów⁹², np. *głupi Żyd* (T I 352; tu: Oksman), *Tatar* (OS Pod 716; tu: chan Mahomet), *Kozak* (PL 111; tu: Iwanko), *Kozak* (OS CG 700; tu: Prokop), *Kozak* (T II 454; tu: Mohyla), *Żydówka!* (T II 524; tu: pani von Knedel), *Żydówka!* (T II 527; tu: panna Prunella).

Występujące w utworach formy *Żydy*, *Tatary* itp. zaczerpnięte są z potocznej lub regionalnej odmiany języka, co ma na celu wywołanie u odbiorcy wrażenia autentyczności postaci i zdarzeń. Niekiedy warianty tego typu są wynikiem wtrąceń obcojęzycznych, np. ros. *polaki* (Mo 567–568). Użycie nienormatywnych form nazw etnicznych ma też w zamierzeniu osiągnięcie określonych efektów stylistycznych.

3. Katojkonimy

W utworach Świącickiego odnajdujemy też pojedyncze przykłady katojkonimów: *paryżanie* (T II 490) oraz *Podolanka* (OS Pod 716).

4. Nazwy heraldyczne

Występująca w *Trójce* nazwa herbu *Porawa* (T I 295, T II 408) podkreśla status społeczny pieczętujących się nim osób, jest składnikiem oficjalnej formuły identyfikacyjnej i symbolem rodu Porowskich. Nazwa heraldyczna *Porawa* pojawia się też w kilku scenach ważnych dla dalszego rozwoju akcji (np. T II 442, T II 498).

5. Choronimy

Zbiór choronimów najliczniej reprezentują oficjalne i potoczne nazwy państw oraz innych organizmów terytorialnych o charakterze państwowym, ale nieposiadających – w ogóle lub w różnych okresach historycznych – takiego statusu⁹³:

⁹² Por. wyżej informację na temat deskrypcji jednostkowych.

⁹³ W praktyce ustalenie statusu nazw tego typu następuje z trudnością, m.in. ze względu na brak możliwości odczytania dokładnego kontekstu sytuacyjnego w stosunku do konkretnej nazwy.

Austria (T II 445), *Egipt* (PL 102), *Gruzja* (OS G 621), *Hiszpania* (T II 418) / *Hiszpany*⁹⁴ (OS NS 644), *Indie* (T II 419), *Francuzi*⁹⁵ (OS NS 644), *Niemcy* (T II 419, OS CG 703), *Polska* (PL 224, Mo 573, WdP 747)⁹⁶, *Ruś* (PL 174), *Turcja* (PL 144) / *Turecczyzna* (PL 183, OS G 618, OS NS 653)⁹⁷, *Korona* (PL 144, T II 543) / *Królestwo* (T II 504, Mo 586; tu (w obu przypadkach): *Korona Królestwa Polskiego*), *Litwa* (T II 401), *Palestyna* (T I 290), *Rzeczpospolita* (PL 206), *Ukraina* (PL 77, T II 390, OS G 609, OS NS 633, OS AM 694, OS CG 698, OS Pod 714) / *Wkrajina* (T II 549), *Węgry* (OS CG 704, WdP 748), *Związek Niemiecki* (T II 445). Odnotowano również obecność nazw własnych regionów geograficznych, niemających charakteru państwowego: *Budżak* (OS NS 654), *Galilea* (T I 290), *Kaukaz* (Mo 562; tu raczej w funkcji choronimu; por. też oronim *Kaukaz*), *Kresy* (T I 303), *Pobereże* (PL 150), *Podole* (PL 189, T I 296, T II 435, OS Pod 713), *Polesie* (T I 243, T II 446) / *Poliskie*⁹⁸ (PL 115), *Syberia* (T II 448) / *Sybir* (Mo 568) / *Sibir'* (Mo 571), *Translajtania* (WdP 750), *Wołosza* (OS G 615), *Wołyń* (PL 152, T I 295), *Zadnieprze* (T II 404), *Zaporoże* (PL 80, OS G 610, OS NS 637). W analizowanych utworach występują ponadto nazwy kontynentów: *Azja* (PL 149), *Europa* (T II 398) lub części świata: *Ameryka* (T II 431, WdP 729), a także półwyspów: *Krym* (PL 95, T I 269, OS G 612, OS NS 637, OS Pod 719) / *Tauryda* (PL 189, OS Pod 720), *Mała Azja* (T II 404) i innych obszarów, dających się ująć w przybliżeniu w ramy geograficzne z jednoczesnym wskazaniem epicentrum etniczno-kulturowego, scalającego dany teren: *Słowiańszczyzna* (PL 82) / *Sława* (tu w zn. Słowiańszczyzna; PL 149), *Kozaczyzna* (Mo 565). Określenie *Tatarszczyzna* (OS G 614) mogło zostać użyte jako synonim *Krymu* lub *Chanatu Krymskiego*. Jako choronimy, choć w znaczeniu metaforycznym, wystąpiły ponadto nazwy *Wschód* (OS G 623, OS Pod 722) i *Zachód* (PL 178, T I 242).

Wszystkie zacytowane wyżej określenia są mianami autentycznymi. W przypadku cesarstwa *Fec i Marokko* (T II 432), występującą w charakterze choronimu nazwę należy rozpatrywać jako rezultat kreacji autora, wolno natomiast przypusz-

⁹⁴ Tu: Hiszpania. Forma *Hiszpany* zrekonstruowana, por. w źródle: „*potrawa zwyczajna w Hiszpanach!*”, „*Na Hiszpanach [...] przyszło nam tak ciężko*”.

⁹⁵ Tu: Francja. Forma *Francuzi* zrekonstruowana, por. w źródle: „*To jak my na Francuzach żyli miesiąc kamieniami*”.

⁹⁶ Również w postaci deskrypcji *druga ojczyzna synów Izraela* (T I 290).

⁹⁷ Także w formie opisowej *kraj bisurmanów* (OS NS 636).

⁹⁸ Przypuszczenie zamieszczone w komentarzu redakcji.

czać, że prototypem było tu realnie istniejące miasto Fez / Fes w Maroku (zob. przypis redakcji w tekście *Trójki*).

W badanym zespole dzieł choronimy pełnią różne funkcje w świecie przedstawionym: stanowią tło głównych wydarzeń (np. *Ukraina, Polska, Krym, Turcja, Zaporozże, Węgry, Translajtania*), ukazane są w charakterze zdawkowej informacji w kontekście dalszych losów bohaterów, np. *Syberia* (T II 557), pojawiają się w przemowach, opowiadaniach i wspomnieniach bohaterów, np. *Europa* i *Litwa* (T II 481), *Europa* (T II 398), jako tło wydarzeń historycznych w stosunku do czasu akcji w utworze: *Polska* (WdP 747), jako kraj pochodzenia bohaterów: *Gruzja* (OS G 621) lub jako miejsce związane z ich planami i marzeniami: *Ameryka* (T II 431), niekiedy służą narratorowi lub bohaterom do dokonywania porównań: *Ameryka* (WdP 729), *Europa* (T II 404), *Galilea* (T I 290), *Indie* (T II 419). Pojawiają się jako utarty w świadomości symbol: *Sybir* (= zesłanie, więzienie; Mo 568), *Europa* (T II 445), *Zachód* (= ziemie i kultura na zachód od Słowiańszczyzny, a także mieszkańcy tych ziem i ich mentalność; T I 242), *Wschód* (OS G 623, OS Pod 722; tu w znaczeniu zbliżonym do leksemu *Orient*).

W utworach Świącickiego opis choronimów z reguły ukazany jest z respektowaniem zasady „patriotyzmu”: ziemie rodzime pojawiają się w wypowiedziach narratora i bohaterów niemal zawsze w pozytywnym kontekście, obce państwa i terytoria przedstawione są zazwyczaj ze strony negatywnej. Sporadycznie zdarzają się jednak odmienne sytuacje, czego przykładem są określenia typu: *przekłete Polesie* (T II 460; słowa Pańka), *Ukraina beztałanna* (T II 400; wypowiedź narratora).

6. Nesonimy/choronimy

W opowieści jednego z bohaterów powieści *Trójka* wspomniana jest nazwa własna *Jamajka* (T II 387), którą można rozpatrywać zarówno w charakterze choronimu (nazwy państwa), jak i nesonimu (nazwy wyspy).

7. Toponimy

W badanym źródle wystąpiło szereg miejscowości, które z punktu widzenia narratora (narratorów) i bohaterów cyklu pt. *Opowieści stepowe. Pisma prozą* należy określić jako bliskie pod względem geograficznym i kulturowym. Wśród wymienionych w utworach nazw miast znalazły się: *Akerman* (OS G 619), *Bałta*

(T I 340, T II 416), *Berdyczew* (PL 158) / *Berdyczów* (T I 279, T II 481), *Biała Cerkiew* (PL 98) / *Białocerkiew* (PL 150), *Brody* (T I 290), *Czerkasy* (OS NS 637), *Dunajowce* (T II 409), *Husiatyn* (T II 409), *Jarmolińce* (T II 386), *Kamieniec* (T I 290, T II 408), *Kijów* (PL 88, T I 242, T II 394, Mo 568, OS NS 637), *Korzec* (OS CG 697) / *Korzec wołyński* (OS CG 697), *Latyczów* (T II 391), *Litniowce* (T II 414; własc. Letniowce), *Łuck* (T I 295), *Munkacz* (WdP 730), *Oczaków* (OS NS 656), *Odessa* (T I 348, T II 417), *Poczajów* (T I 242), *Uściług* (T I 331), *Żytomierz* (T II 529), *Bochnia* (WdP 730), *Lwów* (PL 151, T I 290), *Kraków* (WdP 743), *Szczawnica* (WdP 729) / *Scawnice* (WdP 754) / *Wydźgi* (WdP 747; = *Szczawnica*), *Warszawa* (PL 143, T I 296, T II 398, Mo 568, OS NS 677) / *Warszawka* (T II 526), *Wieliczka* (WdP 806), *Wilno* (T I 304). Poświadczane są również nazwy wsi: *Borszczahówka* (T I 337), *Dłużek* (T I 337), *Humińce* (T I 337), *Karwasary* (T I 337)⁹⁹, *Krywań* WdP 743; tu: wieś), *Porówka* (T I 296), *Rajska Brama* (T I 337; futor), *Siworogi* (T II 414), *Sołowijówka* (T II 544), *Tomasze* (T I 285), *Zińkowce* (T I 337), *Żytniki* (T II 391), *Czorsztyń* (WdP 741) / *Niżnia* (WdP 733), *Krościenko* (WdP 739), *Łącko* (WdP 747), *Kościelisko* (WdP 743), *Niedzica* (WdP 750). W znakomitej większości są to toponimy rozmieszczone na terenie współczesnej Ukrainy i Polski, pojedynczo z obszaru dzisiejszej Litwy (choć uznawane za „polskie”) i Słowacji.

Przeciwstawną grupę tworzą nazwy miast bardziej odległych w sensie geograficznym lub kulturowym: *Adrianopol* (OS NS 656), *Bachczy-Seraj* (OS G 615), *Carhorod* (OS NS 661) / *Carogród* (PL 181, OS G 609, OS NS 637, OS Pod 725) / *Konstantynopol* (T II 404) / *Stambuł* (T II 417, OS NS 655), *Frankfurt* (T II 437), *Jerozolima* (T I 290, T II 420), *Karlowe Wary* (T II 474), *Mohylów* (T I 340), *Moskwa* (T II 557), *Neapol* (T I 349), *Nerczyńsk* (Mo 606), *Paryż* (T I 303, T II 409), *Pekin* (T II 387), *Petersburg* (T II 527), *Praga* (T I 324), *Rzym* (T II 449), *Skutari* (PL 184, OS NS 662), *Strasburg* (T II 387), *Troja* (T II 420), *Wiedeń* (T II 449). Jako obca kulturowo (tak wynika z treści utworów), choć położona w stosunkowo niedalekiej odległości, potraktowana została np. miejscowość *Perekop* (PL 181, OS G 615) znajdująca się na północnym Krymie.

Główną funkcją toponimów występujących w utworach literackich jest niewątpliwie usytuowanie akcji w sensie przestrzennym. Tak jest również w utworach Święcickiego. *Carogród*, *Kamieniec*, *Karlowe Wary*, *Kijów*, *Odessa*, *Warszawa*,

⁹⁹ Obecnie część Kamieńca Podolskiego.

Żytniki – te między innymi miejscowości stanowią tło głównych wydarzeń. Inne są świadkiem wątków pobocznych lub epizodycznych¹⁰⁰, np. *Perekop* (PL 181), *Skutari* (PL 184), *Frankfurt* (T II 437, T II 523), *Paryż* (T II 434), są wspomniane w opowieściach narratora lub bohaterów: *Konstantynopol* (T II 404), *Czorsztyn* (WdP 747–748; tu w kontekście historii miejscowości), pojawiają się jako kierunek dalszych losów bohaterów: *Balta* (T I 377), *Odessa* (T I 377), *Żytomierz* (T II 529), *Nerczyńsk* (Mo 606), stanowią też źródło porównań narratorskich: *Carogród* (OS Pod 725), *Jerozolima* (T II 420, T II 481), *Troja* (T II 420) lub wspomnień bohaterów: *Odessa* (T I 348), *Pekin* (T II 387), *Strasburg* (T II 387), *Wieliczka* (WdP 806). W wielu przypadkach toponimy są zarówno miejscem akcji, jak i punktem odniesienia służącym wyznaczeniu perspektywy w nawiązaniu do obiektów, stanowiących właściwe usytuowanie akcji. Nazwy miejscowe pełnią równocześnie funkcję informacyjną i emotywną. Ta ostatnia przejawia się szczególnie w zakresie użycia nazw miasteczek i wsi ukraińskich, co niewątpliwie sugeruje zabarwiony uczuciowo stosunek samego Świącickiego do rodzinnych stron, które uwiecznił w swoich dziełach za pomocą toponimów¹⁰¹. Użycie licznych nazw miast, a szczególnie miasteczek i wsi z terenu Ukrainy prowadzi też do podkreślenia kolorytu lokalnego tej ziemi¹⁰², natomiast

[...] Wprowadzone do utworów nazwy geograficzne, autentyczne pod względem leksykalnym (słownikowym) i denotacyjnym (związek nazwy z określonym obiektem rzeczywistości pozajęzykowej), służą budowaniu ich przestrzennej wiarygodności¹⁰³.

8. Urbanonimy

Tę kategorię antroponimów w utworach Świącickiego ilustrują nazwy ulic (hodonimy) wymienione w utworze *Trójka*: *Ulica Polska* (T I 290), *ulica Ciasna* (T I 338), *Ormiańska* (T I 347), *ulica Bulwarna* (T II 484; wszystkie w Kamieńcu), *Krakowskie Przedmieście* (T II 503), *Senatorska* (T II 503; obie w Warszawie). Z utworu dowiadujemy się, że nazwa *Ciasna* posiada motywację onimiczną:

¹⁰⁰ Wiele toponimów odnosi się do miejscowości, w których „bawiła Trójka”, m.in.: *Borszczahówka* (T I 337), *Dłużek* (T I 337), *Humińce* (T I 337), *Karwasary* (T I 337), *Sołowijówka* (T II 544), *Tomasze* (T I 285), *Zińkowce* (T I 337).

¹⁰¹ Por. H. Munia, *Nazwy własne w utworach...*, s. 141–142.

¹⁰² Por. Ł. M. Szewczyk, *Nazewnictwo literackie...*, s. 28.

¹⁰³ H. Munia, *Nazwy własne w utworach...*, s. 141.

„wyraźnie ulica, chociaż w poprzek nie ma dwóch łokci”. Ponadto w powieści pojawiają się inne typy urbanonimów: *Brama Wietrzna* (T I 290) / *Wietrzna Brama* (T I 301; w Kamieńcu), *Polskie Folwarki* (T I 379; dzielnica Kamieńca), *Turecki Most* (T I 377; most na Smotryczu w Kamieńcu), *Padół* (T II 404), *Chorew* (T II 404), *Szczekowica* (T II 404; historyczne części Kijowa). Kilka razy pojawia się też symboliczne i ważne dla głównych bohaterów miejsce *Trójkąt* (T I 332, T II 408), o którym czytelnik nie uzyskuje jednak żadnej szczegółowej informacji. Z kontekstu można jedynie przypuszczać, że nazwa ta może mieć charakter urbanonimu.

W cyklu *Opowieści stepowe* Świącicki wymienia następujące urbanonimy: *Góra Kijowska* (OS G 611; wzniesienie w historycznej części Kijowa) oraz *Czar-towa Góra* (OS CG 699; wzniesienie z zamkiem grafa von Rotkircha).

Do urbanonimów należy też zakwalifikować nazwę własną zamku *Schauerstein* (WdP 747), występującą w opowiadaniu *Wycieczka do Pionin*.

Obecność nazw tego typu pozwala uszczegółowić miejsce akcji. Autentyczność, właściwa większości zacytowanych onimów, niewątpliwie dodaje też utworom realizmu.

9. Anojkonimy

Do *Lasu Dłuzeckiego* (T I 358) wybrali się na majówkę główni bohaterowie *Trójki* wraz z pozostałymi uczniami szkoły. Tłem akcji są również *stopy Wasylkowskie* (PL 194), użyte przez narratora przypuszczalnie w charakterze nazwy własnej.

10. Hydronimy

Ta kategoria onimiczna reprezentowana jest w utworach Świącickiego głównie dzięki nazwom rzek: *Boh* (OS NS 687), *Bug* (Mo 606), *Czartomelik* (OS G 610), *Dniepr* (PL 77, T II 404, OS G 610, OS NS 646, OS AM 694, OS Pod 716) / *Dniepr-Sławuteć* (OS G 626) / *Dnipro* / (OS NS 676; w piosence)¹⁰⁴ / *Sławuteć* (PL 179), *Dniestr* (OS Pod 712), *Dunaj* (PL 82, OS NS 676), *Dunajec* (WdP 733), *Leśny Potok* (WdP 803), *Poprad* (WdP 803), *Pрут* (T II 445), *Roś* (PL 77, OS G 609, OS NS 680), *Stucz* (PL 181), *Smotrycz* (T I 314, T II 480), *Wisła* (T II 547), *Tykiez* (T II 391), *Uszyca* (OS CG 697). Biorąc pod uwagę całość cyklu pt.

¹⁰⁴ Również w postaci metaforycznej: *najmilsze dziecko naszej Ukrainy* (OS G 626).

Opowieści stepowe. Pisma proza, pod względem frekwencyjnym dominuje nazwa rzeki *Dniepr*, chociaż np. w opowiadaniu *Wycieczka do Pionin* czytelnik najczęściej natrafia na hydronim *Dunajec*. Materiał pokazuje, że oprócz nazw, które można uznać z dużym prawdopodobieństwem za znane czytelnikowi z Europy środkowej (np. *Dniepr*, *Dunaj*, *Wista*), występują też nazwy niewielkich rzek lokalnych np. *Leśny Potok*, *Pрут*, *Uszyca*, będących najczęściej dopływami większych, bardziej popularnych rzek. W omawianych utworach – oprócz swoich podstawowych funkcji artystycznych i, przede wszystkim, funkcji identyfikacyjnej – te mniej popularne nazwy mogą pełnić rolę informacyjno-dydaktyczną. Wśród użytych przez autora hydronimów pojawiają się także nazwy własne mórz: *Czarne Morze* (PL 181, OS G 618, OS NS 654, OS Pod 719) / *Kozańceje more* (OS NS 661), *Sine Morze* (tj. Morze Azowskie; OS NS 656, OS Pod 712) i źródła: *Krynica Huńska* (T I 337), *Studzienka*¹⁰⁵ (WdP 806). Występują też nazwy jezior: *Gopło* (T I 295; jednokrotnie w całym cyklu utworów) oraz nazwa cieśniny *Bosfor* (PL 185, T II 404, OS G 609, OS NS 664).

Pojawiają się określenia przypialne, odnoszące się do obiektów hydronimicznych raczej mało znanych lub rzadko posiadających swoje nazwy własne: *Liman* (OS G 614; prawdopodobnie Liman Dniestru (liman – rodzaj zatoki; tu w funkcji onimu)) oraz *Nenasyteć* (PL 179; nazwa jednego z *porohów* na rzece Dniepr).

Pomimo dużego znaczenia obiektów wodnych w życiu człowieka, w utworach Świącickiego rzadko stanowią one bezpośrednie tło akcji. Są raczej świadkami pojedynczych wydarzeń (np. *Tykicz*, w wodach którego znaleziono ciało hrabiego Apollina Porowskiego na drugi dzień po weselu syna (T II 442), *Bosfor*, który szczęśliwie przepłynęli Kozacy (OS NS 664)) lub jedynie są wzmiankowane bez szerszego kontekstu akcji (np. w przypadku rzek *Bug* (Mo 606) lub *Poprad* (WdP 803)). Nazwa rzeki *Wista* wspomniana jest jedynie wtedy, gdy mowa o Polakach z terenów nadwiślańskich, por.: „*Nasi bracia znad Wisły broń podnieśli*” (T II 547).

Zwracają uwagę nazwy nietypowe (potoczne lub archaiczne), np. występujące w piosence *Kozańceje more* (tj. Morze Czarne; OS NS 661) czy dawne określenie Dniepru – *Dniepr-Stawuteć* (OS G 626) / *Stawuteć* (PL 179), podnoszące rzekę do rangi bohatera narodowego.

¹⁰⁵ Występuje również w l.mn. (*Studzienki*; WdP 798, WdP 806).

W niektórych przypadkach zastosowane hydronimy służą metaforycznemu określeniu ram temporalnych, np. w opisie powstania rodu szlacheckiego Porawów: „*Za króla Popiela, w czasie pamiętnej potyczki z jego myszami na wyspie jeziora Gopło*” (T I 295).

Nazwa cieśniny *Bosfor*, oprócz punktu odniesienia w opisie innych zjawisk (por. np. „*Po widoku Bosforu Dniepr w tym miejscu jest najpiękniejszy w Europie!*” (T II 404)), jest też swego rodzaju symbolem innego świata, innej kultury, obcej Kozakom czy ogólnie Słowianom.

11. Oronimy

W utworach Świącickiego pojawiają się również oronimy. Ze względu na typ desygnatu można je podzielić na: nazwy szczytów górskich: *czorsztyńska góra*¹⁰⁶ (WdP 742), *Golica* (WdP 804), *Kopa* (WdP 759), *Korona* (WdP 752), *Ostra Skalka* (WdP 801), *Sawur-Mogila* (OS Pok 709), *Skalka* (własc. Wysokie Skalki; WdP 758), *Sokolica* (WdP 802); nazwy pasm górskich: *Czarna Góra* (PL 83), *Pioniny* (WdP 733) / *Pieniny* (WdP 800), *Tatry* (WdP 729) i kulminacji tych pasm: *Truhaniec* (WdP 754), nazwy masywów górskich: *Czatyrdach* (PL 181, OS G 625), *Olimp* (WdP 742), *[tatrzańska] Babia Góra* (WdP 784), nazwy łańcuchów górskich: *Himalaj*¹⁰⁷ (WdP 756); nazwy wzniesień górskich: *Berszytyk* (WdP 801), nazwy przełęczy: *Siodółko* (WdP 732), nazwy górskich formacji skalnych: *Faćmich* (WdP 801) / *Czerwona Skalka* (WdP 803), nazwy grup górskich: *Góry Szczawnickie* (WdP 743), nazwy skalnych żeber: *Grabczycha Wyżnia i Niżnia* (WdP 800). Do oronimów należy zakwalifikować także określenia wzgórz: *Golgota* (PL 211), a także nazwy: *góra św. Andrzeja* (Mo 606), *góra św. Kunegundy* (WdP 759) / *Góra Świętej Kunegundy* (WdP 803), *[kijowska] Łysa* (WdP 784).

Znakomita większość oronimów pochodzi z opowiadania *Wycieczka do Pionin*. W pozostałych utworach nazwy reprezentujące tę kategorię nazewnictwa występują sporadycznie. Wszystkie oronimy (włącznie z nazwami *[tatrzańska] Babia Góra* i *[kijowska] Łysa*, które pojawiają się w opowieści jednego z bohaterów) są nazwami autentycznymi, funkcjonującymi – w obiegu oficjalnym lub potocznym – w przestrzeni uzualnej. Niemal wszystkie nazwy odnoszą się do obiektów

¹⁰⁶ W oryginale małą literą.

¹⁰⁷ Tak w źródle.

„rodzimy” (z punktu widzenia narracji). Do bardziej egzotycznych należą *Olimp* i *Himalaj*, będące poetyckim wyrażeniem emocji narratora, przy czym ostatnia nazwa ma znaczenie generalizujące i oznacza (każdą) *górze*¹⁰⁸. Nazwa *Golgota* jest użyta w funkcji porównania literackiego.

Nietrudno odnieść wrażenie, że w utworze *Wycieczka do Pionin* ranga oronimów jest na tyle wysoka, że są one nie mniej ważnymi bohaterami opowiadania, niż postaci ludzkie. Miejsce oronimów w świecie przedstawionym wspomnianego wyżej opowiadania podkreśla umieszczenie niektórych nazw w tytułach rozdziałów, np. *Pioniny* (WdP 729, 798), *Korona* (WdP 751) oraz bezpośredni zwrot jednego z uczestników wyprawy: „*O, wy góry! [...] O, mocne góry! [...] Mówcie, Pioniny!*” (WdP 734). Łucja Szewczyk pisała o dającej się uchwycić w literaturze romantycznej „modzie na Tatry”¹⁰⁹. Opowiadanie Świącickiego, choć obejmuje nieco inny (ale „sąsiedni”) obszar geograficzny, niewątpliwie wpisuje się w twierdzenie badaczki.

12. Astronimy

W opowiadaniu *Wycieczka do Pionin* pojawiają się trzy astronimy: *Księżyc* (nazwa satelity Ziemi; WdP 729; użyty przez narratora jako porównanie) oraz *Mars* (nazwa planety; WdP 736) i *Rak* (nazwa gwiazdozbioru; WdP 736) będące elementami opowieści jednego z bohaterów.

13. Zoonimy

W analizowanym zasobie pojawia się jedna nazwa własna zwierzęcia – *Żuczek*. Co ciekawe, zoonim ten występuje w powieści *Trójka* dwukrotnie, lecz za każdym razem określa inny desygnat: w tomie pierwszym *Żuczek* to pies Szymonka Złodzickiego (T I 256), w tomie drugim *Żuczek* jest psem państwa Mateusza i Katarzyny Potockich (T II 412–413).

Na marginesie warto wspomnieć, że pojawiające się w opowiadaniu *Wycieczka do Pionin* określenie *bonoński szpic* (WdP 730), zgodnie z praktyką nazewnictwą stosowaną m.in. w Polsce, nie zalicza się do zoonimów, nie jest bowiem

¹⁰⁸ Według informacji z przypisu na stronie 756 tomu *Opowieści stepowe. Pisma prozą*.

¹⁰⁹ Ł. M. Szewczyk, *Nazewnictwo literackie...*, s. 23.

nazwą własną *sensu stricto*. Inaczej jest w tradycji rosyjskiej, gdzie onomaści terminem *zoonim* określają także apelatywne nazwy zwierząt¹¹⁰.

14. Chrematonimy

W tekstach Święcickiego występuje pewna grupa nazw własnych, które można określić mianem chrematonimów społecznościowych¹¹¹. Należą do nich nazwy instytucji państwowych: *Podolskie Szlacheckie Zgromadzenie*¹¹² (T II 513), *Izba Cywilna w Kamieńcu* (T II 519), *Centralny Komitet* (Mo 578), *Kazienna Pałata*¹¹³ (T I 375), *Uniwersytet Wileński* (T II 404) oraz towarzystw: *Towarzystwo Dobroczynności* (T II 540), *Towarzystwo Uczciwego Zarobku w Odessie* (T II 434) / *Towarzystwo Uczciwego Zarobku* (T II 418) / *Towarzystwo* (T II 431), *Towarzystwo Akcyjne do Wydobywania Złota w Indiach Środkowych* (T II 417) / *Towarzystwo* (T II 419), a także onimy *Filia* i *Nora* (T II 522) jako potoczne określenia siedzib *Towarzystwa Uczciwego Zarobku*.

Kolejną podgrupę nazw odnotowanych w analizowanym materiale stanowią chrematonimy określane w dzisiejszych czasach jako marketingowe¹¹⁴. Są to nazwy własne winiarni, karczemi, zajazdów: „*Smocza Paszcza*”¹¹⁵ (T I 338, T II 427) / „*Paszczka*” (T I 340), „*Wilcza Jama*” (T I 338), „*Gnojanka*” (T I 338), „*Kogutek*” (T II 537), „*Miodzius*” (WdP 733), *zajazd Brodzki [w Kamieńcu]* (T II 458), *Chapanka* (T II 421; karczma w lesie), nazwa hotelu: „*Pod Złotą Szpadą*” (T II 437), a także nazwy wyrobów: *Józefina* (WdP 741; nazwa wody leczniczej) oraz *Morison* (T I 313; tu: tabletki doktora Morisona, por.: „*a po rannej kawie zażył Morisona*”).

Jako określenie z pogranicza chrematonimii społecznościowej i marketingowej należy uznać nazwę własną corocznego jarmarku *Kontrakty* (T II 416; właśc. Kijowskie Kontrakty).

¹¹⁰ Zob. m.in. N. Ananiewa, *Zoonimia w polskich gwarach pogranicza bałto-słowiańskiego*, w: *Systemy zoonimiczne w językach słowiańskich*, red. S. Warchoł, Rozprawy Sławistyczne UMCS, t. 11, Lublin 1996, s. 17.

¹¹¹ Zob. A. Gałkowski, *Chrematonimy w funkcji kulturowo-użytkowej*, Łódź 2011, s. 129–145.

¹¹² Właśc. *Deputacja Szlachecka Guberni Podolskiej*.

¹¹³ W oryginale: *Palata*.

¹¹⁴ Zob. A. Gałkowski, *Chrematonimy w funkcji...*, s. 61–67.

¹¹⁵ Nazwy własne wzięte w cudzysłów są w taki właśnie sposób cytowane w materiale źródłowym.

Do kategorii chrematonimów należy zakwalifikować nazwy ksiąg i książek (tzw. ideonimy) oraz ich części: *Biblia* (WdP 799), *Koran* (T I 295), *talmud*¹¹⁶ (OS NS 643), *Stary Zakon* (T I 360), *Ewangelia* (T I 363, T II 500), *Psalmy Dawidowe* (T I 367), *Myszna*, *Gamura* (T I 234; części Talmudu), *Dziady [Mickiewicza]*¹¹⁷ (T II 534), „*Korona*” [*Niesieckiego*] (T I 355, T II 442) / „*Korona*” (T I 301), nazwy gazet i czasopism: „*Wiadomości Gubernialne*” (T I 360), „*Kurierek*” (T II 532), „*Inwalid*” (Mo 583) oraz dokumentów: *Złota Hramota* (Mo 593, T II 544) / *Hramota* (T II 553).

Część zacytowanych onimów w sposób bezpośredni „uczestniczy” – w mniejszym lub większym stopniu – w toku akcji w utworach Świącickiego (np. *Towarzystwo Uczciwego Zarobku*, *Towarzystwo Akcyjne do Wydobywania Złota w Indiach Środkowych*, *Podolskie Szlacheckie Zgromadzenie*, „*Smocza Paszcza*”, *Złota Hramota*) lub występuje w charakterze źródła informacji istotnych dla rozwoju akcji w świecie przedstawionym (np. „*Inwalid*”, „*Kurierek*”, *Izba Cywilna w Kamieńcu*). Inne są zdawkowo wymienione przez narratora lub bohaterów bez wpływu na dalszy ciąg wydarzeń (np. „*Wilcza Jama*”, „*Miodzius*”, *Towarzystwo Dobroczyńności*). Podobnie jak w przypadku innych kategorii nazw własnych, także niektóre chrematonimy służą budowaniu porównań, np. *Psalmy Dawidowe* (T I 367), *Biblia* (WdP 799), *Józefina* (WdP 741) oraz wspomnień, np. *Dziady Mickiewicza* (T II 534) lub jako przenośny sposób osadzenia wydarzeń retrospektywnych w określonych ramach czasowych, np. *Koran* (T I 295).

W granicach chrematonimii społecznościowej wyróżnia się tzw. chrematonimie religijną, do której zaliczane są m.in. nazwy instytucji zakonnych¹¹⁸. Za nazwy własne (socjoideonimy religijne) mogą być uznane takie miana, które desygnują oficjalne i zwyczajowe określenia takich zgromadzeń. Nie są z kolei zaliczane do onimów formalnie tożsame z nimi derywaty nazywające przedstawicieli zakonów (podobnie zresztą jak denominaty odnoszące się do członków określonych wspólnot religijnych)¹¹⁹. W praktyce rozróżnienie kontekstu występowania w utworze literackim (a czasami nawet w obiegu uzualnym) takiej nazwy jest niezwykle

¹¹⁶ W oryginale małą literą.

¹¹⁷ W kontekście porównania pojawiło się też określenie *ballada Mickiewicza* (T II 539), jednak bez wskazania konkretnej pozycji, co raczej wyklucza rozpatrywanie dzieła polskiego wieszca w charakterze nazwy własnej.

¹¹⁸ Zob. A. Gałkowski, *Chrematonimy w funkcji...*, s. 183.

¹¹⁹ Tamże, s. 183, 188.

trudne, tym bardziej, że bez znaczenia pozostają tu zasady ortograficzne: nazwy tego typu z zasady powinny być zapisywane małą literą, użycie wielkiej litery w nazwie potocznej instytucji jest jedynie oznaką szacunku dla adresata¹²⁰. W utworach Świącickiego jako potoczne nazwy zakonów zostały użyte nazwy: *[panny] szarytki* (T I 310), *[panny] Dominikanki* (T I 370), *karmelici* (T I 330, T II 443), *Kameduli* (WdP 751; w tytule rozdziału)¹²¹. Powyższe ustalenia upoważniają zatem do zaszeregowania zacytowanych nazw do kategorii onimów.

15. Heortonimy

W tej nielicznej grupie znalazły się przede wszystkim nazwy świąt chrześcijańskich: *Boże Narodzenie* (Mo 586), „*świętki Bożego Narodzenia lub Wielkiej Nocy*” (T II 394), *Trzech Króli* (T II 413), dzień *św. Mikołaja* (T I 327, por.: „*na święty Mikołaj kupiłem*”), dzień *św. Jana* (PL 87; por.: „*na Iwana na ten tu świat [się] dostał*”; OS CG 708, por.: „*o św. Janie wielki płomień bucha ze zwałiska*” (= na św. Jana (?)). Odnotowano ponadto jedno określenie święta pogańskiego: *Kupała* (T II 394).

Występujące w utworach heortonimy nie są silnie powiązane ze sferą religijną, stanowią raczej punkt odniesienia do usytuowania wydarzeń na osi czasu w cyklu rocznym.

W wierszu recytowanym przez jednego z bohaterów *Trójki* – Szymonka, występuje nazwa święta o charakterze świeckim: *Nowy Rok* (T I 287). Jego obecność w utworze nie wykazuje powiązania z rozwojem akcji.

16. Teonimy

Teonimy są kategorią chętnie wykorzystywaną przez Świącickiego w powieściach i opowiadaniach, o czym świadczy bardzo duża produktywność i zróżnico-

¹²⁰ Tamże, s. 183.

¹²¹ Bazując na powyższych stwierdzeniach, za derywaty pozbawione charakteru propriálního należy natomiast uznać występujące u Świącickiego określenia: *Bernardyn* (T I 317) / *bernardyn* (T II 443) / *bernach* (T II 450), *derwisze* (OS NS 664). W stosunku do określeń *kartuzi* (WdP 752), *kameduli* (WdP 752) kontekst nie rozstrzyga, w jakiej funkcji określenia te zostały wymienione przez narratorkę. Nie powinny być też zaliczane do zbioru nazw własnych użyte określenia członków grup religijnych: *Bracia Krzyżowi* (WdP 748) / *Krzyżacy* (WdP 747), *Husyci* (WdP 748), *Taborycy* (WdP 748).

wanie wariantów nazw tego typu. Zdecydowanie najczęściej określić odnosi się do Boga chrześcijańskiego: *Bóg*¹²² (PL 77, T I 271, T II 392, Mo 564, OS G 609, OS NS 634, OS AM 693, OS CG 698, OS Pok 709, OS Pod 715, WdP 729) / *Chrystus* (PL 88, T I 318, T II 481, Mo 605, WdP 746) / *Zbawiciel* (PL 164) / *Spas* (OS NS 662) / *Stwórca* (T II 437) / *Wszchemogący* (T I 330) / *Hospod'* (T II 397, OS G 613, OS NS 652, OS Pok 711) / *Dominus* (T I 313) / *Duch Święty* (T I 274, T II 411) / *Isus Chrystos* (OS NS 671) / *Jezus* (PL 188, T I 321, T II 411, OS CG 704) / *Agnus Dei* (T I 328) / *Jezus Nazarański, król żydowski* (T I 326) / *Najwyższy* (T II 476) / *Opatrzność* (PL 155, T I 266) / *Pan* (PL 95, T II 554) / *Pan Bóg* (T I 328, T II 466, Mo 598) / *pan Bóg* (T I 277, T II 413, OS NS 675, WdP 733) / *Pan zastępów* (T II 489) / *Pater [noster]* (T II 447). Są to określenia odnoszące się zarówno do Boga w Trójcy Jedyne (Bóg, Zbawiciel, Pan Bóg, Hospod'), onimy związane z poszczególnymi Osobami Trójcy Świętej (*Isus Chrystos*, *Jezus*, *Duch Święty*) lub inne nazwy o charakterze trynitarnym (*Opatrzność*, *Najwyższy* itd.)¹²³.

Bardzo często imię Boga pojawia się w zawołaniach spowodowanych strachem, zdziwieniem, zaskoczeniem lub innymi, najczęściej nagłymi, zdarzeniami, np.: *Boże! Boże!* (OS CG 706), *Chryste* (WdP 755), *Duch Święty!* (OS NS 686), *Hospode Boże!* (OS G 629), *Hospody!* (OS NS 652), *Isus Chrystos!* (OS NS 671), *Jezus!* (T II 411, OS CG 704), *Jezusie Nazarański, królu żydowski...* (T I 326), *Mon Dieu!* (T I 237), *Mój Boże!* (T II 420), *Na Boga!* (T II 541). Najczęściej są to wykrzyknienia występujące w wołaczcu lub mianowniku w funkcji wokatywnej¹²⁴.

Pojawiają się też liczne utarte zwroty z teonimem *Bóg* (w sensie: Bóg chrześcijański) lub jego ekwiwalentami, np.: *Boże zmiłuj się* (WdP 732), *Bóg zapłać* (T II 489), *Daj Boże!* (PL 80, OS NS 681), *Idź z Bogiem* (WdP 759), *Idźcie z Bogiem* (OS G 630), *Laudetur Iesus Christus!* (T I 318; przywitanie), *O dla Boga* (T II 414), *Pomahaj Bih!* (OS NS 681), *Sława Bohu!* (PL 164, T II 547, OS NS 663, OS Pok 710), *Szczęść Boże!* (Mo 584, T I 322; pożegnanie), *świeć tam Panie!* (T II 440;

¹²² Formy typu *Bóg*, *Duch Święty*, *Pan* (w znaczeniu *Bóg*) Ł. Szewczyk zalicza do deskrypcji jednostkowych, zob. Ł. M. Szewczyk, *Nazewnictwo literackie...*, s. 27.

¹²³ Zob. V. Jaros, *Chrematonimia Jasnej Góry i jej uwarunkowania kulturowe*, w: *Onomastyka – neohumanistyka – nauki społeczne*, red. U. Bijak, H. Górny, M. Magda-Czekaj, Kraków 2018, s. 196.

¹²⁴ Na częste występowanie *nomina sacra* w wypowiedziach wykrzyknikowych zwraca uwagę m.in. Ł. Szewczyk (zob. Ł. M. Szewczyk, *Nazewnictwo literackie...*, s. 137).

o zmarłych), *uchowaj Boże* (T II 508), *bihme*¹²⁵ (OS NS 667), *W imię Ojca i Syna* (T I 275), *Wo imia Otca i Syna...* (OS NS 659), *Z Bohom!* (OS NS 691) i inne. Zwraca uwagę znaczna frekwencja określeń tego typu we wszystkich utworach mimo faktu, że wątki *stricte* religijne praktycznie nie są w nich poruszane.

Spośród pozostałych teonimów najczęściej występują nazwy boga w tradycji muzułmańskiej, co oczywiście ma ścisły związek z tematyką utworów: *Allach* (OS G 624, OS NS 656) / *Ałłach* (OS G 624, OS NS 660, OS Pod 717) / *Ałłah* (PL 149), ponadto w okrzykach Tatarów: *Allach!* *Allach!* (OS Pod 715) / *Ałłah!* (OS Pod 715).

Pojedyncze teonimy: *Bachus* (T II 488), *Wenera* (T II 488), *Apollin* (WdP 742), zostały zaczerpnięte z mitologii (mamy tu zatem do czynienia z nazwami z pogranicza dwóch kategorii onomastycznych, tj. teonimii i mitonimii). Służą one podmiotowi opowiadającemu jako środek do poetyckiego przedstawiania zdarzeń (por.: *kapłani Bachusa i Wenery* (o młodzieży prowadzącej próżny tryb życia)) lub są skierowane do czytelnika w celu zapewnienia narratora o autentyczności wydarzeń (por.: *Świadczyć się Apollinem*).

Teonim *bóg* dwukrotnie pojawia się w formie pluralnej. W jednym przypadku występuje on w znanym powiedzeniu bez wskazania na konkretną postać: *Którędyż bogi prowadzą?* (T II 441), w drugim – jest składnikiem metafory i odnosi się albo do świętych w ogóle, albo do ikon: „*przed bogami palą się poświęcane świeczki*” (OS NS 684).

17. Hagionimy

Najliczniej reprezentowane są hagionimy odnoszące się do Matki Bożej: *Bogarodzica* (Mo 595) / *Bohorodyca*¹²⁶ (T I 252, OS NS 662) / *Bohorodycia* (PL 182, OS NS 660) / *Królowa nieba*¹²⁷ (PL 191) / *Najświętsza Panienska* (WdP 757) / *Matka Boska* (T I 305, T II 393, Mo 592) / *Matka Boża* (PL 155) / *Matka [Jego] święta* (WdP 746) / *Panna Maria* (T II 491) / *Preczysta* (PL 184, OS G 615, OS

¹²⁵ Forma nieco zdeonimizowana, którą można przetłumaczyć jako ‘przysięgam na Boga’ (ukr. *Bih* ‘Bóg’).

¹²⁶ W źródle występuje w bierniku (*Bohorodycę*) lub celowniku (*Bohorodycy*).

¹²⁷ Nazwy tego typu użyte w stosunku do Matki Bożej można uznać za twory onimiczne, a nie – jak w przypadku określeń przenośnych innych grup (m.in. antroponimów, toponimów, etnonimów) – jako deskrypcje apelatywne.

NS 662) / *Przeczysta Panna* (PL 85) / *Przeczysta* (T II 405, OS G 613, OS CG 703). Produktywność i zróżnicowanie określeń Matki Bożej wynika, po pierwsze, z roli, jaką ta postać pełni w świecie chrześcijańskim. Po drugie zaś, Bogurodzica od zawsze była otaczana szczególną czcią na Słowiańszczyźnie, zwłaszcza przez Kozaków, o czym wspomina narrator w jednym z utworów: „Znana rzecz, że Bohorodycia lubiła Kozaków jak rodzone dzieci [...]. Kozak nie zawsze wiedział, co tam w niebie [...], ale co do cześci dla Bohorodycy – nie było mu równego!” (OS NS 662). Również wypowiedzi samych bohaterów-Kozaków świadczą o ważnym miejscu Matki Boskiej w życiu i poczynaniach tej grupy etniczno-społecznej: *Bohorodycia z nami!* (OS NS 660), „Zrobił ja, co mógł [...] a resztę dała Przeczysta” (OS NS 672), „Da Przeczysta, że z wędrówki powrócimy zdrowo” (OS G 615).

Odnotowano występowanie kilku postaci ze Starego Testamentu. Nie zaliczają się one wprawdzie w poczet świętych, ale są czczone w świecie judeochrześcijańskim: *Cham*¹²⁸ (T I 354), *Jafet* (T I 354), *Noe* (T I 352), *Abraham* (T II 429, T II 553). W utworze *Trójka* służą jako źródło porównań i metafor. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że wymieniony przez narratora *Opowieści stepowych* starotestamentowy *Haman* (OS NS 640) jest uznawany za postać raczej pozbawioną religijnego charakteru.

W analizowanych tekstach odnajdujemy też informacje o świętych nowotestamentowych, świętych starochrześcijańskich, średniowiecza i czasów nowożytnych: *święty Franciszek* (PL 163), *święty Mykoła* (PL 159, OS G 615, OS NS 663), *święty Piotr* (T I 355), *święta Kunegunda* (WdP 806). Niektóre z nich są użyte w utworach w sensie przenośnym (np. *święty Piotr* i *święty Franciszek*).

Jako patroni bohaterów *Trójki* pojawiają się w utworze: *Święty Szymon* (w opowieści Pańka i z nieco humorystycznym zabarwieniem; T I 276), *św. Kuba* (T I 296), *święty Mateusz* (T II 411–412), *święty Opanas* (T I 276). Nie wszystkie imiona wspomnianych świętych są przedstawione w formach kanonicznych.

Materiał źródłowy dostarcza ponadto kilku innych przykładów hagionimów. Jednak kontekst ich użycia w omawianych utworach powoduje przesunięcia desygnacyjne, a w konsekwencji – zbliżenie do kategorii ideonimów¹²⁹ z komponentem hagionimicznym, por.: *Matko Najświętsza Latyczowska!* (T II 412; tu: obraz

¹²⁸ Imię *Cham* ze względu na negatywne konotacje może (choć nie musi) być postrzegane inaczej niż pozostałe antroponimy zacytowane w tym miejscu.

¹²⁹ Por. A. Gałkowski, *Chrematonimy w funkcji...*, s. 40–41.

Matki Bożej Latyczowskiej), *obraz Latyczowskiej [Matki Bożej]* (T II 413), *obraz Bogarodzicy* (Mo 595, OS CG 706), *obraz Przczystej* (T II 471), *obraz Przczystej w Ławrze* (T II 554), *statua Matki Boskiej* (T I 379, WdP 751), *Michał święty* (T II 548), *święty Michał* (OS NS 637), *Archanioł* (T II 557; tu: sztandar / chorągiew z wizerunkiem św. Michała Archanioła), *sztandar świętego Michała* (T II 548), *Srebrny archanioł* (OS NS 656; tu: chorągiew z wizerunkiem św. Gabriela Archanioła), *św. Mikołaj* („*stanę przed św. Mikołajem*”; T I 273; tu: o ikonie św. Mikołaja), *Święty Łazarz* („*od Swiatoho Lazara począwszy*”; T I 241; tu: pieśń o św. Łazarzu).

Są też przypadki użycia hagionimów *Bohorodycia*, *Bohorodyca* w funkcji metonimicznych określeń hagiotoponimów¹³⁰, por.: „*niemało też dostała Bohorodycia na koralę*” (PL 182), „*dużo złota dał Bohorodycy*” (OS NS 648; w tych przypadkach chodzi zapewne o części łupów pozyskanych z wypraw na Tatarów, przekazanych na potrzeby świątyni, której patronką była Matka Boża).

Spośród nazw spoza kręgu chrześcijańskiego trzeba wspomnieć o mianach umownie zaliczonych do hagionimów, przy czym ta umowność pojawia się ze względu na fakt niewystępowania świętych (w rozumieniu chrześcijańskim) w religii muzułmańskiej: *Mahomet* (PL 166) / *Prorok* (OS G 618) / [*Wielki*] *Prorok* (OS G 625) / *Mahomet [jego] prorok!* (OS NS 657, OS Pod 722).

W tym miejscu należy też umieścić kilka określeń „sił zła”: *Szatan* (T I 326, T II 426) / *Diabeł* (T I 326) / *Lucyfer* (T II 412).

18. Hagiotoponimy

Cytowane w dziełach Świącickiego hagiotoponimy nie są licznie reprezentowane, ale wpływają na zróżnicowanie tła akcji. Przedstawione są nazwy świątyń chrześcijańskich: *cerkiew Bohorodyci* (PL 176; tu: cerkiew Matki Bożej w Międzygórzu), *Cerkiew Bohorodycy* (OS NS 650; tu: cerkiew Matki Bożej w Siczy Zaporoskiej), *Czerwony Klasztor* (WdP 751; kompleks klasztorny w miejscowości Czerwony Klasztor na Słowacji), *kijowska ławra* (OS NS 677), *Ławra* (PL 176, T II 405; tu: Ławra Peczerska w Kijowie), *klasztor karmelitów* T II 479; tu: klasztor karmelitów w Kamieńcu Podolskim), niekiedy są nazwane tylko fragmenty świątyń: *wieża [klasztoru] karmelitów* (T I 344; tu: wieża klasztoru karmelitów

¹³⁰ A. Gałkowski, U. Bijak, *Lista ICOS kluczowych terminów onomastycznych*, Łódź–Kraków 2018, s. 2.

w Kamieńcu Podolskim), *wieża dominikańska* (T I 337, T II 462; tu: wieża kościoła dominikanów w Kamieńcu Podolskim).

W jednym z utworów pojawia się nazwa własna meczetu (pierwotnie – świątyni chrześcijańskiej): *Aja Sofii meczet* (OS NS 664).

W charakterze nazw własnych miejsc sakralnych¹³¹ występują ponadto onimy: *Powązki* (T II 505) oraz *Czajczyną Mohyla* (PL 230).

Użyty przez narratora w powieści *Trójka* związek wyrazowy *świątynia Bachusa* (T I 340, T I 352) występuje jako metaforyczne określenie szynku „*Smocza Paszcza*” (zob. chrematonimy), nie odnosi się zatem do kategorii hagiotoponimów.

19. Mitonimy

Głównym źródłem tej grupy onimów jest *Bajka nie z tysiąca i jednej nocy*, którą opowiada narrator – uczestnik wycieczki górskiej towarzysze wyprawy – niejakiej pannie Emilii. Opowieść ta stanowi odrębny rozdział *Wycieczki do Pionin*, a jej akcja nie jest zintegrowana z resztą opowiadania. Tworzy natomiast areał do poszukiwań analogii i porównań ze światem realnym (z pozycji narratora i czytelnika), wprowadza też aurę tajemniczości i romantycznego nastroju. Bohaterami *Bajki* są istoty, imiona których – przynajmniej w części – wykazują podobieństwo do imion postaci występujących w innych znanych mitach i legendach słowiańskich, por.: *Cień* (WdP 761), *Hurgrot* (WdP 788), *Kramadata* (WdP 792), *Leśna* (WdP 766), *Ognita* (WdP 776), *Rusałka* (WdP 766), *Siarczyk* (WdP 787), *Skromiot* (WdP 788), *Chandra* (WdP 784), *Strzyg* (WdP 772), *Talis* (WdP 779), *Toplana* (WdP 770), *Trakata* (WdP 779), *Trat* (WdP 779), *Trzygłów* (WdP 785), *Wodnica* (WdP 766). W słowach jednej z bohaterek *Bajki* – *Wodnicy* przywołana zostaje postać z mitologii greckiej (*notabene* również mitonim): *Adonis* (WdP 770; w taki sposób *Wodnica* zwraca się do *Cienia*). W dalszej części *Wycieczki do Pionin* wspomniany jest inny znany bohater podań górskich – *Janosek* (WdP 804) / *Janoszek* (WdP 804). Mimo potwierdzonych informacji o autentyczności postaci, *Janosik* jest przedstawiany w kilku krajach jako bohater folklorystyczny. Do porównań literackich Świącicki wykorzystał też w omawianym opowiadaniu nazwy z mitologii rzymskiej (*Wenus* (WdP 743)) i greckiej (*Hypokrena* (WdP 743)).

¹³¹ Tamże.

Z kolei w utworze *Trójka* autor przywołuje *Popiela* (T I 295). Imię legendarnego władcy Polan pełni funkcję temporalną – pojawia się we wstępie do opowieści o rodzinie Porawów / Porowskich. W tym dziele Świącickiego odnotowanych jest też osiem onimów zaczerpniętych z mitologii greckiej: *Eneasza* (T I 356), *Anchizes* (T I 356), *Telemak* (T I 291), *Mentor* (T I 291), *Orest* (T I 333), *Pilades* (T I 333), *Bachus*¹³² (T I 340) oraz *amazonka* (T II 533) / *amazonki* (T II 516). W utworze nazwy te występują jako poetyckie określenia głównych bohaterów lub miejsc (*świątynia Bachusa* – tu: szynk Herszka).

Leksemem służącym porównaniu jest też onim *Eldorado* (T II 536).

Prawdopodobnie w mitologii mają również swoje źródło pojawiające się w *Opowiadaniach stepowych* „nazwy zastępcze” postaci: *Meri* (OS Pod 721) i *Peri* (OS G 622, OS Pod 723).

20. Inne kategorie onimów

Na pograniczu różnych klas onimów należy ulokować ważne z punktu widzenia akcji określenie *Sicz* (PL 176, T II 454, OS G 614, OS NS 637) / *Sicz maty* (PL 182, OS NS 646) / *Sicz Zaporoska* (OS NS 655) oraz powiązany z nim derywat *siczowik* (OS NS 649) oznaczający Kozaka z Sicy Zaporoskiej. W utworach Świącickiego określenia te odnoszą się do konkretnych desygnatów, można je zatem uznać za nazwy własne. Mniejszym stopniem onimizacji cechuje się natomiast inne pojęcie o podobnym zakresie referencyjnym – *Orda* (OS Pod 715). W utworach Świącickiego również dotyczy ono konkretnej grupy (tu: organizacji woskowo-plemiennej Tatarów z Chanatu Krymskiego).

Można zaryzykować stwierdzenie, że pojawiające się kilkakrotnie w powieści i będące zarazem jej tytułem określenie *Trójka* (T II 506), odnoszące się do życia i przygód trzech głównych bohaterów, urasta w II tomie dzieła do rangi onimu. Jest ono potraktowane jako swego rodzaju słowo-klucz, pobudzające do działania i wywołujące optymizm. W utworze występuje ono w cudzysłowie. Już samo jego brzmienie budzi pewne skojarzenia, m.in. porównanie *Trójki* do św. Trójcy (por. „*Durny był Pańko, że w „Trójkę” wierzył*” (T II 509)), albo do *trójki* jako trójkonnego zaprzęgu popularnego na Wschodzie. Być może nie pozostaje tu bez znaczenia także wspomniany wyżej urbanonim *Trójkąt*.

¹³² Zob. grupę *teonimy*.

21. Onimy niejasne

W analizowanym źródle wystąpiło kilka onimów o trudnej do ustalenia denotacji: *Ihwa* (PL 226; tu: być może antroponim lub mitonim), *Skorzynki* (T I 281; prawdopodobnie nazwa wsi Skorzyńce), *Wola* (T II 557; kontekst sugeruje, że mamy tu do czynienia z nazwą miejscową).

Przymiotnikowe określenia odonimiczne

Warto odnotować, że wiele nazw własnych funkcjonujących w przestrzeni literackiej w utworach Świącickiego posłużyło jako baza słowotwórcza przymiotników odonimicznych. Najwięcej takich form to derywaty odantroponimiczne, reprezentujące najczęściej podtyp przymiotników dzierżawczych, por. wyrażenia¹³³: *kurtka Pańkowa* (T I 263), *oko Pańkowe* (T I 265), *dworzec Damianowy* (OS G 617) / *Damianowy podwórzec* (OS G 627), *pobrat Prokopów* (OS G 614), *Prokopowe hore* (OS G 614), *karczma Ickowa* (T I 290), *Abramkowe wino* (T I 313), *zamek Fazylów* (OS G 625), *bureczka Szymciowa* (T I 291), *bilet Szymciów* (T I 324), *Semenowy koń* (OS NS 651), *Handzinowy ojciec* (OS NS 680), *Rotkirchowy zamek* (OS CG 699), *Herszkowe sacrum* (T I 352), *Maksymowa bagatelka* (T I 325). W analizowanych tekstach odnajdujemy również szeroki repertuar przymiotników odetnonimicznych, np. *bazar [...] żydowski* (OS NS 646), *[Złoto] rzecz żydowska* (OS NS 647), *żydowski hałas* (OS NS 646), *berdy-sze tatarskie* (OS Pod 715), *miecz tatarski* (OS Pod 714), *tatarska hołota* (OS G 620), *tatarskie trupy* (OS G 625), *tatarski kumys* (PL 182), *chrzest kozacki* (OS NS 651), *dusza kozacka* (OS CG 705), *kozacki zwyczaj* (OS G 619), *graf niemiecki* (OS CG 704), *knecht niemiecki* (OS CG 702), *niemieckie gniazdo* (OS CG 699), *janeczka turecka* (OS NS 653), *kule tureckie* (OS NS 665), *słowa tureckie* (OS NS 644), *lacka ziemia* (OS NS 654), *lacka kraina* (OS Pod 720), *wandalska ręka* (WdP 745; tu we wtórnym znaczeniu). Podstawą do utworzenia przymiotników były też toponimy, por.: *humeńsko-odeski trakt* (T II 416), *berdyczowski las* (PL 184), *wały kamienieckie* (T I 343), *balet warszawski* (T I 350), *fabryka baliniecka*

¹³³ Ze względu na ograniczoną objętość tekstu przymiotnikowe formacje odonimiczne podane są w wyborze.

(T I 381), *jarmark berdyczowski* (T II 416), *akcent paryski* (T II 449), *perekopski bazar* (OS G 617), *perejaśtawska fala Dniepru* (PL 178), *kaniowska fala Dniepru* (PL 178), choronimy: *barszcz ukraiński* (T II 392), *wiatr ukraiński* (OS NS 631), *droga węgierska* (WdP 751), *mosty [nie] polskie* (WdP 751), *wojsko zaporoskie* (OS NS 675), *młódź zaporoska* (PL 182), *niebo podolskie* (OS CG 698), *cypryjskie wino* (OS Pod 722), teonimy: *wola Boża* (OS G 628), *dopust Boży* (T I 324), *dary Boże* (T II 386, WdP 735), *gniew Boży* (T II 436), *pokaranie Boskie* (WdP 741), *miłość Boska* (WdP 754), *wyroki Boskie* (T II 437), hydronimy: *dno dniewrowe* (OS Pok 710), *fala [...] dniewrowa* (OS G 618), *fala dniewrzana* (OS Pod 712), oronimy: *pionińska warownia* (WdP 752), mitonimy: *ciecz hypokreńska* (WdP 743) i an-ojkonimy: *saharyjskie piaski* (T II 434).

Deonimy

W utworach Świącickiego wystąpiło też kilka zapelatywizowanych nazw własnych. Poświadczone deonimy powstały w wyniku przejścia do kategorii nazw pospolitych etnonimów: *albanka* (T I 282; gatunek tabaki), katojkonimów: *sandomierka* (T I 325; odmiana pszenicy), antroponimów: *samson* (T I 361; tytoń), mitonimów: *eskulap* (WdP 737; lekarz), toponimów: *bafra* (T I 361; tytoń), *bordeaux* (T I 361, T II 386; gatunek wina).

Zakończenie

Nazwy własne występujące w przestrzeni literackiej różnią się funkcjami w poszczególnych utworach. Chcąc je szczegółowo opisać pod względem funkcjonalnym, należałoby przeanalizować nazewnictwo każdego tekstu literackiego z osobna¹³⁴. Natomiast całościowe spojrzenie z perspektywy onomastycznej na dzieła Świącickiego zebrane w tej edycji pozwala ukazać bogaty repertuar użytych przez niego onimów, ich osadzenie w świecie przedstawionym, funkcje konstytutywne, a niekiedy również wartości semantyczne i konotacyjne.

¹³⁴ Zob. Ł. M. Szewczyk, *Nazewnictwo literackie...*, s. 14.

Większość nazw własnych odnotowanych w utworach Świącickiego to nazwy asemantyczne, ponieważ zostały one przejęte z zasobu nazewnictwa pozaliterackiego¹³⁵. Niemniej, ich funkcja wartościująca wyraża się w konotacjach uwarunkowanych kontekstem odpowiednich fragmentów lub całości utworu, a także wywołanych specyfiką użycia nazw w tekście¹³⁶.

W zasobie nazw własnych występujących w omawianych utworach wyraźnie dominują określenia autentyczne (oznaczające te same desygnaty, co w obiegu uzualnym)¹³⁷. Obecność nazw tego typu, głównie geograficznych i osobowych, poza funkcjami, jakie spełniają one w utworze literackim, może też świadczyć o samym autorze – o jego znajomości szeroko rozumianej kultury lokalnej i globalnej, a także o jego orientacji w wielu dziedzinach nauki¹³⁸. Liczne nazwy własne zostały użyte w funkcji informacyjnej, co stwarza iluzję autentyczności postaci fikcyjnych i relacji narratorskiej¹³⁹.

Jak wynika z analizy, przypisanie danej nazwy własnej do konkretnej klasy onimów w niektórych przypadkach nastrocza trudności. Występują sytuacje, w których zbiory te krzyżują się, co jest wynikiem m.in. zmienności kontekstu sytuacyjnego, przedstawionego w utworze literackim. Wiele nazw występuje na pograniczu różnych klas onimicznych, a także na styku *nomina propria* i *nomina appellativa*, w związku z czym ich zaszeregowanie do nazw własnych może niekiedy być dyskusyjne.

Materiał onomastyczny wyekscerpowany z tekstów literackich można klasyfikować na różne sposoby i dokonywać jego interpretacji z wielorakich perspektyw¹⁴⁰. W niniejszej pracy ograniczono się do przedstawienia podziału rzeczowego¹⁴¹, który może stanowić impuls do dalszych dociekań nad nazwami własnymi w utworach Świącickiego. Przy analizie funkcji stylistycznych onimów występujących w świecie przedstawionym niezbędne jest odwołanie do opracowań krytycznych dotyczących twórczości autora¹⁴². Paulin Świącicki

¹³⁵ H. Munia, *Nazwy własne w utworach...*, s. 141.

¹³⁶ Ł. M. Szewczyk, *Nazewnictwo literackie...*, s. 17.

¹³⁷ Por. H. Munia, *Nazwy własne w utworach...*, s. 141.

¹³⁸ Por. I. Sarnowska-Gieffing, *Nazewnictwo w nowelach...*, s. 14.

¹³⁹ Tamże; A. Siwiec, *Nazwy osobowe...*, s. 190.

¹⁴⁰ Zob. np. I. Łuc, *Nazwy własne w literaturze...*, s. 50, 60–62.

¹⁴¹ Tamże, s. 62.

¹⁴² Por. Ł. M. Szewczyk, *Nazewnictwo literackie...*, s. 15.

w dalszym ciągu pozostaje pisarzem mało znanym tak w środowisku polskim, jak i ukraińskim. Należy wyrazić nadzieję, że rozpropagowanie jego dzieł przyczyni się do zintensyfikowania badań historycznoliterackich nad twórczością Świącickiego, a w konsekwencji – do uzupełnienia zasobu cennych, ale bardzo nielicznych opracowań z tego zakresu. Wówczas, dysponując punktami odniesienia, będzie możliwe przeprowadzenie szerszego opisu systemów onimicznych występujących w jego utworach, który połączy aspekt onomastyczny z analizą stylistyczną¹⁴³.

Skróty

- PL – *Przed laty. Powieść ukraińska*
 T I – *Trójka. Powieść. Tom pierwszy*
 T II – *Trójka. Powieść. Tom drugi*
 Mo – *Moskal. Powieść z ostatnich czasów*
 OS G – *Opowieści stepowe. Gulnara*
 OS NS – *Opowieści stepowe. Na stepie*
 OS AM – *Opowieści stepowe. Atamańska mogiła*
 OS CG – *Opowieści stepowe. Czartowa Góra*
 OS Pok – *Opowieści stepowe. Pokuta*
 OS Pod – *Opowieści stepowe. Podolanka*
 WdP – *Wycieczka do Pionin*

Bibliografia

- Abramowicz Zofia, Citko Lilia, Dacewicz Leonarda, *Słownik historycznych nazw osobowych Białostoczczyzny (XV–XVII w.)*, Białystok 1997–1998.
 – Abramowicz Zofia, *Imiona chrzestne białostoczan w aspekcie socjolingwistycznym (lata 1885–1985)*, Białystok 1993.

¹⁴³ Tamże.

-
- Ananiewa Natalia, *Zoonimia w polskich gwarach pogranicza bałto-słowiańskiego*, w: *Systemy zoonimiczne w językach słowiańskich*, red. S. Warchoń, Rozprawy Sławistyczne UMCS, t. 11, Lublin 1996, s. 17–27.
 - Bubak Józef, *Imiona w polskiej prozie fabularnej z przełomu XVIII i XIX wieku*, w: *Onomastyka literacka*, red. M. Biolik, Olsztyn 1993, s. 107–111.
 - Cieślikowa Aleksandra, *Nazwy własne w różnych gatunkach tekstów literackich*, w: *Onomastyka literacka*, red. M. Biolik, Olsztyn 1993, s. 33–39.
 - Citko Lilia, *Nazewnictwo osobowe północnego Podlasia w XVI w.*, Białystok 2001.
 - Długosz Kazimierz, *O funkcjach nazw własnych w baśniach, podaniach i legendach różnych regionów Polski*, w: K. Długosz, *Z zagadnień nazw własnych*, Gorzów Wielkopolski 2014, s. 60–70.
 - Domaciuk-Czarny Izabela, *Nazwy własne w przestrzeni literackiej i wirtualnej typu fantasy*, Lublin 2015.
 - *Encyklopedia PWN*, online [dostęp: 23.02.2021].
 - Fabianowski Andrzej, *Rola Kozaczyzny w koncepcjach politycznych Michała Czajkowskiego*, w: *Szkoła ukraińska w romantyzmie polskim. Szkice polsko-ukraińskie*, red. S. Makowski, U. Makowska, M. Nesteruk, Warszawa 2012, s. 421–431.
 - Fros Henryk, Sowa Franciszek, *Księga imion i świętych*, t. 1–6, Kraków 1997–2007.
 - Gałkowski Artur, Bijak Urszula, *Lista ICOS kluczowych terminów onomastycznych*, Łódź–Kraków 2018.
 - Gałkowski Artur, *Chrematonimy w funkcji kulturowo-użytkowej*, Łódź 2011.
 - Handke Kwiryna, *Nazewnictwo jako narzędzie ekspresji*, w: *Onomastyka literacka*, red. M. Biolik, Olsztyn 1993, s. 41–49.
 - Janowowa Wanda, Skarbek Aldona, Zbijowska Bronisława, Zbiniowska Janina, *Słownik imion*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991.
 - Jaros Violetta, *Chrematonimia Jasnej Góry i jej uwarunkowania kulturowe*, w: *Onomastyka – neohumanistyka – nauki społeczne*, red. U. Bijak, H. Górny, M. Magda-Czekaj, Kraków 2018, s. 183–199.
 - *Kalendarz prawosławny 2009*, Wydanie Warszawskiej Metropolii Prawosławnej, Warszawa 2009.
 - Kaleta Zofia, *Nazwisko w kulturze polskiej*, Warszawa 1998.
 - Kondratiuk Michał, *Współczesne nazwiska mieszkańców polsko-białoruskiego i słowiańsko-litewskiego pogranicza od nazw grup etnicznych i narodowości*, w:

Polsko-białoruskie związki językowe, literackie, historyczne i kulturowe, t. 3, Białystok 2001, s. 23–28.

– Kuć Joanna, *Przydomki szlacheckie jako jeden ze sposobów identyfikacji szlachty z parafii trzebieszowskiej w 2. poł. XVII w.*, „Białostockie Archiwum Językowe” 2003, t. 3, s. 119–132.

– Kwapiszewski Marek, *Kozacka autolegenda. Michał Czajkowski wobec Ukrainy i prawosławia*, w: M. Kwapiszewski, *Późny romantyzm i Ukraina. Z dziejów motywu i życia literackiego*, Warszawa 2006, s. 81–99.

– Kwapiszewski Marek, *Kozak romantyczny. Dzieje motywu*, w: M. Kwapiszewski, *Późny romantyzm i Ukraina. Z dziejów motywu i życia literackiego*, Warszawa 2006, s. 7–34.

– Łuc Izabela, *Nazwy własne w literaturze dziecięco-młodzieżowej Małgorzaty Musierowicz*, Katowice 2007.

– Malec Maria, *Imiona chrześcijańskie w średniowiecznej Polsce*, Kraków 1994.

– Matuszewski Józef, *Polskie nazwisko szlacheckie*, Łódź 1975.

– Mazur Aneta, „Na Ukrainie za owych dobrych czasów” – *Przed laty. Powieść ukraińska Paulina Świącickiego*, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria” 20 (2020), s. 209–221, <https://studiahistoricolitteraria.up.krakow.pl/article/view/7840/7121> [dostęp: 28.02.2021].

– Mrózek Robert, *Nazwy własne jako przedmiot badawczy onomastyki*, w: *Nazwy własne w języku, kulturze i komunikacji społecznej*, red. R. Mrózek, Katowice 2004, s. 9–20.

– Munia Henryka, *Nazwy własne w utworach rosyjskiej prozy wiejskiej XX wieku*, Lublin 2013.

– Mytnik Irena, *Imiennictwo szlachty polskiej w dawnej ziemi wołyńskiej*, w: *Niejedno ma imię... Prace onomastyczne i dialektologiczne dedykowane Profesor Ewie Wolnicz-Pawłowskiej*, red. E. Dziegiel, T. Korpysz, Warszawa 2013, s. 289–299.

– Raszevska-Klimas Agnieszka, *Wieloznaczność nazwisk Polaków*, Łódź 2018.

– Rymut Kazimierz, *Słownik imion współcześnie w Polsce używanych*, Kraków 1995.

– Rymut Kazimierz, *Słownik nazwisk współcześnie w Polsce używanych*, t. 1–10, Kraków 1992–1994.

– Sarnowska-Gieffing Irena, *Nazewnictwo w nowelach i powieściach polskich okresu realizmu i naturalizmu*, Poznań 1984.

- Sarnowska-Giefing Irena, *Onomastyka literacka dziś – przeloty czy kontynuacje?*, w: *Nowe nazwy własne – nowe tendencje badawcze*, red. A. Cieślukowa, B. Czopek-Kopciuch, K. Skowronek, Kraków 2007, s. 559–572.
- Sarnowska-Giefing Irena, *Onomastyka literacka wobec współczesnej stylistyki*, w: *Nazwy mówią*, red. M. Pająkowska-Kensik, M. Czachorowska, Bydgoszcz 2004, s. 23–31.
- Siwiec Adam, *Nazwy osobowe w „Schodami w górę, schodami w dół” Michała Choromańskiego*, w: *Onomastyka literacka*, red. M. Biolik, Olsztyn 1993, s. 187–197.
- *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, red. F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewski, t. I–XV, Warszawa 1880–1902, http://dir.icm.edu.pl/pl/Słownik_geograficzny [dostęp: 22.02.2021].
- *Słownik języka polskiego PWN*, online [dostęp: 23.02.2021].
- *Spis imion prawosławnych w brzmieniu polskim i staro-cerkiewno-słowiańskim*, Warszawa 2011.
- Szewczyk Łucja M., *Nazewnictwo literackie w twórczości Adama Mickiewicza*, Bydgoszcz 1993.
- Świerczyńska Dobrosława, *Paulin Świącicki: dramat pisarza pogranicza*, „Pamiętnik Literacki” 1996, nr 87/1, s. 199–212.
- Wilkoń Aleksander, *Nazewnictwo w utworach Stefana Żeromskiego*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1970.
- Wolnicz-Pawłowska Ewa, *Antroponimia polska na Kresach południowo-wschodnich*, w: *Antroponimia słowiańska: materiały z IX OKO*, red. E. Wolnicz-Pawłowska, J. Duma, Warszawa 1996, s. 347–352.
- Wolnicz-Pawłowska Ewa, Szulowska Wanda, *Antroponimia polska na kresach południowo-wschodnich XV–XIX wiek*, Warszawa 1998.
- Брацка Марія, *Етнічна парадигма поезії «української школи» польського романтизму*, Київ 2009.
- Керста Розалія Й., *Українська антропонімія XVI ст. Чоловічі іменування*, Київ 1984.
- Кралуок Петро М., «Полонізовані козаки», w: П. М. Кралуок, *Козацька міфологія України: творці та епігони*, Харків 2016, s. 341–356.
- Пашаева Фирангиз, *Эволюция имени собственного в русской литературе XIX века и ее отражение в творчестве Ф. М. Достоевского*, Баку 2017.

-
- Серета Остап, Павлин Свенціцький у суспільному житті Галичини: до історії польського українофільства, w: *Україна: культурна спадщина, національна свідомість, державність. Вип. 15: Confraternitas. Ювілейний збірник на пошану Ярослава Ісаєвича*, ред. М. Крикун, Львів 2006–2007, s. 475–486, www.inst-ukr.lviv.ua/files/23/470Sereda.pdf [dostęp: 27.02.2021].
- Суперанская Александра В., *Справочник личных имен народов РСФСР*, Москва 1987.
- «Українська школа» в літературі та культурі українсько-польського пограниччя, ред. Р. Радишевський, Київ 2005.
- Усціновіч А.К., *Слоўнік асабовых уласных імён*, Мінск 2011.

BIBLIOGRAFIA

Podmiotowa

Powieści

- *Przed laty. Powieść ukraińska*, „Dziennik Literacki” 1865, numery 70–78.
- *Przed laty. Powieść ukraińska*, napisał Paulin Stachurski, Lwów: M. F. Poremba, 1865.
- *Trójka. Powieść*, „Dziennik Literacki” 1866, numery 26–42.
- *Trójka. Powieść*, przez Paulina Stachurskiego, T. I–II, Lwów: K. Piller, 1868.
- *Opowieści stepowe Paulina Stachurskiego*, Lwów: A. Skerl, 1871.
- *Moskal. Powieść ostatnich czasów*, „Nowiny” 1867, numery 1–9.
- *Wycieczka do Pionin*, przez Paulina Stachurskiego, Lwów: Gubrynowicz i Schmidt, 1869.
- *Karykatury żyjące piórkiem rysował Anastazjusz Bomba* [Paulin Święcicki], Lwów: Wydawnictwo „Nowin”: Gubrynowicz i Schmidt, 1869, 95 s.
- *Krzyż mogilny: 1863–1864* [wyd. anonimowo], Lwów: Wydawnictwo „Nowin” 1869, S. VII, 8–178, [1] s.

Utwory w języku ukraińskim

- *Damân Čuprina: dramatični malûnki z kozac'koï buval'sčini v 4-oh diâh*, K. S'oma; piślâ opov. P. Svogo „Gul'nara”, L'viv: „Rusalka”, 1937, 22 s.
- *Bajki v nauku molodym i starym*, zloživ Pavlo Svoj. [Paulin Święcicki], wyd. 3, L'vov: Prosvěta, 1891, 54, [2] s.
- *Stepovi opovidannâ*, Pavlo Svij; z per. Mikoli Golubcâ, L'viv: Ivan Tiktor, 1933, 126, [1] s.

Dramaty

- *Marusia*, 1864 – utwór nie zachował się.
- *Chwasty*, 1867 – utwór nie zachował się.
- *Bawidło: we 3 odstępach*, przez Paulina Stachurskiego, Lwów: Wydawnictwo „Nowin” 1869, 135, [1] s.
- *Posadnica Marta*, „Przegląd Polski” 1876.
- *Książę Igor*, utwór niepublikowany, 1876.
- *Milion na giełdzie*, 1876 – utwór nie zachował się.
- *Światostaw Igorewicz*, „Przewodnik Naukowy i Literacki” 1884.

Tłumaczenia na język ukraiński i rosyjski

- *Cigani: drama Osipa Korženëvs'kogo v 5 diâh*, z pol. per. D. Lozovs'kij [Paulin Świącicki], L'viv: s.n., 1864, 94, [1] s.
- Józef Korzeniowski, *Okno na pierwszym piętrze; Qui pro quo; Okrężne*, „Sioło” 1866.
- Aleksander Fredro, *List. Komedia w jednym akcie, wierszem*.
- *Bajki. Darunok małym ditjam*, Lwów 1864.
- William Szekspir, *Hamlet*.
- Moliere, *George Dandin*.

Tłumaczenia na język polski

- M. W. Hohol [Mikołaj Gogol], [przeł. P. Świącicki, J. Grzegorzewski]. *Powieści mniejsze*, Lwów 1864.
- Nikołaj Czernyszewski, *Ludzie. Powieść*, Lwów 1875.
- *Odarka*: [opowiadanie], [Marko Vovčok; z ukraińskiego przełożył P. Stachurski]. Zbiory Bronisława Gubrynowicza, [ok. 1801 – ok. 1900], 11 stron; 22,5×15 cm. Rękopis Biblioteki Narodowej.

Prace naukowe

- *Zbieranie materiałów etnograficznych*, „Nowiny” 1867, nr 2.
- *Uwagi nad tłumaczeniem latopisu Nestora przez Augusta Bielowskiego i J. Wagiłowicza*, Lwów: Gubrynowicz i Schmidt, 1869, 16 s.

- *Odmiana zaimków, rzecz językowo-porównawcza*, Lwów 1871.
- *Mowa ludzka, jej układ pierwotny i budowa*, Lwów 1873, t. IV, 93 s.
- *Die menschliche Sprache, ihre Bildung und ihr ursprünglicher Bau*, In Commission bei E. L. Kasprovicz, Liepzig 1875, 106 s.

Przedmiotowa

- *Antoniemu Malczewskiemu w 170. rocznicę pierwszej edycji „Marii”*. Materiały sesji naukowej Białystok 5–7 V 1995, pod red. H. Krukowskiej, Białystok 1997.
- Bracka Mariya, *Etnična paradigma poezii „ukraińskoi školi” pol’skogo romantizmu*, Kiiw 2009.
- Bracka Mariya, *Literatura ukraińska doby romantyzmu w kontekście studiów postkolonialnych = Ukrainian literature of the romantic period in the context of postcolonial studies*, „Świat Tekstów. Rocznik Słupski” 2016, nr 14.
- Bracka Mariya, *Lokalny mit w prozie pogranicza polsko-ukraińskiego XIX wieku*, „Acta Polono-Ruthenica” 2011, nr 1 (XVI).
- Bracka Mariya, *Ukraińki Michała Grabowskiego*, „Wiek XIX” 2019, R. 12.
- Bujnicki Tadeusz, *Apokalipsa „dla pokrzepienia serc”?*, w: *Romantyczne repetycje i powroty*, pod red. A. Czajkowskiej, A. Żywiołka, Częstochowa 2011.
- Bujnicki Tadeusz, *Ewolucja polskiej powieści historycznej (do Trylogii)*, w: tegoż, *Sienkiewicz i historia. Studia*, Warszawa 1981.
- Bujnicki Tadeusz, *Na pograniczach, kresach i poza granicami*, opr. tekstu i red. M. Siedlecki, Ł. Zabielski, Białystok 2014.
- Ciwkacz Olga, *Dzieje polskiego amatorskiego i zawodowego teatru w Stanisławowie (1745–1939 r.)*, Iwano-Frankivsk 2017.
- Fabianowski Andrzej, *Rola Kozaczyzny w koncepcjach politycznych Michała Czajkowskiego*, [w:] *Szkoła ukraińska w romantyzmie polskim. Szkice polsko-ukraińskie*, pod red. S. Makowskiego oraz U. Makowskiej i M. Nesteruk, Warszawa, 2012.
- Grabowski Michał, *Stanica hulajpolska. Ukraińskie opowieści*, opr. i wstęp I. Węgrzyn, Kraków 2016.
- Grzegorzewski Jan, *Mowa na pogrzebie śp. Paulina Święcickiego miana w dniu 14 września 1876 na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie przez Jana Grzegorzewskiego*, „Gazeta Narodowa” 1876, nr 213.

- Kaszewski Kazimierz, *Przegląd piśmienniczy: Przed laty. Powieść napisał Paulin Stachurski, Lwów 1866, „Bluszcz” 1866, nr 40.*
- Kozik Jan, *Ukraiński ruch narodowy w Galicji w latach 1830–1848*, Kraków 1973.
- Kralûk Petro M., *Kozac’ka mîfologiâ Ukraïni: tvorci ta epigoni*, Harkiv 2016.
- Krukowska Halina, *Noc romantyczna: Mickiewicz, Malczewski, Goszczyński. Interpretacje*, wyd. 2, Gdańsk 2011.
- Kwapiszewski Marek, *Kozak romantyczny. Dzieje motywu*, [w:] tegoż, *Późny romantyzm i Ukraina. Z dziejów motywu i życia literackiego*, Warszawa 2006.
- Kwapiszewski Marek, *Późny romantyzm i Ukraina. Z dziejów motywu i życia literackiego*, Warszawa 2006.
- Lubowski Edward, *Paulin Stachurski: Trójka*, „Biblioteka Warszawska” 1869, t. 1, s. 498–499.
- Ławski Jarosław, *Bo na tym świecie Śmierć. Studia o czarnym romantyzmie*, Gdańsk 2008.
- Ławski Jarosław, *Śmierć wszystko zmiecie. Studia o czarnym romantyzmie (II)*, Gdańsk 2020.
- Matviišin Volodimir G., *Ānterpretator’ska diâlništ’ Pavlina Svênciĉkogo v kontekstî ukraińsko-pol’skih miżliteraturnih vzaêmîn: mul’tikul’turalnij aspekt*, „Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze” 2006, z. 21/22.
- Mazur Aneta, „*Na Ukrainie za owych dobrych czasów*” – „*Przed laty. Powieść ukraińska*” Paulina Świecickiego, „*Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria*” 2020, z. 20.
- Mokry Włodzimierz, „*Ruska Trójca*”. *Karta z dziejów życia literackiego Ukraińców w Galicji w pierwszej połowie XIX wieku*, Kraków 1997.
- Nachlik Jewhen, *Intrpretacja hajdamaczyzny w twórczości Juliusza Słowackiego, Tarasa Szewczeni i Pantelejmona Kulisza*, w: *Poetyka przemiany człowieka i świata w twórczości Juliusza Słowackiego*, red. M. Śliwiński, Olsztyn 1997.
- Osadczy Wiktor, *Święta Ruś. Rozwój i oddziaływanie idei prawosławia w Galicji*, Lublin 2007.
- Paczowskij T.I., *Pawlyn Swienciĉkij – popularyzator tworczości Szewczenka*, w: *Zbirnik prac odynadciatoj naukowej szewczenkiwśkoj konferencji*, Kiiv 1963.
- P[owidaj Ludwik], *Opowiadania stepowe Paulina Stachurskiego*, „*Przegląd Polski*” 1870/71 t. 4.
- Radyszewski Rościsław, *Naris istoriï pol’s’koï literaturi: pidručnik: u dvoch knigah*, Kn. 1–2, Kiiv 2019.

- Radyszewski Rościsław, *„Ukraïns’ka škola v pol’s’komu romantizmi: fenomen pograniččâ: monografiâ*, Kiiiv 2018.
- Radyszewski Rościsław, *Kozaccy watażkowie w twórczości Zenona Fisza: „Konaszewicz w Białogrodzie” i „Noc Tarasowa”*, w: Z. Fisz, *Noc Tarasowa. (Proza)*, wstęp M. Szladowski i R. Radyszewski, opracowanie tekstu i przypisy K. Rutkowski i J. Ławski, redakcja tomu i bibliografia J. Ławski i I.E. Rusek, Białystok 2017.
- Radzykiewicz Wołodymyr, *Pawłyn Swiencičkyj. Publicystyczna, naukowa ta literaturna joho dijalnist’*, „Zapiski Naukowoho Towarystwa im. Szewczenka” 1911–1912, t. 101–103.
- *Romantizm: miż Ukraïnoû ta Pol’šeû: zbirnik naukovih prac’*, red. R. Radyszewski, Kiiiv 2003.
- *Romantyzm środkowoeuropejski w kontekście postkolonialnym*, cz. I, red. M. Kuziak, B. Nawrocki, Warszawa 2016.
- Serednicki Antoni, *Polsko-ukraińskie pismo „Siolo”*, „Bunt Młodych Duchem” 2006, nr 2.
- *Słownik biograficzny teatru polskiego. 1765–1965*, Warszawa 1973.
- Szargot Maciej, *Reporterskie i pisarskie drogi Józefa Bogdana Dziekońskiego*, Piotrków Trybunalski 2014.
- *Szkoła ukraińska w romantyzmie polskim. Szkice polsko-ukraińskie*, pod red. U. Makowskiej, S. Makowskiego, M. Nesteruk, Warszawa 2013.
- Szladowski Marek, *Zapomniany malarz Ukrainy – o pisarstwie Zenona Fisza*, w: Z. Fisz, *Noc Tarasowa. (Proza)*, wstęp M. Szladowski i R. Radyszewski, opracowanie tekstu i przypisy K. Rutkowski i J. Ławski, redakcja tomu i bibliografia J. Ławski i I.E. Rusek, Białystok 2017.
- Świerczyńska Dobrosława, *Paulin Świącicki – zapomniany Galicjanin (1841–1876)*, w: *Galiczyjskie spotkania 2008*, red. U. Jakubowska, Zabrze 2010.
- Świerczyńska Dobrosława, *Paulin Świącicki: dramat pisarza pogranicza*, „Pamiętnik Literacki” 1996 (87/1), s. 199–212.
- Tretiak Józef, *Paulin Świącicki i jego niewydane drama*, „Tydzień Literacki, Artystyczny, Naukowy i Społeczny” 1878, t. VII, nr 39–40.
- Trochimiak Jan, *Polskie przekłady powieści M. Czernyszewskiego „Co robić?”*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Philologie” 1893, t. 1.
- Wałęga Agnieszka, *Obraz edukacji religijnej w Galicji 2. połowy XIX wieku w opinii współpracowników lwowskiej Szkoły*, „Pedagogika Christiana” 2017, nr 1/39.

- Węgrzyn Iwona, *Dylematy tradycjonalisty: wątpliwości reformatora – samotność twórcy: „Wieczory wołyńskie” Józefa Ignacego Kraszewskiego*, „Wiek XIX” 2012, R. 5.
- Wójcicki Jerzy, *Powstaniec styczniowy i „chłopoman”. Paulin Świącicki (1841–1876)*, dostęp: <http://slowopolskie.org.powstaniec-styczniowy-i-chlopoman-paulin-swiecicki-1841-1876>.
- Zathéy Hugo, *Teatr Stanisławowski pod dyrekcją Miłosza Sztengla*, „Dziennik Literacki” 1867, nr 21.

NOTY O AUTORACH

KRZYSZTOF KOROTKICH – profesor UwB w Pracowni Komparatystyki Kulturowej w Katedrze Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku. Autor książek *Wyobraźnia apokaliptyczna Juliusza Słowackiego. Obrazy – wizje – symbole* (2011), *Ścieżki Wyobraźni. O wrażliwości i estetyce w literaturze XIX wieku* (2017), *Alchemia ducha. Studia i szkice o twórczości Józefa Bogdana Dziekońskiego* (2019). Autor rozpraw o literaturze romantycznej i współczesnej, współredaktor książek o pograniczach literatury, kultury i religii: *Bizancjum – Prawosławie – Romantyzm. Tradycja wschodnia w kulturze XIX wieku* (2004), *Ateny. Rzym. Bizancjum. Mity Śródziemnomorza w kulturze XIX i XX wieku* (2008), *Apokalipsa. Symbolika – tradycja – egzegeza*, t. I–II (2006–2007), *Pogranicza – cezury – zmiernicy Czesława Miłosza* (2012), *Julian Tuwim. Tradycja – recepcja – perspektywy badawcze* (2017), *Chrześcijańskie dziedzictwo duchowe narodów słowiańskich* (2016). W latach 2004–2005 stypendysta Herdera (Herder-Preis-Stipendium) na Uniwersytecie Wiedeńskim.

JAROSŁAW ŁAWSKI – eseista, krytyk i badacz wyobraźni; prof., kierownik Katedry Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku. Zainteresowania badawcze: literatura XVIII–XXI wieku, faustyzm i bizantyzm, polsko-wschodniosłowiańskie związki kulturowe, relacje geopolityki i kultury, twórczość Zygmunta Glogera, Tadeusza Micińskiego, Młoda Polska, poezja polska XXI wieku oraz Czesław Miłosz. Redaktor naczelny Naukowych Serii Wydawniczych „Czarny Romantyzm”, „Przełomy/Pogranicza”, „Colloquia Orientalia Białostocensia”, „Prelekcje Mistrzów”. Autor książek, w tym: *Wyobraźnia lucyferyczna. Szkice o poemacie Tadeusza Micińskiego „Niedokonany. Kuszenie Chrystusa Pana na pustyni”* (Białystok 1995), *Marie romantyków. Metafizyczne wizje kobiecości. Mickiewicz – Malczewski – Krasiński* (Białystok 2003), *Ironia i mistyka. Doświadczenia graniczne wyobraźni poetyckiej Juliusza Słowackiego* (Białystok 2006) oraz *Mickiewicz – Mit – Historia. Studia*

(Białystok 2010). Edytor *Horsztyńskiego Słowackiego* w serii Biblioteki Narodowej oraz trzynomowych *Pism rozproszonych* Zygmunta Glogera, czterotomowych *Pism rozproszonych* Tadeusza Micińskiego. Wydał monografie *Miłosz: „Kroniki” istnienia. Sylwy* (Białystok 2014); *İroniâ, istoriâ, geopolitika: pol’s’ko-ukraiñs’ki literaturni studii* (Kiiv 2019), *Śmierć wszystko zmiecie. Studia o czarnym romantyzmie (II)* (Gdańsk 2020), *Universum Słowackiego. Studia o wyobraźni* (Warszawa 2020).

Członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN; członek korespondent Polskiej Akademii Umiejętności, członek zagraniczny NANU w Kijowie. Urodzony w Szczytnie dzieciństwem związany ze Spychowem. Mieszka w Elku i Białymstoku.

MICHAŁ MORDAŃ – dr, asystent w Zakładzie Historycznego Językoznawstwa Słowiańskiego na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku. Absolwent filologii rosyjskiej na Uniwersytecie w Białymstoku. Zainteresowania badawcze: onomastyka pogranicza polsko-wschodniosłowiańskiego na tle zróżnicowania etnicznego, językowego i konfesyjnego (aspekt historyczny i współczesny). Autor monografii pt. *Chrześcijańskie dziedzictwo imiennicze utrwalone w nazwiskach mieszkańców Bielska Podlaskiego, Hajnówki i Siemiatycz* (Białystok 2019). Autor ponad 30 artykułów i rozdziałów w monografiach – głównie w zakresie antroponimii Białostoczczyzny [m.in.: *Trwanie i przemijanie w kontekście współczesnej kultury nazewniczej*, „*Studia Linguistica*” (2014), *Czy nadawane współcześnie „stare” imiona prawosławne zawsze są zamierzonym przejawem powrotu do tradycji?*, „*Acta Polono-Ruthenica*” (2016), *O stereotypach konotowanych przez niektóre modele współczesnych nazwisk (próba weryfikacji w oparciu o materiał z Bielska Podlaskiego)*, „*Socjolingwistyka*” (2016), *Imiona mieszkańców Bielska Podlaskiego na przełomie XX i XXI wieku*, (w:) *Rajko Nahtigal in 100 let slavistike na Univerzi v Ljubljani. Monografija ob. 100. obletnici nastanka Oddelka za slavistiko Filozofske fakultete UL* (2019), *Nazwiska z formantem -yk/-czyk na Białostoczczyźnie. Uwagi interpretacyjne*, „*Poradnik Językowy*” (2020), *Nazwy zawodów, godności i urzędów jako podstawy motywacyjne współczesnych nazwisk Podlasiian*, „*Studia Wschodniosłowiańskie*” (2020)]. Sekretarz redakcji czasopisma „*Linguodidactica*” (lista MEiN).

ROŚCISŁAW RADYSZEWSKI – prof. dr hab., kierownik Katedry Polonistyki Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki, członek korespondent Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, członek zagraniczny Polskiej Akademii

Umiejętności. Badacz pogranicza ukraińsko-polskiego w literaturze od XVII do XX wieku. W Kijowie wydaje i redaguje „Kijowskie Studia Polonistyczne” (do dziś XXXVI tomów). Autor tomów: *Poezja polskojęzyczna na Ukrainie w XVII wieku* (Kraków 1996), *Polskojęzyczna poezja ukraińska od końca XVI do początku XVIII wieku* (Kraków 1996). Ostatnio wydał: *Naris istorii pol's'koj literaturi: pidručnik u dvoch knigah*, Kn. 1–2 (Kijów 2019). Edytor poetów polskich: Leśmiana, Staffa, Iwaszkiewicza. Znanca i wydawca twórczości przedstawicieli ukraińskiej szkoły polskiego romantyzmu, takich jak: Antoni Malczewski, Seweryn Goszczyński, Józef Bohdan Zaleski, Tomasz Padurra, Włodzimierz Wysocki, Lew Węgliński.

Mieszka w Kijowie.

KRZYSZTOF RUTKOWSKI – dr nauk humanistycznych, rusycysta, językoznawca. Historyk języka starocerkiewnosłowiańskiego oraz rosyjskiego, miłośnik języków słowiańskich. Autor monografii *Leksyka konfesyjna w języku rosyjskim okresu radzieckiego* (Białystok 2008) oraz prac poświęconych zagadnieniom polsko-rosyjskiej homonimii międzyjęzykowej w ujęciu diachronicznym. Autor między innymi rozpraw: *Od leksykalnej homonimii międzyjęzykowej do paronimii* („Studia Wschodniosłowiańskie” 2013/13), *Kilka uwag o asymilacji zapożyczeń leksykalnych z zakresu terminologii komputerowej w języku rosyjskim* („Białostockie Archiwum Językowe” 2011/11), *Leksyka konfesyjna z subiektywno-pejoratywnym odcieniem znaczeniowym w języku rosyjskim okresu radzieckiego* („Przegląd Rusycystyczny” 2002/1). Pracuje w Kolegium Językoznawstwa na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku.

PAULIN ŚWIĘCICKI, *OPOWIEŚCI STEPOWE. (PISMA PROZA) (TALES FROM THE STEPPE. WRITINGS IN PROSE)*, WITH AN INTRODUCTION BY KRZYSZTOF KOROTKICH, ROŚCISŁAW RADYSZEWSKI, AND JAROSŁAW ŁAWSKI, EDITOR AND AUTHOR OF BIBLIOGRAPHY KRZYSZTOF KOROTKICH, MICHAŁ MORDAŃ, AND KRZYSZTOF RUTKOWSKI, SCIENTIFIC SERIES OF PUBLICATIONS “BLACK ROMANTICISM”, DEPARTMENT OF PHILOLOGICAL STUDIES “EAST – WEST”, FACULTY OF PHILOLOGY OF THE UNIVERSITY OF BIAŁYSTOK, BIAŁYSTOK 2020.

SUMMARY

The presented volume contains a wide presentation of the prose works of a writer, who – which needs to be said openly – has been completely forgotten in Polish culture. The whole life of Paulin Świącicki (1841–1876) was devoted to building bridges between Polish culture, from which he originated, and Russian and Ukrainian cultures that both influenced him in a very strong way. Thus, he took the difficult work to approach both cultures with a dialogic, open gesture.

Initially, Świącicki translated literary texts from Polish into Ukrainian language. Then he wrote in both languages, so that at a certain time he published each work in two language versions. Long forgotten in Poland, he was remembered in Ukrainian culture, where his works written in the Ukrainian language were treated as a testimony allowing him to be classified as a “Ukrainian writer of Polish origin”. The Polish expert in his works, Dobrosława Świerczyńska, commented on this approach: “I am deeply convinced that this is an improper term and that Świącicki would never agree to that” (in her work: *Paulin Świącicki. Dramat pisarza pogranicza (Paulin Świącicki. The tragedy of a borderland writer)*, “Pamiętnik Literacki” 1996, No. 1, p. 199). Nevertheless, the tragic gesture of a Polish ukrainophile obliges us to take a closer look at the life and works of a writer who existed in the difficult borderland between Poland and Ukraine. Obviously, maybe he should be read carefully both by Polish and Ukrainian audiences today, but while the Poles should bear in mind his deep affinity for Ukraine, Ukrainian readers should consider his choice of Polish identity and culture.

Świącicki, better known under the pseudonym Paulin Stachurski, was one of the latest continuators of the traditions of the Ukrainian school in Polish

Romanticism. Fascinated by Malczewski and Goszczyński, but also by Taras Shevchenko, Marko Vovchok, Gogol and Chernyshevski, he started his creative life with intensive translation work, “reworking” texts from Polish into Ukrainian and from Ukrainian into Polish, with some attempts to translate from Russian as well (*Powieści mniejsze (Lesser Stories)* by Nikolai Gogol, Lvov 1871).

Disappointed with the lack of reaction to his translations, he gave up and, according to Ivan Franko “he escaped completely in Polish literature” (D. Świerczyńska, *ibidem*, p. 205).

Since he was born, Świącicki had to struggle with being orphaned by his mother as a child, poverty, strict upbringing, lack of understanding, and tuberculosis.

He was born in 1841 in the village Varshitsa and died in 1876, aged 35, of tuberculosis in Lvov. He wrote under the pseudonyms Paulin Stachurski, Pawło Świj, Zorjan, Danil Lozovsky, Łozowski, Nie Bolesławita. He came from an aristocratic family.

He wrote short stories, novels, articles, poems, literary criticism, and dramas in Polish and Ukrainian language. He translated numerous works from Polish into Ukrainian and from Ukrainian and Russian into Polish. As an experienced teacher of Polish and Ukrainian schools, he also wrote papers on language and grammar: *Odmiana zaimków, rzecz językowo-porównawcza (The declination of pronouns, a study in comparative linguistics, 1871; Mowa ludzka, jej układ pierwotny i budowa (Human speech: its primary arrangement and structure, 1873.*

This volume contains the main works in prose by Świącicki written in Polish language: *Opowieści stepowe (Tales from the Steppe)* (1871), novels *Przed laty. Powieść ukraińska (Years ago. A Ukrainian Novel)* (1866), *Moskal. Powieść z ostatnich czasów (The Russian. A Story from Recent Times)* (1867), *Trójka. Powieść (Three. A Novel)* (1868), as well as a travel report *Wycieczka do Pionin (A Trip to Pionin)* (1869)). The *Annexe* presents some comments of Polish writers and literary theoreticians on the works of Świącicki. The Polish expert in his works, Dobrosława Świerczyńska, summed up his literary works in the quoted article:

Świącicki doubtlessly died with a sense of defeat. He had not managed to bring the related languages and cultures closer, he had probably not even succeeded in evoking a more friendly approach to Ukrainian culture and to Ukrainian strive for independence in Polish cultural elites. On the other hand, Ukrainians from Galicia criticised him for... excessive polonophilia, nearly a betrayal of Ukrainian culture and even a will to subordinate it to Polish culture!

It is likely that Świącicki wanted to be – and he was – a Polish and Ukrainian writer, not a “Ukrainian writer of Polish origin”. A major part of his works was written in Polish. He identified with the Polish literary circles, which, in turn, accused him of excessive Ukrainophilia.

The volume was prepared by: Krzysztof Korotkich, PhD., hab. – a scientist specialising in Romanticism from the Department of Comparative Cultural Studies of the Białystok University; Professor Rościśław Radyszewski – Head of the Department of Polish Studies of the Kiev National University of Taras Shevchenko, Krzysztof Rutkowski, PhD. – specialist in Russian studies from the College of Linguistics of the Białystok University and Professor Jarosław Ławski from the Department of Philological Studies “East – West” editor in chief of the “Black Romanticism” series.

The edition is part of the project under the National Programme for the Development of Humanities, entitled “The continuation of critical editions of outstanding yet forgotten works of 19th century literature in the Academic Series of Publications ‘Black Romanticism in twelve volumes’” initiated in 2017 by Prof. Halina Krukowska (1937–2019). The project is realised in the years 2018–2022 by the Department of Philological Studies “East – West” (the current Project Manager is Piotr Stasiewicz, PhD., hab.). The “Black Romanticism” editorial project is classified as a unique research project (so far 50 volumes of editions and monographies have been published in the series).

PAULIN ŚWIĘCICKI, *STEPPENGESCHICHTEN. (PROZASCHRIFTEN)* [POLN. *OPOWIEŚCI STEPOWE. (PISMA PROZA)*], EINLEITUNG VON KRZYSZTOF KOROTKICH, ROŚCISŁAW RADYSZEWSKI, JAROSŁAW ŁAWSKI, REDAKTION DES BANDES UND BIBLIOGRAPHIE VON KRZYSZTOF KOROTKICH, MICHAŁ MORDAŃ UND KRZYSZTOF RUTKOWSKI, WISSENSCHAFTLICHE VERLAGSREIHE „SCHWARZE ROMANTIK“, ABTEILUNG FÜR PHILOLOGISCHE FORSCHUNG „OST – WEST“, PHILOLOGISCHE FAKULTÄT DER UNIVERSITÄT ZU BIAŁYSTOK, BIAŁYSTOK 2020

ZUSAMMENFASSUNG

Dieser Band ist eine umfassende Präsentation des Prosawerks eines Schriftstellers, der in der polnischen Kultur, um es vorsichtig auszudrücken, völlig vergessen ist. Zeit seines Lebens unternahm Paulin Świącicki (1841–1876) die riskante Aufgabe, Brücken zwischen der polnischen Kultur, aus der er stammte, und der russischen und ukrainischen Kultur, von der er tief durchdrungen war, zu bauen. So unternahm er die schwierige Arbeit, mit einer dialogischen Geste der Öffnung gegenüber beiden Kulturen hervorzutreten.

Zunächst übersetzte Świącicki literarische Texte aus dem Polnischen ins Ukrainische, schrieb dann auf Polnisch und Ukrainisch und veröffentlichte irgendwann jedes Werk in zwei Sprachversionen. In Polen längst vergessen, erinnerte man sich an ihn in der ukrainischen Kultur, wo seine in ukrainischer Sprache verfassten Werke als Zeugnis seiner ethnischen Qualifikation als „ukrainischer Schriftsteller polnischer Herkunft“ behandelt wurden. Eine polnische Expertin für seine Arbeit, Dobroślawa Świerczyńska, kommentierte diesen Ansatz unmissverständlich: „Ich bin zutiefst davon überzeugt, dass dies ein unangemessener Begriff ist und dass Świącicki ihm niemals zugestimmt hätte“ (derselben, *Paulin Świącicki. Drama eines Grenzlandschriftstellers*, „*Literarisches Tagebuch*“ 1996, Nr. 1, S. 199 [poln. *Paulin Świącicki. Dramat pisarza pogranicza*, „Pamiętnik Literacki“]). Nichtsdestotrotz zwingt uns seine tragische Geste als polnischer Ukrainophiler dazu, einen tieferen Blick auf das Leben und Werk dieses Schriftstellers zu werfen, der sich im schwierigen ukrainisch-polnischen Grenzland bewegte. Natürlich kann und sollte

er heute sowohl von Polen als auch von Ukrainern aufmerksam gelesen werden, wobei erstere seine tiefen pro-ukrainischen Sympathien und letztere seine polnische Identität und kulturellen Entscheidungen berücksichtigen sollten.

Besser bekannt als Paulin Stachurski (sein literarisches Pseudonym) war Świącicki einer der späten Fortsetzer der Tradition der ukrainischen Schule in der polnischen Romantik. Fasziniert von Malczewski und Goszczyński, aber auch von Taras Schewtschenko, Marko Wowczok, Gogol und Tschernyschewski, begann er seine Arbeit als intensiver Übersetzer, „transformierte“ Texte aus dem Polnischen ins Ukrainische und aus dem Ukrainischen ins Polnische und unternahm auch Übersetzungsversuche aus dem Russischen (Gogols *Kleine Romane*, Lemberg 1871).

Enttäuscht von der mangelnden Resonanz auf seine Übersetzungen „gab er auf und, wie Ivan Franko schrieb, „uszeł sowsiem w polskuju literaturu““ (D. Świerczyńska, op. cit., S. 205).

Schon zu Beginn seines Lebens kämpfte Świącicki damit, als Kind von seiner Mutter verwaist zu sein, mit Armut, strenger Erziehung von seinem Vater, Unverständnis und Tuberkulose.

Der Schriftsteller wurde 1841 im Dorf Warszyca geboren und starb 1876 im Alter von 35 Jahren an Tuberkulose in Lviv. Er schrieb unter den Pseudonymen, wie Paulin Stachurski, Pavlo Swij, Zorjan, Danił Łozowśkyj, Łozowski, Nie Boleśławita. Er stammte aus einer adligen Familie.

Er schrieb Kurzgeschichten, Romane, Journalismus, Gedichte, kritisch-literarische Artikel und Dramen in polnischer und ukrainischer Sprache. Er war ein produktiver Übersetzer aus dem Polnischen ins Ukrainische und aus dem Ukrainischen und Russischen ins Polnische. Er hatte Erfahrung als Lehrer in polnischen und ukrainischen Schulen und schrieb auch Werke über Sprache und Grammatik (*Deklination der Pronomen, zum sprachlichen Vergleich*, 1871 [poln. *Odmiana zaimek, rzecz językowo-porównawcza*]; *Die menschliche Sprache, ihr primäres System und ihre Struktur*, 1873 [poln. *Mowa ludzka, jej układ pierwotny i budowa*]).

Diese Auswahl präsentiert Świącickis wichtigste Prosaleistungen in polnischer Sprache: *Steppengeschichten* (1871) [poln. *Opowieści stepowe*], die Romane *Vor Jahren. Ukrainischer Roman* (1866) [poln. *Przed laty. Powieść ukraińska*], *Moskal. Ein Roman aus den letzten Zeiten* (1867) [poln. *Moskal. Powieść z ostatnich czasów*], *Dreimal. Roman* (1868) [poln. *Trójka. Powieść*], sowie der Reisebericht *Ausflug nach Pioniny* (1869) [poln. *Wycieczka do Pionin*]. Der Anhang enthält

Stimmen polnischer Schriftsteller und Forscher zu Świącickis Werk. Dobrosława Świerczyńska, eine polnische Forscherin seines Werkes, hat sein Schaffen in dem oben zitierten Artikel zusammengefasst:

Zweifellos starb Świącicki mit einem Gefühl der Niederlage. Es gelang ihm nicht, die verwandten Sprachen und Kulturen einander näher zu bringen, wahrscheinlich gelang es ihm nicht einmal, in den polnischen Kultureliten eine wohlwollende Haltung gegenüber der ukrainischen Kultur und den ukrainischen Unabhängigkeitsbestrebungen zu wecken. Im Gegenzug verachteten ihn die galizischen Ukrainer... eine übermäßige Polonophilie, ein stummer Verrat an der ukrainischen Kultur, sogar der Wunsch, sie der polnischen Kultur unterzuordnen!

Es scheint, dass Świącicki ein polnisch-ukrainischer Schriftsteller sein wollte – und war – „kein Schriftsteller ‚ukrainischer Herkunft‘“. Der überwiegende Teil seiner Produktion war polnisch. Er identifizierte sich mit der polnischen Literaturgemeinschaft, die ihm ihrerseits eine übermäßige Ukrainophilie vorwarf.

Der Band wurde herausgegeben von Dr. habil. Krzysztof Korotkich, einem Wissenschaftler der Romantik am Lehrstuhl für Kulturkomparatistik der Universität zu Białystok; Prof. Rościsław Radyszewski, Leiter des Lehrstuhls für Polonistik an der Nationalen Taras-Schewtschenko-Universität Kiew; Dr. Krzysztof Rutkowski, Spezialist für Russistik an der Hochschule für Linguistik der Universität zu Białystok, und Prof. Jarosław Ławski vom Ost – West Institut für Philologie und Chefredakteur der Reihe „Schwarze Romantik“.

Die Edition wurde im Rahmen des Projekts des Nationalen Programms für die Entwicklung der Geisteswissenschaften mit dem Titel „Fortsetzung der kritischen Editionen herausragender, vergessener Werke der polnischen romantischen Literatur des 19. Jahrhunderts in der wissenschaftlichen Verlagsreihe ‚Schwarze Romantik in zwölf Bänden‘“ vorbereitet, das 2017 von der Professorin Halina Krukowska (1937–2019) initiiert wurde. Das Projekt wird in den Jahren 2018–2022 von der Abteilung für philologische Forschung „Ost – West“ durchgeführt (der nächste Projektleiter ist Dr. habil. Piotr Stasiewicz). Das Editionsprojekt „Schwarze Romantik“ gilt als einzigartige Forschung (in der Reihe sind 50 Bände von Editionen und Monographien erschienen).

ПАВЛИН СВЕНЦІЦЬКИЙ, «СТЕПОВІ ОПОВІДАННЯ». (В ПРОЗІ), ВСТУП КШИШТОФ КОРОТКИХ, РОСТИСЛАВ РАДИШЕВСЬКИЙ, ЯРОСЛАВ ЛАВСЬКИЙ, РЕДАКЦІЯ ТОМУ І БІБЛІОГРАФІЯ КШИШТОФ КОРОТКИХ МІХАЛ МОРДАНЬ І КШИШТОФ РУТКОВСЬКИЙ, НАУКОВО-ВИДАВНИЧА СЕРІЯ «ЧОРНИЙ РОМАНТИЗМ», КАФЕДРА ФІЛОЛОГІЧНИХ ДОСЛІДЖЕНЬ «СХІД – ЗАХІД», ФІЛОЛОГІЧНИЙ ФАКУЛЬТЕТ УНІВЕРСИТЕТУ В БІЛОСТОЦІ. БІЛОСТОК 2020

АНОТАЦІЯ

У томі представлено широкий огляд прозових творів письменника, з повною серйозністю, без перебільшень повністю забутого в польській культурі. Павлин Свенціцький (1841–1876) усе своє життя займався ризикованою працею по зведенню мостів між польською культурою, з якої він походить, та культурами руською й українською, якими був глибоко пронизаний. Тож, він розпочав свою важку працю з жести відкритості до цих культур.

Спочатку Свенціцький перекладав літературні тексти з польської на українську, потім писав польською та українською, публікуючи кожен твір двома мовами. Давно забутий у Польщі, він жив лише в українській культурі, де його твори, написані українською мовою, трактувалися як свідчення етнічної кваліфікації цього митця як «українського письменника польського походження». Польська вчена, знавець творчості Свенціцького – Доброслава Сверчинська – прокоментувала такий підхід однозначно: «Я глибоко переконана, що це визначення неправильне і що Свенціцький ніколи б не погодився на нього» (Павлин Свенціцький. Драма письменника пограниччя, «Pamiętnik Literacki» 1996, № 1, ст. 199). Однак його трагічний жест польського українофіла змушує глибше поглянути на життя і творчість письменника, який діяв у складному українсько-польському пограниччі. Звісно, сьогодні його можуть і повинні уважно читати як поляки, так і українці, причому перші повинні зважати на його проукраїнські глибокі симпатії, а другі – на польський вибір ідентичності та культури.

Більше відомий як Павлин Стахурський (його літературний псевдонім), Свенціцький був одним з останніх послідовників традицій української школи в польському романтизмі. Захоплюючись Мальчевським та Гошинським, а також Тарасом Шевченком, Марко Вовчком, Гоголем та Чернишевським він почав свою творчість з інтенсивної роботи перекладача, «перетворювача» текстів з польської на українську і з української на польську, який пробував пера і в перекладах з російської («Малі повісті Гоголя», Львів 1871).

Розчарований браком відгуків на його переклади, «він здався» і, як писав Іван Франко, «ушел совсем в польскую литературу» (Д. Сверчинська, цит. с. 205).

Свенціцький від початку свого життя змагався з втратою матері в дитинстві, з бідністю, суворим вихованням батька, нерозумінням та туберкульозом.

Письменник народився 1841 року в селі Варшиця, помер 1876 року у віці 35 років від туберкульозу у Львові. Писав під псевдонімами Павлин Стахурський, Павло Свій, Данило Лозовський, Сельський, Сор'ян. Походив зі шляхетської родини.

Писав оповідання, повісті, публіцистику, вірші, критичні літературні статті та п'єси польською та українською мовами. Він був плідним перекладачем з польської на українську та з української і російської на польську. Також створив – маючи досвід вчителювання в польських та українських школах – праці з мови та граматики («Відмінювання займенників», 1871; «Людська мова, її первісна структура та будова», 1873).

У цій добірці представлено основні прозові твори Свенціцького польською мовою: «Степові оповідання» (1871), повісті «Колись було», «Українська повість» (1866), «Москаль», «Повісті з останніх часів» (1867), «Трійка» (1868), а також оповідання про подорож до Піонін (1867). У додатку містяться висловлювання польських письменників та дослідників творчості Свенціцького. Польська дослідниця його праці Доброслава Сверчинська підсумувала його творчість у цитованій статті:

Свенціцький помер, безсумнівно, з відчуттям поразки. Йому не вдалося зблизити споріднені мови та культури, він навіть не зміг викликати співчутливого ставлення польської культурної еліти до української культури та до їхнього прагнення до незалежності. У свою чергу українці з Галичини звинувачували його в надмірному полонофільстві, майже зраді української культури, в бажанні підпорядкувати її польській культурі!

Свенціцький хотів бути – і був! – польсько-українським письменником, а не «українським письменником польського походження». Істотна частина його творів – це польська творчість. Він ототожнював себе з польським літературним середовищем, яке, у свою чергу, звинувачувало його в надмірному українофільстві.

Цей том підготували: доктор габілітований Кшиштоф Коротких, проф. УвБ – дослідник романтизму з Відділу культурної компаративістики Університету в Білостоці; проф. Ростислав Радишевський – завідувач кафедри полоністики Київського національного університету ім. Тараса Шевченка; доктор Кшиштоф Рутковський – русист з колегіуму лінгвістики Університету в Білостоці; проф. Ярослав Лавський з Кафедри філологічних досліджень «Схід – Захід», головний редактор серії «Чорний романтизм».

Видання було підготовлене в рамках проекту Національної програми розвитку гуманітаристики під назвою «Продовження критичних видань видатних та забутих творів польської романтичної літератури ХІХ століття» у науково-видавничій серії «Чорний романтизм» в дванадцяти томах, розпочате у 2017 році проф. Галиною Круковською (1937–2019). Проект реалізується з 2018 до 2022 року Кафедрою філологічних досліджень «Схід – Захід» (керівник проекту доктор габілітований Пйотр Стасевич). Редакційний проект «Чорний романтизм» належить до категорії унікальних досліджень (в серії вийшло 50 томів видань і монографій).

INDEKS NAZWISK

A

Abramowicz Zofia – 842–843, 850,
865, 890
Aleksander III Macedoński – 302
Ananiewa Natalia – 878, 891
Antonowycz Wołodymyr – 836

B

Bachórz Józef – 42
Baczynski Omelan – 55
Bajko Marcin – 922
Baka Józef, ks. – 381
Barszczewski Jan – 924
Batory Stefan, król Polski – 549
Bażan Mykoła – 48
Bernatowicz Wołodymyr – 50, 831
Bibikow Dmitrij – 820
Bielowski August (pseud. Jan Pla-
za) – 815
Bijak Urszula – 881, 884, 891
Bilwin Andrzej – 20
Biolik Maria – 846–848, 891, 893
Bismarck-Schönhausen Otto von –
302, 445
Bolesław Wstydlivy, książę – 747
Bomba Anastazjusz (pseud.)
zob. Święcicki Paulin

Bonaparte Napoleon I, cesarz Fran-
cuzów – 302
Bonaparte Napoleon III, cesarz Fran-
cuzów – 302
Bonawentura (August E.F. Klinge-
mann) – 921
Bonchino Alberto – 923
Bracka Mariya – 40, 53, 868, 893,
897
Bubak Józef – 848, 891
Bujnicki Tadeusz – 33, 897
Burbon Franciszek Asís de, książę –
388
Burkot Stanisław – 42
Burzka-Janik Małgorzata – 922–923

C

Cezar Juliusz – 302
Chlebowski Bronisław – 844, 893
Chmielnicki Bohdan, hetman – 178
Cieślíkowa Aleksandra – 846–847,
852, 863, 891, 893
Citko Lilia – 843, 850, 865, 890–
891
Ciwkacz Olga – 22, 897
Cuvier Georges – 282
Czachorowska Magdalena – 893
Czachorowska Maria – 846, 893

Czajkowska Agnieszka – 897
Czajkowski Michał – 13, 32, 34–35,
51, 55, 823, 897
Czernyszewski Nikołaj – 11, 28, 65,
896, 905, 911
Czerwiński Grzegorz – 923
Czopek-Kopciuch Barbara – 846,
893

D

Dacewicz Leonarda – 843, 850,
865, 890
Derkacz Borys – 69
Dietzsch Steffen – 921–923
Diogenes z Synopy – 743
Długosz Kazimierz – 852, 891
Dobrzański Jan – 72
Dołęga-Chodakowski Zorian (właśc.
Adam Czarnocki) – 846
Domaciuk-Czarny Izabela – 847, 891
Dopart Bogusław – 33
Duma Jerzy – 843, 893
Dumas Aleksander – 35
Dziedzic Joanna – 923
Dziekoński Józef B. – 43
Dzięgiel Ewa – 843, 892

E

Estreicher Karol – 12, 28, 35

F

Fabianowski Andrzej – 868, 891,
897

Farina Giovanni Maria – 339
Fedkowicz Jurij – 65
Fis *zob.* Fisz Zenon
Fisch *zob.* Fisz Zenon
Fish *zob.* Fisz Zenon
Fiss *zob.* Fisz Zenon
Fisz Zenon – 35, 899, 923–924
Fleury-Husson Jules François
(pseud. Champfleury) – 36
Fourier Charles – 112
Franko Iwan – 12, 28, 47–48, 54,
63, 67, 905, 908, 911
Fredro Aleksander – 28, 55, 896
Fros Henryk – 841, 891

G

Gałkowski Artur – 878–879, 883–
884, 891
Gloger Zygmunt – 901–902
Godlewska Joanna – 924
Goethe Johann Wolfgang – 41
Goethe Johann Wolfgang von – 914,
923
Gogol Mikołaj – 11–12, 28–29, 65,
813, 896, 905, 908, 911
Gołuchowski Agenor – 815
Goszczyński Seweryn – 11, 13, 32, 51,
822, 832, 903, 905, 908, 911, 921
Górny Halszka – 881, 891
Grabowski Michał – 32, 51, 897
Groman Karol – 72
Groza Aleksander – 13
Grzegorzewski Jan – 12, 28, 48, 50,
71–72, 811, 813, 896–897
Gubrynowicz Bronisław – 896
Gubrynowicz Władysław – 72,
895–896

H

Handke Kwiryna – 846, 891
Hegel Georg Wilhelm – 110
Herburt Jan Szczęsny – 834
Hlibow Leonid – 62
Hnatiuk Mykoła – 48
Hogarth William – 513
Hohenzollern Jan, elektor – 748
Hohol Mykoła *zob.* Gogol Miko-
łaj
Hołubic Mykoła – 50, 895
Hrebinka Jewhen – 62
Hugo Victor – 22, 35
Hus Jan – 748

I

Igor Rurykowicz, książę – 827
Iskorko-Ihnatenko Wałentyna – 47
Iwaszkiewicz Jarosław – 903
Izabela II, królowa – 388
Izopolski Erazm – 837

J

Jakubowska Urszula – 14, 899
Jakubowski August A. – 922
Janicka Anna – 922–923
Jan II Kazimierz Waza, król Polski –
748
Janowowa Wanda – 845, 851, 891
Jan Zygmunt Hohenzollern, elek-
tor – 748
Jaros Violetta – 881, 891
Juliusz Cezar – 302
Jurkiewicz Józef – 72

K

Kaleta Zofia – 246, 843, 855, 891
Kamionka-Straszakowa Janina – 42
Karauk Petro – 868, 893
Kaszewski Kazimierz – 32–34, 51,
54, 898
Kersta Rozalija – 843, 893
Klingemann August Ernst – 921–
922
Kłymkowicz Ksenofont – 816
Kochanowski Jan – 327
Konaszewicz-Sahajdaczny Petro,
hetman – 697, 699
Kondratiuk Michał – 865, 891
Kopij-Weiss Marta – 922
Koreccy, ród – 697
Korotkich Krzysztof – 7, 13, 901,
904, 906–907, 909–910, 912,
915, 921–922, 924
Korotkij Wiktor – 923
Korpysz Tadeusz – 843, 892
Korzeniowski Józef – 22, 28, 30, 55,
57, 896
Kostaszuk-Romanowska Monika –
923
Kostenko Anatol – 69
Kostka-Napierski Aleksander – 748,
803
Kotarbiński Józef – 36
Kotlarewski Iwan – 55
Kowalczykowa Alina – 42
Kowalski Grzegorz – 922–923
Kozak Stefan – 47
Kozik Jan – 27, 898
Kraluk Petro – 898
Krasicki Józef Ignacy – 30, 60, 62
Kraśniński Zygmunt – 17, 37, 921
Kraszewski Józef Ignacy – 37

Krukowska Halina – 33, 897–898,
906, 909, 912, 921–923
Krykun Mykoła – 846, 894
Kryłow Iwan – 30, 60–62
Krywoszeja Ihor – 38
Krzemieniowa Krystyna – 921
Krzemień-Ojak Krystyna – 923
Kuć Joanna – 843, 892
Kulisz Pantelejmon – 65, 898
Kunegunda-Kinga, księżna – 748,
759, 806
Kunicki Wojciech – 923
Kuryłowicz Beata – 924
Kuziak Michał – 899
Kwapiszewski Marek – 35, 868, 892,
898
Kwitka-Osnowjanenko Hryhorij –
58, 65
Kyrzczw Roman – 48

L

La Fontaine Jean de – 30, 60, 62
Lam Stanisław – 17
Lenartowicz Teofil – 28
Leśmian Bolesław – 903
Libera Leszek – 42, 915, 922–924
Lipiński Wacław – 72, 833
Lubomirski Edward – 922
Lubowski Edward – 35–36, 898

Ł

Ławrowski Julian – 814
Ławski Jarosław – 12, 35, 898–899,
901, 904, 906–907, 909–910,
912, 921–923
Łobojko Konstanty – 19, 21–22

Łozowski Danyło (pseud.) *zob.* Świę-
cicki Paulin
Łuc Izabela – 847, 860, 862, 889, 892

M

Magda-Czekaj Małgorzata – 881, 891
Magnuszewski Dominik – 20
Majewska Renata – 922
Makowska Urszula – 13, 868, 891,
897, 899
Makowski Stanisław – 13, 868, 891,
897, 899
Malczewski Antoni – 11, 13, 31–33,
51, 120, 822, 903, 905, 908, 911,
921
Malec Maria – 841–842, 892
Marcinkowski Antoni – 35
Matuszewski Józef – 843, 892
Matwijiszyn Wołodymyr – 47, 898
Mazur Aneta – 33–34, 867, 892, 898
Merzifonlu Kara Mustafa Pasza, we-
zyr – 710
Metternich Klemens – 449
Mezzofanti Giuseppe Gasparo – 418
Miciński Tadeusz – 901–902, 916,
922
Mickiewicz Adam – 17–18, 28, 33,
41, 60, 65, 181, 208, 533, 539
Miklošič Franc – 67, 816
Miłaszewski Adam – 817
Miłosz Czesław – 901
Misierowicz Alojzy – 558
Mokry Włodzimierz – 27, 898
Molier (właśc. Jean Baptiste Poque-
lin) – 28, 55, 896
Morawiec Norbert – 38
Mordań Michał – 8, 73, 841, 902,
904, 910, 916, 924

Morisson James – 313
Mrózek Robert – 846, 892
Munia Henryka – 847, 873, 889, 892
Mytnik Irena – 843, 892

N

Nachlik Jewhen – 898
Nalepa Marek – 924
Nawarecki Aleksander – 53
Nawrocki Bartłomiej – 899
Nesteruk Małgorzata – 13, 868, 891,
897, 899
Nie Bolesławita (pseud.) *zob.* Świę-
cicki Paulin
Niedzielski Czesław – 42
Niemcewicz Julian Ursyn – 33
Niesiecki Kasper – 301

O

Oczko Piotr – 922
Oleg Mądry, książę – 827
Olgierd, książę – 697
Olizarowski Tomasz A. – 922
Orda Napoleon – 558
Osadczy Włodzimierz – 27, 898
Owen Robert – 112

P

Padurra Tomasz (Tymko) – 54, 903
Pająkowska-Kensik Maria – 846, 893
Partyka Jacek – 923
Paszajewa Firangiz – 847, 853, 893
Pietraszewski Ignacy – 21
Piller Kornel – 31, 72, 895

Ponson du Terrai Pierre Alexis Vis-
count of – 36
Poremba Michał F. – 72, 895
Powidaj Ludwik – 39, 898
Puszkin Aleksander – 60

R

Radyszewski Rościsław – 7, 35,
40–41, 47, 868, 894, 898–899,
902, 904, 906–907, 909–910,
912, 917, 923–924
Radzykewicz Wołodymyr – 26,
30, 47–48, 54–55, 57, 60–62,
66–67, 69, 899
Raszewska-Klimas Agnieszka – 865,
892
Romanowski Mieczysław – 17, 35
Rusek Iwona E. – 35, 899, 923
Rutkowski Krzysztof – 35, 899,
903–904, 906–907, 909–910
Rylski Tadeusz – 836
Rymut Kazimierz – 842, 845, 892

S

Saint-Simon Henri de – 112
Sarnowska-Giefing Irena – 846–847,
855, 889, 892–893
Schiller Friedrich – 754
Schmidt Władysław – 72, 895–896
Schubert Gotthilf Heinrich von –
923
Sereda Ostap – 47, 846, 894
Serednicki Antoni – 27, 899
Siedlecki Michał – 897
Sielski Paulin (pseud.) *zob.* Święcic-
ki Paulin

Sienkiewicz Henryk – 33–34, 897
 Siwiec Adam – 847, 855, 857, 889,
 893
 Skarbek Aldona – 845, 891
 Skarbek Stanisław, hrabia – 23
 Skerl August – 72, 895
 Skowronek Katarzyna – 846, 893
 Słowacki Erazm – 923
 Słowacki Juliusz – 19, 22–25, 29,
 32–33, 42, 51, 898, 902
 Słowacki Władysław – 923
 Sokołowski Mikołaj – 922–923
 Sołomerecki Mikołaj – 712
 Sowa Franciszek – 841, 891
 Stachurski Paulin (pseud.) *zob.* Świę-
 cicki Paulin
 Staff Leopold – 903
 Stanisław Leszczyński, król Polski –
 749
 Stasiewicz Piotr – 906, 909, 912, 917,
 923
 Stengel Miłosz – 19–20, 22, 822
 Stępień Stanisław – 47
 Sulimierski Filip – 844, 893
 Superanskaja Aleksandra – 848, 894
 Swij Pawło (pseud.) *zob.* Święcicki
 Paulin
 Szargot Maciej – 43, 899
 Szaszkewicz Marian – 27
 Szekspir William – 22–23, 28, 55,
 335, 825, 827, 896
 Szewczenko Taras – 11, 28–29, 48–
 50, 55–56, 58–59, 64–65, 484,
 831–832, 905, 908, 911
 Szewczyk Łucja M. – 847, 863, 873,
 877, 881, 888–889, 893
 Szladowski Marek – 35, 899, 922–
 923
 Szulowska Wanda – 843, 893

Szymanowski Wacław – 923

Ś

Śliwiński Marian – 898
 Świerczyńska Dobrosława – 11–12,
 14, 19–21, 28, 33, 39, 44, 47,
 51, 66, 844–846, 893, 899,
 904–905, 907–911
 Święcicki Julian Adolf – 21
 Święcicki Paulin – 3, 5–8, 11–41,
 43–44, 47–51, 53–75, 231–
 232, 383–384, 543, 559–560,
 607–609, 631, 693, 697, 709,
 712, 727–728, 810–816, 819–
 820, 822–825, 827–828, 830–
 832, 836–837, 841, 843–846,
 848–850, 852–855, 857–865,
 867–869, 871–880, 884–890,
 893, 895–900, 904–912, 924

T

Tretiak Józef – 12, 32–33, 35, 48,
 819, 899
 Trimm Timothée – 36
 Trochimiak Jan – 28, 899

U

Uścińowicz Anna – 843, 894

V

Vulpus Christian August – 424

W

Walewski Władysław – 844, 893
Wałęga Agnieszka – 27, 899
Warchoń Stefan – 878, 891
Wesołowska Elżbieta – 922
Węgliński Lew – 903
Węgrzyn Iwona – 897, 900
Wielopolski Aleksander, hr. – 540
Wildt Juliusz – 25
Wilkoń Aleksander – 847, 893
Wilkoszewski Julian – 23
Witkowska Alina – 18
Witwicki Stefan – 923
Władysław Jagiełło, król polski – 748
Władysław Warneńczyk, król polski – 748
Wolnicz-Pawłowska Ewa – 843, 893
Wowczok Marko (właśc. Marija Wiłńska) – 11, 65, 814, 896, 905, 908, 911
Wozniak Mychajło – 62
Wójcicki Jerzy – 900
Wyhowski Iwan, hetman – 821
Wysocki Włodzimierz, poeta – 903

Y

Young Edward – 923

Z

Zabielski Łukasz – 897, 918, 922–923
Zaleski Bronisław – 831
Zaleski Józef Bohdan – 12–13, 822, 831, 903
Zarych Elżbieta – 923
Zathey Hugo – 22, 900
Zawadzka Danuta – 33, 921
Zawadzki Aleksander – 10, 840
Zawisza Czarny – 748
Zbaraski Krzysztof – 189
Zbijowska Bronisława – 845, 891
Zbiniowska Janina – 845, 891
Zenon F *zob.* Fisz Zenon
Zmorski Roman – 922
Zorian *zob.* Święcicki Paulin

Ž

Žmigrodzka Maria – 921
Žywiołek Artur – 897

Ž

Žižka Jan – 748



W NAUKOWEJ SERII WYDAWNICZEJ „CZARNY ROMANTYZM”
UKAZAŁY SIĘ:

- I.** Seweryn Goszczyński, *Zamek kaniowski*, wstęp Halina Krukowska (Białystok 1994, wyd. 2: Białystok 2002).
- II.** Jarosław Ławski, *Wyobrażenia lucyferyczna. Szkice o poemacie Tadeusza Mi-
cińskiego „Niedokonany. Kuszenie Chrystusa Pana na pustyni”* (Białystok 1995).
- III.** Antoni Malczewski, *Maria. Powieść ukraińska*, wprowadzenie napisali Halina
Krukowska i Jarosław Ławski (Białystok 1995, wyd. 2: Białystok 2002).
- IV.** *Antoniemu Malczewskiemu w 170. rocznicę pierwszej edycji „Marii”*. *Materiały se-
sjj naukowej, Białystok 5–7 V 1995*, pod red. Haliny Krukowskiej (Białystok 1997).
- V.** Zygmunt Krasieński, *Agaj-Han. Powieść historyczna*, wprowadzenie napisał
Zbigniew Suszczyński (Białystok 1998).
- VI.** *Postacie i motywy faustyczne w literaturze polskiej*, pod red. Haliny Krukow-
skiej i Jarosława Ławskiego, t. I (Białystok 1999).
- VII.** *Postacie i motywy faustyczne w literaturze polskiej*, pod red. Haliny Krukow-
skiej i Jarosława Ławskiego, t. II (Białystok 2001).
- VIII.** Jarosław Ławski, *Marie romantyków. Metafizyczne wieje kobiecości. Mickie-
wicz – Malczewski – Krasieński* (Białystok 2003).
- IX.** *Problemy tragedii i tragizmu. Studia i szkice*, pod red. Haliny Krukowskiej
i Jarosława Ławskiego (Białystok 2005).
- X.** Bonawentura [August E. F. Klingemann], *Straże nocne*, przeł. Krystyna Krze-
mieniova i Maria Żmigrodzka, wstęp Steffen Dietzsch, Maria Żmigrodzka, oprac.
tekstu, red. tomu Jarosław Ławski (Białystok 2006).
- XI.** *Apokalipsa. Symbolika – Tradycja – Egzegeza*, pod red. Krzysztofa Korotkicha
i Jarosława Ławskiego, t. I (Białystok 2006).
- XII.** *Apokalipsa. Symbolika – Tradycja – Egzegeza*, pod red. Krzysztofa Korotkicha
i Jarosława Ławskiego, t. II (Białystok 2007).
- XIII.** *Światło w dolinie. Prace ofiarowane Profesor Halinie Krukowskiej*, pod
red. Krzysztofa Korotkicha, Jarosława Ławskiego, Danuty Zawadzkiej (Bia-
łystok 2007).

- XIV.** *Nihilizm i historia. Studia z literatury XIX i XX wieku*, pod red. Mikołaja Sokołowskiego i Jarosława Ławskiego (Białystok–Warszawa 2009).
- XV.** *Noc. Symbol – Temat – Metafora*, t. I: *Wokół „Straży nocnych” Bonawentury*, pod red. Jarosława Ławskiego, Krzysztofa Korotkicha, Marcina Bajki (Białystok 2011).
- XVI.** *Noc. Symbol – Temat – Metafora*, t. I: *Noce polskie, noce niemieckie*, pod red. Jarosława Ławskiego, Krzysztofa Korotkicha, Marcina Bajki (Białystok 2012).
- XVII.** Krzysztof Korotkich, *Wyobraźnia apokaliptyczna Juliusza Słowackiego. Obrazy – wizje – symbole* (Białystok 2011).
- XVIII.** Tadeusz Miciński, *Walka o Chrystusa*, wstęp, opracowanie tekstu i przypisy Marcin Bajko (Białystok 2011).
- XIX.** Marek Szladowski, *(Bez)senna egzystencja. Starość Józefa Ignacego Kraszewskiego*, red. tomu Anna Janicka (Białystok 2012).
- XX.** Grzegorz Kowalski, *Duch w osobie. Bohater w dramatach Juliusza Słowackiego*, red. tomu Jarosław Ławski (Białystok 2012).
- XXI.** Renata Majewska, *Arkadia Północy. Mity eddaiczne w „Lilli Wenedzie” i „Królu-Duchu” Juliusza Słowackiego*, red. tomu Łukasz Zabielski (Białystok 2013).
- XXII.** *Starość. Doświadczenie egzystencjalne – temat literacki – metafora kultury*, Seria I: *Rozpoznania*, idea i wstęp Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Elżbieta Wesołowska, Grzegorz Kowalski (Białystok 2013).
- XXIII.** *Starość. Doświadczenie egzystencjalne – temat literacki – metafora kultury*, Seria II: *Zapisy i odczytania*, idea i wstęp Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Elżbieta Wesołowska, Grzegorz Kowalski (Białystok 2013).
- XXIV.** August Antoni Jakubowski, *Wspomnienia polskiego wygnańca*, wydanie polsko-angielskie, przekład, wstęp i opr. Jarosław Ławski, Piotr Oczko (Białystok 2013).
- XXV.** August Ernst F. Klingemann, *Faust. Tragedia w pięciu aktach*, wydanie polsko-niemieckie, przekład i wstęp Edwarda Lubomirskiego, red. tomu, opr. tekstu, przypisy i bibliografia Łukasz Zabielski, wstęp Jarosław Ławski, Steffen Dietzsch, Leszek Libera, Marta Kopij-Weiss (Białystok 2013).
- XXVI.** Roman Zmorski, *Leśław. Szklic fantastyczny*, opr. tekstu i wstęp Halina Krukowska, red. tomu i opr. *Aneksu* Jarosław Ławski (Białystok 2014).
- XXVII.** Tomasz August Olizarowski, *Poematy*, z autografów i pierwodruków opr., wstępem poprzedziła Małgorzata Burzka-Janik, red. tomu Małgorzata Burzka-Janik, Jarosław Ławski (Białystok 2014).

XXVIII. Johann Wolfgang von Goethe, *Baśń*, przekład Krystyny Krzemień-Ojak, wstęp Wojciech Kunicki, redakcja i wprowadzenie Jarosław Ławski (Białystok 2015).

XXIX. Stefan Witwicki, *Edmund*, wstęp i opr. tekstu Mikołaj Sokołowski, wprowadzenie i opr. *Aneksu* Małgorzata Burzka-Janik, red. tomu Halina Krukowska i Jarosław Ławski (Białystok 2015).

XXX. Gotthilf Heinrich von Schubert, *Nocna strona przyrodoznawstwa*, przekład Krystyny Krzemień-Ojak, wstęp Steffen Dietzsch i Alberto Bonchino, przypisy Łucja Krzemień-Ojak, Steffen Dietzsch, wprowadzenie, opr. tekstu, wprowadzenie i red. Jarosław Ławski (Białystok 2015).

XXXI. Władysław Słowacki, *Narracje*, wstęp, przypisy i bibliografia Grzegorz Kowalski, red. tomu Jarosław Ławski (Białystok 2015).

XXXII. Wacław Szymanowski, *Sędziwój. Dramaty*, wstęp i opr. tekstu Grzegorz Czerwiński i Anna Janicka, red. i posłowie Jarosław Ławski (Białystok 2015).

XXXIII. Józef Sękowski, *Fantastyczne podróże barona Brambeusa*, wstęp Jarosław Ławski i Joanna Dziedzic, red. tomu Małgorzata Burzka-Janik i Jarosław Ławski (Białystok 2016).

XXXIV. Zenon Fisz, *Noc Tarasowa. (Proza)*, wstęp Marek Szladowski i Rościśław Radyszewski, red. tomu i bibliografia Iwona E. Rusek i Jarosław Ławski (Białystok 2017).

XXXV. Leszek Libera, *Gottfried August Bürger – autor „Lenory”* (Białystok 2016).

XXXVI. Edward Young, *Mysli nocne*, wydanie polsko-angielskie, red. i wstęp Łukasz Zabielski, opr. tekstów angielskich Jacek Partyka, wprowadzenie Mikołaj Sokołowski, red. tomu Halina Krukowska i Jarosław Ławski (Białystok 2016).

XL. Monika Kostaszuk-Romanowska, *Deiluzja w dramacie. Rozważania teoretyków i praktyki dramaturgicznej Juliusza Słowackiego* (Białystok 2018).

XLI. *Kraśiński. Żywioły kultury, żywioły natury. Studia*, red. Małgorzata Burzka-Janik, Piotr Stasiewicz, wstęp i idea Jarosław Ławski, Małgorzata Burzka-Janik (Białystok 2019).

XLII. *Ludwig Tieck, Baśnie ze zbioru „Phantasmus”, oprac. wstęp i przekład Elżbieta Zarych*, red. Jarosław Ławski i Elżbieta Zarych (Białystok 2020).

XLIII. Erazm Słowacki, *Pisma zebrane*, wstęp Łukasz Zabielski, Wiktor Korotkij i Jarosław Ławski, red. Jarosław Ławski i Łukasz Zabielski (Białystok 2020).

XLIV. *Literackie podróże do wnętrza Ziemi. Studia*, red. Jarosław Ławski i Małgorzata Burzka-Janik (Białystok–Opole 2020).

XLV. Zenon Fisz, *Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrówek po Ukrainie*, wstęp i red. Marek Nalepa i Jarosław Ławski (Białystok 2020).

XLVI. Jan Barszczewski, *Szlachcic Zawalnia, czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach*, wstęp Jarosław Ławski, Joanna Godlewska i Beata Kuryłowicz, red. tomu i bibliografia Beata Kuryłowicz i Jarosław Ławski (Białystok 2020).

XLVII. Leszek Libera, *Ludwig Tieck zwany królem romantyzmu* (Białystok 2021).

XLVIII. Paulin Świącicki, *Opowieści stepowe. Pisma prozą*, wstęp i posłowie Krzysztof Korotkich, Rościsław Radyszewski i Michał Mordań, red. Jarosław Ławski, Michał Mordań i Krzysztof Korotkich (Białystok 2020).

